

Ken Follett

Świat bez końca

*Z angielskiego przełożyli GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK ZBIGNIEW A.
KRÓLICKI*

Tytuł oryginału: WORLD WITHOUTEND

GŁÓWNE POSTACIE KSIĄŻKI Pierwszoplanowe

Caris (Wooler) - córka handlarza wełną Edmunda Woolera

Godwyn - zakonnik, syn Petranilli, siostrzeniec Edmunda Woolera

Gwenda - córka parobka bez ziemi, mieszkanka wsi Wigleigh, przyjaciółka

Caris Merthin (Bridger) - syn zubożalego szlachcica, budowniczy

Ralph (Fitzgerald) - młodszy brat Merthina

Wulfric - kmięć z Wigleigh, ukochany Gwend

Drugoplanowe

Alice (Wooler) - siostra Caris, żona Elfrica Buildera Alan Fernhill - giermek Ralpha Fitzgeralda

Annet (Perkin) - córka najbogatszego gospodarza w Wigleigh, narzeczona Wulfrica

Anthony - przeor zakonu męskiego w Kingsbridge Buonaventura

Caroli - kupiec z Florencji, przyjaciel rodziny Woolerow

Cecilia - przeorysza zakonu żeńskiego w Kingsbridge

Elisabeth Clerk - przyjaciółka Merthina

Edmund (Wooler) - ojciec Caris, handlarz wełną

Elfric Builder - mistrz budowniczy, u którego terminował Merthin

Griselda - córka Elfrica Buildera

Joby z Wighleigh - parobek bez ziemi, złodziejaszek, ojciec Gwendy

Thomas Langley - rycerz króla Edwarda II, później zakonnik
Lolla - córka Merthina Gregory
Longfellow - prawnik z Londynu
Mair - zakonnica, przyjaciółka Caris
Mattie (Wise) - zielarka, przyjaciółka i mentorka Caris
Lady Maud i sir Gerald (Fitzgerald) - rodzice Merthina i Ralpa
Petranilla - matka Godwyna, siostra Edmunda Woolera, ciotka Caris
Philemon (prawdziwe imię - Holger) - brat Gwendy, zakonnik
Lady Philippa - żona hrabiego Rolanda
Nathan Reeve - zarządca wsi Wigleigh
Richard - młodszy syn hrabiego Rolanda, biskup Kingsbridge
Roland, hrabia Shiring
Madge i Mark Webberowie - tkacze, przyjaciele Caris i Merthina William, lord Caster - starszy syn hrabiego Rolanda

CZEŚĆ I

1 listopada 1327

1

Gwenda miała dopiero osiem lat, ale nie bała się ciemności.

Otworzywszy oczy, niczego nie zobaczyła, lecz nie to napawało ją lękiem. Wiedziała, gdzie się znajduje. Była w klasztorze Kingsbridge, w podłużnym kamiennym budynku zwanym szpitalem. Leżała obok matki. Ciepły mleczny zapach świadczył o tym, że mama niedawno nakarmiła najmłodsze dziecko, które nie miało jeszcze imienia. Obok mamy leżał tata, a dalej dwunastoletni starszy brat Gwendy, Philemon.

Szpital był zapelniony i choć Gwenda nie widziała innych rodzin słoczonych niczym owce w stodołę, czuła nieświeży zapach ich rozgrzanych ciał. O świcie rozpocznie się dzień Wszystkich Świętych, który w tym roku jest jeszcze bardziej świętym dniem niż zazwyczaj, gdyż przypada w niedzielę. Wigilia Wszystkich Świętych to niebezpieczny czas, w którym duchy swobodnie wędrują po ziemi. Setki ludzi przybyły do Kingsbridge z okolicznych wiosek, podobnie jak rodzina Gwendy, aby spędzić ten dzień w poświęconych budynkach klasztoru i o świcie wziąć udział w mszy.

Gwenda lękała się złych duchów, tak jak każdy rozsądny człowiek. Bardziej jednak przerażało ją to, co będzie musiała zrobić podczas nabożeństwa.

Patrzyła w ciemność, starając się nie myśleć o przyczynie swego lęku. Wiedziała, że w ścianie naprzeciwko znajduje się półokrągłe okno. Nie było w nim szkła - tylko w najważniejszych

budynkach wstawiano w okna szyby - lecz lniana zasłona zatrzymująca chłodne jesienne powietrze. Jednak Gwenda nie widziała nawet bladej plamy szarości w miejscu, gdzie było okno. Odpowiadała jej to. Wolała, żeby ranek nie nadchodził jak najdłużej.

Nic nie widziała, lecz zewsząd dobiegało mnóstwo rozmaitych odgłosów. Słoma na klepisku szeptała bez przerwy, gdyż ludzie poruszali się i wiercili we śnie. Jakieś dziecko krzyknęło płaczliwie, jak gdyby obudzone złym snem. Cichy łagodny głos kogoś z rodziców szybko je uspokoił. Czasem ktoś mruknął niewyraźnie przez sen, a czasem dał się słyszeć odgłos tego, co robili także rodzice Gwendy, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Gwenda nazywała tę czynność stękaniem, ponieważ nie знаła innego określenia.

Niebawem - zdaniem Gwendy o wiele za wcześnie - zaczęło się rozwidniać. We wschodniej części długiej izby, w drzwiach za ołtarzem, pojawił się mnich ze świecą w dłoni. Ustawił świecę na ołtarzu, zapalił od niej długą drzazgę i ruszył wzdłuż ściany, dotykając płomieniem lamp. Jego cień za każdym razem wspinał się wysoko, gdy drzazga spotykała się z knotem.

Coraz mocniejsze światło wydobywało z półmroku skulone postacie leżące na klepisku, okutane w szare ubrania albo przytulone do sąsiadów w poszukiwaniu ciepła. Chorzy zajęli prycze w pobliżu ołtarza, aby jak najwięcej skorzystać z dobrodziejstw świętego miejsca. W przeciwnym końcu izby znajdowały się schody prowadzące na piętro, do komnat dla arystokracji. Gościł tam hrabia Shiring wraz z rodziną.

Mnich schylił się nad Gwenda aby zapalić lampę tkwiącą nad jej głową. Zauważył, że dziewczynka spogląda na niego, i uśmiechnął się. W drgającym świetle Gwenda rozpoznała twarz brata Godwyna. Był młody i przystojny, wczoraj wieczorem życzliwie odezwał się do Philemona.

Obok rodziny Gwendy miejsce na klepisku zajęła inna rodzina z ich wioski: zamożny kmięć Samuel, właściciel sporego gospodarstwa, oraz jego żona i dwaj synowie. Młodszy z nich, Wulfric, miał sześć lat i był złośliwy. Rzucił w dziewczynki żołądziami, a potem umykał ze śmiechem.

Rodzina Gwendy nie była bogata. Ojciec nie miał ziemi, musiał więc pracować u innych jako parobek. Latem nigdy nie brakowało roboty, lecz po żniwach, gdy nadchodziły chłody, rodzina często cierpiała głód.

Dlatego Gwenda musiała kraść.

Wyobrażała sobie, jak zostaje przyłapana, jak wije się bezsilnie w uścisku żelaznej dłoni, słyszała głęboki, pozbawiony litości głos: „Patrzcie, mała złodziejka!”. Ból i upokorzenie chłosty, a potem to, co najgorsze: odrąbanie toporem ręki.

Ojca już ta kara spotkała. Jego lewa ręka kończyła się szkaradnym pomarszczonym kikutem. Radził sobie jedną ręką: umiał posługiwać się łopatą, osiodłać konia, a nawet upleść sieć do łapania

ptaków, lecz mimo to wiosną znajdował zatrudnienie jako ostatni, a jesienią był pierwszym do zwolnienia. Nie mógł opuszczać wioski i szukać pracy gdzie indziej, bowiem obcięta ręka świadczyła o tym, że jest złodziejem, i nikt by go nie przyjął. Kiedy gdzieś wyruszał, przywiązywał do kikuta wypchaną rękawicę, jednak nieznajomi nie dawali się długo nabierać na tę sztuczkę.

Gwenda nie była świadkiem wymierzania kary tacie - stało się to, zanim przyszła na świat - ale często ją sobie wyobrażała i nie mogła uwolnić się od lęku, że ją spotka to samo. Oczami wyobraźni widziała, jak ostrze topora spada na nadgarstek, przecina skórę i kości i nieodwracalnie oddziela dłoń od przedramienia. A ona mogłaby tylko zaciskać zęby, żeby nie krzyknąć wniebogłosy.

Ludzie wstawali, przeciągali się, ziewali i przecierali twarze. Gwenda wyprostowała się i poprawiła ubranie. Wszystkie rzeczy nosił przed nią starszy brat.

Miała na sobie wełnianą koszulę sięgającą do kolan oraz kaftan przewiązany w talii paskiem z konopi. Jej trzewiki można było kiedyś wiązać, lecz dziurki się popruły i sznurowadła wyleciały, więc Gwenda przywiązywała je do stóp splecionymi wiązkami trawy. Schowała włosy pod czapkę z wiewiórczych ogonków i w ten sposób zakończyła dzieło ubierania.

Ojciec otworzył oczy i dyskretnie wskazał wzrokiem rodzinę po przeciwnej stronie izby. Byli to ludzie w średnim wieku z dwoma synami niewiele starszymi od Gwendy. Mężczyzna był niski, drobny i miał kędzierzawą rudą brodę. Przypinał sobie do pasa miecz, co oznaczało, że jest wojownikiem albo rycerzem. Prostym ludziom nie wolno było nosić broni. Jego żona była chuda, miała żwawe ruchy i chmurną minę. Brat Godwyn skinął im z szacunkiem głową.

- Dzień dobry, sir Geraldzie i lady Maud.

Gwenda szybko odgadła, co zwróciło uwagę ojca. U pasa sir Geralda, na skórzanym rzemyku, dyndała pękata sakiewka. Mogła zawierać kilkaset srebrnych pensówek, półpensówek i ćwierćpensówek. Ojciec musiałby pracować przez cały rok, żeby zarobić tyle pieniędzy. Rzecz jasna pod warunkiem, że miałyby robotę. Wystarczyłoby ich aż nadto, by wyżywić całą rodzinę do pory wiosennej orki. W sakiewce mogły się nawet kryć złote monety - floreny bite we Florencji lub weneckie dukaty.

Gwenda chodziła z zawieszonym na szyi małym nożykiem w drewnianym futerale. Ostrze błyskawicznie przetnie rzemyk i gruba sakiewka spadnie w jej drobne dłonie. Chyba że sir Gerald coś poczuje i nakryje ją, zanim Gwenda zdoła tego dokonać...

Godwyn podniósł głos, aby było go słychać w narastającym gwarze.

- Chrystus uczy nas miłości, dlatego przed mszą Wszystkich Świętych zostanie podane śniadanie! - oznajmił. - Z fontanny na dziedzińcu można się napić czystej wody. Pamiętajcie, że na

zewnątrz są latryny, nie sikajcie w szpitalu!

Mnisi i zakonnice bardzo dbali o czystość. Wieczorem Godwyn przyłapał sześciolatniego malca na siusianiu w kącie i usunął z izby całą rodzinę. Jeśli nie mieli pensa na gospodę, musieli spędzić zimną październikową noc na kamiennej posadzce północnego przedsionka katedry. Obowiązywał także zakaz wprowadzania zwierząt. Trzynogi pies Gwendy, Hop, nie został wpuszczony do środka. Nie wiedziała, gdzie spędził noc.

Zapaliwszy wszystkie lampy, Godwyn otworzył wysokie drewniane drzwi. Gwenda poczuła chłodne nocne powietrze na uszach i czubku nosa. Przybysze opatulili się pelerynami i ruszyli w stronę wyjścia. Gdy sir Gerald z rodziną skierował się ku drzwiom, tata i mama Gwendy podążyli za nimi, Gwenda i Philemon także.

Dotychczas to Philemon zajmował się kradzieżą ale wczoraj omal nie przyłapano go na rynku w Kingsbridge. Zwędził dzbanek drogiej oliwy ze straganu włoskiego kupca, a potem go upuścił i wszyscy to zobaczyli. Na szczęście dzbanek się nie rozbił. Philemon musiał udać, że strącił go niechcący.

Jeszcze do niedawna Philemon był drobny i niepozorny tak jak Gwenda, lecz w ciągu ostatniego roku urósł o kilka cali i stracił dawną zręczność, jak gdyby nie zdołał przywyknąć do nowego, większego ciała. Na dodatek jego głos nabrał głębszego tonu. Wczoraj wieczorem tata stwierdził, że Philemon jest już za duży, by dokonywać poważnych kradzieży, toteż obowiązek ten przeszedł na Gwendę.

Właśnie dlatego dziewczynka tak długo nie mogła w nocy zasnąć.

Philemon naprawdę miał na imię Holger. W wieku dziesięciu lat postanowił zostać mnichem i opowiadał wszystkim, że zmienia imię na Philemon, gdyż brzmi ono znacznie bardziej religijnie. O dziwo, większość ludzi zastosowała się do jego życzenia, jednak mama i tata wciąż wołali na niego Holger.

Przed wejściem stały dwa szpalery drżących z zimna zakonnice, które pochodniami oświetlały drogę ze szpitala do wielkich zachodnich wrót katedry.

Na skraju oświetlonej przestrzeni cienie skakały niczym chochliki i gnomy dokazujące w ciemności, jak gdyby tylko świątobliwość zakonnice trzymała je z dala od ludzi.

Gwenda spodziewała się ujrzeć Hopa, ale nigdzie go nie było. Może znalazł sobie ciepłe miejsce do spania? Tata pilnował, żeby nie zostali za bardzo w tyle za sir Geraldem. Ktoś boleśnie pociągnął Gwendę za włosy. Pisnęła, myśląc, że to jakiś złośliwy stwór, lecz odwróciwszy się, zobaczyła Wulfrica, sześciolatniego sąsiada. Chłopiec odskoczył, nie pozwalając się Gwendzie złapać. Jego ojciec krzyknął: „Zachowuj się!” i dzielił go w głowę. Malec wybuchnął płaczem.

Olbrzymia świątynia piętrzyła się nad stłoczonymi ludźmi niczym bezkształtna masa kamienia. Widać było wyraźnie tylko dolne części, łuki i słupy okienne, pomarańczowe i czerwone w niepewnym blasku pochodni. Pochód zwolnił, zbliżając się do wejścia do katedry. Z naprzeciwka nadchodzili mieszczanie. Były ich setki, może nawet więcej niż tysiąc. Gwenda nie wiedziała dokładnie, ile to jest tysięcy, bo nie umiała do tyłu zliczyć.

Tłum sunął z wolna przez westybul. Niespokojne światło pochodni padało na rzeźby rozmieszczone przy ścianach, wprawiając je w dziki płas. Na samym dole panoszyły się demony i potwory. Gwenda spoglądała z niepokojem na smoki i gryfony, na niedźwiedzia z ludzką głową i psa o dwóch tułowiach, lecz z jednym nosem. Niektóre stwory pastwiły się nad ludźmi: diabeł wsuwał pętlę na szyję mężczyzny, podobny do lisa potwór włókł kobietę za włosy, orzeł z ludzkimi rękami przebijał włócznią nagiego mężczyznę. Nad tymi scenkami stali święci pod baldachimami, a jeszcze wyżej na tronach zasiadali apostołowie. Pod łukiem nad głównym wejściem miejsce zajmował święty Piotr z kluczem i święty Paweł ze zwojem papirusu. Obaj wznosili głowy, spoglądając z uwielbieniem na Jezusa.

Gwenda wiedziała, że Pan Jezus nakazuje jej nie grzeszyć, gdyż będą ją za to dręczyć diabły. Ona jednak bardziej bała się ludzi niż diabłów. Jeśli nie zdoła ukraść sakiewki sir Geraldowi, ojciec ją zbije. A co gorsza, rodzina nie będzie miała nic do jedzenia oprócz zupy z żołądzi. Ona i Philemon będą chodzili głodni przez długie tygodnie. W piersiach mamy zabraknie pokarmu i dziecko umrze tak jak dwoje poprzednich. Tata będzie znikał na całe dni, a potem wracał z chudym żurawiem albo kilkoma wiewiórkami. Głód jest gorszy od chłosty, bo trwa dłużej.

Bardzo wczesnie nauczyła się kraść: a to jabłko ze straganu, a to jajko zniesione przez kurę sąsiada, a to nóż upuszczony przez pijaka w gospodzie. Ale kradzież pieniędzy to co innego. Jeśli zostanie przyłapana, na nic zdadzą się łzy. Nikt nie potraktuje jej jak niegrzecznego dziecka, tak jak kiedyś, gdy zwędziła skórzane trzewiki zakonnicy o miękkim sercu. Ukradzenie rycerzowi mieszka z pieniędzmi to nie dziecięcy psikus, tylko prawdziwe przestępstwo, które zostanie potraktowane z całą surowością.

Gwenda starała się o tym nie myśleć. Jest drobna i zręczna, zdejmie sakiewkę niepostrzeżenie jak duch. Jeśli uda jej się opanować drzenie.

Przestronne wnętrze katedry zaroilo się od wiernych. Zakapturzeni mnisi stali w bocznych nawach, trzymając w dłoniach pochodnie rzucające migotliwe światło. Kolumny głównej nawy nikły w półmroku. Gwenda trzymała się blisko sir Geralda. Rudowłosy rycerz i jego żona nie zauważyli jej. Ich synowie także nie zwracali na nią uwagi. Rodzina Gwendy została z tyłu.

Nawa szybko się zappełniała. Gwenda nigdy nie widziała tylu ludzi zgromadzonych w jednym

miejscu - było ich więcej niż na trawniku przed katedrą w dzień targowy. Wierni pozdrawiali się radośnie, czując, że w tym świętym miejscu złe duchy im nie zagrażają. Gwar głosów zamieniał się w głośny szum.

Nagle rozległo się bicie dzwonu i zapadła cisza.

Sir Gerald stanął obok rodziny mieszczan. Wszyscy mieli na sobie drogie okrycia z pięknej tkaniny, byli więc pewnie bogatymi handlarzami wełny. Obok rycerza stała dziewczynka w wieku około dziesięciu lat. Gwenda stanęła za nimi. Starła się nie rzucać w oczy, lecz ku jej przerażeniu dziewczynka uśmiechnęła się do niej, jakby chciała dodać jej otuchy.

Mnisi zgasili pochodnie i we wnętrzu katedry zapadła ciemność.

Gwenda nie wiedziała, czy dziewczynka ją zapamięta. Większość ludzi spoglądało na nią i ją ignorowało. Nieznajoma dziewczynka zwróciła na nią uwagę, wyczuła jej lęk i uśmiechnęła się przyjaźnie. Ale w katedrze znajdowały się setki dzieci. Przecież to niemożliwe, żeby w mrocznym wnętrzu zdołała dokładnie przyjrzeć się jej twarzy... Gwenda starała się nie myśleć o tym zagrożeniu.

Niewidzialna w ciemności, wsunęła się bezszelestnie między dwie postaci. Z jednej strony czuła miękką wełnę płaszcza nieznajomej dziewczynki, z drugiej sztywną tkaninę peleryny rycerza. Teraz mogła sięgnąć po sakiewkę.

Nagle ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk. Gwenda spodziewała się go - mama uprzedziła ją, czego należy oczekiwać w czasie mszy - lecz mimo to ogarnął ją lęk. Wrzask zabrzmiał jak jęk torturowanego człowieka.

Potem dał się słyszeć dudniący dźwięk, jak gdyby ktoś walił w metalową miskę. Nastąpiły kolejne: zawodzenie, obłąkańczy śmiech, róg myśliwski, grzechotka, odgłosy zwierząt i pękniętego dzwonu. Jakies dziecko w tłumie wiernych wybuchło płaczem, później inne. Ktoś z dorosłych zaśmiał się nerwowo. Wszyscy wiedzieli, że te dziwaczne odgłosy wydają mnisi, lecz mimo to robiły one wrażenie piekielnej kakofonii.

Gwenda pomyślała z lękiem, że to nie jest odpowiedni moment na kradzież sakiewki. Wszyscy byli czujni i śpiący. Rycerz poczuje jej dotknięcie.

Diabelski harmider narastał, lecz dołączył do niego inny dźwięk: śpiew. Początkowo był tak cichy, że Gwenda nie miała pewności, czy naprawdę go słyszy, ale śpiew przybierał na sile. To śpiewały zakonnice. Ciało Gwendy napięło się. Nadchodziła decydująca chwila. Poruszając się niczym duch, lekko jak powietrze odwróciła się przodem do sir Geralda.

Doskonale pamiętała, co rycerz ma na sobie - ciężki wełniany płaszcz przewiązany w talii szerokim, nabijanym ćwiekami pasem. Sakiewka była przytroczona do pasa skórzanym rzemieniem. Płaszcz okrywała haftowana peleryna, droga, lecz wytarta, z pożółkłymi guzikami z kości na przodzie.

Część guzików była zapięta, ale nie wszystkie. Rycerz pewnie był zaspany albo przejście ze szpitala do katedry trwało tak krótko, że nie musiał się dokładnie zapinać.

Gwenda leciutko przyłożyła dłoń do płaszcza. Wyobraziła sobie, że jej ręka jest pajakiem, który prawie nic nie waży. Pająk przesunął się po tkaninie i natrafił na jej krawędź, a dalej, tuż obok ciężkiego pasa, na sakiewkę.

Jazgot diabelskich odgłosów zamierał, a śpiew narastał. Z szeregów wiernych dobiegł szmer podziwu. Gwenda niczego nie mogła dostrzec, ale wiedziała, że na ołtarzu zapalono lampę oświetlającą relikwiarz - misternie rzeźbioną skrzynię z kośćmi świętego Adolfa, której w tym miejscu nie było, gdy gasły pochodnie. Tłum drgnął, bo wierni chcieli znaleźć się jak najbliżej świętych szczątków. Gwenda stała wciśnięta pomiędzy sir Geralda i mężczyznę stojącego przed nim. Uniosła prawą dłoń i przyłożyła ostrze noża do rzemyka.

Skóra była mocna, nie udało się przeciąć jej za pierwszym razem. Gwenda poruszała gorączkowo nożem z rozpaczliwą nadzieją, że sir Gerald jest pochłonięty sceną rozgrywającą się na ołtarzu i nie widzi, co się dzieje pod jego nosem. Uniosła głowę i ujrzała kontury postaci. Mnisi i zakonnice zapalali świece. Za chwilę zrobi się jasno. Gwenda nie miała chwili do stracenia.

Szarpnęła nożem z całej siły i rzemień puścił. Sir Gerald jęknął cicho - poczuł coś, czy zareagował na to, co widział na ołtarzu? Sakiewka opadła i wylądowała w dłoni Gwendy, ale okazała się za ciężka i wysunęła się jej z ręki. Gwenda przeraziła się, że spadnie na posadzkę pod szurające nogi wiernych. Na szczęście zdołała ją złapać i utrzymać.

Poczuła radosną ulgę - zdobyła sakiewkę.

Wciąż jednak groziło jej straszliwe niebezpieczeństwo. Jej serce biło tak mocno, iż miała wrażenie, że wszyscy muszą ją słyszeć. Błyskawicznie odwróciła się tyłem do rycerza, jednocześnie wrzucając ciężką sakiewkę za kaftan. Mieszek sterczał jej z przodu niczym krągły brzuch grubasa. Gwenda przesunęła go na bok, pod ramię. Kiedy rozbłysną światła, wyrzucenie będzie widoczne, ale nie miała gdzie ukryć zdobyczy.

Wsunęła nóż do futerału. Teraz musi szybko zniknąć, zanim sir Gerald zauważy stratę. Jednak napór wiernych, który pomógł Gwendzie niepostrzeżenie skraść sakiewkę, teraz utrudniał jej odwrót. Chciała zrobić krok do tyłu, mając nadzieję, że się przecisnie, lecz wszyscy parli do przodu, żeby zobaczyć kości świętego. Gwenda znalazła się w pułapce. Nie mogła się ruszyć, a stała tuż przed mężczyzną, którego okradła.

- Nic ci nie jest? - usłyszała tuż obok swego ucha.

Był to głos bogatej nieznanym dziewczynki. Gwenda zmagiała się ze strachem. Chciała być niewidzialna, życliwość innego dziecka była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała. Zaciśnęła usta.

- Uważajcie - rzekła tamta. - Ściskacie tę dziewczynkę.

Gwenda omal nie krzyknęła. Życzliwość małej bogaczki mogła kosztować Gwendę utratę ręki.

Położyła dłonie na plecach mężczyzny stojącego przed nią i odepchnęła się do tyłu. Osiągnęła tyle, że zwróciła na siebie uwagę sir Geralda.

- Pewnie nic nie widzisz, co? - rzekła wyrozumiale ofiara Gwendy i ku jej przerażeniu złapała ją pod rękę i uniosła.

Gwenda nie mogła nic zrobić. Duża dłoń rycerza spoczęła o cal od sakiewki. Patrzyła przed siebie, więc sir Gerald widział tylko tył jej głowy. Mnisi i zakonnice na ołtarzu zapalali coraz więcej świec i śpiewali pieśni dawno zmarłemu świętemu. W dużym rozetowym oknie nad ołtarzem we wschodniej ścianie budowli zamajaczyło słabe światło. Nadchodził świt, odpędzając złe duchy. Diabelski jazgot ucichł, śpiew rozbrzmiał głośniejsz. Na ołtarz wszedł wysoki przystojny mnich. Gwenda rozpoznała Anthony'ego, opata Kingsbridge. Uniósł ręce w geście błogosławieństwa i donośnym głosem oznajmił:

- I tak oto dzięki łasce Pana naszego, Jezusa Chrystusa, moce zła i ciemności ustępują przed harmonią i światłem Kościoła Bożego.

Wierni wznieśli okrzyk radości, zapanował swobodniejszy nastrój. Najważniejszy moment ceremonii minął. Gwenda poruszyła się, sir Gerald zrozumiał jej gest i postawił ją na ziemi. Odwracając tjarz w drugą stronę, przepchnęła się obok niego. Wierni nie spoglądali już tak gorączkowo w kierunku ołtarza, mogła więc przesuwac się między nimi. Im bardziej się oddalała, tym było łatwiej. Wreszcie dotarła do zachodnich drzwi i zobaczyła rodzinę.

Tata spoglądał na nią wyczekująco, gotów okazać gniew, w razie gdyby nie wykonała zadania. Gwenda wyciągnęła sakiewkę zza koszuli i rzuciła mu, rada, że może się jej pozbyć. Złapał mieszek i zerknął dyskretnie do środka, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem. W tej samej chwili oddał go żonie, a ta błyskawicznie wsunęła zdobycz między fałdy kocyka, którym owinięte było dziecko.

Gwenda najgorsze miała już za sobą, lecz wciąż groziło jej niebezpieczeństwo.

- Jakaś bogata dziewczynka mnie zauważyła - powiedziała ze strachem. W małych ciemnych oczach taty błysnął gniew.

- Zobaczyła, co robisz?

- Nie, ale ostrzegła ludzi, że zaraz mnie zgniotą. Wtedy rycerz podniósł mnie, żebym mogła lepiej widzieć.

Mama cicho jęknęła.

- A więc widział twoją twarz - stwierdził tata.

- Staralam się patrzeć w drugą stronę.

- Lepiej, żeby cię nie zobaczył - rzekł tata. - Nie pójdziemy do szpitala, zjemy śniadanie w gospodzie.

- Nie możemy się ukrywać przez cały dzień - zauważyła mama.

- Ale możemy wmieszać się w tłum.

Gwenda poczuła się rażniej. Tata uważał, że nie grozi jej niebezpieczeństwo. Jednak najważniejsze było to, że teraz on przejął odpowiedzialność.

- Poza tym wolę chleb i mięso, zamiast wodnistej kaszy u mnichów - dodał. - Teraz mnie stać!

Rodzina wyszła z kościoła. Niebo zrobiło się perlistoszare. Gwenda chciała wziąć mamę za rękę, ale dziecko się rozplakało i musiała się nim zająć. Nagle zobaczyła małego trzynogiego psa z czarnym pyskiem, który charakterystycznym truchtem biegł w stronę katedry.

- Hop! - krzyknęła, podniosła pieska i uściskała go.

2

Merthin miał jedenaście lat i był o rok starszy od Ralpa, swojego brata, lecz ten był wyższy i silniejszy, co bardzo Merthina złościło.

Stanowiło to źródło trosk dla ich rodziców. Ojciec chłopców, sir Gerald, był rycerzem i nie potrafił ukryć rozczarowania, gdy okazało się, że Merthin nie jest w stanie dźwignąć ciężkiej lancy, męczy się szybko przy rąbaniu drewna lub wraca do domu z płaczem po przegranej bójce. Matka, lady Maud, tylko pogarszała sprawę, wprawiając go w zakłopotanie swoją opiekuńczością, podczas gdy on wolałby, żeby udawała, iż niczego nie zauważyła. Kiedy ojciec opowiadał z dumą o krzepie Ralpa, matka starała się zrekompensować to starszemu synowi, krytykując tępotę młodszego. Ralph rzeczywiście wolno myślał, lecz nie była to jego wina, a wypominanie mu tej słabości denerwowało go i przez to wdawał się w bójki z innymi chłopcami.

Rodzice w dniu Wszystkich Świętych byli rozdrażnieni. Ojciec nie chciał przyjeżdżać do Kingsbridge, ale został do tego zmuszony. Był winien pieniądze opactwu, lecz nie mógł spłacić długu. Matka stwierdziła, że mogą mu zabrać ziemię, sir Gerald był bowiem właścicielem trzech wiosek w okolicy Kingsbridge. Przypomniał jej, że pochodzi w prostej linii od Thomasa, który został hrabią Shiring w tym samym roku, w którym arcybiskup Becket zginął z rozkazu króla Henryka II. Hrabia Thomas był synem Jacka Buildera[* Builder (ang.) - budowniczy.], architekta, który zaprojektował katedrę w Kingsbridge, oraz lady Alieny z Shiring. Tych dwoje stanowiło niemal mityczną parę, o której w długie zimowe wieczory snuto opowieści na przemian z legendami o królu Karolu Wielkim i Rolandzie. „Komuś, kto ma takich przodków, nie można odebrać majątku!”, krzyczał sir Gerald. A już

na pewno nie może tego uczynić ta stara baba, przeor Anthony. Lady Maud odwróciła się z wyrazem rezygnacji na twarzy, lecz Merthin usłyszał, co wymamrotała pod nosem: „Lady Aliena miała brata Richarda, który nie nadawał się do niczego oprócz robienia mieczem”.

Przeor Anthony może i zasługiwał na miano starej baby, lecz okazał się wystarczająco silnym mężczyzną, by poskarżyć się, że sir Gerald nie spłaca długów. Udał się do suwerena Geralda, obecnego hrabiego Shiring, który był również jego dalekim kuzynem. Hrabia Roland wezwał Geralda do Kingsbridge, by ten spotkał się z przeorem i zaproponował, jak rozwiązać tę kwestię. Właśnie to wprawiło w zły humor ojca Merthina.

A potem sir Geralda okradziono.

Zauważył stratę po mszy. Merthin z przyjemnością obserwował dramatyczne przedstawienie w katedrze. Najpierw była ciemność i dziwne odgłosy, a później rozległ się śpiew, zrazu cicho, potem coraz głośniej, by wreszcie wypełnić ogromne wnętrze kościoła. Blask świec z wolna oświetlił świątynię i tłum wiernych. Merthin zauważył wtedy, że niektórzy pod osłoną ciemności popełniają drobne grzechy, które za chwilę miały im zostać odpuszczone: dwóch mnichów się całowało, a jakiś kupiec odsunął rękę od pulchnej piersi uśmiechniętej kobiety, która była żoną innego mężczyzny. Po powrocie do szpitala Merthin wciąż był podekscytowany.

Gdy czekali, aż zakonnice podadzą śniadanie, z kuchni wyszedł młody służący. Ruszył schodami na górę, niosąc tacę z dużym dzbanem piwa i paterą, na której leżały płyty gorącej solonej wołowiny.

- Twój kuzyn hrabia mógłby zaprosić nas na śniadanie do swojej prywatnej kwatery - rzuciła gderliwie matka. - Wszak twoja babka była siostrą jego dziadka.

- Jeśli nie masz ochoty na kaszę, możemy iść do gospody - odparł ojciec. Merthin nastawił uszu. Lubił świeży chleb i solone masło, które podawano w gospodzie.

- Nie stać nas - stwierdziła matka.

- A i owszem - odparł ojciec, szukając sakiewki. Właśnie wtedy uświadomił sobie, że znikła.

Rozejrzał się po klepisku, jak gdyby sądził, że spadła na ziemię. Potem zauważył przecięte końce rzemyka i wydał gniewny ryk. Wszyscy spojrzeli na niego z wyjątkiem matki, która odwróciła głowę.

- To były wszystkie nasze pieniądze - mruknęła pod nosem.

Ojciec powiódł oskarżycielskim wzrokiem po ludziach zgromadzonych w szpitalu. Długa blizna biegnąca od jego prawej skroni do lewego ucha pociemniała. W wielkiej izbie zapadła pełna napięcia cisza: rozgniewany rycerz był niebezpieczny, nawet taki, którego najwyraźniej prześladował

pech.

- Ktoś okradł cię w kościele, to pewne - orzekła lady Maud. Merthin przyznał jej w duchu rację. Stłoczeni w ciemności ludzie kradli nie tylko pocałunki.

- Ależ to świętokradztwo! - oburzył się.

- Pewnie wykorzystał moment, w którym podniosłeś tę dziewczynkę - dodała matka. Miała minę, jakby zjadła coś gorzkiego. - Wsunął rękę od tyłu i przeciął rzemień.

- Trzeba go znaleźć! - ryknął ojciec.

- Bardzo mi przykro, że coś takiego się zdarzyło, sir Geraldzie - rzekł młody mnich Godwyn.

- Natychmiast zawiadomię Johna Constable'a [* Constable (ang.) - porządkowy, policjant.]. Może rzuci mu się w oczy jakiś biedny mieszczanin, który nagle się wzbogacił.

Merthin pomyślał, że takie działanie nie rokuje powodzenia. Do Kingsbridge ściągnęły tysiące mieszczan i innych gości. Porządkowy nie jest w stanie obserwować wszystkich.

Jednak ojciec wydawał się uspokojony.

- Ten łotr powinien zawisnąć na szubienicy! - warknął, zniżając nieco głos.

- Czy zechcesz, panie, uczynić nam ten zaszczyt i zasiąść z nami do stołu przed ołtarzem? - zaproponował Godwyn, okazując współczucie.

Ojciec coś mruknął. Merthin wiedział, że ucieszył się z zaproszenia. Znaczyło ono, że jest traktowany lepiej od motłochu, który będzie jadł na tym samym klepisku, na którym spędził noc.

Moment zagrożenia wybuchem gniewu minął i Merthin nieco się odprężył. Ale kiedy zasiedli we czwórkę przy stole, z niepokojem zaczął myśleć o tym, co stanie się z rodziną. Ojciec był dzielnym wojownikiem, wszyscy tak mówili. Walczył za starego króla w Boroughbridge. To właśnie w tamtej bitwie miecz buntownika z Lancashire zostawił szramę na jego czole. Nie miał jednak szczęścia: niektórzy rycerze wracali z pól bitewnych z łupami. Przywozili klejnoty, wozy pełne drogocennych flamandzkich tkanin i włoskich jedwabów, lub przyprowadzali ojca szlachetnej rodziny, którego można było wymienić za tysiące funtów. Sir

Geraldowi nigdy nie trafił się cenny łup. Mimo to musiał kupować oręż, zbroje i drogie wojenne wierzchowce, dzięki którym mógł spełniać swoją powinność i służyć królowi. Z jakiegoś powodu dochody z ziemi nigdy nie wystarczały, dlatego wbrew woli matki ojciec zaczął się zapożyczać.

Kucharczykowie wnieśli dymiący kociołek. Najpierw obsłużono rodzinę sir Geralda. Kasza przyprawiona została rozmarynem i solą. Ralph, który nie rozumiał, w jak trudnym położeniu znalazła się rodzina, zaczął opowiadać o mszy, lecz posępna cisza skłoniła go do zamknięcia ust.

Po posiłku Merthin podszedł do ołtarza, za którym schował łuk i strzały. Każdy by się zawahał, zanim ukradłby coś z takiego miejsca. Złodziej zdołałby przezwyciężyć lęk, gdyby nagroda

była wystarczająco cenna, lecz łuk domowej roboty takiej nie stanowił. I rzeczywiście leżał tam, gdzie chłopiec go zostawił.

Merthin był z niego dumny. Łuk był mały, rzecz jasna. Naciągnięcie dużego, sześciostopowego łuku wymagało siły dorosłego mężczyzny. Łuk Merthina miał cztery stopy i był cienki, lecz poza tym wyglądał jak normalny angielski łuk, który pozbawił życia niejednego Szkota, walijskiego buntownika czy zakutego w zbroję francuskiego rycerza.

Ojciec do tej pory nie wspominał o łuku, a teraz spojrzał na niego, jakby widział go po raz pierwszy.

- Skąd wzięłeś łączysko? - spytał. - Łączyska są drogie.

- Ale nie to. Jest za krótkie. Dostałem je od łuczniaka. Ojciec skinął głową.

- Poza tym jest bez zarzutu - stwierdził. - Wycięto je z wnętrza cisu, z miejsca, w którym biel spotyka się z twarziela. - Wskazał dwa różne kolory drewna.

- Wiem - rzekł z zapalem Merthin. Nieczęsto miał okazję zaimponować ojcu. - Rozciągliwa biel jest najlepsza na przód, bo wraca do pierwotnego kształtu, a twarziel nadaje się na tylną część łączyska, ciągnie do tyłu, gdy łuk jest zgięty.

- Właśnie tak - potwierdził ojciec, oddając synowi łuk. - Ale pamiętaj, to nie jest broń dla szlachcica. Synowie rycerzy nie zostają łuczniakami. Oddaj to jakiemuś młodemu wieśniakowi.

Merthin był zawiedziony.

- Jeszcze go nawet nie wypróbowałem!

- Niech się bawią. To jeszcze dzieci - wtrąciła się matka.

- Racja - zgodził się ojciec, który stracił już zainteresowanie łukiem syna. - Ciekawe, czy ci mnisi podadzą nam piwo.

- Zmykajcie - powiedziała matka. - Merthinie, opiekuj się bratem.

- Raczej na odwrót - mruknął ojciec.

Merthin poczuł się dotknięty. Ojciec nie wiedział, jak się sprawy mają. Merthin umiał o siebie zadbać, lecz Ralph, pozostawiony sam sobie, wdawał się w bójki. Jednak Merthin orientował się, że kiedy ojciec jest w takim nastroju, lepiej z nim nie zadzierać, wyszedł więc bez słowa. Ralph powłókł się za nim.

Był pogodny listopadowy dzień, wysoko, na niebie wisiały jasnoszare chmury. Chłopcy wyszli za ogrodzenie katedry i ruszyli główną ulicą, mijając ulicę handlarzy ryb, dziedziniec grabarzy i ulicę kucharzy. U stóp wzniesienia przekroczyli drewniany most nad rzeką. Tam kończyła się stara część miasta, a zaczynało przedmieście zwane Nowym Miastem. Szeregi drewnianych domów biegły pomiędzy pastwiskami i ogrodami. Merthin prowadził ku łące zwanej Polem Kochanków.

Porządkowy i jego zastępcy rozstawili tam tarcze łucznicze. Z rozkazu króla po zakończeniu mszy wszyscy mężczyźni odbywali obowiązkowe ćwiczenia w strzelaniu z łuku.

Nie trzeba było nikogo zmuszać: wypuszczenie paru strzał w niedzielny poranek nie stanowiło wielkiego wysiłku. Stu lub nawet więcej młodzików z miasteczka ustawiło się w kolejce. Obserwowały ich kobiety, dzieci oraz ci mężczyźni, którzy uważali się za zbyt starych lub zbyt godnych, by zniżać się do strzelania z łuku. Niektórzy mieli własną broń. Dla tych, którzy byli zbyt biedni, John Constable miał tanie łuki wykonane z jesionu bądź leszczyny.

Było jak w święto. Dick Brewer*[* Brewer (ang.) - piwowar.] sprzedawał piwo w kuflach z beczki umieszczonej na wozie, a cztery nastoletnie córki Berty Baxter przechadzały się wśród gawiedzi z tacami pełnymi aromatycznych bułek. Co bogatsi mieszczanie wystroili się w futrzane czapki i nowe buty; nawet ubogie kobiety starannie uczesały włosy i ozdobiły peleryny nowymi obszyciami.

Merthin był jedynym chłopcem z łukiem, natychmiast zwrócił więc uwagę innych dzieci, które otoczyły jego i Ralpa. Chłopcy wypytывali go z zazdrością, a dziewczynki spoglądały z podziwem lub pogardą, w zależności od usposobienia.

- Skąd wiedziałeś, jak zrobić łuk? - spytała jedna z nich.

Merthin rozpoznał ją, bo stała blisko niego w katedrze. Była od niego mniej więcej o rok młodsza i miała na sobie sukienkę i płaszcz z drogiej, gęsto tkanej wełny. Dziewczęta w jego wieku zwykle męczyły Merthina, gdyż bez przerwy chichotały i niczego nie traktowały poważnie. Ta jednak spoglądała na niego i jego łuk ze szczerym zaciekawieniem.

- Domyśliłem się - odparł.

- Mądry jesteś. Czy z tego łuku można strzelać?

- Nie zdążyłem go jeszcze wypróbować. Jak ci na imię?

- Caris, pochodzę z rodziny Woolerów*[* Wooler (ang.) - wełniarz.]. A ty?

- Mam na imię Merthin. Moim ojcem jest sir Gerald. - Ściągnął z głowy kaptur peleryny i wyjął ze środka zwiniętą w kłębek cięciwę.

- Czemu nosisz sznurek w kapturze?

- Żeby nie zamókł od deszczu. Tak robią prawdziwi łucznicy. - Merthin przywiązał cięciwę do nacięć na obu końcach łączyska, lekko je naginając.

- Będziesz strzelał do tarczy?

- Tak.

- Nie pozwolą ci - wtrącił jeden z chłopców.

Merthin spojrział na niego. Wysoki i chudy, miał około dwunastu lat, duże dłonie i stopy.

Merthin widział go wieczorem w sali szpitala, był z rodziną. Mówili na niego Philemon. Kręcił się koło mnichów, zadając im pytania i pomagając w roznoszeniu kolacji.

- Oczywiście, że mi pozwolą - odparł Merthin. - Czemu mieliby zabronić?

- Bo jesteś za młody.

- To głupie. - W tej samej chwili Merthin zrozumiał, że nie powinien być tak pewny swego. Dorośli często postępowali nierozsądnie, jednak przekonanie Philemona o tym, że wie lepiej, rozżłościło go. Zwłaszcza że rozmowy słuchała Caris.

Odwrócił się i ruszył ku grupie mężczyzn czekających w kolejce do strzału. Rozpoznał jednego z nich, wyjątkowo rosnącego i barczystego młodzieńca nazywanego się Mark Webber. Mark zauważył łuk i przyjaźnie zagadnął Merthina:

- Skąd masz ten łuk?

- Zrobiłem go - odparł z dumą Merthin.

- Spójrz, Elfricu - rzekł Mark do sąsiada - chłopak dobrze się spisał. Elfric był krzepkim mężczyzną o podejrzliwym spojrzeniu. Zerknął przelotnie na łuk.

- Za mały - orzekł z lekceważeniem. - Strzała wystrzelona z takiej broni nigdy nie przebije zbroi francuskiego rycerza.

- Może i nie - zgodził się łagodnym głosem Mark - ale chłopak ma jeszcze rok lub dwa, zanim przyjdzie mu walczyć z Francuzami.

- Wszyscy gotowi, zaczynamy! - zawołał porządkowy John. - Mark Webber będzie strzelał pierwszy.

Olbrzym wyszedł przed szereg. Podniósł z ziemi łuk o grubym łączyisku i bez trudu napiął cięciwę.

Porządkowy dopiero teraz zauważył Merthina.

- Chłopcom nie wolno strzelać - oznajmił.

- Dlaczego? - spytał z żalem Merthin.

- Mniejsza o to, po prostu usuń się.

Merthin usłyszał drwiący śmiech stojących w pobliżu dzieci.

- Z jakiego powodu nie mogę strzelać? - spytał oburzony.

- Nie muszę się tłumaczyć dzieciom - uciął John. - Mark, twoja kolej. Merthin czuł się okropnie. Ten lizus Philemon w obecności wszystkich pokazał, że ma rację.

- Mówiłem ci - rzucił Philemon.

- Zamknij się i odejdz.

- Nie możesz mnie do tego zmusić - odparł Philemon, który był o sześć cali wyższy od

Merthina.

- Ale ja mogę - wtrącił się Ralph.

Merthin westchnął. Na lojalność Ralph'a zawrze można było liczyć, lecz gdyby teraz zaczął się za niego bić, Merthin wyszedłby nie tylko na głupca, ale także na tchórza.

- I tak sobie idę - mruknął Philemon. - Będę pomagał bratu Godwy-nowi. - Z tymi słowami się oddalił.

Pozostałe dzieci też zaczęły się rozchodzić w poszukiwaniu innych atrakcji.

- Możesz wypróbować łuk w innym miejscu - zaproponowała Caris. Najwyraźniej była ciekawa rozwoju wypadków.

Merthin się rozejrzył.

- Ale gdzie? - Gdyby ktoś zobaczył, że strzela bez nadzoru dorosłych, odebrano by mu łuk.

- Moglibyśmy pójść do lasu.

Merthin był zaskoczony. Dzieciom zabraniano wchodzić do lasu. Chronili się tam banicy; mężczyźni i kobiety żyjący z grabieży, którzy mogli zedrzeć z ofiary ubranie albo uczynić z niej niewolnika. Groziły im jeszcze gorsze niebezpieczeństwa, o których dorośli zaledwie napomykali. A nawet gdyby zdołali ich uniknąć, musieli się liczyć z tym, że ojciec zbije ich za złamanie zakazu.

Jednak Caris nie zdradzała strachu, a Merthin nie chciał się okazać mniej odważny od niej. Poza tym zachowanie porządkowego wprowadziło go w buntowniczy nastrój.

- Dobrze - zgodził się. - Ale musimy uważać, żeby nikt nas nie zobaczył. Caris wiedziała, jak temu zaradzić.

- Znam drogę.

Ruszyła w stronę rzeki. Merthin i Ralph podążyli za nią. Za nimi włókł się mały trzynogi pies.

- Jak się wabi twój piesek? - zapytał Merthin.

- To nie mój. Dałam mu kawałek spleśniałego bekonu i teraz nie chce się ode mnie odczepić.

Maszerowali wzdłuż błotnistego brzegu rzeki, obok składów, nabrzeży i barek. Merthin dyskretnie przyglądał się dziewczynce, która w tak naturalny sposób przejęła rolę przywódcy. Z jej twarzy, która nie była ani ładna, ani brzydka, bił wyraz determinacji, a w zielonych, nakrapianych brązowymi plamkami oczach czaiła się psota. Jasnobrązowe włosy miała splecione w dwa warkoczki - taka moda panowała wśród zamożnych kobiet. Jej ubranie musiało być drogie, lecz Caris nosiła praktyczne skórzane buty, a nie eleganckie trzewiki z tkaniny, w które stroiły się szlachetnie urodzone damy.

Odbiła od rzeki i poprowadziła ich przez skład drewna. Nagle cała trójka znalazła się w

pełnym zarośli lesie. Merthin poczuł się niepewnie. Za każdym drzewem mógł kryć się banita, więc chłopiec zaczął żałować swojej brawury. Wstydził się jednak wycofać.

Szli dalej, rozglądając się za polaną, na której Merthin mógłby wypróbować swój łuk.

- Widzicie ten duży krzak ostrokrzewu? - spytała konspiracyjnie Caris.

- Tak.

- Gdy tylko go minimy, przykucnijcie i nic nie mówcie.

- Dlaczego?

- Sami zobaczycie.

Po chwili cała trójka przycupnęła za krzakiem. Trzynogi piesek usiadł obok, spoglądając z nadzieją na Caris. Ralph chciał o coś zapytać, lecz Caris uciszyła go gestem.

Nagle obok krzaka ukazała się dziewczynka. Caris wyskoczyła i złapała ją. Tamta krzyknęła.

- Cicho! - rozkazała Caris. - Droga jest niedaleko, nie chcemy, żeby ktoś nas usłyszał. Czemu za nami idziesz?

- Masz mojego psa. On nie chce do mnie wrócić! - zaszlochała tamta.

- Ja cię znam, widziałam cię rano w kościele - powiedziała cicho Caris. - Nie płacz, nic ci nie zrobimy. Jak masz na imię?

- Gwenda.

- A jak się wabi pies?

- Hop.

Gwenda podniosła pieska, który zlizął jej z twarzy łzy.

- No, to go masz. Chodź lepiej z nami, bo znów ci ucieknie. Poza tym nie wiem, czy sama znajdziesz drogę do miasta.

Poszli.

- Co ma osiem rąk i jedenaście nóg? - spytał Merthin.

- Poddaję się - odezwał się bez wahania Ralph. Zawsze tak robił.

- Ja wiem! - powiedziała z uśmiechem Caris. - To my. Czwooro dzieci i pies. - Roześmiała się.
- Zabawne.

Merthin się ucieszył. Inni rzadko doceniali jego żarty, a dziewczęta prawie nigdy.

- Dwie ręce i dwie ręce, i dwie ręce, i jeszcze dwie, to osiem rąk - tłumaczyła Gwenda Ralphowi. - Dwie nogi...

W okolicy nikogo nie było, co bardzo dzieciom odpowiadało. Nieliczne osoby, które miały coś do zrobienia w lesie - drwale, węglarze drzewni, kowale - nie pracowali w niedzielę, a arystokraci nie wybierali się w święta na polowanie. Gdyby dzieci kogoś spotkały, najprawdopodobniej byłby to

banita. Jednak szanse na to były nikłe. Las rozciągał się na wiele mil we wszystkie strony. Merthin nigdy nie zawędrował tak daleko, by zobaczyć jego koniec.

Dotarli do sporej przesieki.

- W sam raz - uznał Merthin.

Na przeciwnym krańcu polany, jakieś pięćdziesiąt stóp od dzieci, rósł dąb o grubym pniu. Merthin ustawił się bokiem do celu, tak jak czynili łucznicy, których widywał podczas ćwiczeń. Wyjął jedną z trzech strzał i przyłożył koniec do cięciwy. Strzały były równie trudne do zrobienia jak łuk. Wykonał je z drewna jesionowego i zaopatrzył w lotki z gęsich piór. Nie udało mu się zdobyć żelaza na groty, naostrzył więc tylko końcówki i przypalił nad ogniem, żeby stwardniały. Wymierzył w dąb i naciągnął cięciwę, co wymagało dużego wysiłku. Po chwili wypuścił strzałę.

Spadła na ziemię w sporej odległości od celu. Hop popędził na trzech nogach, żeby ją przynieść.

Merthin zdziwił się, że strzała nie poszybowała dalej i nie wbiła się w pień. Uświadomił sobie, że za słabo naciągnął cięciwę.

Przełożył łuk do prawej ręki, a strzałę wziął do lewej. Nie był ani leworęczny, ani praworęczny, co stanowiło pewną osobliwość. Przed drugim strzałem naciągnął cięciwę z całej siły i zdołał mocniej zgąć łączysko. Tym razem strzała prawie doleciała do drzewa.

Za trzecim razem wymierzył nieco wyżej, licząc na to, że strzała poszybując łukiem i spadnie na cel z góry. Jednak wziął za dużą poprawkę i strzała znikła między gałęziami, a potem spadła na ziemię w tumanie brązowych liści.

Merthin był zawstydzony. Strzelanie z łuku okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Łuk sprawował się dobrze, ale strzelcowi zabrakło zręczności.

Caris znów nie zauważyła jego rozterek.

- Pozwól mi spróbować - poprosiła.

- Dziewczynom nie wolno strzelać - stwierdził Ralph, wrywając broń z rąk brata. Stanąwszy bokiem do tarczy, tak jak Merthin, nie strzelił natychmiast, tylko napiął łuk kilka razy, aby go wyczuć. Wydał mu się twardszy, niż sądził, lecz po kilku próbach go opanował.

Hop przyniósł wszystkie trzy strzały i położył u stóp Gwendy, a dziewczynka zebrała je i podała Ralphowi.

Chłopiec wymierzył w pień drzewa, nie naciągając łuku. Merthin uprzytomnił sobie, że właśnie tak powinien był postąpić. Dlaczego Ralphowi, który nie potrafi odgadnąć żadnej zagadki, to wszystko przychodzi tak naturalnie? Ralph naciągnął łuk, z pewnym wysiłkiem, lecz płynnie. Wypuścił strzałę, która trafiła w pień i wbiła się na cal w miękką korę. Chłopiec zaśmiał się

triumfalnie.

Hop rzucił się w ślad za strzałą. Dotarłszy do dębu, zatrzymał się, zdezorientowany.

Ralph znów naciągnął łuk. Merthin odgadł, co zamierza zrobić.

- Nie...

Ale było już za późno. Ralph strzelił do psa. Strzała wbiła się w jego grzbiet. Zwierzę padło, jego ciałem wstrząsały drgawki. Gwenda krzyknęła.

- O nie! - zawtórowała jej Caris. Dziewczynki pobiegły do psa.

- Co ty na to? - spytał z dumą Ralph.

- Zastrzelełeś jej psa! - rzekł gniewnie Merthin.

- No i co z tego? Miał tylko trzy nogi.

- Ta dziewczynka go lubiła, idioto. Spójrz, jak płacze.

- Zazdrościsz, bo nie umiesz strzelać - odparł Ralph. W tej samej chwili coś zauważył.

Płynnym ruchem nałożył strzałę, obrócił się i wystrzelił, gdy łuk wciąż był w ruchu. Merthin nie wiedział, do czego brat strzela, dopóki strzała nie trafiła w cel. Tłusty zając skoczył wysoko, ze strzałą tkwiącą głęboko w tylnej części tułowia.

Merthin nie potrafił ukryć podziwu. Nie każdy łucznik, nawet wprawny, trafiłby biegnącego zająca. Ralph miał wrodzony talent. Merthin mu zazdrościł, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Marzył o tym, by zostać rycerzem, silnym i odważnym, i walczyć za króla tak jak ojciec. Bardzo go więc bolało, gdy okazywało się, że jest w czymś nieudolny, na przykład w strzelaniu z łuku.

Ralph znalazł kamień i rozbił zającowi czaszkę, kończąc jego mękę.

Merthin przyklęknął obok dziewcząt i Hopa. Pies nie oddychał. Caris delikatnie wyciągnęła strzałę z jego szyi i podała Merthinowi. Z rany nie trysnęła krew: zwierzę było martwe.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W ciszy usłyszeli krzyk mężczyzny.

Merthin z bijącym sercem zerwał się na równe nogi. Usłyszał drugi okrzyk, w lesie czaiło się zatem więcej ludzi. Oba głosy były gniewne. Toczyła się jakaś walka. Merthina ogarnął lęk, pozostałe dzieci również. Stali jak wryci, nastawiając uszu. Usłyszeli, że ktoś pędzi na przełaj przez las, łamiąc leżące gałęzie i młode drzewka.

Nieznajomy biegł w stronę dzieci.

Pierwsza odezwała się Caris.

- Schowajmy się w krzakach - zaproponowała, wskazując kępę zarośli, w której prawdopodobnie mieszkał zając ustrzelony przez Ralpa. W następnej chwili czołgała się na brzuchu przez gąszcz. Gwenda posuwała się za nią, trzymając w ramionach ciało Hopa. Ralph złapał zabitego zająca i dołączył do reszty. Merthin, który już klęczał wśród liści, nagle uprzytomnił sobie, że

zostawili po sobie ślad: strzałę sterczącą z pnia dębu. Skoczył do niej, wyciągnął z kory i rzucił się w zarośla.

Usłyszeli mężczyznę, zanim go zobaczyli. Dyszał ciężko, wciągając do płuc powietrze jak człowiek całkowicie wyczerpany. Okrzyki wydawali jego prześladowcy. Merthin przypomniał sobie, że znajdują się niedaleko od traktu. Czyżby uciekinier padł ofiarą rabusiów?

W tej samej chwili mężczyzna ukazał się na polanie.

Był to rycerz w wieku nieco ponad dwudziestu lat. Miał miecz i długi sztylet przypięty do pasa. Był dobrze ubrany - nosił skórzany płaszcz wędrowca i wysokie buty z wywiniętymi cholewami. Potknął się i przewrócił, a następnie przetoczył się, podniósł i stanął, oparty plecami o pień dębu. Wciągając gwałtownie powietrze, dobył broni.

Merthin spojrzał na towarzyszy. Caris, blada ze strachu, zagryzała wargę. Gwenda przyciskała do piersi zabitego psa, jakby dzięki temu czuła się bezpieczniej. Ralph też wyglądał na przestraszonego, jednak lęk nie przeszkodził mu wyciągnąć strzały z zajęcia i wrzucić zdobyczy za kaftan.

Rycerz przez chwilę spoglądał na zarośla i Merthin pomyślał ze strachem, że zobaczył kryjące się dzieci albo zauważył połamane gałęzie i zgniecione liście w miejscu, w którym się czołgały. Kątem oka Merthin dostrzegł, że Ralph nasadza strzałę na cięciwę.

Wtedy pojawiła się pogoń. Było to dwóch mężczyzn, mocno zbudowanych, z obnażonymi mieczami. Wyglądali na łotrów. Mieli na sobie dwubarwne tuniki: lewa strona była żółta, a prawa zielona. Jeden nosił pelerynę z taniej brązowej wełny, a drugi brudny czarny kaftan. Oni także z trudem łapali oddech. Merthin był pewien, że za chwilę zobaczy śmierć rycerza, i zachciało mu się płakać. Nagle rycerz odwrócił miecz i trzymając go za ostrze, oddał prześladowcom.

Starszy z nich, ten w czarnym kaftanie, zrobił krok do przodu i wysunął prawą rękę. Ostrożnie wziął miecz i przekazał towarzyszowi. Rycerz w ten sam sposób oddał sztylet.

- Nie o twoją broń nam idzie, Thomasie Langleyu - rzekł mężczyzna.
- Znacie mnie, a ja was nie znam - odparł Thomas. Jeśli się bał, umiał zapanować nad lękiem.
- Wasze ubrania świadczą o tym, że służycie królowej.

Starszy z mężczyzn przystawił koniec miecza do gardła Thomasa i pchnął lekko, tak że rycerz przywarł plecami do pnia drzewa.

- Masz przy sobie list.
- Są w nim instrukcje hrabiego dla szeryfa w sprawie ściągania podatków. Możecie sobie przeczytać.

Była to kpina, gdyż dwaj mężczyźni prawie na pewno byli niepiśmienni. Thomas musiał mieć

mocne nerwy, skoro drwił sobie z uzbrojonych napastników, którzy w każdej chwili mogli go zabić.

Młodszy wyciągnął rękę i chwycił sakiewkę przytroczoną do pasa rycerza. Niecierpliwie przeciął pas mieczem, odrzucił go i otworzył sakiewkę. Wyciągnął z niej niewielkie zawiniątko z nasączonej olejem wełny. W środku znajdował się rulon pergaminu zabezpieczony woskiem.

Czyżby w tej walce chodziło o list? - zastanawiał się Merthin. Jeśli tak, to jaka jest jego treść? Nie mogą to być rutynowe rozporządzenia podatkowe. List musi zawierać jakąś złowrogą tajemnicę.

- Jeśli mnie zabijecie, zobaczy to ten, kto ukrywa się w tamtych krzakach - ostrzegł rycerz.

Na chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. Mężczyzna w brązowym płaszczu, trzymający miecz na gardle Thomasa, oparł się pokusie spojrzenia przez ramię. Drugi zawahał się, a potem zerknął w stronę zarośli.

W tym momencie Gwenda krzyknęła.

Mężczyzna w zielonej pelerynie uniósł miecz i dwoma długimi susami skoczył do kępy krzaków. Gwenda zerwała się i rzuciła do ucieczki. Uzbrojony mężczyzna ruszył za nią, wyciągając rękę.

Ralph wstał błyskawicznie, płynnym ruchem wymierzył, naciągnął łuk i strzelił do napastnika. Strzała trafiła go w oko i wbiła się na kilka cali w głowę. Mężczyzna podniósł lewą rękę, jakby chciał ją wyrwać, lecz w tej samej chwili jego ciało zwiotczało i runęło na ziemię. Merthin poczuł drżenie ziemi pod stopami.

Jego brat wyskoczył z krzaków i pobiegł za Gwenda. Kątem oka Merthin zauważył, że Caris poszła w ich ślady. On też chciał uciekać, lecz jego nogi jakby wrosły w ziemię.

Z drugiego końca przesieki dobiegł krzyk. Merthin zobaczył, że Thomas odepchnął wymierzony w niego miecz i skądś wydobył sztylet z ostrzem długim jak męska dłoń. Jednak mężczyzna w czarnym płaszczu był czujny i odskoczył poza zasięg ciosu. Uniósł miecz i ciał, mierząc w głowę rycerza.

Thomas się uchylił, lecz nie dość szybko. Ostrze spadło na jego lewe przedramię, przecinając skórzaną kamizelkę i wbijając się w rękę. Thomas krzyknął z bólu, ale się nie przewrócił. Błyskawicznym, pełnym gracji ruchem wykonał zamach i wbił nóż w gardło przeciwnika, a następnie, kontynuując cięcie w bok, przeciął mu szyję.

Z gardła mężczyzny trysnęła fontanna krwi. Thomas cofnął się, żeby go nie opryskała. Mężczyzna w czarnym ubraniu runął na ziemię. Jego głowa trzymała się tułowia na skrawku skóry.

Thomas upuścił sztylet i złapał się za lewą rękę. Usiadł na ziemi, osłabiony.

Merthin został sam z rannym rycerzem, zwłokami dwóch uzbrojonych mężczyzn i

trzynogiego psa. Wiedział, że powinien popędzić za resztą dzieci, lecz powstrzymała go ciekawość. Stwierdził, że Thomas nie może mu już zrobić krzywdy.

Rycerz miał dobry wzrok.

- Możesz wyjść! - krzyknął. - W tym stanie nie jestem dla ciebie groźny. Merthin wyprostował się z wahaniem i przedarł przez gałęzie. Pokonał szerokość polany i stanął kilka stóp od siedzącego rycerza.

- Jeśli rodzice odkryją, że bawiłeś się w lesie, dostaniesz lanie. Merthin skinął głową.

- Nie wydam cię, jeśli odpłacisz mi tym samym.

Merthin znów skinął głową. Zgadząc się na propozycję rycerza, nie szedł na ustępstwo. Żadne z dzieci nie opowie o tym, co widziało, gdyż ściągnęłyby sobie na głowy poważne kłopoty. Co by się stało z Ralphem, który zabił sługę królowej?

- Czy byłbyś tak dobry i pomógł mi przewiązać ranę? - poprosił Thomas. Merthin zauważył, że nawet w takiej sytuacji mężczyzna wyraża się bardzo grzecznie. Jego opanowanie było nadzwyczajne. Merthin też chciał taki być, gdy dorośnie.

Dopiero teraz zdołał wydobyć głos ze ściśniętego gardła.

- Tak.

- Weź mój przecięty pas i z łaski swojej owiń nim moją rękę.

Merthin spełnił prośbę rycerza. Koszula Thomasa była przesiąknięta krwią, a zraniona ręka wyglądała niczym mięso na straganie rzeźnika. Merthin poczuł mdłości, ale zdołał ścisnąć pasem rękę Thomasa. Krwawienie się zmniejszyło. Zrobił węzeł, a mężczyzna zacisnął go mocniej, używając prawej ręki.

Potem z wysiłkiem stanął na nogi.

Spojrzał na zabitych napastników.

- Nie zdołamy ich pogrzebać - stwierdził. - Wykrwawiłbym się na śmierć przy kopaniu grobu. Nawet gdybyś mi pomagał. - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie chcę jednak, żeby natknęła się na nich jakaś para szukająca... samotności. Zaciągnijmy ich w krzaki, tam, gdzie się ukrywaliście. Najpierw tego w brązowym.

Zbliżyli się do ciała.

- Ty za jedną nogę, ja za drugą - polecił Thomas. Prawą ręką złapał zabitego za kostkę. Merthin chwycił obiema rękami za drugą nogę. Wspólnymi siłami dowlekli go do zarośli, w których leżał Hop.

- Wystarczy - rzekł Thomas, a jego twarz pobielała z bólu. Po chwili schylił się i wyciągnął strzałę z oka zabitego. - To twoja? - spytał, unosząc brwi.

Merthin wziął strzałę i wytarł o trawę, usuwając resztki krwi i mózgu, które przywarły do drzewca.

W ten sam sposób przeciągnęli drugie ciało z niemal odciętą głową i ułożyli obok pierwszego. Thomas wrzucił broń zabitych w gąszcz, a potem zebrał swoją.

- A teraz muszę cię poprosić o wielką przysługę. - Podał Merthinowi sztylet. - Czy mógłbyś wykopać w ziemi niewielką dziurę?

- Dobrze - zgodził się Merthin.

- W tym miejscu, tuż pod tym dębem.

- Jak dużą?

Thomas wziął skórzaną sakiewkę, którą jeden z jego prześladowców odciął mu od pasa.

- Taką, żeby nikt nie znalazł tego przez pięćdziesiąt lat.

- Dlaczego? - zapytał Merthin, zebrawszy się na odwagę.

- Kop, a ja powiem ci tyle, ile mogę.

Merthin nakreślił na gruncie kwadrat, wzruszył zimną ziemię sztyletem, a następnie wygrzebał ją rękami.

Thomas umieścił zwój w wełnianej torbie i schował ją we wnętrzu sakwy.

- Miałem przekazać ten list hrabiemu Shiring - zaczął - jednak zawarto w nim tajemnicę tak niebezpieczną, że doręczyciel miał zostać zabity, aby nikomu jej nie wyjawiał. Uświadomiłem to sobie po przeczytaniu listu. Muszę więc zniknąć. Postanowiłem znaleźć schronienie w klasztorze jako mnich. Mam dość wojowania, na moim sumieniu ciąży wiele grzechów, za które powinienem odpokutować. Gdy tylko zauważono moje zniknięcie, nadawca listu zaczął mnie szukać. Miałem pecha, gdyż zauważono mnie w gospodzie w Bristolu.

- Dlaczego królowa posłała za tobą ludzi, panie?

- Ona także nie chce, aby ta tajemnica ujrzała światło dzienne. Gdy Merthin pogłębił dziurę na osiemnaście cali, Thomas rzekł:

- Wystarczy.

Wrzucił sakwę do środka, a Merthin przysypał ziemię liśćmi i gałązkami tak, by miejsce nie odróżniało się od otoczenia.

- Jeśli dowiesz się o mojej śmierci, chciałbym, abyś odkopał ten list i przekazał go jakiemuś duchownemu - rzekł Thomas. - Zrobisz to dla mnie?

- Dobrze.

- Dopóki to się nie stanie, nie wolno ci nic nikomu powiedzieć. Jeśli moi prześladowcy będą

wiedzieli, że mam list, lecz nie będą znali miejsca jego ukrycia, nie odważą się nic zrobić. Lecz jeżeli zdradzisz tajemnicę, staną się dwie rzeczy: najpierw zabiją ciebie, a potem mnie.

Merthin z przerażenia rozwarł szeroko oczy. Wydało mu się niesprawiedliwe, że znalazł się w tak wielkim niebezpieczeństwie tylko dlatego, iż pomógł nieznanemu wykopać dziurę w ziemi.

- Nie chciałem cię straszyć - rzekł Thomas. - Ale to niezupełnie moja wina. W końcu to nie ja cię tutaj sprowadziłem.

- To prawda.

Merthin z całego serca żałował, że nie posłuchał zakazu matki i wszedł do lasu.

- Wracam na trakt. Może pójdziesz ze mną? Twoi towarzysze na pewno czekają niedaleko stąd.

Merthin odwrócił się, żeby odejść.

- Jak ci na imię?! - zawołał rycerz.

- Jestem Merthin, syn sir Geralda.

- Naprawdę? - zdziwił się Thomas, jakby znał ojca Merthina. - Zatem pamiętaj: ani słowa, nawet jemu.

Merthin skinął głową i ruszył drogą.

Po przejściu pięćdziesięciu kroków zwymiotował. Wtedy poczuł się trochę lepiej.

Tak jak przewidział Thomas, towarzysze czekali na skraju lasu, nieopodal tartaku. Otoczyli go i dotykali, jakby chcieli sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Spoglądali z ulgą, ale i z poczuciem winy, że go zostawili. Wszyscy byli wstrząśnięci, nawet Ralph.

- Czy ten, którego trafiłem strzałą, jest ciężko ranny? - zapytał.

- Nie żyje - odparł Merthin i pokazał bratu zakrwawioną strzałę.

- Wyrwałeś ją z jego oka?

Merthin chętnie by potwierdził, ale zdecydował się powiedzieć prawdę.

- Rycerz ją wyciągnął.

- Co się stało z drugim zbrojnym?

- Rycerz zabił go sztyłem. Później ukryliśmy ciała w krzakach.

- I pozwolił ci odejść?

- Tak. - Merthin nie wspominał o liście.

- Musimy zachować to wszystko w tajemnicy - powiedziała Caris. - Będzie straszna awantura, jeśli ktoś się dowie.

- Ja nic nie powiem - oświadczył Ralph.

- Powinniśmy złożyć przysięgę - stwierdziła Caris.

Stanęli w małym kręgu. Caris wyciągnęła dłoń, a Merthin położył na niej swoją. Dłoń Caris była miękka i ciepła. Ralph poszedł w ich ślady, a potem to samo uczyniła Gwenda. Przysięgli na krew Jezusa.

Następnie wrócili do miasta.

Ćwiczenia łucznicze się skończyły, nadeszła pora południowego posiłku. Gdy dzieci przechodziły przez most, Merthin rzekł do Ralpa:

- Kiedy dorosnę, chcę być taki jak ten rycerz: zawsze grzeczny, nieustraszony, śmiertelnie groźny w walce.

- Ja też chcę być śmiertelnie groźny w walce - zgodził się Ralph.

Ku zdziwieniu Merthina w mieście życie toczyło się najzupełniej normalnie: słychać było płacz dzieci, w powietrzu unosiła się woń pieczonego mięsa, mężczyźni pili piwo przed karczmami.

Caris zatrzymała się przed dużym domem przy głównej ulicy, tuż obok wejścia do klasztoru, i położyła rękę na ramieniu Gwendy.

- U mnie w domu oszczeniła się suka. Chcesz zobaczyć małe? Gwenda wciąż była przestraszona i 'powstrzymywała łzy, ale pokiwała energicznie głową.

- Tak, bardzo.

Caris okazała serce i mądrość, pomyślał Merthin. Pieski pocieszą dziewczynkę i oderwą jej myśli od tego, co się stało. Kiedy wróci do domu, będzie opowiadała o nich, a nie o wycieczce do lasu.

Pożegnali się, a dziewczynki weszły do domu Caris. Merthin zaczął się zastanawiać, kiedy znów ją zobaczy.

Wnet jednak wróciły inne troski. Jak ojciec poradzi sobie z długami? Znaleźli się w pobliżu katedry. Ralph wciąż dzierżył łuk i zabitego zająca. Panowała cisza.

Dom gościnny opustoszał, zostało zaledwie kilkoro chorych.

- Wasz ojciec jest w kościele z hrabią Shiring - powiedziała zakonnica. Razem weszli do wielkiej katedry. Rodzice byli w przedsionku. Matka siedziała u stóp okrągłej kolumny i opierała o nią głowę. W zimnym świetle wpadającym przez wysokie okna jej twarz wydawała się spokojna i nieruchoma, jak gdyby wyrzeźbiono ją z tego samego szarego kamienia, z którego wykuto kolumnę. Ojciec stał obok, a jego szerokie ramiona, teraz przygarbione, wyrażały rezygnację. Stojący naprzeciwko hrabia Roland był starszy od ojca Merthina, lecz jego czarne włosy i pełen wigoru sposób bycia sprawiały, że wydawał się młodszy. Obok niego stał przeor Anthony.

Chłopcy zatrzymali się w drzwiach, lecz matka przywołała ich gestem.

- Zbliżcie się - rzekła. - Hrabia Roland pomógł nam dojść do porozumienia z przeorem. To

rozwiąże nasze kłopoty.

Ojciec wydał pomruk świadczący o tym, że wcale nie jest wdzięczny hrabiemu za pomoc.

- Opactwo przejmie moją ziemię - oznajmił. - Niczego nie odziedziczycie.

- Będziemy mieszkali tutaj, w Kingsbridge - ciągnęła radosnym tonem matka. - Zostaniemy pensjonariuszami opactwa.

- Kto to jest pensjonariusz? - zaciekał się Merthin.

- To znaczy, że mnisi przydzielą nam kwatery i będą dawali dwa posiłki dziennie, dopóki będziemy żyli. Prawda, że to wspaniałe?

Merthin widział, że matka nie myśli tego, co mówi. Tylko udaje radość. Ojciec zaś wstydił się, że utracił swoją ziemię. Merthin uświadomił sobie, że jest w tym coś hańbiącego.

- Co będzie z moimi synami? - zwrócił się ojciec do hrabiego. Roland spojrział na chłopców.

- Ten roślejszy wygląda obiecująco - stwierdził. - Czy to ty zabiłeś zająca, młodzieńcze?

- Tak, panie - odparł z dumą Ralph. - Zastrzeliłem go z łuku.

- Za kilka lat możemy go przyjąć na giermka - rzucił wesoło hrabia. - Będzie z niego rycerz.

Ojciec się ucieszył.

Merthin był zdumiony. Bardzo ważne decyzje zapadły w mgnieniu oka. Rozgniewało go, że młodszy brat zyskał sobie takie względy, a o nim nikt nawet nie wspomniał.

- To niesprawiedliwe! - krzyknął. - Ja też chcę być rycerzem!

- Nie! - ucięła matka.

- Ale to ja zrobiłem łuk!

Ojciec westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Ty zrobiłeś łuk, malcze? - spytał hrabia z widoczną wzgardą. - W takim razie zostaniesz czeladnikiem u cieśli.

3

Dom Caris był okazały. Miał drewniany szkielet, a podłogi i komin zrobiono z kamienia. Na parterze mieściły się trzy izby: sala z dużym stołem jadalnym, niewielki salon, w którym ojciec Caris prowadził rozmowy handlowe, oraz znajdująca się na tyłach kuchnia. Kiedy Caris i Gwenda weszły do środka, w powietrzu unosił się przyjemny zapach gotowanej szynki.

Caris poprowadziła nową przyjaciółkę do wewnętrznych schodów.

- Gdzie są szczeniaczki? - spytała Gwenda.

- Najpierw chcę zobaczyć mamę - odparła Caris. - Jest chora. Dziewczynki weszły do

pierwszej sypialni, w której na łóżku z rzeźbionego drewna leżała matka Caris. Była drobna i wątła, Caris już osiągnęła jej wzrost. Kobieta miała bladą twarz, a nieuczesane włosy przywarły do jej mokrych policzków.

- Jak się czujesz, mamó? - zapytała Caris.

- Jestem trochę słaba - odrzekła matka, z trudem łapiąc oddech.

Caris dręczył bolesny niepokój połączony z bezradnością. Matka chorowała od roku. Zaczęło się od bólu w stawach. Niebawem pojawiło się owrzodzenie w ustach i siniaki na ciele, mimo że o nic się nie uderzyła. Była zbyt słaba, żeby cokolwiek robić. W zeszłym tygodniu nabawiła się przeziębienia. Gorączkowała i miała trudności z oddychaniem.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała Caris.

- Nie, dziękuję.

Matka zawsze tak odpowiadała, lecz Caris za każdym razem ogarniał gniew, ponieważ była zupełnie bezsilna.

- Sprowadzić matkę Cecilię? - Przeorysza klasztoru w Kingsbridge była jedyną osobą, która potrafiła przynieść chorej odrobinę ulgi. Jej wyciąg z maku zmieszany z miodem i ciepłym winem na jakiś czas koł ból. W oczach Caris Cecilia była więcej niż aniołem.

- Nie, skarbie - odparła matka. - Jak ci się podobała msza Wszystkich Świętych?

Caris zauważyła, że usta mamy są jeszcze bledsze niż przedtem.

- Bałam się.

Matka odczekała chwilę, żeby złapać oddech.

- Co porabiałaś rano?

- Przyglądałam się ćwiczeniom łuczników - odpowiedziała Caris, przerażona, że matka zdoła odgadnąć jej tajemnicę, tak jak to się często zdarzało.

Ale ona spojrzała na Gwendę.

- Kim jest twoja mała koleżanka?

- To Gwenda. Chcę jej pokazać szczeniaczki.

- Są urocze.

Zmęczenie zmogło chorą. Zamknęła oczy i odwróciła głowę na bok. Dziewczęta po cichutku wyszły z pokoju. Gwenda była wstrząśnięta.

- Co jest twojej mamie?

- Zapadła na wycieńczającą chorobę.

Caris nie lubiła o tym mówić. Ciężki stan matki wytrącał ją z równowagi: czuła, że na tym świecie w każdej chwili wszystko może się zdarzyć, że nigdy nie jest tak naprawdę bezpiecznie. To

było jeszcze bardziej przerażające aniżeli walka, której świadkiem była w lesie. Myśl, że mama może umrzeć, przyprawiała ją o paniczne bicie serca. Chciało jej się krzyczeć.

Ze środkowej sypialni latem korzystali goście z Italii: kupcy z Florencji i Prato, którzy przybywali do ojca Caris w interesach. Teraz stała pusta. Szczenięta ulokowano w ostatniej sypialni, która należała do Caris i jej siostry Alice. Miały siedem tygodni i mogły już opuścić matkę, która zaczynała okazywać zniecierpliwienie. Gwenda westchnęła z zachwytu i natychmiast uklękła obok piesków.

Caris wzięła na ręce najmniejszą suczkę, która zawsze oddalała się od reszty, by poznawać świat na własną rękę.

- Tę sobie zatrzymam - oznajmiła. - Nazywa się Scrap.

Głaszcząc pieski i bawiąc się z nimi, Caris zapominała o swoich strapieniach.

Pozostałe cztery psiaki zaczęły wdrapywać się na nogi Gwendy, obwąchując ją i podgryzając sukienkę. Wzięła na ręce brązowego brzydala z długim pyszczkiem i zbyt wąsko rozstawionymi ślepkami.

- Ten mi się podoba - oznajmiła. Szczeniak zwinął się w kłębek na jej kolanach.

- Chciałabyś go zatrzymać? - spytała Caris. W oczach Gwendy załśniły łzy.

- A mogę?

- Rodzice pozwolili nam je oddać.

- Naprawdę?

- Tata nie chce więcej psów. Możesz go wziąć, jeśli chcesz.

- O tak - wyszeptała Gwenda. - Proszę.

- Jak go nazwiesz?

- Chcę, żeby nazywał się podobnie jak Hop. Może Skip?

- To ładne imię.

Szczeniak zdążył tymczasem zasnąć na kolanach nowej pani.

Dziewczynki siedziały w milczeniu wśród szczeniaków. Caris rozmyślała o poznanych rano chłopcach - o rudowłosym ze złotobrzązowymi oczami i jego wysokim, przystojnym młodszym bracie. Co ją skłoniło, żeby zaprowadzić ich do lasu? Nie pierwszy raz uległa głupiemu impulsowi. Zdarzało się to zwłaszcza wtedy, gdy ktoś mający nad nią władzę czegoś jej zakazywał. Petranilla, ciotka Caris, celowała w ustanawianiu rozmaitych regulek. „Nie karm tego kota, bo się go nie pozbędziemy”. „Nie wolno bawić się piłką w domu”. „Trzymaj się z dala od tego chłopca, jego rodzice to kmiecie”. Takie zakazy wzbudzały w Caris złość.

Jednak nigdy przedtem nie popełniła takiego głupstwa jak dzisiaj. Na myśl o tym aż się

trzęsła. Dwóch mężczyzn poniosło śmierć. A mogło się skończyć jeszcze gorzej. Ona i pozostałe dzieci także mogły zginąć.

Ciekawiło ją, o co toczyła się walka i dlaczego dwaj zbrojni ścigali rycerza. Z całą pewnością nie chodziło o zwykły rabunek. Wspominali coś o liście. Ale Merthin nic o nim nie mówił. Pewnie niczego się nie dowiedział. Jeszcze jedna tajemnica świata dorosłych.

Caris polubiła Merthina. Jego brat Ralph był nudny, nie różnił się niczym od innych chłopców w Kingsbridge, głupich, napastliwych i lubiących się chęłpić. Lecz Merthin sprawiał inne wrażenie. Intrygował Caris od samego początku.

Dwoje nowych przyjaciół w ciągu jednego dnia, pomyślała, spoglądając na Gwendę. Dziewczynka nie była ładna. Miała ciemne brązowe oczy, rozmieszczone zbyt blisko siebie nad zadartym nosem. Caris z rozbawieniem zauważyła, że wybrała pieska, który jest do niej trochę podobny. Jej ubranie było zniszczone, przed nią musiało je nosić wiele dzieci. Wyraźnie się uspokoiła, nie wyglądała już, jakby lada moment miała wybuchnąć płaczem. Na nią też szczeniaki miały kojący wpływ.

Na dole dały się słyszeć nierówne kroki, a po chwili ktoś zawołał:

- Podajcie mi kufel piwa! Mam końskie pragnienie!

- To mój ojciec - oznajmiła Caris. - Chodź, przedstawię cię. Widząc niepokój na twarzy Gwendy, dodała:

- Nie bój się, on zawsze tak krzyczy, ale jest naprawdę miły. Dziewczynki zeszły na dół ze szczeniętami.

- Gdzie się podziali służący?! - ryknął ojciec Caris. - Pochowali się razem ze skrzatami, czy co?!

Wynurzył się z kuchni, powłóczęc zdeformowaną nogą i trzymając w dłoni okazały drewniany kubek, z którego wylewało się piwo.

- Jak się masz, mój mały kwiatuszku - rzekł łagodnie do Caris. Usiadł na dużym krześle stojącym u szczytu stołu i pociągnął solidny łyk napitku. - Teraz mi lepiej - mruknął, wycierając rękawem skołtunioną brodę. W tej samej chwili zauważył Gwendę. - O, jest i drugi kwiatuszek. Jak ci na imię?

- Jestem Gwenda z Wigleigh, panie - odparła dziewczynka lekko przestraszona.

- Dałam jej szczeniaka - oznajmiła Caris.

- To doskonale! - stwierdził jej ojciec. - Maluchy potrzebują czułości, a nikt nie kocha ich tak jak małe dziewczynki.

Caris zauważyła, że na taborecie leży płaszcz ze szkarłatnej tkaniny. Musiał pochodzić z

importu, gdyż angielscy farbiarze nie potrafili uzyskać tak jaskrawej czerwieni. Ojciec zauważył jej spojrzenie.

- To dla mamy. Zawsze chciała płaszcz z czewronej włoskiej tkaniny. Mam nadzieję, że to ją zachęci do powrotu do zdrowia.

Caris dotknęła płaszcz. Welna była miękka i gęsto tkana. Tylko włoscy tkacze umieli taką zrobić.

- Piękny - westchnęła z zachwytem.

W drzwiach izby stała ciotka Petranilla. Zdradzała pewne podobieństwo do ojca Caris, lecz on był wylewny, a ona chodziła z zaciśniętymi ustami. Bardziej przypominała swojego drugiego brata, Anthony'ego, opata Kingsbridge. Oboje byli wysocy, a tata Caris był niski, kulawy i miał szeroką klatkę piersiową.

Caris nie lubiła Petranilli. Ciotka była inteligentna i złośliwa, a cechy te u dorosłego człowieka stanowią zabójczą mieszankę. Caris nigdy nie udało się jej przechytrzyć. Gwenda wyczuła nastawienie przyjaciółki i spojrzała z obawą na nowo przybyłą. Tylko tata Caris ucieszył się na jej widok.

- Wejdz, siostrze. Gdzie się rozpierzchli moi służący?

- A skąd mam to wiedzieć, skoro dopiero przyszedłam z mojego domu, który stoi przy drugim końcu ulicy. Ale gdybym miała zgadywać, Edmundzie, to powiedziałabym, że kucharka jest w kurniku i szuka jaj na pudding dla ciebie, a pokojówka jak zwykle o tej porze dnia pomaga twojej żonie usiąść na nocniku. Jeśli chodzi o czeladników, to mam nadzieję, że pilnują składu nad rzeką i mają baczenie na pijanych żartownisiów, którym czasem przychodzi do głowy rozpalić w pobliżu ognisko.

Petranilla często odpowiadała dłuższym kazaniem na proste pytanie. Traktowała ludzi z góry, lecz ojcu Caris to nie przeszkadzało albo udawał, że tego zauważa.

- Jesteś nadzwyczajna - rzekł. - To ty odziedziczyłaś bystrość po ojcu. Petranilla odwróciła się do dziewcząt.

- Nasz ojciec był potomkiem Toma Budowniczego *[* Losy Toma Budowniczego opisane są w książce Kena Folleta Filary Ziemi, przekł. Grzegorz Sitek, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2006.], ojczyzna i mentora Jacka, tego, który zaprojektował katedrę w Kingsbridge - oznajmiła. - Ojciec ślubował, że przeznaczy swojego pierworodnego syna Bogu, lecz tak się niefortunnie złożyło, iż pierworodnym dzieckiem była dziewczynka, to znaczy ja. Dał mi imię na cześć świętej Petranilli - córki świętego Piotra, o czym na pewno wiecie - i modlił się, żeby następnym razem urodził mu się chłopiec. Ale pierwszy syn okazał się kaleką, więc nie chciał składać Bogu tak niedoskonałej ofiary.

Dlatego wykształcił Edmunda tak, by ten mógł przejąć po nim handel wełną. Na szczęście trzecim dzieckiem okazał się nasz brat Anthony, dziecko grzeczne i bogobojne, które poszło do klasztoru i zostało przeorem, z czego wszyscy jesteśmy dumni.

Petranilla zostałaaby mnichem, gdyby urodziła się mężczyzną, ale skoro nim nie była, wychowała na mnicha swojego syna Godwyna. Tak jak dziadek Wooler przeznaczyła dziecko Bogu. Caris zawsze było żal kuzyna, bo miał taką matkę jak Petranilla.

Ciotka zauważyła czerwony płaszcz.

- Czyje to? - spytała. - Ten płaszcz jest uszyty z najdroższej włoskiej tkaniny!

- Przyniosłem go dla Rosę - odparł ojciec Caris.

Petranilla przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Caris odgadła jej myśli: ciotka uważała, że jest durniem, skoro kupuje taki płaszcz kobiecie, która od roku nie wyszła z domu.

- Okazujesz jej bardzo dużo serca - powiedziała tylko. To mógł być komplement, ale niekoniecznie.

Ojciec Caris nie przejął się zbytnio słowami siostry.

- Idź do niej - rzekł. - Rozwesel ją trochę.

Caris miała wątpliwości, czy ciotka zdoła tego dokonać. Ona jednak ich nie podzielała i ruszyła na górę.

Zjawiła się Alice, siostra Caris. Była o rok starsza, miała jedenaście lat. Popatrzyła na Gwendę.

- Kto to?

- Moja nowa przyjaciółka Gwenda - odparła Caris. - Weźmie jednego pieska.

- Aleja go wybrałam dla siebie! Do tej pory o tym nie wspominała.

- Wcale tak nie mówiłaś! Robisz to na złość.

- Dlaczego ona ma wziąć jedno z naszych szczeniąt?

- No, dość już tego - odezwał się ojciec dziewczynek. - Mamy ich więcej, niż nam trzeba.

- Caris powinna najpierw zapytać, którego ja chcę!

- Tak, masz rację - przyznał ojciec, jakkolwiek wiedział, że Alice chodzi tylko o wywołanie kłótni. - Nie rób tak więcej, Caris.

- Dobrze, papo.

Z kuchni wyszła kucharka z dzbankami i kubkami. Kiedy Caris uczyła się mówić, wołała na nią Tutty. Nikt nie wiedział, dlaczego tak ją nazywa, lecz przydomek się przyjął.

- Dziękuję, Tutty - rzekł ojciec Caris. - Siadajcie do stołu, dziewczynki. Gwenda zawahała

się, nie wiedząc, czy zaproszenie odnosi się także do niej, ale Caris skinęła na nią głową. Wiedziała, że tata zaprasza na posiłek wszystkich, którzy znajdą się w pobliżu.

Tutty dołała piwa panu domu, a później podała wszystkim trzem dziewczynkom piwo rozcieńczone wodą. Gwenda opróżniła naczynie błyskawicznie i z przyjemnością; Caris domyśliła się, że nieczęsto ma okazję go skosztować. Ludzie biedni pili cydr z dzikich jabłek.

Następnie kucharka położyła przed każdym stołownikiem grubą pajdę żytniego chleba wielkości stopy kwadratowej. Gwenda chciała od razu zabrać się do jedzenia, a Caris domyśliła się, że jej nowa przyjaciółka nigdy nie jadła przy stole.

- Zaczekaj - powiedziała cicho.

Gwenda odłożyła chleb. Tutty wniosła na desce szynkę oraz miskę kapusty. Gospodarz odkroił tasakiem kilkanaście plasterów mięsa i umieścił je na mniejszych deseczkach. Gwenda ze zdumieniem spoglądała na ilość szynki, jaka jej przypadła. Caris położyła na szynce liście kapusty.

Z góry zbiegła pospiesznie pokojówka Elaine.

- Pani bardzo źle się czuje! - zawołała. - Pani Petranilla kazała wezwać matkę Cecilie.

- Biegnij więc czym prędzej do klasztoru i proś ją, żeby przyszła. Pokojówka spełniła polecenie bez ociągania.

- Jedzcie, dzieci - zachęcił gospodarz, nabijając na czubek noża plaster gorącej szynki. Jednak Caris widziała, że posiłek nie sprawia mu już radości. Zdawało się, że Edmund patrzy na coś, co znajduje się bardzo daleko.

Gwenda zjadła trochę kapusty.

- To jedzenie jest prosto z nieba - szepnęła.

Caris spróbowała. Kapusta była doprawiona imbirem. Gwenda prawdopodobnie go nie znała, bo tylko bogatych ludzi stać było na tę przyprawę.

Petranilla zeszła na dół i nałożyła na drewnianą tacę trochę szynki dla pani domu, jednak po chwili wróciła z nietkniętym jedzeniem i usiadła, żeby się posilić. Kucharka przyniosła jej deseczkę.

- Kiedy byłam małą, byliśmy jedyną rodziną w Kingsbridge, która codziennie jadła mięso - rzekła. - Z wyjątkiem dni postu, bo mój ojciec był bardzo pobożny. Jako pierwszy kupiec w mieście handlował bezpośrednio z Włochami. Teraz wszyscy to robią, ale mój brat Edmund jest najważniejszym z nich.

Caris straciła apetyt. Musiała długo żuć, zanim zdołała cokolwiek przełknąć. Na szczęście zjawiała się matka Cecilia - drobna, energiczna kobieta o władczym sposobie bycia, który w jakiś sposób działał uspokajająco na innych. Towarzyszyła jej siostra Juliana, prosta kobieta o dobrym sercu. Caris poczuła się lepiej, widząc, jak te dwie kobiety wspinają się po schodach na górę. Pierwsza

przypominała rozczwieranego wróbla, druga poczciwą kokoszkę. Obmyją mamę wodą różaną, która zmniejszy gorączkę i podniesie ją na duchu.

Tutty wniosła jabłka i ser. Gospodarz z roztargnieniem obrał owoce. Caris pamiętała, jak dawniej, gdy była mała, podawał jej obrane kawałki, a sam zjadał skórkę.

Siostra Juliana zeszła z góry z troską malującą się na puciołowatej twarzy.

- Przeorysza chce, żeby do pani Rosę przyszedł brat Joseph - oznajmiła. Joseph był głównym medykiem w klasztorze, pobierał nauki u mistrzów z Oksfordu.

- Sama po niego pójde - dodała zakonnica, wybiegając z domu. Edmund odłożył obrane jabłko.

- Co teraz będzie? - zapytała Caris.

- Nie wiem, kwiatuszku. Czy spadnie deszcz? Ile worków wełny kupią Florentczycy? Czy przyjdzie pomór na owce? Czy urodzi się dziewczynka, a może chłopczyk ze skręconą nogą? Nigdy tego nie wiemy, prawda? Właśnie dlatego... - Edmund nie dokończył zdania i odwrócił głowę. - Właśnie dlatego życie jest takie trudne.

Podał Caris jabłko, a ona przekazała owoc Gwendzie, która pochłonęła je w całości, razem z pestkami.

Brat Joseph przybył kilka minut później z młodym pomocnikiem, w którym Caris rozpoznała Saula Whiteheada *[* Whitehead - white (ang.) - biały; head (ang.) - głowa.]. Nazywano go tak, gdyż resztką włosów stanowiąca jego mniszą fryzurę była siwa jak popiół.

Cecilia i Juliana zeszły na dół, żeby zrobić w małej sypialni miejsce dla przybyłych mężczyzn. Cecilia usiadła przy stole, ale nie jadła. Miała drobną twarz o ostrych rysach: lekko spiczasty nos, błyszczące oczy i podbródek przypominający dziób łodzi. Spojrzała zaciekawiona na Gwendę.

- A co to za dziewczynka? - spytała ożywiona. - Czy ona kocha Jezusa i jego świętą matkę?

- Jestem Gwenda, przyjaciółka Caris. - Popatrzyła na Caris, jakby obawiała się, że niesłusznie pochwaliła się jej przyjaźnią.

- Czy Święta Dziewica sprawi, że moja mama poczuje się lepiej?

- Cóż za bezpośrednie pytanie. Mogłam się domyślić, że jesteś córką Edmunda.

- Wszyscy modlą się do Maryi, ale nie wszyscy wracają do zdrowia.

- A wiesz dlaczego?

- Może ona nikomu nie pomaga, tylko silni zdrowieją, a słabi nie.

- Nie bądź głuptaskiem - odezwał się ojciec Caris. - Wszyscy wiedzą, że święta matka nam pomaga.

- Słusznie - przytaknęła Cecilia. - To normalne, że dzieci zadają pytania, zwłaszcza te bystre. Caris, święci mają wielką moc, ale niektóre modlitwy są skuteczniejsze od innych. Rozumiesz?

Caris niechętnie pokiwała głową. Nie czuła się przekonana, tylko przechytrzona.

- Twoja pociecha musi przyjść do szkoły - stwierdziła Cecilia, zwracając się do ojca dziewczynki. Zakonnice prowadziły szkółkę dla córek szlachciców i bogatych mieszczan. Mnisi prowadzili drugą, dla chłopców.

- Rosę nauczyła dziewczynki liter - odparł gospodarz, któremu pomysł najwyraźniej nie przypadł do gustu. - A rachunki Caris zna nie gorzej ode mnie. Pomaga mi w prowadzeniu interesów.

- Powinna się nauczyć więcej. Wszak nie chcesz, żeby przez całe życie była twoją służącą?

- Caris nie potrzebuje książkowej nauki - wtrąciła się Petranilla. - Na pewno dobrze wyjdzie za męża. Kawalerowie będą się ustawiali w kolejce do obu siostr. Synowie kupców, a nawet rycerzy, chętnie wżenią się w tę rodzinę. Ale Caris jest niesforna. Musimy dopilnować, żeby nie zmarnowała się z jakimś minstrelem bez grosza przy duszy.

Caris odnotowała, że ciotka nie przewiduje kłopotów z posłuszną Alice, która wyjdzie za każdego, którego jej wskażą.

- Może Bóg powoła ją do służby - rzuciła przypuszczenie Cecilia.

- Bóg już powołał dwie osoby z tej rodziny: mojego brata i siostrzeńca - burknął Edmund. - Zdaje mi się, że jest już zadowolony.

Cecilia spojrzała na Caris.

- A ty jak uważasz? - spytała. - Zostaniesz żoną kupca lub rycerza, czy zakonnica?

Myśl o zakonie przerażała Caris. Przez cały dzień musiałaby spełniać czyjeś polecenia. To byłoby tak, jakby na zawsze miała pozostać dzieckiem i mieć Petranillę za matkę. Bycie żoną rycerza albo innego mężczyzny wydawało się równie okropne, gdyż kobiety musiały okazywać posłuszeństwo mężom. Pomaganie tacie, a może przejęcie jego interesów, kiedy będzie za stary, by je prowadzić, nie było aż takie straszne, choć z drugiej strony nie było też spełnieniem marzeń Caris.

- Nie chcę być ani tym, ani tym.

- A kim chciałabyś zostać? - zaciekała się Cecilia.

Do tej pory Caris nikomu o tym nie mówiła. W gruncie rzeczy aż do teraz sobie tego nie uświadamiała. Nagle pragnienie ukształtowało się w niej i bez najmniejszych wątpliwości wiedziała, co jest jej przeznaczeniem.

- Będę medykiem - odparła.

Na chwilę zapadła cisza, a potem wszyscy parsknęli śmiechem.

Caris zaczerwieniła się, nie rozumiejąc, co w tym śmiesznego. Ojciec się nad nią ulitował.

- Tylko mężczyźni mogą być medykami. Nie wiedziałaś o tym, kwiatuś? Caris zrobiła zdziwioną minę.

- A ty, siostrze? - zwróciła się do Cecylii.

- Nie jestem lekarzem. My, zakonnice, opiekujemy się chorymi, oczywiście, ale spełniamy polecenia uczonych mężczyzn. Mnisi, którzy uczyli się od mistrzów, rozumieją zachowanie cieczy w organizmie i ich zachwianie równowagi w chorobie. Wiedzą jak przywracać właściwe proporcje, które są warunkiem dobrego zdrowia. Wiedzą, z której żyły upuścić krew w razie migreny, trądu czy duszności, kiedy zastosować bańki, kiedy kataplazmy lub kąpiele, a kiedy kauteryzować.

- Czy kobieta nie mogłaby nauczyć się tych rzeczy?

- Być może, ale Bóg chciał inaczej.

To było denerwujące, że dorośli sięgali po ten banał za każdym razem, gdy nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Zanim zdążyła się odezwać, brat Saul zszedł z góry z miską krwi i przez kuchnię wyszedł na podwórko, żeby ją wylać. Caris zachciało się płakać. Wszyscy lekarze stosują upuszczanie krwi, więc pewnie jest skuteczne, mimo to Caris ze smutkiem patrzyła, jak substancja życiowa jej matki jest w taki sposób marnowana.

Saul wrócił do sypialni chorej. Po chwili obaj z Josephem zeszli na dół.

- Zrobiłem dla twojej żony wszystko, co mogłem - rzekł do Edmunda poważnym głosem. - Wypowiadała się ze swoich grzechów.

Wypowiadała się! Caris wiedziała, co to oznacza. Zaczęła płakać. Ojciec wyjął z sakiewki sześć srebrnych pensów i dał mnichowi.

- Dziękuję, bracie - rzekł ochrypłym głosem. Kiedy mnisi wyszli, zakonnice udały się do chorej.

Alice usiadła ojcu na kolanach i wtuliła głowę w jego szyję. Caris płakała, przytulając Scrap. Petranilla poleciła Tutty sprzątnąć ze stołu. Gwenda obserwowała wszystko szeroko otwartymi oczami. Wszyscy siedzieli przy stole, na coś czekając.

4

Brat Godwyn był głodny. Wcześniej zjadł posiłek - gulasz z buraków i solonej ryby - ale się nie nasycił. Mnisi prawie zawsze jedli na obiad rybę i popijali wodnistym piwem, nawet gdy nie było postu.

Nie wszyscy, rzecz jasna, gdyż przeor Anthony miał specjalną dietę. Dzisiaj spożyje wyjątkowo smaczny posiłek, ponieważ będzie gościł matkę Cecylię, przeoryszkę, nawykłą do dobrego jadła. Zakonnice, które zawsze miały więcej pieniędzy niż mnisi, co kilka dni ubijały świnie lub owcę, a mięso popijały gaskońskim winem.

Przygotowanie obiadu miał nadzorować Godwyn i nie było to łatwe zadanie, ponieważ burczało mu w brzuchu. Porozmawiał z klasztornym kucharzem, zajrzał do pieca, w którym piekła się tłusta gęś, i do wiszącego nad ogniem naczynia z bulgoczącym sosem. Kazał piwniczemu ściągnąć dzban cydru z beczki i przyniósł bochenek chleba z piekarni. Chleb był czerstwy, gdyż w niedzielę nie wolno było niczego wypiekać. Wyjął z kufra srebrne patery i puchary i ustawił je na stole w domu przeora.

Przeor i przeorysza raz w miesiącu spożywali wspólnie posiłek. Klasztory były odrębnymi instytucjami, miały własne siedziby i źródła dochodu. Zwierzchnicy zakonów podlegali biskupowi Kingsbridge, ale każde z osobna. Jednakże modlili się w tej samej katedrze i korzystali z kilku innych budynków, między innymi ze szpitala, w którym mnisi byli lekarzami, a zakonnice pełniły funkcję pielęgniarek. Zawsze mieli więc dużo spraw do omówienia: rozmawiali o nabożeństwach, pacjentach szpitala, gościach i lokalnej polityce. Anthony często prosił Cecilie, by płaciła za rzeczy, których koszty powinny się rozkładać po równo - szklane okna w kapitularku, łóżka dla szpitala, odmalowanie wnętrza katedry - a ona zwykle się zgadzała.

Dzisiaj jednak rozmowa miała się obracać wokół polityki. Anthony wrócił wczoraj po dwóch tygodniach pobytu w Gloucesterze, gdzie asystował przy pochówku króla Edwarda II, który utracił koronę w styczniu, a we wrześniu zmarł. Matka Cecilia łąknęła najnowszych plotek. Słuchając ich, udawała, że jest ponad to.

Godwynowi chodziło po głowie coś innego. Chciał pomówić z Anthonym o swojej przyszłości. Od powrotu przeora z Gloucesteru z niecierpliwością wyczekiwał odpowiedniej chwili. Przecwiczył swoją mowę, lecz nie znalazł dotąd okazji, by ją wygłosić. Miał nadzieję, że nadarzy się ona tego popołudnia.

Anthony wszedł do sali w chwili, gdy Godwyn stawiał na kredensie naczynia z serem i gruszkami. Przeor wyglądał jak nieco starsza wersja Godwyna. Obaj byli wysocy, mieli regularne rysy twarzy, jasnobrązowe włosy i zielone oczy nakrapiane złotawymi plamkami. Anthony stał przy oknie. W starym budynku panował chłód i szalały przeciągi. Godwyn nalał do pucharu cydru.

- Ojczy przeorze, dzisiaj są moje urodziny - zagaił. - Skończyłem dwadzieścia jeden lat.

- Ach, rzeczywiście. Pamiętam dzień, w którym się urodziłeś. Miałem wtedy czternaście lat. Moja siostra Petranilla krzyczała jak zraniony niedźwiedź, wydając cię na świat. - Anthony podniósł puchar i spojrzał z czułością na Godwyna. - A teraz wyrosłeś na mężczyznę.

Godwyn stwierdził, że nadszedł właściwy moment.

- Jestem w klasztorze od dziesięciu lat.
- To już tak długo?
- Byłem uczniem, nowicjuszem, a teraz jestem mnichem.
- Istotnie.
- Mam nadzieję, że nie sprawiłem zawodu matce i tobie.
- Oboje jesteśmy z ciebie dumni.
- Dziękuję. - Godwyn przełknął napitek. - Chcę iść do Oksfordu.

Miasto Oksford od dawna stanowiło ważny ośrodek nauk teologicznych, me(tycznych i prawnych. Księża i mnisi udawali się tam, by pogłębiać wiedzę i prowadzić debaty z nauczycielami i innymi studentami. W poprzednim stuleciu utworzono zj-zeszenie nazwane uniwersytetem, które otrzymało zgodę króla na przeprowadzanie egzaminów i nadawanie tytułów naukowych. Opactwo Kings-bridge miało tam swoją filię zwaną Kingsbridge College, w której ośmiu mnichów mogło poświęcać życie Bogu, jednocześnie studiując.

„Drogę Do Oksfordu! - wykrzyknął Anthony, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia i niechęci. - Dlaczego?

- Żeby się uczyć. Właśnie tym mają się zajmować mnisi.
- Ja nie studiowałem w Oksfordzie, a zostałem przeorem.

Była to prawda, lecz z tego powodu Anthony czasem nie dotrzymywał kroku swoim starszym wiekiem braciom. Kościelny, skarbnik i kilku innych mnichów było absolwentami uniwersytetu, podobnie jak lekarze. Wyróżniali się lotnością umysłu i umiejętnością prowadzenia dyskursu; w porównaniu z nimi Anthony robił wrażenie prostaczka, zwłaszcza w czasie kapituły, codziennego zgromadzenia mnichów. Godwyn marzył o zdobyciu umiejętności logicznego myślenia oraz pewności, jakie dostrzegał u tych, którzy studiowali w Oksfordzie. Nie chciał p5jść w ^łady wuja.

Tego jednak nie wolno mu było powiedzieć. Chcę się uczyć. „„Po co komu herezja? - odparł z przyganą Anthony. - Studenci Oksfordu podwa2ają nauczanie Kościoła!

Robią to po to, by je lepiej zrozumieć. To bezcelowe i niebezpieczne. Gocrwyyj me wiedział, dlaczego wuj zgłasza takie pretensje. Nigdy przedtem nie zaprzętała go kwestia herezji, a Godwynowi wcale nie zależało na podważaniu dogmatów. Zmarszczył czoło.

Myslałem, że ty i moja matka pragniecie, bym coś osiągnął - rzekł. - Nie chciałbyś, żebym został starszym mnichem, a później być może przeorem? Tak, chciałbym, żeby kiedyś to się stało, ale nie musisz wyjeżdżać w tym celu z Kingsbridge.

Ty po prostu nie chcesz, żebym awansował zbyt szybko i cię prześcignął, i nie chcesz, żebym opuszczał miasto, bo stracisz nade mną władzę, pomyślał Godwyn. Załowat, że nie przewidział, iż

przeor będzie się sprzeciwiał. „Nie chcę studiować teologii.

A co w takim razie? „Medycynę, która stanowi tak ważną część naszej pracy. Anthony wyduł wargi. Godwyn znał ten wyraz twarzy, widywał go u matki. ~ Klasztoru nie stać na opłaty - oznajmił Anthony. - Zdajesz sobie spraw - że jedna książka kosztuje co najmniej czternaście szylingów?

Godwyn nie krył zdziwienia. Studenci mogli wypożyczać książki po jednej stronie, wiedział o tym. Nie to jednak było najważniejsze.

Kto w takim razie płaci za studentów, którzy już tam są?

- Dwóch utrzymują rodziny, a jednego zakonnice. Opactwo płaci za trzech pozostałych, ale na więcej nas nie stać. W kolegium są dwa wolne miejsca ze względu na brak funduszy.

Godwyn wiedział, że opactwo ma trudności finansowe. Z drugiej zaś strony prawda była taka, że posiada znaczne zasoby: tysiące akrów ziemi, młyny, stawy rybne i lasy, a także ogromne dochody z targowiska w Kingsbridge. Godwyn nie mógł uwierzyć, że Anthony odmawia mu pieniędzy na naukę w Oksfordzie. Poczul się oszukany. Anthony był nie tylko jego krewnym, ale i mentorem. Zawsze wyróżniał siostrzeńca spośród innych młodych mnichów, teraz jednak stawiał przed nim przeszkody.

- Opactwo zarabia dzięki lekarzom - przekonywał Godwyn. - Jeśli nie wyszkolisz młodych, starsi kiedyś poumierają i klasztor zubożeje.

- Pan Bóg na to nie pozwoli.

Ten irytujący banał zawsze stanowił jego odpowiedź. Od kilku lat dochód z dorocznych targów wełny malał. Mieszczanie zachęcali Anthony'ego, żeby postarał się o lepsze warunki dla kupców - namioty, budki, latryny, a nawet budynek giełdy - ale on odmawiał, tłumacząc się ubóstwem klasztoru. A gdy jego brat Edmund ostrzegł, że targom grozi całkowity upadek, przeor odparł: „Pan Bóg na to nie pozwoli”.

- A więc może da mi także pieniądze, abym mógł pójść do Oksfordu - westchnął Godwyn.

- Może.

Godwyn był boleśnie rozczarowany. Czuł płącą potrzebę wyrwania się z rodzinnego miasta i odetchnięcia innym powietrzem. W kolegium będzie poddany tej samej klasztornej dyscyplinie, lecz znajdzie się daleko od wuja i matki, a była to kusząca perspektywa.

- Matka będzie bardzo rozczarowana, jeśli nie pójde na studia - nie dawał za wygraną.

Anthony się zmieszał. Wolał nie wywoływać gniewu zadziornej siostry.

- Niech więc się modli, żeby pieniądze się znalazły.

- Mogę zdobyć fundusze gdzie indziej - rzekł Godwyn.

- Jak to zrobisz?

Godwyn myślał przez chwilę i nagle go olśniło.

- Mógłbym pójść za twoim przykładem i poprosić matkę Cecilię.

Było to możliwe, mimo że w obecności Cecylii czuł się niepewnie, gdyż potrafiła być równie zdecydowana jak Petranilla. Jednak była bardziej podatna na jego chłopięcy urok. Może da się przekonać i zapłaci za naukę młodego inteligentnego mnicha.

Ta sugestia zaskoczyła przeora. Było widać, że stara się wymyślić jakieś obiekcje, jednak przez cały czas przekonywał, że główną przeszkodą jest brak pieniędzy, więc teraz trudno mu było zmienić front.

W tym momencie w drzwiach stanęła Cecilia.

Miała na sobie gruby płaszcz z delikatnej wełny, który stanowił jej jedyny zbytek. Przynajmniej nie zmarzła. Po przywitaniu z opatem zwróciła się do Godwyna:

- Twoja ciotka Rosę jest ciężko chora - oznajmiła melodyjnym głosem. - Być może nie przeżyje nocy.

- Niech Bóg będzie z nią - odrzekł ze smutkiem Godwyn. Rosę była jedyną skromną osobą w rodzinie, w której każdy czuł się przywódcą. Wydawało się, że jest delikatnym kwiatem otoczonym zewsząd przez kolczaste krzewy. - To nie będzie zaskoczenie - dodał. - Moje małe kuzynki Alice i Caris pogrążą się w smutku.

- Na szczęście mają twoją matkę, ona je pocieszy.

- Tak.

Udzielanie pociechy nie jest mocną stroną Petranilli, pomyślał Godwyn - znacznie lepiej idzie jej pilnowanie, by podopieczni utrzymywali prosty kręgosłup - ale nie poprawił przeoryszy. Nalał jej cydru.

- Czy tutaj nie jest za zimno, wielbna matko?

- Lodowato - potwierdziła bez ogródek zakonnica.

- Dołożę do ognia.

- Mój siostrzeniec nadszkakuje ci, bo chce, żebyś zapłaciła za jego studia w Oksfordzie - oznajmił podstępnie Anthony.

Godwyn posłał mu wściekłe spojrzenie. Obmyślił już przemowę i wybrał odpowiedni moment na jej wygłoszenie, a teraz Anthony wyartykułował jego prośbę w najbardziej grubiański sposób.

- Sądzę, że nie stać nas na opłacenie nauki kolejnych dwóch studentów - odparła

Cecilia.

Teraz Anthony się zdziwił.

- Ktoś jeszcze zwrócił się do ciebie z taką prośbą?

- Może nie powinnam tego mówić. Nie chcę nikogo wpędzać w kłopoty.

- To nie ma znaczenia - rzekł szorstko Anthony. Po chwili zreflektował się i dodał: - Zawsze jesteśmy wdzięczni za twoją szczodrość.

Godwyn dołożył dREW do kominka i wyszedł. Dom przeora stał po północnej stronie katedry. Kruchta oraz inne zabudowania klasztorne - po przeciwnej stronie, od południa. Trzęsąc się z zimna, Godwyn przeszedł przez trawnik do kuchni.

Spodziewał się, że Anthony będzie gderał - był gderliwy z natury - i powie, że trzeba zaczekać, aż któryś z obecnie studiujących zakończy naukę. Jednak Godwyn był jego protegowanym, dlatego nie wątpił, że stryj go poprze. Zdecydowany opór Anthony'ego nim wstrząsnął.

Był ciekaw, kto jeszcze poprosił przeoryszę o wsparcie. Spośród dwudziestu sześciu mnichów sześciu było mniej więcej w tym samym wieku co Godwyn, więc to mógł być każdy z nich. Theodoric, pomocnik piwniczego, pomagał kucharzowi w kuchni. Czyżby to on był rywalem w walce o pieniądze Cecilii? Mnich właśnie nakładał na półmisek kaczkę w sosie jabłkowym. Theodoric był wystarczająco bystry, żeby myśleć o studiach. To może być on.

Zafrasowany Godwyn wziął posiłek i zaniósł do domu przeora. Będzie źle, jeśli Cecilia wybierze Theodorica. Godwyn nie obmyślił innego planu.

Chciał pewnego dnia zostać przeorem Kingsbridge. Nie miał wątpliwości, że poradzi sobie lepiej niż Anthony. A jeśli sprawi się dobrze jako przeor, może zasłuży na kolejne awansy: zostanie biskupem, arcybiskupem, a może nawet królewskim urzędnikiem lub doradcą. Miał dość mgliste wyobrażenie, jaki użytek zrobi z takiej władzy, lecz żywił przekonanie, że zajdzie daleko. Wszakże tylko dwie drogi prowadziły na takie wyżyny: pierwszą było arystokratyczne pochodzenie, a drugą edukacja. Godwyn urodził się w rodzinie kupieckiej, więc jego jedyną nadzieją były studia. Jednak aby pójść na uniwersytet, potrzebował pieniędzy Cecilii.

Postawił naczynia na stole.

- Jak zmarł król? - zapytała w tym momencie przeorysza. Godwyn zajął się dzieleniem kaczki.

- Czy życzysz sobie kawałek piersi, wielbna matko?

- Wywrócił się - odpowiedział Anthony.

- Poproszę. Wywrócił się? - zapytała z niedowierzaniem przeorysza. - Mówisz tak, jakby król był zniedołężniałym starcem. Wszak miał dopiero czterdzieści trzy lata!

- Tak powiedzieli strażnicy. - Zdetronizowanego króla umieszczono w zamku Berkeley, znajdującym się o kilka dni jazdy od Kingsbridge.

- Ach tak, strażnicy. Ludzie Mortimera. - Przeorysza miała złe zdanie o Mortimerze, hrabim

March, który nie dość, że stanął na czele rebelii skierowanej przeciwko Edwardowi II, to jeszcze uwiódł jego żonę, królową Izabelę.

Przeor i przeorysza zabrali się do jedzenia. Godwyn zastanawiał się, czy zostawią jakieś resztki. »

- Mówisz tak, jakbyś podejrzewała coś niecnego - zauważył Anthony.

- Skądże znowu - zaproponowała Cecilia. - Ale inni, owszem, podejrzewają. Krążą pogłoski, że...

- Że króla zamordowano? Tak, wiem. Widziałem jego obnażone ciało. Nie zauważyłem na nim śladów użycia przemocy.

Godwyn wiedział, że nie powinien się wtrącać, lecz nie mógł się powstrzymać.

- Powiadają, że kiedy król umierał, tak krzyczał z bólu, że słyszeli go wszyscy mieszkańcy wioski Berkeley.

Anthony przyjął postawę cenzora.

- Gdy umiera król, zawsze pojawiają się plotki.

- Ten król, zanim umarł, został pozbawiony władzy przez parlament. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy.

- Istniały po temu bardzo ważne powody - rzekł ściszym głosem Anthony. - W grę wchodził grzech nieczystości.

Godwyn wiedział, co kryje się za enigmatycznym stwierdzeniem wuja. Edward zdradzał nienaturalną skłonność do swoich „ulubieńców”, którymi byli młodzi mężczyźni. Pierwszy z nich, Peter Gaveston, otrzymał tak wielką władzę i przywileje, że wzbudziło to zawiść baronów. Został stracony za zdradę. Później byli inni. Nic dziwnego, powiadali ludzie, że królowa wzięła sobie kochanka.

- Nie mogę uwierzyć w coś takiego - oświadczyła Cecilia, która była zaprzysięgłą rojalistką. - Może jest prawdą, że banici w lasach oddają się takim odrażającym praktykom, ale mężczyzna z królewskiego rodu nigdy się do czegoś takiego nie zniży. Jest więcej tej gęsi?

- Tak - odparł Godwyn, ukrywając rozczarowanie. Odkroił ostatni kawałek mięsa i nałożył przeoryszy.

- Teraz przynajmniej nikt nie kwestionuje władzy nowego króla - stwierdził Anthony - Syn Edwarda Drugiego i królowej Izabeli otrzymał koronę i przyjął imię Edward Trzeci.

- Ma czternaście lat, a na tronie osadził go Mortimer - zauważyła Cecilia. - Kto naprawdę będzie rządził?

- Arystokracja jest rada, że sytuacja się ustabilizowała.

- Zwłaszcza ci, którzy są bliskimi znajomymi Mortimera.
- Masz na myśli hrabiego Rolanda z Shiring?
- Dzisiaj sprawiał wrażenie zadowolonego.
- Nie chcesz chyba powiedzieć...
- Że miał coś wspólnego z tak zwanym upadkiem króla? Ależ skąd. - Przeorysza zjadła resztę mięsa. - Mówienie o tym nawet w gronie przyjaciół byłoby niebezpieczne.
- W istocie.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Saul Whitehead. Był w tym samym wieku co Godwyn. Czy to on jest jego rywalem? Był zdolny i inteligentny, a do tego mógł się poszczycić powinowactwem z hrabią Shiring. Jednak Godwyn wątpił, czy jego ambicją są studia w Oksfordzie. Młody mnich był pobożny i nieśmiały, dla takich jak on skromność nie jest cnotą, gdyż przychodzi im w sposób naturalny. Ale Godwyn niczego nie mógł wykluczyć.

- Do szpitala zawitał rycerz z raną od miecza - oznajmił Saul.
- To ciekawe - mruknął Anthony. - Lecz nie na tyle wstrząsające, żeby przeszkadzać w obiedzie przeorowi i przeoryszy.

Saul się zmieszał.

- Proszę o wybaczenie, ojcie przeorze - wydukał. - Istnieją sprzeczne opinie co do kuracji.

- Cóż, gęś i tak już zjedzona - westchnął Anthony, wstając.

Cecilia wyszła razem z nim, a Godwyn i Saul podążali z tyłu. Weszli do katedry od północnej strony, minęli skrzyżowanie naw i wyszli południowym wejściem, a następnie przez kruchtę dotarli do szpitala. Ranny rycerz spoczywał na łożu najbliższej ołtarza, bo takie prawo przysługiwało mu z racji wysokiego pochodzenia.

Przeor Anthony mimo woli jęknął, a potem wydał okrzyk strachu. Wnet jednak odzyskał panowanie nad sobą i jego twarz przestała zdradzać emocje.

Nie uszło to jednak uwagi Cecylii.

- Czyżbyś znał tego mężczyznę? - spytała.
- Tak mi się wydaje. To Thomas Langley, jeden z ludzi hrabiego Monmouth. Mężczyzna był przystojny. Miał dwadzieścia kilka lat, szerokie bary i długie ręce. Na jego obnażonym torsie krzyżowały się blizny po ranach odniesionych w walkach. Był blady i wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

- Napadnięto go na gościńcu - wyjaśnił Saul. - Zdołał odeprzeć napastników, ale później musiał się czołgać ponad milę do miasteczka. Stracił bardzo dużo krwi.

Na przedramieniu rycerza widniała długa rana sięgająca aż do nadgarstka. Musiała powstać od cięcia ostrym mieczem.

Obok pacjenta stał starszy medyk klasztorny, brat Joseph. Był niskim mężczyzną, miał trzydzieści parę lat, duży nos i zepsute zęby.

- Rana nie powinna się zamykać, trzeba traktować ją maścią, żeby pojawiła się ropa - stwierdził. - W ten sposób wypędzimy złe ciecze i rana zagoi się od wewnątrz.

Anthony potwierdził skinieniem głowy.

- Kto się z tym nie zgadza?

- Matthew Barber* [* Barber (ang.) - golibrodą, fryzjer.] uważa, że należy postąpić inaczej.

Matthew był golibrodą i chirurgiem w miasteczku. Stał z tyłu w postawie pełnej szacunku, lecz teraz wystąpił naprzód. W dłoniach trzymał skórzany pokrowiec z drogimi ostrymi nożami. Był drobnym chudzielcem o jasnoniebieskich oczach i poważnym wyrazie twarzy.

Anthony nawet nie skinął mu głową, tylko zwrócił się do Josepha:

- Co on tu robi?

- Rycerz go zna i kazał po niego posłać. Anthony spojrzał na Thomasa.

- Jeśli potrzeba ci rzeźnika, czemu przyszedłeś do szpitala?

Na wargach rycerza pojawił się cień uśmiechu, lecz mężczyzna był zbyt wyczerpany, żeby odpowiedzieć.

Matthew odezwał się z zaskakującą pewnością siebie, najwyraźniej niezrażony pogardliwą uwagą przeora.

- Na polu bitwy widziałem wiele takich ran, ojcze przeorze. Najlepsza jest prosta metoda: przemycie rany ciepłym winem, a później zaszyje jej i zabandażowanie.

Okazało się, że chłopak nie jest tak zahukany, na jakiego wygląda. Do rozmowy wtrąciła się matka Cecilia:

- Ciekawe, czy nasi dwaj młodzi mnisi mają jakieś zdanie w tej kwestii. Anthony okazał zniecierpliwienie, lecz Godwyn uświadomił sobie, do czego zmierza przeorysza. To była próba. Może to właśnie Saul jest jego rywalem w wyścigu o pieniądze.

Odpowiedź była prosta, więc zareagował pierwszy.

- Brat Joseph studiował pisma starożytnych mistrzów, na pewno wie lepiej. Matthew pewnie nawet nie umie czytać.

- Umie, bracie Godwynie - sprostował chłopak. - I mam książkę. Anthony parsknął śmiechem. Rozbawiła go sama myśl, że golibrodą może mieć książkę. Równie dobrze koń mógłby

nosić kapelusz.

- Cóż to za książka?

- Kanon Avicenny, wielkiego arabskiego lekarza. Przetłumaczony na łacinę. Przeczytałem ją powoli.

- Czy taką kurację opisuje Avicenna?

- Nie, ale...

- Otóż to.

Matthew nie dawał za wygraną:

- Wędrując z wojskiem, nauczyłem się o leczeniu rannych więcej niż z księgi Avicenny.

- A co ty sądzisz, Saulu?

Godwyn spodziewał się, że Saul udzieli takiej samej odpowiedzi. Cecilia nie mogłaby zatem na tej podstawie podjąć decyzji. Jednak Saul, choć wyglądał na onieśmiałego i zdenerwowanego, odpowiedział inaczej:

- Golibroda może mieć rację. - Godwyn z ulgą przyjął tę odpowiedź. Saul najwyraźniej błędził. - Kuracja zaproponowana przez brata Josepha może być odpowiedniejsza dla ran tłuczonych, takich, jakie zdarzają się na placach budów. Wówczas skóra i ciało wokół rany są uszkodzone i przedwczesne jej zamknięcie może doprowadzić do powstania wewnątrz złych cieczy. To jest zwyczajna rana cięta, więc im prędzej się ją zaszyje, tym lepiej.

- Nonsens! - prychnął przeor. - Miejski golibroda ma rację, a wykształcony mnich się myli?

Godwyn stłumił uśmiech triumfu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył młody mężczyzna ubrany w szaty kapłana. Godwyn rozpoznał Richarda, młodszego z dwóch synów hrabiego Shiring, Rolanda. Skinął niedbale przeorowi i przeoryszy, co graniczyło z afrontem. Podszedł prosto do łóżka.

- Co się, u diabła, stało?

Thomas z trudem uniósł rękę i skinął na Richarda. Ksiądz nachylił się nad pacjentem, a ten wyszeptał mu coś do ucha.

Ojciec Richard odsunął się, jakby usłyszał coś wstrząsającego.

- To wykluczone! - wykrzyknął.

Thomas skinął po raz drugi i scena się powtórzyła. Po chwili Richard zapytał:

- Ale dlaczego? Thomas nie odpowiedział.

- Prosisz o coś, co nie leży w naszej mocy - rzekł Richard.

Thomas pokiwał zdecydowanie głową, jakby chciał powiedzieć: „Owszem, to leży w waszej

mocy”.

- Nie dajesz nam wyboru. Thomas powoli pokręcił głową. Richard odwrócił się do przeora.
- Sir Thomas pragnie zostać mnichem w tym klasztorze. Zapadła cisza. Pierwsza odezwała się

Cecilia:

- Ależ ten człowiek przelewa krew!
- Dajże spokój - rzekł zniecierpliwiony Richard. - Zdarza się czasem, że wojownik chce zmienić swoje życie i szukać przebaczenia za popełnione grzechy.

- Może na starość - zauważyła Cecilia. - A ten mężczyzna nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat. Próbuje uciec przed jakimś niebezpieczeństwem. - Spojrzała na Richarda. - Kto mu zagraża?

- Powściągnij swoją ciekawość - uciął szorstko Richard. - Chce zostać mnichem, a nie zakonnicą, daruj więc sobie dalsze dociekania.

Jego zachowanie względem przeoryszy było niedopuszczalne, lecz synom wielmożów takie rzeczy uchodziły płazem. Richard odwrócił się do Anthony'ego:

- Musisz go przyjąć.
- Klasztor jest zbyt biedny, by przyjmować kolejnych mnichów... Chyba że otrzymalibyśmy dar na opłacenie kosztów.

- To można załatwić.
- Musiałby być odpowiedni do potrzeb...
- Taki właśnie będzie!
- Dobrze więc.

Cecilia nie kryła podejrzliwości.

- Czyżbyś wiedział o tym człowieku więcej, niż mi powiedziałeś? - zapytała Anthony'ego.
- Nie mam powodu go nie przyjąć.
- Dlaczego uważasz, że szczerze pragnie być przyjętym w szeregi mnichów? Wszyscy

spojrzeli na Thomasa. On zaś zamknął oczy.

- Będzie musiał dowieść szczerości swoich zamiarów podczas nowicjatu, jak każdy

inny.

Przeorysza nie była usatysfakcjonowana tą odpowiedzią, lecz Anthony wyjątkowo nie prosił jej o pieniądze, nie mogła zatem zrobić nic więcej.

- Zajmijmy się lepiej jego raną - powiedziała.
- Pacjent nie zgodził się na propozycję brata Josepha - oznajmił Saul. - Właśnie dlatego

musieliśmy sprowadzić ojca przeora.

Anthony pochylił się nad rycerzem. Głośno, jakby przemawiał do głuchego, rzekł:

- Musisz poddać się kuracji brata Josepha. On wie najlepiej, co robić. Thomas leżał, nie zdradzając oznak przytomności.

Anthony odwrócił się do medyka.

- Pacjent nie zgłasza już sprzeciwu.

- Ale straci rękę! - zaprotestował Matthew Barber.

- Radzę ci stąd odejść - syknął Anthony. Rozgniewany Matthew wyszedł.

- Może zechcesz wypić w moim domu kubek cydru - zaproponował Anthony Richardowi.

- Dziękuję.

Gdy wychodzili, Anthony zwrócił się do Godwyna:

- Zostań tutaj i pomóż matce przeoryszy. Zajdź do mnie przed nieszporami, chcę wiedzieć, jak goi się ręka rycerza.

Przeor zwykle nie zaprzętał sobie głowy zdrowiem pacjentów. Najwyraźniej ten wzbudził jego szczególne zainteresowanie.

Godwyn obserwował, jak brat Joseph nakłada maść na rękę nieprzytomnego Thomasa. Zdawało mu się, że zapewnił sobie finansowe wsparcie Cecylia właściwą odpowiedzią na pytanie, lecz chętnie usłyszałby jej deklarację. Gdy brat Joseph skończył zabieg, a Cecilia zaczęła obmywać czoło chorego wodą różaną, Godwyn rzekł:

- Mam nadzieję, że przychylnie odpowiesz na moją prośbę, siostrze. Cecilia spojrzała nań ostro.

- Dowiedz się, że postanowiłam dać pieniądze Saulowi. Godwyn był wstrząśnięty.

- Ależ ja udzieliłem prawidłowej odpowiedzi!

- Czyżby?

- Niemożliwe, żebyś przyznała rację golibrodzie! Przeorysza uniosła brwi.

- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania, bracie Godwynie.

- Przepraszam, ale po prostu nie rozumiem.

- Wiem.

Jeśli postanowiła być tajemnicza, nie było sensu z nią rozmawiać. Godwyn odwrócił się, drżąc. Był głęboko rozczarowany. Cecilia chce dać pieniądze Saulowi! Czyżby dlatego, że jest spokrewniony z hrabią? Godwyn odrzucił tę myśl: Cecilia jest zbyt niezależna w sądach. Stwierdził, że szalę przeważała pobożność, którą Saul aż nadto eksponował. Ale Saul nigdy nie będzie przywódcą. Co za marnotrawstwo pieniędzy. Godwyn zaczął się zastanawiać, jak powie o tym wszystkim matce. Będzie wściekła, ale kogo obarczy winą? Anthony'ego czy jego, Godwyna? Opanował go dobrze znany lęk.

W tej samej chwili w drzwiach szpitala ukazała się rosla kobieta z wydatnym biustem. Petranilla spojrzala na syna i stanęła, czekając, aż do niej podejdzie. Godwyn ruszył powoli w jej stronę, obmyślając, co powie.

- Ciotka Rosę umiera - oznajmiła, gdy się zbliżył.

- Niech pan Bóg błogosławi jej duszę. Matka Cecilia już mi powiedziała.

- Jesteś wstrząśnięty. Ale wiedziałeś przecież, jak ciężki jest stan Rosę.

- To nie z powodu cioci Rosę. Mam inne złe wieści. - Godwyn przełknął ślinę. - Nie pójdę do Oksfordu. Wuj Anthony nie zapłaci za studia, a matka Cecilia też odrzuciła moją prośbę.

Petranilla nie okazała gniewu, co Godwyn przyjął z ulgą. Jednak jej usta się zacisnęły.

- Dlaczego? - spytała.

- Anthony nie ma pieniędzy, a Cecilia chce wysłać na studia Saula.

- Saula Whiteheada? Z niego nic nie będzie.

- Ale przynajmniej zostanie lekarzem.

Matka spojrzala Godwynowi prosto w oczy. Przeszedł go dreszcz.

- Wydaje mi się, że źle się do tego zabrałeś - stwierdziła. - Powinieneś być wcześniej porozmawiać ze mną.

Godwyn obawiał się tych słów.

- Jak możesz mówić, że źle się do tego zabrałem? - zaprotestował słabo.

- Najpierw ja powinnam była pomówić z Anthonym. Zmiękczyłabym go.

- I tak mógłby odmówić.

- A zanim zwróciłeś się do Cecylii, powinieneś być się dowiedzieć, czy ktoś inny prosił ją o pieniądze. Wtedy mógłbyś osłabić pozycję Saula.

- W jaki sposób?

- On musi mieć jakiś słaby punkt. Mogłeś go odkryć i zwrócić na niego uwagę Cecylii.

Poczułaby się rozczarowana, a wówczas ty ujawniłbyś swoje zamiary.

Godwyn zrozumiał, że matka ma rację.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał, schylając głowę.

- Takie rozgrywki należy planować, tak jak hrabiowie planują bitwy - stwierdziła Petranilla, powściągając gniew.

- Teraz to widzę - rzekł, unikając jej wzroku. - Nie popełnię więcej tego samego błędu.

- Mam nadzieję. Godwyn spojrzal na matkę.

- Co mam teraz robić?

- Ja się nie poddam. - Na twarzy Petranilli malowała się determinacja. - Znajdę pieniądze.

Godwyn poczuł przyływ nadziei, nie umiał jednak wyobrazić sobie, jak matka może spełnić tę obietnicę.

- Skąd je weźmiesz?

- Zrezygnuję z domu i wprowadzę się do Edmunda.

- On cię przyjmie? - Edmund był wielkoduszny, ale czasem ścierał się z siostrą.

- Myślę, że tak. Wkrótce zostanie wdowcem i będzie potrzebował kogoś, kto zajmie się domem. Choć trzeba powiedzieć, że Rosę nigdy nie była dobra w tej roli.

Godwyn pokręcił głową.

- Mimo to będziesz potrzebowała pieniędzy.

- Na co? Edmund zapewni mi wikt i opierunek i zapłaci za nieliczne drobne rzeczy, które są mi potrzebne. Ja w zamian zajmę się służbą i wychowam jego córki. A ty dostaniesz pieniądze, które odziedziczyłam po twoim ojcu.

Petranilla mówiła mocnym głosem, lecz Godwyn widział na jej twarzy gorycz i gniew. Rozumiał, jakie to będzie dla niej poświęcenie. Czerpała dumę ze swej niezależności. Była osobą znaną w mieście, córką zamożnego człowieka i siostrą najważniejszego kupca. Ceniła sobie tę pozycję. Lubiała zapraszać wpływowych mieszczan i mieszcanki z Kingsbridge, by zjeść z nimi obiad i napić się przedniego wina. A teraz zamierzała wprowadzić się do domu Edmunda i żyć jak uboga krewna, całkowicie zależna od brata, być kimś w rodzaju służącej. To byłaby straszna degradacja.

- Nie wolno ci się aż tak poświęcać - zaprotestował Godwyn.

Twarz jego matki stwardniała. Petranilla wzruszyła lekko ramionami, jakby szykowała się na przyjęcie na swe barki wielkiego ciężaru. - Owszem, wolno.

5

Gwenda opowiedziała o wszystkim ojcu.

Przysięgła na krew Jezusa, że dochowa tajemnicy, więc pójdzie za to do piekła. Jednak bardziej od piekła bała się ojca.

Zaczął od pytania, skąd wzięła Skipa, nowego pieska. Gwenda musiała opowiedzieć, jak zginął Hop, a potem cała historia wyszła na jaw.

Ku swojemu zdumieniu nie dostała lania. Tata był nawet zadowolony. Kazał Gwendzie zaprowadzić się na polanę, na której stoczono walkę. Nie było łatwo odszukać to miejsce, ale jakoś jej się udało. Później znaleźli ciała dwóch zbrojnych w zielono-żółtych liberiach.

Najpierw tata otworzył ich sakiewki. Było w nich po dwadzieścia lub trzydzieści pensów. Ojciec Gwendy bardziej ucieszył się z mieczy, które były warte znacznie więcej. Potem zabrał się do

rozbierania mężczyzn. Trudno mu było zrobić to jedną ręką więc kazał córce sobie pomagać. Pozbawione życia ciała były ciężkie i sztywne, Gwenda miała dziwne uczucie, dotykając ich. Tata kazał jej zdjąć wszystko, nawet zabłocone buty i brudną bieliznę.

Zawinął broń w ubrania, robiąc z nich tobołki. Później przy pomocy Gwendy zawlókł nagie zwłoki z powrotem w chaszczę.

Wracał do miasteczka w wesołym nastroju. Zabrał córkę na biegnącą w pobliżu rzeki ulicę rzeźników. Weszli do dużej, lecz brudnej oberży o nazwie Biały Koń. Kupił Gwendzie kufelek piwa, a sam zniknął na zapleczu oberży z właścicielem, którego nazywał Davey. Gwenda wypłała drugie piwo w ciągu jednego dnia. Po kilku minutach tata wrócił bez tobołka.

Poszli na główną ulicę miasteczka i znaleźli mamę, Philemona i niemowlę w karczmie Bella, która znajdowała się nieopodal bramy opactwa. Tata puścił oko do mamy i dał jej duży zwitek banknotów, a ona schowała go zaraz pod kocykiem dziecka.

Po południu większość przybyszów wracała do swoich wiosek, lecz do Wigleigh było za daleko, więc rodzina Gwendy musiała przenocować w karczmie. Tata wciąż powtarzał, że teraz ich na to stać, ale mama przestrzegała:

- Nie chwal się przed ludźmi, że masz pieniądze!

Gwenda była zmęczona. Wstała wcześniej i pokonała długą drogę. Położyła się na ławie i natychmiast usnęła.

Obudził ją łoskot gwałtownie otwieranych drzwi. Przestraszona podniosła głowę i zobaczyła dwóch zbrojnych. Pomyślała, że to duchy mężczyzn zabitych w lesie, i zdjęło ją przerażenie. Po chwili spostrzegła, że to inni ludzie w takich samych zielono-żółtych ubraniach. Młodszy z nich trzymał znajomy tobołek. Drugi zwrócił się wprost do ojca Gwendy:

- Ty jesteś Joby z Wigleigh?

Gwenda znów zaczęła się bać. W głosie mężczyzny zabrzmiała groźba. Nie udawał, sprawiał wrażenie kogoś, kto uczyni wszystko, żeby postawić na swoim.

- Nie - skłamał odruchowo tata. - Pomyliliście się.

Tamci puścili to mimo uszu. Młodszy mężczyzna położył tobołek na stole i rozwinął go. Ukazały się dwie żółto-zielone liberie, a w nich dwa miecze i dwa sztylety. Starszy ze zbrojnych spojrzał na ojca Gwendy.

- Skąd to się wzięło?

- Nigdy tych rzeczy nie widziałem, przysięgam na krzyż.

Gwenda pomyślała ze strachem, że ojciec postępuje głupio, zaprzeczając. Wydobędą od niego prawdę, tak jak on wydobyl ją od niej.

- Davey, właściciel Białego Konia, mówi, że kupił te rzeczy od Joby'ego z Wigleigh - oznajmił twardo mężczyzna. Nieliczni klienci wstali i pośpiesznie wymknęli się z gospody. Została tylko rodzina Gwendy.

- Joby wyszedł - bronił się rozpaczliwie ojciec Gwendy. Mężczyzna w żółto-zielonym kubraku skinął głową.

- Z żoną, dwójką dzieci i niemowlęciem?

- Tak.

Tamten zareagował błyskawicznie. Złapał ojca Gwendy za kaftan i przycisnął go do ściany. Mama krzyknęła, a dziecko zaczęło płakać. Gwenda zauważyła, że napastnik ma na dłoni rękawicę pokrytą kolczugą. Mężczyzna odwiódł rękę i uderzył ojca Gwendy w brzuch.

- Ratunku! Mordują! - krzyknęła mama. Philemon wybuchnął płaczem. Twarz taty pobieliała z bólu, jego ciało zwiotczało, lecz napastnik nie pozwolił mu upaść. Zadał drugi cios, tym razem w twarz. Z ust i nosa Joby'ego trysnęła krew.

Gwenda chciała krzyknąć. Otworzyła szeroko usta, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Myślała, że ojciec jest wszechpotężny, choć czasem udawał słabego lub zranionego, by uniknąć czyjegoś gniewu lub wywołać współczucie. Była przerażona, widząc jego bezradność.

W drzwiach prowadzących na tyły domu pojawił się oberżysta. Był to rosły mężczyzna po trzydziestce. Zza jego pleców wychylała się mała pulchna dziewczynka.

- Co to ma znaczyć? - spytał zdecydowanym głosem. Uzbrojony mężczyzna nawet nie spojrzał w jego stronę.

- Nie wtrącaj się - odparł, po czym znów uderzył ojca Gwendy w brzuch. Ten zaczął wymiotować krwią.

- Przestań - powiedział karczmarz.

- Za kogo ty się uważasz? - syknął zbrojny.

- Nazywam się Paul Bell, a to jest mój dom.

- W takim razie pilnuj swoich spraw, Paulu Bell, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

Pewnie wydaje ci się, że skoro nosisz ten strój, to wszystko ci wolno - odrzekł z pogardą Paul.

- Nie mylisz się.

- Czyje to barwy?

- Królowej.

- Bessie, biegnij i sprowadź tu porządkowego Johna - rzucił Paul przez ramię. - Jeśli ktoś ma zginąć w mojej gospodzie, to chcę, żeby porządkowy to widział.

Dziewczynka zniknęła.

- Nikt tu nie zginie - rzekł mężczyzna. - Joby poszedł po rozum do głowy. Zaprowadzi mnie do miejsca, w którym obrabował dwóch zabitych. Prawda, Joby?

Ojciec Gwendy nie mógł odpowiedzieć, ale skinął głową. Napastnik puścił go, a on upadł na kolana, krztusząc się i kaszląc. Mężczyzna spojrzął na resztę rodziny.

- A gdzie jest dziecko, które widziało walkę?

- Nie! - krzyknęła Gwenda. Mężczyzna z zadowoleniem skinął głową.

- A więc to ta mała z pyszczkiem jak u szczura. Gwenda podbiegła do matki, a ta wyszeptwała:

- Maryjo, Matko Boska, ratuj moje dziecko.

Mężczyzna złapał Gwendę za rękę i odciągnął ją od matki. Dziewczynka wrzasnęła z bólu.

- Nie wydzieraj się, bo posmakujesz tego samego, co twój parszywy tatuś. Gwenda zacisnęła mocno usta, żeby nie krzyknąć.

- Wstawaj, Joby. - Uzbrojony mężczyzna podciągnął ojca Gwendy. - Zbieraj się, wybierzemy się na przejażdżkę.

Drugi mężczyzna pozbierał ubrania i broń.

- Zrób wszystko, co ci każą! - zawołała rozpaczliwie matka. Gwenda siedziała przed starszym z mężczyzn, a jej ojciec jechał w tej samej pozycji na drugim koniu. Jęczał z bólu, więc Gwenda wskazywała drogę. Pokonawszy trasę dwa razy, dobrze ją zapamiętała. Posuwali się szybko, lecz gdy dotarli do przesieki, już się ściemniało.

Młodszy ze zbrojnych pilnował Gwendy i jej ojca, starszy wyciągnął zwłoki z krzaków.

- Ten Thomas musi być nie lada szermierzem, skoro pokonał Harry'ego i Alfreda - orzekł mężczyzna, spoglądając na ciała. Gwenda uświadomiła sobie, że ci dwaj nie wiedzą o pozostałych dzieciach. Wyznałaby, że nie była sama i że Ralph zabił jednego ze zbrojnych, ale była zbyt przestraszona. - Prawie odciął Alfredowi głowę - ciągnął mężczyzna. Odwrócił się i spojrzął na Gwendę. - Czy mówiono coś o liście?

- Nie wiem! - wykrzyknęła Gwenda, odzyskując głos. - Miałam zamknięte oczy, bo się bałam! Nie słyszałam, co mówią! To prawda, powiedziałabym, gdybym wiedziała!

- Gdyby wzięli od niego list, odebrałby go im, gdy już byli martwi - powiedział mężczyzna do towarzysza. Rozejrzał się po koronach drzew wokół polany, jakby spodziewał się, że list będzie wisiał wśród usychających liści. - Pewnie ma go ze sobą w klasztorze, a tam nie możemy go dopaść, bo to święte miejsce.

- Ale przynajmniej możemy opowiedzieć dokładnie, co się stało, zabrać ciała i urządzić im

chrześcijański pochówek - odrzekł jego towarzysz.

Nagle ojciec Gwendy wyrwał się uzbrojonemu mężczyźnie i rzucił do ucieczki. Zbrojny chciał go ścigać, lecz starszy towarzysz go powstrzymał.

- Daj spokój... Nie ma sensu go teraz zabijać. Gwenda się rozplakała.

- A co z dzieckiem? - spytał młodszy.

Gwenda była pewna, że chcą ją zabić. Nic nie widziała przez łzy i szlochała tak gwałtownie, że nawet nie mogła błagać o darowanie życia. Zginie i pójdzie do piekła. Czekala na śmiertelny cios.

- Puść ją - odparł drugi zbrojny. - Nie urodziłem się po to, żeby zabijać dzieci.

Młodszy puścił ją i lekko pchnął. Potknęła się i upadła. Wstała, otarła łzy, żeby lepiej widzieć, i potykając się, zaczęła biec.

- No, zmykaj! - zawołał za nią mężczyzna. - To twój szczęśliwy dzień.

Caris nie mogła zasnąć. Wstała i poszła do pokoju mamy. Tata siedział na taborecie, wpatrując się w nieruchomą postać na łóżku.

Oczy mamy były zamknięte, w blasku świecy jej twarz lśniła od potu. Prawie nie oddychała. Caris wzięła ją za rękę, która była przeraźliwie zimna. Trzymała dłoń, próbując ją ogrzać.

- Dlaczego zabrali jej krew? - spytała.

- Uważają, że czasem choroba pochodzi z nadmiaru cieczy. Mają nadzieję, że upuszczając krew, pozbędą się choroby.

- Ale to mamie nie pomogło.

- Nie. Chyba jest jeszcze gorzej.

- Więc dlaczego im pozwoliłeś? - zapytała Caris ze łzami w oczach.

- Księża i mnisi studiują pisma starożytnych filozofów, wiedzą więcej od nas.

- Nie wierzę w to.

- Człowiek sam już nie wie, w co wierzyć, kwiatuszku.

- Gdybym ja była lekarzem, robiłabym to, co ludziom pomaga.

Tata nie słuchał, tylko wpatrywał się intensywnie w twarz żony. Wsunął rękę pod koc, żeby dotknąć jej klatki piersiowej. Caris widziała zarys jego dużej ręki pod delikatną wełną. Z jego gardła wydobył się zduszony jęk. Przesunął rękę i przycisnął ją mocniej. Trwał tak przez kilka chwil.

A potem zamknął oczy.

Osuwając się powoli, ukląkł przy łóżku, jakby się modlił. Oparł czoło o udo żony, a jego ręka wciąż spoczywała na jej piersi.

Caris stwierdziła, że tata płacze. Była to najstraszniejsza rzecz, jaką ujrzała w życiu, znacznie

bardziej przerażająca niż śmierć mężczyzny w lesie. Płaczą dzieci, kobiety, ludzie słabi i bezradni, ale tata nigdy. Caris poczuła się tak, jakby nadchodził koniec świata.

Musi sprowadzić pomoc. Położyła rękę mamy na kocu, dłoń legła nieruchomo. Wróciła do swojego pokoju i potrząsnęła ramię śpiącej Alice.

- Obudź się!

Alice nie otwierała oczu.

- Tata płacze! Alice usiadła.

- Niemożliwe - odparła.

- Wstawaj!

Dziewczynka zsunęła się z łóżka. Caris złapała starszą siostrę za rękę i razem weszły do sypialni mamy. Tata stał, spoglądając na nieruchomą twarz na poduszce. Po jego policzkach spływały łzy. Alice patrzyła na niego, wstrząśnięta.

- Mówiłam ci - wyszeptała Caris.

Po drugiej stronie łóżka stała ciotka Petranilla.

Tata zauważył córki stojące w drzwiach i podszedł do nich. Otoczył każdą ramieniem, przyciągnął do siebie i uściśnął.

- Mama odeszła do aniołów - rzekł cicho. - Módlcie się za jej duszę.

- Musicie być dzielne, dziewczynki - dodała Petranilla. - Od teraz ja będę waszą mamą.

Caris otarła łzy i spojrzała na ciotkę.

- Nieprawda - odparła. - Nie będziesz naszą mamą.

CZEŚĆ II

8 czerwca-14 czerwca 1337

6

W Zielone Świątki tego roku, w którym Merthin kończył dwadzieścia jeden lat, na katedrę w Kingsbridge spadła wielka ulewa.

Ogromne krople deszczu bębniły o dachówki, strumienie wody wlewały się do rynsztoków, z gargulców tryskały fontanny, między wieżyczkami rozsnuwały się zasłony deszczu, potoki przelewały się nad łukami i kolumnami, zalewając posągi świętych. Niebo, wielki kościół i miasteczko - wszystko wyglądało, jakby pociągnięte zostało wilgotną szarą farbą.

Zielone Świątki upamięniają dzień, w którym Duoh Święty zstąpił na uczniów Jezusa. Przypadają na siódmą niedzielę po Wielkanocy, w maju lub czerwcu, a więc w Anglii wkrótce po

strzyżeniu owiec. Właśnie wtedy zaczynały się targi wełny w Kingsbridge.

Merthin przedzierał się przez deszcz, idąc na poranną mszę w katedrze. Nasuwał kaptur na twarz w daremnej nadziei, że pozostanie sucha. Droga prowadziła przez targ. Na rozległym zielonym trawniku na zachód od kościoła setki kupców rozstawiło swoje kramy. Teraz w pośpiechu przykrywali je płachtami nasączonego oliwą materiału. Najważniejsi na targach byli ci, którzy handlowali wełną - od drobnych handlarzy skupujących wełnę od wieśniaków, po wielkich kupców takich jak Edmund, mających składy pełne towaru. Wokół ich straganów pojawiły się kramy, na których można było kupić niemal wszystko: słodkie wino znad Renu, srebrny brokat przetykany złotą nicią z Łucki, szklane naczynia z Wenecji, kminek i pieprz z krain na Wschodzie, których nazwy znało niewielu ludzi. Byli także zwykli ludzie zaspokajający podstawowe potrzeby gości i kupców: piekarze, piwowarzy, sprzedawcy słodczy, wróżbiarze oraz prostytutki.

Kupcy przyjęli ulewę dzielnie, żartując między sobą, starając się tworzyć wrażenie zabawy. Jednak deszcz źle wróżył ich dochodom. Niektórzy musieli prowadzić interesy bez względu na pogodę: włoscy i flamandzcy kupcy potrzebowali delikatnej angielskiej wełny do tysięcy krosien we Florencji i Brugii. Lecz bardziej przypadkowi klienci zostaną w domu: żona rycerza, która postanowiła kupić gałkę muszkatową i cynamon; zamożny kmieć potrzebujący serdaka na zimę; adwokat, który stwierdził, że jego kochanka ucieszyłaby się ze złotej bransoletki.

Merthin nie zamierzał niczego kupować, bo nie miał pieniędzy. Był czeladnikiem, któremu nie płacono, i mieszkał ze swoim mistrzem, Elfrikiem Builderem. Jadł z gospodarzami, spał w kuchni na podłodze, nosił używane rzeczy Elfrica, ale nie dostawał żadnych pieniędzy. W długie zimowe wieczory rzeźbił ozdobne zabawki, które sprzedawał za kilka pensów - szkatułkę na klejnoty z tajnymi schowkami, kogucika, który wysuwał język, kiedy nacisnęło mu się ogon - lecz latem nie było wolnego czasu, gdyż rzemieślnicy pracowali aż do zmroku.

Terminowanie Merthina dobiegało końca. Za niespełna pół roku, pierwszego dnia grudnia, w wieku dwudziestu jeden lat zostanie członkiem cechu ciesielskiego w Kingsbridge. Nie mógł się już tego doczekać.

Wielkie zachodnie drzwi katedry były otwarte na przyjęcie tysięcy mieszczan i gości, którzy ściągają na dzisiejsze nabożeństwo. Merthin wszedł do środka, strząsając wodę z ubrania. Kamienna posadzka była śliska od wody i błota. W pogodny dzień wnętrze kościoła było rozświetlone kolumnami słonecznego światła, lecz dziś tonęło w półmroku. Witraże zasnuły się szarością, która okryła także wiernych odzianych w mokre ubrania.

Co się stało z lejącą się z nieba wodą? Wokół katedry nie było rowów odwadniających. Dziesiątki tysięcy galonów deszczówki po prostu wsiąkały w grunt. Czy woda płynie głębiej i głębiej,

by znów spaść w postaci deszczu w piekle? Nie. Katedrę wzniesiono na zboczu. Woda wędrowała pod ziemią, sącząc się z północy na południe. Fundamenty wielkich kamiennych budowli projektowano tak, żeby przepuszczały wodę, gdyż jej nagromadzenie groziło niebezpieczeństwem. Deszczówka wlewała się do rzeki płynącej wzdłuż południowego krańca terenu opactwa.

Merthin wyobraził sobie, że przez posadzkę czuje pod stopami pęd wody, jej dudniącą wibrację, gdy przesącza się przez fundamenty.

Podbiegł do niego mały czarny psiak, machając wesoło ogonem.

- Cześć, Scrap - powiedział Merthin i poklepał suczkę. Rozejrzył się w poszukiwaniu jej pani, Caris. Serce zabiło mu nieco szybciej.

Miała na sobie szkarłatny płaszcz odziedziczony po matce. W ponurej szarości panującej wewnątrz katedry była to jedyna barwna plama. Merthin uśmiechnął się szeroko na widok dziewczyny. Trudno było powiedzieć, co sprawiało, że jest taka ładna. Miała drobną okrągłą twarz o regularnych rysach, jasnobrązowe włosy i zielone oczy nakrapiane złotymi plamkami. Nie różniła się zbyt od setek dziewcząt w Kingsbridge, ale nosiła czepek lekko na bakier, a w jej oczach czaiła się drwiąca inteligencja. Spoglądała nimi na Merthina z psotnym uśmiechem, który obiecywał niejasne, lecz kuszące rozkosze. Znał ją od dziesięciu lat, ale dopiero kilka miesięcy temu uświadomił sobie, że ją kocha.

Caris pociągnęła go za kolumnę i pocałowała. Koniuszek jej języka przesunął się lekko po jego ustach.

Całowali się przy każdej okazji: w kościele, na rynku, kiedy spotkali się na ulicy. Ale najlepiej było wtedy, gdy znaleźli się sami w jej domu. Merthin żył tymi chwilami. Myślał o pocałunkach przed zaśnięciem i zaraz po przebudzeniu.

Bywał w domu Caris dwa lub trzy razy w tygodniu. Jej ojciec, Edmund, lubił Merthina, ale o ciotce Petranilli nie można było tego powiedzieć. Edmund był jowialnym mężczyzną i często zapraszał młodzieńca, by został na kolacji. Merthin przyjmował te zaproszenia z wdzięcznością, wiedząc, że u Elfrica nigdy nie skosztuje takich łakoci. Grali z Caris w szachy lub warcaby, albo po prostu siedzieli i rozmawiali. Merthin z przyjemnością słuchał, jak dziewczyna coś opowiada albo wyjaśnia, kreśląc w powietrzu rysunki. Jej twarz wyrażała rozbawienie lub zdziwienie, odzwierciedlała każde słowo. Ale najbardziej czekał na chwilę, kiedy będzie mógł skraść jej pocałunek.

Merthin rozejrzył się po kościele; nikt na nich nie patrzył. Wsunął rękę pod płaszcz i dotknął Caris przez miękką sukienkę. Jej ciało było ciepłe. Ujął w dłoń jej małą, okrągłą pierś. Cudownie było czuć, jak jej ciało reaguje na jego palce. Nigdy nie widział Caris nagiej, lecz piersi znał doskonale.

W jego marzeniach posuwali się dalej. Znajdowali się na polanie w lesie lub w wielkiej sypialni na zamku, i byli nadzy. Jednak, o dziwo, jego sny zawsze kończyły się o jedną chwilę za wcześnie. Zanim w nią wszedł, budził się, przepelnięty rozczarowaniem.

Kiedyś, pewnego dnia, myślał.

Nie rozmawiali jeszcze o ślubie. Czeladnikom nie wolno było się żenić, musiał więc czekać. Caris na pewno zastanawiała się, co zrobią, kiedy Merthin zakończy terminowanie, ale nie wypowiedziała njp-głos swoich przemyśleń. Wystarczało jej cieszenie się każdym dniem życia. A Merthin odczuwał zabobonny lęk przed rozmową o ich wspólnej przyszłości. Mówiło się, że pielgrzymi nie powinni za długo planować podróży, bo usłyszą o zbyt wielu niebezpieczeństwach i w końcu porzucą zamiar wyruszenia w drogę.

Merthin z poczuciem winy wysunął rękę spod sukienki Caris na widok przechodzącej zakonnicy, ona jednak nie zwróciła na nich uwagi. W ogromnym wnętrzu katedry ludzie robili rozmaite rzeczy. W zeszłym roku Merthin zauważył parę kochającą się przy ścianie w południowej nawie. Było to w czasie pasterki, w kościele panował półmrok. Zostali za to wyrzuceni. Teraz Merthin myślał o tym, że przez całą mszę będą się dyskretnie pieścili.

Jednak Caris miała inne zamiary.

- Chodźmy na przód - powiedziała, łapiąc Merthina za rękę i prowadząc go przez tłum wiernych. Merthin znał wielu z nich, ale nie wszystkich: Kingsbridge było jednym z większych miast w Anglii, mieszkało w nim około siedmiu tysięcy ludzi, więc trudno było znać każdego. Dotarli do transeptu. Tam natrafili na drewnianą barierkę zamykającą przejście do wschodniego końca, czyli prezbiterium, miejsca przeznaczonego tylko dla duchownych.

Merthin znalazł się obok Buonaventury Carolego, najważniejszego z włoskich kupców, krępego mężczyzny ubranego w bogato haftowany płaszcz z grubej wełny. Caroli pochodził z Florencji - mówił, że to największe miasto w świecie chrześcijańskim, ponad dziesięć razy większe od Kingsbridge - ale obecnie mieszkał w Londynie, kierując handlem rodziny z angielskimi producentami wełny. Rodzina Carolich miała tyle pieniędzy, że pożyczala je królom, jednak Buonaventura był miłym i przystępnym człowiekiem. Powiadano wszelako, że w interesach potrafi być niezwykle twardy.

Caris przywitała się z nim swobodnie, jak z kimś dobrze znanym, gdyż Caroli gościł w jej domu. Kupiec skinął Merthinowi głową, choć nawet on musiał odgadnąć, że ma do czynienia ze zwykłym czeladnikiem. Wskazywał na to wiek młodzieńca i znoszone ubranie.

Buonaventura przyglądał się architekturze katedry.

- Przyjeżdżam do Kingsbridge od pięciu lat - rzekł - ale dopiero dzisiaj zauważyłem, że okna

w transepcie są o wiele większe od tych, które znajdują się w pozostałych ścianach kościoła.

Mężczyzna mówił po francusku, wplatając słowa używane w Toskanii.

Merthin rozumiał go bez trudu. Tak jak większość synów angielskich rycerzy, rozmawiał z rodzicami w dialekcie normańskim, a po angielsku - z kolegami. Znaczenie wielu włoskich słów potrafił odgadywać dzięki temu, że w szkole klasztornej uczył się łaciny.

- Mogę panu powiedzieć, dlaczego okna są tak rozmieszczone - oznajmił. Buonaventura uniósł brwi, zdziwiony, że czeladnik może się pochwalić taką wiedzą.

- Kościół wzniesiono dwieście lat temu, gdy wąskie spiczaste okna, takie jakie są w nawie i prezbiterium, były nowością. Sto lat później biskup zażyczył sobie wyższej wieży, kazał więc jednocześnie przebudować transepty i umieścić w nich większe okna, które wtedy stały się modne.

- A skąd o tym wiesz? - spytał Buonaventura, na którym wiedza czeladnika zrobiła duże wrażenie.

- W klasztornej bibliotece znajduje się dzieło opisujące dzieje klasztoru, zatytułowane Księga Timothy 'ego. Można w niej przeczytać o budowie katedry. Większość napisano w czasach wielkiego przeora Philipa, ale później różni autorzy dopisywali nowe fragmenty. Przczytałem ją jako uczeń w szkole klasztornej.

Buonaventura przypatrywał się uważnie twarzy Merthina, jak gdyby starał się utrwalić ją sobie w pamięci.

- To piękna budowla - rzucił po chwili mimochodem.

- Czy budowle w Italii bardzo różnią się od naszych? - Rozmowy o innych krajach fascynowały Merthina. Ciekawiło go wszystko, zwłaszcza architektura.

Buonaventura się zadumał.

- Wydaje mi się, że podstawowe zasady architektury są wszędzie takie same. Ale nigdzie w Anglii nie widziałem kopuły - rzekł wreszcie.

- Co to jest kopuła?

- Okrągły dach, taki jak połowa kuli. Merthin był zdumiony.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem! Jak to się buduje? Buonaventura parsknął śmiechem.

- Młodzieńcze, ja jestem kupcem. Potrafię odróżnić runo owcy z Cotswoldu od runa z Lincolnu, wystarczy, że potrę je między palcami, ale nie mam pojęcia, jak buduje się kurnik, a co dopiero katedrę.

Do kościoła wszedł mistrz Merthina, Elfric. Był zamożnym człowiekiem i nosił drogie ubrania, które jednak zawsze wyglądały na nim tak, jakby należały do kogoś innego. Zignorował Caris i Merthina, lecz jako notoryczny lizus uklonił się nisko Buonaventurze.

- To wielki zaszczyt znów gościć cię w naszym mieście, panie. Merthin się odwrócił.

- Jak sądzisz, ile jest języków? - zapytała Caris. Dziewczyna ciągle zaskakiwała go takimi dziwnymi pytaniami.

- Pięć - odparł bez zastanowienia Merthin.

- Bądź poważny. Jest angielski, francuski i łaciński, mamy więc trzy. Florentczycy i Wenecjanie mówią inaczej, choć mają dużo takich samych słów.

- Masz rację - rzekł Merthin, podejmując zabawę. - To już daje pięć języków. Jest jeszcze flamandzki.

Niewielu ludzi rozumiało język kupców przybywających do Kingsbridge z tkackich miast we Flandrii: Ypres, Brugii i Ghentu.

- I duński.

- Arabowie mają swój język, a gdy piszą, używają innych liter niż nasze.

- Matka Cecilia powiedziała mi, że wszystkie barbarzyńskie narody mają swoje języki, których nikt nawet nie potrafił zapisywać: Szkoci, Walijczycy, Irlandczycy i inne pewnie też. To już jedenaście, a przecież mogą istnieć ludy, o których w ogóle nie słyszeliśmy!

Merthin uśmiechnął się szeroko. Caris „była jedyną osobą, z którą mógł prowadzić takie rozmowy. Nikogo spośród ich rówieśników nie bawiło wyobrażanie sobie nieznanymi narodów i ich życia. Caris tymczasem potrafiła niespodziewanie zapytać: „Jak to jest mieszkać na krańcu świata?”. „Czy księża mają niewłaściwe pojęcie o Bogu?”. „Skąd wiesz, że nie śnisz, na przykład w tej chwili?”. Wtedy wyruszyli w podróż do krainy spekulacji, prześcigając się w najdziwniejszych pomysłach.

Szmer rozmów w katedrze nagle ucichł. Merthin zobaczył, że mnisi i zakonnice zajmują swoje miejsca. Jako ostatni wszedł chórmistrz, Ślepy Carlus. Mimo że nie widział, poruszał się po kościele i budynkach klasztornych bez niczyjej pomocy. Chodził powoli, lecz pewnie, jak człowiek widzący, znał bowiem na pamięć każdą kolumnę i kamień. Zaintonował pieśń swoim głębokim barytonem i chór zaczął śpiewać hymn.

Merthin odnosił się do kleru ze skrytym sceptycyzmem. Księża mieli władzę, która nie zawsze licowała z ich wiedzą. To samo można było powiedzieć o jego mistrzu, Elfricu. Lubił jednak chodzić do kościoła. Msze wprowadzały go w rodzaj transu. Muzyka, architektura i łacińskie inwokacje czarowały go, miał wrażenie, jakby spał z otwartymi oczami. Znów wyobraził sobie, że czuje wodę deszczową płynącą strumieniem pod jego stopami.

Jego wzrok błędził po trzech poziomach nawy: arkadzie, galerii i przezroczu.

Wiedział, że kolumny buduje się, układając jeden kamień na drugim, lecz na pierwszy rzut oka nie sposób było tego odgadnąć. Kamienne bloki były ociosane tak, że każda kolumna wyglądała

jak wiązka belek. Merthin przyjrzał się dokładniej ogromnej kolumnie, wyrastającej z wielkiej kwadratowej podstawy i biegnącej aż do miejsca, w którym jedna z belek odchodziła ku północnej stronie katedry, by utworzyć łuk w bocznej nawie. Dalej, na poziomie trybuny, druga belka biegła ku zachodowi, tworząc arkadę na galerii i łuk przezrocza. Ostatnia belka rozdzielała się niczym bukiet kwiatów, przechodząc w zakrzywione ożebrowanie wysokiego sklepienia. Merthin powiódł wzrokiem wzdłuż jednej belki, od broszy w najwyższym punkcie sklepienia do równoległego punktu na przeciwnym filarze.

W tym samym momencie stało się coś dziwnego. Widok jakby się rozmył. Merthin miał wrażenie, że wschodnia strona transeptu się poruszyła.

Rozległ się głuchy pomruk, tak głęboki, że prawie niesłyszalny. Posadzka zadrżała, jak gdyby nieopodal runęło drzewo.

Głos chóru zadrżał.

Na południowej ścianie prezbiterium pojawiło się pęknięcie, tuż obok filara, na który spoglądał Merthin.

Młodzieniec odwrócił się do Caris. Kątem oka dostrzegł cegły lecące na chór. Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć, rozległ się ogłuszający łoskot ogromnych kamieni spadających na posadzkę. Po dłuższej chwili zapadła cisza. Merthin przyciskał do siebie Caris lewą ręką, a prawą osłaniał jej głowę. Odgradzał ją swoim ciałem od miejsca, w którym leżał gruz z katedry.

To cud, że nikt nie zginął.

Największemu zniszczeniu uległa południowa nawa prezbiterium, w której w czasie mszy nikogo nie było. Wiernych tam nie wpuszczano, a duchowni zgromadzili się w środkowej części zwanej chórem. Kilkunastu mnichów ledwo uszło z życiem, co tym bardziej skłoniło ludzi do mówienia o cudzie. Inni odnieśli lekkie obrażenia od odłamków kamieni fruwających w powietrzu. Wierni mieli tylko zadrapania. Niewątpliwie ocaliła ich cudowna moc świętego Adolfa, którego kości spoczywały pod wielkim ołtarzem i który uleczył wielu chorych, a nawet ocalił od śmierci. Jednak panowała powszechna opinia, że to Pan Bóg zesłał mieszkańcom Kingsbridge przestrożę. Nie było natomiast jasności, przed czym ich ostrzegał.

Godzinę później czterech mężczyzn zaczęło badać zniszczenia. Brat Godwyn, kuzyn Caris, był kościelnym, odpowiadał więc za katedrę i mieszczące się w niej skarby. Jego podwładnym, odpowiedzialnym za naprawy i remonty, był brat Thomas, który dziesięć lat temu nazywał się sir Thomas Langley. Umowę na prace konserwacyjne w katedrze miał Elfric, wykwalifikowany cieśla zajmujący się budownictwem. Merthin towarzyszył mu jako czeladnik.

Wschodnia część kościoła była podzielona kolumnami na cztery sekcje zwane wykuszami.

Katastrofa dotknęła dwóch wykuszy znajdujących się najbliżej spojenia. Kamienne sklepienie nad południową nawą uległo całkowitemu zniszczeniu w pierwszym wykuszu, a częściowemu w drugim. Na galerii pojawiły się rysy, a z okien w przezroczu powypadały słupki.

- Słabość cementu sprawiła, że sklepienie się zawaliło, a to z kolei doprowadziło do pojawienia się pęknięć na wyższym poziomie - stwierdził Elfric.

Merthin nie był przekonany o słuszności tej hipotezy, nie znał jednak innego wytłumaczenia katastrofy.

Nienawidził swojego majstra. Z początku terminował u ojca Elfrica, Joachima, budowniczego z dużym doświadczeniem, który pracował przy budowie kościołów i mostów w Londynie i Paryżu. Staruszek z przyjemnością objaśniał Merthinowi tajniki murarstwa, które nazywał „arkanami”. Dotyczyły one głównie arytmetycznych podstaw budownictwa, takich jak stosunek wysokości budowli do głębokości fundamentów. Merthin lubił arytmetykę, chłonał więc wszystko, czego Joachim go uczył.

Potem stary mistrz zmarł i jego obowiązki przejął Elfric. Twierdził, iż najważniejszą rzeczą, której powinien nauczyć się czeladnik, jest posłuszeństwo. Merthinowi trudno było się z tym pogodzić, więc Elfric karał go zmniejszonymi porcjami jedzenia, lichymi ubraniami i pracą pod gołym niebem w mroźną pogodę. Co gorsza, córka Elfrica, Griselda - tęga dziewczyna, rówieśniczka Merthina - chodziła syta i ciepło ubrana.

Przed trzema laty zmarła żona Elfrica, a ten ożenił się z Alice, starszą siostrą Caris. Ludzie uważali, że Alice jest ładniejszą z sióstr, i rzeczywiście miała regularniejsze rysy twarzy, lecz brakowało jej wdzięku Caris. Merthin uważał ją za nudziarę. Kiedyś miał wrażenie, że Alice lubi go prawie tak samo jak jej siostra, liczył więc na to, że dzięki niej Elfric zacznie go lepiej traktować. Stało się jednak na odwrót. Alice uznała za swój obowiązek dręczyć Merthina tak samo jak mąż.

Merthin wiedział, że wielu innych czeladników także cierpi; znosili to, gdyż terminowanie stanowiło jedyną drogę do dobrze płatnego fachu. Cechy skutecznie eliminowały intruzów. Nikt nie mógł prowadzić interesów w mieście, nie należąc do cechu. Nawet ksiądz, mnich czy kobieta pragnąca handlować wełną lub warzyć piwo na sprzedaż, musieli się do cechu zapisać. A poza miastami interesów się raczej nie robiło, gdyż kmiecie sami budowali sobie chaty i szyli koszule.

Po zakończeniu terminu większość chłopców zostawała u majstrów, pracując za pensję. Nieliczni stawali się ich współnikami, by przejąć warsztat po śmierci właściciela. Merthin nie zamierzał tego czynić. Za bardzo nienawidził Elfrica i chciał odejść, gdy tylko będzie mógł.

- Spójrzmy na to z góry - zaproponował Godwyn. Podeszli do wschodniego krańca katedry.

- Miło cię widzieć po twoim powrocie z Oksfordu, bracie Godwynie - rzekł Elfric. - Pewnie

tęsknisz za towarzystwem wykształconych ludzi?

Godwyn skinął głową.

- Profesorowie są wspaniali.

- Studenci też zapewne są niezwykle młodzięcami. Choć słyszy się również czasem o ich wybrykach.

- Niektóre z tych opowieści są prawdziwe - przyznał ze smutkiem Godwyn. - Kiedy młody kapłan lub mnich znajdują się pierwszy raz z dala od domu, czyhają na nich rozmaite pokusy.

- No cóż... My jednak powinniśmy się cieszyć, że mamy w Kingsbridge absolwentów uniwersytetu.

- To bardzo uprzejme z twojej strony.

- Taka jest prawda.

Merthin miał ochotę powiedzieć: „Zamknij się, na litość boską”. Ale taki już był Elfric: marny rzemieślnik i kiepski znawca przedmiotu, za to świetnie wiedzący, jak się przypochlebić. Merthin widział to wiele razy: Elfric potrafił być czarujący dla tych, od których chciał coś uzyskać, i równie grubiański dla tych, od których niczego nie potrzebował.

Bardziej dziwiła go postawa Godwyna. Jak to możliwe, że ten inteligentny i wykształcony człowiek nie przejrzał Elfrica? Może trudniej jest to dostrzec adresatowi komplementów?

Godwyn otworzył małe drzwiczki i ruszył do góry wąskimi spiralnymi schodami ukrytymi w ścianie. Merthin był zachwycony. Wejście do niedostępnego zwykle zakamarka katedry sprawiło mu wielką przyjemność. Był także ciekaw, jak doszło do zawalenia się kościoła. Chciał wyjaśnić tę zagadkę.

Nawy były jednokondygnacyjnymi elementami budowli umieszczonymi po obu jej stronach. Ich kamienne sklepienia opierały się na żebrowaniu. Przybudowany do sklepienia dach wznosił się od zewnętrznej krawędzi nawy ku podstawie przezrocza. Pod spadzistym dachem znajdowało się trójkątne puste pomieszczenie, którego podłoga kryła się pod sklepieniem nawy. Czterej mężczyźni wspięli się tam, by spojrzeć z góry na rumowisko.

Padało na nie światło z okien kościoła, poza tym Thomas okazał się przewidujący i zabrał ze sobą lampę oliwną. Pierwszą rzeczą, którą zauważył Merthin, było to, że sklepienia widziane z góry nie są dokładnie takie same w każdym wykuszu. Wschodnie było minimalnie bardziej płaskie od sąsiedniego, następne, częściowo zawalone, wyglądało jeszcze inaczej.

Szli po grzbiecie łuku, trzymając się jak najbliżej krawędzi, gdzie sklepienie było najmocniejsze. Dotarli do zawalonej części tak blisko, jak się dało. Sklepienie było zbudowane tak samo jak reszta katedry z kamieni połączonych cementem, różnica polegała jedynie na tym, że

kamienie tworzące sklepienie były cienkie i lekkie. Sklepienie prawie pionowe u podstawy później nachylało się do środka, by spotkać się z murarką wznoszącą się z drugiej strony.

- Po pierwsze, należy odbudować sklepienia nad dwoma wykuszami nawy - orzekł Elfric.

- Od dawna nikt w Kingsbridge nie budował żebrowania - zauważył Thomas, po czym odwrócił się do Merthina. - Potrafisz zrobić formę?

Na skraju sklepienia, tam, gdzie murarka stała niemal pionowo, kamienie utrzymywały się na miejscu dzięki swojemu ciężarowi, ale wyżej potrzebne było jakieś podparcie, żeby nie spadły, zanim cement wyschnie. Służyła do tego drewniana rama albo inaczej forma, na której układało się kamienie.

Stanowiło to niemałe wyzwanie dla cieśli, gdyż łuki musiały być dobrze wyprofilowane. Thomas wiedział, że Merthin zna się na swoim fachu, bo od lat nadzorował prace wykonywane przez niego i Elfrica w katedrze. Zachował się jednak nietaktownie, zwracając się wprost do niego, a nie do mistrza. Ten zareagował błyskawicznie:

- Pod moim okiem da sobie radę - zapewnił.

- Mogę zrobić formę - odparł Merthin, już zastanawiając się, jak rama będzie się opierać na szalunku i rusztowaniu, na którym będą stali murarze. - Ale do budowy tych sklepień nie użyto form.

- Nie pleć bzdur, chłopcze - zganił go Elfric. - Co ty możesz o tym wiedzieć?

Merthin miał świadomość, że nie jest roztropnie spierać się z pracodawcą. Z drugiej zaś strony za pół roku będzie konkurował z Elfrikiem o zlecenia, wolał więc, żeby ludzie tacy jak brat Godwyn znali jego umiejętności. Ubodła go także pogarda w głosie Elfrica, poczuł więc nieodpartą ochotę, by pokazać, że majster się myli.

- Spójrzcie na sklepienia - rzekł ze złością. - Po zakończeniu roboty w jednym wykuszu murarze z pewnością użyliby formy w następnym. Wszystkie sklepienia miałyby wtedy takie same łuki. A one się różnią.

- To oczywiste, że nie używali tej samej formy - zauważył poirytowany Elfric. »

- Dlaczego mieliby tak postąpić? - nie dawał za wygraną Merthin. - Na pewno chcieli oszczędzać drewno, że nie wspomnę o wynagrodzeniu dla wykwalifikowanych cieśli.

- Nie da się zbudować sklepień bez formy.

- Ależ da się - zapewnił Merthin. - Istnieje sposób...

- Dostyc tego - przerwał mu Elfric. - Jesteś tu po to, żeby się uczyć, a nie nauczać.

- Chwileczkę, Elfricu - wtrącił się Godwyn - jeśli chłopak ma rację, klasztor mógłby zaoszczędzić dużo pieniędzy. - Spojrzał na Merthina. - Co zamierzałeś powiedzieć?

Merthin nie był już pewien, czy dobrze zrobił, podnosząc tę kwestię. Elfric urządzi mu później

piekło. Ale teraz nie było już wyjścia. Gdyby się wycofał, wszyscy pomyśleliby, że sam nie wie, o czym mówi.

- Opisano ten sposób w książce, która znajduje się w klasztornej bibliotece. To bardzo prosta metoda. Każdy kładziony kamień obwiązuje się sznurem. Jeden koniec sznura przywiązuje się do muru, a drugi obciąża kawałkiem drewna. Sznur układa się pod kątem prostym nad krawędzią kamienia i nie pozwala mu zsunąć się z cementu na ziemię.

Zapadło milczenie, wszyscy próbowali wyobrazić sobie, jak to wygląda. Thomas skinął głową.

- To możliwe.

Elfric był wściekły.

Godwyna zaintrygowały słowa czeladnika.

- Co to za książka?

- Nosi tytuł Księga Timothy 'ego - odparł Merthin.

- Wiem o niej, ale nigdy jej nie czytałem. A wygląda na to, że powinienem. - Godwyn zwrócił się do pozostałych mężczyzn: - Zakończyliśmy oględziny?

Elfric i Thomas skinęli głowami. Gdy zaczęli schodzić, Elfric zwrócił się półgłosem do Merthina:

- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie pozbawiłeś się kilku tygodni roboty? Na pewno nie zrobisz tego, kiedy pójdziesz na swoje.

Merthin nie wziął tego pod uwagę. Elfric miał rację: wykazując, że forma nie jest konieczna, stracił szansę na wykonanie pracy. Jednak w rozumowaniu Elfrica tkwił poważny błąd. To nie w porządku, jeśli każe się komuś wydawać niepotrzebnie pieniądze tylko dlatego, żeby mieć pracę. Merthin nie chciał żyć z oszukiwania klientów.

Zeszli spiralnymi schodami do prezbiterium.

- Przyjdę jutro i przedstawię kosztorys - oznajmił Godwynowi Elfric.

- Dobrze.

Elfric odwrócił się do Merthina.

- A ty zostań tutaj i przelicz kamienie w sklepieniu nawy. Później przyjdź do mnie i powiedz mi, ile ich jest.

- Dobrze.

Elfric i Godwyn wyszli, lecz Thomas został.

- Wpędziłem cię w tarapaty.

- Staraleś się mnie zachęcić.

Mnich wzruszył ramieniem. Jego lewą rękę amputowano w łokciu przed dziesięcioma laty, po tym jak zakażenie wdało się w ranę, którą zadano mu w walce. Merthin był świadkiem tej potyczki.

Chłopiec rzadko myślał o osobliwej scenie, która rozegrała się w lesie - przywykł do widoku Thomasa w habitie mnicha - lecz teraz przypomniał ją sobie: dwaj uzbrojeni mężczyźni, dzieci ukryte w zaroślach, łuk i strzała, zakopany list. Thomas zawsze okazywał mu życzliwość, prawdopodobnie z powodu tamtego zajścia.

- Nie powiedziałem nikomu o liście - rzekł cicho Merthin.

- Wiem - odparł Thomas. - Gdybyś to zrobił, już byś nie żył.

Większość dużych miast było zarządzanych przez gildie, czyli stowarzyszenia zrzeszające najważniejszych obywateli. Gildii podlegały liczne cechy rzemieślnicze, które skupiały murarzy, cieśli, garbarzy, tkaczy, krawców. Istniały także gildie parafialne, niewielkie grupy wiernych skupione wokół miejscowego kościoła, zajmujące się zbieraniem pieniędzy na szaty dla kapłanów i precjoza, oraz na wsparcie dla wdów i sierot.

Z miastami katedralnymi sprawa przedstawiała się inaczej. Miastem Kings-bridge, tak samo jak St. Albans i Bury St. Edmunds, zarządzał klasztor, do którego należała prawie cała ziemia w mieście i wokół niego. Przeorzy nie zgadzali się na powstanie gildii. Jednak najważniejsi rzemieślnicy i kupcy należeli do gildii parafialnej Świętego Adolfa. Bez wątplenia powstała ona niegdyś jako stowarzyszenie szczególnie pobożnych parafian, którzy postawili sobie za cel zbieranie funduszy dla katedry, teraz jednak była najważniejszą organizacją w mieście. Ustanawiała zasady prowadzenia interesów i wybierała starszego oraz sześciu urzędników, którzy mieli pilnować przestrzegania owych praw. W siedzibie gildii przechowywano wzorce do ważenia worka wełny, szerokości beli materiału i objętości buszła stosowanego w handlu w Kingsbridge. Kupcy nie mogli jednak zwoływać sądów i wymierzać sprawiedliwości tak, jak to czynili ich odpowiednicy w mniejszych miastach - to prawo zachował dla siebie przeor Kingsbridge.

Po południu w Zielone Świątki gildia wydała ucztę dla najznacześniejszych kupców przybyłych z innych miast. Starszym gildii był Edmund Wooler, a Caris towarzyszyła mu w roli gospodyni, toteż Merthin musiał znaleźć sobie zajęcie bez niej.

Na szczęście Elfric i Alice także poszli na przyjęcie, więc czeladnik mógł usiąść w kuchni, słuchając szumu deszczu i rozmyślając. Nie było zimno, lecz w kuchni płonął niewielki ogień, przy którym przyjemnie się siedziało.

Merthin słyszał, jak Griselda, córka mistrza, chodzi na piętrze. Dom był ładny, choć mniejszy od domu Edmunda. Na parterze znajdowała się tylko duża izba i kuchnia. Na górze przy schodach sypiała Griselda, a obok znajdowała się sypialnia pana domu i jego żony. Merthin spał w kuchni.

Przed kilkoma laty Merthina dręczyły w nocy fantazje, że wchodzi po schodach i kładzie się pod kocem obok ciepłego, pulchnego ciała Griseldy. Ona jednak uważała się za lepszą od niego i traktowała go jak służkę. Nigdy w żaden sposób go nie zachęciła.

Siedząc na ławeczce i patrząc w płomienie, Merthin wyobrażał sobie drewniane rusztowanie, które wzniesie dla murarzy mających odbudowywać zawalone sklepienie katedry. Drewno było drogie, a długie belki należały do rzadkości. Właściciele lasów często ulegali pokusie i sprzedawali drzewa, zanim osiągnęły pełną dojrzałość, toteż budowniczowie starali się oszczędzać drewno używane na rusztowania. Zamiast zaczynać od poziomu posadzki, podwieszali je do istniejących murów.

Griselda weszła do kuchni, żeby nalać sobie piwa z beczki.

- Napijesz się? - zaproponowała. Merthin przyjął zaproszenie, zdziwiony jej uprzejmością. Zaskoczyła go ponownie, siadając na taborecie naprzeciwko niego.

Ukochany Griseldy, Thurstan, zniknął przed trzema tygodniami. Bez wątplenia dziewczyna czuła się samotna, dlatego nie pogardziła teraz towarzystwem Merthina. Trunek rozgrzał mu żołądek i sprawił, że chłopak się rozluźnił.

- Co się stało z Thurstanem? - zapytał, nie wiedząc, co powiedzieć.

Griselda zarzuciła głową niczym rozbrykana klacz.

- Powiedziałam mu, że za niego nie wyjdę.

- Dlaczego?

- Jest dla mnie za młody.

Nie przekonało to Merthina. Thurstan miał siedemnaście lat, a Griselda dwadzieścia, lecz dziewczyna nie wyglądała nadmiernie dojrzała. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że uznała, iż Thurstan jest dla niej zbyt niskiego stanu. Przybył do Kingsbridge znikąd kilka lat temu i pracował jako niewykwalifikowany robotnik u kilku rzemieślników w mieście. Pewnie znudził się Griselda albo miastem i po prostu ruszył dalej.

- Dokąd powędrował?

- Nie wiem i nie dbam o to. Powinam wyjść za kogoś w moim wieku, kogoś odpowiedzialnego, kto być może pewnego dnia przejmie warsztat mojego ojca.

Merthinowi przyszło do głowy, że może mieć na myśli jego. Niemożliwe, zreflektował się, zawsze patrzyła na mnie z góry. Griselda wstała, podeszła i usiadła na stołku obok niego.

- Mój ojciec jest wobec ciebie złośliwy - rzekła. - Zawsze tak uważałam. Merthin był zdumiony.

- Długo trwało, zanim to powiedziałaś... Mieszkam tutaj od sześciu i pół roku.

- Trudno mi stawać przeciwko rodzinie.
- Dlaczego on mnie tak podle traktuje?
- Bo myślisz, że znasz się na fachu lepiej od niego i nie potrafisz tego ukryć.
- A może naprawdę lepiej się znam?
- A widzisz?

Merthin parsknął śmiechem. Pierwszy raz się zdarzyło, że Griselda go rozbawiła. Miał na sobie wytartą lnianą koszulę sięgającą do połowy uda i spodnie takie same jak te, które nosili wszyscy mężczyźni. Czuł przez ubranie ciepło ciała dziewczyny. Co jej się stało? Spojrzał z niedowierzaniem na Griseldę. Miała lśniące ciemne włosy i brązowe oczy. Jej twarz była pulchna, lecz na swój sposób ładna. Miała ładne usta, które zachęcały do pocałunku.

- Lubię siedzieć w domu w czasie burzy - powiedziała. - Jest tak przytulnie.

Merthin poczuł, że jest podniecony, i odwrócił głowę. Co by pomyślała Caris, gdyby w tej chwili weszła? Usiłował stłumić pożądanie, lecz tylko pogorszył sprawę.

Spojrzał na Griseldę. Jej wargi były wilgotne i lekko rozchylone. Nachyliła się do niego. Pocałował ją. Od razu wsunęła język do jego ust. To było nagle, zaskakujące i podniecające. Zrobił to samo, co Griselda. Pocałunki Caris były inne...

Ta myśl nim zawładnęła. Oderwał się od Griseldy i wstał.

- Co się stało? - zapytała.

Merthin nie chciał powiedzieć jej prawdy.

- Nigdy mnie nie lubiłaś.

- Przecież właśnie ci powiedziałam, że musiałam brać stronę ojca - prychnęła Griselda z irytacją.

- Tak nagle ci się odmieniło.

Dziewczyna wstała i podeszła do niego. Cofał się, aż poczuł za plecami ścianę. Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do swego łona. Miała duże krągłe piersi, Merthin nie mógł się powstrzymać, by ich nie dotknąć.

- Robiłeś to już z dziewczyną, tak naprawdę? - spytała. Merthin nie mógł wydobyć słowa, ale potwierdził skinieniem głowy.

- A myślałeś, żeby zrobić to ze mną?

- Tak - wykrztusił.

- Możesz to zrobić teraz, póki ich nie ma. Możemy pójść na górę i położyć się na moim łóżku.

- Nie.

Griselda przytuliła się do niego.

- Od całowania się z tobą zrobiłam się gorąca i mokra w środku. Merthin ją odepchnął. Pchnął mocniej, niż chciał, i dziewczyna wylądowała na pulchnym siedzeniu.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedział, choć sam nie był pewien, czy naprawdę tego chce.

- Więc idź do diabła! - krzyknęła, po czym wstała i pobiegła z hałasem na górę.

Merthin stał, dysząc. Teraz żałował, że odrzucił zaproszenie.

Czeladnicy nie byli atrakcyjni dla młodych dziewcząt, które nie chciały długo czekać na ślub. Mimo to Merthin zalecał się do kilku panien z Kingsbridge. Jedną z nich, Kate Brown, polubiła go tak, że pewnego dnia w gorące popołudnie, gdy znaleźli się w ogrodzie jej ojca, pozwoliła mu na wszystko. Później jej ojciec zmarł nagle i matka wyprowadziła się z rodziną do Portsmouth. Tylko ten jeden raz Merthin był z kobietą. Odebrało mu rozum, że odrzucił zaloty Griseldy?

Powiedział sobie, że może mówić o szczęściu. Griselda była złośliwą dziewczyną, która tak naprawdę go nie lubiła. Powinien być dumny, że oparł się pokusie. Nie poszedł za instynktem niczym bezrozumne zwierzę, tylko podjął decyzję jak mężczyzna.

Nagle Griselda zaczęła płakać.

Nie płakała głośno, ale Merthin dobrze ją słyszał. Podszedł do tylnych drzwi. Tak samo jak wszystkie domy w mieście dom Elfrica miał na tyłach długi, wąski kawałek ziemi z ustępem i śmietnikiem. Większość właścicieli trzymała tam kury i świnie, a także uprawiała warzywa i owoce, lecz podwórze Elfrica było wykorzystywane jako składowisko drewna i kamieni, powrozów, wiader, taczek i drabin. Merthin patrzył na padający deszcz, ale wciąż słyszał szlochanie Griseldy.

Postanowił wyjść z domu i doszedł do drzwi, ale nie wiedział, dokąd się udać. W domu Caris była tylko Petranilla, która nie przywitałaby go serdecznie.

Mógłby pójść do rodziców, ale nie chciał się z nimi widzieć w takim stanie. Mógł porozmawiać z bratem, lecz Ralph miał przybyć do Kingsbridge pod koniec tygodnia. Poza tym uświadomił sobie, że nie może wyjść z domu Griseldy bez płaszcza - nie dlatego, że boi się deszczu, tylko z powodu wybrzuszenia z przodu, które jakoś nie chciało zniknąć.

Skierował myśli na Caris. Pewnie pije wino, zajada pieczone mięso i pszenne chleb. Wyobraził sobie, jak jest ubrana. Jej najlepsza sukienka miała różowo-czerwony kolor i prostokątny dekolt, ukazujący jasną skórę na szczupłej szyi. Jednak szlochanie Griseldy nie pozwalało mu myśleć. Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że mu przykro, chciał wytłumaczyć, że jest ładną dziewczyną, ale nie są dla siebie stworzeni.

Usiadł, lecz po chwili wstał. Trudno mu było słuchać płaczu kobiety. Nie mógł myśleć o budowie rusztowania, gdy dom wypełniał odgłos cierpienia. Nie mógł zostać, nie mógł wyjść, nie

mógł usiedzieć na miejscu.

Poszedł na górę.

Griselda leżała na brzuchu na sienniku służącym za łóżko. Sukienka podwinęła się aż do jej grubych ud. Skóra na nogach była biała i wyglądała, jakby była bardzo miękka.

- Przepraszam - powiedział Merthin.

- Odejdź.

- Nie płacz już.

- Nienawidzę cię.

Merthin ukląkł i poklepał ją po plecach.

- Ale ja nie mogę siedzieć w kuchni i słuchać twojego płaczu. Griselda przetoczyła się na plecy i spojrzała na niego z twarzą mokrą od łez.

- Jestem brzydka i gruba i dlatego mnie nienawidzisz.

- To nie jest tak, że cię nienawidzę. - Merthin otarł jej twarz wierzchem dłoni.

Złapała go za rękę i pociągnęła.

- Naprawdę?

- Nie, ale...

Położyła dłoń z tyłu jego głowy, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Merthin stęknął, podniecony jeszcze bardziej niż przedtem. Osunął się na siennik obok dziewczyny. Za chwilę odejść, pomyślał. Tylko ją trochę pocieszę, a później wstanę i zejść na dół.

Griselda wsunęła sobie jego rękę pod spódnicę, między nogi. Poczul kędziory włosów, miękką skórę pod nimi, wilgotną szparkę, i wiedział, że jest zgubiony. Pogładził ją szorstko, jego palec wsunął się do środka. Czul się tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Nie mogę przestać - jęknął.

- Teraz, prędko - wydyszała Griselda. Podciągnęła mu koszulę i zsunęła kalesony. Merthin położył się na niej.

Poczul, że traci nad sobą kontrolę, gdy wprowadziła go w siebie. Wyrzuty sumienia, które go przedtem dręczyły, nagle znikły.

- O nie - wycharczał. Wraz z pierwszym pchnięciem poczul, że zaczyna się wytrysk. Jeszcze chwila i było po wszystkim. Osunął się na Griseldę, zamykając oczy. - O Boże. Chciałbym umrzeć.

7

Buonaventura Caroli zaskoczył wszystkich przy śniadaniu w poniedziałek rano, dzień po wielkiej uczcie w siedzibie gildii.

Caris nie czuła się zbyt dobrze, siadając przy dębowym stole w jadalni. Bolała ją głowa i

miała mdłości. Zjadła odrobinę chleba z ciepłym mlekiem, żeby uspokoić żołądek. Smakowało jej wino podawane na uczcie i zastanawiała się, czy aby nie wypła go za dużo. Czy było to poranne odczucie nazajutrz po biesiadzie, o którym opowiadali mężczyźni i chłopcy, przechwalając się, kto więcej może wypić?

Ojciec i Buonaventura jedli zimną baraninę, a ciotka Petranilla snuła opowieść:

- Kiedy miałam piętnaście lat, zaręczył się ze mną bratanek hrabiego Shiring. Stanowiłam dobrą partię: jego ojciec był dość ubogim rycerzem, a mój bogatym kupcem. Później hrabia i jego jedyny syn polegli w Szkocji w bitwie pod Loudon Hill. Mój narzeczony, Roland, został hrabią i zerwał zaręczyny. Nadal jest hrabią. Gdybym wyszła za niego przed bitwą, byłabym teraz hrabiną Shiring.

Umoczyła chleb w piwie. »

- Może wola Boga była inna - zauważył Buonaventura. Rzucił kość Scrap, która złapała ją, jakby nie jadła od tygodnia. - Przyjacielu, powinienem ci o czymś powiedzieć, zanim przejdziemy się do interesów - rzekł do Edmunda.

Z tonu jego głosu Caris wywnioskowała, że ma złe nowiny. Ojciec musiał poczuć to samo.

- To zabrzmiało groźnie - odparł.

- Od kilku lat nasz handel idzie coraz gorzej - ciągnął Buonaventura. - Co roku moja rodzina sprzedaje mniej tkanin, co roku kupujemy mniej wełny w Anglii.

- W interesach zawsze tak było - stwierdził Edmund. - Raz idzie lepiej, raz gorzej, i nikt nie wie dlaczego.

- Ale teraz wasz król postanowił interweniować.

Była to prawda. Edward III zauważył, że handel wełną przynosi zyski, i postanowił, że do królewskiego skarbcza musi trafiać więcej pieniędzy. Wprowadził nowy podatek w wysokości jednego funta od worka. Standardowy worek wełny ważył trzysta sześćdziesiąt cztery funty i sprzedawano go za mniej więcej cztery funty. Podatek wynosił jedną czwartą wartości, czyli dużo.

- Co gorsza, król utrudnił eksport wełny z Anglii - mówił Buonaventura. - Muszę dawać duże łapówki.

- Zakaz eksportu zostanie wkrótce zniesiony - odparł Edmund. - Kupcy z kompanii handlu wełną negocjują z królewskimi urzędnikami...

- Obyś się nie mylił. Jednak w tej sytuacji moja rodzina uważa, że nie potrzebuję jeździć na dwa targi wełny w tej części kraju.

- Słusznie! - przyznał Edmund. - Przyjeżdżaj do nas i zapomnij o targu w Shiring.

Miasto Shiring znajdowało się dwa dni drogi od Kingsbridge. Było mniej więcej tej samej wielkości i choć nie miało katedry ani opactwa, mogło się poszczycić zamkiem szeryfa i siedzibą sądu hrabstwa. Co roku odbywały się tam konkurencyjne targi wełny.

- Obawiam się, że nie znajduję tutaj odpowiedniego asortymentu wełny. Widzisz, targi w Kingsbridge podupadają. Coraz więcej kupców jeździ do Shiring. Tamtejsi sprzedawcy oferują większą różnorodność towaru.

Caris się przeraziła. To mogła być dla ojca zapowiedź katastrofy.

- Dlaczego kupcy wolą Shiring? Buonaventura wzruszył ramionami.

- Tamtejsza gildia postarała się, żeby targi były bardziej atrakcyjne. Nie trzeba czekać w kolejce do bram miasta, kupcy mogą wynajmować namioty i budki, postawiono budynek, w którym można handlować w czasie deszczu...

- My też możemy to wszystko zrobić - zauważyła Caris. Jej ojciec parsknął sarkastycznie.

- Nie jestem tego pewny.

- Dlaczego, tato?

- Shiring jest niezależnym miastem, ma prawa miejskie nadane przez króla. Tamtejsza gildia może wprowadzać udogodnienia dla kupców. A Kingsbridge należy do opactwa...

- Na chwałę Boga - wtrąciła Petranilla.

- Bez wątplenia - przytaknął Edmund. - Jednak nasza gildia parafialna nie może zrobić nic bez zgody klasztoru... A przeorzy to ludzie ostrożni i konserwatywni, mój brat nie jest żadnym wyjątkiem. Większość nowatorskich planów jest odrzucana.

- Przez wzgląd na nasze stare związki z tobą, Edmundzie, a przedtem z twoim ojcem, przyjeżdżaliśmy do Kingsbridge. Ale w ciężkich czasach nie ma miejsca na sentymenty.

- Chciałbym wobec tego poprosić cię o drobną przysługę w imię naszej długiej znajomości - rzekł Edmund. - Nie podejmuj jeszcze ostatecznej decyzji. Daj sobie czas na zastanowienie.

To bardzo sprytnie, pomyślała Caris. Zręczność ojca w negocjacjach często ją zdumiewała. Nie namawiał Buonaventury do zmiany decyzji, bo w ten sposób tylko utwierdziłby go w powziętym postanowieniu. Włoch znacznie łatwiej przystanie na to, że jego decyzja nie jest ostateczna. W ten sposób do niczego się nie zobowiązuje, ale zostawia sobie otwarte drzwi.

Buonaventura nie odmówił.

- Zgoda, ale w jakim celu?

- Chcę mieć szansę ulepszenia targów, a zwłaszcza mostu - odparł Edmund. - Gdybyśmy stworzyli w Kingsbridge lepsze warunki niż w Shiring i przyciągnęli więcej sprzedawców, przyjeżdżałbyś nadal, prawda?

- Naturalnie.

- A zatem to właśnie musimy zrobić. - Gospodarz wstał. - Pójdę teraz do brata. Caris, będziesz mi towarzyszyła. Pokażemy przeorowi kolejkę przy moście. Albo nie, zaczekaj. Przyrowadź tego zmyślnego cieślę, Merthina. Przyda nam się jego wiedza.

- Pewnie teraz pracuje.

- Powiedz jego mistrzowi, że starszy gildii parafialnej go potrzebuje - wtrąciła się Petranilla. Była dumna z tego, że brat zajmuje takie stanowisko i nie omieszkła przypominać o tym przy każdej okazji.

Miała rację. Elfric będzie musiał puścić Merthina.

- Poszukam go - zgodziła się Caris.

Włożyła płaszcz z kapturem i wyszła. Wciąż padało, choć nie tak bardzo jak wczoraj. Elfric, podobnie jak większość ważnych obywateli miasta, mieszkał przy głównej ulicy biegnącej od mostu do bramy klasztoru. Trakt był szeroki, zapelniały go wozy i ludzie zmierzający na targi mimo padającego deszczu i kałuż.

Dziewczyna jak zawsze cieszyła się na myśl o spotkaniu z Merthinem. Polubiła go przed dziesięcioma laty, w dniu Wszystkich Świętych, gdy zjawił się na strzelnicy z własnoręcznie wykonanym łukiem. Był inteligentny i zabawny. Podobnie jak Caris wiedział, że świat jest większym i ciekawszym miejscem, niż wyobrażają sobie zwykli mieszkańcy Kingsbridge. Jednak pół roku temu odkryli, że istnieje coś jeszcze lepszego niż przyjaźń.

Caris całowała się wcześniej z chłopcami, choć Trieczęsto. W gruncie rzeczy nie wiedziała, po co ma to robić. Z nim było inaczej, ciekawie i podniecająco. Merthin miał w sobie coś łobuzerskiego, co sprawiało, że wszystko nabierało posmaku psoty. Lubiła także, kiedy jej dotykał. Chciała więcej, ale starała się o tym nie myśleć. To „więcej” oznaczało małżeństwo, a żona musi być podporządkowana mężowi, który był jej panem - taka koncepcja wydawała jej się okropna. Na szczęście do tej pory Caris nie musiała się nad tym zastanawiać, gdyż Merthin mógł się ożenić dopiero po zakończeniu terminu, czyli za pół roku.

Dotarła do domu Elfrica i weszła do środka. W izbie zobaczyła swoją siostrę Alice i jej pasierbicę Griseldę. Jadły chleb z miodem. Alice zmieniła się, od kiedy przed trzema laty wyszła za Elfrica. Zawsze miała szorstki charakter, podobny do charakteru Petranilli, a pod wpływem męża stała się bardziej podejrzliwa i złośliwa.

Ale dzisiaj zachowywała się uprzejmie.

- Siadaj, siostrzyczko - zaprosiła. - Mamy świeży chleb.

- Nie mogę, szukam Merthina. Alice spojrzała na nią z dezaprobatą.

- O tak wczesnej porze?

Ojciec go do czegoś potrzebuje. - Caris przeszła przez kuchnię, stanęła w tylnych drzwiach i wyjrzała na podwórze. Sterty materiałów budowlanych mrokły na deszczu. Jeden z robotników Elfrica ładował mokre kamienie na taczkę. Merthina nie było.

- Pewnie jest w katedrze - powiedziała Alice. - Robi drzwi.

Caris przypomniała sobie, że Merthin o tym wspominał. Drzwi w północnym portyku katedry spróchniały i Merthin je wymieniał.

- Rzeźbi dziewice - dodała z uśmiechem Griselda, żując chleb z miodem. O tym też Caris wiedziała. Stare drzwi zdobiły płaskorzeźby ukazujące przypowieść o Jezusie na Górze Oliwnej; występowały w niej mądre i niemądre dziewice. Merthin musiał odwzorować obraz. Jednak w uśmiechu Griseldy było coś nieprzyjemnego, jakby naśmiewała się z Caris, że ta jest dziewczyną.

- Pójdę do katedry - odparła Caris, machnęła rękę i wyszła.

Po chwili znalazła się na trawniku otaczającym budowlę. Przemykając między kramami na targu, odniosła wrażenie, że zawisło nad nimi złe powietrze. Czyżby coś sobie wyobrażała z powodu tego, co powiedział Buonaventura? Odrzuciła tę możliwość. Pamiętała targi z dzieciństwa, wtedy bywało na nich więcej ludzi, panował większy ruch. Targ nie mieścił się w zabudowaniach opactwa, pobliskie uliczki były zapchane nielegalnymi straganami - często składały się ze stolika z rozłożonymi drobiazgami - oraz domokrążcami, wróżbitami, grajkami i wędrownymi mnichami nawołującymi grzeszników do pokuty. Teraz wydawało się, że na terenie opactwa znalazłoby się miejsce na jeszcze kilka budek.

- Buonaventura ma rację - rzekła do siebie. - Na targi przyjeżdża coraz mniej kupców.

Jakiś kupiec spojrział na nią dziwnie i Caris uprzytomniła sobie, że mówi na głos. To był zły nawyk: ludzie uważali, że przemawia w ten sposób do duchów. Caris odczyła się tego, ale czasem zapominała, zwłaszcza gdy była czymś przejęta.

Obeszła wielki kościół i zbliżyła się do północnej strony.

Merthin pracował w portyku, przestronnym miejscu, w którym często organizowano spotkania. Drzwi stały pionowo w mocnej drewnianej ramie, która je unieruchamiała, a on rzeźbił. Stare drzwi wciąż tkwiły w łuku, spróchniałe i popękane. Młodzieniec stał tyłem do Caris, więc światło padało ponad jego ramionami na drewno. Nie zauważył dziewczyny, a szum deszczu zagłuszył jej kroki, mogła więc przez chwilę obserwować go niezauważona.

Był niskim mężczyzną, niewiele wyższym od Caris. Miał umięśnione ciało, na którym spoczywała duża, znamionująca inteligencję głowa. Jego drobne ręce przemykały zręcznie po płaskorzeźbie, spod ostrego dłuta sypały się wąskie skręcone wióry.

„On wcale nie jest przystojny”, stwierdziła Alice, wykrzywiając usta, gdy Caris powiedziała, że zakochała się w Merthinie. Rzeczywiście nie dorównywał urodą swojemu bratu Ralphowi, lecz Caris uważała, że jego twarz jest cudowna: miała nieregularne rysy, w których czaiła się drwina, mądrość i śmiech. Właśnie taki był Merthin.

- Hej! - powiedziała. Merthin aż podskoczył, a Caris parsknęła śmiechem. - To niepodobne do ciebie, tak się przestraszyć.

- Zaskoczyłaś mnie. - Zawahał się chwilę, a potem ją pocałował. Zrobił to trochę niezdarnie, ale czasem taki bywał, gdy pochłaniała go praca.

Caris spojrzała na płaskorzeźbę. Po każdej stronie drzwi stało po pięć dziewic; mądre uctowały na swoich ślubach, a niemądre trzymały lampki do góry nogami, pokazując, że nie ma w nich oliwy. Merthin skopiował obraz ze starych drzwi, wprowadzając w nim jednak subtelne zmiany. Dziewice stały w rzędach po pięć, tak jak kolumny w katedrze, lecz na nowych drzwiach nie wyglądały dokładnie tak samo. Merthin nadał każdej rys indywidualności. Jedna była ładna, inna miała kręcone włosy, następna płakała, a jeszcze inna psotnie puszczała oko. Sprawili, że wyglądały prawdziwie; w porównaniu z nimi panny ze sceny na starych drzwiach wydawały się sztywne i pozbawione życia.

- Wspaniale - pochwaliła Caris. - Ale nie wiem, czy mnisi będą zachwyceni.

- Bratu Thomasowi się podoba.

- A przeorowi?

- Jeszcze nie widział drzwi. Ale nie będzie protestował. Nie zechce płacić po raz drugi.

Caris przyznała mu rację. Wuj Anthony nie lubił się awanturować, ale był sknerą. Dziewczyna przypomniała sobie, po co przyszła.

- Mój ojciec chce, żebyś spotkał się z nim i z przeorem na moście.

- Powiedział, po co?

- Wydaje mi się, że chce namówić Anthony'ego do zbudowania nowego mostu.

Merthin schował narzędzia do skórzanego pokrowca i szybko zamiótł posadzkę, a następnie ruszył z Caris główną ulicą w stronę drewnianego mostu. Dziewczyna powtórzyła mu to, co Buonaventura mówił przy śniadaniu. Merthin zgodził się z nią, że targi nie tętnią życiem tak jak te, które pamiętał z dawnych czasów.

Mimo to u bram Kingsbridge ustawiła się długa kolejka ludzi i wozów. Na krańcu mostu stała niewielka budka strażnicza, w której siedział mnich i pobierał jednego pensa od każdego kupca wkraczającego do miasta z towarami na sprzedaż. Most był wąski, więc nikt nie mógł przecisnąć się

obok kolejki. Z tego powodu ci, którzy nie musieli płacić - głównie mieszkańcy miasta - także musieli czekać. Na domiar złego niektóre deski na moście pogięły się i połamały, toteż woźnice musieli zachować dużą ostrożność. Kolejka ciągnęła się aż na przedmieście, jej koniec niknął w deszczu.

Most był za krótki. Kiedyś z pewnością oba jego krańce spoczywały na suchej ziemi, lecz albo rzeka się poszerzyła, albo, co bardziej prawdopodobne, w ciągu setek lat ludzie i wozy sprawili, że brzegi stały się płaskie, tak że teraz po obu stronach trzeba było brnąć przez błotnistą plażę.

Caris zauważyła, że Merthin przygląda się konstrukcji. Znała to spojrzenie: zastanawiał się, w jaki sposób most utrzymuje równowagę. Często patrzył tak na elementy katedry, ale czasem także wówczas, gdy zobaczył jakiś dom, kwitnące drzewo lub nawet wiszącego wysoko jastrzębia. Wtedy nieruchomiał, jego spojrzenie się wyostrzało, jakby usiłował rzucić światło na zacienione miejsce, rozwikłać jego zagadkę. Gdy go o to pytała, odpowiadał, że próbuje zobaczyć rzecz od podszewki.

Podążyła za spojrzeniem Merthina, wyobrażając sobie, co dostrzegł w starym moście. Konstrukcja miała sześćdziesiąt jardów i była najdłuższa, jaką Caris kiedykolwiek widziała. Stała na dwóch rzędach potężnych dębowych podpór przypominających kolumny po obu stronach nawy w katedrze. Było pięć par filarów. Te, które stały w płytkiej wodzie, były dość krótkie, lecz trzy środkowe pary wystawały piętnaście stóp nad powierzchnię wody.

Każdy filar składał się z czterech dębowych bali ściśniętych zworami z desek. Według legendy król podarował opactwu Kingsbridge dwadzieścia cztery najlepsze dęby w Anglii, by można było zbudować trzy środkowe pary podpór. Ich wierzchołki były połączone belkami leżącymi w dwóch równoległych liniach. Od jednej do drugiej biegły krótsze belki, tworząc powierzchnię drogi. Po obu stronach znajdowała się drewniana poręcz. Co parę lat jakiś pijany woźnica wjeżdżał w nią i tonął razem z koniem w rzece.

- Na co patrzysz? - zapytała Caris.

- Na pęknięcia.

- Ja nie widzę żadnych pęknięć.

- Drewno bali ze środkowej podpory pęka. Widać miejsca, w których Elfric wzmocnił je żelaznymi klamrami.

Teraz i Caris dostrzegła paski metalu przybite gwoździami do pali.

- Martwisz się - zauważyła.

- Bo nie wiem, dlaczego drewno popękało.

- Czy to ważne?

- Oczywiście.

Merthin nie był tego dnia zbyt rozmowny. Caris chciała go zapytać o przyczynę takiego

zachowania, ale nie zdążyła.

- Nadchodzi twój ojciec - zauważył młody cieśla.

Caris się odwróciła. Idący obok siebie bracia stanowili osobliwą parę. Rosły Anthony unosił habit i ostrożnie omijał kałuże z wyrazem obrzydzenia na bladej twarzy. Edmund, bardziej energiczny, mimo że starszy, miał czerwoną twarz i długą, potarganą siwą brodę. Szedł prosto przed siebie, powłócząc bezwładną nogą w błocie, tłumacząc coś głośno bratu i energicznie gestykułując rękami. Patrząc na ojca z daleka, tak jak mógłby na niego patrzeć obcy człowiek, zawsze czuła przypływ tkliwości.

Dyskusja trwała nieprzerwanie, nawet gdy mężczyźni dotarli do mostu.

- Spójrz na tę kolejkę! - wykrzyknął Edmund. - Setki ludzi nie mogą handlować, bo nie dotarli jeszcze na miejsce! Możesz być pewien, że połowa z nich spotka kupca na swój towar w kolejce i tam dobije targu, a później odjedzie, nie przekraczając bramy miasta!

- To spekulacja, prawo zabrania takiego handlu - przypomniał Anthony.

- Idź i powiedz im to, jeśli zdołasz pokonać most! Ale nie zdołasz, bo jest za wąski! Posłuchaj, Anthony, jeśli Włosi się wycofają, targi już nigdy nie będą takie same. Twój i mój dobrobyt zależy od targów, nie wolno pozwolić, żebyśmy je utracili!

- Nie możemy zmusić Buonaventury, żeby przyjeżdżał robić tu interesy.

- Ale możemy się postarać, żeby nasze targi był atrakcyjniejsze od tych w Shiring. Musimy ogłosić początek jakiejś nowej symbolicznej inwestycji, natychmiast, jeszcze w tym tygodniu, by przekonać Włochów, że targi wełny w Kingsbridge nie upadły. Musimy im powiedzieć, że rozbierzemy stary most i zbudujemy nowy, dwa razy szerszy. - Nagle Edmund odwrócił się do Merthina: - Jak długo będzie trwała budowa, młodzieńcze?

Merthin był trochę zaskoczony, ale zareagował błyskawicznie.

- Najtrudniejsze będzie znalezienie drewna. Potrzeba długich bali, dobrze wysuszonych. Potem należy wbić podpory w dno rzeki, a to jest trudne, bo pracuje się w nurcie. Później to już tylko ciesiołka. Dałoby się skończyć przed świętami.

- Nie ma pewności, czy rodzina Caroli zmieni postanowienie, jeśli zbudujemy nowy most - zauważył Anthony.

- Zrobią to - rzekł z naciskiem Edmund. - Gwarantuję.

- Tak czy owak nie stać mnie na budowę mostu. Nie mam pieniędzy.

- Nie stać cię, żeby go nie zbudować! - zawołał Edmund. - Zrzuńujesz siebie, a przy okazji miasto.

- To wykluczone. Nie wiem nawet, skąd wziąć pieniądze na remont południowej nawy

katedry.

- Co więc zamierzasz?
- W Bogu nadzieja.
- Ci którzy pokładają nadzieję w Bogu i siebie, mają szansę zebrać plon. Ale ty nie

siejesz.

Anthony był zirytowany.

- Wiem, że trudno ci to zrozumieć, Edmundzie, ale opactwo Kingsbridge nie jest przedsięwzięciem handlowym. Jesteśmy po to, by oddawać cześć Bogu, a nie żeby zarabiać pieniądze.

- Nie będziesz mógł czcić Boga, nie mając co włożyć do ust.

- Pan Bóg da.

Twarz Edmunda poczerwieniała jeszcze bardziej, zrobiła się purpurowa.

- Kiedy byłeś dzieckiem, dzięki pieniądzom zarobionym przez ojca miałeś co jeść, w co się ubrać i za co się kształcić. Od kiedy zostałeś mnichem, żyjesz dzięki temu, że obywatele tego miasta i chłopci z okolicznych wsi płacą czynsz, dziesięcinę, myto, płacą za wynajem kramów, a także uiszczają mnóstwo innych opłat. Żyjesz jak pchła na grzbiecie ciężko pracujących ludzi, a teraz masz czelność mówić, że pan Bóg da.

- Zbliżasz się niebezpiecznie do bluźnierstwa.

- Nie zapominaj, że znam cię od dziecka, Anthony. Zawsze miałeś smykałkę do wymigiwania się od pracy. - Edmund często podnosił głos, ale teraz go zniżył. Caris wiedziała, że ojciec jest naprawdę zły. - Kiedy przychodził czas opróżniania ustępu, kładłeś się do łóżka, żeby odpocząć przed następnym dniem w szkole. Jako dar ojca dla Boga zawsze miałeś wszystko, co najlepsze, i nigdy nie kiwnąłeś Palcem, żeby na to zasłużyć. Pożywny jedzenie, najcieplejszy pokój, najlepsze ubrania... byłem jedynym chłopakiem, który nosił rzeczy po młodszym bracie!

- I nigdy nie pozwoliłeś mi o tym zapomnieć. Caris czekała na okazję, żeby położyć kres kłótni.

- Musi być jakiś sposób, żeby zbudować most - rzekła. Mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Czy mieszczanie nie mogliby zbudować mostu? - zapytała dziewczyna.

- To śmieszne - odparł Anthony. - Miasto należy do opactwa. Sługa nie urządza domu swojego pana.

- Ale gdyby poproszono cię o zgodę, nie miałbyś powodu, by odmówić. Anthony nie odrzucił pomysłu od razu, co stanowiło dobry znak. Jednak Edmund pokręcił głową.

- Nie sądzę, by udało mi się ich przekonać do wyłożenia pieniędzy - rzekł. - Rzecz jasna, byłoby to dla nich korzystne w przyszłości, lecz ludziom trudno jest myśleć o przyszłości, jeśli prosi

się ich, by oddali swoje pieniądze.

- Ha! - prychnął Anthony. - A po mnie spodziewasz się, że będę myślał perspektywicznie.

- Ty zajmujesz się życiem wiecznym, nieprawdaż? - odparował Edmund. - Jak mało kto powinieneś być w stanie widzieć dalej niż koniec następnego tygodnia. Poza tym dostajesz pensa od każdego, kto przekracza most. Pieniądze by ci się zwróciły, a jeszcze skorzystałbyś na lepszym handlu.

- Wujek Anthony jest duszpasterzem - zauważyła Caris. - Uważa, że jego rola nie polega na zarabianiu pieniędzy.

- Ale jest panem swoich poddanych! - wykrzyknął ojciec. - Tylko on może zbudować most! - Nagle spojrzał pytająco na córkę, uświadomiwszy sobie, że nie sprzeciwiłaby mu się bez powodu. - Co masz na myśli?

- A gdyby mieszczanie zbudowali most i dostali zwrot z myta? Edmund otworzył usta, żeby zgłosić jakieś obiekcje, lecz żadnych nie znalazł. Caris spojrzała na Anthony'ego.

- Gdy powstało opactwo, jedyny dochód czerpało z mostu - powiedział przeor. - Nie mogę go oddać.

- Pomyśl, co mógłbyś zyskać, gdyby targi wełny i cotygodniowy rynek dawały takie zyski jak kiedyś: nie tylko myto z mostu, ale także opłaty za kramy, procent od utargu i dary dla katedry!

- Oraz zyski z własnej sprzedaży: wełny, ziarna, skór, książek, figurek świętych...

- Zaplanowałeś to, prawda? - Anthony oskarżycielsko wycelował palec w brata. - Podpowiedziałeś córce i temu chłopakowi, co mają mówić. On nigdy nie wymyśliłby takiego podstępu, a ona jest tylko kobietą. To twoja robota. Uknułeś spisek, żeby pozbawić mnie myta za przejście przez most. Ale zawiedziesz się. Dzięki Bogu nie jestem głupi!

Przeor odwrócił się i ruszył przez błoto.

- Nie wiem, jak to możliwe, że mój ojciec spłodził takiego bezrozumnego syna - westchnął Edmund, po czym także odszedł.

Caris zwróciła się do Merthina:

- I co o tym wszystkim myślisz?

- Sam nie wiem. - Odwrócił się, unikając jej spojrzenia. - Muszę wracać do pracy.

Odszedł, nie całując Caris na pożegnanie.

- Co w niego wstąpiło?! - zapytała głośno dziewczyna, gdy się oddalił.

8

Hrabia Shiring przybył do Kingsbridge w piątek tygodnia, w którym odbywały się targi. Towarzyszyli mu dwaj synowie, członkowie rodziny i orszak złożony z rycerzy i giermków.

Wysłannicy hrabiego na godzinę przed jego przyjazdem zamknęli wejście na most, żeby nie musiał czekać w kolejce z plebsem, gdyż to uwłaczałoby jego godności. Ludzie hrabiego nosili czerwono-czarne liberie, pędzili na koniach przez miasto, powiewając jego proporcami i ochlapując przechodniów wodą i błotem. Hrabiemu Rolandowi dobrze się powodziło w ciągu ostatniej dekady - za królowej Izabeli i później, gdy na tronie zasiadł jej syn, Edward III - i chciał pokazać to światu. Ludzie możni i bogaci często tak postępują.

W jego orszaku znajdował się Ralph, syn Geralda i brat Merthina. W tym samym czasie, gdy Merthin został czeladnikiem u ojca Elfrica, Ralph trafił jako giermek do zamku hrabiego Rolanda i od tej pory był szczęśliwy. Dobrze go karmiono i ubierano, nauczył się jeździć konno i walczyć. Większość czasu spędzał na polowaniach, uprawianiu sportu i zabawach. Przez sześć i pół roku nikt nie kazał mu czytać ani pisać. Jadąc za hrabią pomiędzy stłoczonymi straganami na targu wełny i spoglądając na pełne lęku i zazdrości twarze, litował się nad kupcami i rzemieślnikami, którzy w błocie musieli harować na każdego pensa.

Hrabia zsiadł z konia przed domem przeora, po północnej stronie katedry. To samo uczynił jego młodszy syn Richard. Został biskupem Kingsbridge, więc katedra była teoretycznie jego kościołem. Jednakże pałac biskupa znajdował się w mieście Shiring, dwa dni drogi od katedry. Odpowiadało to biskupowi, który poza obowiązkami religijnymi zajmował się również polityką, a także mnichom wołącym, aby nie sprawowano nad nimi zbyt surowego nadzoru.

Richard miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, lecz jego ojciec był sojusznikiem króla, a to liczyło się bardziej od wieku.

Reszta orszaku dotarła do południowego krańca zielonego terenu otaczającego katedrę. Starszy syn hrabiego, William, lord Caster, kazał giermkom zaprowadzić konie do stajni. Grupa rycerzy udała się w tym czasie do szpitala. Ralph pospieszył, by pomóc żonie Williama, Philippie, zsiąść z konia. Była to wysoka, urodziwa niewiasta o długich nogach i wydatnym biuście. Ralph był w niej beznadziejnie zakochany.

Gdy konie znalazły się w stajni, Ralph udał się w odwiedzinę do rodziców. Nie płacąc czynszu, zajmowali mały domek w południowo-zachodniej części miasta, w pobliżu rzeki. Cuchnęło tam przeraźliwie za sprawą warsztatów garbarskich. Zbliżając się do domku, Ralph aż kurczył się ze wstydu w swojej czerwono-czarnej liberii. Mógł się tylko cieszyć, że lady Philippa nie widzi, w jakim upodleniu pędzą żywot jego rodzice.

Nie widział ich od roku i odniósł wrażenie, że się postarzel. We włosach matki pojawiło się sporo siwych nitek, a ojciec tracił wzrok. Poczęstowali go cydrem od mnichów i dzikimi truskawkami, które matka zebrała w lesie. Ojciec podziwiał jego liberię.

- Czy hrabia pasował cię już na rycerza? - spytał z nadzieją. Ambicją każdego giermka było zostać rycerzem, lecz Ralph pragnął tego bardziej niż inni. Ojciec nigdy nie przeboleał upokorzenia, jakim było pozbawienie go ziemi. Tamtego dnia przeszedł na utrzymanie klasztoru, a Ralph poczuł się tak, jakby wbito mu miecz w serce. Ból nie minie, dopóki nie zmyje plamy na honorze rodziny. Jednak nie wszyscy giermkowie zostawali rycerzami. Mimo wszystko ojciec rozmawiał z nim zawsze tak, jakby w przypadku Ralpha było to tylko kwestią czasu.

- Jeszcze nie - odparł chłopak. - Ale niebawem wyruszymy na wojnę z Francją, więc dostanę szansę.

Powiedział to spokojnie, nie chcąc okazać, jak bardzo marzy o tym, by wyróżnić się w bitwie.

- Dlaczego królowie wiecznie toczą wojny? - zapytała z oburzeniem matka Ralpha.

- Do tego stworzeni są mężczyźni! - odpowiedział ze śmiechem jej mąż.

- Wcale nie - rzekła ostro. - Kiedy w bólu rodziłam Ralpha, nie pragnęłam, żeby jakiś Francuz uciął mu głowę toporem albo przebił serce strzałą z łuku.

Gerald machnął na nią lekceważąco ręką.

- Czemu uważasz, że będzie wojna? - zapytał syna.

- Księżę Filip zagarnął Gaskonię.

- Aha. A my nie możemy się na to zgodzić.

Angielscy królowie władali francuską prowincją, Gaskonią, od pokoleń. Nadali przywileje kupcom z Bordeaux i Bayonne, którzy więcej handlowali z Londynem niż z Paryżem. Mimo to prowincja wiecznie przysparzała kłopotów.

- Król Edward wysłał ambasadorów do Flandrii, by zyskać sojuszników - dodał Ralph.

- Sojusznicy mogą zażądać pieniędzy.

- Właśnie dlatego hrabia Roland przybył do Kingsbridge. Król chce zaciągnąć pożyczkę u kupców handlujących wełną.

- Ile chce pożyczyć?

- Mówi się o dwustu tysiącach funtów w całym kraju. Miałyby to być zaliczka na poczet podatku od wełny.

- Król powinien uważać, bo zniszczy kupców tymi podatkami - zauważyła ponuro matka Ralpha.

- Kupcy mają mnóstwo pieniędzy, spójrz tylko na ich ubrania - odparł z goryczą ojciec. Ralph zauważył, że ma na sobie wytartą płócienną koszulę i zniszczone trzewiki. - Poza tym kupcy chcą, żebyśmy powstrzymali francuską flotę, która utrudnia nam handel.

W ciągu ubiegłego roku francuskie okręty napadły na miasta w południowej Anglii, łupiąc porty i podpalając stojące w nich statki.

- Francuzi atakują nas, więc my atakujemy Francuzów - powiedziała matka. - Jaki to ma sens?

- Kobiety nigdy tego nie pojmą - odparował ojciec.

- Taka jest prawda - nie dawała za wygraną jego żona. Ralph postanowił zmienić temat rozmowy.

- Jak się miewa mój brat?

- Jest dobrym rzemieślnikiem - odparł ojciec i Ralph pomyślał, że w taki sposób handlarz koźmi zachwala kucyka jako wierzchowca dla kobiety.

- Zakochał się w córce Edmunda Woolera - dodała matka.

- W Caris? - spytał z uśmiechem Ralph. - Zawsze ją lubił. Bawiliśmy się razem jako dzieci. Była z niej mała kokietka i lubiła się rządzić, ale Merthinowi to nie przeszkadzało. Ożenił się z nią?

- Tak mi się zdaje - odpowiedziała matka. - Kiedy zakończy termin.

- Niczego mu nie zabraknie - stwierdził z przekonaniem Ralph, wstając. - Gdzie on teraz jest?

- Pracuje w katedrze, w północnym portyku - odrzekł ojciec. - Ale teraz może je obiad.

- Znajdę go. - Ralph ucałował rodziców i wyszedł.

Deszcz przestał padać, chwilami słońce przedzierało się przez chmury, odbijając się w kałużach. Z mokrych płacht straganów unosiła się para. Dostrzegł znajomą kobiecą twarz o prostym nosie i wyraźniej zaznaczonej szczęce. Lady Philippa była starsza od Ralpa, miała około dwudziestu pięciu lat. Oglądała bele jedwabiu z Italii, a Ralph pochłaniał wzrokiem zaokrąglenie jej bioder, uwydatnione przez letnią suknię. Skłonił się przesadnie nisko.

Lady Philippa niedbale skinęła mu głową.

- Piękne materiały - zagaił.

- Tak.

W tej samej chwili pojawiła się drobna postać z potarganą czupryną w kolorze marchwi. Ralph ucieszył się na widok swojego brata Merthina.

- To mój starszy brat, mądra głowa - rzekł do Philippy.

- Proszę kupić ten bladozielony, pasuje do koloru pani oczu - doradził Merthin.

Ralph aż się skrzywił. Merthin nie powinien odzywać się tak poufale do damy.

- Jeśli zechcę zasięgnąć opinii chłopca, zapytam syna - odparła lady Philippa z lekką przyganą. Mimo to uśmiechnęła się do niego prawie zalotnie.

- To jest lady Philippa, głupcze! Proszę wybaczyć mojemu bratu tę impertynencję,

pani.

- Jak mu na imię?

- Jestem Merthin Fitzgerald, do usług, ilekroć będzie się pani wahała w kwestii wyboru jedwabiu.

Ralph wziął go pod rękę i odprowadził, żeby brat nie powiedział czegoś jeszcze gorszego.

- Nie wiem, jak ty to robisz! - rzekł Ralph głosem, w którym desperacja mieszała się z podziwem. - Pasuje do jej oczu?! Gdybym ja coś takiego powiedział, kazałaby mnie wychłostać.

Przesadzał, lecz było prawdą, że Philippa zazwyczaj reagowała ostro na bezczelność. Sam nie wiedział, czy się śmiać, czy złościć, że dla Merthina była tak wyrozumiała.

- Cały ja - odparł Merthin. - Jestem marzeniem każdej kobiety. Ralph wychwytał gorycz w jego głosie.

- Coś się stało? - zapytał. - Jak się miewa Caris?

- Zrobiłem coś strasznie głupiego. Później ci opowiem. Rozejrzyjmy się, póki świeci słońce.

Ralph wypatrzył kram, na którym mnich o popielatych włosach sprzedawał ser.

- Patrz - zwrócił się do brata, po czym zbliżył się do straganu. - Ten ser wygląda smakowicie. Skąd pochodzi?

- Wyrabiamy go w klasztorze pod wezwaniem Świętego Jana z Lasu. To małe odgałęzienie opactwa Kingsbridge. Jestem tam przeorem. Nazywam się Saul Whitehead.

- Aż mi w brzuchu burczy na sam widok. Szkoda, że mnie nie stać. Hrabia nie płaci nam ani pensa.

Mnich ukroił plaster sera i podał Ralphowi.

- Weź więc za darmo, w imię Jezusa Chrystusa.

- Dziękuję ci, bracie Saulu.

Gdy odeszli kilka kroków, Ralph uśmiechnął się do brata.

- Widzisz, jakie to proste? Z taką samą łatwością mógłbym odebrać jabłko dziecku!

- I byłby to równie chwalebny postępek - zauważył ironicznie Merthin.

- Ależ z niego głupiec! Dał mi sera, bo poczęstowałem go łzawą historyjką!

- On pewnie uważa, że lepiej jest wyjść na głupca, niż odmówić głodnemu.

- Jesteś dzisiaj w cierpkim nastroju. Tobie wolno rzucać bezczelne uwagi arystokratce, a ja nie mogę wydebić kawałka sera od tępego mnicha?

Merthin zaskoczył brata, uśmiechając się.

- Tak jak wtedy, gdy byliśmy mali.

- Otóż to! - Ralph znów nie wiedział, czy się gniewać, czy śmiać. Zanim zdążył się zdecydować, pojawiła się ładna dziewczyna z jajkami na tacy. Była szczupła, a pod jej prostą sukienką przeżył się drobny biust. Ralph wyobraził sobie, że jej piersi są białe i krągłe jak jajka. Uśmiechnął się. - Po ile? - zapytał, choć nie potrzebował jajek.

- Dwanaście za pensa.

- Są smaczne?

Dziewczyna wskazała pobliski stragan.

- Pochodzą od tych kur.

- A czy kokoszki mogą liczyć na usługi zdrowego koguta? - Merthin przewrócił oczami i zrobił minę udawanej rozpaczki.

Jednak dziewczyna podjęła zabawę.

- Tak, proszę pana - odparła z uśmiechem.

- Szczęściary z nich, co?

- Ja tam nie wiem.

- Bo i skąd? Panna niewiele może wiedzieć o tych sprawach.

Ralph przyjrzał się dziewczynie. Miała jakieś osiemnaście lat, jasne włosy i zadarty nos. Zatrzepotała rzęsami.

- Proszę mi się tak nie przyglądać.

- Annet! Chodź tutaj! - zawołał kmięć stojący za straganem, bez wątpienia ojciec dziewczyny.

- A więc masz na imię Annet - zauważył Ralph. Dziewczyna zignorowała wołanie rodziciela.

- Jak się nazywa twój ojciec?

- Perkin z Wigleigh.

- Naprawdę? Mój przyjaciel Stephen jest lordem Wigleigh. Dobrze was traktuje?

- Lord Stephen jest łagodny i sprawiedliwy - odparła grzecznie dziewczyna.

- Annet! Jesteś tu potrzebna! - znów zawołał ojciec.

Ralph wiedział, dlaczego Perkin się niepokoi. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby wyszła za giernka, byłby to dla niej awans społeczny. Obawiał się jednak, że Ralph chce z nią poromansować, a później ją rzucić. I nie mylił się.

- Nie odchodź, Annet - poprosił Ralph.

- Nie odejdę, dopóki nie kupi pan ode mnie jajek.

- Jedno warte drugiego - jęknął Merthin.

- Zostaw te jajka i chodź ze mną-zaproponował Ralph. - Pospacerujemy nad rzeką.

Między rzeką a ścianą klasztoru rozciągało się szerokie nabrzeże, o tej porze roku

porośnięte dzikimi kwiatami i krzewami. Właśnie tam pary urządziły sobie schadzki.

Jednak Annet nie była łatwa do zdobycia.

- Ojciec byłby niezadowolony.

- Nie przejmujemy się nim.

Kmieć nie mógł przeciwstawić się woli giermka, zwłaszcza jeśli ten nosił barwy potężnego hrabiego. Napaść na służbę była traktowana jak obraza jego pana. Mężczyzna mógł przemówić córce do rozsądku, lecz próba powstrzymania jej siłą mogłaby go wiele kosztować.

Ktoś inny przyszedł mu jednak w sukurs.

- Witaj, Annet - odezwał się młodzieńczy głos. - Wszystko w porządku? Ralph odwrócił się do przybysza. Chłopak wyglądał na szesnaście lat, ale wzrostem prawie dorównywał Ralphowi, miał szerokie bary i duże dłonie. Był uderzająco przystojny, jego twarz o regularnych rysach wyglądała jak wyrzeźbiona wprawną ręką artysty. Miał gęste kasztanowe włosy i zaczątki brody tego samego koloru.

- Kim ty, u diabła, jesteś? - mruknął Ralph.

- Jestem Wulfric z Wigleigh, panie. - Chłopak okazał Ralphowi szacunek, ale nie przestraszył się go. Odwróciwszy się do Annet, rzekł: - Przyszedłem ci pomóc sprzedawać jajka.

Wulfric wsunął się między Ralpha i Annet, jego muskularne ramię osłaniało dziewczynę, oddzielając ją jednocześnie od giermka. Była to lekka zniewaga i Ralph poczuł ukłucie gniewu.

- Usuń się, Wulfricu z Wigleigh. Nic tu po tobie. Wulfric odwrócił się i spojrzał Ralphowi prosto w oczy.

- Jestem narzeczoną tej kobiety, panie - oznajmił tonem pełnym szacunku, lecz pozbawionym lęku.

- To prawda, panie - potwierdził Perkin. - Tych dwoje ma się pobrać.

- Nie pleć mi o swoich chłopskich zwyczajach - warknął pogardliwie Ralph. - Nic mnie to nie obchodzi, czy dziewczyna jest żoną tego prostaka.

Rozgniewało go, że ludzie niższego stanu odzywają się do niego w ten sposób. Nie mają prawa mu rozkazywać. Merthin postanowił interweniować.

- Chodźmy, Ralphie - rzekł. - Zgłodniałem, a Betty Baxter sprzedaje gorące ciastka.

- Ciastka? Jajeczka są bardziej apetyczne.

Ralph wziął z tacy jedno jajko i pogładził je sugestywnym gestem, a potem położył rękę na lewej piersi dziewczyny. Była sprężysta i obła jak jajko.

- Co pan robi? - zapytała z oburzeniem dziewczyna, ale się nie odsunęła. Ralph ścisnął delikatnie pierś.

- Badam towar.

- Proszę zabrać rękę.

- Za chwilę.

Wulfric odepchnął go gwałtownie.

Zaskoczył Ralpa, który nie spodziewał się ataku ze strony kmięcia. Zachwiał się, zatoczył i upadł z głośnym plaśnięciem. Ktoś parsknął śmiechem. Ralph poczuł się upokorzony. Zerwał się na równe nogi, kipiąc wściekłością.

Nie miał przy sobie miecza, ale nosił u pasa długi sztylet. Byłoby to niehonorowe, gdyby użył broni przeciwko bezbronnemu chłopu - straciłby szacunek rycerzy i innych giermków. Musiał dać Wulfricowi nauczkę pięściami.

Perkin wysunął się zza straganu.

- Okropna niezdara z tego chłopaka, panie - mówił szybko. - Bardzo żałuje tego, co zrobił, zapewniam pana...

Lecz jego córka wcale nie okazywała strachu.

- Ach, ci chłopcy! - powiedziała tonem udawanej przygany, lecz sprawiała wrażenie zadowolonej.

Ralph zignorował oboje. Zrobił krok w stronę Wulfrica i podniósł prawą rękę, a gdy Wulfric zasłonił się rękami przed ciosem, uderzył go w brzuch.

Jednak brzuch okazał się twardszy, niż Ralph się spodziewał. Wulfric zgiął się wpół, łapiąc się rękami za zbolące miejsce. Wtedy Ralph zadał cios prawą ręką, trafiając go w kość policzkową. Dłoń zabolą, lecz radość była większa od bólu.

Ku jego zdumieniu Wulfric mu oddał.

Zamiast upaść na ziemię i pozwolić się skopać, młody kmić uderzył Ralpa prawą ręką, wkładając w cios całą siłę. Nos giermka eksplodował krwią i bólem. Ralph ryknął z wściekłości.

Wulfric cofnął się, jak gdyby uświadomił sobie, co zrobił, i opuścił ręce.

Jednak na żal było już za późno. Ralph rzucił się na niego z pięściami, okładając po twarzy i tułowiu. Wulfric bez przekonania usiłował osłaniać się i uchylać. Ralph domyślał się, dlaczego nie ucieka: wolał przyjąć razy teraz, niż czekać, aż później spotka go coś gorszego. Giermek musiał przyznać, że ma odwagę, ale to rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Uderzał coraz mocniej. Wypełniał go gniew na równi z podnieceniem. Merthin próbował się wtrącić.

- Dość, na rany Chrystusa - powiedział, kładąc rękę na ramieniu brata. Ale Ralph ją odtrącił.

Wulfric opuścił ręce, zatoczył się i upadł. Jego twarz była cała we krwi. Ralph zaczął go kopać. Nagle stanął obok niego krzepki mężczyzna w skórzanych spodniach.

- Dość tego, młodzieńcze, bo go zabijesz. Ralph rozpoznał Johna, miejskiego porządkowego.

- On się na mnie rzucił! - poskarżył się gniewnie.

- Ale już się nie rzuca, prawda, panie? Leży na ziemi i zasłania oczy. - John stanął przed Ralphem. - Wolałbym uniknąć zachodu z koronerem.

Wokół Wulfrica zgromadzili się ludzie: Perkin, zarumieniona z radości Annet, lady Philippa oraz kilku gapiów. »

Podniecenie minęło i Ralph poczuł, że nos boli go straszliwie. Mógł oddychać tylko ustami. Poczul smak krwi.

- Ten łobuz uderzył mnie w nos - powiedział takim głosem, jakby był bardzo przeziębiony.

- Wobec tego zostanie ukarany - odparł John.

Pojawiło się dwóch mężczyzn podobnych do Wulfrica. Ralph domyślił się, że to jego ojciec i starszy brat. Podnieśli go, rzucając wściekle spojrzenia na Ralpa.

- Giermek zadał pierwszy cios - odezwał się Perkin, tęgi mężczyzna z podstępny wyrazem twarzy.

- Ten kmieć mnie pchnął! - wykrzyknął Ralph.

- Giermek obraził przyszłą żonę Wulfrica.

- Nieważne, co powiedział giermek, Wulfric powinien wiedzieć, że nie wolno podnosić ręki na sługę hrabiego Rolanda. Spodziewam się, że hrabia obejdzie się z nim surowo.

- Czyżby ustanowiono nowe prawo, które mówi, że mężczyźni w liberii wolno robić wszystko, na co ma ochotę?

Wśród zgromadzonych przebiegł szmer aprobaty. Młodzi giermkowie często wywoływali awantury i unikali kary tylko dlatego, że nosili barwy jakiegoś wielmoży. Szanujący prawo kupcy i chłopci byli temu zdecydowanie przeciwni.

- Jestem synową hrabiego i widziałam całe zajście - odezwała się lady Philippa. Miała niski melodyjny głos, lecz biła z niego pewność siebie i poczucie władzy. Ralph spodziewał się, że dama go wesprze, ale spotkał go srogi zawód. - Przykro mi to stwierdzić, lecz całą winę ponosi Ralph. Dotykał dziewczyny w najbardziej haniebnym sposób.

- Dziękuję, pani - rzekł z szacunkiem porządkowy. Zniżywszy głos, zwrócił się do lady Philippy: - Wydaje mi się, że hrabia jednak nie zechce puścić tego płazem.

Dama z namysłem skinęła głową.

- Lepiej nie wszczynać zatargów. Zakuj chłopca w dyby na dwadzieścia cztery godziny. Jest w takim wieku, że nic mu nie będzie, a sprawiedliwości stanie się zadość. Hrabiego to zadowoli, mówię to w jego imieniu.

John się zawahał. Ralph domyślił się, że porządkowy wolałby nie przyjmować rozkazów od

nikogo poza swoim panem, przeorem Kingsbridge. John stwierdził jednak, że decyzja Philippy usatysfakcjonuje obie strony. Ralph wolałby, żeby Wulfric został wychłostany, ale zaczął podejrzewać, iż nie wyszedł z tego zajścia jako bohater, a domagając się surowej kary, wypadłby jeszcze gorzej.

- Dobrze więc, pani - rzekł po chwili namysłu John. - Tak uczynię, jeśli bierzesz na siebie odpowiedzialność.

- Owszem, biorę.

- A więc idziemy. - John chwycił Wulfrica pod ramię. Chłopak szybko doszedł do siebie. Rodzina kroczyła za nim. Może przyniosą mu coś do jedzenia, kiedy będzie zakuty w dyby, i nie pozwolą obrzucać go kamieniami.

- Jak się czujesz? - spytał brata Merthin.

Ralph miał wrażenie, że twarz puchnie mu jak nadmuchany pęcherz. Źle widział, mówił przez nos i strasznie go bolało.

- Świetnie - mruknął. - W życiu nie czułem się lepiej.

- Pójdziemy do mnichów, niech któryś cię obejrzy.

- Nie. - Ralph nie bał się walki, lecz zabiegi lekarzy - upuszczanie krwi i przekłuwanie wrzodów - napawały go lękiem. - Jedyne, czego mi trzeba, to butelka mocnego wina. Zabierz mnie do najbliższej gospody.

- Dobrze - odparł Merthin, ale nie ruszył się z miejsca. Mierzył brata osobliwym spojrzeniem.

- O co chodzi? - zapytał Ralph.

- Ty się nigdy nie zmienisz, prawda? Ralph wzruszył ramionami.

- Czy ktoś w ogóle się zmienia?

9

Księga Timothy 'ego całkowicie pochłonęła Godwyna. Były to dzieje opactwa Kingsbridge i jak większość tego rodzaju dzieł, zaczynała się od stworzenia przez Boga nieba i ziemi. Jednakże główna jej część opisywała epokę przeora Philipa dwieście lat temu, gdy wybudowano katedrę. Mnisi uważali te czasy za złoty wiek. Autor, brat Timothy, utrzymywał, że legendarny Philip był człowiekiem surowej dyscypliny, a zarazem wielkiego współczucia. Godwyn nie bardzo wiedział, jak można być jednym i drugim naraz.

W środę tygodnia targowego, w godzinie poświęconej na naukę przed mszą wieczorną, Godwyn usiadł na wysokim stołku w bibliotece klasztoru, rozłożywszy przed sobą księgę na pulpicie. To było jego ulubione miejsce w klasztorze: przestronne pomieszczenie, dobrze oświetlone dzięki wysokim oknom, w którym w zamkniętym regale spoczywało prawie sto ksiąg. Zwykle panowała tam

cisza, lecz tego dnia Godwyn słyszał stłumiony gwar targu. Setki ludzi sprzedawało, kupowało, targowało się, kłóciło i wykrzykiwało, zachęcając do walki koguty i psy szczute na uwiązanego niedźwiedzia.

Na końcu książki autorzy, którzy ją rozszerzali, przedstawili potomków budowniczych aż do czasów współczesnych Godwynowi. Mnich ucieszył się - i prawdę powiedziawszy, zdumiał - uzyskawszy potwierdzenie hipotezy matki twierdzącej, że jest prawnuczką Toma Budowniczego, którego córka nosiła imię Martha. Godwyn był ciekaw, czy potomkowie odziedziczyli jakieś cechy po Tomie. Stwierdził, że murarz musiał dobrze dbać o swoje interesy, a dziadek Godwyna i jego wuj Edmund także to potrafili. Kuzynka Caris również zaprezentowała ten dar. Może i Tom miał zielone oczy nakrapiane żółtymi plamkami tak jak wszyscy członkowie rodziny Godwyna.

Godwyn czytał także o przybranym synu Toma, Jacku, architekcie, który zaprojektował katedrę, poślubił lady Alienę i zapoczątkował dynastę hrabiów Shiring. Był on przodkiem ukochanego Caris, Merthina Fitzgeralda. Nic dziwnego, że młody Merthin już wykazuje wyjątkowe zdolności jako cieśla. W Księdze Timothy 'ego wspomniano nawet o rudych włosach, które odziedziczyli sir Gerald i Merthin, ale nie jego brat Ralph.

Najbardziej interesował Godwyna rozdział poświęcony kobietom. Wydawało się, że w czasach przeora Philipa w Kingsbridge nie było zakonnice. Kobiety miały surowy zakaz wstępu do budynków klasztornych. Autor, cytując Philipa, napisał, że jeśli to tylko możliwe, mnich nigdy, dla spokoju swojego umysłu, nie powinien spoglądać na niewiastę. Philip był przeciwny umieszczeniu obok siebie klasztorów męskich i żeńskich, argumentując, że choć płyną z tego pewne korzyści, to szatan zyskuje sposobność kuszenia zakonników. Dodawał, że tam, gdzie istnieją podwójne klasztory, rozdział mnichów od zakonnice powinien być przestrzegany z największą surowością.

Godwyn poczuł przyjemny dreszcz, znajdując potwierdzenie swojego przekonania u takiego autorytetu. W Oksfordzie mógł się radować zdecydowanie męskim towarzystwem w kolegium Kingsbridge. Wykładowcy, podobnie jak studenci, byli bez wyjątku płci męskiej. Przez siedem lat prawie nie rozmawiał z kobietami, a chodząc ulicą ze wzrokiem utkwionym w ziemi, zdołał nawet unikać patrzenia na nie. Po powrocie do klasztoru często widywał niewiasty, co bardzo go niepokoiło. Jakkolwiek miały własne kruchty, refektarze, kuchnię i inne budynki, często spotykał je w kościele, szpitalu oraz w miejscach ogólnodostępnych. Nawet teraz, gdy studiował księgę, kilka stóp od niego siedziała młoda urodziwa zakonnica o imieniu Mair, która przeglądała ilustrowaną książkę o ziołach leczniczych. Jeszcze gorsze były spotkania z dziewczętami z miasta, noszącymi obcisłe suknie i wyzywające fryzury. Codziennie wkraczały jak gdyby nigdy nic na teren opactwa, przynosząc produkty do kuchni albo odwiedzając szpital.

Najwyraźniej opactwo zaniedbało przestrzegania surowych zasad ustanowionych za czasów Philipa. Zdaniem Godwyna był to kolejny przykład rozluźnienia obyczajów, które wkradło się do klasztoru za rządów jego wuja Anthony'ego. Miał nadzieję, że uda się temu zaradzić.

Rozległ się dźwięk dzwonu wzywający na wieczorne nabożeństwo, więc Godwyn zamknął księgę. Siostra Mair uczyniła to samo, uśmiechając się do niego. Jej czerwone usta wygięły się w ponętny łuk. Godwyn odwrócił głowę i pospiesznie wyszedł z sali.

Pogoda się poprawiała, między jednym a drugim opadem deszczu świeciło słońce. Witraże w katedrze na przemian rozjaśniały się i ciemniały, po niebie płynęły chmury. Godwyn niespokojnie myślał o tym, jak najlepiej wykorzystać Księgę Timothy'ego do przywrócenia dawnego ducha w klasztorze. Postanowił podnieść tę sprawę na kapitule, wieczornym zgromadzeniu wszystkich mnichów.

Zauważył, że rzemieślnicy szybko naprawiają prezbiterium po katastrofie, do której doszło w ubiegłą niedzielę. Usunęli gruz i odgradzili sznurami miejsce robót. W transepcie piętrzył się stos cienkich, lekkich kamieni. Mężczyźni nie przerwali pracy, kiedy mnisi zaczęli śpiewać. W ciągu dnia odbywało się tyle nabożeństw, że gdyby tak czynili, naprawa zniszczeń trwałaby bardzo długo. Merthin Fitzgerald chwilowo przerwał pracę przy nowych drzwiach i zajął się budowaniem skomplikowanej sieci złożonej ze sznurów, kozłów i kładek, na których będą stali murarze odbudowujący sklepienie. Thomas Langley, który nadzorował remont, stał w południowym transepcie z Elfrikiem. Wskazywał swoją jedyną ręką na Merthina, najwyraźniej komentując jego pracę.

Thomas dobrze się sprawdzał w roli kościelnego; okazywał zdecydowanie i miał wszystko pod kontrolą. Ilekroć rzemieślnicy nie stawili się do pracy - a zdarzało się to dość często - odnajdywał ich i domagał się wyjaśnień. Jeśli można mu było coś zarzucić, to jedynie zbytnią niezależność, rzadko bowiem opowiadał się Godwynowi lub pytał go o zdanie. Robił swoje, jak gdyby był swoim panem, a nie podwładnym Godwyna. Ten zaś miał nieprzyjemne podejrzenie, że Thomas wątpi w jego umiejętności. Był młodszy, lecz niewiele - miał trzydzieści jeden lat, a Thomas trzydzieści cztery. Może uważał, że Godwyn został awansowany przez przeora za sprawą nacisku Petranilli. Nie okazywał jednak innych oznak niechęci. Po prostu robił wszystko po swojemu.

Godwyn machinalnie odpowiadał na słowa mnicha odprawiającego mszę, obserwując Thomasa i Elfrica. Ci jednak nagle przerwali rozmowę, do katedry wkroczył bowiem lord William Caster. Był to wysoki brodaty mężczyzna, podobny do ojca i równie surowy, choć powiadano, że czasem łagodnieje pod wpływem żony Philippy. Podszedł do Thomasa i gestem odprawił Elfrica. Thomas odwrócił się do lorda. Jego postawa przypominała Godwynowi, że niegdyś był rycerzem, a gdy zjawił się po raz pierwszy w klasztorze, krwawił z rany, która później sprawiła, iż musiano mu

amputować w łokciu lewą rękę.

Godwyn żałował, że nie może usłyszeć słów lorda Williama. Ten zaś pochylił się i mówił coś ostrym tonem, wskazując palcem Thomasa. Ten, nie okazując lęku, odpowiadał z takim samym wigorem. Nagle Godwyn przypomniał sobie, że podobną i równie intensywną dyskusję Thomas odbył w dniu swojego przybycia do klasztoru przed dziesięcioma laty. Wtedy spierał się z młodszym bratem Williama, Richardem, wówczas księdzem, a dziś biskupem Kingsbridge. Godwyn wyobraził sobie, że kłótnia dotyczy tej samej sprawy. Co mogło być przedmiotem sporu? Czy między mnichem i rodziną szlachecką istnieje jakiś zatarg, który nawet po dziesięciu latach budzi tak gorące emocje?

Lord William odszedł hałaśliwie, najwyraźniej nieusatisfakcjonowany. Thomas odwrócił się do Elfrica.

Dziesięć lat temu owa waśń skłonił Thomasa do wstąpienia do klasztoru. Godwyn przypomniał sobie, że Richard obiecał wesprzeć klasztor, jeśli Thomas zostanie przyjęty. Ale Godwyn nie pamiętał żadnego daru i wątpił, czy obietnica doczekała się spełnienia.

Przez te dziesięć lat nikt w klasztorze nie dowiedział się wiele o życiu Thomasa przed wstąpieniem do klasztoru. Mogło to dziwić, gdyż mnisi bez przerwy plotkowali. Tworzyli nieliczną grupę - obecnie było ich dwudziestu sześciu - więc wiedzieli o sobie niemal wszystko. Jakiemu panu służył Thomas? Gdzie mieszkał? Większość rycerzy miała kilka wiosek, dzięki temu uzyskiwali dochody, za które mogli kupować konie, zbroje i oręż. Czy Thomas miał żonę i dzieci? Jeśli tak, to co się z nimi stało? Nikt tego nie wiedział.

Mimo iż otaczał się tajemnicą, Thomas Był dobrym mnichem, pobożnym i pracowitym. Wydawało się, że takie życie odpowiada mu bardziej niż los rycerza. Choć kiedyś z pewnością używał przemocy, było w nim coś kobiecego, tak jak w wielu mnichach. Bardzo się zaprzyjaźnił z bratem Matthiasem, miłym mężczyzną o kilka lat młodszym od niego. Jeśli jednak oddawali się grzechowi nieczystości, czynili to nader dyskretnie, gdyż nie padły pod ich adresem żadne zarzuty.

Pod koniec mszy Godwyn zerknął w stronę pogrążonej w mroku nawy i dostrzegł swoją matkę, Petranillę, stojącą nieruchomo niczym kolumna. Słup światła z okna padał na jej wyprostowaną dumnie głowę. Była sama. Ciekawe, jak długo tam tkwiła, obserwując otoczenie? Świeckich nie zachęcano do uczęszczania na msze w dni powszednie, Godwyn domyślał się więc, że matka przyszła, by się z nim zobaczyć. Poczł dobrze znaną mieszaninę zadowolenia i obawy. Wiedział, że matka zrobiłaby dla niego wszystko. Sprzedała dom i została gospodynią w domu swojego brata Edmunda po to, by syn mógł studiować w Oksfordzie. Na myśl o poświęceniu, jakim był ten czyn dla jego dumnej matki, Godwynowi łzy stawały w oczach. Jednak jej obecność zawsze go niepokoiła, jak gdyby spodziewał się reprimendy za jakieś wykroczenie.

Godwyn odłączył się od sunących wolno mnichów i podszedł do matki. Dzień dobry, mamu.

Petranilla pocałowała go w czoło.

- Jak ty schudłeś - powiedziała z matczyną troską. - Czyżbyś nie dojadł?

- Jemy słone ryby i owsiankę, ale porcje są obfite.

- Dlaczego jesteś taki poruszony? - Matka zawsze umiała odgadnąć jego nastrój.

Opowiedział jej o Księdze Timothy'ego.

- Może odczytam ten ustęp w czasie kapituły.

- Czy inni mnisi cię poprą?

- Mógłbym liczyć na Theodorica i pozostałych młodych braci. Częste spotkania z kobietami bardzo ich niepokoją. Wszak wszyscy wybrali życie w męskiej wspólnotcie.

Petranilla z aprobatą skinęła głową.

- To stawia cię w pozycji przywódcy. Doskonale.

- Poza tym lubią mnie za gorące kamienie.

- Jakie kamienie?

- Zimą wprowadziłem nowy zwyczaj. W mroźne noce, gdy przychodzimy do kościoła na jutrznię, każdy mnich dostaje gorący kamień owinięty w szmatę. Dzięki temu unikają odmrożeń stóp.

- Bardzo mądrze. Mimo to sprawdź, czy możesz liczyć na poparcie, zanim zgłosisz wniosek.

- Naturalnie. Mój pomysł jest zgodny z nauczaniem mistrzów w Oksfordzie.

- A mianowicie?

- Ludzie są omylni, dlatego nie powinniśmy polegać na własnym rozumowaniu. Nie możemy liczyć, że pojmiemy świat, możemy tylko patrzeć oniemiałi i zachwyceni na dzieło Pana Boga. Prawdziwa wiedza pochodzi jedynie z oświecenia. Nie należy kwestionować mądrości, którą otrzymujemy.

Wzrok matki wyrażał sceptycyzm; świeccy często reagowali w ten sposób, gdy ludzie wykształceni wprowadzali ich w tajniki filozofii.

- Biskupi i kardynałowie w to wierzą?

- Tak. Na Uniwersytecie Paryskim zakazano czytania dzieł Arystotelesa i Tomasza z Akwinu, gdyż autorzy ci czerpią z rozumu, a nie z wiary.

- Czy ten sposób myślenia pomoże ci zdobyć uznanie przełożonych?

W gruncie rzeczy tylko to interesowało Petranillę. Pragnęła, by jej syn został przeorem, arcybiskupem, a nawet kardynałem. Godwyn chciał tego samego, lecz miał nadzieję, że nie jest tak cyniczny jak matka.

- Z pewnością - odparł.

- Cieszę się. Ale nie po to tutaj przyszłam. Twój wuj Edmund ma poważny kłopot. Włosi grożą, że przeniosą handel do Shiring.

Godwyn był wstrząśnięty.

- To zrujnuje jego interesy.

Godwyn nie wiedział jednak, dlaczego matka przyszła, żeby mu o tym powiedzieć.

- Edmund uważa, że zdołamy odwieść ich od tego zamiaru, jeśli ulepszymy targi wełny. Chodzi mu zwłaszcza o rozebranie starego mostu i zbudowanie nowego, szerszego.

- Będę zgadywał: wuj Anthony nie wyraził zgody.

- Ale Edmund się nie poddał.

- Chcesz, żebym pomówił z Anthonym? Petranilla pokręciła głową.

- Nie zdołasz go przekonać. Jeśli jednak sprawa stanie na kapitule, powinieneś poprzeć propozycję Edmunda.

- Mam się sprzeciwić wujowi Anthony'emu?

- Zawsze, gdy rozsądna propozycja napotyka opór starszych, musisz postępować tak, by uważano cię za przywódcę reformatorów.

Godwyn uśmiechnął się z podziwem.

- Mamo, skąd tak dużo wiesz o polityce?

- Powiem ci. - Petranilla rozejrzała się i skupiwszy wzrok na wielkim rozetowym oknie we wschodniej ścianie katedry, sięgnęła pamięcią w przeszłość. - Kiedy mój ojciec zaczynał handlować z Włochami, wszyscy znacniejsi mieszczanie w Kingsbridge traktowali go jak parweniusza. Patrzyli z góry na niego i jego rodzinę i robili wszystko, żeby nie wprowadził swoich pomysłów w czyn. Matka już wtedy nie żyła, a ja miałam kilkanaście lat, więc ze wszystkiego mi się zwierzał.

Twarz Petranilli, zwykle zastygła w wyrazie spokoju, teraz wyrażała gorycz i żal. Jej oczy się zwężyły, usta wygięły, a policzki zaczerwieniły, gdy przypomniwała sobie tamten wstyd.

- Ojciec stwierdził, że nigdy się od nich nie uwolni, jeśli nie przejmie władzy w gildii parafialnej. Taki postawił sobie cel, a ja pomagałam mu go osiągnąć. - Petranilla wzięła głęboki oddech, jakby znów zbierała siły przed długą kampanią. - Zdołaliśmy podzielić rządzącą grupę, pchnęliśmy jedną frakcję przeciw drugiej, zawieraliśmy sojusze by je później zrywać, bezwzględnie osłabialiśmy przeciwników i wykorzystywaliśmy popleczników, dopóki byli nam potrzebni, a później się ich pozbywaliśmy. Zajęło nam to dziesięć lat, ale na koniec ojciec został starszym gildii i najbogatszym człowiekiem w mieście.

Petranilla opowiadała już synowi historię jego dziadka, lecz nigdy nie uczyniła tego w tak

otwarty sposób.

- A więc doradzałaś dziadkowi, tak jak Caris doradza Edmundowi? Petranilla zaśmiała się krótko.

- Tak, z tą tylko różnicą, że kiedy Edmund przejął interesy, byliśmy już czołowymi obywatelami miasta. Mój ojciec i ja wspięliśmy się na drabinę, a Edmund musiał tylko zejść po drugiej stronie.

Gdy to mówiła, w katedrze pojawił się Philemon. Miał dwadzieścia dwa lata i był wysokim, mizernym młodzianem. Chodził na palcach, stawiając krótkie kroczki jak ptak. W rękach trzymał miotłę, gdyż zajmował się sprzątaniami klasztoru. Jego twarz zdradzała ekscytację.

- Szukałem cię, bracie Godwynie. Petranilla nie przejęła się jego niecierpliwością.

- Witaj, Philemonie. Nie zostałeś jeszcze mnichem?

- Nie stać mnie na złożenie potrzebnego daru, pani Petranillo. Pochodzę ze skromnej rodziny.

- Zdarzały się już przypadki, gdy klasztor rezygnował z daru, jeśli kandydat okazywał pobożność. A ty służysz opactwu, za opłatą i bez niej, od wielu lat.

- Brat Godwyn zaproponował moją kandydaturę, ale niektórzy starsi mnisi są przeciwko mnie.

- Ślepy Carlus nie znosi Philemona, nie wiem dlaczego - wtrącił Godwyn.

- Pomówię z moim bratem Anthonym - oznajmiła Petranilla. - Jego głos jest ważniejszy od głosu Carlusa. Jesteś przyjacielem mojego syna, chciałabym zobaczyć, jak awansujesz.

- Dziękuję ci, pani.

- Najwyraźniej palisz się, żeby przekazać coś mojemu synowi, a nie chcesz mówić przy mnie.

- Petranilla pocałowała Godwyna. - Pamiętaj, co ci powiedziałam.

- Nie zapomnę.

Godwyn poczuł ulgę, jak gdyby chmura burzowa przesunęła się nad jego głową i odpłynęła.

Gdy tylko Petranilla znalazła się poza zasięgiem głosu, Philemon rzekł:

- Chodzi o biskupa Richarda!

Godwyn uniósł brwi. Philemon jak mało kto umiał poznawać sekrety innych ludzi.

- Czego się dowiedziałeś?

- Jest w jednej z prywatnych komnat na górze w szpitalu, ze swoją kuzynką Margery!

Margery była ładną szesnastoletnią dziewczyną. Jej rodzice, młodszy brat hrabiego Rolanda i siostry hrabiny Marr, nie żyli, a Margery została podopieczną Rolanda. Hrabia zaaranżował dla niej małżeństwo z synem hrabiego Monmouth. Ten sojusz polityczny wzmocniłby pozycję Rolanda jako najwybitniejszego arystokraty południowo-zachodniej Anglii.

- Co robią? - spytał Godwyn, choć mógł odgadnąć.

- Całują się - odparł stłumionym głosem Philemon.
- Skąd wiesz?
- Chodź, pokażę ci.

Philemon wyprowadził mnicha z katedry południowym transeptem, a potem przez męski klasztor wszedł po schodach do dormitorium. Była to izba, w której stały proste drewniane łóżka ze słomianymi materacami. Od szpitala oddzielała ją ściana. Philemon zbliżył się do dużej szafki, w której trzymano koce, i nie bez wysiłku odsunął ją od ściany. W ścianie tkwił luźny kamień. Godwyn był ciekaw, jak Philemon odkrył ten zakamarek. Może coś w nim chował? Philemon tymczasem wyjął ostrożnie kamień, nie robiąc hałasu.

- Spójrz, prędko! Godwyn się zawahał.
- Ilu jeszcze gości stąd obserwowałeś? - zapytał cicho.
- Wszystkich - odparł Philemon, jak gdyby to było coś oczywistego. Godwyn domyślał się, co może ujrzeć, i wcale nie miał na to ochoty.

Podglądanie grzeszącego biskupa mogło się podobać Philemonowi, jemu zaś wydawało się haniebnie podstępne. Jednak ciekawość przeważyła. Zadał sobie pytanie, co doradziłyby mu matka, i nie miał wątpliwości, że kazałyby mu spojrzeć.

Nachylił się do otworu, który znajdował się nieco poniżej wysokości oczu.

Spoglądał do wnętrza jednej z dwóch prywatnych izb gościnnych na piętrze szpitala. W kącie stał klęcznik ustawiony przodem do malowidła przedstawiającego ukrzyżowanie. Były tam również dwa wygodne fotele i parę stołków. Kiedy do klasztoru przybywało wielu ważnych gości, mężczyźni zajmowali jedną izbę, a kobiety drugą. Ta najwyraźniej należała do kobiet, gdyż na małym stoliku znajdowało się kilka typowo kobiecych drobiazgów: grzebienie, wstążki oraz tajemnicze słoiki i fiolki.

Na podłodze rozłożono dwa materace. Richard i Margery leżeli na nich i się całowali, ale nie tylko.

Biskup Richard był atrakcyjnym mężczyzną o regularnych rysach twarzy, z falującymi jasnobrązowymi włosami. Margery, szczupła dziewczyna o białej skórze i ciemnych brwiach, była od niego prawie dwa razy młodsza. Leżeli obok siebie. Richard całował ją po twarzy i szeptał jej coś na ucho. Na pełnych ustach dziewczyny igrał uśmiech zadowolenia. Jej sukienka była podciągnięta do bioder. Miała piękne długie, białe nogi. Ręka biskupa poruszała się miarowo między jej udami. Mimo iż Godwyn nie miał żadnych doświadczeń z kobietami, instynktownie wiedział, co Richard robi. Margery spoglądała na niego z uwielbieniem. Z jej półotwartych ust wydobywało się dyszenie, twarz była zarumieniona. Może to było zwykłe uprzedzenie, lecz Godwyn intuicyjnie wyczuł, że Richard

znalazł sobie przelotną zabawkę, a Margery uważa go za miłość swego życia.

Godwyn przyglądał się temu ze zgrozą. Nagle Richard przesunął dłoń i mnich ujrzał trójkąt włosów między udami Margery, odcinający się od białej skóry tak samo jak brwi. Szybko cofnął głowę.

- Daj popatrzeć - szepnął Philemon.

Godwyn odsunął się od ściany. To, co zobaczył, było wstrząsające, ale co mógł zrobić, jeśli w ogóle cokolwiek? Philemon sapnął z podniecenia.

- Widzę cipkę! - wyszeptał. - On ją pociera!

- Odsuń się - powiedział Godwyn. - Zobaczyliśmy dość, a nawet za dużo. Philemon nie mógł się jednak oderwać zafascynowany. Po chwili odsunął się niechętnie i odłożył kamień na miejsce.

- Musimy natychmiast ujawnić cudzołóstwo biskupa! - stwierdził.

- Zamilknij i daj mi pomyśleć - uspokoił go Godwyn.

Gdyby poszedł za radą Philemona, uczyniłby sobie wrogów z Richarda i jego potężnej rodziny, nic w zamian nie zyskując. Musi istnieć jakiś sposób wykorzystania takiej wiedzy. Godwyn starał się myśleć tak jak matka. Jeśli nie można niczego zyskać, wyjawiając grzech Richarda, to może da się uczynić zasługę z jego ukrywania? Może Richard okaże Godwynowi wdzięczność za to, że dochował tajemnicy?

Ten pomysł był bardziej obiecujący, ale żeby wydał owoce, Richard musi wiedzieć, że Godwyn go chroni.

- Chodź ze mną - rzekł do Philemona.

Chłopak przesunął szafkę na miejsce. Godwyn zastanawiał się, czy szuranie drewna po podłodze słychać w sąsiednim pomieszczeniu. Wątpił w to. Zresztą Richard i Margery byli zbyt pochłonięci sobą, żeby zwracać uwagę na to, co dzieje się za ścianą.

Tym razem to Godwyn wskazywał drogę. Zeszli po schodach i ruszyli przez klasztor. Do prywatnych izb można było dotrzeć dwoma klatkami schodowymi: jedna wiodła z parteru szpitala, a druga znajdowała się na zewnątrz budynku. Dzięki temu ważni goście mogli wchodzić i wychodzić, nie musząc pokazywać się w kwaterze dla plebsu. Godwyn pospieszył do zewnętrznych schodów.

Zatrzymał się przed izbą, w której byli Richard i Margery.

- Wejdiesz za mną - zwrócił się cicho do Philemona. - Nic nie rób i się nie odzywaj. Wyjdz, kiedy ja wyjdę.

Philemon odstawił miotłę.

- Nie - powiedział Godwyn. - Trzymaj ją w rękach.

- Dobrze.

Godwyn otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Chcę, żeby ta komnata była nieskazitelnie czysta! - rzekł głośno. - Pozamiataj we wszystkich kątach...! Och, proszę o wybaczenie! Myślałem, że nikogo tu nie ma!

Kochankowie zmienili pozycję w czasie, gdy Godwyn i Philemon przechodzili pospiesznie z dormitorium do szpitala. Richard leżał na Margery, jego sutanna była z przodu uniesiona. Kształtne nogi dziewczyny sterczały w górę przy biodrach biskupa. Nie mogło być wątpliwości, co tych dwoje robi.

Richard spojrział na Godwyna - na jego twarzy gniew mieszał się ze strachem i poczuciem winy. Margery krzyknęła i ona też spojrzała na Godwyna oczami pełnymi przerażenia.

Godwyn przeciągnął tę chwilę.

- Ksiądz biskup! - powiedział, udając zdziwienie. Richard nie powinien mieć wątpliwości, że został rozpoznany. - Ależ... Margery? - Udał, że nagle coś do niego dotarło. - Proszę wybaczyć! - Odwrócił się na pięcie i krzyknął do Philemona: - Precz!

Chłopak ruszył pospiesznie w stronę drzwi z miotłą w ręku.

Godwyn podążył za nim, lecz stanął w drzwiach i odwrócił się, żeby Richard miał okazję dobrze mu się przyjrzeć. Kochankowie trwali w tej samej pozycji, w której zostali zaskoczeni, lecz wyraz ich twarzy był teraz zupełnie inny. Margery zakryła usta dłonią w geście zaskoczenia i wstydu. Richard gorączkowo coś kalkulował. Chciał się odezwać, ale nie wiedział, co powiedzieć. Godwyn postanowił nie dręczyć ich dłużej. Zrealizował swój plan.

Wyszedł, lecz zanim zdążył zamknąć drzwi, stanął jak wryty. Po schodach wchodziła kobieta. Na moment ogarnęła go panika. Miał przed sobą Philippę, żonę drugiego syna hrabiego.

Natychmiast uświadomił sobie, że mroczny sekret Richarda straciłby wszelką wartość, gdyby poznał go ktoś jeszcze. Musi ostrzec biskupa.

- Lady Philippo! - zawołał. - Witamy w klasztorze Kingsbridge!

Zza drzwi dobiegł odgłos gorączkowej krzątaniny. Kątem oka Godwyn spostrzegł, że Richard zerwał się na równe nogi.

Na szczęście Philippa nie minęła Godwyna, tylko zatrzymała się obok niego.

- Może zechce mi brat pomóc - powiedziała. Z miejsca, w którym stała, nie mogła widzieć wnętrza izby. - Zgubiłam bransoletkę. Nie jest cenna, wyrzeźbiono ją z drewna, ale ją lubię.

- Cóż za szkoda - odparł ze współczuciem Godwyn. - Poproszę wszystkich mnichów i zakonnice, żeby zwrócili uwagę.

- Ja jej nie widziałem - oznajmił Philemon.

- Może zsunęła ci się z ręki, pani - zasugerował Godwyn. Lady Philippa zmarszczyła

czoło.

- To dziwne, ale nie nosiłam jej, od kiedy tu przyjechałam. Zdjęłam ją zaraz po przybyciu i położyłam na stoliku, a teraz nie mogę jej znaleźć.

- Może potoczyła się w ciemny kąt? Philemon poszuka. Zajmuje się sprzątaniami izb gościnnych.

Philippa spojrzała na chłopaka.

- Tak, widziałam cię, kiedy wychodziłam godzinę temu. Nie zauważyłeś bransoletki, kiedy sprzątałeś komnatę?

- Nie zdążyłem pozamiatać. Panna Margery weszła, kiedy zacząłem.

- Philemon wrócił, żeby dokończyć sprzątanie twojej komnaty, pani, ale panna Margery... - Godwyn obejrzał się za siebie. - Modli się - dokończył.

Margery klęczała na klęczniku z zamkniętymi oczami. Godwyn miał nadzieję, że prosi Boga o odpuszczenie grzechu. Richard star' za nią z pochyłą głową i dłońmi złożonymi w modlitwie, jego usta się poruszały.

Godwyn odsunął się, przepuszczając Philippę. Kobieta spojrzała podejrzliwie na szwagra.

- Witaj, Richardzie. To do ciebie niepodobne, modlić się w dzień powszedni. Biskup przyłożył palec do ust, jakby chciał ją uciszyć. Drugą ręką wskazał modlącą się dziewczynę.

- Margery może się modlić do woli, ale to jest izba kobiet i chcę, żebyś wyszedł - rzekła zdecydowanym tonem Philippa.

Skrywając ulgę, Richard spełnił życzenie damy i zamknął za sobą drzwi.

Stanął naprzeciwko Godwyna. Mnich zorientował się, że biskup nie wie, jaką linię postępowania obrać. Mógł powiedzieć: „Jak śmiałeś wejść do izby bez pukania?”. Jednak błąd, jaki popełnił, był tak wielki, że nie zdołał się na to zdobyć. Z drugiej zaś strony nie mógł prosić Godwyna, by trzymał język za zębami, gdyż w ten sposób przyznałby, iż mnich ma nad nim władzę. Zapadła niezręczna cisza.

- Nikomu nie powiem o tym, co widziałem - odezwał się Godwyn. Richard przyjął to z ulgą, lecz w tej samej chwili zerknął na Philemona.

- A on?

- Philemon chce zostać mnichem. Uczy się cnoty posłuszeństwa.

- Jestem twoim dłużnikiem.

- Powinnością człowieka jest wyznawać grzechy swoje, a nie innych.

- Mimo to jestem ci wdzięczny, bracie...

- Godwynie. Jestem zakrystianem, siostrzeńcem opata Anthony'ego. - Dawał biskupowi do

zrozumienia, że jest dostatecznie ustosunkowany, by wpędzić go w poważne tarapaty. Zaraz jednak dodał: - Moja matka była zaręczona z twoim ojcem przed wielu laty, zanim został hrabią.

- Znam tę historię.

Godwyn miał ochotę dodać: „Twój ojciec wzgardził moją matką, tak jak ty zamierzasz wzgardzić Margery”. Zamiast tego jednak rzekł:

- Mogliśmy być braćmi.

- Tak.

Dźwięk dzwonka oznajmił porę obiadu. Trzej mężczyźni rozeszli się z ulgą: Richard ruszył do siedziby opata, Godwyn do refektarza, a Philemon do kuchni, by pomagać przy roznoszeniu posiłków.

Godwyn w zamyśleniu kroczył przez klasztor. Wzburzyła go scena, którą widział, ukazująca zwierzęcą naturę człowieka. Ale rozegrał to dobrze, zdobył zaufanie Richarda.

W refektarzu usiadł obok Theodorica, inteligentnego mnicha, kilka lat młodszego od niego. Theodoric nie studiował w Oksfordzie, dlatego podziwiał Godwyna. Ten traktował go jak równego sobie, co schlebiało Theodoricowi.

- Przeczytałem coś, co cię zainteresuje - rzekł, po czym streścił ustęp opisujący stosunek przeora Philipa do kobiet, a do zakonnicy w szczególności. - Zawsze tak uważałem - zakończył. Wprawdzie Theodoric nigdy nie wyraził swojego zdania w tym przedmiocie, lecz zawsze popierał Godwyna, gdy ten skarżył się na pobłażliwość opata Anthony'ego.

- Naturalnie - przytaknął Theodoric. Miał niebieskie oczy i jasną skórę, która teraz się zarumieniła. - Jak możemy dbać o czystość myśli, skoro widok kobiet wciąż nas rozprasza?

- Czy da się jakoś temu zaradzić?

- Musimy zwrócić się do przeora.

- Chodzi ci o to, żeby podnieść tę kwestię na kapitule - rzekł Godwyn, jak gdyby to Theodoric zgłosił ten pomysł, a nie on. - Doskonały plan. Ale czy inni nas poprą?

- Możemy liczyć na młodych mnichów.

Godwynowi przyszło na myśl, że młodzi ludzie zwykle przyłączają się do każdej krytyki starszych. Wiedział jednak także, iż wielu mnichów tak jak on uważa, że w ich życiu nie powinno być kobiet albo powinny być chociaż niewidoczne.

- Jeśli uda ci się pomówić z kimś przed kapitułą, daj mi znać. Godwyn zachęcił w ten sposób Theodorica, by zaczął zabiegać o poparcie dla jego pomysłu.

Podano gulasz z ryby i fasoli. Godwyn nie zdążył zabrać się do jedzenia, ponieważ przeszkodził mu brat Murdo, wędrowny mnich.

Wędrowni mnisi byli zakonnikami, którzy nie zamykali się w klasztorach, tylko żyli wśród

ludzi świeckich. Uważali się za bardziej wstrzemięźliwych od zakonników, także składających śluby ubóstwa, lecz żyjących we wspaniałych klasztorach i posiadających wielkie dobra ziemskie. Wędrowni mnisi nie mieli niczego, nawet kościołów, choć czasem zdarzało się, że odchodzili od ideału ubóstwa, gdy jakiś pobożny bogacz obdarował ich ziemią i pieniędzmi. Ci, którzy trwali przy starych zasadach, żywili się tym, co dostawali od ludzi, i spali na podłogach kuchni. Wygłaszali kazania na rynkach i przed karczmami, za co otrzymywali miedziaki. Bez wahania żebrali u zakonników o jedzenie i kwaterę, kiedy było im to na rękę. Jednocześnie patrzyli na nich z wyższością, nic więc dziwnego, że ci drudzy żywili do nich niechęć.

Brat Murdo stanowił szczególnie odrażający przykład wędrownego mnicha: był otyły, brudny, zachłanny i często pijany, a niekiedy widywano go w towarzystwie prostytutek. Zarazem był jednak charyzmatycznym kaznodzieją, który swoimi barwnymi, wątpliwymi pod względem teologicznym kazaniem potrafił przykuć uwagę setek słuchaczy.

Teraz wstał nieproszony i doniosłym głosem zaczął mówić:

- Ojczy niebieski, pobłogosław to pożywienie dla naszych brudnych zepsutych ciał, tak pełnych grzechów jak ścierwo psa pełne jest larw...

Kazania Murda nigdy nie były krótkie, więc Godwyn z westchnieniem odłożył łyżkę.

Na kapitule zawsze coś odczytywano: fragment Ewangelii świętego Benedykta, często coś z Biblii lub z innej księgi religijnej. Mnisi zajmowali miejsca w ośmiokątnym kapitularku. Godwyn odszukał wzrokiem młodego brata, który miał dzisiaj czytać, i spokojnym, lecz zdecydowanym głosem oznajmił mu, że go zastąpi. Potem, gdy nadszedł właściwy moment, odczytał najistotniejszą stronę z Księgi Timothy 'ego.

Targały nim wątpliwości. Wrócił z Oksfordu przed rokiem i od tego czasu rozmawiał z braćmi zakonnymi o reformie klasztoru, lecz aż do tej chwili nie wystąpił otwarcie przeciwko Anthony'emu. Opat był słaby i leniwy, należało mocnym potrząśnięciem obudzić go z letargu. Wszak święty Benedykt napisał: Wszystkich trzeba wzywać na kapitułę, bo Pan często młodemu objawia to, co najlepsze. Godwyn miał więc wszelkie prawo przemówić i wezwać do ściślejszego przestrzegania zasad życia klasztornego. Mimo to nagle odniósł wrażenie, że ryzykuje, i pożałował, iż nie poświęcił więcej czasu na przemyślenie, jak najlepiej wykorzystać fragment z Księgi Timothy'ego.

Teraz jednak za późno było na żale. Zamknął księgę i rzekł:

- Sobie i moim braciom chcę postawić pytanie: Czy zdołaliśmy utrzymać ustanowione przez opata Philipa zasady dotyczące oddzielenia mnichów od kobiet?

Podczas studenckich debat nauczył się, że najlepiej jest przedstawiać swoje racje w formie

pytań, gdyż w ten sposób przeciwnicy nie mają przeciwko czemu oponować.

Pierwszym, który zareagował, był Ślepy Carlus, zastępca Anthony'ego:

- Niektóre klasztory mieszczą się z dala od ludzkich osiedli, na niezamieszkałych wyspach, głęboko w puszczy lub na szczycie góry. - Godwyn zaczął się wiercić, słysząc jego powolną, przemyślaną przemowę. - W takich zakątkach bracia odgradzają się od wszystkiego co świeckie. W Kingsbridge nigdy tak nie było. Mieszkamy w sercu wielkiego miasta, które jest domem dla siedmiu tysięcy dusz. Sprawujemy pieczę nad jedną z najwspanialszych katedr w całym chrześcijańskim świecie. Wielu z nas jest lekarzami, gdyż święty Benedykt powiedział: Specjalną opieką należy otaczać chorych, tak jakby każdy z nich był samym Jezusem Chrystusem. Przywilej całkowitego odosobnienia nie został nam dany. Pan Bóg wyznaczył nam inne zadanie.

Godwyn spodziewał się czegoś w tym rodzaju. Carlus nie lubił nawet, kiedy przesuwano meble, bo się o nie potykał, i przeciwstawiał się każdej zmianie z lęku przed nieznanym.

Theodoric szybko mu odpowiedział:

- Tym ściślej więc powinniśmy przestrzegać reguł. Ten, kto mieszka naprzeciwko gospody, powinien się szczególnie wystrzegać opilstwa.

Rozległ się pomruk aprobaty; mnisi umieli docenić trafną ripostę. Godwyn skinął głową. Błada twarz Theodorica zarumieniała się z wdzięczności. Nowicjusz imieniem Juley, zachęcony reakcją braci, szepnął głośno:

- Kobiety nie zagrażają Carlusowi, bo ich nie widzi.

Kilku mnichów parsknęło śmiechem, lecz inni pokręcili głowami. Godwyn pomyślał, że szala przechyliła się na jego stronę.

- Co zatem proponujesz, bracie Godwynie? - zapytał opat. Anthony nie studiował w Oksfordzie, lecz wiedział, że trzeba przycisnąć oponenta, by poznać jego prawdziwy cel.

Godwyn niechętnie wyłożył karty na stół.

- Moglibyśmy powrócić do zasad obowiązujących w czasach opata Philipa.

- Czyli usunąć zakonnice? - drążył Anthony.

- Tak.

- Dokąd miałyby pójść?

- Klasztor żeński zostałby przeniesiony gdzie indziej, byłby placówka opactwa tak jak Kolegium Kingsbridge w Oksfordzie czy Święty Jan z Lasu.

Mnisi zaczęli z ożywieniem komentować propozycję Godwyna, opat z trudem ich uciszył. Ponad gwar wzbili się głos Josepha, starszego medyka. Był to człowiek światły, lecz dumny. Godwyn się go bał.

- Jak mielibyśmy prowadzić szpital bez zakonnic? - spytał. Miał zepsute zęby i z tego powodu sepleniał, jakby był pijany, lecz mimo to w jego głosie brzmiała pewność siebie. - Podają lekarstwa, zmieniają opatrunki, karmią tych, którzy sami nie mogą jeść, czeszą starców...

- To wszystko mogliby robić mnisi - wtrącił Theodoric.

- A porody? Wiele kobiet ma trudności z wydaniem dziecka na świat. Jak mnisi mieliby im pomagać, skoro zakonnice robią to własnymi rękami?

Rozległy się głosy aprobaty, lecz Godwyn spodziewał się tego argumentu.

- Zakonnice mogłyby się przenieść do starego lazaretu. - Kolonia trędowatych, zwana też lazaretem, mieściła się na rzecznej wysepce po południowej stronie miasta. Dawniej zamieszkiwało ją wielu cierpiących, lecz trąd zanikał i na wyspie zostało tylko dwoje zarażonych, jedno i drugie w podeszłym wieku. Brat Cuthbert, który słynął jako żartowniś, mruknął:

- Nie chciałbym być tym, który oznajmi matce Cecilii, że ma się przenieść na Wyspę Trędowatych.

Zawtórowały mu śmiechy mnichów.

- Kobiety powinny być podporządkowane mężczyznom - przypomniał Theodoric.

- Matka Cecilia podlega biskupowi Richardowi - zauważył opat. - To on musiałby podjąć taką decyzję.

- Niech go ręka boska broni - odezwał się ktoś. Był to Simeon, skarbnik opactwa. Ten szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy sprzeciwiał się każdej propozycji związanej z wydawaniem pieniędzy. - Nie przeżyjemy bez pieniędzy zakonnic.

- Jak to? - zdziwił się Godwyn.

- Nie mamy dość funduszy - odpowiedział bez wahania Simeon. - Jak myślisz, kto płaci robotnikom za remont katedry? Nie my, bo nas na to nie stać, tylko matka Cecilia. Kupuje wszystko dla szpitala, pergamin dla skryptorium i paszę do stajni. Za wszystko, z czego korzystają zarówno mnisi, jak i zakonnice, płaci matka Cecilia.

Godwyn nie posiadał się ze zdumienia. »

- Dlaczego tak się dzieje? Czemu jesteśmy zależni od zakonnic? Simeon wzruszył ramionami.

- Od dawna tak jest, że pobożne kobiety przekazują żeńskiemu klasztorowi ziemię i inne dary.

Godwyn był pewien, że nie jest to cała prawda. Mnisi również posiadali bogate zasoby. Zbierali czynsze i rozmaite opłaty od wszystkich mieszkańców Kingsbridge, a oprócz tego mieli tysiące akrów ziemi uprawnej. Wiele zależało od tego, jak to bogactwo jest wykorzystywane. Nie było jednak sensu roztrząsać tego teraz. Godwyn wiedział, że przegrał debatę. Nawet Theodoric zamilkł.

- To była bardzo pouczająca dyskusja - rzekł łagodnie Anthony. - Dziękuję, że podniosłeś tę

kwestię, Godwynie. A teraz się pomódlmy.

Godwyn był zbyt rozgniewany, by się modlić. Niczego nie osiągnął i nie wiedział, w którym miejscu popełnił błąd. Gdy wychodzili z kapitułarza, Theodoric spojrzął na niego z lękiem.

- Nie wiedziałem, że zakonnice płacą za tak wiele rzeczy.

- Nikt tego nie wiedział - odparł Godwyn. Złapał się na tym, że pożera Theodorica wzrokiem.
- Świetnie się spisałeś w czasie debaty - dodał szybko. - Radziłeś sobie lepiej niż niejeden absolwent Oksfordu.

Theodoric był uszczęśliwiony.

Otej porze mnisi czytali w bibliotece lub spacerowali po klasztorze, medytując, lecz Godwyn miał inne plany. W czasie obiadu i kapituły coś nie dawało mu spokoju. Zepchnął to na margines, bo zaprzętały go ważniejsze sprawy, teraz jednak niepokój powrócił. Godwyn domyślał się, gdzie może być bransoletka lady Philippy.

W klasztorze istniało niewiele miejsc, które można było wykorzystać jako schowki. Mnisi mieszkali razem, nikt poza opatem nie miał własnej izby. Nawet w latrynie siedzieli obok siebie na rynnie, która była stale splukiwana strumieniem wody z rury. Nie wolno im było mieć własnych rzeczy, toteż nikt nie miał szafki ani nawet pudełka.

Lecz dzisiaj Godwyn zobaczył skrytkę.

Wszedł po schodach do dormitorium. Nikogo w nim nie było. Odsunął od ściany szafkę na koce i wyjął luźny kamień. Nie zamierzał jednak zaglądać do sąsiedniej izby. Wsunął rękę do otworu i obmacał ścianki. Z prawej strony znajdowało się niewielkie pęknięcie. Godwyn włożył palce do środka i wyczuł coś, co nie było ani kamieniem, ani zaprawą. Końcami palców uchwycił przedmiot i wydobyl go.

Trzymał w dłoni rzeźbioną drewnianą bransoletkę.

Podniósł ją do światła. Ozdobę zrobiono z twardego drewna, prawdopodobnie dębu. Część wewnętrzna była gładko wypolerowana, lecz zewnętrzną zdobił wzór z zachodzących na siebie wypukłych kwadratów i poprzecznych linii, bardzo precyzyjnie wykonanych. Godwyn nie zdziwił się, że lady Philippa ją lubi.

Odłożył bransoletę, zasłonił kamieniem schowek i postawił szafkę na swoim miejscu.

Do czego była potrzebna Philemonowi? Mógł sprzedać bransoletkę za pensa czy dwa, lecz było to niebezpieczne, istniało bowiem ryzyko, że ktoś ją rozpozna. Z pewnością nie mógłby jej nosić.

Godwyn zszedł schodami do klasztoru. Nie był w nastroju do studiowania lub medytacji. Czuł potrzebę, by porozmawiać z kimś o wydarzeniach tego dnia. Musiał zobaczyć się z matką.

Wiedział, że Petranilla może go zrugać za porażkę, jaką poniósł na kapitule. Był jednak

pewny, że pochwali go za sposób, w jaki rozegrał sprawę z biskupem, i bardzo chciał jej o tym opowiedzieć. Postanowił jej poszukać.

Ściśle rzecz biorąc, nie było to dozwolone. Mnisi nie mogli swobodnie wędrować ulicami miasta, potrzebny był do tego jakiś powód, a przed wyjściem z klasztoru powinni poprosić przeora o pozwolenie. Jednak w praktyce pretekstów mieli pod dostatkiem. Klasztor niemal codziennie nabywał od kupców żywność, ubrania, buty, pergamin, świece, narzędzia ogrodnicze, oporządzenie dla koni i inne rzeczy niezbędne w codziennym życiu. Zakonnicy byli posiadaczami ziemskimi, w ich rękach znajdowało się prawie całe miasto. Poza tym każdy medykiem mógł zostać nieoczekiwanie wezwany do pacjenta, który nie był w stanie sam dojść do szpitala. Często widywało się więc mnichów na ulicach, a od Godwyna będącego zakrystianem raczej nie domagano by się wyjaśnień, co robi za murami klasztoru.

Mimo to roztropność nakazywała zachować dyskrecję, więc Godwyn postarał się, żeby nikt nie widział, jak wychodzi z klasztoru. Minął rynek i szybkim krokiem podążył główną ulicą do domu Edmunda.

Tak jak się spodziewał, Edmund i Caris wyszli gdzieś w interesach, a matka została sama z służbą.

- Cóż za radość dla matki, widzieć syna dwa razy w ciągu dnia! Mam okazję dać ci coś dobrego do jedzenia. - Nalała Godwynowi duży kufel mocnego piwa i kazała kucharce podać talerz z zimną wołowiną. - Jak przebiegła kapituła?

Godwyn zrelacjonował, co się wydarzyło.

- Za bardzo się pospieszyłem - rzekł na koniec. Petranilla skinęła głową.

- Mój ojciec powiadał: nigdy nie zwołuj spotkania, jeśli nie jesteś pewien wyniku.

Godwyn się uśmiechnął.

- Muszę to sobie zapamiętać.

- Mimo wszystko nie uważam, by stało się coś złego. Godwyn przyjął te słowa z ulgą. Matka się nie gniewała.

- Przegrałem debatę.

- Ale zaprezentowałeś się jako ktoś, kto stoi na czele grupy młodych reformatorów.

- Nawet jeśli wyszedłem na głupca?

- Lepsze to, niż być nikim.

Godwyn nie miał pewności, czy matka się nie myli. Jednak ilekroć wątpił w mądrość Petranilli, nie kwestionował jej rad, tylko obiecywał sobie, że zastanowi się nad nimi później.

- Stało się coś bardzo dziwnego - rzekł, po czym opowiedział o Richardzie i Margery,

pomijając drastyczne szczegóły.

Petranilla była zaskoczona.

- Richard chyba oszalał! - wykrzyknęła. - Ślub zostanie odwołany, jeśli hrabia Monmouth odkryje, że Margery nie jest dziewicą. Hrabia Roland będzie wściekły, a Richard może stracić habit.

- Wszak wielu biskupów ma kochanki, nieprawdaż?

- To inna sprawa. Ksiądz może mieć „pomoc domową”, która tylko z nazwy nie jest jego żoną. Biskup może mieć ich kilka. Lecz odebranie dziewictwa szlachciance tuż przed jej ślubem nawet hrabiowskiemu syna może kosztować godność duchownego.

- Co powinienem teraz zrobić?

- Nic. Jak dotąd rozegrałeś to doskonale. - Petranilla promieniała z dumy. - Pewnego dnia ta informacja stanie się potężnym orężem. Pamiętaj.

- Jeszcze jedno. Zastanawiałem się, jak Philemon natknął się na ten luźny kamień w ścianie, i przyszło mi na myśl, że mógł wykorzystywać otwór jako schowek. Miałem rację. Znalazłem w nim bransoletkę zgubioną przez lady Philipę.

- To ciekawe. Mam przeczucie, że ten Philemon do czegoś ci się przyda. Chłopak jest gotów na wszystko, nie ma skrupułów ani zasad. Mój ojciec miał kiedyś zausznika, który chętnie wykonywał za niego brudną robotę: rozpuszczał trujące pogłoski, siał ferment. Tacy ludzie czasem okazują się nieocenioną pomocą.

- Sądziś zatem, że nie powinienem zgłaszać kradzieży?

- W żadnym razie. Każ mu zwrócić bransoletkę, jeśli uważasz, że to ważne. Philemon może powiedzieć, że znalazł ją w czasie zamiatania. Ale nie ujawniaj, co zrobił. Kiedyś zbierzesz żniwo, jestem tego pewna.

- Mam go więc chronić?

- Tak jak wściekłego psa, który rzuca się na intruzów. Jest niebezpieczny, ale bardzo przydatny.

10

W czwartek Merthin skończył rzeźbienie drzwi.

Praca w południowej nawie także była zakończona, rusztowanie stało na swoim miejscu. Nie musiał robić formy dla murarzy, gdyż Godwyn i Thomas postanowili zaoszczędzić pieniądze i kazali murować metodą podsunietą przez Merthina. Mógł więc zająć się drzwiami i okazało się, że niewiele zostało do zrobienia. Przez godzinę poprawiał włosy dziewczycy roztropnej, a drugą poświęcił na szlifowanie uśmiechu dziewczycy niemądrej, stwierdził jednak, że po poprawkach wcale nie wyglądają lepiej. Trudno mu było podjąć decyzję, bo nie mógł przestać myśleć o Caris i Griseldzie.

Przez cały tydzień z trudem zmuszał się, by rozmawiać z Caris. Palił go wstyd. Ilekroć ją widział, przypominał sobie, jak obejmował Griseldę i ją całował. Potem zrobił z nią to, co stanowi najwyższy dowód ludzkiej miłości, mimo iż nawet jej nie lubił. Od dawna wyobrażał sobie taką chwilę z Caris, a teraz ta myśl napełniała go zgrozą. Nie miał nic przeciwko Griseldzie... Właściwie miał, lecz nie to go niepokoiło. Czułby się tak samo, gdyby na jej miejscu była jakakolwiek kobieta oprócz Caris. A teraz nie mógł spojrzeć w twarz tej, którą kochał.

Gdy tak przyglądał się swojemu dziełu, próbując zdecydować, czy drzwi są gotowe, do północnego przedsionka weszła Elizabeth Clerk. Była to piękna, dwudziestopięcioletnia dziewczyna, szczupła, o bladej twarzy, z burzą jasnych włosów. Jej ojciec był biskupem Kingsbridge przed Richardem. Tak jak Richard, mieszkał w pałacu biskupim w Shiring, lecz w czasie jednej z częstych wizyt w Kingsbridge zadurzył się w służącej z gospody Bella, matce Elizabeth. Ze względu na pochodzenie z nieprawego łoża Elizabeth była bardzo wyczulona na swoją pozycję społeczną. Łatwo było ją urazić. Merthin lubił ją, gdyż by bystra, a kiedy miał osiemnaście lat, pozwoliła mu dotknąć swoich piersi. By wysoko osadzone i płaskie, a ich sutki twardniały przy najłżejszym dotknięciu. Romans zakończył się z powodu, który Merthin uważał za trywialny, lecz dla niej było to coś niewybaczalnego: rzucił zartobliwą uwagę na temat rozpustny księży. Mimo to wciąż ją lubił.

Elizabeth dotknęła jego ramienia i spojrzała na drzwi. Jej dłoń powędrowała do ust, wstrzymała oddech.

- Ależ one wyglądają jak żywe!

Merthin się ucieszył. Elizabeth nie była skora do pochwał. Mimo to czuł, że powinien odpowiedzieć skromnie.

- Ja tylko postarałem się, żeby każda wyglądała inaczej. Na starych drzwiach dziewice były identyczne.

- To coś więcej. One wyglądają tak, jakby w każdej chwili mogły zejść na ziemię i do nas przemówić.

- Dziękuję.

- Twoja rzeźba bardzo się różni od wszystkich, które są w katedrze. Co powiedzą mnisi?

- Bratu Thomasowi się podoba.

- A zakrystianowi?

- Nie wiem, co powie Godwyn. Ale jeśli będzie protestował, zwrócę się do przeora. Nie sądzę, żeby Anthony zechciał zamawiać drugie drzwi i płacić dwa razy.

- Cóż, w Biblii nie jest napisane, że wszystkie dziewice wyglądały jednakowo - rzekła po

chwili zastanowienia Elizabeth. - Wiadomo tylko, że pięć roztropnych myślało o przyszłości, a pięć pozostałych zostawiło wszystko na ostatnią chwilę i straciło okazję. Ale co powie Elfric?

- Drzwi nie są przeznaczone dla niego.

- Jest twoim mistrzem.

- Chodzi mu wyłącznie o to, by dostać pieniądze. Elizabeth nie wyglądała na przekonaną.

- Rzecz w tym, że jesteś lepszym rzemieślnikiem od niego. Wszyscy to wiedzą od kilku lat.

Elfric nigdy się do tego nie przyzna, ale właśnie dlatego cię nienawidzi. Może się na tobie odegrać.

- Zawsze widzisz wszystko w ciemnych barwach.

- Doprawdy? - Dziewczyna poczuła się urażona. - Zobaczmy, czy mam rację. Mam nadzieję, że nie.

Odwróciła się, zamierzając odejść.

- Elizabeth.

- Tak?

- Cieszę się, że rzeźba ci się spodobała.

Dziewczyna nie odpowiedziała, lecz wydawało się, że jest nieco udobruchana. Machnęła ręką na pożegnanie i odeszła.

Merthin stwierdził, że drzwi są skończone, i owinał je zgrzebną tkaniną. Prędzej czy później musi pokazać swoją robotę Elfricowi, więc równie dobrze może to zrobić teraz. Deszcz przestał padać.

Poprosił jednego z robotników, żeby pomógł mu nieść drzwi. Ułożyli na ziemi dwa grube klocki, a na nich umieścili poprzecznie kilka desek. Stanęli między klockami i dźwignęli ciężar. Nazywano to nosidłem i używano także do przenoszenia chorych do szpitala.

Drzwi były bardzo ciężkie, lecz Merthin przywykł do noszenia ciężarów. Elfric postarał się, żeby nikła postura nie była dlań wymówką od pracy, dzięki czemu chłopak był zaskakująco silny.

Dotarli do domu Elfrica i wnieśli drzwi do środka. W kuchni siedziała Griselda. Wydawało się, że z każdym dniem robi się coraz okrągłej szej. Jej obfite piersi urosły jeszcze bardziej. Merthin nie lubił kłócić się z kimkolwiek, zagadnął więc do niej przyjaźnie:

- Chcesz zobaczyć drzwi?

- Czemu miałabym je oglądać?

- Są rzeźbione. Przedstawiają historię mądrych i niemądrych dziewic. Griselda roześmiała się głucho.

- Nie mów mi o dziewicach.

Merthin wyniósł drzwi na podwórze. Trudno mu było zrozumieć kobiety. Griselda okazywała mu niechęć od dnia, w którym się kochali. Jeśli takie były jej uczucia do niego, dlaczego to zrobiła?

Dawała jasno do zrozumienia, że nie chce, by stało się to jeszcze raz.

Mógł jej powiedzieć, że czuje podobnie - tak naprawdę sama myśl o tym napawała go wstrętem - lecz byłoby to obraźliwe, więc milczał.

Położyli nosidło na ziemi i pomocnik odszedł. Elfric liczył deski. Jego umięśnione ciało było pochylone nad sągiem. Stukał w każdą deskę deszczułką, wypychając policzek językiem. Robił tak zawsze, gdy zmagał się z zadaniem wymagającym myślenia. Zmierzył Merthina spojrzeniem i liczył dalej, więc ten, nic nie mówiąc, odsłonił drzwi i oparł je o stos kamiennych bloków. Rozpierała go duma ze swojego dzieła. Odtworzył stary wizerunek, a jednocześnie odnowił go w oryginalny sposób, wprawiając w zdumienie tych, którzy go zobaczyli. Nie mógł się doczekać, kiedy drzwi trafią na swoje miejsce.

- Czterdzieści siedem - powiedział Elfric i odwrócił się do Merthina. Przyglądał się przez chwilę drzwiom. Płatki jego wydatnego nosa zadrżały.

Potem bez ostrzeżenia rąbnął Merthina w twarz kijem, którego używał do liczenia. Kawalek drewna był dość ciężki, a cios mocny. Merthin krzyknął z bólu, zatoczył się w tył i runął na ziemię.

- Ty parszywe nasienie! - ryknął Elfric. - Zhańbiłeś moją córkę! Merthin chciał coś powiedzieć, lecz miał usta pełne krwi.

- Jak śmiesz! - krzyczał Elfric.

Niczym na umówiony znak w drzwiach domu stanęła Alice.

- Podstępny gadzie! - wrzasnęła. - Wśliznąłeś się do naszego domu i pozbawiłeś cnoty naszą dziewczynkę!

Udają gniew, ale na pewno to zaplanowali, pomyślał Merthin. Wypluł krew.

- Pozbawiłem ją cnoty? Griselda wcale nie była dziewicą!

Elfric rzucił się na niego ze swoją maczugą. Merthin przetoczył się na bok, lecz został boleśnie trafiony w ramię.

- Jak mogłeś to zrobić Caris? - zapytała Alice. - Mojej biednej siostrze pęknie serce, kiedy się o tym dowie.

- A ty nie omieszkasz jej powiedzieć, sekutnico - syknął Merthin.

- Nie ożenisz się z Griselda w sekrecie - stwierdziła Alice.

- Miałbym się z nią ożenić? - zdziwił się Merthin. - Ależ ona mnie nienawidzi!

W tej samej chwili pojawiła się Griselda.

- Wcale nie chcę za ciebie wyjść - oznajmiła. - Ale jestem w ciąży. Merthin spojrział na nią z niedowierzaniem.

- To niemożliwe. Zrobiliśmy to tylko raz. Elfric roześmiał się chrapliwie.

- Raz wystarczy, to durny młokosie.
- Mimo to nie ożenię się z nią.
- Wyrzucę cię.
- Nie możesz tego uczynić.
- Dlaczego?
- Mniejsza o to. Nie ożenię się z Griselda. Elfric odrzucił drewno i sięgnął po topór.
- Jezu Chryste! - wrzasnął Merthin. Alice zrobiła krok w jego stronę.
- Elfricu, nie popełniaj morderstwa.
- Zejdź mi z drogi, kobieto - warknął Elfric, unosząc siekierę. Merthin, który wciąż leżał, zaczął uciekać na czworakach.

Elfric uderzył, lecz topór nie spadł na Merthina, tylko na jego drzwi.

- Nie! - krzyknął czeladnik.

Ostrze wbiło się w twarz długowłosej dziewczicy i przecięło drzewo wzdłuż słoja.

- Przestań! - ryknął Merthin.

Elfric podniósł siekierę po raz drugi i uderzył jeszcze mocniej. Drzwi rozpadły się na dwie części.

Merthin zerwał się na nogi. Z przerażeniem poczuł, że jego oczy wypełniają się łzami.

- Nie masz prawa! - Chciał krzyknąć, lecz zdobył się ledwie na szept. Elfric uniósł topór i odwrócił się w stronę czeladnika.

- Cofnij się, szczeniaku, nie wódz mnie na pokuszenie. Merthin dostrzegł błysk szaleństwa w jego oczach. Wycofał się. Elfric wyładował swoją wściekłość na drzwiach.

Merthin stał i patrzył, jak jego dzieło jest masakrowane. Po jego twarzy spływały łzy.

11

Dwa psy, Skip i Scrap, przywitały się z radosnym entuzjazmem. Pochodziły z tego samego miotu, choć nie były do siebie podobne: Skip był brązowym samcem, a Scrap małą czarną suczką. Skip, typowy wiejski kundel, był chudy i podejrzliwy, a mieszczańska suczka Scrap - tłuściutka i zadowolona z życia.

Dziesięć lat minęło od chwili, gdy Gwenda dostała Skipa od Caris podczas wizyty w wielkim kupieckim domu. Caris podarowała go jej w dniu śmierci swojej matki. Od tego czasu Gwenda i Caris bardzo się przyjaźniły. Spotykały się zaledwie dwa lub trzy razy do roku, lecz dzieliły się tajemnicami. Gwenda wiedziała, że może powiedzieć Caris wszystko i żadna z tych informacji nigdy nie dotrze do jej rodziców ani do żadnego innego mieszkańca Wigleigh. Uważała, że Caris czuje to samo. Gwenda nie rozmawiała z dziewczętami z Kingsbridge, nie istniało więc ryzyko, że

nieopatrznie się przed kimś wygada.

Gwenda przybyła do Kingsbridge w piątek w tygodniu targów wełny. Jej ojciec, Joby, poszedł na rynek przed katedrą, by sprzedać futerka wiewiórek, które zdołał schwytać we wnyki w lesie koło Wigleigh. Gwenda udała się prosto do domu Caris i psy znów mogły się spotkać.

Caris i Gwenda jak zawsze rozmawiały o chłopcach.

- Merthin dziwnie się zachowuje. W niedzielę wszystko było normalnie, całowaliśmy się w kościele... A w poniedziałek unikał mojego wzroku.

- Pewnie z jakiegoś powodu gryzą go wyrzuty sumienia - orzekła bez namysłu Gwenda.

- To musi mieć związek z Elizabeth Clerk. Zawsze miała na niego oko, mimo że jest zimna i za stara dla niego.

- Robiliście to już z Merthinem?

- Co?

- No wiesz... Gdy byłam mała, nazywałam to sapaniem, bo właśnie taki odgłos wydają dorośli, kiedy to robią.

- Ach, to. Jeszcze nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem...

- Ty nie chcesz?

- Chcę, ale... Nie boisz się, że przez całe życie będziesz musiała wypełniać rozkazy mężczyzny?

Gwenda wzruszyła ramionami.

- Nie odpowiada mi to, ale mnie nie martwi.

- A ty już to robiłaś?

- Można tak powiedzieć. Pozwoliłam jednemu chłopakowi z sąsiedniej wsi, już dawno, żeby zobaczyć, jak to jest. Czułam przyjemne ciepło, tak jakbym piła wino. To był jedyny raz. Ale Wulfricowi pozwoliłabym zawsze.

- Wulfricowi? A to nowina!

- Wiem. Znamy się od dzieciństwa. Wtedy szarpał mnie za włosy i uciekał. Ale pewnego dnia, to było po Bożym Narodzeniu, spojrzałam na niego, kiedy wszedł do kościoła, i zobaczyłam, że wyrósł na mężczyznę. Nie pierwszego lepszego mężczyznę, ale pięknego. Miał śnieg we włosach, a na szyi szalik w kolorze musztardy. Wyglądał cudownie.

- Kochasz go?

Gwenda westchnęła. Nie wiedziała, jak wyrazić to, co czuje. To było coś więcej niż miłość.

Myślała o Wulfricu bez przerwy i nie wyobrażała sobie, jak zdoła bez niego żyć. Marzyła, że go porywa i zamyka w chacie gdzieś w samym sercu puszczy, tak aby nigdy nie mógł od niej uciec.

- Twoje oczy mówią wszystko - rzekła Caris. - A on cię kocha? Gwenda pokręciła głową.

- Nawet się do mnie nie odzywa. Mógłby chociaż okazać, że mnie zna, nawet jeśli to były tylko dziecinne żarty. Ale on zakochał się w Annet, córce Perkina. To samolubna krowa, ale on ją ubóstwia. Ich ojcowie są najbogatsi w wiosce. Jej ojciec hoduje kury nioski, a jego tata ma pięćdziesiąt akrów ziemi.

- Mówisz tak, jakby sprawa była beznadziejna.

- Nie wiem. Co to znaczy beznadziejna? Annet może umrzeć, a Wulfric nagle może sobie uświadomić, że zawsze mnie kochał. Mój ojciec może nagle zostać hrabią i rozkazać mu się ze mną ożenić.

Caris się uśmiechnęła.

- Masz rację. Miłość nigdy nie jest pozbawiona nadziei. Chciałabym zobaczyć tego chłopca.

Gwenda wstała.

- Miałam nadzieję, że to powiesz. Chodźmy go poszukać. Dziewczęta wyszły, a psy podążyły za nimi. Ulewy smagające miasto niemal przez cały tydzień zelzały, lecz główna ulica wciąż wyglądała jak potok błota. Za sprawą targów muł zmieszał się ze zwierzęcymi odchodami, zgniłymi warzywami, brudami i śmieciem pozostawianym przez tysiące gości.

Caris i Gwenda brodziły w cuchnących kałużach, lecz mimo to nie przestały rozmawiać. Caris zapytała, jak się wiedzie rodzinie przyjaciółki.

- Krowa zdechła i tata musi kupić drugą, ale nie wiem, jak to robi. Ma tylko kilka wiewiórczych skórek na sprzedaż.

- W tym roku krowa kosztuje dwanaście szylingów - oznajmiła ze smutkiem Caris. - To jest sto czterdzieści cztery srebrne pensy.

Caris liczyła w pamięci, od kiedy nauczyła się cyfr arabskich od Buonaventury Carolego. Uważała, że to łatwe.

- Przez kilka lat w czasie zimy żyliśmy dzięki krowie, zwłaszcza małe dzieci. Gwenda dobrze знаła ból głodu. Mimo że mieli krowę dającą mleko, czworo dzieci mamy zmarło. Nic dziwnego, że Philemon zapragnął zostać mnichem: pewność, że dostanie się obfity posiłek, była warta niemal każdego poświęcenia.

- Co robi twój tata? - spytała Caris.

- Spróbuje coś zwędzić. Niełatwo ukraść krowę, bo nie można jej wsunąć pod koszulę, ale on

jest sprytny.

Gwenda tylko udawała, że jest tego pewna. Jej ojciec kradł, ale nie był sprytny. Zrobi wszystko, co w jego mocy, zgodnie z prawem lub nie, żeby zdobyć krowę, lecz może mu się nie udać.

Dziewczęta przeszły przez bramę klasztoru i znalazły się na targu. Kupcy byli zmarznięci i przemoczeni po szóstym dniu okropnej pogody. Wystawiali towar w deszczu, ale utarg był znikomy.

Gwenda poczuła się niezręcznie. Prawie nigdy nie rozmawiała z Caris o różnicy dzielącej obie rodziny. Za każdym razem, gdy Gwenda odwiedzała przyjaciółkę, ta po cichu dawała jej jakiś podarunek: kawałek sera, wędzoną rybę, belę materiału, słój miodu. Gwenda była głęboko wdzięczna i dziękowała, ale nic więcej nie mówiły. Tata usiłował ją nakłonić, żeby wykorzystała zaufanie Caris i coś ukradła, lecz Gwenda przekonywała go, że gdyby to zrobiła, nie mogłaby tam więcej przychodzić i nie byłoby więcej prezentów. Nawet ojciec to pojął. Gwenda rozglądała się za straganem, na którym Perkin sprzedawał kury. Annet też tam pewnie będzie, a zatem i Wulfric kręci się w pobliżu. Nie myliła się. Perkin, otyły mężczyzna ze szczwaną miną, okazywał służalczą grzeczność klientom, lecz wszystkich innych traktował oschle. Annet trzymała tacę z jajkami, uśmiechając się kokieteryjnie; taca opierała się tuż pod jej biustem, a jasne włosy spływające spod kapelusza tańczyły wokół jej różowych policzków

i długiej szyi. Wulfric stał w pobliżu i wyglądał jak archanioł, który zabłądził pomiędzy ludzką cizbą.

- Tam jest - szepnęła Gwenda. - Ten wysoki...

- Wiem, który to - wpadła jej w słowo Caris. - Wygląda tak, że można by go łyżkami

jeść.

- Rozumiem, co masz na myśli.

- Jest trochę za młody, prawda?

- Ma szesnaście lat. Ja mam osiemnaście. Annet też.

- No dobrze.

- Wiem, co sobie pomyślałaś - rzekła Gwenda. - Jest dla mnie zbyt przystojny.

- Nie...

- Przystojni mężczyźni nie zakochują się w brzydkich kobietach, prawda?

- Ty nie jesteś brzydka...

- Widziałam się w lusterku. - Gwenda skrzywiła się, bo wspomnienie było bolesne. -

Popłakałam się, kiedy zobaczyłam, jak wyglądam. Mam duży nos, a oczy są za blisko siebie. Jestem podobna do ojca.

- Masz piękne, delikatne brązowe oczy i wspaniałe gęste włosy - zaoponowała Caris.

- Ale daleko mi do Wulfrica.

Chłopak stał bokiem do nich, dzięki czemu mogły dobrze widzieć jego profil. Podziwiały go przez chwilę, lecz gdy się odwrócił, Gwenda westchnęła gwałtownie: druga strona jego twarzy była opuchnięta i posiniaczona, a jedno oko zamknięte.

Podbiegła do niego.

- Co ci się stało?! - zawołała. Wulfric spojrział na nią przestraszony.

- O, witaj, Gwendo. Biłem się. Odwrócił się w drugą stronę, najwyraźniej zakłopotany.

- Z kim?

- Z giermkim z orszaku hrabiego.

- Jesteś ranny! Chłopak spojrział na nią zniecierpliwiony.

- Nie martw się, nic mi nie jest. Naturalnie nie zrozumiał, dlaczego Gwenda tak się o niego troszczy. Może nawet pomyślał, że cieszy się z jego nieszczęścia.

- Z którym giermkim? - zapytała Caris.

Wulfric spojrział na nią z zaciekawieniem, po stroju poznając, że jest bogata.

- Nazywa się Ralph Fitzgerald.

- Och, to brat Merthina! - wykrzyknęła Caris. - Czy jemu też się coś stało?

- Złamałem mu nos - odparł z dumą Wulfric.

- Ukarano cię?

- Spędziłem całą noc w dybach. Gwenda krzyknęła.

- To straszne!

- Nie było tak źle. Brat pilnował, żeby nikt we mnie nie rzucał.

- Ale i tak... - Gwenda była wstrząśnięta. Uwężenie w jakikolwiek sposób wydawało jej się najgorszą torturą.

Annet obsłużyła klienta i przyłączyła się do rozmowy.

- O, to ty, Gwendo - powiedziała zimno. Wulfric nie zdawał sobie sprawy z uczuć Gwendy, lecz Annet była ich świadoma i traktowała rywalkę wrogo i z pogardą. - Wulfric bił się z giermkim, który mnie obraził - oznajmiła z nieskrywaną satysfakcją. - Postąpił jak rycerz w balladzie.

- Ja bym nie chciała, żeby ktoś zranił mu twarz z mojego powodu - rzekła ostro Gwenda.

- Na szczęście raczej mu to nie grozi - odcięła się triumfalnie Annet.

- Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość - zauważyła Caris. Annet spojrzała na nią zaskoczona. Okazała zdziwienie, że koleżanka Gwendy nosi takie kosztowne ubrania.

Caris wzięła Gwendę pod rękę.

- Jakże mi miło, że mogłam poznać innych mieszkańców Wigleigh - rzekła wdzięcznie. - Żegnam.

Kiedy się oddaliły, Gwenda zaczęła się śmiać.

- Potraktowałaś Annet z góry.

- Zdenerwowała mnie. Takie jak ona hańbią kobiecy ród.

- Rozpierała ją duma, że Wulfric został pobity z jej powodu! Wydłubałabym jej oczy.

- Jaki on jest, poza tym, że przystojny? - spytała w zamyśleniu Caris.

- Silny, dumny, wierny... Właśnie tacy wdają się w bójki w czyjejs obronie. Nigdy nie przestanie się starać o to, żeby zapewnić byt rodzinie, póki mu tchu starczy w piersi.

Caris milczała.

- Nie jesteś nim zachwycona, prawda?

- Wydaje mi się trochę nudny.

- Gdybyś wychowała się przy moim ojcu, nie uważałabyś, że dobry żywiciel rodziny jest nudny.

- Wiem. - Caris ścisnęła rękę przyjaciółki. - Myślę, że to wspaniały chłopak dla ciebie.

Udowodnię to, pomagając ci go zdobyć.

Tego Gwenda się nie spodziewała.

- W jaki sposób?

- Chodź.

Wyszły z rynku i dotarły do północnego krańca miasta. Caris zaprowadziła Gwendę do małego domku przy bocznej uliczce nieopodal kościoła parafii Świętego Marka.

- Mieszka tu pewna mądra kobieta.

Zostawiwszy psy za progiem, dziewczęta schyliły się i przez niskie drzwi weszły do środka.

Wąska izba, stanowiąca jedyne pomieszczenie na parterze, była przedzielona zasłoną na dwie części. W przedniej połowie stały krzesło i ławka. Gwenda pomyślała, że palenisko musi się znajdować w głębi, i zastanowiła się, czemu ktoś miałby ukrywać to, co robi w kuchni. W izbie było czysto i unosił się zapach ziół, trochę ostry. Nie był przykry, choć trudno go było uznać za woń perfum.

- Mattie, to ja! - zawołała Caris.

Po chwili kotara się odsunęła i wychynęła zza niej kobieta w wieku około czterdziestu lat. Miała siwe włosy i bladą cerę, jaką widuje się u ludzi, którzy rzadko wychodzą na dwór. Uśmiechnęła się na widok Caris, lecz Gwendę zmierzyła ostrym spojrzeniem.

- Widzę, że twoja przyjaciółka jest zakochana, ale jej luby nie chce z nią nawet rozmawiać.

- Skąd to wiesz? - zapytała Gwenda, otwierając szeroko oczy. Mattie usiadła ciężko na

krześle; była tęga i brakowało jej tchu.

- Ludzie przychodzą do mnie z trzech powodów: choroby, zemsty i miłości. Wyglądasz zdrowo i jesteś za młoda, by pragnąć zemsty, więc na pewno się zakochałaś. Chłopak traktuje cię obojętnie, bo inaczej nie szukałabyś u mnie pomocy.

Gwenda zerknęła na Caris.

- Mówiłam ci, że to mądra kobieta - rzekła z zadowoleniem Caris. Dziewczęta usiadły na ławce i spojrzały wyczekująco na gospodynię.

- Mieszka niedaleko, może nawet w tej samej wiosce - mówiła Mattie. - Ale jego rodzina jest bogatsza od twojej.

- Wszystko to prawda - potwierdziła zdumiona Gwenda. Mattie musiała zgadywać, ale robiła to tak trafnie, jakby była jasnovidzem.

- Jest przystojny?

- Bardzo.

- I zakochał się w najładniejszej dziewczynie we wsi.

- Jest najładniejsza, jeśli ktoś lubi ten typ.

- Jej rodzina też jest bogatsza od twojej.

- Tak.

Mattie skinęła głową.

- Znana historia. Mogę ci pomóc, ale musisz coś zrozumieć. To nie ma nic wspólnego z duchami. Tylko pan Bóg może czynić cuda.

Gwenda nie mogła wyjść ze zdumienia. Przecież każdy wiedział, że duchy zmarłych władają sprawami życia. Jeśli cię lubią, napędzają zające do twoich wnyków, dają ci zdrowe dzieci i sprawiają, że słońce świeci na zboże na twoim polu. Lecz jeśli je czymś rozgniewałeś, postarają się, żeby jabłka na twoich drzewach zrobaczywiały, by krowa urodziła kalekie cielę, a twój mąż był impotentem. Nawet lekarze z klasztoru przyznawali, że modlitwy do świętych są skuteczniejsze od ich lekarstw.

- Nie rozpaczaj - powiedziała Mattie. - Mogę ci sprzedać napój miłosny.

- Przykro mi, nie mam pieniędzy.

- Wiem. Ale twoja przyjaciółka bardzo cię lubi i chce twojego szczęścia. Jest gotowa od razu zapłacić za napój dla ciebie. Musisz jednak podawać go jak należy. Czy możesz zrobić tak, żeby chłopak był z tobą sam przez godzinę?

- Znajdę na to sposób.

- Wlej napój do jego napitku, a kawaler wnet nabierze ochoty na amory. Właśnie wtedy musisz być z nim sama, bo jeśli w pobliżu będzie inna dziewczyna, może się zakochać w niej, a nie w

tobie. Trzymaj go więc z dala od innych i bądź dla niego czarująca. Pomyśli, że jesteś najbardziej ponętą kobietą na świecie. Daj mu całusa, powiedz mu, że jest cudowny, a jeśli chcesz, Kochaj się z nim. Po jakimś czasie zmorzy go sen. Kiedy się zbudzi, będzie pamiętał, że spędził w twoich ramionach najszcześniejszą godzinę życia, i jak najprędzej będzie chciał ją powtórzyć.

- A nie będzie mi potrzebna następna dawka?

- Nie. Za drugim razem twoja miłość, pożądanie i kobiecy wdzięk wystarczą. Kobieta może zapewnić każdemu mężczyźnie szczęście, jeśli tylko da jej szansę.

Na samą myśl o tym Gwendę ogarnęło pragnienie:

- Już nie mogę się doczekać.

- Przyrządźmy więc miksturę. - Mattie dźwignęła się z krzesła. - Możecie przejść za kotarę. - Gwenda i Caris podążyły za nią. - Zasłona jest tylko dla ignorantów.

Kamienna posadzka kuchni była czysta, a nad dużym kominkiem wisiały podstawki i haczyki do pieczenia i gotowania. Było ich znacznie więcej, niż potrzeba do przyrządzania posiłków dla jednej kobiety. Był także stary stół, poplamiony i porysowany, lecz wyszorowany do czysta, regał z szeregiem glinianych dzbanów i zamknięta na klucz szafka, w której znajdowały się zapewne cenne składniki napojów przyrządzanych przez Mattie. Na ścianie wisiała duża tabliczka z wydrapanymi liczbami i literami.

- Dlaczego ukrywasz to wszystko za kotarą? - zacięła się Gwenda.

- Mężczyzna przyrządzający maści i lekarstwa nazywa się aptekarzem, ale kobieta, która robi to samo, naraża się na obwołanie czarownicą. Jest w mieście pewna kobieta, Szalona Neli, która chodzi i krzyczy o diabła. Murdo, ten wędrowny mnich, oskarżył ją o herezję. Neli jest obłąkana, to prawda, ale nikomu nie szkodzi, a mimo to Murdo chce ją postawić przed sądem. Mężczyźni od czasu do czasu lubią zabić jakąś kobietę. Murdo da im pretekst, a później wyciągnie rękę po jałmużnę. Właśnie dlatego zawsze mówię ludziom, że tylko pan Bóg czyni cuda. Ja nie wywołuję duchów. Wykorzystuję jedynie zioła z lasu i umiejętność obserwacji.

Gwenda słuchała Mattie, a Caris chodziła po kuchni tak swobodnie, jakby była u siebie w domu. Postawiła na stole misę i flakon. Mattie dała jej klucz, a Caris otworzyła szafkę.

- Wpuść trzy krople esencji z maku do łyżki destylowanego wina - poleciła Mattie. - Mikstura nie może być za mocna, bo chłopak za szybko uśnie.

Gwenda znów się zdziwiła.

- Ty będziesz robiła napój?

- Czasem pomagam Mattie - odparła Caris. - Nie mów nic Petranilli, bo jej się to nie spodoba.

- Nie powiedziałabym jej o pożarze, nawet gdyby jej włosy się paliły. Ciotka Caris nie lubiła

Gwendy, przypuszczalnie z tego samego powodu, dla którego nie polubiłaby Mattie: obie należały do niższej klasy, a Petranilla przywiązywała ogromną wagę do takich spraw.

Ale dlaczego Caris, córka zamożnego kupca, uwijała się w kuchni zielarki z nędznego przedmieścia? Obserwując przyjaciółkę, Gwenda przypomniała sobie, że choroby i leki zawsze intrygowały Caris. Jako mała dziewczynka chciała zostać lekarzem. Nie rozumiała, że tylko duchownym wolno studiować medycynę. Po śmierci matki pytała: „Dlaczego ludzie muszą chorować?”. Matka Cecilia powiedziała, że to z powodu grzechu, a Edmund, że tak naprawdę nikt tego nie wie. Ani jedna, ani druga odpowiedź nie zadowoliła Caris. Może szukała tej prawdziwej właśnie tu, w kuchni Mattie?

Caris nalala płynu do maleńkiego słoiczka, zatkała go i zawiązała szczelnie sznurkiem, a potem wręczyła Gwendzie.

Gwenda wsunęła słoiczek do sakiewki przytroczonej do skórzanego paska. Nie miała pojęcia, jak doprowadzić do tego, żeby Wulfric spędził z nią godzinę sam na sam. Rzuciła beztrąsko, że znajdzie na to sposób, lecz teraz, gdy miała już napój miłosny, zadanie wydało jej się niewykonalne. Wulfric okazywał zniecierpliwienie, gdy tylko do niego przemówiła. Każdą chwilę chciał spędzać z Annet. Jaki mógłby być powód, dla którego Wulfric chciałby spotkać się z Gwenda na osobności? Powiem, że pokażę mu miejsce, w którym dzikie kaczki składają jaja. Ale dlaczego miałyby pokazywać takie miejsce jemu, a nie ojcu? Wulfric był trochę naiwny, ale nie głupi - domyśli się, że Gwenda coś knuje.

Caris zapłaciła Mattie dwanaście srebrnych pensów. Tata Gwendy zarabiał tyle przez dwa tygodnie.

- Dziękuję, Caris - powiedziała Gwenda. - Mam nadzieję, że przyjdiesz na mój ślub.

- Pewność siebie... to właśnie lubię! - roześmiała się przyjaciółka. Dziewczęta wyszły z domu Mattie i skierowały się ku rynkowi. Gwenda postanowiła zacząć swoje starania od tego, że dowie się, gdzie Wulfric mieszka. Jego rodzina była zbyt zamożna, żeby mogła nocować za darmo w klasztorze. Pewnie zatrzymali się w gospodzie. Gwenda mogłaby zapytać Wulfrica lub jego brata, czy dobrze się tam mieszka, i udawać, że interesuje ją, która oberża w mieście jest najlepsza.

Na widok przechodzącego mnicha Gwenda uświadomiła sobie ze wstydem, że nawet przez myśl jej nie przeszło, by zobaczyć się ze swoim bratem Philemonem. Tata go nie odwiedzał, gdyż nienawidzili się od lat, ale Gwenda lubiła brata. Wiedziała, że jest podstępny, przebiegły i złośliwy, a mimo to go kochała. Przeglądowali razem wiele zim. Postanowiła poszukać go później, po spotkaniu z Wulfrikiem.

Zanim jednak dziewczęta dotarły do rynku, napotkały ojca Gwendy.

Joby stał niedaleko bramy klasztoru, przed gospodą Bella, w towarzystwie nieprzyjemnie wyglądającego mężczyzny w żółtej pelerynie, który trzymał na plecach tobolek. Obok stała brązowa krowa.

Ojciec zawołał Gwendę.

- Znalazłem krowę.

Gwenda przyjrzała się zwierzęciu. Krowa miała dwa lata i złe spojrzenie; była chuda, ale zdrowa.

- Wygląda dobrze - oceniła Gwenda.

- To jest Sim Chapman [* Chapman (ang.) - domokrążca.] - rzekł ojciec, wskazując kciukiem mężczyznę w żółtej pelerynie. Mężczyźni tacy jak Sim wędrowali od wioski do wioski, handlując drobiazgami niezbędnymi w obejściu: igłami, klamrami do pasów, lusterkami i grzebieniami. Być może Sim ukradł krowę, lecz to nie martwiło ojca Gwendy, jeśli tylko cena mu odpowiadała.

- Skąd wzięłeś na nią pieniądze? - zapytała dziewczyna.

- Nie płacę mu - odparł, unikając jej wzroku. Gwenda spodziewała się, że ojciec ma jakiś plan-

- Więc za co ją kupisz?

- Zrobimy wymianę.

- Co mu dasz w zamian za krowę?

- Ciebie - odpowiedział Joby.

- Nie wygłupiaj się - prychnęła Gwenda, lecz w tej samej chwili poczuła, że spada jej na głowę pętla z liny i zaciska się na jej ciele, krępując ręce.

Gwenda nie rozumiała, co się dzieje. Nie mogła w to uwierzyć. Próbowwała się uwolnić, lecz Sim tylko mocniej zacisnął powróż.

- Nie szarp się - rzekł tata. Gwenda nadal nie wierzyła.

- Co ty wyprawiasz? Nie możesz mnie sprzedać, głupcze!

- Sim potrzebuje kobiety, a mnie jest potrzebna krowa - odparł ojciec. - To proste.

- Brzydka ta twoja córka - odezwał się po raz pierwszy Sim.

- To śmieszne!

Sim uśmiechnął się do niej.

- Nie martw się. Nie stanie ci się krzywda, jeśli będziesz się dobrze zachowywała i robiła to, co ci każe.

Gwenda zrozumiała, że ojciec naprawdę chce ją wymienić na krowę. Poczwała w sercu zimne

ukłucie strachu.

- Dość tych żartów - odezwała się głośno Caris. - Natychmiast uwolnijcie Gwendę.

Sim nie przestraszył się jej rozkazującego tonu.

- A ty kim jesteś, że się tak rządzisz?

- Mój ojciec jest przewodniczącym gildii parafialnej.

- Ojciec, ale nie ty - odparł Sim. - A nawet gdybyś nim była, nie masz władzy nade mną ani nad moim przyjacielem Jobym.

- Nie wolno sprzedawać dziewczyny za krowę!

- Niby czemu? To moja krowa, a dziewczyna jest jego córką. Podniesione głosy zwróciły uwagę przechodniów, którzy zatrzymywali się, żeby popatrzeć na dziewczynę skępowaną powozem.

- Co tu się dzieje? - zapytał jakiś mężczyzna.

- Ten tam sprzedał swoją córkę za krowę - odparł drugi.

Gwenda zobaczyła strach na twarzy ojca. Teraz Joby żałował, że nie dokonał wymiany w cichym zaułku. Był za głupi, by przewidzieć reakcję ludzi. Gwenda zrozumiała, że gapie są jej jedyną nadzieją.

Caris zawołała mnicha, który wyszedł z bramy klasztoru.

- Bracie Godwynie! Podejdź tutaj i rozsądź spór. - Spojrzała triumfalnie na Sima. - Klasztor sprawuje jurysdykcję nad wszystkimi transakcjami zawieranymi w czasie targów wełny. Brat Godwyn jest zakrystianem. Będziecie musieli mu się podporządkować.

- Witaj, kuzynko - rzekł Godwyn. - W czym rzecz?

- A więc to twój kuzyn - prychnął z niechęcią Sim. Godwyn posłał mu lodowate spojrzenie.

- Jako sługa boży wydam sprawiedliwy wyrok, bez względu na wszystko. Możecie na mnie polegać, mam nadzieję.

- Miło mi to słyszeć - odparł służalczym tonem Sim. Joby także wzniósł się na szczyty grzeczności.

- Znam cię, bracie, mój syn Philemon jest ci bardzo oddany. Jesteś dla niego samą dobrocią.

- No dobrze, dość tego - uciął temat Godwyn. - Co tu się dzieje?

- Joby chce sprzedać Gwendę za krowę - oznajmiła Caris. - Powiedz mu, że nie wolno tak robić.

- To moja córka, panie, ma osiemnaście lat i jest panną. Mogę z nią zrobić, co mi się podoba.

- Mimo to sprzedawanie dzieci to hańba - odparł Godwyn. Joby uderzył w żałośliwy

ton:

- Nie zrobiłbym tego, panie, ale mam w domu jeszcze trójkę malców. Jestem parobkiem bez

ziemi, nie mam jak wyżywić dzieci zimą. Miałem krowę, ale zdechła.

Wśród zebranych gapiów rozległ się pełen współczucia pomruk. Ci ludzie wiedzieli, czym jest zima, i do czego może być zmuszony mężczyzna, by wykarmić rodzinę. Gwenda wpadła w rozpacz.

- Może to i hańba, bracie, ale czy grzech? - zapytał Sim.

Mówił tak, jakby znał odpowiedź. Gwenda odgadła, że prowadził już kiedyś taki spór.

- Biblia nie potępia sprzedawania córek na niewolnice - odrzekł z widoczną niechęcią Godwyn. - Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty pierwszy.

- A widzicie! - ucieszył się Joby. - To chrześcijański czyn.

- Księga Wyjścia! - prychnęła z przyganą Caris. Jedna z kobiet postanowiła włączyć się do dysputy.

- Nie jesteśmy dziećmi Izraela - zauważyła. Była to niska, przysadzista niewiasta z mocno zarysowaną szczęką, nadającą jej twarzy wyraz determinacji. Choć skromnie ubrana, wydawała się pewna siebie. Gwenda rozpoznała Madge, żonę Marka Webbera. - Dzisiaj nie ma niewolnictwa.

- A czeladnicy? - zapytał Sim. - Nie dostają zapłaty, a mistrz może ich chłostać. Są też nowicjusze i nowicjuszki w klasztorach. I jeszcze ci, którzy wykonują najgorsze posługi w pałacach arystokratów za miejsce do spania i kromkę chleba.

- Może i mają ciężkie życie, ale nie można ich sprzedawać i kupować, prawda, bracie Godwynie? - nie dawała za wygraną Madge.

- Nie mówię, że to, co chcą zrobić ci dwaj, jest zgodne z prawem - odparł mnich. - Studiowałem w Oksfordzie medycynę, a nie prawo. Ale nie znajduję w Piśmie Świętym ani nauczaniu Kościoła niczego, co mówiłoby, że taki handel jest grzechem. - Spojrzał na Caris. - Przykro mi, kuzynko.

Madge Webber skrzyżowała ręce na piersi.

- Ciekawe, jak wyprowadzisz dziewczynę z miasta, Chapman.

- Na końcu powrozu. Tak samo, jak przywiodłem tu krowę.

- Ale wtedy nie musiałeś przejść obok mnie i tych ludzi.

W sercu Gwendy zakiełkowała nadzieja. Nie wiedziała, ilu gapiów opowiada się za nią, lecz gdyby doszło do bijatyki, wezmą raczej stronę Madge, którą znają, a nie włóczęgi Sima.

- Miałem już do czynienia z upartymi babami - warknął Sim, wykrzywiając usta. - I jakoś sobie radziłem.

Madge położyła rękę na linie.

- Może wtedy sprzyjało ci szczęście. Sim wyrwał powróż.

- Trzymaj łapy z dala od mojej własności, to nie spotka cię krzywda. Madge umyślnie

położyła dłoń na ramieniu Gwendy.

Sim odepchnął ją szorstko, aż się zachwiała; z tłumu dobiegł szmer protestu.

- Nie zrobiłbyś tego, gdybyś zobaczył jej męża - rzekł jakiś mężczyzna. Odpowiedział mu huragan śmiechu. Gwenda pamiętała, że mąż Madge, Mark, to dobroduszny olbrzym. Ach, gdyby teraz nadszedł!

Zamiast niego ukazał się porządkowy John, który umiał zwietrzyć awanturę i zjawiał się wszędzie, gdzie gromadzili się ludzie.

- Dość przepychanek. Co to ma znaczyć, Chapman?

W sercu Gwendy znów zaświtała nadzieja. Domokrażcy nie cieszyli się dobrą opinią, więc porządkowy z góry założył, że to Chapman jest przyczyną rozróbny.

Sim znów zrobił służalczą minę, przychodziło mu to łatwiej niż zmiana kapelusza.

- Proszę o wybaczenie, panie Constable. Jeśli mężczyzna zapłacił umówioną cenę za towar, to musi mieć prawo bezpiecznie opuścić Kingsbridge i nikt nie może mu tego towaru odebrać.

- Bez wątplenia. - John musiał się zgodzić, gdyż los miasta targowego zależał od tego, czy cieszy się dobrą reputacją. - A co kupiłeś?

- Tę dziewczynę.

- Ach tak. - John zamilkł na chwilę. - Kto ci ją sprzedał?

- Ja - odparł Joby. - Jestem jej ojcem.

- Ta baba z dużą szczęką zagroziła, że nie pozwoli mi jej zabrać - ciągnął Sim.

- Nie inaczej - potwierdziła Madge. - Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś kupił kobietę na rynku w Kingsbridge. Inni też nie.

- Mężczyźnie wolno zrobić ze swoim dzieckiem, co chce - stwierdził Joby, rozglądając się po zgromadzonych, jakby szukał poparcia. - Czy ktoś zaprzeczy?

Gwenda wiedziała, że nie może na to liczyć. Jedni traktowali swoje dzieci dobrze, inni szorstko, lecz wszyscy się zgadzali, że ojciec musi mieć nad dzieckiem całkowitą władzę.

- Nie stalibyście jak głusi i oniemiały, gdybyście mieli takiego ojca jak on! - wybuchła.
- Czy któreś z was zostało sprzedane przez rodziców? Ilu z was zmuszano do tego, żebyście kradli w dzieciństwie, bo macie małe ręce, które łatwo wślizgują się do mieszkań?

Joby się przestraszył.

- Ona bredzi, panie Constable. Moje dzieci nigdy nie kradły.

- Mniejsza o to - rzekł John. - Słuchajcie mnie wszyscy. Oto moje orzeczenie. Ci, którzy się z nim nie zgodzą, mogą złożyć skargę do opata. Jeśli dojdzie do przepychanki albo innego zakłócenia porządku, aresztuję każdego, kto będzie w to zamieszany. Niech to będzie jasne. - Powiódł groźnym

wzrokiem po zebranych. Wszyscy w milczeniu czekali na jego decyzję. - Nie znam żadnego powodu, dla którego ten handel miałby być nielegalny, więc Sim Chapman może odejść z dziewczyną.

- Przecież mówiłem... - odezwał się Joby.

- Zamknij gębę, durniu - przerwał mu John Constable. - Sim, ruszaj stąd, i to szybko. Madge Webber, jeśli ośmielisz się podnieść na niego rękę, każę cię zakuć w dyby i twój mąż mnie nie powstrzyma. A ty milcz, Caris Wooler... Jeśli chcesz, możesz się poskarżyć ojcu.

Zanim John skończył mówić, Sim szarpnął mocno za powróż. Gwenda potknęła się, a potem wysunęła stopę, żeby nie upaść. Musiała iść przed siebie, prawie biegnąc. Kątem oka zobaczyła Caris, która ruszyła za nią. John Constable złapał ją za rękę. Odwróciła się, żeby coś powiedzieć, i wtedy Gwenda straciła ją z oczu.

Sim kroczył szybko błotnistą główną ulicą, ciągnąc za powróż, tak żeby Gwenda z trudem utrzymywała równowagę. Szarpała się, lecz Sim ciągnął jeszcze mocniej i wtedy upadała. Miała unieruchomione ręce, nie mogła więc się zasłaniać i padała na piersi i twarz w muł. Podniosła się, rezygnując z wszelkiego oporu. Spętana niczym zwierzę, zraniona, przerażona i pokryta cuchnącym błotem, szła, potykając się, za swoim nowym właścicielem przez most i drogą prowadzącą w głąb lasu.

Sim Chapman prowadził Gwendę przedmieściem zwanym Nowe Miasto do Krzyżówki Szubieniczników, przy której wieszano zbrodniarzy. Tam skierował się na południe, ku Wigleigh. Przywiązał sobie linę do nadgarstka, tak że dziewczyna nie mogła uciec, nawet gdy nie zwracał na nią uwagi. Skip, pies Gwendy, biegł za nimi, lecz Sim rzucał w niego kamieniami. Jeden trafił go w nos i pies umknął z podwiniętym ogonem.

Po przejściu kilku mil, gdy słońce zaczęło zachodzić, Sim skręcił w las. Gwenda nie zauważyła żadnej wskazówki, lecz Sim wybrał drogę z rozmysłem, gdyż kilkaset jardów dalej natrafił na ścieżkę w gąszczu. Spojrzawszy pod nogi, Gwenda zobaczyła na ziemi tropy dziesiątków małych kopyt. Byli na ścieżce saren. Odgadła, że szlak prowadzi do wodopoju. I rzeczywiście, dotarli do strumienia, a roślinność na obu brzegach była stratowana.

Sim uklęknął przy strumyku, zanurzył dłonie w czystej wodzie i napił się. Podciągnął pętlę na szyję Gwendy, uwalniając jej ręce, i wskazał wodę.

Dziewczyna umyła ręce, a potem napiła się chciwie.

- Obmyj gębę - rozkazał. - I tak jesteś brzydka z natury.

Gwenda zrobiła, co kazał, zastanawiając się z rezygnacją, dlaczego zależy mu, jak wygląda.

Ścieżka biegła dalej obok wodopoju. Gwenda była silną dziewczyną, mogła iść przez cały dzień, lecz zmęczenie i strach ją wyczerpały. Czekają ją pewnie coś gorszego niż ten marsz, lecz

mimo to marzyła, by dojść do celu i usiąść na ziemi.

Zapał zmrok. Ścieżka wiła się jeszcze milę, a potem zniknęła u stóp wzgórza. Sim zatrzymał się przed wyjątkowo grubym dębem i gwizdnął cicho.

Po dłuższej chwili z tonących w półmroku drzew wychynęła jakaś postać.

- W porządku, Sim?

- W porządku, Jed.

- Co tam masz, ciastko?

- Dostaniesz kawałek, inni też. Za sześć pensów.

Gwenda zrozumiała, co Sim zamierza. Chce z niej zrobić prostytutkę. To było jak cios. Zachwiała się i upadła na kolana.

- Sześć pensów, tak? - Głos Jeda dochodził jakby z oddali, lecz mimo to słyszała w nim podniecenie. - Ile ma lat?

- Ojciec mówił, że osiemnaście. - Sim szarpnął powróż. - Wstawaj, leniwa krowo, jeszcze nie jesteśmy na miejscu.

Gwenda wstała. Dlatego kazał mi umyć twarz, pomyślała. Zaczęła płakać. Szlochała, wlokąc się za Simem, aż doszli do polany, na środku której płonęło ognisko. Przez łyżę dojrzała piętnastu, może dwudziestu ludzi leżących na skraju przesieki; większość z nich była owinięta kocami lub pelerynami. Prawie wszyscy, którzy na nią patrzyli, byli mężczyznami, choć Gwenda zauważyła także białą kobiecą twarz z gładką brodą. Kobieta spojrzała na nią twardo, a potem schowała się z powrotem pod postrzępionym kocem. Przewrócona beczka po winie i drewniane kubki leżące na ziemi świadczyły o tym, że odbyła się tu pijacka biesiada.

Gwenda uświadomiła sobie, że Sim przywiódł ją do gniazda banitów.

Jęknęła. Ilu z nich będzie musiała ulec?

Sama odpowiedziała sobie na to pytanie: wszystkim.

Sim zawlókł ją do mężczyzny, który siedział oparty o pień drzewa.

- W porządku, Tam.

Gwenda wiedziała, kim jest zagadnięty - najslawniejszym banitą w kraju, nazywał się Tam Hiding. Był przystojny, choć jego twarz poczerwieniała od wina. Ludzie powiadali, że pochodzi ze szlachty, lecz o osławionych banitach zawsze tak mówiono. Spojrzawszy na niego, Gwenda zdziwiła się, że jest taki młody; miał dwadzieścia kilka lat. Jednak zabicie banity nie było przestępstwem, toteż niewielu dożywało sędziwego wieku.

- W porządku, Sim - odrzekł Tam.

- Wymieniłem krowę Alwyna na dzierlatkę.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił banita głosem prawie niezdradzającym, że jest pijany.

- Będziemy brali po sześć pensów od głowy, ale ty oczywiście możesz za darmo. Pewnie chcesz pierwszy?

Tam spojrział na Gwendę zaczerwienionymi oczami. Może jej się tylko marzyło, lecz dostrzegła w jego oczach cień litości.

- Nie, dzięki. Możesz zaczynać, niech chłopaki się zabawią. Możliwe, że trzeba będzie poczekać do jutra. Zdobyliśmy beczkę wina od dwóch mnichów, którzy wieźli ją do Kingsbridge. Większość chłopaków zalała się w trupa.

Gwenda znów poczuła przyływ nadziei. Może jej udręka się odwlecze.

- Muszę to obgadać z Alwynem - rzekł niepewnie Sim. - Dzięki, Tam. Odwrócił się, ciągnąc za sobą Gwendę.

Jakiś barczysty mężczyzna z trudem dźwignął się na nogi.

- W porządku, Alwyn. - Banici najwyraźniej używali tego wyrażenia jako pozdrowienia i hasła, po którym się rozpoznawali.

Alwyn był pijany i zły.

- Co tam masz?

- Młodą świeżą sikorkę.

Alwyn złapał Gwendę za podbródek, ściskając z niepotrzebną siłą, i odwrócił jej twarz do blasku ogniska. Musiała spojrzeć mu w oczy. Był młody podobnie jak Tam Hiding, lecz roztaczał tę samą niezdrową atmosferę beznadziei. Jego oddech cuchnął alkoholem.

- Chryste, aleś wybrał paskudę.

Gwenda choć raz ucieszyła się, że uważa się ją za brzydką. Może Alwyn nie będzie jej chciał.

- Wziąłem, co było - odparł z namysłem Sim. - Gdyby facet miał piękną córkę, nie sprzedałby jej za krowę, tak czy nie? Wolałby ją wydać za syna bogatego kupca.

Na myśl o ojcu Gwendę ogarnął gniew. Joby musiał wiedzieć albo podejrzewać, co ją czeka. Jak mógł jej to zrobić?

- Dobrze już, dobrze, nieważne - burknął Alwyn. - Mamy w gromadzie tylko dwie kobity, chłopakom jest ciężko.

- Tam powiedział, że powinniśmy poczekać do jutra, bo dzisiaj wszyscy się upili, ale ty decydujesz.

- Ma rację. Połowa chłopaków już śpi.

Gwenda poczuła ulgę. W ciągu nocy wszystko może się zdarzyć.

- No dobra - rzekł Sim. - Jestem wykończony. Spojrzał na Gwendę.

- Połóż się. - Nigdy nie zwracał się do niej po imieniu.

Gwenda spełniła rozkaz, a Sim związał jej powrozem stopy i ręce za plecami. Później położył się z jednej strony, a Alwyn z drugiej. Po chwili obaj zasnęli.

Gwenda była wyczerpana, ale nie myślała o spaniu. Miała ręce związane z tyłu i jakkolwiek się ułożyła, i tak coś ją bolało. Chciała poruszyć dłońmi, lecz Sim mocno ściągnął linę i dokładnie ją związał. Osiągnęła tylko tyle, że poraniła sobie skórę.

Rozpacz ustąpiła miejsca beznadziejnej złości: Gwenda wyobraziła sobie, że mści się na banitach, chłoscząc ich bezlitośnie. Ale to były mrzonki, zaczęła więc rozmyślać o ucieczce.

Po pierwsze, musi ich skłonić, żeby ją rozwiązali. Wtedy będzie mogła umknąć. Najlepiej byłoby, żeby nie mogli jej dogonić i ponownie złapać.

Uznała, że to niemożliwe.

12

Obudziło ją zimno. Był środek lata, ale w nocy zrobiło się chłodno, a ona nie miała innego okrycia poza cienką sukienką. Niebo zaczynało szarzeć. Rozejrzała się po polanie; nikt się nie poruszał.

Zachciało jej się siku. Mogła to zrobić, nie wstając. Jeśli będzie odrażająco cuchnęła, tym lepiej. Jednak odrzuciła tę myśl. To byłoby jak kapitulacja. A ona nie zamierzała się poddawać.

Co w takim razie robić?

Alwyn spał tuż obok; jego długi sztylet tkwił w pochwie przytroczonej do pasa. To nasunęło Gwendzie pewien pomysł. Nie była jednak pewna, czy ma dość odwagi, by zrealizować plan, który nabierał kształtu w jej głowie. Odsunęła od siebie strach. Musi tego dokonać.

Choć miała spętane nogi, mogła nimi poruszać. Kopnęła Alwyna. Z początku niczego nie poczuł. Kopnęła jeszcze raz, poruszył się. Za trzecim razem usiadł.

- To ty? - spytał nieprzytomnie.

- Muszę się wysikać - powiedziała Gwenda.

- Nie na polanie. Tam ustalił zasady. Trzeba odejść na dwadzieścia kroków, żeby się odlać, pięćdziesiąt, żeby zrobić kupę.

- A więc banici mają jakieś zasady?

Alwyn popatrzył na nią, nie rozumiejąc drwiny. Gwenda stwierdziła, że nie jest zbyt bystry. To mogło się okazać dla niej korzystne. Był za to silny i wredny. Musi być bardzo ostrożna.

- Nie odejdę ani na krok ze spętanymi nogami. Mruczając pod nosem, rozwiązał jej powróż na

kostkach.

Pierwsza część planu poszła jak z płatka. Gwenda poczuła jeszcze większy strach.

Z trudem stanęła na nogach. Wszystkie mięśnie bolały ją od ucisku. Zrobiła krok, potknęła się i upadła.

- Nie mogę iść ze skrępowanymi rękami - jęknęła. Alwyn nie zwrócił na nią uwagi.

Druga część planu się nie powiodła. Musi próbować dalej.

Wstała i ruszyła między drzewa. Alwyn powlókł się za nią, licząc na palcach kroki.

Doliczywszy do dziesięciu, zaczął od nowa. Po drugim razie rzekł:

- Wystarczy.

Gwenda spojrzała na niego bezradnie.

- Jak mam podnieść sukienkę? - zapytała. Czy Alwyn da się na to nabrać?

Gapił się na nią tępo. Prawie słyszała szum jego mózgu, niczym obracające się tryby młyna wodnego. Może podnieść jej sukienkę, kiedy będzie sikała, lecz coś takiego matka robi małemu dziecku. Dla mężczyzny byłoby to upokarzające. Albo może rozwiązać jej ręce. Mając wolne ręce i nogi, Gwenda będzie mogła rzucić się do ucieczki. Była jednak drobna, a poza tym zmęczona po bezsennej nocy spędzonej w niewygodnej pozycji; nie miała szans prześcignąć mężczyzny o długich, umięśnionych nogach. Alwyn pomyślał, że wiele nie ryzykuje.

Rozwiązał jej linę na rękach.

Gwenda spojrzała w drugą stronę, by nie zobaczył triumfu w jej oczach.

Potarła przedramiona, żeby przywrócić krążenie krwi. Miała ochotę wbić mu kciuki w oczy, ale zamiast tego uśmiechnęła się słodko.

- Dziękuję - powiedziała, jakby zrobił coś szlachetnego. Banita milczał, czekając.

Spodziewała się, że odwróci wzrok, kiedy uniesie sukienkę i ukucnie, ale on gapił się jeszcze intensywniej. Patrzyła mu w oczy, nie chcąc pokazać, że wstydzi się czegoś, co jest naturalne. Usta Alwyna rozchyliły się lekko, jego oddech stał się cięższy.

Teraz będzie najtrudniej.

Gwenda wstała powoli, pozwalając mu dobrze jej się przyjrzeć, zanim opuściła sukienkę. Kiedy oblizal wargi, wiedziała, że ma go w garści.

Podeszła bliżej i stanęła przed banitą.

- Będziesz moim obrońcą? - zapytała głosem małej dziewczynki, który wydobyła z siebie nie bez trudu.

Alwyn nie okazywał podejrzliwości. Nic nie mówiąc, złapał ją za pierś i ścisnął. Gwenda stęknęła z bólu.

- Nie tak mocno! - Ujęła jego dłoń. - Trochę delikatniej. - Przesunęła jego ręką po piersi i sutku, który nabrzmał. - Jest przyjemniej, kiedy robisz to delikatnie.

Alwyn mruknął, lecz poszedł za jej radą. Lewą ręką złapał krawędź jej sukienki na szyi i wyciągnął sztylet. Nóż był długi na stopę, a zakończona czubkiem, niedawno naostrzona klinga lśniła. Najwyraźniej zamierzał przeciąć sukienkę, Gwenda zostałaby naga, a tego chciała uniknąć.

Chwyciła go lekko, powstrzymując na chwilę.

- Nóż nie jest ci do niego potrzebny - szepnęła. - Spójrz.

Cofnęła się o krok, rozpięła pasek i jednym szybkim ruchem ściągnęła sukienkę przez głowę. Poza nią nic na sobie nie miała.

Rozciągnęła ją na ziemi i położyła się na niej. Próbowwała się uśmiechnąć, ale była pewna, że wyszedł jej grymas. Potem rozchyliła nogi.

Alwyn nie wahał się długo.

Trzymając sztylet w prawej dłoni, opuścił spodnie i uklęknął między nogami Gwendy. Skierował ostrze na jej twarz.

- Tylko spróbuj jakiejś sztuczki, a rozplątam ci policzek.

- Nie będziesz musiał tego robić - odparła. Rozpaczliwie próbowała odgadnąć, jakie słowa chciałby ktoś taki jak on usłyszeć od kobiety. - Mój wielki silny mężczyzna.

Alwyn nie zareagował.

Położył się na niej, szturchając na oślep.

- Nie tak szybko - stęknęła Gwenda, zaciskając zęby. Niezdarne ruchy Alwyna sprawiały jej ból. Sięgnęła między nogi i skierowała go w siebie, unosząc nogi, żeby było mu łatwiej.

Alwyn oparł się na rękach. Odłożył sztylet na trawę obok jej głowy, zakrywając rękojeść prawą dłonią. Stęknął, wchodząc w nią. Gwenda poruszała się razem z nim, udając, że robi to chętnie. Patrzyła na jego twarz, żeby nie spojrzeć w bok na sztylet. Czekwała na odpowiedni moment. Bała się i czuła wstręt, lecz pewna część jej mózgu pracowała spokojnie i z wyrachowaniem.

Banita zamknął oczy i uniósł głowę niczym zwierz węszący w powietrzu. Opierał się na wyprostowanych rękach. Gwenda zaryzykowała i zerknęła na nóż. Alwyn przesunął nieco dłoń, tak że zakrywała tylko część rękojeści. Mogła go chwycić, nie wiedziała tylko, jak szybko banita zareaguje.

Znów spojrzała na jego twarz. Jego usta ściągnęły się w skupieniu. Poruszał się szybciej, Gwenda dostosowała się do jego pchnięć.

Ku swojemu zdumieniu poczuła ciepło rozlewające się w łędźwiach. Była sobą przerażona. Ten człowiek był banitą, mordercą, niewiele lepszym od bestii, i zamierzał uczynić z niej prostytutkę, pobierając po sześć pensów od klienta. A ona oddała mu się, żeby ratować życie, nie dla

przyjemności! Jednak mimo to zwilgotniała w środku. Alwyn poruszał się coraz szybciej.

Wyczuła, że zbliża się do końca. Teraz albo nigdy. Wydał jęk, jakby się poddawał.

Gwenda wyszarpnęła sztylet spod jego ręki. Wyraz twarzy banity nie uległ najmniejszej zmianie - mężczyzna nie zauważył, co zrobiła. Bojąc się, że w ostatniej chwili zobaczy, co się święci, bez wahania pchnęła go od dołu. Banita poczuł ruch jej ramion i otworzył oczy. Jego twarz wyrażała szok i przerażenie. Gwenda z całej siły wbiła nóż w jego gardło tuż pod szczęką. Zakłęła, widząc, że nie trafiła w najważniejszą część szyi: drogi oddechowe i tętnicę. Alwyn ryknął z bólu i wściekłości, lecz nie pozbawiła go możliwości ruchu. Gwenda wiedziała, że jeszcze nigdy z tak bliska nie patrzyła śmierci w oczy.

Instynktownie uderzyła go lewą ręką w zgięcie łokcia. Ręka puściła i Alwyn osunął się mimo woli. Gwenda mocniej pchnęła nożem, banita opadł na sztylet całym ciężarem ciała. Ostrze weszło od dołu w jego głowę. Krew trysnęła z otwartych ust na twarz Gwendy. Odwróciła się odruchowo, lecz nie przestała wbijać noża. Ostrze napotkało opór, a potem przez coś się przesliznęło. Gałka oczna jakby eksplodowała i czubek noża wysunął się w fontannie krwi i substancji mózkowej. Alwyn osunął się na dziewczynę, martwy lub bliski śmierci. Ciężar jego ciała pozbawił ją tchu. Czowała się tak, jakby zwałił się na nią pień drzewa. Przez chwilę nie mogła się poruszyć.

Ku swemu przerażeniu poczuła jego wytrysk.

Napełnił ją przesądny strach. Teraz bała się bardziej niż wtedy, gdy przystawił jej nóż do twarzy. Przerażona, gwałtownym ruchem wysunęła się spod banity.

Z trudem stanęła na nogach, dysząc ciężko. Miała jego krew na piersiach i nasienie na udach. Spojrzała ze strachem w stronę obozowiska banitów. Czy krzyk Alwyna wyrwał kogoś ze snu?

Drżąc, włożyła sukienkę przez głowę i zapięła pasek. Miała sakiewkę i mały nóż, którego zwykle używała do jedzenia. Wciąż nie mogła oderwać wzroku od Alwyna: dręczył ją straszliwy lęk, że banita wciąż żyje. Wiedziała, że może go dobić, ale nie mogła się na to zdobyć. Od strony polany dobiegł jakiś dźwięk. Musi uciekać, i to szybko. Rozejrzała się, a potem ruszyła w kierunku leśnego duktu.

Nagle z przerażeniem przypomniała sobie, że obok wielkiego dębu stał wartownik. Szła bardzo ostrożnie, starając się poruszać jak najciszej. Jed leżał na ziemi i spał twardym snem. Gwenda przemknęła obok niego na palcach. Całą siłą woli musiała się powstrzymać, żeby nie zacząć biec. Jednak banita ani drgnął.

Odnalazła szlak saren i podążyła nim aż do strumienia. Nikt za nią nie szedł. Zmyła krew z twarzy i piersi, a potem obmyła wodą podbrzusze. Piła długo, wiedząc, że przed nią męczący marsz.

Trochę uspokojona, ruszyła w dalszą drogę. Przez cały czas nasłuchiwała. Kiedy towarzysze

znajdą Alwyna? Gwenda nawet nie spróbowała ukryć ciała. Na pewno ruszą w pościg, bo przecież dali za nią krowę wartą dwanaście szylingów. Parobek taki jak jej ojciec zarabia tyle przez pół roku.

Gwenda doszła do drogi. Dla wędrującej samotnie kobiety trakt był prawie tak samo niebezpieczny jak leśna ścieżka. Banda Tama Hidinga nie była jedyną grupą banitów, a poza tym wielu mężczyzn - giermków, młodych kmieci, zbrojnych - chętnie wykorzystałoby bezbronną kobietę. Jednak Gwenda musiała uciekać przede wszystkim od Sima Chapmana i jego kompanów, toteż musiała poruszać się szybko.

W którą stronę się udać? Jeśli pójdzie do Wigleigh, Sim podąży jej śladem i upomni się o nią a trudno przewidzieć, co zrobi ojciec. Potrzebowała zaufanych przyjaciół. Caris jej pomoże.

Ruszyła w stronę Kingsbridge.

Dzień był pogodny, lecz droga po długich ulewach stała się błotnista, więc niełatwo się po niej szło. Gwenda dotarła na szczyt wzgórza. Spojrzawszy za siebie, widziała trakt mniej więcej na milę. Na samym końcu dostrzegła samotną maszerującą postać w żółtej pelerynie.

To był Sim Chapman.

Gwenda zaczęła biec.

Sprawę Szalonej Neli rozpatrywano w sobotę w południe w północnym transepcie katedry. Przewodniczącym sądu kościelnego był biskup Richard, po jego prawicy zasiadł opat Anthony, a po lewej ręce osobisty sekretarz biskupa, arcydiakon Lloyd, posępny czarnowłosy ksiądz. Mówiono, że to on wykonuje całą pracę w diecezji. „

Na rozprawie zebrało się wielu mieszczan. Proces o herezję stanowił dobrą rozrywkę, w Kingsbridge nie odbył się taki od lat. Wielu rzemieślników i robotników kończyło pracę w sobotę w południe. Targi wełny dobiegały końca, kupcy rozbierali stragany i pakowali niesprzedane towary. Kupujący szykowali się do podróży powrotnej do domów lub umawiali na transport zakupów tratwą do portu morskiego w Melcombe.

Czekając na rozpoczęcie procesu, Caris myślała ze smutkiem o Gwendzie. Co się z nią dzieje? Sim Chapman na pewno zmusi ją by mu uległa, lecz nie była to najgorsza rzecz, jaka mogła ją spotkać. Co będzie musiała robić jako jego niewolnica? Caris nie wątpiła, że przyjaciółka podejmie próbę ucieczki, ale czy się jej powiedzie? A jeśli nie, to jak Sim ją ukarze? Nagle Caris uświadomiła sobie, że być może nigdy się tego nie dowie.

To był niezwykle tydzień. Buonaventura Caroli nie zmienił postanowienia: kupcy z Florencji nie wrócą do Kingsbridge, dopóki opat nie postara się o lepsze warunki do handlu. Ojciec Caris i inni czołowi wełniarze przez kilka dni siedzieli za zamkniętymi drzwiami z hrabią Rolandem. Merthin wciąż zachowywał się dziwnie, był zamknięty w sobie i ponury. I znów zaczęło padać.

John Constable i Murdo weszli do katedry, wlokąc Neli. Jej jedyne odzienie stanowiła opończa bez rękawów, zapięta z przodu, lecz odsłaniająca kościste ramiona. Nie miała czepka ani butów. Szarpała się, wykrzykując przekleństwa.

Gdy ją uspokojono, kilku mieszkańców miasta poświadczyło, że słyszało, jak Neli wzywa diabła. Mówili prawdę. Neli ustawicznie straszyla ludzi diabłem - za to, że odmówili jej jałmużny, że weszli jej w drogę na ulicy, że byli dobrze ubrani, albo bez żadnego powodu.

Każdy ze świadków przytoczył jakieś nieszczęście, które go później spotkało. Żona złotnika zgubiła cenną broszkę, kurczęta karczmarza wyzdychały, wdowie wyskoczył bolesny wrzód na pośladku. Ostatnie zeznanie rozbawiło zgromadzonych, lecz zabrzmiało przekonująco, gdyż było powszechnie wiadome, że wiedźmy mają złośliwe poczucie humoru.

Niespodziewanie u boku Caris pojawił się Merthin.

- Ależ to głupie - rzekła zirytowana. - Dziesięć razy więcej świadków mogłoby stanąć przed tym sądem i zeznać, że po złośliwościach Neli nic złego im się nie przytrafiło.

Merthin wzruszył ramionami.

- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

- Prości ludzie, owszem. Ale biskup i opat powinni być rozumniejsi, bo mają wykształcenie.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - szepnął Merthin.

Caris nastawiła uszu. Może pozna wreszcie powód złego humoru ukochanego. Zerknęła na niego kątem oka, a odwróciwszy głowę, dostrzegła na jego lewym policzku ogromny siniak.

- Co ci się stało?

Gawiedź parsknęła śmiechem, gdy Neli coś krzyknęła; arcydiakon długo przywoływał ludzi do porządku.

- Nie tutaj - powiedział Merthin, gdy ludzie trochę się uspokoiili. - Możemy wyjść i poszukać spokojniejszego miejsca?

Caris już miała wstać, lecz coś ją powstrzymało. Merthin przez cały tydzień sprawiał jej przykrość swoją obojętnością. Teraz twierdził, że jest gotów powiedzieć, co go gryzie, więc ona ma być na jego skinienie. Dlaczego to on ma decydować? Kazał jej czekać pięć dni, więc ona może mu kazać poczekać jeszcze godzinę.

- Nie teraz.

Merthin spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego?

- Bo mi to nie odpowiada - odparła Caris. - Chcę posłuchać.

Kątem oka zobaczyła, iż poczuł się dotknięty, i od razu pożałowała, że nie okazała mu więcej

wyrozumiałości. Ale było za późno, a ona nie zamierzała przeproszać.

Świadkowie skończyli zeznawać.

- Kobieto, czy twierdzisz, że szatan włada światem? - spytał biskup. Caris była oburzona. Heretycy czcili szatana, wierząc, że sprawuje władzę nad ziemią, a Bóg panuje tylko w niebie. Szalona Neli nie miała pojęcia o takich zawiłościach. Biskup nie powinien w tak haniebny sposób wtórować niedorzecznym oskarżeniom mnicha Murdo.

- Wsadź sobie kutasa w dupę! - wrzasnęła Neli.

Widzowie gruchnęli śmiechem, rozbawieni wulgarnym przekleństwem rzuconym na biskupa.

- Jeśli oskarżona w taki sposób chce się bronić... - zaczął Richard. Arcydiakon postanowił wkroczyć do akcji.

- Ktoś powinien wystąpić w jej imieniu.

Lloyd odezwał się głosem pełnym szacunku, lecz nie dało się ukryć, że pouczenie zwierzchnika sprawiło mu przyjemność. Biskup, który był leniwy, bez wątpienia potrzebował kogoś takiego jak arcydiakon.

Richard rozejrzał się po zgromadzonych.

- Kto wystąpi w imieniu Neli?

Caris czekała, ale nikt się nie zgłaszał. Nie mogła pozwolić, by rozprawa toczyła się dalej w taki sposób. Ktoś musi wykazać irracjonalność tego postępowania. Wszyscy milczeli, więc wstała.

- Neli jest obłąkana.

Wszyscy się obejrzeli, zdumieni, że ktoś okazał się na tyle głupi, by wystąpić w obronie Neli. Pomruk zgromadzonych świadczył o tym, że rozpoznali Caris. Nie zdziwili się jednak, bo była znana z nietypowych zachowań.

Opat nachylił się i powiedział coś biskupowi na ucho.

- Caris, córka Edmunda Woolera, twierdzi, że oskarżona jest niespełna rozumu - rzekł Richard. - Doszliśmy do tego wniosku bez jej pomocy.

Zimny sarkazm zawarty w słowach biskupa ubódl Caris.

- Neli sama nie wie, co mówi! Przyzywa diabła, świętych, księżyc i gwiazdy. Jej słowa mają tyle samo sensu co szczekanie psa. Równie dobrze można skazać na szubienicę konia za to, że rzy na króla.

Caris wygłosiła swoją kwestię z przyganą w głosie, choć wiedziała, że to nieroztropne okazywać pogardę, gdy mówi się do arystokraty.

Z widowni dobiegł szmer aprobaty. Ludziom spodobało się, że Caris przedstawiła argument z takim zaangażowaniem.

- Słyszałaś zeznania tych, którzy potwierdzili, że jej klątwy wyrządziły im szkody - odparł Richard.

- Wczoraj zgubiłam pensa. Ugotowałam jajko, które było zepsute. Mój ojciec nie mógł zasnąć przez całą noc, bo kaszlał. A nikt nie rzucił na nas klątwy. Złe rzeczy po prostu się zdarzają.

Ludzie kręcili głowami. Większość głęboko wierzyła, że za każdym nieszczęściem, małym czy dużym, stoi jakaś zła siła. Caris utraciła poparcie zgromadzonych.

Anthony, jej wuj, znał jej poglądy, bo kiedyś już się z nią spierał. Pochyliwszy się, zapytał:

- Chyba nie uważasz, że to Pan Bóg jest odpowiedzialny za choroby, nieszczęścia i straty?

- Nie...

- Kto w takim razie?

- Chyba nie wierzysz, że każde nieszczęście, które nam się przytrafia, jest sprawą Pana Boga lub Szalonej Neli? - odpowiedziała Caris, naśladując jego pouczający ton.

- Do przeora należy zwracać się z szacunkiem - upomniał ją ostro arcydiakon.

Lloyd nie wiedział, że Anthony jest stryjem Caris. Mieszczanie parsknęli śmiechem, gdyż znali sztywnego opata i jego rezolutną bratanicę.

- Uważam, że Neli nie robi nikomu krzywdy - dokończyła Caris. - Jest obłąkana, owszem, lecz nieszkodliwa.

Wędrowny mnich Murdo wstał z krzesła.

- Lordzie biskupie, mieszkańcy Kingsbridge, przyjaciele - zaczął dźwięcznym głosem - zły przebywa między nami wszędzie i nakłania nas do grzechu: do kłamstwa, chciwości, opilstwa, pychy i cielesnego pożądania.

Ludziom spodobały się jego słowa; Murdo umiał w barwny sposób malować smakowite sceny oddawania się przyjemnościom, przemawiające do wyobraźni, i potępić je w najstraszliwszych słowach.

- Nie wolno go jednak ignorować - ciągnął, podnosząc głos. - Tak jak koń odciska kopyto w błocie, tak jak mysz zostawia delikatny ślad na ośelce masła, tak jak rozpusztnik zostawia swoje brudne nasienie w łonie uwiedzionej dziewczycy, tak samo diabeł zostawia swój ślad!

Rozległy się okrzyki potwierdzenia. Widzowie wiedzieli, do czego zmierza Murdo. Caris też była tego świadoma.

- Sługi diabła poznać można po znaku, który na nich zostawia, gdyż ssie ich gorącą krew tak jak dziecko ssie słodkie mleko z nabrzmiątych piersi matki. I tak jak ono potrzebuje cycka, z którego może ssać: trzeciego sutka!

Caris zauważyła, że mnich zawładnął widownią. Rozpoczynał każde zdanie cichym, spokojnym głosem, a potem go wzmacniał, by zakończyć wypowiedź emocjonalnym akcentem. Ludzie słuchali w skupieniu, a na koniec okrzykami dawali wyraz aprobachie.

- Ów znak jest ciemnego koloru tak jak sutek i wyrasta z jasnej skóry, która go otacza. Może się znajdować na każdej części ciała. Niekiedy umości się w miękkim zagłębieniu między piersiami kobiety, w okrutny sposób naśladując prawdziwy. Lecz diabeł najbardziej upodobał sobie sekretne miejsca ciała: lędźwie, a zwłaszcza...

- Dziękujemy, bracie Murdo - przerwał mu głośno biskup. - Nie musisz mówić więcej. Wnosisz o sprawdzenie, czy na ciele tej kobiety widnieje diabelski znak.

- Tak, lordzie biskupie...

- Dobrze, nie trzeba nas dłużej przekonywać. - Richard się rozejrzał. - Czy jest tu matka Cecilia?

Przeorysza siedziała w ławce z siostrą Juliana i paroma innymi starszymi zakonnice. Mężczyznom nie było wolno oglądać obnażonego ciała Szalonej Neli, więc kobiety musiały to zrobić na osobności, a później opowiedzieć, co zobaczyły. Zakonnice nadawały się do tego zadania najlepiej.

Caris im nie zazdrościła. Większość mieszkańców miasta myła ręce i twarze codziennie, a wydzielające odór części ciała raz w tygodniu. Kąpiel stanowiła rytuał, jakiemu oddawano się najwyżej dwa razy do roku, konieczny, choć groźny dla zdrowia. Jednak Szalona Neli nie myła się nigdy. Miała brudną twarz i ręce i cuchnęła jak kupa gnoju. Cecilia wstała.

- Siostry, zaprowadźcie tę kobietę do pustej izby, rozbierzcie ją i obejrzyjcie dokładnie jej ciało - polecił biskup. - Potem opowiecie, coście zobaczyły.

Zakonnice wstały bez wahania i zbliżyły się do Neli. Cecilia odezwała się do niej łagodnie i delikatnie wzięła ją pod rękę. Ale Neli nie dała się nabrać. Wykręciła się, wyrzucając rękę nad głowę.

- Widzę go! Widzę go! - krzyknął Murdo. Cztery zakonnice zdołały unieruchomić Neli.

- Nie trzeba jej rozbierać, wystarczy spojrzeć pod prawą pachę - powiedział mnich.

Neli znów zaczęła się wyrywać. Murdo podszedł i podniósł jej prawą rękę.

- Tu jest! - oznajmił, wskazując coś palcem. Widzowie rzucili się w stronę Neli i mnicha.

- Ja też go widzę! - zawołał ktoś, a inni podchwycili okrzyk. Caris widziała tylko zwyczajne włosy pod pachą, a nie chciała się zniżać do podglądania. Nie wątpiła, że Neli ma tam jakieś znamię lub narośl. Wielu ludzi miało znamiona na skórze, zwłaszcza ci w starszym wieku.

Arcydiakon zaczął przywoływać widzów do porządku, a John Constable odpędził ich kijem. Gdy zapanował spokój, Richard wstał.

- Szalona Neli, uznaję cię za winną grzechu herfeji - oznajmił. - Zostaniesz przywiązana do furmanki i przepędzona batem przez miasto, a następnie doprowadzona do miejsca zwanego Krzyżówką Szubieniczników. Tam zawieszysz za szyję na sznurze i umrzesz.

Tłum ryknął z radości. Caris odwróciła się z odrazą. Jeśli taka jest sprawiedliwość, to żadna kobieta nie może czuć się bezpieczna. Z błyskiem w oku spojrzała na Merthina, który czekał na nią cierpliwie.

- No dobrze - rzuciła z gniewem. - W czym rzecz?

- Przestało padać - stwierdził Merthin. - Chodźmy nad rzekę.

W klasztorze znajdowała się niewielka stadnina koni przeznaczonych dla starszych mnichów i zakonnic, a także kilka podwózków do przewożenia towarów. Trzymano je wraz z wierzchowcami zamożnych gości w kamiennej stajni mieszczącej się przy południowym końcu terenu otaczającego katedrę. W pobliżu był także ogród warzywny, który nawożono słomą ze stajni.

Ralph wraz z resztą orszaku hrabiego Rolanda stał na podwórzu przed stajnią. Konie były osiodłane, jeźdźcy mieli za chwilę wyruszyć w dwudniową drogę powrotną do siedziby Rolanda w Earlscastle nieopodal Shiring. Czekano jedynie na hrabiego.

Ralph trzymał wodze swojego konia imieniem Gryf i rozmawiał z rodzicami.

- Nie wiem, dlaczego Stephena mianowano lordem Wigleigh, a ja nie dostałem nic - mówił. - Jesteśmy w tym samym wieku, a on nie przewyższa mnie wjeździe konnej, w zapasach czy szermierce.

Ilekcję się spotykali, sir Gerald z nadzieją zadawał synowi to samo pytanie, a Ralph musiał mu udzielać tej samej niezadowolającej odpowiedzi. Chłopak znosiłby lepiej swoje rozczarowanie, gdyby ojciec tak bardzo nie pragnął jego awansu.

Gryf był młodym koniem do polowania; zwykły giermek nie zasługiwał na drogiego wierzchowca bojowego. Mimo to Ralph go lubił. Koń reagował znakomicie na komendy jeźdźcy.

- Spokojnie, kochany - mruknął Ralph do jego ucha. - Niebawem rozprostujesz nogi.

Koń uspokoił się, słysząc głos pana.

- Nie wolno ci przegapić żadnej okazji, by przypodobać się hrabiemu - napominał sir Gerald. - Wówczas będzie o tobie pamiętał, gdy znajdzie się wolne stanowisko.

Świetnie, pomyślał Ralph, ale prawdziwe okazje nadarzą się tylko w czasie bitwy. Do wojny było jednak bliżej niż przed tygodniem. Ralph nie uczestniczył w naradach hrabiego z wełniarzami, lecz domyślał się, że kupcy są skłonni udzielić pożyczki królowi Edwardowi. Chcieli, by król podjął zdecydowane działania przeciwko Francji w odwecie za napady Francuzów na południowe porty.

Ralph tymczasem marzył o tym, by się wyróżnić i przywrócić rodzinie honor, utracony przed

dziesięcioma laty. Chciał to uczynić nie tylko dla ojca, lecz także, by zaspokoić własną dumę.

Gryf stukał kopytami i rzucał głową. By wierzchowiec się uspokoił, Ralph zaczął go prowadzić w jedną i drugą stronę. Ojciec towarzyszył synowi, a matka stała z boku, martwiąc się złamanym nosem Ralpa.

Przeszli obok lady Philippy, która mocną ręką trzymała narowistego rumaka, rozmawiając jednocześnie z mężem, lordem Williamem. Miała na sobie obcisłą suknię, odpowiednią do długiej jazdy, lecz zarazem podkreślającą jej pełny biust i długie nogi. Ralph nigdy nie przegapił okazji, by ją zagadnąć, ale nic nie wskórał; dla Philippy był zaledwie giermkim z orszaku teścia, odzywała się do niego tylko w razie konieczności.

Uśmiechnęła się do męża i klepnęła go wierzchem dłoni w klatkę piersiową w geście żartobliwej reprimendy. Ralpa ogarnęła złość. Dlaczego to nie z nim żartuje w tak intymny sposób? Na pewno by się nie wzbraniała, gdyby miał, tak jak William, we władaniu czterdzieści wsi.

Poczuł, że w jego życiu nie ma niczego poza aspiracjami. Kiedy wreszcie coś osiągnie? Dotarł do końca podwórza i ruszył z powrotem.

Zauważył jednorękiego mnicha, który wyszedł z kuchni i zaczął przemierzać dziedziniec. Wydał mu się znajomy. Po chwili przypomniał sobie, skąd zna tę twarz. Był to Thomas Langley, rycerz, który dziesięć lat temu położył w lesie trupem zbrojnego mężczyznę. Ralph nigdy go od tamtego dnia nie widział. Za to jego brat Merthin spotykał go często, gdyż przemieniony w mnicha rycerz nadzorował remonty budynków klasztornych.

Thomas nosił teraz szary habit zamiast pięknych szat rycerza, a jego głowa ogolona była w charakterystyczną dla mnichów tonsurę. Nabral nieco ciała, lecz wciąż poruszał się jak wojownik.

- Oto i on, tajemniczy mnich - rzekł mimochodem Ralph do lorda Williama.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał ostrym tonem William.
- Brat Thomas był kiedyś rycerzem i nikt nie wie, dlaczego wstąpił do klasztoru.
- A co ty, u licha, o nim wiesz?

William okazywał gniew, chociaż Ralph nie powiedział niczego obraźliwego. Może był w złym nastroju, mimo czułych uśmiechów pięknej żony. Ralph pożałował, że zaczął tę rozmowę.

- Byłem tutaj w dniu jego przybycia do Kingsbridge - odparł, po czym zawahał się, pomny złożonej wtedy przysięgi. Tylko to oraz niewytłumaczalna irytacja Williama sprawiły, że nie powiedział wszystkiego. - Ledwo trzymał się na nogach, krwawiąc z rany. Chłopcy zapamiętują takie rzeczy.

- To dziwne - rzekła Philippa, spoglądając na męża. - Znasz historię brata Thomasa?
- Ależ skąd - warknął William. - Skąd miałbym ją znać? Philippa wzruszyła ramionami i

odwróciła się.

Ralph odszedł, rad, że oddała się od rozmówcy.

- Lord William kłamie - powiedział cicho do ojca. - Ciekawe dlaczego?

- Nie pytaj więcej o tego mnicha - doradził zatroskanym tonem ojciec. - Sam widzisz, że to drażliwy temat.

Na podwórzu zjawiał się hrabia Roland w towarzystwie opata. Rycerze i giermkowie dosiedli koni. Ralph ucałował rodziców i wskoczył na siodło. Gryf zaczął tańczyć, ciesząc się, że zaraz pobiegnie. Ruch sprawił, że złamany nos Ralpha zaczął boleśnie piec. Giermek mógł tylko zacisnąć zęby i cierpieć.

Roland podszedł do swojego wierzchowca imieniem Victory. Był to czarny ogier z białą łatą na oku. Hrabia nie dosiadł go, tylko chwycił uzdę i ruszył pieszo, wciąż rozmawiając z opatem.

- Sir Stephenie Wigleigh i Ralphie Fitzgeraldzie! - zawołał William. - Pojedźcie przodem i usuńcie wszystkich z mostu.

Ralph i Stephen popędzili konie. Trawa wokół katedry była zdeptana, a ziemia błotnista po targach. Na kilku straganach jeszcze handlowano, lecz większość budek była już zamknięta. Jeźdźcy minęli bramę klasztoru.

Na głównej ulicy Ralph zauważył chłopaka, który złamał mu nos. Wulfric pochodził z należącej do Stephena wioski Wigleigh. Lewa strona jego twarzy, w którą Ralph zadał wiele ciosów, była napuchnięta i posiniaczona. Wulfric stał przed karczmą Bella razem z ojcem, matką i bratem. Zbierali się do odjazdu.

Módl się, żebym więcej nie spotkał cię na swej drodze, pomyślał Ralph.

Próbował wymyślić jakiś obelżywy okrzyk, lecz jego uwagę zwróciło zachowanie tłumu.

Na tonącej w błocie głównej ulicy jeźdźcy ujrzeli przed sobą liczną grupę ludzi. W połowie podjazdu musieli się zatrzymać.

Setki mężczyzn, kobiet i dzieci przepychało się, śmiało i krzyczało. Wszyscy byli odwrócenii plecami do Ralpha, który spojrzał ponad ich głowami.

Na czele tej rozwrzeszczanej procesji jechał wóz ciągnięty przez wołu. Za wozem, przywiązana do niego, szła półnaga kobieta. Ralph znał takie widowiska; przepędzanie przez miasto było pospolitą karą. Kobieta miała na sobie tylko spódnicę z szorstkiej wełny, związaną w pasie sznurem. Jej twarz i włosy były brudne, pomyślał więc, że to jakaś staruszka. Potem zobaczył jej piersi i uświadomił sobie, że ma dwadzieścia kilka lat.

Miała skrępowane ręce, przywiązane tym samym kawałkiem liny do tyłu wozu. Potykała się i

upadała, a wtedy wóz włókł ją przez błoto, dopóki nie zdołała znów stanąć na nogi. Porządkowy podążał za nią, raz po raz smagając jej plecy skórzanym batem.

Thum, na którego czele szło kilku wyrostków, krzyczał na kobietę, śmiał się, lżył ją i obrzucał błotem i śmieciem. Ku uciesze gawiedzi kobieta odpowiadała przekleństwami, plując na każdego, kto się do niej zbliżył.

Ralph i Stephen popędzili konie i wjechali w motłoch.

- Z drogi! - krzyknął Ralph na cały głos. - Zrobić przejazd dla hrabiego! Stephen przyłączył się do jego ponagleń.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

I|:

Na południe od klasztoru teren opadał stromo ku rzece. Skalisty brzeg nie pozwalał na załadunek tratw, toteż nabrzeża znajdowały się w południowym przedmieściu, zwanym Nowym Miastem. Nad rzeką w spokojniejszej północnej części miasta o tej porze roku kwitły krzewy i dzikie kwiaty. Merthin i Caris usiedli na niewielkim wzniesieniu tuż nad wodą.

Rzeka wezbrała po opadach deszczu. Merthin zauważył, że nurt jest bardziej wartki niż kiedyś. Wiedział także, dlaczego tak się dzieje: koryto zrobiło się węższe z powodu zmiany linii brzegowej. Kiedy był dzieckiem, południowy brzeg rzeki w większej części był szeroką błotnistą plażą, za którą rozciągało się bagniste pole. Wówczas rzeka toczyła statecznie swe wody; jako chłopiec Merthin mógł przepłynąć spokojnie na plecach z jednego brzegu na drugi. Jednak nowe nabrzeża, chronione przed zalaniem kamiennymi murami, wpychały tę samą ilość wody do węższego kanału. Woda pędziła, jak gdyby spieszno jej było minąć most. Za mostem znów się rozszerzała i zwalniała bieg koło Wyspy Trędowatych.

- Popełniłem straszny czyn - wyznał Merthin.

Na jego nieszczęście Caris wyglądała tego dnia szczególnie pociągająco. Miała na sobie ciemnoczerwoną lnianą suknię, a jej skóra zdawała się pulsować życiem. W czasie procesu Szalonej Neli rozzłościła się, lecz teraz była tylko zmartwiona i smutna. Chwyciło to Merthina za serce. Bez wątplenia zauważyła, że przez cały tydzień unikał jej wzroku. Jednak na pewno nie wyobrażała sobie, że powie jej coś tak okropnego.

Merthin nie rozmawiał z nikim o kłótni z Griseldą, Elfrikiem i Alice. Nikt nie wiedział nawet o tym, że wyrzeźbione przez niego drzwi zostały porąbane. Bardzo chciał to z siebie wyrzucić, lecz się hamował. Wolał nie rozmawiać z rodzicami, bo matka oceniłaby go surowo, a ojciec po prostu kazałby mu postąpić jak mężczyzna. Mógł pomówić z Ralphem, ale od bójki z Wulrrikiem ich stosunki się ochłodziły: Merthin uważał, że brat postąpił jak łotr, a Ralph zdawał sobie z tego sprawę.

Bał się powiedzieć Caris prawdę. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego się lęka. Nie bał się

tego, co Caris uczyni. Zruga go - była w tym niezrównana - ale nie może powiedzieć nic, czego on sam bez przerwy sobie nie powtarzał.

Nagle pojął, że naprawdę boi się tylko tego, że ją zrani. Mógł znieść gniew Caris, lecz o wiele gorszy był jej ból.

- Kochasz mnie jeszcze?

Merthin nie spodziewał się, że usłyszy to pytanie, lecz odpowiedział bez wahania:

- Tak.

- Ja też cię kocham. Możemy pokonać wspólnie wszystkie przeciwności. Obyś miała rację, pomyślał Merthin. Pragnął tego tak bardzo, że łzy napłynęły mu do oczu. Odwrócił głowę, żeby Caris ich nie zobaczyła. Na moście pojawił się zbity tłum, posuwający się w ślad za wolno jadącym wozem. Merthin odgadł, że prowadzą Szaloną Neli do szubienicy przy Krzyżówce Szubieniczników w Nowym Mieście. Most był już zapchany wozami kupców wyjeżdżających z miasta po targu.

- Co się stało? - zapytała Caris. - Ty płaczesz?

- Poszedłem do łóżka z Griseldą - oznajmił nagle Merthin. Caris otworzyła usta ze zdumienia.

- Z Griseldą? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak mi wstyd.

- Myślałam, że chodzi o Elizabeth Clerk.

- Ona jest zbyt dumna, żeby się komuś oddać. Reakcja Caris zaskoczyła Merthina.

- Ach tak, więc z nią też byś to zrobił, gdyby ci zaproponowała?

- Nie to chciałem powiedzieć!

- Z Griseldą! Matko święta, myślałam, że jestem więcej warta.

- Bo jesteś.

- Lupa - syknęła Caris, używając łacińskiego słowa oznaczającego dziwkę.

- Ja jej nawet nie lubię. To było okropne.

- Czy to ma mi poprawić nastrój? Chcesz powiedzieć, że żałowałbyś mniej, gdyby ci się spodobało?

- Nie! - wykrzyknął Merthin. Caris odczytywała na opak wszystko, co powiedział.

- Co w ciebie wstąpiło?

- Ona płakała.

- Na miłość boską! Robisz to z każdą dziewczyną, która roni łzy?

- Ależ oczywiście, że nie! Próbuję ci wyjaśnić, jak do tego doszło, mimo że wcale nie chciałem.

Z każdym jego słowem Caris traktowała go surowiej.

- Nie pleć głupstw. Gdybyś nie chciał, nie zrobiłbyś tego.

- Posłuchaj mnie, proszę. Ona zaproponowała, a ja odmówiłem. Potem zaczęła płakać, więc objąłem ją, żeby pocieszyć, i wtedy...

- Och, oszczędź mi szczegółów, nie chcę wiedzieć.

Merthin zaczął odczuwać irytację. Wiedział, że postąpił źle, i spodziewał się gniewu Caris, lecz jej pogardliwe słowa go dotknęły.

- Jak chcesz - mruknął, po czym zamilkł.

Lecz Caris nie chciała milczenia. Przyglądała mu się z niesmakiem.

- Co jeszcze?

Merthin wzruszył ramionami.

- Po co mam mówić? Ty i tak ze wszystkiego drwisz.

- Nie chcę słuchać żalonych wymówek. Ale jest coś, o czym mi jeszcze nie powiedziałeś, czuję to.

- Ona jest w ciąży - odparł z westchnieniem Merthin.

Reakcja Caris znowu go zaskoczyła. Gniew znikł, skóra na twarzy dziewczyny, aż do tej chwili napięta w złości, jakby zwiotczała. Pozostał tylko smutek.

- Griselda urodzi twoje dziecko.

- To nie musi się zdarzyć - zaczął Merthin. - Czasem... Caris pokręciła głową.

- Griselda jest zdrową dziewczyną, dobrze odżywioną. Nie widzę powodu, dla którego miałyby poronić.

- Nie chciałbym tego - rzekł Merthin, choć nie był pewien, czy mówi prawdę.

- Co zrobisz? To będzie twoje dziecko. Będziesz je kochał, nawet jeśli nie znosisz matki.

- Muszę się z nią ożenić.

Caris otworzyła usta ze zdumienia.

- Ależ ślub bierze się na zawsze!

- Spłodziłem dziecko, muszę wziąć za nie odpowiedzialność.

- Będziesz musiał do końca życia zostać z Griselda!

- Wiem.

- Nie musisz tego robić - stwierdziła kategorycznie Caris. - Pomyśl. Ojciec Elizabeth Clark nie ożenił się z jej matką.

- On był biskupem.

- Maud Roberts z ulicy rzeźników ma troje dzieci i wszyscy wiedzą, że ich ojcem jest Edward

Butcher *[* Butcher (ang.) - rzeźnik.].

- On jest już żonaty i ma czworo dzieci z żoną.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie mogą cię zmusić do ślubu. Może pozostać tak, jak jest.

- Nie może. Elfric by mnie wyrzucił.

Caris się zamyśliła.

- A więc rozmawiałeś już z Elfrikiem?

- Rozmawiałem? - Merthin dotknął posiniaczonego policzka. - O mało mnie nie zabił.

- A jego żona, moja siostra?

- Wrzeszczała na mnie.

- To znaczy, że też wie.

- Powiedziała, że muszę się ożenić z Griselda. Ona i tak nie chciała, żebym był z tobą. Nie wiem dlaczego.

- Chciała cię dla siebie - mruknęła Caris.

To było dla Merthina coś nowego. Wydało mu się nieprawdopodobne, żeby wyniosła Alice czuła coś do skromnego czeladnika.

- Nie zauważyłem niczego, co by o tym świadczyło.

- Bo nigdy na nią nie patrzyłeś. Właśnie dlatego jest taka zła. Z tej złości wyszła za Elfrica. Złamałeś serce mojej siostrze, a teraz łamiesz moje.

Merthin odwrócił głowę. Nie widział w sobie kogoś, kto łamie kobiece serca. Jak mogło do tego dojść? Caris zamilkła. Merthin spoglądał pośpiesznie na rzekę i most.

Ludzie i wozy zgromadzone na moście stanęli unieruchomieni. Po południowej stronie przeprawy utknął wóz załadowany po brzegi wełną; pewnie pękło koło. Furmanka ciągnąca Neli też musiała się zatrzymać. Gawieź otoczyła obydwie podwozy, niektórzy wskakiwali na worki z wełną, żeby lepiej widzieć. Hrabia Roland usiłował wyjechać z miasta. Czekał przed mostem, siedząc na koniu, w otoczeniu świty, a jego giermkowie z trudem zmuszali ludzi do usunięcia się z drogi.

Merthin dostrzegł swojego brata Ralpa na kasztanku z czarną grzywą i ogonem. Przeor Anthony, który odprowadzał hrabiego, stał ze splecionymi rękami, wyraźnie zaniepokojony. Ludzie Rolanda popędzali konie w tłum, bezskutecznie próbując zrobić przejście.

Intuicja podpowiedziała mu, że dzieje się coś złego, choć na razie nie umiał tego dokładnie określić. Przyjrzał się uważniej. W poniedziałek zauważył, że potężne dębowe dźwigary łączące podpory mostu wzdłuż popękały z jednej strony, i że belki zostały wzmocnione żelaznymi kłami przybitymi do belek w nadwerężonych miejscach. Merthin nie brał udziału w tej pracy i dlatego nie

miał okazji przyjrzeć się dokładniej szczegółom. W poniedziałek zachodził w głowę, dlaczego dźwigary pękają. Słabe miejsca nie pojawiły się w połowie długości, czego należało oczekiwać, gdyby przyczyną było osłabienie drewna za sprawą upływu czasu. Szpary pokazały się w okolicy środkowego filara, gdzie nacisk powinien być słabszy.

Merthin nie zastanawiał się nad tym od poniedziałku - zbyt wiele innych spraw miał na głowie - teraz jednak nasunęło mu się rozwiązanie tej zagadki. Wyglądało na to, że środkowy filar nie podpira belek, tylko ściąga je w dół. To oznaczało, że coś osłabiło podstawę, na której opierał się filar. Teraz już wiedział, jak mogło do tego dojść. Nurt rzeki, znacznie bystrzejszy niż kiedyś, wymył ziemię spod filara.

Jako dziecko chodził boso po piaszczystej plaży i zauważył, że gdy stanął na skraju wody, pozwalając jej obmywać stopy, fale wysysały piasek spod palców. To zjawisko zawsze go fascynowało.

Jeśli trafnie ocenił sytuację, to główny filar, który na niczym się już nie opierał, zwisał z mostu, powodując pęknięcie grubych belek. Założone przez Elfrica żelazne klamry nie pomogły, a wprost przeciwnie, mogły pogorszyć sprawę, utrudniając mostowi powolne osiadanie i osiągnięcie stabilnej pozycji.

Merthin domyślił się, że drugi filar z pary, stojący po przeciwnej stronie mostu, wciąż tkwi w ziemi. Siła prądu musiała skupiać się na pierwszym, drugi zaś nie był tak bardzo narażony na jej działanie. Cała konstrukcja była związana wystarczająco mocno, żeby się utrzymać - pod warunkiem że nie poddano jej nadmiernemu obciążeniu.

Jednakże pęknięcia wydawały się szersze niż w poniedziałek, kiedy Merthin je zauważył. Nietrudno było zgadnąć dlaczego. Na moście zgromadziły się setki ludzi, a oprócz nich stał na nim ciężki wóz pełen wełny, na którym usiadło jeszcze dwadzieścia lub trzydzieści osób.

Merthin poczuł strach w sercu. Stwierdził, że most nie wytrzyma długo takiego obciążenia.

Miał świadomość, że Caris coś mówi, lecz sens jej słów do niego nie docierał.

- Ty mnie nawet nie słuchasz! - zawołała.

- Za chwilę dojdzie do katastrofy.

- Co masz na myśli?

- Trzeba zabrać wszystkich z mostu.

- Oszalałeś? Ci ludzie są zajęci dręczeniem Szalonej Neli. Nawet hrabia Roland nie zdołał ich przepędzić. Nie posłuchają cię.

- Wydaje mi się, że most może runąć.

- Spójrz! - powiedziała Caris, wskazując ręką. - Widzisz? Ktoś biegnie drogą od strony lasu.

Zbliża się do mostu od południa.

Merthin nie bardzo wiedział, co to ma do rzeczy, lecz spojrział we wskazanym kierunku. I rzeczywiście dostrzegł młodą kobietę z rozwianymi włosami.

- Ona wygląda jak Gwenda - powiedziała Caris.

Do uciekinierki zbliżał się z tyłu mężczyzna w żółtej pelerynie.

Gwenda była tak zmęczona, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wiedziała, że aby pokonać jak najszybciej dużą odległość, trzeba przebiec dwadzieścia kroków, a następnych dwadzieścia przejść. Zaczęła tak robić przed kilkoma godzinami, gdy zobaczyła, że Sim Chapman jest o milę za nią. Na jakiś czas straciła go z oczu, lecz dotarłszy na szczyt następnego wzniesienia, zobaczyła, że Chapman również na przemian biegnie i idzie. Mijały godziny i zaczął stopniowo nadrabiać dystans. Przed południem zrozumiała, że w tym tempie dopędzi ją jeszcze przed Kingsbridge.

Zrozpaczona skręciła w las. Nie mogła jednak odejść daleko od traktu w obawie, że się zgubi. Po jakimś czasie usłyszała ciężkie kroki i oddech.

Wyjrawszy pomiędzy krzaków, zobaczyła przechodzącego Sima. Uzmysłowała sobie, że gdy tylko prześladowca dotrze do miejsca, z którego zobaczy więcej, odgadnie, co się stało. I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu, gdy ujrziała go znów, zmierzającego w przeciwną stronę.

Ruszyła, przedzierając się przez gąszcz i zatrzymując co kilka minut, żeby nasłuchiwać. Długo udawało jej się unikać pościgu, gdyż Chapman musiał przeszukiwać las po obu stronach. Lecz ona także posuwała się wolno, bo musiała przeciskać się przez bujne o tej porze roku zarośla i patrzeć, czy nie oddaliła się za bardzo od traktu.

Nagle dotarł do niej daleki zgiełk tłumu, wiedziała, że miasto musi być blisko, i pomyślała, że jednak zdoła wymknąć się prześladowcy. Podeszła bliżej traktu i ostrożnie wyjrzała zza krzewu. Na drodze nikogo nie było, a ćwierć mili dalej na północ wznosiła się wieża katedry.

Gwenda była prawie u celu.

Usłyszała dobrze znane szczeknięcie. Skip, jej pies, wyskoczył z krzaków po drugiej stronie drogi. Nachyliła się, żeby go poklepać. Skip machał radośnie ogonem i lizał ją po rękach. Łzy napłynęły jej do oczu.

Sima nie było widać, zaryzykowała więc i wyszła na drogę. Tak jak poprzednio, pokonywała dwadzieścia kroków biegiem i dwadzieścia marszem. Skip truchtał obok niej, myśląc, że to nowa zabawa. Ilekroć zmieniała tempo, oglądała się przez ramię. Za trzecim razem zobaczyła Sima.

Był zaledwie sto jardów za nią.

Zalała ją fala rozpacz. Miała ochotę położyć się i uruffteć. Ale dotarła już do przedmieścia i

do mostu została zaledwie mila. Zmusiła się, by iść dalej.

Chciała pobiec z całych sił, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Stać ją było tylko na powolny trucht. Bolały ją stopy. Spojrzawszy w dół, zobaczyła, że z dziur w podartych butach sączy się krew. Na Krzyżówce Szubieniczników zerknęła na most i ujrzała na nim tłum ludzi. Wszyscy skupili na czymś uwagę i nikt nie widział, że Gwenda ucieka przed śmiertelnym zagrożeniem, a pościg jest tuż-tuż.

Nie miała innej broni oprócz noża, który nadawał się do krojenia mięsa, lecz nie unieszkodliwiłby dorosłego mężczyzny. Z całego serca żałowała, że nie zdobyła się na to, by wyciągnąć długi sztylet z czaszki Alwyna. Teraz była właściwie bezbronna.

Znalazła się między szeregiem malutkich chatynek biedoty, której nie stać było na mieszkanie w mieście, a pastwiskiem zwanym Polem Kochanków, należącym do opactwa. Sim znajdował się tak blisko, że słyszała jego chrapliwy oddech. Strach jeszcze raz dodał jej sił. Skip warczał, lecz było w tym więcej strachu niż groźby - nie zapomniał, że dostał od Chapmana kamieniem w nos.

By dostać się do mostu, trzeba było przejść przez lepkie błoto, udeptane stopami i kopytami i zryte koleinami. Gwenda rzuciła się przed siebie z nadzieją, że znacznie od niej cięższemu Simowi będzie jeszcze trudniej się przedrzeć.

Dotarła do mostu i wmieszała się w tłum, który po tej stronie nie był tak duży. Wszyscy patrzyli w stronę załadowanego wełną wozu, który zatarasował drogę furmance ciągniętej przez wołu. Gwenda musiała się dostać do domu Caris przy głównej ulicy, która była już prawie w zasięgu wzroku.

- Przepuście mnie! - krzyknęła, przeciskając się energicznie. Usłyszał ją tylko jeden człowiek. Gdy odwrócił głowę, zobaczyła, że to jej brat Philemon. Otworzył usta i spróbował się do niej przedostać, lecz nie było to możliwe w takim ścisku.

Gwenda spróbowała się przepchnąć obok pary wołów ciągnących furmankę, lecz jeden z nich zarzucił głową i ją uderzył. Straciła równowagę. W tej samej chwili poczuła na ręce uścisk mocnej dłoni i wiedziała, że cały jej wysiłek poszedł na marne.

- Mam cię, suko - wycharczał Sim. Przyciągnął do siebie Gwendę i z całej siły uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Nie miała siły z nim walczyć. Skip szczeakał na niego, skacząc u jego stóp. - Drugi raz mi się nie wymkniesz.

Gwendę ogarnęła rozpacz. Uwiedzenie Alwyna, zabicie go, wielomilowy bieg - wszystko to okazało się daremne. Znow była niewolnicą Sima. Nagle most się poruszył.

Całe podłoże po jednej stronie zapadło się niczym grzbiet konia, któremu pękł kark. Tłum pochłonięty dręczeniem Neli nagle poczuł, że powierzchnia mostu się chwieje. Ludzie zataczali się, szukając oparcia, łapiąc się tych, którzy byli najbliżej. Ktoś spadł tyłem przez barierkę, potem drugi i trzeci. Okrzyki i wyzwiska rzucane na Neli nagle utonęły we wrzaskach przerażenia.

- O nie! - jęknął Merthin.

- Co się dzieje?! - krzyknęła Caris.

Ludzie, wśród których się wychowaliśmy, kobiety, które były dla nas dobre, mężczyźni, których nienawidziliśmy, dzieci, które patrzyły na nas z podziwem, matki i synowie, wujkowie i siostrzenice, rzemieślnicy pastwiący się nad czeladnikami, zaprzysięgli wrogowie i namiętni kochankowie - wszyscy oni zginą, pomyślał Merthin, a słowa uwięzły mu w gardle.

Przez krótką chwilę, krótszą niż oddech, miał nadzieję, że konstrukcja ustabilizuje się w nowym położeniu i wytrzyma. Ale się zawiódł. Most ugiął się jeszcze bardziej. Tym razem łączenia belek zaczęły puszczać. Ułożone wzdłuż deski, na których stali ludzie, zeskokczyły z trzymających je drewnianych kołków. Poprzeczne belki podtrzymujące podłoże wyrwały się z zagłębień, żelazne klamry przybite przez Elfrica na pęknięciach odskoczyły od drewna.

Środkowa część mostu jakby skoczyła w stronę przeciwną do nurtu. Wóz z wełną przechylił się, gapie stojący i siedzący na workach z wełną zostali ciśnięci do rzeki. Ogromne belki pękały z trzaskiem i fruwały w powietrzu, zabijając każdego, kto znalazł się na ich drodze. Rachityczna barierka pękła i wóz zsunął się pomału z krawędzi, woły ze strachu opuściły łby. Wóz sunął wolno jak we śnie, a potem z głośnym hukiem uderzył w wodę. Nagle dziesiątki ludzi zaczęły spadać lub skakać w toń. Ci, którzy już unosili się na wodzie, byli bombardowani lecącymi z góry ciałami innych i mniejszymi lub większymi fragmentami drewna. Konie także spadały w nurt, z jeźdźcami lub bez nich, a podwoły zawały się na ich łby.

Merthin pomyślał najpierw o rodzicach: żadne z nich nie poszło na proces Szalonej Neli i z pewnością nie chcieli oglądać jej udreki. Matka uważała, że oglądanie takich widowisk jest poniżej jej godności, a ojciec nie był ciekaw, bo wszak stawką było jedynie życie obłąkanej kobiety. Oboje udali się do klasztoru, żeby pożegnać Ralpa.

Ale Ralph był na moście.

Merthin widział, jak jego brat stara się zapanować nad wierzchowcem, który wierzga i kopie przednimi kopytami.

- Ralph! - krzyknął niepotrzebnie Merthin. Nagle deski pod Gryfem pękły i wpadły do wody.

- Nie!

W tej samej chwili koń i jeździec zniknęli mu z pola widzenia.

Wzrok Merthina powędrował do drugiego krańca mostu, gdzie Caris wypatrzyła Gwendę. Dziewczyna wyrywała się mężczyźnie w żółtej tunice. Nagle i ta część mostu pękła i obie połowy zostały pociągnięte w dół przez zapadający się środek.

W nurcie rzeki szamotali się ludzie, przerażone konie, pływały strzaskane wozy i krwawiące ciała, tworząc splątana masę. Merthin zobaczył, że Caris pędzi brzegiem w stronę mostu, skacząc przez kamienieć ślizgając w błocie. Spojrzała przez ramię, wołając:

- Rusz się! Na co czekasz? Chodź mi pomóc!

Tak musi wyglądać pole bitwy, pomyślał Ralph: wrzaski, bezładna szamotanina, padający ludzie, konie oszalałe ze strachu. To była jego ostatnia myśl przed tym, jak grunt usunął mu się spod nóg.

Na krótką chwilę oładnęło nim przerażenie. Nie rozumiał, co się stało. Jeszcze przed momentem koń miał most pod kopytami, a teraz drewno przysło i Ralph razem z wierzchowcem spadał w przepaść. Nagle poczuł, że już nie ma pod sobą grzbietu konia. W następnej chwili uderzył w wodę.

Znalazł się pod powierzchnią i wstrzymał oddech. Już nie panikował. Czuł lęk, ale był spokojny. Jako dziecko bawił się w wodzie - ojciec miał w swoich włościach nadmorską wioskę - i wiedział, że się wynurzy, choć nie od razu. Grube podróżne ubranie, teraz nasiąknięte wodą, oraz miecz, ciągnęły go w dół. Gdyby był w zbroi, opadłby na dno i został tam na wieki. Nagle jego głowa znalazła się nad wodą i Ralph wciągnął gwałtownie powietrze.

W dzieciństwie sporo pływał, ale to było dawno temu. Mimo to pamiętał mniej więcej, jak się to robi, i zdołał utrzymać głowę nad powierzchnią. Zaczął machać rękami, kierując się w stronę brzegu. Tuż obok zobaczył brązową sierść i czarną grzywę Gryfa, który zmierzał w tym samym kierunku.

Nagle Ralph zauważył, że koń poczuł grunt pod kopytami. On też opuścił nogi i okazało się, że może stanąć. Zaczął brnąć po mierzwi. Grząskie błoto zdawało się wciągać go z powrotem w nurt. Gryf wspiął się na wąski pasek plaży biegnący wzdłuż muru opactwa. Ralph poszedł w jego ślady.

Odwrócił się i spojrzał na rzekę. W wodzie znajdowało się kilkuset ludzi; wielu z nich krwawiło, wielu krzyczało, wielu było martwych. Tuż przy brzegu zauważył mężczyznę w czerwono-czarnej liberii hrabiego Shiring, unoszącego się na powierzchni twarzą do dołu. Ralph wszedł do wody, złapał topielca za pas i wyciągnął na brzeg.

Przewrócił ciało na plecy i serce mu drgnęło. To był jego przyjaciel Stephen. Twarz nie nosiła śladów zranienia, lecz jego klatka piersiowa jakby się zapadła. W szeroko otwartych oczach nie było życia. Stephen nie oddychał. Ciało było tak zdeformowane, że Ralph nie odważył się dotknąć piersi, by wyczuć bicie serca. Jeszcze przed kilkoma minutami mu zazdrościłem, a teraz to ja mogę się

uważać za szczęściarza, pomyślał.

Targany nieuzasadnionym poczuciem winy, zamknął przyjacielowi oczy. Pomyślał o rodzicach, z którymi rozstał się parę minut temu na podwórzu przed stajnią. Nawet jeśli za nim poszli, nie zdołali dotrzeć do mostu. Na pewno nic im nie grozi.

Gdzie jest lady Philippa? Ralph cofnął się myślą do chwili tuż przed zawaleniem mostu. Lord William i Philippa znajdowali się na końcu orszaku i nie zdążyli wjechać na most.

Ale hrabia już na nim był.

Ralph pamiętał dokładnie tę scenę. Roland jechał tuż za nim, niecierpliwie prowadząc wierzchowca w lukę w tłumie, którą zdołał stworzyć giermek. Musiał runąć do rzeki niedaleko od Ralpa.

Młodzieniec przypomniał sobie słowa ojca: „Nie wolno ci przegapić żadnej okazji, by przypodobać się hrabiemu”. Może właśnie nadarza się szansa, pomyślał z ożywieniem. Być może nie trzeba będzie czekać na wojnę. Dzisiaj się wyróżnię, uratuję hrabiego albo chociaż jego wierzchowca.

Ta myśl dodała mu wigoru. Spojrzał na rzekę. Hrabia miał na sobie jaskrawą purpurową tunikę i czarny zamszowy kaftan. Trudno jednak było dostrzec pojedynczą osobę w pulsującej masie żywych i martwych ludzi. Nagle Ralph zobaczył czarnego ogiera z charakterystyczną białą łatką na jednym oku i jego serce drgnęło: to był Victory, wierzchowiec hrabiego. Koń szarpał się w wodzie, nie mogąc płynąć prosto; prawdopodobnie złamał jedną nogę lub więcej.

Obok niego unosila się na wodzie rosła postać w purpurowej tunice.

Na ten moment czekał Ralph.

Zrzucił wierzchnie odzienie, które utrudniłoby mu poruszanie się w wodzie. W samej bieliźnie wskoczył do rzeki i podpłynął do hrabiego. Musiał przepychać się przez zbitą masę mężczyzn, kobiet i dzieci. Wielu łapało go rozpaczliwie, opóźniając posuwanie się naprzód. Odpędzał ich bez litości, rozdając razy.

Wreszcie dotarł do czarnego ogiera, który coraz bardziej słabł. Znieruchomiał na chwilę i zaczął się zanurzać, lecz gdy jego głowa znikła niemal całkowicie pod powierzchnią, znów podjął walkę.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział mu do ucha Ralph, choć był pewien, że zwierzę utonie.

Roland unosił się na wodzie na wznak, z zamkniętymi oczami. Był nieprzytomny albo martwy. Tylko jedna noga, która uwięzła w strzemienu, trzymała go na powierzchni. Stracił czapkę, a czubek jego głowy był cały we krwi. Ralph nie wierzył, by człowiek zdołał przeżyć z tak głęboką raną. Mimo to postanowił hrabiego uratować. Nawet jeśli Roland nie żyje i zdoła wywlec na brzeg

jego zwłoki, czeka go za to nagroda.

Spróbował wyciągnąć stopę hrabiego ze strzemienia, lecz skórzany pasek owinął się wokół kostki. Sięgnął po nóż i w tej samej chwili przypomniał sobie, że jest przy pasie, który został na brzegu z resztą ubrania. Jednak Roland był uzbrojony. Ralph poszukał jego sztyletu.

Konwulsje wierzchowca utrudniały Ralphowi przecięcie skózanego paska strzemienia. Ilekroć udało mu się go uchwycić, umierający koń wyszarpywał mu go z ręki, zanim Ralph zdążył przyłożyć ostrze. Podczas tej samotności zranił się w rękę. W końcu jednak zaparł się obiema nogami o bok konia i zdołał przeciąć pasek.

Musiał jeszcze wyciągnąć nieprzytomnego Rolanda na brzeg. Nie był dobrym pływakiem, a poza tym już dyszał ze zmęczenia. Co gorsza, nie mógł oddychać przez złamany nos, więc woda raz po raz zatykała mu usta. Znieruchomiał na chwilę, opierając się całym ciężarem o ogiera hrabiego, który i tak nie miał szans. Jednakże ciało Rolanda, pozbawione oparcia, zaczęło tonąć. Ralph uświadomił sobie, że nie może czekać.

Złapał hrabiego prawą ręką za kostkę i zaczął płynąć ku brzegowi. Trudniej mu było utrzymywać głowę nad powierzchnią, kiedy mógł poruszać tylko jedną wolną ręką. Nie oglądał się na Rolanda; nawet jeśli głowa hrabiego poszła pod wodę, nie mógł temu zaradzić. Po kilku sekundach zaczęło brakować mu tchu, poczuł ból w kończynach.

Nie znał tego uczucia. Był młody i silny, całe życie spędził na polowaniach, zapasach i szermierce. Potrafił jechać konno przez cały dzień, a wieczorem stanąć do zapasów i wygrać. Teraz jednak wszystko zależało od mięśni, których nie używał. Szyja bolała go od utrzymywania głowy nad powierzchnią. Woda zalewała mu usta, krztusił się więc i kaszlał. Gorączkowo wymachiwał lewą ręką, z trudem utrzymując się na powierzchni. Jednocześnie holował masywne ciało Rolanda, obciążone dodatkowo nasiąkniętym wodą ubraniem. Zbliżał się do brzegu nieznośnie wolno.

W końcu zdołał wymacać stopami dno rzeki. Łykając haustami powietrze, jął brodzić, ciągnąc za sobą Rolanda. Gdy woda sięgała mu do połowy ud, odwrócił się, wziął hrabiego na ręce i wyniósł na brzeg.

Ułożył go na ziemi i wycieńczony osunął się tuż obok. Resztką siły uniósł rękę i położył dłoń na klatce piersiowej topielca. Wyczuł mocne bicie serca.

Hrabia Roland żył.

! > !
!!

Kiedy most runął, Gwendę sparaliżował strach. Po ułamku sekundy wpadła do zimnej wody i odzyskała trzeźwość myślenia.

Wynurzywszy głowę nad powierzchnię, zobaczyła, że jest ze wszystkich stron otoczona przez

szarpiących się, wrzeszczących ludzi. Niektórzy łapali się kawałków belek, a inni usiłowali się ratować, opierając się na sąsiadach. Wpychali ich pod wodę, ci zaś walili ich pięściami, żeby się uwolnić. Wiele ciosów chybiało, a jeśli trafiały w cel, to uderzony odpowiadał tym samym. Było jak przed karczmą w Kingsbridge o północy. Widowisko byłoby komiczne, gdyby nie ginęli ludzie.

Gwenda zaczerpnęła powietrza i poszła pod wodę. Nie umiała pływać.

Wynurzyła się ponownie. Przeżona zobaczyła przed sobą Sima Chapmana, który wyrzucał wodę z ust niczym fontanna. Zaczął tonąć, bo też nie umiał pływać. W desperacji złapał Gwendę za rękę, usiłując się na niej oprzeć. Dziewczyna znów znalazła się pod wodą. Widząc, że marna z niej podpora, Sim ją puścił.

Wstrzymując oddech i zmagając się ze strachem, Gwenda pomyślała: Nie mogę teraz utonąć, po tym, co przeszłam.

Przy trzecim wynurzeniu poczuła, że odpycha ją jakieś masywne ciało. Kątem oka zobaczyła, że jest to wół, który potracił ją głową tuż przed zawaleniem się mostu. Zwierzę nie było ranne i pewnie płynęło przed siebie. Machając nogami, Gwenda wyciągnęła rękę i zdołała sięgnąć rogu wołu. Pociągnęła go w bok, lecz w następnej chwili potężna szyja się wyprostowała.

Gwendzie udało się nie puścić rogu.

Tuż obok ukazał się Skip, który szczeknął z radości na widok pani. Płynął bez najmniejszego wysiłku.

Wół kierował się w stronę brzegu, na którym leżało przedmieście Kingsbridge. Gwenda nie puszczała rogu, mimo że ręka bolała ją tak, jakby za chwilę miała odpaść.

Ktoś ją złapał, a gdy spojrzała przez ramię, znów ujrzała głowę Sima. Wciągał ją pod wodę, usiłując utrzymać się na powierzchni. Nie puszczać rogu, odepchnęła prześladowcę wolną ręką. Jego głowa znalazła się w pobliżu nóg Gwendy. Wycelowała starannie i z całej siły kopnęła go w twarz. Chapman wrzasnął z bólu, lecz wnet zamilkł, gdy jego głowa znikła pod powierzchnią.

Wół poczuł grunt pod racicami i wspiął się na brzeg, chlapiąc wodą i parskając. Gwenda puściła jego róg, gdy tylko udało jej się stanąć na własnych nogach.

Skip warknął gniewnie i Gwenda się rozejrzała. Sima nie było na brzegu. Dziewczyna popatrzyła na wodę, szukając wśród ciał i kawałków drewna jasnożółtej peleryny.

Sim trzymał się deski i zbliżał się do brzegu, kopiąc nogami. Płynął prosto w stronę Gwendy.

Dziewczyna nie mogła uciekać. Nie miała sił, a jej sukienka była ciężka od wody. Po tej stronie rzeki nie było miejsca, w którym można się skryć. Most nie istniał, więc nie było jak przedostać się do Kingsbridge.

Gwenda nie zamierzała znowu wpaść w łapy Chapmana.

Widziała, że wróg z trudem unosi się na wodzie, i to dało jej nadzieję. Deska by go utrzymała, gdyby się nie ruszał, ale on machał nogami, chcąc dostać się na brzeg. Wpychał drewno pod wodę, żeby się unieść, potem machał nogami i jego głowa znów znikła w nurcie. Wcale nie było pewne, czy Simowi się uda.

Gwenda uświadomiła sobie, że może mu to udaremnić.

Rozejrzała się szybko. Na wodzie kołysało się mnóstwo kawałków drewna, od ogromnych bali po drobne odpryski. Jej wzrok spoczął na solidnym paliku długości jarda. Weszła do wody, wyłoniła go i ruszyła na spotkanie swojego właściciela.

Widok strachu w jego oczach sprawił jej ogromną satysfakcję.

Sim przestał wierzczać nogami. Przed nim stała kobieta, którą próbował zniewolić: dysząca gniewem, zdeterminowana i uzbrojona w groźną pałkę. Za nim była zabójcza toń.

Popłynął naprzód.

Stojąc po pas w wodzie, Gwenda czekała na dogodny moment.

Sim znów się zatrzymał; z jego ruchów Gwenda odgadła, że szuka stopami gruntu.

Teraz albo nigdy.

Uniósłszy pałkę, dała krok do przodu. Sim zobaczył, co się święci, i spróbował zrobić unik, ale nie było to łatwe, bo ani płynął, ani szedł. Gwenda z całej siły rąbnęła go pałką w czubek głowy.

Sim przewrócił oczami, jego ciało zwiotczało.

Gwenda złapała go za pelerynę. Nie mogła pozwolić, by odpłynął, unosząc się na wodzie, gdyż w ten sposób mógłby przeżyć. Przyciągnęła go do siebie, złapała jego głowę w obie dłonie i wepchnęła pod wodę.

Utrzymanie go pod powierzchnią okazało się trudniejsze, niż myślała, mimo że Sim był nieprzytomny. Jego tłuste włosy ślizgały jej się w rękach. Musiała chwycić głowę pod ramię i oderwać stopy od dna, by przycisnąć go ciężarem własnego ciała.

Poczuła, że może jej się udać. Jak długo trzeba topić człowieka? Nie miała pojęcia. Jego płuca na pewno już wypełniają się wodą. Skąd będzie wiedziała, kiedy go puścić?

Nagle Sim drgnął. Gwenda mocniej ścisnęła jego głowę. Nie miała pewności, czy odzyskał przytomność, czy też jego ciałem wstrząsają przedśmiertne konwulsje. Drgawki były silne, ale chaotyczne. Stopy Gwendy opadły na dno, stanęła pewniej i nadal trzymała głowę Sima.

Rozejrzała się. Nikt na nianie patrzył, wszyscy byli zaabsorbowani ratowaniem samych siebie.

Po dłuższej chwili ruchy Sima osłabły, a później całkowicie znikły. Gwenda rozluźniła ręce. Chapman opadł powoli na dno.

I już się nie ocknął.

Dysząc chrapliwie, Gwenda doczłapała do brzegu i usiadła ciężko na błotnistej ziemi. Sięgnęła ręką do paska; sakiewka była na miejscu. Banici nie zdążyli jej obrabować, a ona zdołała zachować swoją własność mimo licznych perypetii.

W mieszkku spoczywał cenny napój miłosny przyrządzony przez Mattie Wise ** Wise (ang.) - mądry.]. Otworzyła go, żeby spojrzeć na fiolkę, i zobaczyła tylko strzaskane kawałki naczynia. Fiolka się potłukła. Z oczu Gwendy popłynęły łzy.

Pierwszą osobą robiącą coś sensownego, którą zobaczyła Caris, był brat Merthina, Ralph. Nie miał na sobie nic prócz przemoczonej bielizny. Nie był ranny, miał tylko czerwony i opuchnięty nos, lecz tej kontuzji nabawił się wcześniej. Wyciągnął z wody hrabiego Shiring i położył go na brzegu obok młodego mężczyzny odzianego w liberię w hrabiowskich barwach. Hrabia miał poważną ranę głowy. Zmęczony jego ratowaniem Ralph nie wiedział, co robić. Caris zastanawiała się, co mu powiedzieć.

Rozejrzała się. Po stronie rzeki, na której się znajdowała, brzeg stanowiły małe błotniste plaże, porozdzielane kamienistymi występami. Nie było tam zbyt dużo miejsca, by położyć zmarłych i rannych; trzeba ich będzie zabrać gdzieś indziej.

Nieopodal spostrzegła kamienne schody prowadzące od brzegu rzeki do furtki w murze klasztoru. Caris podjęła decyzję.

- Zanieś hrabiego do klasztoru tymi schodami - powiedziała, wskazując drogę. - Połóż go ostrożnie w katedrze i biegnij do szpitala. Pierwszej zakonnicy, którą zobaczysz, powiedz, żeby natychmiast sprowadziła matkę Cecilię.

Ralph ucieszył się, że znalazł się ktoś, kto powie mu, co ma robić. Bez wahania spełnił polecenie.

Merthin zaczął wchodzić do wody, lecz Caris go powstrzymała.

- Spójrz tylko na tych idiotów - rzekła, wskazując resztki mostu od strony miasta. Dziesiątki ludzi stały tam, gapiąc się bezmyślnie na miejsce katastrofy. - Zwołaj wszystkich silnych mężczyzn, niech tu przyjdą i wyciągają rannych z wody. Później niech zanoszą ich do katedry.

- Nie da się przejść stamtąd tutaj - zauważył Merthin.

Caris przyznała mu rację. Mężczyźni musieliby przeskakiwać po szczątkach mostu i w ten sposób mogliby kogoś zranić. Jednak domy po tej stronie głównej ulicy miasta miały ogrody przylegające do murów opactwa, a w murze ogrodu domu Bena Wheelera, na rogu, były drzwiczki, którymi właściciel mógł schodzić do rzeki prosto z ogrodu.

Merthin pomyślał o tym samym.

- Przeprowadzę ich przez dom Bena i podwórko.

- Słusznie.

Chłopiec przeszedł po kamieniach, otworzył drzwiczki i zniknął. Caris spojrzała na wodę. Jakaś wysoka postać wspięła się na brzeg. Dziewczyna rozpoznała Philemona.

- Widziałaś Gwendę? - zapytał, z trudem łapiąc oddech.

- Tak, tuż przed zawaleniem się mostu - odparła Caris. - Uciekała przed Simem Chapmanem.

- Wiem, ale gdzie jest teraz?

- Nie widzę jej. Najlepiej, jak zaczniesz wyciągać ludzi z wody.

- Chcę odnaleźć siostrę.

- Jeśli żyje, będzie wśród tych, którzy chcą się wydostać na brzeg.

- Racja - rzucił Philemon i skoczył do wody.

Caris martwiła się o swoją rodzinę, ale musiała myśleć o tym, jak pomóc ludziom. Obiecała sobie, że poszuka ojca, gdy tylko będzie to możliwe.

W furtce ukazał się Ben Wheeler, krępy mężczyzna o szerokich barach i grubym karku. Był furmanem i szedł przez życie, używając mięśni, a nie mózgu. Podreptał nad brzeg i rozejrzał się, nie wiedząc, co robić.

U stóp Caris leżał jeden z ludzi hrabiego Rolanda, ubrany w czarno-czerwoną liberię. Wszystko wskazywało na to, że nie żyje.

- Ben, zanieś tego człowieka do katedry.

Pojawiła się żona Bena, Lib, z niemowlęciem w ramionach. Była odrobinę bystrzejsza od męża.

- Czy nie powinniśmy wpierw zająć się żywymi? - zapytała.

- By wiedzieć, czy ktoś jest żywy, czy nie, musimy go wyciągnąć z wody. Nie możemy zostawiać ciał na brzegu, bo będą przeszkadzać ratownikom. Zanieś go do kościoła.

- Zrób to, Ben - rzekła Lib, przyznając rację Caris. Ben z łatwością dźwignął ciało. Caris pomyślała, że łatwiej będzie przenosić ciała na nosidłach, jakich używają murarze. Mnisi mogli się o nie postarać. Ale gdzie oni są? Caris kazała Ralphowi powiadomić matkę Cecilie o katastrofie, lecz jak dotąd nie pojawił się nikt z klasztoru. Rany trzeba będzie przemywać i opatrywać, przyda się każdy mnich i zakonnica. Należy wezwać Matthew Barbera, który umie nastawiać złamane kości. I Mattie Wise, żeby podawała rannym napoje uśmierzające ból. Caris powinna ogłosić alarm, lecz nie chciała opuszczać brzegu rzeki, dopóki nie zorganizuje akcji ratunkowej. Gdzie się podziewa Merthin?

Jakaś kobieta czołgała się do brzegu. Caris weszła do wody i pomogła jej wstać. Była to Griselda. Mokra sukienka przywarła do jej ciała, Caris widziała pełne piersi i krągłość ud.

- Nic ci się nie stało? - zapytała, pamiętając, że dziewczyna jest ciężarna.

- Chyba nie.

- Nie krwawisz?

- Nie.

- Bogu dzięki. - Caris rozejrzała się i ucieszyła na widok Merthina wychodzącego z ogrodu Wheelera na czele grupy mężczyzn; niektórzy byli ubrani w liberie w barwach hrabiego. - Weź Griseldę pod rękę i pomóż jej wejść po schodach do klasztoru. Niech usiądzie i odpocznie. Nic jej się nie stało - dodała uspokajająco.

Merthin i Griselda zmierzli ją dziwnym spojrzeniem; dopiero wtedy uświadomiła sobie, w jak osobiwej sytuacji się znalazła. Wszyscy troje stali przez chwilę jak skamieniali: przyszła matka, ojciec dziecka i kobieta, która go kocha.

Caris odwróciła się, łamiąc zakłęcie, i zaczęła wydawać przybyłym polecenia.

Gwenda płakała przez chwilę, a potem przestała. W istocie to nie z powodu pękniętej fiołki szlochała. Mattie może sporządzić drugą porcję, a Caris za nią zapłaci. Pod warunkiem że obie żyją. Płakała z powodu tego, co przydarzyło jej się w ciągu ostatniej doby. Płakała nad zdradą ojca i swoim skrwawionym sercem.

Nie roniła łez z powodu dwóch mężczyzn, których pozbawiła życia. Sim i Alwyn chcieli z niej zrobić niewolnicę i prostytutkę. Zasłużyli na śmierć. Zabicie ich nie było nawet morderstwem, gdyż zgładzenia banity nie uważano za zbrodnię. Mimo to Gwenda nie mogła powstrzymać drżenia rąk. Radowała się z pokonania wrogów i odzyskania wolności, ale to, co musiała w tym celu zrobić, przyprawiało ją o mdłości. Nigdy nie zapomni drgawek Sima tuż przed śmiercią. Bała się również, że widok Alwyna z czubkiem noża sterczącym z oczodołu będzie ją prześladować w snach. Targały nią sprzeczne uczucia i nie mogła tego zmienić.

Postanowiła nie myśleć o tych, których zabiła. Kto jeszcze zginął? Rodzice Gwendy zamierzali wczoraj opuścić Kingsbridge. A Philemon, jej brat? Caris, najlepsza przyjaciółka, i Wulfric, mężczyzna, którego kochała?

Spojrzała na drugą stronę rzeki i wiedziała, że nie musi się martwić o Caris, która razem z Merthinem wydawała polecenia grupie mężczyzn. Najwyraźniej dowodzili akcją ratunkową. Gwenda poczuła radość: nie zostanie całkiem sama na świecie.

Ale co się stało z Philemonem? Był ostatnim człowiekiem, którego zobaczyła przed katastrofą. Powinien wpaść do wody tak jak wszyscy. Nie widziała go jednak.

Gdzie się podziewa Wulfric? Gwenda nie sądziła, że przyciągnęłoby go widowisko polegające na chłostaniu czarownicy, lecz rodzina Wulfrica zamierzała wyruszyć dzisiaj w drogę powrotną do

Wigleigh i było możliwe, że most zawalił się akurat wtedy, gdy wszyscy na nim byli. Spoglądała gorączkowo na rzekę, szukając wzrokiem jego płowych włosów i modląc się, żeby - jeśli go ujrzy - płynął energicznie do brzegu, a nie unosił się bezwładnie na wodzie. Tymczasem nigdzie nie było go widać.

Postanowiła przedostać się na drugi brzeg. Nie umiała pływać, lecz mogłaby złapać się dużego kawałka drewna i przepłynąć rzekę, odpychając się nogami. Znalazła deskę, wyciągnęła ją z wody i poszła pięćdziesiąt jardów w górę rzeki, by oddalić się od płataniny ciał. Weszła do wody, a Skip bez lęku podążył za nią. Zadanie okazało się trudniejsze, niż Gwenda przypuszczała, gdyż mokra sukienka utrudniała płynięcie. Ale zdołała dotrzeć na drugą stronę.

Podbiegła do Caris, objęły się.

- Co się z tobą działo? - zapytała Caris.

- Uciekłam.

- A Sim?

- Był banitą.

- Był?

- Nie żyje.

Caris spojrzała na nią z przestraszeniem.

- Zginął, kiedy most się zawalił - dodała szybko Gwenda. Nie chciała, by jej najlepsza przyjaciółka poznała okoliczności śmierci Chapmana. - Widziałaś może kogoś z mojej rodziny?

- Twoi rodzice wczoraj opuścili miasto. Przed chwilą rozmawiałam z Philemonem. Szuka cię.

- Bogu dzięki! A gdzie jest Wulfric?

- Nie wiem. Nie wyciągnięto go z rzeki. Jego narzeczona wczoraj wyjechała z miasta, ale rodzice Wulfrica i jego brat byli rano w katedrze na procesie Szalonej Neli.

- Muszę go odnaleźć.

- Oby ci się udało.

Gwenda wbiegła po schodach na teren opactwa i popędziła dalej po trawie. Paru właścicieli straganów wciąż pakowało towar; nie mogła uwierzyć, że handlowali dalej, jak gdyby nigdy nic, gdy setki ludzi zginęły w katastrofie. Po chwili uświadomiła sobie, że pewnie o niczym nie wiedzą, gdyż most zawalił się przed kilkoma minutami. Jej wydawało się, że upłynęły godziny.

Minęła bramę klasztoru i znalazła się na głównej ulicy. Wulfric i jego rodzina mieszkali w karczmie Bella. Wbiegła do środka. „

Obok beczki z piwem stał nastoletni chłopiec z wystraszoną miną.

- Szukam Wulfrica z Wigleigh - oznajmiła Gwenda.

- Nikogo tu nie ma - odparł chłopak. - Jestem czeladnikiem, zostawili mnie, żebym pilnował piwa.

Gwenda domyśliła się, że ktoś wezwał wszystkich nad rzekę. Wybiegając na ulicę, zobaczyła Wulfrica. Tak się ucieszyła, że rzuciła mu się na szyję.

- Żyjesz, Bogu dzięki!

- Ktoś mówił, że most się zawalił - odparł Wulfric. - A więc to prawda?

- Tak. To było straszne. Gdzie reszta twojej rodziny?

- Jakiś czas temu wyruszyli w drogę, a ja zostałem, żeby odebrać dług. - Pokazał mały skórzany worek. - Mam nadzieję, że nie byli na moście, kiedy się zawalił.

- Można się tego dowiedzieć - rzekła Gwenda. - Chodźmy.

Złapała Wulfrica za rękę. Pozwolił jej poprowadzić się przez teren klasztoru, nie uwalniając dłoni. Gwenda nigdy nie miała okazji tak długo go dotykać. Miał dużą rękę, palce były stwardniałe od pracy, lecz wewnątrz miękkie. Tyle ostatnio przeżyła, lecz dotyk dłoni Wulfrica sprawił, że po jej plecach przebiegł dreszcz.

Zmierzała prosto do katedry.

- Mężczyźni wyciągają ludzi z rzeki i przenoszą ich tutaj - wyjaśniła.

Na kamiennej posadzce nawy leżało już dwadzieścia lub trzydzieści ciał i wciąż przybywało nowych. Kilka zakonnic zajmowało się rannymi, krzątając się między olbrzymimi kolumnami. Polecenia wydawał niewidomy mnich, który na co dzień dyrygował chórem.

- Zmarłych kładźcie w północnej części nawy, a rannych w południowej! - zarządził, gdy Gwenda i Wulfric weszli do katedry.

Nagle Wulfric krzyknął. Gwenda podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła, że brat Wulfrica, David, leży wśród rannych. Uklękli przy nim. David był o kilka lat starszy od brata i tak samo wysoki. Oddychał i miał otwarte oczy, ale niczego nie widział.

- Dave! - odezwał się do niego Wulfric. - To ja, Wulfric.

Gwenda poczuła pod kolanami coś lepkiego i uświadomiła sobie, że David leży w kałuży krwi.

- Gdzie są mama i tata? David nie odpowiedział.

Rozejrzawszy się, Gwenda zauważyła matkę Wulfrica. Kobieta leżała w północnej części nawy, tam, gdzie Ślepy Carlus kazał kłaść zmarłych.

- Wulfricu - szepnęła cicho.

- Co?

- Twoja mama.

Wulfric wstał i spojrzął za siebie.

- O nie.

Oboje przeszli na drugą stronę nawy. Matka Wulfrica spoczywała obok Stephena, lorda Wigleigh, teraz była mu równa. Aż dziw brał, że tak drobna kobieta wydała na świat dwóch rosnących synów. Za życia była silna i energiczna, lecz teraz wyglądała jak krucha lalka, biała i maleńka. Wulfric położył rękę na jej sercu, ale nie wyczuł tętna. Kiedy nacisnął mocniej, z ust kobiety popłynęła strużka wody.

- Utopiła się - szepnął.

Gwenda położyła rękę na jego szerokich ramionach, chcąc go ukoić dotykiem. Nie wiedziała, czy zauważył jej gest.

Jakiś zbrojny w barwach hrabiego Rolanda wniósł do katedry zwłoki potężnego mężczyzny. Wulfric jęknął. To był jego ojciec.

- Połóż go tutaj, obok żony - poprosiła Gwenda.

Wulfric, przytłoczony tragedią, milczał. Gwenda też nic nie mówiła, bo nie wiedziała, co może powiedzieć w takiej sytuacji ukochanemu mężczyźnie. Każde zdanie, które przychodziło jej do głowy, wydawało się głupie. Bardzo chciała go jakoś pocieszyć, ale nie wiedziała jak.

Wulfric nie mógł oderwać wzroku od matki i ojca, Gwenda tymczasem spojrzała na drugą stronę nawy, gdzie leżał David. Podeszła do niego szybko. Oczy patrzyły nieruchomo, nie oddychał. Dotknęła jego piersi i nie wyczuła bicia serca.

Jak Wulfric to zniesie?

Otarła łzy i wróciła do Wulfrica. Nie było sensu ukrywać przed nim prawdy.

- David też nie żyje.

Wulfric spojrzął na nią nieobecny wzrokiem, jakby nie rozumiał. Gwenda pomyślała z przerażeniem, że tragedia odebrała mu rozum. Jednak po długim milczeniu Wulfric szepnął:

- Wszyscy, cała trójka...

Spojrzał na Gwendę, zobaczyła w jego oczach łzy.

Objęła go i poczuła, że jego silne ciało trzęsie się od szloch. Uścisnęła go mocno.

- Biedny, kochany Wulfricu.

- Bogu dzięki, że została mi Annet.

:: >

Godzinę później ciała zmarłych i rannych pokrywały większość posadzki nawy. Ślepy Carlus, zastępca przeora, stał pośrodku obok Simeona, skarbnika, który zastępował mu oczy. Carlus wydawał polecenia, gdyż Anthony'ego nie było.

- Czy to ty, bracie Theodoricu? - zapytał, rozpoznawszy kroki niebieskookiego mnicha, który właśnie wszedł. - Znajdź grabarza. Niech weźmie sobie do pomocy sześciu krzepkich mężczyzn. Potrzeba będzie co najmniej stu nowych grobów. Jest lato, lepiej nie zwlekać z pochówkiem.

- Już idę, bracie - odparł Theodoric.

Caris była pod wrażeniem sprawności, z jaką Carlus, pomimo kalectwa, radzi sobie w tak trudnej sytuacji.

Merthin został nad rzeką, kierując ratowaniem rannych i wyciąganiem topielców z wody. Caris zawiadomiła o katastrofie zakonnice i mnichów, po czym odszukała Matthew Barbera i Mattie Wise. Teraz mogła rozejrzeć się za krewnymi.

Jedynie wujek Anthony i Griselda byli na moście w czasie katastrofy. Ojciec naradzał się z Buonaventurą Carolim w siedzibie gildii.

- Teraz będą musieli wybudować nowy most! - stwierdził Edmund. Pokuśtykał nad rzekę, by pomóc wyciągać ludzi z wody. Ciotka Petranilla była w domu i szykowała posiłek, Alice siedziała z Elfrikiem w karczmie Bella, kuzyn Godwyn zaś przebywał w katedrze, nadzorując remont prezbiterium.

Griselda poszła do domu odpocząć. Wciąż nie było wiadomo, gdzie się podziewa Anthony. Caris nie przepadała za stryjem, ale nie życzyła mu śmierci i z niepokojem spoglądała na każde ciało wydobyte z rzeki.

Matka Cecilia i inne zakonnice przemywały rany i smarowały miodem, by je zdezynfekować, po czym zakładały bandaże i dawały rannym do picia krzepiące grzane piwo z przyprawami. Matthew Barber, doświadczony na polach wielu bitew chirurg, uwijał się żwawo w towarzystwie Mattie Wise. Mattie, tęga i zasapana, podawała lekarstwo uspokajające, zanim Matthew zabierał się do nastawiania złamanych rąk i nóg.

Caris przeszła do południowej części transeptu. Tam, z dala od hałasu i zamieszania, starsi mnisi lekarze zgromadzili się wokół hrabiego Shiring, który wciąż nie odzyskał przytomności. Zdjęto z niego mokre ubranie i przykryto grubym kocem.

- Żyje - oznajmił brat Godwyn - ale jest bardzo poważnie ranny. - Wskazał czubek głowy Rolanda. - Część czaszki została strzaskana.

Caris spojrzała ponad jego ramieniem. Czaszka pękła niczym skórka chleba i cała była we krwi, spod której wyzierała szara masa. Czy można coś poradzić na tak straszną ranę?

Brat Joseph, najstarszy z lekarzy, był tego samego zdania. Potarł się po swoim dużym nosie.

- Trzeba przynieść relikwię ze szczątkami świętego - stwierdził. - Tylko one mogą pomóc w

jego wyzdrowieniu.

Caris nie liczyła zbyt na to, że kości dawno zmarłego świętego mogą uleczyć głowę żywego człowieka. Nic jednak nie powiedziała, rzecz jasna, wiedziała, że jej poglądy są nietypowe, i przeważnie zachowywała je dla siebie.

Synowie hrabiego, lord William i biskup Richard, stali z boku. William, rosły mężczyzna o czarnej czuprynie i żołnierskiej postawie, wyglądał jak młodsza kopia ojca. Richard miał jaśniejsze włosy i był bardziej zaokrąglony. Był z nimi Ralph, brat Merthina.

- Wyciągnąłem hrabiego z wody. - Caris usłyszała to z jego ust już po raz drugi.

- Tak, wiemy, dobrze się sprawiłeś - rzekł William.

Jego żona Philippa podobnie jak Caris nie była zadowolona z orzeczenia Josepha.

- Ty też nie możesz nic zrobić, by pomóc hrabiemu? - spytała.

- Modlitwa jest najskuteczniejszym lekarstwem - odparł Godwyn. Relikwię trzymano w zamkniętym schowku pod głównym ołtarzem. Gdy tylko Godwyn i Joseph po nią poszli, Matthew Barber pochylił się nad hrabią, oglądając uważnie ranę.

- W ten sposób nigdy się nie zagoi - stwierdził. - I nawet święty tu nie pomoże.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał ostro William. Caris zauważyła, że mówi dokładnie tak samo jak ojciec.

- Czaszka to kość taka sama jak inne - odparł Matthew. - Może się sama naprawić, ale trzeba ułożyć kawałki na właściwym miejscu. Inaczej zrośnie się krzywo.

- Uważasz, że znasz się na medycynie lepiej od mnichów?

- Panie, mnisi wiedzą, jak przywoływać na pomoc duchy. Ja tylko nastawiam złamane kości.

- A gdzie nabyłeś tę wiedzę?

- Przez wiele lat byłem chirurgiem w królewskich armiach. Maszerowałem u boku twojego ojca, panie, w czasie wojen szkockich. Widywałem już pęknięte czaszki.

- Jak pomógłbyś teraz mojemu ojcu?

Caris widziała, że agresywna indagacja Williama zbija Matthew z tropu, mimo to golibroda wiedział dobrze, co mówi.

- Wyjąłbym kawałki złamanej kości z mózgu, oczyścił je, a potem włożył z powrotem na miejsce.

Caris aż otworzyła usta ze zdumienia. Trudno było sobie wyobrazić tak śmiałą operację. Matthew musi być bardzo odważny, skoro ją zaproponował. A jeśli coś się nie uda?

- I hrabia wyzdrowieje? - spytał William.

- Nie wiem - odparł Matthew. - Rana głowy ma niekiedy osobliwe następstwa, osłabia zdolność chodzenia albo mówienia. Ja mogę tylko naprawić czaszkę rannego. Jeśli pragniesz cudu, panie, poproś świętego.

- A zatem nie możesz obiecać, że zabieg się powiedzie?

- Tylko Pan Bóg jest wszechmocny. Ludziom pozostaje robić to, co mogą, i modlić się, żeby wyszło jak najlepiej. Uważam jednak, że twój ojciec umrze, jeśli ta rana nie będzie leczona, panie.

- Joseph i Godwyn czytali księgi napisane przez starożytnych medyków filozofów.

- A ja widziałem, jak ranni umierają albo wracają do zdrowia po bitwach. Ty zdecydujesz, komu zaufać, panie.

William spojrzął na żonę.

- Niech golibroda zrobi, co może, a my prosimy świętego Adolfa o pomoc. William skinął głową.

- Dobrze, zaczynaj - rzekł do Matthew.

- Hrabia powinien leżeć na stole - stwierdził ten pewnym głosem. - Blisko okna, gdzie mocne światło będzie padać na ranę.

William strzelił palcami na dwóch nowicjuszy.

- Róbcie, co wam każe.

- Potrzebuję tylko miski z ciepłym winem - oznajmił Matthew.

Mnisi przynieśli ze szpitala kobyłkę i ustawili pod dużym oknem w południowej części transeptu. Dwaj giermkowie dźwignęli hrabiego i ułożyli go na deskach.

- Ułóżcie hrabiego na brzuchu. Giermkowie spełnili polecenie.

Matthew miał ze sobą skórzaną sakwę z ostrymi narzędziami używanymi przez golibrodów. Najpierw wyjął małe nożyczki. Pochylił się nad głową hrabiego i zaczął odsłaniać czaszkę wokół rany. Hrabia miał gęste czarne włosy, które w naturalny sposób się przetłuszczały. Matthew rzucał ścięte kosmyki na posadzkę. Po chwili rana stała się lepiej widoczna.

Brat Godwyn wrócił, niosąc relikwiarz, rzeźbioną szkatułkę z kości słoniowej i złota, zawierającą czaszkę świętego Adolfa oraz kości jednej ręki wraz z dłonią. Na widok Matthew pochylonego nad hrabią, zapytał gniewnie:

- Co tu się dzieje? Matthew uniósł głowę.

- Zechciej postawić święte szczątki na plecach hrabiego jak najbliżej głowy, bracie. Dzięki mocy świętego moje ręce będą pewniejsze.

Godwyn zawahał się, wyraźnie rozgniewany, że zwykły golibroda mu rozkazuje.

- Zrób to, bracie, bo śmierć mojego ojca spadnie na ciebie.

Mimo to Godwyn nie posłuchał.

- Bracie Carlusie - zwrócił się do ślepego mnicha, który stał kilka kroków dalej - lord William każe mi...

- Słyszałem, co powiedział lord - wpadł mu w słowo Carlus. - Spełnij jego życzenie.

Nie na taką odpowiedź liczył Godwyn. Jego twarz zdradzała gniew. Z nieukrywaną odrazą postawił szkatułkę na szerokich plecach Rolanda.

Matthew wziął do ręki cienkie szczypce. Delikatnym ruchem uchwycił krawędź kości i uniósł ją, nie dotykając szarej materii mózgu. Caris przyglądała mu się jak zaczarowana. Kość odłączyła się od głowy wraz ze skórą i włosami. Matthew zanurzył ją ostrożnie w ciepłym winie.

To samo zrobił z dwoma następnymi fragmentami. Jęki rannych i szloch tych, którzy stracili kogoś bliskiego, jakby ucichły w oddali. Ci, którzy obserwowali Matthew, stali w kręgu i milczeli.

Golibroda zajął się odłamkami, które trzymały się czaszki. Za każdym razem ścinał włosy i obmywał skórę skrawkiem płótna zanurzoną w winie, a następnie delikatnie wstawiał fragment kości w miejsce, które ten pierwotnie zajmował.

Napięcie było tak wielkie, że Caris ledwo oddychała. Jeszcze nigdy nikogo tak nie podziwiała jak Matthew Barbera. Miał niezwykłą odwagę, umiejętności i pewność siebie. A przecież dokonywał tej niewyobrażalnej operacji na hrabim! Gdyby coś się nie powiodło, pewnie zawisłby na szubienicy. Tymczasem jego ręce były tak pewne jak dłonie aniołów wyrzeźbionych w kamieniu nad drzwiami katedry.

Matthew włożył na miejsce trzy ostatnie odłamki kości, jakby naprawiał zepsuty dzban.

Naciągnął skórę głowy na ranę i zszył ją szybkimi, precyzyjnymi ruchami.

Czaszka Rolanda znów była cała.

- Hrabia musi spać przez dzień i noc - rzekł. - Kiedy się zbudzi, podajcie mu silną dawkę napoju usypiającego Mattie Wise. Później musi leżeć nieruchomo czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przywiążcie go do łoża.

Na koniec Matthew poprosił matkę Cecilie, żeby zabandażowała hrabiemu głowę.

Godwyn wyszedł z katedry i pobiegł do rzeki. Był zły. Wszystko wymykało mu się spod kontroli. Carlus pozwalał wszystkim robić, co im się podoba. Przeor był słaby, ale i tak lepszy od Carlusa. Godwyn musi go odnaleźć.

Większość ludzi wydobyto już z rzeki. Ci, którzy byli potłuczeni i oszołomieni, poszli do domów o własnych siłach. Większość zabitych i rannych przeniesiono do katedry. Zostali tylko ci, których nie można było wydobyć spod szczątków mostu.

Myśl o tym, że Anthony może nie żyć, jednocześnie przerażała Godwyna i dodawała mu sił. Pragnął nowych porządków w klasztorze, ściślejszego stosowania się do reguły świętego Benedykta i bardziej pieczołowitego zarządzania finansami. Wiedział zarazem, że Anthony jest jego patronem, i że za rządów innego opata mógłby w ogóle nie awansować.

Merthin sprowadził łódź. On i dwóch innych młodych mężczyzn wypłynęli na środek rzeki, gdzie na powierzchni unosiła się większość resztek mostu. Ubrani w samą bieliznę, próbowali unieść ciężką belkę, by kogoś uwolnić. Merthin był drobnej budowy, lecz dwaj pozostali wyglądali na silnych i dobrze odżywionych. Godwyn domyślił się, że są giermkami z orszaku hrabiego. Mimo swej sprawności i siły mieli problemy z uniesieniem ciężkiego pała, znajdowali się bowiem w wątej łódce.

Godwyn stał w tłumie mieszczan i obserwował, co się dzieje, targany nadzieją i obawą. Giermkowie dźwignęli ciężką belkę, a Merthin wyciągnął spod niej ciało. Przyjrząwszy mu się, zawołał:

- Marguerite Jones! Nie żyje!

Była to starsza kobieta, nikt się nią nie zainteresował.

- Jest tam przeor Anthony?! - krzyknął zniecierpliwiony Godwyn. Młodzi mężczyźni w łódce spojrzeli po sobie i Godwyn zrozumiał, że jego pytanie było zbyt obcesowe.

- Widzę mnisi habit! - odparł Merthin.

- To musi być przeor! - zawołał Godwyn. Anthony był jedynym mnichem, który do tej pory się nie odnalazł. - W jakim jest stanie?

Merthin wychylił się z łodzi. Nie mogąc się wystarczająco zbliżyć, zsunął się do wody.

- Jeszcze oddycha - oznajmił po chwili. Godwyn poczuł radość, a zarazem rozczarowanie.

- Wyciągnijcie go, prędko! - polecił. - Bardzo proszę - dodał. Ratownicy nie odpowiedzieli, lecz Merthin zanurzył się pod częściowo zatopioną platformę z desek i zaczął dyrygować giermkami. Ci wypuścili z rąk belkę, którą trzymali, pozwalając jej wpaść do wody, a następnie wychylili się przez dziób łodzi, by chwycić drewnianą konstrukcję, pod którą znajdował się Merthin. Czeladnik miał trudności z wyplątaniem ubrania opata spomiędzy kawałków drewna.

Godwyn obserwował to, zły na swoją bezsilność.

- Idźcie do klasztoru i każcie dwóm mnichom przyjść tu z nosidłem - rzekł do gapiów.
- Powiedźcie, że Godwyn was przysłał.

Dwaj mężczyźni wspięli się po schodkach i ruszyli w stronę klasztoru.

Merthin zdołał wyciągnąć nieprzytomnego opata spośród desek i pali, a giermkowie dźwignęli go i położyli w łodzi. Merthin wdrapał się do środka i łódź popłynęła ku brzegowi.

Ochotnicy żwawo zdjęli przeora z łodzi i ułożyli na nosidle przyniesionym przez mnichów. Godwyn błyskawicznie obejrzał uratowanego. Anthony oddychał, lecz jego puls był słaby. Miał zamknięte oczy, a twarz zatrażająco białą. Na głowie i piersi widać było tylko siniaki, lecz miednica była strzaskana, opat krwawił.

Godwyn wskazywał drogę, a mnisi ponieśli Anthony'ego do katedry.

- Zróbcie przejście! - krzyknął. Kazał zanieść przeora do prezbiterium, najświętszej części kościoła, i złożyć przed ołtarzem. Pod przesiąkniętym wodą habitem rysowały się biodra i nogi opata. Były tak skrzycone i zdeformowane, że tylko jego tułów wyglądał jak część ludzkiego ciała.

W ciągu kilku minut wszyscy mnisi zebrali się wokół swego nieprzytomnego przełożonego. Godwyn zdjął relikwiarz z pleców hrabiego Rolanda i umieścił go u stóp Anthony'ego. Joseph położył na jego piersi wysadzany klejnotami krucyfiks i splótł na nim ręce opata.

Matka Cecilia uklękła przy nim i otarła mu twarz szmatką nasączoną jakimś płynem.

- Brat Anthony ma dużo złamanych kości - powiedziała do Josepha. - Chcesz, żeby Matthew Barber go obejrzał?

Joseph bez słowa pokręcił głową.

Godwyn ucieszył się z jego decyzji. Golibroda zbezczesciłby święte miejsce. Lepiej zostawić sprawę w rękach Boga.

Godwyn dokonał namaszczenia, a potem zaintonował hymn.

Nie wiedział, czego sobie życzyć. Od kilku lat marzył o zakończeniu rządów Anthony'ego, jednakże w ciągu ostatniej godziny zrozumiał, że władzę po nim przejmie Carlus pospołu z Simeonem. Obaj byli popiecznikami przeora, więc nic nie zmieni się na lepsze.

Nagle dostrzegł Matthew Barbera, który przyglądał się Anthony'emu ponad ramionami mnichów. Godwyn już miał gniewnie wypędzić go z katedry, gdy Matthew prawie niedostrzegalnie pokręcił głową i odszedł.

Anthony otworzył oczy.

- Chwała Bogu! - wykrzyknął brat Joseph.

Przeor chciał coś powiedzieć. Matka Cecilia, która klęczała przy nim, nachyliła się do jego ust. Godwyn zobaczył, że wargi opata się poruszają, lecz nie usłyszał słów. Po chwili Anthony zamilkł.

- Czy to prawda? - spytała wstrząśnięta Cecilia. Wszyscy patrzyli na nią.

- Co powiedział przeor, matko Cecilio? - zapytał Godwyn. Przeorysza milczała.

Oczy Anthony'ego zamknęły się i zaszła w nim ledwo dostrzegalna zmiana. Leżał teraz całkowicie bez ruchu.

Godwyn pochylił się nad ciałem. Nie wyczuł oddechu. Przyłożył dłoń do piersi przeora, ale nie wyczuł też bicia serca. Złapał go za nadgarstek. Pulsu także nie było.

Wstał.

- Przeor Anthony odszedł z tego świata - oznajmił. - Niech Bóg błogosławi jego duszę i przyjmie go do swego królestwa.

- Amen - odpowiedzieli mnisi.

Teraz muszą się odbyć wybory, pomyślał Godwyn.

14

Katedrę w Kingsbridge wypełniały przerażające odgłosy. Ranni jęczeli z bólu i wzywali na pomoc Boga, świętych albo swoje matki. Co chwila ktoś znajdował wśród zmarłych kogoś bliskiego i krzyczał z rozpaczą. Zarówno żywi, jak i umarli mieli groteskowo poskręcane kończyny, ich ubrania, porwane na strzępy, były przesiąknięte wodą i krwią. Posadzka kościoła zrobiła się śliska od wody, krwi i błota z rzeki.

Tą, która roztaczała wokół siebie spokój w tym morzu okropności, była matka Cecilia. Przechodziła od jednej leżącej postaci do drugiej niczym drobny, ruchliwy ptaszek. Podążało za nią stadko zakonnic w kapturach. Była wśród nich długoletnia pomocnica Cecylii, matka Juliana, obecnie nazywana z szacunkiem Starą Julię. Badając każdego pacjenta, Cecilia wydawała polecenia: obmyć, posmarować maścią, zabandażować, podać lek ziołowy. Do poważniejszych przypadków wzywała Mattie Wise, Matthew Barbera albo brata Josepha. Mówiła cicho, lecz wyraźnie, a jej polecenia były proste i zdecydowane. Większość pacjentów, którymi się zajęła, czuła się uspokojona i pełna nadziei, podobnie jak ich krewni.

Patrząc na nią, Caris z zatrważającą wyrazistością przypomniła sobie dzień śmierci matki. Poznała wtedy strach i niepewność, lecz panowały one tylko w jej sercu. Wówczas także to matka Cecilia wiedziała, co należy robić. Mama Caris umarła mimo pomocy Cecylii, umrze także wielu z tych, którym dzisiaj pomaga. Jednak dzięki niej miało się wrażenie istnienia jakiegoś porządku i poczucie, że zrobiono wszystko, co leżało w ludzkiej mocy.

Niektórzy w razie choroby błagali o pomoc Matkę Boską i świętych, lecz to tylko potęgowało lęk Caris, bo nikt nie mógł wiedzieć, czy duchy pomogą i czy w ogóle usłyszały. Matka Cecilia nie była tak potężna jak święci, to wiedziała nawet dziesięcioletnia Caris, a mimo to jej obecność i rzeczowość roztaczały atmosferę nadziei połączonej z pogodzeniem się, która uspokajała duszę.

Teraz Caris bezwiednie przyłączyła się do orszaku Cecylii. Wykonywała polecenia osoby, która sprawiała wrażenie najbardziej pewnej siebie. Na takiej samej zasadzie inni słuchali rozkazów Caris nad rzeką tuż po zawaleniu się mostu, gdy nikt nie wiedział, co robić. Energia i praktycyzm

Cecylii były zaraźliwe, tym, którzy ją otaczali, także udzielała się jej chłodna sprawność. Caris trzymała miseczkę z octem, a piękna nowicjuszka o imieniu Mair zanurzała w nim szmatkę i zmywała krew z twarzy Susanny Chepstow, żony kupca handlującego drewnem.

Krzętały się bez przerwy aż do wieczora. Dzięki temu, że letni dzień był długi, wszystkie unoszące się na wodzie ciała zdołano wyłowić z rzeki przed zmrokiem, nikt jednak nie wiedział, ilu topielców opadło na dno albo popłynęło z prądem. Nie było śladu Szalonej Neli - zapewne wpadła do wody razem z wozem, do którego ją przywiązano. Nie było to sprawiedliwe, lecz wędrowny mnich Murdo tylko zwichnął kostkę. Zaraz pokuśtykał do oberży Bella, żeby pokrzepić się gorącą szynką i paroma kuflami mocnego piwa.

Opatrywanie rannych trwało jeszcze przy blasku świateł. Niektóre zakonnice zmęczyły się i musiały odpocząć, inne, przytłoczone rozmiarami tragedii, załamały się: nie rozumiały poleceń, wszystko leciało im z rąk, więc trzeba było odesłać je do klasztoru. Caris i kilka zakonnice nadal robiły swoje, aż do ostatniego pacjenta. Musiała być północ, gdy zawiązano ostatni bandaż, i dopiero wtedy Caris resztkami sił powlokła się do domu.

Ojciec i ciotka Petranilla siedzieli w jadalni, trzymając się za ręce, pogrążeni w żalu po śmierci brata Anthony'ego. Oczy Edmunda były mokre od łez, Petranilla także szlochała rozpaczliwie. Caris ucałowała oboje, lecz nie wiedziała, co im powiedzieć. Gdyby usiadła, zasnęłaby na krześle, więc poszła na górę. Położyła się na łóżku obok Gwendy, która jak zwykle nocowała u niej. Przyjaciółka była pogrążona w głębokim śnie i nawet się nie poruszyła.

Caris zamknęła oczy, była zmęczona, serce bolało ją od smutku.

Ojciec żałował jednego spośród wielu, ona żałowała wszystkich. Myślała o przyjaciółach, sąsiadach i znajomych leżących na zimnej posadzce katedry; wyobrażała sobie smutek rodziców, dzieci, braci i sióstr. Ogrom tego żalu ją przytłoczył. Zaczęła płakać w poduszkę. Gwenda otoczyła ją ramieniem i przytuliła bez słowa. Po kilku minutach zasnęła wyczerpana.

Zbudziła się o świcie. Gwenda jeszcze spała, gdy ona poszła do katedry, by nadal pomagać. Większość rannych wróciła do domu. Ci, którzy wciąż wymagali opieki - tacy jak nieprzytomny hrabia Roland - zostali przeniesieni do szpitala. Ciała zmarłych ułożono w rzędach w prezbiterium we wschodniej części kościoła, by tam czekały na pogrzeb.

Czas płynął, prawie nie było chwili na odpoczynek. Późnym popołudniem w niedzielę matka Cecilia kazała Caris odpocząć. Rozejrzała się i uświadomiła sobie, że większość pracy jest wykonana. Wtedy zaczęła myśleć o przyszłości.

Do tej chwili nieświadomie czuła, że zwyczajne życie się skończyło, że żyje teraz w nowym świecie, świecie koszmaru i tragedii. Nagle zrozumiała, że to także, tak samo jak wszystko inne,

przemianie. Zmarłych się pochowa, rany się zagoją i życie w mieście wróci do normalności. Przypomniała sobie, że tuż przed zawaleniem się mostu doszło do innej tragedii, strasznej i na swój sposób wyniszczającej.

Zastała Merthina nad rzeką z Elfrikiem i Thomasem Langleyem, usuwali resztki mostu przy pomocy ponad pięćdziesięciu ochotników. Kłótnia Merthina z mistrzem musiała zostać odsunięta na bok w obliczu konieczności. Większość fragmentów drewna wyciągnięto z wody i ułożono na brzegu, jednak znaczna część mostu wciąż była połączona. Zbita masa drewnianych elementów pływała na powierzchni, unosząc się i opadając wraz z wodą, niewinnie niczym wielki zwierz, który zabił i pożarł ofiarę.

Mężczyźni próbowali podzielić pozostałości mostu na łatwiejsze do przewozu kawałki. Była to niebezpieczna robota, ochotnikom nieustannie groziło zawalenie się resztek konstrukcji. Obwiązali liną środkową część mostu, teraz częściowo zalaną. Jedna grupa stała na brzegu, napinając linę, a Merthin i olbrzym Mark Webber siedzieli w łodzi z wiosłarzem. Kiedy ci na brzegu odpoczywali, łódź podpływała do resztek mostu i Mark pod kierunkiem Merthina rąbał most ogromnym toporem używanym przez drwali. Później łódź odpływała na bezpieczną odległość, Elfrić wydawał komendę i ochotnicy na brzegu znów naciągali linę.

Caris patrzyła, jak duża część mostu odpada od reszty. Wszyscy wydali okrzyk radości i mężczyźni wyciągnęli fragment konstrukcji na brzeg.

Żony niektórych ochotników przyniosły chleb i dzbany z piwem. Thomas Langley zarządził przerwę. Mężczyźni odpoczywali, a Caris podeszła do Merthina.

- Nie możesz ożenić się z Griseldą - powiedziała bez żadnego wstępu. To niespodziewane stwierdzenie go nie zaskoczyło.

- Nie wiem, co robić - odparł Merthin. - Wciąż o tym myślę.

- Przejdziemy się?

- Dobrze.

Oddalili się od gromady ludzi na brzegu i wyszli na główną ulicę miasta. W porównaniu z tym, co działo się w czasie targów, miasto wyglądało jak cmentarz. Wszyscy siedzieli w domach, opiekując się chorymi lub oplakując zmarłych.

- Niewiele jest rodzin w mieście, w których nikt nie zginął ani nie został ranny - westchnęła Caris. - Na moście musiało być z tysiąc osób, albo opuszczających miasto, albo bawiących się dręczeniem Szalonej Neli. W kościele leży więcej niż sto ciał, a około czterystu rannych trzeba było opatrzyć.

- Pięciuset ludzi może mówić o szczęściu - orzekł Merthin.

- My też mogliśmy znaleźć się na moście lub w jego pobliżu. Ty i ja moglibyśmy leżeć teraz na posadzce w katedrze, zimni i nieruchomi. Ale otrzymaliśmy dar, resztę naszego życia. I nie wolno nam go zmarnować z powodu jednego błędu.

- To nie jest błąd - odpowiedział ostro Merthin. - To dziecko, człowiek, który ma duszę.

- Ty też jesteś człowiekiem, masz duszę, i to wyjątkową. Spójrz, co jeszcze niedawno robiłeś. Trzech ludzi kierowało ratowaniem ofiar nad rzeką. Jeden to najbogatszy rzemieślnik budowlany. Drugi jest zastępcą opata, a trzeci... zwykłym czeladnikiem, który jeszcze nie skończył dwudziestu jeden lat. Mimo to mieszkańcy miasta słuchają cię tak samo jak Elfrica i Thomasa.

- Ale to nie znaczy, że mogę uniknąć odpowiedzialności.

Skręcili na teren należący do klasztoru. Trawa przed katedrą była zdeptana po targach, pojawiły się błotniste kałuże. W trzech wielkich oknach w zachodniej części kościoła Caris widziała niewyraźne odbicie słońca i postrzępionych chmur; obraz był podzielony jak na tryskrzydłowym ołtarzu. Dzwon zaczął bić na wieczorne nabożeństwo.

- Przypomnij sobie, ile razy mówiłeś o tym, że chcesz podróżować, zobaczyć wielkie budowle Paryża i Florencji - mówiła. - Zrezygnujesz z tego?

- Możliwe. Mężczyzna nie może porzucić żony i dziecka.

- A więc już uważasz ją za swoją żonę. Merthin odwrócił się do Caris.

- Nigdy nie będę uważał jej za żonę - odparł z goryczą. - Ty wiesz, kogo kocham.

Caris nie znalazła na to odpowiedzi, co zdarzało się rzadko. Otworzyła usta, lecz żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Ścisnęło ją w gardle. Zamrugła, by nie popłynęły łzy, i spuściła głowę, by ukryć emocje.

Merthin złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Wiesz, prawda?

Caris zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Tak?

Merthin ją pocałował. To był inny pocałunek, jakiego dotąd nie znała. Jego wargi przesuwają się delikatnie, lecz intensywnie po jej ustach, jak gdyby Merthin za wszelką cenę chciał zapamiętać tę chwilę. Z lękiem pomyślała, że być może całują się po raz ostatni.

Przywarła do niego, żeby przedłużyć tę chwilę. Jednak Merthin się odsunął.

- Kocham cię, ale ożenię się z Griseldą.

Życie i śmierć nadal się przeplatały. Rodziły się dzieci, starzy ludzie umierali. W niedzielę Emma Butcher rzuciła się w ataku zazdrości na niewiernego męża Edwarda z największym tasakiem.

W poniedziałek zaginął jeden z kurczaków Bess Hampton - znaleziono go w garnku Glynnie Thompson, w związku z czym John Constable obnażył jej plecy i wychłostał. We wtorek Howell Tyler pracował na dachu kościoła Świętego Marka i załamała się pod nim zgniła deska. Howell spadł na posadzkę i zginął na miejscu.

W środę wszystkie szczątki mostu były uprzątnięte oprócz dwóch bali z głównych podpór, a drewno ułożono na brzegu. Droga wodna została otwarta, barki i tratwy mogły wypłynąć z Kingsbridge do Melcombe z wełną i innymi towarami z targów, przeznaczonymi dla Flandrii i Włoch.

Caris i Edmund udali się nad rzekę, żeby sprawdzić postęp prac. Zastali tam Merthina, który z wyłowionego drewna zbijał tratwę do przewożenia ludzi przez rzekę.

- Tratwa jest lepsza od łodzi - wyjaśnił. - Zwierzęta mogą na nią wejść i zejść, można też wjechać wozem.

Edmund skinął posępnie głową.

- Będzie musiała wystarczyć na cotygodniowy targ. Jeśli szczęście nam dopisze, na następne targi wełny będziemy mieli nowy most.

- Wątpię w to - mruknął Merthin.

- Powiedziałeś, że budowa nowego mostu zajmie rok!

- Drewnianego, owszem. Ale jeśli zbudujemy następny most z drewna, on też się zawali.

- Dlaczego?

- Pokażę panu. - Merthin zaprowadził Edmunda i Caris do sterty drewna i wskazał kilka potężnych bali. - Te pnie stanowiły podporę mostu. Są to pewnie te dwadzieścia cztery najlepsze dęby w kraju, подарowane opactwu przez króla. Proszę spojrzeć na ich końce.

Caris zauważyła, że ogromne bale mają zastrzone końce, choć czubki zaokrągliły się przez lata tkwienia pod wodą.

- Drewniany most nie ma fundamentów - ciągnął Merthin. - Bale wbija się po prostu w dno rzeki. A to nie wystarczy.

- Przecież ten most stał setki lat! - zauważył gniewnie Edmund. Spierając się z kimś, zawsze się unosił.

Merthin był do tego przyzwyczajony i nie zwracał uwagi na ton jego głosu.

- A teraz się zawalił - tłumaczył cierpliwie. - Coś się zmieniło. Drewniane podpory kiedyś wystarczały, ale już nie wystarczają. »

- Co się mogło zmienić? Rzeka to rzeka.

- Zbudował pan nad brzegiem stajnię i kładkę i zabezpieczył je pan murem. Inni kupcy zrobili

to samo. Stara błotnista plaża w południowej części miasta, na której się kiedyś bawiłem, prawie znikła, dlatego rzeka nie może już rozlewać się na pola. Z tego powodu woda płynie szybciej niż kiedyś, zwłaszcza po dużych opadach, takich jak w tym roku.

- Zatem trzeba zbudować most murowany?

- Tak.

Edmund zobaczył, że Elfric stoi nieopodal i słucha.

- Merthin twierdzi, że budowa murowanego mostu potrwa trzy lata - zwrócił się do niego.

Elfric skinął głową.

- Trzy sezony budowlane.

Caris wiedziała, że większość prac budowlanych przeprowadza się w ciepłych miesiącach. Merthin wytłumaczył jej, że nie można murować kamiennych ścian, gdy istnieje ryzyko, że cement zamarźnie, zanim stwardnieje.

- Jeden sezon na fundamenty, jeden na łuki i jeden na nawierzchnię drogi - wyjaśniał Elfric. - Po każdym etapie cement musi mieć trzy lub cztery miesiące na związanie, zanim można na nim położyć następną warstwę.

- Trzy lata bez mostu - skonstatował ponuro Edmund.

- Cztery, jeśli budowa nie zacznie się natychmiast.

- Przygotuj szacunkowy kosztorys dla opactwa.

- Już się do tego zabrałem, ale to żmudna robota. Zajmie mi jeszcze dwa albo trzy dni.

- Spiesz się.

Edmund i Caris wspięli się po schodach i ruszyli główną ulicą. Edmund jak zwykle kroczył energicznie. Mimo że powłóczył nogą, nigdy się na nikim nie wspierał. Mieszkańcy miasta wiedzieli, że trzeba mu zostawiać dużo miejsca, zwłaszcza gdy się spieszy.

- Trzy lata! To będzie straszny cios dla targów wełny. Jak długo potrwa powrót do normalności? Nie wiem.

Po powrocie do domu zastali tam Alice. Miała włosy upięte pod kapeluszem w wymyślnym stylu, który podpatrzyła u lady Philippy. Siedziała przy stole z Petranillą. Z wyrazu ich twarzy Caris od razu wywnioskowała, że rozmawiały o niej.

Petranillą przyniosła z kuchni piwo, chleb i świeże masło. Napełniła kubek i postawiła przed bratem.

W piątek po katastrofie płakała, lecz od tego czasu nie okazywała zbytnio żalu po swoim drugim bracie, Anthony. O dziwo, wydawało się, że Edmund, który nigdy za nim nie przepadał,

bardziej go żałuje. Często i nieoczekiwanie łzy stawały mu w oczach, lecz szybko znikaly.

Zaczął opowiadać o nowym moście. Alice próbowała podważyć ocenę Merthina, lecz Edmund uciszył ją zniecierpliwionym gestem.

- Ten chłopak to geniusz. Wie więcej od wielu mistrzów budowlanych, choć wciąż jest czeladnikiem.

- Tym większa szkoda, że spędzi życie z Griseldą - zauważyła z goryczą Caris.

Alice natychmiast stanęła w obronie pasierbicy.

- Griseldzie niczego nie można zarzucić.

- Owszem, można - odparła Caris. - Ona go nie kocha. Uwiodła go, bo jej ukochany wyjechał z miasta.

- Czy takie rzeczy opowiada ci Merthin? - spytała z sarkazmem Alice. - Jeśli mężczyzna nie chce tego zrobić, to nie zrobi, wierz mi.

- Mężczyznę można skusić - mruknął Edmund.

- A więc bierzesz stronę Caris, tato? Nie powinnam się dziwić, przeważnie tak robisz.

- Nie w tym rzecz, czyją stronę biorę. Mężczyzna może nie chcieć czegoś zrobić i może tego później żałować, ale na krótką chwilę jego pragnienia mogą się zmienić. Zwłaszcza gdy kobieta ucieknie się do swoich sztuczek.

- Do sztuczek? Czemu uważasz, że ona się na niego rzuciła?

- Tego nie powiedziałem. Ale zaczęło się, kiedy płakała, a on chciał ją pocieszyć.

Caris opowiedziała ojcu o wszystkim. Jej siostra prychnęła z niesmakiem.

- Zawsze miałeś słabość do tego nieposłusznego czeladnika.

Caris zjadła trochę chleba z masłem, ale nie miała apetytu.

-? Pewnie będą mieli pół tuzina dzieci, Merthin odziedziczy interes Elfrica i zostanie zwykłym majstrem, jakich wielu. Będzie budował domy dla kupców i podlizywał się mnichom, żeby dostać od nich umowę, tak samo jak jego teść.

- I bardzo dobrze - wtrąciła się Petranillą. - Będzie jednym z najważniejszych obywateli miasta.

- Zasluguje na lepszy los.

- Czyżby? - spytała z udanym zdumieniem Petranillą. - On, syn upadłego rycerza, który nie ma szylinga na buty dla żony! Na jaki to los twoim zdaniem zasługuje Merthin?

Caris poczuła się dotknięta drwiną ciotki. Rodzice Merthina faktycznie byli całkowicie zależni od klasztoru. Jeśli odziedziczy dochodowy interes, będzie to dla niego awans społeczny. Mimo to Caris czuła, że Merthin zasługuje na coś lepszego, choć nie umiała powiedzieć, jakiej przyszłości dla

niego pragnie. Wiedziała jedynie, że różni się od innych mieszczan, i nie mogła znieść myśli, że stanie się taki sam jak oni.

W piątek Caris poszła z Gwendą do Mattie Wise.

Gwenda wciąż przebywała w mieście, gdyż był tam również Wulfric, który musiał zająć się pogrzebem rodziny. Elaine, pokojówka Edmunda, wysuszyła przy ogniu sukienkę Gwendy, a Caris owinęła jej stopy bandażem i dała parę starych trzewików.

Caris miała wrażenie, że przyjaciółka nie mówi jej prawdy o swojej przygodzie w lesie. Powiedziała, że Sim zaprowadził ją do banitów, uciekła, Sim ją ścigał, a potem zginął w katastrofie mostu. John Constable nie miał zastrzeżeń do tej relacji, bo banici byli wyjęci spod prawa i nie było kwestii dziedzictwa własności po Simie. Gwenda była wolna. Jednakże Caris miała pewność, że w lesie zdarzyło się coś jeszcze, o czym Gwenda nie chciała rozmawiać. Caris nie naciskała. Pewnych rzeczy lepiej nie wyciągać na światło dzienne.

Miasto było zaabsorbowane pogrzebem ofiar tragedii. Nadzwyczajny sposób, w jaki zginęły, nie miał wpływu na przebieg pochówku. Trzeba było umyć ciała, biedaków owinąć w całuny, zbić trumny dla bogatych, wykopać groby i zapłacić księżom. Nie wszyscy mnisi mieli święcenia kapłańskie, lecz kilku tak - pracowali na zmiany przez kilka dni bez przerwy, nabożeństwa odprawiali na cmentarzu po północnej stronie katedry. W Kingsbridge było jeszcze kilka małych kościółków parafialnych i księża sprawujący w nich posługę także byli zajęci pogrzebami.

Gwenda pomagała Wulfricowi, robiąc to, czym tradycyjnie zajmowały się kobiety: myła ciała zmarłych i szyła całuny. Poza tym ze wszystkich sił starała się pocieszyć ukochanego. Wulfric był w stanie swoistego oszołomienia. Radził sobie z przygotowaniami do pogrzebu, lecz całymi godzinami siedział, patrząc w dal. Marszczył przy tym czoło, jak gdyby usiłował rozwikłać jakąś bardzo trudną zagadkę.

W piątek pogrzeby się skończyły, lecz pełniący obowiązki opata Carlus ogłosił, że w niedzielę odbędzie się specjalna msza za dusze zabitych w katastrofie mostu. Wulfric postanowił zostać w mieście aż do mszy. Gwenda powiedziała Caris, że cieszy się z towarzystwa kogoś z rodzinnej wsi, lecz ożywienie okazywał tylko wtedy, gdy mówił o Annet. Caris zaproponowała, że kupi dla przyjaciółki drugą porcję napoju miłosnego.

Dziewczęta zastały Mattie Wise w kuchni, zajętą przygotowywaniem lekarstw. Wnętrze małego domku pachniało ziołami, oliwą i winem.

- W sobotę i w niedzielę zużyłam prawie wszystko, co miałam - oznajmiła Mattie. - Muszę uzupełnić zapasy.

- Na pewno zarobiłaś też trochę pieniędzy - zauważyła Gwenda.

- Tak, ale nie wiem, czy uda mi się je zebrać. Caris była zszokowana.

- Czyżby ludzie cię oszukiwali?

- Niektórzy. Zawsze staram się brać należność zawczasu, póki klient odczuwa ból. Ale jeśli nie ma akurat pieniędzy, trudno odmówić mu pomocy. Większość później płaci, lecz nie wszyscy.

- I jak się tłumaczą? - spytała oburzona Caris.

- Rozmaicie. Nie stać ich, lek im nie pomógł, wzięli go wbrew swojej woli. Wymówki są różne. Ale nie martw się. Uczciwych jest tylu, że nadal mogą robić swoje. Co ci chodzi po głowie?

- Gwenda straciła w wypadku swój napój.

- Tę szkodę łatwo da się naprawić. Przyrządź jej drugą porcję. Caris zabrała się do dzieła.

- Ile ciąż kończy się poronieniem? - chciała wiedzieć.

Gwenda wiedziała, dlaczego przyjaciółka o to pyta. Caris powiedziała jej o dylemacie Merthina. Większość wspólnie spędzonego czasu poświęcały na rozmowy o obojętności Wulfrica wobec Gwendy albo o przywiązaniu Merthina do zasad. Caris przyszło nawet na myśl, żeby kupić napój miłosny i podać go Merthinowi, ale coś ją powstrzymało.

Mattie spojrzała na nią ostro, lecz odpowiedziała:

- Nikt tego nie wie. Często się zdarza, że kobieta nie ma krwawienia w jednym miesiącu, ale w następnym już ma. Zaszła w ciążę i straciła dziecko, czy był jakiś inny powód? Nie da się tego stwierdzić.

- Ach tak.

- Żadna z was nie jest w ciąży, jeśli to was trapi.

- Skąd wiesz? - zapytała szybko Gwenda.

- Wystarczy na was spojrzeć. Kobieta zmienia się momentalnie. Nie tylko jej brzuch i piersi, ale cera, sposób poruszania, nastrój. Widzę te rzeczy lepiej niż inni ludzie, dlatego zwą mnie mądrą. Kto jest w ciąży?

- Griselda, córka Elfrica.

- Tak, widziałam ją. Jest w trzecim miesiącu. Caris nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Co takiego?

- Jest w trzecim miesiącu, mniej więcej. Przyjrzyj jej się. Nigdy nie była szczupłą, ale teraz jest jeszcze tęższa. Czemu się tak zdziwiłaś? To dziecko Merthina, tak?

Mattie zawsze odgadywała takie rzeczy.

- Mówiłaś, że to się stało niedawno - powiedziała Gwenda do Caris.

- Merthin nie powiedział mi dokładnie, kiedy do tego doszło, ale zdawało mi się, że bardzo niedawno i tylko raz. A więc robił to z nią od miesięcy!

Mattie zmarszczyła czoło.

- Czemu miałby kłamać?

- Żeby nie wyglądał tak źle w twoich oczach? - zasugerowała Gwenda.

- A czy może wyglądać gorzej?

- Mężczyźni myślą w dziwny sposób.

- Zapytam go - oznajmiła Caris. - Nie będę zwlekąca. - Odłożyła stoik i łyżeczkę.

- Co z moim napojem miłosnym? - spytała Gwenda.

- Ja go dokończę - zdecydowała Mattie. - Caris za bardzo się spieszy.

- Dziękuję - rzekła Caris i wyszła.

Skierowała się prosto nad rzekę, lecz Merthina akurat tam nie było. W domu Elfrica także go nie zastała. Stwierdziła, że musi być w warsztacie murarzy.

W jednej z wież katedry od zachodniej strony znajdowało się pomieszczenie przeznaczone dla majstra murarskiego. Caris dotarła do niego, wspinając się spiralnymi schodami znajdującymi się w przyporze wieży. Było przestronne i dobrze oświetlone dzięki wysokim lancetowatym oknom. Wzdłuż ścian ułożono pięknie ukształtowane formy używane przez kamieniarzy, którzy pracowali przy budowie katedry. Formy zostały pieczołowicie przechowane i wykorzystywano je teraz przy pracach remontowych.

Deski podłogowe pokryto warstwą cementu. Jack, budowniczy katedry, wyrył plan świątyni w cemencie za pomocą żelaznego narzędzia. Linie nakreślone w ten sposób były z początku białe, lecz z czasem zanikały i można było umieszczać na nich nowe. Gdy rysunków było tyle, że nie dało się odróżnić nowych od starych, kładziono nową warstwę cementu i rysowanie zaczynało się od nowa.

Pergamin, cieniutka skóra, którą mnisi wykorzystywali do kopiowania Biblii, była zbyt cenna, by wykorzystywać ją do takich rysunków. W tym czasie pojawił się nowy materiał, papier, lecz pochodził z Arabii, więc mnisi odrzucili go jako pogański wynalazek muzułmanów. Poza tym musiano go importować z Włoch, toteż nie był tańszy od pergaminu. Rysunek na posadzce miał jeszcze jedną zaletę: cieśla mógł położyć na nim kawałek drewna i nakreślić formę dokładnie według linii wytyczonych przez majstra murarskiego.

Merthin klęczał, rzeźbiąc w kawałku dębiny wzór z rysunku, lecz nie robił formy. Sporządzał koło zębate z szesnastoma zębami. Tuż obok leżało drugie, mniejsze. Merthin przerwał na chwilę pracę, by przymierzyć je i zobaczyć, czy dobrze pasują. Caris widywała takie w młynach wodnych;

używano ich do łączenia koła łopatkowego z kamieniem.

Młodzieniec musiał słyszeć jej kroki na kamiennej klatce schodowej, lecz był zbyt pochłonięty pracą, by podnieść głowę. Przyglądała mu się przez chwilę, a gniew zmagął się w jej sercu z czułością. Dobrze znała tę pozycję: Merthin pochylał się nad robotą, jego mocne dłonie i zręczne palce dokonywały drobnych poprawek, nieruchoma twarz wyrażała całkowitą koncentrację, oczy ani drgnęły. Przypominał wtedy młodego jelenia, który wyginając z gracją szyję, pije wodę ze strumienia. Tak wygląda mężczyzna, który robi to, do czego został stworzony. Był w stanie przypominającym szczęście, lecz głębszym od szczęścia. Spełniał swoje przeznaczenie.

- Czemu mnie okłamałeś?! - wybuchła.

Dłuto się ześliznęło. Merthin krzyknął z bólu i spojrzał na swój palec.

- Chryste - powiedział, wsuwając palec do ust.

- Przepraszam. Skaleczyłeś się?

- Tylko trochę. Kiedy cię okłamałem?

- Powiedziałeś, że Griselda uwiodła cię tylko raz. A prawda jest taka, że robiliście to od kilku miesięcy.

- Nie - odparł Merthin, ssąc krwawiący palec.

- Ona jest w ciąży od trzech miesięcy.

- Wykluczone. To się stało dwa tygodnie temu.

- Jest w trzecim miesiącu, widać to po jej figurze.

- Ty to widzisz?

- Mattie Wise mi powiedziała. Dlaczego mnie okłamałeś? Merthin spojrzał jej w oczy.

- Nie kłamałem. To się stało w piątek w dniu targów. To był pierwszy i jedyny raz.

- To jak po dwóch tygodniach mogła być pewna, że jest w ciąży?

- Nie mam pojęcia. Kiedy kobiety się orientują?

- Nie wiesz?

- Nidy nie pytałem. Poza tym trzy miesiące temu Griselda spotykała się jeszcze z...

- O Boże! - szepnęła Caris. W jej sercu rozbłysła iskierka nadziei. - Ona była ze swoim chłopakiem, Thurstanem. - Iskierka wznieciła płomień. - To musi być jego dziecko, a nie twoje. Nie jesteś ojcem!

- Czy to możliwe? - Merthin bał się uchwycić nadziei.

- Tak, teraz wszystko jest jasne. Gdyby Griselda się w tobie zakochała, ani przez chwilę nie dałaby ci spokoju. Ale ona prawie się do ciebie nie odzywa.

- Myślałem, że to dlatego, iż nie mam ochoty się z nią żenić.

- Nigdy cię nie lubiła. Potrzebowała tylko ojca dla swojego dziecka. Thurstan uciekł
pewnie wtedy, gdy powiedziała mu o ciąży, a ty byłeś pod ręką, i na tyle głupi, by dać się
złapać na jej sztuczkę. Och, dzięki ci, Boże!

- Podziękuj Mattie Wise - zauważył Merthin. Caris złapała go za lewą rękę. Z palca sączyła
się krew.

- Przeze mnie się skaleczyłeś! - Ujęła jego dłoń i obejrzała ranę. Była mała, lecz głęboka. -
Przepraszam.

- To nic takiego.

- Ale jednak - odparła Caris. Sama nie wiedziała, czy mówi o zranieniu, czy o czymś innym.
Pocałowała go w rękę i poczuła na wargach gorącą krew. Włożyła sobie palec do ust i wyssała go do
sucha. To było tak intymne jak akt miłosny. Caris zamknęła oczy. Przełknęła krew, smakując ją, i
zadrżała z rozkoszy.

Tydzień po katastrofie mostu Merthin zbudował prom.

Był gotowy w sobotę rano, w dniu cotygodniowego targu. Merthin pracował przy nim przy
świecie lamp przez całą noc z piątku na sobotę. Caris domyśliła się, że nie miał czasu, by pomówić z
Griselda i powiedzieć jej, że wie, kto jest ojcem dziecka. Caris zeszła z ojcem nad rzekę, by popatrzeć,
jak pierwsi uczestnicy targu wsiadają na nowy prom. Byli nim mieszkańcy okolicznych wiosek:
kobiety z koszami pełnymi jaj, kmiecie wiozący na wozach masło i ser, pasterze ze stadkami owiec.

Caris podziwiała robotę Merthina. Tratwa była wystarczająco duża, by pomieścić wóz z
koniem bez wyprzęgania, i miała mocne drewniane barierki, żeby owce nie powpadały do wody.
Dzięki nowym drewnianym platformom na obu brzegach wozy mogły łatwo wjeżdżać na prom i z
niego zjeżdżać. Pasażerowie płacili pensa od osoby, zbierał je mnich. Prom, podobnie jak most,
należał do opactwa.

Najciekawszy był opracowany przez Merthina system przeciągania tratwy z jednego brzegu na
drugi. Długa lina przymocowana do Jednego końca promu biegła przez szerokość rzeki, wokół słupa, z
powrotem przez rzekę, wokół bębna i do drugiego końca promu. Bęben był połączony drewnianymi
trybami z kołem, którym kręcił idący wół. Właśnie przy wycinaniu kół Caris zastała wczoraj Merthina.
Dźwignia zmieniała biegi, tak więc bęben mógł się obracać w obie strony w zależności od tego, w
którą stronę prom się poruszał. Nie było potrzeby wyprzęgania wołu i go odwracania.

- To proste - rzekł Merthin, widząc podziw na twarzy Caris.

Przyjrząwszy się urządzeniu, przyznała mu rację. Dźwignia wyciągała duże koło zębate z
łańcucha, a na jego miejsce wskakiwały dwa mniejsze, w efekcie zmieniał się kierunek obrotu bębna.
Jednak w Kingsbridge nigdy czegoś podobnego nie widziano.

Ludzie przychodzili przez cały ranek, żeby podziwiać niezwykłą machinę Merthina. Caris promieniała z dumy. Elfric stał w pobliżu i objaśniał każdemu działanie mechanizmu, przypisując sobie zasługę za dzieło czeladnika.

Caris zastanawiała się, jak można być tak bezczelnym. Elfric porąbał drzwi wyrzeźbione przez Merthina, taki czyn oburzyłby mieszkańców miasta, gdyby nie wydarzyła się większa tragedia, jaką było zawalenie się mostu. Uderzył Merthina kijem, młodzieniec wciąż miał siniaka na twarzy. Na dodatek wziął udział w spisku, którego celem było doprowadzenie do tego, że Merthin ożeni się z Griselda i weźmie na siebie wychowanie dziecka innego mężczyzny. Czeladnik wciąż u niego pracował, uważając, iż nadzwyczajna sytuacja jest ważniejsza i że usuwa spór na dalszy plan. Jak Elfric będzie mógł chodzić po tym wszystkim z podniesioną głową, tego Caris nie wiedziała.

Prom był znakomity, lecz niewystarczający.

Edmund zauważył, że na drugim brzegu rzeki zebrali się ludzie z wozami, czekając w kolejce, która ciągnęła się przez całe przedmieście jak okiem sięgnąć.

- Dwa woły przyspieszyłyby przeprawę - stwierdził Merthin.

- Szłaby dwa razy szybciej?

- Nie. Mógłbym zbudować drugi prom.

- Już mamy drugi - odparł Edmund, wskazując rzekę. I faktycznie: Ian Boatman *[* Boatman (ang.) - przewoźnik.] przewoził pieszych pasażerów łodzią wiosłową. Nie brał wozów ani zwierząt, i pobierał dwa pensy od osoby. Jeszcze niedawno z trudem wiązał koniec z końcem, bo dwa razy dziennie przewoził mnichów na Wyspę Trędowatych i poza nimi nie miał wielu klientów. Ale dzisiaj ustawiła się do niego kolejka.

- Ma pan rację - przyznał Merthin. - Prom to jednak nie most.

- To katastrofa. Decyzja Buonaventury była ciosem. Ale to może dobić handel w mieście.

- W takim razie musi pan mieć nowy most.

- Nie ja, tylko opactwo. Opat nie żyje i nie wiadomo, jak długo potrwa wybranie nowego. Trzeba będzie przycisnąć urzędującego zastępcę, żeby podjął decyzję. Pójdę do Carlusa. Chodź ze mną, Caris.

Po chwili znaleźli się w klasztorze. Goście przeważnie musieli udać się najpierw do szpitala i zawiadomić któregoś z służących, że chcą mówić z którymś z mnichów, jednak Edmund był zbyt ważną osobą, i zbyt dumną, by w taki sposób prosić o audiencję. Opat był panem Kingsbridge, lecz Edmund był starszym gildii, przewodniczył kupcom, którzy uczynili miasto tym, czym teraz jest, toteż traktował opata jak partnera w zarządzaniu nim. Poza tym w ciągu ostatnich trzynastu lat opatem był jego młodszy brat. Ruszył więc prosto do domu opata po północnej stronie katedry.

Był to drewniany dom, podobny do domu Edmunda, z dwiema izbami na parterze i dwiema sypialniami na piętrze. Kuchni nie było, gdyż posiłki dla opata przygotowywano w kuchni klasztornej. Wielu biskupów i opatów mieszkało w pałacach - biskup Kingsbridge miał wspaniałą siedzibę w Shiring - lecz opat Kingsbridge mieszkał skromnie. Jednak fotele w jego domu były wygodne, na ścianach wisiały gobeliny przedstawiające sceny biblijne, a dzięki dużemu kominkowi było ciepło i przytulnie.

Caris i Edmund przybyli późnym rankiem, gdy młodszy mnisi pracowali, a starsi zajmowali się lekturą. Ślepy Carlus był pogrążony w rozmowie z Simeo-nem, skarbnikiem opactwa.

- Musimy porozmawiać o nowym moście - zaczął od progu Edmund.

- Dobrze, Edmundzie - odparł Carlus, który poznał gościa po głosie. Caris zauważyła, że nie było to ciepłe powitanie. Przyszło jej na myśl, że zjawili się w nieodpowiednim momencie.

Edmund równie dobrze jak córka wyczuwał nastroje, ale zawsze brnął dalej, na nic nie zważając. Wziął sobie krzesło i usiadł.

- Jak sądzisz, kiedy przeprowadzicie wybory nowego opata?

- Ty też możesz usiąść, Caris - rzekł Carlus. Dziewczyna nie miała pojęcia, skąd mnich wie, że ona też tu jest. - Nie wyznaczono daty wyborów. Hrabia Roland ma prawo nominować jednego kandydata, ale nie odzyskał jeszcze przytomności.

- Nie możemy czekać - stwierdził Edmund. Caris uważała, że zbyt ostro stawia sprawę, lecz ojciec taki właśnie był, więc nic nie powiedziała. - Musimy rozpocząć budowę. Drewno się nie nadaje, trzeba zbudować most z kamienia. Potrwa to trzy lata, a jeśli będziemy zwlekali, nawet cztery.

- Kamienny most?

- To konieczność. Rozmawiałem z Elfrikiem i Merthinem. Most drewniany zawalił się tak jak poprzedni.

- Ale jakie będą koszty!

- Około dwustu pięćdziesięciu funtów, w zależności od projektu. Tyle wyliczył Elfrie.

- Nowy most drewniany kosztowałby pięćdziesiąt funtów, a brat Anthony w zeszłym tygodniu odrzucił propozycję ze względu na cenę.

- I wiemy już, jak to się skończyło! Stu ludzi zginęło, jeszcze więcej odniosło rany, kupcy stracili zwierzęta i wozy, opat nie żyje, a hrabia^Atrzy śmierci w oczy.

- Mam nadzieję, że nie obwiniasz o to wszystko świętej pamięci opata Anthony'ego - rzekł sztywno Carlus.

- Nie możemy udawać, że jego decyzja dobrze się nam przysłużyła.

- Pan Bóg ukarał nas za nasze grzechy.

Edmund westchnął. Caris wiedziała, co myśli ojciec. Ilekroć mnisi się pomylili, odwoływali się do Boga.

- Nam, zwyczajnym ludziom, trudno jest poznać boskie zamiary - powiedział Edmund - ale jedno wiemy na pewno: bez mostu miasto umrze. Już przegrywamy konkurencję z Shiring. Jeśli nie zbudujemy kamiennego mostu najszybciej jak się da, Kingsbridge stanie się małą wioską.

- Może to przeznaczył nam pan Bóg.

- Czy to możliwe, żeby pan Bóg był tak bardzo rozczarowany wami, swoimi mnichami? - spytał zdesperowany Edmund. - Bo wierz mi, jeśli targi wełny i Kingsbridge umrą, nie będzie tutaj klasztoru z dwudziestoma pięcioma mnichami, czterdziestoma zakonnicami i pięćdziesięcioma pracownikami, szpitala, chóru i szkoły. Katedry też może nie być. Biskup Kingsbridge zawsze mieszkał w Shiring. Co się stanie, jeśli tamtejsi bogaci kupcy zaproponują budowę w swoim mieście nowej wspaniałej katedry z dochodów, które uzyskują z rozwijającego się rynku? Nie będzie więc targów, miasta, katedry i opactwa. Czy tego pragniesz?

Carlus się przeraził. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że długofalowe skutki zawalenia się mostu mogą dotknąć opactwo.

- Jeśli opactwa nie stać na most drewniany, to z pewnością nie ma szans na budowę kamiennego - zauważył Simeon.

- Ale musicie go zbudować!

- Czy murarze będą pracowali za darmo?

- Wykluczone. Mają rodziny do wykarmienia. Ale już mówiliśmy o tym, że mieszczanie mogą zebrać pieniądze i pożyczyć je opactwu. Zabezpieczeniem byłoby myto pobierane na moście.

- W ten sposób odebralibyście nam dochód z mostu! - oburzył się Simeon. - Uciekacie się do oszustwa.

- Teraz nie macie żadnych dochodów z mostu - wtrąciła Caris.

- Wprost przeciwnie, zbieramy opłatę za prom.

- Znaleźliście pieniądze, żeby zapłacić za niego Elfricowi.

- To o wiele mniej, niż potrzeba na most, a i tak opróżniliśmy skarbiec.

- Opłaty to niewiele, bo prom pływa za wolno.

- Może kiedyś nadejdzie czas, gdy opactwo będzie mogło zbudować nowy most. Pan Bóg ześle środki, jeśli taka będzie jego wola. A wtedy będziemy mieli dochody z myta.

- Pan Bóg już zesłał środki - zauważył Edmund. - Natchnął moją córkę, by wpadła na sposób zebrania pieniędzy, o jakim nikt przedtem nie pomyślał.

- Pozwól, że to my będziemy decydowali o tym, co uczynił Pan Bóg.

- Doskonale. - Edmund wstał, Caris zrobiła to samo. - Jest mi bardzo przykro, że taka jest twoja decyzja. To będzie katastrofa dla Kingsbridge i wszystkich, którzy tu mieszkają, także mnichów.

- To mną kieruje Pan Bóg, nie tobą. Edmund i Caris odwrócili się w stronę drzwi.

- Jeszcze jedna rzecz - odezwał się Carlus. Edmund się zatrzymał.

- Słucham.

- To niedopuszczalne, by ludzie świeccy wchodzili wedle woli do budynków opactwa. Kiedy następnym razem zechcesz mnie widzieć, idź do szpitala i każ nowicjuszowi lub służącemu, żeby mnie poszukał.

- Jestem starszym gildii! Zawsze miałem bezpośredni dostęp do opata.

- Opat Anthony był twoim bratem i to powstrzymywało go od stosowania zwyczajowych reguł. Teraz jest inaczej.

Caris spojrzała na twarz ojca. Edmund z trudem powściągał gniew.

- Doskonale - rzekł przez zaciśnięte usta.

- Idź z Bogiem.

Edmund wyszedł, Caris podążyła za nim.

Na błotnistej trawie przed katedrą stało żałośnie mało straganów. Caris rozumiała troskę ojca. Większość ludzi martwiła się tylko o to, by wyżywić rodzinę. Edmund troszczył się o całe miasto. Jego ściągnięta twarz wyrażała głęboki niepokój. Carlus może wzniesć ręce i powiedzieć, że stanie się wola Boga, lecz Edmund tego nie zrobi. Myślał intensywnie, jak rozwiązać problem. Współczuła mu: ojciec starał się robić to, co należy, i nie otrzymał żadnej pomocy od wszechwładnego opactwa. Edmund nigdy się nie skarżył, że odpowiedzialność mu ciąży, po prostu brał ją na siebie. Caris miała ochotę się rozplakać.

Opuścili teren klasztorny i przeszli przez główną ulicę.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Caris, gdy stanęli przed drzwiami domu.

- To chyba jasne. Musimy się postarać, żeby Carlus nie został wybrany na opata.

15

Godwyn marzył o tym, by zostać opatem Kingsbridge. Pragnął tego całym sercem. Chciał uszczelnić kontrolę finansów opactwa, poprawić zarządzanie ziemią i innymi nieruchomościami, tak aby mnisi nie musieli już chodzić po pieniądze do Cecillii. Chciał także dokładniej oddzielić mnichów od zakonnic i mieszkańców miasta, żeby wszyscy słudzy boży mogli oddychać czystym powietrzem duchowości. Jednak oprócz tych szlachetnych motywów było coś jeszcze: Godwyn pożądał władzy i godności związanej ze stanowiskiem opata. W swojej wyobraźni już nim był.

- Posprzątaj ten bałagan w klasztorze! - krzyknąłby do któregoś z mnichów.

- Tak, ojcie przeorze, już idę.

Godwynowi bardzo się podobał tytuł „ojciec przeor”.

- Witaj, biskupie - rzekłby do Richarda. Nie służalczo, lecz tonem przyjaznej uprzejmości.

A biskup odpowiedziałby tak, jak wybitny duchowny odpowiada innemu wybitnemu duchownemu:

- Witaj, przeorze Godwynie.

- Ufam, że jesteś zadowolony, arcybiskupie? - powiedziałby z większym szacunkiem, lecz wciąż jak młodszy kolega wielkiego człowieka, a nie jak jego korny sługa.

- Och, tak, Godwynie, sprawiłeś się nadzwyczajnie.

- Wasza Wielbność jest bardzo łaskawa.

A pewnego dnia być może będzie spacerował korytarzem ramię w ramię z bajecznie bogato odzianym mężczyzną.

- Wizyty Waszej Wysokości to wielki zaszczyt dla naszego skromnego klasztoru.

- Dziękuję, ojcie Godwynie. Przybyłem, by poprosić cię o radę. Pragnął godności opata, ale nie wiedział, jak ją zdobyć. Rozmyślał o tym przez cały tydzień, nadzorując pochówki i planując wielką niedzielną mszę, która miała być pogrzebem Anthony’ego, a jednocześnie nabożeństwem za dusze wszystkich zmarłych tragicznie mieszkańców Kingsbridge.

Na razie nie rozmawiał z nikim o swoich nadziejach. Przed dziesięcioma dniami zapłacił za swoją prostolinijność. Poszedł na kapitułę z Księżą Timo-thy’ego i mocnymi argumentami na rzecz zmian, a stara gwardia zwróciła się przeciwko niemu zgodnym chórem, jakby to przeciwiczyła, i zmiażdżyła go tak, jak koło ciężkiego wozu miażdży żabę.

To nie może się powtórzyć.

W niedzielę rano, gdy mnisi weszli do refektarza, by spożyć śniadanie, któryś z nowicjuszy szepnął Godwynowi na ucho, że w północnym przedsionku katedry czeka jego matka. Wymknął się dyskretnie.

Z obawą kroczył korytarzem klasztoru, a później przez katedrę. Domyślał się powodu wizyty Petranilli. Wczoraj zdarzyło się coś, co ją zaniepokoiło. W nocy długo nie mogła zasnąć, rano zaś obudziła się z gotowym planem działania, a Godwyn był jednym z jego elementów. Będzie niecierpliwa i apodyktyczna. Jej plan prawdopodobnie jest dobry, lecz nawet jeśli nie, matka będzie się domagała jego wykonania.

Petranilla stała w półmroku. Jej płaszcz był mokry, gdyż znowu padało.

- Wczoraj mój brat Edmund odwiedził Ślepego Carlusa - zaczęła. - Mówi, że Carlus

zachowuje się tak, jakby już był opatem, jak gdyby wybory były zwykłą formalnością.

Wygłosiła te słowa oskarżycielskim tonem, jakby obwiniała Godwyna.

- Stara gwardia opowiedziała się za Carlusem, jeszcze zanim ciało wuja Anthony'ego ostygło.

Nie będą chcieli słyszeć o innych kandydatach.

- Hmm. A młodzież?

- Chcą, żebym to ja został opatem, naturalnie. Spodobało im się, że stanąłem przeciwko Anthony'emu w sprawie Księgi Timothy'ego, mimo że zostałem przegłosowany. Ale nic jeszcze nie powiedziałem.

- Są jacyś inni kandydaci?

- Thomas Langley trzyma się z boku. Niektórzy mają mu za złe, że był rycerzem, że zabijał ludzi, sam to zresztą przyznał. Ale jest zdolny, wykonuje swoje zadania po cichu, lecz skutecznie, nie traktuje źle nowicjuszy...

Petranilla się zamyśliła.

- Co o nim wiadomo? Dlaczego został mnichem?

Lęk Godwyna powoli malał. Wyglądało na to, że matka nie zamierza besztać go za bezczynność.

- Thomas mówi, że zawsze tęsknił do życia zakonnego. Kiedy trafił tutaj z raną od miecza, postanowił zostać na zawsze.

- Pamiętam. To było dziesięć lat temu. Ale nigdy się nie dowiedziałam, gdzie odniósł tę ranę.

- Ani ja. Thomas nie lubi opowiadać o swojej burzliwej przeszłości.

- Kto zapłacił za jego przyjęcie do klasztoru?

- To dziwne, ale nie wiem. - Godwyn często podziwiał matkę za to, że umie zadać najważniejsze pytanie. Miała cechy tyrańcy, lecz zasługiwała na podziw. - Być może zrobił to biskup Richard, pamiętam, że obiecywał przekazać zwyczajowy dar. Ale osobiście nie dysponował żadnymi środkami, był biskupem, a więc tylko kapłanem. Może przemawiał w imieniu Rolanda?

- Dowiedz się tego.

Godwyn się zawahał. Musiałby przeczytać zapisy w klasztornej bibliotece.

Bibliotekarz, brat Augustine, nie ośmieliłby się wypytywać zakrystiana, po co to robi, lecz ktoś inny mógłby się tym zainteresować. Godwyn znalazłby się wtedy w niezręcznej sytuacji i musiałby wymyślić na swoje usprawiedliwienie prawdopodobną bajeczkę. Gdyby darem była gotówka, a nie ziemia lub nieruchomość - co zdarzało się, choć rzadko - musiałby przejrzeć rachunki...

- Nad czym się zastanawiasz? - spytała ostro Petranilla.

- Nieważne. Masz rację. - Godwyn przypomniał sobie, że apodyktyczność matki jest oznaką miłości do niego. Możliwe, że Petranilla nie знаła innego sposobu wyrażania uczuć. - Musi być jakiś ślad. Jeśli się zastanowić...

- Tak?

- O darze tego rodzaju zwykle trąbi się na wszystkie strony. Przeor ogłasza to w kościele i prosi Boga o błogosławieństwo dla darczyńcy, a później wygłasza kazanie o tym, że ci, którzy przekazują ziemię opactwu, znajdują nagrodę w niebie. Nie pamiętam, żeby coś takiego działo się po tym, jak Thomas do nas zawitał.

- Tym bardziej trzeba sprawdzić akta. Wydaje mi się, że Thomas ukrywa jakąś tajemnicę. A tajemnica zawsze stanowi słabość.

- Zajmę się tym. Co powinienem powiedzieć tym, którzy chcą, bym stanął do wyborów?

Petranilla uśmiechnęła się szelmowsko.

- Chyba trzeba im powiedzieć, że nie będziesz kandydował.

Zanim Godwyn skończył rozmawiać z matką, było po śniadaniu. Obowiązująca od dawien dawna zasada mówiła, że spóźnialskim nie wolno jeść, jednak szef kuchni, brat Reynard, zawsze znalazł jakiś kąsek dla tych, których darzył sympatią. Godwyn poszedł do kuchni i dostał plaster sera oraz piętękę chleba. Zjadł na stojąco, a słudzy klasztoru znosili tymczasem naczynia z refektarza i szorowali żelazny kociołek, w którym ugotowano owsiankę.

Godwyn rozmyślał o radzie matki. Im dłużej się zastanawiał, tym mądrzejsza się wydawała. Jeśli ogłosi, że nie będzie kandydował w wyborach, wszystko, co powie, będzie miało wartość opinii niezależnego obserwatora. Będzie mógł manipulować wyborami, nie narażając się na podejrzenie, że kierują nim egoistyczne pobudki. A w ostatniej chwili może wykonać jakiś ruch. Przepeliła go wdzięczność dla matki za to, że jej niestrudzony umysł zawsze pracuje z myślą o nim, i za odwagę w podejmowaniu śmiałych decyzji.

Nieoczekiwanie przed Godwynem stanął brat Theodoric. Jego jasna cera zaróżowiła się od gniewu.

- Brat Simeon mówił przy śniadaniu o tym, że Carlus zostanie przeorem. Rozwodził się o kontynuacji mądrych rządów Anthony'ego. Wszystko będzie po staremu!

Sprytnie, pomyślał Godwyn. Simeon wykorzystał nieobecność Godwyna, by autorytatywnie wygłaszać opinie, które on by zakwestionował.

- To niegodny postępek - rzekł, wczuwając się w emocje Theodorica.

- Zapytałem, czy innym kandydatom będzie wolno w taki sam sposób zwracać się do braci przy śniadaniu.

- Brawo! - pochwalił go z uśmiechem Godwyn.

- Simeon stwierdził, że nie ma potrzeby zgłaszania innych kandydatów. „To nie są zawody w strzelaniu z łuku”, powiedział. Jego zdaniem decyzja już została podjęta: opat Anthony wskazał Carlusa jako sukcesora, mianując go swoim zastępcą.

- Toż to nonsens.

- Właśnie. Mnisi są wściekli.

Świetnie, pomyślał Godwyn. Carlus zraził do siebie nawet swoich popleczników, próbując odebrać im prawo głosu. Sam zastawia na siebie pułapkę.

- Powinniśmy naciskać Carlusa, żeby zrezygnował z kandydowania - ciągnął Theodoric.

„Rozum ci odebrało?”, chciał zapytać Godwyn. Zagryzł jednak język, udając, że rozważa postulat Theodorica.

- Czy to jest najlepsza droga do osiągnięcia celu? - spytał niepewnie. Pytanie zaskoczyło młodego mnicha.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Powiedziałeś, że bracia rozgniewali się na Carlusa i Simeona. Jeśli ich nastawienie się nie zmieni, nie zagłosują na Carlusa. Lecz jeśli Carlus się wycofa, stara gwardia wystawi innego kandydata. Za drugim razem mogliby wybrać lepiej, na przykład brata Josepha.

Theodoric na chwilę zaniemówił.

- Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Może to nadzieja dla nas, jeśli Carlus pozostanie kandydatem starszych braci. Wszyscy wiedzą, że opowiada się przeciwko wszelkim zmianom. W życiu mnicha podoba mu się pewność, że każdy dzień będzie taki sam: że będzie chodził tymi samymi ścieżkami, siadał na tym samym krześle, jadł, modlił się i spał w tych samych miejscach. Niewykluczone, że dzieje się tak z powodu jego ślepoty, choć podejrzewam, że byłby taki sam, nawet gdyby widział. Powód nie ma zresztą znaczenia. Carlus uważa, że w klasztorze niczego nie należy zmieniać. Niewielu mnichów jest równie zadowolonych z obecnego stanu rzeczy, a to czyni go stosunkowo łatwym do pokonania. Kandydat reprezentujący starą gwardię, lecz opowiadający się za drobnymi reformami miałby o wiele większe szanse na zwycięstwo.

Godwyn zauważył, że porzucił tryb przypuszczający i mówi jak wykładowca. Musi się szybko wycofać.

- Sam nie wiem... A ty jak uważasz?

- Sądzę, że jesteś geniuszem - odparł Theodoric. Nie jestem, ale szybko się uczę, pomyślał Godwyn.

Pozegnał Theodorica i przeszedł do szpitala, gdzie zastał Philemona przy sprzątanii prywatnych komnat na piętrze. Lord William wciąż tam był; opiekował się ojcem, czekając, aż hrabia obudzi się lub umrze. Towarzyszyła mu lady Philippa. Biskup udał się do swojego pałacu w Shiring, lecz jeszcze dziś miał wrócić, by wziąć udział w uroczystej mszy za dusze zmarłych.

Godwyn zaprowadził Philemona do biblioteki. Philemon ledwo radził sobie z czytaniem, ale mógł mu pomóc w szukaniu aktów nadania w archiwum.

W klasztorze znajdowało się ponad sto takich dokumentów. Większość stanowiły akty nadania ziemi w okolicach Kingsbridge, ale były i takie, które odnosiły się do darowizn w odległych częściach Anglii i Walii. Inne zawierały opisy przywilejów dla mnichów, pozwalających założyć klasztor, zbudować kościół, wydobywać kamień z kamieniołomów na ziemiach hrabiego Shiring bez opłaty, dzielić ziemię wokół klasztoru na działki i je wydzierżawiać, prowadzić rozprawy sądowe, organizować cotygodniowy targ, pobierać opłatę za przekraczanie mostu, urządzać doroczne targi wełny i wysyłać drogą wodną towary do Melcombe bez płacenia myta właścicielom wszystkich terenów, przez które przepływa rzeka.

Dokumenty były spisane piórem i atramentem na pergaminie, cieniutkiej skórce, w pocie czoła oskrobanej, wyczyszczonej, wybielonej i rozciągniętej tak, by można było na niej pisać. Dłuższe dokumenty rolowano i wiązano cienkim skórzanym rzemykiem. Przechowywano je w kufrze z żelaznymi okuciami. Kufer był zamknięty, lecz klucz znajdował się w bibliotece w małej rzeźbionej szkatułce.

Godwyn zmarszczył czoło, kiedy otworzył skrzynię. Akty nie zostały ułożone w stosy, tylko wrzucone byle jak. Niektóre popękały na krawędziach, wszystkie pokrył kurz. Powinno sieje trzymać uporządkowane wedle dat i ponumerowane, a lista z numerami powinna zostać umieszczona na wewnętrznej stronie wieka, tak aby można było łatwo odszukać żądany pergamin, pomyślał Godwyn. Jeśli zostanę przeorem...

Philemon wyjmował po kolei każdy dokument, zdmuchiwał z niego kurz i rozkładał na stole przed Godwynem. Większość ludzi nie lubiła Philemona. Niektórzy starsi mnisi mu nie ufali, lecz Godwyn do nich nie należał. Trudno jest nie ufać komuś, kto traktuje cię jak bóstwo. Reszta mnichów po prostu do niego przywykła, gdyż był w klasztorze od dawna. Godwyn pamiętał go jako wysokiego niezdarnego chłopaka, bez przerwy kręcącego się wokół klasztoru i pytającego mnichów, do którego świętego najlepiej się modlić i czy byli kiedyś świadkami cudu.

Większość aktów przepisano dwukrotnie na tym samym pergaminie. Pomiedzy dwiema kopiami wypisywano dużymi literami słowo „cyrograf, a następnie zygzakowatą linią przecinano pergamin przez środek słowa. Każda ze stron umowy zatrzymywała połowę dokumentu. Jeśli

zygzakowate linie do siebie pasowały, traktowano to jako dowód jego autentyczności.

Niektóre pergaminy miały dziury - prawdopodobnie były to ślady na skórach owiec po ukąszeniach owadów. Inne zostały na brzegach nadgryzione przez myszy.

Rzecz jasna wszystkie były napisane po łacinie. Godwyn bez trudu odczytywał te, które powstały niedawno, lecz dawny styl pisma czasem sprawiał mu kłopot. Zaczynał od szukania daty. Chciał znaleźć dokument sporządzony wkrótce po dniu Wszystkich Świętych dziesięć lat temu.

Przejrzał wszystkie akty i niczego nie znalazł.

Jedyny dokument z tego okresu powstał kilka tygodni później. Hrabia Roland udzielał w nim sir Geraldowi pozwolenia, by ten zrzekł się swoich ziem na rzecz opactwa. W zamian za to klasztor miał darować Geraldowi długi, a później zapewniać utrzymanie jemu i jego żonie do końca ich dni.

Godwyn wcale nie czuł się rozczarowany. Wprost przeciwnie. Istniały tylko dwie możliwości: albo Thomasa przyjęto bez zwyczajowego daru, co samo w sobie byłoby dziwne, albo akt przechowywano gdzieś, gdzie nie mogły go zobaczyć niepowołane oczy. Tak czy inaczej było coraz bardziej prawdopodobne, że przecucie nie zawiodło Petranilli: Thomas ma jakąś tajemnicę.

W klasztorze nie było wielu prywatnych miejsc, mnisi bowiem zgodnie z regułą nie mieli własności prywatnej ani sekretów. Jakkolwiek w niektórych bogatych klasztorach istniały osobne cele dla starszych rangą zakonników, mnisi w Kingsbridge spali w jednej dużej sali. Wszyscy z wyjątkiem przeora. Niemal na pewno zatem dokument, dzięki któremu Thomas został przyjęty do klasztoru, znajduje się w domu przeora.

Obecnie zajmował go Carlus.

To bardzo utrudniało sprawę, gdyż Carlus nie pozwoliłby Godwynowi przeszukać swojej kwatery. Nie musiałby zapewne długo szukać, gdzieś na widoku jest kufer lub sakwa z osobistymi dokumentami przeora Anthony'ego: pamiętnik z czasów jego nowicjatu, zyczliwy list od arcybiskupa, teksty kazań. Carlus nie miał powodu, by pozwolić Godwynowi przejrzeć te rzeczy.

Mnich ściągnął brwi w zamyśleniu. Czy ktoś inny mógłby to zrobić za niego? Edmund lub Petranilla mogliby poprosić, żeby pozwolono im zobaczyć rzeczy zmarłego brata, a Carlusowi trudno byłoby taką prośbę odrzucić. Mógłby jednak usunąć wcześniej ważne dokumenty. Nie, przeszukanie musi się odbyć w tajemnicy.

Bicie w dzwony oznajmiło tercję, poranne nabożeństwo. Godwyn uświadomił sobie, że jedyną porą, kiedy może być pewny, iż Carlusa nie ma w domu, jest pora mszy w katedrze.

Będzie musiał opuścić tercję. Wymyśli jakąś wiarygodną wymówkę. Nie będzie to łatwe, wszak jest zakrystianem, czyli jedynym, który nigdy nie powinien opuszczać nabożeństw. Nie było jednak innego wyjścia.

- Chcę, żebyś przyszedł do mnie, kiedy będę w kościele - rzekł do Philemona.

- Dobrze - zgodził się Philemon, choć na jego twarzy pojawiła się troska, bo sługom klasztornym nie wolno było wchodzić do prezbiterium w czasie mszy.

- Przyjdiesz zaraz po czytaniu i powiesz mi coś szeptem na ucho. Nieważne, co to będzie. Nie zwracaj uwagi na moją reakcję, tylko mów.

Philemon zmarszczył czoło, ale skinął głową na zgodę. Dla Godwyna gotów był zrobić wszystko.

Po wyjściu z biblioteki Godwyn przyłączył się do mnichów zmierzających do katedry. W nawie stała tylko garstka ludzi; większość parafian przyjdzie o późniejszą mszę poświęconą ofiarom katastrofy mostu. Mnisi zajęli miejsca w prezbiterium i rozpoczęło się nabożeństwo.

- Panie Boże, bądź mi ku pomocy - powiedział razem z resztą. Skończyło się czytanie i zaczął pierwszy hymn. W tej samej chwili zjawił się Philemon. Mnisi zwrócili na niego oczy. Ludzie zawsze zwracają uwagę na wszystko, co zakłóca dobrze znany obrzęd. Brat Simeon ściągnął gniewnie brwi. Carlus, który intonował pieśń, wyczuł zamieszanie. Philemon podszedł do Godwyna i nachylił się ku niemu.

- Szczęśliwy mąż, który nie idzie za radą występnych *[* Ps. 1,1, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.] - wyszeptał. Godwyn udał zaskoczonego i nadal słuchał, jak Philemon recytuje Psalm Pierwszy. Po chwili pokręcił głową, jakby odmawiał jego prośbie. Philemon nie przestawał mówić. Godwyn wiedział, że będzie musiał obmyślić skomplikowaną historyjkę dla wyjaśnienia tej pantomimy. Może trzeba będzie powiedzieć, że matka koniecznie chce z nim natychmiast mówić w sprawie pogrzebu brata i że zagroziła wejściem do prezbiterium, w razie gdyby Philemon nie zgodził się przekazać wiadomości Godwynowi. Upór Petranilli oraz żaloba panująca w rodzinie przydawały bajeczce wiarygodności. Philemon skończył recytować psalm. Godwyn zrobił zrezygnowaną minę, wstał i wyszedł za sługą z prezbiterium.

Pospiesznie obeszli katedrę, zmierzając do domu przeora. Jakiś młody chłopak zamiatał podłogę. Nie ośmieli się nagabywać mnicha. Może powiedzieć Carlusowi, że Godwyn i Philemon weszli do jego siedziby, ale wtedy będzie już za późno.

Godwyn stwierdził, że kwatery przeora jest nędzna. Była mniejsza od domu wuja Edmunda przy głównej ulicy. Opat powinien mieć pałac odpowiedni do jego godności tak jak biskup. Ten budynek zaś nie miał w sobie niczego wspaniałego. Na ścianach wisiało kilka gobelinów przedstawiających sceny biblijne, które zdobiły wnętrza, a jednocześnie zapobiegały przeciągom, jednakże całość była posępna i nieciekawa. Taki też był zmarły przeor.

Z pomocą Philemona Godwyn szybko przeszukał dom i bez trudu odnalazł to, czego poszukiwał. W sypialni na piętrze, w kufrze stojącym obok klęcznika, znajdowała się duża teczka na dokumenty wykonana z miękkiej, rudobrazowej kozłej skóry, pięknie wyszywana szkarłatną nicią. Godwyn domyślił się, że jest to podarunek od jakiegoś bogobojnego garbarza.

Philemon obserwował go uważnie, gdy Godwyn ją otwierał.

W środku było około trzydziestu pergaminów dla ochrony przedzielonych skrawkami płótna. Godwyn przejrzał je błyskawicznie.

Kilka zawierało notatki o psalmach. Anthony musiał się kiedyś przymierzać do napisania książki z komentarzami, lecz najwyraźniej porzucił tę pracę. Najbardziej zaskakiwał poemat miłosny po łacinie. Zatytułowany *Firent Oculi* utwór był adresowany do mężczyzny o zielonych oczach. Wuj Anthony tak samo jak wszyscy inni członkowie rodziny miał zielone oczy nakrapiane złotymi plamkami.

Godwyn zastanowił się, kto mógł napisać poemat. Niewiele kobiet umiało pisać po łacinie na tyle dobrze, by ułożyć wiersz. Czyżby Anthony'ego pokochała jakaś zakonnica? A może utwór wyszedł spod pióra mężczyzny? Pergamin poźółkł ze starości, romans, jeśli w ogóle był jakiś romans, zdarzył się w czasach młodości Anthony'ego. Mimo to zachował wiersz na pamiątkę. Może wuj nie był aż takim nudziarzem, za jakiego uważał go Godwyn?

- Co to jest? - zaciekał się Philemon.

Godwyn poczuł wyrzuty sumienia. Zajrzał do intymnego zakątka życia wuja i teraz tego żałował.

- Nic - odparł. - Jakiś wiersz.

Sięgnął po następny arkusz... i trafił na żyłę złota.

Był to akt nadania datowany na Boże Narodzenie dziesięć lat temu. Dotyczył pięciuset akrów ziemi w pobliżu Lynn w Norfolk. Właściciel niedawno zmarł. Własność przyznawano opactwu Kingsbridge, wymieniono także wielkość corocznych należności z tytułu posiadania

- ziarno, runa, cielaki i kurczęta - które mieli płacić opactwu kmiecie i dzierżawcy uprawiający ziemię. W dokumencie podano też nazwisko rządcy, który miał odpowiadać za dostarczenie produktów do opactwa, oraz kwoty, jakie mogły być przekazane zamiast produktów naturalnych. Praktyka ta była teraz powszechnie stosowana, zwłaszcza gdy ziemia znajdowała się wiele mil od siedziby właściciela.

Był to typowy akt nadania własności. Co roku po żniwach przedstawiciele wielu podobnych wiosek odbywali pielgrzymki do opactwa, by przekazać należność. Ci, którzy mieszkali w pobliżu, zjawiali się jesienią, inni zimą. Niektórzy, mieszkający daleko, docierali dopiero po Bożym

Narodzeniu.

W dokumencie napisano również, że dar został przekazany w związku z przyjęciem sir Thomasa Langleya do wspólnoty mnichów.

Jedną cechą tego aktu własności stanowiła odstępstwo od reguły: został podpisany przez królową Izabelę.

Izabela była niewierną żoną króla Edwarda II, która zbuntowała się przeciwko mężowi i umieściła na tronie jego czternastoletniego syna. Wkrótce potem pozbawiony korony król zmarł. Opat Anthony był na jego pogrzebie w Gloucesterze. Thomas przybył do Kingsbridge mniej więcej w tym samym czasie.

Przez kilka lat królowa i jej kochanek, Roger Mortimer, rządili Anglią. Niebawem jednak król Edward III mimo młodego wieku upomniał się o władzę. Nowy król miał obecnie dwadzieścia cztery lata i rządził pewną ręką. Mortimer już nie żył, a Izabela, obecnie kobieta czterdziestodwuletnia, mieszkała w luksusie w prowincjonalnym zamku Rising w Norfolk, nieopodal Lynn.

- To królowa Izabela postarała się, żeby Thomas został mnichem! - rzekł Godwyn do Philemona.

- Ale dlaczego? - spytał Philemon, marszcząc czoło. Philemon, choć niewykształcony, był przebiegły.

- Otóż to: dlaczego? Może chciała go nagrodzić bądź uciszyć. Albo jedno i drugie. Stało się to w tym samym roku, w którym dokonała zamachu stanu.

- Thomas musiał się jej w jakiś sposób przysłużyć.

Godwyn skinął głową.

- Dostarczył wiadomość, otworzył bramę zamku, zdradził jej zamiary króla lub postarał się o poparcie ważnego możnowładcy. Ale dlaczego to jest tajemnicą?

- Nie jest - zauważył Philemon. - Skarbnik musi o tym wiedzieć. I wszyscy mieszkańcy Lynn. Rządca na pewno z kimś rozmawia, kiedy przyjeżdża do klasztoru.

- Ale nikt nie wie, że sprawa została załatwiona z myślą o Thomasie. Chyba że ktoś widział akt nadania.

- A więc to jest tajemnica: że królowa przekazała dar w trosce o Thomasa.

- Nie inaczej.

Godwyn odłożył dokumenty do kufra, starannie przekładając arkusze kawałkami płótna.

- Dlaczego trzyma się to w tajemnicy? - dociekał Philemon. - Przecież nie ma w tym niczego

wstydliwego: takie umowy są na porządku dziennym.

- Nie wiem dlaczego i być może nie musimy tego wiedzieć. Fakt, że ktoś stara się zachować umowę w tajemnicy, może być wystarczający do naszych celów. Chodźmy stąd.

Godwyn czuł się usatysfakcjonowany: Thomas ma sekret, a Godwyn o nim wie. To dawało mu władzę. Poczł się na tyle pewny swego, że mógł zaryzykować i wysunąć kandydaturę Thomasa na opata. Miał wszelako pewne obawy, gdyż Thomas nie był głupcem.

Wrócili do katedry. Tercja przed chwilą dobiegła końca i Godwyn zaczął przygotowywać kościół do mszy w intencji pogrzebanych ofiar katastrofy. Kazał sześciu mnichom postawić trumnę z ciałem Anthony'ego przed ołtarzem i otoczyć ją gromnicami. Mieszczanie zaczęli zbierać się w nawie. Godwyn skinął głową kuzynce Caris, która włożyła czarną woalkę. Thomas z pomocą nowiejusza wnosił do prezbiterium duże ozdobne krzesło. Był to tron biskupi, zwany inaczej katedrą, który nadawał kościołowi jego szczególną pozycję.

Godwyn dotknął ramienia Thomasa.

- Niech Philemon się tym zajmie.

Thomas obruszył się, myśląc, że Godwyn proponuje mu pomoc ze względu na jego kalectwo.

- Dam sobie radę.

- Wiem o tym. Chcę cię prosić na słowo.

Thomas miał trzydzieści cztery lata i był trzy lata starszy od Godwyna, lecz to Godwyn był jego zwierzchnikiem w klasztornej hierarchii. Mimo to trochę się Thomasa obawiał. Ten bowiem zwykle okazywał mu szacunek jako zakrystianowi, lecz Godwyn czuł, że okazuje go akurat tyle, ile uważa za stosowne. Thomas pod każdym względem przestrzegał reguły zakonu Świętego Benedykta, jednak wniósł do klasztoru aurę niezależności i nigdy jej nie utracił.

Nie będzie łatwo zwieść Thomasa, a to właśnie zamierzał uczynić Godwyn.

Thomas pozwolił Philemonowi nieść tron, a Godwyn wziął go na stronę.

|- Mówi się, że mógłbyś zostać następcą przeora.

- O tobie mówi się to samo - odparł Thomas.

- Nie będę kandydował. Thomas uniósł brwi.

- Zaskakujesz mnie, bracie.

- Mam dwa ważne powody - rzekł Godwyn. - Po pierwsze, uważam, że ty lepiej się do tego nadajesz.

Na twarzy Thomasa odmalowało się zdziwienie. Pewnie nie podejrzewał Godwyna o taką skromność. I miał rację, bo Godwyn łgał.

- Po drugie - ciągnął Godwyn - ty masz większe szanse na zwycięstwo. - Tym razem

powiedział prawdę. - Młodzi bracia darzą mnie sympatią, ale ty jesteś lubiany przez wszystkich mnichów.

Thomas zdziwił się jeszcze bardziej. Chciał wiedzieć, na czym polega haczyk.

- Chcę ci pomóc - oznajmił Godwyn. - Dla mnie najważniejsze jest to, by nowy opat zreformował klasztor i poprawił jego sytuację finansową.

- Myślę, że mógłbym tego dokonać. Czego oczekujesz w zamian za poparcie?

Godwyn wiedział, że powinien o coś poprosić, bo inaczej Thomas nie da mu wiary.

Wymyślił kłamstwo, w które łatwo było uwierzyć.

- Chcę zostać twoim zastępcą.

Thomas skinął głową, ale nie od razu się zgodził.

- Jak zamierzasz mi pomóc?

- Po pierwsze, zdobędę dla ciebie poparcie mieszczan.

- Tylko dzięki temu, że Edmund Wooler jest twoim wujem?

- To nie takie proste. Mieszkańcy miasta martwią się o most. Carlus nie chce zadeklarować, kiedy rozpocznie budowę, jeśli w ogóle ją podejmie. Zrobią dużo, żeby nie został przeorem. Jeśli powiem Edmundowi, że zaczniesz pracę przy moście natychmiast po wyborach, całe miasto za tobą stanie.

- Ale to nie przysporzy mi głosów wielu mnichów.

- Nie bądź taki pewny. Pamiętaj, że wybór dokonany przez mnichów musi zyskać akceptację biskupa. Biskupi są zwykle na tyle roztropni, by zasięgać opinii ludu, a Richardowi bardzo zależy na tym, by uniknąć niepokojów. Jeśli mieszczanie opowiedzą się za tobą, zrobi to na nim wrażenie.

Godwyn widział, że Thomas przygląda mu się nieufnie. Poczł kropelkę potu spływającą z tyłu szyi. Starł się zachować beznamiętny wyraz twarzy. Jednakże Thomas słuchał jego argumentów.

- Nie ma wątpliwości, że nowy most jest potrzebny - rzekł. - Carlus postępuje głupio, odmawiając.

- A więc obiecałbyś to, co i tak zamierzasz zrobić.

- Jesteś bardzo przekonujący. Godwyn uniósł ręce w obronnym geście.

- Wcale nie o to mi chodzi. Powinieneś uczynić to, co uważasz za wolę Boga. Thomas spojrział na niego sceptycznie. Nie wierzył w jego bezstronność.

- Dobrze - zgodził się, po czym dodał: - Będę się o to modlił. Godwyn wyczuł, że nie usłyszy dzisiaj konkretniej szego zobowiązania. Gdyby naciskał mocniej, mógłby sobie tylko zaszkodzić.

- Ja również - powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

Thomas zrobi dokładnie to, co obiecał, i będzie się o to modlił. Nie miał zbyt wielu osobistych

pragnień. Jeśli uzna, że taka jest wola Boga, będzie kandydował, a jeśli nie, to tego nie uczyni. Tymczasem Godwyn nie mógł działać nic więcej.

Trumnę Anthony'ego otoczył blask świec. W nawie pojawiało się coraz więcej ludzi z miasta i pobliskich wsi. Godwyn szukał wśród nich twarzy Caris, którą zauważył kilka minut wcześniej. Stała w południowym transepcie i przyglądała się rusztowaniu zbudowanemu przez Merthina. Z czułością wspominał czasy dzieciństwa, kiedy był dla niej mądrym dorosłym kuzynem.

Zauważył, że po katastrofie mostu jest przygnębiona, lecz dzisiaj miała radosny wyraz twarzy. Godwyn ucieszył się z tego, gdyż czuł do niej słabość. Dotknął łokcia Caris.

- Wyglądasz na szczęśliwą.

- Bo jestem szczęśliwa - odparła z uśmiechem Caris. - Pewien romantyczny węzeł został rozplatany. Ale ty i tak byś nie zrozumiał.

- Z pewnością. - Nawet sobie nie wyobrażasz, ile romantycznych węzłów istnieje między mnichami, pomyślał. Nic jednak nie powiedział, lepiej, żeby ludzie świeccy nie wiedzieli nic o grzechach popełnianych w murach klasztoru. - Twój ojciec powinien porozmawiać z biskupem Richardem o odbudowie mostu.

- Jak to? - spytała z niedowierzaniem Caris. Jako dziecko uwielbiała Godwyna, był dla niej źródłem mądrości, lecz teraz to się zmieniło. - W jakim celu? Most nie należy przecież do biskupa. „

- Przeor wybrany przez mnichów musi zyskać jego aprobatę. Richard mógłby dać do zrozumienia, że nie zgodzi się na wybór kogoś, kto sprzeciwia się odbudowie mostu. Niektórzy mnisi mogą się postawić, lecz inni stwierdzą, że nie ma sensu głosować na kogoś, kto i tak nie zostanie zatwierdzony.

- Rozumiem. Uważasz, że mój ojciec mógłby pomóc?

- Z całą pewnością.

- Wobec tego powiem mu.

- Dziękuję.

Rozległo się bicie dzwonu. Godwyn wyszedł niepostrzeżenie z kościoła i dołączył do mnichów, którzy ustawiali się w klasztorze. Było południe. Tego ranka wykonał owocną pracę.

16

Wulfric i Gwenda wyruszyli z Kingsbridge w poniedziałek wczesnym rankiem. Czekał ich długi marsz do rodzinnej wioski Wigleigh.

Caris i Merthin patrzyli, jak przepływają przez rzekę nowym promem zbudowanym przez Merthina. Czeladnik był zadowolony z jego działania. Wiedział, że drewniane koła zębate rychło się zetrą. Żelazne byłyby lepsze, ale...

Caris myślała o czymś innym.

- Gwenda jest bardzo zakochana - westchnęła.

- Nie ma żadnych szans u Wulfrica - odparł Merthin.

- Tego nigdy nie wiadomo na pewno. Ona jest bardzo zdeterminowana. Zdołała wyrwać się z łap Sima Chapmana.

- Ale Wulfric jest zaręczony z Annet, dziewczyną o wiele ładniejszą od Gwendy.

- Uroda to nie wszystko.

- Codziennie dziękuję za to Bogu. Caris się roześmiała.

- Uwielbiam twoją zabawną twarz.

- Wulfric bił się z moim bratem o Annet. Na pewno ją kocha.

- Gwenda ma napój miłosny.

Merthin zmierzył ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- Sądzisz, że to w porządku, jeśli dziewczyna podstępem nakłania mężczyznę, by ją poślubił, skoro on kocha inną?

Caris na chwilę umilkła, a delikatna skóra na jej szyi zaróżowiła się.

- Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób - odparła. - Czy to jest naprawdę to samo?

- Widzę duże podobieństwo.

- Ale ona go nie zmusza, chce tylko sprawić, by Wulfric ją pokochał.

- Powinna spróbować osiągnąć to bez pomocy napoju.

- Teraz wstyd mi, że jej pomogłam.

- Już za późno.

Wulfric i Gwenda zsiadali z promu po drugiej stronie rzeki. Pomachali, a potem ruszyli drogą biegnącą przez przedmieście. Skip, pies Gwendy, trzymał się tuż za nimi. Merthin i Caris skierowali się na główną ulicę.

- Nie rozmawiałeś jeszcze z Griseldą - zauważyła Caris.

- Teraz to zrobię. Nie wiem, czy się cieszyć, czy bać.

- Nie masz się czego bać. To ona kłamała.

- To prawda. - Merthin dotknął swojego policzka. Siniak prawie zniknął. - Oby tylko jej ojciec znowu nie wpadł w szal.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

Merthin byłby rad z jej wsparcia, ale pokręcił głową.

- Ja nabroiłem i to ja muszę wyprostować sprawę. Zatrzymali się przed domem

Elfrica.

- Życzę ci szczęścia - powiedziała Caris.

- Dziękuję. - Merthin pocałował ją lekko w usta, powstrzymując się, by nie przedłużyć pieszczoty, po czym wszedł do środka.

Elfric siedział przy stole i jadł chleb z serem. Przed nim stał kubek z piwem. Merthin widział Alice i służącą, które krzątały się w kuchni. Griseldy nie było.

- Gdzie się wałęsałeś? - warknął Elfric.

Merthin stwierdził, że jeśli nie ma się czego bać, należy postępować odważnie. Zignorował pytanie majstra.

- A gdzie jest Griseldą?

- Jeszcze w łóżku. Merthin podszedł do schodów.

- Griseldo! Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie ma na to czasu - odezwał się Elfric. - Robota czeka. Merthin znów nie zareagował na jego słowa.

- Griseldo, wstawaj!

- A ty za kogo się uważasz, że rozkazujesz mojej córce? - oburzył się Elfric.

- Chcesz, żebym się z nią ożenił, tak?

- I co z tego?

- A więc powinna się przyzwyczajać do tego, że będzie wypełniała polecenia męża. - Merthin spojrzał na schody. - Zejdź, bo inaczej usłyszysz od kogoś innego to, co mam ci do powiedzenia.

Griseldą stanęła na szczycie schodów.

- Już idę - burknęła ze złością. - O co tyle hałasu? Merthin zaczekał, aż zejdzie.

- Dowiedziałem się, kto jest ojcem twojego dziecka. W oczach dziewczyny błysnął strach.

- Nie pleć głupstw, ty nim jesteś.

- Nieprawda. Jest nim Thurstan.

- Nie spałam z Thurstanem! - Griseldą spojrzała na ojca. - Daję słowo.

- Ona nie kłamie - rzekł Elfric.

Alice postanowiła włączyć się do rozmowy.

- Racja - przytaknęła.

- Położyłem się z Griseldą w niedzielę-w czasie targów wełny, piętnaście dni temu. A Griseldą jest w trzecim miesiącu ciąży.

- Nie!

Merthin spojrzał twardo na Alice.

- Wiedziałaś, prawda? - Żona majstra odwróciła wzrok. - Okłamałaś nawet Caris, własną siostrę.

- Ty nie możesz wiedzieć, od jak dawna Griseldą jest w ciąży - powiedział Elfric.

- Spójrz na nią - odparł Merthin. - Widać, że urósł jej brzuch. Niewiele, ale jednak.

- Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach? Jesteś chłopakiem.

- Tak, wszyscy liczyliście na moją niewiedzę, prawda? I prawie się udało. Elfric uniósł palec.

- Położyłeś się z Griseldą i teraz się z nią ożenisz.

- Nie ma mowy. Ona mnie nie kocha. Położyła się ze mną, żeby znaleźć ojca dla swojego dziecka, po tym jak Thurstan ją zostawił. Wiem, że postąpiłem źle, ale nie zamierzam wymierzać sobie kary na całe życie, żeniąc się z nią.

Elfric wstał.

- Zrobisz to.

- Nie.

- Musisz.

- Nie.

Elfric poczerwieniał na twarzy.

- Ożenisz się z nią!

- Ile razy mam powtarzać, że tego nie zrobię? - odpowiedział pytaniem Merthin.

Elfric zrozumiał, że czeladnik mówi poważnie.

- W takim razie jesteś zwolniony. Wynoś się z mojego domu i nie wracaj. Merthin spodziewał się tego i poczuł ulgę. Oznaczało to, że kłótnia się zakończyła.

- Dobrze.

Ruszył, chcąc ominąć Elfrica, ale ten zastąpił mu drogę.

- Dokąd to?

- Do kuchni po moje rzeczy.

- Chcesz powiedzieć - narzędzia.

- Tak.

- Nie są twoje. Ja za nie zapłaciłem.

- Czładnik zawsze ma prawo zabrać narzędzia po upływie... - Merthin nie dokończył zdania.

- Nie skończyłeś terminu, więc nie dostaniesz narzędzi. Tego Merthin się nie spodziewał.

- Odrobiłem sześć i pół roku!

- Powinieneś odrobić siedem lat.

Bez narzędzi Merthin nie mógł zarabiać na życie.

- To niesprawiedliwe. Zwrócę się do gildii.

- Proszę bardzo - odparł pewnie Elfric. - Ciekawe, jak przekonasz gildię, że czeladnik, który uwiódł córkę majstra, powinien dostać w nagrodę zestaw narzędzi. Większość cieśli w gildii ma czeladników, a większość z nich ma córki. Wylecisz na zbity pysk.

Merthin uświadomił sobie, że mistrz ma rację.

- I co, masz kłopot? - syknęła Alice.

- Tak - potwierdził Merthin. - Ale cokolwiek się stanie, nie będzie tak okropne jak życie z Griseldą i jej rodziną.

j: i Jeszcze przed południem tego samego dnia Merthin poszedł na pogrzeb Howella Tylera w kościele Świętego Marka. Miał nadzieję, że będzie tam ktoś, kto go zatrudni.

Spojrzał na drewniany sufit i zobaczył w malowanym drewnie dziurę wielkości człowieka. Było to ponure świadectwo śmierci Howella. Wszystkie deski są spróchniałe, twierdzili cieśle, ale mówili to dopiero teraz, gdy dla Howella było już za późno. Stało się jasne, że sufit jest za słaby, by go zreperować. Trzeba by było wszystko rozebrać i zbudować od nowa. A to oznaczało zamknięcie kościoła.

Kościół Świętego Marka był biedny. Należał do niego żałośnie mały skrawek ziemi położony dziesięć mil od miasta; uprawiał go brat proboszcza i ledwie starczało mu na wyżywienie rodziny. Proboszcz, ojciec Joffroi, czerpał dochód od ośmiuset czy dziewięciuset parafian mieszkających w północnej, biedniejszej części miasta. Ci, którzy nie byli skrajnie ubodzy, takich udawali, toteż płacona przez nich dziesięcina była bardzo skromna. Ksiądz zarabiał na chrztach, ślubach i pogrzebach, licząc sobie znacznie mniej niż mnisi z katedry. Jego parafianie wcześniej się żenili, mieli dużo dzieci i młodo umierali, więc miał pełne ręce roboty i jakoś sobie radził. Jeśli jednak zamknie kościół, źródło dochodów wyschnie, a on nie będzie miał z czego zapłacić majstrom budowlanym.

Dlatego prace przy dachu zostały przerwane.

Wszyscy cieśle przyszli na pogrzeb, Elfric również. Merthin starał się nie okazywać wstydu, stojąc w kościele, lecz nie było to łatwe, bo większość z nich wiedziała, że go wyrzucono. Został potraktowany niesprawiedliwie, ale tak się niestety składało, że nie był całkiem bez winy.

Howell miał młodą żonę, która przyjaźniła się z Caris, a ta właśnie weszła do kościoła z wdową i osieroconą rodziną. Merthin zbliżył się do dziewczyny i opowiedział jej, co wydarzyło się w domu mistrza.

Ojciec Joffroi odprawiał mszę, ubrany w starą sutannę. Merthin spojrzał w zamyśleniu na sufit. Przyszło mu do głowy, że musi istnieć sposób, by rozebrać dach bez zamykania kościółka. W

sytuacjach, gdy po zbyt długo odkładanym remoncie deski próchniały tak bardzo, że nie mogły utrzymać ciężaru robotników, budowało się rusztowanie wokół kościoła i strącało deski do nawy. W ten sposób budynek był wystawiony na działanie żywiołów aż do czasu, gdy skończony dach pokryto gontem. Powinno być jednak możliwe zbudowanie obrotowego wyciągu, opartego na grubym zewnętrznym murze kościoła, który podnosiłby jedną deskę po drugiej, a następnie przerzucał je na zewnątrz, na teren cmentarza. Dzięki temu drewniany sufit pozostałby nietknięty i można byłoby go wymienić po remoncie dachu.

Na cmentarzu Merthin przyglądał się wszystkim mistrzom po kolei, zastanawiając się, który z nich byłby skłonny go zatrudnić. Postanowił spróbować z właścicielem drugiego pod względem wielkości warsztatu w mieście, Billem Watkinem, który nie darzył sympatią Elfrica. Bill miał łysą czaszkę oraz grzywkę, co przypominało mniszą tonsurę. Zbudował większość domów w Kingsbridge. Podobnie jak Elfric zatrudniał kamieniarza i cieślę, paru robotników i jednego lub dwóch czeladników.

Howell nie należał do bogaczy, jego ciało zostało złożone w grobie bez trumny, owinięte w całun.

Po odejściu ojca Joffroia Merthin zbliżył się do Billa Watkina.

- Dzień dobry, mistrzu Watkin - przywitał się. Bill nie odpowiedział ciepło.
- O co chodzi, Merthinie?
- Rozstałem się z Elfrikiem.
- Wiem o tym. I wiem dlaczego.
- Usłyszałeś jego wersję.
- Usłyszałem tyle, ile potrzeba.

Merthin zdał sobie sprawę, że Elfric rozmawiał z ludźmi w czasie mszy i po niej. Na pewno nie wspomniał im o tym, że Griselda chciała zrobić z Merthina zastępczego ojca dla dziecka Thurstana. Merthin stwierdził, że usprawiedliwieniami może sobie tylko zaszkodzić. Lepiej przyznać się do błędu.

- Wiem, że postąpiłem źle, i przykro mi. To jednak nie zmienia faktu, że jestem dobrym cieślą.

Bill skinął głową.

- Nowy prom jest tego potwierdzeniem. To były krzepiące słowa.
- Zatrudnisz mnie?
- Jako kogo?
- Jako cieślę. Przyznałeś, że znam się na swoim fachu.

- A gdzie twoje narzędzia?
- Elfric nie pozwolił mi ich zabrać.
- I miał rację, bo nie skończyłeś terminu.
- W takim razie przyjmij mnie na czeladnika na pół roku.
- Żebyś musiał ci dać na koniec nowe narzędzia? Nie stać mnie na taką hojność. - Narzędzia były drogie, gdyż żelazo i stal dużo kosztowały.

- Będę pracował jako robotnik i zaoszczędzę na własne narzędzia. - To będzie długo trwało, lecz Merthin był zdesperowany.

- Nie.
- Dlaczego?
- Bo ja też mam córkę.
- Nie jestem zagrożeniem dla dziewczyc.
- Ale stanowisz przykład dla innych czeladników. Jeśli ci się upiecze, co powstrzyma innych?
- To niesprawiedliwe! Bill wzruszył ramionami.
- Ty tak uważasz. Zapytaj każdego innego cieślę w mieście, a dowiesz się, że dzielą moje zdanie.

- A co ja mam zrobić?
- Nie wiem. Trzeba było myśleć, zanim zaciągnąłeś ją do łóżka.
- I nie żał ci, że stracisz dobrego cieślę?
- Zostanie więcej roboty dla nas - uciął Bill.

Merthin odwrócił się. Tak to jest z cechami, pomyślał z goryczą: w ich interesie leży, by wykluczać obcych, z uzasadnionych powodów lub bez nich. Niedobór cieśli wpłynie dobrze na zarobki członków cechu, więc nie mają motywacji, by postępować sprawiedliwie.

Wdowa po Howellu wyszła z matką. Caris nie musiała im już towarzyszyć, podeszła więc do Merthina.

- Czemu masz taką smutną minę? - spytała. - Prawie nie znałeś Howella.
- Być może będę musiał opuścić Kingsbridge.

Caris pobladła.

- Dlaczego, na miłość boską, miałbyś to zrobić? Merthin powtórzył jej rozmowę z Billem Watkinem.

- Widzisz więc, że nikt w Kingsbridge mnie nie zatrudni, a na własny rachunek nie mogę pracować, bo nie mam narzędzi. Mógłbym zamieszkać z rodzicami, ale nie chcę odbierać im chleba. Będę musiał poszukać pracy w miejscu, gdzie nikt nie wie o Griseldzie. Z czasem może zaoszczędzę

dość pieniędzy na młotek i dłuto i postaram o przyjęcie do cechu.

Dopiero teraz, podczas rozmowy z Caris, Merthin uzmysłowił sobie całą grozę sytuacji. Zdawało mu się, że pierwszy raz widzi jej dobrze znaną twarz; urzekły go błyszczące zielone oczy, mały zgrabny nos i zarys szczęki znamionujący determinację. Zauważył, że usta nie całkiem pasują do reszty, są zbyt szerokie i zbyt pełne. Zakłócają regularność jej rysów tak jak jej zmysłowa natura buntuje się przeciwko jej uporządkowanemu umysłowi. To były usta stworzone do pieszczot. Na myśl o tym, że będzie musiał odejść i nigdy więcej nie pocałuje Caris, Merthin wpadł w rozpacz.

- To niegodziwe! - oburzyła się dziewczyna. - Oni nie mają prawa.

- Też tak uważam, ale nic nie mogę na to poradzić. Muszę się z tym pogodzić.

- Zaczekaj, niech pomyślę. Możesz mieszkać z rodzicami i jadać obiady w moim domu.

- Nie chcę być na czyimś utrzymaniu tak jak mój ojciec.

- I nie będziesz. Możesz kupić narzędzia Howella Tylera, wdowa po nim właśnie mi powiedziała, że sprzedaje je za funta. Y.

- Nawet tyle nie mam.

- Poproś mojego ojca o pożyczkę. Zawsze cię lubił, na pewno się zgodzi.

- To wbrew zasadom, zatrudniać cieśnię, który nie należy do cechu.

- Zasady można łamać. Musi być w mieście ktoś na tyle zdesperowany, żeby sprzeciwić się cechowi.

Merthin zrozumiał, że pozwolił przeciwnikom zdławić w sobie ducha, i ucieszył się, że Caris nie chce pogodzić się z porażką. Miała rację: powinien zostać w Kingsbridge i stawić czoło niesprawiedliwości. Zna kogoś, komu jego talent jest bardzo potrzebny.

- Ojciec Joffroi.

- On? Dlaczego? Merthin opowiedział o dachu.

- Chodźmy do niego - powiedziała Caris.

Ksiądz mieszkał w małym domku obok kościoła. Zastali go przy gotowaniu gulaszu z ryby z warzywami. Joffroi miał trzydzieści kilka lat i był zbudowany jak żołnierz: wysoki i szeroki w barach. Był szorstki w obejściu, lecz dbał o ubogich.

- Mogę zreperować dach bez zamykania kościoła - oznajmił Merthin. Joffroi spojrział nań czujnie.

- Gdyby ci się to udało, moje modlitwy zostałyby wysłuchane.

- Zbuduję wyciąg, za pomocą którego będzie można zrywać deski i spuszczać je na teren cmentarza.

- Elfric cię wyrzucił - rzekł proboszcz, spoglądając z zakłopotaniem na Caris.

- Wiem, co się stało, ojczcze - odparła.

- Wyrzucił mnie, bo nie zgodziłem się poślubić jego córki - wyjaśnił Merthin. - A dziecko, które w sobie nosi, nie jest moje.

Joffroi skinął głową.

- Niektórzy powiadają, że cię skrzywdzono. Mogę w to uwierzyć. Nie darzę miłością cechów, ich decyzje rzadko mają na względzie dobro ogółu. Tak czy inaczej nie ukończyłeś terminu.

- Czy któryś z członków cechu potrafi naprawić dach twojego kościoła, ojczcze, bez zamykania świątyni?

- Słyszałem, że nie masz narzędzi.

- Poradzę sobie z tym. Joffroi się zastanowił.

- Jakiej zapłaty oczekujesz? Merthin podniósł głowę.

- Cztery pensy dziennie plus koszt materiału.

- Tyle bierze czeladnik ciesielski.

- Gdybym nie umiał tyle co cieśla, nie zatrudniłby mnie ojciec.

- Zadufany jesteś.

- Mówię tylko, co potrafię.

- Arogancja nie jest najcięższym grzechem na tym świecie. Stać mnie na zapłacenie czterech pensów dziennie, jeśli kościół pozostanie otwarty. Ile ci zajmie budowa wyciągu?

- Najwyżej dwa tygodnie.

- Nie zapłacę ci, dopóki nie będę pewny, że ci się uda.

Merthin wciągnął powietrze. Będzie bez grosza, ale da sobie radę. Może mieszkać u rodziców i jadać u Edmunda Woolera. Przeżyje.

- Niech ojciec zapłaci za materiał i trzyma dla mnie pieniądze, dopóki pierwsze deski nie spadną na ziemię.

Joffroi się zawahał.

- Nie przysporzy mi to zwolenników... ale nie mam wyboru. Wyciągnął do Merthina rękę, a ten ją uściskał.

17

Przez całą drogę z Kingsbridge do Wigleigh - dwadzieścia mil, cały dzień marszu - Gwenda liczyła na to, że nadarzy się szansa na użycie napoju miłosnego. Ale się zawiodła.

Nie chodziło o to, że Wulfric był czujny. Wprost przeciwnie, zachowywał się przyjaźnie. Opowiadał o rodzinie i o tym, że płacze każdego ranka po przebudzeniu, kiedy uświadamia sobie, że

jego najbliżsi naprawdę zginęli. Był troskliwy, pytał, czy Gwenda jest zmęczona i czy chce odpocząć. Powiedział, że jego zdaniem każdy kmięć tylko dzierżawi ziemię za życia, a później przekazuje ją następcom. I że praca na roli - pilenie pól, grodzenie pastwisk i usuwanie kamieni - jest jego przeznaczeniem.

Nawet poklepał Skipa.

Nim minął dzień, Gwenda była w nim jeszcze bardziej zakochana, jednak Wulfric nie okazywał jej niczego poza zwykłą sympatią. W czasie przeprawy w lesie z banitami Gwenda pragnęła, by mężczyźni nie zachowywali się jak dzikie bestie, a teraz chciała, żeby Wulfric jednak coś z bestii w sobie miał. Przez cały czas drobnymi gestami starała się wzbudzić jego zainteresowanie. Niby przypadkiem pokazała mu swoje mocne, kształtne nogi. Kiedy wspinali się na pagórek, wykorzystywała to, by wciągnąć głęboko powietrze i wypiąć piersi. Przy każdej okazji ocierała się o niego, dotykała jego ręki albo kładła dłoń na jego ramieniu. Żaden z tych zabiegów nie odniósł pożądanego skutku. Gwenda wiedziała, że nie jest ładna, lecz było w niej coś, co sprawiało, że mężczyźni przyglądali się jej i otwierali usta. Wulfric zaś nie reagował.

W południe zatrzymali się na odpoczynek, zjedli chleb i ser, pili jednak wodę ze strumienia, czerpiąc ją dłońmi, i Gwenda nie miała okazji podać Wulfricowi napoju.

Mimo to była szczęśliwa. Przez cały dzień miała Wulfrica dla siebie. Mogła na niego patrzeć, rozmawiać z nim, rozśmieszać go, współczuć, a czasem go dotknąć. Udawała przed sobą, że w każdej chwili może go pocałować, ale akurat nie ma na to ochoty. Było prawie tak, jakby byli małżeństwem, lecz bardzo szybko się to skończyło.

Dotarli do Wigleigh przed wieczorem. Wioska stała na wzniesieniu, pola opadały na wszystkie strony i zawsze wiał wiatr. Po dwóch tygodniach spędzonych w tętniącym życiem Kingsbridge rodzinna wioska wydała się cicha i spokojna. Proste chaty stały wzdłuż drogi prowadzącej do dworku i kościoła. Dworek był tak samo duży jak dom kupca w Kingsbridge i miał sypialnie na piętrze. Dom księdza także był okazałą siedzibą, podobnie jak kilka chat kmięci, jednak większość domostw stanowiły dwuizbowe chatynki - jedną izbę zwykle zajmowały zwierzęta, a druga służyła jako kuchnia i sypialnia dla całej rodziny. Tylko kościół był zbudowany z kamienia.

Pierwszy z okazałych domów należał do rodziny Wulfrica. Zamknięte drzwi i okiennice nadawały mu smutny wygląd. Wulfric ruszył prosto do drugiego dużego domu, w którym mieszkała z rodzicami Annet. Machnął Gwendzie ręką na pożegnanie i wszedł do środka, pełen oczekiwania.

Gwenda poczuła bolesne ukłucie żalu, jak gdyby zbudzono ją z cudownego snu. Przelknęła gorycz i ruszyła przez pola. Czerwcowe deszcze dobrze zrobiły zbożom, pszenica i jęczmień zazieleniły się, lecz teraz potrzebowały słońca, by dojrzeć. Kobiety przesuwwały się wzdłuż łąnow,

zgięte w pól, wrywając chwasty. Niektóre machały do Gwendy.

Zbliżała się do domu pełna lęku pomieszanego z gniewem. Nie widziała rodziców od dnia, w którym ojciec sprzedał ją Simowi Chapmanowi za krowę. Prawie na pewno jest przekonany, że córka nadal jest u Sima. Jej widok będzie dla niego wstrząsem. Co powie? A co ona powie ojcu, który ją zdradził?

Gwenda była pewna, że matka nic nie wie o wymianie. Ojciec opowiedział zapewne bajeczkę o tym, że Gwenda uciekła z jakimś chłopakiem. Mama wpadnie w złość.

Cieszyła się na myśl, że zobaczy młodsze rodzeństwo: Cath, Joanie i Erica. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo za nimi tęskniła.

Po drugiej stronie stuakrowego pola, do połowy skryty między drzewami na skraju lasu, stał jej dom. Był jeszcze mniejszy od chat kmieci, miał tylko jedną izbę, w której w nocy spała także krowa. Był to właściwie szałas zbudowany z gałęzi wbitych na sztorc w ziemię z wplecionymi między nie gałązkami i uszczelniony mieszaniną błota, trawy i krowiego łajna. W strzesze był otwór, przez który wylatywał dym z paleniska, znajdującego się na środku izby. Takie domy wytrzymały zaledwie kilka lat, a później trzeba je było odbudowywać. Teraz wydawał się Gwendzie jeszcze nędzniejszy. Postanowiła, że nie spędzi życia w takim miejscu, nie będzie co rok lub dwa rodziła dzieci, z których większość umrze z braku pożywienia. Wolałaby umrzeć niż żyć tak jak matka.

Znalazszy się sto jardów od domu, zobaczyła, że ojciec idzie w jej stronę. Niósł dzban, pewnie zmierzał po piwo do Peggy Perkin, matki Annet, która je warzyła. Tata zawsze o tej porze roku miał pieniądze, gdyż na polach było mnóstwo pracy.

Z początku nie zauważył córki.

Patrzyła na jego szczupłą sylwetkę przesuwającą się wąską ścieżką między dwoma polami. Był ubrany w długi fartuch sięgający do kostek, zniszczoną czapkę i domowej roboty sandały przywiązane słomą do stóp. Jego chód był zarazem ukradkowy i rażny. Zawsze udawało mu się wyglądać jak cudzoziemiec, który zawiadacko udaje, że czuje się jak u siebie w domu. Jego oczy były umieszczone blisko pokaźnego nosa, miał szeroką szczękę z wydatną brodą, która nadawała twarzy trójkątny kształt. Gwenda wiedziała, że jest do niego podobna. Spoglądał spod oka na mijane kobiety, jakby nie chciał, by widziały, że je obserwuje.

Zbliżywszy się, zerknął ukradkiem na Gwendę przymrużonymi oczami. Szybko opuścił głowę, a potem znów spojrzął. Gwenda podniosła głowę i patrzyła na niego dumnie.

Na twarzy ojca odmalowało się zdumienie.

- To ty! Co się stało?

- Sim Chapman nie był domokrądcą, tylko banitą.

- Gdzie jest teraz?
- W piekle. Tam się spotkacie.
- Zabiłaś go?

Gwenda już dawno postanowiła, że nie powie prawdy.

- Pan Bóg go zabił. Most w Kingsbridge zawalił się, kiedy Chapman po nim przechodził. Bóg ukarał go za jego grzech. A ciebie spotkała już kara?

- Bóg przebacza dobrym chrześcijanom.
- Tylko to masz mi do powiedzenia?
- Jak uciekłaś?
- Użyłam sprytu.

W oczach Toby'ego pojawiła się chytrość.

- Jesteś dobrą dziewczyną.

Gwenda spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jaką nikczemność teraz planujesz?

- Jesteś dobrą dziewczyną - powtórzył Joby. - Idź do domu, do matki. Napijesz się piwa i zjesz kolację - dodał, ruszając w dalszą drogę.

Gwenda zmarszczyła czoło. Ojciec najwyraźniej nie bał się, że matka dowie się prawdy. Może myślał, że Gwenda nie powie jej ze wstydu. Mylił się.

Cath i Joanie bawiły się przed domem. Na widok Gwendy zerwały się i popędziły w jej stronę. Skip zaczął szczekać jak szalony. Gwenda przytuliła siostrzyczki; pamiętała o tym, że niewiele brakowało, a już nigdy by ich nie zobaczyła. W tej chwili bardzo się cieszyła, że wbiła nóż w głowę Alwyna.

Weszła do domu. Mama siedziała na stołku i karmiła małego Erica. Trzymała kubek tak, aby malec nie rozlewał napoju. Zobaczywszy Gwendę, krzyknęła z radości. Odstawiła kubek, wstała i objęła ją. Gwenda się rozplakała.

A kiedy zaczęła, trudno jej było przestać. Płakała, bo Sim wyprowadził ją z miasta związaną sznurem, bo oddała się Alwynowi. Płakała z żalu po wszystkich ludziach, którzy zginęli na moście, i dlatego, że Wulfric kocha Annet.

Opanowawszy szlochanie, powiedziała:

- Tata mnie sprzedał za krowę. Musiałam pójść do banitów.
- Źle zrobił.
- Źle to za mało powiedziane! On jest zły, to diabeł. Mama wypuściła Gwendę z

objąć.

- Nie mów takich rzeczy.
 - To prawda!
 - On jest twoim ojcem.
 - Ojciec nie sprzedaje dzieci za bydło. Nie mam ojca.
 - Żywił cię przez osiemnaście lat. Gwenda patrzyła na matkę, nie rozumiejąc.
 - Jak możesz być tak nieczuła? On sprzedał mnie banitom!
 - Zdobył dla nas krowę. Erie ma mleko, mimo że moje piersi wyschły. A ty wróciłaś, prawda?
- Gwenda była wstrząśnięta.
- Ty go bronisz!

- On jest wszystkim, co mam. Nie jest księciem. Nie jest nawet kmieciem, tylko parobkiem bez ziemi. Ale przez dwadzieścia pięć lat robił dla rodziny wszystko, co w jego mocy. Pracował, kiedy mógł, kradł, kiedy było trzeba. Utrzymał przy życiu ciebie i twojego brata, a jeśli pogoda będzie nam sprzyjać, zrobi to samo dla Cath, Joanie i Erica. Ma wady, ale bez niego nasz los byłby gorszy. Więc nie nazywaj go diabłem.

Gwenda była zaszokowana. Z trudem pogodziła się z tym, że ojciec ją zdradził. Teraz musi przyjąć do wiadomości, że matka nie jest lepsza od niego.

Czuła się zdezorientowana. Było prawie tak samo jak wtedy, gdy most poruszył się pod jej stopami. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Ojciec wszedł do domu z dzbanem piwa. Zdawało się, że nie wyczuwa, co się stało. Zdjął z półki nad kominkiem trzy drewniane kubki.

- Wypijmy za powrót naszej dużej córki - rzekł wesoło.

Gwenda była głodna i spragniona po całodniowym marszu. Wzięła kubek i pociągnęła długi łyk. Wiedziała jednak, że jeśli ojciec jest w takim nastroju, to znaczy, że coś się święci.

- Co knujesz? - zapytała.
- W przyszłym tygodniu jest strzyżenie owiec, tak?
- I co z tego?
- Możemy zrobić to jeszcze raz... Gwenda nie mogła uwierzyć własnym uszom.
- Co zrobić?
- Sprzedać cię. Poszłabyś z kupcem, a potem uciekła i wróciła do domu. Nie wyszłaś na tym źle.
- Ja nie wyszłam źle?
- A my mamy krowę wartą dwanaście szylingów. Muszę pracować prawie pół roku, żeby tyle zarobić.

- I co potem?

- Są inne miejsca: Winchester, Gloucester, nawet wszystkich nie znam. - Ojciec dolał Gwendzie piwa. - Może nam być lepiej niż wtedy, gdy ukradłaś sakiewkę sir Geraldowi!

Gwenda już nie piła. Czuła gorycz w ustach, jakby zjadła coś zepsutego. Przychodziły jej do głowy argumenty, ostre słowa, oskarżenia, ale ich nie wypowiedziała. To, co czuła, nie było już gniewem. Po co się klócić? Nigdy więcej nie zaufa ojcu. A ponieważ mama stwierdziła, że będzie wobec niego lojalna, jej też nie może ufać.

- Co mam robić? - zapytała, lecz nie oczekiwała od nikogo odpowiedzi. Kierowała to pytanie do samej siebie. W rodzinie stała się towarem, który można sprzedawać przy każdej okazji. Jeśli się z tym nie pogodzi, co jej pozostaje?

Może odejść.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że ten dom nie jest już jej domem. Cios był tak straszny, że zachwiało fundamentem jej istnienia. Żyła tu dłużej, niż sięgała jej pamięć, a teraz nie czuła się bezpieczna.

Musi odejść.

Ani w przyszłym tygodniu, ani nawet jutro rano. Musi odejść natychmiast.

Nie miała dokąd się udać, lecz to nie robiło jej różnicy. Zostać i jeść chleb od ojca, oznaczałoby poddanie się jego władzy. Pogodzenie się z tym, że traktuje ją jak własność, którą można sprzedać. Teraz żałowała, że napiła się piwa, które jej podał. Musi o nim natychmiast zapomnieć i uciec z tego domu.

Spojrzała na matkę.

- Mylisz się - powiedziała. - On jest diabłem.

Stare bajki mówią prawdę: jeśli człowiek dobija targu z diabłem, w końcu przychodzi mu zapłacić więcej, niż myślał.

Matka odwróciła głowę.

Gwenda wstała, trzymając kubek w ręku. Przechyliła go, wylewając piwo na ziemię. Skip od razu zaczął je zlizywać.

- Zapłaciłem za to piwo ćwierć pensa! - rzekł ze złością ojciec.

- Żegnajcie - powiedziała Gwenda i wyszła z domu.

18

W niedzielę Gwenda poszła na posiedzenie sądu, który miał zadecydować o losie mężczyzny, którego kochała.

Posiedzenie odbyło się w kościele po mszy. Tam rozstrzygano sprawy wszystkich

mieszkańców wioski. Niektóre posiedzenia dotyczyły sporów o granice lub długi, oskarżeń o kradzieże lub gwałty, lecz częściej podejmowano zwyczajne decyzje, na przykład kiedy rozpocząć orkę z użyciem będącego wspólną własnością zaprzęgu z ośmiu wołów.

Teoretycznie lord mieszkający w dworku sprawował władzę sądowniczą nad swoimi kmieciami. Jednak prawo normańskie - ustanowione w Anglii przez francuskich najeźdźców niemal trzysta lat temu - zmuszało lordów do naśladowania zwyczajów swoich poprzedników. By dowiedzieć się, jakie były owe zwyczaje, musieli oni zasięgnąć rady dwunastu, szanowanych mieszkańców wioski, czyli przysięgłych. Tak więc w praktyce posiedzenia nierzadko zamieniały się w negocjacje między lordem i wieśniakami.

W tamtą niedzielę w Wigleigh nie było lorda. Sir Stephen zginął w katastrofie mostu. Gwenda przyniosła tę wieść do wioski. Oznajmiła także, że hrabia Roland, który powinien wyznaczyć następcę Stephena, został poważnie ranny. Dzień przed opuszczeniem Kingsbridge hrabia po raz pierwszy odzyskał przytomność, jednak dostał gorączki tak wysokiej, że nie zdołał wypowiedzieć zrozumiale ani jednego zdania. Nie było zatem nadziei, by wioska Wigleigh w najbliższym czasie zyskała nowego lorda.

Sytuacje takie nie należały do rzadkości. Lordowie często bywali nieobecni: wyruszali na wojny, uczestniczyli w posiedzeniach parlamentu, sądzili się albo byli w odwiedzinach u hrabiego lub u króla. Hrabia Roland zawsze wyznaczał następcę, którym zwykle był jeden z jego synów, lecz tym razem nie mógł tego uczynić. Pod nieobecność pana wszystkie obowiązki spadały na rządcę.

Zadaniem rządcy było wykonywanie decyzji lorda, to jednak zapewniało mu pewną władzę nad pobratymcami. Zakres tej władzy zależał od usposobienia lorda; niektórzy sprawowali ścisłą kontrolę nad swoimi kmieciami, inni dawali im większą swobodę. Sir Stephen należał do tego drugiego rodzaju, lecz hrabia Roland służył z surowości.

Nate Reeve był rządcą za sir Stephena i sir Henry'ego, jego poprzednika, i przypuszczalnie będzie nim także za czasów jego następcy. Był drobnym garbatym mężczyzną, lecz pełnym energii. Przebiegły i zachłanny, wykorzystywał do granic możliwości swoją władzę, przy każdej okazji żądając łapówek od mieszkańców wioski.

Gwenda nie lubiła Nate'a. Przyczyną nie była jego chciwość, gdyż tę przywarę miała większość rządców. Jednak skrzywienie fizyczne Nate'a znalazło odzwierciedlenie w charakterze. Jego ojciec był rządcą u hrabiego Shiring, lecz Nate nie odziedziczył po nim tej godności. Winą za to, że wylądował w małej wiosce Wigleigh obarczał swoje kalectwo. Nienawidził wszystkich młodych, silnych i urodziwych ludzi. Wolny czas spędzał na picciu wina z Perkinem, ojcem Annet, który płacił za trunek.

Przedmiotem posiedzenia sądu tego dnia było pytanie, co zrobić z ziemią rodziny Wulfrica.

Było to spore gospodarstwo. Nie wszyscy kmiecie byli równi, ich gospodarstwa różniły się wielkością. Zwykle kmięć miał jedną virgate; w tej części Anglii jednostka ta była równa trzydziestu akrom. W założeniu była to połać ziemi, którą mógł uprawiać jeden człowiek, a plony z niej wystarczały do wyżywienia jednej rodziny. Mimo to większość kmięci z Wigleigh miała połowę virgate, czyli piętnaście akrów lub mniej więcej tyle, musieli więc znajdować dodatkowe sposoby utrzymania rodzin: łapali ptaki w sieci, ryby w strumieniu przepływającym przez Brookfield, wyrabiali paski lub sandały z tanich ścinków skór, tkali płótno z przędzy nabywanej od kupców z Kingsbridge i kłusowali będące własnością króla sarny. Kilku miało więcej niż virgate. Perkin miał sto akrów ziemi, a ojciec Wulfrica, Samuel, dziewięćdziesiąt. Tacy zamożni kmięcie potrzebowali pomocy przy uprawie roli; otrzymywali ją od synów i innych krewnych albo wynajętych parobków, takich jak ojciec Gwendy.

Po śmierci dzierżawcy ziemię mogła odziedziczyć wdowa po nim, jego synowie lub zamężna córka. W każdym przypadku przekazanie ziemi musiał usankcjonować lord. Należało również zapłacić ustalony podatek od spadku. W normalnych okolicznościach ziemię Samuela odziedzyczyliby jego dwaj synowie i nie byłoby potrzeby zwoływania posiedzenia sądu. Złożyliby się na podatek, podzielili ziemię lub uprawiali ją wspólnie, zadbaliby także o matkę. Jednak śmierć jednego z synów Samuela skomplikowała sprawę.

Na posiedzeniu zjawili się wszyscy dorośli mieszkańcy wioski. Gwenda była zainteresowana jego wynikiem. Dziś miała się zdecydować przyszłość Wulfrica, a to że zamierzał spędzić życie z inną kobietą, nie zmniejszało jej troski. Czasem przychodziło jej do głowy, że powinna mu życzyć jak najgorzej, ale nie umiała. Chciała, żeby był szczęśliwy.

Po zakończeniu mszy wniesiono do dworku duże drewniane krzesło i dwie ławy. Nate zajął krzesło, a przysięgli zasiedli na ławach. Wszyscy inni stali.

Wulfric mówił prostymi słowami:

- Mój ojciec miał dziewięćdziesiąt akrów ziemi lorda Wigleigh. Pięćdziesiąt akrów miał przed nim jego ojciec, a czterdzieści stryj, który umarł dziesięć lat temu. Moja matka zmarła, brat także, a nie mam siostr, więc jestem jedynym dziedzicem.

- Ile masz lat? - spytał Nate.

- Szesnaście.

- Nie zasługujesz jeszcze na miano mężczyzny.

Nate najwyraźniej zamierzał robić trudności. Gwenda wiedziała dlaczego - chciał łapówki. Ale Wulfric nie miał pieniędzy.

- Wiek to nie wszystko - odparł chłopak. - Jestem wyższy i silniejszy niż większość dorosłych mężczyzn.

Aaron Appletree, jeden z ławników, rzekł:

- David Johns odziedziczył po ojcu ziemię, kiedy miał osiemnaście lat.

- Osiemnaście to nie szesnaście - zauważył Nate. - Nie przypominam sobie, żeby szesnastolatki pozwolono dziedziczyć spadek.

David Johns nie był ławnikiem. Stał obok Gwendy.

- I nie miałem dziewięćdziesięciu akrów - dodał. Tu i ówdzie rozległy się śmiechy. David miał pół virgate, tak jak większość kmieci w wiosce.

- Dziewięćdziesiąt akrów to za dużo dla jednego mężczyzny, a tym bardziej dla chłopca - odezwał się jeden z przysięgłych. - Do tej pory tę ziemię uprawiało trzech ludzi.

Billy Howard miał dwadzieścia kilka lat; kiedyś bezskutecznie zalecał się do Annet i może właśnie dlatego przyłączył się do Nate'a.

- Mam czterdzieści akrów, a i tak muszę wynajmować parobków do żniw. Kilku kmieci mu przytaknęło. Gwenda widziała, że sprawa nie rozwija się pomyślnie dla Wulfrica.

- Mogę znaleźć sobie pomoc - powiedział Wulfric.

- Masz pieniądze na opłacenie parobków? - spytał Nate.

Wulfric spojrział na niego bezradnie, Gwenda bardzo chciała mu pomóc.

- Sakiewka ojca zginęła w czasie katastrofy mostu, a ja wydałem wszystkie pieniądze na pogrzeb - odparł. - Ale mogę zaproponować parobkom część zbiorów.

Nate pokręcił głową.

- Wszyscy w wiosce obrabiają swoją ziemię, a ci, którzy nie mają gospodarstw, są gdzieś zatrudnieni. Nikt nie zrezygnuje z płatnej pracy, żeby nająć się u kogoś, kto proponuje niepewną część zbiorów.

- Zbiorę plony - zapewnił z determinacją Wulfric. - Jeśli będzie trzeba, będę pracował dzień i noc. Udowodnię wam wszystkim, że dam sobie radę.

Jego twarz wyrażała tak gorące pragnienie, że Gwenda gotowa była z całych sił wykrzyknąć słowa poparcia. Lecz mężczyźni kręcili głowami. Wszyscy wiedzieli, że jeden człowiek nie zdoła w pojedynkę zebrać plonów z dziewięćdziesięciu akrów.

Nate odwrócił się do Perkina.

- Chłopak jest zaręczony z twoją córką. Możesz mu jakoś pomóc? Perkin się zamyślił.

- Może powinien na razie przekazać ziemię mnie. Stać mnie na zapłacenie spadkowego. Później, kiedy ożeni się z Annet, może przejąć gospodarstwo.

- Nie! - odrzekł bez wahania Wulfric.

Gwenda wiedziała, dlaczego chłopak się nie zgodził. Perkin był chytry i podstępny. Zrobiłby wszystko, żeby zatrzymać ziemię Wulfrica dla siebie.

- Jeśli nie masz pieniędzy, z czego zapłacisz spadkowe? - zapytał Nate.

- Zdobędę pieniądze, kiedy zbiorę plony.

- Jeżeli uda ci się je zebrać. A i tak może nie wystarczyć. Twój ojciec zapłacił trzy funty za gospodarstwo dziadka i dwa za ziemię stryja.

Gwenda aż otworzyła usta ze zdziwienia. Pięć funtów stanowiło fortunę. Wydawało się niemożliwe, by Wulfric zdołał zebrać tyle pieniędzy. Pewnie musiałby na to poświęcić wszystkie rodzinne oszczędności.

- Poza tym spadkowe płaci się zwykle, zanim spadkobierca przejmie ziemię, a nie po żniwach - ciągnął Nate.

- W tej sytuacji mógłbyś okazać wyrozumiałość - rzekł Aaron Appletree.

- Tak? Lord może być wyrozumiały, bo jest panem swojej własności. Jeśli rządca okazuje wyrozumiałość, rozdaje czyjeś złoto.

- My i tak możemy tylko proponować rozwiązanie sprawy. Decyzja stanie się ostateczna dopiero wtedy, gdy potwierdzi ją nowy lord Wigleigh.

Gwenda pomyślała, że ściśle rzecz biorąc, jest to prawda. Jednak w praktyce było niemal pewne, że nowy lord wyrazi zgodę, by syn dziedziczył po ojcu.

- Spadkowe mojego ojca nie wyniosło pięciu funtów - zauważył Wulfric.

- Musimy sprawdzić w rejestrze - odparł szybko Nate. Gwenda domyśliła się, że tylko czekał, aż Wulfric wyrazi tę wątpliwość. Nate często doprowadzał do tego, by w czasie rozprawy następowała przerwa. Odgadła, że daje w ten sposób zainteresowanym stronom czas na zaproponowanie łapówki. Może myśli, że Wulfric ukrywa jakieś pieniądze?

Dwaj ławnicy przynieśli z zakrystii skrzynię z rejestrem orzeczeń sądu, zapisanych na długich, zwiniętych w rulony zwojach pergaminu. Nate umiał czytać i pisać. Rządca musiał posiadać te umiejętności, by móc prowadzić rachunki dla lorda. Odszukał właściwy zwoj.

Gwenda miała wrażenie, że szanse Wulfrica wyglądają marnie. Jego uczciwość najwyraźniej nie wystarczała. Nate chciał przede wszystkim zebrać spadkowe należne lordowi, Perkin knuł, w jaki sposób zdobyć ziemię dla siebie, a Billy Howard dążył do pogrążenia Wulfrica z czystej zawiści. A Wulfric nie miał pieniędzy na łapówkę.

Poza tym był prostolinijny: wierzył, że wystarczy przedstawić uczciwie swoje argumenty, a doczeka się sprawiedliwości. Nie wiedział, jak rozegrać sprawę.

Gwenda natomiast była dzieckiem Joby'ego i wiedziała to i owo o przebiegłości.

Wulfric nie odwołał się do egoizmu wieśniaków. Gwenda postanowiła zrobić to za niego.

- To dziwne, że nie martwicie się tym, co się tu dzieje? - rzekła, zwracając się do Davida Johnsa.

Mężczyzna spojrział na nią chytrym wzrokiem.

- Do czego zmierzasz, panno?

- Nieważne, że gospodarz zginął nagłą śmiercią chodzi o spadek syna po ojcu. Jeśli pozwolicie Nate'owi knuć, będzie chciał coś uszczknąć z każdego spadku. Zawsze wymyśli powód, by go zakwestionować. Nie boisz się, że będzie się wtrącał do spadku twoich synów? David wyraźnie się przejął.

- Może masz rację - odparł, po czym odwrócił się do najbliższego sąsiada. Gwenda stwierdziła, że Wulfric popełnił błąd, domagając się już dzisiaj ostatecznego werdyktu. Lepiej było poprosić o orzeczenie tymczasowe, które przysięgli chętniej by wydali. Podeszła do Wulfrica, który spierał się o coś z Perkinem i Annet. Na jej widok Perkin zrobił się podejrzliwy, a Annet zadarła wysoko nos. Jednak Wulfric zachował się grzecznie jak zawsze.

- Witaj, moja towarzyszko podróży. Słyszałem, że odeszłaś z domu.

- Ojciec zagroził, że mnie sprzeda.

- Po raz drugi?

- Tyle razy, ile razy zdołam uciec. Wydaje mu się, że znalazł mieszek bez dna.

- Gdzie zamieszkałaś?

- Wdowa Huberts mnie przyjęła. Pracuję dla rządcy na ziemi lorda. Za pensa dziennie, od wschodu do zachodu słońca. Nate lubi, gdy jego parobkowie idą do domu zmęczeni. Myślisz, że da ci to, czego chcesz?

Wulfric zrobił powątpiewającą minę.

- Nie pali się do tego.

- Kobieta załatwiłaby to inaczej. Wulfric spojrział na nią zdziwiony.

- W jaki sposób?

Annet zmierzyła ją gniewnym wzrokiem, lecz Gwenda nie zwróciła na nią uwagi.

- Nie domagałaby się orzeczenia, zwłaszcza jeśli wiadomo, że nie jest ono ostateczne.

Wolałaby usłyszeć „być może”, niż ryzykować, że usłyszy „nie”.

Wulfric spojrział na nią z uwagą.

- Co zrobiłaby kobieta?

- Poprosiłaby, żeby pozwolono jej na razie uprawiać ziemię. Na wiążącą decyzję poczekałaby do wyznaczenia nowego lorda. Przez ten czas wszyscy przywykli do tego, że jest dzierżawcą więc kiedy nowy lord potwierdziłby jej prawa, uznano by to za formalność. Osiągnęłyby cel, nie dając przeciwnikom szansy roztrząsania sprawy.

Wulfric nie wyglądał na przekonanego.

- Hmm...

- Nie tego chcesz, ale tylko tyle możesz dzisiaj uzyskać. Czy Nate może ci odmówić, skoro nikt inny nie zbierze plonów?

Wulfric skinął głową, zastanawiając się nad propozycją.

- Ludzie zobaczą że zbieram zboże, i przyzwyczają się do tego. Później stwierdzą, że odmawianie mi prawa do spadku byłoby niesprawiedliwe. A ja miałbym pieniądze na zapłacenie spadkowego albo przynajmniej jego części.

- Byłbyś o wiele bliżej osiągnięcia celu, niż jesteś teraz.

- Dziękuję. Jesteś bardzo mądra.

Wulfric dotknął ramienia Gwendy, a potem odwrócił się do Annet. Dziewczyna powiedziała mu coś cicho ostrym tonem. Ojciec był zły.

Gwenda także się odwróciła. Nie mów mi, że jestem mądra, pomyślała. Powiedz, że jestem... Piękna? Niemożliwe. Że jestem miłością twojego życia? Jest nią Annet. Prawdziwą przyjaciółką? Do diabła z tym. Czego ja chcę? Dlaczego tak bardzo chcę ci pomóc?

Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Zauważyła, że David Johns tłumaczy coś zawzięcie jednemu z ławników, Aaronowi Appletree.

Nate rozwinął zwój rejestru.

- Ojciec Wulfrica, Samuel, zapłacił trzydzieści szylingów, żeby odziedziczyć ziemię ojca, i funta za prawo dziedziczenia po stryju.

Szyling był równy dwunastu pensom. Nie istniała moneta szylingowa, lecz wszyscy i tak posługiwali się tą jednostką. Dwadzieścia szylingów stanowiło jednego funta. Suma ogłoszona przez Nate'a była równa połowie tej, którą wcześniej wymienił.

- Ziemia ojca powinna przejść na syna - odezwał się głośno David Johns. - Nie chcemy, żeby nasz nowy lord, kimkolwiek będzie, myślał, że może wedle swojego widzimisię wybierać, kto może dziedziczyć.

W sali rozległ się szmer aprobaty. Wulfric wystąpił naprzód.

- Panie rządcu, wiem, że nie możecie dzisiaj podjąć ostatecznej decyzji, poczekam więc, aż

zostanie wyznaczony nowy lord. Proszę tylko o to, żebym mógł dalej uprawiać ziemię. Zbiorę plon, przysięgam. Ale jeśli mi się nie uda, nic nie stracisz. I nie musisz mi niczego obiecywać, jeśli mi się powiedzie. Kiedy przybędzie nowy lord, zdam się na jego łaskę.

Nate poczuł, że jest osaczony. Gwenda była pewna, że liczył na to, iż w jakiś sposób uda mu się wyciągnąć pieniądze z tej sprawy. Może spodziewał się łapówki od Perkina, przyszłego teścia Wulfrica. Nate usilnie starał się wymyślić pretekst, by odmówić skromnej prośbie chłopca. Paru wieśniaków zaczęło szeptać między sobą i rządcą zrozumiał, iż okazując mu niechęć, nie zyskuje zwolenników.

- Doskonale - rzekł, udając przychylność. - Jaka jest wola przysięgłych? Aaron Appletree naradził się krótko z kolegami.

- Prośba Wulfrica jest skromna i rozsądna. Powinien objąć ziemię ojca do czasu wyznaczenia nowego lorda Wigleigh.

Gwenda westchnęła z ulgą.

- Dziękuję przysięgłym - powiedział Nate.

Sąd zakończył posiedzenie i wszyscy zaczęli rozchodzić się do domów na obiad. Większość wieśniaków mogła sobie pozwolić najedzenie mięsa raz w tygodniu; zwykle wybierali niedzielę. Nawet Joby i Ethna jadal gulasz z wiewiórki lub jeża, a o tej porze roku pola i lasy obfitowały w łatwe do schwywania młode króliki. W garnku wdowy Huberts też gotował się polec baraniny.

Kiedy wszyscy zmierzali do wyjścia, Gwenda zbliżyła się do Wulfrica. - Dobrze sobie poradziłeś. Nate nie mógł ci odmówić, choć miał na to ochotę.

- To był twój pomysł - odparł z podziwem Wulfric. - Wiedziałaś dokładnie, co powinienem powiedzieć. Nie wiem, jak ci dziękować.

Gwenda bardzo chciała mu to podpowiedzieć, ale się powstrzymała. Szli razem przez cmentarz.

- Jak sobie poradzisz ze żniwami?

- Nie wiem.

- Może chcesz, żebym przyszła do ciebie pracować?

- Nie mam pieniędzy.

- To nic, będę pracowała za wikt.

Wulfric zatrzymał się w bramie i spojrzał na nią szczerze.

- Wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł. Annet by mnie nie pochwaliła. I myślę, że miałyby rację.

Gwenda poczuła, że się czerwieni. Nie mogło być wątpliwości, co Wulfric ma na myśli.

Gdyby chciał odmówić ze względu na to, że jest za słaba lub z innego powodu, nie musiałby patrzeć jej w oczy i wymieniać imienia narzeczonej. Struchlała, uświadomiwszy sobie, że jest w nim zakochana, a on odrzuca jej pomoc, bo nie chce podsycać jej płonnej nadziei.

- Dobrze. Jak chcesz. Wulfric uśmiechnął się ciepło.

- Ale dzięki za propozycję.

Gwenda nie odpowiedziała. Po chwili odwróciła się i odeszła.

19

Gwenda wstała, gdy było jeszcze ciemno.

Spała na słomie na podłodze domu wdowy Huberts. Obudziła się tuż przed świtem, jakby jej śpiący umysł znał miarę czasu. Leżąca obok niej wdowa nie poruszyła się, kiedy Gwenda odrzuciła koc i wstała. Po omacku dotarła do tylnych drzwi i wyszła na podwórze. Skip podreptał za nią, otrząsając się.

Stała przez chwilę bez ruchu. Wiał lekki wiatr, tak jak zawsze w Wigleigh. Noc nie była całkowicie ciemna, Gwenda dostrzegała niewyraźne kształty budki dla kaczek, ustępu i gruszy. Nie widziała sąsiedniego domu, który należał do Wulfrica, ale słyszała niskie warczenie psa przywiązanego do małej owczarni. Powiedziała coś cicho, żeby pies rozpoznał jej głos i się uspokoił.

Panował spokój. Gwenda miała teraz dużo takich chwil. Przez całe życie mieszkała w maleńkiej lepiance pełnej mniejszych i większych dzieci, nie było momentu, w którym jedno z nich nie płakało z głodu z powodu drobnego skaleczenia albo by dać upust dziecięcej złości. Nigdy nie przypuszczała, że do tego zatęskni. Teraz mieszkała ze spokojną wdową, która chętnie rozmawiała, lecz równie dobrze czuła się w ciszy. Gwendzie czasem brakowało płaczu dziecka, które mogłaby wziąć na ręce i utulić.

Znalazła stary drewniany cebrzyk, obmyła ręce i twarz i weszła z powrotem do domku. Odszukała w ciemności stół, otworzyła skrzynkę z chlebem i ukroiła sobie kromkę leżącego od tygodnia bochna. Potem wyszła na dwór, jedząc po drodze.

Wioska była jeszcze pogrążona we śnie, Gwenda wstała pierwsza. Kmiecie pracowali od świtu do zmierzchu, o tej porze roku dzień był dla nich długi i męczący. Cieszyli się z każdej chwili odpoczynku. Tylko Gwenda korzystała z godziny między brzaskiem a wschodem słońca i drugiej, między zachodem i zmrokiem.

Zaczęło świtać, gdy znalazła się między polami. Wioska Wigleigh miała trzy wielkie pola: Hundredacre, Brookfield i Longfield. Każde obsiewano innym zbożem w trzyletnim cyklu. Pszenicę i żyto, najcenniejsze, siano pierwszego roku; drugiego wysiewano mniej ważne zboża, takie jak owies i jęczmień, oraz groch i fasolę; trzeciego roku pole leżało odłogiem. Tego roku na Hundredacre rosły

pszenica i żyto, na Brookfield pozostałe uprawy, a Longfield pozostawiono puste. Każde było podzielone na pasy o powierzchni około jednego akra, a ziemia każdego dzierżawcy składała się z takich pasów rozrzuconych po wszystkich trzech polach.

Gwenda wyszła na Hundredacre i zaczęła pielnić jeden ze skrawków należących do Wulfrica. Wyrywała szczaw, nagietki i rumian spomiędzy łądyg pszenicy. Pomaganie mu sprawiało jej przyjemność, bez względu na to, czy o tym wiedział, czy nie. Ilekroć zginała kark, oszczędzała tego Wulfricowi, wyrywając chwast, powiększała jego zbiory. Czuła się tak, jakby dawała mu prezent. Myślała o nim, wyobrażając sobie jego roześmianą twarz, słysząc jego głos, głęboki głos mężczyzny, w którym wciąż pobrzmiwał chłopięcy zapach. Dotykała zielonych pędów pszenicy, myśląc, że głaszcze jego włosy.

Pielniła do wschodu słońca, a potem przeszła na ziemię należącą do lorda i pracowała na zarobek. Sir Stephen zginął, lecz trzeba było zebrać jego zasiew. Następca zażąda dokładnego sprawozdania z tego, co zostało zrobione. O zachodzie słońca, zarobiwszy na chleb, Gwenda pójdzie na inny kawałek ziemi Wulfrica i będzie tam pracowała aż do zmroku, a nawet dłużej, jeśli światło księżycy pozwoli.

Nie powiedziała o tym Wulfricowi, lecz w wiosce, w której mieszkało zaledwie dwustu ludzi, nic nie mogło długo pozostać w ukryciu. Wdowa Huberts z łagodną ciekawością zapytała Gwendę, co chce osiągnąć.

- Przecież Wulfric ożeni się z Perkinówną, nie możesz temu zapobiec.

- Chcę tylko, żeby mu się powiodło - odparła Gwenda. - Zasługuje na to. Jest uczciwym mężczyzną, ma dobre serce i gotów jest pracować do upadłego. Chcę, żeby był szczęśliwy, nawet jeśli ożeni się z tą jędzą.

Dzisiaj parobkowie byli na polu Brookfield, zbierali wczesny groch i fasolę należące do lorda. Nieopodal Wulfric kopał rów odwadniający, gdyż ziemia zrobiła się błotnista po czerwcowych ulewach. Gwenda patrzyła, jak pracuje, ubrany w same kalesony i buty, zginając szerokie plecy nad szpadlem. Poruszał się niestrudzenie jak młyńskie koło. Tylko pot lśniący na skórze zdradzał, ile sił go to kosztuje. W południe przyszła do niego Annet. Wyglądała ładnie z zieloną wstążką we włosach. Przyniosła dzbanek piwa i trochę chleba i sera w tobołku.

Nate Reeve zadzwonił dzwonkiem, wszyscy przerwali pracę i ruszyli w stronę skraju lasu na północ od pola. Nate wydawał cydr, chleb i cebulę robotnikom obrabiającym pole należące do lorda, obiad był wliczony w zapłatę. Gwenda siedziała oparta o pień grabu i przyglądała się Wulfricowi i Annet z fascynacją skazańca obserwującego pracę cieśli przy szubienicy.

Z początku Annet zachowywała się tak samo jak zawsze: przekrzywiała głowę, trzepotała

rzęsami, żartobliwie szturchała Wulfrica za to, co powiedział. Później spoważniała, tłumaczyła coś intensywnie, a on zaprzeczał, jakby pokazując, że jest niewinny. Oboje spojrzeli na Gwendę, która domyśliła się, że mówią o niej. Annet musiała się dowiedzieć, że Gwenda pracuje rano i wieczorem na jego kawałkach pola. W końcu odeszła z gniewną miną, a zamyślony Wulfric dokończył obiad.

Po posiłku wszyscy odpoczywali. Starsi kładli się na ziemi i drzemali, a młodszy gawędzili. Wulfric podszedł do Gwendy i ukucnął przy niej.

- Pieliałś moje pola.

Gwenda nie zamierzała się usprawiedliwiać.

- Annet pewnie ci nagadała.

- Nie chce, żebyś pracowała dla mnie.

- I co mam zrobić? Wsadzić chwasty z powrotem?

Wulfric rozejrzał się i zniżył głos, nie chcąc, żeby inni słyszeli. Choć pewnie i tak wszyscy wiedzieli, o czym mówią.

- Wiem, że chcesz dobrze i jestem ci wdzięczny, ale mam z tego powodu kłopoty. ».

Gwendzie sprawiało radość to, że jest blisko. Pachniał ziemią i potem.

- Potrzebujesz pomocy - odparła. - s Z Annet masz niewielki pożytek.

- Nie krytykuj jej, proszę cię. W ogóle o niej nie mów.

- Dobrze. Ale sam nie zbierzesz plonów. Wulfric westchnął.

- Gdyby tylko się wypogodziło...

Odruchowo spojrzął w niebo. Cały horyzont zasnuty był gęstymi chmurami. Zimna pogoda i wilgoć źle robiły zbożom.

- Pozwól mi dla siebie pracować - rzekła błagalnym głosem Gwenda. - Wy tłumacz Annet, że tego potrzebujesz. Mężczyzna powinien być panem swojej żony, a nie odwrotnie.

- Zastanowię się.

Nazajutrz Wulfric wynajął parobka.

Był to wędrowiec, który zjawił się późnym popołudniem. Wieśniacy zgromadzili się wokół niego o zmierzchu, by posłuchać, co ma do powiedzenia. Miał na imię Gram i pochodził z Salisbury. Jego żona i dzieci zginęły w pożarze domu. Zmierzał do Kingsbridge w nadziei, że znajdzie tam zatrudnienie, być może w opactwie. Jego brat był tam zakonikiem.

- Pewnie go znam - odezwała się Gwenda. - Mój brat Philemon od lat pracuje w klasztorze. Jak ma na imię twój brat?

- John. - W klasztorze było dwóch mnichów o tym imieniu, lecz zanim Gwenda zdążyła zapytać, który jest bratem Grama, ten podjął: - Wyruszając w drogę, miałem przy sobie trochę

pieniędzy, żeby kupić coś do jedzenia. Później obrabowali mnie banici i zostałem bez grosza.

Ludzie okazali mu wiele współczucia. Wulfric pozwolił, by spędził noc w jego domu. Nazajutrz, w sobotę, Gram zaczął pracować dla Wulfrica w zamian za wikt, mieszkanie i część zbiorów.

Przez całą sobotę ciężko pracował. Wulfric robił podorywkę na ugorze, by wyplenić osty. Była to robota dla dwóch: Gram prowadził konia, czasem smagając go batem, a Wulfric szedł za pługiem. W niedzielę odpoczywali.

W niedzielę w kościele Gwenda rozplakała się na widok Cath, Joanie i Erica. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za nimi tęskni. Przez cały czas trzymała Erica na rękach. Po mszy podeszła do niej matka.

- Łamiesz sobie serce z powodu Wulfrica - rzekła szorstko. - Pieleniem chwastów nie zdobędziesz jego serca. On ma oczy tylko dla tej leniwej smarkuli Annet.

- Wiem, ale mimo to chcę mu pomóc.

- Powinnaś odejść z wioski. Nic dobrego cię tu nie czeka. Gwenda wiedziała, że matka ma rację.

- Tak zrobię. Odejdę dzień po ich ślubie. Matka zniżyła głos.

- Jeśli zostaniesz, strzeż się ojca. On nadal ma nadzieję, że uda mu się zarobić na tobie dwanaście szylingów.

- W jaki sposób? - zdziwiła się Gwenda. Matka tylko pokręciła głową.

- Nie może mnie teraz sprzedać. Nie mieszkam już w jego domu. Nie karmi mnie ani nie daje dachu nad głową. Pracuję dla lorda Wigleigh. Tata nie może już robić ze mną, co chce.

- Po prostu miej oczy otwarte - powiedziała matka i zamilkła.

Przed kościołem wędrowiec Gram zagadnął Gwendę. Zadawał jej pytania, a potem zaproponował spacer po obiedzie. Ona jednak wiedziała, co taki spacer oznacza, i nie chciała o tym słyszeć. Później zobaczyła Grama z jasnowłosą Joanną, córką Davida Johnsa. Dziewczyna miała zaledwie piętnaście lat i była wystarczająco głupia, by dać się złapać na komplementy Grama.

W poniedziałek przed świtem Gwenda pielila pszenicę Wulfrica na polu Hundredacre, gdy nagle zobaczyła, że gospodarz biegnie w jej stronę. Jego twarz była wykrzywiona gniewem.

Wbrew woli Wulfrica Gwenda nadal każdego wieczoru i ranka pracowała w polu. Widać posunęła się za daleko. Ale co może jej zrobić - pobije ją? Sprowokowała go, mógł więc bezkarnie posunąć się do użycia siły. Ludzie powiedzieliby, że sama się prosiła. Teraz, gdy nie mieszkała z rodzicami, nikt by się za nią nie wstawił. Przypomniła sobie, jak Wulfric złamał nos Ralphowi, i ogarnął ją strach.

Zaraz jednak zganiła się za głupotę. Wulfric bił się wiele razy, ale nigdy nie uderzył kobiety ani dziecka. Mimo to na widok jego rozgniewanej twarzy zadrżała.

Bała się niepotrzebnie.

- Widziałaś Grama?! - krzyknął z daleka.

- Nie. Dlaczego pytasz?

Wulfric podbiegł bliżej, dysząc ciężko.

- Jak długo tu jesteś?

- Wstałam przed świtem. Wulfricowi opadły ramiona.

- Jeśli tędy szedł, musi już być daleko.

- Co się stało?

- Gram zniknął, mój koń także.

Nic dziwnego, że Wulfric był tak rozgniewany. Koń stanowił cenną własność, tylko bogatych kmieci takich jak jego ojciec było na niego stać. Gwenda przypomniała sobie, jak szybko Gram zmienił temat, gdy powiedziała, że być może zna jego brata. To jasne, że nie ma brata w klasztorze i że nie stracił żony i dziecka w pożarze. Był kłamcą, który podstępem zdobył zaufanie wieśniaków, by kogoś okraść.

- Jacy byliśmy głupi, dając wiarę jego bajeczkom.

- A ja byłem największym głupcem, bo przyjąłem go pod swój dach - rzekł Wulfric. - Zwierzęta zdążyły się do niego przyzwyczaić, więc koń poszedł chętnie, a pies nawet nie zaszczekał.

Gwenda z całego serca współczuła Wulfricowi; utrata konia w czasie żniw była straszną rzeczą.

- Myślę, że nie uciekał tą drogą - rzekła w zamyśleniu. - Nie mógł wyjść wcześniej ode mnie, bo było za ciemno. A gdyby za mną poszedł, zauważyłabym go.

Istniała tylko jedna droga prowadząca przez wioskę i kończyła się za dworem. Było jednak wiele ścieżek biegnących przez pola.

- Pewnie wybrał dróżkę między Brookfield i Longfield. To najkrótsza droga do lasu.

- Koń w lesie nie może się szybko poruszać. Może go jeszcze dogonię - powiedział Wulfric i popędził z powrotem.

- Powodzenia! - zawołała za nim Gwenda, a Wulfric jej pomachał. Jednak szczęście mu nie dopisało.

Późnym popołudniem, niosąc worek grochu z pola Brookfield do stodoły lorda, przechodziła koło Longfield. Zobaczyła Wulfrica, który kopał ugór szpadlem. Domyśliła się, że nie dogonił Grama i nie zdołał odzyskać konia.

Położyła worek na ziemi i podeszła.

- Tak nie można. Masz trzydzieści akrów ugoru, a zaorałeś dziesięć. Nikt nie skopie szpadlem dwudziestu akrów.

Wulfric nie podniósł głowy, tylko kopał z zaciętą miną.

- Nie mogę orać, bo nie mam konia.

- Włóż uprząż - powiedziała Gwenda. - Jesteś silny, a to lekki pług.

- Nie ma nikogo, kto by za nim poszedł.

- Owszem, jest taki ktoś.

Wulfric spojrzał na nią.

- Ja to zrobię. Chłopak pokręcił głową.

- Straciłeś rodzinę, a teraz konia. Nie dasz rady sam. Nie masz wyboru. Musisz mi pozwolić sobie pomóc.

Wulfric spojrzał w stronę wioski; Gwenda wiedziała, że myśli o Annet.

- Będę na ciebie czekała jutro z samego rana.

Wulfric znów na nią spojrzał. Był rozdarty między miłością do ziemi i pragnieniem zadowolenia Annet.

- Zapukam do ciebie - dodała Gwenda. - Razem zaorzemy resztę pola. Odwróciła się i odeszła, a potem się obejrzała.

Wulfric nie powiedział „tak”. Ale nie powiedział też „nie”.

Orali dwa dni, potem skosili siano i zebrali wiosenne warzywa.

Gwenda nie zarabiała już, by móc płacić wdowie Huberts za dach nad głową i wikt; nie miała gdzie spać, wprowadziła się więc do obory Wulfrica. Wyjaśniła mu, dlaczego to robi, a on nie zaproponował.

Po pierwszym dniu Annet przestała przynosić w południe jedzenie Wulfricowi, więc Gwenda przygotowywała posiłki dla niego i dla siebie z tego, co było w szafce: chleb, piwo, gotowane jajka, bekon, świeża cebula albo buraki. Wulfric znów zaakceptował tę zmianę bez komentarza.

Gwenda wciąż miała napój miłosny. Fiolka znajdowała się w małym skórzanym mieszku, który nosiła na szyi. Spoczywała między jej piersiami, dobrze ukryta. Mogła dolać napoju do piwa, ale na polu po obiedzie nie mogłaby skorzystać z jego efektu.

Wieczorem Wulfric chodził do domu Perkinów i tam jadł kolację z Annet i jej rodziną, a Gwenda zostawała sama w kuchni. Po powrocie często był ponury, lecz nic jej nie mówił, domyślała się więc, że poradził sobie z obiekcjami Annet. Szedł spać, nic więcej nie jedząc ani nie pijąc, toteż nie mogła podać mu napoju.

W sobotę po ucieczce Grama Gwenda naszykowała sobie kolację z gotowanych warzyw i solonej wieprzowiny. Dom Wulfrica był zaopatrzone w żywność dla czterech osób, więc jedzenia nie brakowało. Wieczorami robiło się chłodno, mimo że był lipiec; po kolacji dorzucała szczapę do ognia i patrzyła, jak się pali. Myślała o prostym, pozbawionym niespodzianek życiu, które prowadziła jeszcze kilka tygodni temu. A potem wszystko runęło jak most w Kingsbridge.

Słyszając skrzypienie drzwi, pomyślała, że to Wulfric wraca. Wtedy szła do stodoły, ale najpierw zamieniali kilka przyjaznych słów. Z radosnym oczekiwaniem podniosła głowę, lecz spotkało ją nieprzyjemne rozczarowanie.

To nie był Wulfric, tylko jej ojciec.

Obok niego stał obcy mężczyzna, którego wygląd nie wróżył nic dobrego.

Gwenda zerwała się na równe nogi.

- Czego chcecie?

Skip warknął groźnie, lecz zaraz się wycofał przestraszony.

- Nie bój się, córciu, to ja, twój tatuś.

Gwenda przypomniała sobie ostrzeżenie, którego matka udzieliła jej po mszy w kościele.

- Co to za jeden? - zapytała, wskazując palcem nieznanego.

- To jest Jonah z Abingdonu, handluje skórami.

Może kiedyś był kupcem, pomyślała Gwenda, i może pochodzi z Abingdonu. Ale miał wytarte buty, brudne ubranie, zmierzwił włosy i brodę, które świadczyły o tym, że od lat nie widział golibrody.

- Wyoście się - powiedziała Gwenda, udając, że się nie boi.

- Mówiłem ci, że jest krewka - rzekł Joby do Jonaha. - Ale to dobra dziewczyna i silna.

- Nie ma obawy - odezwał się po raz pierwszy Jonah. Obliznął wargi, przyglądając się Gwendzie. Dziewczyna pożałowała, że ma na sobie tylko cienką wełnianą sukienkę. - Ujeździłem w swoim czasie parę klaczek.

Gwenda nie miała wątpliwości, że ojciec spełnił swoją groźbę i znów ją sprzedał. Myślała, że opuszczając jego dom, zapewni sobie bezpieczeństwo. Wieśniacy chyba nie pozwolą uprowadzić dziewczyny pracującej razem z nimi na polu lorda. Jednak było już ciemno. Upłynie dużo czasu, zanim ktoś zauważy, co się stało.

Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Mimo to nie zamierzała poddać się bez walki.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś broni. Polano, które przed kilkoma minutami włożyła

do ognia, paliło się z jednego końca. Miało osiemnaście cali długości, jeden koniec wystawał z ognia. Gwenda nachyliła się i błyskawicznie je wyciągnęła.

- Daj spokój, po co ci to? - powiedział Joby. - Przecież nie chcesz zranić tatusia. - Zrobił krok w stronę Gwendy.

Ogarnęła ją złość. Jak on śmie nazywać się jej tatusiem, jednocześnie próbując ją sprzedać? Owszem, chciała go zranić, i to bardzo. Rzuciła się z krzykiem w jego stronę, machając płonąca szczapą.

Joby odskoczył, lecz Gwenda nie dawała za wygraną. Skip ujadł wściekle. Ojciec Gwendy podniósł ramiona, starając się zasłonić i wytrącić córce broń z ręki, ale dziewczyna była silna. Zdołała dosięgnąć rozgrzanym do czerwoności końcem drewna jego policzka. Joby wrzasnął z bólu. Jego broda zapaliła się, w powietrzu rozniósł się mdlący zapach przypalonego ciała.

Nagle Gwenda poczuła, że ktoś łapie ją od tyłu. Jonah przycisnął jej ręce do boków. Wypuściła polano. Słoma na klepisku momentalnie się zajęła. Przerazony Skip wybiegł z domu. Gwenda wiła się w uścisku Jonaha, rzucając się na boki, lecz mężczyzna był zaskakująco silny. Poderwał ją w górę.

Nagle w drzwiach stanęła wysoka postać. Gwenda zobaczyła tylko kształt i w tej samej chwili postać znikła. Dziewczyna została rzucona na ziemię. Na moment ją ogłuszyło. Kiedy się ocknęła, Jonah przygniatał ją kolanami do ziemi, krępując jej ręce sznurem.

Wysoka postać znów się pojawiła i Gwenda rozpoznała Wulfrica. Tym razem chłopak trzymał w dłoniach duży dębowy ceber. Wylał zawartość cebra na płonąca słomę, gasząc płomienie. Nagle złapał wiadro inaczej, zamachnął się i rąbnął nim Jonaha w czubek głowy.

Mężczyzna rozluźnił uścisk. Gwenda rozsunęła nadgarstki, sznur puścił. Wulfric zamachnął się po raz drugi i uderzył Jonaha jeszcze mocniej. Mężczyzna zamknął oczy i osunął się na ziemię.

Joby ugasił brodę rękawem i opadł na kolana, jęcząc z bólu.

Wulfric złapał za kaftan Jonaha i dźwignął go.

- Kto to jest, u licha?

- Ma na imię Jonah. Ojciec chciał mu mnie sprzedać.

Trzymając go za pas, Wulfric wyniósł mężczyznę na próg i wyrzucił na drogę. Joby jęknął.

- Pomóżcie, mam poparzoną twarz.

- Pomóc tobie? - syknął Wulfric. - Podпалиłeś mi dom, napadłeś na mojego parobka i chcesz, żebym ci pomógł? Wynocha!

Joby pozbierał się, jęcząc żałośnie, i powłókł do drzwi. Gwenda nie znalazła w sercu ani

cienia współczucia. Resztką miłości, jeśli jeszcze ją miała, ulotniła się tego wieczoru. Kiedy zniknął w ciemności, miała nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Perkin podszedł do tylnych drzwi z pochodnią.

- Co się stało? Zdawało mi się, że słyszę krzyki. Za plecami Perkinsa stała Annet.

- Joby przyszedł z jakimś łotrem - odpowiedział Wulfric. - Chcieli porwać Gwendę. Perkin stęknął.

- Widzę, że sobie poradziłeś.

- Bez trudu.

Wulfric zauważył, że wciąż trzyma ceber. Odstawił go.

- Nie jesteś ranny? - zapytała Annet.

- Wcale.

- Potrzeba ci czegoś?

- Chcę iść spać.

Perkin i Annet zrozumieli i wyszli. Poza nimi nikt nie usłyszał odgłosów szamotaniny.

Wulfric zamknął drzwi. Spojrzał na Gwendę.

- Jak się czujesz?

- Trzęsę się.

Dziewczyna usiadła na ławce i oparła łokcie na stole. Wulfric podszedł do szafki.

- Napij się wina, to cię uspokoi.

Wyjął małą baryłkę, postawił ją na stole, a potem wyciągnął z szafki dwa kubki. Gwenda zeszywniała. Czyżby to była jej długo oczekiwana szansa? Wzięła się w garść. Musi działać błyskawicznie.

Wulfric nalał wina do kubków, a potem odstawił beczułkę do szafki.

Gwenda miała najwyżej dwie sekundy. Sięgnęła po miedziany dzbanek zawieszony na skórzanym rzemyku. Wydobyła fioletową, drżącą ręką odkorkowała ją i nalała do kubka.

Wulfric odwrócił się, kiedy chowała dzbanek. Poklepała się, udając, że poprawia ubranie. Wulfric, jak to mężczyzna, nie zauważył niczego podejrzanego.

Gwenda uniosła kubek jak do toastu.

- Uratowałeś mnie. Dziękuję.

- Ręka ci się trzęsie. Przeżyłaś szok. Wypili.

Gwenda zastanawiała się, kiedy napój zacznie działać.

- To ty mnie uratowałaś, pomagając mi w polu - odparł chłopak. - Dzięki. Oboje pociągnęli po łyku wina.

- Nie wiem, co jest gorsze - wyznała Gwenda - mieć takiego ojca jak mój, czy nie mieć ojca w ogóle tak jak ty.

- Współczuję ci - rzekł w zamyśleniu Wulfric. - Ja przynajmniej mam dobre wspomnienia o rodzicach.

Wulfric opróżnił kubek.

- Rzadko piję wino, bo nie lubię, jak mi się kręci w głowie. Ale teraz jest mi przyjemnie.

Gwenda obserwowała go uważnie. Mattie Wise powiedziała, że zbierze mu się na amory, wypatrywała więc jakichś oznak. I faktycznie niebawem zaczął na nią patrzeć tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Wiesz, masz taką miłą twarz - rzekł. - Jest w niej dużo dobroci. Teraz Gwenda powinna posłużyć się kobiecymi sztuczkami, żeby go uwieść, jednak z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie ma w tym żadnej wprawy. Kobiety takie jak Annet posługiwały się nimi stale, ale kiedy Gwenda przypomniała sobie jej skromne uśmiechy, dotykanie włosów, trzepotanie rzęsami, nie mogła się na to zdobyć. Czułaby się głupio.

- Ładnie, że tak mówisz - odparła, starając się zyskać na czasie. - Twoja twarz pokazuje coś innego.

- Co?

- Siłę. Taką, która nie pochodzi od mięśni, tylko od determinacji.

- Czuję się dzisiaj silny - potwierdził z uśmiechem Wulfric. - Powiedziałaś, że żaden mężczyzna nie przekopie dwudziestu akrów, a mnie się wydaje, że teraz mógłbym to zrobić.

Gwenda położyła dłoń na jego rękę.

- Spójrz, twoja skóra jest brązowa, a moja różowa - rzekła, jakby odkryła coś niezwykłego. - Inna skóra, inne włosy, inne oczy. Ciekawe, jakie byłyby nasze dzieci.

Wulfric się uśmiechnął. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił, gdy uświadomił sobie, że Gwenda nie powinna mówić takich rzeczy. Posmutniał. Rozśmieszyłoby to Gwendę, gdyby tak bardzo nie zależało jej na jego uczuciach.

- Nie będziemy mieli dzieci - rzekł poważnie, odsuwając rękę.

- Po co tak myśleć - odparła z rozpaczą Gwenda.

- Czy nie masz czasem ochoty...

- Tak?

- Nie marzysz czasem, żeby świat był inny, niż jest? Gwenda wstała, obeszła stół i usiadła blisko niego.

- Nie musisz marzyć. Jesteśmy sami, jest noc. Możesz zrobić wszystko, na co masz ochotę. -

Spojrzała mu w oczy. - Wszystko.

Wulfric też na nią patrzył. Widziała tęsknotę w jego oczach i uświadomiła sobie z poczuciem triumfu, że jej pożąda. Musiała użyć napoju miłosnego, by wydobyć to pragnienie, lecz było ono prawdziwe. W tej chwili nie pragnął niczego innego, tylko się z nią kochać.

Mimo to siedział bez ruchu.

Wzięła go za rękę. Nie opierał się, kiedy uniosła ją do ust. Przycisnęła do nich jego duże, szorstkie palce. Pocałowała dłoń, polizała koniuszkiem języka, a potem przycisnęła ją do piersi.

Wulfric zamknął dłoń, pierś zrobiła się w niej bardzo mała. Rozchylił lekko usta, oddychając ciężko. Gwenda odchyliła głowę, czekając na pocałunek, ale Wulfric nic nie zrobił.

Wstała, jednym ruchem ściągnęła sukienkę przez głowę i rzuciła ją na podłogę. Stała przed nim naga w blasku ognia. Wulfric patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, rozchyliwszy usta, jak gdyby ujrzał cud.

Gwenda znowu ujęła go za rękę. Tym razem położyła ją sobie między udami, zakrywając trójkąt włosów. Była tak wilgotna, że jego palec wsunął się do środka. Gwenda mimo woli stęknęła z rozkoszy.

Jednak Wulfric nie zrobił niczego z własnej woli, rozumiała więc, że nie może się zdecydować. Pragnął jej, ale nie zapomniał o Annet. Gwenda mogła nim powodować, może nawet zdobyć jego ciało, to jednak niczego by nie zmieniło. Chciała, by to on przejął inicjatywę.

Nachyliła się, wciąż trzymając jego rękę na swym łonie.

- Pocałuj mnie - powiedziała, przysuwając się. - Proszę. Jej twarz była o cal od jego ust. On musiał zrobić resztę. Nagle Wulfric cofnął rękę, odwrócił głowę i wstał.

- To nie jest w porządku. Gwenda wiedziała, że przegrała.

Łzy napłynęły jej do oczu. Podniosła sukienkę i zasłoniła się nią.

- Przepraszam - wymamrotał Wulfric. - Nie powinienem był tego robić. Zwodziłem cię. To było okrutne.

Nie, pomyślała Gwenda, to ja byłam okrutna i cię zwodziłam. Ale okazałeś się za silny i zbyt wierny. Nie zasługuję na ciebie. Gwenda nie powiedziała tego na głos. Wulfric patrzył uparcie w drugą stronę.

- Idź do obory i połóż się spać - rzekł. - Rano będziemy się czuli inaczej. Może wszystko się ułoży.

Gwenda wybiegła, nie włożywszy sukienki. Świecił księżyc, ale nikt jej nie widział. Zresztą i tak o to nie dbała. Po chwili znalazła się w oborze.

W jednym końcu drewnianego budynku znajdowało się podwyższenie, na którym trzymano

czystą słomę. Właśnie tam spała Gwenda. Wspięła się po drabinie i rzuciła na legowisko, nie zważając na kłujące nagą skórę siano. Załkała z żalu i wstydu.

Uspokoiwszy się, włożyła sukienkę i owinęła się kocem. Usłyszała kroki na zewnątrz i spojrzała przez szparę w ścianie z gliny i słomy.

Widziała dobrze, bo księżyc był prawie w pełni. Wulfric podszedł do drzwi obory. Serce Gwendy zabiło mocniej. Może jeszcze nie wszystko stracone. Wulfric zawahał się i odszedł. Przed drzwiami kuchni znów się odwrócił i podszedł do obory. I jeszcze raz zawrócił.

Obserwowała go z mocno bijącym sercem, ale się nie ruszała. Zrobiła wszystko, co mogła, by go zachęcić. Ostami krok musiał zrobić sam.

Wulfric stanął przed drzwiami kuchni. W blasku księżycy wyraźnie widziała z boku jego piękny profil i całą sylwetkę od grzywki do butów. Sięgnęła ręką do spodni. Gwenda wiedziała, co robi; kiedyś była świadkiem, jak jej brat robił to samo. Wulfric stęknął, wykonując dłonią ruch, który był karykaturą miłości. Patrzyła, jak marnuje swoje pożądanie, i pękało jej serce.

20

»

Godwyn rozpoczął kampanię przeciwko Carlusowi w niedzielę przed urodzinami świętego Adolfa.

W tym dniu co roku odprawiano specjalną mszę w katedrze. Przeor obnosił po kościele szczątki świętego, a zakonnicy podążali za nim w procesji, modląc się o dobrą pogodę na żniwa.

Przygotowanie katedry do ceremonii było zadaniem Godwyna: należało rozmieścić gromnice, naszykować kadzidło i przesunąć ławki. Pomagali mu w tym nowicjusze i słudzy kościelni tacy jak Philemon. Obchody święta Adolfa wymagały drugiego ołtarza: był nim wymyślnie rzeźbiony stół, ustawiony na podeście, który można było dowolnie przesuwać.

Godwyn umieścił go we wschodniej części poprzecznej nawy i ustawił na nim dwa srebrne lichtarze. Podczas tej czynności zastanawiał się nad swoim położeniem.

Zdołał namówić Thomasa, by zgłosił swoją kandydaturę na przeora. Teraz należało wyeliminować przeciwników. Carlus stanowił łatwy cel ataku, lecz w pewnym sensie mogło się to okazać niekorzystne, gdyż Godwyn nie chciał zaprezentować się jako okrutnik.

Na środku ołtarza ustawił krzyż - relikwię, pokryty złotem i wysadzany drogimi kamieniami krucyfiks, którego drewno pochodziło z najświętszego krzyża, na którym umarł Jezus Chrystus. W cudowny sposób znalazła je Helena, matka Konstantyna Wielkiego. Kawałeczki drewna powędrowały do kościołów w całej Europie.

Rozmieszczając przedmioty na ołtarzu, Godwyn zobaczył matkę Cecylię. Przerwał pracę, by zamienić z nią kilka zdań.

- Słyszałem, że hrabia Roland odzyskał przytomność. Chwała Bogu.

- Amen - odpowiedziała Cecilia. - Tak długo leżał w gorączce, że lękaliśmy się o jego życie. Jakieś złe wapory musiały wnikać do jego mózgu po tym, jak pękła mu czaszka. Mówił bez ładu i składu. A dziś rano zbudził się i zaczął mówić normalnie.

- Wyleczyłaś go.

- Pan Bóg go uleczył.

- Mimo to powinien być ci wdzięczny. Cecilia się uśmiechnęła.

- Jesteś młody, bracie Godwynie. Nauczysz się, że możnowładcy nigdy nie okazują wdzięczności. Uważają, że to, co od nas otrzymują, im się należy.

Godwyn był zirytowany pobłażliwością zakonnicy, lecz tego nie okazał.

- Tak czy inaczej możemy wreszcie przeprowadzić wybory.

- Kto je wygra?

- Dziesięciu mnichów obiecało głosować na Carlusa, tylko siedmiu poprze Thomasa. Jeśli kandydaci zagłosują na siebie, będzie jedenaście do ośmiu, przy sześciu wstrzymujących się.

- W takim razie nie sposób niczego przewidzieć.

- Jednak Carlus ma przewagę. Thomasowi przydałoby się twoje poparcie, matko.

- Ja nie mam głosu.

- Ale masz wpływy. Gdybyś oznajmiła, że klasztorowi potrzebne jest surowsze przewodnictwo i pewne zmiany, i że Thomas byłby zdolny to zrealizować, niektórzy mnisi mogliby przejść na jego stronę.

- Nie powinnam angażować się po żadnej ze stron.

- Być może, ale mogłabyś powiedzieć, że przestaniesz wspomagać mnichów finansowo, jeśli nie zaczną lepiej zarządzać swoimi pieniędzmi. Cóż w tym złego?

W oczach Cecylii błysnęło rozbawienie; niełatwo było ją przekonać.

- To byłoby niejawne poparcie Thomasa.

- Owszem.

- A ja zachowuję neutralność. Będę chętnie współpracowała z każdym przeorem wybranym przez mnichów. To moje ostatnie słowo, bracie.

Godwyn uklonił się z szacunkiem.

- Szanuję twoją decyzję, matko. Cecilia skinęła głową i odeszła.

Godwyn był zadowolony. Nie spodziewał się, że Cecilia poprze Thomasa. Była konserwatystką. Wszyscy zakładali, że opowie się po stronie Carlusa. Ale Godwyn mógł teraz rozpowiadać, że każdy kandydat ją zadowoli. W efekcie osłabi jej utajone poparcie dla Carlusa.

Cecilia może się rozgniewać, że Godwyn w taki sposób wykorzystuje jej słowa, ale nie wycofa deklaracji neutralności.

Jestem bardzo sprytny, naprawdę zasługuję na to, by zostać przeorem, pomyślał.

Unieszkodliwienie Cecylii pomoże, ale nie wystarczy do pokonania Carlusa. Godwyn musiał w sposób jawny zademonstrować mnichom, że Carlus nie nadaje się na ich przełożonego. Okazja nadarzy się dzisiaj i nie mógł się jej doczekać. Carlus i Simeon byli teraz w katedrze i ćwiczyli przed mszą. Carlus jako urzędujący przeor musiał poprowadzić procesję, niosąc relikwiarz z kości słoniowej i złota, zawierający szczątki świętego. Simeon, skarbnik i zausznik Carlusa, prowadził go pod rękę. Godwyn widział, że Carlus liczy kroki, żeby później samodzielnie mógł pokonać tę drogę. Wierni byli pod wrażeniem, widząc, że porusza się pewnie pomimo swojej ślepoty; wyglądało to na mały cud.

Procesja zawsze zaczynała się we wschodniej części kościoła, gdzie pod wielkim ołtarzem przechowywano kości świętego. Przeor otwierał szafkę i wyjmował relikwiarz. Szedł z nim przez północną nawę prezbiterium i północny transept, północną częścią nawy, potem zachodnią częścią, by wrócić przez środek nawy do transeptu. Tam wchodził po dwóch stopniach, by umieścić go na drugim ołtarzu przygotowanym przez Godwyna. Święte szczątki pozostawały tam przez całą mszę i wierni mogli na nie patrzeć.

Rozglądając się po kościele, Godwyn zwrócił uwagę na prace remontowe prowadzone w południowej części nawy; podszedł tam, by przyjrzeć się z bliska. Merthin już nie pracował, gdyż został wyrzucony z terminu przez Elfrica, ale wciąż wykorzystywano jego zaskakująco prostą metodę budowlaną. Zamiast wznosić kosztowną drewnianą ramę podtrzymującą kamienie do czasu, aż cement wyschnie, obwiązywano je sznurkami, które następnie obciążano większymi kamieniami. Tego sposobu nie można było wykorzystać jedynie do budowy żebrowania sklepienia, które składało się z długich wąskich kamieni. Jednak Merthin i tak zaoszczędził opactwu mnóstwo pieniędzy, które musieliby wydać na cieśli.

Godwyn dostrzegł talent Merthina, lecz czuł się przy nim nieswojo i wolał korzystać z usług Elfrica. Jemu można było ufać i traktować go jako posłuszne narzędzie, które się nie zbuntuje. Merthin za bardzo lubił chadzać własnymi drogami.

Carlus i Simeon wyszli z katedry. Świątynia była przygotowana do mszy. Godwyn odprawił wszystkich pomocników oprócz Philemona, który zamiatał posadzkę w transepcie.

Przez chwilę w ogromnej katedrze nie było nikogo prócz nich.

To była szansa dla Godwyna. Plan, który miał prawie gotowy w głowie, teraz ukazał mu się w pełni. Zawahał się, gdyż przedsięwzięcie było szalenie niebezpieczne. Musiał jednak podjąć ryzyko.

Skinął na Philemona.

- Pomóż mi przesunąć podest o jard do przodu, szybko.

Przez większość czasu katedra stanowiła dla Godwyna wyłącznie miejsce pracy. Była budowlą, która wymagała napraw, źródłem zarobku, a jednocześnie obciążeniem finansowym. Jednak przy takich okazjach jej majestat objawiał się na nowo. Płomienie świec skakały, ich migotliwy blask odbijał się od złota lichtarzy; mnisi i zakonnice w habitach sunęli między dostojnymi kamiennymi kolumnami; głos chóru ulatywał aż pod wysokie sklepienie. Nic dziwnego, że setki mieszczan zebranych w katedrze patrzyło na to w skupieniu.

Carlus miał prowadzić procesję. Przy wtórze śpiewu otworzył szafkę pod wielkim ołtarzem i wyjął relikwiarz ze złota i kości słoniowej. Trzymając go wysoko, ruszył na czele procesji. Z białą brodą i niewidzącymi oczami wyglądał jak uosobienie świętej niewinności.

Czy wpadnie w pułapkę, którą zastawił nań Godwyn? Podstęp wydawał się aż za prosty. Idący kilka kroków za Carlusem Godwyn zagryzł wargę, starając się zachować spokój.

Wierni spoglądali na procesję z nabożnym lękiem. Godwyn nie mógł się nadziwić, jak łatwo jest nimi manipulować. Nie mogli widzieć kości, a gdyby je zobaczyli, nie odróżniliby ich od szczątków innego człowieka. Jednak za sprawą drogiego relikwiarza i osobliwego piękna śpiewu, habitów mnichów i mniszek oraz monumentalnego dostojństwa katedry, odczuwali obecność czegoś świętego.

Godwyn obserwował uważnie Carlusa. Dotarłszy do środka najbardziej na zachód wysuniętej zatoczki północnej nawy, ślepiec skręcił w lewo. Simeon szedł tuż obok, by skorygować błąd, gdyby było to konieczne. Ale nie było. Dobrze, pomyślał Godwyn. Im pewniej Carlus się czuje, tym bardziej prawdopodobne, że przewróci się w najważniejszym momencie.

Licząc kroki, Carlus doszedł do środka nawy i znów skręcił, tym razem kierując się prosto na ołtarz. Nagle jak na dany znak śpiew ucichł i procesja szła dalej w ciszy.

To musi przypominać próbę dotarcia do latryny w środku nocy, pomyślał Godwyn. Carlus pokonywał tę drogę kilka razy w roku przez większość życia. Teraz czynił to jako prowadzący procesję, co musiało utrudniać mu zadanie. Sprawiał jednak wrażenie spokojnego, tylko lekki ruch jego warg świadczył o tym, że liczy. Ale Godwyn postarał się, żeby rachunek go zawiódł. Czy Carlus wyjdzie na głupca? A może w jakiś sposób uratuje twarz?

Wierni cofnęli się trwożnie, gdy święte szczątki znalazły się blisko nich. Wiedzieli, że dotknięcie relikwiarza ma cudowne skutki, lecz wierzyli również, że obraza szczątków świętego może ściągnąć nieszczęście. Duchy zmarłych bez przerwy unosiły się w pobliżu, czuwając nad kośćmi w oczekiwaniu na dzień sądu, ci zaś, którzy prowadzili życie świętych, mieli niemal nieograniczoną moc nagradzania i karania żywych.

Godwynowi przemknęło przez myśl, że święty Adolf może się na niego gniewać za to, co się za chwilę stanie w katedrze. Zadrzał ze strachu. Zaraz jednak powiedział sobie, że powoduje nim troska o dobro klasztoru, w którego pieczy znajdują się szczątki, i że wszechwiedzący święty, potrafiący zaglądać w ludzkie serca, zrozumie, że jego intencje są dobre.

Carlus zwolnił, zbliżając się do ołtarza, lecz stawiał kroki tej samej długości. Godwyn wstrzymał oddech. Carlus z wahaniem zrobił krok, który wedle obliczeń powinien doprowadzić go tuż przed podest. Godwyn mógł tylko patrzeć, bojąc się, że w ostatniej chwili ślepiec zrobi coś nieoczekiwanego.

Jednak Carlus pewnie kroczył dalej.

Jego stopa uderzyła w krawędź podestu o jard wcześniej, niż się spodziewał. W ciszy stuknięcie sandała w puste drewno było głośne. Carlus krzyknął przerażony. Siła rozpędu poniosła go dalej.

Godwyna ogarnęła radość, lecz trwała tylko sekundę, bo potem zaczęła się katastrofa.

Simeon wyciągnął rękę, żeby podtrzymać Carlusa, ale było za późno. Relikwiarz wyleciał z rąk ślepeca. Wierni westchnęli z przerażenia. Cenna szkatułka spadła na kamienną posadzkę, a szczątki świętego się rozsypały. Carlus runął na ciężki rzeźbiony ołtarz, spychając go z podestu. Gromnice poleciały na ziemię.

Godwyn był przerażony. To wyglądało gorzej, niż tego chciał.

Czaszka świętego potoczyła się po posadzce i zatrzymała u stóp Godwyna.

Jego plan się powiódł, i to aż za dobrze. Godwyn chciał, żeby Carlus się przewrócił i wyglądał bezradnie, ale nie chodziło mu o to, żeby święte szczątki zostały zbezczeszczone. Spoglądał z przerażeniem na leżącą na posadzce czaszkę, której puste oczodoły zdawały się patrzeć nań oskarżycielsko. Jaka straszna kara na niego spadnie?

Czy zdoła odpokutować za taką zbrodnię?

Godwyn spodziewał się upadku Carlusa, był więc mniej wstrząśnięty od innych zgromadzonych w katedrze i pierwszy się opanował. Wzniósł obie ręce ku niebu i zawołał:

- Wszyscy na kolana! Módlmy się!

Wierni stojący w pierwszym rzędzie uklękli, reszta natychmiast poszła w ich ślady. Rozpoczął znaną wszystkim modlitwę, a mnisi i zakonnice natychmiast się przyłączyli. Ich głosy wypełniły wnętrze katedry, a Godwyn podniósł z posadzki relikwiarz, który wydawał się cały. Poruszając się z teatralną powolnością, ujął czaszkę w obie dłonie. Drżał w zabobonnym lęku, zdołał ją jednak utrzymać. Wypowiadając łacińskie słowa modlitwy, przeniósł czaszkę do relikwiarza i umieścił ją w środku.

Zobaczył, że Carlus próbuje wstać. Skinął na dwie zakonnice.

- Zaprowadźcie brata Carlusa do szpitala. Bracie Simeonie, matko Cecilio, zechcecie mu towarzyszyć?

Podniósł następną kość. Bał się, wiedząc, że to on, a nie Carlus, ponosi winę za to, co się stało. Ale intencje miał czyste i nie opuszczała go nadzieja, że zdoła złagodzić gniew świętego. Jednocześnie miał świadomość, że to, co w tej chwili robi, musi wywierać dobre wrażenie na wszystkich, którzy go obserwują. W obliczu wielkiego zagrożenia brał odpowiedzialność na swoje barki, jak prawdziwy przywódca.

Jednak chwili zdumienia i lęku nie można było przedłużać w nieskończoność. Należało jak najprędzej pozbierać kości.

- Bracie Thomasie, bracie Theodoricu, pomóżcie mi.

Philemon zrobił krok w jego stronę, lecz Godwyn odprawił go ruchem ręki: chłopak nie był mnichem, a tylko sługom Boga wolno było dotykać kości.

Kuśtykając, Carlus wyszedł z katedry z pomocą Simeona i Cecilii. Godwyn został niekwestionowanym bohaterem.

Philemonowi i innemu słudze kościelnemu, Othowi, kazał zająć się ołtarzem. Ustawili go z powrotem na podeście. Otho pozbierał lichtarze, a Philemon podniósł wysadzany klejnotami krucyfiks. Słudzy odłożyli z czcią przedmioty na ołtarz, a potem przystąpili do zbierania rozrzuconych świec.

Wszystkie kości wróciły na swoje miejsce. Godwyn usiłował zamknąć relikwiarz, lecz wieko się skrzywiło i nie pasowało do reszty. Zachowując spokój, z namaszczeniem odstawił szkatułkę na ołtarz.

W samą porę przypomniał sobie, że chodziło mu o to - przynajmniej na razie - by Thomas, a nie on wyglądał jak przełożony klasztoru. Podniósł księgę niesioną przedtem przez Simeona i wręczył ją Thomasowi. Temu nie trzeba było tłumaczyć, co ma robić. Otworzył księgę, odnalazł właściwą stronę i zaczął czytać. Mnisi i zakonnice ustawili się w szeregach po obu stronach ołtarza. Thomas zaintonował psalm.

Jakoś dobrnęli do końca mszy.

Godwyn znów zaczął drzeć, gdy tylko wyszedł z kościoła. Omal nie doprowadził do katastrofy, lecz udało mu się wyjść z opresji cało.

Po dotarciu do klasztoru wśród mnichów zaczęły się ożywione rozmowy. Godwyn stanął, opierając się o kolumnę. Musiał zapanować nad emocjami. Wsłuchiwał się w słowa mnichów.

Niektórzy uważali, że zbezczeszczenie szczątków świętego było znakiem świadczącym o tym, iż pan Bóg nie chce, by Carlus został przeorem. Właśnie o taką reakcję chodziło Godwynowi. Jednak ku jego przerażeniu okazało się, że większość braci współczuje ślepcowi. Nie takie było zamierzenie Godwyna. Nagle uświadomił sobie, że być może dzięki niemu Carlus zyskał większe poparcie.

Opanował się i szybkim krokiem ruszył do szpitala. Musi spotkać się z Carlusem, póki ten pozostaje w szoku, i zanim dotrze do niego, co myślą inni mnisi.

Zastępca przeora siedział na łóżku z ręką na temblaku i bandażem na głowie. Był blady i wyglądał na wystraszonego, po jego twarzy co chwila przebiegały nerwowe drgawki.

Simeon zmierzył Godwyna złym spojrzeniem.

- Pewnie jesteś zadowolony. Godwyn nie odpowiedział.

- Bracie Carlusie, pragnę cię uspokoić. Szczątki świętego spoczęły w szkatule przy wtórze śpiewów i modlitw. Święty na pewno przebaczy nam ten tragiczny wypadek.

Carlus pokręcił głową.

- Wypadki nie istnieją. Wszystko dzieje się z woli Pana Boga.

Godwyn poczuł przyływ nadziei. Te słowa zabrzmiały obiecująco. Simeon najwyraźniej myślał w taki sam sposób. Próbował powstrzymać Carlusa.

- Bracie, waż słowa, abyś później niczego nie żałował.

- To znak - powtórzył Carlus. - Pan Bóg mówi, że nie chce, bym został przeorem.

Właśnie na to liczył Godwyn.

- Bzdura - obruszył się Simeon, podnosząc kubek ze stolika stojącego przy łóżku. Godwyn domyślił się, że zawiera ciepłe wino z miodem. Matka Cecilia stosowała ten napój jako lek na większość chorób. Simeon włożył go Carlusowi do ręki. - Wypij.

Carlus napił się, lecz nie zmienił zdania.

- Zignorowanie takiego znaku byłoby grzechem.

- Nie zawsze łatwo jest odczytać znaki? - zauważył Simeon.

- Być może. Ale nawet jeśli masz rację, czy bracia zagłosują na przeora, który wywraca się przy obnoszeniu szczątków świętego?

- Niektórzy skłonni będą ci współczuć, zamiast cię odrzucać - wtrącił Godwyn.

Simeon spojrział na niego zaskoczony, próbując odgadnąć, do czego zmierza.

Jego podejrzliwość była uzasadniona. Godwyn odgrywał rolę adwokata diabła, gdyż chciał mieć pewność, że Carlus zwątpił. Czy uda mu się wyciągnąć od ślepeca decyzję wycofania się z wyborów?

- Przeorem można zostać wtedy, gdy bracia cię szanują i wierzą, że umiesz nimi mądrze

pokierować, a nie dlatego, że się nad tobą litują - zaproponował Carlus. Przemawiało przez niego gorzkie-przekonanie człowieka, który całe życie był kaleką.

- Zapewne masz rację - przyznał z udawaną niechęcią Godwyn. - Ale może ma ją także Simeon. Może powinieneś poczekać z decyzją do czasu, aż poczujesz się lepiej?

- Czuję się doskonale i nigdy nie będę czuł się lepiej - odparł Carlus, nie chcąc przyznać się do słabości przed młodym Godwynem. - Nic się nie zmieni. Jutro będzie tak samo jak dzisiaj. Nie będę kandydował na urząd przeora.

Właśnie na te słowa czekał Godwyn. Wstał szybko i skłonił głowę, ukrywając twarz z obawy, że zdradzi jego radość.

- Jak zawsze wyraziłeś się jasno, bracie. Przekażę twoją decyzję pozostałym mnichom.

Simeon otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz w tej samej chwili na schodach ukazała się matka Cecilia. Była wzburzona.

- Hrabia Roland życzy sobie widzieć zastępcę przeora. Grozi, że wstanie z łóżka. Nie wolno mu tego robić, bo czaszka mogła się jeszcze nie zagoić. Ale brat Carlus także nie powinien chodzić.

Godwyn spojrział na Simeona.

- My dwaj pójdziemy do hrabiego. Ruszyli schodami na górę.

Godwyn czuł się świetnie. Carlus nawet nie podejrzewał, że został pobity. Z własnej woli wycofał się z kandydowania, na placu boju zostawiając jedynie Thomasa. A Godwyn w każdej chwili mógł Thomasa wyeliminować.

Jak dotąd wszystko szło jak z płatka.

Hrabia Roland leżał na wznak z grubo obandażowaną głową, lecz mimo to wyglądał jak możnowładca. Musiał go odwiedzić golibroda, gdyż jego twarz była gładka, a czarne włosy - w miejscach niezakrytych bandażem - zostały przyszczyżone. Był ubrany w krótką purpurową tunikę i nowy trykot, którego nogawki zgodnie z modą miały różne kolory. Chociaż leżał w łóżku, miał na sobie pas ze sztyletem, a na nogach skórzane buty z krótkimi cholewami. Obok łóżka stał młodszy syn hrabiego, William, i jego żona Philippa. Młody sekretarz, ojciec Jerome, siedział przy stoliku, na którym leżały pióra i wosk do pieczętowania.

Wynikało z tego jasno, że hrabia znów dzierży ster władzy.

- Czy jest tu zastępca przeora? - spytał mocnym głosem. Godwyn myślał szybciej niż Simeon, więc odpowiedział pierwszy:

- Brat Carlus ucierpiał w czasie upadku i leży w klasztornej szpitalu, panie. Jestem zakrystianem, a obok mnie stoi skarbnik Simeon. Dziękujemy Bogu za twoje cudowne wyzdrowienie, bo to On pokierował rękami mnichów lekarzy, którzy cię doglądali.

- Moją pękniętą głowę zreperował golarz - sprostował Roland. - To jemu dziękujcie.

Leżał na plecach i patrzył w sufit, więc Godwyn nie mógł widzieć dobrze jego twarzy, miał jednak wrażenie, że jest ona dziwnie pozbawiona wyrazu. Zastanawiał się, czy pęknięcie czaszki wyrządziło trwale szkody.

- Czy masz wszystko, czego ci trzeba, panie?

- Jeśli nie, wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą. A teraz słuchaj. Moja siostrzenica Margery wychodzi za mąż za młodszego syna Monmoutha, Rogera. Pewnie o tym wiesz.

- Tak.

Godwyn przypomniał sobie Margery leżącą z nogami w górze i cudzołożącą ze swoim kuzynem, biskupem Kingsbridge.

- Ślub został niepotrzebnie opóźniony z powodu moich ran.

Godwyn domyślił się, że to nieprawda. Most zawalił się zaledwie miesiąc temu. Hrabia chciał zapewnić udowodnić, że wypadek go nie osłabił, że wciąż jest potęgą, z którą warto wejść w sojusz.

- Ślub odbędzie się w katedrze w Kingsbridge od dziś za trzy tygodnie - ciągnął

Roland.

Ścisłe rzecz biorąc, hrabia powinien zwrócić się z prośbą, a nie wydawać rozkazy. Wybrany przez braci przeor mógłby się obruszyć na taką wyniosłość, lecz takowego nie było. Godwynowi nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego życzenie Rolanda nie miałyby zostać spełnione.

- Tak, panie. Poczynię stosowne przygotowania.

- Chcę, żeby nowy przeor objął stanowisko przed ceremonią - dodał Roland.

Simeon mruknął, zaskoczony.

Godwyn błyskawicznie wykalkulował, że pośpiech pomoże mu w realizacji planów.

- Doskonale - rzekł. - Kandydatów było dwóch, ale zastępca przeora, Carlus, się wycofał, więc pozostaje tylko jeden, brat Thomas. Możemy przeprowadzić wybory jak najprędzej.

Godwyn ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Simeon wiedział, że jest o krok od klęski.

- Chwileczkę.

Ale Roland nie zamierzał go słuchać.

- Nie chcę Thomasa - rzekł hrabia. Tego Godwyn się nie spodziewał.

Simeon uśmiechnął się, uradowany z nieoczekiwanego wsparcia.

- Ależ, panie... - zaczął Godwyn. Roland nie pozwolił, by mu przerwano.

- Wezwij mojego bratanka Saula Whiteheada z klasztoru Świętego Jana z Lasu. Godwyn poczuł się zagrożony. Saul był jego rówieśnikiem. W czasach nowicjatu

przyjaźnili się. Razem poszli do Oksfordu, lecz później ich drogi się rozeszły: Saul stał się pobożniejszy, a Godwyn - bardziej światowy. Teraz Saul świetnie sobie radził jako przeor osamotnionego klasztoru. Bardzo poważnie traktował cnotę skromności i nie dążył do zaszczytów. Ale był inteligentny, oddany Bogu i przez wszystkich lubiany. ».

- Sprowadź go tu jak najrychlej - polecił Roland. - Zamierzam uczynić go przeorem Kingsbridge.

21

Merthin siedział na kościele Świętego Marka w północnej części Kingsbridge. Widział stamtąd całe miasto. W jego południowo-wschodniej części zakole rzeki otaczało klasztor.

Jedną czwartą terenu Kingsbridge zajmowały budynki klasztorne i ich otoczenie: cmentarz, rynek, sad i ogród warzywny. Katedra wyrastała pośród nich niczym dąb na polu pełnym ostów. Merthin widział służbę klasztorną zbierającą warzywa w ogródku, wyrzucającą gnój ze stajni i rozładowującą beczki z furmanki.

W centrum miasta, zwłaszcza wzdłuż głównej ulicy, stały domy bogatych mieszczan, wspinające się od brzegu rzeki tak, jak setki lat temu wspinali się pierwsi mnisi. Ulicą szło kilku zamożnych kupców, wyróżniających się wełnianymi ubraniami w jaskrawych kolorach. Kupcy zawsze mieli jakieś ważne sprawy. Drugi szeroki trakt biegł przez miasto z zachodu na wschód, przecinając główną ulicę pod kątem prostym koło północno-zachodniego krańca klasztoru. Tuż obok widać było rozległy dach ratusza, największego obok klasztoru budynku w mieście.

Przy głównej ulicy, obok karczmy Bella, znajdowała się brama klasztoru, naprzeciwko stał dom Caris górujący nad większością sąsiednich domów. Przed karczmą zgromadził się tłum otaczający wędrownego mnicha Murdo. Mnich, który nie związał się z żadnym zakonem, został w mieście po katastrofie mostu. Wstrząśnięci, pogrążeni w żałobie po stracie bliskich ludzie szczególnie chętnie słuchali jego płomiennych wygłaszanych na ulicy kazań, toteż Murdo zgarniał miedziaki pełnymi garściami. Merthin uważał jego gniew za fałszywy, a łzy za przykrywkę dla cynizmu i chciwości, lecz większość ludzi dawała mu posłuch.

Przy końcu głównej ulicy wciąż sterczały z wody resztki mostu. Tuż obok zbudowany przez Merthina prom płynął przez rzekę, wioząc furmankę załadowaną pniami drzew. W kierunku południowo-wschodnim od tego miejsca znajdowała się przemysłowa część miasta z dużymi budynkami rzeźni, garbarni, browarów, piekarni i innych warsztatów. Czołowi mieszkańcy miasta uważali, że jest tam zbyt brudno i za bardzo śmierdzi, lecz zarabiano tutaj mnóstwo pieniędzy. Rzeka była w tym miejscu szersza i rozdzielała się na dwa kanały opływające Wyspę Trędowatych, łan Boatman płynął swoją małą wiosłową łodzią, a pasażerem był mnich, który zapewne wiozł jedzenie

dla ostatniego trędowatego. Na południowym brzegu mieściły się nabrzeża i magazyny, przy kilku z nich rozładowywano właśnie barki i tratwy. Dalej rozciągało się Nowe Miasto z szeregami nędznych chat stojących między sadami, pastwiskami i ogrodami, w których słudzy klasztorni wytwarzali żywność dla mnichów i zakonnic.

W północnej dzielnicy miasta, gdzie znajdował się kościół Świętego Marka, mieszkali w skromnych domkach robotnicy, wdowy, biedacy i starcy. Kościół także był biedny. Na szczęście dla Merthina.

Przed czterema tygodniami zdesperowany ojciec Joffroi wynajął go do zbudowania wyciągu i naprawy dachu. Caris przekonała Edmunda, by pożyczył Merthinowi pieniądze na zakup narzędzi. Merthin zatrudnił czternastoletniego Jimmiego, który pracował za pół pensa dziennie. Dzisiaj wyciąg był gotowy.

Rozeszła się wieść, że Merthin będzie wypróbowywał nową maszynę. Wszyscy podziwiali jego prom, chcieli więc zobaczyć, co wymyślił tym razem. Na cmentarzu zgromadził się niewielki tłum złożony głównie z gapiów; byli tam jednak również ojciec Joffroi, Edmund i Caris, a także niektórzy budowniczy, między innymi Elfric. Jeśli Merthinowi się nie powiedzie, świadkami klęski będą jego przyjaciele i wrogowie.

Nie to jednak było najgorsze. Praca przy kościele uratowała Merthina przed koniecznością opuszczenia miasta. Ta groźba wciąż jednak nad nimi wisiała. Gdyby wyciąg zawiódł, ludzie wysnułoby wniosek, że zatrudnianie Merthina przynosi pecha. Powiedzieliby, że duchy nie chcą go w mieście. Znalazłby się pod wielką presją. Musiałby pożegnać się z Kingsbridge. I z Caris.

W ciągu ostatnich tygodni, przycinając kawałki drewna i łącząc je, po raz pierwszy poważnie pomyślał o tym, że może ją stracić, i myśl ta go przeraziła. Uświadomił sobie, że Caris jest jedynym szczęściem, jakie zna. Przy ładnej pogodzie pragnął z nią spacerować, jeśli go coś zachwycało, chciał jej to pokazać, usłyszawszy żart, chciał jej go powtórzyć i zobaczyć jej uśmiech. Praca sprawiała mu przyjemność, zwłaszcza gdy zdołał sprytnie rozwiązać jakiś trudny problem, była to jednak chłodna, intelektualna satysfakcja. Wiedział, że bez Caris jego życie będzie jak długa zima.

Nadszedł czas próby dla jego wiedzy i umiejętności. Merthin wstał.

Zbudował zwyczajny wyciąg z jedną innowacyjną właściwością. Wszystkie wyciągi składały się z liny biegnącej przez kilka bloków. Na szczycie muru kościoła, przy krawędzi dachu, Merthin zbudował drewnianą konstrukcję podobną do szubienicy, z ramieniem sięgającym nad dach. Lina biegła do końca jej ramienia. Drugi koniec liny znajdował się przy kieracie stojącym na ziemi na cmentarzu, a Jimmie obracał kołem, naciągając linę. Tak wyglądały typowe wyciągi. Nowość polegała na tym, że szubienica została wyposażona w krętklik, dzięki któremu ramię mogło się obracać.

Żeby nie podzielić losu Howella Tylera, Merthin obwiązał się pod pachami pasem przymocowanym do masywnego kamiennego pinakła. Jeśli spadnie, nie runie na ziemię. Tak zabezpieczony zerwał gonty z części dachu, a potem przywiązał koniec liny do belki.

- Obróć koło! - zawołał do Jimmiego.

Wstrzymał oddech. Był pewien, że urządzenie zadziała prawidłowo, ale w takiej chwili emocji nie dało się powstrzymać.

Jimmie ruszył, obracając kierat. Koło kręciło się tylko w jedną stronę. Merthin zaopatrzył je w hamulec: każdy ząb był lekko wygięty, dzięki czemu hamulec przesuwiał się łagodnie do przodu, jednak druga strona zęba była pionowa, więc każdy ruch wstecz powodował natychmiastowe zatrzymanie.

Koło obróciło się, belka na dachu się uniosła.

Gdy oderwała się od konstrukcji, Merthin krzyknął:

- Dość!

Jimmie się zatrzymał, hamulec wskoczył między zęby i drewno zawisło w powietrzu, kołysząc się lekko. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Teraz miał się zacząć trudniejszy etap.

Merthin obrócił wyciąg, ramię się przesunęło. Obserwował je, wstrzymawszy oddech. Obciążona drewnem konstrukcja napięła się, belki zatrzęszczały. Ramię zatoczyło półkole, przenosząc drewno z dachu w nowe miejsce nad cmentarzem. Zebrani obserwatorzy wydali pomruk podziwu; nigdy nie widzieli wyciągu, który się obraca.

- Opuszczaj! - krzyknął Merthin.

Jimmie uruchomił hamulec, pozwalając ładunkowi opadać skokami długości około jednej stopy, koło obracało się, a lina rozwijała.

Wszyscy patrzyli na to w milczeniu. Kiedy belka dotknęła ziemi, rozległy się oklaski.

Jimmie odwiązał belkę.

Merthin pozwolił sobie na chwilę triumfu. Machina działała.

Zszedł po drabinie na dół. Tłum przywitał go owacją. Caris dała mu całusa, a ojciec Joffroi uścisnął jego dłoń.

- To dziw nad dziwy. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

- Nikt nie widział - odparł Merthin. - Sam wymyśliłem to urządzenie. Kilku mężczyzn mu pogratulowało. Wszyscy cieszyli się, że jako jedni z pierwszych zobaczyli niezwykle zjawisko - wszyscy oprócz Elfrica, który spoglądał posępnie, stojąc z tyłu. Merthin go zignorował.

- Zgodziliśmy się, że zapłaci mi ojciec, jeśli machina będzie działała.

- Zapłacę, i to chętnie. Jak dotąd jestem ci winien osiem szylingów. Im szybciej będę ci

musiał zapłacić za usunięcie reszty dachu, tym lepiej.

Otworzył woreczek przytroczony do pasa i wyjął z niego garść monet zawiązanych w szmatkę.

- Chwileczkę! - odezwał się głośno Elfric. Wszyscy obejrżeli się na niego.

- Nie możesz mu zapłacić, ojczcie. On nie jest wykwalifikowanym cieślą. To niemożliwe, żeby udało mu się mi przeszkodzić, pomyślał Merthin.

Wykonał zadanie, teraz nikt nie może odmówić mu zapłaty. Jednak Elfric nie dbał o sprawiedliwość.

- Nonsens - odparł Joffroi. - Merthin dokonał tego, czego nie potrafił zrobić żaden cieśla w mieście.

- Ale nie należy do cechu.

- Chciałem do niego wstąpić, ale nie dopuściłeś do tego - wtrącił się Merthin.

- Takie są prawa cechu.

- Muszę powiedzieć, że to niesprawiedliwe, i wielu się ze mną zgodzi - rzekł Joffroi. - Merthin terminował sześć i pół roku, nie otrzymując żadnej zapłaty oprócz jedzenia i miejsca do spania na podłodze. Wszyscy wiedzą, że od lat wykonuje pracę wykwalifikowanego cieśli. Nie powinien być odprowadzać go bez narzędzi.

Zgromadzeni mężczyźni pomrukiem wyrazili aprobatę dla słów proboszcza. Panował pogląd, że Elfric posunął się za daleko.

- Szanuję ojca, ale o tym decyduje cech, a nie ty, ojczcie. Joffroi skrzyżował ręce na piersi.

- Dobrze. Mówisz, że mam nie płacić Merthinowi, mimo iż okazał się jedynym rzemieślnikiem w mieście, który potrafi naprawić mój kościół bez zamykania go. Rzucam ci wyzwanie.

Proboszcz wręczył Merthinowi pieniądze.

- Możesz iść do sądu.

- I stanąć przed sądem opata - powiedział Elfric ze złośliwym grymasem na twarzy. - Jeśli zwykły człowiek ma pretensje do księdza, czy może liczyć na sprawiedliwość w sądzie prowadzonym przez mnichów?

Niektórzy przyjęli jego słowa ze zrozumieniem. Znali wiele przypadków, gdy sąd klasztorny wydawał wyroki faworyzujące członków kleru.

- Czy czeladnik może liczyć na sprawiedliwość w cechu, którym rządzą jego mistrzowie? - odciął się Joffroi.

Śmiech zebranych świadczył o tym, że doceniają celną ripostę. Elfric wyglądał na pokonanego. W sądzie mógł wygrać spór z Merthinem, lecz przeciwko księdzu jego szanse były niewielkie.

- Zły to dzień dla miasta, gdy czeladnicy kpią z mistrzów i znajdują poparcie u księży.

Wypowiedziawszy te słowa, Elfric odwrócił się i odszedł.

Merthin zważył monety w dłoni: było to osiem szylingów i dziewięćdziesiąt sześć srebrnych pensów, dwie piąte funta. Wiedział, że powinien przeliczyć, ale był zbyt szczęśliwy. Otrzymał swoją pierwszą wypłatę.

Spojrzał na Edmunda.

- To twoje pieniądze.

- Zapłać mi teraz pięć szylingów, a resztę później - odparł wielkodusznie kupiec. - Resztę sobie zatrzymaj, bo zasłużyłeś.

Merthin się uśmiechnął. Zostaną mu trzy szylingi - nigdy w życiu nie miał tyle pieniędzy. Nie wiedział, co z nimi zrobić. Może kupi matce kurczaka.

Było południe; tłum zaczął się rozchodzić do domów na obiad. Merthin poszedł z Caris i Edmundem. Miał poczucie, że jego przyszłość jest zabezpieczona. Udowodnił, że świetny z niego cieśla, teraz, gdy ojciec Joffroi dał przykład, ludzie będą go wynajmowali. Zarobi na życie. Może zbudować sobie dom.

Może się ożenić.

W domu czekała Petranilla. Merthin odliczył pięć szylingów dla Edmunda, a ciotka postawiła na stole aromatyczną pieczoną rybę z ziołami. By uczcić sukces Merthina, Edmund nalał wszystkim do kubków słodkiego reńskiego wina.

Nie lubił długo rozwodzić się nad przeszłością.

- Musimy zabrać się za nowy most - rzekł niecierpliwie. - Minęło pięć tygodni i nic się nie dzieje!

- Słyszałam, że hrabia szybko wraca do zdrowia, więc może mnisi niebawem przeprowadzą wybory - oznajmiła Petranilla. - Muszę zapytać Godwyna. Nie widziałam go od wczorajszej mszy. Ślepy Carlus przewrócił się w czasie procesji.

- Chciałbym, żeby projekt był gotowy jak najprędzej - odparł Edmund. - Wtedy prace mogłyby się rozpocząć, gdy tylko nowy przeor zostanie wybrany.

Merthin nastawił uszu.

- Co zamierzasz?

- Wiemy, że most musi być kamienny. Chcę, żeby mogły po nim przejechać obok siebie dwie

furmanki.

Merthin skinął głową.

- Po obu stronach muszą być rampy, żeby ludzie schodzili z mostu na suchy grunt, a nie na błotnistą plażę.

- Doskonale.

- Jak zbudować kamienne ściany pośrodku rzeki? - zaciekawiała się Caris.

- Nie mam pojęcia, ale to musi być możliwe - odrzekł jej ojciec. - Jest mnóstwo kamiennych mostów.

- Słyszałem, jak ktoś o tym rozmawiał - przypomniał sobie Merthin. - Trzeba zbudować specjalny mur zwany grodzą, żeby woda nie przedostawała się do miejsca, w którym trwają prace. To proste, ale podobno trzeba się postarać, żeby grodzą nie przepuszczała wody.

Do domu wszedł Godwyn z zatroskaną miną. Teoretycznie nie powinien składać wizyt towarzyskich w domach mieszczan; mógł opuszczać klasztor tylko wówczas, gdy miał jakieś konkretne zadanie do wykonania. Merthin zdziwił się na jego widok.

- Carlus wycofał się z kandydowania - oznajmił Godwyn.

- To wspaniała nowina! - ucieszył się Edmund. - Napij się wina.

- Jeszcze za wcześnie na świętowanie.

- Dlaczego? Thomas pozostaje jedynym kandydatem, a on chce nowego mostu. Nasz problem jest rozwiązany.

- Thomas nie jest już jedynym kandydatem. Hrabia nominował Saula Whiteheada.

- Hmm - mruknął w zamyśleniu Edmund. - Czy to źle?

- Tak. Saul cieszy się powszechną sympatią i pokazał, że jest dobrym przeorem Świętego Jana z Lasu. Jeśli przyjmie nominację, prawdopodobnie otrzyma głosy tych, którzy popierali Carlusa. A więc może wygrać. Później, jako kuzyn hrabiego i jego kandydat będzie szedł na rękę swemu protektorowi. Hrabia zaś może się sprzeciwić budowie nowego mostu, argumentując, że uderzy to w handel w Shiring.

Edmund zrozumiał zagrożenie.

- Czy możemy jakoś temu zaradzić?

- Mam nadzieję, że tak. Ktoś musi pojechać do Świętego Jana, przekazać wiadomość Saulowi i sprowadzić go do Kingsbridge. Zgłosiłem się do tego zadania i liczę na to, że uda mi się skłonić go do odmowy.

- To może być za mało - wtrąciła się Petranilla. Merthin słuchał jej uważnie. Nie lubił siostry Edmunda, ale doceniał jej inteligencję. - Hrabia może wyznaczyć innego kandydata. A każdy

zwolennik hrabiego może sprzeciwić się budowie mostu.

Godwyn skinął głową.

- Jeśli uda mi się zablokować kandydaturę Saula, musimy się postarać, żeby hrabia wyznaczył później kogoś, kto na pewno nie zostanie wybrany.

- Kogo masz na myśli? - zapytała matka.

- Mnicha Murdo.

- Doskonale.

- Ależ on jest okropny! - prychnęła Caris.

- Otóż to - potwierdził Godwyn. - Chciwy, zapijaczony pasożyt i podżegacz. Mnisi nigdy na niego nie zagłosują. Właśnie dlatego chcę, by został kandydatem hrabiego.

Godwyn jest podobny do matki, uświadomił sobie Merthin. Ma taki sam dryg do spiskowania.

- Jak osiągniemy cel? - spytała Petranilla.

- Najpierw trzeba przekonać Murda, żeby zgłosił swoją kandydaturę.

- To nic trudnego, wystarczy mu powiedzieć, że ma szansę. Byłby wniebowzięty, gdyby został przeorem.

- Zgoda. Ale ja nie mogę tego uczynić. Murdo natychmiast zacząłby coś podejrzewać. Wszyscy wiedzą, że popieram Thomasa.

- Ja z nim porozmawiam - zaproponowała Petranilla. - Powiem, że się poróżniliśmy, i że nie chcę Thomasa na stanowisku przeora. Dodam, że hrabia szuka kandydata, kogoś takiego jak Murdo. Cieszy się popularnością w mieście, zwłaszcza wśród ludzi biednych i niewykształconych, którzy lęczą się, że jest jednym z nich. Aby zdobyć nominację, musi tylko dać jasno do zrozumienia, że będzie pionkiem hrabiego.

- Świetnie. - Godwyn wstał. - Postaram się być obecny przy rozmowie Murda z hrabią.

Mnich pocałował matkę na pożegnanie i wyszedł.

Z ryby nic nie zostało. Merthin zjadł chleb, którym starł z deseczki smaczny tłuszcz. Edmund chciał mu dolać wina, lecz chłopak odmówił; bał się, że jeśli wypije za dużo, spadnie z dachu kościoła. Petranilla wyszła do kuchni, a gospodarz położył się spać w swoim pokoju. Merthin został sam z Caris.

Usiadł obok niej na ławce i pocałował ją.

- Jestem z Ciebie dumna - rzekła.

Merthin się rozpromienił. On też był dumny. Pocałował ją jeszcze raz, tak mocno i gorąco, że dostał erekcji. Położył rękę na piersi Caris i przez sukienkę ścisnął delikatnie jej sutek.

Dotknęła jego wzvodu i zachichotała.

- Pomóc ci? - zapytała szeptem.

Robiła to czasami wieczorem, kiedy ojciec i Petranilla spali, a ona zostawała sama z Merthinem na parterze. Ale teraz był dzień, w każdej chwili ktoś mógł wejść.

- Nie!

- Mogę to zrobić szybko - powiedziała, ściskając go mocniej.

- Za bardzo się wstydzę.

Merthin wstał i przeszedł na drugą stronę stołu.

- Szkoda.

- Może już niedługo nie będziemy musieli tego robić.

- Czego?

- Chować się i martwić tym, że ktoś może wejść. Caris poczuła się dotknięta.

- Nie lubisz tego?

- Pewnie, że lubię! Ale milej by było, gdybyśmy byli sami. Zarabiam, mógłbym wynająć dom.

- Dostałeś dopiero jedną wypłatę.

- To prawda... Nagle zmieniłaś się w pesymistkę. Zrobiłem coś złego?

- Nie... Ale dlaczego chcesz wszystko zmieniać? Pytanie zdziwiło Merthina.

- Chcę więcej, i tak, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Caris spojrzała na niego wyzywająco.

- A ja jestem szczęśliwa.

- Ja też, ale nic nie trwa wiecznie.

- Dlaczego?

Merthin miał wrażenie, że tłumaczy coś dziecku.

- Nie możemy do końca życia mieszkać z rodzicami i całować się po kątach. Musimy mieć własny dom i żyć jak mąż i żona. Kochać się naprawdę, a nie pomagać sobie ręką, i stworzyć rodzinę.

- Po co?

- Nie wiem po co - odparł zniecierpliwiony Merthin. - Tak po prostu jest, a ja nie będę ci dłużej tłumaczył, bo ty chyba nie chcesz zrozumieć. W każdym razie udajesz, że nie rozumiesz.

- Dobrze.

- Poza tym muszę wracać do pracy.

- Więc idź.

To było dla Merthina niezrozumiałe. Przez pół roku chodził przygnębiony, nie mogąc ożenić się Caris, wydawało mu się, że ona czuje to samo. A teraz okazało się, że nie. Powiedziała to niemal

wprost. Czyżby naprawdę uważała, że mogą kontynuować ten niedojrzały związek w nieskończoność?

Spojrzał na nią, próbując odczytać jej uczucia, ale zobaczył tylko nadękanie i upór. Odwrócił się i wyszedł.

Zawahał się i stanął. Może powinien wrócić i zapytać Caris, co naprawdę myśli? Przypomniał sobie jej minę i stwierdził, że to nie jest odpowiednia chwila. Ruszył w stronę kościoła Świętego Marka. Dlaczego taki piękny dzień się zepsuł?

22

Godwyn przygotowywał katedrę na wielki ślub. Kościół musiał zabłysnąć pełnym blaskiem. Oprócz hrabiów Monmouth i Shiring zjawi się kilku baronów i setki rycerzy. Należało wymienić pęknięte kamienie w posadzce, uzupełnić odpryski w murarce i sztukaterii, pobielić ściany, pomalować kolumny i wszystko idealnie wyszorować.

- Chcę też, żeby dokończono prace w południowej nawie prezbiterium - rzekł Godwyn do Elfrica, gdy robili obchód katedry.

- Nie jestem pewien, czy to możliwe...

- To konieczne. W czasie tak ważnego ślubu nie może być rusztowań w katedrze. - Philemon pomachał do niego od drzwi. - Przepraszam.

- Brakuje mi ludzi! - zawołał Elfric.

- Niepotrzebnie ich tak szybko wyrzucasz - rzucił Godwyn przez ramię.

- Murdo chce się widzieć z hrabią - oznajmił uradowany Philemon.

- Dobrze!

Wczoraj wieczorem Petranilla rozmawiała z mnichem, a rano Godwyn kazał Philemonowi kręcić się koło szpitala i wyglądać Murda. Spodziewał się jego wizyty.

Ruszył szybkim krokiem w stronę szpitala, Philemon podążył za nim. Z ulgą zobaczył, że Murdo wciąż czeka w sali na parterze. Tęgi mnich zadbał o swój wygląd: umył twarz i ręce, uczesał tonsurę i usunął najgorsze plamy z habitu. Nie wyglądał jak przeor, ale przynajmniej jak mnich.

Godwyn nie zatrzymał się przy nim, tylko ruszył schodami na górę. Straż przed komnatą zajmowaną przez hrabiego pełnił Ralph, jeden z giermków Rolanda. Był przystojnym chłopcem, lecz jego twarz szpecił niedawno złamany nos. Giermkowie często mieli złamane nosy.

- Witaj, Ralphie - zagadnął przyjaźnie Godwyn. - Co się stało z twoim nosem?

- Biłem się z jednym wiejskim przybłądą.

- Powinieneś być porządnie nastawić kość. Czy mnich tu był?

- Tak. Kazano mu czekać.

- Kto jest z hrabią?

- Lady Philippa i sekretarz, ojciec Jerome.

- Zapytaj, czy mnie przyjmą.

- Lady Philippa mówi, że hrabia nie powinien się z nikim spotykać. Godwyn uśmiechnął się porozumiewawczo do Ralpa.

- To tylko kobieta.

Giermek odpowiedział takim samym uśmiechem, otworzył drzwi i wsunął głowę do środka.

- Przyszedł brat Godwyn, zakrystian.

Po krótkiej chwili lady Philippa wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Mówiłam ci, że hrabia nie będzie nikogo przyjmował - rzekła gniewnie. - Potrzebuje odpoczynku.

- Wiem, pani, ale brat Godwyn nie przychodziłby, gdyby to nie było konieczne.

Ton głosu Ralpa sprawił, że Godwyn musiał na niego spojrzeć. Giermek wypowiedział zwyczajne słowa, lecz na jego twarzy malowało się uwielbienie. Mnich zobaczył, jak pociągającą kobietą jest Philippa. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię z paskiem w talii, delikatna wełna ściśle przylegała do jej piersi i bioder. Wygląda jak rzeźba wyobrażająca pokusę, stwierdził Godwyn. Znow pomyślał o tym, że w jakiś sposób trzeba zakazać kobietom wstępu do klasztoru. To źle, że giermek zakochał się w mężatce. Gdyby coś takiego przydarzyło się mnichowi, byłaby to katastrofa.

- Żałuję, że jestem zmuszony niepokoić hrabiego - powiedział Godwyn - ale na parterze czeka mnich, który chce się z nim zobaczyć.

- Wiem, Murdo. Czy to takie pilne?

- Wprost przeciwnie. Ale chcę uprzedzić hrabiego, żeby wiedział, czego się spodziewać.

- A więc wiesz, co ten mnich ma do powiedzenia?

- Tak sędzę.

- Myślę, że w takim razie powinniście obaj zobaczyć się z hrabią.

- Ale... - zaczął Godwyn, po czym udał, że zmusza się do milczenia. Philippa spojrzała na Ralpa.

- Sprowadź tu tego mnicha.

Ralph wezwał Murda, a Philippa wprowadziła jego i Godwyna do komnaty. Hrabia był ubrany tak samo jak podczas poprzedniej wizyty Godwyna, lecz tym razem siedział na łóżku, opierając obandażowaną głowę o poduszki z pierza.

- Co to ma znaczyć? - spytał gniewnie hrabia. - Zebraliście się na kapitułę? Czego chcecie, mnisi?

Godwyn po raz pierwszy od katastrofy mostu mógł przyjrzeć się Rolandowi. Z przerażeniem stwierdził, że cała prawa strona jego twarzy jest sparaliżowana: powieka zwisa bezwładnie, podobnie jak wargi, a policzek ledwo się porusza. Najbardziej niesamowite było to, że lewa strona twarzy była ożywiona. Kiedy hrabia mówił, lewa strona czoła marszczyła się, oko otwierało szeroko i błyszczało, a słowa płynęły mocnym strumieniem z lewej strony ust. Jako lekarz Godwyn patrzył na to zafascynowany. Wiedział, że obrażenia głowy mogą mieć nieprzewidywalne skutki, ale nigdy nie słyszał o podobnych objawach.

- Nie gapcie się na mnie - prychnął niecierpliwie hrabia. - Przypominacie dwie krowy wyglądające znad żywoplotu. Mówcie, czego chcecie.

Godwyn się skupił. Następne kilka minut będzie bardzo ważne, trzeba zachować najwyższą ostrożność. Wiedział, że Roland odrzuci kandydaturę Murda. Godwyn chciał jednak, żeby zaczął brać go pod uwagę jako alternatywę dla Saula Whiteheada. Musiał więc wzmocnić pozycję wędrownego mnicha. By to osiągnąć, należało wyrazić sprzeciw, pokazując Rolandowi, że Murdo nie będzie w żaden sposób zobowiązany mnichom. Roland pragnął bowiem, żeby przeor służył wyłącznie jemu. Z drugiej zaś strony, nie powinien protestować zbyt energicznie, bo nie chciał, by hrabia uświadomił sobie, jakim beznadziejnym kandydatem jest Murdo. Była to więc bardzo wąska i kręta ścieżka.

- Panie, przychodzę prosić, byś wziął pod uwagę moją kandydaturę na przeora Kingsbridge - zaczął swoim dźwięcznym głosem kaznodziei Murdo. - Jestem przekonany...

- Nie tak głośno, na wszystkich świętych - przerwał mu Roland. Murdo zniżył głos.

- Panie, uważam, że...

- Dlaczego chcesz zostać przeorem? - znów wpadł mu w słowo hrabia. - Zdawało mi się, że wędrowni mnich nie jest związany z żadnym kościołem.

Było to staroświeckie przekonanie. Kiedyś, dawno temu, wędrowni mnisi nie mieli żadnej własności, lecz teraz niektóre wędrowne zakony były równie bogate jak zakony tradycyjne. Roland wiedział o tym, chciał tylko sprowokować rozmówcę.

Murdo wygłosił zwyczajową formułkę:

- Wierzę, że Pan Bóg przyjmuje obie formy poświęcenia.

- I chcesz zmienić habit?

- Doszedłem do wniosku, że talenty, jakimi Bóg raczył mnie obdarzyć, zostaną najlepiej wykorzystane w klasztorze. Tak, chętnie przyjmę urząd w klasztorze Świętego Benedykta.

- Czemu miałbym cię wskazać jako kandydata?

- Jestem wyświęconym księdzem.

- Tych nam nie brakuje.

- Mam znaczne poparcie w Kingsbridge i okolicy. Jeśli wolno mi się pochwalić, jestem najbardziej wpływowym sługą bożym w okolicy.

Ojciec Jerome po raz pierwszy zabrał głos. Był pewnym siebie młodym mężczyzną o twarzy znamionującej inteligencję, Godwyn wyczuł, że jest również ambitny.

- To prawda - przyznał. - Ten mnich cieszy się nadzwyczajną popularnością.

Nie był jednak popularny wśród mnichów, lecz Roland i Jerome tego nie wiedzieli, a Godwyn, rzecz jasna, nie zamierzał ich w tej kwestii uświadamiać.

Murdo również nie miał takiego zamiaru. Skłonił głowę i z obłudną wdzięcznością rzekł:

- Dziękuję ci z całego serca, ojcze.

- Mnich Murdo jest lubiany przez niewykształcone rzesze.

- Podobnie jak nasz Zbawiciel - odciął się Murdo.

- Mnisi powinni wieść życie w ubóstwie i wyrzeczeniu - zauważył Godwyn.

- Ubranie tego mnicha nie wygląda na zbyt koczownicze - wtrącił Roland. - A jeśli chodzi o wyrzeczenia, to zdaje mi się, że mnisi w Kingsbridge jadają lepiej od wielu kmieci.

- Murda widywano pijanego w karczmach! - oznajmił Godwyn.

- Reguła zakonu Świętego Benedykta pozwala mnichom pić wino - przypomniał

Murdo.

- Tylko wówczas, gdy są chorzy albo pracują w polu.

- Ja wygłaszam kazania na polach.

Godwyn stwierdził, że Murdo jest potężnym przeciwnikiem w debacie. Ucieszył się, że tym razem nie chce wygrać pojedynku. Odwrócił się do Rolanda.

- Mogę tylko powiedzieć, że jako zakrystian doradzam ci, panie, abyś nie wysuwał kandydatury Murda na przeora.

- Przyjmuję radę do wiadomości - odparł chłodno Roland.

Philippa spojrzała na Godwyna zaskoczona; mnich uświadomił sobie, że ustąpił zbyt łatwo. Ale Roland niczego nie zauważył, niuanse go nie interesowały. Murdo jednak jeszcze nie skończył.

- Przeor Kingsbridge musi służyć Bogu, to rzecz oczywista. Lecz w sprawach ziemskich powinien się kierować wolą króla, a także jego hrabiów i baronów.

Jaśniej ująć tego nie sposób, pomyślał Godwyn. Równie dobrze Murdo mógłby powiedzieć: „Będę twoim człowiekiem”. To była niesłychana deklaracja. Mnisi będą przerażeni. Jeśli Murdo mógł liczyć na jakiegokolwiek poparcie, to właśnie się go pozbawił.

Godwyn milczał, lecz Roland spojrzał nań badawczo.

- Co na to powie zakrystian?

- Jestem pewien, że mnich nie miał na myśli tego, że klasztor powinien być poddany hrabiemu Shiring w żadnej materii, ziemskiej ani jakiegokolwiek innej. Prawda, Murdo?

- Powiedziałem to, co powiedziałem - odparł mnich tonem kaznodziei.

- Dość tego - rzekł Roland, znudzony tą rozgrywką. - Marnujecie mój czas. Moim kandydatem jest Saul Whitehead. Żegnam.

Klasztor pod wezwaniem Świętego Jana z Lasu wyglądał jak miniatura klasztoru w Kingsbridge. Kościółek był mały, podobnie jak kamienny budynek klasztoru i dormitorium, pozostałe zabudowania wzniesiono z drewna. Mieszkało w nich ośmiu mnichów, nie było ani jednej zakonnicy. Mnisi oddawali się modlitwie i medytacji, a oprócz tego uprawiali dla siebie warzywa i wyrabiali kozi ser słynny w całej południowo-zachodniej Anglii.

Godwyn i Philemon jechali konno przez dwa dni. Wczesnym wieczorem droga wyszła z lasu i ukazała się szeroka połać ziemi z kościołem pośrodku. Godwyn od razu zrozumiał, że wieści o tym, iż Saul Whitehead dobrze sobie radzi w roli przeora, są zgodne z prawdą. Radził sobie lepiej niż dobrze. Wszędzie rzucał się w oczy porządek i gospodarność: żywopłoty były przystrzyżone, rowy proste, drzewa w sadzie posadzone w równych odstępach, pól dojrzewających zbóż nie szpeciły chwasty. Godwyn nie miał wątpliwości, że msze odprawia się tu o odpowiednich porach i bardzo sumiennie. Pozostawała mu tylko nadzieja, że talent Saula do przywództwa nie rozbudził w nim nadmiernych ambicji.

- Czemu hrabia tak bardzo pragnie uczynić swojego kuzyna przeorem Kingsbridge? - spytał Philemon, gdy jechali drogą przez pole.

- Z tego samego powodu, dla którego mianował młodszego syna biskupem - odparł Godwyn.

- Biskupi i przeorzy mają władzę. Hrabia dąży do tego, by wszyscy bogacze w okolicy byli jego sojusznikami, a nie wrogami.

- O co mogliby się poróżnić?

Godwyn z zainteresowaniem odnotował, że młodego Philemona zaczyna intrygować przypominająca szachy gra o władzę.

- O ziemię, podatki, prawa, przywileje... Przeor może zechcieć wybudować nowy most w Kingsbridge, żeby handel wełną mógł się rozwijać. Hrabia może się temu sprzeciwić, argumentując, iż w ten sposób osłabi handel na swoim rynku w Shiring.

- Nie rozumiem jednak, w jaki sposób przeor mógłby występować przeciwko hrabiemu. Przeor nie ma zbrojnych...

- Duchowny ma wpływ na wiernych. Jeśli wygłosi kazanie przeciwko hrabiemu albo wezwie

świętych, by sprowadzili na niego nieszczęście, ludzie uwierzą, że hrabia jest przeklęty. Zaczną podważać jego autorytet, przestaną mu ufać i będą się spodziewali, że wszystkie jego przedsięwzięcia skazane są na porażkę. Bardzo trudno jest arystokracji walczyć ze zdeterminowanym duchownym. Przypomnij sobie, co spotkało króla Henryka Drugiego po zamordowaniu Tomasza Becketa.

Przybysze wjechali na dziedziniec i zsiadli z koni, które od razu zaczęły pić wodę z koryta. W obejściu nie było nikogo prócz mnicha w zakasanej habitie, zajętego wyrzucaniem gnoju z chlewa za stajniami. Na pewno musi być mnichem młodym stażem, skoro wykonuje taką pracę.

- Hej, młodzieńcze! - zawołał Godwyn. - Chodźże tu i pomóż nam przy koniach.

- Już się robi! - krzyknął w odpowiedzi mnich.

Dokończył robotę kilkoma ruchami wideł, oparł narzędzie o mur stajni i podszedł do przybyszów. Godwyn już miał go popędzić, gdy rozpoznał jasną grzywkę Saula.

Godwyn nie pochwalał wykonywania takiej brudnej pracy przez przeora. Ostentacyjna pokora jest wszak niczym więcej jak popisywaniem się. Jednak tym razem skromność Saula była mu na rękę.

Godwyn uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Witaj, bracie. Nie ośmieliłbym się kazać przeorowi rozsiodłać konia.

- Czemu nie? Ktoś musi to zrobić, a wy jechaliście przez cały dzień. Saul zaprowadził konie do stajni.

- Wszyscy bracia są na polach - wyjaśnił. - Ale niebawem wrócą na wieczorne nabożeństwo. Chodźmy do kuchni.

Godwyn nigdy nie zaprzyjaźnił się z Saulem. Czuł się tak, jakby jego pobożność była krytyką wymierzoną w niego. Saul nie okazywał niechęci, lecz z cichą determinacją robił wszystko po swojemu. Godwyn musiał się starać, by nie wpaść w irytację. Był już wystarczająco zestresowany.

Saul prowadził gości przez dziedziniec do jednopiętrowego budynku z wysokim dachem. Był drewniany, ale miał kamienny kominek i komin. Godwyn i Philemon usiedli na prostej ławie przy stole z heblowanymi deskami. Saul hojnie zaczerpnął piwa z okazałej beczki.

Usiadł naprzeciwko gości. Philemon napił się chciwie, lecz Godwyn ledwie umoczył usta. Saul nie zaproponował nic do jedzenia. Godwyn domyślił się, że na posiłek mogą liczyć dopiero po nabożeństwie. Zresztą napięcie i tak nie pozwoliłoby mu się nasycić.

Uświadomił sobie, że znów znalazł się w trudnej sytuacji. W rozmowie z Rolandem musiał występować przeciwko kandydaturze Murda w taki sposób, żeby nie zniechęcić hrabiego do wędrownego mnicha. Teraz należało zaprosić Saula do kandydowania tak, by ten nie mógł wyrazić zgody. Godwyn wiedział, co ma powiedzieć, ale musiał powiedzieć to we właściwy sposób. Jeśli popełni błąd, Saul nabierze podejrzeń i wtedy wszystko może się zdarzyć.

Saul nie dał mu czasu na dalsze rozważania.

- Co cię do nas sprowadza, bracie?
- Hrabia Roland wrócił do zmysłów.
- Bogu dzięki.
- Możemy teraz wybrać przeora.
- To dobrze. Zbyt długo go nie mamy.
- Kto powinien nim zostać?

Saul pozostawił pytanie bez odpowiedzi.

- Czy wysunięto jakieś kandydatury? - spytał tylko.
- Brata Thomasa, kościelnego.
- Byłby dobrym zarządcą. Zaproponowano kogoś jeszcze?
- Nieoficjalnie - odparł Godwyn. Była to połowiczna prawda.
- Co z Carlusem? Kiedy byłem w Kingsbridge na pogrzebie, zastępca przeora był najważniejszym kandydatem.

- Carlus nie czuje się na siłach, by zostać przeorem.
- Z powodu ślepoty?
- Być może. - Saul nie wiedział o wypadku Carlusa w czasie mszy z okazji urodzin świętego Adolfa. Godwyn postanowił nic mu nie mówić. - Zastanawiał się i modlił, i wreszcie podjął decyzję.
- Czy hrabia nie wysunął żadnej kandydatury?
- Rozważają - odparł z wahaniem Godwyn. - Właśnie w związku z tym przybyliśmy. Hrabia zastanawia się, czy zaproponować ciebie.

Godwyn powiedział sobie, że to nie jest kłamstwo, tylko szczególne rozłożenie akcentów.

- Czuję się zaszczycony. Godwyn przyjrzał mu się uważnie.
- Ale nie całkowicie zaskoczony? Saul się zaczerwienił.
- Wybacz mi. Wielki Philip zarządził tym klasztorem, by później zostać przeorem Kingsbridge, inni podążyli tą samą drogą. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem tak samo godny tego zaszczytu jak oni, ale przyznaję, że ta myśl przemknęła mi przez głowę.

- Nie ma się czego wstydzić. Jak byś się czuł w roli kandydata?
- Jak bym się czuł? - Saul nie krył zdziwienia. - Cóż to za pytanie? Jeśli hrabia ma takie życzenie, to mnie wyznacz. Jeśli bracia zechcą, to na mnie zagłosują, a ja uznaję, że Pan Bóg mnie powołał. Nie ma żadnego znaczenia, jak się czuję.

Godwyn pragnął usłyszeć inną odpowiedź. Chciał, żeby Saul sam podjął decyzję. Mówienie o woli bożej do niczego nie prowadziło.

- To nie jest aż tak proste - rzekł. - Nie musisz przyjmować nominacji. Właśnie dlatego hrabia mnie tu przysłał.

- Roland zwykł rozkazywać, a nie pytać o zdanie.

Godwyn omal się nie wzdrygnął. Nie powinienem zapominać, jaki sprytny jest Saul, powiedział sobie w myśli. Szybko się wycofał:

- W rzeczy samej. Jeśli jednak uważasz, że mógłbyś odmówić, chciałby wiedzieć jak najrychlej, żeby mógł wskazać innego kandydata.

Pewnie była to prawda, choć Roland niczego podobnego nie powiedział.

- Nie wiedziałem, że tak to się odbywa. Bo nie tak się to odbywa, pomyślał Godwyn.

- W czasie poprzednich wyborów, gdy przeorem został Anthony, obaj byliśmy nowicjuszami, więc nie wiedzieliśmy, co się naprawdę dzieje.

- Istotnie.

- Czy czujesz się na siłach, by objąć funkcję przeora Kingsbridge?

- Na pewno nie.

- Ach...

Godwyn udał rozczarowanie, choć liczył na to, że skromność Saula podyktuje mu właśnie taką odpowiedź.

- Ale...

- Co takiego?

- Kto wie, ile można osiągnąć z bożą pomocą?

- W rzeczy samej. - Godwyn ukrył irytację. Skromna odpowiedź padła, bo paść musiała. Prawda była taka, że Saul uważał się za godnego kandydata. - Bez wątplenia powinieneś to dzisiaj rozważyć i pomodlić się.

- Nic innego nie będzie zaprzętać moich myśli. - W oddali rozległy się głosy. - Bracia wracają po pracy.

- Możemy wrócić rano do tej rozmowy - zaproponował Godwyn. - Jeśli zgodzisz się kandydować, będziesz musiał wrócić z nami do Kingsbridge.

- Dobrze.

Godwyn przestraszył się, że Saul może przyjąć propozycję. Ale miał w zanadru jeszcze jedną strzałę.

- Modląc się, powinieneś pamiętać jeszcze o jednym: możnowładca nigdy nie daje nic za darmo. »|

Na twarzy Saula pojawił się niepokój.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Hrabiowie i baronowie rozdają tytuły, ziemię, stanowiska i koncesje, ale wszystkie te rzeczy mają swoją cenę.

- A jaka jest cena w tym przypadku?

- Jeśli zostaniesz wybrany, Roland będzie oczekiwał od ciebie wdzięczności. Jesteś jego kuzynem i dzięki niemu otrzymasz to stanowisko. Będziesz jego głosem w kapitularku, twoim obowiązkiem będzie pilnowanie, by przedsięwzięcia klasztoru nie kolidowały z jego interesami.

- Czy hrabia uczyni z tego warunek nominacji?

- Nie, ale kiedy wrócisz ze mną do Kingsbridge, będzie zadawał ci pytania, żeby poznać twoje zamiary. Jeśli podkreślisz, iż zamierzasz być niezależnym przeorem i że nie będziesz w żaden sposób faworyzował swojego kuzyna i sponsora, nominuje kogoś innego.

- O tym nie pomyślałem.

- Rzecz jasna, możesz po prostu udzielić mu takich odpowiedzi, jakie pragnie usłyszeć, a po wyborach zmienić zdanie.

- To byłoby nieuczciwe.

- Niektórzy mogliby tak pomyśleć.

- Pan Bóg mógłby tak pomyśleć.

- Pamiętaj o tym podczas swojej wieczornej modlitwy.

Do kuchni weszła grupa młodych mnichów, ubłoconych po pracy w polu i głośno rozmawiających. Saul wstał, żeby podać im piwo, lecz troska nadal była widoczna na jego twarzy. Nie znikła nawet wówczas, gdy przeor wszedł na wieczorne nabożeństwo do małego kościółka z malowidłem na ścianie nad ołtarzem, przedstawiającym Sąd Ostateczny. Troska malowała się na twarzy Saula, kiedy podano kolację i przeor zaspokoił głód smakowitym serem wyrabianym przez mnichów.

Godwyn nie zasnął tej nocy, mimo że wszystko go bolało po dwóch dniach jazdy na koniu. Postawił przed Saulem dylemat etyczny. Większość mnichów w rozmowie z Rolandem użyłaby słów zapowiadających pewną uległość wobec hrabiego, znacznie większą niż ta, jaką zamierzałiby okazywać. Ale nie Saul. On kierował się imperatywami moralnymi. Czy znajdzie wyjście z sytuacji i przyjmie nominację? Godwyn nie widział takiej możliwości.

Gdy mnisi wstali o świcie na poranne nabożeństwo, Saul wciąż wyglądał na zmartwionego.

Po śniadaniu oznajmił Godwynowi, że nie może przyjąć propozycji hrabiego.

Godwyn nie mógł przywyknąć do twarzy Rolanda. Stanowiła bardzo dziwny widok. Hrabia nosił teraz czapkę zakrywającą bandaż na głowie, jednak to zwyczajne nakrycie głowy jeszcze

bardziej uwydatniało paraliż prawej strony jego twarzy. Był także w gorszym niż kiedyś nastroju. Godwyn domyślał się, że przyczyną są dotkliwe bóle głowy, na które cierpi.

- Gdzie jest mój kuzyn Saul? - spytał, gdy tylko Godwyn wszedł do komnaty.

- Został w klasztorze, panie. Przekazałem mu wiadomość od ciebie...

- Wiadomość? To był rozkaz.

- Nie unoś się, panie, to ci szkodzi - rzekł lady Philippa, która stała koło łóżka.

- Brat Saul powiedział, że nie może kandydować - oznajmił Godwyn.

- Dlaczego, u diabła?

- Rozmyślał i modlił się...

- Oczywiście, że się modlił, to właśnie robią mnisi. Z jakiego powodu okazał mi nieposłuszeństwo?

- Nie czuje się na siłach poddać takiemu wyzwaniu.

- Bzdura. Cóż to za wyzwanie? Nikt go nie prosi, żeby poprowadził do bitwy tysięcy rycerzy.

Ma tylko pilnować, żeby garstka mnichów odśpiewywała hymny o właściwych porach.

To była niedorzeczność. Godwyn skłonił głowę i nic nie powiedział. Nagle hrabia zmienił ton.

- Właśnie uświadomiłem sobie, kim jesteś. Syn Petranilli, zgadza się?

- Tak, panie.

Tej samej, którą odepchnąłeś, miał ochotę odpowiedzieć Godwyn.

- Była cwana, i ty pewnie też taki jesteś. Skąd mam wiedzieć, że nie namówiłeś Saula do odrzucenia nominacji? Chcesz, żeby przeorem został Thomas Langley, prawda?

Mój plan jest o wiele przebieglejszy, głupcze, pomyślał Godwyn.

- Saul zapytał, czego możesz oczekiwać w zamian za nominowanie go.

- Ach tak? I co mu powiedziałeś?

- Że będziesz oczekiwał posłuszeństwa wobec kuzyna, sponsora i hrabiego, panie.

- A on okazał się zbyt uparty, żeby się na to zgodzić. Dobrze, wszystko jasne. Nominuję tego wędrownego mnicha. Zejdź mi z oczu.

Kłaniając się i wychodząc, Godwyn musiał ukrywać swoją radość. Przedostatni etap planu powiódł się doskonale. Hrabia w ogóle nie podejrzewał, że został pchnięty do wyznaczenia najgorszego kandydata.

Pozostało do zrobienia jeszcze jedno.

Godwyn wyszedł ze szpitala i znalazł się w klasztorze. Trwała właśnie godzina poświęcona na naukę przed południową mszą, większość mnichów zajęta była czytaniem albo medytacją. Godwyn zauważył Theodorica, swojego młodego sprzymierzeńca. Skinął na niego głową.

- Hrabia wyznaczył Murda na swojego kandydata - rzekł cicho.

- Co takiego? - spytał głośno Theodoric.

- Ciszej.

- To niemożliwe!

- Jak najbardziej możliwe.

- Nikt na niego nie zagłosuje.

- Właśnie dlatego się cieszę.

Twarz Theodorica powoli się rozjaśniała.

- Rozumiem... A więc to jest nam na rękę.

Godwyn nie wiedział, dlaczego nawet inteligentnym ludziom musi tłumaczyć tak proste kwestie. Nikt poza nim i jego matką nie analizował spraw tak dogłębnie.

- Przespaceruj się i powiedz wszystkim. Nie ma potrzeby okazywać oburzenia. Bracia rozgniewają się bez zachęty.

- Mam powiedzieć, że to dobrze dla Thomasa?

- W żadnym wypadku.

- Słusznie - przyznał Theodoric. - Rozumiem.

Najwyraźniej nie rozumiał, lecz Godwyn wiedział już, że będzie posłusznie wypełniał polecenia.

Ruszył na poszukiwanie Philemona. Zastał go przy zamiataniu refektarza.

- Wiesz, gdzie przebywa Murdo?

- Pewnie jest w kuchni.

- Znajdź go i powiedz, żeby spotkał się z tobą w domu przeora, kiedy mnisi będą na południowej modlitwie. Nie chcę, żeby ktoś cię tam z nim widział.

- Dobrze. Co mu powiedzieć?

- Zaczynij tymi słowami: „Bracie Murdo, nikt nie może się dowiedzieć, że ci to powiedziałem”.

Jasne?

- Nikt nie może się dowiedzieć, że ci to powiedziałem.

- Potem pokaż mu rejestr, który znaleźliśmy. Pamiętaj, gdzie on jest? W sypialni przy klęczniku stoi kufer, a w nim znajduje się skórzana sakwa w rudym kolorze.

- To wszystko?

- Wskaż, że ziemia, którą klasztor zyskał dzięki Thomasowi, należała do królowej Izabeli, i że fakt ten był przez wiele lat zatajany.

Philemon się zdziwił.

- Nie wiemy, co Thomas ukrywa.
- Nie. Ale za tajemnicą zawsze coś się kryje.
- Czy nie sądzisz, że Murdo zechce wykorzystać tę informację przeciwko Thomasowi?
- Naturalnie.
- Co zrobi?
- Nie wiem, ale na pewno będzie to niekorzystne dla Thomasa. Philemon zmarszczył

czoło.

- Myślałem, że chcemy wzmocnić pozycję Thomasa.
- Wszyscy tak myślą - odparł z uśmiechem Godwyn. Dzwon zaczął wzywać na mszę. Philemon poszedł szukać Murda, a Godwyn dołączył do mnichów w kościele. Chór zakonników powtarzał: „Dopomóż mi, Boże”.

Tym razem Godwyn modlił się z nadzwyczajną powagą. W rozmowie z Philemonem okazał pewność siebie, lecz rozgrywka jeszcze się nie skończyła. Postawił wszystko na tajemnicę Thomasa, nie wiedział jednak, jaką kartę wyciągnie.

Zdołał natomiast wywołać wzburzenie wśród mnichów. Bracia byli niespokojni i gadatliwi, podczas śpiewania psalmów Carlus musiał dwa razy prosić o ciszę. Mnisi klasztorni nie lubili wędrownych braci za to, że ci uważali się za wyżej stojących moralnie, ponieważ niczego nie posiadali, a jednocześnie żyli na koszt tych, którym okazywali pogardę. Szczególną ich niechęć budził Murdo, który był nadęty, chciwy i wiecznie pijany. Woleliby każdego innego kandydata.

Po mszy, gdy mnisi wyszli z katedry, Simeon zagadnął Godwyna:

- Nie możemy dopuścić, by Murdo został przeorem.
- Zgadzam się.
- Carlus i ja nie wystawimy innego kandydata. Jeśli bracia się podzielą, hrabia będzie mógł przedstawić swojego kandydata jako kompromisowego. Musimy zapomnieć o dzielących nas różnicach i poprzeć Thomasa. Jeśli wystąpimy zjednoczeni, hrabiemu trudno będzie się nam przeciwstawić.

Godwyn zatrzymał się i stanął twarzą do Simeona.

- Dziękuję ci, bracie - rzekł, robiąc skromną minę i ukrywając radość, która go przepelniała.
- Robimy to dla dobra klasztoru.
- Wiem. Mimo to doceniam twoją wielkoduszność. Simeon skinął głową i odszedł.

Godwyn poczuł zapach zwycięstwa.

Mnisi udali się do refektarza na obiad. Murdo przyłączył się do nich. Nie przychodził na

msze, ale posiłków nie opuszczał. We wszystkich klasztorach obowiązywała zasada, że wędrowni mnisi są mile widziani przy stole, jednak niewielu wykorzystywało ją tak skrętnie jak Murdo. Godwyn przyjrzał mu się uważnie. Mnich wyglądał tak, jakby rozpierała go chęć podzielenia się wielką nowiną. Powstrzymał się jednak w czasie posiłku, słuchając fragmentu Pisma Świętego czytanego przez nowicjusza.

Była to przypowieść o Zuzannie i starcach. Godwyn przyjął to z niezadowoleniem, bo urywek był zbyt frywolny, by czytać go w społeczności, w której obowiązuje celibat. Jednak dzisiaj wysiłki dwóch rozwiązłych starców, próbujących szantażem nakłonić kobietę do miłości, nie przykuła uwagi mnichów. Szeptali między sobą, spoglądając z ukosa na Murda.

Posiłek dobiegł końca. Prorok Daniel ocalił Zuzannę przed kaźnią, przesłuchując osobno starców i dowodząc, że ich wersje są sprzeczne. Mnisi zbierali się do wyjścia. Nagle Murdo odezwał się do Thomasa:

- Bracie Thomasie, kiedy wstępowałeś do klasztoru, miałeś ranę od miecza. Murdo mówił tak głośno, że wszyscy mnisi usłyszeli to i się zatrzymali. Thomas zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Tak.

- Rana ta sprawiła, że straciłeś rękę. Czy otrzymałeś tę ranę w służbie królowej Izabeli?

Thomas pokiwał głową.

- Od dziesięciu lat jestem mnichem. Moje życie przed wstąpieniem do zakonu poszło w zapomnienie.

- Pytam z powodu działki ziemskiej, którą wniosłeś do klasztoru - ciągnął niezrażony Murdo.

- Jest to mała, ale przynosząca duże zyski wioska w Norfolku. Pięćset akrów. Leży nieopodal Lynn, miejsca zamieszkania królowej.

- Co wędrowny mnich może wiedzieć o naszych posiadłościach? - spytał Godwyn, udając wzburzenie.

- Przeczytałem wpis w rejestrze - odparł Murdo. - Te sprawy nie są tajne. Godwyn spojrział na Carlusa i Simeona, którzy siedzieli obok siebie. Na ich twarzach malowało się zaskoczenie. Jako zastępca przeora i skarbnik wiedzieli o wiosce. Pewnie zachodzili w głowę, jak Murdo zdołał przeczytać rejestr. Simeon otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- W każdym razie, nie powinny być tajne - dodał Murdo.

Simeon zamknął usta. Gdyby zapytał, jak Murdo dowiedział się o posiadłości, sam musiałby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego trzymano sprawę w tajemnicy.

- Wioska koło Lynn została podarowana opactwu przez... królową Izabelę - dokończył dramatycznym tonem Murdo.

Godwyn się rozejrzył. Wśród mnichów zapanowała konsternacja, lecz Carlus i Simeon siedzieli z kamiennymi twarzami.

Murdo nachylił się nad stołem. Do zębów przylepiły mu się kawałki ziół z gulaszu.

- Pytam więc powtórnie: Czy odniosłeś ranę w służbie królowej Izabeli?

- Wszyscy wiedzą, czym się zajmowałem, zanim zostałem mnichem - odparł Thomas.

- Byłem rycerzem, walczyłem w bitwach, zabijałem. Wyspowiadałem się i otrzymałem rozgrzeszenie.

- Mnich może zostawić za sobą przeszłość, ale przeor niesie na barkach wielki ciężar. Ktoś może go zapytać, kogo zabił i dlaczego, a co najważniejsze, jaką otrzymał za to nagrodę.

Thomas spoglądał bez słowa na Murda. Godwyn próbował odgadnąć z jego twarzy, o czym myśli. Kryła się tam jakaś silna emocja, ale jaka? Nie było to poczucie winy ani nawet zakłopotanie. Jego tajemnica najwyraźniej nie wiązała się z żadnym haniebnym czynem. Nie zdradzał także gniewu. Szyderczy ton Murda mógł niejednego sprowokować do wybuchu, lecz Thomas nie zamierzał posuwać się do gwałtownych czynów. To musiało być coś zimniej szego od zakłopotania, spokojniejszego od gniewu. Godwyn uświadomił sobie, że to lęk. Thomas się przestraszył. Ale raczej nie Murda. Bał się czegoś, co mogło się stać za jego sprawą, konsekwencji tego, że wędrowny mnich odkrył jego tajemnicę.

Murdo bawił się nim nadal niczym pies kością.

- Jeśli nie odpowiesz tutaj, kto inny zada ci to pytanie.

Godwyn liczył na to, że Thomas w tym momencie zrezygnuje. Nie było to jednak pewne. Thomas był twardy. Przez dziesięć lat okazywał spokój, cierpliwość i wytrwałość. Kiedy Godwyn zaproponował mu kandydowanie, stwierdził, że przeszłość można puścić w niepamięć. Teraz musiał sobie uświadomić, że się pomylił. Ale jak na to zareaguje? Czy dostrzeże swój błąd i się wycofa? A może zaciśnie zęby i będzie szedł tą drogą do końca? Godwyn zagryzł wargę i czekał.

- Masz słuszość, mówiąc, że ktoś inny może mi zadać to pytanie - rzekł Thomas po dłuższym namyśle. - Ty w każdym razie zrobisz wszystko, co w twojej mocy, nie bacząc na zagrożenie i braterskie uczucia, by twoja przepowiednia się sprawdziła.

- Czyżbyś zarzucał mi...

- Ani słowa więcej! - przerwał mu Thomas, wstając gwałtownie. Murdo się wzdrygnął. Wzrost Thomasa i jego żołnierska postawa, a także podniesiony głos, sprawiły, że mnich mimo woli zamilkł.

- Nigdy nie odpowiadałem na pytania dotyczące mojej przeszłości - ciągnął spokojnie Thomas. Wszyscy zamarli, wytyżając słuch. - I nie będę odpowiadał. - Skierował palec na Murda. -

Ale ten... robak uświadomił mi, że jeśli zostanę przeorem, takie pytania nigdy nie ustaną. Mnich może zatrzymać swoją przeszłość dla siebie, ale z przeorem sprawa przedstawia się inaczej, teraz to widzę. Przeor może mieć wrogów, a każda tajemnica to słabość. A słabość zwierzchnika naraża na szwank całą instytucję. Mój umysł powinien był doprowadzić mnie tam, gdzie wędrownego mnicha Murda przywiodła jego złość: do wniosku, że człowiek, który nie chce odpowiadać na pytania o swoją przeszłość, nie może być przeorem. Zatem...

- Nie! - krzyknął Theodoric.

- Zatem wycofuję moją kandydaturę w nadchodzących wyborach. Godwyn westchnął przeciągle. Osiągnął swój cel.

Thomas usiadł. Murdo wyglądał na zadowolonego z siebie, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Carlus uderzył w stół i mnisi ucichli.

- Bracie Murdo, jako że nie masz głosu w tym zgromadzeniu, muszę cię poprosić, abyś opuścił salę.

Murdo wyszedł powoli, spoglądając triumfalnie na zebranych.

- To katastrofa, Murdo zostanie jedynym kandydatem! - rzekł Carlus, kiedy Murdo zamknął za sobą drzwi.

- Nie należy pozwolić, by Thomas się wycofał - stwierdził Theodoric.

- Ależ on to zrobił!

- Musi być inny kandydat - powiedział Simeon.

- Tak - odparł Carlus. - Proponuję Simeona.

- Nie! - zaproponował Theodoric.

- Posłuchajcie mnie, bracia - odezwał się Simeon. - Musimy wybrać spośród nas takiego, który najpewniej zjednoczy nas przeciwko Murdowi. Ja nie jestem kimś takim. Wiem, że nie mam wystarczającego poparcia wśród młodych braci. Wiemy, kto zbierze najwięcej głosów we wszystkich grupach naszego zgromadzenia.

Simeon odwrócił się i spojrzał na Godwyna.

- Tak! - wykrzyknął Theodoric. - Godwyn!

Młodzi mnisi zaczęli wiwatować, starsi patrzyli na nich z rezygnacją. Godwyn pokręcił głową, jakby nie chciał odpowiadać na wyzwanie. Młodzi mnisi uderzali w stół, skandując jego imię: »j

- God-wyn! God-wyn!

Po dłuższej chwili zakrystian wstał. Przepełniała go radość, lecz jego twarz pozostała nieruchoma. Uniósł ręce, uciszając zakonników. Gdy zamilkli, cichym, pełnym skromności głosem

rzekł:

- Podporządkuję się woli moich braci. W sali rozległy się okrzyki radości.

23

Godwyn odwlekał wybory. Ich wynik rozgniewa Rolanda, a on chciał mu dać jak najmniej czasu przed ślubem w katedrze na oprostowanie decyzji mnichów.

W istocie się bał. Zamierzał stanąć przeciwko jednemu z najpotężniejszych ludzi w królestwie. Hrabioń było zaledwie trzynastu. Wraz z około czterdziestoma baronami, dwudziestoma i jednym biskupem i garstką innych wielmożów władali Anglią. W zwoływanym przez króla parlamencie stanowili Izbę Lordów, w skład której wchodziłi arystokraci. Izbę Gmin tworzyli rycerze, szlachta oraz kupcy. Hrabia Shiring był jednym z najważniejszych i najwybitniejszych przedstawicieli swojej klasy. Tymczasem brat Godwyn, trzydziestojednoletni syn wdowy Petra-nilli, piastujący skromne stanowisko zakrystiana w klasztorze Kingsbridge, wszedł w konflikt z hrabią. A co było dlań jeszcze groźniejsze, wygrywał.

Wahał się więc, lecz sześć dni przed ślubem Roland tupnął nogą i powiedział: „Jutro!”.

Goście weselni już się zjeżdżali. Hrabia Monmouth zajął prywatną komnatę na piętrze nad szpitalem, sąsiadującą z komnatą Rolanda. Lord William i lady Philippa musieli się wyprowadzić do karczmy Bella. Biskup Richard zamieszkał w domu przeora z Carlusem. Pomniejsi baronowie i rycerze rozlokowali się w gospodach z żonami i dziećmi, giermkami i końmi. Goście zostawiali sporo pieniędzy, których miasto bardzo potrzebowało po nieudanych z powodu deszczów targach wełny.

Rankiem w dniu wyborów Godwyn i Simeon poszli do skarbcza, małego, pozbawionego okien pomieszczenia znajdującego się za masywnymi drzwiami łączącymi je z biblioteką. Tam, w ciężkiej, okutej żelazem skrzyni przechowywano precjoza używane podczas specjalnych nabożeństw. Simeon jako skarbnik miał klucze.

Wynik był przesądzony - tak uważali wszyscy oprócz hrabiego. Nikt nie podejrzewał Godwyna o zakulisową grę. Przez chwilę zrobiło się niebezpiecznie, gdy Thomas zadał głośno pytanie, jak wędrowny mnich Murdo dowiedział się o zapisie daru królowej Izabeli.

- Nie mógł go odkryć przypadkowo, bo nigdy nie przychodzi czytać do biblioteki, a poza tym rejestr ten nie jest przechowywany razem z innymi - rzekł Thomas do Godwyna. - Ktoś musiał mu o nim powiedzieć. Ale kto? Tylko Carlus i Simeon wiedzieli. Czemu mieliby zdradzać ten sekret? Nie chcieli Murdowi iść na rękę.

Godwyn nic nie odpowiedział. Thomas nie znalazł rozwiązania zagadki.

Simeon i Godwyn przeciągnęli kufer do oświetlonej biblioteki. Klejnoty katedry leżały zawinięte w niebieską materię i skrawki skóry. Simeon odwijał poszczególne przedmioty, oglądając je

z podziwem i sprawdzając, czy nie są uszkodzone. Była tam niewielka tabliczka z kości słoniowej, misternie rzeźbiona, ukazująca ukrzyżowanie świętego Adolfa. W czasie swojej męki święty prosi Boga o to, by dał zdrowie i długie życie tym, którzy będą czcili jego pamięć. Były świeczniki i krucyfiksy ze złota i srebra, ozdobione cennymi kamieniami. W jasnym świetle wpadającym przez wysokie okna w bibliotece klejnoty i złoto lśniły intensywnym blaskiem. Przedmioty te były darami dla klasztoru od wiernych, zebranymi w ciągu wieków. Ich wartość była oszałamiająca. Niewielu ludzi widziało takie bogactwo zgromadzone w jednym miejscu.

Godwyn przyszedł po obrzędowy pastorał, inaczej krzyż pasterski, wykonany z drewna i złota, zakończony misternie zdobioną rączką. Po zakończeniu wyborów wręczano go uroczyście nowemu przeorowi. Krzyż leżał na samym dnie skrzyni, jako że nie był używany od trzynastu lat. Na jego widok Simeon krzyknął.

Godwyn spojrzał na niego ostro. Skarbnik trzymał w dłoniach duży krucyfiks na podstawie, który stawiano na ołtarzu.

- Co się stało?

Simeon pokazał mu płytkie zagłębienie z tyłu, tuż poniżej miejsca, w którym łączą się ramiona krzyża. Godwyn od razu zauważył, że brakuje rubinu.

- Musiał wypaść - stwierdził, rozglądając się po bibliotece. Oprócz nich nikogo tam nie było.

Jeśli klejnot zginął, to właśnie oni, skarbnik i zakrystian, zostaną obarczeni winą.

Wspólnie przejrzeni całą zawartość kufra. Odwijali każdy przedmiot i potrząsali każdą szmatką. Zajrzeli do każdego skórzanego etui. Gorączkowo oglądali wnętrze pustej skrzyni i podłogę wokół. Rubinu nie było.

- Kiedy ostatni raz używano krucyfiks? - zapytał Simeon.

- W czasie obchodów święta Adolfa, kiedy Carlus się przewrócił. Stracił krucyfiks ze stołu.

- Może właśnie wtedy rubin wypadł. Ale jak to możliwe, że nikt tego nie zauważył?

- Kamień znajdował się z tyłu krzyża. Ktoś jednak powinien zobaczyć go na posadzce.

- Kto podniósł krucyfiks?

- Nie pamiętam - odparł szybko Godwyn. - Panowało zamieszanie. Tak naprawdę pamiętałem doskonale.

Tym, który podniósł krzyż, był Philemon.

Cała scena stanęła Godwynowi przed oczami: Philemon i Otho podnoszą stół i stawiają go na podeście. Potem Otho zbiera świeczniki, a Philemon schyla się po krzyż.

Godwyn przypomniał sobie zniknięcie bransoletki lady Philippy. Czyżby Philemon znowu

ukradł? Godwyn zadrżał na myśl o tym, że skutki tego uczynku mogą osiągnąć i jego. Wszyscy wiedzieli, że Philemon jest nieoficjalnym zausznikiem Godwyna. Tak straszny czyn - kradzież kamienia ze świętego przedmiotu - ściągnąłby hańbę na każdego, kto ma związek ze sprawcą. A to mogłoby wpłynąć na wynik wyborów.

Simeon najwyraźniej nie pamiętał dokładnie tej sceny i na wiarę przyjął słowa Godwyna, który powiedział, że nie pamięta, kto podniósł krzyż z posadzki. Jednak inni mnisi z pewnością przypomniał sobie, że widzieli go w rękach Philemona. Trzeba to szybko załatwić, zanim podejrzenie padnie na Philemona. Najpierw jednak Godwyn musi pozbyć się Simeona.

- Trzeba poszukać rubinu w kościele - rzekł skarbnik.

- Ale msza odbyła się przed dwoma tygodniami - zauważył Godwyn. - Rubin nie mógł tak długo leżeć niezauważony.

- To mało prawdopodobne, ale powinniśmy sprawdzić.

Godwyn zrozumiał, że musi pójść z Simeonem i poczekać na okazję, by się wymknąć i poszukać Philemona.

- Oczywiście.

Odłożyli precjoza na miejsce i zamknęli drzwi skarbcza. Wychodząc z biblioteki, Godwyn powiedział:

- Proponuję nic o tym nie mówić, dopóki nie upewnimy się, że klejnot zginął. Nie ma sensu przedwcześnie się obciążać.

- Zgoda.

Szybkim krokiem opuścili mury klasztoru i weszli do kościoła. Stanęli na środku i rozejrzeli się. Miesiąc temu rubin mógł leżeć gdzieś niewidoczny na posadzce katedry, lecz później naprawiano kamienie, wyrównywano pęknięcia i szczeliny. Czerwony kamień szlachetny zostałby szybko zauważony.

- Czy to aby nie Philemon podniósł z posadzki krucyfiks? - zapytał Simeon. Godwyn spojrzał na niego. Czy to zabrzmiało jak oskarżenie? Nie miał całkowitej pewności.

- To mógł być Philemon. - Nagle dostrzegł swoją szansę. - Pójdę po niego. Może on będzie pamiętał, gdzie wtedy stał.

- Świetnie. Ja tu poczekam.

Simeon ukląkł i zaczął poklepywać posadzkę rękami, jak gdyby w ten sposób łatwiej było odnaleźć kamień.

Godwyn skierował się najpierw do dormitorium. Szafka z kocami stała na swoim miejscu. Odsunął ją od ściany, namacał luźny kamień, wyjął go, po czym wsunął rękę do schowka, w którym

Philemon ukrył bransoletkę lady Philippy.

Niczego tam nie znalazł.

Zaklął pod nosem. A więc nie będzie tak łatwo.

Będę musiał usunąć Philemona z klasztoru, myślał, krocząc między zabudowaniami opactwa. Jeśli ukradł kamień, nie mogę znów go kryć. To koniec.

Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że nie może pozbyć się Philemona. Nie teraz, być może nigdy. To Philemon powiedział Murdowi o zapisie daru Izabeli. Gdyby Godwyn go wyrzucił, Philemon przyznałby się do wszystkiego i ujawnił, że zrobił to za namową Godwyna. Na pewno dano by mu wiarę: wszak Thomas zachodził w głowę, kto zdradził tajemnicę wędrownemu mnichowi i dlaczego. Rewelacja Philemona byłaby odpowiedzią na to pytanie.

Podniósłby się krzyk na wieść o takich zakulisowych działaniach. Nawet gdyby wszystko wyszło na jaw po wyborach, ucierpiałby autorytet Godwyna i jego pozycja przełożonego mnichów. Zaświtało mu, że musi chronić Philemona, aby chronić siebie.

Zastał go przy zamiataniu podłogi. Skinął na niego i poszli na tyły kuchni, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć.

Spojrzał Philemonowi prosto w oczy.

- Zaginął rubin. Philemon odwrócił głowę.

- To okropne.

- Kamień z obrzędowego krucyfiks, który spadł na posadzkę, gdy Carlus się potknął.

Philemon udawał niewiniątko.

- Jak to się mogło stać?

- Rubin mógł wypaść, kiedy krucyfiks uderzył o posadzkę. Ale teraz go nie ma, przed chwilą szukałem. Ktoś go znalazł i zatrzymał dla siebie.

- Nie może być. Godwyn wpadł w gniew.

- Głupcze, wszyscy widzieli, że to ty podniosłeś krucyfiks z posadzki!

- Nic o tym nie wiem! - bronił się piskliwym głosem Philemon.

- Nie będę marnował czasu na wysłuchiwanie twoich kłamstw! Trzeba załatwić tę sprawę.

Przez ciebie mogę przegrać wybory. - Godwyn przyparł Philemona do ściany. - Gdzie jest kamień?

Ku jego zaskoczeniu Philemon się rozplakał.

- Na wszystkich świętych - prychnął z odrazą Godwyn. - Przestań, jesteś dorosłym mężczyzną!

Philemon nadal szlochał.

- Przepraszam...

- Jeśli nie przestaniesz... - Godwyn się zreflektował. Niczego nie osiągnie, besztając Philemona. Chłopak wyglądał żałośnie. - Weź się w garść. Gdzie jest rubin?

- Ukryłem go.

- Tak...

- W refektarzu, w kominie.

Godwyn odwrócił się i ruszył w stronę refektarza.

- Matko Boska, mógł wpaść do ognia! Philemon pospieszył za nim, ocierając łzy.

- W sierpniu się nie pali. Przeniósłbym go gdzie indziej przed nastaniem chłódów.

Dotarli do refektarza. W jednym końcu długiej sali znajdował się szeroki komin. Philemon wsunął rękę do środka i pomacał. Po chwili wyciągnął rubin wielkości jajka wróbla, pokryty sadzą. Wytarł go do czysta rękawem.

Godwyn wziął go od niego.

- Chodź ze mną - rzekł.

- Dokąd?

- Simeon znajdzie rubin.

Weszli do katedry. Simeon na czworakach kontynuował poszukiwania.

- Przypomnij sobie, w którym miejscu stałeś, gdy podnosiłeś krucyfiks z posadzki - polecił Godwyn.

Simeon spojrzał na Philemona, i widząc strach na jego twarzy, przemówił doń uspokajająco:

- Nie obawiaj się, młodzieńcze. Nie zrobiłeś nic złego. Philemon stanął blisko schodków prowadzących do prezbiterium.

- Wydaje mi się, że byłem tutaj.

Godwyn wszedł po dwóch stopniach i zajrzał do miejsca, gdzie stał chór, udając, że szuka. Ukradkiem położył rubin pod jednym z krzeseł przy samym końcu szeregu, gdzie nie rzucał się w oczy. Potem, jakby zmienił zdanie, gdzie należy szukać, ruszył ku południowej stronie prezbiterium.

- Rozejrzyj się tutaj, Philemonie - polecił.

Zgodnie z przewidywaniami Godwyna Simeon przesunął się w przeciwną stronę. Nie wstając z klęczek i odmawiając pod nosem modlitwę, zajrzał pod krzesła chóru.

Godwyn spodziewał się, że skarbnik od razu zauważy rubin. Udawał, że szuka w południowej części prezbiterium i czekał na okrzyk Simeona. Po chwili zaczął się obawiać, że Simeon ma kłopoty ze wzrokiem i że sam będzie musiał tam podejść i „znaleźć” kamień. Jednak nie okazało się to konieczne.

- O, jest! - wykrzyknął Simeon.

- Znalazłeś go? - spytał z udanym zdziwieniem Godwyn.

- Tak! Alleluja!

- Gdzie był?

- Tu, pod krzesłami chóru!

- Chwała Bogu - westchnął Godwyn.

Godwyn powtarzał sobie, że nie musi bać się hrabiego Rolanda. Wchodząc po kamiennych schodach szpitala do pokoi gościnnych, pytał sam siebie, co hrabia może mu zrobić. Nawet gdyby Roland zdołał wstać z łoża i dobyć miecza, nie będzie tak głupi, by rzucać się na mnicha w murach klasztoru. Nawet królowi nie uszłoby to na sucho.

Ralph Fitzgerald zaanonsował Godwyna, a ten wszedł do pokoju.

Synowie hrabiego stali przy łożu: rosły William w brązowym żołnierskim stroju i zabłoconych butach, z włosami już przerzedzonymi nad czołem, i Richard w purpurowej szacie biskupa, którego coraz bardziej zaokrąglona sylwetka świadczyła o tym, że ma naturę sybaryty oraz środki, by ją zaspokajać. William skończył trzydzieści lat, był o rok młodszy od Godwyna. Miał silną wolę, tak jak ojciec, którą czasem łagodził wpływ jego żony Philippy. Richard miał lat dwadzieścia osiem i wrodził się w swoją zmarłą matkę, gdyż nie odziedziczył postawy i siły ojca.

- I cóż, mnichu? - rzekł hrabia, poruszając lewą stroną ust. - Przeprowadziliście te swoje wybory?

Godwyn poczuł się urażony tak niegrzecznym przyjęciem. W skrytości ducha poprzysiągł sobie, że pewnego dnia Roland będzie się do niego zwracał „ojcze przeorze”. Oburzenie dało mu siłę, której potrzebował, by oznajmić hrabiemu nowinę.

- Tak, panie. Mam zaszczyt przekazać ci, że bracia zakonnicy z klasztoru w Kingsbridge wybrali mnie na swojego przeora.

- Co takiego?! - ryknął hrabia. - Ciebie?! Godwyn skłonił głowę w geście udawanej skromności.

- Nikt nie jest bardziej zaskoczony ode mnie.

- Ależ ty jesteś jeszcze chłopcem! Obelga dotknęła Godwyna do żywego.

- Jestem starszy od twojego syna, biskupa Kingsbridge.

- Ile głosów dostałeś?

- Dwadzieścia pięć.

- A mnich Murdo?

- Ani jednego. Bracia okazali jednomyślność...

- Ani jednego?! - ryknął znów Roland. - To musiał być spisek, zdrada!

- Wybory przeprowadzono zgodnie z zasadami.

- Wasze zasady tyle mnie obchodzą co świński ogon. Nie pozwolę się lekceważyć garstce zniewieściałych mnichów.

- Zostałem wybrany przez moich braci, panie. Ceremonia inauguracyjna odbędzie się w najbliższą niedzielę przed ślubem.

- Wybór mnichów musi być zatwierdzony przez biskupa Kingsbridge. I powiem ci, że biskup go nie zatwierdzi. Musicie powtórzyć wybory i tym razem chcę takiego wyniku, jaki mi odpowiada.

- Doskonale, panie hrabio. - Godwyn skierował się do wyjścia. Miał jeszcze w rękawie kilka kart, ale nie zamierzał odkrywać ich od razu. Odwrócił się i spojrzał na Rolanda. - Księżu biskupie, kiedy zechcesz ze mną porozmawiać, znajdziesz mnie w domu przeora.

- Nie jesteś przeorem! - ryknął Roland, gdy mnich zamykał za sobą drzwi. Godwyn drżał. Roland był straszny, zwłaszcza w gniewie, a w gniew wpadał często. Lecz Godwyn dotrzymał mu pola. Petranilla będzie z niego dumna.

Na drżących nogach zszedł po schodach i ruszył w stronę domu przeora. Carlus już się wyprowadził. Przyjemność psuła mu tylko konieczność dzielenia się miejscem z biskupem, który tradycyjnie mieszkał tam, gdy gościł w Kingsbridge. Biskup z urzędu pełnił także funkcję opata Kingsbridge, i choć miał ograniczoną władzę, był zwierzchnikiem przeora. W ciągu dnia Richard rzadko bywał w domu, ale wracał na noc, by spać w najlepszej sypialni.

Godwyn wszedł do izby na parterze, usiadł na krześle i czekał. Wkrótce pojawił się biskup; uszy piekły go po przemowie - ojca. Richard był bogatym i zamożnym człowiekiem, lecz nie budził takiej grozy jak hrabia. Mimo to tylko zuchwały mnich odważyłby się rzucić wyzwanie biskupowi. Jednak w tej konfrontacji Godwyn miał przewagę, gdyż znał pewien haniebny fakt z życia Richarda. Wiedza ta była niczym sztylet w rękawie.

Po kilku minutach Richard wkroczył rażnym krokiem do domu przeora, okazując pewność siebie, której tak naprawdę mu brakowało.

- Wynegocjowałem dla ciebie umowę - zaczął bez wstępów. - Możesz być zastępcą Murda. Będziesz kierował codziennymi sprawami klasztoru. Murdo i tak nie chce być administratorem, chodzi mu wyłącznie o prestiż. Zyskasz władzę, a mój ojciec będzie usatysfakcjonowany.

- Uściślijmy - rzekł Godwyn. - Murdo zgodzi się, żebym został jego zastępcą. A my powiemy mnichom, że jest jedynym, którego zatwierdzisz. I ksiądz biskup uważa, że mnisi się na to zgodzą.

- Nie mają wyboru!

- Mam inną propozycję. Niech ksiądz biskup powie hrabiemu, że bracia nie zaakceptują nikogo prócz mnie, i że muszę zostać przeorem jeszcze przed ślubem, bo w przeciwnym razie mnisi

nie wezmą udziału w ceremonii. Zakonnice również.

Godwyn nie miał pewności, czy mnisi tak postąpią - a tym bardziej nie wiedział, czy uczyni to matka Cecilia i jej podwładne - lecz posunął się już za daleko, by zważać na ostrożność.

- Nie ośmielą się!

- Obawiam się, że tak. Richard patrzył na niego z lękiem.

- Mój ojciec nie pozwoli się szantażować!

- Nie wątpię - roześmiał się Godwyn. - Ale mam nadzieję, że zrozumie.

- Powie, że ceremonia i tak musi się odbyć. Jestem biskupem, mogę udzielić ślubu, nie potrzebuję pomocy mnichów.

- Naturalnie. Ale nie będzie śpiewów, blasku świec, psalmów, kadzidła... tylko ksiądz biskup i arcydiakon Lloyd.

- Mimo to dojdzie do ślubu.

- Jak poczuje się hrabia Monmouth, jeśli jego syn weźmie ślub w takich okolicznościach?

- Będzie kipiał z wściekłości, ale się zgodzi. Sojusz jest najważniejszy. Godwyn musiał przyznać biskupowi rację. Poczul smak porażki. Należało wyciągnąć ukryty sztylet.

- Ksiądz biskup jest mi coś winien. Richard udał, że nie wie, o czym mowa.

- Doprawdy?

- Zataiłem grzech, który ksiądz biskup popełnił. Proszę nie udawać, to stało się zaledwie przed paroma miesiącami.

- Tak, okazałeś mi wielkoduszność.

- Na własne oczy widziałem księdza biskupa z Margery w komnacie gościnnej.

- Ciszzej, na litość boską!

- Teraz nadarza się okazja, by ksiądz biskup mi się odpłacił. Proszę przekonać ojca, powiedzieć mu, żeby dał za wygraną. Że ślub jest ważniejszy. Proszę nalegać, bym otrzymał błogosławieństwo biskupa.

Na twarzy Richarda malowała się desperacja. Wyglądał, jakby miażdżyły go dwie przeciwne siły.

- Nie mogę tego zrobić! - krzyknął zdruzgotany. - Mojemu ojcu nie wolno się przeciwstawiać.

Wiesz, jaki on jest.

- Proszę spróbować.

- Już próbowałem! Wymogłem na nim, żeby zgodził się na stanowisko zastępcy przeora dla ciebie.

Godwyn wątpił, czy hrabia poszedł na takie ustępstwo. Richard niemal na pewno to zmyślił,

wiedząc, że taką obietnicę łatwo złamać.

- Dziękuję za to księdzu biskupowi - rzekł, lecz po chwili dodał: - Ale to za mało.
- Przemyśl to, tylko o to proszę.
- Przemyślę, a ksiądz biskup niech poprosi o to samo ojca.
- O Boże - jęknął Richard. - To będzie katastrofa.

Ślub był zaplanowany na niedzielę. W sobotę, zamiast popołudniowej mszy, Godwyn zarządził próbę ceremonii inauguracyjnej, a następnie mszy ślubnej. Był kolejny pochmurny dzień, na niebie wisiały niskie, ciężkie chmury grożące deszczem. W katedrze panował ponury półmrok. Po próbie, gdy mnisi i zakonnice wychodzili na obiad, a nowicjusze zajęli się sprzątaniami kościoła, do Godwyna podeszli Carlus i Simeon. Mieli poważne miny.

- Uważam, że wszystko poszło gładko - zagadnął wesoło Godwyn. - A wy jak sądzicie?
- Czy naprawdę dojdzie do inauguracji twojego przeorstwa? - odpowiedział pytaniem Simeon.

- Z całą pewnością.
- Słyszeliśmy, że hrabia nakazał powtórzenie wyborów.
- Myślisz, że ma do tego prawo?
- Ależ skąd. Hrabia ma tylko prawo nominować kandydata. Ale mówi, że biskup Richard nie

zatwierdzi cię na stanowisku przeora.

- Richard tak powiedział?
- Nie on sam.
- Tak myślałem. Wiercie mi, biskup mnie zatwierdzi.

Godwyn powiedział to pewnym głosem, jakkolwiek pewności mu brakowało.

- Powiedziałeś Richardowi, że mnisi odmówią wzięcia udziału w ceremonii zaślubin?
- spytał Carlus.

- Tak.
- To było bardzo ryzykowne. Nie powinniśmy sprzeciwiać się woli możno-władców.

Godwyn nie zdziwił się, że Carlus mięknie pod najslabszym nawet naciskiem. On jednak nie zamierzał wystawiać na próbę siły woli mnichów.

- Nie obawiaj się, nie będziemy musieli się do tego uciekać. To tylko pusta groźba. Ale nie mówcie o tym biskupowi.
- A więc nie zamierzasz prosić mnichów, by zbojkotowali ślub?
- Nie.
- Rozpocząłeś niebezpieczną grę - zauważył Simeon.

- Być może, ale wydaje mi się, że nikomu poza mną nie grozi niebezpieczeństwo.

- Przecież nawet nie chciałeś być przeorem. Sprzeciwiałeś się, by wysuwano twoją kandydaturę. Przyjąłeś propozycję dopiero wówczas, gdy wszyscy inni zawiedli.

- Nie chcę być przeorem - skłamał Godwyn. - Ale nie możemy pozwolić, by hrabia Shiring wybierał za nas. To jest ważniejsze niż nasze osobiste odczucia.

Simeon spojrzał na niego z szacunkiem.

- Postępujesz bardzo honorowo.

- Staram się tylko wypełniać wolę Pana Boga, bracie, tak samo jak wy.

- Oby ci pobłogosławił.

Carlus i Simeon oddalili się, a Godwyn poczuł wyrzuty sumienia. Dał mnichom do zrozumienia, że nie działa z egoistycznych pobudek. Uznali go za kogoś w rodzaju męczennika. Ale to prawda, że pragnę tylko spełniać wolę bożą, powiedział sobie.

Rozejrzał się. Wnętrze katedry znów wyglądało tak jak zawsze. Godwyn już miał udać się do domu przeora na obiad, gdy pojawiła się jego kuzynka Caris. Jej sukienka odcinała się błękitną plamą od szarości murów.

- Czy jutro odbędzie się twoja inauguracja? Godwyn się uśmiechnął.

- Wszyscy zadają mi to samo pytanie. Odpowiedź brzmi „tak”.

- Powiadają, że hrabia zamierza walczyć.

- I przegra.

Caris zmierzyła kuzyna przenikliwym spojrzeniem.

- Znam cię od dziecka i wiem, kiedy kłamiesz.

- Nie kłamię.

- Udajesz pewność siebie, choć wcale jej nie czujesz.

- To nie grzech.

- Ojciec martwi się o most. Mnich Murdo jeszcze chętniej spełni wolę hrabiego niż Saul Whitehead.

- Murdo nie zostanie przeorem.

- Znów to samo!

Godwyna zirytowała przenikliwość dziewczyny.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - warknął. - Zostałem wybrany i zamierzam objąć stanowisko. Hrabia Roland chce mnie powstrzymać, ale nie ma prawa, a ja będę z nim walczył wszystkimi środkami, jakie mam do dyspozycji. Czy się boję? Tak. Lecz mimo to go pokonam.

Caris się uśmiechnęła.

- To właśnie chciałam usłyszeć. - Dała mu kuksańca w ramię. - Matka chce się z tobą zobaczyć. Czeka w domu. Przyszłam ci o tym powiedzieć.

Odwróciła się i wyszła.

Godwyn ruszył w stronę wyjścia w północnej części transeptu. Caris jest bystra, pomyślał z podziwem zaprawionym irytacją. Nakłoniła go, żeby powiedział, co myśli o sytuacji, a on uczynił to ze szczerością, na jaką przed nikim innym się nie zdobył.

Cieszył się jednak, że będzie mógł pomówić z matką. Wszyscy wątpili, czy zdoła wyjść zwycięsko z konfrontacji z hrabią. Petranilla nie zwątpi, a może podsunie mu jakiś strategiczny pomysł.

Zastał ją siedzącą przy stole nakrytym dla dwóch osób; był chleb i solona ryba. Godwyn pocałował matkę w czoło, odmówił modlitwę i zasiadł do posiłku. Pozwolił sobie na chwilę triumfu.

- Jestem przeorem elektem i spożywamy kolację w domu przeora.

- Roland jeszcze nie złożył broni - zauważyła matka.

- Nie przypuszczałem, że będzie walczył tak zażarcie. W końcu ma tylko prawo wskazywać kandydata, a nie wybierać go. To zrozumiałe samo przez się, że jego kandydat może nie zostać wybrany.

- Większość hrabiów by się z tym pogodziła, ale nie on. Roland czuje się lepszy od wszystkich, których zna. - W głosie Petranilli dała się słyszeć gorycz płynąca ze wspomnienia zerwanych zaręczyn przed trzydziestoma laty. Uśmiechnęła się mściwie. - Wnet zrozumie, jak bardzo nas nie docenił.

- Wie, że jestem twoim synem.

- A więc to także odegra pewną rolę. Zapewne przypomniałeś mu o tym, w jak haniebnym sposób mnie potraktował. To wystarczy, żeby cię znienawidził.

- Wielka szkoda. - Godwyn zniżył głos na wypadek, gdyby jakiś sługa podsłuchiwał za drzwiami. - Jak dotąd twój plan doskonale zdał egzamin. Wycofanie się z kandydowania, potem zdyskredytowanie wszystkich kandydatów... to były mistrzowskie posunięcia.

- Być może. Ale jeszcze możemy przegrać całą partię. Powiedziałeś coś biskupowi?

- Nie. Przypomniałem mu, że wiemy o Margery. Przestraszył się, ale nie na tyle, by sprzeciwić się ojcu.

- Popelnia błąd. Jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, Roland nie przebaczy synowi. Richard może skończyć jako rycerz na emeryturze. Czy on tego nie rozumie?

- Może myśli, że nie starczy mi odwagi, żeby ujawnić, co wiem.

- Wobec tego ja zaniosę hrabiemu tę wiadomość. - Wielkie nieba! Pęknie z wściekłości!

- Trzymaj nerwy na wodzy.

Petranilla zawsze mówiła podobne rzeczy. Właśnie dlatego syn obawiał się spotkań z nią. Pragnęła, by był śmielszy, żeby bardziej ryzykował. A on nigdy nie umiał jej odmówić.

- Jeśli ujawnimy, że Margery nie jest dziewicą, ślub zostanie odwołany. A Roland tego nie chce. Zgodzi się na mniejsze zło, czyli objęcie przez ciebie stanowiska przeora.

- Pozostanie moim wrogiem do końca życia.

- I tak nim będzie, bez względu na to, co się stanie.

Niewielka to pociecha, pomyślał Godwyn. Nie spierał się jednak, widząc, że matka ma rację.

Rozległo się pukanie do drzwi i do izby weszła lady Philippa. Godwyn i Petranilla wstali.

- Muszę z tobą pomówić - rzekła Philippa do Godwyna.

- Czy mogę pani przedstawić moją matkę? Petranilla dygnęła, a potem powiedziała:

- Będzie lepiej, jeśli wyjdę. Przyszła pani, żeby zaproponować ugodę. Philippa spojrzała na nią z rozbawieniem.

- Jeśli wie pani tyle, wie pani wszystko, co ważne. Może wobec tego powinna pani zostać.

Spojrzawszy na obie kobiety, Godwyn zauważył, że są do siebie podobne: tego samego wzrostu, posągowo zbudowane, i roztaczają tę samą władczą aurę. Philippa, rzecz jasna, była młodsza o jakieś dwadzieścia lat, cechowała ją swobodna świadomość władzy oraz poczucie humoru, które kontrastowało z zawziętą determinacją Petranilli. Może wynikało to z tego, iż Philippa miała męża, a Petranilla swojego straciła. Jednak Philippa była kobietą obdarzoną silną wolą, która realizowała swoje zamierzenia z pomocą mężczyzny - lorda Williama - Petranilla zaś czyniła to za pośrednictwem niego, Godwyna. Dopiero teraz to sobie uświadomił.

- Usiądźmy - zaproponowała Philippa.

- Czy hrabia zaakceptował to, co zamierza pani przedstawić? - spytała Petranilla.

- Nie. - Philippa rozłożyła bezradnie ręce. - Roland jest zbyt dumny, by godzić się z góry na coś, co później może zostać odrzucone przez drugą stronę. Jeśli uzyskam zgodę Godwyna na moją propozycję, wtedy być może zdołam nakłonić Rolanda do kompromisu.

- Tak właśnie myślałam - westchnęła Petranilla.

- Czy mogę panią czymś poczęstować, lady? - spytał Godwyn. Philippa zbyła propozycję niedbałym machnięciem ręki.

- W takiej sytuacji jak obecna wszyscy przegrają. Ślub się odbędzie, lecz bez należytego ceremoniału. Sojusz Rolanda z Monmouthem będzie od początku kaleki. Biskup nie zatwierdzi ciebie

jako przeora, Godwynie, więc o rozwiązanie sporu trzeba będzie poprosić arcybiskupa. On zaś odrzuci zarówno ciebie, jak i Murda, i wskaże jeszcze kogoś innego, przypuszczalnie kogoś ze swojego otoczenia, kogo chce się pozbyć. Nikt nie uzyska tego, czego pragnie. Mam rację?

Pytanie było skierowane do Petranilli, która przytaknęła.

- Czemu więc nie uprzedzić arcybiskupa, wprowadzając na scenę trzeciego kandydata? - ciągnęła Philippa. - Wskazałbyś go ty - skierowała palec na Godwyna - a on przyrzekłby, że zostaniesz jego zastępcą.

Godwyn zastanowił się nad tą propozycją. W ten sposób nie musiałby iść na wojnę z hrabią i grozić ujawnieniem haniebnego czynu syna. Jednak tym samym skazałby się na bycie zastępcą przeora nie wiadomo jak długo, a później, po jego śmierci, znów musiałby stoczyć taki sam bój. Mimo obaw Godwyn był gotów odrzucić propozycję Philippy.

Zerknął na matkę, a ta niedostrzegalnie pokręciła głową. Jej też nie podobało się takie rozwiązanie.

- Przykro mi - rzekł Godwyn. - Bracia zakonni już wybrali i tak musi zostać.

Philippa wstała.

- W takim razie muszę wam przekazać wiadomość, z powodu której tu przybyłam. Jutro rano hrabia wstanie z łoża. Życzy sobie obejrzeć katedrę i sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane do ślubu. Masz się z nim spotkać w kościele o ósmej. Wszyscy mnisi i zakonnice mają być w habitach, a katedra odpowiednio przystrojona.

Godwyn skinął głową, Philippa wyszła.

O wyznaczonej godzinie Godwyn stał w pustym, cichym kościele.

Był sam, nie towarzyszyli mu ani mnisi, ani zakonnice. Nie było żadnych sprzętów poza przytwierdzonymi na stałe do posadzki miejscami dla chóru. Nie paliła się ani jedna świeca, nie było krucyfiksów, kielichów ani kwiatów. Białe słońce, które przeświecało chwilami przez deszczowe chmury, rzucało na nawę mdłe i zimne światło. Godwyn trzymał ręce za plecami, żeby się nie trzęsły.

Hrabia stanął w drzwiach o ósmej.

Byli z nim lord William, lady Philippa, biskup Richard, pomocnik Richarda, arcydiakon Lloyd, oraz sekretarz hrabiego, ojciec Jerome. Godwyn chciałby mieć kogoś za plecami, lecz mnisi nie wiedzieli, jak niebezpieczna jest ta gra, a gdyby wiedzieli, mogłoby zabraknąć im odwagi, by stanąć u jego boku. Dlatego Godwyn postanowił stawić czoło hrabiemu w pojedynkę.

Roland nie miał już bandaży na czole. Szedł powoli, lecz pewnie. Godwyn pomyślał, że musi być osłabiony po tylu tygodniach spędzonych w łóżku, ale robił wszystko, by tego nie okazywać. Gdyby nie paraliż połowy twarzy, wyglądałby normalnie. Dzisiaj chciał pokazać światu, że wrócił do

zdrowia i znów trzyma wszystko w garści. Godwyn zamierzał zburzyć ten obraz.

Członkowie świry Rolanda rozglądali się z niedowierzaniem, lecz hrabia nie okazał zdziwienia.

- Arogancki mnich z ciebie - rzekł do Godwyna. Godwyn ryzykował wszystko i nie miał nic do stracenia.

- A ty jesteś upartym hrabią. Roland położył rękę na rękojeści miecza.

- Powiniennem cię za to zabić.

- Zrób to. - Godwyn rozłożył ręce, jakby szykował się do ukrzyżowania. - Zabij w katedrze mnicha, przeora Kingsbridge, tak jak rycerze króla Henryka zamordowali arcybiskupa Tomasza Becketa w Canterbury. Poślij mnie do nieba, a siebie skaz na wieczne potępienie.

Philippa otworzyła usta, wstrząśnięta zuchwałością Godwyna. William postąpił krok w jego stronę, jak gdyby chciał go uciszyć. Roland powstrzymał go gestem ręki.

- Biskup rozkazuje ci przygotować kościół do zaślubin - rzekł. - Czy mnisi nie składają ślubów posłuszeństwa?

- Lady Margery nie może zostać poślubiona w tym kościele.

- Tylko dlatego, że ty chcesz zostać przeorem?

- Ponieważ nie jest dziewicą.

Philippa zakryła usta rękami. Richard jęknął, a William sięgnął po miecz.

- To zdrada! - warknął Roland.

- Odlóż miecz, lordzie Williamie - rzekł Godwyn. - W ten sposób nie przywrócisz jej wianka.

- Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach, mnichu? - zapytał Roland.

- Dwaj mężczyźni z tego klasztoru byli świadkami czynu, do którego doszło w prywatnej izbie w szpitalu. W tym samym, w którym przebywasz, panie.

- Nie wierzę ci.

- Hrabia Monmouth uwierzy.

- Nie ośmielisz się mu powiedzieć.

- Muszę mu powiedzieć, dlaczego jego syn nie może pojąć za żonę Margery w katedrze w Kingsbridge. Chyba że Margery wyzna swój grzech i otrzyma rozgrzeszenie.

- Nie udowodnisz tego oszczerstwa.

- Mam dwóch świadków. Ale proszę zapytać dziewczynę, wierzę, że się przyzna. Rozumiem, iż woli kochanka, który odebrał jej dziewictwo, od politycznego wyboru wuja.

Godwyn znów znalazł się na krawędzi. Widział jednak twarz Margery, kiedy Richard ją

całował, i w tamtym momencie był pewien, że jest w nim zakochana. Ślub z synem hrabiego na pewno łamie jej serce. Godwyn domyślał się, że młodej kobiecie musi być bardzo trudno przekonująco kłamać, jeśli jej uczucia są tak gorące.

Połowę twarzy Rolanda wykrzywiła wściekłość.

- Kto ma być tym mężczyzną, który, jak twierdzisz, popełnił tę zbrodnię? Jeśli dowiedziesz swoich słów, on zawiśnie, przysięgam. A jeśli nie, zawiśniesz ty. Poślę po niego i zobaczymy, co ma do powiedzenia.

- On już tu jest.

Roland spojrzął z niedowierzaniem na czterech towarzyszących mu mężczyzn: swoich dwóch synów, Williama i Richarda, oraz dwóch księży, Lloyda i Jerome'a.

Godwyn skierował wzrok na Richarda.

Roland podążył za jego spojrzeniem. Po chwili patrzyli na niego wszyscy.

Godwyn wstrzymał oddech. Co powie Richard? Czy pójdzie w zaparte? Czy oskarży Godwyna o kłamstwo? A może wpadnie w gniew i rzuci się na oskarżyciela?

Jednak jego twarz wyrażała poczucie klęski, a nie wściekłość. Skłonił głowę.

- Przeklęty mnich ma rację - rzekł. - Dziewczyna nie wytrzyma przesłuchania.

Twarz hrabiego pobladła.

- Ty to zrobiłeś? - Wyjątkowo nie krzyczał, lecz to było jeszcze bardziej przerażające.

- Zaręczyłem dziewczynę z synem hrabiego, a ty ją zerznąłeś?

Richard milczał, stojąc ze spuszczoną głową.

- Ty durniu, ty zdrajco. Ty...

- Kto jeszcze o tym wie? - wtrąciła się Philippa.

Hrabia przerwał oskarżycielską tyradę. Wszyscy spojrzeli na Philippę.

- Może ślub jednak się odbędzie - ciągnęła. - Bogu dzięki hrabiego Monmouth tu nie ma.

Popatrzyła na Godwyna.

- Kto o tym wie, poza tu obecnymi i dwoma mężczyznami z klasztoru, którzy byli świadkami?

Godwyn starał się uspokoić mocno bijące serce. Zwycięstwo było blisko, niemal czuł jego smak.

- Nikt, pani.

- My umiemy dochować tajemnicy. A twoi podwładni?

- Uszanuję wolę wybranego przeora - rzekł, lekko podkreślając słowo „wybranego”.

Philippa odwróciła się do Rolanda.

- Ślub może się odbyć.

- Pod warunkiem że najpierw odbędzie się ceremonia inauguracyjna - dodał Godwyn.

Wszyscy spojrzeli na hrabiego.

Ten zrobił krok do przodu i niespodziewanie uderzył Richarda w twarz. Był to mocny cios, zadany przez żołnierza, który umiał włożyć w niego wszystkie siły. Mimo iż uderzył otwartą dłonią, Richard runął na ziemię.

Leżał nieruchomo, przerażony, z ust płynęła mu krew.

Twarz Rolanda pobladła, spływał po niej pot. Zadanie ciosu było dla niego dużym wysiłkiem. Minęło kilka sekund. Hrabia opanował drzenie. Zmierzywszy pogardliwym spojrzeniem odzianą w purpurę postać skuloną na posadzce, odwrócił się i wyszedł z kościoła wolnym, lecz pewnym krokiem.

24

Półowa mieszkańców miasta czekała na wyjście nowożeńców przez wielkie zachodnie drzwi kościoła. Była wśród nich Caris.

Nie wiedziała, dlaczego tam poszła. Małżeństwo źle jej się kojarzyło od dnia, w którym Merthin ukończył wyciąg w kościele, a później odbyli nieprzyjemną rozmowę na temat przyszłości. Była na niego zła, mimo że wszystko, co powiedział, miało sens. To naturalne, że chce mieć własny dom i z nią mieszkać, to naturalne, że chce spać z nią co noc i mieć dzieci. Wszyscy tego chcą - ale wyglądało na to, że wszyscy oprócz niej. ».

W pewnym sensie ona też tego pragnęła. Chciałaby kłaść się obok niego każdego wieczoru, obejmować jego szczupłe ciało, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota, i czuć jego zręczne ręce na swojej skórze, budząc się rano, i urodzić małego Merthina, którego oboje będą kochali i otaczali opieką. Nie chciała jednak wszystkiego, co wiąże się z małżeństwem. Pragnęła kochanka, a nie pana. Chciała z nim żyć, a nie poświęcać dla niego życie. Była zła na Merthina za to, że postawił ją przed dylematem. Dlaczego nie może nadal być tak, jak jest?

Przez trzy tygodnie prawie się do niego nie odzywała. Udawała, że się przeziębiła, i rzeczywiście zrobiło jej się bolesne zimno na wardze. Wykorzystała je jako wymówkę, żeby się z nim nie całować. Merthin wciąż jadał w ich domu i przyjaźnie gawędził z ojcem. Nie zostawał jednak na dole, kiedy Edmund i Petranilla położyli się spać.

Rana na ustach Caris się zagoiła, jej złość ostygła. Nadal nie chciała zostać własnością Merthina, lecz chciała, by znów ją całował. Teraz jednak Merthina przy niej nie było. Stał w tłumie z Bessie Bell, córką karczmarza. Była to niewysoka dziewczyna o zaokrąglonych kształtach i uśmiechu, który mężczyźni nazywają zalotnym, a kobiety - wyzywającym. Merthin ją rozśmieszał. Caris

odwróciła wzrok.

Wielkie drzwi kościoła otworzyły się. Tłum wznosił okrzyk, pojawiła się Margery. Była ładną szesnastoletnią dziewczyną. Miała białą suknię i kwiaty we włosach. Za nią ukazał się pan młody: wysoki, poważnie wyglądający mężczyzna mniej więcej dziesięć lat starszy od niej.

Oboje wyglądali żałośnie.

Prawie wcale się nie znali. Wcześniej spotkali się tylko raz, pół roku temu, kiedy hrabiowie rozmawiali o ożenku. Krążyła pogłoska, że Margery kocha innego, nie było jednak mowy o sprzeciwieniu się woli Rolanda. Jej mąż miał minę uczonego, który wolałby przebywać w bibliotece i czytać księgi poświęcone geometrii. Jakie będzie ich wspólne życie? Trudno było sobie wyobrazić, że połączy ich taka namiętność, jaką znali Caris i Merthin.

Caris zobaczyła, że Merthin przeciska się w jej stronę, i nagle uderzyła ją myśl, że jest niewdzięczna. Powinna się cieszyć, że nie jest siostrzenicą hrabiego! Nikt nie będzie jej narzucał męża! Może wyjść za tego, którego kocha, a ona tymczasem wynajduje najrozmaitsze powody, by tego nie zrobić.

Przywitała go uściskiem i pocałunkiem w usta. Merthin się zdziwił, ale nic nie powiedział. Niektórzy byliby zdezorientowani takimi zmianami nastroju, lecz Merthin był z natury spokojny i trudno było wytrącić go z równowagi.

Stali razem i patrzyli, jak Roland wychodzi z kościoła. Za nim podążali hrabia i hrabina Monmouth, biskup Richard i przeor Godwyn. Caris zauważyła, że na twarzy Godwyna widać jednocześnie radość i obawę. Można było odnieść wrażenie, iż to on jest panem młodym. Powodem takiego zachowania był bez wątpienia fakt, że dzisiaj oficjalnie został przeorem.

Rycerze ustawili się w szyku. Słudzy Rolanda byli ubrani w czerwono-czarne liberie, a Monmoutha - w żółto-zielone. Orszak ruszył w stronę ratusza. Hrabia Roland wydawał tam ucztę do gości weselnych. Edmund miał tam być, lecz Caris zdołała się wymówić. Jej ojciec szedł w towarzystwie Petranilli.

Pochód zaczął opuszczać teren katedry i w tej samej chwili zaczął padać lekki deszcz. Caris i Merthin skryli się w portyku kościoła.

- Wejdz ze mną do środka - zaproponował Merthin. - Chcę zobaczyć, jak idzie Elfricowi remont.

Goście wciąż opuszczali katedrę, więc Merthin i Caris musieli posuwać się pod prąd. Weszli do południowej nawy prezbiterium. Ta część kościoła była przeznaczona wyłącznie dla duchownych, którzy rozgniewaliby się na widok Caris, jednak mnisi i zakonnice już wyszli. Caris się rozejrzała, nie było jednak nikogo prócz jakiejś nieznanym, kobiety w wieku około trzydziestu lat, rudowłosej,

dobrze ubranej. Zapewne przybyła na ślub i na kogoś czeka.

Merthin zadarł głowę, żeby spojrzeć na łukowate sklepienie nad nawą. Remont jeszcze się nie zakończył. Część sklepienia pozostawała pusta - rozpięto tam płachtę białego płótna, więc na pierwszy rzut oka sufit wyglądał na pełny.

- Elfric nieźle sobie radzi - stwierdził Merthin. - Ciekawe, jak długo wytrzyma sklepienie.

- Dlaczego nie miałyby wytrzymać wieki? - spytała Caris.

- Bo nie wiemy, dlaczego się zawaliło. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu, nie są dziełem Boga, choć tak mówią księża. To, co spowodowało pęknięcie sufitu, przypuszczalnie się powtórzy.

- Czy można odkryć przyczynę?

- Nie jest to łatwe. Elfric na pewno tego nie zrobi. Ja mógłbym.

- Ale on cię wyrzucił.

- Otóż to. - Merthin stał przez chwilę z odchyłoną głową. - Chcę na to spojrzeć z góry. Wejść tam.

- Idę z tobą.

Rozejrzeli się, lecz nie było nikogo poza rudowłosą kobietą, która zapewne wciąż stała w południowej nawie transeptu. Merthin prowadził Caris do małych drzwi, za którymi znajdowały się spiralne schody. Szła za nim, zastanawiając się, co powiedzieliby mnisi, gdyby wiedzieli, że kobieta poznaje tajne zakamarki ich katedry. Schody wiodły na poddasze nad południową nawą.

Caris z zaciekawieniem oglądała sklepienie z drugiej strony.

- To się nazywa grzbiet łuku - wyjaśnił Merthin.

Caris lubiła, gdy mimochodem przekazywał jej informacje na temat architektury, zakładając, że jest nimi zainteresowana i zrozumie. Nigdy nie żartował, że kobiety nie pojmują szczegółów technicznych.

Przesunął się po wąskiej kładce, a potem położył się, żeby spojrzeć z bliska na nową murarkę. Caris zręcznie ułożyła się koło niego, obejmując go, jakby byli w łóżku. Merthin dotknął cementu między nowymi kamieniami, a potem przyłożył palec do języka.

- Zasycha całkiem szybko.

- To bardzo niebezpieczne, kiedy w takiej szparce jest wilgoć. Merthin spojrzał na nią.

A

- Postaram się, żebyś ty była wilgotna.

- Już jestem.

Pocałował ją. Caris zamknęła oczy.

- Chodźmy do mnie - rzekła po chwili. - Będziemy sami, tata i ciotka poszli na wesele.

Właśnie się podnosili, gdy usłyszeli głosy. Do południowej nawy weszli mężczyzna i

kobieta i stanęli tuż pod naprawianym sklepieniem. Ich słowa były tylko lekko stłumione przez płótno zakrywające otwór w suficie.

- Twój syn ma trzynaście lat-powiedziała kobieta. - Chce zostać rycerzem.

- Tak jak wszyscy chłopcy.

- Nie ruszaj się, bo nas usłyszą - szepnął Merthin.

Caris domyśliła się, że kobietą jest rudowłosa dama, która przybyła na ślub. Znała głos mężczyzny, miała wrażenie, że należy do któregoś z mnichów. Ale mnich przecież nie może mieć syna.

- A córka dwanaście. Będzie piękną kobietą.

- Taką jak jej matka.

- Trochę podobną. - Nastąpiła pauza. - Nie mogę długo tu zostać, hrabina może mnie

szukać.

Kobieta należała więc do orszaku hrabiny Monmouth. Może jest damą dworu? - pomyślała Caris. Przekazywała wiadomości o dzieciach ojcu, który nie widział ich od lat. Kim on jest?

- Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać, Loreen?

- Żeby na ciebie popatrzeć. Przykro mi, że straciłeś rękę.

Caris otworzyła oczy i wciągnęła powietrze. Zakryła usta, przestraszona, że tamci mogli ją usłyszeć.

Był tylko jeden mnich bez ręki: Thomas. Teraz już miała pewność, że to jego głos. Czyżby Thomas był żonaty i miał dzieci? Caris spojrzała na Merthina. Jego twarz wyrażała niedowierzanie.

- Co mówisz dzieciom, kiedy o mnie pytają?

- Że ojciec nie żyje - odparła chrapliwym głosem Loreen i rozplakała się. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie miałem wyboru. Gdybym tutaj nie przyszedł, zabiliby mnie. Nawet teraz prawie nigdy nie wychodzę poza mury klasztoru.

- Czemu ktoś chciałby cię zabić?

- Z powodu tajemnicy.

- Byłoby mi lepiej, gdybyś nie żył. Jako wdowa znalazłabym sobie męża, ojca dla moich dzieci, a tak dźwigam na barkach cały ciężar bycia żoną i matką, ale nikt mi nie pomaga... Nikt nie przytulił mnie w nocy.

- Przykro mi, że żyję.

- Nie to chciałam powiedzieć. Nie życzę ci śmierci. Kiedyś cię kochałam.

- A ja kochałem cię tak, jak mężczyzna taki jak ja może kochać kobietę. Caris ściągnęła brwi.

Co Thomas miał na myśli, mówiąc: „mężczyzna taki jak ja”? Czyżby należał do tych, którzy kochają innych mężczyzn? Wśród mnichów jest takich wielu.

Loreen wiedziała, co chciał przez to powiedzieć.

- Wiem, że tak - rzekła łagodnie.

Zapadła długa cisza. Caris wiedziała, że nie powinni podsłuchiwać tak intymnej rozmowy, ale teraz było już za późno, żeby się ujawnić.

- Jesteś szczęśliwy? - spytała Loreen.

- Tak. Nie zostałem stworzony, by być mężem i rycerzem. Codziennie modłę się za dzieci... i za ciebie. Proszę Boga, żeby zmył z moich dłoni krew wszystkich ludzi, których zabiłem. Zawsze pragnąłem takiego życia, jakie teraz prowadzę.

- Wobec tego życzę ci wszystkiego dobrego.

- Jesteś bardzo wielkoduszna.

- Prawdopodobnie nigdy więcej się nie zobaczymy.

- Pocałuj mnie i pożegnaj.

Znów zrobiło się cicho, kroki się oddaliły. Caris leżała nieruchomo, prawie nie oddychając. Po chwili usłyszała, że Thomas płacze. Z jego piersi wydobywał się stłumiony szloch. Do oczu Caris napłynęły łzy.

Wreszcie Thomas się opanował. Pociągnął nosem, odkaslnął, a potem zaczął mówić coś cicho, być może modlił się. Po chwili odszedł.

Caris i Merthin mogli się już ruszyć. Wstali i zeszli spiralnymi schodami na dół. W milczeniu posuwali się nawą wielkiego kościoła. Caris miała wrażenie, że spojrzała na obraz przedstawiający wielką tragedię. Postacie zastygły w dramatycznych pozach, ich przeszłość i przyszłość stanowiły tajemnicę.

Malowidła wywołują różne reakcje u różnych ludzi. Merthin zupełnie inaczej niż Caris odebrał to, co zobaczył i usłyszał.

- Cóż za smutna historia - powiedział, gdy znaleźli się na zewnątrz i owionęło ich wilgotne powietrze letniego popołudnia.

- Rozzłościła mnie - odparła Caris. - Thomas zniszczył tę kobietę.

- Trudno go obwiniać. Musiał ratować życie.

- A jej życie jest skończone. Nie ma męża i nie może powtórnie wyjść za mąż. Musi sama wychowywać dwoje dzieci. Thomas przynajmniej ma klasztor.

- Ona ma dwór hrabiny.

- Jak można porównywać jedno z drugim? - zirytowała się Caris. - Jest zapewne daleką

krewną, trzyma się ją z łaski i każe wykonywać proste prace, pomagać hrabinie czesać się i ubierać. Nie ma wyboru, tkwi w pułapce.

- Podobnie jak on. Słyszałaś, że nie może wychodzić poza klasztor.

- Thomas coś robi, jest kościelnym, podejmuje decyzje.

- Loreen ma dzieci.

- Otóż to! Mężczyzna zajmuje się najważniejszą budowlą w okolicy, a kobieta jest obarczona dziećmi.

- Królowa Izabela miała ich czworo, a przez pewien czas była jedną z najpotężniejszych osobistości w Europie.

- Ale najpierw musiała pozbyć się męża.

W milczeniu wyszli na główną ulicę i zatrzymali się przed domem Caris. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że znów się kłóć, i przedmiot sporu jest taki sam jak poprzednio: małżeństwo.

- Idę na obiad do Bella - oznajmił Merthin. Była to karczma ojca Bessie.

- Dobrze - odparła ponuro.

- Loreen byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie wychodziła za mąż! - zawołała, gdy odszedł kilka kroków.

- A co innego miałyby robić? - spytał przez ramię Merthin.

Na tym właśnie polega problem, pomyślała niechętnie Caris, wchodząc do domu. Co innego może zrobić kobieta?

W domu nikogo nie było: Edmund i Petranilla poszli na wesele, a służcy mieli wolne popołudnie. Tylko Scrap przywitała panią leniwym machnięciem ogona. Caris w roztargnieniu poklepała ją po głowie, a później usiadła przy stole i zadumała się.

Każda młoda chrześcijanka marzy tylko o tym, żeby wyjść za mężczyznę, którego kocha - dlaczego więc perspektywa małżeństwa tak ją przeraża? Skąd wzięły się u niej takie przedziwne uczucia? Na pewno nie odziedziczyła ich po matce. Rosę chciała być tylko dobrą żoną dla Edmunda. Wierzyła w to, co mówili mężczyźni: że kobiety są gorsze. Jej podporządkowanie zawstydzalo Caris, a choć Edmund nigdy się nie skarżył, córka podejrzewała, że zachowanie matki go nudzi. Caris miała więcej szacunku dla apodyktycznej, chłodnej Petranilli niż dla swojej łagodnej matki.

Nawet Petranilla pozwoliła, by jej życie kształtowali mężczyźni. Przez wiele lat, imając się różnych sposobów, starała się, żeby Edmund został starszym miasta. Najsilniejszym uczuciem, jakie знаła, była niechęć: do hrabiego Rolanda za to, że ją odtrącił, i do męża, bo ją obumarł. Jako wdowa poświęciła się kierowaniu karierą Godwyna.

Królowa Izabela była podobna. Pozbawiła tronu swojego męża, króla Edwarda II, lecz

osiągnęła tyle, że władzę przejął jej kochanek, Roger Mortimer, który faktycznie rządził Anglią, aż syn Izabeli dorósł i zdołał go usunąć.

Czy ona, Caris, także ma przeżyć życie, kierowana przez mężczyznę? Ojciec chce, żeby zajęła się handlem wełną. Mogłaby kierować karierą Merthina, pomagać mu zawierać umowy na budowę kościołów i mostów, aż stałby się najslawniejszym i najbogatszym budowniczym w Anglii.

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie do drzwi. W progu pojawiła się ptasia postać matki Cecilii. Zakonnica weszła z wawym krokiem do środka.

- Dzień dobry - powiedziała zaskoczona Caris. - Właśnie zastanawiałam się, czy wszystkie kobiety są skazane na to, by ich życiem kierowali mężczyźni. Ty jesteś przykładem, że tak być nie musi.

- Nie do końca masz rację - odparła Cecilia z przyjaznym uśmiechem. - Mnie przez życie prowadzi Jezus Chrystus, który był mężczyzną, choć jest także Bogiem.

Caris nie miała pewności, czy Jezus liczy się jako mężczyzna. Otworzyła kredens i wyjęła beczułkę najlepszego wina.

- Napijesz się reńskiego z zapasów mojego ojca?

- Odrobinę, zmieszanego z wodą.

Caris napełniła kubki winem i dołała wody z dzbana.

- Ojciec i ciotka są na weselu, wiesz o tym.

- Tak. Przyszłam do ciebie.

Caris sama się tego domyśliła. Przeorysza nie spacerowała po mieście bez celu, by składać wizyty towarzyskie.

- Myślałam o tobie, o tym, jak zachowywałaś się w dniu, w którym zawalił się most - zaczęła Cecilia, napiwszy się wina.

- Zrobiłam coś złego?

- Wprost przeciwnie, robiłaś wszystko bardzo dobrze. Z rannymi obchodziłaś się delikatnie, lecz stanowczo, wykonywałaś moje polecenia, a jednocześnie wykazywałaś inicjatywę. Zaimponowałaś mi.

- Dziękuję.

- Odniosłam wrażenie, że... Nie znajdowałaś w tym wielkiej przyjemności, ale przynajmniej satysfakcję.

- Ludzie byli ranni i przygnębieni, a my przynosiłyśmy im ulgę, co może być bardziej satysfakcjonującego?

- Dokładnie to samo czuję, i właśnie dlatego jestem zakonnice. Caris już wiedziała, do czego

zmierza rozmowa.

- Nie mogłabym spędzić życia w klasztorze.

- Naturalna zdolność do opieki nad chorymi to nie wszystko, co u ciebie zauważyłam.

Pierwszych ludzi, którzy wnosili chorych do szpitala, zapytałam, kto ich tu skierował. Powiedzieli, że Caris Wooler.

- Samo się nasuwało, co należy zrobić.

- Tobie się nasuwało. - Cecilia z poważną miną nachyliła się nad stołem. - Niewielu ludzi obdarzonych jest talentem organizacyjnym. Wiem, bo sama go mam, dzięki temu dostrzegam go u innych. Wszyscy są zdezorientowani, ogarnia ich lęk lub przerażenie, a ty i ja bierzemy sprawy w swoje ręce.

Caris musiała przyznać zakonnicy rację.

- To prawda.

- Obserwuję cię od dziesięciu lat, od dnia śmierci twojej matki.

- Przynosiłaś jej pociechę.

- Już wtedy, rozmawiając z tobą, zorientowałam się, że wyrośniesz na wyjątkową kobietę. Moje przeczucia potwierdziły się, gdy zaczęłaś chodzić do naszej szkoły. Teraz masz dwadzieścia lat, na pewno myślisz o tym, co chcesz robić w życiu. Wierzę, że Pan Bóg ma dla ciebie zadanie.

- Skąd wiesz, co myśli Pan Bóg? Cecilia się obruszyła.

- Gdyby ktoś inny zadał to pytanie, kazałabym mu paść na kolana i modlić się o przebaczenie.

Ale ty jesteś szczerą, więc ci odpowiem. Wiem, co myśli Pan Bóg, bo przyjmuję naukę jego Kościoła. I jestem przekonana, że chce, byś wstąpiła do zakonu.

- Za bardzo lubię mężczyzn.

- Też miałam z tym kłopot za młodu, ale zapewniam cię, że problem zmniejsza się z każdym upływającym rokiem.

- Nie lubię, kiedy mówi mi się, jak mam żyć.

- Mówisz jak beginka, to źle.

- A kto to taki?

- Beginki to zakonnice nieuznające żadnych zasad i uważające śluby za przejściowe. Razem mieszkają, uprawiają ziemię i wypasają bydło. Nie pozwalają, by rządzili nimi mężczyźni.

Caris zawsze chętnie słuchała o kobietach odrzucających zasady.

- Gdzie one są?

- Głównie w Niderlandach. Ich przywódczyni, Małgorzata Porete, napisała książkę zatytułowaną Zwierciadło dusz prostych.

- Chciałabym ją przeczytać.

- To wykluczone. Beginki zostały potępione przez Kościół za herezję wolnego ducha, wiarę, że możemy osiągnąć doskonałość duchową na ziemi.

- Doskonałość duchowa? Co to znaczy? To tylko takie wyrażenie.

- Jeśli uparcie zamykasz umysł na Boga, nigdy tego nie zrozumiesz.

- Przykro mi, matko Cecilio, lecz ilekroć zwykły człowiek mówi mi o Bogu, myślę sobie: ludzie są ułomni, więc prawda może być inna.

- Jak Kościół może się mylić?

- Muzułmanie wierzą w co innego.

- Ależ to poganie!

- Oni nazywają nas niewiernymi, a to jest to samo. Buonaventura Caroli mówi, że muzułmanów jest na świecie więcej niż chrześcijan. A więc może to Kościół się myli?

- Uważaj, co mówisz - ostrzegła surowo Cecilia. - Niech zapal do dyskusji nie doprowadzi cię do bluźnierstwa.

- Przepraszam, matko.

Caris wiedziała, że Cecilia lubi się z nią spierać, ale zawsze nadchodził taki moment, gdy przeorysza przestawała dyskutować i zaczynała wygłaszać kazanie. Caris musiała się wycofywać i czuła się trochę oszukana.

Cecilia wstała.

- Wiem, że nie mogę cię przekonać wbrew twojej woli, ale chciałam, żebyś wiedziała, co myślę. Najlepiej dla ciebie byłoby, gdybyś wstąpiła do naszego klasztoru i poświęciła życie sakramentowi uzdrawiania. Dziękuję za wino.

- Co się stało z Małgorzatą Porete? Czy ona żyje? - zapytała Caris, gdy przeorysza zbliżała się do drzwi.

- Nie, spłonęła na stosie - odparła Cecilia, zamykając drzwi.

Caris skierowała na nie wzrok. Życie kobiety jest jak dom z pozamykanymi drzwiami: nie może zostać czeladnikiem, nie może studiować na uniwersytecie, nie może być księdzem ani lekarzem, strzelać z łuku ani walczyć mieczem. I nie może wyjść za mąż, nie poddając się tyranii małżonka.

Pomyślała o Merthinie. Czy Bessie siedzi z nim teraz przy stole w karczmie ojca? Czy patrzy, jak Merthin pije najlepsze piwo, czy uśmiecha się do niego zachęcająco, czy wygładza sukienkę, żeby lepiej widział, jakie ładne ma piersi? Czy Merthin czaruje ją i rozśmiesza? Czy Bessie rozchyła usta, pokazując mu swoje równiutkie zęby, i odrzuca do tyłu głowę, żeby widział, jak miękka i biała jest

skóra na jej szyi? Czy Merthin rozmawia z Paulem Bellem, z szacunkiem zadając mu fachowe pytania, by Paul mógł później powiedzieć córce, że Merthin to dobry, porządny chłopak? Czy Merthin upije się i obejmie Bessie w pasie, opierając rękę na jej biodrze? Czy potem wsunie ukradkiem palce w czułe miejsce między jej udami, tęskniące już za jego dotykiem, tak jak zrobił kiedyś z Caris?

Oczy zaszły jej łzami. Poczwała się jak idiotka. Ma najlepszego mężczyznę w mieście i oddaje go karczmarce. Czemu to sobie robi?

W tym samym momencie do domu wszedł Merthin.

Spojrzała na niego przez łzy. Obraz jej się zamazywał, nie widziała wyrazu jego twarzy. Czy przyszedł się pojednać, czy - pokrzepiony kilkoma kuflami piwa - zbesztać ją wylać na nią swój gniew?

Wstała. Przez chwilę trwała w niepewności, gdy Merthin zamykał drzwi i podchodził do niej powoli.

- Bez względu na to, co robisz i mówisz, wciąż cię kocham - rzekł. Caris zarzuciła mu ręce na szyję i wybuchła płaczem.

Merthin pogładził ją po włosach i nic nie powiedział. Po dłuższej chwili zaczęli się całować. Caris poczuła znane już dobrze pragnienie, ale silniejsze niż kiedykolwiek: chciała poczuć jego ręce na swoim ciele, jego język w ustach, palce między udami. Czwała się inaczej i chciała, żeby ich miłość znalazła nowy wyraz.

- Zdejmijmy ubrania - powiedziała. Nigdy tego nie robili. Merthin uśmiechnął się z radością.

- Dobrze, ale co będzie, jeśli ktoś wejdzie?

Poszli do pokoju Caris. Zrzuciła buty i nagle się zawstydzila. Co pomyśli Merthin, kiedy zobaczy ją nagą? Wiedziała, że podobają mu się jej piersi, nogi, szyja, pleć, zawsze mówił, że są piękne, kiedy je całował i pieścił. Ale czy teraz zauważy, że jej biodra są za szerokie, nogi trochę za krótkie, a piersi dość małe?

On zdawał się nie mieć takich zahamowań. Zrzucił koszulę, ściągnął spodnie i stanął przed nią nagi, bez cienia wstydu. Miał szczupłe silne ciało, pełne nagromadzonej energii, jak u młodego jelenia. Caris po raz pierwszy zauważyła, że włosy na jego kroczu mają kolor jesiennych liści. Jego członek sterczał w gotowości. Pożądanie przeważało i Caris jednym ruchem ściągnęła sukienkę przez głowę.

Patrzył na jej nagie ciało, lecz Caris już nie czwała wstydu; jego spojrzenie rozpałilo ją niczym pieszczota.

- Jesteś piękna - powiedział.

- Ty też.

Położyli się obok siebie na słomianym sienniku, na którym Caris spała. Gdy całowali się i pieścili, uświadomiła sobie, że zabawy, którym zwykle się oddawali, dzisiaj jej nie zadowolą.

- Chcę to zrobić naprawdę - rzekła. «

- Wszystko?

Przemknęła jej myśl, że może zajść w Ciążę, ale ją stłumiła. Była za bardzo rozpalona, by myśleć o konsekwencjach.

- Tak.

- Ja też.

Merthin wsunął się na nią. Przez pół życia zastanawiała się, jak to będzie. Spojrzała na jego twarz. Zobaczyła na niej skupienie, które tak bardzo lubiła. Właśnie tak wyglądał przy pracy, gdy jego małe dłonie czule i zręcznie kształtowały drewno. Delikatnie rozsunął palcami płatki jej płci. W środku była wilgotna z pragnienia.

- Jesteś pewna? - zapytał. Caris znów odsunęła myśl o ciąży.

- Jestem pewna.

Przez chwilę poczuła strach, gdy w nią wszedł. Zesztywniała mimowolnie, a Merthin się zawahał, czując opór jej ciała.

- Już dobrze - szepnęła. - Możesz wejść głębiej. Nie zranisz mnie. Myliła się. Nagle poczuła ostry ból i krzyknęła.

- Przepraszam - szepnął Merthin.

- Zaczekaj chwilę - poprosiła.

Znieruchomieli oboje. Merthin całował jej powieki, czoło i czubek nosa. Caris patrzyła na jego twarz i złotobrzowe oczy. Nagle ból ustał i wróciło pożądanie.

Zaczęła się poruszać, czerpiąc radość z tego, że ukochany mężczyzna po raz pierwszy jest w niej tak głęboko. Poczowała się cudownie, widząc, jaką przyjemność mu to sprawia. Spoglądał na nią z lekkim uśmiechem i głodem w oczach. Poruszali się coraz szybciej.

- Nie mogę przestać - wyszeptał, z trudem łapiąc oddech.

- Nie przestawaj, nie przestawaj...

Wpatrywała się w niego. Po chwili rozkosz go pochłonęła, przymknął oczy, otworzył usta, a jego ciało napięło się jak cięciwa łuku. Poczowała w środku jego spazm, strumień jego wytrysku, i pomyślała, że dotąd nie wyobrażała sobie, by coś mogło jej dać tyle szczęścia. Nagle jej ciało także zdrząło z rozkoszy. Znała już to uczucie, lecz nigdy nie było takie silne. Zaniknęła oczy i oddała się temu doznaniu. Przytuliła się mocno do kochanka i drżała niczym drzewo na wietrze.

Długo leżeli bez ruchu. Merthin wtulił twarz w szyję Caris, poczuła jego oddech na skórze.

Pogłaskała go po plecach. Jego skórę pokrywał pot. Stopniowo jej serce zwolniło i ogarnęło ją głębokie zadowolenie podobne do zmierzchu w letni wieczór.

- A więc o to jest ten cały hałas - rzekła po chwili.

25

Dzień po tym, jak Godwyn został oficjalnie przeorem Kingsbridge, Edmund Wooler przyszedł rano do domu rodziców Merthina.

Chłopiec zapominał, jak ważną osobistością jest Edmund, gdyż ten traktował go jak członka rodziny, jednakże Gerald i Maud zachowywali się tak, jakby nieoczekiwanie odwiedził ich król. Byli zakłopotani, że Edmund widzi ubóstwo ich domu. Była w nim tylko jedna izba. Merthin i jego rodzice spali na siennikach na ziemi. W izbie był kominek, stół, a za domem znajdowało się małe podwórko.

Na szczęście rodzina wstała o świcie, wszyscy się umyli, ubrali i wysprząkali oboje. Mimo to gdy Edmund, powłóczęc nogą, wszedł energicznie do środka, matka Merthina starła nieistniejący kurz z taboretu, przyglądała włosy, zamknęła drzwi i otworzyła je znowu, a potem dołożyła szczapę do ognia. Ojciec uklonił się kilka razy, włożył kaftan i zaproponował Edmundowi piwo.

- Nie, dziękuję, sir Geraldzie - rzekł Edmund, który bez wątpienia wiedział, że rodzinie się nie przelewa. - Zjem jednak miseczkę twojej owsianki, lady Maud, jeśli mnie poczęstujesz.

W każdym domu trzymano nad paleniskiem garnek owsianki, do której dodawano kości, nasiona jabłek, łupiny grochu i innych resztek, które przez kilka dni grzały się na wolnym ogniu. Po dodaniu soli i ziół uzyskiwano zupę, która nigdy nie smakowała dwa razy tak samo. Była to najtańsza strawa.

Zadowolona Maud nalala trochę zupy do miski i postawiła na stole wraz z łyżką i kilkoma kromkami chleba.

Merthin wciąż smakował wczorajsze uniesienia. To było jak lekkie upojenie po wypiciu trunku. Zasnął, myśląc o nagim ciele Caris, i obudził się z uśmiechem.

Nagle jednak przypomniał sobie o awanturze z Elfrikiem z powodu Griseldy. Fałszywe przecucie ostrzegło go, że Edmund wrzaśnie: „Zbecześciłeś moją córkę!” i zdzieli go w twarz kijem.

Wrażenie było przelotne i znikło, kiedy Edmund zasiadł przy stole. Wziął łyżkę, lecz zanim zaczął jeść, odezwał się do Merthina.

- Teraz, gdy mamy już przeora, chcę, żebyś rozpoczął jak najprędzej prace nad nowym mostem.

- Dobrze - odparł Merthin. Edmund zjadł łyżkę owsianki i cmoknął.

- To najlepsza owsianka, jaką w życiu jadłem, lady Maud. Matka Merthina pokraśniała z zadowolenia.

Merthin był wdzięczny Edmundowi za to, że okazuje szacunek jego rodzicom. Stracili swoją pozycję społeczną, co było dla nich upokorzeniem; to, że siedzieli przy jednym stole ze starszym miastem, który zwracał się do nich „sir Geraldzie” i „lady Maud”, było balsamem dla ich dusz.

- Mało brakowało, a wcale bym się z nią nie ożenił, Edmundzie - rzekł ojciec. - Wiedziałeś o tym?

Merthin był pewien, że Edmund słyszał już tę opowieść. Mimo to kupiec powiedział:

- Wielkie nieba, jak do tego doszło?

- Zobaczyłem Maud w kościele w niedzielę wielkanocną i od razu się zakochałem. W katedrze zgromadziło się pewnie z tysiąc osób, a ona była najpiękniejszą kobietą. ».

- Och, Geraldzie, nie przesadzaj - wtrąciła Maud.

- Potem znikła w tłumie i nie mogłem jej znaleźć! Nie znałem jej nazwiska. Zapytałem ludzi, kim była ta ładna jasnowłosa dziewczyna, ale powiedzieli, że wszystkie dziewczyny są ładne i mają jasne włosy.

- Po mszy szybko wyszłam z katedry - wyjaśniła Maud. - Mieszkaliśmy w karczmie Holly Bush, a mama nie czuła się dobrze, więc się do niej spieszyłam.

- Szukałem w całym mieście, ale jej nie odnalazłem - ciągnął Gerald. - Po Wielkanocy wszyscy wracali do domów. Ja mieszkalem w Shiring, a Maud w Casterham, lecz tego nie wiedziałem. Myślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Wyobraziłem sobie, że jest aniołem, który zstąpił na ziemię, by przypilnować, żeby wszyscy poszli na mszę.

- Geraldzie, proszę cię - odezwała się Maud.

- Zgubiłem serce. Inne kobiety mnie nie interesowały. Myślałem, że przez całe życie będę tęsknił za aniołem z Kingsbridge. Trwało to dwa lata. Później zobaczyłem ją na turnieju w Winchesterze.

- Podeszedł do mnie obcy mężczyzna i mówi: „To ty, tak długo cię szukałem! Musisz za mnie wyjść, zanim znowu mi znikniesz”. Pomyślałam, że oszalał.

- To niezwykle - przyznał Edmund.

Merthin pomyślał, że wykazuje aż za dużo dobrej woli.

- Zrobiłem rysunki na podłodze w pracowni murarskiej w katedrze - odezwał się.

Edmund skinął głową.

- Kamiennego mostu, który zmieści dwie furmanki obok siebie?

- Zgodnie z twoimi wskazówkami. Zaprojektowałem też rampy po obu stronach. I znalazłem sposób, by ograniczyć koszt o jedną trzecią.

- Nadzwyczajnie! Jak tego dokonałeś?

- Pokażę ci, gdy tylko skończysz jeść. Edmund zgarnął łyżką resztkę owsianki i wstał.

- Zjadłem. Możemy iść. - Odwrócił się do Geralda i skłonił lekko głowę. - Dziękuję za gościnę.

- Miło nam było cię gościć, Edmundzie.

Merthin i Edmund wyszli. Padało. Zamiast w stronę katedry Merthin poprowadził Edmunda ku rzece. Wszyscy rozpoznawali starszego mężczyznę po charakterystycznym chodzie, co druga osoba pozdrawiała go lub kłaniała mu się z szacunkiem.

Nagle Merthinem zaczęły targać wątpliwości. O projekcie mostu rozmyślał od miesięcy. Nadzorując cieśli, którzy rozbierali stary dach w kościele i kładli nowy, nie przestawał dumać o większym wyzwaniu, jakie stanowi most. Teraz ktoś inny po raz pierwszy oceni jego pomysły.

Edmund nie wiedział, jak śmiały jest plan Merthina.

Błotnista ulica wiła się w dół między domami i warsztatami. Mury obronne obracały się w ruinę po dwóch wiekach pokoju, w niektórych miejscach zostały z nich tylko ziemne nasypy stanowiące części murów ogrodów. Nad samym brzegiem rzeki rozlokowali się ci rzemieślnicy, których warsztaty zużywały duże ilości wody, zwłaszcza farbiarze i garbarze.

Merthin i Edmund stanęli na błotnistym brzegu między rzeźnią cuchnącą krwią a kuźnią, z której dobiegało metaliczne stukanie młotów. Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie wąskiego pasma wody, leżała Wyspa Trędowatych.

- Po co tu przyszliśmy? - zapytał Edmund. - Most stoi ćwierć mili dalej w górę rzeki.

- Stał - odparł Merthin, nabierając powietrza. - Myślę, że nowy most powinniśmy zbudować w tym miejscu.

- Most do wyspy?

- I drugi od wyspy na drugi brzeg. Dwa małe mosty zamiast jednego dużego. Tak będzie o wiele taniej.

- Ale ludzie będą musieli przechodzić przez wyspę z jednego mostu na drugi.

- Dlaczego nie?

- Bo to jest kolonia trędowatych!

- Został tylko jeden. Można go przenieść gdzieś indziej. Choroba wygasa. Edmund się zastanawiał.

- Każdy przybywający do Kingsbridge będzie musiał dojść do tego miejsca, w którym teraz stoimy.

- Trzeba będzie zbudować nową ulicę i rozebrać niektóre budynki, ale koszt będzie niewielki w porównaniu z tym, ile zaoszczędzi się na budowie mostu.

- A po drugiej stronie...

- Leży pastwisko należące do opactwa. Z dachu kościoła Świętego Marka widać całość. Właśnie dlatego taki pomysł przyszedł mi do głowy.

Edmund był pełen podziwu.

- Bardzo mądrze. Ciekawe, dlaczego od razu nie zbudowano mostu w tym miejscu.

- Pierwszy most powstał setki lat temu. Koryto rzeki prawdopodobnie biegło wtedy inaczej. Brzegi na pewno z czasem zmieniają położenie. Kanał między wyspą i pastwiskiem mógł być kiedyś szerszy. Budowanie mostu w tym miejscu nie miałoby sensu.

Edmund spojrzał na drugą stronę rzeki i Merthin podążył za jego wzrokiem. Kolonię trędowatych stanowiła grupa walących się chatynek zajmujących trzy lub cztery akry. Wysepka była zbyt kamienista, by uprawiać na niej ziemię, lecz rosło tam parę drzew i wysoka trawa, żyło mnóstwo królików, których ludzie z miasta nie chcieli jeść z powodu przesądu, że są to dusze zmarłych trędowatych. W pewnym okresie izolowani mieszkańcy wyspy hodowali własne kury i świnię, teraz jednak łatwiej było mnichom z klasztoru dostarczać żywność jednemu żyjącemu mieszkańcowi kolonii.

- Masz rację - przyznał Edmund. - W mieście od co najmniej dziesięciu lat nikt nie zachorował na trąd.

- Nigdy nie widziałem trędowatego - rzekł Merthin. - Kiedy byłem dzieckiem, wydawało mi się, że trędowaci to jakieś egzotyczne zwierzęta.

Edmund parsknął śmiechem. Odwróciwszy się tyłem do rzeki, spojrzał na stojące w pobliżu budynki. - Trzeba będzie zadziałać dyplomatycznie - myślał głośno. - Przekonać tych, których domy zostaną zburzone, że im się poszczęściło, bo przeprowadzą się do nowych, lepszych siedzib, a ich sąsiedzi nie. A wyspę trzeba będzie skropić wodą święconą, żeby ludzie uwierzyli, iż jest bezpieczna. Ale z tym sobie poradzimy.

- Narysowałem oba mosty z łukami takimi jak w katedrze - oznajmił Merthin. - Będą piękne.

- Pokaż.

Ruszyli w górę przez miasto w stronę katedry. Deszcz siąpił z niskich chmur wyglądających jak dym unoszący się z mokrego ogniska. Merthin nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczy swoje rysunki - nie był w warsztacie murarskim od mniej więcej tygodnia - i wyjaśni wszystko Edmundowi. Dużo myślał o tym, jak prąd wody podmył stary most, i w jaki sposób można temu zapobiec.

Weszli przez północny portyk i ruszyli spiralnymi schodami do warsztatu. Mokre podeszwy butów ślizgały się po wytartych kamieniach. Edmund wspinał się energicznie, powłócząc nogą.

W warsztacie paliło się kilka lamp. Merthin się ucieszył, bo dzięki światłu rysunki będą lepiej widoczne. Potem zauważył, że Elfric robi coś w miejscu, w którym znajdowały się rysunki mostu.

Wrogość między nimi ani trochę nie zmalała. Elfric nie zdołał odwiedzić mieszkańców miasta od zatrudniania Merthina, wciąż jednak nie zgadzał się, by przyjęto go do cechu. Merthin był w osobliwym położeniu: pracował nielegalnie, mimo że ceniono jego fachowość. Postępowanie Elfrica było bezcelowe, lecz złośliwe.

Jego obecność utrudni Merthinowi szczerą rozmowę z Edmundem. Merthin powiedział sobie, że musi być twardy. To Elfric powinien się czuć nieswojo, nie on.

Przytrzymał Edmundowi drzwi i skierowali się do miejsca, w którym znajdowały się projekty. Wtedy Merthin przeżył wstrząs.

Elfric stał pochylony i kreślił coś za pomocą cyrkla na świeżej warstwie cementu. Rysunki Merthina zostały całkowicie zniszczone.

- Coś ty zrobił? - spytał Merthin, nie wierząc własnym oczom. Elfric spojrzał na niego pogardliwie i bez słowa rysował dalej.

- On zmazał mój projekt - wyjaśnił Merthin Edmundowi.

- Jak to wytłumaczysz? - zapytał Edmund. Elfric nie mógł zignorować pytania teścia.

- Nie ma czego tłumaczyć. Posadzkę rysowniczą trzeba czasem odnawiać.

- Zniszczyłeś ważne rysunki!

- Czyżby? Przeor nie zamawiał u tego chłopaka żadnych rysunków, a on nie prosił o pozwolenie użycia posadzki.

Edmund łatwo wpadał w gniew, a chłodna bezczelność Elfrica zaczynała działać mu na nerwy.

- Nie bądź durniem. Poprosiłem Merthina, żeby przygotował rysunki nowego mostu.

- Przykro mi, ale tylko przeor ma takie prawo.

- Cech daje na to pieniądze, do licha.

- To pożyczka, która ma zostać spłacona.

- Mimo to mamy coś do powiedzenia w sprawie projektu.

- Doprawdy? O tym będziesz musiał porozmawiać z przeorem. Nie sądzę, żeby pochwalił cię za to, iż wybrałeś niedoświadczonego czeladnika.

Merthin spoglądał na rysunki, które Elfric nakreślił na nowym cemencie.

- To pewnie jest twój projekt mostu.

- Przeor Godwyn zlecił mi budowę - odparł Elfric.

- Nie pytając nas o zgodę? - oburzył się Edmund.

- O co chodzi? - spytał ze złością Elfric. - Nie chcesz, żeby zlecenietrafiło do męża twojej córki?

- Okrągłe łuki - zauważył Merthin, spoglądając na rysunek Elfrica. - I wąskie prześwity. Ile będzie przęseł?

Elfric wolałby nie odpowiadać, lecz Edmund spoglądał na niego wyczekująco.

- Siedem.

- Drewniany most miał tylko pięć! - przypomniał Merthin. - Czemu są takie grube, a prześwity takie wąskie?

- Żeby mogły unieść ciężar brukowanej drogi.

- Do tego nie są potrzebne grube przęsła. Spójrz na tę katedrę, jej kolumny utrzymują cały ciężar dachu, a są smukłe i rzadko rozmieszczone.

- Po dachu nikt nie jeździ furmankami -, odparł drwiąco Elfric.

- To prawda, ale... - Merthin nie dokończył tego, co chciał powiedzieć. Deszcz na rozległej przestrzeni dachu prawdopodobnie ważył więcej niż furmanka załadowana kamieniami, ale po co tłumaczyć to Elfricowi? Nie jego rolą było uczenie kiepskiego budowniczego. Projekt Elfrica był zły, lecz Merthin nie zamierzał go poprawiać, tylko zastąpić swoim, więc zamilkł.

Edmund także zrozumiał, że niepotrzebnie strzępi język.

- Nie wy dwaj będziecie o tym decydowali - oznajmił i ruszył do wyjścia.

Córka Johna Constable'a otrzymała w katedrze chrzest z rąk Godwyna. Uhonorowano porządkowego w ten sposób, gdyż był ważnym pracownikiem klasztoru. Przybyli wszyscy ważni mieszkańcy miasta. John nie był ani bogaty, ani ustosunkowany - jego ojciec pracował w klasztornej stajni - lecz Petranilla oznajmiła, że wszyscy cieszący się szacunkiem mieszczaństwo powinni okazywać mu przyjaźń i go wspierać. Caris stwierdziła, że okazują Johnowi szczególne względy, ponieważ chcą, żeby chronił ich własność.

Znów padało i ci, którzy zgromadzili się przed chrzcielnicą, byli bardziej mokrzy niż dziecko spryskane wodą święconą. Osobliwe uczucia targały Caris, gdy patrzyła na maleńkie bezbronne niemowlę. Od czasu, gdy położyła się z Merthinem, nie dopuszczała do siebie myśli o ciąży, lecz na widok dziecka zalała ją fala opiekuńczych uczuć.

Dziewczynka otrzymała imię Jesca, tak samo jak bratanica Abrahama.

Godwyn nigdy nie czuł się pewnie przy dzieciach, i natychmiast po zakończeniu obrzędu odwrócił się, by odejść. Jednak Petranilla chwyciła go za rękaw habitu.

- Co będzie z mostem? - zapytała.

Mówiła cicho, lecz Caris to usłyszała i postanowiła słuchać dalej.

- Poprosiłem Elfrica, żeby przygotował rysunki i kosztorys.
- Dobrze. Niech to zostanie w rodzinie.
- Klasztor korzysta z usług Elfrica.
- Inni będą chcieli złapać kontrakt.
- To ja zadecyduję, kto ma zbudować most. Caris poczuła przyływ gniewu.
- Jak śmiesz - powiedziała do Petranilli.
- Nie mówiłam do ciebie. Caris to zignorowała.
- Dlaczego nie bierze się pod uwagę projektu Merthina?
- Bo on nie należy do rodziny.
- Ale prawie z nami mieszka!
- Nie jesteś jego żoną. Gdybyś była, sprawa wyglądałaby inaczej. Caris wiedziała, że na tym polu ciotka ma przewagę, więc zmieniła front.

- Zawsze byłeś uprzedzona do Merthina. A wszyscy wiedzą, że jest lepszym budowniczym od Elfrica.

Jej siostra Alice usłyszała to i wtrąciła się do dyskusji:

- Elfric nauczył Merthina wszystkiego, a on teraz udaje, że wie lepiej! To nie było uczciwe stawianie sprawy. Caris rozzłościła się jeszcze bardziej.

- Kto zbudował prom?! - spytała podniesionym głosem. - Kto naprawił dach w kościele Świętego Marka?!

- Merthin pracował z Elfrikiem, kiedy budował prom. Nikt nie zwrócił się do Elfrica w sprawie kościoła Świętego Marka.

- Bo wszyscy wiedzieli, że sobie nie poradzi.

- Proszę! - odezwał się Godwyn, unosząc ręce, jakby się bronił. - Należycie do mojej rodziny, ale ja jestem przeorem. Stoimy przed katedrą, nie pozwolę, by kobiety krzyczały mi nad głową w publicznym miejscu.

- To samo chciałem powiedzieć - wtrącił się Edmund. - Uciszcie się.

- Powinieneś stać po stronie swojego zięcia - rzuciła oskarżycielsko Alice. Caris pomyślała, że siostra coraz bardziej upodabnia się do Petranilli. Miała dopiero dwadzieścia jeden lat i Petranilla była od niej dwa razy starsza, a mimo to jej usta ściągały się w taki sam sposób, wyrażając niechęć. Poza tym robiła się coraz tęższa, jej biust wydymał przód sukienki jak wiatr żagiel. Edmund popatrzył surowo na córkę.

- Ta decyzja nie zostanie podjęta pod kątem powiązań rodzinnych. To, że Elfric jest mężem mojej córki, nie sprawi, że most będzie taki jak należy.

Caris wiedziała, że ojciec jest w tej kwestii bardzo stanowczy. Uważał, że trzeba robić interesy z najrzetelniejszymi dostawcami i zatrudniać najsolidniejszego pracownika, nie bacząc na więzy przyjaźni czy pokrewieństwa. „Ten, kto musi otaczać się pochlebcami, nie wierzy w siebie - mawiał. - A jeśli on w siebie nie wierzy, dlaczego ja miałbym wierzyć w niego?”.

- Jak wobec tego ta decyzja zostanie podjęta? - spytała Petranilla, spoglądając przebiegle na brata. - Najwyraźniej masz jakiś plan.

- Klasztor i cech weźmie pod uwagę oba projekty, Elfrica i Merthina... Oraz wszystkie inne, które zostaną przedstawione - rzekł zdecydowanym głosem Edmund. - Wszystkie projekty muszą być narysowane, należy też przedstawić kosztorys. Inni budowniczowie muszą w sposób niezależny te kosztorysy ocenić.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam - mruknęła Alice. - To jest jak zawody strzeleckie. Elfric pracuje dla klasztoru i on powinien dostać zlecenie.

- Na koniec czołowi mieszkańcy miasta będą mogli zadawać pytania projektantom w czasie spotkania w siedzibie gildii - ciągnął Edmund, nie zwracając uwagi na córkę. Spojrzał na Godwyna, który udawał, że nie jest zaskoczony tym, iż pozbawiono go prawa decydowania. - A potem przeor Godwyn dokona wyboru.

Spotkanie odbyło się w siedzibie cechu przy głównej ulicy miasta. Budynek składał się z kamiennego podpiwniczenia i drewnianej nadbudowy z dachem krytym gontem i z dwoma kamiennymi kominami. W piwnicy znajdowała się duża kuchnia, w której przygotowywano posiłki na przyjęcia, a także areszt i siedziba porządkowego. Główne pomieszczenie było tak duże jak wnętrze kościoła, miało sto stóp długości i trzydzieści stóp szerokości. W jednym końcu umieszczono kaplicę. Ze względu na szerokość sali oraz na to, iż belki tej długości były bardzo drogie, salę podzielono szeregiem drewnianych słupów podtrzymujących belki stropowe.

Budynek był prosty, wykonany z materiałów używanych w najskromniejszych domostwach. Jednak, jak często mawiał Edmund, dzięki pieniądzom zarobionym tutaj katedra mogła olśniewać płytami z piaskowca i witrażami w oknach. Siedziba gildii, mimo iż skromna na swój sposób, była wygodna. Na ścianach wisiały gobeliny, okna były szklone, a dzięki dwóm ogromnym kominkom zimą było ciepło. Kiedy interesy szły dobrze, podawano potrawy godne królewskiego stołu.

Gildię parafialną stworzono przed setkami lat, gdy Kingsbridge było małym miasteczkiem. Kilku kupców skrzyknęło się, by zebrać pieniądze na ozdoby do katedry. Jednak kiedy ludzie zamożni spotykają się przy jadle i napitku, nieuchronnie rozmowa schodzi na wspólne sprawy, a gromadzenie funduszy ustępuje miejsca politykowaniu. Od samego początku w gildii dominowali kupcy handlujący wełną, właśnie dlatego w jednym końcu sali stała ogromna waga i standardowy ciężar równy workowi

welny: trzysta sześćdziesiąt cztery funty. W miarę jak miasto się rozrastało, tworzono inne cechy rzemieślnicze - cieśli, murarzy, piwowarów, kowali - jednak ich czołowi członkowie należeli również do gildii parafialnej, która zachowała prymat. Była słabszą odmianą gildii kupieckiej, rządzącej większością angielskich miast, lecz tu nie mogła powstać, gdyż sprzeciwiał się temu właściciel Kingsbridge, czyli przeor klasztoru.

Merthin nigdy nie uczestniczył w spotkaniu czy przyjęciu w siedzibie gildii, ale kilka razy był w środku, załatwiając jakieś sprawy. Lubił zadzierać głowę i oglądać złożony układ geometryczny belek w dachu; to był przykład, że ciężar szerokiego dachu może się oprzeć na kilku wysmukłych drewnianych filarach. Rozmieszczenie większości elementów wydawało się celowe, lecz było kilka, które robiły wrażenie nadmiaru. Myślał nawet, że nie powinno ich być, gdyż przenoszą obciążenie na słabsze miejsca. Działo się tak dlatego, że nikt w gruncie rzeczy nie wiedział, co sprawia, że budynki stoją. Budowniczości kierowali się intuicją i doświadczeniem, i czasem popełniali błędy.

Tego wieczoru Merthin był zbyt podekscytowany i zdenerwowany, by podziwiać robotę dawnych budowniczych. Gildia miała ocenić jego projekt. Czy jej członkowie zrozumieją, że jest znacznie lepszy od projektu Elfrica?

Elfric korzystał z posadzki kreślarskiej. Merthin mógł poprosić Godwyna o pozwolenie na to, ale obawiał się następnego sabotażu ze strony Elfrica, znalazł więc inne wyjście. Rozciągnął duży arkusz pergaminu na drewnianej ramie, a później narysował na nim swój projekt piórem i atramentem. Dzisiaj mogło to zadziałać na jego korzyść, gdyż przyniósł go ze sobą do siedziby gildii. Jej członkowie zobaczą rysunek na własne oczy, a projekt Elfrica będą tylko pamiętali.

Postawił ramę niedaleko wejścia na trójnogu, który wymyślił do tego celu.

Wszyscy podchodzili do niego, żeby spojrzeć, choć widzieli projekt co najmniej raz w ciągu ostatnich kilku dni. Weszli również do pracowni murarskiej, żeby obejrzeć rysunki Elfrica. Merthin uważał, że większości bardziej przypadł do gustu jego projekt, lecz niektórzy bali się poprzeć młodzika zamiast doświadczonego mistrza. Wielu zachowywało milczenie.

W sali zaczynało się robić głośno, w miarę jak się zapełniała. Większość przybyłych stanowili mężczyźni, choć znalazło się też kilka kobiet. Wszyscy byli ubrani jak do kościoła: mimo iż było lato, mężczyźni mieli na sobie drogie wełniane płaszcze, a kobiety ozdobne nakrycia głowy. I choć mężczyźni mówili między sobą, że kobiety są nierzetelne i pod wieloma względami gorsze od nich, wśród najzamożniejszych i naj znacniej szych obywateli miasta były także kobiety. Matka Cecilia siedziała w pierwszym rzędzie ze swoją pomocnicą, zakonnicą, którą nazywano Starą Julię. Caris także się tam znalazła, gdyż wszyscy uznawali ją za prawą rękę Edmunda. Merthin podniecił się, gdy usiadła obok i poczuł jej ciepłe udo obok swojego. Każdy, kto prowadził handel w mieście, musiał

należać do cechu, inni mogli robić interesy tylko w dni targowe. Nawet mnisi i księża musieli wstąpić do związku, jeśli chcieli handlować, i często to robili. Po śmierci męża wdowa nierzadko przejmowała jego interesy. Berty Baxter była najbogatszym piekarzem w mieście, a Sarah Taverner prowadziła gospodę Holly Bush. Byłoby to trudne i okrutne zabraniać takim kobietom zarabiać na życie.

O wiele łatwiej było dopuścić je do cechu.

Zebrania zwykle prowadził Edmund, który zasiadał na dużym tronie stojącym na podeście. Dzisiaj jednak stały tam dwa krzesła. Edmund zajął jedno, a gdy przybył Godwyn, zaprosił go, by usiadł na drugim. Towarzyszili mu wszyscy starsi mnisi. Merthin ucieszył się, widząc wśród nich Thomasa. W orszaku przeora znalazł się także szczupły niezgrabny Philemon. Merthin nie wiedział, po co Godwyn go ze sobą zabrał.

Przeor wyglądał jak człowiek cierpiący. Otwierając posiedzenie, Edmund zaznaczył, że to właśnie Godwyn zarządza mostem i że to on dokonuje ostatecznego wyboru. Wszyscy wiedzieli jednak, że zwołując zebranie, Edmund pozbawił Godwyna możliwości decydowania. Jeśli coś zostanie uzgodnione, Godwynowi bardzo trudno będzie sprzeciwić się woli kupców w kwestii dotyczącej handlu, a nie religii. Edmund poprosił przeora o modlitwę

1 ten się zgodził. Wiedział, że został wymanewrowany, i właśnie dlatego robił kwaśną minę.

Edmund wstał.

- Te dwa projekty zostały oszacowane przez Elfrica i Merthina, którzy zastosowali te same metody liczenia.

- Pewnie, że tak - odezwał się Elfric. - Merthin nauczył się ich ode mnie. Zawtórował mu śmiech starszych członków cechu.

Była to prawda. Istniała formuła obliczania kosztu stopy kwadratowej muru, jarda sześciennego objętości, stopy dachu oraz znacznie bardziej skomplikowane rachunki odnoszące się do łuków i stropów. Wszyscy budowniczowie korzystali z tych samych metod, choć z pewnymi różnicami. Sporządzenie kosztorysu budowy mostu stanowiło złożone zadanie, lecz łatwiejsze niż w przypadku kościoła.

- Elfric i Merthin sprawdzili nawzajem swoje obliczenia, nie ma więc sporu - ciągnął Edmund.

- Tak, wszyscy budowniczowie zdzierają tak samo! - zawołał Edward Butcher.

Odpowiedziała mu salwa śmiechu. Mężczyźni lubili Edwarda za jego poczucie humoru, a kobiety za urodę i uwodzicielskie brązowe oczy. Żona nie podzielała tej sympatii, bo wiedziała o jego zdradach. Ostatnio rzuciła się na niego z ciężkim tasakiem i Edward wciąż chodził z bandażem na lewej ręce.

- Most zaprojektowany przez Elfrica będzie kosztował dwieście osiemdziesiąt pięć funtów -

oznajmił Edmund, gdy śmiech ucichł. - Koszt mostu Merthina to trzysta siedem funtów. Różnica wynosi dwadzieścia dwa funty, co obliczyliście pewnie szybciej ode mnie.

Tu i ówdzie odezwał się śmiech; często żartowano z Edmunda, że córka musi za niego rachować. Kupiec wciąż posługiwał się liczbami łacińskimi, gdyż nie mógł przywyknąć do cyfr arabskich, które czyniły obliczenia o wiele łatwiejszymi.

- Dwadzieścia dwa funty to dużo pieniędzy - zauważył ktoś z sali.

Był to Bill Watkin, budowniczy, który nie chciał zatrudnić Merthina. Był łysy i wyglądał jak mnich.

- Tak, ale most Merthina jest dwa razy szerszy - zauważył Dick Brewer. - Powinien kosztować dwa razy tyle, a nie kosztuje, bo jest mądrzej pomyślany.

Dick był dumny z warzonego przez siebie piwa i w związku z tym brzuch miał okrągły jak kobieta w ciąży.

- Przez ile dni w roku jest nam potrzebny most szeroki na dwie furmanki? - zapytał Bill.

- W każdy dzień targowy i we wszystkie dni tygodnia targów wełny.

- Wcale nie - zaproponował Bill. - Tylko przez godzinę rano i drugą po południu.

- A ja musiałem czekać dwie godziny z wozem pełnym owsa.

- Trzeba było ruszyć głową i przywieźć owies w spokojniejszy dzień.

- Przywożę go codziennie.

Dick był największym piwowarem w hrabstwie. Miał olbrzymi miedziany kocioł, mieszczący pięćset galonów, dlatego jego karcznię nazywano Kociołkiem. Edmund postanowił wtrącić się do dyskusji.

- Opóźnienia na moście pociągają za sobą inne problemy. Niektórzy kupcy jeżdżą do Shiring, bo tam nie ma ani mostu, ani kolejek. Inni dobijają targu, czekając w kolejce, a potem wracają do domów, wcale nie wjeżdżając do miasta. W ten sposób oszczędzają na mycie i opłatach targowych. Omijają przepisy, ale nie udało nam się temu przeciwdziałać. Jest jeszcze kwestia tego, co ludzie sądzą o Kingsbridge. Teraz jesteśmy miastem, w którym zawalił się most. Jeśli chcemy przyciągnąć z powrotem handel, musimy to zmienić. Chciałbym, żebyśmy zasłynęli jako miasto z najlepszym mostem w całej Anglii.

Edmund miał ogromny wpływ na gildię. Merthin poczuł zapach zwycięstwa. Betty Baxter, czterdziestokilkuletnia kobieta obdarzona potężną tuszą, wstała i wskazała coś na rysunku Merthina.

- Co jest tutaj, na środku barierki nad filarem? Jakiś zastrzony kształt, podobny do platformy widokowej. Miejsce dla wędkarzy?

Niektórzy parsknęli śmiechem.

- To schronienie dla pieszych - odparł Merthin. - Jeśli ktoś idzie przez most i nagle przejeżdża hrabia Shiring z dwudziestoma konnymi, może usunąć im się z drogi.

- Oby to schronienie pomieściło Betty - rzucił Edward Butcher. Teraz wszyscy się roześmiali, lecz kobieta miała więcej pytań.

- Dlaczego filar jest taki spiczasty aż do samego dołu? U Elfrica czegoś takiego nie ma.

- Ma za zadanie spychać na boki to, co niesie woda. Jeśli spojrzysz na dowolny most na rzece, zobaczysz, że filary są popękane i nadwyrężone. Skąd się biorą uszkodzenia? Powodują je duże kawałki drewna... pnie, belki z rozebranych budynków, które spływają z prądem i wpadają na filary.

- Albo łan Boatman, kiedy sobie podchmieli - rzucił Edward.

- Łodzie czy drewniane belki, nie ma wielkiej różnicy, jedne i drugie niszczą filary mostów. Te, które zaprojektował Elfric, będą narażone na uderzenia z pełną siłą.

- Mury moich filarów będą za mocne, żeby je rozwały kawałki drewna.

- Wprost przeciwnie - odparł Merthin. - U ciebie łuki są węższe niż w moim projekcie, więc woda będzie szybciej między nimi przepływać, a to, co będzie ze sobą niosła, uderzy z większą siłą i spowoduje większe zniszczenia.

Twarz Elfrica zdradzała, że nie przyszło mu to do głowy. Jednak członkowie gildii nie byli budowniczymi - czy potrafią ocenić, kto ma rację?

U podstawy każdego filara Merthin narysował stos kamieni, przez budowniczych zwany narzutem. Miał on zapobiec temu, by prąd podmył filar tak, jak to zrobił z filarami starego drewnianego mostu. Nikt jednak nie zapytał o niego Merthina, więc o nim nie wspominał.

Betty nie zakończyła jeszcze indagacji.

- Dlaczego twój most jest taki długi? Most Elfrica zaczyna się tam, gdzie kończy się woda, a twój kilkanaście jardów dalej. Czy nie jest to zbędny wydatek?

- Mój most ma rampy po obu stronach - odparł Merthin. - Dzięki temu z mostu schodzi się na suchą ziemię, a nie w błoto. Furmanki nie będą już grzęznąć w błocie, tarasując drogę na całe godziny.

- Taniej byłoby położyć tam brukowaną drogę - stwierdził Elfric. Jego głos zdradzał desperację. Bill Watkin wstał.

- Nie wiem już, który z nich ma rację. Kiedy ci dwaj się kłócą, trudno jest się zdecydować. A ja jestem budowniczym. Tym, którzy się na tym nie znają, musi być jeszcze ciężiej.

Rozległ się szmer aprobaty.

- Powinniśmy przyjrzeć się budowniczym, a nie ich projektom.

Merthin tego się obawiał. Słuchał przemowy Billa z rosnącym lękiem.

- Którego lepiej znacie? Na kim możecie polegać? Elfric jest budowniczym w tym mieście od dwudziestu lat. Można zobaczyć budynki, które zbudował i które wciąż stoją. Widać naprawy, jakich dokonał w katedrze. A z drugiej strony stoi Merthin, chłopak niegłupi, ale trochę narwany. Nawet nie skończył terminu. Niewiele wskazuje na to, że może wziąć na siebie odpowiedzialność za największą budowę w Kingsbridge od czasu wzniesienia katedry. Ja wiem, komu można zaufać.

Bill wstał.

Spośród mężczyzn dobiegły głosy poparcia. Nie chcieli oceniać projektów, woleli rozstrzygać między konkurentami. To było bardzo niesprawiedliwe. Wtedy przemówił brat Thomas.

- Czy ktoś w Kingsbridge uczestniczył w pracach budowlanych poniżej poziomu wody?

Merthin wiedział, że odpowiedź brzmi „nie”. Zaświtała mu nadzieja. To mogło go uratować.

- Chciałbym wiedzieć, jak budowniczowie chcą rozwiązać ten problem - dodał Thomas.

Merthin miał gotowe rozwiązanie, ale bał się, że jeżeli przedstawi je pierwszy, Elfric po prostu to za nim powtórzy. Zaciśnął usta, mając nadzieję, że Thomas, który zwykle stawał po jego stronie, i tym razem mu pomoże.

Thomas zauważył spojrzenie Merthina.

- Elfricu, jak zamierzasz się z tym uporać?.

- Odpowiedź jest bardzo prosta. Wystarczy nawrzucać do rzeki kamieni w miejscu, w którym stanie filar. Osiądną na dnie. Wrzuca się dalej, dopóki stos nie zacznie wystawać nad powierzchnię. Wtedy buduje się filar na tym fundamencie.

Zgodnie z oczekiwaniami Merthina Elfric przedstawił najbardziej prymitywne rozwiązanie.

- W sposobie zaproponowanym przez Elfrica kryją się dwie pułapki - zaczął Merthin.
- Pierwsza polega na tym, że stos kamieni pod wodą nie jest bardziej stabilny niż na lądzie. Z czasem przesuwa się i osiada, a most obniża się wraz z nim. Jeśli most ma stać pięć lat, w porządku. Ale ja uważam, że most powinien przetrwać dłużej.

Rozległ się szmer aprobaty.

- Drugim problemem jest kształt stosu. Będzie on w sposób naturalny rozszerzał się pod powierzchnią wody, ograniczając przestrzeń dla ruchu łodzi, zwłaszcza gdy poziom jest niski. A łuki zaprojektowane przez Elfrica i tak są wąskie.

- A ty co byś zrobił? - spytał poirytowany Elfric.

Merthin powstrzymał się od uśmiechu. Właśnie to chciał usłyszeć: przyznanie się Elfrica, że nie zna lepszej odpowiedzi.

- Zaraz ci powiem - odparł.

I przy okazji pokażę wszystkim, że wiem więcej od idioty, który porąbał na kawałki wyrzeźbione przeze mnie drzwi. Rozejrzył się. Wszyscy słuchali. Ich decyzja zależała od tego, co teraz powie. Merthin zaczerpnął tchu.

- Najpierw wbiję zaostrzony pal w dno rzeki, a tuż obok niego drugi, tak aby przylegał do pierwszego, i tak dalej. W ten sposób stworzę krąg pali w miejscu, w którym zbuduję filar.

- Krąg pali? - spytał drwiąco Elfric. - Woda i tak dostanie się do środka.

- Daj mu się wypowiedzieć - rzekł Thomas, który zadał pytanie. - On ciebie wysłuchał.

- Następnie zbuduję drugi krąg wewnątrz pierwszego z prześwitem na około pół stopy.

Merthin wyczuł, że wszyscy słuchają go z największą uwagą.

- Konstrukcja i tak nie będzie szczelna - wtrącił Elfric.

- Zamilcz, Elfricu - odezwał się Edmund. - To jest ciekawe.

- Później wleję cement do przerwy między kręgami pali - ciągnął Merthin. - Mieszanka wyprze wodę, bo jest cięższa. Zatkanie też szczeliny pomiędzy palami, uszczelniając krąg. To się nazywa grodzą.

W sali panowała cisza.

- Na koniec usunę wiadrami wodę ze środka, odsłaniając dno rzeki, i położę tam kamienny fundament.

Elfric osłupiał. Edmund i Godwyn spoglądali na Merthina.

- Dziękuję obu budowniczym - powiedział Thomas. - Moim zdaniem po tym, co usłyszeliśmy, wybór jest prosty.

- Ja też tak uważam - rzekł Edmund.

Caris dziwiła się, że Godwyn chciał, by Elfric zaprojektował most. Rozumiała, iż wybranie Elfrica jest bezpieczniejsze, ale Godwyn był reformatorem, a nie konserwatystą. Spodziewała się, że okaże entuzjizm dla śmiałego i przemyślnego projektu Merthina. On tymczasem bojaźliwie wspierał pomysły Elfrica.

Na szczęście Edmund zdołał przechytrzyć Elfrica i dzięki temu Kingsbridge będzie miało solidny i piękny most, na którym będą mogły się minąć dwie furmanki. Jednak to, że Godwyn przedkładał pozbawionego wyobraźni lizusa nad odważnego i utalentowanego budowniczego, źle wróżyło na przyszłość.

A Godwyn nigdy nie umiał przegrywać. Petranilla nauczyła go kiedyś grać w szachy, pozwalając mu dla zachęty wygrywać. Godwyn wyzwał kiedyś na pojedynek wuja Edmunda, ale po dwóch porażkach nie chciał więcej grać. Caris widziała, że po spotkaniu w siedzibie gildii miał taką

samą minę. Nie chodziło o to, że był przywiązany do projektu Elfrica. Było mu bardzo nie w smak, że ktoś pozbawił go możliwości podjęcia decyzji. Nazajutrz, idąc z ojcem do domu przeora, spodziewała się kłopotów.

Godwyn przyjął ich chłodno i nie zaproponował niczego do jedzenia. Edmund jak zawsze udawał, że nie dostrzega afrontu.

- Chcę, żeby Merthin natychmiast zaczął pracę nad mostem - rzekł, siadając przy stole. - Zebrałem zobowiązania wpłat na całą sumę wyceny mostu...

- Od kogo? - wpadł mu w słowo Godwyn.

- Od najbogatszych kupców w mieście. Godwyn wciąż przyglądał mu się badawczo. Edmund wzruszył ramionami.

- Pięćdziesiąt funtów od Berty Baxter, osiemdziesiąt od Dicka Brewera, siedemdziesiąt ode mnie i dziesięć od jedenastu innych.

- Nie wiedziałem, że nasi obywatele są tak bogaci - rzekł Godwyn głosem, w którym zabrzmiało zdumienie i zazdrość. - Bóg był dla nich łaskawy.

- Łaskawy, bo nagroził ich za życie wypełnione ciężką pracą i troską - zaznaczył Edmund.

- Bez wątpienia.

- I właśnie dlatego muszę ich zapewnić, że otrzymają zwrot swoich nakładów. Kiedy most zostanie zbudowany, myto trafi do gildii parafialnej, a ta będzie spłacała pożyczki. Kto będzie zbierał myto na moście? Uważam, że powinien to być człowiek wynajęty przez gildię.

- Nie zgodziłem się na to - oznajmił Godwyn.

- Wiem, dlatego teraz podnoszę tę kwestię.

- Nie zgodziłem się, żeby myto trafiało do gildii.

- Co takiego?

Caris patrzyła zdumiona na Godwyna. Przecież rozmawiali o tym i Godwyn zapewnił, że Thomas... „,

- Ależ tak - powiedziała. - Obiecałeś, że Thomas zbuduje most, jeśli zostanie wybrany na przeora. Kiedy Thomas się wycofał, a ty zostałeś kandydatem, zakładaliśmy...

- Zakładaliście - wtrącił z triumfalnym uśmieszkiem Godwyn. Edmund nie posiadał się z oburzenia.

- To nie jest uczciwe, Godwynie! - rzekł zdławionym głosem. - Wiedziałaś, na co się godzimy!

- Niczego nie wiedziałem, a ty powinieneś mnie nazywać ojcem przeorem.

- A więc jesteśmy w tym samym miejscu, w którym byliśmy z przeorem Anthonym trzy

miesiące temu - ciągnął Edmund podniesionym głosem. - Tylko że teraz, zamiast nędznego mostu, nie mamy żadnego. Nie wyobrażaj sobie, że nie poniesiesz żadnych kosztów budowy. Obywatele mogą pożyczyć opactwu oszczędności swojego życia, jeśli zabezpieczeniem będzie myto z mostu. Ale nie oddadzą ci swoich pieniędzy za darmo... ojczyźnie przeorze.

- W takim razie muszą się obyć bez mostu. Dopiero zostałem przeorem, jak mogę zacząć od wyzbycia się prawa, które od wieków przysługuje mojemu opactwu?

- Tylko na jakiś czas! - wybuchnął Edmund. - A jeśli tego nie zrobisz, nikt nie uzyska pieniędzy z myta, bo nie będzie żadnego przeklętego mostu!

Caris była zła, lecz przygryzła język, próbując dociec, do czego Godwyn dąży. Mścił się za wczorajsze wydarzenia w siedzibie gildii, ale czy to wszystko?

- Czego chcesz? - zapytała.

Edmund zdziwił się, lecz nic nie powiedział. Zabrał ze sobą Caris, bo córka często dostrzegała to, co jemu umykało, i zadawała pytania, które nie przychodziły mu do głowy.

- Nie rozumiem - odparł Godwyn.

- Zaskoczyłeś nas. Zgoda, nasze założenia były bezpodstawne, przyznajemy to. Ale do czego dążysz? Chodzi ci wyłącznie o to, żebyśmy uświadomili sobie swoją głupotę?

- To wy poprosiliście o to spotkanie, nie ja.

-

tak do wuja i kuzynki? - uniósł się Edmund.

-

odezwała się Caris. - Godwyn coś ukrywa, ale nie chce przyznać. Dobrze, będę zgadywała. Daj mi chwilę na zastanowienie.

Jak można mówić

Chwileczkę, tato -
się do tego

Godwyn nie zmienił zdania, chce nowego mostu. Inaczej wszystko to nie miałooby sensu. Słowa o wyzbywaniu się praw opactwa były czystą retoryką, napuszoną mową, której uczy się studentów w Oksfordzie na projekt Elfrica? Wątpliwe. Nie spodobało mu się, że Edmund za jego plecami przemówił do rozumu mieszkańcom miasta, ale na pewno wie, że Merthin proponuje dwa razy większy most za tę samą sumę. O co więc chodzi?

Może chce po prostu uzyskać lepsze warunki.

Zapewne przyjrzał się finansom opactwa. Przez lata z wygodnej pozycji krytykował nieudolność Anthony'ego, lecz teraz sam stanął twarzą w twarz z rzeczywistością. Może nie było tak łatwo, jak sobie wyobrażał. Może nie jest tak dobry w zarządzaniu i gospodarowaniu pieniędzmi, jak mu się wydawało. Wpadł w desperację, bo chce i mostu, i wpływów z myta. Jak zamierza to osiągnąć?

- Co możemy ci zaproponować, żebyś zmienił zdanie? - spytała Caris.

- Zbudujcie most, ale nie pobierajcie myta - odparł bez wahania Godwyn. A więc o to chodzi.

Zawsze byłeś podstępny, pomyślała.

Nagle ją olśniło.

- Jakie pieniądze wchodzi w grę?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - odparł podejrzliwie Godwyn.

- Można to obliczyć - rzekł Edmund. - Nie licząc mieszkańców, którzy nie płacą myta, w dzień targowy przez most przechodzi około stu ludzi, a za furmanki płaci się po dwa pensy. Teraz, kiedy mamy tylko prom, kwoty te są o wiele mniejsze.

- Powiedzmy sto dwadzieścia pensów tygodniowo, inaczej dziesięć szylingów, co daje dwadzieścia sześć funtów rocznie.

- A w czasie targów wełny pierwszego dnia przybywa około tysiąca ludzi, w następne dni po dwustu - dodał Edmund.

- Dwa tysiące dwustu plus wozy, powiedzmy dwa tysiące czterysta pensów, czyli dziesięć funtów. W sumie trzydzieści sześć funtów rocznie. - Caris spojrzała na Godwyna. - Zgadza się?

- Tak - przyznał niechętnie.

- Chcesz więc dostawać od nas trzydzieści sześć funtów rocznie.

- Tak.

- To niemożliwe! - stwierdził Edmund.

- Zastanówmy się - powiedziała Caris. - Przypuśćmy, że opactwo dałoby gildii most w dzierżawę... Plus akr ziemi po obu stronach i wyspę na środku. Za trzydzieści sześć funtów rocznie, bezterminowo.

Caris wiedziała, że kiedy most powstanie, grunty będą bezcenne.

- Czy to zaspokoi twoje oczekiwania, ojczyźnie?

- Tak.

Godwyn najwyraźniej uważał, że dostanie trzydzieści sześć funtów rocznie za coś, co jest nic niewarte. Nie miał pojęcia, jaki czynsz można pobierać za działkę położoną przy moście. Najgorszy negocjator na świecie to taki, który uważa się za sprytnego, pomyślała Caris.

- Ale jak gildii zwrócą się koszty budowy? - spytał Edmund.

- Dzięki projektowi Merthina liczba ludzi i wozów przekraczających most powinna wzrosnąć. Teoretycznie nawet podwójnie. Wszystko, co zarobimy ponad trzydzieści sześć funtów, należy do gildii. Potem można wznieść po obu stronach budynki obsługujące podróżnych: karczmy, stajnie, jadalnie. Powinny przynieść dobry dochód z czynszów.

- Sam nie wiem - mruknął Edmund. - To ryzykowne.

Przez chwilę Caris była zła na ojca. Przedstawiła doskonałe rozwiązanie, a on niepotrzebnie wynajduje przeszkody. Nagle zrozumiała, że udaje. Widziała w jego oczach błysk entuzjazmu, którego nie potrafił ukryć. Pomysł przypadł mu do gustu, ale nie chciał okazać Godwynowi, jak bardzo się zapalił. Ukrywał emocje, bojąc się, że przeor będzie próbował wynegocjować lepsze warunki. Edmund i Caris stosowali już wcześniej ten wybieg, targując się o cenę wełny.

Rozszyfrowawszy ojca, Caris dostosowała się, udając, że też ma wątpliwości.

- Wiem, że to ryzykowne - westchnęła ponuro. - Możemy wszystko stracić. Ale jakie mamy inne wyjście? Zostaliśmy przyparci do muru. Jeśli nie zbudujemy mostu, znajdziemy się za burtą.

Edmund pokręcił głową.

- Mimo to nie mogę się na to zgodzić w imieniu rady. Będę musiał pomówić z tymi, którzy dają pieniądze. Nie mogę im obiecać, iż odzyskają je w całości. - Spojrzał Godwynowi prosto w oczy. - Ale zrobię, co mogę, jeśli taka jest twoja oferta.

Godwyn jak dotąd nie złożył żadnej oferty, zauważyła Caris, ale o tym zapomniał.

- Taka właśnie jest - rzekł zdecydowanie przeor. Mamy cię, pomyślała triumfalnie Caris.

- Jesteś bardzo sprytna - pochwalił Merthin.

Leżał między nogami Caris z głową opartą na jej udzie i bawił się jej włosami łonowymi. Przed chwilą kochali się po raz drugi, i sprawiło mu to jeszcze większą radość niż za pierwszym razem. Kiedy leżeli leniwie, rozkoszując się słodką bliskością, Caris opowiedziała mu o negocjacjach z Godwynem. Zaimponowała Merthinowi.

- On uważa, że wytargował od nas, ile mógł, i to jest najlepsze. A przecież wieczysta dzierżawa mostu i otaczającej go ziemi są bezcenne.

- Mimo to strach pomyśleć, że Godwyn nie jest lepszy w zarządzaniu funduszami opactwa niż twój wujek Anthony.

Leżeli w lesie, na polanie otoczonej krzakami i ocienionej wysokimi bukami. Płynął tam po kamieniach strumień tworzący sadzawkę. Kochankowie przychodzili tu pewnie od stuleci - rozbierali się do naga i kąpali w sadzawce, a potem kochali się na trawiastym brzegu. Wędrowcy podążający lasem na pewno omijali gąszcz, więc kochankom nie groziło odkrycie, chyba że przez dzieci zbierające jeżyny. Caris właśnie w ten sposób odkryła polanę i opowiedziała o tym Merthinowi.

- Dlaczego chciałaś także wyspę? - zapytał leniwie Merthin.

- Sama nie wiem. Nie jest tak cenna jak ziemia przy krańcach mostu i nie nadaje się do uprawy roli, ale mimo to można coś na niej zrobić. Szczerze mówiąc, byłam pewna, że Godwyn się

sprzeciwi, więc dorzuciłam wyspę.

- Czy kiedyś przejmiesz handel po ojcu?

- Nie.

- Skąd masz taką pewność?

- Królowi zbyt łatwo jest nakładać podatki na kupców handlujących wełną. Niedawno narzucił jeszcze funta od worka, oprócz istniejącego podatku w wysokości dwóch trzecich funta. Cena wełny tak wzrosła, że Włosi szukają jej w innych krajach, na przykład w Hiszpanii. Interesy za bardzo zależą od łaski monarchy.

- Ale można z tego żyć. Co innego mogłabyś robić?

Merthin kierował rozmowę na kwestię ożenku, temat, którego Caris nigdy nie poruszała.

- Nie wiem - odparła z uśmiechem. - Gdy miałam dziesięć lat, chciałam być medykiem. Wydawało mi się, że gdybym znała się na medycynie, uratowałabym mamie życie. Wszyscy mnie wyśmiali. Nie wiedziałam, że tylko mężczyźni mogą być medykami.

- Mogłabyś być zielarką, tak jak Mattie.

- Rodzina byłaby w szoku. Wyobraź sobie, co by powiedziała Perranilla! Matka Cecilia uważa, że moim przeznaczeniem jest zostać zakonnica.

Merthin parsknął śmiechem.

- Powinna cię teraz zobaczyć! - Pocałował ją w wewnętrzną część uda. - Pewnie chciałaby robić to, co ty teraz. Wiesz, co ludzie mówią o zakonnicach. Czemu ona uważa, że chcesz wstąpić do klasztoru?

- Zaczęła tak myśleć po katastrofie mostu. Pomagałam jej zajmować się rannymi. Powiedziała, że mam naturalny dar.

- Bo masz. Nawet ja to widziałem.

- Robiłam jedynie to, co kazała mi Cecilia.

- Ludzie czuli się lepiej, gdy tylko się do nich odezwałaś. I zawsze słuchałaś tego, co mieli do powiedzenia.

Caris pogłaskała go po policzku.

- Nie mogę zostać zakonnica. Za bardzo cię lubię. Jej włosy łonowe miały rudobrazowy kolor.

- Masz tutaj małe znamię. Po lewej stronie, obok szparki.

- Wiem. Jest tam, odkąd byłam mała. Kiedyś myślałam, że jest brzydkie. Ucieszyłam się, kiedy wyrosły włosy, bo pomyślałam, że mąż go nie zobaczy. Nie wyobrażałam sobie, że ktoś będzie się przyglądał z tak bliska.

- Wędrowni mnich Murdo nazwałby cię czarownicą. Lepiej mu nie pokazuj.
- Przenigdy, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na świecie.
- Ta skaza chroni cię przed bluźnierstwem.
- O czym ty mówisz?
- W świecie arabskim każde dzieło sztuki ma małą skazę, żeby nie mogło w sposób świętokradczy naśladować boskiej doskonałości.
- Skąd o tym wiesz?
- Od jednego Florentyńczyka. Słuchaj, myślisz, że gildia parafialna będzie chciała tej wysepki na rzece?
- Dlaczego pytasz?
- Bo chciałbym ją dla siebie.
- Cztery akry kamieni i setki królików. Po co ci to?
- Zbudowałbym tam przystań i warsztat. Kamienie i drewno transportowane rzeką docierałyby prosto do mojej przystani. Kiedy most będzie gotowy, postawiłbym na wyspie dom.
- Dobry pomysł. Ale gildia nie odda ci wysepki za darmo.
- A gdybym wziął ją jako część zapłaty za most? Powiedzmy, że przez dwa lata brałbym połowę zarobku.
- Bierzesz cztery pensy dziennie... Więc wyspa kosztowałaby nieco ponad pięć funtów. Myślę, że gildia chętnie sprzedałaby ugór za taką sumę.
- Uważasz, że to dobry pomysł?
- Wydaje mi się, że po zbudowaniu mostu mógłbyś tam postawić domy i je wynajmować. Ludzie mieliby do niej łatwy dostęp.
- Tak - rzekł w zamyśleniu Merthin. - Chyba pomówię o tym z twoim ojcem.

26

Wszyscy w orszaku hrabiego Rolanda wracali z polowania w dobrych nastrojach. Ralph także był zadowolony.

Rycerze i giermkowie otoczeni przez psy przekraczali zwodzony most zamku Earlscastle niczym armia najeźdźców. Padał lekki deszcz, który przyjemnie chłodził rozgrzanych i zmęczonych mężczyzn i zwierzęta. Wieźli kilka tłustych o tej porze roku łań o smacznym mięsie oraz dużego starego jelenia, którego twarde mięso nadawało się tylko dla psów. Zabili go dla wspaniałego poroża.

Zsiedli z koni na zewnętrznym dziedzińcu, w niższej części otoczonej fosą w kształcie ósemki. Ralph rozsiadł Gryfa, powiedział mu do ucha kilka słów podziękowań, dał marchewkę, a potem przekazał wierzchowca stajennemu. Kuchcikowie wlekli zakrwawione ciała ubitych łań. Myśliwi

rozmawiali o tym, co się zdarzyło na polowaniu, przechwalając się, śmiejąc i żartując. Wspominali wspaniałe skoki i niebezpieczne upadki. Nozdrza Ralpa wypełniał ukochany zapach, na który składała się mieszanina końskiego potu, mokrej psiej sierści, wyprawionej skóry i krwi.

Giermek znalazł się obok lorda Williama z Caster, starszego syna hrabiego.

- Doskonała rozrywka - rzekł.

- Pierwszorzędna - zgodził się William. Ściągnął czapkę i podrapał się po łysiejącej głowie. -

Ale szkoda, że straciłem starego Bruna.

Bruno, przewodnik stada psów, rzucił się na ofiarę odrobinę za wcześnie. Jeleń, zmęczony ucieczką i zakrwawiony, odwrócił się do ogarów, a Bruno rzucił mu się do gardła, jednak w ostatnim geście obrony zwierz pochylał głowę na umięśnionej szyi i machnął nią, nadziejąc ogara na rogi. Jeleń zużył na to resztkę sił i po chwili psy zaczęły go rozszarpywać; jednak wnętrzości Bruna wisiały na rogach niczym splątana lina. William musiał go dobić, przecinając mu szyję sztyletem.

- To był odważny pies - rzekł Ralph, kładąc dłoń na ramieniu Williama.

- Jak lew - przytaknął William.

Ralph postanowił wykorzystać ten moment, żeby porozmawiać o swojej przyszłości. Nie będzie lepszej okazji. Służył Rolandowi od siedmiu lat, był dzielny i silny i uratował życie panu po katastrofie mostu. Mimo to wciąż był tylko gierkiem. Co jeszcze może zrobić?

Wczoraj na drodze z Kingsbridge do Shiring spotkał przypadkiem Merthina. Brat zmierzał do należącego do opactwa kamieniołomu i przekazał Ralphowi wiele nowin.

Zamierzał zbudować najpiękniejszy most w Anglii. Będzie sławny i bogaty. Rodzice byli szczęśliwi. Ralph poczuł się jeszcze bardziej przybity.

Nie wiedział, jak zręcznie przedstawić to, co mu chodzi po głowie, więc zaczął bez ogródek:

- Już trzy miesiące minęły od dnia, w którym w Kingsbridge uratowałem życie twojemu ojcu.

- Kilku ludzi przypisuje sobie ten zaszczyt - odparł William. Surowy wyraz jego twarzy przywodził na myśl hrabiego.

- Ja wyciągnąłem go z wody.

- Matthew Barber naprawił mu głowę, zakonnice zmieniały bandaż, a mnisi modlili się, by nie umarł. Ale to Pan Bóg go ocalił.

- Amen. Mimo to liczyłem na jakiś znak łaski.

- Mojego ojca niełatwo zadowolić.

Richard, brat Williama, stał nieopodal, spocony, z zaczerwienioną twarzą.

- Prawdziwe to słowa, jak w Biblii.

- Nie narzekaj - zganiał go William. - Surowość ojca dała nam siłę.

- Ja pamiętam, że nas pognębiła.

William odwrócił się, nie chcąc kłócić się w obecności sługi. Kiedy konie odprowadzono do stajni, mężczyźni ruszyli wzdłuż kuchni, koszar i kaplicy do drugiego mostu zwodzonego, który prowadził do mniejszego wewnętrznego dziedzińca, drugiego koło ósemki, jaką tworzyły zabudowania. W tym tradycyjnym stołpie mieszkał hrabia; na parterze znajdowały się składy, na drugim poziomie wielka sala, a wyżej sypialnia hrabiego. Wysokie drzewa wokół twierdzy zamieszkiwała kolonia kruków, które przechadzały się po blankach niczym sierzanci, głośnym krakaniem wyrażając niezadowolenie. Roland był już w wielkiej sali. Zdjął brudne myśliwskie ubranie i włożył purpurowy płaszcz. Ralph stanął nieopodal, zdecydowany podnieść kwestię swojego awansu przy pierwszej okazji.

Roland przekomarzał się z lady Philippą żoną Williama, jedną z niewielu osób, które mogły mu się bezkarnie sprzeciwić. Rozmawiali o zamku.

- Nie zmienił się od stu lat - stwierdziła Philippą.

- Dlatego, że jest tak dobrze zaprojektowany - odparł Roland, mówiąc lewą stroną ust.

- Wróg zużywa większość sił, by dostać się na niższy poziom, a później musi stoczyć drugą bitwę, żeby dotrzeć do stołpu.

- Otóż to! Zbudowano go do celów obronnych, a nie dla wygody. Kiedy ostatnio oblegano zamek w tej części Anglii? Nie za mojego życia.

- Ani za mojego. - Hrabia uśmiechnął się krzywo. - Pewnie dlatego, że mamy taką dobrą obronę. _

- Pewien biskup rozrzucał żołędzie na każdej drodze, którą podróżował, by chronić się przed lwami - powiedziała Philippą. - Kiedy poinformowano go, że w Anglii nie ma lwów, odparł: „To skuteczniejsze, niż myślałem”.

Roland parsknął śmiechem.

- Większość szlacheckich rodzin mieszka teraz w wygodnych domach. Wygody były Ralphowi obojętne, lecz obchodziła go Philippą. Ukradkiem pożerał wzrokiem jej bujną figurę, słuchając tego, co mówi. Wyobrażał sobie, że Philippą leży pod nim naga, krzycząc z rozkoszy lub bólu, albo jednego i drugiego. Gdyby był rycerzem, mógłby mieć taką kobietę.

- Powinieneś zburzyć ten stary stołp i zbudować nowoczesny dom - rzekła Philippą do teścia.

- Z dużymi oknami i wieloma kominkami. Sala mogłaby się znaleźć na parterze, z jednej strony byłyby komnaty rodzinne, w których moglibyśmy spać, kiedy byśmy cię odwiedzali, a z drugiej strony kuchnie. Dzięki temu potrawy docierałyby na stół jeszcze gorące.

Nagle Ralph uświadomił sobie, że może włączyć się do rozmowy.

- Wiem, kto mógłby zaprojektować taki zamek. Hrabia i Philippą odwrócili się, zaskoczeni.
- Kto? - spytała Philippą.
- Mój brat Merthin.
- Ten zabawny chłopak, który poradził mi, żebym kupiła zielony jedwab, bo pasuje do koloru moich oczu?

- Nie chciał cię obrazić, pani.
- Nie wiem, czego chciał. Czy on jest budowniczym?
- Najlepszym - stwierdził dumnie Ralph. - Zbudował nowy prom w Kingsbridge, wymyślił, jak naprawić dach kościoła Świętego Marka, choć nikt inny tego nie potrafił, a teraz zlecono mu budowę najpiękniejszego mostu w Anglii.

- Jakoś mnie to nie dziwi - mruknęła Philippa.
- O jakim moście mówisz? - zainteresował się Roland.
- O nowym moście w Kingsbridge. Będzie miał łuki jak kościół i będzie tak szeroki, że przejadą po nim dwie furmanki obok siebie.

- Nic o tym nie słyszałem.

Ralph zauważył, że hrabia jest niezadowolony. Co go rozzłościło?

- Most trzeba odbudować, prawda? - zapytał Ralph.

- Nie jestem tego pewien. Handlu jest teraz za mało dla dwóch rynków położonych tak blisko siebie jak Kingsbridge i Shiring. Ale jeśli musimy się zgodzić na most w Kingsbridge, to wcale nie znaczy, że mamy obowiązek poprzeć klasztor, który w oczywisty sposób chce odebrać klientów Shiring.

Biskup Richard wszedł do sali i hrabia na niego skierował swój gniew.

- Nie powiedziałeś mi o nowym moście w Kingsbridge.

- Bo o nim nie wiedziałem.

- A powinieneś, wszak jesteś biskupem. Richard się zaczerwienił.

- Biskup mieszka w Shiring lub w jego pobliżu od czasów wojny domowej między królem Stefanem i cesarzową Maud dwieście lat temu. Tak jest lepiej dla mnichów i większości biskupów.

- To nie znaczy, że masz nie wiedzieć, co się tam dzieje.

- A ponieważ nie wiem, może byłbyś tak dobry i mnie oświecił. Chłodna impertynencja uszła uwagi Rolanda.

- Most będzie szeroki na dwa wozy. Odbierze handel mojemu rynkowi w Shiring.

- Nic nie mogę na to poradzić.

- Dlaczego? Jesteś opatem z urzędu. Mnisi powinni robić to, co im każesz.

- Ale nie robią.

- Może zaczną, jeśli odbierzemy im budowniczego. Ralphie, możesz namówić brata, żeby zrezygnował z projektu?

- Postaram się.

- Zaproponuj mu coś lepszego. Powiedz, że chcę, by zbudował dla mnie nowy pałac tu, w Earlscastle.

Ralph ucieszył się, że hrabia powierzył mu specjalną misję, lecz jednocześnie ogarnął go lęk. Nigdy nie próbował namówić do niczego Merthina, zawsze było odwrotnie.

- Dobrze.

- Czy uda im się bez niego?

- Dostał zlecenie, bo nikt w Kingsbridge nie wie, jak budować pod wodą.

- Nie jest zapewne jedynym człowiekiem w Anglii, który potrafi zaprojektować most - stwierdził Richard.

- Mimo to odebranie budowniczego z pewnością opóźni prace o rok - zauważył William.

- A zatem warto to zrobić - orzekł Roland. Na połowie jego twarzy pojawił się wyraz nienawiści. - Trzeba pokazać temu zarozumiałemu przeorowi, gdzie jego miejsce.

Ralph zauważył, że w życiu Geralda i Maud wiele się zmieniło. Matka wkładała do kościoła nową zieloną sukienkę, a ojciec miał skórzane buty. Nad ogniem piekła się nadziewana gęś, roztaczając smakowity zapach, a na stole leżał bochen najdroższego pszennego chleba.

Okazało się, że pieniądze na to wszystko daje Merthin.

- Dostaje cztery pensy dziennie za pracę w kościele Świętego Marka - oznajmiła dumnie Maud. - I stawia nowy dom Dickowi Brewerowi. Poza tym przygotowuje się do budowy mostu.

Ojciec zajął się krojeniem kaczki, a Merthin powiedział bratu, że otrzymuje niższą stawkę za pracę przy moście, bo w zamian dostanie Wyspę Trędowatych. Ostatniego trędowatego, starego i przykutego do łóżka, przeniesiono do domku w klasztornym sadzie po drugiej stronie rzeki.

Radość matki sprawiła, że Ralph poczuł w ustach gorzki smak. Od dziecka wierzył, że przeznaczenie rodziny spoczywa w jego rękach. W wieku czternastu lat został posłany do Shiring, i od tej pory wiedział, że to on ma zmazać upokorzenie ojca, zostając rycerzem, a może baronem lub nawet hrabią. Merthin zaczął terminować u cieśli i w ten sposób wstąpił na drogę prowadzącą w dół drabiny społecznej. Budowniczowie nigdy nie zostawali rycerzami.

Ralph pocieszało trochę to, że ojcu nie imponują sukcesy Merthina. Okazywał zniecierpliwienie, gdy Maud opowiadała o jego projektach.

- Zdaje się, że mój starszy syn odziedziczył krew Jacka Buildera, mojego jedynego nisko

urodzonego przodka - rzekł tonem, który wyrażał zdumienie, a nie dumę. - Ale powiedz, Ralphie, jak ci się powodzi na dworze hrabiego Rolanda?

Niestety, jak dotąd Ralph nie zbliżył się do wyższych sfer szlachty, Merthin zaś kupował rodzicom nowe ubrania i dobre jedzenie. Ralph wiedział, że powinien się cieszyć z sukcesu brata, ponieważ dotąd rodzice żyli skromnie, lecz dzięki niemu ich byt się poprawił. Głowa kazała mu się radować, ale w jego sercu kipiała niechęć.

A teraz miał przekonać brata, żeby zrezygnował z budowy mostu. Kłopot z Merthinem polegał na tym, że komplikował sprawy. Nie był podobny do rycerzy i giermków, z którymi Ralph spędził ostatnie siedem lat. Oni byli żołnierzami, w ich świecie liczyła się lojalność, odwaga była cnotą, a stawką w grze śmierć lub życie. Potrzeba głębszego namysłu nie istniała. Merthin tymczasem analizował wszystko. Nawet przy grze w warcaby musiał zasugerować jakąś zmianę zasad.

Właśnie tłumaczył rodzicom, dlaczego zgodził się przyjąć cztery akry jałowej ziemi jako część wynagrodzenia za most.

- Wszyscy uważają, że ten grunt jest bezwartościowy, bo leży na wyspie. Nie rozumieją, że kiedy zbuduję tam most, wyspa stanie się częścią miasta. Ludzie będą chodzili po moście tak, jak chodzą po głównej ulicy. A cztery akry miasta są wiele warte. Jeśli zbuduję tam domy, czynsze będą warte fortunę.

- Do tego czasu upłynie parę lat - zauważył Gerald.

- Już mam z tego pewien dochód. Jake Chepstow wynajmuje pół akra na tartak. Będzie sprowadzał drewno z Walii.

- Dlaczego z Walii? New Forest leży bliżej. Tamtejsze drewno byłoby tańsze.

- Powinno być, ale hrabia Shaftesbury pobiera myto albo podatek na każdym brodzie i moście na swoim terenie.

Był to znany wybieg. Wielu lordów nakładało podatek na towary przewożone przez ich ziemie.

- Przynoszę ci wiadomość - powiedział Ralph, gdy zaczęli jeść. - Hrabia chce wznieść nowy pałac w Earlscastle.

Merthin spojrzał na niego podejrzliwie.

- Przesłał cię, żebyś namówił mnie do budowy?

- Zaproponowałem cię. Lady Philippa ma do niego pretensje, że stołp jest przestarzały, a ja powiedziałem, że wiem, do kogo trzeba się zwrócić.

- Czy to nie wspaniałe? - ucieszyła się Maud. Merthin nie podzielał jej entuzjazmu.

- I hrabia zgodził się zatrudnić mnie?

- Tak.

- Nadzwyczajne. Jeszcze przed paroma miesiącami nie mogłem dostać pracy, a teraz mam jej za dużo. A Earlscastle znajduje się o dwa dni drogi stąd. Nie wiem, jak miałbym budować pałac tam i jednocześnie most tutaj.

- Musiałbyś zrezygnować z budowy mostu - wyjaśnił Ralph.

- Co takiego?

- Praca dla hrabiego ma pierwszeństwo przed wszystkim, naturalnie.

- Nie wiem, czy to słuszne.

- Wierz mi.

- Hrabia tak powiedział?

- Właśnie tak.

Do dyskusji włączył się ojciec:

- Budowa pałacu dla hrabiego to wspaniała okazja, Merthinie.

- Oczywiście. Ale budowa mostu dla miasta jest co najmniej równie ważna.

- Nie bądź głupcem - rzekł ojciec.

- Robię, co w mojej mocy - odparł sarkastycznie Merthin.

- Hrabia Shiring to jeden z najważniejszych ludzi w kraju. W porównaniu z nim przeor Kingsbridge jest nikim.

Ralph ukroił sobie plaster gęsiego udka i wsunął go do ust, ale nie mógł przełknąć. Spodziewał się, że z Merthinem nie będzie łatwo. Rozkazu ojca także nie posłucha. Nigdy nie był posłuszny, nawet w dzieciństwie.

- Lepiej nie wchodzić w zatarg z hrabią - powiedział Gerald.

- Czy o to chodzi? Roland proponuje mi zlecenie, żeby zapobiec budowie mostu?

- Nie tylko z tego powodu - odparł Ralph.

- Ale to jest warunek. Jeśli chcę zbudować pałac, muszę porzucić budowę mostu.

- Nie masz wyboru, Merthinie! - stwierdził zdesperowany Gerald. - Hrabia nie prosi, on rozkazuje.

Ralph wiedział, że taki argument na pewno nie trafi bratu do przekonania.

- Nie sądzę, żeby mógł rozkazywać opatowi Kingsbridge, który zlecił mi budowę mostu - odparł Merthin.

- Ale hrabia rozkazuje tobie.

- Czyżby? Nie jest moim lordem.

- Nie bądź głupi, synu. W sporze z hrabią nie masz żadnych szans.

- Roland nie walczy ze mną, ojcze. To sprawa między nim a przeorem. Hrabia chce się mną posłużyć jak ogarem na polowaniu. Uważam, że nie powinienem się mieszać do ich zmagania.

- A ja uważam, że powinienesz wykonać rozkaz hrabiego. Nie zapominaj, że on jest także twoim krewnym.

Merthin zmienił pole sporu.

- Nie pomyślałeś o tym, że godząc się na to, zdradziłbym przeora? Gerald parsknął lekceważąco.

- Nie jesteśmy winni lojalności klasztorowi. To mnisi sprawili, iż zostaliśmy pensjonariuszami.

- A sąsiadom? Mieszkańcom Kingsbridge; wśród których żyjemy od dziesięciu lat? Oni potrzebują mostu, dzięki niemu się utrzymują.

- Jesteśmy ze szlachty - odparł ojciec. - Nie musimy brać pod uwagę potrzeb zwykłych kupców.

Merthin skinął głową.

- Możesz tak uważać, ojcze, ale ja jako zwykły cieśla nie podzielam twojego zdania.

- Nie chodzi tylko o ciebie! - wybuchnął Ralph, który właśnie uświadomił sobie, że musi powiedzieć, co leży mu na sercu. - Hrabia powierzył mi zadanie. Jeśli mi się powiedzie, może zostanę rycerzem albo przynajmniej pomniejszym lordem. Jeśli zawiodę, pozostanę giermkim.

- To bardzo ważne, żebyśmy wszyscy starali się zadowalać hrabiego - odezwała się Maud.

Na twarzy Merthina odmalowała się troska. Zawsze był gotów spierać się z ojcem, lecz nie chciał przeciwstawić się matce.

- Zgodziłem się zbudować most. Miasto na mnie liczy. Nie mogę teraz zrezygnować.

- Oczywiście, że możesz - zaproponowała Maud.

- Nie chcę zasłużyć sobie na opinię nierzetelnego.

- Wszyscy rozumieją, jeśli dasz pierwszeństwo hrabiemu.

- Może rozumieją, ale nie zyskam w ten sposób ich szacunku.

- Na pierwszym miejscu powinienesz postawić interes rodziny.

- Walczyłem o ten most, mam - rzekł z uporem Merthin. - Stworzyłem piękny projekt i przekonałem mieszkańców miasta, żeby we mnie uwierzyli. Nikt inny nie potrafi go zbudować. Nie tak, jak powinien być zbudowany.

- Jeśli odmówisz hrabiemu, będzie to miało wpływ na życie Ralpha! - przekonywał ojciec. - Czy tego nie rozumiesz?

- Życie Ralpa nie powinno zależeć od czegoś takiego.

- Ale zależy. Chcesz poświęcić brata dla mostu?

- To chyba tak, jakbym ja prosił Ralpa, żeby ratował życie ludzi, nie idąc na wojnę - odparł Merthin.

- Nie ma co porównywać cieśli do żołnierza - uciął Gerald.

To było niedelikatne, pomyślał Ralph. Gerald okazywał, że woli młodszego syna od starszego. Ralph widział, że Merthin poczuł się dotknięty. Poczzerwieniał i zagryzł wargę, powstrzymując się od udzielenia kąśliwej odpowiedzi.

Po chwili Merthin przemówił cichym głosem. Ralph wiedział, że jest to znak, iż podjął nieodwołalną decyzję.

- Nie prosiłem o to, by zostać cieślą. Chciałem być rycerzem. To były mrzonki, wiem. Ale to ty, ojciec, podjąłeś decyzję, że mam być tym, kim jestem. Okazało się, że jestem dobry w swoim fachu. Zmusiłeś mnie, żebym został cieślą, a ja chcę to przekuć w sukces. Pewnego dnia zbuduję najwyższy budynek w Anglii. Uczyniłeś mnie tym, kim jestem, więc naucz się z tym żyć.

Wracając ze złą nowiną do Earlscastle, Ralph myślał usilnie, jak zmienić klęskę w zwycięstwo. Jeśli nie zdołał namówić brata do porzucenia budowy mostu, może istnieje inny sposób, by uniemożliwić lub opóźnić realizację projektu?

Nie było sensu rozmawiać z przeorem lub Edmundem Woolerem, co do tego miał pewność. Zależy im na moście bardziej niż Merthinowi, a poza tym nie daliby się przekonać zwyczajnemu giermkowi. Co może zrobić hrabia? Mógłby posłać oddział rycerzy, by ci wybili robotników, lecz to nie rozwiązałyby problemu, tylko przysporzyło nowych.

To Merthin podsunął bratu rozwiązanie. Powiedział, że Jake Chepstow, który założył na Wyspie Trędowatych skład drewna, kupuje pnie w Walii, by uniknąć płacenia podatku narzuconego przez hrabiego Shaftesbury.

- Mój brat uważa, że musi podporządkować się przeorowi Kingsbridge - oznajmił Ralph hrabiemu, gdy wrócił. Zanim Roland wpadł w gniew, dodał: - Ale istnieje lepszy sposób, by opóźnić budowę mostu. Kamieniołom, z którego korzystają mnisi, leży w samym środku twoich włości, panie, między Shiring i Earlscastle.

- Kamieniołom należy do mnichów - warknął Roland. - Król podarował im go przed wiekami. Nie możemy zabronić im wydobywania kamienia.

- Ale można nałożyć na nich podatek - odrzekł Ralph. Miał poczucie winy, gdyż sabotował projekt drogi sercu brata. Tak jednak musiało być, toteż zdławił wyrzuty sumienia.

- Będą przewozili budulec przez twoje ziemie. Ciężkie wozy będą niszczyć drogi i forty. Powinni zapłacić.

- Będą kwiczeć jak świnie. Pójdą do króla.

- A niech idą - rzekł Ralph, udając pewność siebie, której nie czuł. - To potrwa. Zostały tylko dwa miesiące sezonu budowlanego, będą musieli przerwać prace przed nadejściem mrozów. Jeśli dopisze ci szczęście, panie, opóźnisz powstanie mostu o rok.

Roland zmierzył Ralpha twardym spojrzeniem.

- Możliwe, że cię nie doceniłem. Może nadajesz się do czegoś więcej niż wyciąganie z rzeki tonących hrabiów.

Ralph powstrzymał się od triumfalnego uśmiechu.

- Dziękuję, panie.

- Ale jak wymusić płacenie podatku? Musi być skrzyżowanie, bród na rzece albo inne miejsce, przez które furmanka musi przejechać.

- Nas interesują tylko bloki kamienia, więc możemy po prostu umieścić oddział obok kamieniołomu.

- Doskonale. Ty poprowadzisz ludzi.

Dwa dni później Ralph zbliżał się do kamieniołomu z czterema zbrojnymi na koniach i dwoma chłopcami, którzy prowadzili luzaki objuczone namiotami i zapasem prowiantu na tydzień. Ralph był z siebie zadowolony. Otrzymał niewykonalne zadanie i obrócił je na swoją korzyść. Pokazał hrabiemu, że się do czegoś nadaje. Teraz sprawy wyglądały lepiej. »<

Nie czuł się dobrze z tym, że działa przeciwko Merthinowi. W nocy długo leżał, przypominając sobie wspólnie spędzone dzieciństwo. Zawsze podziwiał mądrego starszego brata. Często się bili i Ralph czuł się gorzej, kiedy przegrywał, niż gdy wygrywał. Zawsze się później godzili. Jednak walki toczone w dorosłym wieku trudniej puścić w niepamięć.

Ralph nie obawiał się zbytnio starcia z kamieniarzami przysłanymi przez mnichów. Kilku żołnierzy nie powinno mieć z nimi problemu. Nie miał ze sobą rycerzy - takie zadanie było poniżej ich godności - ale miał Josepha Woodstocka, twardego mężczyznę, i paru innych. Mimo to chciał osiągnąć cel i mieć sprawę za sobą.

Było tuż po świcie. Poprzednią noc mały oddział spędził w lesie kilka mil od kamieniołomu. Ralph zamierzał dotrzeć na miejsce, by zatrzymać pierwszy wóz wyjeżdżający rano z budulcem.

Konie stąpały ostrożnie po drodze stratowanej kopytami wołów i zrytej kołami ciężkich furmanek. Słońce weszło na zasnutym deszczowymi chmurami niebie, pomiędzy których tu i ówdzie wyzierał błękit. W oddziale Ralpha panował dobry nastrój; mężczyźni cieszyli się na myśl, że

bez większego ryzyka będą mogli zademonstrować swoją siłę nieuzbrojonym ludziom.

Ralph poczuł zapach palonego drewna, a po chwili ujrzał dym z kilku ognisk unoszący się nad drzewami. Droga rozszerzyła się i dotarła do błotnistej polany przed największą dziurą w ziemi, jaką Ralph kiedykolwiek widział. Miała sto jardów szerokości i rozciągała się na co najmniej ćwierć mili. Spadzista rampa prowadziła do namiotów i drewnianych chat kamieniarzy, którzy zebrali się wokół ognisk, by naszykować sobie śniadanie. Kilku już pracowało - Ralph słyszał tępe uderzenia młotów w kliny wbijające się w szczeliny skalnej masy.

Kamieniołom znajdował się dzień drogi od Kingsbridge, więc większość woźniców przyjeżdżała wieczorem i odjeżdżała nazajutrz rano. Kilka furmanek stało w różnych miejscach kamieniołomu, niektóre były już załadowane, a jedna posuwała się powoli w górę do wyjazdu.

Mężczyźni w kamieniołomie unieśli głowy, słysząc tętent kopyt, ale nikt się nie zbliżył. Robotnikom nigdy nie jest spieszno do rozmowy ze zbrojnymi. Ralph czekał cierpliwie. Z kamieniołomu można było wyjechać tylko jedną drogą, tą, przy której stał.

Woźnica popędzał wołu długim batem, a zwierzę stawiało jedną nogę za drugą, okazując milczący opór. Na deskach znajdowały się cztery ogromne kamienie, z grubsza ociosane, z wyciętym znakiem tego, który je wydobyl. Urobek każdego kamieniarza zliczany był raz w kamieniołomie, a drugi raz na budowie. Płacono im od kamienia.

Gdy furmanka się zbliżyła, Ralph zobaczył, że woźnicą jest mieszkaniec Kingsbridge, Ben Wheeler. Ben przypominał trochę wołu, miał gruby kark i potężne ramiona. Na jego twarzy malował się wyraz tępej wrogości. Ralph pomyślał, że może robić trudności. Uznał jednak, że da się go okiełznać.

Ben kierował wołu w stronę koni blokujących przejazd. Nie zatrzymał się, tylko zbliżał coraz bardziej. Konie, które nie były przyuczonymi do boju wierzchowcami, parsknęły nerwowo i cofały się. Wół się zatrzymał.

Krnąbrność woźnicy rozzłościła Ralpa.

- Uparty z ciebie prostak - warknął.

- Czemu stoisz mi na drodze? - spytał Ben.

- Żeby pobrać podatek.

- Nie ma podatku.

- Trzeba zapłacić pensa od wozu, jeśli chce się przewieźć kamień przez włości hrabiego

Shiring.

- Nie mam pieniędzy.

- To je zdobądź.

- Zabronisz mi przejechać?

Ralph złościło to, że ten dureń nie boi się, choć powinien.

- Dość tych pytań. Kamienie zostaną tutaj, dopóki ktoś nie zapłaci podatku. Ben przyglądał mu się długo. Ralph miał wrażenie, że zastanawia się, czy zrzucić go z konia.

- Ale ja nie mam pieniędzy - powtórzył Ben.

Ralph miał ochotę przebić go mieczem, ale się opanował.

- Nie udawaj głupszego, niż jesteś - rzucił z pogardą. - Idź do zarządcy i powiedz mu, że słudzy hrabiego nie pozwalają ci przejechać.

Ben patrzył na niego jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Potem bez słowa zsiadł z wozu i ruszył po rampie w dół.

Ralph czekał, kipiąc ze złości i gapiąc się na wołu.

Ben wszedł do drewnianej chaty. Po kilku minutach ukazał się w towarzystwie drobnego mężczyzny w brązowej tunice. Ralph pomyślał, że to majster kamieniarski, jednak postać wydawała mu się znajoma. Gdy się zbliżyła, rozpoznał swojego brata Merthina.

- O nie! - powiedział głośno.

Na to nie był przygotowany. Czuł się jak na torturach, obserwując zbliżającego się brata. Wiedział, że przybył tu, by go zdradzić, ale nie spodziewał się go zobaczyć.

- Witaj, Ralphie - odezwał się Merthin. - Ben mówi, że nie pozwalasz mu przejechać.

Ralph przypomniał sobie z lękiem, że Merthin zawsze umiał pokonać go w dyskusji. Postanowił mówić oficjalnie. Dzięki temu ukryje emocje, a powtarzając polecenia, jakie otrzymał, uniknie kłopotów.

- Hrabia postanowił skorzystać z prawa nakładania podatku na towary przewożone przez jego ziemię.

Merthin puścił to mimo uszu.

- Nie zsiądziesz z konia, żeby porozmawiać z bratem?

Ralph wolałby pozostać na koniu, ale nie mógł odmówić, gdyż słowa Merthina zabrzmiały trochę jak wyzwanie. I wtedy poczuł się tak, jakby już został pokonany.

- Na ten kamień nie ma podatku - stwierdził Merthin.

- Teraz jest.

- Mnisi korzystają z tego kamieniołomu od setek lat. Z niego jest zbudowana katedra w Kingsbridge. Nigdy nie był opodatkowany.

- Może hrabia rezygnował z pobierania podatku dla dobra kościoła - rzekł Ralph, improwizując. - Ale teraz chodzi o budowę mostu.

- Nie chce, żeby miasto miało nowy most. Taki jest powód. Najpierw przysłał cię, żebyś mnie przekupił, a skoro mu się nie udało, wymyślił podatek. - Merthin spojrzał z zadumą na brata. - To był twój pomysł, prawda?

Ralph osłupiał. Jak on się tego domyślił?

- Nie! - zaprzeczył, czując, że się czerwieni.

- Widzę po twojej twarzy, że tak właśnie było. Podsunąłem ci pomysł, opowiadając o tym, że Jake Chepstow sprowadza bale z Walii, żeby uniknąć podatku hrabiego Shaftesbury. Na pewno tak było.

Z każdą chwilą Ralph czuł coraz większą złość i zakłopotanie.

- To nie ma żadnego związku.

- Ganiłeś mnie za to, że stawiam most przed dobrem brata, ale jesteś gotów zniszczyć moje nadzieje, kierując się interesem hrabiego.

- Nieważne, czyj to był pomysł. Hrabia postanowił opodatkować kamień.

- Ale nie ma do tego prawa.

Ben Wheeler przysłuchiwał się uważnie rozmowie, stojąc obok Merthina na szeroko rozstawionych nogach i z rękami na biodrach.

- Powiadasz, że ci ludzie nie mają prawa mnie zatrzymać? - spytał.

- Właśnie tak - odparł Merthin.

Merthin popełniał błąd, traktując Bena jak inteligentnego człowieka, Ralph mógł mu to uświadomić. Ben uznał słowa Merthina za pozwolenie odjazdu i świsnął batem nad grzbietem wołu. Zwierzę napařło na drewniane chomaćo i ruszyło powoli.

- Stać! - krzyknął ze złością Ralph. Ben smagnął wołu batem jeszcze raz.

- Wio!

Wół pociągnął mocniej i wóz się zatrząsł, płosząc konie. Wierzchowiec Josepha Woodstocka zarżał i wierzgnął.

Joseph złapał mocno za wodze i opanował konia. Wyciągnął z sakwy przy siodle długą drewnianą pałkę.

- Masz stać, kiedy ci się każe - powiedział do Bena. Popędził konia i zamachnął się pałką.

Ben uchylił się przed ciosem, złapał pałkę i pociągnął.

Joseph pochylał się w siodle i nagle szarpnięcie ściągnęło go z konia.

- Nie! - krzyknął Merthin.

Ralph znał przyczynę lęku brata. Uzbrojony mężczyzna nie mógł darować takiego

upokorzenia. Teraz już nie dało się uniknąć użycia przemocy. Jednak Ralph nie czuł żalu. Merthin nie okazał sługom hrabiego należnego szacunku i teraz zobaczy skutki swojego postępowania.

Ben trzymał pałkę obiema rękami. Joseph zerwał się na nogi. Widząc, że Ben wymachuje pałką, sięgnął po sztylet. Ale Ben okazał się szybszy. Ralph uświadomił sobie, że woźnica musiał kiedyś walczyć w bitwie. Ben zrobił zamach i potężnie rąbnął Josepha w czubek głowy. Ten runął bezwładnie na ziemię.

Ralph ryknął z wściekłości. Wyciągnął miecz i rzucił się w stronę woźnicy.

- Nie! - wrzasnął Merthin.

Ralph z całej siły wbił miecz między żebra Bena. Ostrze wyszło po drugiej stronie. Ben upadł, a Ralph wyciągnął miecz. Z rany trysnęła fontanna krwi. Ralph triumfował. Ben Wheeler nie będzie więcej impertynencki wobec niego.

Uklęknął obok Josepha. Jego oczy były nieruchome, serce nie biło. Mężczyzna nie żył.

W pewnym sensie dobrze się stało. Łatwiej będzie wyjaśnić sprawę. Ben Wheeler zabił sługę hrabiego i za to zginął. Nikt nie dostrzeże w tym niesprawiedliwości, a na pewno nie hrabia Roland, niemający litości dla tych, którzy mu się sprzeciwiają.

Merthin widział to inaczej. Jego twarz wykrzywił ból.

- Co ty zrobiłeś? Ben Wheeler ma dwuletniego syna! Nazywają go Bennie!

- Niech wdowa poszuka sobie drugiego męża - odparł Ralph. - Tym razem powinna wybrać takiego, który zna swoje miejsce.

27

Zbiory były kiepskie. W sierpniu słońce świeciło tak rzadko, że zboże ledwie dojrzało na początku września. W wiosce Wigleigh panowało przygnębienie. Ludzie nie radowali się tak jak zwykle w porze żniw: nie było tańców, biesiad, niespodziewanych romansów. Mokre zboże łatwo gnije. Niejeden kmieć będzie cierpiał głód na przednówku.

Wulfric kosił jęczmień w zacinającym deszczu, a Gwenda posuwała się za nim, wiążąc zboże w snopy. W pierwszy słoneczny dzień września zaczęli żąć pszenicę, najcenniejsze ze zbóż, w nadziei, że słoneczna pogoda potrwa wystarczająco długo, by zdążyło wyschnąć.

Któregoś dnia Gwenda zrozumiała, że to złość daje Wulfricowi siłę. Nagła utrata całej rodziny go rozgniewała. Gdyby mógł, obwiniłby o to kogoś, jednak katastrofa mostu wyglądała na przypadkowe zdarzenie, dzieło złych duchów lub karę boską. Dlatego Wulfric miał tylko jedno ujęcie dla targających nim uczuć: pracę. Ją napędzała miłość, która była równie potężną siłą.

Szli na pole przez świtem i wracali, gdy robiło się ciemno. Gwenda co wieczór kładła się spać

z bólem w krzyżu i budziła się, słysząc, jak Wulfric trzaska drzwiami kuchni. Mimo to byli z pracą na samym końcu.

Stosunek wieśniaków do niej i do Wulfrica stopniowo ulegał zmianie. Przez całe życie patrzono na nią z pogardą jako na córkę Joby 'ego, który nie cieszył się dobrą opinią. Kobiety zaczęły ją potępiać jeszcze bardziej, gdy zauważyły, że chce odebrać Wulfrica Annet. Jego trudno było nie lubić, lecz niektórzy uważali, że chęć odziedziczenia tak wielkiego gospodarstwa świadczy o zachłanności i braku umiaru. Jednak ludziom musiał zaimponować wysiłek, który wkładali w żniwa. Chłopak i dziewczyna usiłowali wykonać pracę trzech mężczyzn i radzili sobie lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Mężczyźni zaczęli spoglądać na Wulfrica z podziwem, a kobiety na Gwendę z sympatią.

W końcu zaczęli im pomagać. Ksiądz Gaspard patrzył przez palce na ich pracę w niedzielę. Kiedy rodzina Annet zebrała plon, jej ojciec Perkin i brat Rob przyłączyli się do pracy na polu Wulfrica. Przyszła nawet matka Gwendy, Ethna. Kiedy wóz z resztką zebranego zboża Wulfrica wjeżdżał do stodoły, dał o sobie znać tradycyjny duch żniw - podążając za furmanką, wszyscy śpiewali stare pieśni.

Była tam również Annet, której postępowanie przeczyło porzekadłu, że aby zatańczyć po żniwach, wpieryw trzeba chodzić za pługiem. Szła obok Wulfrica, gdyż takie było jej prawo jako oficjalnej narzeczonej. Gwenda patrzyła z goryczą, jak kołysze biodrami, odchyła głowę i śmieje się dźwięcznie z żartów Wulfrica. Jak Wulfric może być tak głupi, by się na to nabierać? Czy nie zauważył, że Annet nie kiwnęła palcem na jego ziemi?

Nie ustalono jeszcze daty ślubu. Perkin był przebiegły, nie pozwoliłby córce się zobowiązać, dopóki kwestia dziedzictwa nie zostanie rozstrzygnięta.

Wulfric pokazał, że nadaje się do uprawy roli. Teraz nikt nie będzie tego kwestionował, jego wiek zszedł na drugi plan. Jediną przeszkodą pozostało spadkowe. Czy chłopak zdoła zebrać pieniądze na zapłacenie podatku? Wszystko będzie zależało od tego, ile dostanie za plon. Żniwa były marne, lecz jeśli zła pogoda dotknęła także innych terenów, cena zboża prawdopodobnie wzrośnie. Zwykle rodzina zamożnego kmiecia miała zgromadzone pieniądze na spadkowe, jednak oszczędności rodzinne Wulfrica spoczywały na dnie rzeki w Kingsbridge.

Nic nie zostało więc rozstrzygnięte, a Gwenda mogła nadal marzyć, że Wulfric odziedziczy ziemię i jakimś cudem ją pokocha. Wszystko było możliwe.

Rozładowywali zboże w stodole, kiedy zjawił się Nathan Reeve. Garbaty rządca był bardzo ożywiony.

- Chodźcie czym prędzej do kościoła, wszyscy! Przerwijcie pracę.

- Nie zostawię zboża przed stodołą, bo może padać - odparł Wulfric.

- Tylko wciągniemy wóz do środka - dodała Gwenda. - Po co ten gwałt, Nate?

Rządca już spieszył do następnego domu.

- Lada chwila przybędzie nowy lord!

- Zaczekaj! - krzyknął Wulfric. - Doradzisz mi, żebym mógł dziedziczyć? Wszyscy znieruchomieli, czekając na odpowiedź.

Nathan odwrócił się niechętnie i spojrzał na Wulfrica. Musiał podnieść głowę, gdyż Wulfric był o stopę wyższy.

- Nie wiem - odparł powoli.

- Pokazałem, że dam sobie radę, sam widzisz. Zajrzyj do stodoły!

- Sprawileś się dobrze, to jasne. Ale czy masz pieniądze na spadkowe?

- To zależy od ceny pszenicy.

- Tato? - powiedziała Annet. Gwenda spojrzała na nią z zaciekawieniem. Perkin się wahał.

- Pamiętaj, co mi obiecałeś - dodała.

- Pamiętam - odparł po dłuższej chwili ojciec.

- A więc powiedz Nate'owi. Perkin odwrócił się do rządcy.

- Zagwarantuję wpłatę spadkowego, jeśli lord pozwoli Wulfricowi dziedziczyć.

Gwenda zakryła usta dłonią.

- Zapłacisz za niego? - zdziwił się Nathan. - Spadkowe wynosi dwa funty dziesięć szylingów.

- Jeśli mi zabraknie, pożyczę. Oczywiście najpierw będą musieli wziąć ślub. Nathan zniżył głos.

- A oprócz tego...?

Perkin powiedział coś tak cicho, że Gwenda nie usłyszała. Ale mogła się domyślić: Perkin proponował mu łapówkę, przypuszczalnie jedną dziesiątą podatku, czyli pięć szylingów.

- Dobrze - rzekł Nathan. - Poprę Wulfrica. A teraz wszyscy do kościoła! Wulfric uśmiechnął się szeroko i pocałował Annet. Wszyscy ściskali mu dłoń. Gwendę ogarnęła rozpacz, jej nadzieje się rozwiały. Annet okazała się za sprytna: przekonała ojca, żeby pożyczył Wulfricowi pieniądze. Odziedziczy więc ziemię i ożeni się z Annet.

Zmusiła się, żeby pomóc wprowadzić wóz do stodoły. Potem poszła za szczęśliwą parą do kościoła. Wszystko było skończone. Nowy lord, nieznający wioski i jej mieszkańców, raczej nie odrzuci rady rządcy w takiej sprawie. To, że Nathan zadał sobie trud negocjowania wysokości łapówki, świadczył o jego pewności.

Gwenda w pewnym sensie sama była sobie winna: harowała ponad siły, żeby Wulfric zebrał plon, w płonnej nadziei, że chłopak uświadomi sobie, iż będzie dla niego lepszą żoną niż Annet. Przez całe lato kopałam sobie grób, myślała, zmierzając przez cmentarz do kościoła. A jednak gdyby zaszła taka potrzeba, zrobiłaby to samo. Nie mogłaby patrzeć, jak męczy się sam. Cokolwiek się stanie, Wulfric zawsze będzie wiedział, że to ja stałam przy jego boku. To było jej małe pocieszenie.

Większość mieszkańców wioski już czekała w kościele. Nathan nie musiał ich zachęcać, pragnęli być wśród pierwszych, którzy złożą uszanowanie nowemu lordowi, i chcieli zobaczyć, jak wygląda: czy jest młody, czy stary, brzydki czy przystojny, radosny czy zgorzkniały, mądry czy głupi, a co najważniejsze - dobry czy okrutny. Wszystkie jego cechy będą miały wpływ na ich życie dopóty, dopóki pozostanie lordem. A to mogły być lata lub dziesiątki lat. Jeśli okaże się rozsądny, może uczynić wiele, by Wigleigh była szczęśliwą i zamożną wioską. Jeśli okaże się durniem, podejmie nieroztropne decyzje i wyda niesprawiedliwe wyroki, będzie nakładał wyniszczające podatki i surowe kary. Jedną z jego pierwszych decyzji będzie dotyczyła spadku Wulfrica.

Gwar rozmów ucichł i dało się słyszeć pobrzękiwanie końskiej uprzęży. Gwenda usłyszała głos Nathana, cichy i służalczy, a później władcze słowa nowego lorda. Pomyślała, że jest roslym mężczyzną, młodym, ale pewnym siebie. Spojrzenia wszystkich skierowały się na drzwi.

Gwenda otworzyła usta z przerażenia. »

Mężczyzna, który wszedł do kościoła, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Nosił kosztowny wełniany kaftan, a do pasa przypiął miecz i sztylet. Był wysoki, a jego twarz wyrażała dumę. Wyglądało na to, że cieszy się, iż został lordem Wigleigh, lecz w jego wyniosłym spojrzeniu była odrobina niepewności. Miał ciemne falujące włosy i regularne rysy zeszczone złamanym nosem.

Był to Ralph Fitzgerald.

⋮

Pierwsze posiedzenie sądu Ralph wyznaczył na najbliższą niedzielę.

Wulfric wpadł w przygnębienie. Gwendzie chciało się płakać, ilekroć na niego spojrzała. Chodził zgarbiony, ze spuszczonego wzrokiem. Przez całe lato pracował niestrudzenie, bez słowa skargi, niczym koń przy pługu, teraz jednak wyglądał na bardzo zmęczonego. Zrobił wszystko, co mężczyzna może zrobić, lecz jego los oddano w ręce człowieka, który go nienawidzi.

Gwenda chciała powiedzieć coś, co dałoby mu nadzieję i go rozweseliło, ale podzielała jego pesymizm. Lordowie często bywali małostkowi i mściwi, nic nie wskazywało na to, że Ralph okaże się wielkoduszny. Jako dziecko był głupi i brutalny. Nigdy nie zapomniała, że zastrzelił z łuku jej psa.

Nie było po nim widać, że stał się lepszy. Wprowadził się do dworu ze swoim zausznikiem, tęgim młodym giermkim Alanem Fernhillem. Pili najlepsze wino, jedli kurczaki i z typową dla swojej

klasy lekkomyślnością łapali za piersi służące.

Zachowanie Nathana Reeve'a potwierdzało jej obawy - rządcą nie próbował negocjować wyższej łapówki, co jednoznacznie świadczyło o tym, że spodziewa się odmowy.

Annet również źle oceniała szanse Wulfrica. Gwenda zauważyła wyraźną zmianę w jej zachowaniu. Nie przekrzywiała już wesoło głowy, nie kręciła biodrami, a jej perlisty śmiech nie rozbrzmiewał już tak często. Gwenda miała nadzieję, że Wulfric nie dostrzega różnicy, i bez tego był wystarczająco zmartwiony. Zaczął jednak wcześniej wracać wieczorem z domu Perkina, a po powrocie był małomówny.

Zdziwiła się więc w niedzielę rano, gdy okazało się, że Wulfric ma jeszcze odrobinę nadziei. Po zakończeniu mszy ojciec Gaspard ustąpił miejsca lordowi Ralphowi. Gwenda zobaczyła, że wargi Wulfrica się poruszają. Pewnie modlił się o łaskę swojej ulubionej świętej, Dziewicy Maryi.

W kościele zgromadzili się wszyscy mieszkańcy wioski, nawet Joby i Ethna. Gwenda nie stała z rodzicami. Rozmawiała czasem z matką, ale tylko wtedy, gdy ojca nie było w pobliżu. Policzek Joby'ego znaczyła czerwona plama w miejscu, które Gwenda oparzyła płonąca szczapą. Nigdy nie patrzył jej w oczy. Wciąż się go bała, lecz wyczuła, że on także jej się obawia.

Ralph zasiadł na dużym drewnianym krześle, spoglądając na poddanych okiem kupca na targu bydła. Tego dnia miano podać do wiadomości szereg rozporządzeń. Nathan zamierzał ogłosić, który z wieśniaków którego dnia tygodnia ma odrabiać pańszczyznę na ziemi należącej do lorda. Nie przewidywano dyskusji. Najwyraźniej Ralph nie zamierzał być spolegliwym zarządcą.

Były także inne sprawy, którymi Nathan zajmował się każdego tygodnia: do poniedziałku wieczorem miano zebrać pokłosie na polu Hundredacre, aby bydło mogło się tam paść od wtorku rano, jesienna orka na Longfield zaś miała się rozpocząć w środę. Zwykle rozmawiano by o tych planach, co wymowniejsi wieśniacy proponowaliby inne ustalenia, jednak dzisiaj wszyscy milczeli, chcąc przyjrzeć się dokładnie nowemu lordowi.

Najważniejszą decyzję Nathan ogłosił w zadziwiająco rzeczowy sposób, jakby oznajmiał kolejny punkt dotyczący prac polowych:

- Wulfric nie będzie mógł odziedziczyć ziemi ojca, bo ma tylko szesnaście lat.

Gwenda spojrzała na Ralpa, który usiłował powstrzymać triumfalny uśmiech. Jego ręka powędrowała do złamanego nosa. Gwenda pomyślała, że robi to nieświadomie.

- Lord Ralph zastanowi się, co zrobić z ziemią, i w odpowiednim czasie podejmie decyzję - dodał Nathan.

Wulfric jęknął tak głośno, że wszyscy usłyszeli. Spodziewał się tego, lecz przepełniła go gorycz. Odwrócił się tyłem do ludzi zgromadzonych w kościele, ukrywając twarz, i oparł się o ścianę,

żeby nie upaść.

- To wszystko na dzisiaj - zakończył Nathan.

Ralph wstał i ruszył wolno nawą, spoglądając na przybitego Wulfrica. Co z niego będzie za lord, skoro już na samym początku wykorzystał swoją władzę, by się zemścić? Nathan podązał za Ralphem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wiedział, że stała się niesprawiedliwość. Po ich wyjściu w kościele rozległ się szmer rozmów. Gwenda w milczeniu patrzyła na Wulfrica.

Odwrócił się, a na jego twarzy malował się ból. Szukał wzrokiem Annet. Jej twarz wykrzywiła złość. Gwenda spodziewała się, że spojrzy na Wulfrica, lecz ona wyraźnie unikała jego wzroku. Co dzieje się w jej głowie?

Annet ruszyła w stronę drzwi z wysoko uniesioną głową. Perkin i reszta rodziny poszli za nią. Czyżby nie chciała nawet się do niego odezwać?

Wulfric chyba pomyślał o tym samym.

- Annet, zaczekaj!

W kościele zrobiło się cicho.

Annet się odwróciła, a Wulfric stanął przed nią.

- Weźmiemy ślub, prawda?

Gwenda wzdrygnęła się, słysząc błagalny ton w jego głosie. Annet długo na niego patrzyła, jakby chciała coś powiedzieć, lecz milczała.

- Lordowie potrzebują dobrych kmieci do uprawiania ziemi - dodał Wulfric. - Może Ralph da mi mniejszy kawałek...

- Złamałeś mu nos - odparła szorstko Annet. - Niczego ci nie da. Gwenda przypomniała sobie, jaka zadowolona była Annet, kiedy dwaj mężczyźni się o nią bili.

- Więc będę parobkiem. Jestem silny, pracy mi nie zabraknie.

- Ale przez całe życie będziesz biedny. Tylko tyle możesz mi dać?

- Będziemy razem, tak jak marzyliśmy wtedy, w lesie. Powiedziałas mi, że mnie kochasz, pamiętasz?

- Jakie będę miała życie jako żona parobka bez ziemi? - spytała gniewnie Annet. - Powiem ci.

Podniosła rękę i wskazała matkę Gwendy, która stała z Jobym i trójką małych dzieci.

- Będę taka jak ona, z twarzą pomarszczoną od zmartwień, chuda jak szczapa.

Joby poczuł się dotknięty. Machnął kikutem ręki w stronę Annet.

- Uważaj, co mówisz, ty zarozumiała smarkulo. Perkin stanął przed córką i wykonał pojednawczy gest.

- Nie gniewaj się, Joby, dziewczyna jest przygnębiona, nie chciała nikogo urazić.

- Z całym szacunkiem dla Joby'ego, ale ja nie jestem taki jak on - powiedział Wulfric.

- Ależ jesteś! - odparła Annet. - On nie ma ziemi, dlatego jest biedny. Ty będziesz biedny z tego samego powodu. Twoje dzieci będą głodne, a żona wynędzniała.

Była to prawda. W ciężkich czasach bezrolni biedacy cierpieli najbardziej. Zwolnienie parobków było najprostszym sposobem na zaoszczędzenie pieniędzy. Mimo to Gwendzie nie mieściło się w głowie, że kobieta może odrzucić szansę spędzenia życia z Wulfrikiem.

A to właśnie zamierzała uczynić Annet. Wulfric także to zrozumiał.

- Już mnie nie kochasz? - zapytał błagalnym tonem. Stracił całą godność i wyglądał żałośnie. Mimo to w tej chwili Gwenda kochała go jak nigdy dotąd.

- Nie najem się miłością - rzuciła Annet i wyszła z kościoła.

Dwa tygodnie później odbył się ślub Annet z Billym Howardem.

Gwenda poszła na wesele tak samo jak wszyscy w wiosce z wyjątkiem Wulfrica. Mimo że zbiory były kiepskie, podano dużo jedzenia. Małżeństwo doprowadziło do zjednoczenia dwóch największych gospodarstw: stu akrów Perkina i czterdziestu Billy'ego. Ponadto Perkin zwrócił się do Ralpha, żeby ten przekazał mu schedę Wulfrica. Jeśli Ralph się zgodzi, dzieci Annet odziedziczą niemal pół wioski. Ralph wyjechał do Kingsbridge, obiecawszy, że podejmie decyzję zaraz po powrocie.

Perkin otworzył beczkę najmocniejszego piwa uwarzonego przez żonę i ubił krowę. Gwenda jadła i piła do syta. Mając tak niepewne widoki na przyszłość, nie mogła sobie pozwolić na rezygnację z uczty.

Bawiła się z siostrzyczkami Cathie i Joanie w rzucanie i łapanie drewnianej kulki, potem wzięła na kolana małego Erica i śpiewała mu piosenki. W pewnej chwili przysiadła się do niej matka.

- Co będziesz teraz robiła?

Gwenda nie pogodziła się jeszcze w duchu z matką. Nie mogła zapomnieć, że Ethna wybaczyła Joby'emu. Mimo to odpowiadała na zadawane z troską pytania.

- Będę mieszkała w stodole Wulfrica jak długo się da. Może zostanę tam na zawsze.

- A jeśli Wulfric się wyprowadzi, odejdzie z wioski?

- Nie wiem.

Na razie Wulfric wciąż pracował na polach - orał i bronował rżysko na ziemi, która należała kiedyś do jego rodziny, a Gwenda mu pomagała. Nathan wypłacał im dzienną stawkę jak parobkom, gdyż nie mogli liczyć na to, że dostaną część następnych zbiorów. Zależało mu na tym, by zostali, bo ziemia szybko by zdziczała. Będą pracowali, dopóki Ralph nie ogłosi, kto zostanie następnym dzierżawcą. Wtedy będą musieli zatrudnić się jako parobkowie.

- Gdzie jest teraz Wulfric?
- Pewnie nie ma ochoty świętować tego ślubu.
- Co on do ciebie czuje?

Gwenda posłała matce szczere spojrzenie.

- Mówi, że jestem najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miał.
- Co to znaczy?
- Nie wiem. Ale chyba nie to, że mnie kocha, prawda?
- Tak. Na pewno nie to.

Gwenda usłyszała muzykę. Aaron Appletree grał na dudach, biegając po skali w górę i w dół. Zobaczyła, że Perkin wychodzi z domu z bębenkami przytroczoneymi do paska. Za chwilę zaczną się tańce.

Nie miała ochoty tańczyć. Mogła porozmawiać ze starszymi kobietami, ale one pytałyby ją o to samo co matka, a Gwenda nie chciała spędzić reszty dnia, opowiadając o swoim beznadziejnym położeniu. Przypomniała sobie poprzednie wesele w wiosce. Wulfric trochę się upił, pisał wielkimi susami, obejmując wszystkie kobiety, lecz mimo to okazywał szczególne względy Annet. Bez niego dla Gwendy nie było zabawy. Oddała Erica matce i odeszła. Skip został, wiedząc, że takie przyjęcie oznacza dla niego mnóstwo smacznych kąsków.

Zajrzała do domu Wulfrica, licząc po trosze na to, że go tam zastanie, lecz izba była pusta. Był to mocny dom z belek, ale bez komina, bo na takie luksusy mogli sobie pozwolić tylko bogacze. Gwenda zajrzała do pomieszczeń na górze i na dole. Wszędzie panował taki sam ład i porządek jak za życia matki Wulfrica, ale tylko dlatego, że chłopak korzystał z jednej izby. Jadł i spał w kuchni. Było zimno i nieprzytulnie. Tak wyglądał dom rodzinny bez rodziny.

Poszła do stodoły zapełnionej sianem na paszę oraz snopami jęczmienia i owsa czekającymi na młóckę. Wdrapała się po drabinie do sásieka i położyła na sianie. Po chwili zasnęła.

Kiedy się obudziła, było już ciemno. Nie wiedziała, która jest godzina. Wyszła na zewnątrz i spojrzała w niebo. Spoza pasemek chmur wyglądał nisko wiszący księżyc. Gwenda obliczyła, że jest najwyżej godzina albo dwie po północy. Stojąc przy wrotach stodoły, na wpół śpiąca, usłyszała łkanie.

Od razu wiedziała, że to Wulfric. Widziała już Araz, jak płakał na widok ciał rodziców i brata na posadzce katedry w Kingsbridge. Szlochał tak, jakby płacz wydobywał się z głębi jego piersi. Łzy napłynęły Gwendzie do oczu, gdy go słuchała.

Po chwili weszła do domu.

Zobaczyła go w blasku księżyca. Leżał twarzą do ziemi na słomie, jego plecy się unosiły. Musiał usłyszeć, jak podnosi zapadkę, lecz był zbyt przygnębiony, by się tym przejąć. Nie uniósł

głowy.

Gwenda uklękła przy nim i ostrożnie dotknęła jego gęstych włosów. Wulfric nie zareagował. Bardzo rzadko go dotykała, a pogłaskanie po włosach było nieznaną rozkoszą. Dotyk jakby go ukoił, bo szlochanie ustało.

Po chwili Gwenda ośmieliła się położyć koło niego. Była pewna, że ją odepchnie, lecz tego nie zrobił. Odwrócił się do niej z zamkniętymi oczyma. Rękawem otarła mu łzy z twarzy. Cieszyła się niezmiernie, że jest tak blisko i że może sobie pozwolić na te drobne pieszczoty. Pragnęła pocałować jego powieki, ale to mogłoby być za dużo, więc się powstrzymała.

Chwilę później zrozumiała, że Wulfric usnął.

Ucieszyła się. Znaczyło to, że czuje się przy niej swobodnie, i że może przy nim zostać przynajmniej do chwili, gdy się zbudzi.

Była jesień, w powietrzu panował chłód. Kiedy oddech Wulfrica stał się spokojny i regularny, wstała po cichutku, zdjęła koc z haczyka na ścianie i przykryła go nim. Wulfric spał spokojnie.

Mimo chłodu ściągnęła sukienkę i położyła się przy nim nago, układając koc tak, by przykrył ich oboje.

Przysunęła się i oparła policzek o pierś Wulfrica. Słyszała bicie jego serca i czuła powiew oddechu na czubku głowy. Ciepło jego ciała ją ogrzało. Księżyc zaszedł i w domu zapanowała całkowita ciemność. Gwenda mogłaby tak leżeć bez końca.

Nie spała, bo nie wolno było tracić tak cennego czasu. Syciła się każdą chwilą, wiedząc, że może się już nigdy nie powtórzyć. Dotknęła go ostrożnie, żeby nie obudzić. Przez cienką wełnianą koszulę wyczuwała palcami mięśnie na jego szyi i plecach, żebra i biodra, łuk ramienia i wybrzuszenie łokcia.

Wulfric poruszył się we śnie kilka razy. Przewrócił się na wznak, a Gwenda oparła głowę na jego ramieniu, a rękę na płaskim brzuchu. Później odwrócił się na drugi bok, a wtedy przysunęła się bardzo blisko, dopasowując się do kształtu jego ciała; przywarła piersiami do jego szerokich pleców, biodrami do bioder, a kolana wsunęła w załamania jego kolan. Wulfric się odwrócił, zarzucając jedną rękę na jej ramiona i nogę na jej uda. Poczowała boleśnie jej ciężar, lecz smakowała ten ból świadczący o tym, że wszystko to nie jest snem.

Jemu jednak coś się śniło. W środku nocy nagle ją pocałował, wsuwając język do jej ust i łapiąc ją mocną ręką za pierś. Kiedy otarł się o nią niezdarnie, poczuła jego wzwód. Przez chwilę była zdezorientowana. Mógł ją mieć w każdej chwili, lecz taka szorstkość wcale do niego nie pasowała. Sięgnęła ręką do jego krocza i ujęła jego członek sterczący przez rozporek kalesonów. Wtedy Wulfric przewrócił się nagle na wznak, oddychając rytmicznie. Gwenda zrozumiała, że wcale się nie obudził i

dotykał jej przez sen. Na pewno śni o Annet, pomyślała ze smutkiem.

Gwenda nie spała, tylko śniła na jawie. Wyobraziła sobie, że przedstawia ją komuś, mówiąc: „To jest moja żona Gwenda”. Widziała siebie w ciąży, lecz wciąż pracującą w polu. Zemdlała w samym środku dnia, a Wulfric wziął ją na ręce, zaniósł do domu i obmył jej twarz zimną wodą. Później był stary i bawił się z wnukami, dawał im jabłka i karmił miodem.

Wnuki? - pomyślała z goryczą. Daleko posunęła się w swoich marzeniach, skoro jedyną ich podstawą było to, że pozwolił jej otoczyć się ramieniem, kiedy szlochał z rozpaczy.

Zbliżał się świt i wizyta Gwendy w raju miała się niebawem skończyć. Wulfric się poruszył, rytm jego oddechu uległ zmianie. Obrócił się na plecy. Ręka Gwendy wciąż spoczywała na jego piersi, a jej dłoń pod jego pachą. Po chwili wyczuła, że Wulfric obudził się i nad czymś się zastanawia. Leżała nieruchomo, bojąc się, że jeśli coś powie albo się poruszy, czar pryśnie.

Wulfric powoli odwrócił się do niej. Objął ją, poczuła jego dłoń na plecach. Pogłaskał ją, lecz nie wiedziała, co ta pieszczota oznacza. Badał ją, jakby dziwiło go to, że jest naga. Jego ręka powędrowała w górę do jej szyi, a później w dół do łuku jej biodra.

Potem przemówił szeptem, jak gdyby bał się, że ktoś go podsłucha:

- Ona za niego wyszła.
- Tak - odpowiedziała szeptem Gwenda.
- Jej uczucie było słabe.
- Prawdziwa miłość nigdy nie jest słaba.

Ręka Wulfrica pozostała na biodrze Gwendy, boleśnie blisko miejsc, w których pragnęła ją poczuć.

- Czy ja kiedykolwiek przestanę ją kochać? Gwenda ujęła jego rękę i przesunęła.
- Ona ma dwie piersi takie jak te - powiedziała szeptem. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, poszła za głosem intuicji - na dobre i na złe.

Wulfric jęknął. Poczuła, że jego ręka zamyka się delikatnie najpierw na jednej, a potem na drugiej piersi.

- I ma tam włosy takie jak te - powiedziała, znów przesuwając jego dłoń. Oddech Wulfrica przyspieszył. Puściła jego rękę i wsunęła swoją pod jego koszulę. Miał wzwód. Ujęła członek w dłoń.
- Jej rękę poczułbyś tak samo.

Wulfric zaczął poruszać rytmicznie biodrami.

Gwenda nagle się przestraszyła, że akt się skończy, zanim na dobre się zacznie. Tego nie chciała. Postawiła wszystko na jedną kartę. Pchnęła Wulfrica lekko na plecy, a potem usiadła na nim okrakiem.

- W środku jest mokra i gorąca - mówiła, opadając łagodnie. Robiła to już kiedyś, ale teraz było zupełnie inaczej, czuła się spełniona, a jednocześnie pragnęła więcej. Poruszyła się w górę, gdy opadł, i w dół, kiedy on pchnął biodrami. Zbliżyła twarz do jego twarzy i pocałowała w otoczone zarostem usta.

Wulfric przytrzymał jej głowę i odwzajemnił pocałunek.

- Ona cię kocha - szepnęła Gwenda. - Bardzo cię kocha.

Wulfric krzyknął z rozkoszy, Gwenda zakotyssała się w górę i w dół, jakby dosiadała dzikiego konia. Poczwała, że dochodzi.

- Ja też cię Kocham! - wykrzyknął. - Kocham cię, Annet!

28

Wulfric znów zasnął, ale Gwenda leżała z otwartymi oczami. Była zbyt szczęśliwa, by spać. Wiedziała, że zdobyła jego miłość. Nieważne, że trochę udawał, iż jest z Annet. Kochał się z nią z pożądaniem, a później pocałował ją z czułością i wdzięcznością. Czuła, że należy do niej na zawsze.

Kiedy jej serce zwolniło, a umysł się uspokoił, pomyślała o schedzie Wulfrica. Nie zamierzała z niej zrezygnować, zwłaszcza teraz. Świtało, a ona myślała usilnie, jak uratować jego ziemię.

- Idę do Kingsbridge - powiedziała, gdy Wulfric się obudził.

- Dlaczego? - spytał przestraszony.

- Chcę sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób, byś mógł odziedziczyć swoją schedę.

- Jak chcesz to zrobić?

- Nie wiem, ale Ralph jeszcze nikomu nie przydzielił ziemi, więc nadal jest szansa. A ty na nią zasługujesz, ciężko pracowałeś i wiele wycierpiełeś.

- Do kogo pójdziesz?

- Do mojego brata Philemona. On rozumie te sprawy lepiej niż my. Będzie wiedział, co trzeba zrobić.

Wulfric popatrzył na nią dziwnie.

- Co się stało? - spytała Gwenda.

- Ty mnie naprawdę kochasz, prawda? Gwenda uśmiechnęła się radośnie.

- Zróbmy to jeszcze raz.

Nazajutrz rano siedziała na kamiennej ławce koło ogródka warzywnego przy klasztorze i czekała na Philemona. W czasie długiego marszu z Wigleigh przeżywała od nowa każdą sekundę niedzielnej nocy, przypominała sobie rozkosz i rozważała słowa, które padły. Wulfric nie wyznał jej miłości, ale powiedział: „Ty mnie naprawdę kochasz”. Cieszył się z jej uczucia, choć jego siła trochę go zdumiewała.

Gwenda bardzo chciała odzyskać jego schedę. Pragnęła tego niemal tak bardzo jak Wulfrica. Pragnęła jej dla nich obojga. Nawet gdyby był bezrolnym parobkiem takim jak jej ojciec, wyszłaby za niego, gdyby mogła. Chciała jednak czegoś więcej dla nich obojga i była zdecydowana to uzyskać.

Philemon wyszedł z klasztoru, żeby się z nią przywitać. Gwenda zobaczyła, że ma na sobie habit nowicjusza.

- Holgerze, ty jesteś nowicjuszem! - powiedziała zaskoczona, używając prawdziwego imienia brata. - Masz to, czego zawsze pragnąłeś.

Philemon uśmiechnął się z dumą, wielkodusznie darując siostrze lapsus.

- To była jedna z pierwszy decyzji Godwyna, gdy został przeorem. Wspaniały z niego człowiek. Jestem zaszczycony, mogąc mu służyć.

Usiadł na ławce. Był jesienny dzień, pochmurny, ale bez deszczu.

- Jak ci idzie nauka?

- Powoli. Trudno jest nauczyć się czytać i pisać w dorosłym wieku. - Philemon się skrzywił. - Mali chłopcy robią większe postępy niż ja. Ale umiem już przepisać Ojciec nasz po łacinie.

Gwenda mu zazdrościła. Ona nie umiała napisać nawet swojego nazwiska.

- To wspaniale.

Jej brat był na najlepszej drodze, by spełnić swoje życiowe marzenie i zostać mnichem. Może duma z bycia nowicjuszem złagodzi poczucie braku wartości, które - była tego pewna - w dużej mierze tłumaczyło to, że był fałszywy i podstępny.

- A co słysząc u ciebie? Dlaczego przybyłaś do Kingsbridge?

- Wiesz o tym, że Ralph Fitzgerald został lordem Wigleigh?

- Tak. Przyjechał do miasta, mieszka w karczmie Bella i sobie używa.

- Nie pozwolił Wulfricowi odziedziczyć ziemi ojca. - Gwenda opowiedziała bratu całą historię. - Chcę się dowiedzieć, czy można cofnąć tę decyzję.

Philemon pokręcił głową.

- Powiem ci krótko: nie. Wulfric mógłby, rzecz jasna, zwrócić się do hrabiego Shiring i poprosić o zmianę orzeczenia Ralpa, ale hrabia nie zrobi czegoś takiego, jeśli nie będzie miał w tym interesu. Nawet jeśli uzna decyzję za niesprawiedliwą - bo taka ona jest bez najmniejszych wątpliwości - nie będzie podważał autorytetu nowo mianowanego przez siebie lorda. Ale dlaczego ty interesujesz się tą sprawą? Myślałem, że Wulfric ma się ożenić z Annet.

- Kiedy Ralph ogłosił swoją decyzję, Annet rzuciła Wulfrica i wyszła z Billy'ego Howarda.

- I teraz masz u Wulfrica szansę?

- Tak myślę - odparła Gwenda, czerwieniąc się.

- Skąd wiesz? - spytał przenikliwie Philemon.

- Wykorzystałam go - wyznała dziewczyna. - Był załamany po ślubie Annet, a ja przyszedłam do jego łóżka.

- Nie zamartwiaj się. My, którzy urodziliśmy się w biedzie, musimy uciekać się do podstępów, by zdobyć to, czego pragniemy. Skrupuły są dla bogatych i uprzywilejowanych.

Gwendzie nie podobało się, że Philemon tak mówi. Czasem miała wrażenie, że w jego mniemaniu każdy postępek da się wytłumaczyć trudnym dzieciństwem. Była jednak zbyt rozczarowana, by się tym martwić.

- Czy naprawdę nie mogę nic zrobić?

- Och, tego nie powiedziałem. Mówiłem, że decyzji nie sposób podważyć. Ale można przekonać Ralpa.

- Mnie na pewno się to nie uda.

- Kto wie? Może poszłabyś do Caris^A kuzynki Godwyna? Przyjaźnicie się od dziecka. Pomoże ci, jeśli będzie mogła. Jest blisko związana z bratem Ralpa, Merfhinem. Może on coś wymyśli.

Lepsza była taka nadzieja niż żadna. Gwenda wstała.

- Pójdę do niej od razu.

Nachyliła się, żeby ucałować brata na pożegnanie, lecz nagle przypomniała sobie, że mnichom nie pozwala się na tak bliskie kontakty. Zamiast tego uściśnęła mu rękę, co wydało jej się dziwne.

- Będę się za ciebie modlił - obiecał Philemon.

Dom Caris stał naprzeciwko bram klasztoru. W jadalni nikogo nie było, lecz Gwenda usłyszała głosy w salonie, w którym Edmund zwykle załatwiał interesy. Kucharka Tutty powiedziała Gwendzie, że Caris jest z ojcem. Gwenda usiadła i zaczęła przytupywać niecierpliwie nogą, lecz po kilku minutach drzwi się otworzyły.

Edmund wyszedł w towarzystwie mężczyzny, którego Gwenda nie знаła. Był wysoki i miał szerokie nozdrza, nadające jego twarzy wyniosły wyraz. Nosił czarny habit mnicha, lecz bez krzyża czy innego świętego symbolu. Edmund skinął przyjaźnie głową Gwendzie na powitanie.

- Odprowadzę cię do klasztoru - rzekł do nieznajomego. Caris objęła Gwendę.

- Co to za człowiek? - zapytała Gwenda, gdy mężczyźni wyszli.

- Nazywa się Gregory Longfellow i jest adwokatem wynajętym przez opata Godwyna.

- Wynajętym do czego?

- Hrabia Roland zakazał mnichom wydobywania kamieni z kamieniołomu. Zamierza nałożyć podatek od ładunku furmanek. Godwyn chce się zwrócić ze skargą do króla.

- Bierzesz w tym udział?

- Zdaniem Gregory'ego musimy stwierdzić, że bez mostu miasto nie będzie w stanie płacić podatku. Mówi, że to najlepszy sposób przekonania króla. Mój ojciec pojedzie z Godwynem, by zeznawać przed królewskim trybunałem.

- Ty też jedziesz?

- Tak. Ale powiedz, dlaczego tu jesteś?

- Spałam z Wulfrikiem. Caris się uśmiechnęła.

- Naprawdę? Nareszcie! I jak było?

- Cudownie. Leżałam przy nim przez całą noc, kiedy spał, a gdy się obudził... przekonałam go.

- Opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

Gwenda zrelacjonowała Caris całą historię. Nie mogła się jednak doczekać, kiedy wyjawí prawdziwy cel swojej wizyty. Mimo to powiedziała:

- Zdaje mi się, że masz takie same nowiny. Caris skinęła głową.

- Kochałam się z Merthinem. Powiedziałam mu, że nie chcę wychodzić za mąż, a on poszedł się zobaczyć z tą tłustą krową Bessie Bell. Rozzłościłam się, że Bessie będzie mu podsuwała swoje wielkie cycki. Gdy wrócił, tak się ucieszyłam, że musiałam to z nim zrobić.

- Podobało ci się?

- Było wspaniale. To najlepsza rzecz, jaką znam. I za każdym razem jest przyjemniej. Robimy to przy każdej okazji.

- A jeśli zajdziesz w ciążę?

- Nawet o tym nie myślę. Nie obchodzi mnie, czy umrę. Kiedyś... - Caris zniżyła głos.

- Wykąpaliśmy się w sadzawce w lesie, a potem Merthin całował mnie... tam na dole.

- To okropne! I jak było?

- Przyjemnie. Jemu też się spodobało.

- Ale nie odpłaciłaś mu tym samym?

- Tak.

- Czy on... Caris skinęła głową.

- W moich ustach.

- Smakowało okropnie? Caris wzruszyła ramionami.

- Trochę dziwnie... ale to takie podniecające. I Merthinowi było bardzo przyjemnie. Gwenda była zaszokowana, ale także zaintrygowana. Może powinniśmy to zrobić z

Wulfrikiem? Znała miejsce, w którym mogliby się wykąpać, strumień w lesie, z dala od dróg...

- Ale nie przyszedł specjalnie po to, by opowiedzieć mi o Wulfricu.

- Chodzi o jego schedę. - Gwenda opowiedziała o decyzji Ralpa. - Philemon uważa, że Merthin mógłby przekonać Ralpa, by ją zmienił.

Caris pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Wątpię. Oni się pokłócili.

- O nie!

- To Ralph przyjechał, by uniemożliwić furmankom wyjazd z kamieniołomu. Niestety, Merthin akurat tam był. Doszło do walki. Ben Wheeler zabił jednego z tych łotrów, a Ralph zabił Bena.

Gwenda otworzyła usta.

- Ależ Ben ma dwuletnie dziecko!

- Mały Bennie stracił ojca.

Gwenda była wstrząśnięta, współczuła Lib.

- A więc na wpływy brata nie można liczyć.

- Mimo to chodźmy porozmawiać z Merthinem. Pracuje dzisiaj na Wyspie Trędowatych.

Dziewczęta wyszły z domu i ruszyły główną ulicą w stronę rzeki. Gwendę ogarnęła rezygnacja. Wszyscy uważali, że ma znikome szanse. Bolała ją ta niesprawiedliwość. Ian Boatman przewiózł je na wyspę. Caris wyjaśniła przyjaciółce, że zamiast starego mostu będą dwa nowe z wyspą pośrodku.

Zastały Merthina z czternastoletnim pomocnikiem Jimmiem. Wyznaczali miejsce na przyczółek nowego mostu. Merthin posługiwał się miarką, którą była żelazna tyczka długości wzrostu dwóch mężczyzn. Wbijał młotem zastrzone pale w kamienisty grunt, zaznaczając miejsce przyszłych fundamentów.

Caris i Merthin pocałowali się na powitanie. Istniała między nimi słodka intymność, której kiedyś nie było. Gwenda czuła się tak samo przy Wulfricu. Jego ciało było nie tylko przedmiotem pożądania, ale należało do niej, zupełnie jak jej własne.

Dziewczęta obserwowały pracę Merthina, który połączył dwa pale sznurkiem i kazał Jimmiemu spakować narzędzia.

- Bez kamienia pewnie niewiele możesz zrobić - zauważyła Gwenda.

- Możemy poczynić niektóre przygotowania. Wszystkich murarzy posłałem do kamieniołomu. Obrabiają kamienie tam, zamiast robić to tu, na budowie. Szykujemy zapas.

- A więc jeśli wygracie sprawę w sądzie, będziesz mógł od razu zacząć.

- Taką mam nadzieję. Wszystko zależy od tego, jak długo potrwa rozprawa, no i od pogody.

Nie możemy budować w środku zimy, bo cement może zamarznąć. Jest już październik. Zwykle przerywamy w połowie listopada. - Merthin spojrzał w niebo. - Może w tym roku będziemy mieli więcej czasu. Deszczowe chmury sprawiają, że ziemia jest ciepła.

Gwenda powiedziała mu o swoich kłopotach.

- Chciałbym ci pomóc - odparł Merthin. - Wulfric to porządny człowiek, do bójki doszło wyłącznie z winy Ralpa. Ale poróżniłem się z bratem. Zanim poprosiłbym go o przysługę, musiałbym się z nim pogodzić, a nie mogę mu wybaczyć, że zabił Bena Wheelera.

To była trzecia negatywna odpowiedź, jaką Gwenda usłyszała tego dnia. Może popełniła błąd, przychodząc do Kingsbridge?

- Będziesz musiała zrobić to sama - stwierdziła Caris.

- Otóż to - odparła zdecydowanie Gwenda. Czas przestać prosić innych o pomoc i zacząć liczyć na siebie. Tak właśnie postępowała przez całe życie. - Ralph jest w mieście, prawda?

- Tak - potwierdził Merthin. - Przyjechał, by przekazać rodzicom dobrą nowinę o swoim awansie. Są jedynymi ludźmi w mieście, którzy się z tego cieszą.

- Ale Ralph nie zatrzymał się w ich domu.

- Jest teraz na to zbyt ważny. Zamieszkał u Bella.

- Jak najlepiej go przekonać? Merthin się zamyślił.

- Ralph bardzo przeżywa upokorzenie naszego ojca, który był rycerzem, a został pensjonariuszem klasztoru. Zrobi wszystko, by nie skończyć tak jak on.

Gwenda myślała o słowach Merthina, siedząc w łodzi lana Boatmana. Jak przedstawić swoją sprawę tak, by Ralph dostrzegł w niej sposób na poprawienie swojej pozycji?

W południe szła z Caris i Merthinem główną ulicą. Młody budowniczy udawał się na obiad do Caris, która zaprosiła również Gwendę. Ta jednak chciała jak najrychlej zobaczyć się z Ralphem, pospieszyła więc do karczmy Bella.

Pomocnik karczmarza powiedział jej, że Ralph mieszka w najlepszym pokoju. Większość gości zajmowała wspólną sypialnię. Ralph podkreślał swoją nową pozycję, zajmując cały pokój. Zapłacił za niego z pieniędzmi, które wieśniacy z Wigleigh zarobili na nędznych żniwach, pomyślała z goryczą Gwenda.

Zapukała do drzwi i weszła do środka.

Ralph był ze swoim giermkiem Alanem Fernhillem, osiemnastolatkiem o szerokich barach i małej głowie. Na stole stał dzban piwa i leżał bochenek chleba oraz poćć gorącej wołowiny. Ralph i Alan kończyli obiad i wyglądali na bardzo zadowolonych z życia. Gwenda miała nadzieję, że nie są zbyt pijani, gdyż mężczyźni w tym stanie nie potrafią rozmawiać z kobietą, robią tylko sprośne żarty i

śmieją się rubasznie.

Ralph spojrział na Gwendę. W izbie panował półmrok.

- Ty jesteś jedną z moich poddanych, zdaje się?

- Nie, panie, ale chciałabym nią być. Nazywam się Gwenda, mój ojciec, Joby, jest bezrolnym parobkiem.

- Co robisz tak daleko od wioski? Dzisiaj nie jest dzień targowy. Gwenda podeszła bliżej, żeby lepiej widzieć twarz Ralpa.

- Panie, przyszedłam w sprawie Wulfrica, syna zmarłego Samuela. Wiem, że kiedyś okazał ci brak szacunku, ale potem spadły na niego nieszczęścia jak na

Hioba. Jego rodzice i brat zginęli, gdy zawalił się most, stracił całą rodzinę a teraz jego narzeczona wyszła za innego. Nie sądzisz, panie, że Pan Bóg ukarał go już surowo za krzywdę, jaką ci wyrządził? Może nadszedł czas, byś okazał mu łaskę. - Pamiętając o radzie Merthina, Gwenda dodała:

- Łaskę, którą okazałby każdy prawdziwy szlachcic. Ralph beknął głośno.

- Co cię obchodzi spadek Wulfrica?

- Kocham go, panie. Mam nadzieję, że teraz, gdy Annet go odrzuciła, ożeni się ze mną. Za twoim pozwoleniem, oczywiście.

- Podejdź bliżej.

Gwenda zrobiła kilka kroków i stanęła przed Ralphem. Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

- Ładna to ty nie jesteś - stwierdził. - Ale coś w sobie masz. Jesteś dziewczyną?

- Panie, ja...

- A więc nie - zaśmiał się Ralph. - Spałaś już z Wulfrikiem?

- Nie!

- Kłamczucha. - Ralph uśmiechnął się z zadowoleniem. - Co by było, gdybym mimo wszystko pozwolił mu odziedziczyć ziemię po ojcu? Może powinienem? Co by się stało?

- Wigleigh i cały świat uważałby cię za prawdziwego szlachcica.

- Świata to nie obchodzi. A ty byłabyś mi wdzięczna? Gwenda poczuła z przerażeniem, że wie, do czego Ralph zmierza.

- Głęboko wdzięczna.

- A jak byś tę wdzięczność okazała? Gwenda cofnęła się w stronę drzwi.

- Tak, jak mogłabym to zrobić, nie wstydząc się.

- Zdjęłabyś sukienkę? Dziewczyna spuściła głowę.

- Nie, panie.

- A więc twoja wdzięczność nie byłaby zbyt wielka. Gwenda położyła rękę na klamce, ale nie wyszła.

- O co mnie prosisz, panie?

- Chcę cię zobaczyć naga. Wtedy postanowię.

- Tutaj?

- Tak.

Gwenda spojrzała na Alana.

- Przy nim?

- Tak.

Cena nie wydawała się zbyt wygórowana, zważywszy na to, że Wulfric odzyskałby swoją schedę.

Gwenda szybko rozwiązała pasek i ściągnęła sukienkę przez głowę. W jednej ręce trzymała sukienkę, a drugiej nie odrywała od klamki. Spojrzała wyzywająco na Ralpha, ten zaś pożerał chciwym wzrokiem jej ciało, rzucając towarzyszeni triumfalny uśmiech. Gwenda zauważyła, że bardziej niż o cokolwiek innego chodzi mu o pokazanie, że on tu jest panem.

- Brzydka krowa, ale z ładnymi cyckami - orzekł Ralph.

- Co ty na to?

- Niewdrapałbym się na nią, żeby skoczyć ci na kark - odparł Alan. Ralph parsknął śmiechem.

- Czy teraz spełnisz moją prośbę? - spytała Gwenda. Ralph położył rękę na kroczu i zaczął się głaskać.

- Połóż się ze mną. Na tym łóżku.

- Daj spokój, robiłaś to już z Wulfrikiem, nie jesteś dziewicą.

- Pomyśl o ziemi. Dziewięćdziesiąt akrów, cała scheda po ojcu.

Jeśli chodzi o marzenie Wulfrica się spełni i będziemy mogli żyć w dostatku, poSaa Gw7nda. Teśli odmówi, Wulfric pozostanie bezrohiym parobkiem SjakJ^Aojciec. Choćby nie wiem jak się starał, nigdy me zdoła zarobić tyle.

Ralph był łajdakiem, tak różnym od swojego brata. To że był rośły i przystojny, S zmieniało To obrzydliwe, położyć się z kimś, kogo się tak nienawidzi wSorai soła z Wulfrikiem, a to sprawiało, że seks z Ralphem wydawał jej sięTeszSaSe] oAchający. Po «Ly pełnej szczęścia i czułości perspektywa zbliżenia z innym mężczyzną wydawała się straszliwą zdradą.

Sądź głupia, powiedziała sobie. Chcesz się skazać na życie w nędzy, zęby uniS pięciu minut udreki? Pomyślała o matce i zmartym rodzeństwie. PAomnS sobie kradzieże, których dokonywała z bratem. Czy nie lepiej stać się na chwilę prostytutką, niż skazywać swoje nienarodzone dzieci na życie

w nędzy.

Milczał i było to roztropne z jego strony. Każde wypowiedziane przez niego słowo spotęgowałoby jej odrazę.

- Proszę, nie zmuszaj mnie do tego - jęknęła Gwenda.

- Z tych słów wnoszę, że masz na to ochotę.

_ To grzech - powiedziała zdesperowana. Nieczęsto używała tego słowa, ale przyszło jej do głowy, że to może go poruszyć. - Grzech, że o to prosisz, i grzech, jeśli się zgodzę.

__ Grzechy mogą zostać odpuszczone.

__ Co pomyślałby o tobie twój brat?

Ralph zawahał się przez chwilę.

- Pozwól Wulfricowi dziedziczyć.

Gwenda upuściła sukienkę i podeszła do łóżka.

- Uklęknij na materacu - rozkazał Ralph. - Tyłem do mnie. Zrobiła to.

- Z tej strony jest lepszy widok. - Alan roześmiał się głośno. Gwenda nie wiedziała, czy każe mu zostać i patrzeć. - Zostaw nas.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Ralph uklęknął za Gwenda, która zamknęła oczy i modliła się o odpuszczenie grzechu. Poczula, jak jej dotyka. Splunął, a potem wsunął w nią rękę. Po chwili w nią wszedł. Jęknęła ze wstydu.

Ralph źle zrozumiał jej reakcję.

- Podoba ci się, co?

Gwenda zastanawiała się, jak długo to potrwa. Ralph zaczął się rytmicznie poruszać. Aby było jej łatwiej, dostosowała się do jego ruchu. Zaśmiał się triumfalnie, myśląc, że to ją podnieca. Najbardziej bała się tego, że to, co robi, zepsuje jej całą radość z miłości. Czy kładąc się z Wulfrikiem, będzie o tym myślała?

Nagle przerażona poczuła, że jej łądzwie ogarnia przyjemne ciepło. Zaczerwieniła się ze wstydu. Mimo głębokiej odrazy, jaką czuła, ciało ją zdradziło. Wypełniła ją wilgoć. Ralph wyczuł zmianę i przyspieszył. Ogarnięta wstrętem do samej siebie, znieruchomiła, ale on złapał ją za biodra, przyciągając i odpychając. Nie mogła się temu oprzeć. Przypomniała sobie, że ciało w ten sam sposób zawiodło ją w lesie, gdy była z Alwynem. Wtedy, podobnie jak teraz, chciała zmienić się w drewniany posąg, nieruchoma i twardy.

Zabiła Alwyna jego własnym nożem.

Nie może zabić Ralpa, nawet gdyby cficiała, bo znajduje się za nią. Nie widziała go i nie

kontrolowała swojego ciała. Była w jego rękach. Ucieszyła się, czując, że zaczyna dochodzić. Wkrótce to się skończy. W swoich lędźwiach także poczuła napięcie. Próbowła być bezwładna i nie myśleć. To byłoby zbyt upokarzające, gdyby ona też czuła rozkosz. Ralph miał wytrysk, a ona zadrżała nie z rozkoszy, lecz z odrazy.

Westchnął, wycofał się i legł na łóżku.

Gwenda wstała i szybko włożyła sukienkę.

- Było lepiej, niż się spodziewałem - rzucił Ralph, jakby uważał, że obdarza ją komplementem.

Gwenda wyszła, trzasnąwszy drzwi.

W następną niedzielę przed mszą Nathan Reeve wszedł do domu Wulfrica.

Gwenda i Wulfric siedzieli w kuchni. Zjedli śniadanie i zamietli izbę. Wulfric cerował spodnie, a Gwenda plotła pasek ze sznurka. Siedzieli przy oknie, bo tam było widniej. Znowu padało.

Gwenda udawała, że mieszka w stodole, by nie urazić ojca Gasparda, lecz każdą noc spędzała z Wulfrikiem. Chłopak nie wspominał dotąd o ślubie, co ją rozczarowało. Jednak żyli jak mąż i żona, na modłę ludzi, którzy zamierzają wziąć ślub, gdy tylko załatwią formalności. Arystokracja i szlachta nie mogła pozwolić sobie na taką swobodę, jednak wśród kmieci przyomykano na to oko.

Obawy Gwendy okazały się słuszne: czuła się dziwnie, kochając się z Wulfrikiem. Im bardziej starała się zapomnieć o Ralphie, tym nachalniej wdzierał się w jej myśli. Na szczęście Wulfric nie zauważył zmiany jej nastroju. Kochał się z nią z taką radością i ogniem, że Gwenda prawie nie czuła wyrzutów sumienia.

Na pocieszenie miała świadomość, że odziedziczy schedę po ojcu. To wynagradzało jej wszystko. Nie mogła mu tego powiedzieć, bo wtedy musiałaby wytłumaczyć, dlaczego Ralph zmienił zdanie. Opowiedziała mu o rozmowie z Philemonem, Caris i Merthinem, a także zrelacjonowała spotkanie z Ralphem, mówiąc tylko, że obiecał się zastanowić. Wulfric miał więc nadzieję, ale jeszcze się nie cieszył.

- Macie się stawić natychmiast we dworze, oboje - oznajmił Nathan, wsuwając przez drzwi głowę mokrą od deszczu.

- Czego chce lord Ralph? - spytała Gwenda.

- Odmówisz, jeśli temat rozmowy nie przypadnie ci do gustu? - rzucił sarkastycznie Nathan. - Nie zadawaj głupich pytań, tylko się rusz.

Gwenda okryła głowę kocem. Wciąż nie miała płaszcza. Wulfric miał pieniądze ze sprzedaży ziarna i mógł jej go kupić, ale oszczędzał na spadkowe.

Dwór wyglądał jak pomniejszona wersja zamku z wielką salą jadalną i niewielkim piętrem,

gdzie znajdowała się komnata lorda. Znać było, że zamieszkują go mężczyźni bez żon: na ścianach nie wisiał ani jeden gobelin, słoma na podłodze cuchnęła, psy warczały na przybyszów, a na kredensie mysz pałaszowała okruchy.

Ralph siedział u szczytu stołu. Po jego prawej ręce zajął miejsce Alan, który przywitał Gwendę krzywym uśmiechem, a ona zrobiła wszystko, by go zignorować. Po chwili wszedł Nathan, a za nim gruby przebiegły Perkin, który pocierał jedną rękę o drugą, kłaniał się służalczo i miał tak tłuste włosy, że wyglądały jak skórzana czapka. Był z nim jego zięć Billy Howard. Billy rzucił Wulfricowi triumfalne spojrzenie: mam twoją dziewczynę, myślał, a teraz zdobędę twoją ziemię. Za chwilę czeka go niespodzianka.

Nathan usiadł po lewej stronie Ralpha. Wszyscy inni stali.

Gwenda nie mogła się doczekać tej chwili. To miała być nagroda za poświęcenie. Cieszyła się na myśl, że zobaczy twarz Wulfrica, kiedy usłyszy, że jednak odziedziczy schedę. To będzie dla niego wielka radość, dla niej też. Ich przyszłość zostanie zabezpieczona, w każdym razie na tyle, na ile to możliwe w świecie, w którym pogoda jest nieprzewidywalna, a ceny zboża wciąż się zmieniają.

- Przed trzema tygodniami oznajmiłem, że Wulfric, syn Samuela, nie może dziedziczyć ziemi po ojcu, gdyż jest za młody. - Ralph mówił wolno i z namysłem. Uwielbia to, pomyślała Gwenda: zasiadać na głównym miejscu i ogłaszać wyrok, gdy wszyscy wyteżają słuch. - Od tego czasu Wulfric uprawiał ziemię, a ja rozważałem, kto powinien przejąć schedę po Samuelu. - Ralph zrobił pauzę. - Jednak zacząłem wątpić, czy słusznie uczyniłem, wykluczając Wulfrica.

Perkin, który był pewny sukcesu, drgnął.

- Co to ma znaczyć? - odezwał się Billy Howard. - Przecież Nate... Perkin szturchnął go i Billy zamilkł.

Gwenda nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Mimo że jest młody, Wulfric okazał się godny dziedziczenia.

Nathan był równie oszołomiony jak Perkin. Przez chwilę gapił się z otwartymi ustami na Ralpha, po czym odwrócił się do Perkina, a potem spojrzał podejrzliwie na Gwendę.

- Wsparła go w tym Gwenda, której siła i lojalność wywarły na mnie duże wrażenie.

Nathan przyglądał się jej uważnie. Zrozumiał, że coś zrobiła, i zastanawiał się, jak zdołała sprawić, że Ralph zmienił zdanie. Może domyślał się prawdy. Nie obchodziło jej to, jeśli tylko Wulfric się nie dowie.

Nagle Nathan podjął decyzję. Wstał i pochylił garbaty tułów nad stołem. Powiedział coś cicho. Gwenda nie usłyszała słów.

- Naprawdę? - spytał Ralph. - Ile?

Nathan odwrócił się do Perkina i coś do niego wymamrotał.

- Co to za szept? - obruszyła się Gwenda. Perkin wyglądał na rozgniewanego, ale powiedział:

- Dobrze, zgoda.

- Zgoda na co? - spytała nerwowo Gwenda. Perkin skinął głową.

Gwendę ogarnął strach.

- Perkin proponuje podwójną stawkę spadkową, czyli pięć funtów - oznajmił

Nathan.

- To zmienia postać rzeczy - stwierdził Ralph.

- Nie! - krzyknęła Gwenda. Wulfric po raz pierwszy zabrał głos:

- Spadkowe jest ustalone zwyczajowo i zapisane w rejestrze dworskim - rzekł powoli głosem na poły chłopca, na poły mężczyzny. - Nie podlega negocjacji.

- Spadkowe może się zmieniać - odpowiedział szybko Nathan. - Nie jest zapisane w Księdze Katastralnej.

- A wy co, jesteście prawnikami? - syknął Ralph. - Jeśli nie, to się zamknijcie. Spadkowe wynosi dwa funty i dziesięć szylingów. To nie wasza sprawa, czy więcej pieniędzy przechodzi z rąk do rąk.

Gwenda uświadomiła sobie z przerażeniem, że Ralph chce zerwać umowę.

- Obiecałeś mi - rzekła cichym oskarżycielskim głosem, powoli, lecz wyraźnie.

- Czemu miałbym to zrobić?

Na to pytanie Gwenda nie mogła odpowiedzieć.

- Bo cię ublażałam.

- Ale ja niczego nie obiecywałem.

Była bezsilna, nie mogła go zmusić, bo dotrzymał słowa. Miała ochotę go zabić.

- Obiecałeś!

- Lordowie nie układają się z kmięciami.

Gwenda patrzyła na niego w milczeniu. Wszystko na nic: długi marsz do Kingsbridge, upokarzające rozbieranie się przed Alanem, haniebny akt na łóżku Ralpa. Zdradziła Wulfrica, a on i tak nie odziedziczył ziemi. Wycelowała palec w Ralpa i powiedziała z goryczą:

- Bóg cię ukarze, Ralpie Fitzgeraldzie, pójdiesz do piekła.

Ralph pobladł. Przekleństwo skrzywdzonej kobiety było potężne, wszyscy o tym wiedzieli.

- Uważaj, co mówisz. Jest kara dla czarownic rzucających zaklęcia. Gwenda zadrzała. Żadna kobieta nie mogła traktować lekko takiej groźby.

Oskarżenie o czary łatwo było rzucić, ale trudno obalić. Nie mogła się jednak powstrzymać.

- Ci, którzy unikają sprawiedliwości w tym życiu, znajdą ją w innym. Ralph puścił to mimo uszu i odwrócił się do Perkina.

- Gdzie pieniądze?

Ale Perkin nie wzbogaciłby się, gdyby mówił, gdzie trzyma gotówkę.

- Zaraz je przyniosę, lordzie.

- Chodź, Gwendo - powiedział Wulfric. - Nie ma tu dla nas sprawiedliwości.

Gwenda walczyła ze łzami. Gniew ustąpił miejsca rozżaleniu. Przegrali bitwę po wszystkim, przez co przeszli. Odwróciła głowę, by ukryć, co czuje.

- Zaczekaj, Wulfricu - rzekł Perkin. - Potrzebujesz pracy, a ja robotników. Będę ci płacił pensa dziennie.

Wulfric zaczerwienił się na myśl o tym, że proponuje mu się pracę parobka na ziemi, która należała do jego rodziny.

- Gwenda też może przyjść. Oboje jesteście młodzi i pracowici.

Nie chciał być złośliwy. Chodziło mu wyłącznie o interesy, chciał zatrudnić dwoje silnych parobków do pracy w powiększonym gospodarstwie. Nie obchodziło go albo nie wiedział, że dla Wulfrica to poniżenie.

- Zarobicie szylinga na tydzień. To dużo pieniędzy. Na twarzy Wulfrica malowała się gorycz.

- Pracować za dniówkę na ziemi, która od dziesiątków lat należała do mojej rodziny? Nigdy.

Odwrócił się i wyszedł z dworu.

Co my teraz zrobimy? - myślała Gwenda, podążając za nim.

29

Westminster Hall był wielkim gmachem, większym niż niektóre katedry. Ogrom sali przerażał, wysokie sklepienie wspierało się na podwójnym rzędzie kolumn. Było to najważniejsze pomieszczenie w pałacu westminsterskim.

Roland czuje się tu jak u siebie w domu, pomyślał z niechęcią Godwyn. Hrabia i jego syn paradowali w modnych rajtuzach, z jedną nogawką czerwoną a drugą czarną. Hrabio wie znali się, znali także większość baronów. Klepali się nawzajem po ramieniu, zartowali i śmiali gromko ze swoich żartów. Godwyn chętnie by im przypomniał, że sąd obradujący w tej sali może skazać każdego na śmierć, nawet jeśli należy do arystokracji.

On i ci, którzy z nim tu przybyli, rozmawiali tylko między sobą i to przyciszonymi głosami.

Godwyn musiał przyznać, że nie wynikało to z szacunku dla powagi sądu, tylko ze zdenerwowania. Godwyn, Edmund i Caris nie czuli się tu swobodnie. Żadne z nich nie było wcześniej w Londynie. Jedynym ich znajomym był Buonaventura Caroli, który akurat przebywał poza miastem. Nie wiedzieli, dokąd się udać, ich ubrania były niemodne, a pieniądze, które przywieźli - choć wydawało się, że jest ich mnóstwo - zaczynały się kończyć.

Edmunda nic nie onieśmielało, a Caris była rozkojarzona, jakby zaprzętało ją coś ważniejszego, choć wydawało się to niemożliwe: Godwyna dręczył niepokój. Jako świeżo wybrany opat rzucał wyzwanie jednemu z największych możnowładców w kraju. Stawką była przyszłość miasta. Bez mostu Kingsbridge umrze. Klasztor, bijące serce jednego z wielkich angielskich miast, zostanie zdegradowany do roli samotnej placówki w wiosce, w której paru mnichów będzie odprawiało modły w pustej, popadającej w ruinę katedrze.

Godwyn nie po to został przeorem, by patrzeć, jak nagroda za jego wysiłki zamienia się w proch i pył.

Skoro stawka była tak wysoka, chciał panować nad tym, co się dzieje, i mieć pewność, że jest sprytniejszy od wszystkich, tak jak w Kingsbridge. Tutaj jednak czuł coś wprost przeciwnego, a niepewność wiodła do nieuwagi.

Pocieszeniem był dla niego Gregory Longfellow przyjaciel Godwyna z czasów uniwersyteckich, Gregory był bystry, a, królewski sąd był dlań miejscem znajomym. Zdziorny i pewny siebie prowadził Godwyna przez labirynt przepisów. Przedstawił parlamentowi petycję opactwa, tak jak wiele podobnych już wcześniej. Parlament się nią nie zajmował, rzecz jasna, tylko przekazał Radzie Królewskiej nadzorowanej przez kanclerza. Kanclerski zespół prawników - Gregory znał ich prawie wszystkich - mógł przekazać sprawę Ławie Królewskiej, sądowi zajmującemu się sporami ważnymi dla monarchy. Jednak zgodnie z przewidywaniami prawnika, zespół orzekł, iż sprawa jest zbyt błaha, i postanowił przesłać ją sądowi spraw pospolitych.

Wszystko to zajęło sześć tygodni. Kończył się listopad, wcześniej robiło się zimno. Sezon budowlany dobiegał końca.

Dziś mieli stanąć przed sir Wilbertem Wheatfieldem, doświadczonym sędzią lubianym ponoć przez króla. Sir Wilbert był młodszym synem barona z północy kraju. Jego brat odziedziczył tytuł i majątek, on zaś wykształcił się na księdza, studiował prawo, przybył do Londynu i zyskał przychylność w sądzie królewskim. Gregory ostrzegał, że w sporze między hrabią a mnichem jego sympatia będzie po stronie hrabiego, lecz nade wszystko Wilbert Wheatfield będzie miał na względzie interes króla.

Sędzia zasiadł na ławie stojącej na podwyższeniu przy wschodniej ścianie pałacu, między oknami wychodzącymi na Green Yard i Tamizę. Przed nim przy długim stole zajmowało miejsca

dwóch urzędników. Nie przewidziano miejsc dla stron.

- Sir, hrabia Shiring posłał uzbrojonych ludzi, by zablokowali kamieniołom należący do klasztoru w Kingsbridge - zaczął Gregory, gdy tylko sędzia skierował na niego wzrok. W jego głosie brzmiało świadomie podsycane oburzenie. - Kamieniołom leżący na terenie posiadłości hrabiego został podarowany opactwu przez króla Henryka Pierwszego około dwustu lat temu. Kopia aktu nadania została złożona w sądzie.

Sir Wilbert miał rumianą twarz i białe włosy. Można było powiedzieć, że jest przystojnym mężczyzną, dopóki się nie odezwał, bo wtedy ukazywały się jego zepsute zęby.

- Mam przed sobą ten dokument.

Hrabia Roland przemówił, nie czekając, aż nadejdzie jego kolej.

- Mnisi dostali kamieniołom po to, by mogli wybudować katedrę - rzekł znudzonym głosem, przeciągając sylaby.

- Jednak akt nadania nie ogranicza użycia kamienia do jednego celu - odparował błyskawicznie Gregory.

- A teraz chcę wybudować most - dodał Roland.

- By zastąpić most, który zawalił się w Zielone Świątki. Most, który powstał setki lat temu i zbudowano go z drewna podarowanego przez króla!

Gregory mówił tak, jakby każde słowo hrabiego budziło jego oburzenie.

- Mnisi nie potrzebują pozwolenia na odbudowę mostu, który istniał wcześniej - stwierdził rażno sir Wilbert. - W akcie powiedziane jest zaś, że król popiera budowę katedry, lecz nie jest powiedziane, że mnisi mają wyrzec się swoich praw po zakończeniu budowy katedry ani że zabrania im się użycia budulca do innych celów.

Godwyn się ucieszył. Sędzia od razu dostrzegł słuszność argumentacji opactwa. Gregory uniósł ręce wnętrzem dłoni do góry, jak gdyby sędzia powiedział coś najoczywistszego w świecie.

- Sir, tak właśnie rozumieli ów akt opaci Kingsbridge oraz hrabiowie Shiring przez trzy stulecia.

Godwyn wiedział, że nie jest to do końca prawdą. Za czasów przeora Philipa istniały kontrowersje wokół aktu, lecz sir Wilbert tego nie wiedział, podobnie jak hrabia Roland.

Ten zachowywał się wyniośle, jak gdyby utarczki z prawnikami były poniżej jego godności. Było to jednak mylące, gdyż uważnie śledził argumenty.

- W akcie nie stwierdzono, że opactwo może się uchylać od płacenia podatku.

- Dlaczego więc hrabia nigdy wcześniej go nie nałożył? - odpowiedział pytaniem Gregory.

Roland miał na to gotową odpowiedź.

- Hrabiowie umarjali podatek jako swój wkład w budowę i utrzymanie katedry. Dyktowała im to bogobojność. Ale bogobojność nie zmusza mnie do dotowania mostu. A mimo to mnisi odmawiają zapłaty.

Nagle spór przeniósł się na inny grunt. Godwyn zdumiał się nagłością tej zmiany. Inaczej wyglądało to w kapitularku, gdzie debaty ciągnęły się godzinami.

- Słudzy hrabiego uniemożliwiają wywóz budulca z kamieniołomu, zabili biednego woźnicę - rzekł Gregory.

- W takim razie spór trzeba jak najprędzej rozstrzygnąć - orzekł sir Wilbert. - Co opactwo powie na to, że hrabia ma prawo nakładać podatek na towary przewożone przez jego ziemie, i na to, że kupcy korzystają z dróg, mostów i brodów do niego należących, bez względu na to, czy w przeszłości egzekwował to prawo?

- Kamienie nie są przewożone przez ziemie hrabiego, tylko stamtąd pochodzą, zatem nałożenie podatku jest równoznaczne z pobieraniem od mnichów opłat za kamienie. A to jest sprzeczne z zapisem w akcie nadania przez króla Henryka Pierwszego.

Godwyn z przerażeniem stwierdził, że słowa Gregory'ego nie zrobiły na sędzim wrażenia. Ale prawnik jeszcze nie skończył.

- Królowie, którzy dali Kingsbridge most i kamieniołom, nie zrobili tego bez powodu: chcieli, by klasztor i miasto rozkwitły. Jest tutaj starszy miasta, który poświadczy, że miasto nie może żyć bez mostu.

Edmund zrobił krok do przodu. Z niestrzyżonymi włosami, ubrany jak prowincjusz, wyglądał na prostaczka na tle wspaniale ubranych wielmożów. Jednak w odróżnieniu od Godwyna nie był wystraszony.

- Jestem kupcem, sir, handluję wełną. Bez mostu nie ma handlu. A bez handlu Kingsbridge nie zapłaci królowi podatków.

- Ile dziesięciny miasto zapłaciło poprzednim razem? - spytał sir Wilbert, prostując się.

Co jakiś czas parlament nakładał podatek w wysokości jednej dziesiątej lub jednej piętnastej wartości własności ruchomej każdego obywatela. Nikt nie płacił jednej dziesiątej, wszyscy zaniżali wartość majątku, więc kwota należna od każdego miasta i hrabstwa została ustalona. Ciężar był rozkładany mniej lub bardziej sprawiedliwie. Biedacy i kmiecie nie płacili nic.

Edmund, który spodziewał się tego pytania, odpowiedział bez zwłoki:

- Tysiąc jedenaście funtów, sir.

- Jaki skutek wywołało zawalenie się mostu?

- Oceniam, że z dziesięciny zebraloby się mniej niż trzysta funtów. Nasi obywatele handlują nadal w nadziei, że most zostanie odbudowany. Gdyby ta nadzieja rozwiąła się przed sądem, doroczne targi wełny i cotygodniowy rynek prawie całkowicie zanikną i dziesięcina spadnie poniżej pięćdziesięciu funtów.

- To prawie nic wobec potrzeb króla - stwierdził sędzia. Nie powiedział tego, o czym wszyscy wiedzieli: że król bardzo potrzebuje pieniędzy, gdyż przed kilkoma tygodniami wypowiedział wojnę Francji.

Roland znalazł się pod ścianą.

- Czy sąd zajmuje się finansami króla? - zapytał z przyganą.

Sir Wilbert nie pozwolił zbić się z tropu, nawet jeśli miał do czynienia z arystokratą.

- To królewski sąd - odparł spokojnie. - Czego oczekujesz, hrabio?

- Sprawiedliwości - odparł Roland.

- I otrzymasz ją. - Sędzia nie dodał: „Czy ci się ona spodoba, czy nie”. - Edmundzie Woolerze, gdzie znajduje się najbliższy podobny rynek?

- W Shiring.

- A więc utarg, który stracie, przeniesie się do miasta hrabiego.

- Nie, sir. Część się przeniesie, ale większość zniknie. Wielu spośród tych, którzy handlują w Kingsbridge, nie zdoła dotrzeć do Shiring.

Sędzia odwrócił się do Rolanda.

- Ile wynosi dziesięcina w Shiring?

Roland zapytał o to po cichu swojego sekretarza, ojca Jerome'a.

- Sześćset dwadzieścia funtów.

- Gdyby handel wzrósł, czy bylibyście w stanie zapłacić tysiąc sześćset dwadzieścia funtów?

- Oczywiście, że nie - odparł hrabia gniewnie.

- A zatem twój opór wobec budowy mostu dużo by króla kosztował - zauważył sędzia.

- Mam swoje prawa.

- Król także ma swoje prawa. Czy w jakiś sposób mógłbyś wynagrodzić królowi utratę tysiąca funtów rocznie?

- Walcząc u jego boku we Francji. Kupcy i mnisi nigdy tego nie zrobią!

- Istotnie - przyznał sir Wilbert. - Ale twoim rycerzom trzeba zapłacić.

- To niedorzeczne - prychnął Roland. Wiedział, że przegrywa spór. Godwyn z trudem powstrzymywał się, by nie posłać mu triumfalnego spojrzenia.

Sędziemu nie spodobało się, że hrabia użył słowa „niedorzeczne”. Przygwozdził go wzrokiem.

- Mam nadzieję, że wysyłając swoich zbrojnych, by zablokowali drogę z kamieniołomu należącego do opactwa, nie chciałeś zaszkodzić interesom króla, hrabio.

Roland zwietrzył pułapkę, ale mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi:

- W żadnym razie.

- Teraz jest jasne dla sądu, i dla ciebie, hrabio, również, że budowa nowego mostu służy królowi, a także opactwu Kingsbridge i miastu. Rozumiem, że zgodzisz się na ponowne otwarcie kamieniołomu.

Godwyn uświadomił sobie, że sir Wilbert postąpił sprytnie. Zmuszał Rolanda, by ten zgodził się z jego orzeczeniem, utrudniając mu w ten sposób późniejsze odwołanie do samego króla.

- Tak - odparł po długiej pauzie hrabia.

- I na przewóz kamienia przez twoje ziemie bez podatku. Roland wiedział, że przegrał.

- Tak - rzekł z tłumioną wściekłością.

- Dobrze - powiedział sędzia. - Następna sprawa.

Zwycięstwo było wielkie, lecz prawdopodobnie przyszło za późno.

Listopad zmienił się w grudzień. Budowy zwykle o tej porze zamierały. Z powodu deszczów mróz nadszedł tego roku późno, lecz i tak pozostało najwyżej kilka tygodni. W kamieniołomach zgromadzono setki kamieni, pociętych i obrobionych, gotowych do położenia. Jednak przewiezienie ich do Kingsbridge potrwa długie miesiące. Hrabia Roland przegrał w sądzie, lecz niemal na pewno udało mu się opóźnić budowę mostu o rok.

Caris wróciła do miasta z Edmundem i Godwynem. Była w posępnym nastroju. Zatrzymawszy konia nad rzeką na przedmieściu, zobaczyła, że Merthin już zbudował grodzę. W obu odgałęzieniach rzeki opływających Wyspę Trędowatych z wody wystawały na kilka stóp końce drewnianych pali, tworząc kręgi. Podczas posiedzenia w siedzibie gildii Merthin tłumaczył, jak zamierza wbić podwójne rzędy pali w dno rzeki, a później wypełnić luki cementem z gliny, by je uszczelnić. Później woda zostanie usunięta ze środka, żeby budowniczowie mogli położyć fundament na dnie.

Jeden z robotników, Harold Mason [* Mason (ang.) - murarz.], przepływał razem z Caris promem przez rzekę, zapytała go więc, czy grodzę zostały już osuszone.

- Jeszcze nie - odparł. - Mistrz chce poczekać, aż będziemy gotowi do rozpoczęcia budowy.

Caris odnotowała z zadowoleniem, że mimo młodego wieku, Merthin jest nazywany mistrzem.

- Dlaczego? Myślałam, że chodzi o to, by przygotować wszystko do jak najszybszego rozpoczęcia budowy.

- Mistrz mówi, iż rzeka wywiera większy nacisk na tamę, kiedy w środku nie ma

wody.

Caris zastanawiała się, skąd Merthin wie takie rzeczy. Podstaw nauczył się od swojego mistrza Joachima, ojca Elfrica. Zawsze dużo rozmawiał z przybyszami, zwłaszcza z tymi, którzy widzieli wysokie budowle we Florencji i w Rzymie. Przeczytał w Księdze Timothy 'ego wszystko, co dotyczyło budowy katedry. Poza tym jednak miał w tych sprawach niebywałą intuicję. Caris nigdy by nie pomyślała, że pusta grodzą będzie słabsza niż wypełniona wodą.

Mimo że po powrocie z Londynu wszyscy byli przygaszeni, chcieli jak najprędzej przekazać Merthinowi szczęśliwą nowinę i dowiedzieć się, co zdoła zrobić przed końcem sezonu budowlanego. Przekazali konie w ręce koniuszych i poszli go szukać. Znaleźli go w warsztacie murarskim w północno-zachodniej wieży katedry. Przy świetle kilku lampek oliwnych kreślił na posadzce projekt balustrady.

Podniósł głowę i uśmiechnął się na widok zadowolonych twarzy.

- Wygraliśmy?

- Tak, wygraliśmy - odparł Edmund.

- Dzięki Gregory'emu Longfellowowi - dodał Godwyn. - Trzeba mu bardzo dużo płacić, ale jest tego wart.

Merthin uściskał obu mężczyzn. Spór z Godwynem poszedł w zapomnienie, przynajmniej na razie. Pocałował czule Caris.

- Tęskniłem za tobą - szepnął. - Minęło osiem tygodni! Czułem się tak, jakbyś miała nigdy nie wrócić.

Caris milczała. Miała mu coś niezwykle ważnego do powiedzenia, ale chciała to zrobić na osobności.

Ojciec nie zwrócił uwagi na jej milczenie.

- Merthinie, możesz rozpoczynać budowę.

- To dobrze.

- Od jutra możesz sprowadzać kamień z kamieniołomu - dodał Godwyn. - Ale wydaje mi się, że nie zrobisz wiele przed zimowymi mrozami.

- Myślałem o tym - odparł Merthin, zerkając przez okno. Było popołudnie, już zaczynała się szarówka. - Może znajdzie się sposób.

Edmund się ucieszył.

- Mów, chłopcze! Co wymyśliłeś? Merthin odwrócił się do przeora.

- Czy udzieliłbyś odpustu ochotnikom, którzy przywiozą kamienie z kamieniołomu?

Odpust był specjalnym aktem odpuszczenia grzechów. Tak jak dar pieniężny, mógł

albo dotyczyć długów z przeszłości, albo przyszłych zobowiązań.

- Mógłbym. Co masz na myśli?

Tym razem Merthin zwrócił się do Edmunda:

- Ilu mieszkańców Kingsbridge ma furmanki?

- Niech pomyślę... - Edmund zmarszczył czoło. - Każdy ważniejszy kupiec ma wóz... musi ich więc być co najmniej kilkaset.

- A gdybyśmy zrobili dzisiaj obchód miasta i zaproponowali, żeby każdy pojechał jutro do kamieniołomu po kamienie?

Edmund popatrzył na Merthina, a na jego twarzy powoli rozkwitł uśmiech.

- To jest pomysł!

- Powiemy, że wszyscy pojedą - ciągnął Merthin. - To będzie jak święto. Mogą zabrać rodziny, jedzenie i piwo. Jeśli każdy przywiezie furmankę kamieni albo gruzu, za dwa dni będzie dość, by zbudować pierwszy filar mostu.

Doskonałe rozwiązanie, pomyślała z podziwem Caris. Merthin często wpadał na pomysły, które nikomu innemu nawet się nie śniły. Ale czy się uda?

- A pogoda? - zapytał Godwyn.

- Deszcz był zmorą kmieci, ale uchronił nas od mrozów. Mamy jeszcze tydzień lub dwa, tak myślę.

Uradowany Edmund spacerował po warsztacie, powłócząc nogą.

- Jeśli zbudujesz filary w ciągu kilku dni...

- Pod koniec przyszłego roku możemy skończyć główną część robót.

- Czy w następnym roku będzie można korzystać z mostu?

- Nie... ale zaraz. Moglibyśmy położyć tymczasową drewnianą nawierzchnię na czas targów wełny!

- A więc za niecały rok mielibyśmy gotowy most i stracilibyśmy tylko jedne targi!

- Trzeba byłoby dokończyć kamienną drogę po zakończeniu targów, żeby stwardniała i w następnym roku mogła być używana.

- Do licha, trzeba tak zrobić! - powiedział uradowany Edmund.

- Najpierw musimy usunąć wodę z grody - zauważył ostrożnie Godwyn. Merthin skinął głową.

- To trudne zadanie. Planując, przewidywałem na to dwa tygodnie. Ale też mam pomysł, jak to rozwiązać. Przede wszystkim zorganizujemy furmanki.

Wszyscy ruszyli do drzwi pełni entuzjazmu. Godwyn i Edmund zaczęli schodzić spiralnymi

schodami, a Caris złapała Merthina za rękaw i przytrzymała. Myślał, że chce go pocałować, i objął ją, ale ona go odepchnęła.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Coś jeszcze?

- Jestem w ciąży.

Obserwowała jego twarz. Z początku się przestraszył i uniósł brwi. Potem zamrugał gwałtownie i przechylił głowę. Wzruszył ramionami, jak gdyby mówił: „Nie ma w tym nic zaskakującego”. Uśmiechnął się, najpierw ze smutkiem, a potem ze szczęścia. W końcu się rozpromienił.

- To cudownie!

Caris przez chwilę nienawidziła go za głupotę.

- Nie pleć bzdur!

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie chcę być niczyją niewolnicą, nawet własnego dziecka.

- Niewolnicą? Czy matka jest niewolnicą?

- Tak! Jak możesz nie rozumieć, co czuję?

Merthin był zdezorientowany i dotknięty. Caris właśnie chciała się wycofać, lecz zbyt długo nosiła w sobie gniew. »|

- Chyba wiedziałem... - Merthin się zawahał. - Ale później kochaliśmy się, więc pomyślałem... Na pewno wiedziałaś, że to się musi stać... że stanie się prędzej czy później.

- Pewnie, że wiedziałam, ale postępowałam tak, jakbym nie wiedziała.

- Tak, rozumiem.

- Przestań być taki rozumiejący. Słabeusz z ciebie. Twarz Merthina znieruchomiła. Po dłuższej chwili rzekł:

- Dobrze, przestanę być „rozumiejący”. Powiedz mi, co zamierzasz.

- Niczego nie zamierzam, głupolu. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie chcę mieć dziecka.

- A więc ty nie masz planu, a ja jestem głupolem i słabeuszem. Chcesz czegoś ode mnie?

- Nie!

- W takim razie co tu robisz?

- Skończ z tą logiką! Merthin westchnął.

- Przestanę się starać być tym, czym chcesz, żebyś był, bo nie można z tobą dojść do ładu. - Obszedł warsztat, gasząc lampki. - Cieszę się, że będziemy mieli dziecko, chcę, żebyśmy wzięli ślub i

razem je wychowywali. Zakładam, że zmienisz zdanie.

Włożył przybory rysunkowe do skórzanej sakwy i zarzucił ją na ramię.

- Ale w tej chwili tak strasznie zrzędzisz, że będzie lepiej, jeśli przestaniemy rozmawiać. Poza tym, mam pracę. - Podeszedł do drzwi i przystanął. - Jest też inne wyjście. Możemy dać sobie buzi i się pogodzić.

- Odejdź! - krzyknęła Caris. Merthin schylił się i zniknął na schodach. Caris zaczęła płakać.

Merthin nie wiedział, czy mieszkańcy Kingsbridge zapalą się do jego pomysłu. Wszyscy mieli pracę i swoje zmartwienia - czy stwierdzą, że wspólny wysiłek przy budowie mostu jest ważniejszy? Nie był tego pewien. Z lektury Księgi Timothy 'ego pamiętał, że w trudnych chwilach przeor Philip często zwracał się do prostych ludzi, nawołując do wzmożonego wysiłku, i w ten sposób zażegnywał kryzys. Lecz Merthin nie był Philipem. Nie miał prawa uważać się za przywódcę, był jedynie cieślą.

Sporządzili listę właścicieli wozów i podzielili ich według ulic. Edmund zajął się znacznymi obywatelami, a Godwyn zebrał dziesięciu starszych mnichów i wyruszyli parami. Merthin był w parze z Thomasem.

Najpierw zapukali do Lib Wheeler, która nadal prowadziła interes Bena, wynajmując robotników.

- Możecie wziąć oba wozy - powiedziała. - I woźniców. Zrobię wszystko, żeby dopieć temu piekielnikowi hrabiemu.

Za drugim razem spotkała ich odmowa.

- Nie czuję się dobrze - oznajmił Peter Dyer [* Dyer (ang.) - farbiarz.] używający furmanki do przewożenia bel wełny, którą barwił na żółto, zielono i różowo. - Nie mogę nigdzie jeździć.

Merthin widział, że Peter cieszy się doskonałym zdrowiem, ale pewnie boi się spotkania ze sługami hrabiego. Budowniczy był przekonany, że nie dojdzie do walki, ale rozumiał jego obawy. A jeśli wszyscy obywatele zachowają się tak samo?

Trzecim, do którego zawitali, był Harold Mason, młody murarz, liczący na kilka lat pracy przy budowie mostu. Zgodził się natychmiast.

- Jake Chepstow też pojedzie, jestem pewny. Harold przyjaźnił się z Jakiem.

Później prawie wszyscy wyrazili zgodę.

Nie trzeba im było tłumaczyć, jak ważny jest most - każdy, kto miał furmankę, był kupcem - a poza tym dodatkową zachętę stanowiło odpuszczenie grzechów. Jednak najważniejszym czynnikiem była perspektywa nieoczekiwanego wolnego dnia. Większość ludzi pytała: „Czy ten a ten jedzie?”. Usłyszawszy, że znajomi i sąsiedzi się zgłosili, nie chcieli zostać sami.

Po odwiedzeniu wszystkich z listy Merthin pożegnał się z Thomasem i poszedł do promu. Należało przewieźć wozy jeszcze tego wieczoru, żeby o świcie były gotowe do wyruszenia. Prom mógł zabrać tylko jedną furmankę, więc wiezienie dwustu zajęłoby wiele godzin. Właśnie dlatego miasto potrzebowało mostu.

Wół obracał kieratem, wozy już przepływały na drugi brzeg. Właściciele zostawiali zwierzęta na pastwisku, a sami wsiadali na prom i wracali na noc do domów. Edmund zwrócił się do Johna Constable'a i paru jego zastępców, żeby zostali w Nowym Mieście i przypilnowali wozów oraz zwierząt.

Prom wciąż kursował, gdy godzinę po północy Merthin położył się spać. Przez długą chwilę leżał, rozmyślając o Caris. Lubił zmienność jej nastrojów i nieprzewidywalność, ale czasami bywała nieznośna. Była najinteligentniejszą osobą w mieście, lecz zdarzało jej się zachowywać irracjonalnie.

Jednak najbardziej dotknęło go to, że nazwała go słabeuszem. Nie wiedział, czy jej kiedykolwiek wybaczy. Hrabia Roland poniżył go dziesięć lat temu, orzekając, że nie nadaje się na giermka, że może zostać tylko czeladnikiem u cieśli. Ale nie był słabeuszem. Nie poddał się tyranii Elfrica, pokonał Godwyna w sprawie projektu mostu, a teraz ocali całe miasto. Może i jestem niski, myślał, ale na Boga, jestem silny.

Mimo to nie wiedział, jak postępować z Caris, i zasnął zmartwiony.

Edmund obudził go o pierwszym brzasku. Prawie wszystkie wozy z Kingsbridge stały już na drugim brzegu rzeki, tworząc nieregularną linię biegnącą przed Nowym Miastem i wchodzącą na pół mili w las. Parę godzin potrwało przewiezenie ludzi. Podniecenie towarzyszące tej istnej pielgrzymce odwróciło uwagę Merthina od Caris i jej ciąży. Niebawem na pastwisku zapanowało przyjemne zamieszanie - dziesiątki woźniców łapało swoje konie i woły, prowadziło je do wozów i zaprzęgało. Dick Brewer zabrał wielką beczkę piwa i częstował trunkiem, jak mówił, „dla zachęty”. Skutki były różne: niektórzy tak się tą zachętą przejęli, że legli na wozach.

Po drugiej stronie rzeki od strony miasta zebrał się tłum gapiów. Gdy długi wąż furmanek ruszył powoli, rozległy się radosne okrzyki.

Jednak kamienie stanowiły zaledwie połowę trudnego wyzwania.

Merthin skierował swoją uwagę na drugą jego część. Jeśli ma zacząć kłaść kamienie zaraz po ich przywiezieniu z kamieniołomu, musi opróżnić grodzę w dwa dni, a nie w dwa tygodnie. Gdy wiwaty ustały, zwrócił się do zebranych mieszkańców miasta. To była najodpowiedniejsza chwila, by przykuć ich uwagę; podniecenie opadało, ludzie zaczynali się zastanawiać, co robić dalej.

- Potrzebuję najsilniejszych mężczyzn, którzy zostali w mieście! - ogłosił. Wszyscy ucichli, zaintrygowani. - Czy są w Kingsbridge jacyś silni mężczyźni?

Merthin uciekł się do drobnego podstępu: praca była ciężka, lecz pytając o silnych mężczyzn, rzucał wyzwanie, które dla młodego chwata było prawie nie do odrzucenia.

- Zanim wozy przyjadą jutro wieczorem z kamieniołomu, musimy opróżnić wodoszczelne grodzę. To będzie najcięższa robota, z jaką mieliście do czynienia, więc słabeusze odpadają.

Mówiąc to, skierował wzrok na Caris. Dziewczyna się wzdrygnęła. Pamiętała, że użyła tego słowa, i wiedziała, iż uraziła Merthina.

- Jeśli któraś z kobiet uważa, że dorównuje mężczyznom, może się przyłączyć - ciągnął Merthin. - Niech każdy znajdzie wiadro i stawi się jak najprędzej na brzegu naprzeciwko Wyspy Trędowatych. I pamiętajcie: tylko najsilniejsi.

Nie wiedział, czy porwał ludzi. Skończywszy przemowę, zauważył wysoką postać Marka Webbera i przepchnął się do niego.

- Zachęcisz ich? - spytał z niepokojem.

Mark był dobrodusznym olbrzymem, bardzo w mieście lubianym. Mimo iż był biedny, miał duży wpływ na mieszkańców, zwłaszcza nastoletnich.

- Postaram się, żeby chłopaki się przyłączyli.

- Dziękuję.

Merthin ruszył do łana Boatmana.

- Mam nadzieję, że będziesz mi potrzebny przez cały dzień. Trzeba będzie przewozić ludzi do grodzy i z powrotem. Możesz pracować za zapłatę albo za odpust, jak chcesz. Ian bardzo zagustował w młodszej siostrze żony, więc będzie wolał odpust. Wykorzysta go albo do odkupienia grzechu popełnionego, albo takiego, który niebawem zamierza popełnić.

Merthin ruszył ulicą w stronę miejsca, gdzie miał stanąć most. Czy uda się opróżnić grodzę w dwa dni? Nie wiedział tego. Nie wiedział nawet, ile galonów wody mieści się w każdej z nich. Tysiące? Setki tysięcy? Musi być jakiś sposób, by to obliczyć. Grecy filozofowie z pewnością wymyślili taką metodę, lecz nie uczono jej w szkole podstawowej. By ją poznać, musiałby studiować w Oksfordzie, gdzie, jak mówił Godwyn, wykładają matematycy sławni na cały świat.

Czekał na brzegu, nie wiedząc, czy ktoś do niego dołączy.

Pierwsza zjawiała się Megg Robbins, muskularna dziewczyna, córka kupca handlującego zbożem. Wyrobiła sobie mięśnie, przez lata dźwigając worki z ziarnem.

- Niewielu mężczyzn w mieście mi dorówna - oznajmiła. Merthin nie wątpił w prawdziwość jej słów.

Przyszła grupka młodzików, a później trzech mnichów nowicjuszy.

Gdy tylko Merthin zebrał dziesięć osób z wiadrami, kazał łanowi przewieźć je do bliższej grodzy.

Wewnątrz, tuż nad powierzchnią wody, zbił z drewna kładkę na tyle mocną, by mogło na niej stanąć kilka osób. Ustawiono cztery drabiny sięgające aż do dna rzeki, a pośrodku grodzy na powierzchni unosiła się duża tratwa. Między jej krawędziami i kładką była luka szerokości około dwóch stóp. Drewniane kołki, sięgające prawie do ściany, utrzymywały tratwę na środku, nie pozwalając jej przesunąć się w żadną stronę więcej niż o kilka cali.

- Pracujecie parami - rzekł Merthin. - Jeden stoi na tratwie, a drugi na kładce. Ten na tratwie nabiera wody do wiadra i podaje temu na kładce, a on wylewa wodę za mur do rzeki. Puste wiadro podajecie z powrotem, a pełne wędruje w tym czasie w drugą stronę.

- A co się stanie, kiedy poziom wody opadnie i nie będziemy mogli sięgnąć? - zapytała Megg Robbins.

- Dobre pytanie. Będiesz moją zastępczynią. Kiedy jedno nie będzie mogło sięgnąć do drugiego, trzeba będzie stworzyć trójki. Trzecia osoba stanie na drabinie.

- Później na drabinie staną dwie osoby - domyśliła się Megg.

- Tak. Ale do tej pory trzeba będzie zluzować ludzi i ściągnąć nowych.

- Słusznie.

- A więc do dzieła. Sprowadzę jeszcze dziesięciu, miejsca jest dużo.

- Niech każdy dobierze sobie partnera! - zarządziła Megg. Ochotnicy zanurzyli wiadra w wodzie.

- Trzeba ustalić rytm - mówiła Megg. - Woda, do góry, z rąk do rąk, za mur! Raz, dwa, trzy, cztery. Może będziemy śpiewali? Był sobie raz piękny rycerz... - zaintonowała silnym kontraltem.

Wszyscy znali tę piosenkę i od razu podchwycili:

- Prosty i długi miał miecz...

Merthin przyglądał się ochotnikom. Po kilku minutach wszyscy byli mokrzy, a poziom wody nie opadł ani trochę. Ta robota zajmie dużo czasu.

Przeszedł przez mur i wszedł do łodzi łana.

Gdy dopłynął do brzegu, czekało tam trzydziestu nowych ochotników.

Posłał następną grupę do drugiej grodzy, mianując Marka Webbera brygadzystą, a później zastąpił zmęczonych nowymi, łan Boatman też się utrudził i przekazał wiosła synowi. Woda w grodzach opadała powoli, cal po calu, a w miarę postępów robota szła coraz wolniej, gdyż wiadra trzeba było dźwigać na większą wysokość. »

Megg pierwsza zauważyła, że nie można trzymać pustego wiadra w jednej ręce, a pełnego w

drugiej, i nie stracić równowagi. Zarządziła, że od tej pory pełne wiadra będą wędrowały w jedną stronę, a puste w drugą. Mark wprowadził taki sam system w drugiej grodzy.

Ochotnicy pracowali godzinę i godzinę odpoczywali, lecz Merthin nie pozwalał sobie na odpoczywanie. Organizował brygady, nadzorował przewóz ochotników do grodzy i z powrotem, wymieniał pęknięte wiadra. Większość mężczyzn w przerwach popijała piwo, dlatego doszło do kilku wypadków: ochotnicy upuszczali wiadra i spadali z drabin. Matka Cecilia zajęła się rannymi z pomocą Mattie Wise i Caris.

Niebawem zaczęło się ściemniać i musiano wstrzymać pracę. Jednak obie grodzą były do połowy opróżnione. Merthin poprosił wszystkich ochotników, żeby wrócili rano. Zjadł kilka łyżek zupy w domu rodziców i usnął przy stole. Obudził się tylko po to, by owinąć się kocem i leć na słomie. Obudziwszy się nazajutrz rano, myślał jedynie o tym, czy ochotnicy znów przyjdą.

Z niepokojem w sercu popędził o brzasku nad rzekę. Mark Webber i Megg Robbins już tam byli. Mark dojadał pajdę chleba, a Megg wiązała wysokie buty w nadziei, że dzięki temu będzie miała suche nogi. Przez pół godziny nikt się nie zjawił i Merthin zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeśli ochotnicy się nie stawią. Wkrótce jednak pojawiła się grupa młodych mężczyzn, niosąc śniadanie, po nich przyszli mnisi, a potem cała reszta.

Gdy nadszedł łan Boatman, Merthin kazał mu przewieźć do grodzy grupę ochotników z Megg na czele.

Dzisiaj praca szła ciężiej. Wszyscy byli obolali po wczorajszym wysiłku. Każde wiadro trzeba było dźwigać na wysokość dziesięciu lub więcej stóp, jednak poziom wody wciąż opadał i ochotnicy widzieli już dno rzeki.

Po południu nadjechały pierwsze furmanki z kamieniami. Merthin kazał ich właścicielom zrzucić budulec na pastwisku i przewozić wozy promem na drugi brzeg. Wkrótce tratwa w grodzy Megg uderzyła o dno.

Nie był to jednak koniec pracy. Po wylaniu wody ze środka należało rozmontować tratwę i wnieść na górę deska po desce. Ukazały się tuziny ryb rzucających się w błotnistych kałużach na dnie rzeki. Wyłowiono je siatkami i rozdano młodym ochotnikom. Merthin stanął na kładce przy krawędzi grodzy - utrudzony, lecz radosny - i spojrzął na znajdujące się dwadzieścia stóp niżej dno.

Jutro każe wrzucić do środka kilka ton gruzu, a potem zaleje go cementem. W ten sposób powstanie masywny, stabilny fundament.

Wtedy będzie można zacząć budować most.

Wulfric był przygnębiony.

Prawie nic nie jadł i zapomniał o myciu. Wstawał o świcie i kładł się spać, kiedy się

ściemniło, ale nie pracował i nie kochał się w nocy z Gwendą. Gdy pytała, co się stało, odpowiadał: „Nie wiem”. Odpowiadał zresztą w ten sposób na wszystkie pytania albo coś odburkiwał.

Na polach nie było wiele do roboty. O tej porze roku wieśniacy siedzieli przy ogniskach, szyli buty ze skóry i robili łopaty, żywili się soloną wieprzowiną i kapustą w occie. Gwenda nie martwiła się, co będą jedli, bo Wulfric wciąż miał pieniądze ze sprzedaży plonów. Ale bardzo się o niego martwiła.

Wulfric zawsze żył dla pracy. Niektórzy kmiecie wciąż zrzędzili i byli zadowoleni tylko w dni wolne, ale nie on. Pole, zbiory, zwierzęta i pogoda - tylko to go obchodziło. W niedziele nie mógł sobie znaleźć miejsca, dopóki nie wymyślił jakiegoś zajęcia, które nie było zabronione, a w święta robił wszystko, by ominąć zasady.

Gwenda wiedziała, że musi coś zrobić, by przywrócić go do życia, bo inaczej chłopak zapadnie na jakąś chorobę. A pieniądze kiedyś się skończą. Prędzej czy później trzeba będzie zacząć pracować.

Jednak powiedziała mu o swojej nowinie dopiero po upływie dwóch pełnych księżyców, kiedy zyskała pewność.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekła rano pewnego grudniowego dnia. Wulfric mruknął coś pod nosem. Siedział przy stole w kuchni, strugając patyk.

Nawet nie przerwał tego bezcelowego zajęcia.

Gwenda wyciągnęła ręce i złapała go za nadgarstki.

- Wulfricu, spójrz na mnie.

Podniósł głowę z kwaśną miną, zły, że ktoś mu rozkazuje. Był jednak zbyt otępiały, żeby jej to powiedzieć.

- To ważne - dodała Gwenda. Spojrzał na nią w milczeniu.

- Będę miała dziecko.

Wyraz twarzy Wulfrica się nie zmienił, lecz nóż i patyk wypadły z jego rąk. Gwenda długo na niego patrzyła.

- Rozumiesz, co mówię? Wulfric skinął głową.

- Dziecko.

- Tak, dziecko.

- Kiedy?

Gwenda się uśmiechnęła. To było pierwsze pytanie, jakie zadał od dwóch miesięcy.

- Latem przyszłego roku, przed żniwami.

- Dzieckiem trzeba się opiekować, tobą też.

- Tak.

- Muszę mieć pracę. - Na jego twarzy znów pojawiło się przygnębienie. Gwenda wstrzymała oddech. Co się teraz stanie?

Wulfric westchnął i zacisnął zęby.

- Pójdę do Perkina - rzekł. - Będzie potrzebował robotnika do jesiennej orki.

- I do rozrzucania gnoju - dodała radośnie Gwenda. - Pójdę z tobą. Proponował pracę nam obojgu.

- Dobrze. - Wulfric wciąż na nią patrzył. - f)ziecko - powtórzył, jakby nie mógł się nadziwić. - Ciekawe, chłopiec czy dziewczynka.

Gwenda wstała, obeszła stół i usiadła przy nim na ławce.

- A ty co byś wolał?

- Małą dziewczynkę. W mojej rodzinie były same chłopaki.

- Ja chcę chłopca, taką małą podobiznę ciebie.

- Mogą być bliźnięta.

- Chłopiec i dziewczynka. Wulfric otoczył ją ramieniem.

- Poprosimy ojca Gasparda, żeby dał nam ślub.

Gwenda westchnęła z zadowoleniem i oparła głowę na jego ramieniu.

- Tak zrobimy.

i i i
|||

Merthin wyprowadził się od rodziców tuż przed Bożym Narodzeniem. Wybudował sobie jednoizbowy domek na Wyspie Trędowatych, która teraz należała do niego. Powiedział, że musi pilnować rosnących zapasów cennego budulca, który trzymał na wyspie: drewna, kamieni, wapna, powrozów i żelaznych narzędzi.

Wtedy także przestał przychodzić na posiłki do domu Caris.

Przedostatniego dnia grudnia Caris poszła do Mattie Wise.

- Nie musisz mi mówić, po co przyszedłaś - rzekła Mattie. - Trzy miesiące minęły?

Caris skinęła głową, unikając jej spojrzenia. Rozejrzała się po kuchni pełnej słoików i butelek. Mattie podgrzewała coś w małym żelaznym kociołku. Substancja wydzielala ostry zapach, od którego Caris chciało się kichać.

- Nie chcę dziecka - oznajmiła.

- Chciałabym dostawać kurczaka za każdym razem, gdy to słyszę.

- Czy jestem zła?

Mattie wzruszyła ramionami.

- Ja nie osądzam, tylko warzę lekarstwa. Ludzie znają różnicę między dobrem a złem, a jeśli jej nie znają, to są od tego księży.

Caris czuła się rozczarowana. Liczyła na współczucie.

- Masz wywar, dzięki któremu pozbędę się ciąży?

- Mam... - odparła z wahaniem Mattie.

- O co chodzi?

- Żeby pozbyć się dziecka, trzeba się zatruć. Niektóre dziewczęta wypijają galon mocnego wina, ja warzę napój z kilku trujących ziół. Czasem skutkuje, czasem nie. Ale kobieta zawsze czuje się po nim okropnie.

- Czy to niebezpieczne? Mogę umrzeć?

- Tak, choć zagrożenie jest mniejsze niż przy porodzie.

- Wypiję ten wywar.

Mattie zdjęła kociołek z ognia i postawiła na płaskim kamieniu, żeby ostygł. Wyjęła z szafki małą miseczkę i wsypała do niej niewielkie ilości różnych proszków.

- Co się stało? - zapytała Caris. - Mówisz, że nie osądzasz, ale w twoich oczach widzę naganę.

Mattie skinęła głową.

- Masz rację. Oczywiście, że oceniam, każdy tak robi.

- Osądzasz mnie.

- Merthin to dobry mężczyzna, a ty go kochasz, ale nie możesz znaleźć przy nim szczęścia.

To smutne.

- Uważasz, że tak jak inne kobiety powinnam rzucić się mężczyźnie do stóp?

- To je uszczęśliwia. Ale ja wybrałam inną drogę życia. Ty też pewnie tak zrobisz.

- Jesteś szczęśliwa?

- Nie urodziłam się, by być szczęśliwą. Ale pomagam ludziom, zarabiam na siebie i jestem wolna. - Nasypała mieszanki do kubka, dodała wina i zamieszała. - Jadłaś śniadanie?

- Wypiłam tylko trochę mleka. Mattie wlała do kubka odrobinę miodu.

- Wypij to i nie jedz obiadu, bo i tak zwymiotujesz. Caris wzięła kubek, zawahała się i wypila.

- Dziękuję.

Słodycz miodu tylko minimalnie złagodziła zjadliwie gorzki smak.

- Do jutra rana powinno być po wszystkim, w jedną albo w drugą stronę. Caris zapłaciła i wyszła. Po drodze czuła dziwną mieszaninę smutku i uniesienia. Cieszyła się, że podjęła decyzję po

wielu tygodniach rozterki, ale też przygniał ją smutek, jak gdyby się z kimś żegnała. Może z Merthinem? Nie wiedziała, czy to rozłąka na zawsze. Mogła o tym myśleć spokojnie, bo wciąż była na niego zła, ale zdawała sobie sprawę, że będzie bardzo za nim tęskniła. Na pewno znajdzie sobie inną ukochaną - może Bessie Bell - lecz Caris czuła, że z nią będzie inaczej. Nigdy nie pokocha nikogo tak jak Merthina.

W domu zapach piekącej się wieprzowiny przyprawił ją o mdłości i musiała wyjść. Nie chciała plotkować z kobietami na głównej ulicy ani rozmawiać o interesach z mężczyznami w siedzibie gildii, otuliła się więc grubym wełnianym płaszczem i poszła na teren klasztoru. Usiadła na kamieniu nagrobnym i spoglądała na północną ścianę katedry, podziwiając doskonałość kamiennych ornamentów i wdzięk smukłych przypór.

Zrobiło jej się niedobrze.

Zwymiotowała na grób, lecz miała pusty żołądek, z którego nie wyciekło nic oprócz kwaśnego płynu. Rozbolą ją głowa. Chętnie by się położyła, ale nie chciała iść do domu ze względu na zapachy w kuchni. Postanowiła pójść do klasztornej szpitala. Zakonnice pozwalają się położyć. Przemierzyła cmentarz i trawnik i weszła do szpitala. Nagle strasznie zachciało jej się pić.

Zobaczyła łagodną puciołowatą twarz Starej Julie.

- Och, siostrze Julie - rzekła z wdzięcznością Caris. - Czy przyniosłaby mi siostrze kubek wody?

Do klasztoru doprowadzono wodę z rzeki, czerpaną przed miastem, chłodną i czystą.

- Źle się czujesz, dziecko? - zaniepokoiła się zakonnica.

- Trochę mniej mdli. Chciałabym chwilę poleżeć, jeśli można.

- Naturalnie. Przyprowadzę matkę Cecilię.

Caris umościła się na jednym ze słomianych sienników leżących równo obok siebie na posadzce. Przez chwilę poczuła się lepiej, a później ból głowy się nasilił. Stara Julie wróciła z dzbankiem i kubkiem. Towarzyszyła jej Cecilia. Caris napiła się wody, zwymiotowała i wypła więcej.

Cecilia zadała jej kilka pytań.

- Zjadłaś coś nieświeżego - stwierdziła. - Musisz się oczyścić.

Caris czuła tak silny ból głowy, że nie mogła odpowiedzieć. Cecilia wyszła i wróciła po chwili z butelką i łyżką. Podała Caris łyżeczkę oleistego lekarstwa o smaku goździków.

Dziewczyna leżała z zamkniętymi oczami i marzyła o tym, by ból minął. Po chwili chwycił ją ból brzucha, a później gwałtowna biegunka. Półprzytomnie pomyślała, że wywołało ją lekarstwo. Po godzinie rozwolnienie się skończyło. Julie rozebrała ją i umyła, a potem pomogła włożyć habit zamiast zabrudzonej sukni. Caris położyła się na czystym materacu i zamknęła oczy.

Przyszedł Godwyn i stwierdził, że trzeba jej puścić krew. Zajął się tym inny mnich. Kazał jej

usiąść i wyprostować rękę tak, by łokieć znalazł się nad dużą miską. Wyjął ostry nóż i otworzył żyłę w zagłębieniu ramienia. Caris prawie nie poczuła bólu i powolnego pulsowania wypływającej krwi. Po chwili mnich opatrzył ranę i kazał jej trzymać mocno opatrunek. Zabrał miskę z krwią.

Caris jak przez mgłę widziała ludzi, którzy przyszli ją zobaczyć: ojca, Petranillę, Merthina. Stara Julie co jakiś czas przystawiała jej do ust kubek, a Caris piła, gdyż dręczyło ją straszne pragnienie. W pewnej chwili zauważyła świece i pomyślała, że musi być noc. W końcu zasnęła niespokojnie i miała okropne sny o krwi. Ilekroć się budziła, Stara Julie podawała jej wodę.

Obudziła się, gdy było widno. Ból znikł, pozostał tylko tępy ucisk w głowie. Nagle poczuła, że ktoś obmywa jej uda. Uniosła się na łokciu.

Przy jej materacu klęczała nowicjuszka o twarzy anioła. Habit Caris był podwinięty do talii, zakonnica myła ją ręcznikiem umoczonym w ciepłej wodzie. Po chwili przypomniała sobie jej imię.

- Mair?

- Tak - potwierdziła z uśmiechem nowicjuszka.

Gdy wyciskała ściereczkę, Caris z przerażeniem zobaczyła, że jest cała czerwona.

- Krew!

- Nie martw się - uspokoiła ją Mair. - To tylko miesiączka. Obfita, ale normalna.

Caris zobaczyła, że habit i materac przesiąkły krwią. Położyła się i wbiła wzrok w sufit. Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie wiedziała, czy płacze z ulgi, czy ze smutku. Nie była już w ciąży.

CZEŚĆ IV

Czerwiec 1338-maj 1339

30

Czerwiec roku 1338 był słoneczny, lecz targi wełny okazały się katastrofalne dla Kingsbridge, a szczególnie dla Edmunda Woolera. W połowie tygodnia Caris wiedziała, że ojciec jest bankrutem.

Mieszkańcy miasta spodziewali się trudności i zrobili wszystko, by dobrze się przygotować. Zamówili u Merthina trzy duże tratwy, które kursowały po rzece obok promu i łódki lana. Merthin zbudowałby ich więcej, ale na brzegach zabrakło miejsca do cumowania. Teren klasztorny otwarto

dzień przed targami, a prom kursował przy świetle pochodni przez „całą noc. Kupcy przekonali Godwyna, by pozwolił kramarzom przeprować się na drugą stronę rzeki na przedmieście i sprzedawać towary stojącym w kolejce. Mieli nadzieję, że piwo Dicka Brewera i bułki Berty Baxter uprzyjemnią im oczekiwanie.

Wszystko to jednak nie wystarczyło.

Na targi przybyło mniej ludzi niż zwykle, lecz kolejki były długie jak nigdy. Dodatkowe tratwy okazały się za małe, lecz mimo to na obu brzegach rzeki zrobiło się takie błoto, że furmanki co i raz w nim grzęzły i trzeba je było wyciągać wołami. Co gorsza, tratwami trudno było sterować i doszło do dwóch zderzeń. Pasażerowie powpadali do wody, ale na szczęście nikt się nie utopił.

Część kupców przewidziała trudności i nie przyjechała do miasta, inni zawrócili na widok wydłużonej kolejki. Niektórzy spośród tych, którzy poświęcili pół dnia, by tu przyjechać, ubili tak mało interesów, że wyjechali po jednym lub dwóch dniach. W środę prom wywoził z miasta więcej ludzi, niż przywoził.

Rano Caris i Edmund udali się na oględziny budowanego mostu wraz z Guillaume'em z Londynu. Guillaume nie był tak ważnym klientem jak Buonaventura Caroli, lecz najlepszym w owym roku, skakali więc koło niego jak mogli. Był to wysoki, tęgi mężczyzna, ubrany w płaszcz z jasnoczerwonej włoskiej wełny.

Pożyczyli tratwę Merthina, zaopatrzoną w pokład z podestem i blok do wyciągania materiałów budowlanych. Jego młody pomocnik Jimmie wyprowadził tratwę na środek rzeki.

Filary zbudowane przez Merthina w grudniu w takim pośpiechu wciąż otoczone były grodzami. Merthin uprzedził Edmunda i Caris, że pozostawi je, dopóki most nie będzie prawie na ukończeniu, by uchronić murarkę przed przypadkowym zniszczeniem w czasie robót. Po ich zburzeniu chciał zostawić w tym miejscu stos dużych głazów, które nie pozwolą prądowi rzeki podmywać filarów.

Potężne kamienne kolumny z łukami wyrosły niczym rozszerzające się pnie drzew. Bliżej brzegów, w płytszej wodzie, stały mniejsze filary. Ich łuki dopiero powstawały, wyciągając się w stronę środkowych filarów i przyczółków na brzegach. Kilkunastu murarzy uwijało się na skomplikowanym rusztowaniu, które oplatało kamienny mur niczym ptasie gniazda klif.

Kupcy przybili do Wyspy Trędowatych i zastali Merthina z bratem Thomasem. Wspólnie nadzorowali pracę murarzy układających przyczółek, od którego miał się zaczynać drugi most nad północnym korytem rzeki. Most wciąż należał do opactwa, mimo iż ziemia została wydzierżawiona gildii parafialnej, a budowa była finansowana z pożyczek obywateli miasta. Thomas często pojawiał się na budowie, a przeor interesował się nią jako właściciel. Szczególną wagę przykładał do wyglądu

mostu, najwyraźniej uważając, że będzie to coś w rodzaju jego pomnika.

Merthin spojrział na gości i serce Caris zabiło żywiej. Prawie się teraz nie widywali, a kiedy już do tego doszło, zawsze rozmawiali o interesach, mimo to dziewczyna wciąż czuła się dziwnie w jego obecności. Musiała uspokajać oddech, spoglądać mu w oczy z udaną obojętnością i powściągać język.

Nigdy się nie pogodzili. Nie powiedziała mu, że pozbyła się dziecka, Merthin nie wiedział więc, czy ciąża skończyła się samorzutnie czy w inny sposób. Żadne z nich nie nawiązywało do tej sprawy. Merthin dwa razy przyszedł do Caris i błagał ją usilnie, żeby zaczęli od nowa. Za każdym razem odpowiadała mu, że nigdy nie pokocha innego, ale nie spędzi życia jako czyjaś żona i matka.

- Jak więc zamierzasz żyć? - pytał Merthin, a ona odpowiadała po prostu, że nie wie.

Merthin dbał o swój wygląd bardziej niż kiedyś. Miał równo przystrzyżone włosy i brodę, był teraz częstym klientem Matthew Barbera. Nosił ceglasczer-woną tunikę jak murarze, lecz jego żółtą pelerynę zdobiło futro, znak mistrza. Na głowie miał czapkę z piórem, która powodowała, że wyglądał na nieco wyższego.

Elfric, który wciąż traktował go jak wroga, twierdził, że Merthinowi nie wolno się tak nosić, gdyż nie jest członkiem żadnego cechu. Merthin odpowiadał, że jest mistrzem, a problem można rozwiązać, przyjmując go do cechu. I tak kwestia pozostawała nierozstrzygnięta.

Merthin miał dopiero dwadzieścia jeden lat.

- Ależ to młodzik! - zdziwił się Guillaume, spoglądając na niego.

- Był najlepszym budowniczym w mieście nawet wtedy, gdy miał siedemnaście lat - odparła Caris.

Merthin powiedział kilka słów do Thomasa i podszedł do gości.

- Przynośki muszą być ciężkie i mieć głębokie fundamenty - wyjaśnił, wskazując potężną kamienną ścianę, którą właśnie wznoszono.

- A to dlaczego, młody człowieku? - zaciekawiał się Guillaume. Merthin przywykł już do tego, że wszyscy zachowują się wobec niego protekcyjnie, i nie przejmował się tym.

- Zaraz panu pokażę - odparł z uśmiechem. - Proszę stanąć w rozkroku, o tak.

Merthin pokazał pozycję, a Guillaume po chwili wahania przyjął taką samą.

- Czuje się pan tak, jakby nogi chciały się panu rozjechać?

- Tak.

- Końcówki mostu też chcą się rozjeżdżać tak jak pańskie nogi. Wywołuje to napięcie w moście, takie jak to, które czuje pan teraz w kroczu. - Merthin stanął prosto i przystawił but do stopy Guillaume'a obutej w miękkim skórzany trzewik. - Teraz stopa nie może się przesunąć, a napięcie w

kroczu się zmniejszyło, prawda?

- Tak.

- Przyczółek działa tak samo jak moja stopa, daje podparcie i zmniejsza napięcie.

- Bardzo interesujące - rzekł z namysłem Guillaume. Caris wiedziała, że od tej pory będzie doceniał Merthina.

- Oprowadzę państwa - zaproponował budowniczy.

W ciągu pół roku wyspa całkowicie się zmieniła. Wszelkie ślady dawnej kolonii trędowatych znikły. Większość kamienistego gruntu zajmowały teraz składy: kamieni, wapna, drewna i lin. Wciąż pełno tam było królików, lecz teraz gryzonie musiały współzawodniczyć

o miejsce z budowniczymi. Pojawiła się kuźnia, w której kowal naprawiał stare narzędzia i wykuwał nowe, kilka warsztatów murarskich i nowy dom Merthina, mały, lecz starannie zbudowany, o pięknych proporcjach. Cieśle, kamieniarze i pomocnicy uwijali się, by dostarczać murarzom materiały.

- Wydaje mi się, że pracuje więcej ludzi niż zwykle - szepnęła Caris do ucha Merthinowi.

Młodzieniec się uśmiechnął.

- Rozmieściłem ich tak, żeby dobrze było wszystkich widać - odparł cicho. - Każdy gość powinien widzieć, jak szybko posuwają się prace przy nowym moście. Chcę, by uwierzyli, że w przyszłym roku targi będą takie jak kiedyś.

W zachodniej części wysepki, z dala od mostu, znajdowały się kładki i magazyny na działkach, które Merthin wynajął kupcom z Kingsbridge. Mimo iż czynsze były niższe niż te, które musieli płacić w obrębie murów miasta, Merthin już zarabiał o wiele więcej, niż wyniosła symboliczna suma zapłacona za dzierżawę.

Często widywał się z Elizabeth Clerk. Caris uważała ją za zdzirę, lecz była to jedyna oprócz niej kobieta w mieście, dorównująca rozumem Merthinowi. Miała trochę książek odziedziczonych po ojcu, który był biskupem, i Merthin spędzał u niej wieczory na lekturze. Czy robili coś oprócz tego, Caris nie wiedziała.

Po zakończeniu obchodu Edmund popłynął z Guillaume'em na brzeg, a Caris została, by pomówić z Merthinem.

- To dobry klient? - spytał, gdy tratwa się oddaliła.

- Sprzedaliśmy mu dwa worki taniej wełny za mniej, niż za nią daliśmy. W worku mieściły się trzysta sześćdziesiąt cztery funty wełny, wypranej i wysuszonej. Tego roku tania wełna sprzedawana była za trzydzieści sześć szylingów, a wełna dobrej jakości za mniej więcej dwa razy tyle.

- Dlaczego?

- Kiedy ceny spadają lepiej jest mieć gotówkę niż towar.

- Ale spodziewaliście się chyba marnego utargu.

- Nie myśleliśmy, że będzie aż tak źle.

- Dziwne. Kiedyś twój ojciec miał niemal nadprzyrodzoną umiejętność przewidywania tego, co stanie się na rynku.

Caris się zawahała.

- To skutek dwóch czynników: słabego popytu i braku mostu.

W gruncie rzeczy ona też się dziwiła. Widziała, że ojciec kupuje takie same ilości wełny co zwykle, mimo nie najlepszych perspektyw. Zastanawiała się, czemu nie postępuje ostrożniej, ograniczając zakupy.

- Pewnie chce sprzedać nadwyżkę na rynku w Shiring - powiedział Merthin.

- Właśnie o to chodzi hrabiemu Rolandowi. Sęk w tym, że nie handlujemy tam regularnie. Handel opanowali miejscowi. Tak się dzieje w Kingsbridge: mój ojciec i dwóch lub trzech innych dobijają targu z największymi nabywcami, a mniejsi i przybysze muszą się zadowolić resztkami. Jestem pewna, że kupcy w Shiring robią to samo. Moglibyśmy sprzedać tam parę worków, ale nie ma szans, żebyśmy pozbyli się całej wełny.

- I co zrobicie?

- Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem. Być może trzeba będzie przerwać budowę.

- Nie - odparł cicho Merthin, spoglądając jej prosto w oczy.

- Bardzo mi przykro, ale ojciec nie ma pieniędzy. Włożył wszystko w wełnę, której nie można sprzedać.

Merthin wyglądał, jakby dostał w twarz.

- Trzeba znaleźć inny sposób!

Caris pragnęła tego z całego serca, ale nie przychodziło jej do głowy nic pocieszającego.

- Ojciec zobowiązał się wpłacić na most siedemdziesiąt funtów. Połowę już dał. Niestety, reszta leży w workach w składzie.

- Nie mógł wydać wszystkiego.

- Ale prawie wszystko. To samo dotyczy kilku innych, którzy obiecali dać pieniądze.

- Mogę spowolnić prace - rzekł zdesperowany Merthin. - Zwolnię paru rzemieślników i sprzedam część materiałów.

- Wtedy most nie będzie gotowy na następne targi i wpadniemy w jeszcze gorsze tarapaty.

- Lepsze to niż całkiem zrezygnować.

- Tak, ale na razie nic nie rób. Pomyślmy o tym, gdy skończą się targi. Chciałam tylko, żebyś wiedział, jaka jest sytuacja.

- Dziękuję - odparł pobladły Merthin. Jimmie podpłynął tratwą do wyspy. Caris wsiadła.
- Co słyhać u Elizabeth Clerk? - rzuciła mimochodem. Merthin udał, że jest zaskoczony tym pytaniem.

- Chyba wszystko w porządku.

- Często się z nią widzisz?

- Niezbyt. Zawsze się kolegowaliśmy.

- Oczywiście - mruknęła Caris, choć nie była to do końca prawda. W zeszłym roku, kiedy spędzał dużo czasu z Caris, całkowicie ignorował Elizabeth. Jednak zaprzeczanie było poniżej jej godności, więc Caris milczała.

Pomachała na pożegnanie i tratwa odbiła od brzegu. Merthin udawał, że jego związek z Elizabeth nie ma romantycznego charakteru. Może to i prawda. A może wstydzi się przyznać Caris, że kocha inną dziewczynę. Mogła tylko zgadywać, ale jednego była pewna: dla Elizabeth to na pewno jest romans. Caris widziała to w jej oczach, gdy tamta spoglądała na Merthina. Elizabeth mogła być lodowatą dziewicą ale Merthin ją rozpałał.

Tratwa uderzyła o brzeg. Caris wysiadła i ruszyła pod górę do centrum miasta.

To, co Merthin usłyszał od Caris, głęboko go poruszyło. Chciało jej się płakać na myśl o tym, jak posmutniał. Tak samo wyglądał wtedy, gdy odrzuciła jego propozycję, by zaczęli od nowa.

Nadal nie wiedziała, jak chce spędzić życie. Zawsze jej się wydawało, że niezależnie od tego, co będzie robiła, będzie mieszkała w wygodnym domu i czerpała pieniądze z handlu. A teraz grunt usuwał jej się spod nóg. Szukała wyjścia z tej matni. Ojciec zachowywał się dziwnie beztroosko, jakby wciąż nie dotarł do niego rozmiar strat. Jednak Caris wiedziała, że coś trzeba przedsięwziąć.

Na głównej ulicy minęła się z córką Elfrica Griseldą, która niosła na rękach półroczne dziecko. Dała chłopcu na imię Merthin, co miało być wiecznym wyrzutem dla Merthina z powodu tego, że się z nią nie ożenił. Griseldą nadal nosiła maskę skrzywdzonej niewinności. Wszyscy już wiedzieli, że Merthin nie jest ojcem dziecka, choć niektórzy mieszkańcy miasta uważali, iż i tak powinien się z nią ożenić, skoro z nią spał.

W drzwiach domu Caris natknęła się na ojca. Spojrzała nań zdumiona. Miał na sobie tylko długą koszulę i kalesony.

- Gdzie twoje ubranie?

Edmund spojrział na siebie i prychnął gniewnie.

- Robię się coraz bardziej roztargniony - mruknął i zawrócił.

Na pewno zdjął kaftan, wychodząc do ustępu, a potem zapomniał go włożyć. Czy winny był tylko jego wiek? Miał dopiero czterdzieści osiem lat, a poza tym jego zachowanie sugerowało coś

gorszego niż roztargnienie. Caris poczuła się nieswojo.

Po chwili Edmund wrócił normalnie ubrany, razem przeszli przez główną ulicę i wkroczyli na teren klasztoru.

- Powiedziałaś Merthinowi o pieniądzach?
- Tak, był wstrząśnięty.
- Co rzekł?
- Że może oszczędzać, wolniej budując.
- Ale wtedy nie będziemy mieli mostu na czas.
- Merthin uważa, że to lepsze niż całkowite porzucenie budowy.

Doszli do straganu Perkina Wigleigha, który sprzedawał jajka. Jego kokieteryjna córka Annet stała z tacą pełną jaj przywiązaną paskiem do szyi. Za kontuarem Caris zobaczyła swoją przyjaciółkę Gwendę, która pracowała teraz dla Perkina. W ósmym miesiącu ciąży, z nabrzmiałymi piersiami i dużym brzuchem, Gwenda trzymała jedną rękę na biodrze, stojąc w pozie ciężarnej kobiety, którą boli kręgosłup.

Caris obliczyła, że także byłaby w ósmym miesiącu, gdyby nie wypila wywaru od Mattie. Po stracie dziecka z jej piersi ciekło mleko i nie mogła pozbyć się uczucia, że ciało karze ją za jej uczynek. Dręczyły ją bolesne wyrzuty sumienia, lecz ilekroć pomyślała o tym logicznie, wiedziała, że teraz zrobiłaby to samo.

Gwenda zauważyła Caris i uśmiechnęła się. Mimo przeciwności losu ziściło się jej marzenie: Wyszła za Wulfrica. Silny jak koń i dwa razy przystojniejszy niż kiedyś, prznosił właśnie drewniane skrzynki na wóz. Caris cieszyła się ze szczęścia przyjaciółki.

- Jak się dzisiaj czujesz?
- Plecy bolą mnie od rana.
- To już niedługo.
- Parę tygodni.
- Kto to jest, córeczko? - zapytał Edmund.
- Nie pamiętasz Gwendy? - zdziwiła się Caris. - Od dziesięciu lat co najmniej raz do roku gościłaś ją pod swoim dachem!

Edmund się uśmiechnął.

- Nie poznałem cię, Gwendo. To pewnie z powodu ciąży. Do twarzy ci z nią. Poszli dalej. Caris wiedziała, że Wulfric nie zdobył swojej schedy. Gwenda nie zdołała tego załatwić. Nie było wiadomo, co się właściwie stało we wrześniu ubiegłego roku, kiedy Gwenda poszła błagać Ralpa, który złożył jej ponoć jakąś obietnicę, a później się z niej wycofał. Gwenda nienawidziła teraz Ralpa

z zajadłością, która budziła przerażenie.

Nieopodal miejscowi kupcy sprzedawali na straganach brązowy, luźno tkany materiał, który wszyscy, oprócz bogatych, kupowali, by szyć z niego ubrania. Wyglądało na to, że idzie im nieźle, w odróżnieniu od kupców handlujących wełną. Surową wełną handlowało się hurtowo i brak kilku dużych kupców mógł zrujnować rynek. Jednak tkaniny to towar detaliczny. Kupuje je każdy. Nieco mniej w trudnych czasach, lecz przecież wszyscy potrzebują ubrań.

Jakaś niejasna myśl pojawiła się w głowie Caris. Kiedy kupcy nie mogli sprzedać wełny, czasem tkali z niej materiał i próbowali nim handlować. Wymagało to jednak sporo pracy, a z brązowej tkaniny nie było dużego zysku.

Wszyscy szukali najtańszego materiału i sprzedawcy musieli utrzymywać niskie ceny.

Caris spojrzała na stragany z tkaniną innymi oczami.

- Ciekawe, co przynosi największy zysk...

Tkanina kosztowała dwanaście pensów za jard. Dwa razy więcej trzeba było zapłacić za tkaninę spłśnioną przez młócenie w wodzie, a jeszcze więcej za taką która była w innym niż naturalny brąz kolorze. Caris odwróciła się do ojca, żeby podzielić się z nim swoim pomysłem, lecz zanim zdołała otworzyć usta, coś się wydarzyło.

Wizyta na targu wełny przypomniała Ralphowi o nieprzyjemnym zdarzeniu sprzed roku. Dotknął zniekształconego nosa. Jak mogło do tego dojść? Zaczęło się od niewinnego zaczepiania młodej wieśniaczki Annet, później Ralph chciał dać nauczkę jej gachowi, a skończyło się na jego, Ralpha, poniżeniu.

Zbliżając się do straganu Perkina, pocieszał się rozmyślaniami o tym, co wydarzyło się od tego czasu. Ocalił życie hrabiemu Rolandowi w czasie katastrofy mostu, zadowolił hrabiego swoją zdecydowaną postawą w kamieniołomie i otrzymał tytuł lorda. Nieważne, że miał we władaniu małą wioskę Wigleigh. Zabił człowieka, Bena Wheelera. Był woźnicą więc czyn nie przynosił zaszczytu, lecz Ralph udowodnił sobie, że jest w stanie to zrobić.

Nawet pogodził się z bratem. Matka zmusiła ich do tego, zapraszając obu na obiad w Boże Narodzenie i nalegając, żeby podarli sobie ręce. Ojciec powiedział, że tak się niefortunnie złożyło, iż służą rywalizującym ze sobą panom, lecz każdy musi jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki, tak jak żołnierze, którzy znaleźli się po przeciwnych stronach w wojnie domowej. Ralph był zadowolony i uważał, że Merthin czuje to samo.

Zdołał zaspokoić pragnienie zemsty na Wulfricu, odmawiając mu prawa do spadku, a zarazem dziewczyny. Urodziwa Annet była teraz żoną Billy'ego Howarda, Wulfric zaś musiał się zadowolić brzydką lecz gorącą Gwenda.

Szkoda, że Wulfric nie wyglądał na bardziej zdruzgotanego. Kroczył po wiosce z dumnie uniesioną głową jak gdyby to on, a nie Ralph, był jej panem. Lubili go wszyscy, a ciężarna żona wręcz go uwielbiała. Mimo krzywd, jakie Ralph mu wyrządził, to Wulfric wyszedł na bohatera. Może dlatego, że jego żona była taka lubieżna.

Chętnie opowiedziałby Wulfricowi o jej odwiedzinach u Bella. „Spałem z twoją żoną i zrobiłem jej dobrze”. Wtedy mina by mu zrzedła. Ale dowiedziałby się, że Ralph złożył obietnicę i haniebnie jej nie dotrzymał. Znow patrzyłby na Ralpa z góry. Ralph zdrzął na myśl o pogardzie Wulfrica i innych, gdyby dowiedzieli się o jego zdradzie. Zwłaszcza Merthin by nim gardził. Nie, baraszowanie z Gwenda musi pozostać tajemnicą.

Wszyscy byli przy straganie. Perkin pierwszy dojrzał lorda i jak zwykle przywitał go uniżenie.

- Dzień dobry, lordzie Ralphie - rzekł, kłaniając się. Jego żona Peggy dygnęła. Gwenda masowała sobie plecy. Nagle Ralph zobaczył Annet z tacą jajek i przypomniał sobie jej małą jędrną pierś, krągłą niczym jajko. Zauważyła, że jej się przygląda, i wstydliwie spuściła wzrok. Znow zapragnął jej dotknąć. Dlaczego nie, wszak jest jej lordem. Nagle dostrzegł za straganem Wulfrica. Chłopak ładował skrzynki na wóz, ale teraz stanął i patrzył na Ralpa. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, lecz spojrzenie było pewne i niezłomne. Nie sposób było nazwać go bezczelnym, ale Ralph nie miał wątpliwości, że kryje się w nim groźba. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Dotknij jej, to cię zabiję”. Może powinienem to zrobić? - pomyślał Ralph. Niech się na mnie rzuci, a ja przebiję go mieczem. Będę w prawie: lord broni się przed oszalałym z nienawiści kmieciem. Nie spuszczać oczu z Wulfrica, wyciągnął rękę w stronę piersi Annet. I nagle Gwenda krzyknęła z bólu.

Wszystkie oczy

zwróciły się na nią.

i
i

31

Caris usłyszała krzyk i rozpoznała głos Gwendy. Złękła się. Coś było nie tak. Przebiegła kilka kroków i znalazła się przy straganie Perkina.

Gwenda siedziała poblada na stołku, jej twarzy wykrzywiła się w grymasie bólu, ręka spoczęła na biodrze. Miała mokrą sukienkę.

- Wody odeszły - stwierdziła rażno Peg, żona Perkina. - Zaczyna się poród.
- Za wcześnie - zauważyła z troską Caris.
- Dziecko chce wyjść i już.
- To niebezpieczne. - Caris podjęła decyzję. - Zabierzmy ją do szpitala. Kobiety zwykle nie rodziły w szpitalu, lecz zakonnice wpuszczają Gwendę, jeśli Caris będzie nalegała. Wszyscy wiedzieli,

że wcześniaki są podatne na choroby.

Zjawił się Wulfric. Caris zdziwiła się, że tak młodo wygląda. Skończył dopiero siedemnaście lat i miał zostać ojcem.

- Zasłabłam - powiedziała Gwenda. - Zaraz mi przejdzie.

- Wezmę cię na ręce - odparł Wulfric, dźwigając ją bez wysiłku.

- Chodź za mną. - Caris ruszyła między straganami. - Zróbcie przejście! Po chwili dotarli do szpitala.

Drzwi były szeroko otwarte. Goście, którzy spędzili tu noc, już dawno zostali wyproszeni; materace leżały w stosie przy ścianie. Kilkoro pomocników i nowicjuszy energicznie szorowało posadzkę. Caris zwróciła się do bosej kobiety w średnim wieku.

- Sprowadź Starą Julie, prędko. Powiedz, że Caris cię przysłała. Znalazła w miarę czysty siennik i rozłożyła go niedaleko ołtarza. Nie była pewna, czy ołtarz skutecznie pomaga chorym, ale postąpiła zgodnie ze zwyczajem. Wulfric ułożył Gwendę na sienniku tak ostrożnie, jakby była ze szkła. Gwenda uniosła kolana i rozłożyła nogi.

Po chwili zjawiła się Stara Julie. Caris uzmysłowiła sobie, że zakonnica pomagała jej tyle razy, a ma niewiele ponad czterdzieści lat. Wydawało się, że jest znacznie starsza.

- To jest Gwenda Wigleigh - oznajmiła Caris. - Może nic jej nie jest, ale dziecko rodzi się kilka tygodni za wcześnie, więc pomyślałam, że lepiej będzie ją tu przynieść. Byliśmy niedaleko.

- Bardzo roztropnie postąpiłaś - pochwaliła Julie, delikatnie odsuwając Caris. Uklękła przy sienniku. - Jak się czujesz, dziecko? - zapytała Gwendę.

Julie rozmawiała cicho z dziewczyną, a Caris spojrzała na Wulfrica. Na jego urodziwej młodej twarzy widać było troskę. Wulfric nigdy nie chciał ożenić się z Gwendą, zawsze pragnął Annet, teraz jednak był tak przejęty, jakby kochał ją od lat.

Gwenda krzyknęła z bólu.

- Już dobrze, już dobrze... - mówiła Julie, klękając między jej nogami i spoglądając na brzuch.

- Dziecko niedługo wyjdzie.

Przyszła następna zakonnica. Była to Mair, nowicjuszka o anielskiej twarzy.

- Zawołać matkę Cecilie? - spytała.

- Nie ma potrzeby - odparła Julie. - Idź do składziku i przynieś drewnianą skrzynkę z napisem „Porody” na wieku.

Mair ruszyła szybkim krokiem.

- O Boże, ale boli - jęknęła Gwenda.

- Przyj - poleciła Julie.

- Co się dzieje, na miłość boską? - zaniepokoił się Wulfric.

- Nic złego - uspokoiła go Julie. - Wszystko przebiega normalnie. W taki sposób kobiety wydają dzieci na świat. Pewnie jesteś najmłodszy w rodzinie, bo inaczej musiałbyś widzieć matkę, jak rozczyła.

Caris także była najmłodsza z rodzeństwa. Wiedziała, że poród jest bolesny, ale nigdy nie oglądała go na własne oczy. Nie myślała, że to może być aż tak straszne.

Mair wróciła i postawiła skrzyneczkę na posadzce obok Julie. Gwenda przestała jęczeć. Zamknęła oczy i wyglądała, jakby zapadła w sen. Nagle po kilku minutach znów krzyknęła.

- Usiądź przy niej i trzymaj ją za rękę - rzekła Julie do Wulfrica. Chłopak bez słowa wypełnił polecenie.

Julie nadal patrzyła na brzuch Gwendy.

- Teraz przestań przeć. Oddychaj szybko i krótko.

Pokazała Gwendzie, jak powinna oddychać. Gwenda posłuchała i wydawało się, że ulżyło jej na chwilę. Nagle znów krzyknęła.

Caris nie mogła na to patrzeć. Jeśli to jest normalny poród, to jak wyglądają porody z komplikacjami? Straciła poczucie czasu, wszystko wydawało się dziać bardzo szybko, tylko cierpienia Gwendy nie miały końca. Caris ogarnęło tak zniechęcone poczucie bezradności, które poznała w dniu śmierci matki. Chciała pomóc, ale nie wiedziała jak. Zagryzła wargę tak mocno, że poczuła smak krwi.

- Dziecko wychodzi - oznajmiła Julie, sięgając między nogi Gwendy. Sukienka podjechała do góry i Caris zobaczyła wyraźnie główkę dziecka od tyłu, pokrytą mokrymi włoskami. Wysuwała się z otworu, który wydawał się rozciągnięty ponad wszelką miarę.

- Boże dopomóż, nic dziwnego, że to boli! - szepnęła przerażona. Julie podtrzymała główkę lewą ręką. Dziecko powoli obróciło się na bok i ukazały się maleńkie ramiona. Skóra była śliska od krwi i śluzu.

- Teraz się rozluźnij - powiedziała Julie. - Już prawie po wszystkim. Dziecko jest śliczne.

Co w nim ślicznego? - pomyślała Caris. Jej wydawało się okropne.

Tułów dziecka wysunął się z czymś w rodzaju grubego, pulsującego niebieskiego sznura połączonego z pępkiem. Zaraz potem bardzo szybko wyszły nogi i stopy. Julie wzięła noworodka na ręce. Był maleńki, jego głowa była niewiele większa od dłoni zakonnicy.

Nagle Caris uzmysłowiła sobie, że dziecko nie oddycha.

Julie przysunęła jego twarz do ust i dmuchnęła w maleńki nosek.

Dziecko otworzyło usta, wciągnęło powietrze i zapłakało.

- Chwała Bogu - westchnęła zakonnica.

Rękawem habitu delikatnie otarła jego uszy, oczy, nos i buzię. Potem przytuliła noworodka do piersi, zamykając oczy. W jednej chwili Caris ujrzała całe niespełnione życie. Chwila minęła i Julie położyła dziecko na piersi Gwendy.

- Chłopiec czy dziewczynka? - zapytała matka.

Caris uświadomiła sobie, że nikt nie zwrócił uwagi na płeć dziecka. Julie pochyliła się i rozsunęła drobniutkie nóżki.

- Chłopiec.

Niebieski sznur przestał pulsować, skurczył się i pobieleł. Julie wyjęła ze skrzynki kawałek sznurka i podwiązała pępowinę, a następnie przecięła ją między węzłami małym ostrym nożykiem.

Mair wzięła od niej nóż i podała mały kocyk. Julie podniosła noworodka, owinęła go w koc i oddała Gwendzie. Mair przyniosła poduszki, by matka mogła wygodnie się oprzeć. Gwenda rozpięła sukienkę i wyjęła nabrzmiąłą pierś. Podała dziecku sutek, a ono zaczęło ssać. Po chwili zapadło w sen.

Drugi koniec pępowiny wciąż wystawał z ciała Gwendy. Po kilku minutach coś się poruszyło i na zewnątrz wysunęła się bezkształtna czerwona masa: było to łożysko i błony płodowe. Krew rozlała się po sienniku. Julie podniosła łożysko i podała Mair.

- Spal to.

Julie spojrzała na brzuch Gwendy i zmarszczyła czoło. Caris zobaczyła, że krew wciąż płynie. Julie wytarła Gwendę, lecz czerwone strumyki pojawiły się momentalnie.

- Zawołaj matkę Cecilię - rzekła Julie do Mair, gdy ta wróciła.

- Coś jest nie tak? - zaniepokoił się Wulfric.

- Krwawienie powinno ustać - wyjaśniła Julie.

Nagle w powietrzu zawisł niepokój. Wulfric patrzył z przestachem na Julie. Dziecko znów zaczęło płakać, Gwenda podsunęła mu sutek. Chłopiec poszał przez chwilę i zasnął. Julie raz po raz spoglądała na drzwi.

Po chwili zjawiała się Cecilia i spojrzała na Gwendę.

- Czy łożysko wyszło?

- Przed paroma minutami.

- Przyłożyłaś dziecko do piersi?

- Gdy tylko odcięliśmy pępowinę.

- Sprowadź lekarza - oznajmiła Cecilia i wyszła.

Wróciła po kilku minutach. W rękach trzymała małe szklane naczynie z żółtawym płynem.

- Przeor Godwyn to zalecił. Caris się oburzyła.
- Nie chce zbadać Gwendy?
- Oczywiście, że nie - odparła zdecydowanie Cecilia. - Jest księdzem, a przy tym mnichem.

Tacy mężczyźni nie oglądają intymnych części ciała kobiet.

- Podex - rzuciła z pogardą Caris. Po łacinie znaczyło to „dupek”. Cecilia udała, że nie słyszy. Uklękła przy Gwendzie.

- Wypij to, moja droga.

Gwenda wypła, ale nie przestała krwawić. Pobladła i wyglądała gorzej niż tuż po porodzie. Dziecko spało smacznie na jej piersi, ale wszyscy byli przerażeni. Wulfric to wstawał, to siadał. Julie ścierała krew z ud Gwendy i wyglądała, jakby zbierało jej się na płacz. Gwenda poprosiła o coś do picia, Mair przyniosła piwo.

Caris wzięła Julie na stronę.

- Wykrwawi się na śmierć! - szepnęła. ».
- Zrobiłyśmy, co w naszej mocy.
- Widziałas już kiedyś taki przypadek?
- Tak, trzy.
- Czym się zakończyły?
- Kobiety zmarły. Caris jęknęła cicho.
- Na pewno można coś zrobić!
- Życie Gwendy jest w rękach Boga. Możesz się tylko modlić.
- Powiedziałam, że chcę coś zrobić.
- Uważaj, co mówisz.

Caris zrobiło się przykro. Nie chciała dotknąć Cecylii, która miała złote serce.

- Przepraszam, siostrze. Nie kwestionuję siły modlitwy.
- Mam nadzieję.
- Za wcześnie, by oddawać Gwendę w ręce Boga.
- A co można uczynić?
- Zobaczysz - rzuciła Caris i wybiegła ze szpitala.

Przeciskała się niecierpliwie między klientami, którzy przechadzali się wśród straganów. Zdumiało ją że ludzie mogą zajmować się kupowaniem i sprzedawaniem, gdy kilka jardów od nich rozgrywa się dramat życia i śmierci. Ale niejedną raz sama słyszała, że ciężarna kobieta zaczęła rodzić, a mimo to nadal robiła swoje, życząc kobiecie wszystkiego najlepszego.

Zostawiła za sobą teren klasztorny i popędziła ulicą ku domowi Mattie Wise. Zapukała do

drzwi i otworzyła. Z ulgą zobaczyła, że Mattie jest.

- Gwenda urodziła dziecko.
- I co się stało? - zapytała Mattie.
- Dziecko ma się dobrze, ale Gwenda wciąż krwawi.
- Łóżysko wyszło?
- Tak.
- Krwawienie powinno ustać.
- Potrafisz jej pomóc?
- Spróbuję.
- Pospiesz się, proszę!

Mattie zdjęła garnek z ognia, włożyła buty i zamknęła drzwi na klucz.

- Nigdy nie urodzę dziecka, przysięgam - powiedziała z przekonaniem Caris.

Gdy weszły do szpitala, Caris wyczuła silny zapach krwi. Mattie przywitała się ze Starą Julie.

- Dzień dobry, siostrze Julie.

- Witaj, Mattie. - Julie spojrzała na nią z dezaprobatą. - Uważasz, że zdołasz pomóc tej kobiecie, skoro lekarstwa świętobliwego przeora nie przyniosły błogosławionego skutku?

- Jeśli będziesz się modliła o mnie i o pacjentkę, siostrze, kto wie, co może się zdarzyć?

Ta dyplomatyczna odpowiedź udobruchała Julię.

Mattie uklękła przy matce i noworodku. Gwenda była jeszcze bledsza niż przedtem. Miała zamknięte oczy. Dziecko szukało na ślepo sutka, ale Gwenda była zbyt wyczerpana, by mu pomóc.

- Matka musi pić, ale nie mocne trunki - rzekła Mattie. - Przynieście jej dzban ciepłej wody z odrobiną wina. Potem zapytajcie kucharza, czy ma rosół, ciepły, ale nie gorący.

Mair zerknęła pytająco na Julię. Po krótkim wahaniu zakonnica rzekła:

- Idź, ale nie mów nikomu, że wypełniasz polecenie Mattie. Nowicjuszka wyszła szybkim krokiem.

Mattie podciągnęła sukienkę Gwendy tak wysoko, jak się dało, odsłaniając cały jej brzuch. Skóra, jeszcze kilka godzin temu napięta, teraz była wiotka i pofałdowana. Mattie złapała ją, wciskając palce delikatnie, lecz mocno w brzuch dziewczyny. Gwenda stęknęła, ale bardziej z niewygodności niż bólu.

- Macica jest miękka, nie obkurczyła się - oznajmiła Mattie. - Dlatego dziewczyna krwawi.
- Umiesz jej jakoś pomóc? - zapytał Wulfric bliski łez.
- Nie wiem. - Mattie zaczęła masować brzuch, naciskając macicę. - Czasem to powoduje, że łono się kurczy.

Wszyscy patrzyli w milczeniu. Caris prawie wstrzymała oddech. Mair wróciła z winem rozcieńczonym wodą.

- Podaj jej odrobinę - rzekła Mattie, nie przerywając masażu. Mair podsunęła kubek do ust Gwendy, która napiła się chciwie. - Nie za dużo - ostrzegła Mattie. Mair odsunęła naczynie.

Mattie masowała dalej, co jakiś czas zerkając na podbrzusze Gwendy. Usta Julie poruszały się w cichej modlitwie. Krew płynęła.

Zatroskana Mattie zmieniła pozycję. Położyła lewą dłoń tuż pod pępkiem, a prawą nad lewą. Nacisnęła, stopniowo zwiększając siłę. Caris bała się, że to może pacjentkę boleć, ale Gwenda była półprzytomna. Mattie pochylała się niżej nad dziewczyną, zdawało się, że naciska jej brzuch całym ciężarem ciała.

- Krwawienie ustało! - wykrzyknęła Julie. Mattie nie zmieniła pozycji.

- Czy ktoś umie policzyć do pięciuset?

- Tak - odparła Caris.

- Tylko powoli.

Caris zaczęła głośno liczyć. Julie znów wytarła Gwendę z krwi i tym razem czerwone strumienie się nie pojawiły. Rozpoczęła modlitwę.

- Święta Maryjo, matko Pana Naszego...

Wszyscy zastygli bez ruchu niczym grupowa rzeźba: matka z noworodkiem na sienniku, zielarka uciskająca brzuch matki, mąż, modląca się zakonnica i Caris, która liczyła:

- Sto jedenaście, sto dwanaście...

Oprócz głosu swojego i Julie Caris słyszała szmer głosów setek osób rozmawiających jednocześnie na targu. Na twarzy Mattie pojawiło się zmęczenie po wysiłku, który włożyła w uciskanie brzucha Gwendy, ale nie poruszyła się. Wulfric płakał w milczeniu, łzy spływały po jego opalonych policzkach.

Gdy Caris doszła do pięciuset, Mattie powoli zdjęła ręce z brzucha dziewczyny. Wszyscy spoglądali na jej pochwę, lękając się, że krew znowu buchnie strumieniem.

Ale tak się nie stało.

Mattie wydała długie westchnienie ulgi. Wulfric się uśmiechnął, a Julie powiedziała:

- Chwała Bogu!

- Daj jej się napić - poleciła Mattie.

Mair znów przytknęła kubek do ust Gwendy, a ta otworzyła oczy i wypła całą jego zawartość.

- Teraz już wszystko będzie dobrze - rzekła Mattie.

- Dziękuję ci - wyszeptała Caris i zamknęła oczy. Mattie spojrzała na Mair.

- Może pójdiesz po rosół? Dziewczyna musi się wzmocnić, bo inaczej mleko jej wyschnie.

Mair skinęła głową i wyszła.

Dziecko się rozplakało, a Gwenda jakby odzyskała siły. Przysunęła syna do drugiej piersi i pomogła mu znaleźć sutek. Spojrzała na Wulfrica i się uśmiechnęła.

- Jaki śliczny mały chłopczyk - powiedziała Julie.

Caris znów spojrzała na noworodka. Pierwszy raz popatrzyła na niego jak na osobę. Jaki będzie - silny i wierny jak Wulfric, czy słaby i podstępny jak jego dziadek Joby? Nie był podobny ani do pierwszego, ani do drugiego.

- Do kogo on jest podobny?

- Ma cerę matki - odparła Julie.

To prawda, pomyślała Caris. Dziecko miało ciemne włosy i śniadą cerę, a Wulfric miał jasną skórę i grzywę ciemnoblonde włosów. Twarz chłopczyka kogoś jej przypominała. Po chwili uświadomiła sobie, że Merthina. Przyszła jej do głowy głupia myśl, lecz zaraz ją odrzuciła. Mimo to podobieństwo było.

- Wiesz, kogo on mi przypomina? - spytała.

Nagle spojrzała w oczy Gwendy. Były szeroko otwarte, a na twarzy malował się strach. Prawie niedostrzegalnie pokręciła głową. Trwało to ułamek sekundy, lecz znak był bardzo wyraźny. Caris zacisnęła usta.

- Kogo? - spytała niewinnie Julie.

Caris rozpaczliwie szukała w głowie. Wreszcie ją olśniło.

- Philemona, brata Gwendy.

- Oczywiście - odparła Julie. - Ktoś powinien go wezwać, żeby zobaczył siostrzeńca.

Caris się zdumiała. A więc dziecko nie jest Wulfrica? Wobec tego czyje? Nie może być Merthina. Mógł przespać się z Gwendą - na pewno był podatny na pokusę - ale nie zdołałby zachować tego w tajemnicy przed Caris. Jeśli nie Merthina, to...

W głowie Caris pojawiła się straszna myśl. Co się zdarzyło tego dnia, gdy Gwenda poszła błagać Ralpa o zgodę na dziedziczenie dla Wulfrica? Czy dziecko mógł spłodzić Ralph? To było zbyt straszne.

Caris popatrzyła na Gwendę, na dziecko i na Wulfrica. Chłopak uśmiechał się, mimo że twarz miał mokrą od łez. Niczego nie podejrzewał.

- Myśleliście już o imieniu dla dziecka? - zapytała Julie.

- O tak - odparł Wulfric. - Chcę go nazwać Samuel. Gwenda skinęła głową, spoglądając na

syna.

- Samuel - powiedziała. - Sammy. Sam.
- Po moim ojcu - dodał radośnie Wulfric.

32

Dzień po śmieci Anthony'ego opactwo Kingsbridge całkowicie się zmieniło, pomyślał z zadowoleniem Godwyn, stojąc w katedrze w niedzielę po targach wełny.

Najważniejsza różnica polegała na rozdzieleniu mnichów i zakonnic. Nie mijali się już w klasztorze, w bibliotece ani w skrytorium. Nawet w kościele oddzielał ich od siebie rzeźbiony parawan z dębiny, biegnący przez środek chóru; dzięki niemu nie mogli na siebie patrzeć w czasie mszy. Tylko w szpitalu musieli się czasem spotykać.

Godwyn powiedział w kazaniu, że zawalenie się mostu przed rokiem było karą boską za rozluźnienie obyczajów w szeregach mnichów i zakonnic oraz za grzechy popełniane przez mieszkańców miasta. Nowy duch dyscypliny i czystości w klasztorze, a także pobożność i uległość mieszczan zaprowadzi wszystkich do lepszego życia na tym świecie i w życiu wiecznym. Kazanie zostało przyjęte bardzo dobrze.

Później przeor zjadł w swoim domu obiad z bratem Simeonem, skarbnikiem. Philemon podał gulasz z węgorka i cydr.

- Chcę zbudować nowy dom przeora - oznajmił Godwyn. Pociągła twarz Simeona wydłużyła się jeszcze bardziej.

- Z jakiego powodu?

- To pewne, że jestem jedynym przeorem w całym chrześcijańskim świecie, który mieszka jak garbarz. Pomyśl o osobach goszczących tutaj w ciągu ostatniego roku: hrabia Shiring, biskup Kingsbridge, hrabia Monmouth... ten budynek nie jest odpowiedni dla takich ludzi. Pokazuje w złym świetle nas i nasz zakon. Potrzebujemy pięknej budowli, odpowiadającej prestiżowi klasztoru Kingsbridge.

- Chcesz mieszkać w pałacu - zauważył Simeon.

Godwyn wychwycił nutę dezaprobaty w jego głosie, jak gdyby ten podejrzewał, że przeor chce rozślawić siebie, a nie klasztor.

- Możesz go tak nazwać, jeśli sobie życzysz - odparł sztywno. - A czemu właściwie nie miałby to być pałac? Biskupi i przeorowie mieszkają w pałacach. Służą nie ich wygodzie, lecz ich gościom oraz sławie kościoła, który reprezentują.

- Naturalnie - przytaknął Simeon. - Ale i tak nie możesz sobie na niego pozwolić.

Godwyn ściągnął brwi. Teoretycznie starsi mnisi byli zachęceni do dysputy, ale

prawda była taka, że nie lubił sprzeciwu.

- To śmieszne. Kingsbridge jest jednym z najbogatszych klasztorów w kraju.

- Tak się mówi. I rzeczywiście posiadamy ogromne zasoby. Jednak cena wełny spadła w tym roku piąty raz z rzędu. Nasze dochody są coraz mniejsze.

- Ponoć włoscy kupcy zaopatrują się w runo w Hiszpanii - wtrącił nagle Philemon.

Philemon się zmienił. Od czasu gdy spełnił swoją ambicję i został nowicjuszem, przestał wyglądać jak niezgrabny młokos i nabrał takiej pewności siebie, że mógł włączyć się do rozmowy przeora ze skarbnikiem i wnieść do niej coś ciekawego.

- Niewykluczone - rzekł Simeon. - Poza tym targi wełny były mniejsze z powodu braku mostu, zarobiliśmy więc znacznie mniej na podatku i mycie.

- Ale mamy tysiące akrów ziemi uprawnej - przypomniał Godwyn.

- W części kraju, w której leży większość naszych ziem, zbiory w ubiegłym roku były mało obfite z powodu deszczu. Wielu kmieci z trudem wiąże koniec z końcem. Trudno ich zmusić, żeby płacili dziesięcinę, jeśli głodują...

- Muszą płacić - uciął Godwyn. - Mnisi też bywają głodni.

- Jeśli rządca wioski mówi, że chłop nie zapłacił za dzierżawę albo część ziemi nie jest uprawiana, wtedy dzierżawa się nie należy. Nie ma sposobu, żeby sprawdzić, czy mówi prawdę. Chłopi czasem przekupują rządców.

Godwyn był zły. Przez ten rok odbył wiele takich rozmów. Postanowił dokładniej kontrolować finanse klasztoru, lecz ilekroć chciał coś zmienić, napotykał przeszkody.

- Co proponujesz? - zapytał Philemona.

- Wysłać do każdej wioski nadzorcę. Niech porozmawia z rządcą, obejrzy ziemię, wejdzie do chat dzierżawców, którzy podobno głodują.

- Jeśli rządcę można przekupić, to można i nadzorcę.

- Nie, jeśli będzie mnichem. Na co nam pieniądze?

Godwyn przypomniał sobie dawne złodziejskie skłonności Philemona. Było prawdą, że mnichom na nic zdadzą się własne pieniądze, to jednak nie oznaczało, że są nieprzekupni. Jednak odwiedziny nadzorcy przysłanego przez opata z pewnością postawią rządców na baczność.

- To dobry pomysł. Chcesz zostać takim nadzorcą?

- Byłbym zaszczycony.

- A więc zgoda. - Godwyn odwrócił się do Simeona. - Mimo tego wszystkiego mamy ogromne przychody.

- I ogromne koszty - zareplikował Simeon. - Płacimy daninę biskupowi, karmimy, ubieramy i

dajemy dach nad głową dwudziestu pięciu mnichom, siedmiu nowicjuszom i dziewiętnastu pensjonariuszom opactwa. Zatrudniamy trzydzieści osób w charakterze sprzątaczy, kucharzy, stajennych i tak dalej. Wydajemy fortunę na świece, habity dla mnichów...

- Wystarczy, rozumiem - przerwał mu zniecierpliwiony Godwyn. - Mimo to chcę zbudować pałac.

- Skąd weźmiesz pieniądze?

- Z tego samego źródła, z którego zawsze je bierzemy - odrzekł z westchnieniem Godwyn. - Poproszę matkę Cecilię.

Spotkał się z nią kilka minut później. Zwykle zapraszał ją do siebie, co stanowiło wyraz wyższości płci męskiej w klasztorze. Ale w tej sytuacji chciał się jej przypochlebić.

Dom przeoryszy wyglądał dokładnie tak samo jak dom przeora, ale panowała w nim inna atmosfera. Były w nim poduszki i dywaniki, kwiaty w misie na stole, na ścianach wisiały haftowane scenki ilustrujące przypowieści biblijne, przed kominkiem spał kot. Cecilia kończyła jeść obiad składający się z pieczonej jagnięciny i popijała czerwonym winem. Kiedy przyszedł Godwyn, zakryła twarz welonem, zgodnie z wprowadzoną przez niego zasadą. Tak właśnie miały postępować zakonnice, gdy rozmawiały z mnichami.

Godwynowi trudno było rozgryźć Cecilię, bez względu na to, czy była w welonie, czy bez. Oficjalnie wyraziła zadowolenie, że został wybrany na przeora, i nie protestowała, gdy wprowadził surowe zasady dotyczące rozdzielenia mnichów i zakonnice. Czasem tylko zgłaszała praktyczne uwagi w kwestii prowadzenia szpitala. Nigdy mu się nie sprzeciwiała, a mimo to Godwyn miał wrażenie, że Cecilia tak naprawdę nie stoi po jego stronie. Nie ulegała już jego czarowi. Kiedy był młodszy, potrafił ją rozśmieszyć jak dziewczynkę. Teraz nie była już na to podatna, a może on stracił tę umiejętność.

Trudno było prowadzić niezobowiązującą pogawędkę z kobietą z zasłoniętą twarzą, więc Godwyn od razu przystąpił do rzeczy:

- Sądzę, że powinniśmy wybudować dwa nowe domy, odpowiednie do podejmowania arystokratów i wysoko postawionych gości. Jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Nazywałyby się domami przeora i przeoryszy, lecz w istocie byłyby wygodnymi gościńcami.

- To ciekawy pomysł - odparła Cecilia. Jak zwykle wyraziła zgodę bez entuzjazmu.

- Powinny to być piękne murowane budynki - ciągnął Godwyn. - Wszak jesteś przeoryszą od ponad dziesięciu lat i jedną z najważniejszych zakonnice w królestwie.

- Chcemy imponować gościom nie naszym bogactwem, lecz pobożnością klasztoru, jego mnichów i zakonnice.

- Istotnie, lecz budynki powinny to właśnie symbolizować, tak jak katedra symbolizuje majestat Boga.

- Gdzie chciałbyś je postawić?

Cecilia przechodzi od razu do szczegółów, to dobrze, pomyślał Godwyn.

- Nieopodal starych.

- A więc twój stanąłby przy wschodniej części kościoła, obok kapitulacza, a mój tu, koło stawu rybnego.

Godwynowi przyszło do głowy, że przeorysaa się z niego naigrawa. Nie widział wyrazu jej twarzy. Zauważył, że zakrywanie twarzy kobiety welonem ma swoje złe strony.

- Może wolałabyś inną lokalizację?

- Niewykluczone.

Znów na chwilę zapadła cisza. Godwynowi trudno było poruszyć kwestię pieniędzy. Może powinno się zmienić zasady noszenia welonów i zrobić wyjątek dla przeoryszy? Negocjacje prowadzone w takich warunkach są za trudne.

Godwyn znów musiał mówić prosto z mostu.

- Niestety, nie będę mógł ponieść części kosztów. Klasztor jest bardzo biedny.

- Nie będziesz mógł ponieść części kosztów budowy domu przeoryszy? - zdziwiła się Cecilia.

- Ależ ja tego nie oczekuję.

- Miałem na myśli dom przeora.

- Ach tak. Chcesz zatem, by klasztor żeński zapłacił za twój dom i mój.

- Obawiam się, że będę cię musiał o to prosić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Jeśli masz na względzie sławę klasztoru Kingsbridge...

- Wiedziałem, że to zrozumiesz.

- Hm, muszę się zastanowić... W tej chwili buduję nowe pomieszczenia klasztorne dla zakonnice, ponieważ nie dzielimy ich już z mnichami.

Godwyn nie skomentował tego. Był zły, że Cecilia zleciła projekt Merthinowi, a nie Elfricowi, który zrobiłby to taniej. Uważał takie postępowanie za ekstrawagancję, lecz chwila nie była odpowiednia, by o tym mówić.

- Później będę musiała wybudować bibliotekę dla zakonnice i kupić do niej trochę książek, gdyż nie możemy już korzystać z waszej biblioteki.

Godwyn zaczął stukać nogą o posadzkę. To, co mówiła Cecilia, nie miało żadnego związku ze sprawą nowych budynków.

- Następnie potrzebne będzie zadane przejście do kościoła, jako że teraz chodzimy inną drogą niż mnisi i nic nas nie chroni przed złą pogodą.

- Bardzo rozsądnie - rzekł Godwyn, myśląc: przestań zbaczać z tematu!

- Tak więc uważam, że możemy rozważyć tę propozycję za trzy lata - oznajmiła Cecilia tonem ucinającym dyskusję.

- Za trzy lata? Ja chcę zacząć od razu!

- Wydaje mi się, że to nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego nie?

- Mamy budżet na budowę, sam rozumiesz.

- Ale czy moja propozycja nie jest ważniejsza?

- Musimy trzymać się budżetu.

- Dlaczego?

- Żebyśmy pozostali silni finansowo i niezależni - odparła przeorysza i dodała: - Nie chciałabym zebrać.

Godwyn nie wiedział, co odpowiedzieć. Co gorsza, miał bardzo nieprzyjemne wrażenie, że Cecilia śmieje się z niego pod welonem. Nie znosił, kiedy się z niego naśmiewano. Wstał.

- Dziękuję, matko Cecilio - rzekł sztywno. - Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Tak, za trzy lata. Będę czekała z niecierpliwością.

Teraz Godwyn miał już pewność, że przeorysza kpi. Odwrócił się i wyszedł najprędzej jak mógł.

Wróciwszy do siebie, opadł na fotel.

- Nienawidzę tej baby - powiedział do Philemona, który wciąż tam był.

- Odmówiła?

- Powiedziała, że zastanowi się za trzy lata.

- To gorsze niż odmowa - zauważył Philemon. - To odmowa na trzy lata.

- Zawsze jest nad nami górą, bo ma pieniądze.

- Słucham czasem rozmów starych mężczyzn - rzekł Philemon, pozornie bez związku.

- To niezwykle, ile można się dowiedzieć.

- Do czego zmierzasz?

- Kiedy opactwo zbudowało młyny, wykopało stawy rybne i ogrodziło królikarnię, przeorowie wprowadzili prawo stanowiące, że mieszkańcy miast muszą korzystać z urządzeń mnichów i za nie płacić. Nie wolno im było mleć zboża w domach, spłisnąć tkanin za pomocą deptania, nie można też było mieć stawów i królików. Wszystko musieli kupować od nas. Prawo zapewniało, żeby klasztorowi

zwracały się koszty.

- Ale to prawo przestało być stosowane.

- Zmieniło się. Ludziom pozwolono mieć własne urządzenia, jeśli płacili grzywnę. Ten przepis także przestano stosować za czasów przeora Anthony'ego.

- A teraz w każdym domu są ręczne żarna.

- Wszyscy sprzedawcy ryb mają stawy, jest kilka królikarni, barwiarze sami spłśniają tkaninę, każąc żonom i dzieciom ją deptać. Nie korzystają już z maszyny w klasztorze.

Godwyn był pełen entuzjazmu.

- Jeśli wszyscy zapłacą grzywnę za przywilej posiadania własnych urządzeń...

- Zbierze się sporo pieniędzy.

- Będą kwiczeli jak świnie. - Godwyn zmarszczył czoło. - Możemy udowodnić, że kiedyś takie przepisy obowiązywały.

- Wielu ludzi pamięta grzywny. Przepis musi być zapisany w archiwum klasztornym, pewnie w Księdze Timothy 'ego.

- Sprawdź, jakiej wysokości te grzywny były. Jeśli będziemy się odwoływali do zasady precedensu, musimy być dokładni.

- Jeśli wolno coś zaproponować...

- Naturalnie.

- Możesz ogłosić nowe reguły z ambony w niedzielę rano. W ten sposób podkreślisz, że taka jest wola Boga.

- Świetny pomysł - zgodził się Godwyn. - Tak właśnie zrobię.

»| 33

- Znam rozwiązanie - powiedziała Caris do ojca.

Edmund zasiadł na wielkim drewnianym krześle przy stole. Na jego twarzy igrał lekki uśmiech. Caris знаła tę minę. Ojciec jest nastawiony sceptycznie, ale chętnie jej wslucha.

- Mów.

Caris trochę się denerwowała. Miała pewność, że dzięki jej pomysłowi uda się uratować majątek ojca i most, ale czy zdoła przekonać Edmunda?

- Ze zbędnej wełny każemy zrobić tkaniny i je ufarbować - rzekła i wstrzymała oddech, czekając na reakcję ojca.

- Wełniarze często imają się tego sposobu w trudnych czasach. Ale powiedz mi, dlaczego uważasz, że to się może udać? Jakie będą koszty?

- Cztery szylingi za worek za czyszczenie, przędzenie i tkanie.

- Ile tkaniny uzyskamy z worka?

- Z worka wełny słabej jakości, kupionej za trzydzieści sześć szylingów, za utkanie której zapłacimy jeszcze cztery szylingi, wyjdzie czterdzieści osiem jardów tkaniny.

- A za ile ją sprzedamy?

- Niebarwiona brązowa tkanina schodzi za szylinga za jard, więc czterdzieści osiem szylingów sprzedamy za osiem więcej, niż wyniósł koszt.

._ Mało, jeśli wziąć pod uwagę nakład pracy. - Może być lepiej. - Słucham.

- Tkacze sprzedają brązową tkaninę, bo chcą szybko dostać pieniądze. Ale jeśli wyda się jeszcze dwadzieścia szylingów na jej spłśnienie, czyli pogrubienie, a później barwienie i wykończenie, można podwoić cenę: dwa szylingi za jard, dziewięćdziesiąt sześć szylingów za wszystko, czyli o trzydzieści sześć szylingów więcej, niż zapłaciliśmy!

Edmund spoglądał na córkę z powątpiewaniem.

- Jeśli to takie proste, dlaczego ludzie tego nie robią? - Bo nie mają pieniędzy do zainwestowania.

- Ja też ich nie mam! - Masz trzy funty od Guillaume'a z Londynu.

- Chcesz, żebym nie miał za co kupić wełny w przyszłym roku?

- Przy tych cenach lepiej wypaść z interesu. Edmund się roześmiał.

- Na wszystkich świętych, masz rację. Dobrze, spróbuj tego sposobu z tanim surowcem. Mam pięć worków szorstkiej wełny z Devonu, której Włosi nigdy nie kupują. Dam ci jeden i zobaczymy, co zdasz.

Dwa tygodnie później Caris zastała Marka Webbera przy niszczeniu ręcznych żaren.

Była zaszokowana, widząc, jak ubogi człowiek rozbija tak cenny sprzęt. Na chwilę zapomniała o własnych kłopotach.

Ręczne żarna składały się z dwóch kamiennych dysków, lekko chropowatych po jednej stronie. Mniejszy tkwił na większym, wpasowany idealnie w płytkie zagłębienie, tak że szorstkie powierzchnie stykały się ze sobą. Wystający drewniany uchwyt pozwalał obracać górnym kamieniem, podczas gdy dolny pozostawał nieruchomy. Kłosa zboża umieszczone między kamieniami błyskawicznie zamieniały się w mąkę.

Większość biedniejszych mieszkańców Kingsbridge miała ręczne żarna. Najbiedniejszych nie było na nie stać, a bogaci ich nie potrzebowali, gdyż mogli sobie pozwolić na kupowanie mąki od młynarza. Jednak dla rodzin takich jak rodzina Webbera, której potrzebny był każdy pens, by wykarmić dzieci, ręczne żarna były prawdziwym darem od Boga.

Mark położył żarna na ziemi przed swoją małą chatą. Pożyczył skądś żelazny młot z długim trzonkiem. Przyglądało się temu dwoje jego dzieci: chuda dziewczynka w postrzępionej sukience i nagie raczkujące dziecko. Mark uniósł młot nad głowę i spuścił go na żarna. Warto było to zobaczyć: Mark był najroślejszym mężczyzną w mieście, miał bary jak koński kłęb.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwiła się Caris.

- Musimy mleć ziarno w młynie klasztornym i oddawać jeden worek na dwadzieścia cztery jako opłatę za jego użytkowanie.

Mark powiedział to spokojnie, lecz Caris była przerażona.

- Myślałam, że nowy przepis dotyczy tylko młynów nielicencjonowanych i młynów wodnych.

- Jutro mam obejść miasto z Johnem Constable'em, przeszukać domy i zniszczyć wszystkie nielegalne ręczne żarna. Nie mogę dopuścić, żeby ludzie mówili, że sam mam żarna. Dlatego robię to na ulicy, żeby wszyscy widzieli.

- Nie wiedziałam, że Godwyn chce odebrać ubogim chleb - westchnęła posępnie

Caris.

- Na nasze szczęście dzięki tobie możemy tkać wełnę. Caris skierowała myśli na interesy.

- Jak wam idzie?

- Skończyliśmy.

- Ale szybko!

- Zimą trwa to dłużej. Latem przez szesnaście godzin jest jasno, więc mogę utkać sześć jardów dziennie, jeśli Madge mi pomaga.

- Wspaniale!

- Wejdz, pokażę ci.

Madge, żona Marka, stała przy ogniu w końcu jedynej izby domu. Trzymała na rękach małe dziecko, a u jej boku stał chłopiec z zalęknioną miną. Madge była o ponad stopę niższa od Marka, lecz tęga. Miała duży biust i wystające pośladki, które przywodziły na myśl tłustego gołębia. Mocna szczeka nadawała jej agresywny wygląd i wrażenie to nie było dalekie od prawdy. Mimo iż Madge była skłonna do zwady, miała dobre serce. Zaproponowała gościowi cydr, lecz Caris odmówiła, wiedząc, że rodzinie się nie przelewa.

Krosno Marka wyglądało jak drewniana rama o powierzchni ponad jarda kwadratowego ustawiona na stojaku. Zajmowało większą część izby. Za nim, blisko tylnych drzwi, znajdował się stół z dwiema ławkami. Wszyscy domownicy spali na ziemi wokół krosna.

- Robię wąskie dwunastojardowe kawałki, szerokie na jard i długie na dwanaście jardów - wyjaśnił Mark. - Nie mogę tkać szerokich, bo nie mam odpowiedniego krosna. - Przy ścianie stały

cztery zwoje brązowej tkaniny. - Z worka wełny wychodzą cztery wąskie „dwunastki”.

Caris przyniosła w worku surowe runo. Madge zatroszczyła się wcześniej o czyszczenie, sortowanie i przędzenie wełny. Przędkami były najuboższe kobiety w mieście, a czyszczeniem zajmowały się dzieci.

Caris dotknęła wełny. Cieszyła się: pierwsza część planu została zrealizowana.

- Dlaczego tkanina jest tak luźno utkana?

- Luźno? - obruszył się Mark. - W całym Kingsbridge nie znajdziesz tak ściśle utkanego płótna jak moje!

- Wiem, nie chciałam cię krytykować. Ale włoskie tkaniny są zupełnie inne w dotyku, a przecież robi się je z naszej wełny.

- Częściowo zależy to od siły tkacza, od tego, jak mocno dociśnię bidło.

- Wątpię, żeby włoscy tkacze byli silniejsi od ciebie.

- W takim razie za różnicę odpowiadają krosna. Im lepsze, tym ściślejszy splot.

- Tego się obawiałam.

Caris nie może konkurować z włoskimi tkaczami, jeśli nie kupi włoskich krosien, a to wydawało się niemożliwe.

Krok po kroku, powiedziała sobie. Zapłaciła Markowi, odliczywszy cztery szylingi. Połowę tej sumy będzie musiał oddać prządkom. Teoretycznie Caris miała więc osiem szylingów zysku. Osiem szylingów nie wystarczy na opłacenie robotników pracujących przy budowie mostu. A w tym tempie utkanie wełny niesprzedanej przez Edmunda potrwa lata.

- Czy da się tkać szybciej? - zapytała.

- W Kingsbridge jest więcej tkaczy, ale większość pracuje dla kupców sprzedających tkaniny - odpowiedziała Madge. - Mogę ci znaleźć tkaczy poza miastem. W większych wioskach często mieszkają tkacze, którzy mają krosna. Zwykle tkają dla wieśniaków materiał z ich własnej przędzy. Tacy ludzie chętnie zmieniają pracę, jeśli można zarobić.

Caris ledwo zdołała ukryć radość.

- Dobrze, dam ci znać. Czy mogłabyś zanieść tkaninę Peterowi Dyerowi?

- Pewnie. Od razu ją wezmę.

Caris ruszyła do domu na obiad głęboko zamyślona. Żeby naprawdę zarobić, musiałaby wydać większość sumy, która została ojcu. Gdyby sytuacja się pogorszyła, wpadliby w jeszcze większe tarapaty. Ale jaki ma wybór? Jej plan był ryzykowny, ale nikt nie miał innego.

Petranilla podała gulasz z baraniny. Edmund siedział na swoim miejscu przy stole. Krach targu wełny zmartwił go bardziej, niż Caris mogła przypuszczać. Zwykle pełen życia, teraz wydawał

się pogrążony w myślach, by nie powiedzieć roztargniony. Caris martwiła się o ojca.

- Mark Webber strzaskał swoje żarna - powiedziała, siadając. - Czy to ma jakiś sens?

Petranilla uniosła głowę.

- Godwyn robi to, do czego ma prawo.

- To prawo jest niedzisiejsze, nie stosowano go od lat. Gdzie jeszcze przeor robi takie rzeczy?

- W St. Albans - odparła triumfalnie Petranilla.

- Słyszałem o St. Albans - włączył się Edmund. - Mieszkańcy miasta co jakiś czas buntują się przeciwko klasztorowi.

- Opactwo Kingsbridge ma prawo odzyskać pieniądze wydane na młyny - nie dawała za wygraną Petranilla. - Tak samo jak ty, Edmundzie, chcesz odzyskać pieniądze włożone w most. Jak byś się czuł, gdyby ktoś wybudował drugi most?

Caris odpowiedziała za ojca:

- Wszystko zależałoby od tego, jak prędko by się to stało. Młyny klasztorne powstały setki lat temu, podobnie jak królikarnie i stawy. Nikt nie ma prawa powstrzymywać na całe wieki rozwoju miasta.

- Przeor ma prawo ściągać swoje należności - upierała się Petranilla.

- Jeśli nadal będzie tak postępował, nie będzie miał od kogo ich ściągać. Ludzie wyprowadzą się i osiedlą w Shiring. Tam nikt nie każe im niszczyć żaren.

- Nie rozumiesz, że potrzeby klasztoru są święte? - oburzyła się Petranilla. - Mnisi służą Bogu! W porównaniu z tym życie mieszczan jest mało znaczące.

- Czy tak uważa twój syn Godwyn?

- Oczywiście.

- Tego się obawiałam.

- Nie wierzysz, że dzieło przeora jest święte?

Caris nie miała odpowiedzi na to pytanie. Petranilla spojrzała na nią triumfalnie. Obiad był smaczny, lecz Caris odczuwała zbyt wielkie napięcie, by móc dużo zjeść. Gdy tylko pozostali skończyli, powiedziała:

- Muszę zająć do Petera Dyera.

- Chcesz wydać jeszcze więcej pieniędzy? - spytała Petranilla. - Już zapłaciłaś Markowi Webberowi cztery szylingi z pieniędzy ojca.

- Tak, a tkanina jest warta dwanaście szylingów więcej niż wełna, więc zarobiłam osiem

szylingów.

- Nie, bo jeszcze jej nie sprzedałaś - zauważyła Petranilla. Petranilla wyraziła wątpliwości, które w złych chwilach dręczyły Caris. Nie zamierzała jednak się do tego przyznawać.

- Sprzedam ją, szczególnie jeśli będzie ufarbowana na czerwono.

- A ile policzy sobie Peter za barwienie i spłóśnienie kuponów?

- Dwadzieścia szylingów, ale czerwona tkanina będzie warta dwa razy tyle co brązowa, więc zarobię jeszcze dwadzieścia osiem szylingów.

- Jeśli zdołasz ją sprzedać. A jeśli nie? »

- Sprzedam.

- Daj jej spokój - rzekł Edmund do Petranilli. - Pozwoliłem jej spróbować.

Zamek w Shiring wznosił się na szczycie wzgórza i był siedzibą szeryfa hrabstwa. U stóp wzniesienia stała szubienica. Ilekroć miała się odbyć egzekucja, więzień był przewożony z zamku podwodą. Wieszano go przed kościołem.

Plac, na którym stała szubienica, był również rynkiem. Tam pomiędzy siedzibą gildii i dużym drewnianym budynkiem zwanym giełdą wełny odbywały się targi. Pałac biskupi i liczne karczmy także stały wokół placu.

Tego roku z powodu zamieszania w Kingsbridge na rynku stało więcej straganów niż zwykle, handel rozprzestrzenił się na przylegające ulice. Edmund przywiózł na dziesięciu wozach czterdzieści worków wełny i gotów był przywieźć więcej, jeśli okaże się to potrzebne.

Ku rozczarowaniu Caris okazało się inaczej. Sprzedał dziesięć worków pierwszego dnia, a później nic aż do końca targów, kiedy to udało mu się sprzedać kolejnych dziesięć, bo zszedł z ceną poniżej sumy, jaką zapłacił. Córka od dawna nie widziała go tak przybitego.

Wyłożyła na jego straganie cztery długości czerwonej tkaniny i w ciągu tygodnia sprzedała trzy.

- Spójrz na to w inny sposób - powiedziała do ojca w ostatnim dniu targów. - Przedtem miałeś worek wełny, której nie mogłeś sprzedać, i cztery szylingi. A teraz masz trzydzieści szylingów i kupon materiału.

Specjalnie dla niego robiła dobrą minę do złej gry, gdyż także była bardzo przygnębiona. Chętnie się, że zdoła sprzedać tkaninę. Nie zakończyło się to klęską, lecz nie zasługiwało także na miano triumfu. Jeśli nie sprzeda materiału za cenę przewyższającą koszty, wtedy okaże się, że jej pomysł był zły. Co wtedy zrobi? Zostawiła stragan i poszła obejrzeć stoiska innych sprzedawców tkanin.

Najlepsze tkaniny jak zawsze pochodziły z Włoch. Caris przystanęła przed straganem Lora

Fiorentina. Kupcy handlujący tkaninami, tacy jak Loro, nie zajmowali się handlem wełną, lecz ściśle z nimi współpracowali. Caris wiedziała, że Loro zawozi swój zysk Buonaventurze, który z pieniędzy płaci angielskim kupcom za surową wełnę. Kiedy wełna dociera do Florencji, sprzedaje ją rodzina Buonaventury, a zysk trafia do rodziny Lora. W ten sposób kupcy unikają niebezpieczeństwa przewozu baryłek złota i srebra przez całą Europę.

Na straganie Lora znajdowały się tylko dwa zwoje tkaniny, lecz ich kolory były jaśniejsze niż tych, które produkowali miejscowi rzemieślnicy.

- Tylko tyle przywiozłeś? - zapytała Caris.
- Ależ skąd. Resztę już sprzedałem. Caris nie kryła zdziwienia.
- Innym handel idzie kiepsko. Loro wzruszył ramionami.
- Najlepsze tkaniny zawsze dobrze się sprzedają. Caris zaświtał pewien pomysł.
- Ile kosztuje szkarłat?
- Tylko siedem szylingów za jard, panienko. Siedem razy tyle, ile kosztuje brązowa tkanina.
- Kogo na to stać?

- Biskup wziął mnóstwo czerwonego, lady Philippa trochę niebieskiego i zielonego, córki browarników i piekarzy, lordowie i damy z okolicznych wiosek... Nawet w ciężkich czasach niektórym dobrze się powodzi. Ten cynober będzie na tobie świetnie wyglądał. - Kupiec zręcznym ruchem rozwinął belę i przyłożył materiał do ramienia Caris. - Wspaniale. Spójrz, jak wszyscy na ciebie patrzą.

Caris się uśmiechnęła.

- Już wiem, dlaczego sprzedajesz tak dużo. - Dotknęła materiału. Był bardzo ściśle utkany. Caris miała płaszcz z włoskiego szkarłatu, odziedziczony po matce. Ogromnie go lubiła. - Jakiego barwnika używają farbiarze, by uzyskać taki kolor?

- Kraplaka *[* Kraplak - barwnik wytwarzany z *Asperula eincoria*, maczanki bawarskiej, zwanej barwicą lub czerwonym korzeniem.], tak jak wszyscy.

- Ale dlaczego jest taki jaskrawy?

- To żadna tajemnica. Stosują ałun. On rozjaśnia kolor i go utrwala. Płaszcz w tym kolorze byłby cudowny.

- Ałun - powtórzyła Caris. - Dlaczego angielscy barwiarze go nie używają?

- Jest bardzo drogi. Pochodzi z Turcji. Taki zbytek jest tylko dla wyjątkowych kobiet.

- A niebieski?

- Taki jak twoje oczy.

Caris miała zielone oczy, ale nie poprawiła Włocha.

- Ma taki głęboki kolor.

- Angielscy barwiarze stosują urzet, ale my sprowadzamy indygo z Bengalu. Mauretańscy kupcy przywożą go z Indii do Egiptu, a nasi kupcy nabywają go w Aleksandrii. - Loro się uśmiechnął.

- Pomyśl, jak długą podróż ma za sobą ten materiał. To komplement dla twojej nadzwyczajnej urody.

- Tak, to nadzwyczajne - odparła Caris.

Warsztat Petera Dyera był tak duży jak dom Edmunda, ale zbudowano go z kamienia i nie miał wewnątrz ścian ani podłóg, był jak pusta skorupa. Nad wielkimi ogniskami stały dwa ogromne kotły. Obok każdego znajdował się wyciąg taki jak ten, które budował Merthin. Używano ich do podnoszenia wielkich worów wełny lub materiału i zanurzania w kadziach. Posadzka była zawsze mokra, a w powietrzu unosiła się para. Z powodu gorąca czeladnicy uwijali się boso i w samych kalesonach. Ich twarze ociekały potem, włosy błyszczały od wilgoci. Ostry zapach gryzł w gardło.

Caris pokazała Peterowi niesprzedany kupon tkaniny.

- Chcę, żeby była jasnoczerwona, taka jak materiały włoskich kupców. Właśnie ten kolor najlepiej się sprzedaje.

Peter był smętnym mężczyzną, który wyglądał na urażonego bez względu na to, co mu się powiedziało. Skinął ponuro głową, jakby przyjmował uzasadnioną krytykę.

- Ufarbujemy jeszcze raz kraplakiem.

- I ałunem dla utrwalenia i rozjaśnienia koloru.

- Nie używamy ałunu. Nigdy go nie używaliśmy. Nie znam nikogo, kto by to robił. Caris zakładała w duchu. Tego nie wzięła pod uwagę. Zakładała, że barwiarz wie wszystko o barwnikach.

- Możesz spróbować?

- Nie mamy ałunu.

Dziewczyna westchnęła. Peter był jednym z tych rzemieślników, którym wszystko, czego nie spróbowali, zdaje się niemożliwe.

- A gdybym przywiozła?

- Skąd?

- Z Winchesteru albo z Londynu. Albo z Melcombe.

Był to najbliższy duży port. Zawijały tam statki z całej Europy.

- I tak nie wiedziałbym, jak go użyć.

- Mógłbyś się dowiedzieć?

- Od kogo?

- W takim razie ja spróbuję się dowiedzieć. Peter pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Bo ja wiem...

Caris nie chciała się z nim kłócić, bo miał jedyny duży warsztat farbiarski w mieście.

- Tę przeszkodę pokonamy później - rzekła pojednawczo. - Nie chcę zabierać ci czasu.

Najpierw sprawdzę, czy uda mi się zdobyć ałun.

Kto w mieście może znać się na ałunie? Caris żałowała teraz, że nie wypytała dokładniej Lora Fiorentina. Mnisi powinni się znać na takich sprawach, lecz nie wolno im już było rozmawiać z kobietami. Postanowiła odwiedzić Mattie Wise, która stale miesza jakieś osobliwe substancje i może jest wśród nich także ałun. Co ważniejsze, jeśli Mattie nie będzie wiedziała, przyzna się do tego, a nie zmyśli, jak mnich lub aptekarz, by nie zostać posądzonym o ignorancję.

- Jak się czuje ojciec? - zapytała na wstępie Mattie.

- Jest trochę przygnębiony nędzą na targach wełny - odparła Caris. Mattie zawsze wiedziała, co ją trapi. - Robi się zapominalski i się starzeje.

- Opiekuj się nim. To dobry człowiek.

- Wiem. - Caris nie rozumiała, do czego Mattie zmierza.

- Petranilla to egoistyczna krowa.

- O tym także wiem.

Mattie ubijała coś tłuczkiem w moździerz. Podsunęła naczynie Caris.

- Jeśli mnie wyręczysz, dam ci wina.

- Dziękuję.

Mattie nałała do dwóch drewnianych kubków wina w żółtawym kolorze.

- Po co przysłaś? Nic ci nie dolega.

- Wiesz, co to jest ałun?

- Tak. W małych ilościach używa się go do tamowania krwawień. Może też powstrzymać biegunkę. Ale w dużej ilości jest trujący. Podobnie jak większość trucizn wywołuje wymioty. Był w napoju, który ci podałam.

- Czym jest ałun, zieleń?

- Nie, to ziemia. Mauretańczycy kopią go w Turcji i Afryce. Garbarze używają go czasem do wyprawiania skóry. Pewnie chcesz go zastosować do barwienia tkanin?

- Tak. - Mattie znów wykazała się niezwykłą przenikliwością.

- Działa jak zaprawa, pomaga barwnikowi wgryźć się w wełnę.

- Gdzie mogę go zdobyć?

- Ja kupuję go w Melcombe.

Caris udała się w dwudniową podróż do Melcombe, gdzie była już kilka razy. W charakterze

ochrony towarzyszył jej jeden z pracowników ojca. Na moło znalazła kupca handlującego przyprawami, ptakami, instrumentami muzycznymi i wszelkimi ciekawostkami pochodzącymi z odległych zakątków świata. Sprzedał jej czerwony barwnik, kraplak, zrobiony z korzenia marzanny uprawianej we Francji, oraz pewien rodzaj ałunu zwany spiralum, który ponoć pochodził z Etiopii. Zażył sobie siedem szylingów za małą baryłkę kraplaka i funta za woreczek ałunu. Caris nie umiała stwierdzić, czy cena jest uczciwa, czy nie. Sprzedał jej cały zapas i obiecał, że weźmie więcej z pierwszego włoskiego statku, który zawinie do portu. Zapytała, jakich ilości barwnika i ałunu powinna użyć, ale kupiec tego nie wiedział.

Wróciwszy do domu, zaczęła farbować w garnku kawałki niesprzedanej tkaniny. Petranilli nie spodobał się zapach, więc Caris rozpałała ognisko na podwórzu. Wiedziała, że należy umieścić tkaninę w roztworze barwnika i go zagotować. Peter Dyer powiedział jej, jak silny powinien być roztwór. Nikt jednak nie wiedział, ile ałunu potrzeba ani jak go używać.

Caris musiała się uciec do uciążliwej metody prób i błędów: nasączyła tkaninę ałunem przed farbowaniem, potem dosypała ałunu jednocześnie z barwnikiem, a wreszcie zagotowała ufarbowaną tkaninę w roztworze ałunu. Używała takich samych ilości ałunu i barwnika, następnie mniejszej, a potem większej. Zgodnie z sugestią Mattie, eksperymentowała z innymi składnikami: galasem dębowym, kredą, wodą wapienną, octem, moczem.

Brakowało jej czasu. W miastach nikt nie mógł sprzedawać tkanin oprócz członków cechu, ta zasada nie obowiązywała tylko podczas targów. A wszystkie targi odbywały się latem. Ostatnimi były targi świętego Idziego, odbywające się na wschód od Winchesteru w dniu świętego Idziego, dwunastego września. Była połowa lipca - Caris zostało osiem tygodni.

Zaczęła wczesnym rankiem i eksperymentowała do późnego wieczoru, gdy było już ciemno. Od ciągłego mieszania roztworu, wkładania i wyjmowania tkaniny bolały ją plecy. Ręce zaczerwieniły się i piekły od żrących cieczy, głowa rozboleła od zapachu. Jednak mimo to chwilami była szczęśliwa, nuciła coś albo śpiewała stare piosenki, których słowa ledwo pamiętała z dzieciństwa. Sąsiedzi przyglądali jej się z zaciekawieniem zza płotów.

Od czasu do czasu przychodziło jej do głowy pytanie: czy takie jest moje przeznaczenie? Niejeden raz mówiła sobie, że nie wie, co począć ze swoim życiem. Ale być może nie będzie miała wyboru. Nie pozwolono jej zostać medykiem, kupcem też nie chciała być. Nie zamierzała skończyć jako niewolnica męża i dzieci, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zostać farbiarką. Wiedziała, że tym także nie chce się zajmować. Za wszelką cenę chciała doprowadzić rzecz do szczęśliwego końca, ale wiedziała, że nie takie jest jej przeznaczenie.

Z początku osiągała tylko tyle, że tkanina barwiła się na brązoworudo lub bladoróżowo. Kiedy

zaczęła uzyskiwać właściwy odcień szkarłatu, z przerażeniem zobaczyła, że blaknie na słońcu albo podczas prania. Próbowwała farbować dwa razy, lecz skutek okazał się nietrwały. Peter powiedział jej poniewczasie, że materiał wciąga barwnik lepiej, jeśli przed tkaniem nasączy się nim przędzę, a nawet surowe runo. Idąc za tą radą, Caris uzyskała lepszy odcień, lecz trwałości nie udało się poprawić.

- Barwienia można się nauczyć tylko od mistrza - powiedział kilka razy Peter.

Caris uświadomiła sobie, że wszyscy tak myślą. Godwyn studiował medycynę, czytając książki napisane przed kilkuset laty, i przepisywał lekarstwa, nawet nie zerknąwszy na pacjenta. Elfric ukarał Merthina za to, że ten wykonał rzeźbę ilustrującą przypowieść o dziewicach w zupełnie nowy sposób. Peter nigdy nawet nie spróbował ufarbować tkaniny na szkarłatny kolor. Tylko Mattie podejmowała decyzję na podstawie tego, co sama widziała, a nie zasięgając opinii jakiegoś czcigodnego autorytetu.

Pewnego wieczoru siostra Caris, Alice, przyglądała jej się ze splecionymi rękami i zaciśniętymi ustami. Na podwórku zrobiło się ciemno, blask ogniska zaczerwienił pełną dezaprobaty twarz Alice.

- Ile pieniędzy ojca wydałaś na te fanaberie? Caris podliczyła.

- Siedem szylingów za kraplak, funt za ałun, dwanaście szylingów za materiał... razem trzydzieści dziewięć.

- Boże drogi! - wykrzyknęła przerażona Alice.

Caris też się przestraszyła. Większość mieszkańców Kingsbridge nie zarabiała tyle przez rok.

- To dużo, ale zarobię więcej. Alice była zła.

- Nie masz prawa szastać jego pieniędzmi.

- Czyżby? Mam jego pozwolenie, czego więcej potrzebuję?

- On się starzeje, jego umysł nie jest już tak jasny jak kiedyś. Caris udała, że tego nie zauważyła.

- Jego umysł ma się dobrze, o wiele lepiej od twojego.

- Wydajesz nasz spadek!

- A więc to cię gryzie? Nie martw się, zarobię dla ciebie pieniądze.

- Wolę nie ryzykować.

- To nie ty ryzykujesz, tylko ojciec.

- Nie powinien wydawać pieniędzy, które mają przypaść nam!

- Powiedz mu to.

Alice odeszła pokonana, lecz Caris nie była taka pewna siebie, na jaką chciała wyglądać. Może nigdy nie uda jej się ufarbować tkanin tak, jak chce? Co wtedy zrobią?

Kiedy wreszcie znalazła formułę, okazała się ona zaskakująco prosta: uncja kraplaka i dwie

uncje alunu na trzy uncje wełny. Najpierw gotowała wełnę w alunie, potem wlewała kraplak, nie doprowadzając roztworu do wrzenia. Dodatkowym składnikiem była woda wapienna. Caris nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Rezultat przeszedł jej oczekiwania. Czerwień była prawie tak jaskrawa jak włoska. Spodziewała się, że wyblaknie, co byłoby kolejnym rozczarowaniem, jednak kolor pozostał niezmienny po wysuszeniu, ponownym wypraniu i spilśnieniu tkaniny.

Opisała metodę Peterowi, a on, pod jej uważnym nadzorem, zużył pozostały alun do ufarbowania w wielkiej kadzi dwunastu jardów najlepszej wełny. Kiedy została spilśniona, Caris zapłaciła za jej gręplowanie i usunięcie plamek.

Pojechała na targi Świętego Idziego z belą pięknej jasnoczerwonej tkaniny.

Gdy ją rozwijała, zwrócił się do niej mężczyzna mówiący z londyńskim akcentem:

- Ile kosztuje ten materiał?

Spojrzała na niego. Miał na sobie ubranie drogie, lecz nie ostentacyjne. Domyśliła się, że jest zamożny, lecz nie należy do arystokracji. Starając opanować drżenie głosu, odparła:

- Siedem szylingów za jard. To najlepsza...

- Chciałem wiedzieć, ile za całość.

- Tu jest dwanaście jardów, więc to będzie osiemdziesiąt cztery szylingi. Mężczyzna potarł tkaninę między palcami.

- Nie jest tak ściśle utkany jak włoskie materiały, ale niegorszy. Dam dwadzieścia siedem złotych florenów.

Złote florenckie monety były w powszechnym użyciu, gdyż Anglia nie miała własnej złotej waluty. Zaproponowana suma była równa trzem szylingom, trzydziestu sześciu angielskim srebrnym pensom. Londyńczyk chciał kupić całe płótno za trzy szylingi mniej niż suma, jaką Caris uzyskalaby ze sprzedaży na jardy. Wyczuła, że nie zamierza się poważnie targować, bo zaczęłby od niższej kwoty.

- Nie, chcę pełną sumę - odparła, dziwiąc się swojej śmiałości.

- Dobrze, niech będzie - zgodził się bez wahania, potwierdzając jej przecucia. Z napięciem śledziła jego rękę wędrującą do sakiewki. Po chwili trzymała w dłoni dwadzieścia osiem złotych florenów.

Obejrzała dokładnie jedną monetę. Była nieco większa od srebrnego pensa. Na jednej stronie widniał święty Jan Chrzciciel, patron Florencji, a na drugiej kwiat. Położyła ją na wadze, by porównać ze świeżo wybitym florenem, który ojciec trzymał specjalnie do tego celu w sakiewce. Moneta była prawdziwa.

- Dziękuję - powiedziała, wciąż nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

- Jestem Harry Mercer z Cheapside, dzielnicy Londynu - przedstawił się klient. - Mój ojciec jest największym kupcem handlującym tkaninami w Anglii. Kiedy będziesz miała więcej tego szkarłatu, przyjedź do Londynu. Kupimy tyle, ile zdołasz przywieźć.

- Zostało ci czterdzieści worków wełny - oznajmiła do ojca po powrocie do domu. - Zróbmy z nich czerwoną tkaninę.

- To duże przedsięwzięcie - odparł z namysłem Edmund. Caris była pewna, że plan się powiedzie.

- Tkaczy nie brakuje, wszyscy są biedni. Peter nie jest jedynym barwiarzem w Kingsbridge, możemy wszystkich nauczyć, jak używać ałunu.

- Inni zaczną cię naśladować, kiedy sekret się wyda.

Ojciec słusznie wskazywał pułapki, lecz mimo to Caris chciała czym prędzej zabrać się do dzieła.

- A niech naśladowają. Oni też mogą zarobić. Edmunda trudno było do czegokolwiek zmusić.

- Cena spadnie, jeśli będzie dużo towaru na sprzedaż.

- Będzie musiała długo spadać, żeby handel przestał się opłacać. Edmund skinął głową.

- To prawda. Ale czy zdołasz sprzedać aż tyle w Kingsbridge i Shiring? Nie ma aż tylu bogatych ludzi.

- Wobec tego pojedę z towarem do Londynu.

- Niech będzie - zgodził się z uśmiechem Edmund. - Aleś się uparła. To dobry plan, ale nawet gdyby był zły, dzięki tobie i tak wszystko by się udało.

Caris od razu poszła do Marka Webbera i zleciła pracę nad następnym workiem wełny. Kazała Madge wziąć wóz Edmunda i cztery worki wełny, i poszukać tkaczy w okolicznych wioskach.

Jednak inni członkowie rodziny Caris nie byli zadowoleni. Nazajutrz na obiad przyszła Alice.

- Alice i ja uważamy, że powinieneś przemyśleć to jeszcze raz - powiedziała Petranilla, gdy siadali do stołu.

Caris miała ochotę jej powiedzieć, że decyzja została podjęta i za późno na odwrót.

- Doprawdy? - spytał łagodnie Edmund.

- Bo ryzykujesz wszystko, co masz, oto dlaczego!

- Właśnie teraz grozi nam utrata większości pieniędzy. W magazynie zalega mnóstwo wełny, której nie mogę sprzedać.

- Możesz pogorszyć sytuację.

- Postanowiłem spróbować.
- To nie w porządku wobec mnie! - wtrąciła się Alice. Twarz Edmunda spochmurniała.
- Jeszcze nie umarłem.

Petranilla zakryła usta, słysząc ton jego głosu. Alice nie zorientowała się, jak bardzo rozgniewała ojca, i mówiła dalej:

- Musimy myśleć o przyszłości. Dlaczego Caris wolno wydawać moją schedę?
- Bo jeszcze nie jest twoja, i być może nigdy nie będzie.
- Nie wolno ci wyrzucać pieniędzy, które powinny kiedyś przypaść na mnie.
- Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić z moimi pieniędzmi, a już na pewno nie moje

dzieci - odparł Edmund. Tym razem nawet Alice zauważyła zmianę tonu jego głosu.

- Nie chciałam cię rozgniewać - powiedziała ciszej.

Edmund sapnął. Słowa Alice trudno było uznać za przeprosiny, lecz on nie umiał się długo złościć.

- Jedźmy i nie mówmy o tym więcej - rzekł. Caris wiedziała, że jej projekt przetrwał kolejny dzień.

Po obiedzie poszła do domu Petera Dyera, żeby przygotować go na przyjęcie dużej ilości roboty.

- Tego się nie da zrobić - orzekł.

Caris była zaskoczona. Peter zawsze miał posępną minę, ale zwykle akceptował jej pomysły.

- Nie martw się, nie będziesz musiał farbować wszystkiego - pocieszyła go. - Część pracy zlecę innym barwiarzom.

- Tu nie chodzi o barwienie, tylko o spilśnianie.

- Jak to?

- Zakazano nam spilśniania tkanin we własnym zakresie. Przeor wydał nowy edykt. Musimy korzystać z pilśniarki klasztornej.

- Wobec tego z niej korzystaj.

- Ona pracuje za wolno. Machina jest stara i ciągle się psuje. Wiele razy ją naprawiano, nowe drewno jest mieszane ze starym i sortowanie nie wychodzi dobrze. Chodzi tak powoli jak człowiek deptający tkaninę w balii. I jest tylko jedna. Ledwie obsłuży to, co tkacze i barwiarze w Kingsbridge wyrabiają na co dzień.

To był cios. Czyżby cały plan miał upaść tylko dlatego, że kuzyn Godwyn wprowadził niedorzeczny przepis?

- Ale jeśli pilśniarka nie działa, przeor musi pozwolić nam deptać tkaniny zwykłym

sposobem!

- Powiedz mu to - mruknął Peter, wzruszając ramionami.

- Tak zrobię!

Caris ruszyła w stronę klasztoru, ale zanim ^Aam dotarła, zastanowiła się. W holu domu przeora odbywały się spotkania z mieszkańcami miasta, lecz byłoby to niecodzienne wydarzenie, gdyby kobieta weszła do środka bez zaproszenia. Godwyn był coraz bardziej wyczulony na takie rzeczy. Poza tym bezpośrednia konfrontacja nie była najlepszym sposobem przekonania go do zmiany stanowiska. Uświadomiła sobie, że powinna to przemyśleć. Wróciła do domu i usiadła z ojcem w jego gabinecie.

- Godwyn jest młodym człowiekiem i stąpa po niepewnym gruncie - stwierdził bez namysłu Edmund. - Nigdy nie było opłaty za korzystanie z piłśniarki. Legenda mówi, że zbudował ją mieszczanin Jack Builder dla wielkiego przeora Philipa, a po śmierci Jacka Philip dał miastu wieczyste prawo używania maszyny.

- Dlaczego ludzie przestali z niej korzystać?

- Bo się popsowała i chyba doszło do sporu, kto powinien płacić za jej naprawę. Sporu nigdy nie rozstrzygnięto, więc ludzie wrócili do tradycyjnej metody deptania.

- W takim razie Godwyn nie ma prawa pobierać opłaty ani zmuszać ludzi do korzystania z piłśniarki!

- Tak jest w istocie. Edmund pchnął posłańca do klasztoru z zapytaniem, kiedy Godwyn może się z nim spotkać. Odpowiedź przyszła natychmiast. Edmund i Caris niezwłocznie wyruszyli na spotkanie.

Godwyn bardzo się zmienił przez ten rok, stwierdziła Caris. Nie pozostał w nim nawet cień młodzieńczego zapału, była za to obawa, jakby spodziewał się ataku z ich strony. Zaczynała wątpić, czy ma dość siły charakteru, by być przeorem.

Philemon jak zwykle z zapałem przysuwał krzesła i usługiwał im, lecz w jego postawie pojawiła się odrobina pewności siebie, jakby wiedział, że w tym domu jest na swoim miejscu.

- Zostałeś wujkiem, Philemonie - zagadnęła Caris. - Co sądzisz o swoim siostrzeńcu Samie?

- Jestem nowicjuszem - odparł napsuszonym tonem. - Sprawy tego świata zostawiam za sobą.

Caris wzruszyła ramionami. Wiedziała, że Philemon jest przywiązany do Gwendy, lecz jeśli zamierzał udawać, że nie było sensu się z nim kłócić. Edmund przedstawił sprawę Godwynowi w prostych słowach:

- Prace przy budowie mostu będą musiały zostać wstrzymane, jeśli kupcy z Kingsbridge nie

będą mogli polepszyć swojego stanu posiadania. Na szczęście udało nam się znaleźć nowe źródło dochodu. Caris odkryła, jak wytwarzać wysokiej jakości szkarłatną tkaninę. Tylko jedna rzecz stoi na przeszkodzie, by przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem: pilśniarka.

- Jak to? - zdziwił się Godwyn. - Szkarłat można spłnić w klasztorze.

- Otóż nie. Maszyna jest stara i niewydajna. Z ledwością spłnia to, co się wytwarza. Nie daje sobie rady z resztą. Albo zbudujesz nową pilśniarkę...

- Wykluczone - wpadł mu w słowo Godwyn. - Nie mam pieniędzy na coś takiego.

- Świetnie. W takim razie musisz pozwolić ludziom spłnić tkaninę po staremu, w balii, przez deptanie bosymi stopami.

Na twarzy Godwyna ukazał się wyraz, który Caris dobrze знаła - był mieszaniną niechęci, zranionej dumy i oślego uporu. Tak właśnie wyglądał w dzieciństwie, gdy ktoś mu się sprzeciwił. Próbował zmusić inne dzieci do uległości, a jeśli to się nie udało, tupał nogą i szedł do domu. Nie chodziło wyłącznie o postawienie na swoim. Caris uważała, że sprzeciw go upokarza, jak gdyby sama myślała, iż ktoś wytyka mu pomyłkę, była dla niego zbyt bolesna. Bez względu na to, co nim powodowało, widząc jego minę, od razu wiedziała, że nie będzie zachowywał się rozsądnie.

- Wiedziałem, że mi się sprzeciwisz - rzekł ze złością do Edmunda. - Ty myślisz, że klasztor istnieje po to, by służyć Kingsbridge. Musisz zrozumieć, że jest na odwrót.

Edmund był zdesperowany.

- Nie rozumiesz, że jesteśmy od siebie zależni? Myśleliśmy, że to rozumiesz, dlatego pomogliśmy ci w wyborach.

- Wybrali mnie mnisi, nie kupcy. Miasto jest uzależnione od klasztoru, ale klasztor istniał wcześniej niż miasto. Możemy się obejść bez was.

- Możecie istnieć, ale jako osamotniona placówka, a nie jako bijące serce tętniącego życiem miasta.

- Na pewno zależy ci na tym, żeby miasto prosperowało - wtrąciła się Caris. - W przeciwnym razie nie pojechałbyś do Londynu, żeby stanąć w sądzie przeciwko hrabiemu Rolandowi.

- Poszedłem do sądu, by bronić odwiecznych praw klasztoru. To samo staram się robić teraz.

- To zdrada! - oburzył się Edmund. - Poparliśmy twoją kandydaturę na przeora, bo pozwoliłeś nam wierzyć, że chcesz zbudować most.

- Nie jestem ci nic winien - odparł Godwyn. - Moja matka sprzedała dom, żebyśmy mogli studiować. Gdzie był wtedy mój bogaty wuj?

Caris nie mogła pojąć, że Godwyn wciąż gniewa się z powodu wydarzeń sprzed piętnastu lat.

Twarz Edmunda wyrażała teraz zimną wrogość.

- Sądzę, że nie masz prawa zmuszać ludzi do korzystania z piłśniarki. Godwyn i Philemon wymienili spojrzenia. Caris uświadomiła sobie, że doskonale zdają sobie sprawę z tego, co mogą, a czego nie.

- Może kiedyś tak było, że przeor wielkodusznie pozwalał ludziom korzystać z maszyny bez pobierania opłat.

- To był dar przeora Philipa dla miasta.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- W archiwum musi być odpowiedni dokument. Godwyn wpadł w gniew.

- Mieszczanie pozwolili, by maszyna się zepsuła, więc klasztor musi ją naprawić. To podstawa do anulowania daru.

Caris wiedziała już, że ojciec ma rację. Stąpa po niepewnym gruncie. Wiedział o darze przeora Philipa, ale postanowił udawać, że nie wie.

- Z pewnością możemy to załatwić między sobą - rzekł Edmund.

- Nie wycofam mojego zarządzenia - odparł Godwyn. - To wyglądałoby na słabość.

Właśnie to go dręczy, domyśliła się Caris. Boi się, że jeśli zmieni zdanie, mieszczanie przestaną go szanować. Jego upór paradoksalnie bierze się z niepewności.

- Obaj wolelibyśmy oszczędzić sobie kłopotu i kosztów drugiej wyprawy do sądu królewskiego - powiedział Edmund.

Godwyn się najeżył.

- Straszysz mnie sądem?

- Próbuję tego uniknąć, ale...

Caris zamknęła oczy, modląc się, żeby adwersarze nie posunęli się do skrajności. Jednak modlitwa okazała się daremna.

- Ale co? - spytał wyzywająco Godwyn. Edmund westchnął.

- Jeśli zmusisz mieszczan do korzystania z piłśniarki i zabronisz im spłić tkaniny na własną rękę, zwrócę się do króla.

- Niech tak będzie - rzekł Godwyn.

Łania miała rok lub dwa, pod jej skórą na grzbiecie prężyły się mięśnie. Stała po drugiej stronie polany, przeciskając długą szyję przez gałęzie krzaka, by dostać się do kępy wysokiej trawy. Ralph Fitzgerald i Alan Fernhill siedzieli na koniach, wilgotne jesienne liście tłumiły odgłos kopyt, psy były tak wytresowane, by nie szczekać. Z tego powodu łania, a może dlatego, że musiała wyciągać szyję do pokarmu, spostrzegła obecność myśliwych, gdy było już za późno.

Ralph wcześniej zauważył zwierzynę po drugiej stronie polany. Alan trzymał łuk w tej samej ręce, którą ścisnął wodze. Z wprawą nabytą dzięki wytrwałym ćwiczeniom nałożył strzałę na cięciwę i w mgnieniu oka ją wypuścił.

Psy nie popisały się taką szybkością. Zareagowały dopiero wówczas, gdy usłyszały drzenie cięciwy i świst strzały tnącej powietrze. Barley, suka, zastygła w bezruchu z podniesionymi uszami. Blade, jej szczeniak, teraz już większy od matki, wydał ciche, stłumione szczeknięcie.

Strzała miała jard długości i była zaopatrzona w lotkę z łabędzich piór. W długim na dwa cale żelaznym grocie zrobiono otwór, w którym tkwiło drzewce. Była to strzała myśliwska zakończona ostrym czubkiem. Strzała bojowa miała ostrze bardziej tępe, tak aby mogła przebić zbroję i się nie złamać.

Strzał Alana był celny, ale nie idealny. Strzała trafiła łanię w dolną część szyi. Zwierzę skoczyło, przerażone nagłym, straszliwie bolesnym ukłuciem. Głowa ukazała się nad listowiem. Ralph myślał, że łania padnie martwa, lecz po chwili umknęła. Strzała wciąż tkwiła w jej szyi - lecz krew sączyła się, zamiast tryskać - musiała wbić się w mięśnie, a nie w tętnicę.

Psy skoczyły, jakby je również wystrzelono z łuku, a konie poszły w ich ślady. Ralph dosiadał Gryfa, swojego ulubionego wierzchowca. Ogarnęło go podniecenie, główny bodziec, dla którego żył. To było mrowienie skóry, skurcz w gardle, nieodparty impuls, by ryknąć na całe gardło, dreszcz tak bliski seksualnemu uniesieniu, że prawie nie do odróżnienia.

Mężczyźni tacy jak Ralph żyli, by walczyć. Król oraz jego baronowie nie bez przyczyny mianowali ich lordami i rycerzami, dawali wioski i ziemie we władanie: chodziło o to, by zapewniali sobie konie, giermków i broń i stawiali się na wezwanie, gdy władca potrzebuje armii. Jednak wojny nie wybuchały co rok. Czasem upływały dwa lub trzy lata i dochodziło tylko do małej potyczki na granicy zbuntowanej Walii czy barbarzyńskiej Szkocji. Rycerze musieli się w tym czasie czymś zająć. Musieli zachować siłę, umiejętność konnej jazdy oraz - co być może najważniejsze - głód krwi. Żołnierze muszą zabijać, a czynią to lepiej, jeśli czują rządcę zabijania.

Rozwiązaniem były polowania. Wszyscy członkowie stanu szlacheckiego, od króla do pomniejszych lordów takich jak Ralph, polowali przy każdej okazji, często kilka razy w tygodniu. Sprawiało im to przyjemność, a jednocześnie utrzymywało w bojowym nastroju. Ralph polował z hrabią Rolandem w czasie częstych wizyt w Earls castle i często towarzyszył na polowaniach lordowi Williamowi w Casterham. Przebywając w swojej wiosce Wigleigh wypuszczał się do okolicznych lasów ze swoim giermkim Alanem. Zwykle ubijali dziki; nie miały wiele mięsa, lecz polowanie było emocjonujące, bo zwierzęta nie poddawały się bez walki. Ralph polował również na lisy, a czasem na wilka. Jednak najlepsze były jelenie: chythe

i zwinne, a do tego każda sztuka to było sto funtów doskonałego mięsa.

Ralph dostosował się do rytmu biegu konia, czuł siłę jego mięśni i uderzenia kopyt o ziemię. Łania znikła wśród zieleni, lecz Barley wiedziała, dokąd czmychnęła. Konie pędziły za psami. Ralph trzymał w prawej ręce długą jesionową włócznię ze szpicem utwardzonym w ogniu. Gryf przemykał między gałęziami, a Ralph uchylał się, kołysząc się na jego grzbiecie; jego stopy tkwiły pewnie w strzemionach, a on bez wysiłku utrzymywał się w siodle, ściskając konia kolanami.

Podszyt lasu dawał przewagę łani, konie zostały z tyłu, ale psy i tak już ją dopędzały; Ralph słyszał ich wściekle ujadanie, gdy zbliżały się do zwierzyny. Nagle psy się uspokoiły i po chwili Ralph zrozumiał dlaczego: łania wypadła na ścieżkę i zostawiła prześladowców z tyłu. Jednak na ścieżce to konie miały nad nią przewagę - błyskawicznie wyprzedziły psy i zaczęły doganiać łanię.

Ralph widział, że zwierzę słabnie. Zauważył krew na zadzie i odgadł, że któryś z psów zdołał zatopić w nim kły. Łania nie biegła już tak płynnie jak na początku. Była szybkobiegaczką, która potrafi czmychnąć nagle, ale nie jest w stanie długo utrzymać tempa.

Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach, mocniej ścisnął włócznię. Wbicie drewnianego ostrza w twarde ciało zwierzęcia wymagało sporej siły, bo skóra była mocna, mięśnie naprężone, kości twarde. Najlepszy cel stanowiła szyja, jeśli myśliwy umiał ominąć kręgosłup i trafić w tętnicę. Należało poczekać na właściwy moment, a później cisnąć broń z całej siły.

Widząc, że konie niemal depczą jej po piętach, łania rozpaczliwie rzuciła się w gąszcz. To dało jej kilka sekund wytchnienia. Konie musiały zwolnić, przedzierając się przez chaszczę, przez które zwierzę przemknęło bez zatrzymywania się. Psy znów wykazały się zwinnością; Ralph widział, że łania jest u kresu sił.

Zwykle odbywało się to tak, że psy zadawały coraz więcej ran, spowalniając bieg zwierzęcia, aż konie je doganiały i myśliwy mógł zadać śmiertelny cios. Ale tym razem zdarzył się wypadek.

Gdy psy i konie prawie zrównały się z łanią, ta skoczyła w bok. Młody pies, Blade, chciał pomknąć za nią, okazując więcej zapału niż rozumu. Skręcił tuż przed Gryfem. Koń cwałował zbyt szybko, by się zatrzymać, i kopnął go potężnie kopytem przedniej nogi. Pies był mastifem, ważył siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt funtów. Zderzenie sprawiło, że koń się potknął.

Ralph wyleciał z siodła, musiał puścić włócznię. W tej chwili najbardziej bał się tego, że koń upadnie na niego. Jednak tuż przed upadkiem zobaczył, że Gryf jakimś cudem odzyskał równowagę.

Myśliwy wpadł na kolczasty krzew. Boleśnie pokaleczył sobie ręce i twarz, lecz gałęzie złagodziły upadek. Mimo to był wściekły.

Alan osadził konia. Barley pogoniła za łanią, lecz po chwili wróciła, zwierzę umknęło. Ralph wstał, przeklinając. Alan złapał Gryfa i zsiadł ze swego konia, po czym chwycił oba zwierzęta za

uzdy.

Blade leżał nieruchomo na zeschniętych liściach, z jego pyska ciekła krew. Podkute kopyto Gryfa ugodziło go prosto w łeb. Barley podeszła, obwąchała go i szturchnęła nosem, a potem odwróciła się zdezorientowana. Alan dotknął psa czubkiem buta. Pies nie oddychał.

- Zdechł - stwierdził Alan.

- Durne bydlę zasłużyło na śmierć - prychnął Ralph.

Poprowadzili konie przez las, szukając miejsca na odpoczynek. Nagle Ralph usłyszał szmer płynącej wody. Podążył za nim i dotarł do bystrego strumienia. Rozpoznał go i wiedział, że znajduje się niedaleko pól Wigleigh.

- Posilmy się - rzekł.

Alan przywiązał konie, po czym wyjął z torby przy siodle zakorkowany dzban, dwa drewniane kubki i płócienną sakwę z jedzeniem.

Barley podeszła do strumienia i zaczęła łapczywie chleptać wodę. Ralph usiadł na brzegu, oparłszy się plecami o pień drzewa. Alan podał mu kubek piwa i kawałek sera. Ralph napił się, ale nie chciał jeść.

Alan wiedział, że jego pan jest w złym humorze, nic więc nie mówił, tylko dolewał mu piwa. Nagle w ciszy lasu dały się słyszeć kobiece głosy. Alan spojrzał na Ralpha, unosząc brwi. Barley warknęła. Ralph wstał. Uciszył psa i zrobił kilka kroków w stronę, z której głosy dobiegały. Alan podążył za nim.

Ralph stanął nad strumieniem, spoglądając przez gałęzie. Grupa kobiet z wioski prała bieliznę w miejscu, w którym woda przyspieszała na skale. Był październikowy dzień, chłodny, lecz nie zimny. Kobiety zakasały rękawy i podwinęły sukienki do ud, by się nie zamoczyły.

Była wśród nich silna, umięśniona Gwenda z czteromiesięcznym dzieckiem które miała w chuście na plecach. Ralph dostrzegł Peg, żonę Perkina, skrobiącą kamieniem kałesony męża. Zauważył także swoją pokojówkę Virę, kobietę o grubo ciosanych rysach twarzy, mniej więcej trzydziestoletnią. Kiedyś poklepał ją po tyłku, ale zmierzyła go tak kamiennym spojrzeniem, że więcej jej nie dotknął. Głos, który Ralph usłyszał, należał do wdowy Huberts, która dużo i głośno mówiła, pewnie dlatego, że mieszkała sama. Wdowa stała w wodzie, w pewnej odległości od innych kobiet, i plotkowała z nimi.

Ralph zobaczył także Annet.

Stała na skale i prała jakąś niewielką rzecz. Zginała się, żeby zamoczyć ją w wodzie, a później prostowała się, trąc kamieniem. Miała długie białe nogi, które kusząco znikały wśród fałd podwinętej sukienki. Ilekroć się pochylała, dekolt odsłaniał delikatne owoce jej drobnych piersi wiszące niczym

pokusa na drzewie. Końce jasnych włosów były mokre, a na ładnej twarzy gościł gniewny wyraz, jakby dziewczyna uważała, że nie została stworzona do takiego zajęcia.

Ralph domyślił się, że kobiety są tu od dłuższego czasu. Nie wiedziałby o ich obecności, gdyby nie donośny głos wdowy Huberts. Ukłękął na ziemi, spoglądając przez gałęzie bezlistnego krzaka. Alan przycupnął obok niego.

Ralph lubił podglądać kobiety, jako nastolatek często to robił. Drapały się, kładły na ziemi z szeroko rozłożonymi nogami i rozmawiały o rzeczach, o których nigdy by nie mówiły, wiedząc, że słyszy je mężczyzna. W gruncie rzeczy zachowywały się jak mężczyźni.

Sycił oczy widokiem niczego niepodejrzewających wieśniaczek i wytężał słuch, by usłyszeć, co mówią. Przyglądał się drobnemu, silnemu ciału Gwendy. Pamiętał, jak klęczała naga na jego łóżku, jak trzymał ją za biodra i przyciągał do siebie. Jak zmieniało się jej zachowanie. Z początku reagowała z chłodną biernością, z trudem ukrywała niechęć i wstręt do tego, co robi. Później z wolna skóra na jej szyi się zaczerwieniła, piersi zaczęły falować w przyspieszonym oddechu. Pochyliła głowę i zamknęła oczy, Ralph stwierdził, że targa nią mieszanina wstydu i rozkoszy. To wspomnienie sprawiło, że jego oddech stał się szybszy, a czoło pokryło się potem mimo chłodu październikowego powietrza. Ciekawe, czy uda mu się jeszcze kiedyś kochać z Gwendą.

Ku jego rozczarowaniu kobiety zaczęły zbierać się do odejścia. Złożyły mokre rzeczy i umieściły w koszach albo zwinęły w tobołki, by nieść je na głowach, a potem ruszyły ścieżką biegnącą wzdłuż strumienia. Annet zaczęła się spierać z matką, bo wyprała tylko połowę przyniesionych ubrań. Chciała zabrać brudne pranie do domu, a Peg uważała, że powinna zostać i dokończyć to, co zaczęła. Matka odeszła, a Annet została z nadąsaną miną.

Ralph nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Zabawimy się z nią - rzekł cicho do Alana. - Przemknij się i odetnij jej drogę. «|

Giermek zniknął.

Annet zamoczyła tylko resztę prania w strumieniu, a potem usiadła i gapiała się posępnie w wodę.

Stwierdziwszy, że kobiety oddaliły się poza zasięg słuchu, a Alan jest na posterunku, Ralph wstał.

Dziewczyna usłyszała, jak przedziera się przez krzaki, i spojrzała przestraszona w tamtą stronę. Ralph z przyjemnością obserwował jej twarz. Zaskoczenie i ciekawość ustąpiły miejsca strachowi, gdy Annet uświadomiła sobie, że jest z nim sam na sam w lesie. Zerwała się na nogi, lecz wtedy Ralph stał już przy niej, trzymając jej rękę w lekkim, ale mocnym uścisku.

- Witaj, Annet. Co tu robisz, całkiem sama?

Dziewczyna spojrzała ponad jego ramieniem. Pewnie miała nadzieję, że jest z towarzyszami, którzy go powstrzymają. Przeraziła się, widząc, że Ralph ma ze sobą tylko psa.

- Idę do domu. Matka przed chwilą odeszła.

- Nie ma pośpiechu - rzekł Ralph. - Bardzo ładnie wyglądasz z mokrymi włosami i gołymi kolanami.

Annet próbowała pospiesznie opuścić sukienkę. Ralph ręką złapał ją za podbródek i zmusił, żeby spojrzała mu prosto w twarz.

- Może byś się uśmiechnęła? Nie bój się. Jestem twoim lordem, nie zrobię ci krzywdy.

Annet spróbowała się uśmiechnąć.

- Trochę się zlekłam. - Zdobyła się na odrobinę typowej dla siebie kokieterii. - Może odprowadziłbyś mnie do domu? Dziewczyna potrzebuje opieki w lesie - dodała z zalotnym uśmiechem.

- Zaopiekuję się tobą lepiej niż ten głupek Wulfric albo twój mąż. Ralph puścił brodę Annet i złapał ją za pierś. Była taka, jak ją zapamiętał, drobna i jędrna. Uwolnił jej rękę, żeby złapać ją za drugą pierś.

Annet wykorzystała to, że wypuścił ją z uścisku, i rzuciła się do ucieczki. Ralph się roześmiał. Po chwili spomiędzy drzew dobiegł okrzyk przerażenia. Ralph nie ruszył się z miejsca. Alan przyprowadził Annet, wykręciwszy jej rękę za plecami. Jej biust wypinał się zachęcająco.

Ralph wyciągnął ostry sztylet z ostrzem długim na stopę.

- Zdejmuj sukienkę.

Alan puścił dziewczynę, ta jednak nie posłuchała od razu.

- Proszę, panie, zawsze okazywałam ci szacunek...

- Zdejmuj sukienkę, bo potnę ci policzki i na zawsze oszpecę.

To była odpowiednia groźba dla próżnej kobiety. Annet z płaczem zaczęła ściągać przez głowę prostą sukienkę z brązowej wełny. Przytrzymała ją przed sobą, okrywając swoją nagość, lecz Alan wyrwał sukienkę z jej rąk i odrzucił w krzaki.

Ralph patrzył na jej nagie ciało. Annet stała ze spuszczonym wzrokiem i twarzą zalaną łzami. Miała szczupłe biodra z bujną kępką ciemnobrązowych włosów pośrodku.

- Wulfric nigdy cię takiej nie widział, co? Dziewczyna pokręciła głową, nie podnosząc wzroku. Ralph wsunął jej rękę między nogi.

- Dotykał cię kiedyś w taki sposób?

- Panie, jestem mężatką...

- Tym lepiej, nie stracisz dziewictwa, nie ma się czym przejmować. Kładź się.

Annet chciała się cofnąć, ale wpadła na Alana, który zręcznie podstawił jej nogę, tak że przewróciła się na plecy. Ralph złapał ją za nogi. Nie mogła wstać, ale szarpała się rozpaczliwie.

- Przytrzymaj ją - powiedział do Alana.

Giermek przygniótł głowę dziewczyny do ziemi i uklęknął na jej rękach, kładąc dłonie na jej ramionach.

Ralph wyjął członek, potarł go ręką i przyklęknął między udami Annet. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, ale nikt jej nie słyszał.

35

Szczęśliwym trafem Gwenda była jedną z pierwszych osób, które zobaczyły Annet po jej powrocie do wioski.

Gwenda i Peg przyniosły pranie do domu Perkina i rozwiesiły nad kominkiem w kuchni. Gwenda wciąż pracowała jako parobek u Perkina, lecz jesienią było mniej do roboty w polu, pomagała więc Peg w jej domowych obowiązkach. Uporawszy się z praniem, zaczęły szykować posiłek dla Perkina, Roba, Billy'ego Howarda i Wulfrica.

- Gdzie się podziewa Annet? - zapytała po godzinie Peg.

- Pójdę zobaczyć - odparła Gwenda.

Najpierw zajrzała do dziecka, które leżało w koszu, owinięte w kawałek starego brązowego koca. Sammy obserwował bystrymi oczkami dym zbierający się w smugach pod powałą. Gwenda pocałowała go w czoło i wyszła szukać Annet.

Ruszyła drogą między polami. Przegalopowali obok niej na koniach lord Ralph i Alan Fernhill, kierując się do wioski. Najwyraźniej skończyli polowanie przed czasem. Gwenda weszła w las i podążyła krótką ścieżką prowadzącą do miejsca, w którym kobiety robiły pranie. Zanim tam dotarła, natknęła się na zmierzającą w przeciwną stronę Annet.

- Wszystko w porządku? Matka się o ciebie martwi.

- Nic mi nie jest - odparła Annet. Gwenda widziała, że jest inaczej.

- Co się stało?

Annet unikała jej wzroku.

- Nic się nie stało, daj mi spokój.

Gwenda zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głowy. Z twarzy Annet wyczytała, że musiało stać się jakieś nieszczęście. Na pierwszy rzut oka dziewczyna nie wyglądała na poranioną, lecz po chwili Gwenda zauważyła na sukni ciemne plamy wyglądające jak krew.

Przypomniała sobie Ralpa i Alana, którzy przejechali obok niej na koniach.

- Czy lord Ralph coś ci zrobił?

- Idę do domu.

Annet chciała przejść obok Gwendy, ale ta złapała ją za rękę. Nie ścisnęła mocno, a mimo to Annet krzyknęła z bólu.

- Jesteś ranna! - stwierdziła Gwenda. Annet wybuchła płaczem.

Gwenda położyła rękę na jej ramieniu.

- Chodź do domu i opowiedz o wszystkim matce. Annet pokręciła głową.

- Nikomu nie powiem.

Za późno, pomyślała Gwenda.

Towarzysząc Annet w drodze powrotnej do domu, Gwenda rozważała rozmaite możliwości. Nie ulegało wątpliwości, że Annet padła ofiarą napaści. Mógł ją zaatakować jakiś podróżny, albo było ich więcej, mimo że w pobliżu nie przebiegał żaden trakt. Nie można było wykluczyć udziału banitów, choć w okolicy Wigleigh od dawna ich nie widziano. Wszystko wskazywało na Ralpa i Alana.

Peg z wawo zabrała się do dzieła. Posadziła Annet na stołku i zdjęła jej sukienkę. Na obu rękach widniały opuchnięte siniaki.

- Ktoś cię przytrzymał - stwierdziła gniewnie Peg. Annet milczała.

- Mam rację? - drażyła Peg. - Odpowiedz mi, dziecko, bo napytasz sobie większej biedy. Czy ktoś cię przytrzymał?

Annet skinęła głową.

- Ilu ich było? No, mów prędko.

Annet nie odpowiedziała, ale podniosła dwa palce. Peg poczerwieniała z furii.

- Zerznęli cię? Annet skinęła głową.

- Kto to był?

Annet pokazała, że nie odpowie.

Gwenda wiedziała, dlaczego dziewczyna nie chce nic mówić. Kmieć narażał się na niebezpieczeństwo, oskarżając lorda o zbrodnię.

- Widziałam Ralpa i Alana, jak jechali na koniach - odezwała się Gwenda.

- Czy to oni, Ralph i Alan? - zapytała Peg. Annet potwierdziła skinieniem głowy.

Peg zniżyła głos niemal do szeptu.

- Pewnie Alana cię trzymał, a Ralph to zrobił? Annet ponownie skinęła głową.

Dowiedziawszy się prawdy, Peg złagodniała. Wzięła córkę w objęcia i uściskała ją.

- Biedne dziecko, moje biedne dziecko. Annet się rozplakała.

Gwenda wyszła z domu.

Mężczyźni niebawem wrócą na posiłek i szybko dowiedzą się, że Ralph zgwałcił Annet.

Ojciec Annet, jej brat, mąż oraz były ukochany oszaleją z wściekłości. Perkin jest zbyt stary, by popełnić głupstwo, Rob zrobi to, co każe mu ojciec, a Billy Howard nie ma dość odwagi, by się narażać. Jednak Wulfric będzie nieprzejednany. Zabije Ralpa.

A później zawiśnie na szubienicy.

Gwenda musi zmienić bieg wydarzeń, bo inaczej straci męża. Przebiegła przez wioskę, z nikim nie zamieniając słowa, i weszła do dworu. Miała nadzieję, że usłyszy, iż Ralph i Alan zjedli posiłek i wyszli; ale przyszła za wcześnie i ku jej przerażeniu okazało się, że wciąż tam są.

Zastała ich w stajni; oglądali zakażone kopyto konia. Zwykle czuła się nieswojo w obecności Ralpa czy Alana, bo miała pewność, że patrząc na nią, przypominają sobie, jak klęczała nago na łóżku w karczmie Paula Bella. Jednak dzisiaj prawie o tym nie myślała. Musiała znaleźć sposób, by skłonić ich do opuszczenia wioski, zanim Wulfric dowie się, co zrobili. Co im powie?

Przez chwilę stała jak oniemiała, po czym rzekła zdesperowana:

- Lordzie, był posłaniec od hrabiego Rolanda.
- Kiedy? - spytał Ralph, patrząc na nią ze zdziwieniem.
- Przed godziną.

Ralph spojrział na stajennego, który trzymał w górze końskie kopyto.

- Nikt tu nie przyszedł.

Naturalnie posłaniec, gdyby się zjawił, poszedłby do dworu i poprosił o rozmowę ze sługami lorda.

- Czemu przekazał wiadomość akurat tobie? - spytał Ralph.

- Napotkałam go na trakcie tuż za wioską - zmyślała Gwenda. - Spytał o lorda Ralpa, a ja powiedziałam, że jesteś na polowaniu i wrócisz na obiad. Ale on nie chciał zostać.

Posłaniec zwykle zatrzymałby się, żeby coś zjeść i czegoś się napić, a także dać koniowi odpocząć.

- Dlaczego aż tak bardzo mu się spieszyło? - zdziwił się Ralph. Gwenda musiała improwizować.

- Przed zachodem słońca musiał dojechać do Cowfordu. Nie miałam śmiałości pytać.

Ralph coś mruknął. Wyjaśnienie Gwendy było prawdopodobne: posłaniec hrabiego Rolanda nie odpowiadałby na pytania wieśniaczki.

- Czemu wcześniej mnie o tym nie powiadomiłaś?

‘ - Poszłam w pole, żeby się z tobą spotkać, ale minąłeś mnie galopem.

- Chyba cię widziałem. Mniejsza z tym. Jak brzmi wiadomość?

- Hrabia Roland wzywa cię, żebyś stawił »się jak najrychlej w Earls-castle. - Gwenda wzięła

oddech i dodała coś jeszcze bardziej nieprawdopodobnego: - Posłaniec kazał ci powiedzieć, żebyś nie czekał do obiadu, tylko wziął wypoczęte konie i wyjechał niezwłocznie.

Brzmiało to niewiarygodnie, lecz Gwenda musiała coś wymyślić, żeby Ralph zniknął przed powrotem Wulfrica do domu.

- Naprawdę? Czy powiedział, dlaczego hrabia każe mi się stawić tak szybko?

- Nie.

- Hm. - Ralph zastanawiał się i przez chwilę nic nie mówił.

- Pojedziesz od razu? - spytała niecierpliwie Gwenda. Ralph zmierzył ją wzrokiem.

- Nie twoja sprawa.

- Nie chcę, żeby posądzono mnie o to, że nie przekazałam dokładnie wiadomości.

- Naprawdę? Nic mnie to nie obchodzi. Wynoś się. Gwendzie nie pozostało nic innego, jak wyjść.

Poszła do domu Perkina. Mężczyźni akurat wrócili z pola. Sam leżał spokojnie w koszu. Annet siedziała w tym samym miejscu z podwiniętymi rękawami sukienki, pokazując siniaki.

- Gdzieś ty była? - spytała oskarżycielskim tonem Peg. Gwenda nie odpowiedziała. Zjawił się Perkin.

- Co się stało Annet?

- Przytrafiło jej się nieszczęście - odparła Peg. - Napotkała w lesie Ralpa i Alana, kiedy była sama.

Twarz Perkina poczerwieniała z gniewu.

- Dlaczego była sama?

- To moja wina. - Peg zaczęła płakać. - Jak zawsze leniła się przy praniu, więc kazałam jej zostać i dokończyć. Inne kobiety poszły do domów, i właśnie wtedy pojawiły się te dwie bestie.

- Widzieliśmy ich niedawno, jak jechali przez Brookfield - powiedział Perkin. - Pewnie wracali z lasu.

Perkin był przestraszony.

- To bardzo niebezpieczne. Takie rzeczy potrafią zrujnować rodzinę.

- Ale my nic złego nie zrobiliśmy! - zaprotestowała Peg.

- Ralph będzie miał wyrzuty sumienia, znenawidzi nas za to, że jesteśmy niewinni.

Gwenda uświadomiła sobie, że Perkin ma rację. Pod jego maską służalczości krył się spryt.

Do domu wszedł mąż Annet, Billy Howard, wycierając brudne ręce w koszulę. Tuż za nim podążał jej brat Rob. Billy spojrzał na posiniaczone ręce żony.

- Co ci się stało?

- To robota Ralpa i Alana - odpowiedziała Peg. Billy popatrzył na żonę.

- Co ci zrobili?

Annet spuściła wzrok i nie odpowiedziała.

- Zabiję ich - rzekł gniewnie Billy. Była to jednak pusta groźba; Billy był szczupłym, łagodnym chłopakiem. Nigdy się nie bił, nawet gdy sobie podchmielił.

Ostatni przyszedł Wulfric. Gwenda zauważyła za późno, jak pociągająco wygląda Annet. Miała długą szyję i ładne ramiona, widać było górną część jej piersi. Brzydkie sińce tylko podkreślały jej urok. Wulfric przyglądał jej się z nieukrywanym zachwytem; nigdy nie potrafił maskować swoich uczuć. Nagle zauważył siniaki i zmarszczył czoło.

- Zgwałcili cię? - spytał Billy.

Gwenda obserwowała Wulfrica. Zrozumiał, co się stało, na jego twarzy malował się szok. Jasna skóra się zaczerwieniła.

- Zrobili to? Odpowiadaj, kobieto.

Gwendę ogarnęło współczucie dla niesympatycznej Annet. Dlaczego wszyscy wypyują ją w tak obcesowy sposób?

Po dłuższej chwili Annet odpowiedziała na pytanie Billy'ego skinieniem głowy. Twarz Wulfrica pociemniała.

- Kto ci to zrobił? - warknął.

- To nie twoja sprawa - powiedział Billy. - Idź do domu.

- Nie chcę kłopotów - rzekł trwożnie Perkin. - Nie możemy pozwolić, żeby nas to zniszczyło.

Billy spojrzał gniewnie na teścia.

- Co ty mówisz? Że mamy nic nie robić?

- Jeśli uczynimy sobie z Ralpa wroga, będziemy cierpieć do końca życia.

- Ale on zgwałcił Annet!

- Ralph to zrobił? - spytał z niedowierzaniem Wulfric.

- Bóg go ukarze - powiedział Perkin.

- Ja też go ukarzę, na rany Chrystusa - oznajmił Wulfric.

- Proszę cię, nie rób tego! - odezwała się Gwenda. Wulfric ruszył do drzwi.

Gwenda rozpaczliwie złapała go za rękę. Dopiero kilka minut upłynęło od chwili, gdy przekazała Ralphowi zmyśloną wiadomość. Nawet jeśli uwierzył, nikt nie mógł wiedzieć, czy będzie się spieszył. Było możliwe, że jeszcze nie opuścił wioski.

- Nie idź do dworu - błagała Gwenda. Wulfric szorstkim gestem wyrwał jej rękę.

- Odejdź ode mnie.

- Spójrz na swoje dziecko! - krzyknęła, wskazując Sammy'ego. - Chcesz, żeby zostało bez ojca?

Wulfric wyszedł.

Gwenda podążyła za nim, mężczyźni także. Wulfric kroczył przez wioskę niczym anioł śmierci, z rękami zaciśniętymi w pięści, podniesioną głową i twarzą ściągniętą gniewem. Wieśniacy idący do domów na posiłek coś do niego mówili, ale on nie odpowiadał. Niektórzy ruszyli za nim. W ciągu kilku minut, jakie zajęło mu dotarcie do dworu, zgromadził się niewielki tłum. Nathan Reeve wyszedł z domu i zapytał Gwendę, co się dzieje, ale ona powiedziała tylko: „Niech ktoś go zatrzyma, błagam!”. Na próżno, żaden z nich nie był w stanie powstrzymać Wulfrica, nawet gdyby odważył się spróbować.

Wulfric otworzył gwałtownie drzwi dworu i wpadł do środka. Gwenda wbiegła tuż za nim, a za nimi gapie.

- Puka się przed wejściem! - krzyknęła gosposia Vira.

- Gdzie twój pan? - spytał Wulfric. Kobieta zobaczyła jego twarz i się przestraszyła.

- Poszedł do stajni. Wyjeżdża do Earlscastle.

Wulfric przemknął obok niej przez kuchnię. Gwenda wybiegła za nim tylnymi drzwiami. Zobaczyli Ralpa i Alana, którzy dosiadali właśnie koni. Gwendę ogarnęła rozpacz: przybyli o kilka sekund za wcześnie!

Chłopak rzucił się ku odjeżdżającym. W przyływie desperacji Gwenda podstawiła mu nogę.

Wulfric runął twarzą w błoto.

Ralph nawet nie zauważył Gwendy i Wulfrica. Szturchnął konia piętami i wyjechał z podwórza. Alan stwierdził, że lepiej uniknąć awantury, i pojechał za panem. Popędził wierzchowca i wyprzedził Ralpa, którego koń także przyspieszył.

Wulfric, klnąc, zerwał się na nogi i rzucił w pogoń. Gwenda popędziła za nim. Nie mógł doścignąć koni, lecz dziewczyna bała się, że Ralph się obejrzy i zatrzyma konia, żeby się zorientować, co to za zamieszanie.

Jednak lord i giermek rozkoszowali się jazdą na wypoczętych koniach. Nie odwróciwszy się ani razu, gnali traktem biegnącym przez wioskę. Po kilku sekundach zniknęli.

Wulfric osunął się na kolana.

Gwenda dobiegła do niego i podała mu rękę, pomagając wstać. Odepchnął ją z taką siłą, że się zachwiała iomal nie upadła. Była wstrząśnięta, takie zachowanie zupełnie do niego nie pasowało.

- Podciąłś mnie - rzekł, gdy już wstał.

- Ocalałam ci życie. Spojrzał na nią z nienawiścią.

- Nigdy ci tego nie wybaczę.

Dotarłszy do Earlscastle, Ralph dowiedział się, że Roland wcale po niego nie posyłał. Kruki siedzące na blankach krakały na niego urągliwie.

- To ma coś wspólnego z Annet - rzekł Alen. - Kiedy wyjeżdżaliśmy, zobaczyłem, jak Wulfric wybiega z dworu. Myślałem, że to nic ważnego, ale może on chciał się na ciebie rzucić.

- Nie wątpię. - Ralph dotknął ręką długego sztyletu, który nosił u pasa. - Szkoda, że mi nie powiedziałaś. Miałbym pretekst, żeby wbić mu nóż w brzuch.

- Gwenda też zdaje sobie z tego sprawę, więc może wymyśliła wiadomość, żeby odciągnąć cię od palającego żądzą mordu męża.

- Racja - zgodził się Ralph. - To dlatego nikt oprócz niej nie widział posłańca. Sprytna suka.

Powinno się ją ukarać, ale to będzie trudne. Powie, że chciała dobrze, a Ralph przecież nie zarzuci jej, że źle uczyniła, zapobiegając napaści męża na lorda. Co gorsza, jeśli Ralph rozgłosił sprawę jej kłamstwa, zwrócił uwagę na fakt, że go przechytrzyła. Nie będzie oficjalnej kary, ale Ralph zamierzał odplacić jej w inny sposób.

Będąc w Earlscastle, skorzystał ze sposobności, by wybrać się na polowanie z hrabią i jego świtą, i zapomniał o Annet. Następnego dnia hrabia wezwał go do swojej prywatnej komnaty. Był z nim tylko sekretarz, ojciec Jerome. Roland nie zaproponował Ralphowi, by usiadł.

- Jest tutaj ksiądz z Wigleigh.

- Ojciec Gaspard? - zdziwił się Ralph. - Tu, w Earlscastle? Roland nie miał zamiaru odpowiadać na retoryczne pytania.

- Powiedział, że zgwałcił kobietę o imieniu Annet, żonę Billy'ego Howarda, jedną ze swoich poddanych.

Serce Ralph'a omal nie stanęło. Nie przypuszczał, że wieśniacy zdobędą się na to, by pójść na skargę do hrabiego. Trudno kmieciowi prawować się z lordem w sądzie. Okazali się jednak podstępni, ktoś wpadł na sprytny pomysł i przekonał księdza, żeby to on złożył skargę.

Ralph udał, że to błahostka.

- Nonsens. Tak, położyłem się z nią, ale była chętna. - Posłał Rolandowi porozumiewawczy uśmiezek. - Więcej niż chętna.

Na twarzy hrabiego odmalowała się odraza. Roland odwrócił się do Jerome'a i spojrzał nań pytająco.

Jerome był wykształconym, ambitnym młodym mężczyzną. Takich Ralph nie lubił

najbardziej. Z nadętą miną odparł:

- Dziewczyna tu jest. Powiniennem powiedzieć „kobieta”, choć ma dopiero dziewiętnaście lat. Ma siniaki na rękach i zakrwawioną sukienkę. Mówi, że spotkaliście ją w lesie, a twój giermek ukląkł na niej i ją przytrzymał. Niejaki Wulfric, który też tu jest, powiada, iż widziano, jak odjeżdżałeś z tamtego miejsca na koniu.

Ralph domyślił się, że to Wulfric nakłonił ojca Gasparda, by przybył do Earlscastle.

- To nieprawda - odparł, starając się, by w jego głosie zabrzmiało oburzenie. Jerome przyglądał mu się krytycznie.

- Dlaczego miałyby kłamać?

- Może ktoś ją widział i powiedział mężowi. To pewnie on zrobił jej te siniaki. A ona zaczęła krzyczeć, że ktoś ją zgwałcił. Potem umazała sukienkę kurzą krwią.

- To szyte grubymi nićmi, prawda, Ralphie? - rzekł z westchnieniem Roland.

Ralph nie był pewien, co hrabia ma na myśli. Czyżby spodziewał się, że jego słudzy będą się zachowywali jak ci parszywi mnisi?

- Ostrzegano mnie, że taki jesteś - ciągnął Roland. - Moja synowa mówiła, że przysporzysz mi kłopotów.

- Philippa?

- Dla ciebie lady Philippa. Ralphowi coś zaświtało w głowie.

- Czy dlatego nie awansowałeś mnie, kiedy ocaliłem ci życie? - spytał z niedowierzaniem Ralph. - Dlatego, że ta kobieta na mnie naskarżyła? Jaką miałbyś armię, gdyby to kobiety wybierały do niej rycerzy?

- Masz rację, rzecz jasna, i dlatego nie poszedłem za jej radą. Kobiety nie rozumieją, że mężczyzna, który nie ma w sobie odrobiny ikry, nadaje się tylko do uprawy roli. Z fajłapami nie wyrusza się na wojnę. Ale nie myliła się, ostrzegając, że napytasz mi biedy. A ja nie chcę, żeby w czasie pokoju jakiś przekłety klecha kwękał, że ktoś gwałci żonę kmiotka.

Nie rób tego więcej. Możesz się kłaść z wieśniaczkami, nic mnie to nie obchodzi. Możesz się nawet kłaść z mężczyznami, jeśli o tym mówimy. Lecz jeśli weźmiesz czyjąś żonę, za jej przyzwoleniem czy bez, musisz się liczyć z tym, że będziesz musiał mu to w jakiś sposób wynagrodzić. Większość kmieci można kupić. Tylko niech to nie przysporzy nam kłopotów.

- Tak, panie.

- Co mam zrobić z Gasparem? - spytał Jerome.

- Wigleigh leży na skraju mojego terytorium - rzekł Roland po chwili zastanowienia. - Nieopodal posiadłości mojego syna Williama, prawda?

- Tak - potwierdził Ralph.

- W jakiej odległości od granicy spotkałeś tę dziewczynę?

- W odległości mili. Byliśmy tuż poza Wigleigh.

- Mniejsza z tym. - Hrabia odwrócił się do Jerome'a. - I tak wszyscy będą wiedzieli, że to tylko wymówka. Powiedz ojcu Gasparowi, że do zdarzenia doszło na ziemiach należących do lorda Williama, a więc poza moją jurysdykcją.

- Doskonale, panie.

- A jeśli wieśniacy pójdą do Williama? - zapytał Ralph.

- Wątpię w to. Ale wówczas będziesz musiał się z nim jakoś ułożyć. Wieśniacy w końcu zmęczą się składaniem skarg.

Ralph z ulgą skinął głową. Przez chwilę dręczyła go straszliwa myśl, że przesadził i że będzie musiał zapłacić za zgwałcenie Annet. Jednak mu się upiekło, tak jak się spodziewał.

- Dziękuję, panie.

Przyszło mu do głowy pytanie, co powiedziała by na to jego brat, i się zawstydził. Ale może Merthin nigdy się nie dowie.

- Musimy iść na skargę do lorda Williama - rzekł Wulfric po powrocie do Wigleigh.

Wszyscy mieszkańcy wioski zebrali się w kościele na naradę. Byli wśród nich ojciec Gaspard i Nathan Reeve, lecz mimo swojego młodego wieku, zgromadzeniu przewodził Wulfric. Zostawił Gwendę z dzieckiem w tłumie i wyszedł na środek.

Gwenda modliła się, żeby postanowiono zakończyć sprawę. Nie dlatego, że chciała, by Ralph pozostał bezkarny - wprost przeciwnie, chętnie zobaczyłaby, jak pieką go żywcem. Zabiła dwóch mężczyzn tylko dlatego, że grozili jej gwałtem; przypomniała to sobie podczas dyskusji i wstrząsnął nią dreszcz. Ale nie chciała, by Wulfric brał na siebie rolę przywódcy. Po części dlatego, że pchało go do tego niewygasłe uczucie do Annet. To bolało i zasmucało Gwendę. Ważniejsze było jednak to, że się o niego lękała. Zatargi między nim a Ralphem już kosztowały Wulfrica spadek. Do jakiej jeszcze zemsty posunie się Ralph?

- Jestem ojcem ofiary i nie chcę więcej kłopotów z tego powodu - rzekł Perkin. - Skarga na lorda zawsze wiąże się z niebezpieczeństwem. Lord na pewno znajdzie sposób, by w taki czy inny sposób ukarać tych, którzy się skarżą. Dajmy temu spokój.

- Za późno - odparł Wulfric. - Już złożyliśmy skargę, w każdym razie zrobił to nasz ksiądz. Nic teraz nie zyskamy, wycofując się.

- Posunęliśmy się wystarczająco daleko - przekonywał Perkin. - Ralph został postawiony w kłopotliwej sytuacji w obecności hrabiego. Wie już, że nie wolno mu robić wszystkiego, na co ma

ochotę.

- Wprost przeciwnie - zaproponował Wulfric. - Myśli, że uszło mu to na sucho. Obawiam się, że może zgwałcić jeszcze raz. Żadna kobieta w wiosce nie będzie bezpieczna.

Gwenda przytoczyła wcześniej w rozmowie z Wulfrikiem wszystkie argumenty, które wysuwał Perkin. Wulfric jej nie odpowiedział. Prawie się do niej nie odzywał od chwili, gdy podstawiała mu nogę przed dworem. Z początku mówiła sobie, że dąsa się tylko dlatego, iż poczuł się głupio. Myślała, że zapomni o wszystkim, nim wróci z Earlscastle. Pomyliła się. Nie dotknął jej od tygodnia, w łóżku ani poza nim. Odzywał się do niej monosylabami albo burknięciami. Była przygnębiona.

- Nigdy nie wygrasz z Ralphem - włączył się do dyskusji Nathan. - Kmiecie nie wychodzą zwycięsko z potyczek z lordami.

- Nie byłbym tego taki pewny - odparł Wulfric. - Każdy ma wrogów. Być może nie jesteśmy jedynymi, którzy chcieliby okiełznać Ralpha. Może nie zobaczymy, jak sąd go skazuje, ale powinniśmy narobić mu jak najwięcej kłopotów i upokorzyć, jeśli chcemy, żeby się zastanowił, zanim znów dopuści się takiego czynu.

Niektórzy przytaknęli, ale nikt nie poparł głośno Wulfrica; Gwendzie zaświtała nadzieja, że jej mąż przegra w tym sporze. Jednak on był zdeterminowany. Zwrócił się do księdza:

- A co ty sądzisz, ojcie Gaspardzie?

Gaspard był młody, ubogi i poważny. Nie czuł lęku przed stanem szlacheckim. Nie miał ambicji, nie chciał zostać biskupem i znaleźć się w szeregach rządzących, nie musiał więc przypocholebiać się arystokratom.

- Annet została okrutnie zgwałcona, bezprawnie zakłócono pokój naszej wioski - zaczął. - Lord Ralph popełnił straszny, grzech, do którego musi się przyznać i za który musi odpokutować. Ze względu na dobro ofiary i szacunek dla samych siebie, i aby uchronić lorda Ralpha przed ogniem piekielnym, musimy udać się do lorda Williama.

Odpowiedział mu szmer aprobaty.

Wulfric spojrział na Billy'ego Howarda i Annet, którzy siedzieli obok siebie. Gwendzie przyszło na myśl, że ludzie prawdopodobnie zastosują się do woli Annet i jej męża.

- Nie chcę kłopotów - odezwał się Billy. - Ale powinniśmy dokończyć to, cośmy zaczęli, dla dobra wszystkich kobiet w wiosce.

Annet nie podniosła wzroku, lecz skinęła głową. Gwenda zrozumiała z przerażeniem, że Wulfric postawił na swoim.

- Dopiąłeś swego - powiedziała, gdy wyszli z kościoła. Wulfric coś odburknął.

- Przypuszczam, że nadal będziesz ryzykował życie dla honoru żony Billy'ego Howarda, a ze swoją żoną nie zechcesz rozmawiać.

Wulfric milczał. Sammy wyczuł napięcie i zaczął płakać.

Gwenda była zrozpaczona. Poruszyła niebo i ziemię, by zdobyć tego mężczyznę, wyszła za niego i urodziła mu dziecko, a on traktuje ją jak wroga. Jej ojciec nigdy nie zachowywał się w ten sposób w stosunku do matki, co nie znaczy, że jego postępowanie można było stawiać komukolwiek za wzór. Gwenda nie wiedziała, jak się wobec niego zachować. Posłużyła się Sammym; trzymała go na jednej ręce, drugą dotykając ramienia Wulfrica. Próbowwała odzyskać w ten sposób jego uczucie, gdyż wiedziała, że kocha chłopca. Wulfric odsuwał się od obojga. Próbowwała uciec się do seksu, przytulała się do niego, kiedy spał, głaskała jego brzuch, dotykała członka, ale wszystko na nic. Powinna to przewidzieć, bo pamiętała jego opór zeszłego lata, przed ślubem Annet.

- Co się z tobą dzieje?! - krzyknęła. - Chciałam tylko uratować ci życie!

- Nie powinnaś była tego robić.

- Gdybyś zabił Ralpha, powiesiliby cię!

- Nie miałaś prawa.

- Jakie to ma znaczenie, czy je miałam?

- Twój ojciec myśli w ten sposób, prawda? Gwenda się przestraszyła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- On uważa, że nie ma znaczenia, czy ma prawo coś uczynić. Jeśli coś może w ten sposób osiągnąć, po prostu to robi. Sprzedał cię, żeby zdobyć pieniądze na wykarmienie rodziny.

- Sprzedał mnie, żeby mężczyźni mogli mnie gwałcić! Ja podstawiłam ci nogę po to, by ocalić cię przed szubienicą. To coś zupełnie innego.

- Jeśli będziesz to sobie powtarzała, nigdy mnie nie zrozumiesz. Gwenda uświadomiła sobie, że nie odzyska jego uczucia, pokazując Wulfricowi, że nie ma racji.

- W takim razie nie rozumiem.

- Nie pozwoliłaś mi decydować. Potraktowałaś mnie tak, jak twój ojciec potraktował ciebie. Jak rzecz, a nie człowieka. Nieważne, czy miałem rację, czy się myliłem. Ważne jest tylko to, że to ja powinienem zdecydować, a nie ty. Ale ty tego nie rozumiesz, tak jak twój ojciec nie rozumie, co ci odebrał, sprzedając cię.

Gwenda nadal uważała, że są to dwie różne rzeczy, ale nie spierała się, gdyż zaczynała pojmować, skąd bierze się gniew Wulfrica. Niezależność była dla niego bardzo ważna, rozumiała to, bo czuła podobnie. A ona go tej niezależności pozbawiła.

- Chyba już rozumiem...

- Naprawdę?
- Na pewno nie zrobię więcej czegoś takiego.
- W porządku.

Gwenda nie uważała, że jest winna, ale rozpaczliwie pragnęła zakończyć tę wojnę.

- Bardzo mi przykro.
- Już dobrze.

Wulfric nie mówił wiele, ale Gwenda wyczuła, że jego serce mięknie.

- Wiesz, że nie chcę, abyś zwracał się ze skargą do lorda Williama. Ale jeśli postanowiłeś to zrobić, nie będę próbowała cię powstrzymać.

- Cieszę się.
- Może nawet zdołam ci pomóc.
- Tak? - zdziwił się Wulfric. - W jaki sposób?

36

Domostwo lorda Williama i lady Philippy w Casterham było kiedyś zamkiem. Wciąż istniał okrągły kamienny stołp z umocnieniami, lecz był zrujnowany i zrobiono z niego oborę. Mur wokół dziedzińca był nietknięty, lecz fosa wyschła, a w płytkim zagłębieniu uprawiano warzywa i owoce. W miejscu, w którym znajdował się kiedyś zwodzony most, biegł prosty nasyp prowadzący do bramy.

Gwenda z dzieckiem przeszła pod łukowatą bramą w towarzystwie ojca Gasparda, Billy'ego Howarda, Annet i Wulfrica. Młody zbrojny, przypuszczalnie wartownik, leżał na ławce, lecz zobaczył habit księdza i nie zatrzymał przybyszów. Spokojna atmosfera dodała otuchy Gwendzie, która liczyła, że przyjmie ich lady Philippa.

Grupka weszła głównymi drzwiami i znalazła się w wielkiej sali z wysokimi oknami, takimi jak w kościele. Wydawało się, że zajmuje połowę domu. Dalej znajdowały się prawdopodobnie komnaty dające członkom arystokratycznej rodziny poczucie prywatności i sprawiające, że budowla nie wyglądała na obronną.

Przy stole siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w skórzany kaftan, i liczył znaki na karbownicy. Podniósł wzrok, dokończył liczenie i zanotował coś na tabliczce.

- Witajcie, nieznajomi przybysze.
- Witaj, mistrzu podkomorzy - odpowiedział Gaspard, który odgadł, kim jest mężczyzna. - Przybywamy, by spotkać się z lordem Williamem.

- Spodziewamy się go przed kolacją, ojcze - rzekł grzecznie podkomorzy. - Co was do niego sprowadza, jeśli wolno spytać?

Gaspard zaczął objaśniać sprawę, a Gwenda niepostrzeżenie wyszła na zewnątrz.

Obeszła budynek i dotarła do części mieszkalnej. Była tam drewniana przybudówka, w której pewnie mieściła się kuchnia. Na stołku przy drzwiach siedziała służąca, obok niej leżał worek kapusty, z której zmywała wodą błoto. Dziewczyna była młoda, spojrzała z czułością na dziecko.

- Ile ma?

- Cztery miesiące, prawie pięć. Na imię ma Samuel. Nazywamy go Sammy albo Sam.

Niemowlę uśmiechnęło się do dziewczyny.

- Och! - westchnęła.

- Jestem prostą kobietą tak jak ty, ale muszę pomówić z lady Philippa - oznajmiła Gwenda.

Dziewczyna ściągnęła brwi i zachmurzyła się.

- Jestem tylko pomocnicą kucharki.

- Ale na pewno czasem ją widzisz. Mogłabyś jej o mnie powiedzieć? Dziewczyna obejrzała się, jakby się bała, że ktoś ją podsłucha.

- Wolałabym tego nie robić.

Gwenda zrozumiała, że zamysł może się okazać trudniejszy do zrealizowania, niż jej się zdawało.

- A mogłabyś przekazać jej wiadomość ode mnie? Służąca pokręciła głową.

- Kto chce przekazać wiadomość dla mnie? - odezwał się głos z kuchni. Gwenda zastygła, bojąc się, że napytała sobie biedy. Spojrzała w stronę drzwi. Po chwili ukazała się w nich Philippa.

Nie była piękna i na pewno nie można było nazwać jej ładną, ale zasługiwała na miano przystojnej. Miała prosty nos i mocną szczękę, jej zielone oczy były duże i jasne. Nie uśmiechała się, nawet lekko marszczyła czoło, lecz mimo to było w jej twarzy coś przyjacielskiego i życzliwego.

Gwenda odpowiedziała na pytanie:

- Jestem Gwenda z Wigleigh, pani.

- Wigleigh. - Grymas Philippy się pogłębił. - Co masz mi do powiedzenia?

- Chodzi o lorda Ralpha.

- Tego się właśnie obawiałam. Wejdz do środka, niech dziecko ogrzeje się przy kominku.

Niejedna wielka dama odmówiłaby rozmowy kobiecie tak niskiego stanu, jednak Gwenda odgadła, że pod onieśmielającą powierzchownością Philippy kryje się wielkie serce. Weszła za nią do środka. Sammy zaczął się wiercić, Gwenda podała mu pierś.

- Możesz usiąść - rzekła Philippa.

To było jeszcze bardziej niezwykle. Wieśniaczka zwykle musiałaby w obecności damy stać. Gwenda domyśliła się, że Philippa okazuje jej łaskawość ze względu na dziecko.

- A więc niech się dowiem, co zrobił Ralph.

- Pamiętasz, pani, bójkę na targach wełny w Kingsbridge w zeszłym roku?

- Oczywiście. Ralph obmacywał młodą wieśniaczkę, a jej przystojny narzeczony złamał mu nos. Chłopak nie powinien był tego robić, rzecz jasna, ale Ralph to grubianin.

- Istotnie. W zeszłym tygodniu spotkał tę samą dziewczynę, Annet, w lesie. Jego giermek przytrzymał ją na ziemi, a Ralph ją zgwałcił.

- Boże litościwy! - wykrzyknęła wzburzona Philippa. - Ralph to bestia, dzika świnia. Wiedziałam, że nie powinien zostać lordem. Mówiłam teściowi, żeby nie nadawał mu tego tytułu.

- Szkoda, że hrabia nie posłuchał pani rady.

- Narzeczony domaga się sprawiedliwości, jak sądzę.

Gwenda się zawahała. Nie wiedziała, jaką część skomplikowanej historii powinna opowiedzieć. Wyczuła jednak, że zatajenie czegokolwiek byłoby błędem.

- Annet wyszła za innego mężczyznę.

- Która miała szczęście i zdobyła tamtego przystojnego młodzieńca?

- Tak się składa, że Wulfric poślubił mnie.

- Gratuluję.

- Wulfric przyszedł tutaj razem z mężem Annet, by wystąpić jako świadek. Philippa posłała Gwendzie ostre spojrzenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

- Dlaczego tu przyszlście? Wigleigh nie leży na terytorium mojego męża.

- Do zdarzenia doszło w lesie, hrabia powiedział, że to ziemia lorda Williama, więc nie może sądzić.

- To wymówka. Roland sędzi wszystko, co chce. Nie chce po prostu karać człowieka, z którego zrobił lorda.

- Nasz ksiądz także przyszedł, by opowiedzieć lordowi Williamowi, co się stało.

- A czego chcesz ode mnie?

- Jesteś kobietą, pani, więc zrozumiesz. Wiesz, jak mężczyźni się tłumaczą z tego, że zgwałcili. Mówią, że dziewczyna z nimi flirtowała albo ich sprowokowała.

- Tak.

- Jeśli Ralphowi się upieczce, może to zrobić jeszcze raz, może mnie.

- Albo mnie - zgodziła się Philippa. - Powinnaś zobaczyć, jak pożera mnie wzrokiem. Zachowuje się niczym pies, który zobaczył gęś w stawie.

Te słowa zachęciły Gwendę.

- Może przekonałabyś pani lorda Williama, że to bardzo ważne, by Ralph nie wykręcił się sianem.

Philippa skinęła głową.

- Chyba da się to zrobić. ». Sammy przestał ssać i zasnął. Gwenda wstała.
- Dziękuję ci, pani.
- Cieszę się, że przyszłaś - odparła Philippa.

Lord William wezwał ich nazajutrz rano. Spotkali się z nim w wielkiej sali. Gwenda ucieszyła się, widząc, że obok niego siedzi lady Philippa. Spojrzała na nią życzliwie. Gwenda miała nadzieję, że rozmawiała z mężem.

William był wysoki i ciemnowłosy tak jak ojciec, ale łysiał. Wysokie czoło nad ciemnymi brwiami sugerowało, że jest władcą myślącym. Obejrzał zakrwawioną sukienkę i siniaki Annet, które zdążyły już ściemnieć. Mimo to na ich widok lady Philippa wpadła w gniew. Gwenda domyśliła się, że nie dotkliwość obrażeń tak na nią podziałała, tylko wywołane przez nie wyobrazenie krzepkiego giermka, który klęczy na rękach dziewczyny, podczas gdy inny mężczyzna ją gwałci.

- Jak dotąd zrobiłaś wszystko jak należy - rzekł William do Annet. - Poszłaś do najbliższej wioski, pokazałaś obrażenia szanowanym ludziom i podałaś imię tego, który cię napadł. Teraz musisz złożyć powództwo w sądzie okręgowym hrabstwa Shiring.

Annet spojrzała na niego zaniepokojona.

- Co to znaczy?
- Powództwo to oskarżenie napisane po łacinie.
- Panie, ja nie umiem pisać po angielsku, a co dopiero po łacinie.
- Ojciec Gaspard może to zrobić za ciebie. Sędzia przedstawi powództwo przed składem przysięgłych, a ty opowiesz im, co się wydarzyło. Zdołasz to zrobić? Mogą pytać o krępujące szczegóły.

Annet z determinacją skinęła głową.

- Jeśli ci uwierzą, wydadzą szeryfowi nakaz wezwania lorda Ralpha miesiąc później do sądu. Wtedy będziesz potrzebowała dwóch poręczycieli, to znaczy ludzi, którzy zobowiążą się wpłacić sumę gwarantującą, że stawisz się przed sądem.

- Kto może być moim poręczycielem?
- Jednym może być ojciec Gaspard, a drugim ja. Ja wpłacę pieniądze.
- Dziękuję ci, panie!
- Podziękuj mojej żonie, która przekonała mnie, bym nie pozwolił na zakłócanie królewskiego pokoju na moich ziemiach.

Annet spojrzała z wdzięcznością na Philippę.

Gwenda popatrzyła na Wulfrica. Powiedziała mężowi o swojej rozmowie z żoną lorda. Teraz

podziękował jej prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy.

- W czasie rozprawy opowiesz jeszcze raz swoją historię - ciągnął William. - Wszyscy twoi przyjaciele będą świadkami: Gwenda powie, że widziała, jak wracasz z lasu w zakrwawionej sukience, ojciec Gaspard powtórzy to, co mu powiedziałaś, a Wulfric poświadczy, że widział, jak Ralph i Alan odjeżdżali na koniach z miejsca, w którym dopuścili się gwałtu.

Wszyscy skinęli głowami.

- I jeszcze jedno: skoro rozpoczęliście sprawę, musicie ją skończyć. Wycofanie skargi to przestępstwo, za które poniosłabyś surową karę. Nie mówiąc już o zemście Ralpha.

- Nie zmienię zdania - zapewniła Annet. - Ale co się stanie z Ralphem? Jak zostanie ukarany?

- Jest tylko jedna kara za gwałt - rzekł lord William. - Ralph zawiśnie na szubienicy.

Noc spędzili w wielkiej sali zamku ze sługami Williama, giermkami i psami. Owinęli się płaszczami i ułożyli na sitowiu, które zaścielało posadzkę. Kiedy blask szczap w ogromnym kominku zmienił się w łagodną poświatę, Gwenda niepewnie położyła dłoń na ramieniu męża, głaszcząc go przez materiał koszuli. Nie kochali się od dnia, w którym Ralph zgwałcił Annet, nie wiedziała więc, czy Wulfric tego chce. Rozgniewała go bardzo, podstawiając mu nogę - czy mąż uzna, że wstawieniem się u lady Philippy naprawiła szkodę?

Wulfric zareagował natychmiast, przyciągając ją do siebie i całując w usta. Gwenda z wdzięcznością poddała się jego pieszczotom. Była tak szczęśliwa, że chciało jej się płakać.

Czekała, aż położy się na niej, ale tego nie zrobił. Czowała, że tego pragnie, bo był bardzo czuły, a jego członek stwardniał w jej ręce. Może nie chciał tego robić w obecności tak wielu osób. Ludzie kochali się w salach takich jak ta, było to normalne i nikt nie zwracał na to uwagi. Wulfric się wstydził.

Jednak Gwendzie bardzo zależało, by przypieczętować miłosne pojednanie i po chwili to ona położyła się na nim, zakrywając oboje swoim płaszczem. Kiedy zaczęli się poruszać, zobaczyła, że leżący o kilka kroków dalej nastolatek przygląda się im szeroko otwartymi oczami. Dorośli uprzejmie odwracali głowy, lecz chłopak był w takim wieku, że seks wydawał mu się porywającą tajemnicą. Najwyraźniej nie mógł oderwać wzroku od kochającej się pary. Gwenda była tak szczęśliwa, że się tym nie przejmowała. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się, nie przerywając. Chłopiec otworzył usta, boleśnie zawstydzony. Przetoczył się na bok i zakrył oczy ręką.

Gwenda naciągnęła płaszcz na głowę swoją i Wulfrica, wtuliła twarz w jego szyję i oddała się rozkoszy.

Hall już jej nie onieśmiał, nie była też skonfundowana tłumem bogatych i wpływowych ludzi zgromadzonych wokół ław sędziowskich. Znała już zasady postępowania, wszystko, co przed rokiem wydawało się niezwykle, teraz było znajome. Włożyła nawet suknię modną w Londynie - z prawej strony zieloną, a z lewej niebieską; Z przyjemnością patrzyła na twarze wokół siebie i czytała, co w nich jest: pewność siebie lub desperacja, zagubienie lub nieśmiałość. Poznawała tych, którzy pierwszy raz przywędrowali do stolicy, po szeroko otwartych oczach i niepewności. Miała przyjemne poczucie przewagi nad nimi.

Niepokoił ją tylko jej adwokat, Francis Bookman [* Bookman (ang.) - człowiek uczony.]. Młody i wykształcony, jak większość prawników sprawiał wrażenie pewnego siebie. Był niskim mężczyzną o włosach barwy piasku, szybkich ruchach, zawsze gotowym do zaangażowania się w spór. Przywodził jej na myśli zuchwałego ptaka, który stoi na parapecie, dziobiąc okruchy i odpędzając rywali. Powiedział, że ich sprawa nie budzi najmniejszych wątpliwości.

Adwokatem Godwyna był, rzecz jasna, Gregory Longfellow. Wygrał sprawę z hrabią Rolandem, więc Godwyn zwrócił się do niego, by znów reprezentował opactwo. Dowiódł swoich umiejętności, Bookman zaś stanowił niewiadomą. Jednak Caris miała w rękawie coś, co wstrząśnie Godwynem.

Przeor nie okazywał, iż ma świadomość, że zdradził Caris, jej ojca i Kings-bridge. Kiedyś przedstawiał się jako reformator zniecierpliwiony postępowaniem zachowawczego Anthony'ego, rozumiejącym potrzeby miasta, sprzyjającym dobrobytowi zarówno mnichów, jak i kupców. W ciągu roku wykonał zwrot w drugą stronę i stał się jeszcze większym konserwatystą niż Anthony. I zdawało się, że wcale się tego nie wstydzi. Caris rumieniła się z gniewu, ilekroć o tym pomyślała.

Nie miał prawa zmuszać mieszkańców miasta do korzystania z klasztornej piłśniarki. Inne narzucone przezeń przepisy - zakaz używania ręcznych żaren, grzywny za posiadanie własnych stawów i królikarni - były teoretycznie zasadne, choć niesłychanie surowe. Jednak dostęp do piłśniarki powinien być darmowy i Godwyn o tym wiedział. Czyżby uważał, że każde oszustwo jest wybaczone, jeśli odbywa się w imię dzieła bożego? Wszak służby Boga powinni przestrzegać zasad uczciwości skrupulatniej niż laicy.

Caris powiedziała tak do ojca, gdy czekali na rozpoczęcie posiedzenia sądu.

- Nie ufam nikomu, kto głosi swoją moralność z ambony - odrzekł Edmund. - Tacy ludzie zawsze znajdują wymówkę pozwalającą im łamać głoszone zasady. Wolę robić interesy ze zwykłymi grzesznikami, którzy grzeszą dla własnej korzyści, a w końcu mówią prawdę i dotrzymują obietnic. I nie zmieniają zdania.

W takich chwilach, gdy ojciec był taki jak dawniej, Caris uświadamiała sobie, jak bardzo się

zmienił. Teraz rzadko zdarzało mu się błysnąć sprytem i przenikliwością. Częściej bywał zapominalski i roztargniony. To musiało się zacząć kilka miesięcy przed tym, jak zauważyła pierwsze objawy; pewnie właśnie dlatego nie zdołał przewidzieć zapaści na rynku wełny.

Po kilku dniach oczekiwania zostali wezwani przez sir Wilberta Wheatfielda, sędziego o rumianej twarzy i zepsutych zębach, który rok wcześniej orzekł przeciwko hrabiemu Rolandowi. Caris zaczęła tracić wiarę w siebie, gdy sędzia zasiadł na ławie przy ścianie. To było przerażające, że zwykły śmiertelnik ma taką władzę. Jeśli podejmie złą decyzję, zapoczątkowana przez Caris produkcja tkanin będzie skazana na porażkę, ojciec zostanie zrujnowany i nikt nie zapłaci za budowę nowego mostu.

Poczuła się lepiej, gdy zabrał głos jej adwokat. Zaczął od przytoczenia dziejów pilśniarki, powiedział, że skonstruował ją legendarny Jack Builder, i że przeor Philip dał mieszczanom prawo darmowego korzystania z niej.

Później zajął się argumentami Godwyna, od razu je zbijając.

- To prawda, że pilśniarka jest wolna i często się psuje. Ale jak przeor może twierdzić, że ludzie stracili do niej prawo? Maszyna jest własnością klasztoru i to klasztor powinien o nią dbać. Fakt, że klasztor zaniedbał swój obowiązek, nie robi żadnej różnicy. Mieszkańcy miasta nie mają prawa jej naprawiać, a tym bardziej nie są do tego zobligowani. Dar przeora Philipa nie podlegał żadnym warunkom.

Francis wydobyl swój tajny oręż.

- Przeor może twierdzić, że dar był warunkowy, dlatego proszę sąd o odczytanie kopii testamentu Philipa.

Godwyn był zdumiony. Próbował udawać, że testament zaginął, jednak Thomas Langley zgodził się go poszukać, by wyświadczyć przysługę Merthinowi, i wyniósł go z biblioteki na jeden dzień. Tyle czasu wystarczyło Edmundowi na jego skopiowanie.

Caris z największą radością patrzyła na zaskoczoną i oburzoną minę Godwyna, gdy okazało się, że jego oszustwo zostało odkryte.

- Jak zdobyto ten dokument? - zapytał gniewnie.

Sposób, w jaki zadał pytanie, był znaczący. Godwyn nie zapytał: „Gdzie znaleziono dokument?”. Takie pytanie byłoby logiczne, gdyby dokument naprawdę zaginął.

Zdenerwowany Gregory Longfellow uciszył go machnięciem ręki. Godwyn zamknął usta i cofnął się, widząc, że się zdradził. Caris była pewna, że zrozumiał to za późno. Sędzia na pewno zna przyczynę gniewu Godwyna, wie, że dokument jest korzystny dla mieszczan, a przeor próbował zataić jego istnienie.

Chwilę potem Francis zakończył swoje wystąpienie. Dobra decyzja, pomyślała Caris. Sędzia będzie miał świeżo w pamięci dwulicowość Godwyna, gdy Gregory zacznie przedstawiać argumenty obrony.

Jednak Gregory zaskoczył wszystkich.

Wystąpił i powiedział:

- Sir, Kingsbridge nie ma nadanych praw miejskich. Zamilkł, jak gdyby to było wszystko, co ma do powiedzenia. Większość miast miała królewski statut dający im wolność prowadzenia handlu i organizowania targów bez zobowiązań wobec miejscowego hrabiego czy barona. Obywatele byli wolnymi ludźmi, podlegali jedynie królowi. Jednak kilka miast takich jak Kingsbridge pozostawało własnością panów, którymi byli zwykle biskupi lub przeorzy. Takimi miastami były St. Albans oraz Bury St. Edmunds. Ich status nie był tak jasny.

- To wiele zmienia - rzekł sędzia. - Tylko wolni ludzie mają prawo zwracać się do sądu królewskiego. Co powie na to adwokat? Czy twoi klienci są dzierżawcami?

Francis odwrócił się do Edmunda.

- Czy mieszkańcy miasta zwracali się wcześniej do sądu? - zapytał cichym, nagłym głosem.

- Nie. Tylko przeor...

- Gildia parafialna nigdy tego nie robiła?

- W archiwach nie ma zapisów...

- W takim razie nie możemy powołać się na precedens. A niech to licho. - Francis skierował wzrok na sędziego. Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili. Jeszcze przed momentem malowała się na niej obawa, a teraz jego oblicze emanowało pewnością siebie. - Sir, mieszczanie są wolnymi ludźmi, cieszą się statusem obywateli - rzekł pobłaźliwie, jakby mówił o błahostce.

- Nie istnieje powszechnie przyjęty wzorzec statusu obywatela - odparł szybko Gregory. - W różnych miejscach oznacza on różne rzeczy.

- Czy istnieje spisana karta zwyczajowa? - zapytał sędzia.

Francis spojrział na Edmunda, a ten pokręcił głową.

- Żaden mnich nie zgodziłby się na spisanie takiego dokumentu - odrzekł cicho. Francis zwrócił się do sędziego:

- Nie ma spisanej karty, sir, ale bez wątpienia...

- Wobec tego sąd musi orzec, czy jesteście wolnymi ludźmi - stwierdził sędzia.

- Sir, obywatele mają prawo sprzedawania i kupowania domów - oznajmił Edmund, zwracając się bezpośrednio do sędziego.

Było to ważne prawo, którego nie posiadali dzierżawcy. Ci, by sprzedać dom, potrzebowali pozwolenia lorda.

- Ale macie zobowiązania lenne - zauważył Gregory. - Musicie korzystać z maszyn przeora i stawów rybnych.

- Zapomnijmy o stawach - odparł sędzia. - Kluczowy jest stosunek obywateli do królewskiego systemu prawnego. Czy królewski szeryf ma wolny wstęp do miasta?

- Nie, musi pytać o pozwolenie - odpowiedział Gregory.

- To jest decyzja przeora, a nie nasza - obruszył się Edmund.

- Tak. Czy obywatele zasiadają w ławach przysięgłych królewskich sądów, czy zwalniają się z tego obowiązku?

Edmund się zawahał. Godwyn promieniał. Zasiadanie w ławie przysięgłych było czasochłonnym obowiązkiem, którego unikali wszyscy, którzy mogli.

- Zwalniamy się - przyznał Edmund po chwili wahania.

- To rozstrzyga sprawę - stwierdził sędzia. - Jeśli odmawiacie spełniania obowiązku, argumentując, że jesteście dzierżawcami, nie możecie ponad głowę swojego pana zwracać się do króla o sprawiedliwość.

- Wnoszę o oddalenie pozwu mieszkańców miasta - powiedział Gregory.

- I takie jest moje orzeczenie - oznajmił sędzia. Francis był oburzony.

- Sir, czy mogę zabrać głos?

- Wykluczone.

- Ależ, sir...

- Jeszcze jedno słowo i ukarzę cię za obrazę sądu. Francis zamknął usta i pochylił głowę.

- Następna sprawa - zarządził sędzia. Kolejny adwokat rozpoczął swoją przemowę. Caris była zaszokowana.

Francis zwrócił się do jej ojca z pretensją:

- Powinieneś był mi powiedzieć, że jesteście dzierżawcami!

- Nie jesteśmy.

- Sędzia orzekł przed chwilą, że jesteście. Nie da się wygrać sprawy, posiłkując się niepełną wiedzą.

Caris postanowiła się z nim nie kłócić. Francis należał do tych młodzieńców, którzy nigdy się nie mylą.

Godwyn wyglądał tak, jakby za chwilę miał pęknąć z dumy. Wychodząc, nie mógł się oprzeć

chęci wypuszczenia jeszcze jednej strzały. Pogroził palcem Edmundowi i Caris.

- Mam nadzieję, że w przyszłości okażecie tyle roztropności, by podporządkować się woli Boga - rzekł surowo.

- Och, wynoś się - prychnęła Caris i odwróciła się do ojca.

- W ten sposób jesteśmy zupełnie bezsilni! Udowodniliśmy, że mamy prawo korzystać za darmo z piłśniarki, a mimo to Godwyn może nam to prawo odebrać!

- Na to wygląda.

Caris zwróciła się do Francisa:

- Musi być coś, co można zrobić - powiedziała z gniewem.

- Możecie starać się o prawa miejskie dla Kingsbridge. Wówczas miasto uzyska królewską kartę praw i wolności. Wtedy będziecie mieli dostęp do królewskiego sądu.

Caris dostrzegła promyk nadziei.

- Jak się do tego zabrać?

- Trzeba zwrócić się do króla.

- A on wyda zgodę?

- Jeśli użyjecie argumentu, że potrzebujecie karty praw, by móc płacić podatki, z pewnością was wysłucha.

- Wobec tego musimy spróbować.

- Godwyn będzie wściekły - ostrzegł Edmjjid.

- A niech sobie będzie - mruknęła posępnie Caris.

- Nie wolno go nie doceniać - dodał ojciec. - Wiesz, jaki jest bezwzględny nawet w drobnych sprawach. Takie posunięcie wywoła wojnę.

- A więc niech będzie wojna.

- Ralphie, jak mogłeś to zrobić? - biadoliła matka.

Merthin przyglądał się twarzy brata. W domku rodziców panował półmrok. Ralph był rozdarty, zaprzeczał, jednocześnie się usprawiedliwiając.

- Sprowokowała mnie - rzekł nagle. Maud była zrozpaczona.

- Ależ ona jest żoną innego mężczyzny!

- Wieśniaka.

- I co z tego?

- Nie martw się, mamo. Nigdy nie skażą lorda z powodu kmiecia. Merthin nie był tego taki pewny. Ralph był pomniejszym lordem, i jak się zdaje, uczynił sobie wroga z Williama. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak potoczy się proces.

- Nawet jeśli cię nie skażą, o co się modlę, pomyśl o hańbie! - odezwał się ojciec. - Jesteś synem rycerza, jak mogłeś o tym zapomnieć?

Merthin był wstrząśnięty i przygnębiony, ale nie zaskoczony. Ralph zawsze miał skłonność do przemocy. W dzieciństwie zawsze był skory do bójki, a Merthin wciąż odwoził go od bójkę pojednawczym słowem lub żartem. Gdyby ktoś inny, a nie brat, popełnił tak straszny czyn, Merthin życzyłby mu szubienicy.

Ralph spoglądał na niego raz po raz. Bardziej niż dezaprobaty matki obawiał się reakcji Merthina. Zawsze podziwiał starszego brata, ale on nie mógł już kielznać jego agresji. Merthinowi przyszło do głowy, że tylko kajdany mogą powstrzymać Ralpha przed krzywdzeniem innych ludzi.

Rozmowa z rodzicami na pewno trwałaby dłużej, lecz ktoś zapukał do drzwi. Weszła Caris. Uśmiechnęła się do Geralda i Maud, ale na widok Ralpha wyraz jej twarzy się zmienił.

Merthin odgadł, że przyszła do niego. Wstał.

- Nie wiedziałem, że wróciłaś z Londynu.

- Niedawno. Możemy zamienić parę słów?

Merthin narzucił płaszcz i wyszedł. Był szary, zimny, grudniowy dzień. Minął rok od dnia, w którym Caris zakończyła ich związek. Wiedział, że straciła dziecko, i domyślał się, że świadomie wywołała poronienie. W ciągu następnego kilku tygodni prosił, żeby do niego wróciła, lecz ona odmawiała. To było zagadkowe: czuł, że wciąż go kocha, a mimo to niezmiennie odrzucała jego prośbę. Merthin stracił nadzieję i stwierdził, że z czasem żal minie. Jak dotąd to się nie stało. Serce wciąż biło mu szybciej na jej widok, a rozmowa z nią sprawiała mu więcej radości niż cokolwiek innego.

Doszli do głównej ulicy i skręcili do karczmy Bella. Było późne popołudnie, więc w środku panował spokój. Zamówili grzane wino z korzeniami.

- Przegraliśmy sprawę - powiedziała Caris.

- Jak to możliwe? - spytał zaskoczony Merthin. - Mielicie testament przeora Philipa...

- Nic nam to nie dało. - Merthin widział, że dziewczyna jest gorzko rozczarowana. - Sprytny adwokat Godwyna powołał się na to, że mieszkańcy Kingsbridge są poddanymi przeora i nie mają prawa odwoływać się do sądu królewskiego. Sędzia oddalił sprawę.

- Ależ to niedorzeczność! - oburzył się Merthin. - To znaczy, że przeor może robić wszystko, co zechce, bez względu na prawo i karty...

- Wiem.

Merthin zauważył zniecierpliwienie Caris i zrozumiał, że mówi rzeczy, które ona sobie wielokrotnie powtarzała. Stłumił złość.

- Co zamierzasz zrobić?

- Ubiegać się o nadanie Kingsbridge praw miejskich. W ten sposób miasto wyzwoli się spod władzy przeora. Prawnik uważa, że mamy mocne argumenty. Mówił, że w sprawie pilśniarki też wygramy. Król rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy na wojnę z Francją. Potrzebuje bogatych miast, które będą płaciły wysokie podatki.

- Ile potrwa zdobycie tych praw?

- Niestety, co najmniej rok, może więcej.

- A przez ten czas nie możesz wytwarzać szkarłatnej tkaniny.

- Nie z użyciem pilśniarki.

- W takim razie będziemy musieli przerwać prace przy moście.

- Nie widzę innego wyjścia.

- A niech to... - To wydawało się takie absurdalne. Upór jednego człowieka nie pozwalał odbudować dobrobytu miasta, choć było do tego tak blisko. - Wszyscy źle oceniliśmy Godwyna.

- Nie przypominaj mi o tym.

- Musimy się wyzwolić spod jego władzy.

- Wiem.

- Wcześniej niż za rok.

- Gdyby istniał jakiś sposób...

Merthin myślał gorączkowo, jednocześnie obserwując Caris. Była ubrana w nową sukienkę z Londynu, dwubarwną, zgodnie z obowiązującą modą. Sukienka nadawała jej figlarny wygląd, choć twarz Caris wyrażała powagę i niepokój. Ciemna zieleń i ciemny błękit sprawiały, że w oczach dziewczyny tańczyły iskierki, a skóra zdawała się jaśnieć. Merthin często odnosił takie wrażenie. Pograżali się w dyskusji na temat jakiejś kwestii związanej z mostem - rzadko rozmawiali o czymś innym-i nagle Merthin zauważał, jaka Caris jest czarująca.

Mimo że właśnie to go pochłaniało, inna część umysłu znalazła rozwiązanie.

- Powinniśmy zbudować własną pilśniarkę. Caris pokręciła głową.

- Będzie nielegalna. Godwyn każe Johnowi ją zniszczyć.

- A gdyby była poza granicami miasta?

- W lesie? To także nielegalne. Mielibyśmy na karku królewskich leśników. Leśnicy pilnowali przestrzegania prawa w lasach.

- Nie w lesie. Gdzieś indziej.

- Wszędzie będzie potrzebne zezwolenie jakiegoś lorda.

- Mój brat jest lordem.

Dźwięk tego imienia wywołał niesmak na twarzy Caris. Po chwili jednak uświadomiła sobie, co Merthin mówi.

- Chcesz zbudować piłśniarkę w Wigleigh?
- A czemuż by nie?
- Jest tam bystry strumień, który obracałby koło?
- Chyba tak, ale jeśli nie, to można zaprząć do niej wołu.
- Ralph się zgodzi?
- Oczywiście. To mój brat, jeśli go poproszę, zgodzi się.
- Godwyn oszaleje ze złości.
- Ralph nie przejmuje się Godwynem.

Merthin widział, że Caris się ucieszyła, ale co czuje do niego? Uradowało ją, że znaleźli rozwiązanie problemu i że będzie mogła przechytryć Godwyna, ale nie potrafił odgadnąć, co poza tym dzieje się w jej głowie.

- Przemyślmy sprawę, zanim zaczniemy się cieszyć - powiedziała. - Godwyn ogłosi natychmiast, że tkanin nie wolno wywozić z Kingsbridge, by je spilić. W wielu miastach obowiązuje taki przepis.

- Trudno mu będzie go egzekwować bez współpracy gildii. A nawet jeśli zdoła, można to obejść. Większość materiałów i tak powstaje w wioskach, prawda?

- Tak.

- A więc nie wwoźmy ich do miasta, tylko wysyłajmy od tkaczy do Wigleigh. Tam można je barwić, spilić w nowej maszynie, a potem zawieźć do Londynu. Wszystko będzie się działo poza jurysdykcją Godwyna.

- Ile czasu zajmie zbudowanie piłśniarki? Merthin się zamyślił.

- Drewniany budynek można postawić w ciągu kilku dni. Maszyna też będzie z drewna, ale budowa potrwa nieco dłużej, bo trzeba będzie wszystko dokładnie wymierzyć. Najwięcej czasu potrzeba na przewiezienie na miejsce ludzi i materiału. Mógłbym skończyć przed Bożym Narodzeniem.

- To wspaniale - ucieszyła się Caris. - Tak zrobimy.

Elizabeth rzuciła kostką i przesunęła ostatni pionek na metę.

- Wygrałam! Trzy partie na trzy. Musisz zapłacić!

Merthin wręczył jej srebrnego pensa. Tylko dwie osoby wygrywały z nim w tabula: Elizabeth i Caris. Nie przeszkadzało mu, że przegrywa. Cieszył się, że ma dobrego przeciwnika.

Oparł się na krzesło i napił wina gruszkowego. Był zimny styczniowy dzień; już po południu

robiło się ciemno. Matka Elizabeth spała w fotelu przy kominku, chrapiąc cicho. Pracowała w karczmie, ale zawsze była w domu, kiedy Merthin przychodził odwiedzić córkę. Jemu to odpowiadało. Dzięki temu nigdy nie musiał decydować, czy pocałować Elizabeth. Wolał nie stawać przed tym problemem. Chciałby ją pocałować, naturalnie. Pamiętał dotknięcie jej ust i jędrność małych piersi. Oznaczałoby to jednak przyznanie, że romans z Caris skończył się na zawsze, a na to nie był jeszcze gotowy.

- Co z nową pilśniarką w Wigleigh? - zapytała Elizabeth.

- Skończona i już działa - odparł z dumą Merthin. - Caris od tygodnia spłótnała na niej tkaninę.

Elizabeth uniosła brwi.

- Robi to sama?

- Nie, tak się mówi. Mark Webber obsługuje maszynę, ale uczy paru mieszkańców wioski, żeby mogli przejąć jego zadania.

- Byłoby dobrze, gdyby Mark został zastępcą Caris. Przez całe życie biedował, to dla niego wspaniała okazja.

- Przedsięwzięcie Caris przyniesie korzyść nam wszystkim. Dzięki niemu będę mógł dokończyć most.

- To bystra dziewczyna - przyznała beznamiętnie Elizabeth. - Ale co powie na to Godwyn?

- Nic. Chyba jeszcze nie wie.

- Ale się dowie.

- Wydaje mi się, że nic nie może zrobić.

- To pyszny człowiek. Jeśli go przechytrzyłeś, nigdy ci nie wybaczy.

- Dam sobie z nim radę.

- A co będzie z mostem?

- Mimo problemów prace są opóźnione zaledwie o kilka tygodni. Musiałem wydać pieniądze, żeby nadgonić, ale most z tymczasową drewnianą nawierzchnią będzie gotowy na następne targi wełny.

- Ty i Caris ocaliliście miasto.

- Jeszcze nie, ale dokonamy tego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Matka Elizabeth obudziła się, podskakując lekko.

- Kto to może być? - zapytała. - Już jest ciemno. W drzwiach stanął jeden z czeladników Edmunda.

- Mistrz Merthin jest potrzebny na spotkaniu w siedzibie gildii.

- Do czego jestem potrzebny? - spytał Merthin.

- Mistrz Edmund kazał ci przekazać, że jesteś potrzebny na spotkaniu - powtórzył chłopak.
Wyuczył się wiadomości na pamięć i nic więcej nie wiedział.

- Pewnie ma to związek z mostem - rzekł Merthin do Elizabeth. - Martwią się o koszty. -
Wziął płaszcz. - Dziękuję za wino i grę.

- Zawsze chętnie z tobą zagram - odparła Elizabeth.

Merthin ruszył główną ulicą do siedziby gildii. Odbywało się tam zebranie, a nie przyjęcie.
Przy długim stole opartym na kobyłkach siedziało około dwudziestu najważniejszych mieszkańców
King#bridge. Niektórzy pili wino, rozmawiając cicho. Merthin wyczuł napięcie i gniew.

Edmund zajmował najważniejsze miejsce, obok niego siedział Godwyn. Przeor nie był
członkiem gildii, jego obecność wskazywała, że domysły Merthina były słuszne: spotkanie dotyczyło
budowy mostu. Co dziwne, nie było jednak kościelnego Thomasa, był za to Philemon.

Merthin odbył niedawno krótką dyskusję z Godwynem. Jego umowa opiewała na rok za dwa
pensy dziennie plus dzierżawa Wyspy Trędowatych. Miała zostać odnowiona i Godwyn
zapropozował, że nadal będzie płacił dwa pensy dziennie. Merthin domagał się czterech pensów i
Godwyn się zgodził. Czyżby z tego powodu chciał się poskarżyć gildii?

Edmund zaczął w sposób dla siebie typowy, czyli bez ogródek:

- Wezwaliśmy cię, bo przeor Godwyn chce cię zwolnić ze stanowiska kierownika budowy
mostu.

Merthin poczuł się tak, jakby dostał pięścią w twarz. Czegoś takiego się nie spodziewał.

- Ależ to on mnie wyznaczył!

- Mam zatem prawo cię zwolnić.

- Dlaczego?

- Prace się opóźniają, a budżet został przekroczony.

- Hrabia zamknął kamieniołom, a budżet został przekroczony, bo musiałem przyspieszyć
prace, by nadrobić opóźnienie.

- To wymówki.

- Czy wymyśliłem śmierć woźnicy?

- Zabił go twój brat! - wypalił Godwyn.

- A co to ma do rzeczy? Godwyn zignorował pytanie.

- To człowiek, na którym ciąży oskarżenie o gwałt!

- Nie wolno ci zwalniać majstra z powodu postępów brata.

- Kim ty jesteś, żeby mówić mi, co mi wolno?

- Jestem budowniczym twojego mostu!

Nagle Merthin uświadomił sobie, że większa część prac została ukończona. Zaprojektował wszystkie skomplikowane fragmenty i zrobił drewniane szablony dla kamieniarzy. Zbudował grodzę, których nikt inny nie umiał zbudować. Skonstruował także pływające dźwigi i wyciągi, dzięki którym można przenosić ciężkie kamienie na miejsce. Z przerażeniem uświadomił sobie, że teraz każdy budowniczy może dokończyć tę pracę.

- Nie ma gwarancji odnowienia twojej umowy - stwierdził Godwyn. Była to prawda. Merthin szukał wsparcia u zebranych. Nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy. Domyślił się, że odbyli już dyskusję z Godwynem. Ogarnęła go rozpacz. Dlaczego? Powodem nie było opóźnienie i budżet; opóźnienie nie wynikało z winy Merthina, a poza tym nadrabiał zaległości. Jaki jest prawdziwy powód? Odpowiedź przyszła natychmiast.

- Chodzi o pilśniarkę w Wigleigh! - wykrzyknął.

- Te dwie rzeczy niekoniecznie są ze sobą związane - odparł sztywno Godwyn.

- Kłamlivy mnich - rzekł cicho, lecz wyraźnie Edmund.

- Uważaj na słowa! - ostrzegł Philemon. Edmunda to nie zraziło.

- Merthin i Caris wystrychnęli cię na dudka, prawda? Ich pilśniarka działa w Wigleigh całkowicie legalnie. Swoją chciwością i uporem ściągnąłeś na siebie klęskę. A teraz się mścisz.

Edmund miał rację. Nie było równie zdolnego budowniczego jak Merthin. Godwyn o tym wiedział, ale najwyraźniej nie miało to dla niego znaczenia.

- Kogo przyjmiesz w moje miejsce? - spytał Merthin. Po chwili sam odpowiedział sobie na pytanie. - Pewnie Elfrica.

- Ta decyzja jeszcze nie została podjęta.

- Kolejne kłamstwo - mruknął Edmund.

- Możesz zostać postawiony przed sądem kościelnym za takie słowa! - zaskrzeczał Philemon.

Merthin pomyślał, że może to być wybieg Godwyna, który chce renegocjować umowę.

- A więc gildia zgadza się z przeorem? - spytał Edmunda.

- Oni nie mają nic do powiedzenia! - wtrącił się Godwyn. Merthin zignorował go i spojrzał wyczekująco na Edmunda.

- Nie można zaprzeczyć, że przeor ma prawo podjąć taką decyzję - przyznał ze wstydem Edmund. - Członkowie gildii finansują budowę, ale to przeor jest panem miasta. Taka była umowa od początku. Merthin odwrócił się do Godwyna.

- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia, przeorze?

Czekał z nadzieją, że Godwyn przedstawi swoje prawdziwe żądania.

- Nie - odparł z kamienną twarzą Godwyn.

- W takim razie żegnam.

Odczekał jeszcze chwilę. Nikt się nie odezwał. Cisza świadczyła o tym, że wszystko jest skończone.

Wyszedł z siedziby gildii.

Odetchnął głęboko zimnym nocnym powietrzem. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Nie był już budowniczym mostu.

Szedł ciemnymi ulicami. Noc była jasna, widział drogę w blasku gwiazd. Minął dom Elizabeth, ale nie miał ochoty z nią rozmawiać. Zawahał się przed domem Caris, jednak skierował się w stronę rzeki. Jego mała łódka stała przycumowana naprzeciwko Wyspy Trędowatych. Wsiadł i powiosłował na drugi brzeg.

Stanął przed domem i spojrzał na gwiazdy, powstrzymując łzy. Prawda była taka, że koniec końców nie przechytrył Godwyna - stało się na odwrót. Nie przewidział, że przeor jest gotów zrobić bardzo dużo, by ukarać tych, którzy mu się sprzeciwiają. Merthin uważał się za spryciarza, lecz Godwyn okazał się sprytniejszy, a w każdym razie bardziej bezwzględny. Był gotów zaszkodzić miastu i klasztorowi, jeśli to konieczne, aby tylko, zemścić się za to, że jego duma została zraniona. I to dało mu zwycięstwo.

Merthin wszedł do domku i rzucił się na łóżko. Był samotny i czuł się pokonany.

38

Ralph nie mógł zasnąć przez całą noc poprzedzającą rozprawę.

Wiele razy widział, jak ludzie umierali na szubienicy. Co rok dwudziestu do trzydziestu mężczyzn oraz kilka kobiet przewożono z więzienia w zamku Shiring w dół, na plac targowy, gdzie czekał na nich stryżek. Zdarzało się to często, lecz Ralph pamiętał tych ludzi. Tej nocy wspomnienie wróciło, by go dręczyć.

Niektórzy umierali szybko, ich karki pękały, gdy zawisali na sznurze. Jednak większość dusiła się powoli. Wierzgali, szarpali się i otwierali usta w bezgłośnym, pozbawionym oddechu krzyku. Moczyli się i brudzili. Pewna staruszka skazana za czary przy spadaniu odgryzła sobie język i go wypluła. Zebrany wokół szubienicy tłum cofnął się na widok zakrwawionego kawałka mięsa, który leciał w powietrzu i spadł na piasek.

Wszyscy mówili Ralphowi, że nie trafi na szubienicę, on jednak nie mógł przestać o tym myśleć. Powtarzano, że hrabia Roland nie pozwoli, by jego lord został stracony z powodu oskarżenia poddanej. Ale jak dotąd hrabia nic w tej sprawie nie zrobił.

Pierwsza ława przysięgłych skierowała przeciwko Ralphowi oskarżenie do sędziego pokoju w Shiring. Tak jak wszystkie tego rodzaju zgromadzenia, składała się ona głównie z rycerzy, poddanych

hrabiego. Mieli oni wydać wyrok na podstawie zeznań chłopów z Wigleigh. Mężczyźni - kobiety nigdy nie zasiadały w ławie przysięgłych, rzecz jasna - nie wzbraniali się przed skazywaniem ludzi ze swojej klasy. Zadawane przez nich pytania świadczyły o tym, że przysięgli potępiają Ralpha za jego uczynek. Niektórzy przestali mu podawać rękę.

Ralph chciał uniemożliwić Annet składanie zeznań na głównym procesie, zamykając ją w areszcie w Wigleigh, tak by nie mogła dotrzeć do Shiring. Jednak kiedy wszedł do jej domu, okazało się, że Annet już tam nie ma. Musiała przewidzieć jego zamysł i opuścić dom.

Dzisiaj inna ława miała rozstrzygać o winie lub niewinności Ralpha, lecz ku swemu przerażeniu zobaczył, że czterech przysięgłych zasiadało w ławie podczas wstępnej rozprawy. Zeznania obu stron będą zapewne dokładnie takie same, Ralph nie wiedział więc, jak ta sama grupa ludzi może wydać inny wyrok. Chyba że ktoś wywrze na przysięgłych nacisk, a na to pozostawało coraz mniej czasu.

Ralph wstał o brzasku i zszedł na parter gospody sądowej przy rynku w Shiring. Drżący z zimna chłopak kruszył lód w studni na podwórzu. Ralph kazał mu przynieść chleb i piwo. Później zajrzał do ogólnej sypialni i obudził Merthina.

Usiedli razem w zimnej sali, w powietrzu wisiała stęchła woń wczorajszego piwa i wina.

- Obawiam się, że mnie powieszą - rzekł Ralph.
- Ja też - przyznał Merthin.
- Nie wiem, co robić.

Służący przyniósł dwa kufle i pół bochenka chleba. Ralph podniósł naczynie drżącą ręką i pociągnął długi łyk piwa.

Merthin jadł machinalnie chleb, marszcząc brwi i zerkając spod oka w górę. Zawsze tak robił, kiedy intensywnie myślał.

- Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to nakłonić Annet, żeby zrezygnowała z oskarżenia i poszła na ugodę. Musiałbyś zaproponować jej odszkodowanie.

Ralph pokręcił głową.

- Nie wolno jej się wycofać, to niedozwolone. Zostałaby za to ukarana.

- Wiem. Ale mogłaby złożyć zeznanie budzące wątpliwości. Wydaje mi się, że właśnie tak zwykle postępuje się w tego rodzaju przypadkach.

W sercu Ralpha zaświtała nadzieja.

- Ciekawe, czy się na to zgodzi...

Służący wniósł naręczę szczap i uklęknął przed kominkiem.

- Ile pieniędzy mógłbyś zaproponować Annet? - zapytał Merthin.

- Mam dwadzieścia florenów. - Była to równowartość trzech funtów angielskich srebrnych pensów.

Merthin przesunął dłonią po zmierzwionych rudych włosach.

- To niewiele.

- Dla wieśniaczki to dużo. Z drugiej strony jej rodzina jest bogata jak na kmieci.

- Czy Wigleigh przynosi ci duży dochód?

- Muszę kupować broń i zbroje. Kiedy jesteś lordem, musisz być zawsze gotowy, by wyruszyć na wojnę.

- Mógłbym pożyczyć ci pieniądze.

- Ile masz?

- Trzyście funtów.

Ralph był tak zaskoczony, że na chwilę zapomniał o kłopotach.

- Skąd tyle wzięłeś?

Merthin spojrzał na niego z wyrzutem.

- Ciężko pracuję i dobrze mi płacą.

- Ale przestałeś być budowniczym mostu.

- Jest wiele budów. A ja wynajmuję dzierżawcom ziemię na Wyspie Trędotowych.

Ralph był oburzony.

- A więc cieśla jest bogatszy od lorda!

- Na twoje szczęście. Jak myślisz, ile może chcieć Annet? Ralph zamyślił się i w tym momencie stracił nadzieję.

- Nie ona tym kieruje, tylko Wulfric. To on o wszystkim decyduje.

- Oczywiście. - Merthin spędził wiele czasu w Wigleigh, budując piłśniarkę, i wiedział, że Wulfric ożenił się z Gwendą dopiero wtedy, gdy Annet go odrzuciła. - Porozmawiajmy więc z nim.

Ralph wątpił, czy to coś da, ale nie miał nic do stracenia.

Opatulili się płaszczami i wyszli. Był posępny szary poranek, dął zimny lutowy wiatr. Minęli rynek i weszli do karczmy Bella, w której zatrzymali się wieśniacy z Wigleigh. Ralph domyślał się, że zapłacił za to lord William, bez którego wsparcia proces w ogóle by się nie rozpoczął. Jednak Ralph nie miał wątpiwości, że prawdziwym wrogiem jest jego ponętna, złośliwa żona Philippa, która nienawidzi Ralpa, mimo - a może właśnie dlatego - że patrzy na nią z fascynacją.

Wulfric już wstał, zastali go nad miską owsianki z bekonem. Na widok Ralpa jego twarz

poczerwieniała. Podniósł się z krzesła.

Ralph położył rękę na rękojeści miecza, gotów stanąć do walki, jednak Merthin wyszedł przed niego i rozłożył ręce w pojednawczym geście.

- Przychodzę jako przyjaciel. Nie unosi się gniewem, bo sam staniesz przed sądem zamiast mojego brata.

Wulfric stał z opuszczonymi rękami. Ralph był rozczarowany - walka złagodziłaby dotkliwość stanu zawieszenia, w którym się znalazł. Wulfric wypluł skórę od bekonu na podłogę i przełknął.

- Czego szukasz, jeśli nie zwady?

- Chcę zawrzeć ugodę. Ralph jest gotów zapłacić Annet dziesięć funtów, by zadośćuczynić jej za to, co zrobił.

Ralph był zaskoczony wysokością sumy. Merthin musiałby zapłacić większą jej część, ale się nie zawahał.

- Annet nie może wycofać oskarżenia, to zabronione - odparł Wulfric.

- Ale może zeznać co innego. Jeśli powie, że najpierw się zgodziła, a potem zmieniła zdanie, kiedy było za późno, przysięgli nie skażą Ralpa.

Ralph szukał na twarzy Wulfrica oznak chęci przystania na warunki. Ten jednak spoglądał zimnym wzrokiem.

- Proponujesz jej łapówkę w zamian za krzywoprzysięstwo?

Ralph był zrozpaczony. Wulfric nie chciał, żeby Annet przyjęła pieniądze. Pragnął zemsty, a nie odszkodowania. Chciał ujrzeć Ralpa na szubienicy.

- Proponuję jej inny rodzaj sprawiedliwości - rzekł rozsądnie Merthin.

- Próbujesz uratować brata od stryczka.

- A ty nie postąpiłbyś tak samo? Też miałeś kiedyś brata. - Ralph przypomniał sobie, że brat Wulfrica zginął wraz z rodzicami w katastrofie mostu. - Nie próbowałbyś ocalić mu życia, nawet gdyby wyrządził komuś krzywdę?

To odwołanie do uczuć rodzinnych zaskoczyło Wulfrica. Najwyraźniej nigdy nie myślał o Ralpie jak o człowieku, który ma kochającą rodzinę. Jednak po chwili się opanował.

- Mój brat David nigdy nie zrobiłby tego, co zrobił Ralph.

- Oczywiście - przyznał Merthin. - Mimo to nie możesz mnie winić za to, że chcę znaleźć sposób, by ocalić Ralpa. Zwłaszcza jeśli można tego dokonać, nie krzywdząc Annet.

Ralph podziwiał gładki sposób wyrażania się brata. On mógłby wyczarować wodę z kamienia, pomyślał.

Lecz Wulfrica niełatwo było przekonać.

- Mieszkańcy wioski chcą się pozbyć Ralpa. Boją się, że może zrobić coś takiego jeszcze raz.

Merthin ominął tę przeszkodę.

- Może powinieneś przedstawić naszą propozycję Annet. To ona powinna podjąć decyzję.

Wulfric się zastanowił.

- Skąd pewność, że zapłacicie?

Ralph poczuł przyływ nadziei. Wulfric miękł.

- Przed rozprawą przekazemy pieniądze Caris Wooler - odparł Merthin. - Zapłaci Annet po tym, jak Ralph zostanie uniewinniony. Ufasz Caris, my też.

Wulfric skinął głową.

- Jak powiedziałeś, decyzja nie należy do mnie. Powtórzę Annet naszą rozmowę.

Ruszył schodami na górę. Merthin wydał długie westchnienie.

- Wielkie nieba, on kipi gniewem.

- Ale go przekonałeś - rzekł z podziwem Ralph.

- Zgodził się tylko przekazać naszą propozycję.

Usiedli przy stole zwolnionym przez Wulfrica. Służący zapytał, czy chcą zjeść śniadanie, ale odmówili. Goście zamawiali szynkę, ser i piwo. Gospody zaroili się od tych, którzy przybyli na rozprawę. Wszyscy rycerze z hrabstwa - a także większość ważnych obywateli: starsi rangą duchowni, bogaci kupcy i wszyscy, którzy uzyskiwali więcej niż czterdzieści funtów dochodu rocznie - mieli obowiązek się stawić, jeśli nie znaleźli wiarygodnego usprawiedliwienia. Przyjechał lord William, przeor Godwyn i Edmund Wooler. Ojciec Ralpa i Merthina, sir Gerald, bywał tam regularnie, zanim wypadł z łask. Wszyscy ci ludzie musieli zasiadać w ławach przysięgłych i załatwiać inne sprawy, takie jak płacenie podatków i wybieranie parlamentarzystów. Oprócz nich obecni byli oskarżeni, ofiary, świadkowie i poręczyciele. Posiedzenia sądu napędzały karczmom w mieście mnóstwo klientów. Wulfric długo nie nadchodził.

- O czym oni rozmawiają, jak myślisz? - spytał Ralph.

- Annet może być skłonna przyjąć pieniądze - odparł Merthin. - Ojciec pewnie ją poprze, i być może także jej mąż, Billy Howard. Ale Wulfric należy do tych, którzy uważają, że mówienie prawdy jest ważniejsze od pieniędzy. Jego żona Gwenda powie to samo z lojalności, a ojciec Gaspard dla zasady. Co najważniejsze, będą musieli naradzić się z lordem Williamem, a on zrobi to, czego zechce lady Philippa. Ta kobieta z jakiegoś powodu cię nienawidzi. Ale z drugiej strony kobieta prędzej wybierze zgodę niż starcie.

- A więc może być tak albo tak.

- Otóż to.

Goście w karczmie skończyli jeść śniadanie i zaczęli wychodzić, kierując się do gospody sądowej, w której miało się odbyć posiedzenie. Czasu było coraz mniej.

Wulfric pojawił się niespodziewanie.

- Annet się nie zgadza - oznajmił krótko i odwrócił się.

- Poczekaj! - zawołał Merthin.

Wulfric nie zwrócił na niego uwagi i poszedł z powrotem na górę. Ralph zaklął. Przez chwilę miał nadzieję, że się uda. Teraz był w rękach przysięgłych.

Na zewnątrz rozległo się energiczne dzwonięcie dzwonka. Zastępca szeryfa wzywał wszystkich zainteresowanych na posiedzenie. Merthin wstał. Ralph ruszył niechętnie za nim.

Dotarli do budynku sądu i weszli do dużego pomieszczenia na tyłach. Po przeciwnej stronie, na podwyższeniu, stała „ława” sędziego. Był to w istocie rzeźbiony drewniany fotel podobny do tronu. Sędzia jeszcze nie zajął swojego miejsca, lecz jego urzędnik siedział przy stole i czytał zwój. Po jednej stronie stały dwie długie ławy dla przysięgłych. W sali nie było więcej miejsc siedzących, wszyscy inni mogli stać tam, gdzie chcieli. Porządek utrzymywano dzięki temu, że sędzia miał prawo skazać każdego, kto źle się zachowuje. Sąd nie był potrzebny, by osądzać przestępstwa, które sędzia widział na własne oczy. Ralph zobaczył przerażonego Alana Fernhilla i stanął obok niego bez słowa.

Ralphowi przyszło do głowy, że nie powinien tu przychodzić. Mógł się jakoś wymówić: chorobą, pomyleniem daty rozprawy, tym, że koń okulał po drodze. To jednak pozwoliłoby tylko odwlec nieuniknione. Później zjawiliby się szeryf z uzbrojonymi zastępcami, by go aresztować, a gdyby uciekł, obwołano by go banitą.

Było to jednak lepsze od szubienicy. Może powinien uciec teraz? Pewnie zdołałby jakoś wymknąć się z gospody. Ale pieszo daleko by nie zaszedł. Goniłaby go połowa ludzi w mieście, a gdyby go nie złapali, zastępcy szeryfa popędziliby za nim konno. Ucieczkę uznano by za przyznanie się do winy, a tak wciąż jeszcze miał szansę na uniewinnienie. Może Annet będzie się za bardzo bała, żeby jasno zeznawać? Może najważniejsi świadkowie się nie stawiają? Może Roland w ostatniej chwili postanowi się wtrącić.

Sala się zapełniała; zjawili się Annet, wieśniacy, lord William z lady Philippą, Edmund Wooler i Caris, przeor Godwyn i jego podstępny pomocnik Philemon. Urzędnik uderzył młotkiem w stół, sędzia pokoju wszedł bocznymi drzwiami. Był nim sir Guy de Bois, bogaty właściciel ziemski. Miał łysą głowę i duży brzuch. Był starym towarzyszem broni hrabiego, co mogło się okazać korzystne dla Ralph'a. Jednak z drugiej strony był wujem lady Philippy, a ona mogła mu szepnąć do

ucha coś, co pogrążyłoby Ralpa. Był czerwony na twarzy, wyglądał jak człowiek, który zjadł na śniadanie soloną wołowinę i popił mocnym piwem. Usiadł, głośno puścił wiatry i westchnął z zadowoleniem.

- A więc do roboty.

Hrabiego Rolanda nie było.

Jako pierwszą rozpatrywano sprawę Ralpa. Interesowała ona wszystkich, sędziego również. Odczytano akt oskarżenia i wywołano Annet, by złożyła zeznanie.

Ralphowi dziwnie trudno było się skupić. Słyszał już to wszystko, naturalnie, ale powinien słuchać, by wychwycić wszelkie nieścisłości, momenty zawahania czy potknięcia. On jednak wpadł w ponury nastrój. Wrogowie stawili się w całej sile, a jego jedyny potężny sojusznik, hrabia Roland, nie przybył. Przy jego boku stał tylko Merthin, który już zrobił wszystko, by mu pomóc, lecz na próżno. Los Ralpa był przesądzony.

Zeznawali kolejni świadkowie: Gwenda, Wulfric, Peg i Gaspard. Jeszcze niedawno Ralphowi zdawało się, że ma nad nimi absolutną władzę, a oni tymczasem znaleźli sposób, by go pokonać. Przewodniczący ławy przysięgłych, sir Herbert Montain, był jednym z tych, którzy przestali podawać Ralphowi rękę. Zadawał pytania, które podkreślały okropność zbrodni: „Czy ofiarę bardzo bolało?”, „Czy było dużo krwi?”, „Czy płakała?”.

Kiedy powołano na świadka Ralpa, powtórzył historię, której nie dała wiary ława przysięgłych podczas rozprawy wstępnej. Mówił cichym głosem, od czasu do czasu się jękając. Lepiej poszło Alanowi Fernhillowi; zeznał zdecydowanie, że Annet bardzo chciała położyć się z Ralphem i że kochankowie kazali mu zniknąć na czas, gdy będą się zabawiali nad strumieniem. Jednak przysięgli mu nie uwierzyli, Ralph widział to po ich twarzach. Ogarnęło go coś w rodzaju znużenia, chciał, żeby rozprawa już się skończyła i żeby przypieczętowano jego los.

Alan zrobił krok do tyłu, a Ralph poczuł, że stanął przy nim ktoś inny.

- Nastaw uszu.

Ralph zerknął przez ramię i zobaczył ojca Jerome'a, sekretarza hrabiego. Przyszło mu do głowy, że sąd nie ma żadnej władzy nad księdzem, nawet jeśli ten popełni przestępstwo.

Sędzia odwrócił się do przysięgłych i zapytał o werdykt.

- Wasze konie stoją na zewnątrz, osiodlane i gotowe do jazdy - rzekł cicho ojciec

Jerome.

Ralph zamarł. Nie miał pewności, czy dobrze usłyszał.

- Co takiego?

- Bierz nogi za pas.

Ralph się obejrzał. Stu ludzi odgradzało go od drzwi, wielu z nich było uzbrojonych.

- To niemożliwe.

- Uciekniesz bocznymi drzwiami - odparł Jerome, lekkim skinieniem głowy wskazując wejście, z którego skorzystał sędzia. Ralph stwierdził, że tylko wieśniacy z Wigleigh stoją mu na drodze.

Przewodniczący ławy przysięgłych, sir Herbert, wstał, pęczniąc z dumy. Ralph zerknął kątem oka na Alana, który stał tuż obok. Alan słyszał rozmowę i patrzył wyczekująco.

- Teraz! - szepnął Jerome.

Ralph położył dłoń na rękojeści miecza.

- Uznajemy lorda Ralpha z Wigleigh za winnego gwałtu - oznajmił przysięgły.

Ralph dobył miecza i wymachując nim rzucił się do drzwi.

Przez chwilę panowała cisza, a potem wszyscy zaczęli krzyżeć. Nikt oprócz Ralpha nie trzymał broni w ręku, jednak Ralph wiedział, że dobyte mieczy zajmie im chwilę.

Tylko Wulfric zastąpił mu drogę, bez lęku, nie zważając na niebezpieczeństwo. Ralph uniósł miecz i ciął z całej siły, mierząc w jego czaszkę tak, by ją rozplatać. Wulfric uskoczył zręcznie w bok, mimo to ostrze przecięło lewą stronę jego twarzy od skroni aż po szczękę. Wulfric krzyknął z bólu, łapiąc się za policzek. Ralph przemknął obok niego.

Pchnął drzwi, wyskoczył i odwrócił się do Alana Fernhilla. Tuż za nim ukazał się przewodniczący ławy przysięgłych z uniesionym mieczem. Ralph był w euforii. Właśnie tak powinno się załatwiać spory: walką, a nie gadaniną. Zwycięża się czy przegrywa, to już nie ma znaczenia.

Z okrzykiem dzikiej radości zadał pchnięcie. Czubek miecza przebił skórzaną tunikę, lecz przeciwnik był zbyt daleko, by ostrze dotarło do żeber. Przecięło tylko skórę i ześliznęło się po kościach. Mimo to Herbert krzyknął, bardziej ze strachu niż bólu, i zatoczył się do tyłu, wpadając na tych, którzy biegli za nim. Ralph zatrzasnął drzwi.

Znalazł się w korytarzu biegnącym przez całą długość budynku. Jedne drzwi prowadziły na rynek, drugie na podwórze stajni. Alan pędził już do tylnego wyjścia, Ralph ruszył za nim. Wypadając na dwór, usłyszeli za sobą hałas. Drzwi sali sądowej zostały otwarte i tłum rzucił się za uciekinierami.

Na podwórzu nie było koni.

Przebiegłszy pod łukiem, Ralph znalazł się przed budynkiem.

Nic nie mogło go ucieszyć tak jak to, co tam zobaczył: jego wierzchowiec Gryf stał, grzebiąc kopytem, a obok niego czekał dwulatek Alana, Fletch. Oba konie trzymał bosy chłopiec stajenny z buzią pełną chleba.

Ralph złapał wodze i wskoczył na grzbiet konia. Alan zrobił to samo. Popędzili je w chwili,

gdy tłum z sali wypadł zza węgła budynku. Przerażony chłopak czmychnął w bok. Konie przyspieszyły.

Ktoś z tłumu rzucił nożem. Ostrze wbiło się na cał w bok Gryfa i spadło na ziemię. Koń pogalopował jeszcze szybciej.

Pędzili ulicami, rozpędzając mężczyzn, kobiety, dzieci i zwierzęta. Przemknęli przez bramę w starym murze i znaleźli się na przedmieściu pełnym ogródków i sadów. Ralph obejrzał się, ale nie było widać pościgu.

Ludzie szeryfa, rzecz jasna, zaczną ścigać uciekinierów, ale najpierw muszą wyprowadzić konie i je osiodłać. Ralph i Alan byli już o milę od rynku, ich wierzchowce nie zdradzały oznak zmęczenia. Ralpa przepelniała radość. Przed pięcioma minutami pogodził się z tym, że zawisnie na szubienicy, a teraz był wolny!

Droga się rozwidlała. Ralph bez namysłu pojechał w lewo. Milę dalej, za polami, zaczynał się las. Tam skręci z traktu i zniknie.

Ale co potem?

39

- Hrabia Roland okazał się sprytny - rzekł Merthin do Elizabeth Clerk. - Do samego końca nie przeszkadzał w wymierzaniu sprawiedliwości. Nie przekupił sędziego, nie wpływał na przysięgłych ani nie zastraszał świadków, nie wszedł także w spór ze swoim synem, lordem Williamem. Mimo to uniknął upokorzenia, jakim byłoby dla niego powieszenie sługi.

- Gdzie jest teraz twój brat? - zapytała Elizabeth.

- Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałem z nim ani nie widziałem go od tamtego dnia.

Siedzieli w kuchni w domu Elizabeth, było niedzielne popołudnie. Ugotowała dla niego obiad, szynkę z duszonymi jabłkami i zimowymi warzywami, do tego podała dzbanek wina kupiony przez matkę albo ukradziony w gospodzie, w której pracowała.

- I co teraz będzie?

- Wciąż wisi nad nim wyrok śmierci. Nie może wrócić do Wigleigh ani do Kingsbridge, bo go aresztują. Stał się banitą.

- Czy nic nie może zrobić?

- Mógłby postarać się o ulaskawienie u króla, ale ono kosztuje fortunę. Ani Ralph, ani ja nie zdobędziemy tyle pieniędzy.

- Co teraz czujesz, myśląc o nim? Merthin się wzdrygnął.

- Zasłużył na karę, to oczywiste. Mimo to nie mogę życzyć mu śmierci. Mam nadzieję, że ma się dobrze, gdziekolwiek przebywa.

Wiele razy w ciągu ostatnich kilku dni opowiadał o procesie Ralpa, lecz Elizabeth zadawała bardziej docieklive pytania niż inni. Była inteligentna i pełna współczucia. Przeszło mu przez myśl, że nie byłoby udręką, gdyby spędzał z nią w ten sposób wszystkie popołudnia.

Sairy, matka Elizabeth, drzemiąca jak zwykle przy kominku, nagle otworzyła oczy.

- Na mą duszę! Zapomniałam o cieście! - Zerwała się, przyglądając potargane siwe włosy. - Obiecałam poprosić Betty Baxter, żeby zrobiła zapiekankę z szynką i jajkami na zebranie cechu garbarzy. Jutro u Bella wydają ostatni obiad przed postem.

Narzuciła koc na ramiona i wyszła.

Merthin i Elizabeth nie zostawali zwykle sam na sam: Merthin poczuł się niezręcznie, lecz Elizabeth nie wyglądała na skrępowaną.

- Co teraz porabiasz, skoro nie pracujesz już przy moście?

- Buduję dom dla Dicka Brewera, robię też inne rzeczy. Dick chce odejść na emeryturę i przekazać interes synowi, ale mówi, że póki mieszka w Copper, nie przestanie pracować, więc zamówił dom z ogrodem za starymi murami miasta.

- Czy to ten plac za Polem Kochanków?

- Tak. To będzie największy dom w Kingsbldge.

- Browarnikowi nigdy nie zabraknie pieniędzy.

- Chciałabyś go zobaczyć?

- Plac budowy?

- Dom. Jeszcze nie skończyłem, ale ściany i dach już są.

- Teraz?

- Do zmierzchu została jeszcze godzina.

Elizabeth zawahała się, jakby chciała robić coś innego, ale po chwili się zgodziła:

- Bardzo chętnie.

Włożyli grube płaszcze z kapturami i wyszli. Był pierwszy dzień marca. Gdy spieszyli główną ulicą, wirowały nad nimi płatki śniegu. Przepłynęli promem na przedmieście.

Mimo załamań na rynku handlu wełną miasto rozrastało się z roku na rok. Opactwo przeznaczało coraz większą część pastwiska i sadów na działki budowlane pod dzierżawę. Merthin ocenił, że w mieście stoi o pięćdziesiąt domów więcej niż wtedy, gdy przybył do Kingsbridge jako dwunastoletni chłopiec.

Nowy dom Dicka Brewera był piętrowy i stał w pewnej odległości od drogi. Nie miał jeszcze okiennic i futryn, więc otwory w ścianach zakryto tymczasowo drewnianymi ramami wypełnionymi trzcina. Drzwi frontowe były w taki właśnie sposób zastawione, lecz Merthin zaprowadził Elizabeth

na tyły. Znajdowały się tam prowizoryczne drzwi z zamkiem.

Szesnastoletni pomocnik Merthina, Jimmie, był w kuchni i pilnował, by do domu nie wkradli się złodzieje. Był zabobonnym chłopcem, bez przerwy się zęgnął i rzucał sól przez ramię. Siedział na ławeczce przed dużym ogniskiem i wyglądał na zaniepokojonego.

- Witam, mistrzu. Skoro przyszedłeś, mogę pójść na kolację? Lol Turner miał mi przynieść, ale się nie zjawił.

- Tylko wróć, zanim się ściemni.

- Dziękuję.

Merthin przekroczył próg i wszedł do drugiego pomieszczenia.

- Na dole są cztery izby - rzekł.

- Po co im aż tyle? - zdziwiła się Elizabeth.

- Kuchnia, salon, jadalnia i sień. - Nie było jeszcze schodów, lecz Merthin wdrapał się po drabinie na piętro, a Elizabeth poszła w jego ślady. - Cztery sypialnie - wyjaśnił, znalazłszy się na górze.

- Kto tu będzie mieszkał?

- Dick z żoną, jego syn Danny ze swoją żoną, i jego córka, która też nie będzie zawsze sama.

Większość rodzin w Kingsbridge mieszkała w jednej izbie, wszyscy spali obok siebie na podłodze: rodzice, dzieci, dziadkowie i teściowie.

- Ten dom ma więcej pokoi niż pałac!

To prawda. Bywało, że arystokrata z orszakiem mieszkał w dwóch pomieszczeniach: miał sypialnię dla siebie i żony i wielką salę dla pozostałych. Merthin zaprojektował kilka domów dla bogatych kupców z Kingsbridge - wszyscy pragnęli luksusu, jakim była prywatność. Taka zapanowała nowa moda.

- Okna pewnie będą szklone - powiedziała Elizabeth.

- Tak.

To też była nowa moda. Merthin pamiętał czasy, gdy w Kingsbridge nie było ani jednego szklarza, a wędrowni pojawiali się raz na rok lub dwa. Teraz w mieście szklarz mieszkał na stałe.

Merthin i Elizabeth wrócili na parter. Dziewczyna usiadła na ławeczce przed kominkiem, którą przedtem zajmował Jimmie, i wyciągnęła ręce w stronę ogniska. Merthin usiadł koło niej.

- Pewnego dnia zbuduję taki dom dla siebie. W wielkim ogrodzie z drzewami owocowymi.

Ku jego zaskoczeniu Elizabeth oparła głowę o jego ramię.

- Cóż za piękne marzenie.

Patrzyli w ogień. Włosy Elizabeth łaskotały Merthina w policzek. Po chwili położyła rękę na jego kolanie. W ciszy słyszał ich oddechy i trzaskanie płonących szczap.

- Kto zamieszka w tym domu? - zapytała Elizabeth.

- Nie wiem.

- Tacy właśnie są mężczyźni. Ja nie widzę domu, ale wiem, kto w nim jest: mąż, dzieci, matka, stary teść albo teściowa i troje służących.

- Mężczyźni i kobiety mają różne marzenia.

Elizabeth spojrzała na niego i dotknęła jego twarzy.

- A kiedy się je połączy, robi się z tego życie - rzekła Elizabeth. Pocałowała go.

Merthin zamknął oczy. Pamiętał sprzed lat delikatny dotyk jej ust. Wargi Elizabeth pozostały przez chwilę na jego wargach.

Merthin czuł się dziwnie nieobecny, jak gdyby obserwował siebie z boku. Nie wiedział, jak się czuje. Spojrzał na Elizabeth i po raz kolejny stwierdził, że jest ładna. Zadał sobie pytanie, co jest w niej takiego urzekającego. Uświadomił sobie, iż to harmonia wszystkich elementów jak w kościele. Jej usta, podbródek, kości policzkowe i czoło były takie, jakie narysowałby, gdyby był Bogiem stwarzającym kobietę.

Spojrzała na niego spokojnymi niebieskimi oczami.

- Dotknij mnie - powiedziała, rozsuwając płaszcz.

Merthin ujął delikatnie jej pierś. To też pamiętał. Piersi Elizabeth były małe, ale jędrne. Sutek stwardniał momentalnie pod jego ręką, co świadczyło o tym, że jest spokojna.

- Chcę być w domu twoich marzeń - szepnęła, całując go po raz drugi. Elizabeth nie robiła tego pod wpływem chwilowego impulsu, nigdy tak nie postępowała. Przemyślała wszystko wcześniej. Merthin odwiedzał ją i przyjemnie spędzał czas w jej towarzystwie, a ona wyobrażała sobie ich wspólne życie. Może nawet zaplanowała tę scenę. Prawdopodobnie właśnie dlatego matka zostawiła ich samych pod pretekstem dopilnowania ciasta. Merthin omal nie pokrzyżował jej planów, proponując, że pokaże Elizabeth dom Dicka Brewera, ale ona wykorzystała swoją umiejętność improwizacji.

Nie było nic złego w takim zachowaniu pozbawionym emocji. Elizabeth była dziewczyną rozumną. Lubił to w niej. Wiedział, że mimo tego pod spokojną powierzchnią płoną uczucia.

Niepokojący był brak emocji u niego. Nie zwykł traktować kobiet z chłodną racjonalnością, wprost przeciwnie. Miłość brała go we władanie, targały nim wściekłość i niechęć, a jednocześnie pożądanie i czułość. Teraz odczuwał zainteresowanie, czuł się doceniony i mile połączony, ale nie stracił nad sobą panowania.

Elizabeth wyczuła, że całuje ją beznamiętnie, i odsunęła się. Dostrzegł na jej twarzy emocje, które starała się stłumić, ale wiedział, że pod maską spokoju kryje się lęk. Była z natury bardzo opanowana i ujawnienie uczuć musiało ją dużo kosztować, bała się odrzucenia.

Odsunęła się od niego, wstała i uniosła sukienkę. Zobaczył długie zgrabne nogi pokryte prawie niewidocznymi jasnymi włosami. Mimo że była wysoka i szczupła, miała szerokie, cudownie kobiece biodra. Wzrok Merthina skupił się bezradnie na trójkącie jej płci. Miała włosy tak jasne, że widział przez nie blade obrzmienie warg i delikatną linię między nimi.

Spojrzał na jej twarz i dostrzegł desperację. Spróbowała wszystkiego i okazało się, że nadaremnie.

- Przykro mi - rzekł Merthin.

Elizabeth opuściła sukienkę.

- Posłuchaj, wydaje mi się...

- Nic nie mów - przerwała mu. Jej pożądanie zamieniło się w gniew. - Cokolwiek teraz powiesz, będzie kłamstwem.

Miała rację. Merthin próbował wymyślić jakąś kojącą półprawdę: że nie czuje się dobrze albo że Jimmie za chwilę wróci. Lecz Elizabeth nie chciała pocieszenia. Została odrzucona, a nędzne wymówki dodatkowo by ją poniżyły.

Patrzyła na Merthina, a żal toczył walkę ze złością na polu bitwy, w jakie zamieniła się jej piękna twarz. W jej oczach zalśniły łzy.

- Dlaczego nie?! - wykrzyknęła. Lecz kiedy Merthin otworzył usta, by odpowiedzieć, nie pozwoliła mu. - Nie odpowiadaj! To też nie będzie prawda.

I znów się nie pomyliła.

Odwróciła się, jakby chciała odejść, lecz nadal stała w miejscu.

- To przez Caris - rzekła. Na jej twarzy malowały się różne uczucia. - Ta wiedźma rzuciła na ciebie urok. Nie chce za ciebie wyjść, ale nikomu innemu cię nie odda. Ona jest zła!

Elizabeth otworzyła drzwi i wyszła. Merthin usłyszał jej płacz, a potem zapadła cisza.

- A niech to diabli - zaklął, spoglądając w ogień.

- Muszę ci coś wyjaśnić - rzekł Merthin do Edmunda tydzień później, gdy wychodzili z katedry.

Na twarzy Edmunda pojawił się wyraz łagodnego rozbawienia, tak dobrze znany Merthinowi. Jestem od ciebie o trzydzieści lat starszy, powinieneś mnie słuchać, a nie udzielać lekcji. Ale podoba mi się twój zapał. Poza tym nie jestem jeszcze taki stary, żebym nie mógł się czegoś nauczyć.

- Dobrze. Ale zrobisz to u Bella. Chcę się napić wina.

Weszli do karczmy i usiedli blisko kominka. Matka Elizabeth podała wino, ale chodziła z wysoko zadartym nosem i nie zamieniła z nimi słowa.

- Sairy jest zła na ciebie czy na mnie? - zapytał Edmund.

- Mniejsza z tym. Czy stałeś kiedyś boso na piasku na skraju morza i czułeś, jak woda obmywa ci stopy?

- Naturalnie. Wszystkie dzieci bawią się w wodzie. Nawet ja byłem kiedyś małym chłopcem.

- Pamiętasz, jak fale przyływały i odpływały, jak wymywały ci piasek spod stóp, tworząc maleńki kanałik?

- Tak. To było dawno temu, ale wiem, o czym mówisz.

- To właśnie stało się ze starym mostem. Płynąca woda wybrała ziemię spod środkowego filara.

- Skąd wiesz?

- Stwierdziłem to po układzie pęknięć na palach tuż przed zawaleniem się mostu.

- Do czego zmierzasz?

- Rzeka się nie zmieniła. Podmyje nowy most tak samo jak podmyła stary. Chyba że temu zapobiegniemy.

- W jaki sposób?

- Na rysunku naszkicowałem duże stopy kamieni otaczające filary mostu. Kamienie będą rozbijać nurt i osłabiać uderzenie wody. Różnica będzie taka jak między łaskotaniem nitką a chłostą sznurem.

- Skąd to wiesz?

- Zapytałem Buonaventurę tuż po zawaleniu się mostu, zanim wyjechał do Londynu. Powiedział, że często widywał takie zabezpieczenia mostów w Italii, i często się zastanawiał, czemu służą.

- Nadzwyczajne! Mówisz mi to po to, żeby mnie oświecić, czy masz jakiś inny cel?

- Ludzie tacy jak Godwyn i Elfric takich rzeczy nie rozumieją i nie zechcą słuchać, jeśli im powiem. Elfric może w swojej głupocie zignorować szczegóły mojego projektu, chcę więc, żeby przynajmniej jedna osoba w mieście wiedziała, do czego służą kamienie wokół filarów mostu.

- Jedna osoba już wie, ty nią jesteś.

- Ja wyjeżdżam z Kingsbridge.

- Wyjeżdżasz? - Edmund nie krył zaskoczenia. - Ty? W tej samej chwili do karczmy weszła Caris.

- Nie siedź za długo - powiedziała do ojca. - Ciocia Petranilla szykuje obiad. Zjesz z nami,

Merthinie?

- Merthin wyjeżdża z Kingsbridge - oznajmił Edmund. Caris pobladła.

Jej reakcja sprawiła Merthinowi satysfakcję. Odrzuciła go, lecz posmutniała na wieść, że wyjeżdża z miasta. Zawstydział się z powodu tego, co poczuł. Za bardzo ją lubił, nie chciał sprawić jej bólu. Mimo to poczułby się gorzej, gdyby przyjęła nowinę obojętnie.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Nie mam tu nic do roboty. Co mogę zbudować? Nie mogę pracować przy moście, katedra już stoi. Nie chcę przez resztę życia budować domów kupcom.

- Dokąd się udasz? - spytała cicho Caris.

- Do Florencji. Zawsze chciałem zobaczyć budowle w Italii. Poproszę Buonaventurę o list polecający. Może uda mi się z nim zabrać.

- Przecież masz ziemię tu, w Kingsbridge.

- Chciałem o tym z tobą pomówić. Zajęłabyś się nią w moim imieniu? Mogłabyś zbierać czynsze, pobierać prowizję i przekazywać nadwyżkę Buona-venturze. On może listownie przekazywać pieniądze do Florencji.

- Nie chcę prowizji, do licha ciężkiego - odparła ponuro Caris. Merthin wzruszył ramionami.

- To praca, powinnaś otrzymywać zapłatę.

- Jak możesz podchodzić do tego tak chłodno? - zapytała donośnym głosem. Kilka osób w karczmie uniosło głowy. Caris nie zwracała na nich uwagi. - Zostawisz wszystkich przyjaciół?!

- Nie podchodzę do tego na chłodno. Przyjaciele są wspaniali, ale ja chcę się ożenić.

- Wiele dziewcząt z Kingsbridge chciałoby za ciebie wyjść - wtrącił Edmund. - Nie jesteś przystojny, ale dobrze ci się powodzi, a to ważniejsze od urody.

Merthin uśmiechnął się krzywo. Edmund potrafił być rozbijającym szczery. Caris to po nim odziedziczyła.

- Przez chwilę zdawało mi się, że mogę się ożenić z Elizabeth Clerk.

- Ja też tak myślałem - odparł Edmund.

- Ona jest zimna jak ryba - stwierdziła Caris.

- Nie jest. Ale kiedy mi to zaproponowała, wycofałem się.

- Ach, więc to dlatego chodzi ostatnio taka skwaszona.

- A jej matka nie chce nawet spojrzeć na Merthina - dodał Edmund.

- Dlaczego jej odmówiłeś? - chciała wiedzieć Caris.

- W Kingsbridge jest tylko jedna kobieta, którą mógłbym poślubić, a ona nie chce być niczyją żoną.

- Ale ona nie chce cię stracić. Merthin wpadł w gniew.

- Co mi pozostaje?! - wykrzyknął. Ludzie przerwali rozmowy, żeby słuchać. - Godwyn mnie zwolnił, ty mnie odrzuciłaś, a brat został banitą. Na litość boską, po co miałbym tu zostawać?

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - odparła Caris.

- To za mało!

W karczmie zapadła cisza. Wszyscy znali Merthina i Caris: właściciel, Paul Bell, jego zgrabna córka Bessie, siwowłosa Sairy, matka Elizabeth, Bill Watkin, który nie chciał kiedyś przyjąć Merthina do pracy, Edward Butcher, notoryczny cudzołóżnik, Jake Chepstow, dzierżawca Merthina, wędrowny mnich Murdo, Matthew Barber i Mark Webber. Wszyscy znali dzieje miłości Merthina i Caris, i wszyscy z zainteresowaniem przysłuchiwali się ich kłótni.

Merthina nic to nie obchodziło. Niech słuchają.

- Nie zamierzam przeżyć życia, kręcąc się koło ciebie jak Scrap, czekając, aż raczysz zwrócić na mnie uwagę. Mogę być twoim mężem, ale nie twoim pieskiem.

- A więc dobrze - odparła cicho Caris.

Nagła zmiana tonu jej głosu zaskoczyła Merthina, nie wiedział, co dziewczyna chce powiedzieć.

- Co „dobrze”?

- Dobrze, wyjdę za ciebie.

Przez chwilę Merthin nie mógł wydobyć słowa.

- Naprawdę? - spytał podejrzliwie.

Caris spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Wystarczy, że poprosisz. Merthin wziął głęboki oddech.

- Wyjdiesz za mnie, Caris?

- Tak, wyjdę za ciebie.

- Hura! - wykrzyknął Edmund. Wszyscy goście zaczęli bić brawo i wiwatować. Merthin i Caris się roześmiali.

- Naprawdę za mnie wyjdiesz?

- Tak.

Pocałowali się. Merthin objął ją i uściskał z całej siły. Kiedy ją puścił, Caris płakała.

- Wina dla mojej narzeczonej! - zawołał. - Całą beczkę. Niech każdy wypije za nasze zdrowie!

- Już się robi - rzekł karczmarz. Odpowiedziały mu radosne okrzyki.

i i Tydzień później Elizabeth Clerk wstąpiła do zakonu.

Ralph i Alan żywili się dziczyzną i popijali ją zimną wodą. Ralph marzył o jedzeniu, na które kiedyś patrzył z pogardą: o cebuli, jabłkach, jajach, mleku. Każdą noc spędzali w innym miejscu, zawsze rozpalali ognisko. Mieli grube płaszcze, lecz nie wystarczały one pod gołym niebem i o świcie budzili się, drżąc z zimna. Okradali każdego, kto nie mógł się obronić, lecz ich łupem padały przeważnie bezwartościowe rzeczy: łachmany, p<fs”za dla zwierząt, pieniądze, za które w lesie nic nie można było kupić.

Kiedyś ukradli dużą beczkę wina. Wtoczyli ją sto jardów w głąb lasu, wypili tyle, ile zdołali, po czym zasnęli. Obudziwszy się z bólem głowy i w złym nastroju, uświadomili sobie, że nie zdołają zabrać ze sobą w trzech czwartych pełnej beczki, więc ją zostawili.

Ralph wspominał z nostalgią dawne życie: dwór, trzaskający ogień, służbę, posiłki. Kiedy jednak myślał bardziej realistycznie, wiedział, że takiego życia także nie pragnie. Było zbyt nudne. Przypuszczalnie właśnie dlatego zgwałcił dziewczynę. Potrzebował dreszczyku emocji.

Po upływie miesiąca stwierdził, że muszą się lepiej urządzić. Potrzebowali bazy, gdzie mogliby przechowywać żywność. Musieli też zacząć planować rabunki, tak by kraść to, co jest im potrzebne, na przykład ciepłe ubrania i świeżą żywność.

Wreszcie zawędrowali do pasma wzgórz biegnącego kilka mil od Kingsbridge. Ralph przypomniał sobie, że na wzgórzach, nagich i pośpnych w zimie, latem pasterze wypasają zwierzęta. Zbudowali tam proste kamienne kryjówki w zagłębieniach terenu. Gdy miał kilkanaście lat, Ralph odkrył je z bratem, gdy polowali; palili tam ogniska i piekli króliki oraz kuropatwy ustrzelone z łuków. Ralph pamiętał, że nawet wtedy lubił emocje polowania: ściganie przerażonej zwierzyny, dobijanie jej nożem lub pałką, ekstatyczny dreszcz towarzyszący odbieraniu życia.

Nikt tam nie zaglądał, kiedy nie było gęstej trawy. Początkiem sezonu tradycyjnie były Zielone Świątki i otwarcie targów wełny, do którego zostały jeszcze dwa miesiące. Ralph znalazł solidnie wyglądającą kryjówkę i postanowił, że to będzie jego siedziba. Nie było w niej drzwi ani okien, tylko niskie wejście i otwór w dachu, przez który uchodził dym. Rozpalili ognisko i po raz pierwszy od miesiąca spędzili noc w cieple.

Bliskość Kingsbridge nasunęła Ralphowi pewną myśl. Uświadomił sobie, że najlepiej jest rabować, gdy ludzie zdążają na targ. Mają wtedy sery, butle z cydrem, miód i ciasta jęczmienne, czyli wszystko to, co wytwarzają wieśniacy, a czego łakną mieszczenie. A także banici.

Targ w Kingsbridge odbywał się w niedzielę. Ralph stracił rachubę czasu, ale zapytał wędrownego mnicha, zanim zrabował mu trzy szylingi i gęś, jaki jest dzień tygodnia. W następną sobotę rozbili z Alanem obóz nieopodal drogi do Kingsbridge i spędzili całą noc przy ognisku. O

świecie dotarli do traktu i urządzili zasadzkę.

Pierwsi podróżni wieźli paszę. W Kingsbridge były setki koni i bardzo mało trawy, więc miasto nieustannie potrzebowało dostaw siana. Jednak siano nie było Ralphowi do niczego potrzebne - Gryf i Fletch miały pod dostatkiem świeżej trawy w lesie.

Urządzanie zasadzek nie nudziło Ralph, było jak podglądanie rozbierającej się kobiety. Im dłuższe oczekiwanie, tym silniejszy dreszcz.

Wkrótce potem usłyszeli śpiew. Włosy zjeżyły się Ralphowi na karku; zdawało się, że to śpiewają anioły. W mglistym poranku śpiewające postacie miały aureole. Alan, który odniósł takie samo wrażenie, zaszlochał ze strachu. Jednak to tylko słabe zimowe słońce oświetlało podróżnych. Były to wieśniaczki, z których każda niosła kosz pełen jajek, nie warto było ich okradać. Ralph pozwolił im przejść, nie zdradzając swojej kryjówki.

Słońce powędrowało nieco wyżej. Ralph obawiał się, że niebawem trakt zaroi się od wędrowców udających się na rynek i trudno będzie kogokolwiek obrabować. Wtedy na szlaku pojawiła się rodzina - mężczyzna i kobieta w wieku około trzydziestu lat, z dwojgiem nastoletnich dzieci, chłopcem i dziewczynką. Ralph przypominał ich sobie jak przez mgłę - bez wątpienia widywał ich na rynku, gdy mieszkał w Kingsbridge. Nieśli sporo rozmaitych towarów. Mężczyzna dźwigał na plecach ciężki kosz pełen warzyw, a kobieta miała na ramionach długi drąg, na którym kołysało się kilka spętanych żywych kurczaków. Chłopiec niósł ciężką szynkę, a dziewczynka dzban, w którym prawdopodobnie było solone masło. Ralphowi na myśl o szynce pociekła ślina.

Podekscytowany dał znak Alanowi.

Gdy wieśniacy znaleźli się tuż-tuż, Ralph i Alan wyskoczyli z zarośli.

Kobieta wrzasnęła ze strachu, chłopiec także.

Mężczyzna chciał uwolnić się od kosza, lecz zanim zdołał to zrobić, Ralph przebił go mieczem. Krzyk bólu urwał się raptownie, gdy ostrze przebiło serce.

Alan zamachnął się mieczem, przeciął kobiecie szyję i krew trysnęła czerwoną fontanną.

Podniecony Ralph skoczył w stronę chłopca. Ten zaś zdążył już zrzucić szynkę z ramienia i dobyć noża. Zadał błyskawiczny cios, gdy miecz Ralph'a jeszcze był w górze, jednak zbyt niekontrolowany, by wyrządzić prawdziwą szkodę. Ostrze noża nie dosięgło piersi Ralph'a, lecz czubek zawadził o górną część jego ręki i ból zmusił go do wypuszczenia broni. Chłopiec odwrócił się i rzucił do ucieczki, kierując się w stronę Kingsbridge.

Ralph spojrział na Alana, ten zaś dobił najpierw matkę, dopiero potem zajął się dziewczynką. Opóźnienie omal nie kosztowało go życia. Dziewczynka cisnęła dzbanem w Alana. Być może przypadkowo ugodziła go w tył głowy. Giermek runął na ziemię jak ścięty toporem.

Dziewczynka rzuciła się do ucieczki w ślad za bratem.

Ralph schylił się, podniósł miecz i popędził za nimi.

Byli młodzi i szybko biegali, ale on miał długie nogi i wkrótce zaczął ich doganiać. Chłopiec obejrzał się i zobaczył, że Ralph się zbliża. Ku zdumieniu Ralpha zatrzymał się, odwrócił i rzucił na niego z okrzykiem. Biegł z wysoko uniesionym nożem.

Ralph natychmiast przerwał pogoń i podniósł broń. Chłopiec stanął poza zasięgiem miecza. Ralph zrobił krok i wykonał udawane pchnięcie. Chłopak uchylił się i myśląc, że Ralph stracił równowagę, spróbował ominąć jego gardę i pchnąć go z bliska, jednak Ralph właśnie na to czekał. Cofnął się zręcznie, stanął na piętach i wbił miecz w sam środek gardła chłopca.

Dziecko runęło na ziemię, a Ralph wyciągnął miecz, zadowolony ze swojej zręczności i skuteczności ciosu.

Spojrzał na trakt i zobaczył uciekającą dziewczynkę. Wiedział, że nie zdoła jej dogonić pieszo, a zanim zdąży przyprowadzić konia, dziewczynka dobiegnie do Kingsbridge.

Odwrócił się i zdziwił, widząc, że Alan stoi na nogach.

- Byłem pewny, że już po tobie - rzekł.

Wytarł miecz o tunikę zabitego chłopca, wsunął ostrze do pochwy i zacisnął dłoń na prawym ramieniu, by zatamować krwawienie.

- Głowa boli mnie jak wszyscy diabli - jęknął Alan. - Zabiłeś wszystkich?

- Dziewucha uciekła.

- Myślisz, że nas znali?

- Ta mała mogła mnie znać. Widziałem już tę rodzinę.

- W takim razie uznają nas za morderców. Ralph wzruszył ramionami.

- Lepiej wisieć niż umrzeć z głodu. - Spojrzał na ciała. - Tak czy siak zabierzmy ich z traktu, zanim ktoś nadejdzie.

Lewą ręką zawłókł zwłoki mężczyzny na skraj drogi, a Alan rzucił je w zarośla. To samo zrobili z kobietą i chłopcem. Ralph postarał się, żeby przechodnie nie zauważyli trupów. Krew już ciemniała, przybierając barwę błota, w które wsiąkała.

Ralph odciął kawałek sukienki kobiety i owiązał sobie zranioną rękę. Rana wciąż bolała, lecz krwi było mniej. Ogarnął go smutek, który zawsze pojawia się po walce, tak samo jak po miłości.

Alan zaczął zbierać łupy.

- Dobre żniwo. Szynka, kurczaki, masło... - Zajrzał do kosza, który niósł mężczyzna. - I cebula! Zeszlóroczna, ale wciąż dobra.

- Stara cebula smakuje lepiej niż żadna. Tak mówi moja matka. Schyliwszy się, by podnieść

dzban, którym Alan dostał w głowę, Ralph nagle poczuł na pośladku ostrze miecza. Alan zmagał się z kurczakami.

- Kto...? - zaczął Ralph.

- Nie ruszaj się - rozkazał szorstki głos.

Ralph nigdy nie spełniał takich poleceń. Skoczył do przodu i obejrzał się. Znikąd pojawiło się sześciu lub siedmiu mężczyzn. Mimo zaskoczenia zdołał lewą ręką dobyć miecza. Najbliżej stojący, ten, który go dźgnął, uniósł broń, lecz pozostali rozgrabiali łup, chwytając kurczaki i bijąc się o szynkę. Alan wywijał mieczem w obronie łupu, a Ralph wdał się w potyczkę ze swoim przeciwnikiem. Uświadomił sobie, że próbuje go obrabować konkurencyjna grupa banitów. Był oburzony: zabił ludzi, żeby zdobyć łup, a teraz chcą mu go odebrać! Nie czuł strachu, tylko gniew. Zaatakował zajadle, mimo iż musiał walczyć lewą ręką.

- Odłóżcie broń, durnie - rozkazał władczy głos.

Napastnicy znieruchomieli. Ralph trzymał miecz w pogotowiu, podejrzewając podstęp. Odwrócił głowę i zobaczył przystojnego dwudziestokilkuletniego mężczyznę, w którego wyglądzie było coś szlachetnego. Miał na sobie drogie, lecz bardzo brudne ubranie: pelerynę z włoskiego szkarłatu pokrytą liśćmi i gałązkami, brokatowy surdut upstrzony plamami krwi oraz buty z drogiej brązowej skóry, zabłocone i dziurawe.

- To zabawne, okradać złodziei - rzekł nieznajomy. - Bo widzisz, to nie jest przestępstwo.

Ralph wiedział, że jest osaczony, mimo to nie umiał powstrzymać ciekawości.

- Czy to ciebie zwał Tam Hiding?

- O Tamie Hidingu krążyły opowieści, kiedy byłem dzieckiem - odparł mężczyzna. - Ale od czasu do czasu pojawia się ktoś, kto odgrywa jego rolę, niczym mnich wcielający się w postać Lucyfera w jasełkach.

- Nie jesteś pospolitym banitą.

- Tak jak ty. Domyślam się, że jesteś Ralph Fitzgerald. Ralph skinął głową.

- Dowiedziałem się o twojej ucieczce i wiedziałem, że prędzej czy później się spotkamy. - Tam zlustrował drogę. - Trafiliśmy na was przypadkiem. Czemu wybrałeś to miejsce?

- Najpierw wybrałem dzień i porę. Jest niedziela, o tej godzinie wieśniacy zdążają tą drogą z towarami na rynek w Kingsbridge.

- Patrzcie, patrzcie... Żyję poza prawem od dziesięciu lat i nigdy na to nie wpadłem. Może powinniśmy połączyć siły. Schowasz broń?

Ralph zawahał się, ale widział, że Tam nie jest uzbrojony. Poza tym przewaga liczebna była po stronie przeciwnika, należało unikać walki. Powoli wsunął miecz do pochwy.

- Tak jest lepiej - pochwalił Tam, kładąc rękę na ramieniu Ralpa. Byli tego samego wzrostu. Niewielu ludzi mu dorównywało. Tam ruszył w stronę lasu.

- Moi ludzie przyniosą łup. Chodźmy tędy. Mamy wiele spraw do omówienia.

j: i Edmund uderzył w stół.

- Zwołałem to nadzwyczajne spotkanie gildii, żebyśmy mogli zająć się sprawą banitów. Ale ponieważ się starzeję i robię się leniwy, poprosiłem córkę, żeby przedstawiła sytuację.

Caris została przyjęta do gildii ze względu na sukces, jaki odniosła dzięki produkcji szkarłatnej tkaniny. Nowe przedsięwzięcie ocaliło fortunę jej ojca. Wielu innym rodzinom z Kingsbridge także powodziło się lepiej za jej sprawą, zwłaszcza rodzinie Webberów. Edmund spełnił obietnicę i dołożył się do budowy mostu, a kilku kupców poszło w jego ślady. Budowa trwała, choć teraz nadzorował ją Elfric.

Teraz ojciec Caris rzadko przejmował inicjatywę. Chwile, gdy imponował bystrością, stawały się coraz radsze. Martwiła się o niego, ale nic nie mogła zrobić. Powrócił gniew, który poznała w czasie choroby matki. Dlaczego nie można mu pomóc? Nikt nie rozumiał, co się z nim dzieje, nikt nie umiał nawet nazwać jego choroby. Mówiono, że to starość, a przecież Edmund nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat!

Modliła się, by dożył jej ślubu, który miał się odbyć w katedrze w Kingsbridge w niedzielę po targach wełny, za niespełna miesiąc. Ślub córki starszego miasta to wielkie wydarzenie. Będzie uczta w siedzibie gildii dla znaczniejszych mieszkańców i piknik na Polu Kochanków dla setek gości. Czasem ojciec spędzał długie godziny, układając jadłospis i obmyślając rozrywki, by następnego dnia wszystko zapamiętać i zaczynać od początku.

Caris odsunęła to wszystko na bok i skierowała uwagę na łatwiejszy do rozwiązania problem.

- W ciągu ostatniego miesiąca nasiliły się napady banitów. Dochodzi do nich przeważnie w niedziele, a ofiarami są ludzie niosący towary na rynek.

- To sprawka brata twojego narzeczonego! - wpadł jej w słowo Elfric. - Porozmawiaj z Merthinem, a nie z nami.

Caris powściągnęła gniew. Mąż siostry nigdy nie przepuszczał okazji, żeby wbić jej szpilę. Bolało ją, że to Ralph jest prawdopodobnym sprawcą napadów, Merthina jeszcze bardziej. Elfric napawał się ich cierpieniem.

- Ja uważam, że to robota Tama Hidinga - odezwał się Dick Brewer.

- Może jednego i drugiego? - podsunęła Caris. - Wydaje mi się, że Ralph Fitzgerald, który ma nieco wojskowego doświadczenia, mógł połączyć siły z działającą grupą banitów. Za jego sprawą rabują skuteczniej.

- Kimkolwiek są ci ludzie, doprowadzają miasto do ruiny - stwierdziła tęga Betty Baxter, właścicielka największej piekarni. - Nikt już nie przychodzi na rynek!

Była to przesada, lecz obroty na cotygodniowym targu ogromnie spadły, co odczuwali wszyscy przedsiębiorcy, od piekarzy po właścicieli domów publicznych.

- Nie to jednak jest najgorsze - ciągnęła Caris. - Za cztery tygodnie zaczynają się targi wełny. Wielu spośród obecnych zainwestowało ogromne sumy w nowy most, który powinien być gotowy z tymczasową nawierzchnią na otwarcie targów. Dochody większości z nas zależą od powodzenia targów. Mój skład zapelniony jest drogim szkarłatem, gotowym do sprzedaży. Jeśli się rozniesie, że banici mogą obrabować tych, którzy przybywają na targ, możemy stracić klientów.

Caris była jeszcze bardziej zatroskana, niż po sobie pokazywała. Ani ona, ani jej ojciec nie mieli gotówki. Wszystko zainwestowali w most, wełnę i szkarłatną tkaninę. Targi były dla nich szansą na odzyskanie pieniędzy. Jeśli obroty będą małe, oboje wpadną w poważne tarapaty. Kto wówczas zapłaci za wesele?

Inni mieszczenie także się martwili.

To byłby trzeci zły rok z rzędu - odezwał się Rick Silvers, starszy cechu złotników. Był to bardzo sztywny, pedantyczny mężczyzna, zawsze nienagannie ubrany. - Niektórzy z moich towarzyszy tego nie przetrzymają. Większość pieniędzy zarabiamy w czasie targów.

- Miasto nie przetrzyma, nie tylko wasz cech - zauważył Edmund. - Nie możemy do tego dopuścić.

Odezwali się inni uczestnicy zebrania. Caris, która była jego nieoficjalną przewodniczącą, pozwoliła kupcom wyrazić swe obawy. Poczucie zagrożenia skłoni ich do podjęcia radykalnych kroków, które chciała zaproponować.

- Szeryf Shiring powinien coś z tym zrobić - powiedział Elfric. - Za co bierze pieniądze, jak nie za to, żeby utrzymywać porządek?

- Nie może przeskakać całego lasu - zauważyła Caris. - Ma za mało ludzi.

- Hrabia Roland ma więcej.

Były to tylko pobożne życzenia, lecz Caris pozwoliła każdemu zabrać głos. Chciała, żeby ludzie sami doszli do wniosku, iż nie ma sensownej alternatywy dla jej propozycji.

- Hrabia nam nie pomoże, już go o to prosiłem - rzekł Edmund do Elfrica. Caris, która pomogła napisać ojcu list do hrabiego Rolanda, dodała:

- Ralph był sługą hrabiego i nadal nim jest. Zauważcie, że banici nie napadają na ludzi zmierzających na targ w Shiring.

- Ci wieśniacy z Wigleigh nie powinni prawować się z giermkom hrabiego. Za kogo oni się

mają? - prychnął Elfric.

Caris już miała mu udzielić ciętej odpowiedzi, lecz uprzedziła ją Berty Baxter:

- A więc uważasz, że lordom wolno gwałcić, kogo chcą?

- To zupełnie inna kwestia - stwierdził Edmund, okazując trochę swojej dawnej pewności siebie. - Stało się, a teraz Ralph nas nęka. Co robić? Szeryf nie zdoła nam pomóc, a hrabia nie chce.

- A lord William? - podsunął Rick Silvers. - On stanął po stronie wieśniaków z Wigleigh. To jego wina, że Ralph został banitą.

- Do niego też się zwracałem - odparł Edmund. - Powiedział, że nie jesteśmy na jego ziemiach.

- Tak to jest, kiedy panem jest przeor. Czy on zapewni komuś ochronę? - rzekł Rick.

- To jeden z powodów, dla których zwracamy się do króla z prośbą o nadanie Kingsbridge praw miejskich - powiedziała Caris. - Wówczas bylibyśmy pod ochroną króla.

- Mamy swojego porządkowego, czym się zajmuje? - spytał Elfric.

- Jesteśmy gotowi, zrobimy, co trzeba - odparł Mark Webber, który był jednym z zastępców porządkowego. - Czekamy na polecenia.

- Nikt nie wątpi w twoją odwagę - zapewniła Caris - ale waszym zadaniem jest utrzymywanie porządku w mieście. John nie ma doświadczenia w ściganiu banitów.

Mark, który blisko współpracował z Caris, gdyż kierował pracą piłśniarki w Wigleigh, oburzył się.

- A kto je ma?

Caris prowadziła dyskusję właśnie w tym kierunku.

- Tak się składa, że jest pewien doświadczony żołnierz, który chętnie nam pomoże. Pozwoliłam sobie zaprosić go do nas, czeka w kaplicy. Thomasie, czy mógłbyś wejść? - powiedziała głośno.

Wszyscy spojrzeli na Thomasa Langleya.

- Mnich? - spytał z niedowierzaniem Rick Silvers.

- Thomas był żołnierzem, zanim został mnichem - wyjaśniła Caris. - Właśnie dlatego stracił rękę.

- Powinno się zapytać członków gildii, czy chcą, by zaproszono tego człowieka - burknął Elfric.

Caris stwierdziła z zadowoleniem, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy byli zbyt ciekawi, co Thomas ma do powiedzenia.

- Trzeba utworzyć straż obywatelską - zaczął mnich. - Z relacji można wnosić, że banda liczy

od dwudziestu do trzydziestu banitów. To niewielu. Większość mężczyzn w mieście umie posługiwać się łukiem dzięki coniedzielnym ćwiczeniom. Setka takich ludzi, dobrze przygotowanych i poprowadzonych, łatwo poradzi sobie z banitami.

- Świetnie, ale trzeba ich jeszcze znaleźć - zauważył Rick Silvers.

- Naturalnie - odparł Thomas. - Jestem pewien, że jest w Kingsbridge ktoś, kto wie, gdzie się ukrywają.

Merthin poprosił kupca handlującego drewnem, Jake'a Chepstowa, żeby sprowadził mu z Walii największy kawałek łupku, jaki uda mu się znaleźć. Jake wrócił z następnej wyprawy po drewno z cienką płytką walijskiego łupku wielkości około czterech stóp kwadratowych. Merthin oprawił ją w drewnianą ramę i wykorzystywał do kreślenia projektów.

Tego wieczoru, gdy Caris prowadziła spotkanie w siedzibie gildii, Merthin był w swoim domu na Wyspie Trędotowych i siedział nad planem wyspy. Dzierżawienie jej części na nabrzeża i składy mu nie wystarczało. Wyobraził sobie całą ulicę z karczmami i sklepami, biegnącą od jednego mostu do drugiego. Chciał je sam zbudować i wynajmować kupcom z Kingsbridge. Wspaniale było wyobrazać sobie przyszłość miasta, oczami wyobraźni widzieć ulice i budowle, które przy nich wyrosną. Właśnie tym powinno się zajmować opactwo, gdyby miało lepszego zwierzchnika.

Na planie znalazło się miejsce dla nowego domu Merthina i Caris. Miał to być mały, przytulny domek na początek - później będą potrzebowali więcej miejsca, zwłaszcza jeśli urodzą się dzieci. Wyznaczył miejsce na południowym brzegu, do którego będzie dolatywać świeże powietrze znad rzeki. Większość powierzchni wyspy pokrywały kamienie, ale był tam mały kawałek ziemi uprawnej, nadający się na sad. Obmyślając projekt domku, widział siebie i Caris, wyobrażał sobie, że żyją w nim razem dzień po dniu, na zawsze.

Jego marzenia przerwało pukanie do drzwi. Poderwał się. O tej porze nikt nie przypląwał na wyspę oprócz Caris, a ona nie pukała.

- Kto tam? - spytał nerwowo.

W drzwiach stanął Thomas Langley.

- Mnisi mają podobno spać o tej godzinie - mruknął Merthin.

- Godwyn nie wie, że tu jestem. - Thomas spojrzął na tablicę. - Rysujesz lewą ręką?

- Lewą albo prawą bez różnicy. Napijesz się wina?

- Nie, dziękuję. Za parę godzin muszę wstać na poranne nabożeństwo, nie chcę być nieprzytomny.

Merthin lubił Thomasa. Istniała między nimi więź od tego dnia przed dwunastu laty, gdy Merthin przyrzekł Thomasowi, że jeśli ten zginie, zaprowadzi księdza do miejsca, w którym zakopany

jest list. Później, gdy pracowali razem przy remoncie katedry, Thomas zawsze wydawał jasne polecenia i był dobry dla czeladników. Potrafił szczerze mówić o swoim religijnym powołaniu, unikając przy tym zadufania. Wszyscy słudzy boży powinni być tacy, pomyślał Merthin.

Wskazał gościowi krzesło przed kominkiem.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chodzi o twojego brata. Trzeba go powstrzymać. Merthin wzdrygnął się, jakby poczuł ukłucie bólu.

- Gdybym mógł coś zrobić, zrobiłbym. Ale nie spotkałem go, a nawet gdybym spotkał, wątpię, czy by mnie posłuchał. Kiedyś szukał u mnie rady, ale te czasy chyba minęły.

- Przychodzę prosto ze spotkania w siedzibie gildii. Poproszono mnie, żebym zorganizował straż obywatelską.

- Nie namawiaj mnie, żebym do niej wstąpił.

- Przyszedłem w innym celu. - Thomas uśmiechnął się krzywo. - Masz liczne talenty, ale umiejętności wojskowe do nich nie należą.

Merthin zrobił cierpką minę i skinął głową.

- Dzięki.

- Mógłbyś jednak coś dla mnie zrobić, gdybyś zechciał. Merthin poczuł się nieswojo.

- Dobrze, mów.

- Banici muszą mieć kryjówkę nieopodal Kingsbridge. Zastanów się, gdzie może przebywać twój brat. Prawdopodobnie jest to miejsce znane wam obu, może jaskinia albo opuszczona chata strażnika leśnego.

Merthin wyraźnie się wahał.

- Wiem, że nie chciałbyś zdradzić brata - ciągnął Thomas - ale pomyśl o pierwszej rodzinie, na którą napadł: porządny, pracowity kміeć, jego urodziwa żona, czternastoletni chłopiec i mała dziewczynka. Teraz troje z nich nie żyje, a dziewczynka została bez rodziców. Kochasz brata, ale musisz nam pomóc go złapać.

- Wiem.

- Gdzie może się ukrywać?

Merthin nie był jeszcze gotów, by odpowiedzieć na to pytanie.

- Weźmiesz go żywcem?

- Jeśli zdołam. Merthin pokręcił głową.

- To mi nie wystarczy. Muszę mieć gwarancję. Thomas zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze, wezmę go żywcem - zgodził się.

- Nie wiem jak, ale znajdę sposób. Przyrzekam.

- Dziękuję. - Merthin zamilkł. Wiedział, jak powinien postąpić, lecz jego serce się buntowało.

- Kiedy miałem jakieś trzynaście lat, chodziliśmy polować, często ze starszymi chłopcami. Spędzaliśmy cały dzień poza domem i piekliśmy to, co zdołaliśmy ustrzelić. Czasem zapuszczaliśmy się aż do Kredowych Wzgórz i spotykaliśmy rodziny, które przez całe lato wypasały tam owce. Pasterki zachowywały się swobodnie, niektóre pozwalały się całować. - Merthin się uśmiechnął. - Zimą kiedy pasterzy już nie było, chroniliśmy się w ich szałasach. Być może właśnie tam jest teraz Ralph.

- Dziękuję ci - rzekł Thomas, wstając.

- Pamiętaj o swoim przyrzeczeniu.

- Będę pamiętał.

- Ty mi zaufałeś wiele lat temu.

- Wiem.

- Nie zdradziłem cię.

- Mam tego świadomość.

- Teraz ja obdarzam cię zaufaniem.

Merthin wiedział, że jego słowa można rozumieć dwójako: albo jako prośbę o odpłacenie tą samą monetą albo jako zawołaną groźbę. Nie przeszkadzało mu to. Niech Thomas potraktuje to, jak chce.

On zaś wyciągnął do niego rękę, a Merthin ją uściśnął.

- Dotrzymam danego słowa - rzekł i wyszedł.

Ralph i Tam jechali pod górę po zboczu wzgórza, Alan Fernhill i pozostali banici podążali za nimi pieszo. Ralph czuł się dobrze, znów mieli za sobą owocny niedzielny poranek. Nadeszła wiosna, wieśniacy zaczęli przynosić do miasta nowalijki. Członkowie bandy nieśli kilka jagniąt, słoje miodu, dzban śmietany i kilka skórzanych bukłaków z winem. Banici jak zwykle odnieśli tylko drobne obrażenia, zadane przez co bardziej uparte ofiary.

Współpraca Ralph'a z Tamem okazała się nadzwyczaj korzystna. W ciągu kilku godzin niezbyt ciężkiej walki zdobywali wszystko, co było im potrzebne do życia przez cały tydzień w luksusie. Resztę czasu spędzali, za dnia polując, a wieczorami pijąc. Poddani nie naprzykrzali się Ralphowi swoimi sporami o granice i oszustwami przy płaceniu dzierżawy. Banitom doskwierał jedynie brak kobiet, dzisiaj jednak znaleźli lekarstwo na tę bolączkę, gdyż porwali dwie pulchne dziewczynki, siostry w wieku trzynastu i czternastu lat.

Ralph żałował tylko tego, że nigdy nie udało mu się walczyć za króla. Marzył o tym od

dzieciństwa i wciąż nie przestał. Bycie banitą było zbyt łatwe. Zabijanie bezbronnych kmieci nie mogło napawać dumą. Chłopiec, który w nim był, łaknął chwały. Ralph nigdy nie dowiódł ani sobie, ani innym, że ma duszę prawdziwego rycerza.

Nie pozwolił jednak, by takie myśli go przygnębiały. Za wzniesieniem zaczynało się pastwisko, na którym znajdowała się kryjówka. Ralph już myślał o wieczornej uczcie: upieką jagnię na rożnie i będą pili śmietaną z miodem... A dziewczęta... Ralph postanowił, że każe im położyć się obok siebie, tak by patrzyły, jak są gwałcone przez jednego mężczyznę po drugim. Na samą myśl o tym serce zabiło mu żywiej.

Widać już było kamienne kryjówki. Ralph pomyślał, że niebawem będą musieli się z nich wynieść. Trawa rosła, wkrótce pojawią się pasterze. Wielkanoc wypadła tego roku wcześniej, więc Zielone Świątki będą niedługo po pierwszym dniu maja. Banitom przyjdzie poszukać innej siedziby.

Znalazłszy się o pięćdziesiąt kroków od najbliższej kamiennej chaty, Ralph zdziwił się, widząc, że ktoś z niej wychodzi.

Tam wstrzymał konia, a banici zgromadzili się wokół dowódców z bronią w rękach.

Mężczyzna zbliżył się do nich i Ralph zobaczył, że jest to mnich.

- Co na litość boską...? - zaczął Tam.

Jeden rękaw habitu mnicha zwisał przy jego boku, Ralph rozpoznał Thomasa z klasztoru w Kingsbridge. Thomas podszedł, jakby spotkał kogoś znajomego na ulicy.

- Witaj, Ralphie. Poznajesz mnie?

- Znasz tego człowieka? - zapytał Tam.

Thomas zbliżył się do Ralph'a z prawej strony i wyciągnął doń prawą rękę. Co on tu, u diabła, robi? - myślał Ralph. Ale czy jednoręki mnich stanowi jakieś zagrożenie? Zdezorientowany Ralph podał mnichowi dłoń. Ręka Thomasa przesunęła się wzdłuż ręki Ralph'a i chwyciła go za łokieć.

Kątem oka Ralph dostrzegł, że coś poruszyło się wokół kamiennych chat. Z najbliższej wyszedł mężczyzna, za nim drugi, a po nim kolejni. Nagle zobaczył, że wylewają się ze wszystkich chat i nakładają strzały na długie łuki. Zrozumiał, że banda wpadła w zasadzkę, lecz w tej samej chwili mnich mocniej zacisnął rękę na jego łokciu i mocnym szarpnięciem ściągnął go z konia.

Banici zaczęli krzyżeć. Ralph runął na ziemię, ładując na plecach. Jego koń Gryf przestraszył się i odskoczył w bok. Ralph próbował wstać, lecz Thomas spadł na niego niczym drzewo i położył się na nim jak kochanek.

- Leż spokojnie, a będziesz żył - powiedział mu do ucha.

Ralph usłyszał świst dziesiątków strzał wypuszczanych z łuków. Śmiercionośny poszum przypominał wichur, który zrywa się tuż przed burzą. Odgłos był bardzo głośny, Ralph pomyślał, że

łuczników musi być około setki. Musieli się stłoczyć w kamiennych chatach. Thomas dał im znak, by atakowali, chwytając go za rękę.

Przez chwilę myślał, czy nie stawić oporu, ale się opamiętał. Słyszał krzyki trafianych strzałami banitów. Z ziemi niewiele widział, lecz niektórzy dobywali mieczy. Znajdowali się jednak za daleko od łuczników i gdyby rzucili się do ataku, zostaliby zabici, zanimby do nich dobiegli. To byłaby masakra, nie bitwa. Zastukały kopyta. Ralph nie wiedział, czy Tam szarżuje na łuczników, czy ucieka.

Zamęt nie trwał długo. Po chwili Ralph wiedział, że banici zostali zmuszeni do odwrotu. ».

Thomas zsunął się z niego i wyciągnął spod habitu długi sztylet.

- Nawet nie próbuj dobyć miecza.

Ralph wstał. Spojrzał na łuczników i rozpoznał wielu z nich. Był tam gruby Dick Brewer, chutliwy Edward Butcher, jowialny Paul Bell, zrzędlawy Bill Watkin - wszyscy jak jeden mąż spokojni, prawi obywatele Kingsbridge. Pojmali go kupcy. Nie to jednak było najbardziej zaskakujące.

Ralph spojrzał badawczo na Thomasa.

- Ocaliłeś mi życie, mnichu.

- Tylko dlatego, że prosił mnie o to twój brat - odparł krótko Thomas. - Gdyby to ode mnie zależało, zginąłbyś, zanim znalazłbyś się na ziemi.

Więzienie w Kingsbridge mieściło się w podziemiach siedziby gildii. Miało kamienne ściany i klepisko i było pozbawione okien. Nie było w nim również kominka, toteż więźniowie umierali czasem od przeziębienia. Teraz jednak był maj, a Ralph miał grubą pelerynę, dzięki której było mu ciepło w nocy. Miał także kilka sprzętów - krzesło, ławeczkę i mały stolik - wynajętych od porządkowego Johna. Zapłacił za to Merthin. Po drugiej stronie zakratowanych dębowych drzwi znajdował się kantorek Johna. W dni targowe i w czasie targów wełny John i jego zastępcy siedzieli tam i czekali na wezwanie.

W tej samej celi siedział Alan Fernhill. Któryś z łuczników ugodził go strzałą w udo, i choć rana nie była zbyt groźna, Alan nie mógł uciekać. Jednak Tam Hiding zdołał umknąć.

Dzisiaj był ostatni dzień. W południe miał się zjawić szeryf i przewieźć więźniów do Shiring. Zostali skazani zaocznie na śmierć za gwałt na Annet, za przestępstwa popełnione w sali sądowej na oczach sędziego: zranienie przewodniczącego ławy przysięgłych i Wulfrica oraz za ucieczkę. W Shiring czekała na nich szubienica.

Godzinę przed południem rodzice Ralph'a przynieśli gorącą szynkę, świeży chleb i dzbanek mocnego piwa. Przyszedł z nimi Merthin. Ralph domyślił się, że to pożegnanie.

Ojciec potwierdził jego przypuszczenia:

- Nie pojedziemy z tobą do Shiring - rzekł.

- Nie chcemy patrzeć, jak... - zaczęła matka. Nie dokończyła zdania, ale on wiedział, co zamierzała powiedzieć. Nie chciała jechać do Shiring tylko po to, by patrzeć na egzekucję syna.

Ralph wypił piwo, ale trudno mu było jeść. Czekąca go szubienica i jedzenie wydawało się bezcelowe. Poza tym nie miał apetytu. Za to Alan pochłoniął wszystko, jakby nie był świadom, jaki los go czeka.

Rodzina siedziała w niezręcznym milczeniu. Były to ich ostatnie spędzane razem minuty, a mimo to nikt nie wiedział, co powiedzieć. Maud łkała cicho, Gerald piorunował syna spojrzeniem, Merthin siedział z głową ukrytą w dłoniach. Alan Fernhill wyglądał na znudzonego.

Ralph chciał zapytać o coś brata. Wzbraniał się przed tym, lecz teraz uświadomił sobie, że to ostatnia szansa.

- Kiedy brat Thomas ściągnął mnie z konia, żeby uchronić od strzału, podziękowałem mu za ocalenie życia. - Spojrzał na brata. - Powiedział, że robi to dla ciebie.

Merthin skinął głową.

- Poprosiłeś go o to?

- Tak.

- A więc wiedziałeś, co się stanie?

- Tak.

- Skąd Thomas wiedział, gdzie mnie szukać? Merthin milczał.

- Powiedziałeś mu, prawda? Ojciec był wstrząśnięty.

- Merthinie, jak mogłeś?

- Ty zdradziecka świnię - syknął Alan Fernhill.

- Mordowaliście ludzi! - odpowiedział Merthin. - Niewinnych kmieci, ich żony i dzieci! Ktoś musiał was powstrzymać!

Ralph, ku swojemu zdziwieniu, nie czuł gniewu. Coś ścisnęło go w gardle. Przełknął ślinę.

- Ale dlaczego poprosiłeś Thomasa o darowanie mi życia? Wolaleś, żebym zawisł na szubienicy?

- Ralphie, nie - zaszlochała Maud.

- Nie wiem - odparł Merthin. - Może chciałem, żebyś jeszcze trochę pożył.

- A jednak mnie zdradziłeś - powiedział Ralph łamiącym się głosem. Łzy napłynęły mu do oczu, poczuł ucisk w głowie. - Zdradziłeś mnie.

- Na miłość boską, zasłużyłeś na to! - krzyknął Merthin, wstając.
- Nie bijcie się - poprosiła Maud. Ralph ze smutkiem pokręcił głową.
- Nie będziemy się bili. Te czasy się skończyły. Drzwi się otworzyły i wszedł John Constable.
- Szeryf przybył.

Maud objęła Ralpa i przytuliła się do niego z płaczem. Po chwili Gerald odciągnął ją łagodnie.

John wyszedł, Ralph podążył za nim. Zdziwił się, że go nie związano ani nie skuto łańcuchem. Czy nie boją się, że znów ucieknie? Przeszedł przez kantor porządkowego i znalazł się na zewnątrz. Rodzina podążyła za nim.

Niedawno musiało padać, gdyż od mokrej ulicy odbijało się jasne słońce. Ralph musiał zmrużyć oczy. Gdy przyzwyczały się do światła, zobaczył swojego konia Gryfa, który stał osiodłany. Ten widok dodał mu otuchy. Ujął wodze i szepnął mu do ucha: „Ty nigdy mnie nie zdradziłeś, prawda?”. Koń parsknął i stuknął kopytem, ciesząc się z powrotu pana.

Szeryf czekał z kilkoma zastępcami. Wszyscy siedzieli na koniach, byli uzbrojeni po zęby. Zamierzali pozwolić jechać Ralphowi konno do Shiring, ale nie było mowy o ryzykowaniu. Ralph uświadomił sobie, że tym razem nie zdoła się wymknąć.

Przyjrzał się dokładniej jeźdźcom. Znajdował się wśród nich szeryf, lecz pozostali nie byli jego zastępcami. Byli to słudzy Rolanda. A nawet on sam. Z czarnymi włosami i brodą, dosiadał szarego ogiera. Co to wszystko znaczy?

Nie zsiadając z konia, hrabia schylił się i wręczył Johnowi zwinięty rulon pergaminu.

- Odczytaj to, jeśli potrafisz - rzekł, poruszając połową ust. - To nakaz wydany przez króla. Wszyscy więźniowie w hrabstwie zostają ułaskawieni i uwolnieni, pod warunkiem że wstąpią pod moim dowództwem do armii królewskiej.

- Hura! - ryknął Gerald. Maud wybuchła płaczem. Merthin zajrzał porządkowemu przez ramię i przeczytał pismo.

Ralph spojrział na Alana, a ten zapytał:

- Co to znaczy?

- Że jesteśmy wolni!

- Zgadza się, jeśli dobrze czytam - mruknął John Constable. Spojrział na szeryfa. - Potwierdzasz to pismo?

- Potwierdzam - odparł szeryf.

- A zatem nie potrzeba więcej słów. Ci ludzie są wolni, mogą odjechać z hrabią.

Constable zwinął pergamin.

Ralph spojrzął na brata. Merthin płakał. Z radości czy gniewu?

Nie było czasu na zastanawianie się nad tym.

- Ruszajmy - rozkazał niecierpliwie Roland. - Dopełniliśmy formalności, więc w drogę. Król jest już we Francji, przed nami długa podróż!

Obrócił konia i pojechał.

Ralph dźgnął wierzchowca piętami, a ten żwawo ruszył stępa za hrabią.

41

- Nie masz szans na zwycięstwo - rzekł Gregory Longfellow do Godwyna. Siedział w dużym fotelu w holu domu przeora. - Król przyzna Kingsbridge prawa miejskie.

Godwyn wpatrywał się w niego. Ten adwokat wygrał dla niego dwie sprawy w sądzie królewskim, jedną przeciwko hrabiemu, drugą przeciwko starszemu miasta. Jeśli taki mistrz zapowiada porażkę, to musi być ona nieunikniona.

To było nie do zniesienia. Jeśli Kingsbridge stanie się miastem królewskim, klasztor zostanie zepchnięty na margines. Przez czterysta lat przeor władał miastem. Zdaniem Godwyna istniało ono tylko po to, by służyć klasztorowi, który z kolei służył Bogu. Teraz klasztor stanie się zwykłą częścią miasta rządzonego przez kupców służących bożkowi pieniądza. A w kronikach pozostanie zapis, że stało się to za czasów przeora Godwyna.

- Masz całkowitą pewność? - spytał wzburzony Godwyn.

- Zawsze mam całkowitą pewność - odparł adwokat.

Godwyn rozgniewał się jeszcze bardziej. Pewność siebie Gregory'ego bardzo mu odpowiadała, gdy wyszydział jego przeciwników, lecz kiedy obracała się przeciwko niemu, była irytująca.

- Przebyłeś tak długą drogę, by oznajmić mi, że nie zdołasz spełnić mojego życzenia?

- spytał gniewnie Godwyn.

- I po to, by odebrać moje honorarium - rzekł niefrasobliwie Gregory. Godwyn najchętniej kazałby go wrzucić do stawu w jego londyńskim ubraniu. Była sobota tygodnia Zielonych Świątek, dzień przed otwarciem targów wełny. Na trawniku od zachodniej strony katedry setki kupców rozkładały stragany. Ich rozmowy i pokrzykiwania łączyły się, tworząc gwar dobiegający aż do domu przeora, w którym siedzieli naprzeciwko siebie Godwyn i Gregory.

Philemon, który usadowił się na ławeczce pod ścianą, zwrócił się do Gregory'ego:

- Czy mógłbyś wyjaśnić lordowi przeorowi, jaką drogą doszedłeś do tego niewesołego wniosku?

Jego głos zaczynał brzmieć tak, jakby była w nim służalczość, a jednocześnie wzdarda.

Godwyn nie był pewien, czy mu się to podoba. Gregory nie zwrócił jednak uwagi na ton głosu nowicjusza.

- Naturalnie. Król jest we Francji.

- Jest tam prawie od roku i przez ten czas niewiele się działo - zauważył Godwyn.

- Tej zimy zacznie się coś dziać.

- Dlaczego?

- Na pewno słyszeliście o napadach Francuzów na porty na południu.

- Słyszałem - odparł Philemon. - Powiadają, że francuscy marynarze zgwałcili zakonnice w Canterbury.

- Zawsze rozgłaszamy, że wróg zgwałcił zakonnice - odparł lekceważąco Gregory. - To zachęca prosty lud do poparcia wojny. Ale Francuzi rzeczywiście spalili Portsmouth. I doszło do poważnych zakłóceń w handlu morskim. Pewnie zauważyliście, że cena waszej wełny spadła.

- Tak, zauważyliśmy to.

- Częściowo wynika to z problemów w handlu z Flandrią. A cena, jaką płacicie za wino z Bordeaux, poszła w górę z tego samego powodu.

Nie stać nas było na wino i po starych cenach, pomyślał Godwyn, ale tego nie powiedział.

- Te napady to tylko przygrywka - ciągnął Gregory. - Francuzi gromadzą flotę. Nasi szpiegowie donoszą, że mają już ponad dwieście okrętów zacumowanych u ujścia Skaldy.

Godwyn zauważył, że adwokat mówi o „naszych szpiegach”, jakby był członkiem rządu. W rzeczywistości tylko powtarzał pogłoski. Mimo to jego słowa brzmiały przekonująco.

- A co wojna z Francją ma wspólnego z tyrfi; czy Kingsbridge zostanie miastem królewskim?

- Podatki. Królowi potrzeba pieniędzy. Gildia parafialna argumentowała, że miasto będzie bogatsze, a zatem zapłaci większy podatek, jeśli kupcy nie będą już pod kontrolą klasztoru.

- I król dał temu wiarę?

- To już wcześniej się sprawdziło. Właśnie dlatego król nadaje miastom prawa. W miastach jest handel, a z handlu płyną podatki.

Znów te pieniądze, pomyślał z odrazą Godwyn.

- Czy nic nie da się zrobić?

- Nie w Londynie. Radzę ci skupić się na Kingsbridge. Czy możesz przekonać gildię, by wycofała wniosek? Jakim człowiekiem jest starszy miasta? Można go przekupić?

- Mój wuj Edmund? Jest słabego zdrowia i marnieje w oczach. Ale prawdziwą siłą, która stoi za całą sprawą, jest jego córka Caris.

- Tak, pamiętam ją z sądu. Dość arogancka, takie odniosłem wrażenie. Przyganiał kocioł

garnkowi, pomyślał Godwyn.

- To czarownica.
- Jest czarownicą? To mogłoby nam pomóc.
- Nie mówiłem dosłownie.
- Jeśli o to chodzi, to krążą pewne pogłoski... - odezwał się Philemon. Gregory uniósł

brwi.

- To ciekawe.
- Caris jest serdeczną przyjaciółką zielarki Mattie, która warzy napoje dla łatwowiernych mieszczan - ciągnął Philemon.

Godwyn już miał zganić pomysł z oskarżeniem Caris o czary, ale postanowił milczeć. Każdy oręż, który może pomóc powstrzymać zagrożenie, jakim były prawa miejskie dla Kingsbridge, z pewnością został zesłany przez Boga. Kto wie, może Caris naprawdę posługuje się czarami?

- Widzę, że się wahasz - rzekł Gregory. - Oczywiście, jeśli jesteś przywiązany do kuzynki...
- Byłem, kiedy byliśmy młodszy - uciął Godwyn, czując nostalgię za starymi czasami, gdy wszystko było takie proste. - Ale z bólem muszę powiedzieć, że nie wyrosła na bogobojną kobietę.

- W takim razie...
- Muszę zbadać tę sprawę - stwierdził przeor.
- Czy mogę coś zasugerować? - spytał Gregory.

Godwyn miał dość sugestii adwokata, lecz nie zdobył się na to, by go powstrzymać.

- Naturalnie - odparł z nieco przesadną grzecznością.
- Dochodzenie w sprawie herezji bywa... nieprzyjemne. Nie powinieneś brudzić sobie rąk. A ludzie mogą czuć strach, rozmawiając z przeorem. Oddaj to w ręce kogoś, kto nie budzi takiego lęku. Na przykład tego młodego nowicjusza. - Wskazał Philemona, który się rozpromienił. - Jego sposób myślenia wydaje mi się... rozsądny.

Godwyn przypomniał sobie, że to właśnie Philemon odkrył słabość biskupa Richarda, jego romans z Margery. Z całą pewnością jest odpowiednim człowiekiem do brudnej roboty.

- Zgoda. Spróbuj się czegoś dowiedzieć, Philemonie.
- Dziękuję, ojcze przeorze - odparł Philemon. - Nic nie sprawi mi większej przyjemności.

W niedzielę rano ludzie wciąż napływali do Kingsbridge. Caris stała i patrzyła, jak wlewają się do miasta dwoma zbudowanymi przez Merthina mostami. Przybywali konno, wozami dwu - i czterokołowymi, ciągniętymi przez woły albo konie, obciążonymi towarami przeznaczonymi na sprzedaż. Na ten widok rosło jej serce. Nie było wielkiej ceremonii otwarcia - most nie został w gruncie rzeczy ukończony, lecz nadawał się do użycia dzięki drewnianej nawierzchni. Rozeszła się

wieść, że jest otwarty, a na trakcie nie ma banitów. Przybył nawet Buonaventura Caroli.

Merthin zasugerował inny sposób zbierania myta, a gildia chętnie go przyjęła. Zamiast jednej budki na każdym końcu mostu rozmieścili dziesięciu ludzi na Wyspie Trędowatych w tymczasowych budkach ustawionych między dwoma mostami. W ten sposób rozładowano zator, gdyż większość przybyszów płaciła pensa, nie zwalniając kroku.

- Nawet nie ma kolejki - powiedziała do siebie Caris.

Pogoda była słoneczna, nie zanosilo się na deszcz. Targi będą wspaniałe.

Za tydzień Caris wyjdzie za Merthina.

Wciąż targały nią wątpliwości. Myśl, że straci niezależność i zostanie czyjąś własnością nie przestała jej dręczyć, choć wiedziała, że Merthin nie jest mężczyzną który będzie źle traktował żonę. Kiedy z rzadka dzieliła się z kimś swoimi odczuciami - z Gwendą albo z Mattie Wise - słyszała, że myśli jak mężczyzna. No cóż, trudno, tak właśnie się czuła.

Jednak perspektywa utraty Merthina wydawała się jeszcze gorsza. Co by jej zostało, poza wytwarzaniem tkanin, które jej nie inspiruje? Gdy Merthin oznajmił, że zamierza opuścić miasto, przyszłość nagle wydała jej się pusta. Uzmysłowała sobie, że jedyną rzeczą gorszą od poślubienia Merthina byłoby zaniechanie tego.

Tak w każdym razie mówiła sobie w lepszych momentach. Lecz czasem budziła się w środku nocy i widziała, jak wycofuje się w ostatniej chwili, już w czasie ceremonii, jak odmawia złożenia przysięgi i wybiega z kościoła, wprawiając wszystkich w konsternację.

Teraz, w blasku dnia, wydawało jej się to niedorzeczne. Wyjdzie za Merthina i będzie szczęśliwa.

Odeszła od brzegu i ruszyła w stronę katedry, już wypełnionej wiernymi, którzy czekali na poranną mszę. Przypomniała sobie, jak przytulali się z Merthinem za kolumną. Zatęskniła do beztrudnej namiętności z początków ich związku, długich rozmów i skradzionych całusów.

Zastała go w jednym z pierwszych rzędów. Przeglądał się południowej nawie chóru, części kościoła, która zawaliła się na ich oczach przed dwoma laty. Weszli wtedy na górę i podsłuchali przerażającą rozmowę brata Thomasa z jego opuszczoną żoną. Ta rozmowa napełniła Caris obawami i sprawiła, że odrzuciła Merthina. Postanowiła o tym nie myśleć.

- Wyremontowane elementy się trzymają - powiedziała, odgadując tok myśli narzeczonego.

- Dwa lata to mało w życiu katedry - odparł z powątpiewaniem.

- Nie widać, by konstrukcja była osłabiona.

- Właśnie na tym polega trudność. Niewidzialne osłabienie może narastać latami. Nikt niczego nie podejrzewa, dopóki mur nie zacznie się walić.

- Może wszystko mocno się trzyma?

- Musi być jakieś słabe miejsce - odparł Merthin niecierpliwie. - Istniał powód, dla którego dwa lata temu doszło do katastrofy. Nie poznaliśmy go, więc go nie usunęliśmy. A jeśli nie został usunięty, nadal tam jest.

- Konstrukcja mogła się sama naprawić.

Caris spierała się, nie mając argumentów, lecz Merthin traktował ją poważnie.

- Budowle zwykle nie naprawiają się same, ale masz rację, to jest możliwe. Gdzieś mogła sączyć się woda, na przykład z zapchanego rzygacza. Strumień mógł znaleźć sobie inne nieszkodliwe ujście.

Mnisi zaczęli ze śpiewem wchodzić do katedry, wierni ucichli. Z drugiej strony pojawiły się zakonnice. Jedna z nowicjuszek spojrzała w górę, ukazując pod kapturem piękną jasną twarz. Była to Elizabeth Clerk. Zobaczyła Merthina i Caris i w jej oczach zapłonął zły ogień. Caris zadrżała. Elizabeth schyliła głowę i jej oblicze znikło pod habitem.

- Ona cię nienawidzi - stwierdził Merthin.

- Uważa, że przeze mnie się z nią nie ożeniłeś.

- Ma rację.

- Nieprawda. Mogłeś się ożenić, z kim chciałeś!

- Ale ja chciałem tylko ciebie.

- Bawiłeś się Elizabeth.

- Jej musiało się tak wydawać - rzekł z żalem Merthin. - A ja lubiłem tylko z nią rozmawiać.

Zwłaszcza po tym, jak ty zamieniłaś się w bryłę lodu.

Caris poczuła się nieswojo.

- Wiem. Ale Elizabeth czuje się oszukana. Jej spojrzenie mnie niepokoi.

- Nie bój się, jest teraz zakonnica. Nie może cię skrzywdzić.

Stali przez chwilę w milczeniu, dotykając się ramionami, i obserwowali obrzęd. Biskup Richard siedział na tronie jako najwyższy rangą obecny na mszy kapłan. Merthin lubił takie ceremonie. Zawsze czuł się po nich lepiej i mówił Caris, że właśnie po to chodzi się do kościoła. Caris też chodziła, bo ludzie zauważali jej nieobecność, ale żywiła wątpliwości co do tego wszystkiego. Wierzyła w Boga, ale nie była pewna, czy ujawnia swoją wolę wyłącznie takim ludziom jak kuzyn Godwyn. Po co na przykład Bogu wychwalanie? Królowie i hrabiowie chcieli, by oddawano im cześć, a im byli mniejsi, tym większej czołobitności się domagali. Miała przecucie, że Bogu Wszchemogącemu nie robi różnicy, czy mieszkańcy Kingsbridge śpiewają pieśni na jego cześć, tak jak jej, Caris, nie robi różnicy, czy sarna w lesie boi się jej, czy nie. Czasem wypowiadała takie

zdania, lecz nikt nie brał ich poważnie.

Jej myśli pobiegły ku przyszłości. Wiele świadczyło o tym, że król przyzna Kingsbridge status miasta. Ojciec zostanie pewnie pierwszym burmistrzem, jeśli wróci do zdrowia. Produkcja tkanin będzie rosła, Mark Webber się wzbogaci. Z zysków gildia będzie mogła zbudować budynek giełdy wełnianej, tak aby wszyscy mogli handlować nawet przy złej pogodzie. Merthin go zaprojektuje. Nawet klasztor skorzysta, choć Godwyn raczej nie podziękuje Caris.

Msza dobiegła końca, mnisi i zakonnice zaczęli wychodzić. Jeden z nowicjuszy odłączył się od procesji i wszedł między wiernych. Był to Philemon. Caris zdziwiła się na jego widok.

- Możemy zamienić kilka słów?

Caris omal się nie wzdygnęła. W bracie Gwendy było coś odrażającego.

- Na jaki temat? - zapytała, z trudem zdobywając się na uprzejmy ton.

- Chcę cię prosić o radę - rzekł Philemon, siląc się na miły uśmiech. - Znasz Mattie

Wise?

- Tak.

- Co sądzisz o metodach jej działania?

Caris posłała mu ostre spojrzenie. Do czego zmierza? Postanowiła bronić Mattie.

- Nigdy nie studiowała pism starożytnych mędrców, to oczywiste. Mimo to jej lekarstwa działają, czasem lepiej od tych, które przepisują mnisi. Moim zdaniem dlatego, że stosuje kuracje, kierując się doświadczeniem, a nie teorią płynów.

Stojący w pobliżu ludzie słuchali z zaciekawieniem, niektórzy podeszli, mimo że ich nie zapraszano.

- Dała naszej Norze napój, który zmniejszył gorączkę - odezwała się Madge Webber.

- Kiedy złamałem rękę, jej lekarstwo zmniejszyło ból, a Matthew Barber nastawił kości - dodał John Constable.

- A jakie zaklęcia wypowiada, kiedy przyrządza mikstury? - dopytywał się Philemon.

- Nie wypowiada żadnych zaklęć! - odparła gniewnie Caris. - Każe ludziom się modlić podczas przyjmowania leków, mówi, że tylko Bóg potrafi uzdrawiać.

- Czy może być czarownicą?

- To niedorzeczność!

- Wniesiono na nią skargę do sądu kościelnego.

- Kto ją wniósł? - spytała z przestachem Caris.

- Nie mogę tego powiedzieć. Ale kazano mi się tym zająć. Kto może być wrogiem Mattie? - zastanawiała się Caris.

- Akurat ty powinieneś wiedzieć, co potrafi Mattie, bo uratowała życie twojej siostrze po porodzie. Gdyby nie ona, Gwenda wykrwawiłaby się na śmierć.

- Tak się wydaje.

- Wydaje się? Gwenda żyje, czyż nie?^A

- Oczywiście. A więc jesteś pewna, że Mattie nie wzywa diabła?

Caris zauważyła, że Philemon wypytuje ją lekko podniesionym głosem, tak aby ludzie słyszeli. Dziwiło ją to, ale nie miała wątpliwości, co odpowiadać.

- Jestem pewna! Przysięgnę, jeśli chcesz.

- To nie jest konieczne - odparł gładko Philemon. - Dziękuję za udzielenie rady.

Skłonił lekko głowę i oddalił się. Caris i Merthin ruszyli w stronę drzwi.

- Co za bzdura! - oburzyła się Caris. - Mattie miałyby być czarownicą! Merthin był zaniepokojony.

- Należałoby się spodziewać, że Philemon będzie chciał usłyszeć słowa świadczące przeciwko Mattie, prawda?

- Tak.

- Czemu więc zwrócił się do ciebie? Mógł się domyślić, że akurat ty odrzucisz oskarżenie. Dlaczego miałby chcieć oczyścić jej imię?

- Nie mam pojęcia.

Wyszli wielkimi zachodnimi drzwiami i znaleźli się na trawniku. Słońce zalewało światłem setki straganów wypełnionych kolorowymi towarami.

- Jego zachowanie nie miało sensu - rzekł Merthin. - I właśnie to mnie martwi.

- Dlaczego?

- To tak jak z osłabieniem konstrukcji katedry w południowej nawie. Jeśli czegoś nie widzisz, może w sposób niedostrzegalny cię niszczyć. I nie będziesz tego wiedziała, dopóki nie nastąpi katastrofa.

Szkarłat na straganie Caris nie był tak doskonały jak ten sprzedawany przez Lora Fiorentina, ale trzeba było mieć bystre oko, by zauważyć różnicę. Splot nie był tak ścisły, gdyż włoskie krosna były lepsze od angielskich. Kolor był równie jasny, ale nie tak jednolity na całej długości tkaniny, bez wątplenia dlatego, że włoscy farbiarze lepiej znali swój fach. Caris musiała więc sprzedawać towar o jedną dziesiątą taniej niż Loro.

Był to jednak najlepszy angielski szkarłat, jaki kiedykolwiek widziano w Kingsbridge, i sprzedawał się świetnie. Mark i Madge sprzedawali materiał na jardy, odmierzając i tnąc dla indywidualnych klientów, a Caris handlowała z hurtownikami, negocjując upusty za belę lub więcej

dla kupców z Winchesteru, Gloucesteru, a nawet Londynu. W poniedziałek w południe wiedziała, że do końca tygodnia sprzeda wszystko.

Kiedy w czasie przerwy obiadowej sprzedaż szła słabiej, Caris przechadzała się po targu. Przepelniało ją głębokie poczucie zadowolenia. Pokonała przeszkody, podobnie jak Merthin. Zatrzymała się przed straganem Perkina, żeby pogawędzić z kmięciami z Wigleigh. Nawet Gwendzie się powiodło. Wyszła za Wulfrica, jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, i urodziła dziecko. Roczny Sammy siedział na ziemi, tłuściutki i zadowolony. Annet jak zawsze sprzedawała jajka z tacy. Ralph powędrował do Francji, by walczyć za króla, i może nigdy nie wróci.

Nieco dalej ojciec Gwendy, Joby, sprzedawał wiewiórcze futerka. Był podstępny człowiekiem, ale nie mógł już zaszkodzić córce.

Caris przystanęła przed straganem ojca. Przekonała go, żeby w tym roku kupić mniej runa. Międzynarodowy rynek nie mógł kwitnąć, gdy Francuzi i Anglicy najeżdżali nawzajem swoje porty i palili statki.

- Jak idzie sprzedaż?

- Spokojnie - odparł. - Chyba dobrze ocenilem popyt.

Zapomniał, że to córka doradziła mu ostrożność. Ona jednak nie miała mu tego za złe.

Przyszła kucharka Tutty i przyniosła Edmundowi garnek baraniego gulaszu, bochenek chleba i dzban piwa. Należało sprawiać wrażenie zamożnego, lecz nieprzesadnie. Przed laty Edmund wytłumaczył Caris, że klienci powinni wierzyć, iż kupują od kogoś, komu dobrze się powodzi, wzbraniają się jednak przed pomnażaniem bogactwa kogoś, kto ma pieniędzy bez liku.

- Jesteś głodna? - spytał Edmund.

- Wygłodniała.

Wstał, by sięgnąć po garnek. Nagle zachwiał się, wydał dźwięk, który był na poły jęknięciem, a na poły okrzykiem, i upadł na ziemię. Kucharka krzyknęła.

. - Tato! - zawołała Caris. Wiedziała, że ojciec nie odpowie. Runął bezwładnie niczym worek cebuli. Caris zorientowała się, że stracił przytomność. Powstrzymała się, by nie krzyczeć. Uklękła przy nim. Żył, ale oddychał ciężko. Złapała go za nadgarstek i wyczuła puls - był mocny, ale wolny. Twarz ojca zaczerwieniła się. Zawsze była rumiana, lecz teraz zrobiła się purpurowa.

- Co się stało? Co się stało? - dopytywała się Tutty. Caris zmusiła się do zachowania spokoju.

- Ojciec ma atak. Sprowadź Marka Webbera. Niech zanieś tatę do szpitala. Kucharka popędziła. Kupcy z pobliskich straganów zgromadzili się wokół.

- Biedny Edmund - powiedział Dick Brewer. - Mogę jakoś pomóc? Dick był za stary i zbyt gruby, żeby dźwignąć Edmunda.

- Mark zanieś tatę do szpitala. - Caris rozplakała się. - Mam nadzieję, że wyzdrowieje.

Mark bez trudu dźwignął Edmunda i uniósł ostrożnie w swoich mocnych ramionach. Ruszył w stronę szpitala, przedzierając się przez tłum.

- Uwaga! Zejdźcie z drogi! Niosę rannego.

Zatroskana Caris podążyła za nim. Ledwo widziała przez łzy, trzymała się więc tuż za szerokimi plecami Marka. Dotarli do szpitala. Caris ucieszyła się na widok dobrze znanej, pokrytej guzami twarzy Starej Julie.

- Sprowadź jak najprędzej matkę Cecylię! - powiedziała do niej Caris. Stara zakonnica pospieszyła po przełożoną, a Mark położył Edmunda na pryczy koło ołtarza.

Edmund miał zamknięte oczy i oddychał ciężko, był nieprzytomny. Caris dotknęła jego czoła - nie było ani gorące, ani zimne. Co spowodowało atak? Nastąpił tak nagle. W jednej chwili Edmund rozmawiał, a w następnej padł bez czucia na ziemię. Jak to się mogło stać?

Nadeszła Cecilia. Jej zwawa pewność ruchów dodawała otuchy. Uklękła obok posłania i dotknęła klatki piersiowej Edmunda, następnie zbadła puls. Posłuchała jego oddechu i dotknęła twarzy.

- Przynies poduszkę i koc - poleciła Starej Julie. - A później zawołaj kogoś z mnichów.

Wstała i spojrzała na Caris.

- Twój ojciec miał atak. Może wyzdrowieje. Możemy tylko zapewnić mu wygodę. Lekarz zaleci pewnie puszczenie krwi, ale poza tym jedynym lekarstwem jest modlitwa.

Dla Caris to było za mało.

- Idę po Mattie.

Wybiegła ze szpitala i popędziła przez rynek. Dokładnie tak samo zrobiła przed rokiem, gdy sprowadziła Mattie do wykrwawiającej się na śmierć Gwendy. Tym razem chodziło o ojca, Caris czuła inny rodzaj strachu. Bardzo martwiła się o Gwendę, lecz teraz było tak, jakby walił się świat. Lęk, że ojciec może umrzeć, przypominał przerażające uczucie, jakiego doznawała czasem w snach. Stała w nich na dachu katedry i nie było innego sposobu zejścia, jak tylko skoczyć w dół.

Zmęczenie po wysiłku fizycznym trochę ją uspokoiło. Kiedy wchodziła do domu Mattie, była już opanowana. Mattie będzie wiedziała, co robić. Powie: „Widziałam już takie przypadki, wiem, co się stanie, oto lekarstwo, które pomoże”.

Uderzyła pięścią w drzwi. Nie słysząc odpowiedzi, złapała za skobel. Nie był zamknięty. Wpadła do środka.

- Mattie, musisz przyjść natychmiast do szpitala, chodzi o mojego ojca! Główna izba była pusta. Caris odsunęła zasłonę oddzielającą ją od kuchni.

Tam też nie zastała Mattie.

- Dlaczego akurat teraz cię nie ma?

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Zobaczyła, że izba wydaje się ogołocona. Znikły wszystkie słoiki i butelki, półki były puste. Nie było moździerzy i tłuczków używanych przez Mattie do mielenia składników, małych garnuszków do roztapiania i gotowania, noży do siekania warzyw. Osobiste rzeczy Mattie, które znajdowały się w głównej izbie, także znikły: pudełko do szycia, polerowane kubki do wina, wyszywana chusta wisząca na ścianie dla ozdoby, rzeźbiony grzebyk, który tak lubiła.

Mattie spakowała się i odeszła.

Caris odgadła powód. Na pewno usłyszała o tym, że Philemon wypytywał o nią w kościele. Zgodnie z tradycją sąd kościelny zbierał się w sobotę w tygodniu targów. Nie dalej jak dwa lata temu mnisi wykorzystali tę okazję, by skazać Szaloną Neli na śmierć pod absurdalnym zarzutem herezji.

Mattie rzecz jasna, nie była heretyczką, lecz wiele kobiet przekonało się, jak trudno to udowodnić. Oceniała swoje szanse przetrwania procesu i stwierdziła, że są przerażająco nikłe. Nie mówiąc nikomu, spakowała dobytek i uciekła z miasta. Pewnie poprosiła jakiegoś wieśniaka wracającego z rynku, żeby zabrał ją na wóz. Caris wyobraziła sobie, jak Mattie siedzi o świcie na furmance ze swoją skrzynką, zasłaniając twarz peleryną. Nie sposób było się domyślić, dokąd odeszła.

- Co ja teraz pocznę? - zapytała głośno Caris.

Mattie lepiej niż ktokolwiek w Kingsbridge wiedziała, jak pomagać chorym, a Edmund leżał nieprzytomny w szpitalu. Nie mogła zniknąć w gorszym momencie. Caris ogarnęła rozpacz.

Usiadła na krześle Mattie, wciąż dysząc po biegu. Chciała pędzić do szpitala, ale nie było po co. Nie zdoła pomóc ojcu. Nikt mu nie pomoże.

Miasto musi mieć uzdrowiciela, pomyślała, takiego, który nie liczy na modlitwę i wodę święconą ani upuszczanie krwi, tylko stosuje proste metody, które okazały się skuteczne. Siedząc w pustym domu Mattie, Caris uświadomiła sobie, że tylko jedna osoba może pełnić tę rolę, bo zna metody Mattie i wierzy w praktyczną filozofię. Jest nią ona sama.

Ta myśl spadła na nią niczym oślepiający blask olśnienia. Siedziała nieruchomo, oszołomiona implikacjami tego odkrycia. Znała receptury najważniejszych napojów Mattie: na uśmierzenie bólu, na wymioty, na obmywanie ran, na zbijanie gorączki. Znała zastosowania pospolitych ziół: koper na niestrawność, koper włoski na gorączkę, ruta na wzdęcia, rzeżucha na bezpłodność. Wiedziała także, czego Mattie nigdy nie przepisuje: okładów z gnoju, lekarstw zawierających złoto i srebro, zapisywania wersetów na welinie i przywiązywania ich do niedomagających części ciała.

Caris miała do tego dar. Matka Cecilia jej to powiedziała, niemal błagała Caris, żeby została

zakonnica. Dziewczyna nie zamierzała wstąpić do zakonu, ale może zajmie miejsce Mattie. Dlaczego nie? Produkcją tkanin może się zająć Mark Webber, i tak wykonuje większą część pracy.

Spotka się z zielarkami z Shiring, Winchesteru, może z Londynu, wypyta, które metody się sprawdzają, a które nie. Mężczyźni byli skryci, jeśli idzie o ich rzemiosła, nazywali je „arkanami”, jak gdyby było coś nadnaturalnego w barwieniu skóry czy szyciu butów. Kobiety natomiast zwykle chętnie dzieliły się wiedzą z innymi.

Zamierzała nawet przeczytać niektóre starożytne pisma. Może jest w nich ziarno prawdy. Może instynkt, który przypisywała jej Cecilia, pomoże jej oddzielić praktyczne wskazówki od plewniejszego bajania.

Caris wstała i opuściła dom. Szła wolno, drżąc na myśl o tym, co usłyszy w szpitalu. Wpadła w fatalistyczny nastrój. Ojciec albo wyzdrowieje, albo nie. Ona może tylko spełnić w przyszłości swoje postanowienie, że kiedy jej najbliższych dosięgnie choroba, będzie wiedziała, co zrobić, by im pomóc.

Walczyła ze łzami, przemierzając rynek i zbliżając się do klasztoru. Po wejściu do szpitala z trudem zmusiła się, by spojrzeć na ojca. Wokół jego postania zgromadziły się znajome osoby: matka Cecilia, Stara Julie, brat Joseph, Mark Webber, Petranilla, Alice i Elfric.

Co będzie, to będzie, pomyślała. Dotknęła ramienia Alice, a ta przesunęła się, robiąc siostrze miejsce. Caris spojrzała na ojca.

Żył i odzyskał przytomność, choć był blady, a na jego twarzy widać było zmęczenie. Miał otwarte oczy, spojrzał prosto na Caris i spróbował się do niej uśmiechnąć.

- Pewnie cię wystraszyłem. Przepraszam, skarbie.

- Och, Bogu dzięki - powiedziała Caris i się rozpląkała.

W środę rano do straganu Caris podszedł Merthin. Wyglądał na skonsternowanego.

- Berty Baxter zadała mi dziwne pytanie - rzekł. - Chciała wiedzieć, kto stanie przeciw Elfricowi w wyborach na starszego gildii.

- Jakich wyborach? - zdziwiła się Caris. - Przecież tata jest starszym... Od razu zrozumiała, co się stało. Elfric na pewno zaczął rozpowiadać, że Edmund jest zbyt stary i słaby, by móc spełniać swoją funkcję, i że miasto potrzebuje kogoś nowego. Stawiał się w roli kandydata.

- Musimy czym prędzej powiedzieć ojcu.

Przeszli przez ulicę i ruszyli w stronę domu Caris. Edmund wyszedł wczoraj ze szpitala, słusznie zauważając, że mnisi mogą mu tylko upuścić krew, a to tylko pogorszy jego stan. Zaniesiono go do domu i przygotowano postanie w pomieszczeniu na parterze.

Leżał teraz oparty o stos poduszek na zaimprovizowanym łóżku. Wyglądał tak źle, że Caris

wahała się, czy przekazać mu nowinę. Jednak Merthin usiadł przy nim i bez ogródek wyłożył sprawę.

- Elfric ma rację - przyznał Edmund. - Spójrzcie na mnie. Ledwie daję radę siedzieć. A gildii potrzebny jest silny przywódca. To nie jest zadanie dla schorowanego człowieka.

- Przecież ty niebawem dojdiesz do siebie! - zaprotestowała Caris.

- Możliwe, ale się starzeję. Na pewno zwróciłaś uwagę, jaki jestem roztargniony. Ciągłe o czymś zapominam. I z opóźnieniem zareagowałem na załamanie na rynku surowej wełny w zeszłym roku, straciłem mnóstwo pieniędzy. Dzięki Bogu zdołaliśmy odbudować majątek dzięki szkarłatnej tkaninie, ale ty to osiągnęłaś, córeczko, a nie ja.

Caris o tym wiedziała, lecz mimo to wciąż wrzała z oburzenia.

- Pozwolisz Elfricowi przejąć władzę?

- Na pewno nie. To byłaby katastrofa. Jest zbyt podporządkowany God-wynowi. Nawet kiedy Kingsbridge uzyska prawa miejskie, będą potrzebowali starszego, który zdoła przeciwstawić się klasztorowi.

- Kto się do tego nadaje?

- Porozmawiajcie z Dickiem Brewerem. Jest jednym z najbogatszych ludzi w mieście, a starszy musi mieć majątek, by inni kupcy go szanowali. Dick nie boi się Godwyna ani innych mnichów. Będzie dobrym przywódcą.

Caris nie chciała przyjąć sugestii ojca. To by było jak pogodzenie się z tym, że umrze. Odkąd sięgała pamięcią, ojciec zawsze był starszym gildii. Nie chciała, by jej świat się zmienił.

Merthin rozumiał odczucia narzeczonej, lecz był zdania, że trzeba pójść za radą Edmunda.

- Musimy to zaakceptować. Jeśli zignorujemy fakty, Elfric może przejąć władzę. To naprawdę byłoby niebezpieczne. Niewykluczone, że mógłby nawet wycofać nasz wniosek o przyznanie Kingsbridge praw miejskich.

Ten argument przechylił szalę.

- Masz rację. Poszukajmy Dicka.

Dick Brewer rozstawił kilka furmanek w różnych miejscach rynku. Na każdej stała ogromna beka. Jego dzieci, wnuki, zięciowie i synowie sprzedawali z nich piwo tak szybko, jak tylko mogli. Caris i Merthin zastali go z dużym kuflem piwa własnego wyrobu w ręku. Dick dawał dobry przykład klientom, obserwując, jak członkowie rodziny zarabiają dla niego pieniądze. Caris zawołała go na stronę i przedstawiła sprawę.

- Przypuszczam, że po śmierci twojego ojca jego majątek zostanie równo podzielony między ciebie i twoją siostrę - rzekł Dick.

- Tak - potwierdziła Caris. Edmund już powiedział jej, że taka będzie jego ostatnia

wola.

- Kiedy spadek Alice połączy się z majątkiem jej męża, Elfric stanie się bardzo bogaty.

Caris uświadomiła sobie, że połowa pieniędzy, które zarabia na handlu szkarłatną tkaniną, może trafić w ręce siostry. Do tej pory o tym nie myślała, gdyż nie dopuszczała do siebie myśli o śmierci ojca. To ją zaszokowało. Pieniądze nie znaczyły dla niej wiele, lecz nie chciała utorować Elfricowi drogi do stanowiska starszego.

- Nie chodzi wyłącznie o to, kto jest najbogatszy - odparła. - Potrzebny jest nam ktoś, kto będzie występował w imieniu kupców.

- W takim razie musicie zaproponować innego kandydata.

- Zgodzisz się kandydować? - zapytała Caris. Dick pokręcił głową.

- Nie próbujcie mnie namawiać. Pod koniec tygodnia przekazuję interes w ręce najstarszego syna. Resztę życia zamierzam spędzić na popijaniu piwa, a nie warzeniu go.

Pociągnął długi łyk z kufła i beknął z zadowoleniem. Caris stwierdziła, że powinna pogodzić się z jego decyzją.

- Jak sądzisz, do kogo powinniśmy się zwrócić?

- Jest tylko jedna taka osoba - odparł Dick. - Ty.

- Ja? - zdziwiła się Caris. - Dlaczego?

- To ty zabiegasz o uzyskanie dla Kingsbridge praw miejskich. Most zbudowany przez twojego narzeczonego uratował targi wełny, a dzięki twojej tkaninie miasto odzyskało dochody po załamaniu się rynku wełny. Jesteś córką dotychczasowego starszego, iAchoć nie jest to stanowisko dziedziczne, ludzie uważają, że przywódcy płodzą przywódców. I mają rację. Prawie od roku pełnisz tę funkcję, od czasu gdy twojego ojca zaczęły opuszczać siły.

- Czy miasto miało kiedyś starszego, który był kobietą?

- O ile mi wiadomo, nie. I żaden nie był taki młody jak ty. Obie te sprawy będą zdecydowanie przemawiać przeciwko tobie. Nie mówię, że wygrasz. Mówię tylko, że nikt inny nie ma takich szans na pokonanie Elfrica.

Caris poczuła, że lekko kręci jej się w głowie. Czy to możliwe? Czy nadaje się na stanowisko starszego? A co z postanowieniem, że zostanie uzdrowicielką? Czy w mieście jest ktoś, kto lepiej od niej sprawdziłby się na stanowisku starszego?

- A może Mark Webber? - zasugerowała.

- Nadałby się, zwłaszcza że ma łebską babkę za żonę. Ale ludzie nadal uważają go za ubogiego tkacza.

- Teraz powodzi mu się dobrze.

- Dzięki twojemu szkarłatowi. Jednak ludzie są podejrzliwi wobec świeżych pieniędzy. Powiedzieliby, że Mark był tkaczem, który wzbogacił się ni stąd, ni zowąd. Chcą mieć starszego z zamożnej rodziny, którego ojciec był bogaty i dziadek również.

Caris pragnęła pokonać Elfrica, lecz nie była pewna, czy podoła wyzwaniom. Przyszła jej na myśl cierpliwość ojca, jego przenikliwość, z głębi serca płynąca serdeczność, niewyczerpana energia. Czy ona ma te cechy? Spojrzała na Merthina.

- Byłabyś najlepszym starszym, jakiego to miasto kiedykolwiek miało - rzekł.

Jego niezłomne przekonanie zadecydowało.

- Dobrze, będę kandydowała.

Godwyn zaprosił Elfrica na obiad w piątek tygodnia targów. Zamówił drogie potrawy, takie jak łabędź w imbirze z miodem. Philemon podałjedzenie i również zasiadł do posiłku.

Obywatele postanowili wybrać nowego starszego miasta. W nader krótkim czasie wyłoniło się dwoje głównych kandydatów: Elfric i Caris.

Godwyn nie darzył Elfrica sympatią, ale uważał go za użytecznego. Nie wyróżniał się jako budowniczy, lecz przekonał do siebie przeora Anthony'ego i tym sposobem zdobył kontrakt na prace remontowe w katedrze. Po przejściu obowiązków poprzednika Godwyn dostrzegł w Elfricu służalca i go zatrzymał. Elfric nie był lubiany, lecz zatrudniał lub podnajmował większość rzemieślników i dostawców w mieście, a ci mu się podlizywali w nadziei na zlecenia. Zaskarbiwszy sobie jego zaufanie, chcieli go widzieć na takim stanowisku, które pozwoli mu obdzielać ich względami. Stanowili bazę jego poparcia.

- Nie lubię niepewności - zaczął Godwyn.

Elfric spróbował łabędziego mięsa i mruknął z aprobatą.

- W jakim kontekście?

- Mówię o wyborach nowego starszego gildii.

- Wybory są niepewne ze swej natury, chyba że jest jeden kandydat.

- Tak bym wolał.

- Ja też, pod warunkiem że byłbym nim ja.

- To właśnie sugeruję. Elfric uniósł głowę.

- Naprawdę?

- Powiedz mi, Elfricu, jak bardzo pragniesz zostać starszym? Elfric przełknął duży kęs mięsa.

- Chcę - odrzekł nieco chrapliwie. Siorbnął wina. - Zasługuję na to - dodał z nutą oburzenia. -

Nie jestem gorszy od innych, zgadza się? Dlaczego nie miałbym być starszym?

- Czy popierałbyś wniosek o przyznanie Kingsbridge praw miejskich? Elfric przyjrzał mu się uważnie.

- Prosisz mnie o jego wycofanie?

- Gdybyś został starszym, poprosiłbym cię o to.

- Pomożesz mi w wyborach?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Eliminując kontrkandydatkę. Elfric spojrział nań z niedowierzaniem.

- Nie wiem, w jaki sposób mógłbyś tego dokonać. Godwyn skinął głową na Philemona, a ten rzekł:

- Uważam, że Caris jest heretyczką. Elfric upuścił nóż.

- Chcecie oskarżyć ją o czary?

- Nikomu nie wolno ci o tym powiedzieć - ostrzegł Philemon. - Jeśli dowie się zawczasu, może uciec.

- Tak jak Mattie Wise.

- Dałem niektórym do zrozumienia, że Mattie została złapana i to ona stanie w sobotę przed sądem kościelnym. Ale w ostatniej chwili oskarżona zostanie inna osoba.

Elfric skinął głową.

- A w sądzie kościelnym na szczęście nie trzeba stawiać zarzutów i zdawać się na ławę przysięgłych. - Elfric spojrział na Godwyna. - I ty będziesz sędzią?

- Niestety, nie - odparł Godwyn. - Przewodniczącym będzie biskup Richard. Musimy więc dowieść, że mamy rację.

- Macie jakieś dowody? - zapytał sceptycznie Elfric.

- Chcielibyśmy mieć ich więcej - wyznał Godwyn. - Te, które mamy, wystarczyłyby aż nadto, gdyby oskarżoną była kobieta bez rodziny i przyjaciół, taka jak Szalona Neli. Ale Caris wszyscy znają, pochodzi z bogatej i wpływowej rodziny, o czym nie muszę cię przekonywać.

- Tak się dla nas szczęśliwie złożyło, że jej ojca zmogła choroba - wtrącił Philemon. - Bóg tak zrządził, dzięki czemu Edmund nie będzie mógł wstawić się za córką.

Godwyn skinął głową.

- Niemniej Caris ma wielu przyjaciół. Dlatego nasze dowody muszą być mocne.

- Co macie na myśli? Odpowiedział Philemon:

- Byłoby bardzo korzystne, gdyby ktoś z rodziny zaświadczył, że wzywała diabła, odwróciła

krzyż do góry nogami albo przemawiała do kogoś w pustym pomieszczeniu.

Przez chwilę Elfric patrzył, jakby nie rozumiał. Wnet go jednak olśniło.

- Och, macie na myśli mnie?
- Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.
- Proście mnie, żebym pomógł posłać siostrę żony na szubienicę?
- Tak, siostrę twojej żony, moją kuzynkę - potwierdził Godwyn.
- Dajcie mi pomyśleć.

Godwyn widział, jak na twarzy Elfrica walczą ze sobą ambicja, chciwość i próżność. Bóg potrafi wykorzystać dla swoich świętych celów nawet ludzkie słabości. Przeor mógł odgadnąć, o czym myśli Elfric. Stanowisko starszego miasta było uciążliwym wyzwaniem dla

kogoś tak pozbawionego egoizmu jak Edmund, kto używał swej władzy dla dobra kupców, lecz dla

Elfrica stanowiłoby niekończący się ciąg okazji do wzbogacenia się i wywyższania.

- Jeśli nigdy nie byłeś świadkiem niczego podejrzanego, to oczywiście nie ma o czym mówić
- ciągnął gładko Philemon. - Proszę cię jednak, żebyś dokładnie poszukał w pamięci.

Godwyn zauważył, że Philemon nauczył się bardzo dużo w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie zostało śladu po niezdarnym słudze z miotłą. Teraz Philemon wysławiał się niczym arcydiakon.

- Może były jakieś zdarzenia, które wtedy wydawały się całkowicie nieszkodliwe, ale w świetle tego, co dzisiaj usłyszałeś, nabierają złowrogiego znaczenia. Po dojrzałej refleksji możesz dojść do wniosku, że nie są jednak takie niewinne, na jakie wyglądały.

- Rozumiem, bracie - odparł Elfric.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Nikt nie jadł. Godwyn czekał cierpliwie na decyzję Elfrica.

- Poza tym, naturalnie, gdyby Caris zmarła, wówczas cały majątek Edmunda przeszedłby na drugą siostrę, Alice... Twoją żonę.

- Ja również o tym pomyślałem.
- A zatem? - spytał Philemon. - Czy przychodzi ci do głowy coś, co mogłoby nam pomóc?
- O tak, i to sporo - odrzekł Elfric.

42

Caris nie mogła dowiedzieć się prawdy o Mattie Wise. Niektórzy powiadali, że ją pojmano i osadzono w celi w klasztorze. Inni twierdzili, że będzie sądzona zaocznie. Jeszcze inni utrzymywali, że ktoś zupełnie inny stanie przed sądem za herezję. Godwyn nie chciał odpowiadać na jej pytania, a pozostali mnisi twierdzili, że nic nie wiedzą.

Poszła w sobotę do katedry z mocnym postanowieniem, że będzie broniła Mattie bez względu

na to, czy będzie obecna, czy nie. Będzie broniła każdej biedaczki, która zostanie w absurdalny sposób oskarżona. Dlaczego mnisi i księża tak bardzo nienawidzą kobiet? Oddają cześć Matce Boskiej, lecz każdą inną niewiastę traktują jak wcielenie szatana. Co jest z nimi nie tak?

W sądzie świeckim istniała ława przysięgłych, zajmująca się aktem oskarżenia i wstępnym przesłuchaniem. Dzięki temu Caris mogłaby się wcześniej dowiedzieć, jakie dowody zgromadzono przeciwko Mattie. Ale Kościół stosował własne reguły.

Bez względu na to, co zostanie powiedziane, Caris oświadczy głośno i wyraźnie, że Mattie jest prawdziwą uzdrowicielką korzystającą z ziół i lekarstw, która zawsze każe pacjentom prosić Boga o uzdrowienie. Niektórzy spośród mieszczan wiele Mattie zawdzięczają i na pewno się za nią wstawią.

Stojąc z Merthinem w północnej części transeptu, Caris przypomniała sobie, jak przed dwoma laty sądzono Szaloną Neli. Powiedziała sądowi, że Neli jest obłąkana, lecz nieszkodliwa. Na nic się to zdało.

Dziś w katedrze zgromadziło się wielu mieszczan i przybyszów liczących na dramatyczne widowisko: oskarżenia, kontroskarżenia, klótnie, wybuchy hysterii, przekleństwa, a później spektakl, w czasie którego kobieta zostanie za pomocą bata przepędzona przez miasto, a potem powieszona na szubienicy. Nie zabrakło wędrownego mnicha Murdo, który zawsze przybywał na takie procesy. Dawały mu okazję do zaprezentowania tego, co umie najlepiej, czyli wzniesienia hysterii tłumu wiernych.

W oczekiwaniu na przybycie duchownych Caris oddała się rozmyślaniom. Jutro w tym kościele weźmie ślub z Merthinem. Berty Baxter i jej cztery córki już pracowicie pieką chleb i ciasta na ucztę. Jutro w nocy Caris i Merthin będą spali razem w jego domu na Wyspie Trędotowych.

Przestała obawiać się małżeństwa. Podjęła decyzję i pogodzi się ze wszystkimi konsekwencjami. W istocie czuła się szczęśliwa. Czasem dziwiła się, że mogła odczuwać taki lęk. Merthin nikogo nie uczyniłby swoim niewolnikiem, nie leżało to w jego naturze. Był dobry nawet dla swojego pomocnika Jimmiego.

Najbardziej lubiła cielesną bliskość, jaka łączyła ją z Merthinem. Nigdy w życiu nie zdarzyło jej się nic lepszego. Najbardziej marzyła o ich własnym domu i łóżku, o tym, że będą mogli się kochać, kiedy tylko zapragną, przed snem i po przebudzeniu, w środku nocy lub w środku dnia.

W katedrze pojawili się mnisi i zakonnice, prowadzeni przez biskupa Richarda, któremu towarzyszył arcydiakon Lloyd. Gdy zajęł miejsce, głos zabrał Godwyn:

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, by sądzić oskarżoną o herezję Caris, córkę Edmunda Woolera.

Wśród wiernych rozległo się westchnienie niedowierzania.

- Nie! - krzyknął Merthin.

Wszyscy skierowali wzrok na Caris. Ogarnął ją przeraźliwy lęk. Czegoś takiego nie podejrzewała. To było jak cios w ciemności.

- Dlaczego? - jęknęła.

Nikt nie odpowiedział na jej pytanie.

Przypomniała sobie słowa ojca, który przestrzegał, że Godwyn nie cofnie się przed niczym, by zapobiec uzyskaniu przez Kingsbridge praw miejskich. „Wiesz, jaki jest bezwzględny nawet w drobnych sprawach. Takie posunięcie wywoła wojnę”. Caris zadrżała, przypomniawszy sobie swoją odpowiedź: „A więc niech będzie wojna”.

Mimo wszystko Godwyn miałby nikłe szanse, gdyby ojciec Caris był zdrowy. Edmund walczyłby z Godwynem bez wytchnienia i prawdopodobnie by go pokonał. Dla samej Caris sprawa przedstawiała się zgoła inaczej. Nie miała jeszcze siły ojca, jego autorytetu, i nie mogła liczyć na takie poparcie wśród ludzi. Bez niego była łatwym łupem.

Zauważyła w tłumie Petranillę, która jako jedna z niewielu nie patrzyła na nią. Jak może stać i nic nie mówić? Petranilla naturalnie popiera syna w jego przedsięwzięciach, ale chyba nie pozwoli, by skazał Caris na śmierć? Powiedziała kiedyś, że chce być dla niej jak matka. Czy o tym pamięta? Caris w to wątpiła. Jej oddanie synowi było zbyt wielkie. Już postanowiła, że nie będzie mu w niczym przeszkadzała. Wstał Philemon.

- Lordzie biskupie - rzekł, oficjalnie zwracając się do sędziego. Zaraz jednak odwrócił się w stronę wiernych. - Jak wszyscy wiedzą, Mattie Wise uciekła, bo czuła się winna i bała się stanąć przed sądem. Caris od lat regularnie gościła w domu Mattie. Nie dalej jak kilka dni temu broniła tej kobiety przy świadkach, tu, w katedrze.

A więc to dlatego Philemon wypytywał ją o Mattie. Caris podchwyciła spojrzenie Merthina, który niepokoił się wówczas, gdyż nie wiedział, do czego Philemon dąży. Teraz oboje przekonali się, że miał rację.

Mimo iż znalazła się w tak strasznej sytuacji, Caris nie mogła się nadziwić przemianie, jaka zaszła w Philemonie. Ten niegdyś fajtłapowaty i zahukany chłopak stał teraz przed biskupem, przeorem i mieszczanami, i było w nim tyle jadu, co w wężu gotowym do ataku.

- Chciała przysiąc, że Mattie nie jest czarownicą - ciągnął Philemon. - Dlaczego miałyby to robić? Chyba tylko po to, by zataić własną winę.

- Dlatego że jest niewinna, tak samo jak Mattie, ty kłamliwy hipokryto! - krzyknął Merthin.

Mógłby zostać za to zakuty w dyby, lecz inni także krzyczeli, więc obraza przeszła bez komentarza.

- Niedawno Caris w cudowny sposób ufarbowała wełnę na dokładnie taki sam kolor jak szkarłat sprzedawany przez włoskich kupców. Barwiarzom z Kingsbridge nigdy się to nie udało. Jak tego dokonała? Za pomocą magicznego zaklęcia!

- To kłamstwo! - mruknął basem Mark Webber.

- Nie zdołałaby tego zrobić w świetle dnia, oczywiście. Nocą rozpałała ognisko w ogrodzie, widzieli to ci, którzy obok niej mieszkają.

Caris zorientowała się, że Philemon jest bardzo podstępny. Wypytał sąsiadów.

- I śpiewała przy tym dziwne rymy. Dlaczego?

Caris podśpiewywała sobie z nudów, gotując barwniki i zanurzając w nich tkaninę, lecz Philemon potrafił zamienić niewinny drobiazg w świadectwo zła.

- Dlatego, że przyzywała na pomoc księcia ciemności... Lucyfera! - dokończył podniesionym głosem.

Wierni zadrżeli z przerażenia.

- Ta tkanina to szkarłat szatana!

Caris spojrzała na Merthina. Chłopak był przerażony.

- Ci durnie zaczynają mu wierzyć!

- Nie popadaj w rozpacz - powiedziała. - Jeszcze nie miałam okazji zabrać głosu.

Merthin wziął ją za rękę.

- To nie jedyne zaklęcie, jakiego użyła - ciągnął już spokojniej Philemon. - Mattie Wise warzyła też napoje miłosne. - Philemon potoczył oskarżycielskim wzrokiem po wiernych. - Może nawet znajdują się tutaj niegodziwe młódki, które posłużyły się jej wywarem, by opętać mężczyznę. Na przykład twoja siostra, pomyślała Caris. Czy Philemon o tym wie?

- Oto nowicjuszka, która zechciała zeznawać.

Wstała Elizabeth Clerk. Przemówiła cichym głosem, ze spuszczonego wzrokiem. Wyglądała jak uosobienie skromnej zakonnicy.

- Mówię to pod przysięgą, z nadzieją zbawienia. Byłam zaręczona z budowniczym Merthinem.

- Kłamie! - krzyknął Merthin.

- Byliśmy zakochani i szczęśliwi - ciągnęła Elizabeth. - I nagle Merthin się zmienił. Zachowywał się jak obcy człowiek. Stał się zimny.

- Czy zauważyłaś u niego coś osobliwego, siostrze? - indagował Philemon.

- Tak, bracie. Trzymał nóż w lewej ręce.

Thum westchnął. Posługiwanie się lewą ręką było uznanym znakiem opętania. Caris wiedziała,

że Merthin jest oburęczny.

- Potem oznajmił, że ożeni się z Caris - dokończyła Elizabeth.

To niesamowite, pomyślała Caris, że wystarczy odrobinę przekręcić prawdę, by zabrzmiała złowrogo. Wiedziała, co się naprawdę zdarzyło. Merthin i Elizabeth przyjaźnili się do momentu, gdy Elizabeth dała jasno do zrozumienia, że chce być dla niego czymś więcej niż przyjaciółką. Wtedy Merthin oświadczył, że nie podziela jej uczuć, i się rozstali. Lecz opowieść Elizabeth zabrzmiała o wiele ciekawiej, gdy wzbogaciła ją o szatańskie zaklęcie.

Elizabeth mogła nawet przekonać samą siebie, że mówi prawdę, jednak Philemon wiedział, że kłamie. A Philemon był narzędziem w ręku Godwyna. Jak Godwyn może mieć czyste sumienie, czyniąc tak potworną niegodziwość? Czyżby wmawiał sobie, że wszystko, co robi, jest usprawiedliwione dlatego, że służy klasztorowi?

- Nigdy nie pokocham innego mężczyzny - dokończyła Elizabeth. - Właśnie dlatego postanowiłam poświęcić życie Bogu.

Usiadła.

To było bardzo mocne świadectwo. Caris uświadomiła to sobie z przerażeniem czarnym jak zimowe niebo. Fakt, że Elizabeth została zakonnica, dodawał jej zeznaniu siły wiary. Uciekła się do swoistego szantażu emocjonalnego, jakby mówiła: „Jak możecie mi nie uwierzyć, skoro tak bardzo się poświęciłam?”.

Mieszkańcy miasta przycichli. To nie był wesoły spektakl, w którym skazywano na śmierć obłąkaną staruszkę. Obserwowali walkę o życie jednej ze współobywatelek.

- Lordzie biskupie, najbardziej obciążające jest zeznanie ostatniego ze świadków, bliskiego członka rodziny oskarżonej kobiety, jej szwagra Elfrica - oznajmił Philemon.

Caris otworzyła usta ze zdumienia. Oskarżył ją jej kuzyn Godwyn, brat najlepszej przyjaciółki Philemon oraz Elizabeth. Jednak to, że świadczył przeciwko niej mąż siostry, było dla niej najbardziej niepojętą zdradą. Była pewna, że Elfric straci szacunek wszystkich.

Elfric wstał. Jego wyzywająca mina powiedziała Caris, że wstydzi się tego, co robi.

- Mówię to pod przysięgą, z nadzieją zbawienia - zaczął.

Caris rozejrzała się za swoją siostrą, ale nigdzie jej nie zobaczyła. Gdyby była, z pewnością powstrzymałaby męża. Elfric na pewno kazał jej zostać w domu pod wymyślonym pretekstem. Zapewne nie wie, co dzieje się w katedrze.

- Caris przemawia do niewidzialnych osób w pustych pomieszczeniach.

- Do duchów? - zapytał Philemon.

- Obawiam się, że tak.

Wśród wiernych rozległ się pomruk przerażenia.

Caris miała świadomość, że często mówi do siebie na głos. Zawsze uważała to za niegroźny, jakkolwiek nieco zenujący nawyk. Ojciec powiadał, że wszyscy ludzie obdarzeni wyobraźnią tak robią. A teraz wykorzystano ten drobiazg, by ją pogrążyć. Zagryzła wargę. Lepiej pozwolić się oskarżać, by potem zbijać zarzuty jeden po drugim.

- Kiedy to robi? - dopytywał Elfric.

- Kiedy myśli, że jest sama.

- I co mówi?

- Trudno rozróżnić słowa. Możliwe, że przemawia obcymi językami. Wierni zareagowali i na to: powiadano, że czarownice i ich pobratymcy mają swój język, którego nikt poza nimi nie rozumie.

- Co może mówić?

- Sądząc po głosie, prosi o pomoc, o szczęście i przeklina tych, którzy przynoszą jej pecha, tak mi się wydaje.

- To nie jest dowód! - krzyknął Merthin. Wszyscy spojrzeli na niego. - On sam przyznał, że nie rozumie słów, zmyśla to wszystko!

Co trzeźwiej myślący obywatele przytaknęli, lecz Caris spodziewała się, iż zareagują głośniejsze i z większym oburzeniem.

- Cisza - odezwał się po raz pierwszy biskup. - Ci, którzy zakłócają posiedzenie sądu, zostaną usunięci przez porządkowego. Proszę kontynuować, bracie Philemonie. Ale nie każ świadkowi wymyślać dowodów, skoro przyznał, że nie zna prawdy.

On przynajmniej nikogo nie faworyzuje, pomyślała Caris. Richard i jego krewni nie darzyli Godwyna sympatią po awanturze przed ślubem Margery. Wszelako z drugiej strony Richard mógł nie chcieć, by miasto wyrwało się spod władzy klasztoru. Może chociaż okaże neutralność. Caris zaświtała odrobina nadziei.

- Myślisz, że pobratymcy, z którymi rozmawia, pomagają jej w jakiś sposób? - spytał Philemon.

- Na pewno - odparł Elfric. - Przyjaciołom Caris, tym, których obdarza względami, sprzyja szczęście. Merthin został budowniczym, mimo że nie ukończył terminu. Mark Webber był biedakiem, a teraz jest bogaty. Przyjaciółka Caris, Gwenda, wyszła za Wulfrica, choć ten był zaręczony z inną. Jak mogli tego dokonać bez pomocy sił nadprzyrodzonych?

- Dziękuję. Elfric usiadł.

Philemon podsumowywał oskarżenia, a Caris walczyła z narastającym strachem. Próbowwała usunąć z pamięci widok Szalonej Neli, którą wleczono za wozem i chłostano. Starła się skupić na

tym, co powinna powiedzieć w swojej obronie. Z łatwością wykipałoby każde zeznanie świadczące przeciwko niej, ale to może się okazać za mało. Musi wytłumaczyć, dlaczego świadkowie kłamali na jej niekorzyść, ujawnić ich prawdziwą motywację.

Kiedy Philemon skończył, Godwyn zapytał ją, czy ma coś do powiedzenia.

- Tak, oczywiście, że mam - odparła pewnym głosem.

Wyszła przed wiernych, którzy zgromadzili się w kościele. Nie miała zamiaru pozwolić, by jej oskarżyciele występowali z pozycji autorytetów, a ona nie. Milczała przez dłuższą chwilę, po czym podeszła do tronu i spojrzała Richardowi prosto w oczy.

- Lordzie biskupie, mówię to pod przysięgą, z nadzieją zbawienia - Caris odwróciła się do zgromadzonych. - Zwróciło moją uwagę, że Philemon nie wypowiedział tych słów.

- Jako mnich nie musi przysięgać - wtrącił Godwyn.

- Jego szczęście, bo w przeciwnym razie smażyłby się w piekle za kłamstwa, które tu dzisiaj wypowiedział! - rzekła podniesionym głosem Caris.

Punkt dla mnie, pomyślała z nadzieją.

Zwracała się do wiernych. Decyzję podejmie biskup, lecz reakcja mieszkańców miasta będzie miała na niego duży wpływ. Richard nie jest wzorem przestrzegania zasad.

- Mattie Wise wyleczyła wielu ludzi w tym mieście - zaczęła Caris. - Dokładnie dwa lata temu, kiedy zawalił się most, była jedną z tych, którzy udzielali pomocy rannym, pracowała razem z matką Cecilią i zakonnicami. Rozglądam się i widzę tu wiele osób, którym ulżyła w cierpieniu. Czy ktoś słyszał, jak tego dnia wzywała diabła? Jeśli słyszał, to niech się odezwie.

Caris zrobiła pauzę, dając ludziom chwilę do namysłu. Spojrzała na Madge Webber.

- Mattie podała ci napój, który zbił gorączkę twojemu dziecku. Co ci mówiła? Madge się przestraszyła. Nikt nie czuł się pewnie, kiedy powoływano go na świadka zeznającego w obronie czarownicy. Jednak Madge wiele zawdzięczała Caris. Wyprostowała się i rozejrzała wyzywająco.

- Powiedziała: „Módl się do Boga, bo tylko on potrafi uzdrawiać”. Caris wskazała palcem na porządkowego.

- John, Mattie ulżyła ci w bólu, kiedy Matthew Barber nastawiał ci złamane kości. Co ci wtedy mówiła?

Porządkowy przywykł do tego, że jest wzywany na świadka oskarżenia, ale on też poczuł się nieswojo. Mimo to mocnym głosem powiedział prawdę:

- Rzekła: „Módl się do Boga, bo tylko on potrafi uzdrawiać”. Caris odwróciła się do zebranych.

- Każdy wie, że Mattie nie była czarownicą. W takim razie, bracie Philemonie, dlaczego

uciekła? Łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Bała się kłamstw, które zostaną o niej powiedziane. Takich samych, jakie wypowiedziano na mój temat. Która z was, kobiety, fałszywie oskarżona o herezję, wierzyłaby, że zdoła dowieść swojej niewinności wobec sądu, w którym zasiadają księża i mnisi? - Caris rozejrzała się, zatrzymując wzrok na znaczniejszych obywatelkach miasta: Lib Wheeler, Sarah Taverner, Susannie Chepstow.

- Dlaczego mieszałam farby w nocy? - podjęła po chwili. - Dlatego że dni były krótkie! Tak jak wielu z was mój ojciec poniósł wielkie straty w czasie zeszłorocznych targów, a ja chciałam zrobić z wełny coś, co się sprzeda. Trudno było odkryć formułę, ale udało mi się dzięki ciężkiej pracy w dzień i w nocy, po wielu godzinach, jednak bez pomocy szatana.

Zrobiła pauzę, by zaczerpnąć tchu.

- Oskarża się mnie o to, że rzuciłam czar na Merthina - ciągnęła nieco weselszym tonem. - Muszę przyznać, że w tym przypadku dowody przeciwko mnie są mocne. Spójrzcie na siostrę Elizabeth. Wstań, siostro, proszę.

Elizabeth niechętnie spełniła prośbę.

- Jest piękna, nieprawdaz? Trudno również odmówić jej bystrości. I jest córką biskupa. Och, wybacz, lordzie biskupie, nie chciałam nikogo urazić.

Wierni parsknęli śmiechem. Godwyn patrzył z oburzeniem, lecz biskup stłumił uśmiech.

- Siostra Elizabeth nie może pojąć, dlaczego mężczyzna woli mnie od niej. Ja też nie mogę tego zrozumieć. To niewytłumaczalne, lecz Merthin kocha mnie, mimo że nie jestem urodziwa. - Znow rozległy się śmiechy. - Przykro mi, że Elizabeth ma w sobie tyle gniewu. Gdybyśmy żyli w czasach Starego Testamentu, Merthin mógłby mieć dwie żony i wszyscy byliby zadowoleni.

Caris odczekała, aż śmiech ucichnie. Potem surowym tonem kontynuowała:

- Jednak najsmutniejsze jest to, że zwykła zazdrość odtrąconej kobiety może stać się pretekstem dla fałszywego mnicha nowicjusza, który rzuca oskarżenie o herezję.

Philemon wstał, by zaprotestować, lecz Richard machnął na niego ręką.

- Niech mówi, niech mówi.

Caris uznała, że dość powiedziała o Elizabeth.

- Przyznaję, że czasem używam wulgarnych słów, gdy jestem sama, zwłaszcza gdy uderzę się na przykład w palec u nogi. Ale może ktoś chciałby zapytać, dlaczego mój szwagier zeznaje przeciwko mnie i mówi, że moje mamrotanie jest przyzywaniem złych duchów. Obawiam się, że nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. - Caris zrobiła przerwę, po czym podjęła z powagą: - Mój ojciec leży złożony chorobą. Jeśli umrze, jego majątek zostanie podzielony między mnie i moją siostrę. Ale jeśli ja umrę pierwsza, ona dostanie wszystko. A moja siostra jest żoną Elfrica.

Caris przerwała, spoglądając pytająco na zgromadzenie.

- Dziwicie się? Ja także. Ale ludzie zabijają dla błahszych korzyści. Udała, że skończyła.

Philemon wstał, ale Caris odwróciła się nagle i przemówiła po łacinie:

- Caput tuum in ano est.

Mnisi roześmiali się głośno, a Philemon się zaczerwienił. Caris zwróciła się do Elfrica.

- Nie zrozumiałeś, prawda?

- Nie - przyznał posepnie Elfric.

- Może to jest powód, dla którego uważałeś, że używam złowrogiego języka czarów. -

Spojrzała na Philemona. - Bracie, wiesz, w jakim języku się odezwałam, prawda?

- Po łacinie.

- Może wyjaśnisz, co do ciebie powiedziałam.

Philemon spojrzał pytająco na biskupa. Richard był rozbawiony.

- Odpowiedz na pytanie.

Wściekły Philemon musiał spełnić polecenie.

- Powiedziałaś: „Masz głowę w tyłku”.

Wierni ryknęli śmiechem, a Caris wróciła na swoje miejsce.

Kiedy gwar ucichł, Philemon chciał zabrać głos, lecz Richard mu nie pozwolił.

- Nie musisz mówić nic więcej. Przytoczyłeś mocne dowody przeciwko oskarżonej, a ona energicznie się broniła. Czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Tak, lordzie biskupie - odezwał się wędrowny mnich Murdo. Niektórzy wierni przyjęli jego słowa z radością, inni jęknęli. Murdo wzbudzał sprzeczne reakcje. - Herezja jest złem - zaczął, modulując głos. - Psuje ona dusze kobiet i mężczyzn...

- Dziękuję, bracie, wiemy, czym jest herezja - wszedł mu w słowo Richard. - Czy masz coś poza tym do powiedzenia? Bo jeśli nie...

- Tylko tyle. Zgadza się ze wszech miar...

- Jeśli była już o tym mowa...

- ...z twoimi słowami, lordzie biskupie, że dowody są mocne, podobnie jak obrona.

- Wobec tego...

- Chcę zaproponować rozstrzygnięcie.

- Słuchamy, bracie Murdo. Tylko zwięźle, proszę.

- Trzeba sprawdzić, czy oskarżona nosi znak diabła. Caris omal nie stanęło serce.

- Naturalnie - rzekł biskup. - Pamiętam, że w czasie poprzedniego procesu zaproponowałeś to

samo.

- W istocie, lordzie biskupie, albowiem diabeł ssie krew swoich wyznawców przez specjalny sutek, tak jak nowo narodzone dziecię ssie nabrzmiąle piersi...

- Dziękuję, bracie, nie potrzebujemy więcej szczegółów. Matko Cecilio, czy mogłabyś przy pomocy dwóch sióstr zaprowadzić oskarżoną do miejsca, w którym będziecie mogły dokonać oględzin?

Caris spojrzała na Merthina, który pobladł ze strachu. Oboje pomyśleli o tym samym.

Oznamieniu.

Było maleńkie, ale zakonnice niezawodnie je zauważą. Znajduje się właśnie w takim miejscu, które uważane jest za przedmiot zainteresowania diabła: po lewej stronie, tuż obok wejścia do pochwy. Jest ciemnobrązowe, złotorude włosy, które rosną wokół, nie zakrywają go. Ujrzawszy je po raz pierwszy, Merthin powiedział: „Wędrowny mnich Murdo nazwałby cię czarownicą. Lepiej mu tego nie pokazuj”. Caris roześmiała się i odparła: „Przenigdy, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na świecie”.

Jak mogli o tym mówić w tak niefrasobliwy sposób? Teraz Caris z powodu znamienia zostanie skazana na śmierć.

Rozejrzała się rozpaczliwie. Uciekłyby, lecz otaczały ją setki ludzi, niektórzy by ją złapali. Zobaczyła, że Merthin trzyma rękę na trzonku noża. Lecz nawet gdyby miał miecz i był wielkim wojownikiem - którym nie był - nie przebiłby się przez taki tłum.

Matka Cecilia podeszła i wzięła Caris za rękę.

Caris postanowiła, że ucieknie, gdy tylko znajdą się poza kościołem. Wyrwie się bez trudu, kiedy będą przechodziły przez teren klasztoru.

- Porządkowy niech weźmie jednego ze swoich zastępców i odprowadzi oskarżoną na miejsce oględzin. Czekać tam aż do ich zakończenia.

Cecilia nie powstrzymałaby Caris, lecz dwóch mężczyzn, owszem.

John spojrzał na Marka Webbera, którego zwykle wybierał jako pierwszego spośród swoich zastępców. Caris poczuła cień nadziei. Mark był jej lojalnym przyjacielem. Jednak porządkowemu przysłała do głowy ta sama myśl, bo odwrócił się w drugą stronę i wskazał Christophera Blacksmitha*[* Blacksmith (ang.) - kowal.].

Cecilia delikatnie pociągnęła Caris za rękę.

Caris niczym lunatyczka pozwoliła Cecilii wyprowadzić się z katedry. Wyszły północnymi drzwiami, za nimi podążyły siostra Mair i Stara Julie. John Constable i Christopher Blacksmith zamykali mały pochód. Minęli klasztor, wkroczyli do kwater zakonnice i dormitorium. Mężczyźni

zostali za drzwiami.

Cecilia zamknęła drzwi.

- Nie musicie mnie oglądać - rzekł posępnie Caris. - Mam znak.

- Wiemy o tym - odparła Cecilia. Caris zmarszczyła czoło.

- Skąd?

- Myłyśmy cię. - Cecilia wskazała Mair i Julie. - Wszystkie trzy. Kiedy trafiłaś do szpitala dwa Boże Narodzenia temu. Zjadłaś coś i się zatrzałaś.

Cecilia nie wiedziała - albo udawała, że się nie domyśliła - że Caris zażyła napój, by pozbyć się ciąży.

- Wymiotowałaś i wypróżniałaś się gwałtownie - ciągnęła przeorysza. - I krwawiłaś na dole.

Trzeba cię było podmywać wiele razy. Wszystkie widziałyśmy znamię.

Rozpacz i beznadzieja zalały Caris. Zamknęła oczy.

- Skażecie mnie na śmierć - powiedziała niemal szeptem.

- Niekoniecznie - odparła Cecilia. - Może jest inne wyjście.

III

III

Merthin był zrozpaczony, gdyż Caris wpadła w pułapkę. Zostanie skazana na śmierć, a on nie może nic zrobić. Nie zdołałby jej ocalić, nawet gdyby był Ralphem, miał silne bary i miecz i lubił przelewać krew. Patrzył przerażony, jak ukochana znika za drzwiami. Wiedział, gdzie znajduje się znamię Caris, i nie miał wątpliwości, że zakonnice je znajdą. Właśnie tam będą szukały szczególnie gorliwie.

Zewsząd dobiegały podniesione głosy wiernych. Jedni opowiadali się za Caris, inni przeciw niej, lecz Merthin czuł się od nich odgradzony, prawie nie słyszał, co mówią. Rozmowy brzmiały w jego uszach jak chaotyczne bicie w setki bębnow.

Spojrzał na Godwyna i zaczął się zastanawiać, co przeor myśli. Potrafił zrozumieć innych: Elizabeth zżerała zazdrość, Elfrica chciwość, a Philemon był pełen złości. Lecz Godwyn stanowił zagadkę. Wychował się z Caris, była jego kuzynką, wiedział, że nie jest czarownicą, a mimo to gotów był gotów posłać ją na śmierć. Jak można być tak złym? Jaką wymówkę wymyślił dla siebie przeor? Czy wmówił sobie, że robi to wszystko na chwałę Pana Boga? Kiedyś wydawało się, że Godwyn jest człowiekiem oświeconym i przyzwoitym, lekarstwem na konserwatyzm Anthony'ego. Tymczasem „okazał się od niego o wiele gorszy: dążył do tych samych celów, tylko w sposób bardziej bezwzględny.

Jeśli Caris umrze, zabiję Godwyna, pomyślał Merthin.

Podeszli do niego rodzice. Byli w katedrze przez cały czas trwania procesu. Ojciec coś

powiedział, lecz Merthin tego nie zrozumiał.

- Słucham?

Północne drzwi katedry otworzyły się i ludzie umilkli. Weszła matka Cecilia i zamknęła za sobą drzwi. Rozległ się pełen zdziwienia pomruk. Co teraz będzie? Cecilia zbliżyła się do tronu biskupa.

- A zatem, matko przełożona? Co masz do powiedzenia sądowi?

- Caris wyznała... - zaczęła wolno Cecilia. Z tłumu dobiegły okrzyki niedowierzania.

- ...wyznała swoje grzechy - ciągnęła donośniej głosem Cecilia. Wszyscy znów zamilkli.

Co to ma znaczyć?

- Otrzymała rozgrzeszenie...

- Od kogo? - wpadł jej w słowo Godwyn. - Zakonnicy nie wolno udzielać rozgrzeszenia!

- Od ojca Joffroia.

Merthin znał Joffroia. Pełnił on posługę w kościele Świętego Marka, w którym Merthin zreperował dach. Joffroi nie przepadał za Godwynem.

Nadal jednak nikt nie rozumiał, co się dzieje. Wszyscy czekali na wyjaśnienia Cecylii.

- Caris poprosiła o przyjęcie jej do grona nowicjuszek w naszym klasztorze... Znów przerwały jej okrzyki zgromadzonych w kościele mieszczan.

- ...a ja wyraziłam zgodę! - dokończyła Cecilia, przekrzykując tłum. Wnętrze katedry załał tumult. Godwyn wrzeszczał coś na cały głos, lecz nie sposób było zrozumieć słów. Elizabeth była wściekła, Philemon spoglądał na Cecylię z jadowitą nienawiścią, Elfric był zdezorientowany, a Richard - rozbawiony. W głowie Merthina się zakotłowało. Czy biskup się zgodzi? Czy słowa Cecylii oznaczają koniec procesu? Czy Caris została ocalona?

Godwyn przemówił, gdy tylko gwar ucichł. Jego twarz pobieliała z wściekłości.

- Oskarżona przyznała się do herezji czy nie?

- Spowiedź jest świętą tajemnicą - odparła spokojnie Cecilia. - Nie wiem, co oskarżona powiedziała kapłanowi, a gdybym nawet wiedziała, nie mogłabym się tą wiedzą z nikim podzielić.

- Czy nosi znamię szatana?

- Nie zbadaliśmy jej. - Była to niepełna odpowiedź, Merthin zdawał sobie z tego sprawę. Jednak Cecilia dodała szybko: - Przestało to być konieczne, gdy tylko otrzymała rozgrzeszenie.

- To niedopuszczalne! - ryknął Godwyn, który przestał udawać, że to Philemon jest oskarżycielem. - Przeoryszy nie wolno zakłócać w ten sposób przebiegu procesu!

- Dziękuję, ojcie przeorze... - odezwał się biskup.

- Porządek obrad sądu musi zostać dopełniony.

- Wystarczy! - Richard podniósł głos.

Godwyn otworzył usta, lecz po chwili się zreflektował.

- Dość już tych sporów - uciął biskup. - Podjąłem decyzję i teraz chcę ją ogłosić.

Zapadła cisza.

- Propozycja, by Caris została przyjęta do zakonu, jest ciekawa. Jeśli jest czarownicą, nie będzie mogła wyrządzić żadnej szkody w tych świętych murach. Diabeł nie ma tutaj wstępu. Z drugiej zaś strony, jeśli nie jest wiedźmą, zostaniemy uratowani przed skazaniem niewinnej kobiety. Może Caris nie wybrałaby drogi zakonnej, lecz pocieszeniem będzie dla niej to, iż poświęci życie służbie bożej. Stwierdzam więc, że jest to satysfakcjonujące rozwiązanie.

- A jeśli opuści klasztor? - zapytał Godwyn.

- Słuszna uwaga - rzekł biskup. - Dlatego oficjalnie skazuję Caris na śmierć, lecz wyrok będzie zawieszony tak długo, jak długo skazana pozostanie zakonnica. Jeśli wyrzeknie się ślubów, wówczas zostanie wykonany.

Oto wyrok dożywocia, pomyślał z gniewem Merthin. Łzy żalu i gniewu napłynęły mu do oczu. Richard wstał.

- Odraczam posiedzenie sądu! - ogłosił Godwyn. Biskup wyszedł, mnisi i zakonnice podążyli za nim.

Merthin poruszał się jak we śnie. Matka mówiła coś do niego pocieszającym tonem, lecz jej nie słuchał. Pozwolił tłumowi unieść się do wielkich zachodnich drzwi katedry i dalej na trawnik. Kupcy pakowali resztki towarów i demontowali stragany. Targi wełny się zakończyły, następne będą za rok. Merthin uświadomił sobie, że Godwyn dopiął swego. Edmund leży na łożu śmierci, a Caris została usunięta. Teraz starszym gildii zostanie Elfric, który wycofa wniosek o nadanie Kingsbridge praw miejskich.

Spojrzał na szare kamienne mury klasztornych budowli. Gdzieś za nimi przebywała Caris. Skręcił w tamtą stronę, przeciskając się przez tłum, i ruszył w stronę szpitala.

Sala była pusta. Posadzka została pozamiatana, słomiane sienniki, z których korzystali goście, zostały schludnie ułożone pod ścianami. Na ołtarzu po wschodniej stronie płonęła świeca. Merthin przemierzył pomieszczenie, nie wiedząc, co robić.

Z Księgi Timothy 'ego pamiętał, że jego antenat, Jack Builder przez krótki czas był nowicjuszem. Autor napomknął, że Jack był opornym adeptem i z trudem dostosowywał się do zakonnej dyscypliny. W każdym razie jego nowicjat zakończył się nagle w okolicznościach, na które Timothy taktownie spuścił zasłonę milczenia.

Jednak biskup oznajmił, że jeśli Caris kiedykolwiek opuści klasztor, grozi jej wyrok śmierci.

Do szpitala weszła młoda zakonnica. Rozpoznawszy Merthina, przestraszyła się.

- Czego chcesz? ».

- Muszę porozmawiać z Caris.

- Pójdę zapytać - odparła i oddaliła się pośpiesznie.

Merthin popatrzył na ołtarz, na krzyż i tryptyk na ścianie, przedstawiający Elżbietę Węgierską, świętą patronkę szpitala. Na pierwszym skrzydle święta, która była księżniczką, miała na głowie koronę i karmiła biednych, na drugim budowała szpital, trzecie skrzydło ukazywało cud polegający na tym, że jedzenie, które niosła pod peleryną, zamieniło się w róże. Co Caris będzie robiła w takim miejscu? Była sceptyczką, wątpiła we wszystko, czego nauczał Kościół. Nie wierzyła, że księżniczka może przemienić chleb w róże.

- Skąd o tym wiadomo? - pytała, słysząc opowieści, które inni przyjmowali bez cienia wątpliwości: o Adamie i Ewie, o arce Noego, o Dawidzie i Goliacie, nawet o narodzeniu Jezusa. Będzie się tutaj czuła jak dziki kot w klatce.

Merthin musi z nią pomówić, dowiedzieć się, co myśli. Na pewno ma jakiś plan, którego nie odgadł. Czekał niecierpliwie na zakonnice. Zamiast niej zjawiała się Stara Julie.

- Dzięki Bogu! Muszę się zobaczyć z Caris, jak najprędzej.

- Przykro mi, młodzieńcze - odparła Julie. - Caris nie chce się z tobą widzieć.

- Nie żartuj - rzekł Merthin. - Jesteśmy zaręczeni, jutro mamy się pobrać. Caris musi się ze mną spotkać!

- Teraz jest nowicjuską. Nie wyjdzie za mąż.

- Jeśli to prawda, czy nie uważasz, że sama powinna mi o tym powiedzieć? - spytał podniesionym głosem Merthin.

- Nie mnie o tym decydować. Caris wie, że tu jesteś, i nie zechciała się z tobą zobaczyć.

- Nie wierzę ci.

Merthin przemknął obok starej zakonnicy i wszedł przez drzwi, z których skorzystała. Znalazł się w małym korytarzu. Nigdy przedtem tu nie był; niewielu mężczyzn kiedykolwiek weszło na teren żeńskiej części klasztoru. Minał następne drzwi i znalazł się we właściwym klasztorze. Zobaczył kilka zakonnicy; niektóre czytały, inne spacerowały po placu, medytując, a jeszcze inne rozmawiały przyciszonymi głosami.

Pobiegł wzdłuż kruzganków. Jakaś zakonnica zauważyła go i krzyknęła. Nie zwrócił na nią uwagi. Widząc schody, wbiegł na górę i wpadł do pierwszej izby. Znalazł się w dormitorium. Były tam dwa szeregi materacy z równo złożonymi kocami na wierzchu. Przeszedł kilka kroków korytarzem i spróbował otworzyć następne drzwi. Były zamknięte.

- Caris! - zawołał. - Jesteś tam? Odezwij się!

Uderzył pięścią w drzwi. Otarł sobie kostki do krwi, ale nie czuł bólu.

- Wpuść mnie!

- Ja cię wpuszczę - odpowiedział mu głos dobiegający zza jego pleców. Odwrócił się i ujrzał matkę Cecilie.

Przeorysza wyjęła zza paska klucz i spokojnie otworzyła drzwi. Merthin pchnął je niecierpliwie. Za nimi znajdowała się izba z pojedynczym małym okienkiem. Wszystkie ściany były zastawione regałami, na których leżały złożone ubrania.

- Tu trzymamy nasze zimowe habity - wyjaśniła Cecilia. - To magazyn.

- Gdzie jest Caris? - zawołał Merthin.

- W celi, która została zamknięta na jej prośbę. Nie znajdziesz jej, a nawet gdyby ci się udało, nie wejdiesz do środka. Caris nie zechce się z tobą spotkać.

- Skąd mam wiedzieć, że żyje? - Merthin wiedział, że głos drży mu z emocji, ale nie dbał o to.

- Znasz mnie - odparła zakonnica. - Caris żyje. - Spojrzała na jego rękę. - Skaleczyłeś się - powiedziała ze współczuciem. - Chodź ze mną, posmaruję ci ranę.

Merthin popatrzył na rękę, a potem na przeoryszkę.

- Jesteś diabolicą.

Ruszył biegiem tą samą drogą, którą przyszedł: do szpitala, obok przestraszonej Julie, i na dwór. Przedarł się przez rozgardiasz towarzyszący końcowi targów i wybiegł na główną ulicę. Pomyślał o tym, by pomówić z Edmundem, lecz zmienił zamiar. Ktoś inny powie schorowanemu ojcu Caris straszliwą prawdę. Komu można zaufać? Przyszedł mu na myśl Mark Webber.

Mark przeprowadził się z rodziną do dużego domu przy głównej ulicy miasta. Na parterze znajdował się zbudowany z kamienia składzik na bele tkaniny. W kuchni nie stało już krosno, bo tkaniem zajmowali się pracownicy, których nadzorowali Webberowie. Mark i Madge siedzieli na ławeczce z zafrasowanymi minami. Mark podskoczył na widok Merthina.

- Widziałeś ją? - spytał.

- Nie pozwoliły mi.

- To niesłychane! - rzekł Mark. - Nie mają prawa odmawiać jej widzenia z mężczyzną, za którego miała wyjść!

- Zakonnice mówią, że Caris nie chce mnie widzieć.

- Nie wierzę im.

- Ja też. Wszedłem do klasztoru i jej szukałem, ale na próżno. Jest tam wiele zamkniętych drzwi.

- Caris musi gdzieś być.

- Wiem. Pójdiesz ze mną? Weźmiemy młot i będziemy rozwalali wszystkie drzwi, dopóki jej nie znajdziemy.

Mark zrobił niepewną minę. Był silny, ale nie cierpiał przemocy.

- Muszę ją odnaleźć! - krzyczał Merthin. - Ona może nie żyć!

- Ja mam lepszy pomysł - oznajmiła Madge, zanim jej mąż zdążył odpowiedzieć.

Mężczyźni spojrzeli na nią.

- Pójdę do żeńskiego klasztoru, zakonnice spokojniej zareagują na widok kobiety. Może namówią Caris, żeby się ze mną zobaczyła.

Mark skinął głową.

- Przynajmniej dowiemy się, czy żyje.

- Ale mnie to nie wystarczy - jęknął Merthin. - Co ona sobie myśli? Chce poczekać, aż to szaleństwo przycichnie, i wtedy ucieknie? A może powinienem ją porwać? Lub czekać? Ale jak długo? Miesiąc? Rok? Siedem lat?

- Zapytam ją, jeśli zakonnice mnie wpuszczą. - Madge wstała. - Poczekaście tutaj.

- Nie, idę z tobą - oznajmił Merthin. - Zaczekam na zewnątrz.

- W takim razie Mark niech też pójdzie. Dotrzyma ci towarzystwa.

Chodziło jej o to, żeby Merthin nie zrobił jakiegoś głupstwa. Chłopak nie zaprotestował. Poprosił Webberów o pomoc i był rad, że ma przy sobie dwoje zaufanych ludzi.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę klasztoru. Mark i Merthin stanęli przed szpitalem, a Madge weszła do środka. Merthin zauważył Scrap, która czekała przy drzwiach, czekając na powrót pani.

- Zdaje mi się, że wpuścili ją do środka, bo inaczej już by wróciła - rzekł Merthin po upływie pół godziny.

- Zobaczymy - mruknął Mark.

Ostatni kupcy spakowali rzeczy i odjechali. Trawnik przed katedrą wyglądał jak bagno. Merthin chodził tam i z powrotem, a Mark siedział niczym posąg Samsona. Minęła godzina, potem druga. Mimo iż zżerała go niecierpliwość, Merthin się cieszył - długa nieobecność Madge świadczyła o tym, że rozmawia z Caris.

Słońce zachodziło nad miastem, gdy Madge wreszcie wyszła z klasztoru. Miała poważną minę i twarz mokrą od łez.

- Caris żyje - zaczęła. - Nie stała jej się żadna krzywda ani na ciele, ani na umyśle. Myśli trzeźwo.

- Co powiedziała? - spytał niecierpliwie Merthin.

- Powtórzę ci każde słowo. Usiądźmy w ogrodzie.

Weszli do ogródka warzywnego i usiedli na kamiennej ławeczce. Patrzyli na zachód słońca. Spokój Madge nasunął Merthinowi złe myśli. Wolałby, żeby kipiała z wściekłości. Z jej zachowania wnosił, że wieści są złe. Stracił nadzieję.

- Czy to prawda, że Caris nie chce się ze mną widzieć?

- Tak - odparła z westchnieniem Madge.

- Ale dlaczego?

- Zapytałam ją o to. Powiedziała, że to złamałoby jej serce. Merthin zaczął płakać.

- Cecilia zostawiła nas same, żebyśmy mogły rozmawiać szczerze i żeby nikt nie podsłuchiwał - ciągnęła cichym głosem Madge. - Caris uważa, że Godwyn i Philemon uwzięli się, żeby ją usunąć ze względu na wniosek o przyznanie Kingsbridge praw miejskich. W zakonie jest bezpieczna, ale jeśli go opuści, znajdą ją i zabiją.

- Mogłaby uciec, zabrałbym ją do Londynu! Godwyn nigdy by nas tam nie znalazł!

Madge skinęła głową.

- Tak jej powiedziałam. Długo o tym rozmawialiśmy. Caris uważa, że do końca życia bylibyście skazani na los zbiegów. A ona nie chce ci tego robić. Twoim przeznaczeniem jest zostać największym budowniczym swojego pokolenia. Będiesz sławny. Gdyby Caris ci towarzyszyła, zawsze musiałbyś ukrywać swoją tożsamość i uciekać przed światłem dnia.

- Nie obchodzi mnie to!

- Caris wiedziała, że tak powiesz. Ale uważa, że cię to obchodzi i że jak najbardziej obchodzić cię powinno. Ją na pewno obchodzi. Nie odbierze ci twojego przeznaczenia, nawet jeśli ją o to poprosisz.

- Mogła mi to sama powiedzieć!

- Bała się, że przekonałbyś ją do czegoś innego.

Merthin wiedział, że Madge mówi prawdę. Cecilia też mówiła prawdę. Caris naprawdę nie chciała się z nim widzieć. Żal ścisnął go za gardło. Przełknął ślinę i starł rękawem łzy z twarzy.

- Co zamierza zrobić? - wykrztusił.

- Będzie się starała być dobrą zakonnica.

- Ależ ona nie przepadała za Kościołem!

- Wiem, że nigdy nie darzyła wielkim szacunkiem klechów. W tym mieście to nic dziwnego. Ale Caris wierzy, że znajdzie pociechę w leczeniu bliźnich.

Merthin się zamyślił, a Mark i Madge przyglądali mu się w milczeniu. Wyobrażał sobie Caris krzątającą się w szpitalu wśród chorych. Ale jak będzie się czuła, spędzając pół nocy na śpiewach i

modlitwie?

- Ona może się zabić - rzekł po dłuższej chwili.
- Nie sądzę - odparła z przekonaniem Madge. - Jest bardzo zasmucona ale nie wybierze tego wyjścia.
- Może zabić kogoś innego.
- To już bardziej prawdopodobne.
- Ale może uda jej się znaleźć coś w rodzaju szczęścia - powiedział powoli i niechętnie

Merthin.

Madge milczała. Merthin spojrzał jej w oczy. Skinęła głową.

Merthin uświadomił sobie, że tak brzmi przerażająca prawda. Caris może być szczęśliwa. Straciła dom, wolność i narzeczonego, lecz mimo to może odnaleźć szczęście.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia.

Merthin wstał.

- Byliście dobrymi przyjaciółmi, dziękuję - rzekł i zaczął się oddalać.
- Dokąd się wybierasz? - spytał Mark.

Merthin zatrzymał się i odwrócił. Zaświtała mu jakaś myśl, czekał, aż nabierze wyrazistości. Zdumiała go, lecz momentalnie zrozumiał, że jest trafna. Nie tylko trama, lecz doskonała.

Otarł łzy z twarzy i spojrzał na Marka i Madge skąpanych w czerwonym blasku umierającego słońca.

- Wyjeżdżam do Florencji. Żegnajcie.

CZEŚĆ V

Marzec 1346-grudzień 1348

43

Siostra Caris opuściła klauzurę i rażnym krokiem pomaszerowała do szpitala. W łóżkach leżały tam trzy pacjentki. Stara Julie była już zbyt niedołężna, by uczestniczyć w nabożeństwach czy wejść po schodach na górę do dormitorium. Bella Brewer, żona Danny'ego, syna Dicka Brewera, dochodziła do siebie po ciężkim połogu, a trzynastoletnia Rockie Silvers miała złamaną rękę, którą nastawił Matthew Barber. Na ławie pod ścianą siedziały dwie inne osoby, rozmawiając: nowicjuszka zwana Nellie oraz sługa przeora, Bob.

Caris wprawnym spojrzeniem omiotła pokój. Przy każdym łóżku stał brudny talerz. Pora obiadowa dawno minęła.

- Bob! - powiedziała. Zerwał się na równe nogi. - Pozbieraj te talerze. To klasztor, a czystość jest cnotą. Ruszaj się!

- Przepraszam, siostró - wybąkał.

- Nellie, czy zaprowadziłaś Julie do latryny?

- Jeszcze nie, siostró.

- Zawsze musi iść tam po obiedzie. Z moją matką było tak samo. Zaprowadź ją szybko, zanim zdarzy jej się wypadek.

Nellie zaczęła podnosić starą zakonnicę.

Caris próbowała rozwinąć w sobie cnotę cierpliwości, lecz po siedmiu latach w klasztorze wciąż jej się to nie udało i irytowało ją, kiedy musiała kilkakrotnie powtarzać polecenia. Bob wiedział, że powinien posprzątać zaraz po obiedzie - Caris często mu to mówiła. Nellie знаła potrzeby Julie. Mimo to siedzieli na ławie, plotkując, aż Caris zaskoczyła ich niespodziewaną inspekcją.

Wzięła miskę z wodą używaną do mycia rąk i przeszła przez cały pokój, żeby wylać ją na zewnątrz. Pod murem oddawał mocz jakiś nieznajomy mężczyzna. Domyśliła się, że to podróżny szukający noclegu.

- Następnym razem skorzystaj z latryny za stajnią - warknęła. Uśmiechnął się drwiąco, trzymając w dłoni penis.

- A kimże jesteś? - zapytał zuchwale.

- Zarządzam tym szpitalem i jeśli chcesz tu zostać na noc, będziesz musiał okazać lepsze maniery.

- Och - rzekł. - Władczy typ, co? Niespiesznie strząsnął ostatnie krople.

- Schowaj swojego mizernego kutasa, albo nie spędzisz nocy w mieście, nie tylko w tym klasztorze.

Caris chlusnęła na niego wodą. Odskoczył, zaskoczony, z mokrą nogawką.

Wróciła do środka i ponownie napełniła miskę wodą z fontanny. Pod klasztorem biegły podziemne rury, którymi płynęła woda ze strumienia zasilająca kwaterę, kuchnię i szpital. Osobna rura spłukiwała latryny. Caris zamierzała zbudować kiedyś nową latrynę przylegającą do szpitala, tak by starzy pacjenci, tacy jak Julie, nie musieli chodzić tak daleko.

Nieznajomy przyszedł za nią.

- Umyj ręce - poleciła, podając mu miskę. Zawahał się, po czym wziął od niej naczynie.

Przyjrzała mu się. Był mniej więcej w jej wieku, dwudziestodwuletni.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Gilbert z Herefordu, pielgrzym - odparł. - Przybyłem oddać cześć relikwiom świętego Adolfa.

- W takim razie możesz zostać na noc w szpitalu, jeśli będziesz odnosił się z szacunkiem do

mnie, a także do każdego z tu obecnych, skoro o tym mowa.

- Tak, siostrze.

Caris wróciła do klauzury. Był ciepły wiosenny dzień i słońce odbijało się od gładkich starych kamieni dziedzińca. Pod zachodnim murem siostra Mair uczyła dziewczęta ze szkółki nowej pieśni i Caris przystanęła, żeby popatrzeć. Ludzie powiadali, że Mair wygląda jak anioł: miała ładną cerę, promienne oczy i wargi wykrojone w kształcie łuku. Formalnie za szkółkę odpowiadała Caris - zajmowała się wszystkimi przybywającymi do zakonu ze świata zewnętrznego. Sama chodziła do tej szkółki przed niemal dwudziestoma laty.

Uczennic było dziesięć, w wieku od dziewięciu do piętnastu lat. Niektóre były córkami kupców z Kingsbridge, inne szlachetnie urodzonych. Pieśń, mówiąca o tym, że Bóg jest dobry, skończyła się i jedna z dziewcząt spytała:

- Siostrze Mair, jeśli Bóg jest dobry, dlaczego pozwolił, by moi rodzice umarli?

To była dziecinna wersja klasycznego pytania, prędeż czy później zadawanego przez każdego inteligentnego młodego człowieka: Jak może dzieć się tyle zła? Caris też je sobie zadawała. Z zainteresowaniem spojrzała na pytającą. Była nią Tilly Shiring, dwunastoletnia siostrzenica hrabiego Rolanda, dziewczyna o choch-likowatej urodzie, która podobała się Caris. Matka Tilly wykrwawiła się po porodzie, a ojciec wkrótce potem skrzył sobie kark w wypadku na polowaniu, więc mała wychowała się w domu hrabiego.

Mair zbyła ją zwyczajową formułką o niezbadanych drogach Pana. Tilly była wyraźnie nieusatisfakcjonowana, ale nie potrafiła wyrazić swoich wątpliwości i zamilkła. Caris była pewna, że to pytanie wkrótce ponownie zostanie zadane.

Mair znów kazała dzieciom śpiewać, po czym podeszła, by porozmawiać z Caris.

- Bystra dziewczyna - pochwaliła Caris.

- Najlepsza w klasie. Za rok czy dwa zacnie się ze mną zawzięcie spierać.

- Ona mi kogoś przypomina... - powiedziała Caris, marszcząc brwi. - Usiłuję przypomnieć sobie jej matkę...

Mair dotknęła ramienia Caris. Takie gesty sympatii były zakazane wśród zakonnice, ale Caris nie przestrzegała zbyt ściśle takich zakazów.

- Przypomina ciebie - powiedziała Mair. Caris zaśmiała się.

- Ja nigdy nie byłam taka ładna.

Jednak Mair miała rację: już jako dziecko Caris zadawała sceptyczne pytania. Później, kiedy została nowicjuską, wszczyniała spór na każdych zajęciach z teologii. Nim minął tydzień, matka Cecilia nakazała jej milczeć podczas zajęć, a wtedy Caris zaczęła łamać reguły klasztoru, a na nagany

odpowiadała kwestionowaniem racjonalnych podstaw klasztornej dyscypliny. I znów kazano jej milczeć.

Nie minęło wiele czasu, a matka Cecilia zaproponowała jej umowę. Caris będzie spędzała większość czasu w szpitalu - wykonując ten rodzaj pracy, który uważa za sensowny - w razie konieczności opuszczając msze. W zamian nie będzie naruszała dyscypliny i zachowa swoje teologiczne pomysły dla siebie. Caris zgodziła się, niechętnie i ponuro, lecz Cecilia była mądra i umowa się sprawdziła. Wciąż się sprawdzała, gdyż teraz Caris większość czasu spędzała, doglądając szpitala. Opuszczała ponad połowę mszy i rzadko mówiła lub robiła coś otwarcie wywrotowego.

Mair się uśmiechnęła.

- Teraz jesteś ładna - powiedziała. - Szczególnie kiedy się śmiejesz. Na moment Caris zapatrzyła się w niebieskie oczy Mair. Nagle usłyszała krzyk dziecka.

Odwróciła się. Krzyk nie dobiegł z grupki śpiewających, lecz z głębi szpitala. Pospiesznie przeszła przez niewielki przedsionek. Christopher Blacksmith wnosił do szpitala dziewczynkę w wieku około ośmiu lat. Dziecko, w którym Caris rozpoznała jego córkę Minnie, krzyczało z bólu.

- Połóż ją na pościeli - nakazała. Christopher położył małą.

- Co się stało?

Christopher był silnym mężczyzną, lecz strach sprawił, że mówił dziwnie piskliwym głosem.

- Potknęła się w moim warsztacie i upadła na sztabę rozżarzonego żelaza. Zrób z nią coś szybko, siostró, ona tak cierpi!

Caris dotknęła policzka dziewczynki.

- No już, Minnie, zaraz ukoimy ból. - Wyciąg z maku jest za silny, pomyślała, może zabić takie małe dziecko. Potrzebuje słabszego środka. - Nellie, idź do mojej apteki i przynieś butelkę z napisem: „Esencja z konopi”. Idź szybko, ale nie biegnij, bo jeśli potkniesz się i stłuczysz naczynie, zrobienie nowego wywaru zajmie kilka godzin.

Nellie pospieszyła po lek.

Caris obejrzała rękę Minnie. Oparzenie było paskudne, ale na szczęście objęło tylko kończynę, a nie całe ciało, jak te niebezpieczne dla życia u poparzonych w pożarach domów. Większość przedramienia dziewczynki pokrywały wielkie pęcherze, a na środku spalona skóra odsłaniała zwęglone ciało.

Caris rozejrzała się, szukając pomocy, i zobaczyła Mair.

- Idź do kuchni i przynieś mi pół kwarty wina i tyle samo oliwy z oliwek, w dwóch osobnych dzbankach, proszę. Oba płyny muszą być ciepłe, ale nie gorące.

Mair poszła.

Caris powiedziała do dziecka:

- Minnie, musisz spróbować przestać krzyczeć. Wiem, że cię boli, ale musisz mnie słuchać.

Sporządę dla ciebie lekarstwo. Ono uśmierzy ból.

Krzyk nieco przycichł i zaczął przechodzić w płacz.

Nellie przybyła z wywarem z konopi. Caris naala lekarstwo na łyżkę, po czym wetknęła ją w usta Minnie i zacisnęła palcami nos małej. Dziewczynka połknęła płyn. Znów krzyknęła, lecz po chwili zaczęła się uspokajać.

- Podaj mi czysty ręcznik - powiedziała Caris do Nellie.

W szpitalu często ich używano i na polecenie Caris szafa za ołtarzem była zawsze pełna czystych ręczników.

Mair wróciła z kuchni z oliwą i winem. Caris rozłożyła ręcznik na podłodze przy pościeli Minnie i umieściła na nim poparzoną rękę.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Boli! - jęknęła Minnie.

Caris z zadowoleniem skinęła głową. To były pierwsze zrozumiałe słowa, jakie wypowiedziała pacjentka. Najgorsze minęło. Konopie zaczęły działać i Minnie zrobiła się senna.

- Zamierzam nałożyć ci coś na tę rękę, żeby się zagoiła. Postaraj się nie ruszać, dobrze?

Minnie kiwnęła głową.

Caris polała ciepłym winem przegub Minnie, który był najmniej poparzony. Mała skrzywiła się, lecz nie próbowała wyrwać ręki. Ośmielona tym Caris powoli przesuwiała dzbanek w górę, polewając winem najgorszą oparzelinę, żeby ją oczyścić. Potem zrobiła to samo z oliwą, która zmiękczy tkanki i ochroni ciało przed złymi wpływami powietrza. W końcu wzięła czysty ręcznik i delikatnie owinęła nim rękę, żeby nie dopuścić much.

Minnie jęczała półprzytomna. Caris z niepokojem spojrzała na jej twarz - była zaczerwieniona z wysiłku. To dobrze - gdyby pobladła, oznaczałoby to, że dawka była za silna.

Caris zawsze martwiła się o działanie lekarstw. Ich siła zmieniała się za każdym razem i nie było sposobu, żeby ją dokładnie zmierzyć. Słabe lekarstwo było nieskuteczne, silne - niebezpieczne. Szczególnie obawiała się przedawkowania u dzieci, chociaż rodzice zawsze domagali się od niej silnych leków, ponieważ przygnębiało ich cierpienie dzieci.

W tym momencie wszedł brat Joseph. Był już stary - dobrze po pięćdziesiątce - i stracił wszystkie zęby, lecz wciąż był najlepszym mnichem medykiem w opactwie. Christopher Blacksmith natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Och, bracie Josephie, dzięki Bogu, że tu jesteś - powiedział. - Moja mała dziewczynka strasznie się poparzyła.

- Zobaczmy to - rzekł Joseph.

Caris cofnęła się, skrywając irytację. Wszyscy wierzyli, że mnisi są świetnymi medykami potrafiącymi zdziałać istne cuda, podczas gdy zakonnice tylko karmią i myją pacjentów. Caris już dawno przestała walczyć z tym poglądem, ale wciąż ją denerwował.

Joseph odwinął ręcznik i spojrzął na rękę pacjentki. Dotknął palcami poparzonego ciała. Minnie jęknęła w narkotycznym śnie.

- Paskudne poparzenie, ale nie fatalne - orzekł. Odwrócił się do Caris. - Sporządź kataplazm z trzech części kurzego tłuszczu, trzech części koziego łajna oraz jednej części bieli ołowianej i nałóż na ranę. To wyciągnie ropę.

- Tak, bracie.

Caris wątpiła w skuteczność kataplazmów. Zauważyła, że wiele ran dobrze się goi bez podchodzenia ropą, które mnisi uważali za zdrowy objaw. Z doświadczenia wiedziała, że rany czasem paprzą się pod kataplazmami, jednak mnisi nie zgadzali się z tym - oprócz brata Thomasa, który był przekonany, że stracił rękę przez kataplazm przepisany przez przeora Anthony'ego przed niemal dwudziestoma laty. To jednak była jeszcze jedna walka, którą Caris przestała toczyć. Metody mnichów wspierał autorytet Hipokratesa i Galena, twórców starożytnych kodeksów medycznych, więc wszyscy uznali, że muszą być dobre.

Joseph wyszedł. Caris upewniła się, że Minnie leży wygodnie, a jej ojciec się uspokoił.

- Kiedy się zbudzi, będzie spragniona. Dopilnuj, żeby dużo piła. Najlepiej słabe, rozcieńczone wino.

Nie spieszyła się ze sporządzaniem kataplazmu. Pozwoli Bogu przez kilka godzin działać bez żadnej pomocy, zanim zacznie kurację przepisaną przez Josepha. Prawdopodobieństwo tego, że mnich wróci, żeby obejrzeć pacjentkę, było niewielkie. Posłała Nellie, żeby nazbierała koziego łajna na łące na zachód od katedry, po czym poszła do swojej apteki.

Ta znajdowała się obok biblioteki. Niestety, nie miała równie dużych okien. Pomieszczenie było małe i ciemne. Jednak stał tam stół laboratoryjny, kilka półek na słoje i butelki, znajdowało się też palenisko do ogrzewania ingredientów.

W szafce Caris trzymała notatnik. Pergamin był kosztowny i zszytych ze sobą identycznej wielkości kart używano jedynie do zapisywania świętych tekstów. Zdołała jednak uzbierać i zszyć plik różnego kształtu ścinków. Opisywała każdego pacjenta w ciężkim stanie. Zapisywała datę, nazwisko, symptomy i zastosowaną kurację, a później wyniki, zawsze dokładnie notując, ile godzin lub dni

minęło, zanim stan pacjenta poprawił się lub pogorszył. Często przeglądała stare przypadki, żeby przypomnieć sobie, jak skuteczne są różne metody leczenia.

Kiedy zapisała wiek Minnie, uświadomiła sobie, że jej własne dziecko, gdyby nie zażyła naparu Mattie Wise, miałoby teraz osiem lat. Bez racjonalnego powodu pomyślała, że pewnie byłaby to dziewczynka. Zastanawiała się, jak by zareagowała, gdyby to jej dziecku przydarzyło się takie nieszczęście. Czy byłaby w stanie zachować zimną krew, czy też histeryzowałaby ze strachu jak Christopher Blacksmith?

Kończyła opisywać przypadek, gdy zadzwoniono na nieszpory i poszła na mszę. Później zakonnice jadły wieczerzę, po czym kładły się do łóżek, żeby przespać się trochę przed poranną modlitwą o trzeciej rano.

Zamiast pójść spać, Caris wróciła do apteki, żeby sporządzić kataplazm. Nie brzydziła się koziego łajna. Każdy, kto pracował w szpitalu, widział gorsze rzeczy. Zastanawiała się jednak, jak Joseph może przypuszczać, że dobrze jest okładać nim poparzone ciało.

Teraz nie będzie mogła nałożyć kataplazmu, najwcześniej rano. Minnie to zdrowy dzieciak i do tej pory proces gojenia zdąży się posunąć.

Kiedy Caris przygotowywała kataplazm, weszła Mair.

Caris spojrzała na nią z ciekawością.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku? Mair stanęła przy stole obok niej.

- Przyszłam ci pomóc.

- Do sporządzania kataplazmu nie potrzeba dwóch osób. Co powiedziała siostra Natalie?

Natalie była prawą ręką przeoryszy pilnującą dyscypliny i bez jej pozwolenia żadna zakonnica nie mogła opuścić w nocy dormitorium.

- Ona mocno śpi. Naprawdę uważasz, że nie jesteś ładna?

- Wstałaś z łóżka, żeby mnie o to zapytać?

- Merthin na pewno uważał, że jesteś. Caris uśmiechnęła się.

- Tak uważał.

- Brakuje ci go?

Caris skończyła sporządzać kataplazm i odwróciła się, żeby umyć ręce w misce.

- Myślę o nim codziennie - wyznała. - On jest teraz najbogatszym architektem we Florencji.

- Skąd wiesz?

- Na każdym święcie runa mam wieści o nim od Buonaventury Carolego.

- A Merthin dostaje wieści o tobie?

- Jakie wieści? Nie ma o czym mówić. Jestem zakonnica.

- Tęsknisz za nim?

Caris odwróciła się i spojrzała na Mair.

- Zakonnicom nie wolno pragnąć mężczyzn.

- Ale nie kobiet - powiedziała Mair, pochyliła się i pocałowała Caris w usta. Caris była tak zaskoczona, że na sekundę zastygła. Mair nie przerwała pocałunku. Kobiece wargi były miękkie w dotyku, nie takie jak Merthina. Caris była wstrząśnięta, chociaż nie przerażona. Minęło siedem lat, od kiedy ktoś ją pocałował, i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jej tego brakuje.

Ciszę przerwał jakiś hałas w bibliotece obok.

Mair odskoczyła przestraszona.

- Co to było?

- Jakby ktoś upuścił skrzynię na podłogę.

- Kto to może być? Caris ściągnęła brwi.

- O tej porze w bibliotece nikogo nie powinno być. Mnisi i zakonnice śpią. Mair miała przestraszona minę.

- Co zrobimy?

- Lepiej chodźmy tam i sprawdźmy.

Opuściły aptekę. Chociaż biblioteka znajdowała się obok, musiały przejść przez klauzurę zakonnice do klauzury mnichów, żeby dotrzeć do jej drzwi. Była ciemna noc, ale obie mieszkały tu od lat i mogły trafić tam z zawiązanymi oczami. Kiedy dotarły do celu, zobaczyły migoczące w wysokich oknach światło. Drzwi, zwykle zamknięte na noc, były uchylone.

Caris pchnęła je.

Przez moment nie wierzyła własnym oczom. Zobaczyła otwarte drzwi szafy, skrzynkę na stole, obok niej świecę i jakąś postać. W następnej chwili uświadomiła sobie, że szafa to skarbiec, w którym trzymano dokumenty i inne cenne rzeczy, a skrzynka to szkatuła z wysadzonymi drogimi kamieniami, złotymi i srebrnymi ozdobami używanymi w katedrze podczas szczególnie uroczystych mszy. Mężczyzna wyjmował je ze szkatuły i wkładał do worka.

Obejrzał się i Caris go rozpoznała. To był Gilbert z Herefordu, pielgrzym, który przybył tu tego dnia. Tylko że nie był pielgrzymem i zapewne nawet nie był z Herefordu. Był złodziejem.

Przez chwilę patrzyli na siebie i nikt się nie ruszał.

Potem Mair wrzasnęła.

Gilbert zgasił świecę.

Caris zamknęła drzwi, żeby zyskać odrobinę czasu, po czym przebiegła przez klauzurę i do ciemnej niszy, ciągnąc za sobą Mair.

Były u stóp schodów wiodących do dormitorium mnichów. Krzyk Mair zapewne ich obudził, ale minie trochę czasu, zanim zareagują.

- Powiedz mnichom, co się dzieje! - zawołała Caris do Mair. - No już, biegnij!

Mair pobiegła po schodach na górę.

Caris usłyszała trzask i odgadła, że to otworzyły się drzwi biblioteki. Nasłuchiwała odgłosu kroków na kamiennych płytach klauzury, lecz Gilbert musiał być doświadczonym włamywaczem, gdyż poruszał się bezszelestnie. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Nagle na górze wybuchło zamieszanie.

Złodziej widocznie zrozumiał, że ma tylko kilka sekund na ucieczkę, ponieważ zaczął biec.

Niespecjalnie przejmowała się kościelnymi precjozami, uważając, że złoto i drogie kamienie zapewne bardziej cieszą biskupa i przeora niż Boga, ale nie podobał jej się Gilbert i myśl, że mógłby się wzbogacić, okradając opactwo. Dlatego wyszła z niszy.

Niemal nic nie widziała, ale wyraźnie słyszała zbliżające się kroki biegnącego. Obronnym gestem wyciągnęła przed siebie ręce i wpadł na nią. Straciła równowagę, ale złapała go za odzienie i oboje upadli na podłogę. Worek z krucyfiksami i kielichami z brzękiem upadł na bruk.

Bolesny upadek rozwścieczył Caris. Puściła ubranie złodzieja i na oślep wyciągnęła rękę ku jego twarzy. Namacała skórę i szarpnęła ją, głęboko wbijając paznokcie. Ryknął z bólu i poczuła krew pod czubkami palców.

Jednak był od niej silniejszy. Złapał ją i przycisnął do posadzki. Na szczycie schodów pojawiło się światło i nagle zobaczyła Gilberta - a on ją. Siedząc na niej, uderzył ją pięścią w twarz, najpierw prawą, potem lewą, a potem znów prawą. Krzyknęła z bólu.

Zrobiło się jeszcze jaśniej. Mnisi zbiegali po schodach. Caris usłyszała krzyk Mair:

- Zostaw ją, ty diable!

Gilbert zerwał się na równe nogi, próbując podnieść worek, ale było za późno. Mair zamachnęła się jakimś tępym narzędziem. Dostał w głowę, obrócił się, by oddać cios, i padł przywalony falą nadciągających mnichów.

Caris podniosła się. Mair podeszła do niej i ją objęła.

- Co zrobiłaś? - zapytała Mair.

- Przewróciłam go i podrapałam mu twarz. Czym go uderzyłaś?

- Drewnianym krzyżem ze ściany w dormitorium.

- No cóż - westchnęła Caris - to tyle, jeśli chodzi o nadstawianie drugiego policzka.

Gilbert z Herefordu został postawiony przed sądem kościelnym, uznany za winnego i

skazany przez przeora Godwyna na karę odpowiednią dla tych, którzy okradają kościoły: obdarcie ze skóry. Mieli zdierać z niego skórę, aż wykrwawi się na śmierć.

W dniu egzekucji wypadło cotygodniowe spotkanie Godwyna z matką Cecilią. Ich zastępcy również mieli wziąć w nim udział: podprzeor Philemon i pod-przeorysza Natalie. Czekaając w sali domu przeora na przybycie zakonnic, Godwyn rzekł do Philemona:

- Musimy spróbować namówić je na wybudowanie nowego skarbcza. Nie możemy dłużej trzymać tak cennych przedmiotów w skrzynce w bibliotece.

- Czy to byłby wspólny budynek? - spytał po namyśle Philemon.

- Musiałby być wspólny. Nie stać nas na osobny.

Godwyn z zalem pomyślał o ambicjach, jakie miał kiedyś, jako młody człowiek, żeby zreformować finanse klasztoru i ponownie uczynić go bogatym. Tak się nie stało i wciąż nie mógł zrozumieć dlaczego. Był twardy, zmuszając mieszczan do korzystania z klasztornych młynów, stawów rybnych oraz królikarni i płacenia za to, ale oni zawsze znajdowali sposób, żeby obejść jego nakazy - na przykład budując młyny w sąsiednich wioskach. Zasądzał surowe wyroki dla mężczyzn i kobiet schwytych na kłusownictwie lub nielegalnym wyrębie w lasach opactwa. I opierał się tym, którzy namawiali go, by przeznaczał pieniądze na budowę nowych młynów lub marnował drewno, wydając pozwolenia smolarzom i hutnikom. Był pewien, że jego podejście jest słuszne, a jednak wciąż nie przynosiło większych zysków, na jakie w swoim mniemaniu zasłużył.

- Tak więc poprosisz Cecilię o pieniądze - rzekł w zadumie Philemon. - Trzymanie naszych zasobów w tym samym miejscu co zakonnice może mieć pewne zalety.

Godwyn pojął, do czego zmierza jego przebiegły podopieczny.

- Jednak nie powiemy tego Cecilii.

- Oczywiście, że nie.

- W porządku, ja to zaproponuję.

- Skoro już czekamy...

- Tak?

- Jest pewien problem, o którym powinieneś wiedzieć. W wiosce Long Ham. Godwyn skinął głową. Long Ham było jedną z tuzinów wiosek, które składały daninę - i inne feudalne podatki - opactwu.

- Chodzi o dzierżawę ziemi pewnej wdowy, J/Iary-Lynn. Kiedy umarł jej mąż, wydzierżawiła swoją ziemię właścicielowi sąsiedniej farmy, niejakiemu Johnowi Nottowi. Teraz wdowa ponownie wyszła za mąż i chce odzyskać ziemię, żeby jej mąż mógł ją uprawiać.

Godwyn był zdziwiony. Typowy wieśniaczy spór, zbyt trywialny, by wymagał jego

interwencji.

- Co mówi urzędnik sądowy?

- Mówi, że ziemia powinna wrócić do wdowy, ponieważ umowa zawsze miała tymczasowy charakter.

- Zatem musi się tak stać.

- Jest pewna komplikacja. Siostra Elizabeth ma w Long Ham przyrodniego brata i dwie przyrodnie siostry.

- Ach...

Godwyn mógł się domyślić, że musi być jakiś powód zainteresowania Philemona tą sprawą. Siostra Elizabeth, przedtem Elizabeth Clerk, była zakonnica odpowiedzialną za budynki. Młoda i bystra, z pewnością awansuje w kościelnej hierarchii. Byłaby cennym sojusznikiem.

- Są jej jedyną rodziną poza matką, która pracuje u Bella - ciągnął Philemon. - Elizabeth opiekuje się swoimi krewnymi, a oni z kolei wielbią ją jak świętą. Kiedy przybywają do Kingsbridge, przynoszą dary dla klasztoru: owoce, miód, jaja, takie rzeczy.

- I...?

- John Nott jest przyrodnim bratem Elizabeth.

- Czy prosiła cię o interwencję?

- Tak. Prosiła też, żebym nie mówił o tym matce Cecilii.

Godwyn wiedział, że Philemon lubi tego rodzaju sytuacje. Uwielbiał być uważany za wpływową osobę, która może faworyzować w sporze jedną lub drugą stronę. Takie historie podsycaly jego wiecznie nienasycone ego. I miał pociąg do wszelkich tajnych działań. Fakt, że Elizabeth nie chciała, żeby jej przełożona wiedziała o tej prośbie, cieszył Philemona. Oznaczał, że zna jej wstydlivy sekret. Zachowa tę informację jak skąpiec złoto.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Godwyn.

- Oczywiście decyzja należy do ciebie, ale sugeruję, żebyśmy pozwolili Johnowi Nottowi zatrzymać ziemię. Elizabeth będzie naszą dłużniczką, co z pewnością kiedyś nam się przyda.

- To ukrzywdzi wdowę - zauważył niechętnie Godwyn.

- Racja. Musimy jednak zważać na interesy opactwa.

- A boże dzieło jest ważniejsze. Bardzo dobrze. Poinformuj urzędnika sądowego.

- Wdowa otrzyma swoją nagrodę w przyszłym życiu.

- Istotnie.

Był czas, kiedy Godwyn wahał się, czy popierać pokrętne pomysły Philemona, ale to było dawno temu. Philemon okazał się zbyt użyteczny - co matka Godwyna, Petranilla, przewidziała przed

wieloma laty.

Usłyszeli pukanie do drzwi i weszła Petranilla we własnej osobie.

Teraz mieszkała w wygodnym domku przy Candle Court, tuż obok głównej ulicy. Jej brat Edmund zostawił jej spory spadek, który wystarczy do końca jej dni. Miała pięćdziesiąt osiem lat, była zgarbiona i chuda, a idąc, podpierała się laską, lecz umysł nadal miała jak potrzask na niedźwiedzia. I jak zawsze Godwyn rad był ją widzieć, ale także niepokoił się, że mógł zrobić coś, co wzbudziło jej niezadowolenie.

Petranilla była teraz głową rodziny. Anthony zginął, gdy zawalił się most, a Edmund umarł przed siedmioma laty, tak więc była jedyną żyjącą osobą ze swojego pokolenia. Nigdy nie wahała się mówić Godwynowi, co ma robić. Tak samo swojej bratanicy Alice. Mąż Alice, Elfric, był wiceburmistrzem, ale jemu też wydawała rozkazy. Jej autorytet rozciągał się nawet na przyrodnią wnuczkę Griseldę i terroryzowała jej ośmioletniego syna, małego Merthina. Umysł miała bystry jak zawsze, więc przeważnie jej słuchali; jeśli z jakiegoś powodu nie wydawała im rozkazu, i tak zwykle zasięgali jej opinii. Godwyn nie wiedział, jak poradzą sobie bez niej. Jeśli, co zdarzało się bardzo rzadko, nie robili czegoś tak, jak sobie życzyła, skrzętnie starali się to ukryć. Tylko Caris potrafiła się jej sprzeciwić.

„Nie waz się mówić mi, co mam robić - mówiła Petranilli. - Pozwoliłabyś, żeby mnie zabili”.

Petranilla usiadła i rozejrzała się po pokoju.

- Nie dość dobry - stwierdziła. Często bywała bezpośrednia, lecz mimo to Godwyn zawsze czuł się nieswojo, kiedy tak mówiła.

- Co masz na myśli?

- Powinieneś mieć lepszy dom.

- Wiem.

Osiem lat temu Godwyn próbował namówić matkę Cecilię, żeby zapłaciła za nowy pałac. Obiecała dać mu pieniądze za trzy lata, lecz kiedy przyszedł na to czas, oznajmiła, że zmieniła zdanie. Był pewien, że to z powodu tego, co zrobił Caris. Po procesie o herezję jego wdzięk przestał działać na Cecilię i coraz trudniej było mu wyciągnąć od niej pieniądze.

- Potrzebujesz pałacu, żeby podejmować biskupów i arcybiskupów, baronów i księżęta - ciągnęła Petranilla.

- Teraz mieszkamy niewielu gości. Hrabia Roland i biskup Richard przez większość ostatnich kilku lat przebywali we Francji.

Król Edward najechał północno-wschodnią Francję w 1339 roku i spędził tam cały 1340 rok,

potem w 1342 powiodł swoją armię do północno-zachodniej Francji i walczył w Bretanii. W 1345 angielskie wojska stoczyły bitwę w południowo-zachodniej prowincji, słynnej z win Gaskonii. Teraz Edward znów był w Anglii, lecz zbierał następną armię.

- Roland i Richard to niejedyni szlachcice - zauważyła kwaśno Petranilla.

- Inni nigdy tu nie bywają.

W jej głosie pojawiły się stalowe nuty. %.

- Może dlatego, że nie możesz podjąć ich w sposób, jakiego oczekują. Potrzebna ci sala do uczt, prywatna kaplica i przestronne sypialnie.

Odgadł, że nie spała przez całą noc, rozmyślając o tym. Taka już była: snuła ponure rozważania, a potem strzelała pomysłami jak strzałami. Zastanawiał się, co wywołało jej niezadowolenie.

- To brzmi bardzo ekstrawagancko - rzekł, chcąc zyskać na czasie.

- Nie rozumiesz? - warknęła. - Opactwo nie jest tak wpływowe, jak mogłoby być, po prostu dlatego, że nigdy nie widzisz moźnych tego kraju. Kiedy będziemy mieli pałac, a w nim piękne pokoje, goście się pojawiają.

Zapewne miała rację. Bogate klasztory, takie jak Durham i St. Albans, nawet narzekały na liczbę szlachetnie urodzonych i członków królewskiego rodu, których musiały podejmować.

- Wczoraj była rocznica śmierci mojego ojca - mówiła. Zatem to wywołało ten wybuch, pomyślał Godwyn, przypomniała sobie wspaniałą karierę dziadka. - Jesteś tu przeorem od prawie dziewięciu lat. Nie chcę, żebyś tu utknął. Arcybiskupi i król powinni zastanawiać się nad diecezją dla ciebie, jakimś dużym opactwem, takim jak Durham, albo stanowiskiem przy papieżu.

Godwyn zawsze zakładał, że Kingsbridge będzie szczeblem w drabinie wiodącej do wyższych stanowisk, ale teraz uświadomił sobie, że zapomniał o tych ambicjach. Wydawało się, że tak niedawno wygrał wybory na przeora.

Miał wrażenie, że dopiero co podjął swoje obowiązki. Jednak matka miała rację, minęło ponad osiem lat.

- Dlaczego nie zamierzają dać ci ważniejszego stanowiska? - spytała retorycznie. - Ponieważ nie wiesz, że istniejesz! Jesteś przeorem wielkiego klasztoru, ale nikomu o tym nie powiedziałeś. Pokaż swoją świetność! Zbuduj pałac. Zaprosz arcybiskupa Canterbury, żeby był twoim pierwszym gościem. Zadedykuj kaplicę jego ulubionemu świętemu. Zawiadom króla, że zbudowałeś królewską sypialnię, w nadziei, że cię odwiedzi.

- Zaczekaj chwilę, nie wszystko naraz - hamował matkę Godwyn. - Chciałbym wybudować pałac, ale nie mam pieniędzy.

- Zatem je zdobądź.

Chciał ją spytać jak, lecz w tym momencie do sali weszły zakonnice. Petranilla i Cecilia przywitały się z czujną uprzejmością, po czym Petranilla opuściła salę.

Matka Cecilia i siostra Natalie usiadły. Cecilia miała teraz pięćdziesiąt jeden lat, siwe włosy i słaby wzrok. Wciąż uwijała się jak pracowity ptak, wtykając swój nos do każdej izby, wydając polecenia zakonnicom, nowicjuszkom i sługom, lecz z wiekiem złagodniała i była gotowa wiele znieść, żeby uniknąć konfliktów.

Cecilia trzymała jakiś zwój.

- Zakon otrzymał legat - powiedziała, usiadłszy wygodnie. - Od nabożnej kobiety z Thornbury.

- Ile? - zapytał Godwyn.

- Sto pięćdziesiąt funtów w złocie.

Godwyn nie krył zaskoczenia. To była ogromna suma. Wystarczająca, żeby wybudować skromny pałac.

- Otrzymał go zakon czy opactwo?

- Zakon - odparła stanowczo. - Ten zwój to kopia jej testamentu.

- Dlaczego zostawiła wam tyle pieniędzy?

- Najwidoczniej dlatego, że pielęgnowaliśmy ją, kiedy zachorowała w drodze z Londynu do domu.

Przemówiła Natalie. Była kilka lat starsza od Cecylii, miała owalną twarz i łagodne usposobienie.

- Problem w tym, gdzie mamy przechowywać te pieniądze.

Godwyn spojrzał na Philemona. Natalie ułatwiła im poruszenie tematu, o którym właśnie mówili.

- Gdzie teraz są te pieniądze? - spytał ją.

- Są w sypialni przeoryszy, do której można wejść tylko przez dormitorium.

- Może powinniśmy wydać ich część na nowy skarbiec - podsunął Godwyn, jakby właśnie teraz przyszło mu to do głowy.

- Sądzę, że to konieczne - przyznała Cecilia. - Zwykły kamienny budynek bez okien, z solidnymi dębowymi drzwiami.

- Zbudowanie takiego nie potrwa długo - rzekł Godwyn. - I nie powinien kosztować więcej niż pięć czy dziesięć funtów.

- Dla bezpieczeństwa uważamy, że powinien być częścią katedry.

- Ach... - To dlatego zakonnice zamierzały przedyskutować ten plan z Godwynem. Nie musiały konsultować się z nim w kwestii budynków na ich części terenu, lecz kościół był wspólnym dobrem mnichów i zakonnice. - Mógłby stanąć pod ścianą katedry, w kącie utworzonym przez północny transept i chór, z wejściem z wnętrza kościoła.

- Tak, właśnie o czymś takim myślałam.

- Jeśli chcecie, mogę dziś porozmawiać z Elfrikiem i poprosić go, żeby podał przybliżony koszt.

- Proszę, zrób to.

Godwyn cieszył się, że wyciągnął od Cecylii część tej manny z nieba, ale nie był w pełni usatysfakcjonowany. Po rozmowie z matką zapragnął zagarnąć więcej. A właściwie wszystko. Tylko jak?

Dzwon katedry wybił godzinę. Wszyscy czworo wstali i wyszli.

Skazaniec znajdował się na zewnątrz, przy zachodnim końcu kościoła. Był nagi i mocno przywiązany za ręce i nogi do drewnianej ramy podobnej do framugi. Blisko setka mieszczan stała, czekając na egzekucję. Zwykli mnisi i zakonnice nie zostali zaproszeni. Uważano za niewłaściwe, aby oglądali rozlew krwi.

Katem był Will Tanner, mężczyzna około pięćdziesiątki, o skórze zbrązowiełej od garbników, których używał w swoim fachu. Miał na sobie czysty płócienny fartuch. Stał przy stoliku, na którym rozłożył swoje noże. Ostrzył właśnie jeden z nich i zgrzyt stali na granicy przejął Godwyna dreszczem.

Godwyn odmówił kilka modlitw, kończąc zaimprovizowaną prośbą po angielsku, żeby śmierć złodzieja posłużyła Bogu, odwołując innych od popełnienia podobnego grzechu. Potem skinął głową Willowi Tannerowi.

Will stanął za spętanym złodziejem. Wyjął nożyk z ostrym końcem i wbił go w środek karku Gilberta, po czym pociągnął w dół długim prostym cięciem wzdłuż kręgosłupa. Gilbert ryknął z bólu, a z rany popłynęła krew. Will wykonał drugie cięcie w poprzek łopatek, tworząc literę T.

Teraz zmienił narzędzie, wybierając nóż o długim i cienkim ostrzu. Ostrożnie wprowadził je w miejsce, gdzie spotykały się oba nacięcia, i odciągnął skórę. Gilbert znów krzyknął. Trzymając skórę palcami lewej ręki, Will zaczął starannie zdzierać ją z pleców Gilberta.

Gilbert nie przestawał wrzeszczeć.

Siostra Natalie zakrzuszyła się, odwróciła i pobiegła do opactwa. Cecilia zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Godwynowi zbierało się na mdłości. Ktoś w tłumie upadł na ziemię zemdlony. Tylko Philemon wyglądał na nie-poruszonego.

Will pracował szybko, przecinając nożem podskórną tkankę tłuszczową i odsłaniając sploty mięśni. Krew płynęła obficie i co kilka sekund musiał wycierać ręce w fartuch. Gilbert wrzeszczał przy każdym cięciu. Wkrótce skóra na jego plecach zwisała dwoma szerokimi płatami.

Will ukląkł na ziemi, kolanami w kałuży krwi, i zabrał się do nóg skazańca.

Wrzaski nagle ucichły. Gilbert najwidoczniej stracił przytomność. Godwyn poczuł ulgę. Chciał, by ten człowiek cierpiał za próbę okradzenia kościoła - chciał, by inni byli świadkami jego męki - a jednak trudno mu było słuchać jego wrzasków.

Will spokojnie pracował dalej, najwyraźniej nie przejmując się tym, czyjego ofiara jest przytomna, czy nie, aż ściągnął całą skórę z pleców, rąk i nóg. Wtedy zabrał się za przód. Wykonał cięcia wokół kostek i przegubów, a potem zdarł skórę tak, że trzymała się tylko na barkach i biodrach. Zaczął zdzierać ją od bioder w górę i Godwyn pojął, że zamierza zerwać ją w jednym kawałku. Wkrótce trzymała się tylko na głowie.

Gilbert wciąż oddychał.

Will zrobił kilka starannych nacięć na głowie. Potem odłożył noże i jeszcze raz wytarł ręce. W końcu chwycił skórę Gilberta na łopatkach i mocno pociągnął w górę. Skóra twarzy i włosy oddzieliły się od czaszki, jednak nie oderwała się od reszty.

Will wysoko podniósł zakrwawioną skórę Gilberta, niczym łowieckie trofeum, a tłum wzniósł radosny okrzyk.

Caris niepokoił pomysł dzielenia nowego skarbcza z mnichami. Zadawała Beth tyle pytań o zabezpieczenie ich pieniędzy, że w końcu ta zabrała ją, by obejrzała to miejsce.

Godwyn i Philemon niby przypadkiem byli wtedy w katedrze, zobaczyli zakonnice i podążyli za nimi.

Przeszli przez nowe łukowate przejście w południowej ścianie chóru do małej sieni i stanęli przed solidnymi, nabijanymi ćwiekami drzwiami. Siostra Beth wyjęła z kieszeni wielki żelazny klucz. Była skromną, cichą kobietą, jak większość zakonnice.

- To nasz - powiedziała do Caris. - Możemy wejść do skarbcza, kiedy chcemy.

- Tak sędzę, skoro to my za niego zapłaciłyśmy - krótko odparła Caris. Weszły do małego prostokątnego pomieszczenia. Stał w nim stół ze stosem zwojów pergaminu, dwa stołki i duży, okuty żelazem kufer.

- Ten kufer nie zmieści się w drzwiach, więc nie da się go stąd wynieść - zauważyła Beth.

- To jak go tu wnieśliście? - zapytała Caris.

- W częściach - wyjaśnił Godwyn. - Stolarz złożył go tutaj, w tym pomieszczeniu.

Caris zmierzyła Godwyna chłodnym spojrzeniem. Ten człowiek próbował ją zabić. Od czasu procesu o czary patrzyła na niego z pogardą i w miarę możliwości starała się z nim nie rozmawiać. Teraz odparła beznamiętnie:

- Zakonnice będą potrzebowały klucza do tej skrzyni.

- To nie jest konieczne - pospiesznie rzekł Godwyn. - Zawiera kosztowności katedry, którymi opiekuje się zakrystian, którym zawsze jest mnich.

- Pokaż mi je - powiedziała Caris.

Widziała, że jest urażony tonem jej głosu i chętnie by odmówił, ale chciał udawać otwartego i niewinnego, więc ustąpił. Wyjął klucz z sakiewki przy pasie i otworzył kufer. Oprócz katedralnych precjozów znajdowały się tam tuziny zwojów z dokumentami opactwa.

- Zatem są tu nie tylko cenne przedmioty - mruknęła Caris, widząc, że jej podejrzenia okazały się uzasadnione.

- To nasze dokumenty.

- W tym dokumenty naszego zakonu - naciskała.

- Tak.

- W takim razie dostaniemy klucz.

- Myślę, że skopiujemy wszystkie nasze dokumenty i będziemy trzymali kopie w bibliotece.

Ilekoć będzie trzeba zajrzeć do ksiąg, zrobimy to w bibliotece, a cenne oryginały pozostaną bezpiecznie zamknięte.

Beth nienawidziła sporów, więc wtrąciła nerwowo:

- To chyba całkiem rozsądny pomysł, siostró.

- Jeśli tylko zakonnice będą miały dostęp do swoich dokumentów - niechętnie odpowiedziała Caris. Dokumenty miały drugorzędne znaczenie. Zwracając się bardziej do Beth niż do Godwyna, zapytała: - Ważniejsze jest to, gdzie będziemy trzymały pieniądze.

- W skrytkach w podłodze - odparła Beth. - Jest ich cztery: dwie dla mnichów i dwie dla zakonnice. Jeśli uważnie się przyjrzyysz, zobaczysz luźne kamienie.

Caris przyjrzała się podłodze.

- Nie zauważyłabym tego, gdybyś mi nie powiedziała - rzekła po chwili. - Można je zamknąć na kłódki?...

- Pewnie tak - rzekł Godwyn. - Wtedy jednak byłoby widać, gdzie są, co przekreśliłoby sens ich ukrywania pod podłogą.

- Jednak w ten sposób mnisi i zakonnice mają dostęp do nie swoich pieniędzy.

Philemon zabrał głos.

- Po co tu przysłała? - zapytał, spoglądając oskarżycielsko na Caris. - Opiekujesz się gośćmi, a nie skarbcem.

Caris nie żywiła do Philemona nic prócz pogardy. Uważała, że nie jest w pełni człowiekiem. Pozbawiony zasad i skrupułów wydawał się nie odróżniać dobra od zła. Podczas gdy gardziła Godwynem, jako złym człowiekiem, który wie, kiedy źle czyni, Philemona uważała za niebezpieczne zwierzę, jak wściekły pies lub odyniec.

- Mam oko do szczegółów - ucięła.

- Jesteś bardzo nieufna - zauważył. Caris uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

- Zabawne słyszeć to z twoich ust, Philemonie. Udał urażonego.

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Beth znów się wtrąciła, próbując załagodzić sytuację:

- Chciałam, żeby Caris przysłała i zobaczyła to, ponieważ zadaje pytania, które nie przysłyby mi do głowy.

- Na przykład, jak możemy być pewne, że mnisi nie wezmą naszych pieniędzy? - zapytała Caris.

- Pokażę ci - powiedziała Beth.

Na wbitym w ścianę haku wisiał gruby dębowy kij. Używając go jako dźwigni, podważyła płytę posadzki. Pod nią było płytkie wgłębienie zawierające okutą skrzynię.

- W każdej z tych skrytek znajduje się zamykana na klucz szkatuła - wyjaśniła Beth.

Sięgnęła i wyjęła skrzynkę.

Caris obejrzała ją. Szkatuła wyglądała solidnie. Miała wieko na zawiasach, zamykane na żelazną kłódkę.

- Skąd macie to zamknięcie? - spytała.

- Zrobił je Christopher Blacksmith.

To była dobra wiadomość. Christopher był szanowanym obywatelem Kingsbridge, który nie ryzykowałby swojej reputacji, sprzedając duplikaty kluczy złodziejom.

Caris nie znalazła żadnych niedopatrzeń. Może niepotrzebnie się martwiła. Odwróciła się, by odejść.

W tym momencie pojawił się Elfric, któremu towarzyszył czeladnik niosący worek.

- Mogę umieścić ostrzeżenie? - zapytał Elfric.

- Tak, proszę, rób swoje - odparł Philemon.

Czeladnik Elfrica wyjął z worka coś, co wyglądało jak wielki kawał skóry.

- Co to jest? - zapytała Beth.

- Poczekaj - rzekł Philemon. - Zobaczysz. Czeladnik przyłożył to coś do drzwi.

- Czekałem, aż wyschnie - wyjaśnił Philemon. - To skóra Gilberta z Herefordu.

Beth wydała okrzyk zgrozy.

- To obrzydliwe - powiedziała Caris.

Skóra już pożółkła, a włosy zaczęły wypadać, lecz wciąż można było poznać twarz: uszy, dwie dziury po oczach i otwór ust, które zdawały się uśmiechać.

- To powinno odstraszyć złodziei - z satysfakcją powiedział Philemon. Elfric wziął młotek i zaczął przybijać skórę do drzwi skarbcza.

Zakonnice odeszły. Godwyn i Philemon zaczekali, aż Elfric skończy swoje ponure dzieło, po czym znów weszli do skarbcza.

- Sądzę, że jesteśmy bezpieczni - rzekł Godwyn. Philemon kiwnął głową.

- Caris jest podejrzliwą kobietą, ale otrzymała zadowalające odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

- W takim razie...

Philemon zamknął drzwi na klucz, po czym podniósł kamienną płytę zakrywającą dwa schowki zakonnice i wyjął ich skrzynię.

- Siostra Beth trzyma gdzieś w kwaterze zakonnice niewielką sumę w gotówce na codzienne potrzeby - wyjaśnił Godwynowi. - Przychodzi tu tylko złożyć lub wyjąć większe sumy. Zawsze korzysta z drugiego kufra, w którym są głównie srebrne pensy. Niemal nigdy nie otwiera kufra, który zawiera legat.

Obrócił kufer i spojrzał na znajdujący się z tyłu zawias. Ten był przymocowany do drewna czterema ćwiekami. Philemon wyjął z kieszeni cienkie stalowe dłuto i kleszcze. Godwyn zastanawiał się, skąd ma te narzędzia, ale nie pytał. Czasem lepiej nie znać zbyt wielu szczegółów.

Philemon wsunął cienkie ostrze dłuta pod żelazny zawias i pociągnął. Ten lekko się odchylił, a wtedy mnich głębiej wepchnął dłuto. Pracował delikatnie i cierpliwie, starając się nie zostawić żadnych śladów widocznych na pierwszy rzut oka. Stopniowo cały zawias się odchylił, razem z ćwiekami. Kiedy wyszły na tyle, żeby można było chwycić kleszczami łby ćwieków, wyciągnął je. Teraz mógł odchylić zawias i podnieść wieko.

- Oto pieniądze od nabożnej kobiety z Thornbury - rzekł.

Godwyn zajrzał do skrzyni. Datek był w weneckich dukatach. Na złotych monetach z jednej strony był doża Wenecji klęczący przed świętym Markiem, a z drugiej Maria Dziewica otoczona gwiazdami mającymi wskazywać, że jest w niebie. Dukaty były zamiennikiem florenckich florenów i miały taką samą wielkość, wagę oraz stopień czystości metalu. Każdy był wart trzy szylingi, czyli

trzydzieści sześć srebrnych angielskich pensów. Teraz Anglia miała własne złote monety wprowadzone przez króla Edwarda - suwerenowe, półsuwerenowe i ćwierćsuwerenowe - lecz te znajdowały się w Tibiegu dopiero od niecałych dwóch lat i jeszcze nie zastąpiły zagranicznych złotych monet.

Godwyn wziął pięćdziesiąt dukatów wartych siedem funtów i dziesięć szylingów. Philemon zamknął wieko skrzyni. Owinął każdy ćwiek cienkim paskiem rzemienia, żeby dobrze tkwiły w otworach, po czym z powrotem umocował zawias. Wstawił skrzynię do skrytki i zakrył otwór kamienną płytą.

- Oczywiście prędzej czy później zauważą brak - rzekł.

- Może dopiero po latach - pocieszył go Godwyn. - Przejdziemy przez ten most, kiedy przed nim staniemy.

Wyszli i Godwyn zamknął drzwi.

- Znajdź Elfrica i spotkajmy się na cmentarzu - polecił.

Philemon odszedł, a Godwyn udał się na wschodni koniec cmentarza, tuż za dom przeora. Był wietrzny majowy dzień i rześki wietrzyk sprawiał, że sutanna łopotała wokół jego nóg. Między nagrobkami pasł się kozioł. Godwyn obserwował go w zadumie.

Wiedział, że ryzykuje straszną awanturę z zakonnikami. Nie sądził, by odkryły brak wcześniej niż za parę lat, ale nie mógł być tego pewien. Kiedy to odkryją, drogo za to zapłaci. Jednak co właściwie mogą mu zrobić? Nie jest jak Gilbert z Herefordu, nie kradnie dla siebie. Wziął darowiznę nabożnej kobiety na zbożne cele.

Odsunął od siebie te troski. Jego matka miała rację: powinien otoczyć splendorem funkcję przeora Kingsbridge, jeśli chce piąć się wyżej.

Kiedy Philemon wrócił z Elfrikiem, Godwyn rzekł:

- Chcę tu zbudować pałac przeora, na wschód od obecnego budynku. Elfrić skinął głową.

- Bardzo dobre miejsce, jeśli wolno mi rzec, panie opacie. Blisko kapitułarza i wschodniej ściany katedry, lecz oddzielone od rynku przez cmentarz, co zapewni ci prywatność i ciszę.

- Chcę mieć na parterze dużą salę jadalną na uczy - ciągnął Godwyn. - Długą na jakieś sto stóp. Ma to być naprawdę wspaniała, robiąca wrażenie sala do podejmowania szlachetnie urodzonych gości, może nawet z królewskiego rodu.

- Bardzo dobrze.

- I kaplicę na wschodnim końcu, na parterze.

- Przecież do katedry będzie tylko kilka kroków.

- Szlachetnie urodzeni nie zawsze chcą się pokazywać ludowi. Muszą mieć możliwość pomodlenia się w samotności, jeśli zechcą.

- A na górze?

- Tam będzie prywatny pokój przeora, oczywiście, z miejscem na ołtarz i biurko. Oraz trzy duże pokoje dla gości.

- Doskonale.

- Ile to będzie kosztowało?

- Ponad sto funtów, może nawet dwieście. Sporządzę kosztorys i wtedy podam dokładniejszą sumę.

- Niech nie przekroczy stu pięćdziesięciu funtów. Tylko na tyle mnie stać. Jeśli Elfric zastanawiał się, skąd Godwyn nagle wziął sto pięćdziesiąt funtów, nie zapytał go o to.

- Powiniennem jak najszybciej zacząć gromadzić kamień - powiedział. - Możesz dać mi trochę pieniędzy na początek?

- Ile chcesz? Pięć funtów?

- Lepiej dziesięć.

- Dam ci siedem funtów i dziesięć szylingów w dukatach - rzekł Godwyn i wręczył mu pięćdziesiąt złotych monet, które wziął z rezerw zakonnice.

Trzy dni później, gdy mnisi i zakonnice opuszczali katedrę po obiadowej nonie, siostra Elizabeth odezwała się do Godwyna.

Zakonnicom i mnichom nie wolno było ze sobą gawędzić, więc musiała znaleźć jakiś pretekst. Przypadkiem do nawy wbiegł pies i czekał podczas mszy. Psy wciąż wchodziły do kościoła i sprawiały kłopoty, ale z reguły je ignorowano. Tym razem jednak Elizabeth opuściła procesję, żeby wygonić zwierzę. Musiała przy tym przejść między rzędem mnichów i zrobiła to tak, że znalazła się obok Godwyna. Uśmiechnęła się przepaszająco i powiedziała:

- Najmocniej przepraszam, ojczyźnie przeorze. - Zniżyła głos i dodała: - Spotkajmy się w bibliotece, jakby przypadkiem.

Wygoniła psa przez zachodnie drzwi.

Zaintrygowany Godwyn poszedł do biblioteki i usiadł, by poczytać reguły świętego Benedykta. Po kilku minutach pojawiła się Elizabeth i wzięła Ewangelię Świętego Mateusza. Wkrótce po tym, jak Godwyn został przeorem, zakonnice wybudowały własną bibliotekę, aby pogłębić rozdział między mężczyznami a kobietami, lecz gdy zabrały wszystkie książki, na półkach mniszej biblioteki zrobiło się pusto i Godwyn cofnął decyzję. Teraz budynek biblioteki zakonnice był używany jako sala katechetyczna w zimne dni.

Elizabeth usiadła plecami do Godwyna, tak by ktoś wchodzący do biblioteki nie odniósł wrażenia, iż konspirują, ale dostatecznie blisko, żeby opat dobrze ją słyszał.

- Uważam, że powinnam coś ci powiedzieć - zaczęła. - Siostrze Caris nie podoba się to, że pieniądze zakonnice są trzymane w nowym skarbcu.

- Już o tym wiem.

- Namówiła siostrę Beth, żeby przeliczyła pieniądze i upewniła się, że wszystkie nadal tam są. Pomyślałam, że może chciałbyś o tym wiedzieć, na wypadek gdybyś... coś od nich pożyczył.

Serce podeszło Godwynowi do gardła. Taka kontrola ujawni brak pięćdziesięciu dukatów. A potrzebuje reszty, żeby zbudować sobie pałac. Nie spodziewał się, że stanie się to tak szybko. Przeklął Caris. Jak odgadła to, co zrobił w takiej tajemnicy?

- Kiedy? - zapytał, lekko się przy tym zająknąwszy.

- Dzisiaj. Nie wiem o której godzinie. Może to nastąpić w każdej chwili. Jednak Caris nalegała, żeby cię nie uprzedzać.

Musi zwrócić te dukaty, i to szybko.

- Bardzo ci dziękuję. Jestem wdzięczny za to, że mi o tym powiedziałaś.

- To dlatego, że okazałeś łaskę mojej rodzinie w Long Ham - powiedziała, po czym wstała i wyszła.

Godwyn pospiesznie wyszedł zaraz po niej. Co za szczęście, że Elizabeth czuje się wobec niego zobowiązana! Philemon miał nieoceniony instynkt do takich intryg. W chwili gdy ta myśl przeszła mu przez głowę, zobaczył w klauzurze Philemona.

- Weź narzędzia i spotkajmy się w skarbcu! - szepnął, po czym opuścił opactwo.

Pospiesznie przeszedł przez łąkę i główną ulicę. Żona Elfrica, Alice, odziedziczyła dom Edmunda Woolera, jeden z największych w mieście, wraz ze wszystkimi pieniędzmi, jakie Caris zarobiła na barwieniu tkanin. Elfric żył teraz w dostatku.

Godwyn zapukał do drzwi i wszedł do sieni. Alice siedziała przy stole nad resztkami obiadu. Towarzyszyła jej pasierbica Griselda i jej syn, mały Merthin. Nikt nie wierzył, że Merthin Fitzgerald jest ojcem malca, bardzo podobnego do Thurstana, chłopaka, który porzucił Griseldę. Ta poślubiła jednego z robotników ojca, Harolda Masona. Uprzejmi ludzie nazywali ośmioletniego chłopca Merthinem Haroldsonem, a inni Merthinem Bastardem.

Na widok Godwyna Alice zerwała się z krzesła.

- No, kuzynie opacie, jak miło widzieć cię w naszym domu! Napijesz się wina?

Godwyn zignorował jej uprzejmą gościnność.

- Gdzie Elfric?

- Na górze, uciął sobie drzemkę przed powrotem do pracy. Usiądź w salonie, przyprowadzę go.

- Tylko szybko, proszę.

Godwyn wszedł do sąsiedniego pokoju. Stały tam dwa wygodne fotele, lecz on zaczął przechadzać się po pokoju. Wszedł Elfric, przecierając oczy.

- Przepraszam. Właśnie...

- Te pięćdziesiąt dukatów, które dałem ci trzy dni temu - przerwał mu Godwyn. - Muszę mieć je z powrotem.

Elfric był zaskoczony.

- Przecież to były pieniądze na kamień.

- Wiem, na co były! Muszę zaraz je mieć.

- Wydałem część, płacąc przewoźnikom za transport kamieni z kamieniołomu.

- Ile?

- Prawie połowę.

- No cóż, możesz uzupełnić to ze swoich funduszy, prawda?

- Już nie chcesz pałacu?

- Oczywiście, że chcę, ale muszę mieć te pieniądze. Nie pytaj dlaczego, po prostu mi je daj.

- Co mam zrobić z kamieniami, które kupiłem?

- Zatrzymaj je. Dostaniesz te pieniądze z powrotem, potrzebuję ich tylko na kilka dni.

Pospiesz się!

- W porządku. Zaczekaj tu, jeśli łaska.

- Nigdzie nie idę.

Elfric wyszedł. Godwyn zastanawiał się, gdzie trzyma pieniądze. Typowy schowek to otwór pod kamieniami paleniska. Jako budowniczy Elfric mógł zrobić sobie lepszą skrytkę. Gdziekolwiek ją miał, wrócił szybko.

Odliczył pięćdziesiąt złotych monet i położył na dłoni Godwyna.

- Dałem ci dukaty, a niektóre z nich to floreny.

Floreny były tej samej wielkości, ale z innymi wizerunkami: Jana Chrzciciela z jednej, a kwiatu z drugiej strony.

- Nie mam takich samych monet! Mówiłem ci, że część wydałem. Mają tę samą wartość, no nie?

Rzeczywiście. Czy zakonnice zauważą różnicę?

Godwyn wepchnął monety do sakiewki przy pasie i wyszedł bez słowa.

Pospieszył do katedry i zastał Philemona w skarbcu.

- Zakonnice zamierzają przeprowadzić kontrolę - wyjaśnił zdyszany. - Odebrałem pieniądze od Elfrica. Otwórz tę skrzynię, szybko.

Philemon otworzył skrytkę w podłodze, wyjął skrzynkę oraz ćwieki i podniósł wieko.

Godwyn przeganiał palcami monety. Same dukaty.

Nic nie mógł na to poradzić. Rozsunął monety i wepchnął floreny na samo dno.

- Zamknij kufer i włóż go na miejsce - polecił. Philemon zrobił to.

Godwyn poczuł ulgę. Jego przestępstwo zostało częściowo ukryte. Przynajmniej teraz nie będzie tak oczywiste.

- Chcę tutaj być, kiedy będzie je liczyła - powiedział do Philemona. - Obawiam się, że może zauważyć, iż teraz ma floreny pomieszane z dukatami.

- Czy wiesz, kiedy zamierzają tu przyjść?

- Nie.

- Każę jakiemuś nowicjuszowi pozamiatać chór. Kiedy zjawi się Beth, przyjdzie nas zawołać.

Philemon miał grupkę oddanych nowicjuszy, którzy spełniali każde jego życzenie. Jednak nie potrzebowali nowicjusza. Kiedy mieli opuścić skarbiec, zjawiły się siostry Beth i Caris.

Godwyn udał pogrążonego w rozmowie o księgach rachunkowych.

- Będziemy musieli zajrzeć do wcześniejszych zapisów, bracie - rzekł do Philemona. - Och, dzień dobry, siostry.

Caris otworzyła schowki zakonnice i wyjęła obie skrzynki.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał Godwyn. Caris zignorowała go.

- Tylko coś sprawdzamy, dziękujemy, ojciec przeorze. To nie potrwa długo - odpowiedziała Beth.

- Róbcie swoje, róbcie swoje - rzekł łaskawie, choć serce tłukło mu się w piersi. - Nie ma potrzeby przeproszać za to, że tu jesteśmy, siostró Beth. To nasz skarbiec i nasze pieniądze.

Godwyn rozwinął pierwszy lepszy zwój i razem z Philemonem udawali, że go studiują. Beth i Caris przeliczyły srebro w pierwszej skrzyni: szelągi, półpensówki, pensy i kilka luksemburskich, fałszywych pensów niezdarnie wybitych z kiepskiego srebra i używanych jako drobne. Było tam też trochę różnych złotych monet: florenów, dukatów i tym podobnych - genuńskich z Genui i realów z Neapolu, oraz kilka większych francuskich talarów i nowych angielskich suwerenów. Beth sprawdzała sumy w notesiku. Kiedy skończyły, powiedziała:

- Zgadza się.

Włożyły wszystkie monety z powrotem w skrzyni, zamknęły ją i umieściły w skrytce pod podłogą.

Zaczęły liczyć złote monety w drugiej skrzyni, układając je w słupki po dziesięć sztuk. Kiedy doszły do dna skrzyni, Beth zmarszczyła brwi i sapnęła ze zdziwienia.

- O co chodzi? - zapytała Caris. Godwyn patrzył na to przerażony.

- W tej skrzyni znajduje się tylko legat nabożnej kobiety z Thornbury. Trzymałam go oddzielnie.

- I...?

- Jej mąż handlował z Wenecjanami. Byłam pewna, że cała suma jest w dukatach. Jednak jest tu też kilka florenów.

Godwyn i Philemon zamarli.

- To dziwne - mruknęła Caris.

- Może się pomyliłam.

- To trochę podejrzanę.

- Niezupełnie - powiedziała Beth. - Złodzieje nie umieszczają pieniędzy w skarbcu, prawda?

- Masz rację - niechętnie przyznała Caris. Skończyły liczyć. Miały sto słupków po dziesięć monet wartych sto pięćdziesiąt funtów.

- Dokładnie tyle, ile mam zapisane w notesie - powiedziała Beth.

- Zatem zgadza się co do funta i pensa - przyznała Caris.

- Mówiłam ci - rzekła Beth.

45

Caris wiele godzin myślała o siostrze Mair. Pocałunek ją zaskoczył, ale jeszcze bardziej jej reakcja. Był ekscytujący. Dotychczas nie odczuwała pociągu do Mair ani żadnej innej kobiety. W rzeczy samej była tylko jedna osoba, przez którą pragnęła być dotykana, całowana i kochana, a był nią Merthin. W zakonie nauczyła się obywać bez fizycznego kontaktu. Jedyłą dłonią, która dotykała jej intymnie, była jej własna w ciemnościach dormitorium, kiedy wspominała dni zalotów i chowała twarz w poduszce, żeby inne zakonnice nie słyszały jej szybkiego oddechu.

Nie odczuwała wobec Mair tej samej radosnej żądzy, jaką budził w niej Merthin. Jednak od Merthina dzieliło ją tysiąc mil i siedem lat. I lubiła Mair. Miało to coś wspólnego z jej anielską buzią, błękitnymi oczami, dobrocią, jaką okazywała w szpitalu i w szkole.

Mair zawsze była miła dla Caris i kiedy nikt nie patrzył, dotykała jej ręki, ramienia, a raz nawet policzka. Caris nie karmiła jej, ale nie reagowała. Nie dlatego, że uważała to za grzech. Była pewna, że Bóg jest zbyt mądry, by zabraniać kobietom takich niewinnych przyjemności. Jednak

obawiała się, że rozczaruje Mair. Instynkt mówił jej, że uczucia Mair są silne i zdecydowane, podczas gdy ona nie była pewna swoich.

Ona jest we mnie zakochana, myślała Caris, aleja w niej nie. Jeśli znowu ją pocałuję, może będzie miała nadzieję, że będziemy parą na całe życie, a tego nie mogę jej obiecać.

Tak więc nie robiła nic aż do święta postrzyżyn.

To święto w Kingsbridge odzyskało swoją świetność po kryzysie 1338 roku. Obrót surową wełną wciąż był mały w wyniku interwencji króla, i Włosi przybywali tylko co drugi rok, ale nowy interes tkacki i farbiarski kwitł. Miasto wciąż nie prosperowało tak, jak by mogło, gdyż wprowadzony przez przeora Godwyna zakaz użytkowania prywatnych młynów wyparł przemysł z miasta do okolicznych wiosek, ale większość tkanin sprzedawano na rynku i powszechnie znano je jako szkarłat z Kingsbridge. Elfric ukończył most Merthina i ludzie ciągnęli nim z wózkami i wozami. Tak więc w sobotnią noc przed oficjalnym rozpoczęciem święta szpital pękł w szwach od gości.

I jeden z nich był chory.

Nazywał się Maldwyn Cook i sporządzał słone przekąski z mąki i kawałków mięsa lub ryby, szybko smażąc je na maśle i sprzedając po sześć za szeląga. Wkrótce po przybyciu dostał nagłego i silnego bólu brzucha, po którym nastąpiły wymioty i biegunka. Caris nic nie mogła dla niego zrobić poza przydzieleniem łóżka w pobliżu drzwi.

Od dawna chciała, by szpital miał własną latrynę, tak by mogła dbać o czystość. Jednak to było tylko jedno z udogodnień, które miała nadzieję wprowadzić. Potrzebowała nowej apteki przylegającej do szpitala, przestronnego i jasnego pomieszczenia, w którym mogłaby przygotowywać leki i sporządzać notatki. I próbowała znaleźć sposób, by zapewnić pacjentom więcej prywatności. Obecnie wszyscy na sali mogli patrzeć, jak kobieta rodzi, mężczyzna ma atak lub dziecko wymiotuje. Uważała, że chorzy ludzie powinni mieć własne pokoiki, tak jak boczne kaplice w dużym kościele. Jednak nie wiedziała, jak tego dokonać: szpital nie był dostatecznie duży. Kilkakrotnie omawiała to z Jeremiahem Builderem - który przed wieloma laty był czeladnikiem Merthina, Jimmiem - jednak on też nie znalazł żadnego dobrego rozwiązania.

Następnego ranka trzy kolejne osoby miały te same objawy co Maldwyn Cook.

Caris podała gościom śniadanie i wyprawiła ich na rynek. Tylko chorym pozwolono zostać. Podłoga szpitala była brudniejsza^Auż zwykle, więc pozamiatała ją i umyła. Potem poszła do katedry na mszę.

Biskupa Richarda nie było. Towarzyszył królowi przygotowującemu nową inwazję na Francję. Zawsze traktował swoje biskupstwo głównie jako sposób umożliwiający wystawny styl życia. Pod jego nieobecność diecezją zawiadywał archidiakon Lloyd, który zbierał biskupie daniny i

czynsze, chrzcil dzieci i odprawial msze sprawnie, lecz bez wyobrazni-co najlepiej ilustrowalo jego powazne kazanie na temat tego, dlaczego Bóg jest wazniejszy od pieniedzy, nieco dziwne, zwaywszy na fakt, ze wylosil je, otwierajac jeden z najwiekszych jarmarkow w Anglii.

Mimo to wszyscy byli w dobrych humorach, jak zwykle pierwszego dnia. Święto runa bylo jednym z najwazniejszych dni w roku dla mieszczan i wieśniaków z okolicznych wiosek. Podczas festynu ludzie zarabiali pieniadze i tracili je w grach hazardowych w gospodach. Hoze wiejskie dziewoje dawaly sie uwodzic wygadany m chłopcom z miasta. Zasobni wieśniacy placili prostytutkom z miasta za uslugi, jakich nie smieli domagac sie od swoich zon. Zwykle dochodzilo do jakiegoś morderstwa, czasem kilku.

Caris zauwazyła wśród wiernych krępa, dostatnio odziana postać Buonaventury Carolego i jej serce zabilo mocniej. Mógł miec wieści o Merthinie. Z roztargnieniem przetrwala msze, mamroczac psalmy. Wychodzac, zdołala nawiązac kontakt wzrokowy z Buonaventurą. Uśmiechnal sie do niej. Nieznaczny skinieniem glowy próbowala mu przekazac, ze chce spotkac sie z nim pozniej. Nie byla pewna, czy zrozumial.

Mimo to poszła do szpitala - jedyne miejsca w opactwie, gdzie zakonnica mogła spotkac sie z mężczyzna spoza klasztoru - a Buonaventura pojawil sie tam niedlugo po niej. Mial na sobie kosztowny błękitny płaszcz i spiczaste cizmy.

- Kiedy widzialem cie ostatnio - rzekl - wlasnie zostalas wyswiecona na zakonnice przez biskupa Richarda.

- Teraz opiekuję sie gośćmi klasztoru - powiedziala.

- Gratuluję! Nie spodziewalem sie, ze tak dobrze przystosujesz sie do zycia w zakonie.

Buonaventura znal ja od dziecka.

- Ja tez nie - zasmiala sie.

- Opactwu najwidoczniej dobrze sie powodzi.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Widzę, ze Godwyn buduje nowy palac.

- Tak.

- Widać interesy dobrze mu ida.

- Pewnie tak. A twoje? Jak tam handel?

- Mamy pewne problemy. Wojna między Anglią a Francją przerywala szlaki handlowe, a podatki waszego krola Edwarda sprawily, ze angielska welna jest drozsza od hiszpańskiej. Jednak jest tez lepszej jakosci.

Kupcy zawsze narzekali na podatki. Caris przeszła do tematu, który naprawde ja interesowal.

- Masz jakieś wieści o Merthinie?

- Prawdę mówiąc, tak - odparł Buonaventura i choć zachowywał się równie uprzejmie jak zawsze, zauważyła cień wahania. - Merthin się ożenił.

Jakby ktoś uderzył ją pięścią. Nie spodziewała się tego, nigdy nawet nie przyszło jej to do głowy. Jak Merthin mógł to zrobić? Przecież był... Przecież byli...

Oczywiście nie było żadnego powodu, żeby się nie żenił. Odrzuciła go więcej niż raz, a ostatnim razem uczyniła swoją odmowę ostateczną, wstępując do klasztoru. To niepojęte, że czekał tak długo. Nie miała prawa czuć się zraniona.

- To wspaniale! - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Proszę, przekaż mu moje gratulacje. Kim jest ta dziewczyna?

Buonaventura udał, że nie zauważa jej przygnębienia.

- Ma na imię Silvia - powiedział obojętnie, jakby przekazywał nieistotne plotki. - Jest młodszą córką jednego z najznamienitszych obywateli, Alessandra Christiego, handlarza orientalnymi przyprawami, który ma kilka statków.

- W jakim jest wieku? Uśmiechnął się.

- Alessandro? Jest chyba w moim...

- Nie kpj ze mnie! - Była wdzięczna Buonaventurze za ten żart. - Ile lat ma Silvia?

- Dwadzieścia trzy.

- Sześć lat młodsza ode mnie.

- Piękna dziewczyna...

Wyczuła niedopowiedzenie.

- Ale...?

Przepraszająco odchylił głowę na bok.

- Powiadają, że ma ostry język. Oczywiście ludzie mówią różne rzeczy... może jednak dlatego tak długo była samotna. Dziewczęta we Florencji zwykle wychodzą za mąż przed ukończeniem osiemnastu lat.

- To na pewno prawda - powiedziała Caris. - Ja i Elizabeth Clerk byłyśmy jedynymi dziewczynami z Kingsbridge, które lubił Merthin, a obie jesteśmy jędzowate.

Buonaventura się roześmiał.

- Nie, wcale nie.

- Kiedy był ślub?

- Dwa lata temu. Wkrótce po tym, jak widziałem cię ostatnio.

Caris zrozumiała, że Merthin pozostał samotny, dopóki nie została wyświęcona na zakonnicę.

Od Buonaventury dowiedział się, że zrobiła ten ostatni krok. Pomyślała o nim, czekającym i mającym nadzieję przez ponad cztery lata, w obcym kraju, i jej krucha fasada dobrego humoru zaczęła pękać.

- I mają dziecko, dziewczynkę imieniem Lolla.

Tego było za wiele. Cały ból, jaki Caris czuła przed siedmioma laty - który, jak sądziła, minął na zawsze - nagle powrócił. Uświadomiła sobie, że nie straciła Merthina w 1339 roku. Przez długie lata pozostał jej wierny. Teraz jednak utraciła go na zawsze.

Drżała jak w gorączce i wiedziała, że dłużej tego nie wytrzyma.

- Miło było cię widzieć i usłyszeć wieści - powiedziała, dygocząc - ale teraz muszę wracać do pracy.

Buonaventura miał zatroskaną minę.

- Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałem. Myślałem, że wolałabyś wiedzieć.

- Nie lituj się nade mną, nie mogę tego znieść. Odwróciła się i pospiesznie odeszła.

Idąc ze szpitala do klauzury, pochyliła głowę, skrywając twarz. Szukając samotności, wbiegła po schodach do dormitorium. Za dnia nie było tam nikogo. Idąc przez długą i pustą salę, zaczęła szlochać. Na samym końcu znajdowała się sypialnia matki Cecylia. Nikomu nie było wolno wchodzić tam bez zaproszenia, ale Caris mimo to weszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Upadła na łóżko Cecylia, nie przejmując się tym, że spadł jej przy tym kornet. Wtuliła twarz w słomiany materac i płakała.

Po chwili poczuła czyjąś dłoń na swojej głowie gładzącą jej krótko obcięte włosy. Nie słyszała, jak ten ktoś wszedł do izby. Mimo wszystko powoli uspokajała się. Szlochanie stało się mniej spazmatyczne, łzy obeschły i burza uczuć zaczęła przechodzić. Caris obróciła się na plecy i spojrzała na pocieszycielkę. Była nią Mair.

- Merthin się ożenił - powiedziała Caris. - Ma córkę.

Znów zaczęła płakać.

Mair położyła się na łóżku i wzięła głowę Caris w ręce. Caris przycisnęła twarz do miękkich piersi Mair, mocząc łzami jej wełniany habit.

- No już, już... - szeptała Mair.

Po chwili Caris się uspokoiła. Była zbyt wyczerpana, żeby nadal się smucić. Pomyślała o Merthinie trzymającym w ramionach ciemnowłose włoskie dziecko i wyobraziła sobie, jaki jest przy tym szczęśliwy. Była rada, że jest mu dobrze, i powoli zapadła w głęboki sen.

Choroba, która zaczęła się od Maldwyna Cooka rozprzestrzeniła się jak letni pożar wśród tłumów przybyłych na święto runa. W poniedziałek przeskoczyła ze szpitala do gospód, a we wtorek z gości na mieszczan. Caris zanotowała w swoim dzienniku jej charakterystyczne cechy: zaczynała się

od bólów żołądka, szybko przechodzących w wymioty i biegunkę, i trwała od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin. Dorosłym nie wyrządzała większych szkód, ale zabijała starców i małe dzieci.

W środę zaatakowała zakonnice i dzieci w szkółce klasztornej. Mair i Tilly zachorowały. Caris odszukała Buonaventurę w zajeździe Bella i z niepokojem zapytała go, czy włoscy medycy mają jakieś lekarstwo na takie przypadłości.

- Nie ma lekarstwa - rzekł. - A przynajmniej żadnego, które by działało, chociaż medycy niemal zawsze coś przepisują, żeby wyciągnąć od ludzi więcej pieniędzy. Jednak niektórzy arabscy lekarze uważają, że można ograniczyć rozprzestrzenianie się takiej choroby.

- Och, naprawdę? - zainteresowała się Caris. Kupcy mówili, że muzułmańscy medycy przewyższają swoich chrześcijańskich kolegów, chociaż mnisi medycy zdecydowanie temu zaprzeczali. - Jak?

- Sądzą, że choroba przechodzi na tego, na kogo spojrzy chory. Zmysł wzroku opiera się na promieniach wysyłanych przez oczy, które dotykają tego, co widzimy - tak jak wyciągamy palec, by sprawdzić, czy coś jest ciepłe, suche lub twarde. Jednak te promienie mogą także przenosić choroby. Tak więc możesz uniknąć choroby, nie przebywając w jednym pomieszczeniu z cierpiącym.

Caris nie sądziła, żeby choroba mogła być przenoszona przez wzrok. Gdyby to było prawdą, to po uroczystej mszy w katedrze cała kongregacja zachorowałaby na każdą z chorób, jakie miał biskup. Ilekroć król byłby chory, zarażałby setki ludzi, które go widziały. I z pewnością ktoś by to zauważył.

Jednakże zdanie, że nie należy dzielić pokoju z chorym, brzmiało całkiem przekonująco. Tu, w szpitalu, choroba Maldwyna najwyraźniej przechodziła na znajdujących się w pobliżu: najpierw zapadła na nią jego żona i rodzina, a potem ludzie na sąsiednich łózkach.

Zauważyła również, że pewne choroby - zaburzenia żołądkowe, kaszel i przeziębienia oraz wszelkiego rodzaju zarazy - zdawały się wybuchać podczas festynów i jarmarków, tak więc wydawało się oczywiste, że w jakiś sposób przechodzą z osoby na osobę.

W środę wieczorem przy kolacji połowa pacjentów szpitala cierpiała na te przypadłości, a w czwartek rano chorzy byli wszyscy. Część sług klasztornych także zachorowała, więc Caris miała mało ludzi do sprzątnięcia.

Zobaczywszy chaos panujący w porze śniadania, matka Cecilia zaproponowała, by zamknąć szpital.

Caris była gotowa rozważyć każdą możliwość. Dręczyła ją własna bezsilność w walce z chorobą i przygnębiał panujący w szpitalu brud.

- A gdzie ludzie będą spali? - zapytała.

- Odsyłaj ich do zajazdów.

- Zajazdy mają te same problemy. Moglibyśmy kłaść ich w katedrze. Cecilia pokręciła głową.

- Godwyn nie pozwoli, by wieśniacy wymiotowali w nawie, gdy na chórze jest odprawiana msza.

- Gdziekolwiek będą spali, powinniśmy oddzielić chorych od zdrowych. Według Buonaventury tak rozprzestrzenia się ta choroba.

- To ma sens.

Nagle Caris wpadła na nowy pomysł, który wydawał się całkiem oczywisty, chociaż nie myślała o tym wcześniej.

- Może nie powinniśmy tylko odnawiać szpitala - powiedziała. - Może lepiej wybudować nowy, tylko dla chorych, a stary przeznaczyć dla pielgrzymów i innych zdrowych gości.

Cecilia zamyśliła się.

- To byłoby kosztowne.

- Mamy sto pięćdziesiąt funtów. - Wyobraźnia Caris zaczęła pracować. - W szpitalu mogłaby mieścić się nowa apteka. I osobne pokoje dla przewlekłe chorych.

- Dowiedz się, ile by to kosztowało. Mogłabyś spytać Elfrica.

Caris nienawidziła Elfrica. Nie lubiła go, zanim obciążył ją swymi zeznaniami. Nie chciała, żeby budował nowy szpital.

- Elfric jest zajęty przy budowie pałacu Godwyna - powiedziała. - Raczej omówię to z Jeremiahem.

- Zrób to, proszę.

Caris poczuła głęboką sympatię do Cecylii. Choć ta była służbistką pilnującą dyscypliny, pozwalała swoim zastępczyniom samodzielnie podejmować decyzje. Zawsze rozumiała sprzeczne uczucia kierujące Caris. I zamiast te uczucia tłumić, Cecilia znajdowała sposoby, żeby je wykorzystać. Znalazła dla Caris zajęcie, które absorbowało ją i dawało ujście jej buntowniczej energii. Nie potrafię sobie poradzić z tak trudną sytuacją, pomyślała Caris, a moja przełożona spokojnie każe mi brać się do nowego, długoterminowego projektu.

- Dziękuję, matko Cecilio - powiedziała.

Nieco później tego dnia obeszła teren klasztoru z Jeremiahem i wyjaśniła, co zamierza zrobić. Był przesądny jak zawsze, dopatrując się działania świętych i diablów w najbardziej zwyczajnych codziennych sprawach. Mimo to był budowniczym z wyobraźnią, otwartym na nowe pomysły:

nauczył się tego od Merthina. Szybko uzgodnili najlepszą lokalizację nowego szpitala, na południe od istniejącego budynku kuchni. Miał być oddalony od pozostałych budynków, tak by chorzy mieli jak najmniej kontaktu ze zdrowymi, ale jedzenia nie trzeba by było nosić daleko i do nowego budynku można by wchodzić bezpośrednio z klauzury zakonnice. Razem z apteką, nowymi latrynami i piętrem na izolatki, Jeremiaś wyliczył jego koszt na prawie sto funtów - większość legatu.

Caris przedyskutowała to z matką Cecilią. Ta ziemia nie należała ani do mnichów, ani do zakonnice, więc poszły porozmawiać o tym z Godwynem.

Znalazły go na budowie jego pałacu. Szkielet już stał, nakryty dachem. Caris nie była tu od kilku tygodni i zaskoczyły ją jego rozmiary - miał być tak duży jak jej nowy szpital. Teraz zrozumiała, dlaczego Buonaventura powiedział, że robi wrażenie: sala jadalna była większa niż refektarz zakonnice. Na budowie uwijał się rój robotników, jakby Godwyn spieszył się z jej ukończeniem. Kamieniarze układali posadzkę z kolorowych płytek w geometryczny wzór, kilku cieśli robiło drzwi, a mistrz szklarski zbudował piec do wytapiania szkła. Godwyn wydawał mnóstwo pieniędzy.

On i Philemon właśnie pokazywali budynek archidiakonowi Lloydowi, przedstawicielowi biskupa. Godwyn zamilkł na widok nadchodzących zakonnice.

- Nie przerywajcie sobie - powiedziała Cecilia - ale kiedy skończycie, spotkasz się ze mną przed szpitalem? Jest coś, co muszę ci pokazać.

- Oczywiście - rzekł Godwyn.

Caris i Cecilia wróciły na targowisko przed katedrą. Piątek był dniem przecen na święcie runa i handlarze sprzedawali resztki swych towarów po obniżonych cenach, żeby nie wracać z nimi do domu. Caris zobaczyła Marka Webbera, teraz puciołowatego i brzuchatego, w szkarłatnym płaszczu z własnoręcznie barwionego materiału. Czwórka jego dzieci pomagała mu na straganie. Caris szczególnie lubiła Dorę, teraz piętnastoletnią, która była szczupłą, skrzętną i pewną siebie tak jak jej matka.

- Wygląda na to, że ci się dobrze powodzi - powiedziała z uśmiechem Caris.

- Te pieniądze powinny być twoje - odparł Mark. - To ty wymyśliłaś ten barwnik. Ja tylko zrobiłem to, co mi powiedziałaś. Czuję się niemal tak, jakbym cię oszukał.

- Zostałeś nagrodzony za ciężką pracę.

Nie miała nic przeciwko temu, że Markowi i Madge tak dobrze się powodzi dzięki jej pomysłowi. Chociaż zawsze cieszyły ją wyzwania związane z prowadzeniem interesów, nigdy nie pragnęła bogactwa - może dlatego, że dla niej, wychowanej w zamożnym domu, zawsze było czymś oczywistym. Tak czy inaczej nie żałowała tego, że to Webberowie zbijają fortunę, która mogła należeć do niej. Skromne życie w klasztorze jej odpowiadało. I cieszył ją widok zdrowych i ładnie odzianych

dzieci Webberów. Pamiętała, jak cała ich szóstka musiała sypiać na podłodze w jednej izbie, której większą część zajmowały krosna.

Razem z Cecilią poszły na południowy kraniec opactwa. Teren wokół stajni wyglądał jak farma. Stało tu kilka niewielkich budynków: gołębnik, kurnik i szopa na narzędzia. Kury grzebały w ziemi, świnie ryły w kuchennych odpadkach. Caris korciło, żeby zrobić tu porządek.

Wkrótce przyszli Godwyn i Philemon, a z nimi Lloyd. Cecilia wskazała kawałek ziemi obok kuchni i powiedziała:

- Zamierzam wybudować nowy szpital i chcę postawić go tam. Co o tym myślisz?

- Nowy szpital? - zdziwił się Godwyn. - Po co?

Caris pomyślała, że wygląda na zaniepokojonego, co ją zdziwiło.

- Chcemy mieć szpital dla chorych i oddzielny budynek dla zdrowych gości - wyjaśniła Cecilia.

- Co za niezwykły pomysł.

- To przez tę chorobę żołądka, która zaczęła się od Maldwyna Cooka. Ta jest szczególnie groźna, ale na jarmarkach często wybuchają choroby i jedną z przyczyn ich szybkiego rozprzestrzeniania się może być to, że chorzy i zdrowi razem jedzą, śpią i chodzą do tej samej latryny.

Godwyn się nadał.

- Oho! - mruknął. - Zatem zakonnice są teraz medykami, tak?

Caris ściągnęła brwi. Takie szyderstwa nie były w jego stylu. Starał się być czarujący, jeśli chciał coś osiągnąć, szczególnie u wpływowych osób, takich jak Cecilia. Ta złośliwość coś maskowała.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Cecilia. - Jednak wszyscy wiemy, że niektóre choroby przenoszą się z jednego cierpiącego na drugiego, to oczywiste.

- Muzułmańscy medycy uważają, że chorobą można się zarazić, patrząc na chorą osobę - dodała Caris.

- Och, naprawdę? To interesujące! - rzekł ze zjadliwym sarkazmem Godwyn. - Ci z nas, którzy spędzili lata, studiując medycynę na uniwersytecie, zawsze chętnie słuchają wykładów o chorobach z ust młodych zakonnice ledwie po nowicjacie.

Caris nie zmieszała się. Nie miała zamiaru okazywać szacunku temu kłamliwemu hipokrycie, który próbował ją zamordować.

- Jeśli nie wierzysz, że choroby się przenoszą, to czemu nie dowiedziesz tego, przychodząc dziś na noc do szpitala i śpiąc obok setki ludzi mających nudności i biegunkę?

- Siostró Caris! - zgromiła ją Cecilia. - Wystarczy. - Zwróciła się do Godwyna: - Wybacz jej,

ojcze przeorze. Nie było moim zamiarem wciągać cię w dyskusję o chorobie ze zwykłą zakonnica. Chciałam tylko wiedzieć, czy nie masz nic przeciwko takiemu wyborowi miejsca.

- I tak teraz nie możesz go zbudować - powiedział Godwyn. - Elfric jest zbyt zajęty wznoszeniem pałacu.

- Nie chcemy Elfrica - znów wtrąciła się Caris. - Weźmiemy Jeremiaha. Cecilia ponownie ją skarciła.

- Caris, bądź cicho! Pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce. Więcej nie przerywaj mojej rozmowy z lordem opatem.

Caris zrozumiała, że wcale nie pomaga Cecili, więc - wbrew sobie - pochyliła głowę i szepnęła:

- Przepraszam, matko przeoryszo.

- Pytanie nie brzmi, kiedy go zbudujemy, tylko gdzie.

- Obawiam się, że nie mogę tego zaaprobować - odrzekł Godwyn sztywno.

- Gdzie wolałbyś, żeby stanął nowy budynek?

- Nie sądzę, żeby w ogóle potrzebny był wam nowy szpital.

- Wybacz, ale to ja zarządzam zakonem - szorstko odparła Cecilia. - Nie możesz mówić mi, na co powinnam wydawać nasze pieniądze. Jednak zwykle konsultujemy się ze sobą przed wzniesieniem nowych budynków, chociaż muszę rzec, że zapomniałeś o tej grzeczności, planując budowę swojego pałacu. Mimo to pytam cię o zdanie, ale wyłącznie w kwestii lokalizacji budynku. - Spojrzała na Lloyda. - Jestem pewna, że archidiakon zgodzi się ze mną w tej sprawie.

- Zgoda musi być - rzekł wymijająco Lloyd.

Caris zmarszczyła brwi. Dlaczego Godwyn się sprzeciwia? Buduje swój pałac przy północnej ścianie katedry i nie ma dla niego znaczenia, czy zakonnice postawią nowy budynek od południa, gdzie większość mnichów rzadko przychodzi. Czego się obawia?

- Mówię ci, że nie zgadzam się na lokalizację ani na budynek. Koniec rozmowy!

Nagle Caris w przeblysku natchnienia zrozumiała powód zachowania Godwyna. Była tak zaszokowana, że wypaliła głośno:

- Ukradłeś nasze pieniądze!

- Caris! - syknęła Cecilia. - Kazałam ci...

- On ukradł legat kobiety z Thornbury! - powtórzyła Caris, w gniewie przerywając przełożonej. - Oczywiście w ten sposób zdobył pieniądze na swój pałac. A teraz próbuje uniemożliwić nam budowę, ponieważ wie, że pójdziemy do skarbcza i odkryjemy, że nasze pieniądze znikły!

- Nie mów głupstw - warknął Godwyn.

Jego słowa uzmysłowiły Caris, że musiała trafić w sedno. To rozgniewało ją jeszcze bardziej.

- Udowodnij! - krzyknęła. Z trudem zmusiła się, by mówić nieco spokojniej. - Pójdziemy teraz do skarbcza i sprawdzimy skrytki. Chyba nie masz nic przeciwko temu, ojcie przeorze?

- Byłoby to absolutnie niegodne postępowanie i nie ma mowy, by przeor wziął w tym udział - wtrącił Philemon.

Caris go zignorowała.

- W skarbczu powinno być sto pięćdziesiąt funtów w złocie.

- Nie ma mowy - rzekł Godwyn.

- No cóż, teraz, kiedy padło oskarżenie, zakonnice i tak muszą sprawdzić skrytki. - Spojrzała na Cecilie, która skinęła głową. - Tak więc, jeśli przeor woli przy tym nie być, niewątpliwie archidiacon chętnie weźmie w tym udział jako świadek.

Lloyd wyraźnie nie miał ochoty dać się wciągnąć w ten spór, ale trudno było mu odrzucić rolę arbitra.

- Oczywiście, jeśli to pomoże obu stronom... - wymamrotał.

Caris myślała gorączkowo.

- Jak otworzyłeś skrzynię? - spytała. - Christopher Blacksmith zrobił klucz, a on jest zbyt uczciwy, by zrobić duplikat i pomóc ci nas okraść. Musiałeś rozbić skrzynię, a potem jakoś ją naprawić. Co zrobiłeś, zerwałeś zawias? - Zobaczyła, że Godwyn mimo woli zerknął na swojego zastępcę. - Aha! - triumfalnie wykrzyknęła Caris. - Zatem to Philemon zerwał zawias. Jednak to przeor wziął pieniądze i dał je Elfricowi.

- Dość tych spekulacji - ucięła Cecilia. - Ustalmy fakty. Wszyscy pójdziemy do skarbcza i otworzymy kufer. W ten sposób zakończymy sprawę.

- To nie była kradzież - powiedział Godwyn. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Zapadła głucha cisza.

- Przyznajesz, że to prawda! - krzyknęła Cecilia.

- To nie była kradzież - powtórzył Godwyn. - Te pieniądze są wykorzystywane dla dobra opactwa i na chwałę Pana.

- To żadna różnica - stwierdziła Caris. - Te pieniądze nie były twoje!

- To pieniądze Boga - upierał się Godwyn.

- Zostały zapisane w testamencie zakonnicom - podkreśliła Cecilia. - Wiesz o tym. Widziałeś ten testament.

- Nic nie wiem o żadnym testamencie - odparł Godwyn.

- Zniszczył go - prychnęła Caris. - Powiedział, że sporządzi kopie, a oryginał schowa w

skarbcu... a tymczasem go zniszczył.

Cecilia z otwartymi ustami spoglądała na Godwyna.

- Powinam była wiedzieć - rzekła powolnie - Po tym, co próbowałeś zrobić Caris, już nigdy nie powinnam ci ufać. Myślałam jednak, że twoja dusza może jeszcze zostać zbawiona. Myliłam się.

- Dobrze, że sporządziliśmy własną kopię testamentu, zanim im go daliśmy - powiedziała Caris, wymyśliwszy to w desperacji.

- To oczywiście fałszerstwo - uznał Godwyn.

- Gdyby pieniądze były wasze, nie musielibyście rozbijać szkatuły, żeby je wziąć. Chodźmy więc i zobaczmy. To rozstrzygnie sprawę.

- Fakt, że zawias został oderwany, niczego nie dowodzi - zaznaczył Philemon.

- A więc miałam rację! - wykrzyknęła Caris. - Tylko skąd wiesz o zawiasie? Siostra Beth nie otwierała skrytki od czasu kontroli, a wtedy skrzynka była cała. Musiałeś sam wyjąć ją ze skrytki, skoro wiesz, że ktoś przy niej majstrował.

Philemon zmieszał się i nie odpowiedział. Cecilia zwróciła się do Lloyda:

- Archidiakonie, jesteś przedstawicielem biskupa. Myślę, że twoim obowiązkiem jest kazać przeorowi, aby oddał pieniądze zakonnicom.

Lloyd wyglądał na zaniepokojonego.

- Zostało ci coś z tych pieniędzy? - zapytał Godwyn.

- Kiedy złapiesz złodzieja, nie pytasz, czy stać go na zwrot zagrabionych łupów! - gniewnie upominała archidiakona Caris.

- Ponad połowę wydałem już na pałac - odpowiedział Godwyn.

- Budowa musi natychmiast zostać przerwana - orzekła Caris. - Ludzi trzeba zwolnić jeszcze dziś, budynek rozebrać, a materiały sprzedać. Musisz zwrócić nam te pieniądze. Czego nie zdołasz oddać w gotówce po rozebraniu pałacu, musisz wyrównać w ziemi lub innych dobrach.

- Odmawiam.

Cecilia ponownie zwróciła się do Lloyda:

- Archidiakonie, proszę, czyn swoją powinność. Nie możesz pozwolić, by jeden podwładny biskupa okradał drugiego, choćby oboje wykonywali boże dzieło.

- Nie mogę wyrokować w takim sporze - wykręcał się Lloyd. - To zbyt poważna sprawa.

Jego słabość sprawiła, że Caris oniemiała z gniewu i zawodu.

- Przecież musisz! - protestowała Cecilia.

Wyglądał jak człowiek w potrzasku, ale uparcie kręcił głową.

- Oskarżenia o kradzież, zniszczenie testamentu, zarzut fałszerstwa... To musi rozpatrzyć sam biskup!

- Przecież biskup Richard jest we Francji - zauważyła Cecilia - i nikt nie wie, kiedy wróci. Tymczasem Godwyn wydaje ukradzione pieniądze!

- Obawiam się, że nic na to nie poradzę - powiedział Lloyd. - Musicie zwrócić się do Richarda.

- Bardzo dobrze - powiedziała Caris. Coś w tonie jej głosu sprawiło, że wszyscy na nią spojrzeli. - W takim razie pozostało tylko jedno wyjście: pojedziemy i znajdziemy biskupa.

46

W lipcu 1346 roku król Edward III zebrał największą flotę, jaką kiedykolwiek widziała Anglia - prawie tysiąc statków stojących w Portsmouth. Niesprzyjające wiatry zatrzymały armadę, lecz w końcu wypłynęła jedenastego lipca do pozostającego tajemnicą miejsca przeznaczenia.

Caris i Mair przybyły do Portsmouth dwa dni później i nie zdążyły zobaczyć się z biskupem Richardem, który pożeglował z królem.

Postanowiły podążyć za armią do Francji.

Nie było łatwo uzyskać pozwolenie nawet na podróż do Portsmouth. Matka Cecilia zwołała w kapitułarzu zebranie sióstr, aby przedyskutować ten pomysł, i niektóre uważały, że Caris może znaleźć się w moralnym i fizycznym niebezpieczeństwie. Jednak zakonnice opuszczały konwent, nie tylko na pielgrzymki, lecz w sprawach zakonu, udając się do Londynu, Canterbury lub Rzymu. A zakonnice z Kingsbridge chciały odzyskać swoje pieniądze.

Mimo to Caris nie była pewna, czy otrzyma zgodę na przepłynięcie przez kanał. Na szczęście nie miała okazji zapytać.

Razem z Mair nie mogły natychmiast popłynąć z armadą, nawet gdyby wiedziały, dokąd zmierza król, gdyż każdy nadający się do żeglugi statek na południu Anglii został włączony do królewskiej floty. Tak więc niecierpliwie czekały w klasztorze tuż pod Portsmouth na wieści.

Później Caris dowiedziała się, że król Edward wylądował ze swoją armią na szerokiej plaży pod St.-Vaast-la-Hogue, na północnym wybrzeżu Francji, w pobliżu Barfleur. Jednak flota nie wróciła od razu. Zamiast tego statki przez dwa tygodnie płynęły wzdłuż brzegu na wschód, podążając za armią aż do Caen. Tam wypełniono ładownie łupami: biżuterią, drogimi tkaninami oraz złotymi i srebrnymi naczyniami zrabowanymi przez armię Edwarda bogatym normandzkim szlachcicom. Potem statki wróciły.

Jednym z pierwszych była „Grace”, keg - transportowiec o szerokim kadłubie, z zaokrąglonym dziobem i rufą. Jej kapitan, ogorzały wilk morski zwany Rollo, wychwalał króla pod

niebosa. Otrzymał sowitą zapłatę za swój statek i załogę, a także spory udział w łupach.

- To największa armia, jaką widziałem - mówił zachwycony. Sądził, że liczyła co najmniej piętnaście tysięcy żołnierzy, w tym połowę łuczników i około pięciu tysięcy konnych. - Będziecie musiały się uwijać, żeby ich dogonić - powiedział. - Zabiorę was do Caen, gdzie, jak wiem, byli, więc tam dowiecie się, dokąd się udali. Dokądkolwiek poszli, będą tydzień przed wami.

Caris i Mair uzgodniły cenę z Roilem, po czym weszły na pokład „Grace” z dwoma krzepkimi kucami - Blackiem i Stampem. Wprawdzie nie będą jechały szybciej niż żołnierskie konie, lecz wojsko często musi się zatrzymywać i walczyć - uważała Caris - więc powinny ich dogonić.

Kiedy dotarły do brzegów Francji i wpłynęły do ujścia rzeki Orne wczesnym rankiem słonecznego sierpniowego dnia, „Caris wciągnęła bryzę i wyczuła nieprzyjemną woń starego popiołu. Przyglądając się obu brzegom rzeki, zobaczyła, że ziemia wszędzie jest czarna. Wyglądało na to, że zboża zostały spalone na polach.

- Typowa praktyka - wyjaśnił Rollo. - Czego armia nie może zabrać, należy zniszczyć, inaczej wróg mógłby to wykorzystać.

Gdy zbliżali się do Caen, minęli wraki kilku statków, zapewne spalonych z tej samej przyczyny.

- Nikt nie wie, jaki król ma plan - powiedział Rollo. - Może ruszy na południe i na Paryż albo skręci na północny wschód do Calais w nadziei połączenia się tam ze swymi flamandzkimi sojusznikami. Jednak z łatwością zdołacie trafić na jego ślad. Szukajcie tylko spalonych pól.

Zanim wysiadły na ląd, Rollo dał im kawał szynki.

- Dziękujemy, ale w jukach mamy trochę wędzonych ryb i twarde ser - powiedziała Caris. - I mamy pieniądze, więc możemy kupić sobie to, co będzie nam potrzebne.

- Być może pieniądze nie na wiele wam się zdadzą - odparł kapitan. - Może nie da się niczego kupić. Armia jak szarańcza ogołoci kraj do czysta. Weźcie szynkę.

- Jesteś bardzo uprzejmy. Do widzenia.

- Pomódlcie się za mnie, jeśli łaska, siostró. W swoim czasie popełniłem kilka ciężkich grzechów.

W Caen stało kilka tysięcy domów. Tak jak Kingsbridge miasto podzielone było na dwie części, Stare Miasto i Nowe Miasto, przez rzekę Odon, na której zbudowano most Świętego Piotra. Na brzegu rzeki w pobliżu mostu kilku rybaków sprzedawało złowione ryby. Caris spytała o cenę węgorza. Miała trudności ze zrozumieniem odpowiedzi, gdyż rybak mówił francuskim dialektem, którego nigdy przedtem nie słyszała. Gdy w końcu go zrozumiała, cena zaparła jej dech w piersi. Zrozumiała, iż żywności jest tak mało, że jest cenniejsza od drogich kamieni. Teraz była wdzięczna

Rollowi za jego hojność.

Zdecydowały, że jeśli ktoś je spyta, powiedzą, że są irlandzkimi zakonnice podróżującymi do Rzymu. Teraz jednak, gdy oddalały się od rzeki, Caris nerwowo zastanawiała się, czy tubylecy nie poznają po jej akcencie, że jest Angielką.

Tubylców było niewiele. Porozbijane drzwi i strzaskane okiennice zdradzały puste domy. Wszędzie panowała upiorna cisza - żadnych pokrzykiwań handlarzy, dziecięcych klótni, kościelnych dzwonów. Jedynym zajęciem ocalałych było grzebanie zmarłych. Bitwa rozegrała się ponad tydzień temu, ale grupki ludzi o posępnych twarzach wciąż wносиły zwłoki z domów i ładowały je na wózki. Wyglądało na to, że angielska armia dokonała masakry mężczyzn, kobiet i dzieci. Minęły kościół, gdzie na przykościelnym cmentarzu wykopano ogromny dół, i widziały, jak ciała wrzucano do zbiorowego grobu bez trumien czy choćby całunów, podczas gdy ksiądz nieustannie odmawiał modlitwę za zmarłych. Wokół unosił się potworny odór.

Dobrze odziany mężczyzna skłonił się im i zapytał, czy potrzebują pomocy. Jego pewny siebie sposób bycia sugerował, że jest wybitnym obywatelem troszczącym się o to, by duchowym gościom nie stała się krzywda. Caris nie skorzystała z propozycji pomocy, notując w myślach, że jego normańska francuszczyzna niczym nie różni się od tej, jaką mówią szlachetnie urodzeni w Anglii. Może, pomyślała, wszyscy nisko urodzeni posługują się miejscowymi dialektami, podczas gdy klasa rządząca mówi z jednym akcentem?

Zakonnice wyjechały z miasteczka drogą na wschód, z ulgą pozostawiając za sobą opustoszałe ulice. Okolica też była wyludniona. Caris wciąż czuła na języku gorzki smak popiołu. Liczne pola i sady po obu stronach drogi spalono. Co kilka mil mijały osmalone gruzy, które były resztkami wiosek. Wieśniacy uciekli przed nadciągającymi wojskami lub zginęli w pożarze, gdyż niewiele było tu oznak życia: tylko ptaki, czasem świnia lub kura przeoczona przez łupieżców, a czasem pies, ze zdziwieniem obwąchujący gruzy, próbujący znaleźć zapach pana w stosie zimnych węgli.

Zmierały teraz do klasztoru oddalonego o pół dnia jazdy od Caen. W miarę możliwości starały się spędzać noce w takich religijnych przybytkach - klasztorach, monasterach lub szpitalach - w drodze z Kingsbridge do Ports-mouth. Znały nazwy i położenie pięćdziesięciu jeden takich miejsc między Caen a Paryżem. Jeśli zdołają je znaleźć, wędrując po pogorzeliiskach pozostawionych przez króla Edwarda, znajdą darmowy wikt, zakwaterowanie i bezpieczne schronienie przed złodziejami, a także - jak dodałaby matka Cecilia - przed cielesnymi pokusami, takimi jak mocne trunki i towarzystwo mężczyzn.

Choć Cecilia miała wyostrzony instynkt, nie wyczuła innego rodzaju pokusy grożącej Caris i Mair. Właśnie z tego powodu Caris w pierwszej chwili odmówiła, gdy Mair poprosiła, żeby zabrała ją

ze sobą. Zamierzała przemieszczać się szybko i nie chciała komplikować sobie zadania, nawiązując intymny kontakt lub odmawiając. Z drugiej strony potrzebowała odważnej i dzielnej towarzyszki. Teraz była rada z podjętej decyzji: ze wszystkich zakonnice tylko Mair miała dość odwagi, żeby gonić angielską armię przez pół Francji.

Caris zamierzała przed wyjazdem przeprowadzić poważną rozmowę z Mair i powiedzieć jej, że w czasie podróży nie dojdzie między nimi do żadnego fizycznego zbliżenia. Poza wszystkim innym, gdyby ktoś coś zauważył, mogłoby to ściągnąć na nie straszliwe kłopoty. Jednak jakoś nie zdobyła się na tę szczerą rozmowę. Tak więc znalazły się we Francji, a ta kwestia nadal pozostała nieporuszona, niczym trzecia podróżna jadąca między nimi na niewidzialnym koniu.

W południe zatrzymały się na skraju lasu, przy niespalonej łące, na której mogły paść się kuce. Caris ukroiła kilka plasterów szynki od Rolla, a Mair wyjęła z juków bochenek czerstwego chleba z Portsmouth. Napiły się wody ze strumienia, chociaż miała smak popiołu.

Caris powstrzymała chęć natychmiastowego ruszenia dalej, niechętnie pozwalając koniom odpocząć w tej najgorętszej godzinie dnia. Wtem, gdy już szykowały się do odjazdu, zaskoczona stwierdziła, że ktoś je obserwuje. Zastygła, z szynką w jednej i z nożem w drugiej ręce.

- Co się dzieje? - zapytała Mair, a potem powiodła wzrokiem w ślad za spojrzeniem Caris i zrozumiała.

Kilka jardów dalej, w cieniu drzew, stali dwaj mężczyźni, przyglądając się im. Wyglądali na młodych, ale trudno było mieć pewność, gdyż mieli umazane sadzą twarze i brudne odzienie.

Po chwili Caris odezwała się do nich normańska francuszczyzną:

- Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci.

Nie odpowiedzieli. Caris odgadła, że nie wiedzą, jak się zachować. Tylko jakie możliwości rozważali? Rabunek? Gwałt? Wyglądali groźnie.

Była przestraszona, ale myślała trzeźwo. Doszła do wniosku, że czegokolwiek mogą chcieć, na pewno są głodni.

- Szybko, daj mi dwie kromki chleba - rzuciła do Mair.

Mair odkroiła dwie grube pajdy z bochna. Caris odcięła równie grube kawały szynki i położyła je na chlebie.

- Daj im je - poleciła Mair.

Mair wyglądała na przerażoną, ale bez wahania przeszła po trawie i podała kromki mężczyznom.

Złapali je i zaczęli łapczywie jeść. Caris podziękowała niebu, że jej podejrzania były słuszne.

Szybko schowała szynkę do juków, a nóż za pas, po czym wsiadła na Blackiego. Mair poszła

w jej ślady i schowawszy chleb, dosiadła Stampa. Na końskim grzbiecie Caris poczuła się bezpieczniej.

Wyższy z mężczyzn podszedł do nich szybkim krokiem. Caris miała ochotę popędzić kuca i odjechać, ale nie zdążyła, bo mężczyzna złapał zwierzę za uzdę i odezwał się z pełnymi ustami.

- Dziękuję - rzekł z silnym miejscowym akcentem.

- Podziękuj Bogu, nie mnie. To On przysłał mnie, żeby wam pomogła. Patrzy na was. I wszystko widzi.

- Masz w jukach więcej mięsa.

- Bóg powie mi, komu je dać.

Mężczyzna przez chwilę rozważał te słowa, po czym rzekł:

- Daj mi swe błogosławieństwo.

Caris nie miała ochoty wyciągać ręki w tradycyjnym geście błogosławieństwa, gdyż jej dłoń znalazłaby się zbyt daleko od wetkniętego za pas noża. Był to zwyczajny nóż o krótkim ostrzu, jakie nosili wszyscy, lecz mogła nim przejechać po ręce trzymającej uzdę i zmusić mężczyznę, żeby ją puścił.

- Bardzo dobrze - powiedziała w przyływie natchnienia. - Uklęknij. Mężczyzna się zawahał.

- Musisz klęknąć, żeby otrzymać moje błogosławieństwo - dodała, lekko podnosząc głos.

Mężczyzna powoli ukląkł, wciąż trzymając w dłoni kromkę chleba.

Caris spojrzała na jego towarzysza. Po chwili drugi mężczyzna poszedł w ślady kompana.

Caris pobłogosławiła obu, po czym popędziła Blackiego i odjechała szybkim kłusem. Obejrzała się. Mair była tuż za nią. Wyglądzeni mężczyźni stali i patrzyli na nie.

Jadąc przez całe popołudnie, Caris niespokojnie analizowała ten incydent. Słońce świeciło jasno niczym w pogodny dzionek w piekle. Tu i ówdzie nad lasem lub spaloną stodołą unosiły się smugi dymu. Jednak powoli doszła do wniosku, że ta kraina jest zupełnie opustoszała. Zobaczyła ciężarną kobietę zbierającą fasolę na poletku, które uniknęło angielskich pochodni, wystraszone twarzyczki dwojga dzieci spoglądających z poczerniałych kamieni, jakie zostały z dworku, i kilka grupek mężczyzn, zwykle przemykających skrajem lasu, poruszających się z czujną gotowością padlinozerców. Ci ludzie niepokoił ją. Wyglądali na głodnych, a głodni ludzie są niebezpieczni. Zastanawiała się, czy zamiast przejmować się tempem podróży, nie powinna zacząć martwić się o swoje bezpieczeństwo.

Odnalezienie kościelnych przybytków, w których zamierzały się zatrzymywać, także okazało się trudniejsze, niż Caris sądziła. Nie przewidziała, że angielska armia pozostawi po sobie takie

zniszczenia. Zakładała, że będzie mogła pytać wieśniaków o drogę. Nawet w spokojnych czasach trudno byłoby dowiedzieć się czegoś od ludzi, którzy nigdy nie wybrali się dalej niż na najbliższy jarmark. Teraz jej rozmówcy będą niechętni, przerażeni lub niebezpieczni.

Patrząc na słońce, wiedziała, że zmierzają na wschód, a sądząc po głębokich koleinach w wyschniętym błocie, znajdowały się na głównym trakcie. Zamierzały do wieczora dotrzeć do wioski Hópital-des-Soeurs, nazwanej tak od znajdującego się w niej klasztoru. Gdy jej cień przed nią zaczął się wydłużać, z rosnącym niepokojem zaczęła rozglądać się za kimś, kogo mogłaby zapytać o drogę.

Na ich widok dzieci pierzchały z przestraszeniem. Caris nie była jeszcze tak zdesperowana, żeby zaryzykować i podejść do któregoś z wygłodniałych mężczyzn. Miała nadzieję, że spotka jakąś niewiastę. Nie widziała żadnych młodych kobiet i zrodziły się w niej ponure podejrzenia co do losu, jaki mógł je spotkać z rąk angielskich maruderów. Czasem widziała w oddali kilkoro żniwiarzy na polu, które uniknęło spalenia, ale nie chciała oddalać się od drogi.

W końcu ujrzały pomarszczoną staruszkę siedzącą pod jabłonią przy okazałym domu z kamienia. Jadła zerwane z drzewa, bardzo niedojrzałe jabłka. Wyglądała na przerażoną. Caris zsiadła z kuca, żeby wyglądać mniej groźnie. Kobieta próbowała schować swoje mizerne pożywienie w fałdach sukni, ale najwidoczniej nie miała siły uciekać.

Caris zwróciła się do niej uprzejmie:

- Dobry wieczór, matko. Czy mogę wiedzieć, czy ta droga zaprowadzi nas do Hópital-des-Soeurs?

Kobieta skupiła się i udzieliła im odpowiedzi, wskazując kierunek, w jakim podążały.

- Przez lasy i za wzgórzem.

Caris zobaczyła, że staruszka nie ma zębów. Gryzienie niedojrzałych jabłek samymi dziąsłami musiało być trudne, pomyślała ze współczuciem.

- Jak daleko? - zapytała.

- Daleko.

W jej wieku wszędzie jest daleko.

- Zdołamy tam dojechać przed zmrokiem?

- Na koniach tak.

- Dziękuję, matko.

- Miałam córkę - powiedziała staruszka. - I dwóch wnuków. Czternastoletniego i szesnastoletniego. Ładni chłopcy.

- Przykro mi to słyszeć.

- Anglicy - syknęła staruszka. - Niech wszyscy smażą się w piekle. Najwidoczniej nie

przyszło jej do głowy, że Caris i Mair mogą być Angielkami.

W ten sposób Caris znalazła odpowiedź na niepokojące ją pytanie: miejscowi nie potrafili odgadnąć, skąd pochodzą.

- Jak nazywali się ci chłopcy, matko?

- Giles i Jean.

- Pomodłę się za dusze Gilesa i Jeana.

- Macie chleb?

Caris rozejrzała się, sprawdzając, czy w pobliżu nie czai się ktoś jeszcze, gotowy na nie napaść, ale były same. Skinęła na Mair, która wyjęła z juków resztę chleba i dała go staruszce.

Ta wyrwała chleb jej z ręki i zaczęła żuć.

Caris i Mair odjechały.

- Jeśli będziemy tak rozdawały jedzenie, zaczniemy głodować - zauważyła Mair.

- Wiem - westchnęła Caris. - Tylko jak mogłam jej odmówić?

- Nie wykonamy zadania, jeśli umrzemy.

- Jednak mimo wszystko jesteśmy zakonnice - stanowczo rzekła Caris. - Musimy pomagać potrzebującym i zostawić Bogu decyzję, kiedy ześle na nas śmierć.

Mair była zaskoczona.

- Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówiła.

- Mój ojciec nienawidził ludzi prawiących morały. Zwykł mówić, że wszyscy jesteśmy dobrzy, kiedy nam wygodnie, ale to się nie liczy. Tylko kiedy bardzo chcesz zrobić coś złego - na przykład zbić fortunę na nieuczciwej umowie, pocałować w usta żonę sąsiada lub nakłamać, żeby wydobyć się z opresji - właśnie wtedy potrzebne są zasady. Twierdził, że prawość jest jak miecz: nie wymachujesz nim, chyba że chcesz go sprawdzić. Chociaż nie znał się na mieczach.

Mair milczała przez chwilę. Może zastanawiała się nad tym, co usłyszała, a może po prostu nie chciała się sprzeczać - Caris nie była pewna.

Mówiąc o Edmundzie, Caris zawsze uświadamiała sobie, jak bardzo za nim tęskni. Po śmierci matki stał się najważniejszą osobą w jej życiu. Zawsze był przy niej, gotowy, gdy potrzebowała współczucia i zrozumienia, mądrej rady lub tylko informacji: tyle wiedział o świecie. Teraz, kiedy go szukała, znajdowała tylko pustkę.

Minęły pasmo lasu porastające wzgórze, tak jak zapowiedziała staruszka. Spoglądając na płytką dolinę, ujrzały następną spaloną wioskę, taką samą jak inne, lecz z grupką budynków z kamienia wyglądających na mały klasztor.

- To musi być Hôpital-des-Soeurs - powiedziała Caris. - Dzięki Bogu. Zbliżając się,

uświadomiła sobie, jak bardzo przywykła do życia w klasztorze.

Gdy zjeżdżały ze wzgórza, zdała sobie sprawę z tego, że czeka na rytualne mycie rąk, jedzony w milczeniu posiłek, kładzenie się spać o zachodzie słońca, nawet senny spokój jutrzni o trzeciej rano. Po tym, co widziała dzisiaj, bezpieczeństwo tych szarych murów było niezwykle kuszące, więc spięła Blackiego do kłusa.

Nie widziała żadnych ludzi, lecz nie zdziwiło jej to, gdyż był to mały wiejski klasztor i nie należało oczekiwać, że będzie tętnił życiem jak duże opactwo, jakim było Kingsbridge. Mimo wszystko o tej porze dnia powinien unosić się słup dymu z kuchni, w której przygotowują wieczerzę. Podjechawszy bliżej, dostrzegła inne złowieszcze znaki i powoli ogarniał ją niepokój. Najbliższy budynek, wyglądający na kościół, najwyraźniej nie miał dachu. Okna straszły pustymi oczodołami, bez okiennic i szyb. Niektóre z kamiennych ścian poczerniały, jakby od dymu.

Wszędzie panowała cisza: żadnych dzwonów, pokrzykiwań stajennych czy kuchcików. Ściągając wodze, Caris z przygnębieniem pojęła, że klasztor jest opuszczony. I spalony, tak jak pozostałe domy we wsi. Większość kamiennych ścian wciąż stała, lecz drewniane dachy zawały się, drzwi i inne elementy stolarki spłonęły, a szyby popękały od żaru.

- Podpalili klasztor? - z niedowierzaniem szepnęła Mair.

Caris była równie wstrząśnięta. Wierzyła, że najeźdźcy zawsze pozostawiają kościoły i klasztory nietknięte. Ludzie mówili, że taka jest żelazna zasada. Dowódca bez wahania skaże na śmierć żołnierza, który pogwałcił święte miejsce. Zgadzała się z tym bez zastrzeżeń.

- A wszystko to na dowód rycerskości - mruknęła.

Zsiadły z koni i poszły, ostrożnie omijając zwęglone belki i osmalone gruzy, do części mieszkalnej. Gdy podeszły do kuchennych drzwi, Mair wrzasnęła.

- O Boże, co to?! Caris знаła odpowiedź.

- To martwa zakonnica.

Leżące na ziemi zwłoki były nagie, lecz krótko obcięte włosy świadczyły o tym, że to zakonnica. Ciało nie zostało strawione przez pożar. Kobieta nie żyła od blisko tygodnia. Ptaki już wydziobały jej oczy, a jakieś zwierzę pożarło część twarzy.

Ponadto miała obcięte nożem piersi.

- To zrobili Anglicy? - z niedowierzaniem wyszeptała Mair.

- No, na pewno nie Francuzi.

- Obok naszych żołnierzy walczą też cudzoziemcy, prawda? Walijszczy, Germanie i inni.

Może to oni.

- Wszyscy są pod rozkazami naszego króla ->ponuro odparła Caris. - On ich tu

przyprowadził. On odpowiada za to, co robią.

Patrzyły na potworny widok. W tym momencie z ust nieboszczki wyszła mysz. Mair krzyknęła i odwróciła się. Caris objęła ją.

- Spokojnie - powiedziała stanowczo i poklepała Mair po plecach, żeby podnieść ją na duchu.
- Chodź - dodała po chwili. - Wynośmy się stąd.

Wróciły do koni. Caris powstrzymała chęć pogrzebienia martwej zakonnicy. Gdyby zabawiły tutaj dłużej, zastałyby je noc. Tylko dokąd mają teraz jechać? Zamierzały nocować tutaj.

- Wrócimy do tej starej kobiety pod jabłonią - powiedziała. - Jej dom to jedyny nietknięty budynek, jaki widziałyśmy od Caen. - Z niepokojem spojrzała na zachodzące słońce. - Jeśli się pospieszymy, może dotrzemy tam, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

Popędziły zmęczone kuce i wróciły na drogę. Wprost przed nimi słońce zbyt szybko chowało się za horyzontem. W jego ostatnich promieniach dotarły do domu przy jabłoni.

Staruszka ucieszyła się na ich widok, spodziewając się, że podzielią się z nią jedzeniem, co też uczyniły, jedząc w ciemnościach. Miała na imię Jeanne. Nie rozpały ognia, ale było ciepło i wszystkie trzy położyły się blisko siebie, okryte kocami. Nie do końca wierząc gospodyni, Caris i Mair przyciskały do siebie juki z żywnością.

Caris przez jakiś czas nie mogła zasnąć. Cieszyła się, że po tak długiej zwłoce wyruszyły wreszcie z Portsmouth i przez ostatnie dwa dni przebyły szmat drogi. Była pewna, że jeśli zdoła odnaleźć biskupa Richarda, ten zmusi Godwyna do zwrotu ukradzionych zakonnicom pieniędzy. Biskup nie był ideałem, ale miał otwarty umysł i na swój niedoskonały sposób postępował sprawiedliwie. Nawet podczas procesu o czary Godwynowi nie udało się nim pokierować. Miała nadzieję, iż zdoła namówić Richarda, by dał jej list nakazujący Godwynowi sprzedaż dóbr zakonu, żeby zwrócić skradzione pieniądze.

Obawiała się jednak o bezpieczeństwo swoje i Mair. Jej założenie, iż żołnierze zostawią zakonnice w spokoju, okazało się błędne: to, co widziały w Hópital-des-Soeurs, jasno tego dowodziło. Potrzebowały przebrania.

Zbudziwszy się o brzasku, zapytała Jeanne:

- Czy masz jeszcze ubrania twoich wnuków? Staruszka otworzyła drewnianą skrzynię.
- Bierzcie, co chcecie - powiedziała. - Nie mam nikogo, komu mogłabym je oddać.

Wzięła wiadro i poszła po wodę.

Caris zaczęła przeglądać ubrania. Jeanne nie pytała o zapłatę. Domyśliła się, że wobec śmierci tyłu ludzi odzież ma niewielką wartość.

- Co chcesz zrobić? - spytała Mair.

- Jako zakonnice nie będziemy bezpieczne - wyjaśniła Caris. - Staniemy się paziami w służbie jakiegoś pomniejszego pana... Pierre'a, sieur *[* Sieur (franc.) - jegomość.] z Longchamp w Bretanii. Pierre to popularne imię i musi być mnóstwo miejsc nazywających się Longchamp. Nasz pan został pojmany przez Anglików i nasza pani posłała nas, żebyśmy go odnaleźli i wynegocjowali wysokość okupu.

- Dobrze - ochoczo zgodziła się Mair.

- Giles i Jean mieli czternaście i szesnaście lat, więc jeśli dopisze nam szczęście, ich rzeczy będą na nas pasowały.

Caris wybrała tunikę, nogawice i płaszcz z kapturem, wszystko z ciemnobrązowej, niefarbowanej wełny. Mair znalazła sobie podobny strój tylko zielony - tunikę i koszulę. Kobiety zwykle nie nosiły bielizny, ale mężczyźni tak, a Jeanne na szczęście starannie wyprała lniane części garderoby zamordowanych członków rodziny. Caris i Mair zatrzymały swoje buty: praktyczne obuwie zakonnice niczym nie różniło się od tego noszonego przez mężczyzn.

- Włożymy to? - spytała Mair.

Zdjęły habity. Caris nigdy nie widziała Mair rozebranej i nie zdołała oprzeć się pokusie. Widok nagiego ciała towarzyszki zaparł jej dech. Skóra Mair zdawała się jaśnieć niczym różowa perła. Miała wydatne piersi z bladymi dziewczęcymi sutkami i gęstą kępkę jasnych włosów łonowych. Caris nagle uświadomiła sobie, że jej ciało nie jest tak piękne. Odwróciła wzrok i szybko zaczęła wkładać wybrane odzienie.

Wciągnęła przez głowę tunikę. Ta różniła się od kobiecej jedynie tym, że sięgała do kolan, a nie do kostek. Włożyła lniane gatki i nogawice, po czym wzięła buty i zapięła pas.

- Jak wyglądam? - spytała Mair.

Caris przyjrzała jej się. Mair schowała krótkie blond włosy pod chłopięcą czapkę i przekrzywiła ją z uśmiechem.

- Wyglądasz na szczęśliwą! - stwierdziła zdziwiona Caris.

- Zawsze lubiłam chłopięce ubrania. - Mair przeszła się po izbie. - Tak właśnie chodzą - wyjaśniła. - Zawsze zajmują więcej miejsca, niż potrzebują.

Tak udatnie naśladowała męski chód, że Caris parsknęła śmiechem. Po chwili przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Czy będziemy musiały sikać na stojąco?

- Ja mogę, ale nie w gaciach. Nie da się. Caris zachichotała.

- Nie możemy zrezygnować z gatek, bo nagły podmuch wiatru mógłby ujawnić nasze... przebranie.

Mair się roześmiała, po czym zaczęła przyglądać się Caris w dziwny, lecz znajomy sposób, mierząc ją wzrokiem, podchwytyjąc jej spojrzenie i zaglądając w oczy.

- Co robisz? - spytała Caris.

- Tak mężczyźni spoglądają na kobiety, jak na swoją własność. Jednak uważaj, jeśli spojrzysz tak na mężczyznę, stanie się agresywny.

- To może być trudniejsze, niż przypuszczałaś.

- Jesteś zbyt piękna - orzekła Mair. - Musisz ubrudzić sobie twarz. Podeszła do paleniska, umazała sobie dłoń sadzą po czym posmarowała nią twarz Caris. Jej dotyk był jak pieśczoła. Moja twarz nie jest piękna, pomyślała Caris, nikt za taką jej nie uważał, oczywiście, poza Merthinem...

- Za dużo - orzekła po chwili Mair i starła część sadzy drugą ręką. - Tak lepiej. - Posmarowała dłoń Caris i powiedziała: - Teraz ty mnie.

Caris zrobiła smugę na brodzie i szyi Mair, nadając im wygląd pokrytych rzadkim zarostem. To było takie intymne - takie uważne przyglądanie się jej twarzy i delikatne dotykane jej skóry. Ubrudziła czoło i policzki Mair. Teraz Mair wyglądała jak śliczny chłopiec - wcale nie jak kobieta.

Przyjrzały się sobie. Czerwone wargi Mair wygięły się w uśmiechu. Caris patrzyła na to z niecierpliwym wyczekiwaniem, jakby miało zdarzyć się coś niezwykłego.

Nagle usłyszały głos:

- Gdzie są zakonnice?

Odwróciły się zaskoczone. W progu stała przestraszona Jeanne, trzymając ciężkie wiadro z wodą.

- Co zrobiliście z zakonicami? - zapytała.

Caris i Mair wybuchnęły śmiechem, a wtedy Jeanne je rozpoznała.

- Ależ się zmieniliście! - wykrzyknęła.

Wypiły trochę wody i Caris podzieliła resztki wędzonej ryby. To dobry znak, pomyślała, gdy jadły śniadanie, że Jeanne nas nie poznała. Jeśli będą uważały, może im się uda.

Zostawiły Jeanne i ruszyły w drogę. Gdy wjechały na wzniesienie przed Hôpital-des- Soeurs, słońce weszło dokładnie przed nimi, rzucając czerwoną poświatę na klasztor i sprawiając wrażenie, że ruiny wciąż płoną. Caris i Mair szybko przemknęły przez wioskę, próbując nie myśleć o okaleczonym ciele zakonnicy leżącym w gruzach. Jechały ku wschodzącemu słońcu.

47

We wtorek dwudziestego drugiego sierpnia angielska armia była w odwrocie.

Ralph Fitzgerald nie wiedział, jak do tego doszło. Przemierzyli Normandię z zachodu na wschód, łupiąc i paląc, i nikt nie zdołał ich powstrzymać. Ralph był w swoim żywiole. Podczas

przemarszu żołnierz mógł brać co chciał - żywność, biżuterię, kobiety - i zabijać każdego mężczyznę, który stanął mu na drodze. Oto, jak powinno się żyć.

Król był człowiekiem z charakteru podobnym do Ralpha. Edward III uwielbiał walczyć. Kiedy nie toczył wojen, większość czasu spędzał, organizując wielkie turnieje, kosztowne pozorowane bitwy z armiami rycerzy w specjalnie zaprojektowanych mundurach. W trakcie kampanii zawsze był gotowy poprowadzić zwiad lub niespodziewany wypad, narażając swoje życie, nigdy nie bojąc się ryzyka. Starsi rycerze i hrabiowie krytykowali jego brutalność i protestowali przeciwko takim incydentom jak gwałcenie kobiet w Caen, ale Edward się tym nie przejmował. Kiedy usłyszał, że kilku obywateli Caen obrzuciło kamieniami żołnierzy plądrujących ich domy, rozkazał zabić wszystkich w mieście i odwołał rozkaz dopiero po energicznych protestach sir Godfrey'a de Harcourta i innych szlachciców.

Sprawy przybrały zły obrót, gdy dotarli do Sekwany. W Rouen zastali zniszczony most, a miasto - na drugim brzegu rzeki - silnie ufortyfikowane. Król Francji Filip VI był tam we własnej osobie, z potężną armią.

Anglicy poszli w górę rzeki, szukając przeprawy, lecz odkryli, że Filip ich wyprzedził i jeden most po drugim okazywał się zajadłe broniony lub zerwany. Dotarli aż do Poissy, odległego zaledwie dwadzieścia mil od Paryża, i Ralph sądził, że zaatakują stolicę, ale starsi ludzie rozsądnie kręcili głowami i mówili, że to niemożliwe. Paryż liczył pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, którzy do tej pory z pewnością otrzymali wieści z Caen i byli gotowi walczyć na śmierć i życie, wiedząc, że nie mogą oczekiwać litości.

Jeśli król nie zamierza atakować Paryża, pytał Ralph, to jaki ma plan? Nikt tego nie wiedział i Ralph podejrzewał, że Edward nie ma żadnego planu poza tym, żeby narobić zamieszania.

Miasto Poissy zostało ewakuowane i angielscy inżynierowie zdołali odbudować most - przez cały czas odpierając francuskie ataki - więc w końcu armia przeszła przez rzekę.

Do tego czasu stało się jasne, że Filip zebrał armię znacznie liczniejszą od angielskiej i Edward postanowił czmychnąć na północ, zamierzając połączyć się z angloflamandzkimi siłami atakującymi z północnego wschodu. Filip zaczął go ścigać.

Dziś Anglicy rozbili obóz na południe od innej wielkiej rzeki, Sommy, a Francuzi zastosowali tę samą sztuczkę co nad Sekwaną. Czujki i oddziały zwiadowcze raportowały, że wszystkie mosty zostały zniszczone, a każde nadrzeczne miasto jest dobrze ufortyfikowane. Jeszcze bardziej złowieszczy był widok dostrzeżonej na drugim brzegu flagi najsławniejszego i najbardziej przerażającego sojusznika, Jana, ślepego króla Czech.

Edward rozpoczął wojnę, mając piętnaście tysięcy ludzi. W ciągu sześciu tygodni kampanii wielu z nich poległo lub zdezerterowało, aby wrócić do domu z jukami pełnymi złota. Ralph wyliczył,

ze zostało około dziesięciu tysięcy. Raporty szpiegów sugerowały, że w Amiens, kilka mil w górę rzeki, Filip ma teraz sześćdziesiąt tysięcy piechoty i dwanaście tysięcy konnych rycerzy, czyli miażdżącą przewagę liczebną. Ralph nie był tak zaniepokojony, od kiedy postawił stopę na normandzkiej ziemi. Anglicy wpadli w tarapaty.

Nazajutrz pomaszzerowali w dół rzeki do Abbeville, gdzie znajdował się ostami most przed szerokim ujściem Sommy, lecz tamtejsi mieszczanie przez długie lata nie oszczędzili pieniędzy na wzmacnianie murów i Anglicy zrozumieli, że nie zdołają ich sforsować. Mieszkańcy miasta byli tak pewni siebie, że wysłali duży oddział rycerzy, który zaatakował szpicę angielskiej armii i stoczył z nią zacięłą potyczkę, zanim wycofał się pod osłonę miejskich murów.

Kiedy armia Filipa opuściła Amiens i zaczęła napierać od południa, Edward znalazł się w pułapce: po prawej miał ujście rzeki, po lewej morze, a za plecami francuską armię żądną krwi barbarzyńskich najeźdźców. Po południu hrabia Roland przyszedł porozmawiać z Ralphem. Ralph walczył w barwach Rolanda od siedmiu lat. Hrabia już nie uważał go za niedoświadczonego młokosa. Nadal wyglądało na to, że niespecjalnie lubi Ralpha, ale z pewnością go szanował i zawsze posyłał go, by znalazł słaby punkt wroga, poprowadził wycieczkę lub wypad. Ralph stracił trzy palce lewej ręki i utykał, kiedy był zmęczony, ponieważ francuska pika strzaskała mu piszczel pod Nantes w 1342 roku. Mimo to król jeszcze nie pasował go na rycerza, co budziło rozgoryczenie młodzieńca. Mimo obfitych łupów, jakie zagarnął - i oddał na przechowanie londyńskiemu złotnikowi - nie czuł się spełniony. Wiedział, że jego ojciec także nie byłby zadowolony. Podobnie jak Gerald, Ralph walczył dla honoru, a nie dla pieniędzy, a przez cały ten czas nie zdołał wspiąć się choćby o jeden szczebel wyżej w szlacheckiej hierarchii.

Gdy pojawił się Roland, Ralph siedział na polu dojrzałej pszenicy doszczętnie zdeptanej przez przechodzącą armię. Był z nim Alan Fernhill i pół tuzina kompanów. Jedli kiepski posiłek - zupę z groszku i cebuli - gdyż prowiant się kończył, a mięsa nie było w ogóle. Ralph czuł się tak samo jak oni: zmęczony po nieustannych marszach, zniechęcony widokiem zniszczonych mostów i dobrze bronionych miast, pełen obaw o to, co się stanie, kiedy dogoni ich francuska armia.

Roland był teraz stary, siwowłosy i siwobrody, lecz wciąż trzymał się prosto i mówił stanowczym tonem. Nauczył się zawsze przybierać nieprzeniknioną minę, tak że ludzie niemal nie zauważali, że ma sparaliżowaną prawą stronę twarzy.

- W ujściu Sommy są pływy - powiedział. - Podczas odpływu w niektórych miejscach może być płytko, jednak na dnie zalega gruba warstwa mułu, przez którą nie da się przejść.

- Zatem nie możemy się przeprawić - stwierdził Ralph.

Wiedział jednak, że Roland nie przyszedł tylko po to, żeby przekazać mu złe wieści, i to

podniosło go na duchu.

- Może jest tam bród, jakieś miejsce, gdzie dno jest twardsze - ciągnął Roland. - Jeśli tak, to Francuzi będą wiedzieli, gdzie to jest.

- Chcesz, żebym się tego dowiedział?

- Tak szybko, jak możesz. Na następnym polu mamy kilku jeńców. Ralph pokręcił głową.

- Żołnierze mogą pochodzić z innych części Francji albo nawet z innych krajów. To miejscowi będą wiedzieli, gdzie jest bród.

- Nie obchodzi mnie, kogo przesłuchasz. Byłeś do wieczora przyniósł wieści do królewskiego namiotu - powiedział Roland i odszedł.

Ralph opróżnił miskę i wstał szybko, rad, że ma coś do zrobienia.

- Siodłać konie, chłopcy - rozkazał.

Nadal miał Gryfa. Jakimś cudem jego ulubiony koń przetrwał siedem lat wojaczki. Był trochę za mały na bojowego rumaka, ale znacznie dzielniejszy niż przerośnięte wierzchowce, jakie miała większość rycerzy. Teraz był zaprawiony w bojach i jego żelazne podkowy stanowiły dodatkowy oręż w potyczkach. Ralph lubił go bardziej niż większość swoich kompanów. W rzeczy samej, jedyną bliższą mu osobą był jego brat Merthin, którego nie widział od siedmiu lat - i mógł już nigdy nie zobaczyć, gdyż Merthin wyjechał do Florencji.

Skierowali się na północny wschód, w kierunku ujścia rzeki. Ralph uznał, że jeśli jest tam jakiś bród, to będzie o nim wiedział każdy wieśniak mieszkający o pół dnia drogi od niego. Z pewnością wciąż z niego korzystają, przeprawiając się przez rzekę, by kupować i sprzedawać bydło, brać udział w weselach i pogrzebach krewnych, chodzić na jarmarki, festyny i odpusty. Oczywiście nie będą chcieli wyjawić niczego najeźdźcom, ale wiedział, jak rozwiązać ten problem.

Oddalili się od swoich oddziałów, zapuszczając się w krainę, która jeszcze nie ucierpiała wskutek przemarszu tysięcy żołnierzy, gdzie na pastwiskach pasły się owce, a na polach dojrzewały plony. Dotarli do wioski, z której widać było w oddali ujście rzeki. Popędzili konie, galopując po trawiastej drodze wiodącej do wioski. Jedno i dwuizbowe chaty wieśniaków przypominały Ralphowi Wigleigh. Tak jak się spodziewał, ludzie rozpierzchli się na wszystkie strony, kobiety niosąc niemowlęta lub dzieci, większość mężczyzn trzymając siekiery lub kosy.

W ciągu kilku minionych tygodni Ralph i jego kompani odgrywali takie sceny dwadzieścia czy trzydzieści razy. Byli mistrzami w zbieraniu informacji. Dowódcy zazwyczaj chcieli wiedzieć, gdzie miejscowi ukryli zapasy. Słyszając, że nadchodzą Anglicy, sprytni wieśniacy pędzili swoje bydło i owce do lasów, chowali worki z mąką w wykopanych dołach, a bele siana ukrywali na dzwonnicy.

Wiedzieli, że zapewne umrą z głodu, jeśli wyjawią, gdzie jest żywność, ale prędzej czy później zawsze mówili. Czasem wojsko potrzebowało wskazówek, jak dotrzeć do jakiegoś miasteczka, mostu czy ufortyfikowanego klasztoru. Wieśniacy zazwyczaj odpowiadali na takie pytania bez wahania, jednak i tak trzeba było się upewnić, że nie kłamią, gdyż bystrzejsi z nich mogli próbować oszukać najeźdźców, wiedząc, że żołnierze nie będą w stanie wrócić, żeby ich ukarać.

Goniąc uciekających wieśniaków po ogrodach i polach, Ralph i jego ludzie skupili się na kobietach oraz dzieciach. Ralph wiedział, że jeśli je złapią, ich mężowie i ojcowie sami wrócą.

Dogonił dziewczynę w wieku około trzynastu lat. Przez kilka sekund jechał równoległe do niej, obserwując jej przerażoną minę. Była ciemnowłosa i śnia-doskóra, o pospolitych rysach wieśniaczki, młoda, lecz o dojrzałym kobiecym ciele - taka, jakie lubił. Przypominała mu Gwendę. W innych okolicznościach nacieszyłby się jej ciałem, tak jak to zrobił z paroma innymi dziewczynami w ciągu kilku ostatnich tygodni, dziś jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. Zajechał jej drogę. Próbowwała uskoczyć, potknęła się i upadła jak długa na grządkę warzyw. Ralph zeskoczył z konia i złapał ją, gdy wstała. Wrzasnęła i podrapała mu twarz, więc uciszył ją uderzeniem pięścią w brzuch i załapał za długie włosy. Prowadząc konia, zaczął ciągnąć dziewczynę do wioski. Potknęła się i upadła, ale szedł dalej, wlokąc ją za włosy. Jakoś wstała, krzycząc z bólu. Potem już nie upadała.

Zebrali się w drewnianym kościółku. Ośmiu angielskich żołnierzy złapało cztery kobiety z czworgiem dzieci i dwojgiem niemowląt przy piersi. Posadzili je na podłodze przed ołtarzem. Po chwili do kościoła wbiegł jakiś mężczyzna, bełkocząc coś w miejscowym francuskim dialekcie, prosząc i błagając. Za nim przyszli jeszcze czterej.

Ralph był zadowolony.

Stanął przy ołtarzu, który był zwykłym drewnianym stołem pomalowanym na biało.

- Cicho! - krzyknął. Podniósł w górę miecz. Zamilkli. Wskazał młodego mężczyznę. - Ty - powiedział. - Kim jesteś?

- Rymarzem, panie. Proszę, nie krzywdź mojej żony i dziecka, nic złego wam nie zrobili.

Wskazał następnego.

- Ty?

Schwytana przez niego dziewczyna jęknęła i Ralph wywnioskował, że są spokrewnieni: zapewne ojciec i córka.

- Jestem zwykłym pasterzem, panie.

- Pasterzem? A jak często pędzisz bydło za rzekę?

- Raz lub dwa razy w roku, panie, kiedy prowadzę je na targ.

- Gdzie jest bród? Mężczyzna zawahał się.
- Bród? Tu nie ma brodu. Musimy przechodzić przez most w Abbeville.
- Jesteś pewien?
- Tak, panie. Rozejrzał się.
- Wy wszyscy... czy to prawda? Pokiwali głowami.

Ralph zastanowił się. Byli wystraszeni, przerażeni, lecz mimo to mogli kłamać.

- Jeśli sprowadzę tu księdza, a on przyniesie Biblię, czy przysięgniecie na swoje nieśmiertelne dusze, że nie ma brodu w ujściu rzeki?

- Tak, panie.

To jednak trwałoby za długo. Ralph spojrzął na dziewczynę, którą złapał.

- Podejdz tu. Cofnęła się o krok. Pasterz upadł na kolana.
- Proszę, panie, nie krzywdź niewinnego dziecka, ona ma dopiero trzynaście...

Alan Fernhill złapał dziewczynę i rzucił ją jak worek cebuli Ralphowi, który ją przytrzymał.

- Okłamujecie mnie wszyscy. Tu jest bród, jestem tego pewien. Muszę wiedzieć gdzie dokładnie.

- Dobrze - powiedział pasterz. - Powiem ci, ale zostaw dziecko w spokoju.
- Gdzie jest ten bród?
- Milę w dół rzeki od Abbeville.
- Jak nazywa się wioska?

To pytanie zbiło pasterza z tropu, ale po chwili odpowiedział:

- Tam nie ma wioski, ale po drugiej stronie stoi gospoda.

Kłamał. Nigdy nie podróżował, więc nie wiedział, że obok brodu zawsze jest jakaś wioska.

Ralph chwycił rękę dziewczyny i położył na ołtarzu. Wyjął nóż. Jednym szybkim ruchem odciął jej palec. Ciężkie ostrze z łatwością przecięło drobne kości. Dziewczyna wrzasnęła z bólu i krew trysnęła na biały stół ołtarza. Wszyscy wieśniacy wydali okrzyk zgrozy. Rozwścieczony pasterz zrobił krok naprzód, ale Alan Fernhill zatrzymał go, przyłożywszy koniec miecza do jego piersi.

Ralph jedną ręką przytrzymał dziewczynę i podniósł w górę jej palec nabity na nóż.

- Jesteś diabłem wcielonym - rzekł pasterz, trzęsąc się z wściekłości.
- Nie, nie jestem. - Ralph słyszał już to oskarżenie, ale wciąż go bolało. - Ratuję życie tysięcy ludzi. I jeśli będę musiał, obetnę jej wszystkie palce, jeden po drugim.
- Nie, nie!
- Zatem powiedz mi, gdzie naprawdę jest ten bród. Zamachnął się nożem.

- W Blanchetaque! - krzyknął pasterz. - To miejsce nazywa się Blan-chetaque! Proszę, zostaw ją w spokoju!

- Blanchetaque? - powtórzył Ralph.

Udawał sceptycznego, ale w istocie wiadomość była obiecująca. Nie słyszał tego słowa, ale kojarzyło się z białym podium, a to nie było czymś, co przerażony człowiek wymyśliłby na poczekaniu.

- Tak, panie, nazywają to tak ze względu na białe kamienie na dnie rzeki, po których można przejechać i nie ugrzęznąć w mule. - Był przerażony, łzy płynęły mu po policzkach, więc niemal na pewno mówi prawdę, myślał z satysfakcją Ralph. Pasterz bełkotał gorączkowo: - Ludzie powiadają, że te kamienie zostały tam położone dawno temu przez Rzymian. Proszę, zostaw moje dziecko w spokoju.

- Gdzie to jest?

- Dziesięć mil w dół rzeki od Abbeville.

- Nie milę?

- Tym razem mówię prawdę, panie, jak pragnę zbawienia!

- A jak nazywa się wioska?

- Saigneville.

- Czy bród jest przejezdny zawsze, czy tylko podczas odpływu?

- Tylko podczas odpływu, panie, szczególnie dla bydła lub wozu.

- Jednak ty znasz pory pływów.

- Tak.

- Teraz zadam ci jeszcze jedno pytanie, ale bardzo ważne. Jeśli zacznę podejrzewać, że mnie okłamujesz, obetnę jej rękę.

Dziewczyna krzyknęła.

- Wiesz, że to zrobię, prawda?

- Tak, panie, powiem ci wszystko!

- Kiedy jutro będzie odpływ?

Na twarzy pasterza znów pojawiło się przerażenie.

- Ach... ach... pozwól mi się zastanowić!

Mężczyzna był tak zaszokowany, że nie mógł zebrać myśli.

- Ja ci powiem - rzekł rymarz. - Mój brat przeprowadzał się tam wczoraj, więc wiem. Jutro odpływ będzie w dzień, dwie godziny przed południem.

- Tak! - wykrzyknął pasterz. - Racja! Usiłowałem to wyliczyć. Późnym rankiem albo przed

południem. Potem znowu wieczorem.

Ralph przytrzymał krwawiącą dłoń dziewczyny.

- Jak bardzo jesteś tego pewny?

- Och, panie, tak jak tego, jak się nazywam, przysięgam!

Ten człowiek zapewne w tym momencie nie wiedział, jak się nazywa, tak był roztrzęsiony. Ralph spojrział na rymarza. Na jego twarzy nie dostrzegł oznak chytrości, wyzwania czy chęci przypodobania się. Mężczyzna wyglądał na lekko zawstydzonego, jakby wbrew swej woli został do czegoś zmuszony. To prawda, z radością pomyślał Ralph, dokonałem tego.

- Blanchetaque - powtórzył. - Dziesięć mil w dół rzeki od Abbeville, przy wiosce Saigneville. Białe kamienie na dnem rzeki. Jutro odpływ późnym rankiem.

- Tak, panie.

Ralph puścił przegub dziewczyny, która, szlochając, pobiegła do ojca i padła mu w objęcia. Ralph spojrział na kałużę krwi na białym ołtarzu. Była duża jak na tak małą dziewczynę.

- W porządku, ludzie - powiedział. - Skończyliśmy.

III
|||

Trąbki zbudziły Ralpa o pierwszym brzasku. Nie było czasu, by rozpaścić ogień czy zjeść śniadanie, armia natychmiast opuściła obóz. Dziesięć tysięcy ludzi musiało przed południem przebyć sześć mil, większość z nich pieszo.

Na czele szedł oddział księcia Walii, a za nim podążali królewscy zbrojni, dalej wozy i tylna straż. Wysłano zwiadowców, by sprawdzili, jak daleko są francuskie wojska. Ralph szedł na przedzie razem z szesnastoletnim księciem, który miał na imię tak samo jak jego ojciec, Edward.

Mieli nadzieję zaskoczyć Francuzów i przeprowić się na drugi brzeg Sommy. Zeszłej nocy król powiedział: „Dobra robota, Ralphie Fitzgeraldzie”. Ralph już dawno temu przekonał się, że takie słowa nie mają żadnego znaczenia. Wykonał wiele pożytecznych lub zuchwałych zadań dla króla Edwarda, hrabiego Rolanda i innych szlachciców, lecz wciąż nie został pasowany na rycerza. Tym razem nie był szczególnie urażony. Jego życie było zagrożone, więc cieszył się, że zdołał znaleźć drogę ucieczki, i nie przejmował się, czy ktoś docenia jego zasługi w ocaleniu całej armii.

Gdy szli, tuziny porządkowych nieustannie patrolowały drogę, kierując armię we właściwą stronę, utrzymując szyk, pilnując odstępów między oddziałami i poganiając maruderów. Wszyscy ci jeźdźcy byli szlachcicami, gdyż musieli wydawać rozkazy żołnierzom. Król Edward był fanatycznym zwolennikiem zorganizowanego marszu.

Kierowali się na północ. Teren lekko wznosił się na grzbiet wzgórze, skąd mogli dostrzec lśniące w oddali wody ujścia rzeki. Ze wzgórze zeszli na pola. Gdy maszerowali przez wioski,

porządkowi pilnowali, żeby nie dochodziło do grabieży, ponieważ nie chcieli przenosić przez rzekę dodatkowych ładunków. Powstrzymali się też od podpalania zbóż z obawy, że dym może zdradzić nieprzyjacielowi ich pozycję.

Gdy pierwsi żołnierze dotarli do Saigneville, wzeszło słońce. Wioska znajdowała się na urwisku, trzydzieści stóp nad rzeką. Z wysokiego brzegu Ralph spojrzął na groźną przeszkodę: półtoramilowy pas wody i moczarów. Na dnie rzeki dostrzegł białe kamienie oznaczające bród. Po drugiej stronie ujścia było zielone wzgórze. Gdy po jego prawej pojawiło się słońce, na drugim brzegu dostrzegł błysk metalu i kolorowe szaty. Ten widok nappełnił jego serce niepokojem.

Jaśniejsze światło potwierdziło jego podejrzenia: wróg na nich czekał. Oczywiście Francuzi wiedzieli, gdzie jest bród, i ich mądry dowódca wziął pod uwagę ewentualność, że Anglicy mogą odkryć jego położenie. To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia.

Ralph spojrzął na wodę. Płynęła na zachód, co dowodziło, że jest odpływ, lecz wciąż była za głęboka, by w niej brodzić. Będą musieli zaczekać.

Angielska armia wciąż gromadziła się na brzegu i z każdą minutą przybywały kolejne setki ludzi. Gdyby król postanowił nakazać teraz odwrót, zapanowałoby straszne zamieszanie.

Wrócił zwiadowca i Roland słuchał sprawozdania składanego księciu Walii. Armia króla Filipa opuściła Abbeville i zbiera się na drugim brzegu rzeki.

Zwiadowcę wysłano, żeby ustalił, jak szybko poruszają się Francuzi.

Nie ma odwrotu, zrozumiał Ralph z lękiem w sercu, Anglicy muszą przeprowić się przez rzekę.

Spojrzął na drugi brzeg, próbując odgadnąć, ilu żołnierzy tam się znajduje. Ponad tysiąc, pomyślał. Jednak większym zagrożeniem była kilkudziesięcio-tysięczna armia nadciągająca z Abbeville. Podczas wielu potyczek z Francuzami Ralph dowiedział się, że są nadzwyczaj odważni - czasem nawet lekkomyślni - ale także niezdiscyplinowani. Maszerowali w luźnym szyku, nie słuchali rozkazów i czasami atakowali, aby dowieść swojej odwagi, kiedy mądrzej byłoby czekać. Jeśli jednak przewyciężą te swoje przywary i dotrą tu w ciągu paru następnych godzin, zastaną armię króla Edwarda w trakcie przeprawy. Zająwszy pozycje na obu brzegach, nieprzyjaciel wybije Anglików do nogi.

Po zniszczeniach, jakich dokonali w ciągu sześciu ostatnich tygodni, nie mogli oczekiwać litości.

Ralph pomyślał o zbroi. Miał dobry pancerz, zdjęty przed siedmioma laty w Cambrai z zabitego Francuza, lecz zostawił go na wozie. Co więcej, nie był pewien, czy zdołałby w nim pokonać półtoramilowy pas wody i mułu. Miał na sobie stalowy hełm oraz krótką kolczugę i tylko z takim

obciążeniem mógł przejść przez moczary. To będzie musiało mu wystarczyć. Inni mieli równie lekkie pancerze. Większość pieszych przypięła hełmy do pasów, by włożyć je, zanim znajdą się w zasięgu strzał wroga, ale nikt nie maszerował w pełnej zbroi. Słońce stało już wysoko. Woda w rzece opadła i sięgała ledwie do kolan. Przybyli szlachcice z królewskiej świty z rozkazem, by rozpocząć przeprawę. Syn hrabiego Rolanda, William z Caster, przyniósł polecenia oddziałowi Ralpha. - Łucznicy pójdą pierwsi i mają zacząć strzelać, gdy tylko znajdą się dostatecznie blisko drugiego brzegu - powiedział William. Ralph spoglądał na niego z kamiennym wyrazem twarzy. Nie zapomniał, że William chciał go powiesić za to, co pół angielskiej armii robiło przez sześć ostatnich tygodni. - Potem, kiedy będziecie na brzegu, łucznicy rozproszą się na prawo i lewo, żeby przepuścić rycerzy i zbrojnych.

Wydaje się to proste jak każdy rozkaz, pomyślał Ralph, jednak to będzie krwawa rzeźnia. Nieprzyjaciel zajął doskonałą pozycję, na wzniesieniu nad rzeką, skąd będzie mógł wystrzelać angielskich żołnierzy brodzących bez pancerzy w wodzie.

Pochód poprowadzili ludzie Hugh Despensera, niosąc jego charakterystyczny czarnobiały proporzec. Jego łucznicy weszli do rzeki, trzymając łuki nad wodą, a rycerze i zbrojni z pluskiem ruszyli za nimi. Ludzie Rolanda poszli w ich ślady i niebawem Ralph z Alanem też wjechali w wodę.

Półtorej mili to krótki spacer, ale po wodzie to spory kawałek, nawet gdy jedzie się na koniu, zrozumiał teraz Ralph. Głębokość rzeki zmieniała się: w niektórych miejscach dno było tuż pod powierzchnią, a w innych woda sięgała pieszym do pasa. Ludzie i zwierzęta szybko się zmęczyli. Sierpniowe słońce prażyło niemiłosiernie, podczas gdy ich nogi drętwiały z zimna. I przez cały czas, patrząc przed siebie, coraz wyraźniej widzieli nieprzyjaciół czekających na nich na północnym brzegu.

Ralph z rosnącą obawą przyglądał się wrogom. Pierwszy ich szereg, ustawiony wzdłuż brzegu, składał się z kuszników. Wiedział, że to nie Francuzi, lecz włoscy najemnicy nazywani genueńskimi, lecz w rzeczywistości pochodzący z różnych części Italii. Z kuszy wypuszcza się mniej strzał na minutę niż z łuku, lecz Genueńczycy będą mieli mnóstwo czasu na napinanie cięciw, gdy ich przeciwnicy będą brnęli przez płyciznę. Za strzelcami, na zielonym zboczu, stali piesi i rycerze na koniach gotowi do ataku.

Obejrzawszy się, Ralph ujrzał tysiące Anglików przepływających się przez rzekę. Tak więc nie było już odwrotu, gdyż idący za nim parli naprzód, doganiając przednią straż.

Teraz już wyraźnie widział szeregi nieprzyjaciół. Wzdłuż brzegu stały ciężkie drewniane tarcze, zwane pawężami, używane przez kuszników. Gdy tylko Anglicy znaleźli się w zasięgu strzał, Genueńczycy zaczęli strzelać.

Wystrzelone z odległości trzystu jardów bełty były niecelne i nie miały należytej siły. Mimo to powaliły kilkanaście koni i ludzi. Ranni padali i tonęli uniesieni przez nurt. Zranione konie miały

się w wodzie, barwiąc ją swoją krwią. Serce Ralpa zaczęło szybciej bić.

Gdy Anglicy podeszli bliżej brzegu, celność Genuńczyków poprawiła się i pociski uderzały z większą siłą. Kusza to powolna broń, lecz wypuszcza żelazne bełty o stalowych grotach, które przebijają wszystko z potworną siłą. Wokół Ralpa padali ludzie i konie. Niektórzy trafieni ginęli na miejscu. Z przygnębieniem i rezygnacją zdał sobie sprawę z tego, że nic nie może zrobić, żeby uratować życie. Albo będzie miał szczęście, albo umrze. Powietrze wypełniły straszliwe odgłosy bitwy: świst śmiertelnych strzał, przekleństwa rannych i kwik trafionych koni.

Idący w pierwszym szeregu angielscy łucznicy odpowiedzieli strzałami. Końce ich sześciostopowych łuków zanurzały się w wodzie, więc musieli trzymać je pod dziwnym kątem, a dno rzeki było śliskie, ale robili, co mogli.

Z bliskiej odległości wypuszczony z kuszy bełt może przebić pancerz, ale żaden Anglik i tak nie miał na sobie ciężkiej zbroi. Poza hełmami nic nie chroniło ich przed śmiertelnym gradem pocisków.

Gdyby mógł, Ralph odwróciłby się i uciekł, jednak za jego plecami nacierało dziesięć tysięcy ludzi i pięć tysięcy koni, więc zostałby stratowany i utopiłby się, gdyby spróbował zawrócić. Nie miał innego wyjścia, jak przywrzeć do karku Gryfa i pędzić naprzód.

Angielscy łucznicy w końcu dotarli na płyciznę i zaczęli skuteczniej szyć z łuków. Strzelali w górę, nad pawężami. Gdy rozpoczęli ostrzał, każdy z nich mógł wypuścić dwanaście strzał na minutę. Strzały były zrobione z drewna - zazwyczaj jesionowego - lecz miały stalowe groty i zasypywały wroga jak straszliwy grad. Nagle nieprzyjacielski ostrzał osłabł. Kilka pawęży przewróciło się. Genuńczycy zostali zepchnięci w tył i Anglicy dotarli do brzegu.

Gdy tylko łucznicy stanęli na twardej ziemi, rozproszyli się na wszystkie strony, robiąc miejsce dla rycerzy, którzy z płycizny przypuścili atak na szeregi wroga. Ralph, wciąż brodzący w rzece, widział dość bitew, by wiedzieć, jaką taktykę powinni przyjąć teraz Francuzi: muszą utrzymać szyk i pozwolić kusznikom na dalszą rzeź Anglików na brzegu i w wodzie. Jednak rycerski kodeks nie pozwalał francuskim szlachcicom kryć się za plecami nisko urodzonych kuszników, więc ruszyli, by zetrzeć się z angielskimi rycerzami, i w ten sposób stracili swoją przewagę pozycyjną. Ralph dostrzegł promyk nadziei.

Genuńczycy wycofali się, a na brzegu trwała potyczka. Serce Ralpa łomotało ze strachu i podniecenia. Szarżujący w dół zbocza Francuzi nadal mieli przewagę i byli w pełnych zbrojach. Wyrznęli ludzi Hugh Despensera do nogi. Pierwsze szeregi z pluskiem wpadły na płyciznę, wycinając tych Anglików, którzy jeszcze byli w wodzie.

Łucznicy hrabiego Rolanda dotarli na drugą stronę tuż przed Ralphem i Alanem. Ci, którzy

przeżyli, wspięli się na brzoLg i rozbiegli. Ralph czuł, że Anglicy są zgubieni, i był pewien, że zginie, ale nie miał dokąd uciec, mógł tylko jechać przed siebie. Nagle, przytulony do szyi Gryfa, z mieczem w ręku, stwierdził, że zmierza prosto na szereg Francuzów. Uchylił się przed cięciem i wpadł na suchy grunt. Zadał cios, trafiając w stalowy hełm, i w tym momencie Gryf zderzył się z innym koniem. Francuski rumak był większy, lecz młodszy, i potknął się, zrzucając jeźdźca w błoto. Ralph obrócił konia, zawrócił i przygotował się do następnej szarży.

Jego miecz nie był zbyt przydatny w starciu z zakutymi w zbroje przeciwnikami, ale Ralph był roslym mężczyzną na dzielnym rumaku i miał nadzieję, że zdoła zrzucić nieprzyjaciół z koni. Zaatakował ponownie. Nie czuł już strachu. Wpadł w bitewny szal, który kazał mu zabić tylu wrogów, ilu zdoła. Wraz z rozpoczęciem walki czas się zatrzymał i Ralph walczył, nie myśląc o jego upływie. Później, kiedy będzie po wszystkim i jeśli to przeżyje, ze zdumieniem zobaczy, że słońce już zachodzi i minął cały dzień. Teraz raz po raz atakował wroga, uchylając się przed ciosami lub je zadając, nie zatrzymując się ani na chwilę, gdyż byłoby to fatalnym błędem.

W pewnej chwili - może po kilku minutach, a może po paru godzinach - z niedowierzaniem stwierdził, że Anglicy już nie są tak bezlitośnie wyrzynani. W istocie, zdawali się zdobywać teren i zyskiwać nadzieję. Odjechał na bok i przystanął, zdyszany, aby ocenić sytuację.

Brzeg był usłany ciałami, lecz francuskie straty dorównywały angielskim i Ralph pojął teraz głupotę francuskiego ataku. Gdy starli się rycerze obu stron, genueńscy kusznicy przerwali ostrzał z obawy, że będą razili swoich, więc już nie strzelali do brodzących w wodzie Anglików jak do kaczek. Od tego momentu Anglicy całymi hordami wypadali na brzeg i wykonywali ten sam manewr: łucznicy rozpraszali się na prawo i lewo, a rycerze i piesi nieustannie nacierali, mając nad Francuzami przewagę liczebną. Obejrzawszy się, Ralph zobaczył, że zaczyna się przyływ i Anglicy, którzy jeszcze byli w wodzie, rozpaczliwie prą do brzegu, nie zważając na to, jaki czeka ich los.

Jeszcze łąpał oddech, gdy Francuzi stracili ochotę do walki. Odepchnięci od brzegu, wypierani w górę zbocza, mając przeciwko sobie przeważającego liczebnie wroga, zaczęli się cofać. Anglicy natarli, ledwie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, i jak to często bywa, po krótkiej chwili odwrót przerodził się w beładną ucieczkę.

Ralph odwrócił się i spojrzał na ujście rzeki. Wozy były na jej środku: ciężkie, ciągnięte przez konie i muły smagane batami przez woźniców chcących zdążyć przed przyływem. Na drugim brzegu trwała walka. Najwidoczniej przybyła przednia straż armii króla Filipa i dopadła nielicznych maruderów. Ralphowi wydało się, że w słońcu dostrzega barwy lekkiej kawalerii z Czech. Jednak posiłki przybyły za późno.

Ralph zgarbił się w siodle, nagle osłabły z ulgi. Bitwa się skończyła. Niewiarygodne, lecz

wbrew oczekiwaniom Anglicy wymknęli się z francuskiego potrzasku.

Na razie byli bezpieczni.

48

Caris i Mair przybyły w pobliże Abbeville dwudziestego piątego sierpnia i z niepokojem zobaczyły, że francuska armia już tam jest. Dziesiątki tysięcy piechoty i łuczników obozowało na polach wokół miasta. Na drodze słyszały nie tylko regionalne francuskie dialekty, lecz mowę z bardziej odległych miejsc: Flandrii, Czech, Italii, Sabaudii, Majorki.

Francuzi i ich sprzymierzeńcy ścigali króla Anglii Edwarda i jego armię - tak samo jak Caris i Mair. Caris zastanawiała się, jak wyprzedzić ich w tym wyścigu.

Kiedy późnym popołudniem przeszły przez bramę i znalazły się w mieście, na ulicach zobaczyły tłumy francuskich szlachciców. Caris nigdy, nawet będąc w Londynie, nie widziała tylu kosztownych strojów, pięknej broni, wspaniałych rumaków i nowych butów. Wydawało się, że jest tu obecna cała francuska arystokracja. Karczmarze, piekarze, uliczni artyści i prostytutki pracowali bez przerwy, by zaspokoić potrzeby swoich gości. Każda tawerna pełna była hrabiów i w każdym domu rycerze spali na podłodze.

Opactwo Świętego Piotra było na liście religijnych przybytków, w których Caris i Mair zamierzały szukać schronienia. Jednak nawet gdyby miały na sobie habity, trudno byłoby im się dostać do kwater dla gości: zatrzymał się tu król Francji, a jego świta zajęła wszystkie pokoje. Dwie zakonnice z Kingsbridge, podające się teraz za Christophe'a de Longchamp i Michela de Longchamp, skierowano do wspaniałego kościoła, gdzie kilkuset giermków, stajennych i innych sług sypiało na zimnej kamiennej posadzce nawy. Jednak pilnujący kościoła porządkowy powiedział im, że nie ma miejsca i będą musiały spać na dworze, jak wszyscy goście niskiego stanu.

W północnym transepcie urządzono szpital dla rannych. Wychodząc, Caris przystanęła, by popatrzeć, jak chirurg zszywa głęboko rozcięty policzek jęczącego żołnierza. Pracował szybko i zręcznie, a kiedy skończył, Caris powiedziała z podziwem:

- Bardzo dobrze to zrobiłeś.

- Dziękuję - rzekł. A zerknąwszy na nią, dodał: - Ale skąd to wiesz, chłopcze?

Wiedziała, ponieważ wiele razy przyglądała się pracy Matthew Barbera, ale musiała szybko coś wymyślić, więc odparła:

- W Longchamp mój ojciec jest chirurgiem naszego pana.

- I jesteś tu teraz ze swoim panem?

- Został pojmany przez Anglików i nasza pani wysłała mnie i mojego brata, żebyśmy wynegocjowali okup.

- Hm. Lepiej zrobilibyście, udając się do Londynu. Jeśli jeszcze go tam nie ma, to wkrótce przybędzie. Skoro jednak już tu jesteś, to może zapracujesz sobie na nocleg, pomagając mi?

- Chemie.

- Widziałeś, jak twój ojciec obmywa rany ciepłym winem?

Caris mogłaby przemywać rany nawet we śnie. Po chwili razem z Mair robiły to, co umiały najlepiej - zajmowały się cierpiącymi. Większość z nich została ranna poprzedniego dnia w bitwie przy brodzie na Sommie. Rannych szlachciców opatrzone najpierw, a teraz chirurg zajmował się zwykłymi żołnierzami. Pracowały bez przerwy przez kilka godzin. Długi letni wieczór zmienił się w zmierzch i przyniesiono świece. W końcu wszystkie złamania zostały nastawione, zmiżdżone kończyny amputowane, a rany zaszyte, i chirurg Martin zabrał swoich pomocników do refektarza na wieczerzę.

Potraktowano je jak członków królewskiej świty i nakarmiono duszoną baraniną z cebulą. Nie jadły mięsa od tygodnia. Dostały nawet dobre czerwone wino. Mair napiła się z ulgą. Caris była zadowolona z tego, że mają okazję nabrać sił, ale wciąż martwiła się, jak dogonią Anglików.

Jakiś rycerz siedzący przy ich stole rzekł:

- Czy zdajecie sobie sprawę, że obok, w jadalni opata, jedzą wieczerzę czterej królowie i dwaj arcybiskupi? - Wymienił ich imiona, odliczając na palcach: - Królowie Francji, Czech, Rzymu i Majorcki oraz arcybiskupi Rouen i Sens.

Caris zapragnęła to zobaczyć. Wyszła z refektarza drzwiami zdającymi się prowadzić do kuchni. Zobaczyła służbę wnoszącą półmiski do sąsiedniej komnaty i zajrzała do środka.

Siedzący przy stole mężczyźni niewątpliwie byli ważnymi osobistościami, gdyż stół uginał się od pieczonego drobiu, udźców wołowych i baranich, słodkich puddingów i piramid owoców w cukrze. Mężczyzną zajmującym honorowe miejsce był zapewne król Filip, pięćdziesięcioletni, z pasmami siwizny w jasnej brodzie. Obok niego siedział podobny do niego młodzik, który właśnie przemawiał.

- Anglicy to nie szlachcice - mówił, czerwony z gniewu. - Są jak złodzieje, którzy kradną nocą i uciekają.

Obok Caris pojawił się Martin i szepnął jej do ucha:

- To mój pan, Karol, hrabia Alencon, brat króla.

- Nie zgadzam się z tym - rzekł inny głos. Caris natychmiast zauważyła, że mówiący jest ślepy, i odgadła, że musi to być król Czech, Jan. - Anglicy nie mogą dłużej uciekać. Kończy im się żywność i są zmęczeni.

- Edward chce połączyć się z angloflamandzkimi siłami, które najechały północną Francję od strony Flandrii.

Jan pokręcił głową.

- Dziś dowiedzieliśmy się, że ta armia jest w odwrocie. Myślę, że Edward musi zatrzymać się i walczyć. Dla niego im prędzej, tym lepiej, gdyż jego ludzie z każdym dniem coraz bardziej podupadają na duchu.

- Zatem może dopadniemy ich jutro! - wykrzyknął podekscytowany Karol. - Po tym, co wyprawiali w Normandii, wszyscy powinni zginąć: rycerze, szlachta, nawet sam Edward!

Król Filip położył dłoń na ramieniu Karola, uciszając go.

- Gniew naszego brata jest zrozumiały - rzekł. - Zbrodnie Anglików budzą obrzydzenie. Jednak pamiętajcie: kiedy spotkamy się z wrogiem, najważniejsze to odsunąć na bok dzielące nas różnice zdań, zapomnieć o swarach i urazach. Musimy sobie ufać, przynajmniej podczas bitwy. Mamy przewagę liczebną nad Anglikami i powinniśmy z łatwością ich pokonać, ale musimy walczyć jak jedna armia. Wypijmy za jedność.

Interesujący toast, pomyślała Caris, dyskretnie się wycofując. Najwidoczniej król nie jest tak całkiem pewien, czy jego sprzymierzeńcy będą działali zgodnie. Jednak zaniepokoiło ją, iż z rozmowy wynikało, że prawdopodobnie wkrótce dojdzie do bitwy, zapewne nazajutrz. Ona i Mair powinny się spieszyć.

Gdy wrócili do refektarza, Martin powiedział cicho:

- Tak jak król, ty też masz niesforne brata.

Caris stwierdziła, że Mair jest pijana. Przesadzała w odgrywaniu roli chłopca, siedząc z szeroko rozstawionymi nogami i łokciami opartymi o stół.

- Na wszystkich świętych, mięso było dobre, ale pierdę po nim jak diabli - oznajmiła zakonnica o słodkiej buzi, przebrana za chłopca. - Przepraszam za ten odór, panowie.

Mężczyźni zaśmiali się beztrząsco, rozbawieni widokiem chłopca, który upił się pierwszy raz w życiu, i niewątpliwie wspominali różne kłopotliwe sytuacje ze swojej własnej przeszłości.

Caris wzięła Mair pod rękę.

- Czas iść spać, młodszy bracie - powiedziała. - Idziemy. Mair chętnie usłuchała.

- Mój starszy brat zachowuje się jak stara baba - powiedziała do swoich kompanów. - Ale mnie kocha, czyż nie, Christophe?

- Tak, Michelu, kocham cię - zapewniła Caris i mężczyźni znów ryknęli śmiechem.

Mair mocno przytrzymała się Caris, a ta zaprowadziła ją do kościoła i znalazła miejsce w nawie, gdzie miały swoje posłania. Położyła Mair i opatuliła ją kocem.

- Pocałuj mnie na dobranoc, Christophe - poprosiła Mair. Caris pocałowała ją w usta.

- Jesteś pijana - szepnęła. - Śpij. Musimy wstać wcześniej rano. Caris przez jakiś czas nie

mogła zasnąć, była niespokojna. Doszła do wniosku, że mają wyjątkowego pecha. Prawie dogoniły angielską armię i biskupa Richarda, ale właśnie teraz musieli dopaść ich Francuzi. Powinny trzymać się z dala od pola bitwy. Z drugiej strony, jeśli będą trzymały się na tyłach francuskiej armii, mogą nigdy nie dogonić Anglików.

W końcu doszła do wniosku, że muszą wyruszyć skoro świt i spróbować wyprzedzić Francuzów. Tak duża armia nie może poruszać się szybko, gdyż samo przygotowanie do wymarszu zajmie kilka godzin. Jeśli ona i Mair się postarają, to zdołają utrzymać się w bezpiecznej odległości przed francuskimi oddziałami. To było ryzykowne, ale ryzykowały nieustannie, od kiedy opuściły Portsmouth.

Powoli zapadła w sen i zbudziła się, kiedy dzwon wzywał na jutrznię tuż po trzeciej rano. Obudziła Mair i nie okazała współczucia, słysząc jej skargi na okropny ból głowy. Gdy mnisi śpiewali psalmy w kościele, Caris i Mair poszły do stajni i znalazły swoje kuce. Niebo było pogodne, gwiazdy świeciły jasno.

Piekarze w mieście pracowali przez całą noc, więc kupiły chleb na drogę. Miejskie bramy były jednak jeszcze zamknięte, więc zakonnice musiały niecierpliwie czekać do świtu, drząc w porannym chłodzie i zjadając świeży chleb.

Okolo wpół do piątej w końcu opuściły Abbeville i skierowały się na północny zachód wzdłuż brzegu Sommy, podążając w kierunku, w którym przypuszczalnie pomaszerowały angielskie wojska.

Ujechały ćwierć mili, gdy na murach otaczających miasto zagrały trąbki. Tak jak Caris, król Filip postanowił wyruszyć wcześniej. Na polach piesi i łucznicy zaczęli się budzić. Porządkowi widocznie otrzymali w nocy rozkazy, gdyż wiedzieli, co robić, i wkrótce część armii dołączyła do jadących drogą Caris i Mair.

Caris wciąż miała nadzieję dotrzeć do angielskich oddziałów przed Francuzami, którzy z pewnością będą musieli zatrzymać się i przegrupować przed bitwą. To powinno dać Caris i Mair czas na dotarcie do rodaków i znalezienie jakiegoś bezpiecznego miejsca daleko od pola bitwy. Nie chciała znaleźć się między dwiema armiami. Zaczynała dochodzić do wniosku, że wyruszając z tą misją, postąpiła lekkomyślnie. Nic nie wiedząc o wojnie, nie wyobrażała sobie trudności i niebezpieczeństw. Teraz było za późno, żeby tego żałować. Przecież dotarły tak daleko całe i zdrowe.

Żołnierze na trakcie nie byli Francuzami, lecz Włochami. Mieli stalowe kusze i kołczany pełne żelaznych bełtów. Byli przyjaźni i Caris przez chwilę gawędziła z nimi mieszaniną normandzkiej francuszczyzny, łaciny i odrobiny włoskiego, którego nauczyła się od Buonaventury Carolego. Powiedzieli jej, że w bitwie zawsze stoją w pierwszym szeregu i strzelają zza grubych drewnianych pawęży, które teraz jechały na jednym z wozów gdzieś z tyłu. Narzekali na pospieszne śniadanie,

francuskich rycerzy uważali za porywczych i kłótliwych, natomiast z podziwem mówili o swoim dowódcy, Ottone Dorii, który podążał kilka jardów przed swoim oddziałem.

Słońce wspięło się wysoko i zrobiło się gorąco. Wiedząc, że mogą dziś stoczyć bitwę, kusznicy oprócz kusz i bełtów mieli grube pikowane kaftany, żelazne hełmy i nakolanniki. Około południa Mair oznajmiła, że zemdleje, jeśli zaraz na chwilę nie przystaną. Caris również była wyczerpana, gdyż jechały od świtu, wiedziała też, że kucom potrzebny jest odpoczynek. Tak więc musiały się zatrzymać i patrzeć na wyprzedzające je tysiące kuszników.

Napoiły kuce w Sommie i zjadły trochę chleba. Kiedy znów ruszyły w drogę, napotkały francuskich rycerzy i zbrojnych. Na czele oddziału Caris rozpoznała cholerycznego brata Filipa, Karola. Znalazły się w samym środku francuskiej armii, lecz nie mogły nic na to poradzić - musiały podążać dalej i liczyć na to, że trafi się okazja, by ich wszystkich wyprzedzić.

Wkrótce po południu okazało się, że Anglicy nie znajdują się na zachód od miasta, jak sądzono, lecz na północ, i francuski król rozkazał, by armia skręciła w tym kierunku - nie kolumną, lecz w rozciągniętym szyku. Żołnierze otaczający Caris i Mair, prowadzeni przez księcia Karola, zeszli z nadrzecznego traktu na wąską ścieżkę biegnącą przez pola. Caris, przygnębiona, pojechała za nimi.

Nagle pozdrowił ją znajomy głos i obok niej pojawił się chirurg Martin.

- Ależ zamieszanie - westchnął ponuro. - Szyk zupełnie się rozsypał. Przez pola nadjechała grupka mężczyzn na szybkich koniach i powitała księcia Karola.

- Zwiadowcy - wyjaśnił Martin i ruszył posłuchać, co mają do powiedzenia. Kuce Caris i Mair poszły za nim, wiedzione naturalnym dla koni instynktem nakazującym trzymać się razem.

- Anglicy się zatrzymali - usłyszały zakonnice. - Zajęły obronne pozycje na szczycie wzgórza w pobliżu miasta Crecy.

- To Henri le Moine - powiedział Martin - stary towarzysz króla Czech. Wiadomość ucieszyła Karola.

- Zatem dziś stoczemy bitwę! - powiedział, a otaczający go rycerze przyjęli jego słowa nieskładnym okrzykiem radości.

Henri ostrzegawczo podniósł rękę.

- Proponujemy, żeby wszystkie oddziały zatrzymały się i przegrupowały.

- Mamy zatrzymać się teraz?! - ryknął Karol. - Kiedy Anglicy w końcu chcą stanąć i walczyć?

Ruszajmy na nich!

- Nasi ludzie i konie potrzebują odpoczynku - spokojnie tłumaczył Henri. - Król jest daleko z tyłu. Dajmy mu szansę dotrzeć tu i rzucić okiem na pole bitwy. Będzie mógł wydać rozkazy do

jutrzejszego ataku, kiedy ludzie odpoczną.

- Do diabła z rozkazami. Tam jest tylko kilka tysięcy Anglików. Rozbijemy ich w pył.

Henri bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mnie ci rozkazywać, panie. Jednak zapytam twego brata króla o rozkazy.

- Zapytaj go! Zapytaj! - warknął Karol i pojechał dalej.

- Nie wiem, czemu mój pan jest taki niecierpliwy - powiedział Martin do Caris.

- Sądzę - odparła z namysłem - że chce dowieść, iż jest wystarczająco dzielny, by rządzić, nawet jeśli z racji urodzenia nie jest królem.

Martin obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Jesteś bardzo mądry jak na zwykłego chłopca.

Caris odwróciła głowę, obiecując sobie pamiętać o swojej fałszywej tożsamości. W głosie Martina nie było wrogości, ale zaczynał coś podejrzewać. Jako chirurg znał subtelne różnice w budowie mężczyzn i kobiet, mógł więc zauważyć, że Christophe i Michel de Longchamp nie są zbudowani tak jak inni chłopcy. Na szczęście nie drażył tego tematu.

Zachmurzyło się, lecz wciąż było ciepło i parno. Po lewej zaczęły się lasy i Martin powiedział Caris, że to las Crecy. Nie mogli być daleko od angielskich pozycji, lecz teraz Caris zastanawiała się, jak wyprzedzić Francuzów i dołączyć do Anglików, nie dając się zabić przez jednych lub drugich.

Las zmusił lewą flankę armii do zwarcia-szyku, więc drogę, po której jechała Caris, zatarasowały niezliczone szeregi żołnierzy z różnych, teraz pomieszanych oddziałów.

Wzdłuż kolumny przejechali posłańcy z nowymi rozkazami od króla: armia miała zatrzymać się i rozbić obóz. To obudziło nadzieję Caris: teraz będzie miała okazję wysforować się przed Francuzów. Doszło do krótkiej wymiany zdań między Karolem a posłańcem i Martin podszedł do nich, by posłuchać. Gdy wrócił, na jego twarzy malowało się zdumienie.

- Książę Karol odmawia wykonania rozkazów! - oznajmił.

- Dlaczego? - zapytała z niepokojem Caris.

- Uważa, że jego brat jest przesadnie ostrożny. On, Karol, nie będzie takim mięczakiem, żeby obawiać się słabego nieprzyjaciela.

- Myślałem, że wszyscy muszą słuchać rozkazów króla.

- Powinni. Jednak dla francuskich szlachciców nie ma nic ważniejszego od ich rycerskiego kodeksu. Prędzej umrą, niż uczynią coś, co będzie świadczyło o ich tchórzliwości.

Armia maszerowała więc dalej wbrew rozkazom.

- Rad jestem, że wy dwaj tu jesteście - powiedział Martin. - Znów będę potrzebował waszej pomocy. Zwycięstwo czy klęska, do zachodu słońca będzie wielu rannych.

Caris zrozumiała, że nie zdoła uciec. Jednak nie wiedzieć czemu, już tego nie chciała. W rzeczy samej, czuła dziwne podniecenie. Jeśli ci ludzie są tak szaleni, by ranić jedni drugich mieczami i strzałami, będzie mogła przynajmniej przyjść z pomocą rannym.

Wkrótce wrócił dowódca kuszników, Ottone Doria - nie bez trudu przeciskając się przez tłum - aby porozmawiać z Karolem.

- Zatrzymaj swoich ludzi! - krzyknął do księcia.

- Jak śmiesz wydawać mi rozkazy! - warknął obrażony Karol.

- To rozkaz króla! Mamy się zatrzymać, ale moi ludzie nie mogą stanąć, ponieważ twoi napierają na nich z tyłu!

- Niech więc maszerują dalej.

- Nieprzyjaciel jest w zasięgu wzroku. Jeśli pójdziemy dalej, będziemy musieli stoczyć bitwę.

- Niech więc tak będzie.

- Przecież ludzie maszerowali cały dzień. Są głodni, spragnieni i zmęczeni, a moi kusznicy nie mają pawęży.

- Są zbyt tchórzliwi, by walczyć bez tarcz?

- Nazywasz moich ludzi tchórzami?

- Jeśli nie będą walczyli, to tak.

Ottone milczał przez chwilę, po czym odezwał się tak cicho, że Caris ledwie słyszała jego słowa:

- Jesteś głupcem, Alencon. I przed zachodem słońca będziesz w piekle. Zawrócił i odjechał.

Caris poczuła wilgoć na twarzy i spojrzała w niebo. Zaczął padać deszcz.

49

Deszcz był ulewny, lecz krótki, i kiedy przestał padać, Ralph spojrzał w dolinę i z dreszczem strachu zobaczył, że nieprzyjaciel już tam jest.

Anglicy zajęli grzbiet wzgórza ciągnący się od południowego zachodu na północny wschód. Za ich plecami, na północnym zachodzie, był las. Przed nimi i po bokach opadały zbocza wzgórza. Z prawej flanki mieli miasto Crecy-en-Ponthieu znajdujące się w dolinie rzeki Maye.

Francuzi nadciągali z południa.

Ralph był na prawej flance z ludźmi hrabiego Rolanda dowodzonymi przez młodego księcia Walii. Sformowali szyk obronny, który okazał się tak skuteczny, gdy walczyli przeciwko Szkotom. Po lewej i prawej stały oddziały łuczników, tworzące dwa trójkąty, niczym zęby brony. Pomiędzy tymi zębami, nieco z tyłu, pozycje zajęli piesi rycerze i zbrojni. Była to radykalna zmiana, której wciąż sprzeciwiało się wielu rycerzy, lubiących walczyć z końskiego grzbietu i na ziemi czuli się niepewnie.

Jednak król był nieustępliwy: wszyscy mieli walczyć pieszo. Przed oddziałami rycerzy wykopano doły głębokie i szerokie na stopę, żeby potykały się na nich francuskie wierzchowce.

Po prawej ręce Ralpa, na końcu grani, stały trzy nowe maszyny na proch strzelniczy, zwane bombardami lub armatami, z których wystrzeliwano okrągłe kamienie. Były nowością. Wleczono je przez całą Normandię, lecz do tej pory nie oddano z nich ani jednego strzału i nikt nie był pewien, czy w ogóle będą działać. Dziś król Edward chciał wykorzystać wszystko, czym dysponuje, gdyż nieprzyjaciel miał czterokrotną, a może nawet siedmiokrotną przewagę liczebną.

Na lewej flance Anglików ludzie hrabiego Norfhamptona uformowali taki sam szyk. Za pierwszymi szeregami stał w odwodzie trzeci batalion dowodzony przez samego króla. Za królem znajdowała się druga linia obrony. Tworzyły ją ustawione w krąg wozy z nieuzbrojoną obsługą - kucharzami, woźnicami i saperami, którzy schronili się tam razem z końmi. I w końcu był las, gdzie w przypadku klęski angielska armia mogła uciec, i gdzie konnym francuskim rycerzom trudno byłoby ich gonić.

Byli tu od rana, nie mając do jedzenia nic prócz zupy z groszku i cebuli. Ralph włożył zbroję i pocił się w słońcu, tak więc ulewa była zbawieniem. Ponadto zamieniła w bagno stok, po którym mieli jechać atakujący Francuzi, czyniąc go zdradliwie śliskim.

Ralph domyślał się, jaka będzie taktyka Francuzów. Genueńscy kusznicy będą strzelali zza swych tarcz, żeby osłabić angielską obronę. Potem, kiedy wyrządzą dość szkód, zrobią przejście dla konnych francuskich rycerzy, którzy przypuszczą atak.

Nie było niczego równie przerażającego jak tAka szarża. Nazywana furor fransiscus była najgroźniejszą bronią francuskiej szlachty. Kodeks rycerski nakazywał im nie zważać na własne bezpieczeństwo. Całkowicie okryci pancerzami, tak że wyglądali jak ludzie z żelaza, jeźdźcy na ogromnych rumakach tratowali łuczników, miażdżyli tarcze, miecze i zabijali zbrojnych.

Oczywiście nie zawsze. Czasem można było odeprzeć atak, szczególnie jeśli teren sprzyjał obrońcom, tak jak tutaj. Jednak Francuzi niełatwo tracili zapał: zaatakują ponownie. A mieli tak ogromną przewagę liczebną, że Ralph nie sądził, żeby Anglicy zdołali ich powstrzymać.

Bał się, a jednocześnie nie żałował, że tutaj jest. Przez siedem lat wiódł emocjonujące życie, jakiego zawsze pragnął, w którym odważni byli królami, a słabi byli niczym. Miał dwadzieścia dziewięć lat, a ludzie czynu rzadko dożywiali podeszłego wieku. Popelniał okropne czyny, ale za wszystkie został rozgrzeszony, a za ostatni tego ranka przez biskupa Shiring, który stał teraz obok swego ojca, hrabiego, uzbrojony w groźnie wyglądającą pałkę. Kapłanom nie wolno było przelewać krwi, więc chytrze omijali ten zakaz, używając w bitwach różnych tępych narzędzi.

Kusznicy w białych płaszczach dotarli do podnóża stoku. Angielscy łucznicy, którzy

dotychczas siedzieli, powbijawszy strzały w ziemię przed sobą, teraz zaczęli wstawać i napinać łuki. Ralph odgadł, że większość z nich czuje to samo co on: ulgę z powodu tego, że kończy się długie oczekiwanie, zmieszana ze strachem na myśl o liczebnej przewadze wroga.

Ralph uznał, że jest jeszcze mnóstwo czasu. Widział, że Genuieńczycy nie mają grubych pawęży, które są istotnym elementem ich taktyki. Był przekonany, że bitwa nie zacznie się, dopóki nie dostaną swych tarcz.

W dolinę wjeżdżało od południa tysiące rycerzy, rozstawiając się po prawej i lewej za kusznikami. Słońce znów wyszło, oświetlając jaskrawe barwy ich proporców i końskich czapraków. Ralph rozpoznał herb Karola, hrabiego Alencon, brata króla Filipa.

U stóp zbrocza tysiące kuszników, jakby na dany sygnał, wznieśli okrzyk. Niektórzy podskakiwali. Zagrały trąbki.

Ten okrzyk miał przestraszyć wroga i może czasem wywierał zamierzony skutek, lecz angielska armia składała się z doświadczonych żołnierzy mających za sobą sześciotygodniową kampanię, więc trzeba było czegoś więcej, żeby ich nastraszyć. Beznamiętnie spoglądali na nieprzyjaciół.

Nagle, ku ogromnemu zaskoczeniu Ralpa, Genuieńczycy podnieśli kusze i zaczęli strzelać.

Co oni robią? Przecież nie mają tarcz!

Dał się słyszeć głośny i przerażający świst, gdy pięć tysięcy żelaznych bełtów przecięło powietrze. Jednak kusznicy byli za daleko. Może nie uwzględnili tego, że strzelają w górę i popołudniowe słońce świeci im w oczy zza angielskiej linii obrony. Tak czy inaczej, ich pociski nie doleciały do celu.

Na samym środku angielskiego szyku trysnęły czerwone płomienie i rozległ się huk. Zdumiony Ralph ujrzał dym wznoszący się z miejsca, gdzie stały nowe bombardy. Huk robił wrażenie, lecz znów spojrzawszy na szeregi wroga, Ralph nie dostrzegł w nich większych spustoszeń. Jednak hałas zaskoczył wielu kuszników tak, że spóźnili się z ponownym napięciem kusz.

W tym momencie książę Walii rozkazał swoim łucznikom strzelać.

Dwa tysiące łuków uniosło się w górę. Wiedząc, że odległość jest zbyt duża, by strzelać równoległe do ziemi, łucznicy wymierzili w niebo, intuicyjnie wyliczając trajektorię lotu. Wszystkie łuki napięły się jednocześnie, niczym źdźbła zboża na polu w nagłym podmuchu wiatru, a potem strzały poszybowały w powietrze, czemu towarzyszył odgłos przypominający uderzenie kościelnego dzwonu. Strzały, lecąc szybciej niż najszybszy ptak, wzbily się w powietrze, po czym niczym ulewa spadły na kuszników.

Genuieńczycy stali w zwartym szyku, a ich pikowane kaftany stanowiły kiepską osłonę. Bez

tarcz kusznicy byli praktycznie bezbronni. Setki z nich poległo lub zostało rannych.

Jednak to był dopiero początek.

Kiedy pozostali kusznicy napinali kusze, Anglicy strzelali raz po raz. Łucznik potrzebował tylko czterech czy pięciu sekund, żeby wyjąć strzałę z ziemi, nałożyć na cięciwę, napiąć łuk, wycelować, strzelić i sięgnąć po następną. Doświadczeni i wprawni łuczniczy potrafili robić to jeszcze szybciej. W ciągu minuty na nieosłoniętych kuszników spadło dwadzieścia tysięcy strzał.

To była masakra i wywarła nieunikniony skutek: kusznicy rzucili się do ucieczki.

Po chwili znaleźli się poza zasięgiem łuków i Anglicy wstrzymali ostrzał, śmiejąc się z nieoczekiwanego zwycięstwa i szydząc z wroga. Wtedy jednak kuszników spotkało następne nieszczęście. Francuscy rycerze ruszyli naprzód. Zbity tłum uciekających kuszników napotkał szeregi szykujących się do ataku jeźdźców. Zapanował chaos.

Ralph ze zdumieniem zobaczył, iż żołnierze wroga zaczęli walczyć między sobą. Rycerze wyjęli miecze i siekli kuszników, którzy wystrzelili do nich z kusz i chwycili za noże. Francuscy szlachcice powinni byli spróbować położyć kres tej rzezi, lecz Ralph widział, że ci w najkosztowniejszych zbrojach i na najlepszych koniach znajdują się w pierwszym szeregu i z furią atakują swoich.

Rycerze zepchnęli kuszników z powrotem w górę zbocza, aż znów znaleźli się w zasięgu strzał. Książę Walii ponownie wydał rozkaz łucznikom. Tym razem grad strzał spadł nie tylko na kuszników, ale i na jeźdźców. Przez siedem lat wojaczki Ralph jeszcze czegoś takiego nie widział. Setki nieprzyjaciół poległo lub odniosło rany, a żaden angielski żołnierz nie został nawet draśnięty.

W końcu francuscy rycerze wycofali się, a pozostali kusznicy poszli w rozsypkę. Zbocze poniżej angielskiej linii obrony usłane było ciałami. Walijscy i kornwalijscy nożownicy wbiegli na pobojuwisko i zaczęli dobijać rannych Francuzów, zbierając całe strzały dla łuczników i niewątpliwie obrabowując przy okazji poległych. Jednocześnie gońcy przynieśli nowe wiązki strzał z wozów i rozdali je łucznikom.

Przerwa nie trwała długo.

Francuscy rycerze przegrupowali się wzmocnieni przez nowych, przybywających setkami i tysiącami. Patrząc na ich szeregi, Ralph zobaczył, że do barw Alencon dołączyły flagi Flandrii i Normandii. Sztandar hrabiego Alencon przemieścił się naprzód, zagrały trąbki i jazda ruszyła.

Ralph spuścił przyłbicę i wyjął miecz. Pomyślał o matce. Wiedział, że modli się za niego zawsze, gdy chodzi do kościoła, i teraz był jej za to wdzięczny. Obserwował nieprzyjaciela.

Olbrzymie konie rozpędzwały się wolno, z jeźdźcami w pełnych zbrojach. Zachodzące słońce odbijało się od przyłbic Francuzów, a flagi łopotały na wieczornym wietrze. Stopniowo tętent kopyt

stawał się coraz głośniejszy, gdy atakujący nabierali rozpędu. Rycerze pokrzykiwali na swoje rumaki i do siebie, wymachując mieczami oraz włóczniami. Nadciągali niczym fala, coraz większa i szybsza, w miarę jak malała odległość dzieląca ich od Anglików. Ralphowi zaschło w ustach, a serce waliło jak młotem.

Znaleźli się w zasięgu łuków i książę znowu wydał rozkaz, by strzelać. I tym razem strzały poszybowały w powietrzu i spadły niczym śmiercionośny deszcz.

Atakujący rycerze byli w pełnych zbrojach, więc łucznik musiał mieć naprawdę sporo szczęścia, żeby jego strzała trafiła w punkt na złączeniu dwóch płyt. Jednak rumaki miały tylko osłony na pyskach i szyje zasłonięte siatkami z metalowych ogniw, były więc łatwiejszym celem. Kiedy strzały przeszły ich barki lub zady, jedne stawały jak wryte, inne padały, a niektóre zawracały i próbowały uciekać. Powietrze wypełnił ich przeraźliwy kwik. Przerazone konie wpadały na siebie, zrzucając jeźdźców na ziemię usłaną ciałami poległych Genuńczyków. Jadący z tyłu byli zbyt rozpędzeni, żeby ich ominąć, więc po prostu tratowali leżących.

Jednak były tam tysiące rycerzy i wciąż nacierali.

Łucznicy strzelali teraz na krótszą odległość, a strzały leciały równoległe do ziemi. Gdy szarżujący znaleźli się o sto jardów od nich, łucznicy sięgnęli po inne strzały, zakończone nie zwykłymi grotami, lecz płaskimi trójkątami ze stali przebijającymi pancerze. Teraz mogli zabijać jeźdźców, chociaż powalenie konia też nie było najgorsze.

Ziemia była mokra po deszczu, a atakujący napotkali teraz doły wcześniej wykopane. Konie pędziły tak szybko, że mało który nie potykał się, trafiając kopytem w taki dół, a wiele upadło, zrzucając jeźdźców na ziemię pod nogi innych rumaków.

Nadjeżdżający rycerze instynktownie próbowali ominąć łuczników i - tak jak zaplanowali Anglicy - szarżowali wąskim przesmykiem ostrzeliwani z prawej i lewej flanki.

To było sedno angielskiej taktyki. W tym momencie okazało się, jak mądrze postąpił król Edward, zmuszając rycerzy do walki pieszo. Gdyby siedzieli na koniach, nie oparliby się pokusie i zaatakowali, a wtedy łucznicy musieliby przerwać ostrzał, żeby nie razić swoich. Ponieważ jednak rycerze i zbrojni pozostali na swoich pozycjach, łucznicy mogli masakrować wroga bez żadnych strat własnych.

Jednak to nie wystarczało. Francuzi byli zbyt liczni i zbyt odważni. Wciąż atakowali i w końcu dotarli do pieszych rycerzy i zbrojnych pomiędzy oddziałami łuczników, a wtedy zaczęła się prawdziwa walka.

Konie wpadły na pierwsze szeregi Anglików, lecz jazda pod górę po błotnistym zboczu spowolniła atak, który został powstrzymany przez zwarty szyk Anglików. Ralph nagle znalazł się w

samym środku bitewnego zamętu, uchylając się przed morderczymi cięciami konnych rycerzy, tnąc mieczem po końskich nogach, chcąc okaleczyć zwierzęta w najprostszy i najpewniejszy sposób - przecinając im ścięgna. Walka była zażarta: Anglicy nie mieli dokąd się cofnąć, a Francuzi wiedzieli, że w razie odwrotu będą musieli ponownie przebić się przez grad śmiercionośnych strzał.

Wokół Ralpa padali ludzie, zasieczeni mieczami lub zarąbani toporami, tratowani grubymi żelaznymi podkowami bojowych rumaków. Zobaczył, jak hrabia Roland pada pod ciosem francuskiego miecza. Jego syn, biskup Richard, zamachnął się maczugą, chcąc osłonić ojca, lecz inny jeździec wpadł na niego, odrzucając go na bok, i stratował hrabiego.

Anglicy byli spychani w tył i Ralph pojął, że Francuzi mają wytyczony cel: księcia Walii.

Ralph nie przepadał za tym uprzywilejowanym szesnastoletnim następcą tronu, ale wiedział, że gdyby księżę został złapany lub zabity, byłby to druz-goczący cios dla morale Anglików. Przeszedł do tyłu i w lewo, dołączając do kilku innych, którzy otoczyli księcia stalowym kręgiem. Jednak Francuzi podwoili wysiłki, a poza tym siedzieli na koniach.

Nagle Ralph znalazł się tuż obok księcia, walcząc z nim ramię w ramię. Rozpoznał go po wyhaftowanych na jace godle na błękitnym tle oraz herbowych lwach na czerwonym polu. W następnej chwili francuski jeździec zamachnął się toporem i księżę runął na ziemię.

To była straszna chwila.

Ralph doskoczył i zaatakował napastnika, wrażając długi miecz pod jego pachę, w złączenie zbroi. Z satysfakcją poczuł, że ostrze wbiło się w ciało, i zobaczył tryskającą z rany krew.

Inny rycerz stanął nad księciem i oburącz rąbał mieczem ludzi i konie. Ralph zobaczył, że to chorąży księcia, Richard FitzSimon, który upuścił sztandar na swego leżącego pana. Przez kilka chwil Richard i Ralph zaciekle walczyli w obronie królewskiego syna, nie wiedząc, czy jest żywy, czy martwy.

Potem przybyły posiłki. Hrabia Arundel pojawił się z dużym oddziałem zbrojnych, którzy dopiero teraz włączyli się do walki, co przeważało szalę. Francuzi zaczęli się cofać.

Księżę Walii dźwignął się na kolana. Ralph podniósł przyłbicę i pomógł mu wstać. Chłopak był ranny, ale nie ciężko, więc Ralph odwrócił się i walczył dalej.

Po chwili atak Francuzów załamał się. Pomimo głupiej taktyki, dzięki swej odwadze niemal rozerwali angielską linię obrony - ale nie całkiem. Teraz uciekali i jeszcze wielu zostało zabitych przez łuczników, gdy wracali po zakrwawionym zboczach do swoich. Anglicy wydali donośny okrzyk, w którym była radość, ale i zmęczenie.

Walijczycy znów ruszyli na pobojuwisko podrzynać gardła rannym i zbierać tysiące strzał.

Łucznicy także podnosili wystrzelone strzały, uzupełniając zapasy. Z tyłów przyszli kucharze z dzbanami piwa i wina, a chirurdzy ruszyli z pomocą rannym szlachcicom.

Ralph zobaczył, jak William z Caster pochyla się nad hrabią Rolandem. Ten oddychał, lecz oczy miał zamknięte i wyglądał na bliskiego śmierci.

Ralph wytarł o ziemię zakrwawiony miecz i podniósł przyłbicę, żeby wypić kufel piwa. Książę Walii podszedł do niego i rzekł:

- Jak się zwiesz?

- Ralph Fitzgerald z Wigleigh, mój panie.

- Dzielnie walczyłeś. Jutro będziesz sir Ralphem, jeśli król mnie wysłucha. Ralph pokraśniał z radości.

- Dziękuję ci, panie.

Książę łaskawie skinął mu głową i odszedł.

50

Caris z odległego krańca doliny przyglądała się pierwszej fazie bitwy. Widziała, jak genueńscy kusznicy próbowali uciekać i zostali zmasakrowani przez francuskich rycerzy. Potem zobaczyła pierwszą wielką szarżę, w której wzięły udział tysiące rycerzy i zbrojnych pod sztandarem Karola, hrabiego Alencon.

Jeszcze nigdy nie widziała bitwy i zrobiło jej się niedobrze. Setki rycerzy padły od angielskich strzał i zostały stratowane kopytami bojowych rumaków. Była za daleko, by dokładnie zobaczyć przebieg starcia, ale widziała unoszące się i opadające miecze oraz ginących ludzi i chciało jej się płakać. Jako zakonnica widywała poważne obrażenia - ludzi, którzy spadli z rusztowań, zranili się ostrymi narzędziami, ulegli wypadkom na polowaniu - i zawsze czuła ból oraz smutek, patrząc na amputowaną rękę, zmiażdżoną nogę lub uszkodzony mózg. Widok ludzi z rozmysłem zadających sobie takie rany budził w niej głęboki sprzeciw.

Przez długi czas wydawało się, że bitwa zakończy się inaczej. Gdyby była w domu i tylko słuchała wieści o wojnie, może życzyłaby zwycięstwa Anglikom, lecz po tym, co oglądała przez ostatnie dwa tygodnie, zajęła pozycję przepelnionego niesmakiem, neutralnego obserwatora. Nie potrafiła identyfikować się z Anglikami, którzy mordowali wieśniaków i palili ich zbiory, i nie miało dla niej żadnego znaczenia, że popełniali te odrażające czyny w Normandii. Oczywiście twierdziliby, że Francuzi zasłużyli sobie na to, ponieważ spalili Portsmouth, lecz to było głupie rozumowanie prowadzące do takich właśnie okropności.

Francuzi cofnęli się i zakładała, że przegrupują i uporządkują szyki, czekając na przybycie króla z nowym planem bitwy. Widziała, że wciąż mają przytłaczającą przewagę liczebną: w dolinie

stały dziesiątki tysięcy zbrojnych, a nadal przybywali nowi.

Jednak Francuzi nie przegrupowali się. Zamiast tego każdy przybywający oddział natychmiast ruszał do ataku, samobójczo pędząc na angielskie pozycje na wzgórzu. Druga i trzecia szarża zakończyły się jeszcze gorzej niż pierwsza. Łucznicy wystrzelali część atakujących, zanim ci zdążyli dotrzeć do angielskich pozycji, a pozostali zostali odparci przez piechotę. Stok wiodący na wzgórze błyszczał od krwi setek ludzi i koni.

Po pierwszej szarzy Caris tylko od czasu do czasu spoglądała na bitwę. Była zbyt zajęta opatrywaniem tych rannych Francuzów, którzy mieli szczęście i zdążyli zejść z pola walki. Martin zrozumiał, że jest równie dobrym chirurgiem, jak on. Udostępnił jej swoje narzędzia i pozwolił, by razem z Mair pracowały samodzielnie. Obmywały, zaszywały i bandażowały godziną za godziną.

Z pierwszej linii przyszły wieści o ofiarach wśród ważnych osobistości. Pierwszą z wysoko postawionych osób, które poległy, był Karol, hrabia Alencon. Caris nie mogła pozbyć się myśli, że zasłużył sobie na taki los. Widziała jego głupi entuzjazm i lekkomyślne niezdyscyplinowanie. Kilka godzin później przyszła wieść o śmierci króla Czech, Jana. Caris zastanawiała się nad szaleństwem, jakie popchnęło niewidomego w wir bitwy.

- Na Boga, dlaczego oni nie przestaną? - zapytała Martina, kiedy przyniósł jej szklanekę orzeźwiającego piwa.

- Ze strachu - odparł. - Boją się niesławy. Byłoby hańbą opuścić pole bitwy, nie zadawszy ani jednego ciosu. Woleliby umrzeć.

- Wielu z nich to życzenie się spełni - ponuro zauważyła Caris, opróżniła kufel i wróciła do pracy.

Pomyślała, że jej znajomość i zrozumienie anatomii człowieka bardzo szybko staje się coraz lepsze. Widziała wewnątrz każdej części ciała: mózg w rozbitej czaszce, serce i płuca w rozciętej klatce piersiowej, śliską płataninę wnętrzości, budowę stawu biodrowego, kolanowego i skokowego. W ciągu godziny na polu bitwy dowiedziała się więcej niż przez rok w przyklasztornym szpitalu. Pojęła, że Matthew Barber nauczył się tak dużo właśnie w taki sposób. Nic dziwnego, że był pewny siebie.

Rzeź trwała aż do zmroku. Anglicy zapalili pochodnie, bojąc się niespodziewanego ataku pod osłoną ciemności. Jednak Caris mogłaby ich zapewnić, że są bezpieczni. Słyszała rozmowy francuskich żołnierzy szukających na pobojowisku poległych krewniaków i towarzyszy. Król, który zdążył przybyć, by wziąć udział w ostatnim z tych beznadziejnych ataków, opuścił pole bitwy. Po tym rozpoczął się zbiorowy odwrót.

Nad rzeką unosiła się mgła, wypełniając dolinę i zasłaniając światła w oddali. Caris i Mair znów do późnej nocy pracowały przy blasku ogniska, opatrując rannych. Wszyscy, którzy mogli

chodząc lub choćby kuśtykać, jak najszybciej opuszczali obóz, chcąc znaleźć się daleko od Anglików, mając nadzieję ująć przed nieuniknioną rzezią następnego dnia. Kiedy Caris i Mair zrobiły dla ofiar wszystko, co mogły, wymknęły się z lazaretu. Teraz nadarzała się okazja.

Odnalazły swoje kuce i powiodły je przy blasku pochodni. Dotarły na dno doliny i znalazły się na ziemi niczyjej. Skryte we mgle i mroku zdjęły chłopięce przebrania. Przez moment były bezbronne, dwie nagie kobiety na środku pobojuwiska. Jednak nikt ich nie zobaczył i chwilę później wciągnęły przez głowy habity. Zapakowały męskie odzienie na wypadek, gdyby znów było im potrzebne - czekała jej przecież długa droga do domu.

Caris postanowiła wyrzucić pochodnię aby jakimś angielskiemu łucznikowi nie przyszło do głowy najpierw strzelać w kierunku światła, a dopiero potem pytać, kto idzie. Trzymając się za ręce, żeby się nie zgubić, ruszyły naprzód, prowadząc kuce. Nic nie było widać - mgła przesłaniała słaby blask księżyca i gwiazd. Poszły zboczem w górę, w kierunku angielskich pozycji. Wokół unosił się odór jak u masarza. Na ziemi leżało tyle ciał, że nie mogły ich ominąć. Musiały zacisnąć zęby i deptać po zwłokach. Wkrótce buty miały oblepione błotem i krwią.

Napotykały coraz mniej trupów, a potem nie było ich wcale. Zbliżając się do angielskich oddziałów, Caris czuła głęboką ulgę. Razem z Mair przebyły setki mil, przez dwa tygodnie głodowały i narażały życie dla tej chwili. Niemal zapomniała o tym, że przeor Godwyn ukrał sto pięćdziesiąt funtów ze skarbcza zakonnic, co było powodem tej podróży. Nagle, po rozlewie krwi, jaki widziała, wydawało się to mało ważne. Zamierzała jednak zwrócić się do biskupa Richarda i uzyskać sprawiedliwość dla zakonnic.

Spacer okazał się dłuższy, niż przypuszczała, patrząc na dolinę za dnia.

Zdenerwowana zaczęła się zastanawiać, czy nie zabłądziła. Może skręciła w złym kierunku i minęła angielskie oddziały? Może armia została gdzieś z tyłu? Nastawiała ucha, żeby coś usłyszeć. Tysiące ludzi nie mogą zachować absolutnej ciszy, nawet jeśli większość z nich zapadła w znużony sen, lecz mgła tłumiała wszystkie dźwięki.

Caris nadal była przekonana, że skoro król Edward rozmieścił swoje oddziały na szczycie wzgórza, to na pewno napotkają je, idąc pod górę. Jednak mgła była denerwująca. Jeśli natrafią na przepaść, nie zauważą jej i spadną.

Światło poranka nadawało mgle perłową barwę, gdy wreszcie usłyszała czyjś głos. Przystanęła. Jakiś mężczyzna mówił coś cicho. Mair nerwowo ścisnęła jej dłoń. Odezwał się inny mężczyzna. Nie zdołała rozróżnić słów. Przeraziła się, że zatoczyły krąg i znów trafiły do Francuzów.

Ruszyła w kierunku głosów, wciąż trzymając Mair za rękę. W szarej mgle dostrzegły czerwoną poświatę płomieni i z ulgą ku nim ruszyły. Zbliżając się, Caris zaczęła rozróżniać

poszczególne słowa i z bezgraniczną ulgą zrozumiała, że ludzie ci rozmawiają po angielsku. Po chwili dostrzegła grupkę siedzącą wokół ogniska. Niektórzy spali, zawinięci w koce, lecz trzech siedzieli z podwiniętymi nogami, patrząc w mgłę, zapewne pełniąc wartę, chociaż fakt, że nie zauważyli podchodzących zakonnice, dowodził, iż był to daremny trud.

- Niech was Bóg błogosławi, ludzie z Anglii - powiedziała cicho Caris, chcąc zwrócić ich uwagę.

Przestraszyła ich. Jeden krzyknął, drugi za późno zawołał:

- Kto idzie?

- Dwie zakonnice z opactwa Kingsbridge - odpowiedziała Caris. Tamci z przesądnym lękiem spojrzeli po sobie i pojęła, że wzięli ją za zjawę. - Nie obawiajcie się, jesteśmy z krwi i kości, tak jak nasze kuce.

- Powiedziałaś Kingsbridge? - ze zdziwieniem spytał jeden z nich. - Znam cię - rzekł, wstając. - Już cię widziałem.

Caris poznała go.

- Lord William z Caster - powiedziała.

- Teraz jestem hrabią Shiring - oznajmił. - Mój ojciec godzinę temu umarł z powodu odniesionych ran.

- Niech jego dusza spoczywa w pokoju. Przybyliśmy zobaczyć się z twoim bratem, biskupem Richardem, który jest naszym przełożonym.

- Spóźniłyście się - rzekł William. - Mój brat także nie żyje.

Nieco później tego ranka, gdy mgła się uniosła i pobożowisko wyglądało jak oświetlona słońcem rzeźnia, hrabia William zabrał Caris i Mair na audiencję do króla.

Wszyscy zdumieni się opowieścią dwóch zakonnice, które podążały za angielską armią przez całą Normandię, i żołnierze, jeszcze wczoraj patrzący śmierci w oczy, byli zafascynowani ich przygodami. William powiedział Caris, że król chce usłyszeć tę opowieść z jej ust.

Edward III był królem od lat dziewiętnastu, ale miał dopiero trzydzieści trzy lata. Wysoki i barczysty, raczej postawny niż przystojny, o twarzy jakby uformowanej dla władcy: duży nos, wydatne kości policzkowe i bujne włosy, które już zaczynały odsłaniać wysokie czoło. Caris zrozumiała, dlaczego ludzie zwą go „lwem”.

Siedział na stołku przed swoim namiotem odziany w modne dwukolorowe nogawice i płaszcz z ozdobnym ząbkowanym obrębkim. Nie miał broni ani nie nosił zbroi: Francuzi zniknęli i wysłano spory angielski oddział, żeby tropił i zabijał maruderów. Wokół króla stała gromadka baronów.

Gdy Caris opowiadała, jak razem z Mair szukały pożywienia i schronienia w spalonej i

zrujnowanej Normandii, zastanawiała się, czy król wyczuwa krytykę. On jednak zdawał się nie myśleć o ludzkich cierpieniach, których był sprawcą. Z ukontentowaniem słuchał jej opowieści, jakby była dzielnym rozbitkiem, któremu udało się uratować z tonącego statku.

Zakończyła, mówiąc o swoim rozczarowaniu, gdy po tylu trudach dowiedziała się, że biskup Richard, od którego oczekiwała sprawiedliwości, nie żyje.

- Błagam, by Wasza Wysokość nakazał przeorowi Kingsbridge zwrócić zakonnikom pieniądze, które ukradł.

Edward uśmiechnął się smutno.

- Jesteś dzielną kobietą, ale nic nie wiesz o polityce - rzekł protekcyjnie. - Król nie może się mieszać do takich religijnych sporów, bo zaraz wszyscy biskupi zaczęliby dobijać się z protestami do naszych drzwi.

Może i tak, pomyślała Caris, ale to nie powstrzymało króla od mieszania się w sprawy Kościoła, kiedy miał w tym interes. Jednak nic nie powiedziała.

- Ponadto zaszkodziłoby to waszej sprawie - ciągnął Edward. - Kościół byłby tak oburzony, że każdy kapłan w kraju sprzeciwiałby się naszej decyzji, niezależnie od jej słuszności.

Uznała, że może ma trochę racji. Jednak nie był taki bezsilny, jak twierdził.

- Wiem, że Wasza Wysokość będzie pamiętał o skrzywdzonych zakonnicach z Kingsbridge - powiedziała. - Kiedy mianujesz nowego biskupa Kingsbridge, proszę, opowiedz mu o nas.

- Oczywiście - zapewnił król, ale Caris wiedziała, że zapomni. Wydawało się, że audyencja jest zakończona, lecz William rzekł:

- Wasza Wysokość, teraz, gdy łaskawie mianowałeś mnie hrabią w miejsce mego ojca, powstaje pytanie, kto będzie panem Caster?

- Ach tak. Nasz syn, książę Walii, proponuje sir Ralpha Fitzgeralda, który wczoraj został pasowany na rycerza za uratowanie mu życia.

- O nie! - jęknęła Caris.

Król jej nie usłyszał, ale William najwyraźniej podzielał jej zdanie. Nie zdołał ukryć oburzenia, mówiąc:

- Ralph był wyjętym spod prawa bandytą, winnym licznych kradzieży, morderstw i gwałtów, zanim uzyskał królewskie ulaskawienie, wstąpiwszy do armii Waszej Wysokości.

Król nie był tym tak poruszony, jak spodziewała się Caris.

- Mimo to Ralph walczył dla nas przez siedem lat - zaznaczył. - Zasłużył na przebaczenie.

- Istotnie - dyplomatycznie odparł William. - Zważywszy jednak na kłopoty, jakie mieliśmy z nim w przeszłości, chciałbym zobaczyć, jak wiedzie spokojny żywot przez rok czy dwa, zanim

zostanie wyniesiony tak wysoko.

- No cóż, ty będziesz jego panem, więc ty będziesz musiał sobie z nim radzić - uciał Edward.
- Nie narzucimy ci go wbrew twojej woli, jednak księżę nalega, żeby otrzymał jeszcze jakąś nagrodę.
- Król zastanawiał się chwilę, po czym powiedział: - Czy masz jakąś kuzynkę w wieku odpowiednim do małżeństwa?

- Tak, Matildę - odparł William. - Nazywamy ją Tilly. Caris знаła Tilly. Dziewczyna chodziła do klasztornej szkółki.

- No właśnie - ucieszył się Edward. - Była podopieczną twojego ojca, Rolanda. Jej ojciec miał trzy wioski w pobliżu Shiring.

- Wasza Wysokość ma świetną pamięć do szczegółów.
- Wydaj Matildę za Ralpa i daj mu wioski jej ojca - powiedział król. Caris była oburzona.
- Przecież ona ma dopiero dwanaście lat! - wybuchła.
- Cii! - syknął William.

Król Edward obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

- Dzieci szlachetnie urodzonych muszą szybko dorastać, siostrze. Królowa Filipa miała czternaście lat, kiedy ją poślubiłem.

Caris wiedziała, że powinna milczeć, ale nie mogła. Tilly była zaledwie cztery lata starsza od córki, którą mogłaby mieć, gdyby urodziła dziecko Merthina.

- Jest ogromna różnica między dwunastolatką a czternastolatką - powiedziała z rozpaczą.
- Król spojrział na nią jeszcze chłodniej.

- W obecności króla ludzie wygłaszają swoje opinie tylko, gdy się ich zapyta. A król prawie nigdy nie pyta o opinie kobiet.

Caris zrozumiała, że wybrała złe podejście. Jej sprzeciw budził nie tyle wiek Tilly, ile charakter Ralpa.

- Znam Tilly - powiedziała. - Nie możesz wydać jej za Ralpa, to brutal.
- Caris! - szepnęła przerażona Mair. - Pamiętaj, do kogo mówisz! Edward spojrział na Williama.

- Zabierz ją stąd, Shrine, zanim powie coś, czego nie będę mógł puścić mimo uszu.

William stanowczo wziął Caris pod rękę i zabrał ją przed oblicze króla. Mair poszła za nimi. Caris usłyszała jeszcze słowa władcy:

- Teraz rozumiem, dlaczego przeżyła w Normandii. Po prostu miejscowi śmiertelnie się jej bali.

Szlachcice wybuchnęli śmiechem.

- Chyba oszalałaś! - syknął William.

- Czyżby? - mruknęła Caris. Oddalili się i król nie mógł ich już usłyszeć. Podniosła głos: - W ciągu ostatnich sześciu tygodni król przyczynił się do śmierci tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, spalił ich domy i plony. A ja próbowałam ocalić dwunastoletnią dziewczynkę przed małżeństwem z mordercą. Powiedz mi więc, lordzie Williamie, kto z nas jest szalony?

51

W 1347 roku wieśniaków z Wigleigh dotknęła klęska nieurodzaju. Czynili tak, jak zawsze w takich razach: mniej jedli, odkładali zakup nowych czapek i pasów i spali bliżej siebie, ogrzewając się wzajemnie. Stara wdowa Huberts umarła wcześniej, niż oczekiwano, Janey Jones padła ofiarą choroby płucnej, choć mogła żyć jeszcze rok, a noworodek Joanny David, który w innych okolicznościach miałby szansę, nie dożył swoich pierwszych urodzin.

Gwenda niespokojnie spoglądała na swoich dwóch chłopców. Ośmioletni Sam był duży i silny jak na swój wiek. Ludzie mówili, że jest podobny do Wulfrica, choć Gwenda wiedziała, że przypomina swego prawdziwego ojca, Ralpa Fitzgeralda. Mimo to w grudniu Sam był już wyraźnie chudszy. David, nazwany tak po bracie Wulfrica, który zginął, gdy zawalił się most, miał sześć lat. Mały i ciemnowłosy, przypominał Gwendę. Niedojadanie osłabiło go i przez całą jesień męczyły go choroby: przeziębienie, potem wysypka, a później kaszel.

Mimo wszystko zabrała chłopców, gdy poszła z Wulfricem dokończyć zimowy obsiew ziemi Perkina. Wiał zimny wiatr. Rzuciała ziarna w bruzdy, a Sam i David odganiaли zuchwałe ptaszyska, które próbowały wydziobywać ziarno, zanim Wulfric zasypie je ziemią. Gdy biegali, podskakiwali i krzyczeli, Gwenda dziwiła się, że te dwie w pełni samodzielne ludzkie istoty wyszły z jej ciała. Z odganiaania ptaków zrobili sobie zawody, a ją cieszył cud ich bogatej wyobraźni. Kiedyś byli częścią jej, a teraz potrafili snuć myśli, o których nic nie wiedziała.

Błoto oblepiało ich nogi, gdy biegali tam i z powrotem. Na skraju pola płynął rwący strumień, a na jego drugim brzegu stała gręplarnia zbudowana przed dziewięcioma laty przez Merthina. Ich pracy towarzyszył dobiegający z oddali łoskot drewnianych młotków. Gręplarnię obsługiwali dwaj ekscentryczni bracia, Jack i Eli - kawalerowie nieposiadający swojej ziemi - oraz czeladnik będący ich siostrzeńcem. Tylko oni w wiosce nie ucierpieli z powodu nieurodzaju, bo Mark Webber płacił im tyle samo przez całą zimę.

Był krótki zimowy dzień. Gwenda i jej rodzina skończyli siew, gdy szare niebo zaczęło ciemnieć i w odległych lasach zbierał się mglisty mrok. Wszyscy byli zmęczeni.

Zostało im pół worka ziarna, więc zanieśli je do domu Perkina. Kiedy tam dochodzili, zobaczyli gospodarza nadchodzącego z przeciwnej strony. Szedł obok wozu, którym powoziła jego

córka, Annet. Byli w Kingsbridge, by sprzedać ostatnie tegoroczne jabłka i gruszki.

Annet zachowała dziewczęcą figurę, chociaż miała już dwadzieścia osiem lat i dziecko. Zwracała uwagę na swój młodzieńczy wygląd nieco przykrótką suknią i czarująco niedbałym uczesaniem. Wygląda głupio, pomyślała Gwenda. Jej opinię podzielały wszystkie kobiety w wiosce i żaden z mężczyzn. Gwenda z niepokojem zobaczyła, że wóz Perkina jest pełen owoców.

- Co się stało? - zapytała. Perkin miał ponurą minę.

- Ludzi z Kingsbridge także dotknęła ciężka zima - wyjaśnił. - Nie mają pieniędzy, żeby kupić jabłka. Będziemy musieli zrobić z nich cydr.

To były złe wieści. Gwenda jeszcze nigdy nie widziała, żeby Perkin wrócił z jarmarku z tyloma niesprzedanymi owocami.

Annet nie wyglądała na zaniepokojoną. Wyciągnęła rękę do Wulfrica, który pomógł jej zsiąść, a ona potknęła się i przytrzymała, opierając dłoń na jego piersi.

- Oops! - powiedziała i uśmiechnęła się do niego, łapiąc równowagę. Wulfric pokraśniał z zadowolenia.

Ty ślepy idioto, pomyślała Gwenda.

Weszli do środka. Perkin usiadł przy stole, a jego żona Peggy przyniosła mu miskę polewki. Ukroił sobie grubą kromkę z leżącego na stole chleba, a potem Peggy obsłużyła swoją rodzinę: Annet, jej męża Billy'ego Howarda, brata Annet, Roba, i jego żonę. Dała trochę czteroletniej córce Annet, Amabel, i dwóm małym chłopcom Roba. Potem zaprosiła do stołu Wulfrica i jego rodzinę.

Gwenda łapczywie jadła zupę. Ta była gęściejsza od tej, którą gotowała ona, gdyż Peggy dodała do niej suchego chleba, a w domu Gwendy chleb nigdy nie leżał tak długo, żeby zdążył się zeschnąć. Rodzina Perkina dostała po kubku piwa, ale Gwendy i Wulfrica nie poczęstowano: w tych ciężkich czasach gościnność miała granice.

Perkin żartował ze swoimi klientami, ale poza tym był marudą i w jego domu zawsze panowała mniej lub bardziej przygnębiająca atmosfera. Ze zniechęceniem opowiadał o targu w Kingsbridge. Większość handlarzy miała kiepski dzień. Jaki taki interes robili tylko ci, którzy sprzedawali podstawowe artykuły, takie jak: ziarno, mięso i sól. Nikt nie kupował sławnego już szkarłatu z Kingsbridge.

Peggy zapaliła lampę. Gwenda chciała iść do domu, ale czekali z Wulfricem na zapłatę. Chłopcy zaczęli rozrabiać, biegając po pokoju i wpadając na dorosłych.

- Zbliża się pora, kiedy chodzą spać - powiedziała Gwenda, choć niezupełnie tak było.

- Jeśli nam zapłacisz - rzekł wreszcie Wulfric - to pójdziemy.

- Nie mam pieniędzy - oświadczył Perkin.

Gwenda wytrzeszczyła oczy. Nie powiedział czegoś takiego przez tych dziewięć lat, przez które ona i Wulfric dla niego pracowali.

- Musimy dostać nasze pieniądze - powiedział Wulfric. - Musimy jeść.

- Dostaliście zupe, prawda? - odburknął Perkin. Gwenda była oburzona.

- Pracujemy za pieniądze, nie za zupe!

- Cóż, nie mam pieniędzy - powtórzył Perkin. - Pojechałem na jarmark sprzedać jabłka, ale nikt ich nie kupił, więc mam więcej jabłek, niż zdołamy zjeść, i nie mam pieniędzy.

Gwenda była tak zaszokowana, że nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Perkin może im nie zapłacić. Przeszedł ją dreszcz strachu, gdy pojęła, że nic nie może na to poradzić.

- No i co my teraz mamy zrobić? - powoli zapytał Wulfric. - Mamy pójść na Longfiled i wykopać ziarna z ziemi?

- Będę wam winien zapłatę z ten tydzień - rzekł Perkin. - Dam wam pieniądze, kiedy sprawy będą lepiej wyglądały.

- A za przyszły?

- W przyszłym tygodniu też nie będę miał pieniędzy. Skąd niby mam je wziąć?

- Pójdziemy do Marka Webbera - powiedziała Gwenda. - Może zatrudni nas w gręplarni.

Perkin pokręcił głową.

- Rozmawiałem z nim wczoraj w Kingsbridge i pytałem, czy może was zatrudnić. Powiedział, że nie. Nie sprzedaje dość tkanin. Nadal pracują u niego Jack, Eli i chłopak. Magazynuje tkaninę na czas, gdy interesy znów zaczną się kręcić, lecz nie stać go na dodatkowych pomocników.

Wulfric był zaskoczony.

- Jak mamy przeżyć? Jak zamierzasz wykonać wiosenną orkę?

- Możecie pracować za wyżywienie - zaproponował Perkin.

Wulfric spojrział na Gwendę. Powstrzymała wzgardliwą odpowiedź. Ona i jej rodzina mieli poważne kłopoty i nie był to odpowiedni moment, żeby robić sobie wrogów. Rozmyślała gorączkowo. Nie mieli wielkiego wyboru: jeść lub umrzeć z głodu.

- Teraz będziemy pracowali za wyżywienie, a zapłacisz nam później - powiedziała.

Perkin pokręcił głową.

- Może to i dobra propozycja...

- Jest dobra!

- W porządku, jest dobra, ale mimo to nie mogę jej przyjąć. Nie wiem, kiedy będę miał pieniądze. Do tego czasu mógłbym wam już być winien funta! Możecie pracować za wyżywienie albo

wcale.

- Będziesz musiał żywić całą naszą czwórkę.

- Tak.

- Jednak tylko Wulfric będzie pracował.

- Nie wiem...

- Rodzina potrzebuje nie tylko jedzenia. Dzieci potrzebują ubrań. Mężczyzna musi mieć buty.

Jeśli nie możesz mi zapłacić, będę musiała znaleźć inny sposób, żeby zdobyć pieniądze.

- Jaki?

- Nie wiem. - Zamilkła. Naprawdę nie miała pojęcia. Próbowwała opanować panikę. - Może będę musiała zapytać ojca, jak on sobie radzi.

- Na twoim miejscu nie robiłabym tego - wtrąciła Peggy. - Joby każe ci kraść.

Gwenda była urażona. Jak Peggy śmiała tak powiedzieć? Joby nigdy nie zatrudniał ludzi, żeby na koniec tygodnia powiedzieć, że nie może im zapłacić. Jednak ugryzła się w język i powiedziała spokojnie:

- Żywił mnie przez osiemnaście zim, nawet jeśli potem sprzedał ludziom wyjętym spod prawa.

Peggy zeszywniała i zaczęła pospiesznie sprzątać ze stołu.

- Powinniśmy już iść - powiedział Wulfric.

Gwenda nie ruszyła się z miejsca. Jeśli może coś zyskać, to tylko teraz. Kiedy wyjdzie z tego domu, Perkin będzie uważał umowę za zawartą i niepodlegającą renegocjacji. Zastanawiała się. Przypomniawszy sobie, że Peggy poczęstowała piwem tylko swoją rodzinę, powiedziała:

- Nie będziesz zbywał nas suchym chlebem i rozwodnionym piwem. Będziesz nas żywił tak samo jak siebie i swoją rodzinę: mięsem, chlebem, piwem, cokolwiek to będzie.

Peggy prychnęła. Wyglądało na to, że obawy Gwendy były uzasadnione.

- Tak musi być - dodała Gwenda - jeśli chcesz, żeby Wulfric pracował tak samo jak ty i Rob.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że Wulfric robi więcej niż Rob i dwa razy tyle co Perkin.

- W porządku - zgodził się Perkin.

- I jest to tylko umowa tymczasowa. Jak już będziesz miał pieniądze, zaczniesz płacić nam dotychczasowe stawki: pensa dziennie każdemu.

- Tak. Zapadła cisza.

- To wszystko? - spytał Wulfric.

- Tak sądzę - odparła Gwenda. - Ty i Perkin powinniście podać sobie ręce, żeby przypieczętować umowę.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Zabrawszy dzieci, Gwenda i Wulfric wyszli. Było już zupełnie ciemno. Chmury zasłoniły gwiazdy, więc musieli odnajdywać drogę, kierując się promykami światła sączącymi się przez szpary w okiennicach i drzwiach. Na szczęście już z tysiąc razy chodzili z domu Perkina do swojego.

Wulfric zapalił lampę i rozniecił ogień, podczas gdy Gwenda położyła chłopców spać. Chociaż na górze były sypialnie - wciąż mieszkali w tym dużym domu po rodzicach Wulfrica - wszyscy sypiali w kuchni, gdzie było najcieplej.

Otulając synów kocami i układając ich przy ogniu, Gwenda była przygnębiona. Zawsze mówiła sobie, że nie będzie żyła tak jak jej matka - nieustannie walcząc z troskami i biedą. Pragnęła niezależności: kawałka ziemi, ciężko pracującego męża, rozsądnego pana. Wulfric chciał wrócić na ziemię, którą uprawiał jego ojciec, lecz jego marzenie się nie spełniło. Była uboga, a jej mąż był fornałem, któremu pracodawca nie mógł zapłacić nawet pensa dziennie. Skończyłam tak jak matka, pomyślała zbyt rozgoryczona, by płakać.

Wulfric zdjął z półki glinianą butelkę i nalał sobie piwa do drewnianego kubka.

- Ciesz się nim - rzuciła kwaśno Gwenda - bo przez pewien czas nie będziesz miał za co kupić sobie piwa.

- To dziwne, że Perkin nie ma pieniędzy - powiedział spokojnie Wulfric. - Jest najbogatszym człowiekiem we wsi, poza Nathanem Reeve.

- Perkin ma pieniądze - rzekła Gwenda. - Pod paleniskiem ukrył dzban ze srebrnymi pensówkami. Widziałam je.

- Zatem czemu nam nie płaci?

- Nie chce naruszać swoich oszczędności. Wulfric był zaskoczony.

- Jednak mógłby nam zapłacić, gdyby chciał?

- Oczywiście.

- Więc dlaczego mam pracować za jedzenie?

Gwenda westchnęła zniecierpliwiona. Wulfric tak wolno myślał.

- Ponieważ inaczej nie mielibyśmy żadnej pracy. Wulfric czuł, że zostali oszukani.

- Powinniśmy byli nalegać, żeby nam zapłacił.

- Czemu więc nie nalegałeś?

- Nie wiedziałem o tym dzbanie pensówek pod paleniskiem.

- Rany boskie, myślisz, że człowiek tak bogaty jak Perkin wpadnie w biedę, jeśli nie uda mu

się sprzedać wozu jabłek? Ma najwięcej ziemi w Wigleigh, od kiedy przed dziesięcioma laty dostał dziesięć akrów twojego ojca. To oczywiście, że ma oszczędności!

- No tak, rozumiem...

Spoglądała w ogień, gdy mąż kończył, a potem poszli spać. Objął ją, a ona oparła głowę na jego piersi, ale nie miała ochoty się kochać. Była zbyt rozgniewana. Mówiła sobie, że nie powinna kierować swego gniewu przeciwko mężowi: to Perkin ich oszukał, nie on. Mimo to była na niego zła, a nawet wściekła, gdy stwierdziła, że Wulfric zapada w sen. Zdała sobie sprawę, że nie chodzi jej o zapłatę. Tego rodzaju kłopoty spotykają czasem każdego, jak niepogoda czy pleśnienie zboża.

Zatem o co tak naprawdę jej chodzi?

Przypomniała sobie sposób, w jaki Annet oparła się o Wulfrica, zsiadając z wozu. Na wspomnienie jej kokietyjnego uśmiechu i rumieńca na twarzy Wulfrica miała ochotę go spoliczkować. Jestem na ciebie zła, pomyślała, ponieważ ta bezwartościowa, pustogłowa flirciara wciąż potrafi zrobić z ciebie przeklętego głupca.

W niedzielę przed Bożym Narodzeniem po mszy odbyło się w kościele posiedzenie rady wsi. Było zimno i wieśniacy zbili się w gromadę, opatuleni płaszczami i kocami. Przewodniczył Nathan Reeve. Właściciela wsi, Ralphi Fitzgeralda, nie widziano tu od lat. Tym lepiej, pomyślała Gwenda. Ponadto był teraz sir Ralphem i właścicielem jeszcze trzech innych wsi, więc nie interesowały go zaprzęgi mułów i pastwiska dla krów.

W minionym tygodniu zmarł Alfred Shorthouse. Był bezdzietnym wdowcem i posiadaczem dziesięciu akrów.

- Nie zostawił spadkobierców - rzekł Nate Reeve. - Perkin chce przejąć jego ziemię.

Gwenda była zdziwiona. Jak Perkin może myśleć o przejęciu następnego kawałka ziemi? Była zbyt zaskoczona, by zabrać głos, i uprzedził ją Aaron Appletree, kobziarz.

- Alfred podupadł na zdrowiu od lata - rzekł. - Jesienią nie zorał ziemi, a zimą nie zasiał. To należy zrobić. Perkin ma pełne ręce roboty.

- Chcesz sam wziąć tę ziemię? - zapytał napastliwie Nate. Aaron pokręcił głową.

- Za kilka lat, kiedy moi chłopcy dorosną, z ochotą skorzystałbym z takiej okazji - powiedział.

- Teraz nie dam sobie rady.

- Ja sobie poradzę - zapewnił Perkin.

Gwenda ściągnęła brwi. Nate najwyraźniej chciał, żeby ziemia dostała się Perkinowi. A ten zapewne obiecał mu łapówkę. Wiedziała, że Perkin ma pieniądze, jednak nie zamierzała tego ujawniać. Myślała tylko o tym, jak wykorzystać okazję i wydobyć swoją rodzinę z biedy.

- Mgłbyś wziąć jeszcze jednego fernala, Perkin - rzekł Nate.

- Chwileczkę - wtrąciła się Gwenda. - Perkin nie jest w stanie płacić tym parobkom, których już zatrudnia. Jak może obrobić więcej ziemi?

Perkin był zaskoczony, ale nie mógł zaprzeczyć temu, co powiedziała Gwenda, więc milczał.

- No więc ktoś inny może sobie z tym poradzić?

- My ją weźmiemy - odrzekła szybko Gwenda. Nate miał zdziwioną minę.

- Wulfric pracuje za jedzenie - dodała. - Ja nie mam pracy. Potrzebujemy ziemi.

Zauważyła, że kilka osób kiwa głowami. Nikomu we wsi nie podobało się to, co zrobił Perkin. Obawiali się, że pewnego dnia mogą się znaleźć w takiej samej sytuacji. Nate zrozumiał, że jego plan jest zagrożony.

- Nie stać cię na wstępną opłatę - rzekł.

- Zapłacimy ją w ratach. Nate pokręcił głową.

- Chcę dzierżawcy, który może zapłacić od razu. - Spojrzał na zgromadzonych wieśniaków, lecz nikt się nie zgłosił. - Davidzie Johnsie?

David był mężczyzną w średnim wieku, którego synowie mieli swoją ziemię.

- Rok temu powiedziałbym tak - rzekł - jednak deszcze w porze żniw mnie wykończyły.

Możliwość przejęcia dodatkowych dziesięciu akrów w innych okolicznościach wywołałaby zaciekle zmagania ambitnych wieśniaków, lecz ten rok był kiepski. Gwenda i Wulfric byli w innej sytuacji. Po pierwsze, Wulfric nigdy nie przestał marzyć o własnej ziemi. Wprawdzie akry Alfreda nie były jego ojcowizną, ale lepsze to niż nic. Po drugie, Gwenda i Wulfric byli w rozpaczliwej sytuacji.

- Daj ją Wulfricowi, Nate - poprosił Aaron Appletree. - On umie ciężko pracować i zaorze na czas. Ponadto on i jego żona zasługują na to, żeby dać im szansę. Mieli więcej niż trochę pecha.

Nate wyglądał na zirytowanego, ale zebrani wieśniacy przyjęli słowa Alfreda chóralnym okrzykiem aprobaty. Wulfric i Gwenda, pomimo swego ubóstwa, byli powszechnie szanowani.

Ten wyjątkowy zbieg okoliczności mógł sprawić, że Gwenda i jej rodzina wkroczą na drogę do lepszego życia. Z rosnącym podnieceniem pojęła, że jest to możliwe.

Jednak Nate wciąż miał wątpliwości.

- Sir Ralph nienawidzi Wulfrica - przypomniał.

Wulfric podniósł rękę, dotykając blizny na policzku po ranie zadanej przez miecz
Ralph.

- Wiem - odparła Gwenda. - Ale Ralph tu nie ma.

52

Kiedy hrabia Roland umarł nazajutrz po bitwie pod Crecy, kilku ludzi awansowało w

społecznej hierarchii. Jego starszy syn William został hrabią i lordem okręgu Shiring odpowiadającym jedynie przed królem. Kuzyn Williama, sir Edward Courthose, został lordem Caster, przejął zarząd nad czterdziestoma wioskami jako dzierżawca hrabiego i wprowadził się do dawnego domu Williama i Philippy w Casterham. A sir Ralph Fitzgerald został lordem Tench.

Przez osiemnaście następnych miesięcy żaden z nich nie wrócił do ojczyzny. Wszyscy byli zbyt zajęci podróżowaniem L królem i zabijaniem Francuzów. W 1347 roku wojna utknęła w martwym punkcie. Wprawdzie Anglicy zajęli i utrzymali ważne portowe miasto Calais, lecz był to mizerny wynik jak na dziesięć lat wojny - oczywiście poza ogromnymi łupami.

W styczniu 1348 Ralph objął swoje nowe włości. Tench było dużą wioską liczącą sto rodzin, a majątek obejmował jeszcze dwie mniejsze pobliskie wioski. Otrzymał również Wigleigh oddalone o pół dnia jazdy.

Jadąc przez Tench, Ralph poczuł dreszcz dumy. Niecierpliwie czekał na tę chwilę. Poddani kłaniali mu się, a ich dzieci wytrzeszczały oczy. Był tu panem wszystkich i właścicielem wszystkiego.

Dom stanowił część warownego folwarku. Wjeżdżając doń przed wozem załadowanym francuskimi łupami, Ralph natychmiast zauważył, że mury obronne już dawno zaczęły się walić. Zastanawiał się, czy powinien je odbudować. Normandzcy wielmoże zaniedbali swoje dwory, co ułatwiło Edwardowi III ich pokonanie. Z drugiej strony najazd na południową Anglię był teraz mało prawdopodobny. Na początku wojny większość francuskiej floty została zniszczona w porcie Sluys i od tej pory Anglicy kontrolowali kanał oddzielający oba kraje. Poza niewielkimi napadami piratów od czasu Sluys wszystkie bitwy toczono na ziemi francuskiej. Zważywszy na to wszystko, wydawało się, że nie warto odbudowywać murów folwarku.

Pojawiło się kilku stajennych i wzięło konie. Ralph pozostawił Alanowi Fernhillowi nadzór nad wyładunkiem łupów i poszedł w kierunku swego nowego domu. Utykał, zraniona noga po długiej jeździe zawsze go bolała. Tench Hall był dworkiem zbudowanym z kamienia. Ralph z satysfakcją zauważył, że robi wrażenie, choć wymaga remontu - i nic dziwnego, gdyż pozostawał niezamieszkały, od kiedy umarł ojciec lady Matildy. Mimo to był to nowoczesny dom. W starych domostwach prywatny gabinet dodawano jakby po namyśle na końcu wielkiej sali, lecz tu Ralph widział z zewnątrz, że pokoje pana zajmują połowę budynku.

Wszedł do sali i z irytacją znalazł tam hrabiego Williama.

W odległym końcu stał okazały fotel w ciemnego drewna, kunsztownie rzeźbiony w symbole władzy: anioły i lwy na oparciu i poręczach, węże i potwory na nogach. Najwidoczniej był to tron pana dworu. Jednak siedział na nim William.

Zadowolenie Ralpa ulotniło się. Nie potrafił cieszyć się swoją nową rezydencją w obecności

zwierzchnika. To tak, jakby iść do łóżka z kobietą, kiedy jej mąż podsłuchuje pod drzwiami.

Ukrył niezadowolenie i formalnie przywitał hrabiego Williama. Ten przedstawił mu stojącego obok mężczyznę.

- To Daniel, który od dwudziestu lat jest tu rządcą i dobrze opiekuje się tym miejscem w imieniu mojego ojca, dopóki Tilly nie osiągnie pełnoletności.

Ralph sztywno przywitał rządcę. Sugestia Williama była jasna: chciał, by Ralph pozostawił Daniela na stanowisku rządcy. Ralph nie zamierzał pozwolić, by jego włościami zarządzał człowiek hrabiego. Jego rządcą ma być lojalny tylko wobec niego.

William czekał, aż Ralph powie coś o Danielu, jednak ten nie zamierzał o tym dyskutować. Dziesięć lat temu zacząłby się spierać, ale przez czas, który spędził z królem, wiele się nauczył. Nie musiał uzyskać aprobaty hrabiego w kwestii wyboru rządcy, więc nie zamierzał jej szukać. Nic nie powie, dopóki William nie odjedzie, a wtedy oznajmi Danielowi, że powierza mu inne obowiązki.

Obaj, William i Ralph, milczeli uparcie jeszcze przez chwilę, a potem sytuacja nagle się zmieniła. Na końcu sali otworzyły się drzwi wiodące w głąb budynku i pojawiła się w nich wysoka i elegancka lady Philippa. Ralph nie widział jej od wielu lat, lecz na jej widok młodzieńcza namiętność wróciła z siłą, którą odczuł jak zapierający dech w piersi cios. Była starsza - domyślał się, że jest po czterdzieście - ale wyglądała kwitnąco. Może była odrobinę tęższa, niż pamiętał, o bardziej zaokrąglonych biodrach i pełniejszych piersiach, lecz to tylko dodawało jej powabu. Nadal kroczyła jak królowa. I jak zawsze na jej widok ze smutkiem zadawał sobie pytanie, dlaczego nie ma takiej żony jak ona.

Dawniej ledwie zauważała jego obecność, lecz dziś uśmiechnęła się do niego, uścisnęła mu dłoń.

- Poznałeś już Daniela? - zapytała.

Ona również chciała, żeby nadal zatrudniał dworzanina hrabiego - dlatego była taka uprzejma. Tym bardziej powinienem się go pozbyć, pomyślał Ralph ze skrywaną uciechą.

- Dopiero co przybyłem - odparł wymijająco. Philippa wyjaśniła, dlaczego tu jest:

- Chcieliśmy być przy tym, jak spotkasz się z młodą Tilly, która należy do naszej rodziny.

Ralph polecił zakonnicom z opactwa Kingsbridge przysłać tu narzeczoną, żeby się z nią spotkać. Wścibskie baby najwyraźniej powiedziały o tym hrabiemu Williamowi.

- Lady Matilda była podopieczną hrabiego Rolanda, pokój jego duszy - rzekł Ralph, podkreślając w ten sposób, że ta opieka skończyła się wraz ze śmiercią Rolanda.

- Tak, i spodziewałam się, że król przekaze tę opiekę mojemu mężowi, jako spadkobiercy Rolanda.

Philippa najwyraźniej wolałaby, żeby tak się stało.

- Jednak nie zrobił tego - zaznaczył Ralph. - Oddał mi ją za żonę. Chociaż ceremonia jeszcze się nie odbyła, Ralph natychmiast objął kuratelę nad dziewczyną. Ścisłe mówiąc, William i Philippa nie mieli podstaw, żeby tu dziś przybywać, jakby chcieli odegrać rolę rodziców Tilly. Jednak William był panem Ralpa, więc mógł go odwiedzać, kiedy miał na to ochotę.

Ralph nie chciał kłócić się z Williamem. Ten zbyt łatwo mógł mu uprzykrzyć życie. Z drugiej strony w tej kwestii hrabia przekraczał swoje uprawnienia - zapewne naciskany przez żonę. Jednak Ralph nie zamierzał dać się zastraszyć. Przez ostatnie siedem lat nauczył się bronić swojej niezależności.

Poza tym cieszyła go wymiana zdań z Philippą. Dawała mu pretekst, by na nią patrzeć. Podziwiał łagodną linię jej brody i pełne wargi. Pomimo wyrafinowania musiała z nim rozmawiać. Była to najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek z nią odbył.

- Tilly jest bardzo młoda - zauważyła Philippa.

- W tym roku skończy czternaście lat - odrzekł Ralph. - W tym wieku nasza królowa poślubiła naszego króla, o czym przypomniał mi sam król w obecności hrabiego Williama po bitwie pod Crecy.

- Czas tuż po bitwie to niekoniecznie najlepszy moment na decydowanie o losie młodej dziewczyny - powiedziała Philippa, zniżając głos.

Ralph nie zamierzał pozostawić tego bez odpowiedzi.

- Jeśli o mnie chodzi, zamierzam wykonać polecenie Jego Wysokości.

- Jak my wszyscy - mruknęła.

Ralph czuł, że ją pokonał. Sprawilo mu to niemal erotyczną przyjemność, jakby się z nią przespał. Zadowolony zwrócił się do Daniela:

- Moja przyszła żona powinna przybyć w porze obiadu. Dopilnuj, żeby przygotowano nam ucztę.

- Już o to zadbałam - powiedziała Philippa.

Ralph powoli obrócił głowę i znów na nią spojrzał. Nadużyła uprawnień gościa, wchodząc do kuchni i wydając polecenia. Wiedziała o tym i zarumieniła się.

- Nie wiedziałam, kiedy przybędziesz - wyjaśniła.

Ralph nic nie powiedział. Wprawdzie nie przeprosiła, ale zadowolił się tym, że musiała się tłumaczyć, co dla tak dumnej kobiety było upokarzające.

Przed chwilą słyszeli dudnienie końskich kopyt i teraz do sali weszli rodzice Ralpa. Nie widział ich od kilku lat i pospieszył ich uściskać.

Oboje byli po pięćdziesiątce, lecz miał wrażenie, że matka zestarzała się bardziej. Miała siwe włosy i pomarszczoną twarz. Ojciec wydawał się energiczniejszy. Częściowo z podniecenia wywołanego spotkaniem: był zarumieniony z dumy i potrząsał ręką Ralpha, jakby pompował wodę ze studni. W jego czarnej brodzie nie było siwych nitki, jednak zachował szczupłą sylwetkę i wydawał się całkiem krzepki. Oboje mieli na sobie nowe odzienie, gdyż Ralph posłał im pieniądze. Sir Gerald nosił gruby wełniany kasak, a lady Maud futro.

Ralph pstryknął palcami na Daniela.

- Przynieś wina - rozkazał.

Przez moment wyglądało na to, że rządcza zaprotestuje przeciwko traktowaniu go jak służącego, ale schował dumę do kieszeni i pospieszył do kuchni.

- Hrabio Williamie, lady Philippo - rzekł Ralph - pozwólcie, że przedstawię mojego ojca, sir Geralda, i moją matkę, lady Maud.

Obawiał się, że William i Philippa potraktują jego rodziców z góry, ale przywitali ich dość uprzejmie.

- Byłem towarzyszem broni twojego ojca, niech spoczywa w pokoju - rzekł Gerald do Williama. - W rzeczy samej, hrabio Williamie, znam cię, od kiedy byłeś chłopcem, chociaż ty z pewnością mnie nie pamiętasz.

Ralph wolałby, żeby jego ojciec nie wracał do swej świetnej przeszłości. To tylko przypominało o tym, jak nisko upadł.

Jednak wydawało się, że William nie zwrócił na to uwagi.

- Wiesz co? Chyba pamiętam - powiedział. Zapewne mówił tak tylko z grzeczności, ale Gerald był rad. - Oczywiście - dodał - pamiętam cię jako co najmniej siedmiostopowego olbrzyma.

Gerald, który był niskiego wzrostu, roześmiał się ubawiony. Maud rozejrzała się po sali.

- O rety - westchnęła - jaki ładny dom, Ralphie.

- Chciałem ozdobić go skarbami, jakie przywiozłem z Francji - powiedział - jednak dopiero co przyjechałem.

Podkuchenna przyniosła dzban wina i tacę z pucharami. Wszyscy chętnie się napili. Ralph zauważył, że wino to dobre bordeaux, klarowne i słodkie. Trzeba przyznać Danielowi, że dba o zaopatrzenie domu, pomyślał w pierwszej chwili, ale zaraz przypomniał sobie, że przez tyle lat nie miał tu kto pić wina - oczywiście poza Danielem.

- Macie jakieś wieści o moim bracie? - zapytał matkę.

- Dobrze sobie radzi - odparła z dumą. - Ożenił się, ma córkę i jest bogaty. Buduje pałac dla

rodziny Buonaventury Carolego.

- Jednak chyba jeszcze nie zrobili go hrabią? - Ralph udał, że żartuje, lecz w istocie przypomniał, że Merthin, mimo swoich sukcesów, nie otrzymał szlacheckiego tytułu i że to on, Ralph, spełnił nadzieje swego ojca, przywracając rodzinie szlacheckie przywileje.

- Jeszcze nie - wesoło odparł ojciec, jakby było jak najbardziej możliwe, iż Merthin zostanie włoskim hrabią, co rozzłościło Ralpha, ale tylko na chwilę.

- Możemy zobaczyć nasze pokoje? - zapytała matka.

Ralph zawahał się. Co miała na myśli, mówiąc: „nasze pokoje”? Przyszło mu do głowy okropne podejrzenie, że rodzice sądzą, iż tutaj zamieszkają. Nie ma mowy: ich obecność nieustannie przypominałaby mu wstydliwą przeszłość. Ponadto by go ograniczała. Z drugiej strony uświadomił sobie, że byłby to wstyd dla szlachcica, gdyby pozwolił rodzicom mieszkać w jednoizbowym domu na łasce opactwa.

Będzie musiał się nad tym zastanowić.

- Jeszcze sam nie miałem okazji zobaczyć swoich pokoi. Mam nadzieję, że będzie wam tu wygodnie przez kilka nocy.

- Kilka nocy? - natychmiast podchwyciła matka. - Zamierzasz odesłać nas do naszej chaty w Kingsbridge?

Ralph był upokorzony, że wspomniała o tym w obecności Williama i Philippy.

- Nie sądzę, żeby znalazł się tu dla was odpowiedni pokój.

- Skąd wiesz, jeśli sam ich jeszcze nie widziałeś?

- Jest tu mieszkaniec wioski Wigleigh, sir Ralphie - przerwał im Daniel. - Nazywa się Perkin.

Chce złożyć wyrazy szacunku i omówić jakąś ważną sprawę.

W innych okolicznościach Ralph wygoniłby go z» wtrącanie się do rozmowy, lecz teraz był wdzięczny.

- Obejrzyj sobie pokoje, matko - powiedział. - Ja porozmawiam z tym wieśniakiem.

William i Philippa poszli z jego rodzicami obejrzeć pokoje, a Daniel przyprowadził Perkina. Ten był służalczy jak zawsze.

- Jestem szczęśliwy, widząc, że wasza lordowska mość wrócił zdrow i cały z wojny we Francji - zaczął.

Ralph spojrzał na swoją lewą dłoń, której brakowało trzech palców.

- No, prawie cały - mruknął.

- Wszyscy mieszkańcy Wigleigh współczują waszej lordowskiej mości z powodu tych ran, ale jakże sowiec wynagrodzonych! Tytuł szlachecki i trzy wioski oraz lady Matilda za żonę!

- Dziękuję za gratulacje, ale jaką to ważną sprawę chciałeś omówić?

- Panie, powiem krótko: Alfred Shorthouse zmarł bez dziedzica, któremu zostawiłby swoje dziesięć akrów i zaproponowałem, że przejmę tę ziemię, chociaż czasy są bardzo ciężkie po tegorocznych sierpniowych burzach...

- Nie opowiadaj mi o pogodzie.

- Oczywiście. Krótko mówiąc, Nathan Reeve podjął decyzję, której ty, jak sądzę, byś nie zaaprobował.

Ralph zaczął się niecierpliwić. Nie obchodziło go, który z wieśniaków obrabia dziesięć akrów Alfreda.

- Cokolwiek postanowił Nathan...

- Dał tę ziemię Wulfricowi.

- Ach...

- Niektórzy wieśniacy uważają, że Wulfric na to zasługuje, ponieważ nie ma ziemi, ale nie może uiścić opłaty wstępnej, a poza tym...

- Nie musisz mnie przekonywać - przerwał mu Ralph. - Nie pozwolę, by ten awanturnik dzierżawił ziemię w moich włościach.

- Dziękuję ci, panie. Czy mogę powiedzieć Nathanowi Reeve, że chcesz, żebym to ja dostał te dziesięć akrów?

- Tak - odparł Ralph. Zobaczył, że hrabia i jego małżonka wracają, a za nimi idą jego rodzice.

- W ciągu następnych dwóch tygodni potwierdzę to osobiście.

Machnięciem ręki odprowadził Perkinsa.

W tym momencie przybyła lady Matilda.

Weszła do sali w towarzystwie dwóch zakonnicy. Jedną była dawna ukochana Merthina, Caris, próbująca onegdaj przekonać króla, że Tilly jest za młoda na małżeństwo. Drugą zakonnica, która podróżowała do Crecy z Caris, kobieta o anielskiej twarzy i nieznanym mu imieniu. Za nimi, zapewne jako ich ochrona, szedł jednoręki mnich, który tak sprytnie pojmał Ralpa przed dziewięcioma laty, brat Thomas.

Między nimi szła Tilly. Ralph natychmiast zrozumiał, dlaczego zakonnice chciały uchronić ją przed małżeństwem. Na jej twarzy malował się wyraz dziecięcej niewinności. Miała piegi na nosie i szczerbę między górnymi zębami. Rozglądała się wystraszona. Caris podkreśliła jej dziecinny wygląd, ubierając ją w biały habit zakonnicy i czepek, lecz ten strój nie zdołał ukryć kobiecych kształtów. Caris najwyraźniej chciała, by Tilly wyglądała na zbyt młodą na małżeństwo. Odniosło to wprost przeciwny skutek.

Jedną z rzeczy, których Ralph nauczył się na służbie u króla, było to, że człowiek często może przejąć kontrolę nad wydarzeniami, po prostu zabierając głos jako pierwszy.

- Podejź tu, Tilly - powiedział.

Dziewczyna podeszła do niego. Eskortujący ją zawahali się, ale nie ruszyli się z miejsca.

- Jestem twoim mężem - powiedział do niej Ralph. - Nazywam się sir Ralph Fitzgerald, pan Tench.

Tilly wyglądała na przerażoną.

- Jestem szczęśliwa, że cię widzę, panie.

- Teraz to twój dom, tak jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem, a twój ojciec był tutaj panem. Znów jesteś lady Tench, jak niegdyś twoja matka. Czy jesteś szczęśliwa, że wróciłaś do rodzinnego domu?

- Tak, panie.

Wcale nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Jestem pewien, że zakonnice powiedziały ci, iż musisz być posłuszną żoną i robić wszystko, by zadowolić swego męża, który jest twoim panem i władcą.

- Tak, panie.

- A to moja matka i mój ojciec, którzy teraz są także twoimi rodzicami. Dziewczynka dygnęła przed Geraldem i Maud.

- Podejź tu - rzekł Ralph i wyciągnął rękę.

Tilly odruchowo wyciągnęła swoje i wtedy zobaczyła jego okaleczoną lewą dłoń. Skrzywiła się i wzdrygnęła z obrzydzenia.

Ralph przełknął gniewne przekleństwo cisnące mu się na usta. Z trudem zdobył się na swobodny ton.

- Nie bój się mojej okaleczonej ręki. Powinnaś być z niej dumna. Straciłem te palce, służąc królowi.

Wyczekując trzymał wyciągnięte rękę. Z trudem ujęła jego dłonie.

- Teraz możesz mnie pocałować, Tilly.

Siedział, a ona stała przed nim. Pochyliła się, nadstawiając policzek. Położył okaleczoną dłoń na jej głowie, obrócił jej twarz do swojej i pocałował w usta. Wyczuł jej niepewność i odgadł, że nigdy nie całował jej mężczyzna. Przedłużył pocałunek, trochę dlatego, że był taki słodki, a częściowo po to, by rozzłościć patrzących. Potem powoli i z rozmysłem przycisnął zdrową dłoń do jej piersi i pomacał. Były pełne i okrągłe. Nie była dzieckiem.

Puścił ją i odetchnął z satysfakcją.

- Musimy szybko wziąć ślub - powiedział. Zwrócił się do Caris, która z trudem

powstrzymała gniewne słowa. - W katedrze w Kingsbridge, za cztery tygodnie, licząc od niedzieli.
- Spojrzał na Philippe, ale powiedział do Williama: - Jako że pobierzemy się z woli Jego Wysokości króla Edwarda, byłbym zaszczycony, gdybyś wziął udział - w tej ceremonii, hrabio Williamie.

William skinął głową.

- Sir Ralphie - odezwała się Caris - przeor Kingsbridge śle ci pozdrowienia i mówi, że będzie zaszczycony, odprawiając tę ceremonię, oczywiście jeśli nie zechce tego uczynić nowy biskup.

Ralph łaskawie skinął głową.

- Jednak ci z nas, którzy opiekowali się tym dzieckiem, nadal uważają, że jest jeszcze za młoda, by połączyć się węzłem małżeńskim.

- Popieram - powiedziała Philippa.

- Wiesz synu, że czekałem kilka lat, żeby poślubić twoją matkę - odezwał się ojciec
Ralph.

Ralph nie chciał znów wysłuchiwać tej opowieści.

- W przeciwieństwie do ciebie, ojczu, mnie król rozkazał ożenić się z lady Matildą.

- Może powinieneś poczekać, synu - dodała matka.

- Czekałem ponad rok! Miała dwanaście lat, kiedy król mi ją oddał.

- Ożeń się z nią - powiedziała Caris - z całym należnym ceremoniałem, ale potem pozwól jej wrócić jeszcze na rok do klasztoru. Niech stanie się dojrzałą kobietą, wtedy weź ją do swego domu.

Ralph prychnął wzgardliwie.

- Za rok mogę nie żyć, szczególnie jeśli król postanowi wrócić do Francji. A tymczasem Fitzgeraldowie potrzebują dziedzica.

- To przecież dziecko...

Ralph przerwał jej, podnosząc głos:

- Ona nie jest dzieckiem! Spójrz na nią! Ten głupi habit zakonnicy nie zdołał ukryć jej piersi.

- Tłuste szczenię nie...

- Czy ma włosy tam, gdzie ma je kobieta? - zapytał Ralph.

To bezceremonialne pytanie sprawiło, że Tilly jęknęła i poczerwieniała ze wstydu.

Caris zawahała się.

- Może moja matka powinna ją obejrzeć i mi powiedzieć. Caris pokręciła głową.

- To nie będzie konieczne. Tilly ma włosy tam, gdzie ma je kobieta, a nie ma ich dziecko.

- Wiedziałem. Widziałem u... - Ralph urwał, uświadomiwszy sobie, że nie chce, by wszyscy się dowiedzieli, w jakich okolicznościach widział nagie ciała dziewcząt w wieku Tilly. - Odgadłem,

widząc jej figurę - dokończył, unikając wzroku matki.

W głosie Caris pojawił się rzadki u niej błagalny ton.

- Ralphie, przecież umyślowo to jeszcze dziecko.

Nie obchodzi mnie jej umysł, pomyślał Ralph, ale nie powiedział tego.

- Ma cztery tygodnie, by nauczyć się tego, czego nie wie - rzekł. Posłał Caris znaczące spojrzenie. - Jestem pewien, że możesz nauczyć ją wszystkiego.

Caris zaczerwieniła się. Oczywiście zakonnice nie powinny nic wiedzieć o pozyciu małżeńskim, lecz ona była ukochaną jego brata.

- Może jakiś kompromis... - zaczęła jego matka.

- Nic nie rozumiesz, matko, prawda? - rzekł, przerywając jej niegrzecznie. - Nikogo tak naprawdę nie obchodzi jej wiek. Gdybym miał poślubić córkę rzeźnika z Kingsbridge, nie przejmowałoby się, nawet gdyby miała dziewięć lat. To dlatego, że Tilly jest szlachetnie urodzona, nie pojmujesz? Uważają się za lepszych od nas! - Wiedział, że krzyczy, i widział zdumione miny wszystkich, ale nie dbał o to. - Nie chcą, by kuzynka hrabiego Shiring wyszła za syna zubożalego rycerza. Chcą odwlec małżeństwo w nadziei, że zginę w bitwie, zanim zostanie skonsumowane. - Otarł usta. - Jednak ten syn zubożalego rycerza walczył w bitwie pod Crecy i uratował życie księciu Walii. Oto, co się liczy dla króla. - Powiódł wzrokiem po zebranych: wyniosłym Williamie, wzdurzonej Philippie, wściekłej Caris i zdumionych rodzicach. - Tak więc lepiej się z tym pogódźcie. Ralph Fitzgerald jest rycerzem i lordem, i towarzyszem broni króla. I zamierza poślubić lady Matildę, kuzynkę hrabiego, czy wam się to podoba, czy nie!

Na długą chwilę zapadła cisza.

W końcu Ralph zwrócił się do Daniela:

- Teraz możesz podać obiad.

53

Była wiosna 1348 roku, gdy Merthin zbudził się z koszmarne snu, którego nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Był przestraszony i słaby. Otworzył oczy i ujrzał smugi jasnego słonecznego światła wpadające przez uchylone okiennice. Zobaczył wysoki sufit, białe ściany i czerwone kafelki. Powietrze było ciepłe. Powoli wrócił do rzeczywistości. Był w swojej sypialni, w swoim domu we Florencji. Chorował.

Choroba zaczęła się od wysypki, purpurowoczarnych plam na piersi, potem na ramionach i na całym ciele. Wkrótce pod pachą utworzył mu się bolesny wrzód czy też czyrak. Miał gorączkę i oblewał się potem, a rzucając się, rozkopywał pościel. Wymiotował i pluł krwią. Myślał, że umrze. Najgorsze było straszliwe pragnienie, pod wpływem którego pragnął rzucić się do rzeki Arno z

szeroko otwartymi ustami.

Nie był jedynym cierpiącym. Tysiące, a potem dziesiątki tysięcy Włochów zachorowało na zarazę. Połowa robotników z jego budowy znikła, tak samo jak większość jego służby. Niemal każdy, kto zachorował, umierał w ciągu pięciu dni. Nazywali to la moria grandę - wielka śmierć.

On jednak żył.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że będąc chorym, podjął jakąś niezwykle doniosłą decyzję, ale nie mógł jej sobie przypomnieć. Skupił się. Im usilniej się zastanawiał, tym bardziej ulotne stawało się to wspomnienie, aż znikło zupełnie.

Usiadł na łóżku. Był słaby i przez chwilę kręciło mu się w głowie. Miał na sobie czystą lnianą koszulę i zastanawiał się, kto mu ją włożył. Po chwili wstał.

Był posiadaczem trzypiętrowego domu z-dziedzińcem. Sam go zaprojektował i zbudował, z płaską fasadą zamiast tradycyjnych przewieszonych pięter, z takimi architektonicznymi detalami jak okrągłe łuki okien i klasyczne kolumny. Sąsiedzi nazwali to pałagetto, pałacyk. To było siedem lat temu. Kilku zasobnych florenckich kupców poprosiło go, żeby wybudował takie pałacyki dla nich i tak zaczęła się jego kariera.

Florencja była republiką, bez rządzącego księcia czy diuka, zdominowaną przez elitę zwaśnionych kupieckich rodzin. W mieście mieszkali tysiące tkaczy, lecz to handlarze zbijali fortuny. Wydawali pieniądze na budowę wspaniałych domów, co sprawiało, że miasto było idealnym miejscem dla utalentowanego młodego architekta.

Podszedł do drzwi sypialni i zawołał żonę.

- Silvio! Gdzie jesteś?

Teraz, po dziewięciu latach, zupełnie swobodnie posługiwał się dialektem tokańskim.

Nagle sobie przypomniał: Silvia też była chora. Tak jak ich trzyletnia córka. Miała na imię Laura, ale przyjęli jej dziecinną wersję tego imienia - Lolla. Strach ścisnął mu serce. Czy Silvia żyje? A Lolla?

W domu było cicho. Nagle uświadomił sobie, że w mieście też. Kąt, pod jakim promienie słońca wpadały do komnat, świadczył o tym, że jest późny ranek. Powinien słyszeć nawoływania ulicznych handlarzy, stuk końskich kopyt i turkot drewnianych wozów, a w tle gwar tysięcy rozmów - tymczasem nie słyszał niczego.

Wszedł po schodach na górę. Był tak słaby, że się zasapał. Pchnął drzwi dziecinnego pokoju. Wyglądał na pusty. Merthin zaczął się pocić ze strachu. Patrzył na łóżeczko Lolli, komódkę z jej ubrankami, pudło zabawek, miniaturowy stolik z dwoma krzeselkami. Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Lolla siedziała na podłodze w kącie: ubrana w czystą sukienkę, bawiła się drewnianym konikiem z

ruchomymi nogami. Merthin wydał zduszony okrzyk ulgi. Usłyszała go i podniosła głowę.

- Tatus - zauważyła rzeczowo. Merthin podniósł ją i przytulił.

- Żyjesz - powiedział po angielsku.

Usłyszał szmer w sąsiednim pokoju i weszła Maria. Ta siwowłosa kobieta po pięćdziesiątce była nianią Lolli.

- Panie! - wykrzyknęła. - Wstałeś! Lepiej się czujesz?

- Gdzie twoja pani? - zapytał. Maria spoważniała.

- Tak mi przykro, panie. Pani umarła.

- Mama odeszła - dodała Lolla.

Merthin był wstrząśnięty. Oddał Lollę Marii i poruszając się powoli i ostrożnie, odwrócił się i wyszedł z komnaty, po czym zszedł na piano nobile, główne piętro. Spojrzał na długi stół, puste krzesła, dywany na podłodze i obrazy na ścianach. Miał wrażenie, że dom należy do kogoś innego.

Przystanął przed obrazem Marii Panny z matką. Włoscy malarze przewyższali angielskich i wszystkich innych, a ten artysta obdarzył świętą Annę twarzą Silvii. Była dumną piękną o nieskazitelnej cerze i szlachetnych rysach, lecz malarz dostrzegł namiętność płonąca w jej chłodnych piwnych oczach.

Trudno było zrozumieć, że Silvii już nie ma. Pomyślał o jej smukłym ciele i przypomniał sobie, jak zawsze zadziwiały go jej idealne piersi. To ciało, które znał tak dobrze, teraz leżało gdzieś w ziemi. Kiedy to sobie wyobraził, łzy napłynęły mu do oczu i zaczął szlochać.

Gdzie jest jej grób? - zastanawiał się przygnębiony. Pamiętał, że we Florencji zaniechano pogrzebów, bo ludzie byli zbyt przerażeni, by wychodzić z domów. Po prostu wynosili zwłoki na zewnątrz i zostawiali je na ulicy. Złodzieje, żebracy i pijacy zdobyli nowy zawód: byli nazywani nosicielami zwłok lub becchini, i żądali horrendalnych sum za zabieranie ciał i grzebanie ich w zbiorowych mogiłach. Merthin może nigdy się nie dowie, gdzie leży Silvia.

Byli małżeństwem przez cztery lata. Patrząc na jej portret w tradycyjnej czerwonej sukni świętej Anny, Merthin w przypiływie bolesnej szczerości zadał sobie pytanie, czy naprawdę ją kochał. Bardzo ją lubił, ale nie była to spalająca namiętność. Miała niezależną naturę i ostry język, i pomimo bogactwa jej ojca, Merthin był jedynym mężczyzną we Florencji na tyle odważnym, by ją poślubić. Odwzajemniła mu się całkowitym oddaniem, jednak doskonale zdawała sobie sprawę z jakości jego uczucia. „O czym myślisz?”, pytała czasem, budząc w nim poczucie winy, gdyż wspominał Kingsbridge. Potem zmieniła pytanie na: „O kim myślisz?”. Nigdy nie wymówił imienia Caris, lecz Silvia mówiła: „Na pewno o jakiejś kobiecie, poznaję to po twojej minie”. W końcu zaczęła ją nazywać Jego angielską dziewczyną”. Mówiła: „Ważnie wspominałeś swoją angielską dziewczynę” -

i zawsze miała rację. Jednak zdawała się to akceptować. Merthin był jej wierny. I uwielbiał Lollę.

Po pewnym czasie Maria przyniosła mu zupę i chleb.

- Jaki dziś dzień? - zapytał.

- Wtorek.

- Jak długo leżałem w łóżku?

- Dwa tygodnie. Byłeś bardzo chory, panie.

Zastanawiał się, dlaczego przeżył. Niektórzy ludzie wcale nie zapadli na tę chorobę, jakby coś ich chroniło, lecz ci, których powaliła, niemal zawsze umierali. Jednak nieliczni, którzy wyzdrowieli, byli podwójnymi szczęśliwcami, gdyż nikt nigdy nie chorował na tę chorobę po raz drugi.

Kiedy zjadł, poczuł się silniejszy. Uświadomił sobie, że musi odbudować swoje życie. Podejrzał, że podjął tę decyzję już wcześniej, kiedy leżał chory, lecz ponownie nie udało mu się uchwycić tego ulotnego wspomnienia.

Przede wszystkim powinien sprawdzić, kto z jego rodziny ocalał.

Zaniósł naczynia do kuchni, gdzie Maria karmiła Lollę chlebem maczanym w kozim mleku.

- Co z rodzicami Silvii? - zapytał. - Żyją?

- Nie wiem. Nie miałam o nich żadnych wieści. Wychodzę tylko kupić coś do jedzenia.

- Powiniennem to sprawdzić.

Ubrał się i zszedł na dół. Na parterze domu mieścił się warsztat, a podwórze na tyłach służyło za magazyn drewna i kamienia. Nikt nie pracował ani w środku, ani na zewnątrz.

Wyszedł z domu. Budynki wokół były w większości z kamienia, niektóre wspinały, w Kingsbridge nie było domów, które mogłyby się z nimi równać. Najbogatszy człowiek w Kingsbridge, Edmund Wooler, mieszkał w drewnianym domku. Tu, we Florencji, tylko biedota w takich mieszkała.

Ulica była wyludniona. Nigdy nie widział jej tak pustej, nawet w środku nocy. Robiło to niesamowite wrażenie. Merthin zastanawiał się, ilu mieszkańców umarło: jedna trzecia? połowa? Czy ich duchy wciąż blakają się w zaułkach i ciemnych kątach, zazdrośnie obserwując szczęśliwych ocalałych?

Dom Christich stał przy sąsiedniej ulicy. Teść Merthina, Alessandro Christi, był jego pierwszym i najlepszym przyjacielem we Florencji. Szkolny kolega Buonaventury Carolego, Alessandro, dał Merthinowi pierwsze zlecenie - budowę zwykłego składu. Oczywiście był dziadkiem Lolli.

Drzwi pałacyku Alessandra były zamknięte, co samo w sobie było niezwykle. Merthin załomotał w nie pięścią i czekał. W końcu otworzyła mu Elizabetta, mała, pulchna praczka

Alessandra. Popatrzyła na niego zdumiona.

- Pan żyje! - wykrzyknęła.

- Witaj, Berto. Rad jestem, że ty też żyjesz. Odwróciła się i zawołała w głąb domu:

- To angielski lord!

Tłumaczył im, że nie jest lordem, ale słudzy mu nie uwierzyli. Wszedł do środka.

- Alessandro? - zapytał. Pokręciła głową i zaczęła płakać.

- A twoja pani?

- Oboje umarli.

Schody prowadziły od głównego wejścia na piętro. Merthin wchodził po nich powoli, zaskoczony tym, jak jest osłabiony. W głównej komnacie usiadł, by złapać oddech. Alessandro był bogaty i komnata pełna była dywanów i gobelinów, obrazów, inkrustowanych ozdób i ksiąg.

- Kto jeszcze tu jest? - zapytał Elizabetę.

- Tylko Lena i jej dzieci.

Lena była Azjatką i niewolnicą, co było niezwykle, lecz nierzadkie w bogatych florenckich domach. Miała z Alessandrem dwoje małych dzieci, chłopca i dziewczynkę, a on traktował je jak swoje prawowite latorośle. W rzeczy samej, Silvia zauważyła kiedyś kwaśno, że zajmuje się nimi lepiej niż kiedykolwiek nią i jej bratem. Wyrafinowani Florentyńczycy uważali jego zachowanie za bardziej ekscentryczne niż skandaliczne.

- A co z signorem Giannim? - zapytał Merthin. Gianni był bratem Silvii.

- Nie żyje. Jego żona też. Dziecko jest u mnie.

- Dobry Boże...

- A twoja rodzina, panie? - ostrożnie zapytała Berta.

- Moja żona zmarła.

- Tak mi przykro.

- Jednak Lolla przeżyła.

- Bogu dzięki!

- Zajmuje się nią Maria.

- Maria to dobra kobieta. Napijesz się czegoś, panie? Merthin skinął głową i Berta wyszła.

Dzieci Leny przyszły, żeby na niego popatrzeć: ciemnooki siedmiolatek podobny do Alessandra i śliczna czteroletnia dziewczynka o azjatyckich oczach matki. Potem weszła Lena, piękna kobieta w wieku dwudziestu paru lat o złocistej skórze i wysokich kościach policzkowych. Przyniosła mu srebrny puchar ciemnoczerwonego tokańskiego wina oraz tacę z migdałami i oliwkami.

- Zamieszkaś tu, panie? - zapytała. Merthin zdziwił się.

- Nie sądzę... Dlaczego pytasz?

- Ten dom jest teraz twój. - Machnięciem ręki pokazała bogactwo Chris-tich. - Wszystko jest twoje.

Merthin uświadomił sobie, że ma rację. Jest jedynym żywym męskim krewnym Alessandra Christiego. To czyniło go spadkobiercą i opiekunem trojga tych dzieci, nie licząc Lolli.

- Wszystko - powtórzyła Lena, patrząc mu w oczy.

Merthin napotkał jej bezpośrednie spojrzenie i pojął, że proponowała mu siebie.

Rozważył tę możliwość. Ten piękny dom był znajomym miejscem dla Lolli, a nawet dla malca Gianniego, wszystkie dzieci byłyby tu szczęśliwe. Odziedziczył tyle pieniędzy, że wystarczy mu ich do końca życia. Lena to kobieta inteligentna i doświadczona, więc bez trudu mógł sobie wyobrazić przyjemność mieszkania z nią.

Czytała w jego myślach. Ujęła jego dłoń i przycisnęła do piersi. Były miękkie i ciepłe pod cienką wełnianą suknią.

Jednak nie tego chciał. Uniósł dłoń Leny i ucałował ją.

- Zatrąszczę się o ciebie i twoje dzieci - obiecał. - Nie martw się.

- Dziękuję ci, panie - powiedziała, ale wyglądała na rozczarowaną i coś w jej oczach powiedziało Merthinowi, że jej propozycja nie była jedynie pragmatyczna. Naprawdę miała nadzieję, że może być dla niej kimś więcej niż tylko nowym właścicielem. Jednak właśnie to było problemem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby kochać się z osobą będącą jego własnością. Ta myśl budziła w nim niesmak graniczący z odrazą.

Wypił wino i poczuł się silniejszy. Jeśli nie pociąga go łatwe życie pełne luksusu i zmysłowych przyjemności, to czego chce? Prawie nie ma rodziny - została mu tylko Lolla. Jednak wciąż ma swoją^A pracę. W różnych punktach miasta miał zaczynał budowy. Nie zamierzał porzucić pracy, którą kochał. Nie przeżył zarazy, żeby zostać obibokiem. Wspomnił swoją młodzieńczą chęć wybudowania najwyższego budynku w Anglii. Wznowi prace w miejscu, gdzie zostały przerwane. Otrząśnie się po stracie Silvii, rzucając się w wir pracy.

Wstał, by wyjść. Lena zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję za to, że obiecałeś zatrąszczyć się o moje dzieci.

Poklepał ją po plecach.

- To wnuki Alessandra. - We Florencji dzieci niewolników nie były niewolnikami. - Kiedy dorosną, będą bogate.

Delikatnie uwolnił się z jej objęć i zszedł po schodach.

We wszystkich domach drzwi i okiennice były pozamykane. Na schodach niektórych widział okryte całunami kształty - zapewne ciała. Na ulicach było trochę ludzi, ale głównie ubogich. Pustka budziła niepokój. Florencja była największym miastem chrześcijańskiego świata, gwarną handlową metropolią produkującą tysiące jardów cienkiej wełny dziennie, rynkiem, na którym obracano ogromnymi sumami pieniędzy, a jedynym zabezpieczeniem w tych transakcjach był list z Antwerpii lub słowna obietnica jakiegoś księcia. Spacer po cichych i pustych ulicach był niczym widok konia, który upadł i nie może wstać: ogromna siła nagle znikła jak dym. Nie spotkał żadnego ze swoich znajomych. Zakładał, że jego przyjaciele nie wychodzą z domów - ci, którzy jeszcze żyją.

Najpierw poszedł na pobliski plac w starej rzymskiej części miasta, gdzie na zlecenie magistratu budował fontannę. Wymyślił skomplikowany system odzyskiwania niemal całej wody w czasie długiego i suchego florenckiego lata.

Kiedy jednak dotarł do fontanny, natychmiast zobaczył, że nikt przy niej nie pracuje. Podziemne rury zostały ułożone i przysypane, zanim zachorował, położono także pierwszą warstwę kamieni pionowego obrzeża fontanny. Jednak zakurzone i porzucone w nieładzie kamienie świadczyły o tym, że zaprzestano tu pracy już wiele dni temu. Co gorsza, kupka zaprawy murarskiej na drewnianej tacy zastygła w litą masę, z której uniósł się obłoczek kurzu, gdy ją kopnął. Zobaczył nawet kilka leżących na ziemi narzędzi. To cud, że nie zostały ukradzione.

Fontanna miała być oszałamiająca. W warsztacie Merthina najlepszy rzeźbiarz w mieście wykuwał główny posąg - a przynajmniej powinien to robić. Merthin był rozczarowany, że przerwano pracę. Z pewnością nie wszyscy robotnicy pomarli. Może czekają, aż Merthin wyzdrowieje?

To był najmniejszy z trzech jego projektów, chociaż bardzo prestiżowy. Merthin opuścił plac i ruszył na północ, by sprawdzić następną budowę. Martwił się. Nie spotkał jeszcze nikogo dostatecznie mądrego, by mógł udzielić mu wyczerpujących wyjaśnień. Co się stało z władzami miasta? Czy zaraza wygasa, czy się nasila? Co z resztą Włoch? Po kolei, powiedział sobie.

Budował dom dla Giulielma Carolego, starszego brata Buonaventury. Miał to być prawdziwy pałac, wysokie dwufasadowe domostwo, wzniesione wokół wielkich schodów, szerszych od niektórych ulic w mieście. Ściana parteru już stała. Fasada tuż nad ziemią była lekko pochylona, co miało wywołać wrażenie fortyfikacji, jednak wyżej znajdowały się eleganckie, łukowato zwieńczone, dzielone okna z rozetą. Ten wzór świadczył o tym, że mieszkańcy domu są wpływowi i wyrafinowani, a właśnie tego chciała rodzina Carolich.

Rusztowanie wzniesiono na wysokość pierwszego piętra, ale nikt na nim nie pracował. A powinno uwijać się tam pięciu kamieniarzy stawiających mur. Jedynym obecnym na budowie był mężczyzna w podeszłym wieku zatrudniony jako dozorca i mieszkający w drewnianej chacie na

tyłach. Merthin zastał go piekącego kurę na ognisku. Dureń rozpałił ogień na kosztownych marmurowych płytach.

- Gdzie wszyscy? - ostro zapytał Merthin. Dozorca zerwał się na równe nogi.

- Signor Caroli umarł, a jego syn Agostino nie płacił ludziom, więc odeszli, a przynajmniej ci, którzy jeszcze nie umarli.

To był cios. Rodzina Carolich była jedną z najbogatszych we Florencji. Jeśli oni uważają, że nie stać ich już na wybudowanie pałacu, to kryzys jest naprawdę poważny.

- Zatem Agostino żyje?

- Tak, panie, widziałem go dziś rano.

Merthin znał młodego Agostina. Nie był tak sprytny jak jego ojciec lub wuj Buonaventura, więc równoważył to ogromną ostrożnością i konserwatyzmem. Nie wznowi budowy pałacu, dopóki nie będzie pewien, że stan rodzinnych finansów poprawił się po stratach spowodowanych zarazą.

Jednak Merthin był pewien, że jego trzeci i największy projekt będzie kontynuowany. Wznosił kościół na zamówienie zakonu mnichów, bardzo popieranych przez florenckich kupców. Budowa znajdowała się na południe od rzeki, więc przeszedł po nowym moście.

Most został ukończony zaledwie przed dwoma laty. Merthin też nad nim pracował pod kierownictwem najwybitniejszego projektanta, malarza Taddea Gaddiego. Most musiał wytrzymać rwący rzeczny nurt podczas wiosennych roztopów i Merthin pomógł zaprojektować filary. Teraz, przechodząc po nim, z przygnębieniem zobaczył, że wszystkie sklepiki jubilerskie są zamknięte. Kolejny zły znak.

Kościół Anny dei Friari był dotychczas jego najambitniejszym projektem. Duży kościół, a raczej katedra - gdyż bracia byli bogaci - ale nie tak duży jak katedra w Kingsbridge. We Włoszech stały już katedry, jedna z najokazalszych w Mediolanie, lecz nowocześnie myślącym Włochom nie podobała się architektura Francji i Anglii: olbrzymie okna i strzeliste wieżyczki uważali za cudzoziemskie fetysze. Obsesja na punkcie światła, mająca sens w mrocznych północno-zachodnich krajach Europy, wydawała się perwersją w słonecznej Italii, gdzie ludzie szukali cienia i chłodu. Włosi identyfikowali się z klasyczną architekturą starożytnego Rzymu, której pozostałości napotykali na każdym kroku. Lubili dachy ze szczytami i owalne łuki, nie chcieli bogatych rzeźbień w środku, lecz dekoracyjne wzory z różnokolorowych kamieni i marmuru.

Jednak Merthin swoim nowym kościołem zamierzał zaskoczyć nawet Floren- tyńczyków. Zaplanował go jako szereg prostopadłościanów nakrytych kopułami - pięcioma w rzędzie i dwoma po bokach. Słyszał o kopułach jeszcze w Anglii, lecz nie widział żadnej, dopóki nie ujrzał katedry w Sienie. We Florencji takiej nie było. Przezrocze miało być rzędem okrągłych okien lub rozet. Zamiast

smukłych kolumn, tęsknie strzelających ku niebiosom, ten kościół miał mieć kręgi stanowiące zamkniętą całość, nawiązujące do mocno stąpającej po ziemi samowystarczalności cechującej kupiecką Florencję.

Był rozczarowany, lecz niezaskoczony, ujrawszy, że i tu nie ma kamieniarzy na rusztowaniach, robotników przenoszących głazy ani kobiet mieszających drewnianymi łopatami zaprawę. Na tym placu budowy było równie pusto jak na dwóch poprzednich. Jednak w tym przypadku miał pewność, że budowa nie zostanie przerwana. Zakon żyje własnym życiem, niezależnym od losu jednostek. Obszedł plac budowy i wszedł do klasztoru.

Tu też było cicho. Oczywiście w monasterach tak powinno być, lecz tak głęboka cisza zaniepokoiła go. Minął przedsionek i wszedł do poczekalni. Zwykle dyżurował tam jakiś mnich studiujący Pismo Święte w przerwach między przyjmowaniem gości, lecz dziś i tu nie było nikogo. W coraz bardziej ponurym nastroju Merthin przeszedł przez następne drzwi i znalazł się w klauzurze. Wewnętrzny dziedziniec był pusty.

- Hej! - zawołał Merthin. - Jest tu kto?

Jego głos odbił się echem w kamiennych arkadach.

Zaczął poszukiwania. Wszyscy mnisi zniknęli. W kuchni znalazł trzech mężczyzn jedzących szynkę i pijących wino. Nosili drogie stroje kupców, lecz mieli tłuste włosy, nieprzyszyzione brody i brudne ręce: byli to nędzarze odziani z ubrania zmarłych. Kiedy wszedł, spojrzeli na niego z przestachem, lecz wyzywająco.

- Gdzie świątobliwi braciszkanie? - zapytał.

- Wszyscy umarli - odparł jeden.

- Wszyscy?

- Wszyscy. Widzisz, opiekowali się chorymi i też zachorowali. Merthin widział, że mężczyzna jest pijany. Jednak zdawał się mówić prawdę.

W przeciwnym razie ci trzej nie czuliby się tak swobodnie w tym klasztorze, zjadając zapasy mnichów i pijąc ich wino. Najwyraźniej wiedzieli, że nikt im tego nie zabroni.

Merthin wrócił na plac budowy nowego kościoła. Ściany chóru i transeptów już stały i widać było rozety przezrocza. Usiadł w środkowej nawie, wśród stosów kamieni, patrząc na swoje dzieło. Na jak długo zostanie wstrzymany ten projekt? Jeśli wszyscy mnisi umarli, kto dostanie ich pieniądze? O ile wiedział, nie był to liczny zakon. Biskup może rościć sobie prawo do spadku, papież także. Mogą minąć lata, zanim ten prawny galimatias zostanie uporządkowany.

Tego ranka postanowił rzucić się w wir pracy, aby dojść do siebie po śmierci Silvii. Teraz było jasne, że - przynajmniej na razie - pracy nie ma. Od kiedy przed dziesięcioma laty zaczął

naprawiać dach kościoła Świętego Marka w Kings-bridge, przez cały czas pracował co najmniej nad jednym budynkiem. Bez pracy czuł się zagubiony. Wpadał w panikę.

Ocknął się i skonstatował, że całe jego życie legło w gruzach. Fakt, że nagle stał się bardzo bogaty, jedynie pogłębiał wrażenie koszmarnego snu. Lolla była jedynym fragmentem tego życia, jaki mu pozostał.

Nie wiedział, co robić. W końcu pójdzie do domu, oczywiście, ale nie może przez cały dzień bawić się z trzyletnią dziewczynką i rozmawiać z Marią. Tak więc nie ruszał się z miejsca, siedząc na rzeźbionym kamiennym kręgu, który miał być częścią kolumny, spoglądając na to, co miało być nawą.

Gdy słońce powoli chyliło się ku zachodowi, zaczął wspominać swoją chorobę. Był pewien, że umrze. Przeżywało tak niewiele, że nie spodziewał się znaleźć wśród nielicznych ocalałych szczęśliwców. Kiedy był przytomny, spoglądał na swoje życie tak, jakby już się skończyło. I wiedział, że doszedł do jakiegoś ważnego wniosku, lecz kiedy wydobrał, nie pamiętał, do jakiego. Teraz, w ciszy niedokończonego kościoła, przypomniał go sobie. Popelnił w życiu jeden wielki błąd. Jaki? Pokłócił się z Elfrikiem, położył się z Griseldą, odrzucił propozycję Elizabeth Clerk... Wszystkie te decyzje przyniosły kłopoty, lecz żadna z nich nie była największą pomyłką w jego życiu.

Leżąc w łóżku, pocąc się i kaszląc, dręczony przez pragnienie, niemal życzył sobie umrzeć - ale nie całkiem. Coś trzymało go przy życiu i teraz przypomniał sobie co.

Chciał znów zobaczyć Caris.

To był powód, dla którego żył. W malinie widział jej twarz i płakał z żalu, że może tu skonać, tysiące mil od niej. Największą pomyłką w jego życiu było to, że ją opuścił.

Gdy wreszcie uchwycił to ulotne wspomnienie i pojął porażającą prawdę, poczuł się dziwnie szczęśliwy.

Przecież to nie ma sensu, myślał. Ona wstąpiła do klasztoru. Nie chciała go widzieć i wytłumaczyć się ze swojego postępowania. Jednak jego dusza nie kierowała się rozsądkiem i mówiła mu, że powinien być tam, gdzie Caris.

Zastanawiał się, co robi teraz, gdy on siedzi w niedokończonym kościele w mieście wyludnionym przez zarazę. Według ostatnich wieści, jakie o niej miał, została wyświęcona przez biskupa. To była nieodwracalna decyzja, a przynajmniej tak mówiono, gdyż Caris nigdy nie przyjmowała bezkrytycznie reguł, które inni uważali za niepodważalne. Z drugiej strony, jeśli już podjęła decyzję, zwykle w żaden sposób nie dawała się nakłonić do zmiany zdania. Niewątpliwie była teraz bardzo przywiązana do swego nowego życia.

To niczego nie zmieniało. Chciał znów ją zobaczyć. Jeśli tego nie zrobi, popełni drugi największy błąd w swoim życiu.

Teraz był wolny. Wszystkie więzy łączące go z Florencją zostały zerwane. Jego żona umarła i wszyscy jej krewni także, oprócz trojga dzieci. Jediną jego rodziną była teraz Lolla, a ją zabierze ze sobą. Iyła taka mała, że ledwie zauważy, że opuścili miasto.

Powiedział sobie, że to bardzo poważna decyzja. Najpierw będzie musiał wykonać testament Alessandra i zatroszczyć się o jego dzieci. Agostino Caroli mu w tym pomoże. Potem trzeba będzie spieniężyć cały majątek i załatwić przesyłkę pieniędzy do Anglii. Rodzina Carolich może zrobić i to, jeśli zaraza nie pozrywała ich międzynarodowych kontaktów. A w dodatku będzie musiał wyruszyć w tysięczną podróż przez Europę, z Florencji do Kingsbridge. I wszystko to, nie mając pojęcia, jak przyjmie go Caris, gdy on w końcu przybędzie.

Była to decyzja, która najwidoczniej wymagała długiego i głębokiego namysłu.

Podjął ją po krótkiej chwili.

Wróci do domu.

54

Merthin opuścił Włochy w towarzystwie tuzina kupców z Florencji i San Lukki. Wsiedli na statek płynący z Genui do starego francuskiego portu - Marsylii. Stamtąd lądem udali się do Awinionu, od czterdziestu czy więcej lat będącego siedzibą papieża i najwytworniejszego dworu w Europie - a także najmniejszym miastem, jakie widział Merthin. Tam dołączyli do dużej grupy duchownych i pielgrzymów wracających na północ.

Wszyscy podróżowali grupami, im większymi, tym lepiej. Kupcy przewozili pieniądze oraz kosztowne towary i mieli zbrojnych mających chronić ich przed bandytami. Byli zadowoleni z towarzystwa: księża szaty i kostury pielgrzymów mogły zniechęcić rabusiów, a nawet zwyczajni podróżni, tacy jak Merthin, powiększali liczebność grupy.

Merthin powierzył większość swojej fortuny rodzinie Carolich we Florencji. Ich krewni w Anglii oddadzą mu gotówkę. Caroli przez cały czas przeprowadzali takie transakcje i przed dziewięcioma laty on sam skorzystał z ich usług, aby przekazać znacznie mniejszą sumę z Kingsbridge do Florencji. Mimo to wiedział, że ten sposób nie jest niezawodny - takie rodziny czasem bankrutowały, szczególnie jeśli zaczynały pożyczać pieniądze ludziom niegodnym zaufania, takim jak królowie i książęta. Właśnie dlatego zaszył w koszuli dużą sumę w złotych florenach.

Lolli podobała się podróż. Jako jedyne dziecko w karawanie była otoczona czułą opieką. Podczas długich dni jazdy siedziała w siodle przed Merthinem, bezpiecznie wtulona w jego ramiona, gdy trzymał wodze. Śpiewał jej piosenki, recytował wiersze, opowiadał historyjki i mówił o rzeczach, które widzieli - drzewach, młynach, mostach, kościołach. Zapewne połowy z tego nie rozumiała, lecz z przyjemnością słuchała jego głosu.

Merthin jeszcze nigdy nie spędzał tyle czasu ze swoją córką. Byli razem przez całą dobę, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Miał nadzieję, że ta bliskość przynajmniej częściowo pomoże jej pogodzić się z utratą matki. Z pewnością pomagała jemu, gdyż bez Lolli byłby bardzo samotny. Już nie mówiła o mamie, lecz od czasu do czasu obejmowała rękami jego szyję i przytulała się rozpaczliwie, jakby bała się go puścić.

Poczuł ukłucie żalu dopiero wtedy, gdy stanęli przed wielką katedrą w Chartres, sześćdziesiąt mil od Paryża. Na zachodnim końcu miała dwie wieże. Północna była niedokończona, lecz południowa miała trzysta pięćdziesiąt stóp wysokości. Przypomniało mu się, że kiedyś pragnął projektować takie budowle. W Kingsbridge raczej nie spełni tego marzenia.

Na dwa tygodnie zatrzymał się w Paryżu. Tu zaraza nie dotarła i z ulgą spoglądał na normalne życie wielkiego miasta, na kupujących, sprzedających i spacerujących ludzi, a nie na puste ulice i zwłoki na gankach. Poprawił mu się nastrój i dopiero wtedy pojął, jak bardzo był przygnębiony okropnościami, jakie widział we Florencji. Oglądał paryskie katedry i pałace, szkicując szczegóły, które go zainteresowały. Miał notatnik z kartami zrobionymi z papieru, nowego materiału piśmienniczego popularnego w Italii.

Opuściwszy Paryż, dołączył do szlacheckiej rodziny wracającej do Cherbourga. Słyszając mowę Lolli, ludzie ci wzięli Merthina za Włocha, a on nie sprostował pomyłki, gdyż Anglicy byli szczerze znienawidzeni w północnej Francji. Wraz z tą rodziną i jej świtą Merthin wolno przebył Normandię, z Lollą siedzącą przed nim w siodle i podążającym za nimi jucznym koniem, oglądając te kościoły i opactwa, które ocalały ze zniszczeń wyrządzonych przez najazd króla Edwarda przed dwoma laty.

Mógłby jechać szybciej, ale powiedział sobie, że stara się wykorzystać okazję, która może się już nie powtórzyć, i obejrzeć ogromną różnorodność stylów architektonicznych. Jednak kiedy był wobec siebie szczerzy, musiał przyznać, że obawia się tego, co zastanie po dotarciu do Kingsbridge.

Wracał do domu, do Caris, lecz ona nie będzie ta samą Caris, którą zostawił przed dziewięcioma laty. Może zmieniła się, fizycznie i umysłowo. Niektóre zakonnice strasznie tyły, gdyż jedzenie było jedyną przyjemnością w ich życiu. Bardziej prawdopodobne było to, że Caris stała się eterycznie chuda, głodując w pokutnej ekstazie. Może wpadła w religijną obsesję, modląc się po całych dniach i bicząc za urojone grzechy. Albo nie żyje.

To były jego najgorsze koszmary. W głębi serca wiedział, że nie roztyła się i nie stała się dewotką. A gdyby umarła, usłyszałyby o tym, tak jak słyszał o śmierci jej ojca, Edmunda. Będzie tą samą Caris, drobną i schludną, bystrą, zorganizowaną i zdecydowaną. Jednak poważnie niepokoiło go to, jak go powita. Co czuła do niego przez tych dziewięć lat? Czy myślała o nim obojętnie, jako o

przeszłości zbyt odległej, by się nią przejmować, tak jak on - na przykład - o Griseldzie? Czy też wciąż za nim tęskniła, gdzieś w głębi duszy? Nie miał pojęcia, i to był prawdziwy powód jego niepokoju.

Popłynęli do Portsmouth, skąd podróżowali z grupą kupców. Odłączyli się przy skrzyżowaniu w Mudfordzie. Kupcy podążyli do Shiring, a Merthin i Lolla pokonali konno płytką rzekę i pojechali traktem do Kingsbridge. Co za szkoda, pomyślał Merthin, że nie ma żadnego drogowskazu do Kingsbridge. Zastanawiał się, ilu kupców jechało dalej do Shiring tylko dlatego, że nie zdawali sobie sprawy z tego, że do Kingsbridge jest bliżej.

Był ciepły letni dzień i słońce świeciło jasno, gdy miasto znalazło się w zasięgu ich wzroku. Najpierw ujrzeli wieżę katedry widoczną nad drzewami. Przynajmniej nie runęła, pomyślała Merthin. Naprawy Elfrica wytrzymały jedenaście lat. Szkoda, że tej wieży nie widać ze skrzyżowania w Mudfordzie - jakże zwiększyłaby się liczba gości odwiedzających miasto.

W miarę jak się zbliżali, zaczął odczuwać dziwną mieszaninę podniecenia i strachu, od której zrobiło mu się niedobrze. Przez chwilę bał się, że będzie musiał zsiąść z konia i zwymiotować. Starał się uspokoić. Co się może stać? Nawet jeśli Caris potraktuje go obojętnie, on od tego nie umrze.

Zobaczył kilka pierwszych budynków Nowego Miasta.

Ten wspaniały nowy dom, który zbudował Dickowi Brewerowi, już nie stał na skraju Kingsbridge, gdyż miasto go wchłonęło.

Merthin na chwilę zapomniał o niepokoju, gdy ujrzął swój most. Wznosił się eleganckim łukiem z brzegu rzeki, aby wdzięcznie opaść na wyspę na jej środku. Na drugim końcu wyspy most znów wznosił się nad drugim kanałem. Jego białe kamienie lśniły w słońcu. Ludzie i wozy przejeżdżali po nim w obie strony. Na ten widok w sercu Merthina wezbrała duma. Most był taki, jakim miał nadzieję go zastać: piękny, użyteczny i mocny. Ja go zrobiłem, pomyślał, i jest dobry.

Kiedy jednak podjechał bliżej, doznał wstrząsu. Kamienie pierwszego łuku były uszkodzone przy głównym filarze. Widział pęknięcia spięte żelaznymi klamrami w niezdatny sposób, noszący piętno Elfrica. Był przerażony. Z ówieków mocujących brzydkie klamry do kamieni spływały brązowe zacieki rdzy. Na ten widok cofnął się myślami o jedenaście lat, do naprawianego przez Elfrica starego drewnianego mostu. Każdy może się pomylić, pomyślał, lecz ludzie, którzy nie uczą się na własnych błędach, popełniają je znowu.

- Przekłęci głupcy - powiedział na głos.

- Przekłęci głupcy - powtórzyła Lolla. Uczyla się angielskiego.

Wjechał na most. Z zadowoleniem zobaczył, że nawierzchnia została wykończona jak należy i ucieszył go wzór balustrady, solidnej, z rzeźbionych kamieni, przypominającej płaskorzeźby katedry.

Na Wyspie Trędownych wciąż roilo się od królików. Merthin nadal miał ją w dzierzawie. Pod jego nieobecność Mark Webber zbierał opłaty od użytkowników, co roku uiszczając czynsz opactwu, zabierając sobie umówioną kwotę, a resztę odsyłając Merthinowi do Florencji za pośrednictwem rodziny Carolich. Po tych wszystkich opłatach pozostawała niewielka suma, lecz z roku na rok większa.

Dom Merthina na wyspie wyglądał na zamieszkały: okiennice były otwarte, ganek zamieciony. Pozwolił w nim zamieszkać Jimmiemu. Chłopiec pewnie jest już mężczyzną, pomyślał.

Na początku następnego przęsła siedział na słońcu jakiś nieznajomy Merthinowi staruszek i pobierał myto. Merthin zapłacił mu pensa. Mężczyzna obrzucił go baczny spojrzeniem, jakby usiłował sobie przypomnieć, gdzie go widział, ale nic nie powiedział.

Miasto było jednocześnie znajome i obce. Ponieważ wyglądało niemal tak samo, zmiany wydawały się Merthinowi cudem, jakby nastąpiły przez jedną noc: tam znikł rząd bud zastąpiony przez piękne domy, tu gwarna gospoda stanęła w miejscu wielkiego ponurego domu bogatej wdowy, jedna ze studni wyschła i została zasypana, szary dom pomalowano na białe.

Poszedł do gospody Bella przy głównej ulicy, obok bramy opactwa. Nic się tam nie zmieniło: w tak dobrym miejscu przetrwa zapewne setki lat. Zostawił stajennemu konie i bagaż, po czym wszedł do środka, trzymając Lollę za rękę.

Wnętrze było takie jak w każdej tawernie: od frontu duża sala z ciężkimi stołami i ławami oraz zaplecze, gdzie trzymano beczki z piwem i winem oraz przygotowywano jedzenie. Ponieważ gospoda była popularna i dochodowa, słomę na podłodze zmieniano często, ściany były świeżo pobielone, a w zimie palono na kominku. Teraz, w środku lata, wszystkie okna były otwarte i po sali przelatywał łagodny wietrzyk.

Po chwili z zaplecza wyszła Bessie Bell. Dziewięć lat temu była hożą dziewoją - teraz tęgą kobietą. Spojrzała na niego, nie poznając, ale zauważyła, że otaksowała jego odzienie i uznała za wypłacalnego klienta.

- Dzień dobry ci, podróżny - powiedziała. - Co możemy zrobić dla wygody twojej i twojego dziecka?

Merthin się uśmiechnął.

- Chciałbym wynająć twój prywatny pokój, jeśli łaska, Bessie. Poznała go, gdy tylko zaczął mówić.

- Na mą duszę! - zawołała. - To Merthin Budowniczy Mostów! - Wyciągnął do niej rękę na powitanie, lecz ona objęła go i uściskała. Zawsze miała do niego słabość. Puściła go i przyjrzała mu się. - Ależ wyrosła ci broda! Bez niej poznałabym cię prędzej. Czy to twoja córeczka?

- Ma na imię Lolla.
- No, aleś jesteś śliczna! Twoja mama musi być piękna.
- Moja żona umarła - powiedział Merthin.
- Jakie to smutne. Jednak Lolla jest taka mała, że zapomni. Mój mąż też umarł.
- Nie wiedziałem, że byłaś mężatką.
- Poznałam go po twoim wyjeździe. Richard Brown, z Gloucesteru. Straciłam go rok

temu.

- Przykro mi to słyszeć.
- Mój ojciec udał się do Canterbury na pielgrzymkę, więc teraz sama prowadzę gospodę.
- Lubiałem twojego ojca.
- On ciebie też. Zawsze szanował ludzi wielkiego ducha. Nigdy nie przepadał za moim

Richardem. ^A

- Ach... - Merthin uznał, że rozmowa za szybko staje się zbyt intymna. - Co u moich rodziców?

- Nie ma ich w Kingsbridge. Mieszkają w nowym domu twojego brata, w Tench.

Merthin słyszał od Buonaventury, że Ralph został panem Tench.

- Mój ojciec musi być bardzo zadowolony.

- Dumny jak paw. - Uśmiechnęła się, ale zaraz zrobiła zatroskaną minę. - Na pewno jesteś głodny i zmęczony. Powiem chłopcom, żeby zanieśli twoje bagaże na górę, a potem przyniosę ci kufel piwa i jakąś polewkę.

Odwróciła się, żeby pójść na zaplecze.

- To miło, ale...

Bessie przystanęła w progu.

- Będę wdzięczny, jeśli dasz zupę Lolli. Ja muszę coś załatwić. Bessie skinęła głową.

- Oczywiście. - Pochyliła się nad Lollą. - Pójdiesz z cicią Bessie? Pewnie zjadłabyś kromkę chleba. Lubisz świeży chleb?

Merthin przetłumaczył to na włoski i Lolla z zadowoleniem skinęła główką. Bessie spojrzała na Merthina.

- Pewnie idziesz zobaczyć się z siostrą Caris, tak? Nie wiadomo dlaczego, miał poczucie winy.

- Tak - odparł. - Zatem ona wciąż tu jest?

- Och tak. Teraz opiekuje się gośćmi klasztoru. Byłabym zdziwiona, gdyby pewnego dnia nie została przeoryszą. - Wzięła Lollę za rękę i poprowadziła na zaplecze. - Powodzenia!

- rzuciła przez ramię.

Merthin wyszedł. Bessie bywała ekspansywna, lecz szczerą i miło mu było, że został powitany tak serdecznie. Wszedł na teren opactwa i przystanął, by popatrzeć na wyniosły zachodni fronton katedry, teraz mający prawie dwieście lat i imponujący jak zawsze.

Na północ od kościoła, za cmentarzem zauważył kilka nowych kamiennych budynków. Był to średniej wielkości pałac z okazałym wejściem i piętrem. Postawiono go w pobliżu dawnej drewnianej chaty przeora, więc zapewne zastąpił tamten skromny budynek jako nowa rezydencja Godwyna. Zastanawiał się, skąd Godwyn wziął na to pieniądze.

Podszedł bliżej. Pałac był okazały, lecz Merthinowi się nie podobał. Żadna z kondygnacji nie nawiązywała stylem go górującej nad pałacem katedry. Detale wykończono starannie. Szczyt ostentacyjnie wielkiego portyku częściowo zasłaniał okno na piętrze. A najgorsze było to, że pałacu nie zbudowano na przedłużeniu osi kościoła, więc stał względem niego pod dziwacznym kątem.

To niewątpliwie robota Elfrica.

W słońcu, na schodach, wygrzewał się gruby kot. Był czarny z białym koniuszkiem ogona. Spojrzał na Merthina złowrogo.

Ten odwrócił się i powoli poszedł do szpitala. Łąka przy katedrze była cicha i pusta: dzisiaj nie było jarmarku. Merthin znów poczuł rosnące podniecenie i niepokój. W każdej chwili mógł zobaczyć Caris. Dotarł do drzwi i wszedł. Długa sala była jaśniejsza i pachniała ładniej, niż to zapamiętał - wszystko wyglądało na wyszorowane do czysta. Na materacach na podłodze leżało kilka osób, w większości starszych. Przy ołtarzu młoda nowicjuszka głośno odmawiała modlitwy. Zaczekał, aż skończy. Był tak zdenerwowany, że chyba czuł się gorzej niż pacjenci na posłaniach. Dla tej chwili przebył tysiąc mil. Czyżby na próżno?

W końcu zakonnica po raz ostatni powiedziała „amen” i odwróciła się. Nie znał jej. Podeszła do niego.

- Niech cię Bóg błogosławi, przybyszu. Merthin nabrał powietrza.

- Przyszedłem zobaczyć się z siostrą Caris - powiedział.

Zebrania zakonnice odbywały się teraz w refektarzu. Kiedyś dzieliły z mnichami elegancki ośmioboczny budynek kapitułarza w północno-wschodnim kącie katedry. Niestety, teraz między zakonnice i mnichami panowała głęboka nieufność, więc siostry nie chciały ryzykować, że mnisi podsłuchają ich rozmowy. Dlatego zebrały się w długiej i pustej sali, w której jadały posiłki.

Zakonnice wyższe rangą usiadły przy stole, matka Cecilia pośrodku. Nie było jej zastępczyń. Natalie umarła przed kilkoma tygodniami w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat i Cecilia jeszcze nie wyznaczyła nikogo na jej miejsce. Po prawej ręce Cecyli siedziała skarbniczka, Beth, i kwestorka,

Elizabeth, dawniej Elizabeth Clerk, a po lewej ręce Cecylia szafarka, Margaret, sprawująca pieczę nad wszystkimi zapasami, oraz jej podwładna Caris opiekująca się gośćmi. Pozostałe zakonnice, w liczbie około trzydziestu, usiadły na ławach, twarzami do senierek. Po modlitwie i słowie bożym matka Cecilia rzekła:

- Otrzymałyśmy list od lorda biskupa napisany w odpowiedzi na naszą skargę dotyczącą kradzieży naszych pieniędzy przez przeora Godwyna.

Wśród zakonnice rozległ się wyczekujący szmer.

Odpowiedź długo nie nadchodziła. Obsadzenie stanowiska po biskupie Richardzie zajęło królowi Edwardowi prawie rok. Hrabia William gorąco popierał Jerome'a, zdolnego administratora swego ojca, lecz w końcu Edward wybrał Henriego z Mons, krewniaka jego żony z Hainault w północnej Francji. Biskup Henri przybył do Anglii na ceremonię, potem udał się do Rzymu, po zatwierdzenie przez papieża, po czym wrócił i osiadł w swym pałacu w Shiring, zanim odpowiedział na pisemną skargę Cecylia.

- Biskup odmawia podjęcia jakichkolwiek kroków w sprawie kradzieży, mówiąc, że te wydarzenia miały miejsce za czasów biskupa Richarda i co było, to było.

Zakonnice jęknęły. Cierpliwie godziły się z długim oczekiwaniem przekonane, że w końcu doczekają się sprawiedliwości. Teraz były w szoku.

Caris widziała już ten list. Nie była tak zaskoczona jak pozostałe siostry. Nie było niczego dziwnego w tym, że nowy biskup nie chce rozpoczynać swojej kadencji od sporu z przeorem Kingsbridge. Ten list świadczył o tym, że Henri będzie hierarchą pragmatycznym, a nie człowiakiem z zasadami. Pod tym względem niczym nie różnił się od większości tych, którzy odnieśli sukces w kościelnej polityce.

Chociaż nie zaskoczona, była jednak rozczarowana. Ta decyzja oznaczała, że musi zrezygnować z realizacji w dającej się przewidzieć przyszłości swego marzenia o nowym szpitalu, w którym chorzy byliby odizolowani od zdrowych. Mówiła sobie, że nie powinna żałować: opactwo przez setki lat obywało się bez takiego luksusu, więc mogło poczekać jeszcze dekadę czy dwie. Z drugiej strony irytowały ją szybko rozprzestrzeniające się choroby, takie jak nudności przywleczone przed rokiem na święto runa przez Maldwyna Cooka. Nikt nie rozumiał, w jaki sposób się przenoszą - przez spoglądanie na chorą osobę, dotykanie jej czy tylko przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu - lecz nie było wątpliwości, że wiele chorób naprawdę przechodzi z jednej ofiary na drugą i bliskość jest istotnym czynnikiem. Teraz jednak musi o tym wszystkim zapomnieć.

Wśród siedzących na ławach zakonnice rozległy się niechętnie pomruki.

- Mnisi będą teraz zadzierali nosa - rozległ się głos Mair.

Ma rację, pomyślała Caris. Godwynowi i Philemonowi uszła na sucho kradzież w biały dzień. Zawsze twierdzili, że zabierając pieniądze zakonnicy, nie popełnili kradzieży, gdyż wykorzystali je na chwałę bożą i teraz będą uważali, że biskup usankcjonował ich działania. To była przykra porażka, szczególnie dla Caris i Mair.

Jednak matka Cecilia nie zamierzała tracić czasu na żale.

- Oczywiście nie jest to winą żadnej z was, a jedynie moją - powiedziała. - Po prostu byliśmy zbyt ufne.

To ty ufałaś Godwynowi, nie ja, pomyślała Caris, ale trzymała język za zębami. Chciała usłyszeć, co jeszcze Cecilia ma do powiedzenia. Wiedziała, że przeorysza zamierza dokonać zmian wśród starszych rangą, ale nikt nie wiedział, co postanowiła.

- Jednak w przyszłości musimy być ostrożniejsze. Zbudujemy własny skarbiec, do którego mnisi nie będą mieli dostępu. W rzeczy samej mam nadzieję, że nawet nie będą wiedzieli, gdzie on jest. Siostra Beth złoży obowiązki skarbniczki z naszymi podziękowaniami za długą i wierną służbę, a jej miejsce zajmie siostra Elizabeth. Mam do niej całkowite zaufanie.

Caris starała się zachować nieprzenikniętą minę, żeby nikt nie zauważył jej niesmaku. Elizabeth zaświadczyła, że Caris jest czarownicą. To było przed dziewięcioma laty i Cecilia przebaczyła Elizabeth, lecz Caris nigdy tego nie uczyni. To jednak nie było jedynym powodem jej antypatii. Elizabeth była skwaszona i miała chorą wyobraźnię, a jej sympatie rzutowały na ocenę sytuacji. Caris uważała, że takim ludziom nigdy nie należy ufać, gdyż zawsze są skłonni wydawać decyzje oparte na swoich uprzedzeniach.

- Siostra Margaret poprosiła o zwolnienie z pełnionych obowiązków - ciągnęła Cecilia - i siostra Caris zajmie jej miejsce jako szafarka.

Caris była rozczarowana. Miała nadzieję, że zostanie podprzeoryszą, zastępczynią Cecylii. Starła się uśmiechać, jakby była zadowolona, ale było to trudne. Cecilia najwidoczniej nie zamierzała mianować podprzeoryszy. Będzie miała dwie rywalizujące podwładne, Caris i Elizabeth, i pozwoli im ze sobą walczyć. Caris podchwyciła spojrzenie Elizabeth i dostrzegła w nim ledwie skrywaną nienawiść.

Cecilia mówiła dalej:

- Pod nadzorem Caris siostra Mair zostanie opiekunką gości.

Mair promieniała z zadowolenia. Była rada z awansu i jeszcze szczęśliwsza z powodu tego, że będzie podwładną Caris. Caris również spodobała się ta decyzja. Mair podzielała jej obsesję na punkcie czystości i nieufność do takich zabiegów leczniczych jak puszczenie krwi.

Wprawdzie Caris nie dostała tego, czego chciała, ale próbowała wyglądać na uszczęśliwioną,

gdy Cecilia ogłosiła kilka pomniejszych nominacji. Po zakończeniu zebrania podeszła do Cecylii i podziękowała jej.

- Nie wyobrażaj sobie, że to była łatwa decyzja - powiedziała przeorysza. - Elizabeth jest bystra i zdecydowana, a także systematyczna, podczas gdy ty jesteś kapryśna. Jednak masz wyobraźnię i potrafisz wydobywać z ludzi to, co najlepsze. Potrzebuję was obu.

Caris nie mogła się spierać z taką analizą Cecylii. Ona naprawdę mnie zna, pomyślała ze smutkiem, teraz lepiej niż ktokolwiek na świecie, gdy mój ojciec nie żyje, a Merthin wyjechał. Ogarnęło ją wzruszenie. Cecilia była jak kwoka, zawsze w ruchu, zawsze zajęta, opiekująca się swoim stadkiem.

- Zrobię wszystko, żeby spełnić twoje oczekiwania - przyrzekła Caris.

Opuściła salę. Musiała sprawdzić, jak się ma Stara Julie. Obojętnie, ile razy przypominała o tym młodszym zakonnicom, nikt nie doglądał Julie tak jak ona. Jakby uważały, że bezradna staruszka nie potrzebuje wygód. Tylko Caris pilnowała, żeby Julie dostała koc w chłodne dni, coś do picia, kiedy jest spragniona, i prowadziła ją do latryny w porach, w których staruszka zwykle musiała tam iść. Caris postanowiła zanieść jej gorący napar z ziół, który zdawał się poprawiać humor starej zakonnicy. Poszła do swojej apteki i postawiła na ogniu garnuszek z wodą.

- Czy to nie cudowne? - powiedziała Mair, wchodząc i zamykając za sobą drzwi.

- Nadal będziemy razem pracowały! Zarzuciła Caris ręce na szyję i pocałowała w usta. Caris uściskała ją, a potem uwolniła się z jej objęć.

- Nie całuj mnie w tak - poprosiła.

- Robię tak dlatego, że cię kocham.

- Ja też cię kocham, ale nie w taki sposób.

Mówiła prawdę. Caris bardzo lubiła Mair. Zbliżyły się do siebie podczas wyprawy do Francji, gdzie razem ryzykowały życie. Caris odkryła nawet, że pociągają urodą Mair. Pewnej nocy w tawernie w Calais, kiedy obie dostały pokój zamykany na klucz, Caris w końcu uległa namowom Mair. Mair pieściła i całowała jej najintymniej sze miejsca, a Caris odwzajemniała się tym samym. Mair powiedziała, że był to najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Niestety, Caris nie czuła tego samego. Dla niej było to przyjemne, lecz niezachwycające przeżycie, i nie miała ochoty go powtarzać.

- W porządku - westchnęła Mair. - Jeśli Jylko mnie kochasz, chociaż troszeczkę, jestem szczęśliwa. Nigdy nie przestaniesz, prawda?

Caris zalała zioła wrzątkiem.

- Kiedy będziesz taka stara jak Julie, obiecuję ci przynieść napar na poratowanie zdrowia.

W oczach Mair stanęły łzy.

- To najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział.

Caris nie chciała, aby zabrzmiało to jak obietnica dozogonnej miłości.

- Nie bądź sentymentalna - powiedziała łagodnie. Odsączyła napar do drewnianego kubka.

- Chodźmy i zobaczmy, co z Julie.

Przeszły przez klauzurę i weszły do szpitala. W pobliżu ołtarza stał jakiś mężczyzna z gęstą rudą brodą.

- Niech cię Bóg błogosławi, przybyszu - powiedziała Caris. Mężczyzna wyglądał znajomo. Nie odpowiedział na jej pozdrowienie, tylko przeszył ją spojrzeniem złotobrazowych oczu. Wtedy go poznała. Upuściła kubek. - O Boże! - wykrzyknęła. - To ty!

Ta krótka chwila, zanim Caris go zauważyła, była niezwykła, i Merthin wiedział, że zachowają w pamięci jak największy skarb, cokolwiek jeszcze się zdarzy. Wpatrywał się w tę twarz, której nie widział przez dziewięć lat, i z dreszczem podobnym do wywołanego skokiem do zimnej rzeki w upalny dzień przypomniał sobie, jak była mu droga. Prawie wcale się nie zmieniła: jego obawy były bezpodstawne. Nawet się nie postarzała. Wyliczył, że teraz ma trzydzieści lat, lecz była równie smukła i zgrabna jak wtedy, kiedy miała dwadzieścia. Rażnym i zdecydowanym krokiem weszła do szpitala, niosąc kubek z jakimś lekarstwem, a potem spojrzała na niego, przystanęła i upuściła kubek. Uśmiechnął się do niej uszczęśliwiony.

- Ty tutaj! - powiedziała. - Myślałam, że jesteś we Florencji!

- Bardzo się cieszę, że wróciłem. Spojrzała na płyn na podłodze.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała towarzysząca jej zakonnica. - Ja to zetrę. Idź i porozmawiaj z gościem.

Merthin zauważył, że jest śliczna i ma łzy w oczach, lecz był zbyt podekscytowany, żeby zwracać na to uwagę.

- Kiedy wróciłeś? - zapytała Caris.

- Godzinę temu. Dobrze wyglądasz.

- A ty wyglądasz... tak męsko. Merthin się zaśmiał.

- Dlaczego postanowiłeś wrócić?

- To długa historia. Jednak chętnie ci ją opowiem.

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Lekko dotknęła jego ramienia i wyprowadziła go z budynku. Zakonnice nie powinny dotykać ludzi ani prowadzić prywatnych rozmów z mężczyznami, lecz dla niej te reguły nigdy nie były niezłomne. Merthin ucieszył się, że w ciągu ostatnich dziewięciu lat nie nabrała szacunku do

autorytetów.

Wskazał ławkę przy warzywniaku.

- Siedziałem tu z Markiem i Madge Webberami w dniu, kiedy wstąpiłaś do zakonu, dziewięć lat temu. Madge powiedziała mi, że nie chcesz się ze mną widzieć.

Skinęła głową.

- To był najgorszy dzień w moim życiu, ale wiedziałam, że spotkanie z tobą jeszcze pogorszyłoby sprawę.

- Ja też tak czułem, ale chciałem cię zobaczyć, nie zważając, jak bardzo mnie to unieszczęśliwi.

Spojrzała na niego zielonymi oczami ze złotymi plamkami, szczerymi jak zawsze.

- Słyszę w twym głosie pretensję.

- Możesz słyszeć. Byłem na ciebie bardzo zły. Cokolwiek postanowiłaś zrobić, uważałem, że byłaś mi winna wyjaśnienie.

Nie chciał, by rozmowa potoczyła się w tym kierunku, ale nie zdołał się powstrzymać.

Nie zamierzała go przeproszać.

- To naprawdę bardzo proste. Nie mogłam znieść myśli, że muszę cię porzucić. Gdybym musiała z tobą rozmawiać, myślę, że bym się zabiła.

Był zaskoczony. Przez dziewięć lat uważał, że w dniu ich rozstania okazała egoizm. Teraz wyglądało na to, że to on był egoistą, stawiając jej takie żądania. Przypomniawszy sobie, że zawsze umiała zmienić jego nastawienie. To nie było przyjemne, ale często miała rację.

Nie usiedli na ławce, ale zawrócili i ruszyli po otaczającej katedrę łące. Chmury zasnuły niebo i zasłoniły słońce.

- W Italii szaleje straszna zaraza - powiedział Merthin. - Nazywają ją la moria grandę.

- Słyszałam o tym. W południowej Francji również, prawda?

- Zachorowałem i wyzdrowiałem, co jest niezwykle. Moja żona, Silvia, umarła.

Caris była wstrząśnięta.

- Tak mi przykro - powiedziała. - To musiał być dla ciebie cios.

- Cała jej rodzina wymarła i moi klienci także. Wydawało się, że to dobry moment, by wrócić do domu. A co u ciebie?

- Właśnie zostałam szafarką - odparła z widoczną dumą. Merthinowi wydało się to nieco trywialne, szczególnie po tych wszystkich okropnościach, jakie widział. Jednak takie rzeczy są ważne w życiu klasztoru. Spojrzał na wielki kościół.

- We Florencji jest wspaniała katedra - rzekł. - Mnóstwo wzorów z kolorowych kamieni. Ja

jednak wolę to: rzeźbienia, wszystko w tym samym odcieniu.

Gdy przyglądał się wieży, szarej na tle szarego nieba, zaczął padać deszcz.

Schronili się w kościele. W nawie było kilkanaście osób: goście podziwiający architekturę, modlący się miejscowi wierni i dwaj mnisi - nowicjusze zamiatający posadzkę.

- Pamiętam, jak obściskałem cię za tym filarem - rzekł z uśmiechem Merthin.

- Ja też to pamiętam - powiedziała Caris, ale nie spojrzała mu w oczy.

- Wciąż czuję do ciebie to samo co tamtego dnia. Oto prawdziwy powód, dla którego tu wróciłem.

Odwrociła się i spojrzała na niego z gniewem w oczach.

- Jednak się ożeniłeś.

- A ty zostałeś zakonnica.

- Jak mogłeś ożenić się z... z Silwią, jeśli kochałeś mnie?

- Myślałam, że zdołam o tobie zapomnieć. Jednak nie mogłem. Potem, kiedy byłem pewny, że umieram, zrozumiałem, że nigdy nie zdołam.

Jej gniew znikł równie szybko, jak się pojawił, i w oczach stanęły łzy.

- Wiem - szepnęła, odwracając głowę.

- Czujesz to samo.

- To nigdy się nie zmieniło.

- A próbowałaś? Napotkała jego spojrzenie.

- Jest pewna zakonnica...

- Ta śliczna, która była z tobą w szpitalu?

- Tak, jak odgadłeś?

- Rozplakała się na mój widok. Nie wiedziałem dlaczego.

Caris miała zakłopotaną minę i Merthin odgadł, że czuła się tak jak on wtedy, gdy Silvia mówiła: „Myślisz o tej twojej angielskiej dziewczynie”.

- Mair jest mi droga i kocha mnie, jednak...

- Jednak nie zapomniałaś o mnie.

- Nie.

Merthin triumfował, ale starał się tego nie okazać.

- W takim razie powinnaś zerwać śluby, opuścić klasztor i wyjść za mnie.

- Opuścić klasztor?

- Najpierw będziesz musiała otrzymać sądowe oczyszczenie z zarzutu uprawiania czarów, rozumiem, ale jestem pewien, że to da się zrobić. Przekupimy biskupa i arcybiskupa, a w razie

potrzeby nawet samego papieża. Stać mnie na to...

Nie była pewna, czy to by poszło tak łatwo, jak sądził, jednak nie to było największym problemem.

- Nie żeby mnie to nie kusiło, jednak obiecałam Cecilii, że nie zawiodę jej zaufania... Muszę pomóc Mair przejąć obowiązki opiekunki gości... musimy zbudować nowy skarbiec... i tylko ja potrafię należycie zaopiekować się Starą Julie...

Był zdumiony.

- I to wszystko jest takie ważne?

- Oczywiście, że tak! - prychnęła gniewnie.

- Myślałem, że zakonnice to tylko stare baby odmawiające modlitwy.

- A także leczące chorych, karmiące ubogich i uprawiające tysiące akrów ziemi. To co najmniej równie ważne jak budowanie mostów i kościołów.

Tego nie przewidział. Zawsze była sceptyczna w stosunku do religijnych rytuałów. Wstąpiła do klasztoru pod naciskiem, ponieważ tylko w ten sposób mogła uratować życie. Teraz jednak najwyraźniej polubiła swoje więzienie.

- Jesteś jak więzień, który nie chce opuścić lochu, chociaż drzwi są otwarte na oścież - stwierdził.

- Drzwi nie są otwarte na oścież. Musiałabym złamać śluby. Matka Cecilia...

- Będziemy musieli uporać się z tymi problemami. Zacznijmy od razu. Miała zboląłą minę.

- Nie jestem pewna.

Widział, że ma wątpliwości. To go zdziwiło.

- Czy to naprawdę ty? - zapytał z niedowierzaniem. - Przecież nienawidziłaś hipokryzji i fałszu, które widziałaś w opactwie. Lenistwa, chciwości, nieuczciwości, tyranii...

- To nadal jest prawdą w odniesieniu do Godwyna i Philemona.

- Zatem opuść klasztor.

- I co potem?

- Wyjdź za mnie, oczywiście.

- To wszystko?

Znów się zdziwił.

- To wszystko, czego pragnę.

- Nie, nie wszystko. Pragniesz projektować pałace i zamki. Chcesz zbudować najwyższy budynek w Anglii.

- Jeśli potrzebujesz kogoś, kim mogłabyś się zaopiekować...

- Co?

- Mam córkę. Nazywa się Lolla. Ma trzy latka. Najwyraźniej to pozwoliło Caris podjąć decyzję. Westchnęła.

- Jestem starszą w zakonie liczącym trzydzieści pięć zakonnicek, dziesięć nowicjuszek i dwudziestu pięciu pracowników, ze szkołą, szpitalem i apteką, a ty chcesz, bym rzuciła to wszystko, żeby zająć się jedną dziewczynką, której nawet nie znam?

Przestał się spierać.

- Wiem tylko, że cię kocham i chcę być z tobą. Westchnęła smutno.

- Gdybyś powiedział tylko to i nic więcej, może byś mnie namówił...

- Nie rozumiem. Odmawiasz czy nie?

- Sama nie wiem...

55

Merthin przez większość nocy nie zmrzył oka. Był przyzwyczajony do sypiania w gospodach, a odgłosy wydawane przez Lollę we śnie tylko go uspokajały, lecz tej nocy nie mógł przestać fhyśleć o Caris. Był wstrząśnięty tym, jak zareagowała na jego powrót. Teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie myślał trzeźwo o tym, co ona poczuje na jego widok. Snuł ponure myśli na temat tego, jak się zmieniła, a w głębi serca żywił nadzieję na to, że znów będą razem. Oczywiście nie zapomniała o nim, ale przecież mógł się spodziewać, że nie spędziła tych dziewięciu lat na opłakiwaniu go, nie była taka.

Jednocześnie nigdy nie domyśliłby się, że z takim poświęceniem oddaje się obowiązkom zakonnicy. Zawsze była mniej lub bardziej wrogo nastawiona do Kościoła. Zważywszy na to, jak niebezpieczne było krytykowanie religii w jakikolwiek sposób, mogła głęboko ukryć swój sceptycyzm nawet przed nim. Dlatego zaszokowało go, że nie chce opuścić klasztoru. Mógł zrozumieć obawy przed ewentualnym wyrokiem śmierci wydanym przez biskupa Richarda lub niepokój wywołany koniecznością zerwania ślubów, lecz nie podejrzewał, iż jej życie w zakonie może być tak pełne, że zastanawia się, czyje porzucić, by zostać jego żoną.

Był na nią zły. Żałował, że nie powiedział: „Przebyłem tysiąc mil, żeby poprosić cię, byś za mnie wyszła. Jak możesz mówić, że nie wiesz, czy tego chcesz?”. Przychodziło mu na myśl wiele gorzkich słów, które mógł jej powiedzieć. Może dobrze, że nie pomyślał o nich wtedy. Ich rozmowa zakończyła się na tym, że Caris poprosiła, żeby zaczekał, aż ochłonie z zaskoczenia wywołanego jego niespodziewanym powrotem i zastanowi się, co chce uczynić. Zgodził się - nie miał innego wyjścia - lecz teraz cierpiał męki niepewności.

W końcu zapadł w niespokojny sen.

Lolla obudziła go wcześniej, jak zwykle, i razem zeszli na dół, by zjeść owsiankę. Powstrzymał chęć natychmiastowego powrotu do szpitala, żeby znów porozmawiać z Caris. Prosiła, żeby dał jej czas, i naciskanie jej nie poprawi jego szans. Zrozumiał, że może czekać go więcej przykrych niespodzianek, więc lepiej będzie, jeśli się dowie, co dzieje się w Kingsbridge. Tak więc po śniadaniu poszedł zobaczyć się z Markiem Webberem.

Rodzina Webberów mieszkała przy głównej ulicy, w dużym domu, który kupili wkrótce po tym, jak Caris namówiła ich na tkacki interes. Merthin pamiętał czasy, gdy razem z czwórką dzieci mieszkali w jednej izbie niewiele większej od krosien, na których tkął Mark. Ich nowy dom miał duży kamienny parter pełniący funkcję magazynu i sklepu. Część mieszkalna znajdowała się na zbudowanym z bali piętrze. Merthin zastał Madge w sklepie oglądającą szkarłatny materiał, który właśnie przywieziono z jednej z ich znajdujących się poza miastem tkalni. Teraz miała już prawie czterdzieści lat i siwe nitki w ciemnych włosach. Niewielkiego wzrostu, stała się dość pulchna, z wydatnym biustem i dużym tyłkiem. Z powodu wysuniętej dolnej szczęki i pewności siebie przypominała Merthinowi agresywnego gołębia.

Towarzyszyło jej dwoje młodych ludzi - piękna dziewczyna w wieku około siedemnastu lat i rosły, o parę lat od niej starszy chłopiec. Merthin przypominał sobie dwoje jej najstarszych dzieci - Dorę, chudą dziewczynkę w podartej sukience, oraz nieśmiałego Johna - i zrozumiał, że to właśnie oni, tylko dorośli. Teraz John bez wysiłku podnosił ciężkie bele materiału, a Dora liczyła je, robiąc nacięcia na kiju. Na ich widok Merthin poczuł się stary. Mam dopiero trzydzieści dwa lata, pomyślał, lecz gdy patrzył na Johna, wydawało mu się, że to podeszły wiek.

Na jego widok Madge wydała okrzyk zdziwienia i radości. Uściskała go i ucałowała w zarośnięte policzki, po czym zaczęła rozczulać się nad Lollą.

- Pomyślałem, że przyprowadzę ją, żeby pobawiła się z dziećmi - rzekł smutno Merthin. - Oczywiście są o wiele za duże.

- Dennis i Noah są w szkole klasztornej. Mają trzynaście i jedenaście lat. Jednak Dora pobawi się z Lollą, ona uwielbia dzieci.

Młoda kobieta wzięła Lollę na rękę.

- Kotka sąsiadów ma młode - powiedziała. - Chcesz je zobaczyć? Lolla odpowiedziała potokiem włoskich słów, co Dora uznała za potwierdzenie, i wyszły.

Madge zostawiła Johnowi rozładowanie wozu i zaprowadziła Merthina na górę.

- Mark pojechał do Melcombe. Wysyłamy część naszych tkanin do Bretanii i Gaskonii. Powinien wrócić jutro.

Merthin usiadł w salonie i przyjął propozycję wypicia kubka piwa.

- Kingsbridge najwidoczniej dobrze prosperuje - zagaił.

- Handel wełną zamiera. To przez podatki wojenne. Wszystko trzeba sprzedawać za pośrednictwem garstki dużych kupców, żeby król mógł odebrać swoją część. W Kingsbridge nadal jest kilku handlarzy... Petranilla prowadzi interesy po Edmundzie... ale to już nie to co kiedyś. Na szczęście handel tkaninami rozwinął się i zastąpił handel wełną, przynajmniej w tym mieście.

- Czy Godwyn wciąż jest przeorem?

- Niestety, tak.

- Nadal przysparza kłopotów?

- Jest bardzo konserwatywny. Sprzeciwia się wszelkim zmianom i wstrzymuje jakikolwiek postęp. Na przykład Mark zaproponował, żeby na próbę otworzyć targ nie tylko w niedzielę, ale i w sobotę.

- A dlaczego Godwyn miałby się temu sprzeciwiać?

- Twierdzi, że ludzie mogliby chodzić na targ zamiast do kościoła, a to nie byłoby dobre.

- Niektórzy z nich mogliby chodzić do kościoła również w sobotę.

- Filizanka Godwyna jest zawsze w połowie pusta, nigdy w połowie pełna.

- Gildia z pewnością mu się sprzeciwia?

- Niezbyt często. Teraz przewodniczy jej Elfric. On i Alice dostali prawie wszystko, co zostawił Edmund.

- Przewodniczący gildii nie musi być najbogatszym człowiekiem w mieście.

- Jednak zwykle jest. Pamiętaj, że Elfric zatrudnia mnóstwo rzemieślników: cieśli, kamieniarzy, murarzy, robotników, i kupuje od wszystkich handlujących materiałami budowlanymi. Miasto jest pełne ludzi, którzy są mniej lub bardziej zobowiązani go popierać.

»

- A Elfric zawsze trzymał się blisko Godwyna.

- Właśnie. Otrzymuje wszystkie zlecenia budowlane opactwa, czyli prowadzi wszystkie roboty publiczne.

- A jest takim kiepskim budowniczym!

- Dziwne, nieprawdaż? - powiedziała z namysłem Madge. - Można by sądzić, że Godwyn powinien zatrudniać najlepszego wykonawcę. Jednak nie. Dla niego liczy się tylko to, żeby był posłuszny i bez zastrzeżeń wykonywał jego polecenia.

Merthin był przygnębiony. Nic się nie zmieniło. Jego wrogowie nadal są u władzy. Powrót do dawnego życia może okazać się trudny.

- Zatem nie są to dla mnie dobre wieści. - Wstał. - Lepiej rzucę okiem na moją wyspę.

- Jestem pewna, że Mark odwiedzi cię, gdy tylko wróci z Melcombe. Merthin poszedł do sąsiadów po Lollę, lecz dziewczynka tak dobrze się bawiła, że zostawił ją z Dorą i przeszedł przez miasto na brzeg rzeki. Ponownie przyjrzał się pęknięciom swego mostu, lecz nie musiał długo im się przyglądać: przyczyna była oczywista. Obszedł Wyspę Trędowatych. Niewiele się tu zmieniło. Było kilka przystani i magazynów na zachodnim końcu oraz tylko jeden dom, ten, który wynajął Jimmiemu, na wschodnim krańcu przy drodze wiodącej od jednego przęsła mostu do drugiego.

Kiedy został właścicielem wyspy, miał ambitne plany jej rozwoju. Oczywiście podczas jego nieobecności nic się tu nie działo. Pomyślał, że teraz mógłby tu coś zrobić. Przechadzał się, przeprowadzając w myślach przybliżone obliczenia, wyobrażając sobie budynki, a nawet ulice, aż przyszła pora południowego posiłku. Odebrał Lollę i wrócił do gospody. Bessie podała smaczną mięsną polewkę z kaszą. W gospodzie było pusto i Bessie przyłączyła się do nich, przynosząc dzban swego najlepszego czerwonego wina. Kiedy zjedli, naląła mu następny kubek, a on opowiedział jej o swoich pomysłach.

- Droga przez wyspę, biegnąca od jednego mostu do drugiego, to idealne miejsce na sklepy - rzekł.

- I gospody - dodała Bessie. - Nasza i Holly Bush to najczęściej odwiedzane gospody w mieście, ponieważ są tak blisko katedry. Każde miejsce, przez które nieustannie przechodzą ludzie, jest dobre na gospodę.

- Gdybym wybudował gospodę na Wyspie Trędowatych, mogłabyś ją prowadzić.

Spojrzała mu w oczy.

- Moglibyśmy prowadzić ją razem.

Uśmiechnął się do niej. Zjadł smaczny posiłek i pił dobre wino, a każdy mężczyzna z przyjemnością poszedłby z nią do łóżka i cieszył się jej miękkim, pełnym ciałem - ale nie on.

- Bardzo kochałem moją żonę, Silwię - westchnął. - Jednak wciąż myślałem o Caris. I Silvia o tym wiedziała.

Betty odwróciła głowę.

- To smutne.

- Wiem. I nigdy nie zrobię tego innej kobiecie. Nie ożenię się ponownie, chyba że z Caris. Nie jestem dobrym człowiekiem, ale nie aż tak złym.

- Caris może nigdy za ciebie nie wyjść.

- Wiem.

Bessie wstała i pozbierała miski.

- Jesteś dobrym człowiekiem - rzekł. - Za dobrym. Wróciła do kuchni.

Merthin położył Lollę do łóżka na poobiednią drzemkę, a potem usiadł na ławce przed gospodą, spoglądając na wzgórze na Wyspie Trędotowych, szkicując w zeszycie i ciesząc się wrześnieowym słońcem. Niewiele zrobił, gdyż wszyscy przechodzący obok chcieli go powitać i zapytać, co się z nim działo przez dziewięć ostatnich lat.

Późnym popołudniem zobaczył potężną postać Marka Webbera wjeżdżającego na wzgórze wozem, na którym podskakiwała wielka beczka. Mark zawsze był olbrzymem, lecz teraz Merthin zauważył, że stał się olbrzymem pulchnym.

Merthin uściskał jego szeroką dłoń.

- Byłem w Melcombe - rzekł Mark. - Jeżdżę tam co kilka tygodni.

- Co jest w tej beczce?

- Wino z Bordeaux, prosto ze statku, który przywiózł również wieści. Wiesz, że księżniczka Joan udała się do Hiszpanii?

- Tak.

Każdy dobrze poinformowany mieszkaniec Europy wiedział, że ta piętnastoletnia córka króla Edwarda ma poślubić księcia Pedra, dziedzica tronu Kastylii. To małżeństwo miało związać przymierzem Anglię z największym z iberyjskich państw, pozwalając Edwardowi skupić się na zbliżającej się wojnie z Francją bez obaw o interwencję z południa.

- No cóż - rzekł Mark. - Joan umarła na zarazę w Bordeaux. Merthin był podwójnie wstrząśnięty: tym, że pozycja Edwarda we Francji nagle stała się bardzo niepewna, lecz głównie tym, iż zaraza dotarła tak daleko.

- Mają zarazę w Bordeaux?

- Francuscy marynarze opowiadali o stosach ciał na ulicach.

Merthin był przerażony. Myślał, że zostawił ją moria grandę za sobą. Chyba nie dotrze aż do Anglii? Nie bał się o siebie: nikt nigdy nie zachorował na to ponownie, tak więc jemu nic nie groziło, a Lolla należała do tych, którzy z jakiegoś powodu na tę chorobę nie zapadają. Jednak bał się o wszystkich innych - a szczególnie o Caris.

Mark myślał o czymś innym.

- Wróciłeś we właściwej chwili. Niektórzy młodszy kupcy mają dość rządów Elfrica. Przez większość czasu jest pieskiem Godwyna. Zamierzam mu się przeciwstawić. Ty mógłbyś mi w tym pomóc. Dziś wieczorem jest zebranie gildii. Przyjdź, to od razu zostaniesz przyjęty.

- Czy nie przeszkodzi w tym to, że nigdy nie ukończyłem terminu?

- Po tym wszystkim, co zbudowałeś tutaj i za granicą? Skądże!

- W porządku. r.

Merthin musi zostać członkiem gildii, jeśli chce rozwoju wyspy. Ludzie zawsze wynajdywali jakieś powody, żeby sprzeciwić się stawianiu nowych budynków, więc może będzie potrzebował wsparcia. Jednak nie był tak pewny jak Mark tego, że zostanie przyjęty.

Mark wtoczył beczkę do środka, a Merthin podał Lolli kolację. O zachodzie słońca Mark wrócił do gospody i Merthin poszedł z nim główną ulicą, gdy ciepłe popołudnie zmieniło się w chłodny wieczór.

Siedziba gildii parafialnej przed laty, gdy stał tu i przedstawiał projekt swojego mostu, wydawała się Merthinowi wspaniałą budowlą. Jednak teraz, kiedy porównywał ją ze wspaniałymi budynkami w Italii, wyglądała niezgrabnie i nędznie. Zastanawiał się, co tacy ludzie jak Buonaventura Caroli lub Loro Fiorentino musieli myśleć o tym ponurym wnętrzu z szorstkiego kamienia, o więzieniu i kuchni oraz o głównej sali z rzędem kolumn niezręcznie umieszczonych na środku i podtrzymujących sklepienie.

Mark przedstawił go kilku mężczyznom, którzy przybyli do Kingsbridge lub zdobyli tu pozycję podczas jego nieobecności. Jednak twarze większości były mu znajome, aczkolwiek trochę starsze. Merthin przywitał tych, których jeszcze nie spotkał w ciągu dwóch ostatnich dni. Należał do nich Elfric, ostentacyjnie noszący brokatowy kasak przetykany srebrną nicią. Elfric nie okazał zdziwienia - widocznie ktoś powiedział mu, że Merthin wrócił - tylko spojrzał na niego z nieskrywaną wrogością.

Obecni byli również przeor Godwyn i podprzeor, brat Philemon. Merthin zauważył, że czterdziestodwuletni Godwyn jest bardzo podobny do swego wuja Anthony'ego, ze świadczącymi o kłótności i wiecznym niezadowoleniu głębokimi bruzdami wokół ust. Jego udawana dobroduszość mogła zwieść kogoś, kto go nie znał. Philemon także się zmienił. Nie był już chudy i niezdarny. Utył jak bogaty kupiec i roztaczał aurę aroganckiej pewności siebie, chociaż Merthin miał wrażenie, że za tą fasadą nadal dostrzega niepokój i obrzydzenie do siebie jako do oślizłego lizusa. Philemon uściśnił jego dłoń, jakby dotykał węża. To przygnębiające, że stare nienawiści mają tak długi żywot.

Przystojny, ciemnowłosy młody człowiek przeżegnał się na widok Merthina, a potem wyznał, że jest jego dawnym protegowanym, Jimmiem, teraz znanym jako Jeremiah Builder. Merthin z przyjemnością dowiedział się, że młodzieniec radzi sobie na tyle dobrze, żeby należeć do gildii. Jednak wyglądało na to, że jest równie przesądny jak dawniej.

Mark przekazał wieść o księżniczce Joan każdemu, z kim rozmawiał. Merthin odpowiedział na kilka niespokojnych pytań o zarazę, lecz kupcy z Kingsbridge bardziej martwili się tym, że zerwanie sojuszu z Kastylią przedłuży wojnę we Francji, która źle wpływała na interesy.

Elfric zasiadł na wielkim fotelu przed olbrzymią wagą do ważenia wełny i otworzył posiedzenie. Mark natychmiast zaproponował, by przyjąć Merthina w szeregi gildii.

Oczywiście Elfric zgłosił sprzeciw.

- Nigdy nie był członkiem gildii, ponieważ nie skończył terminu.

- Chciałeś powiedzieć, że dlatego, iż nie ożenił się z twoją córką - powiedział jeden z mężczyzn i wszyscy parsknęli śmiechem. Merthin dopiero po chwili rozpoznał mówiącego: był nim Bill Watkin, budowniczy domów. Wianuszek czarnych włosów okalający jego łysinę zdążył już posiwieć.

- Ponieważ nie spełnia wymagań stawianych rzemieślnikowi - upierał się Elfric.

- Jak możesz tak mówić? - zaprotestował Mark. - Budował domy, kościoły, pałace...

- I nasz most, który pęka po zaledwie ośmiu latach.

- To ty go zbudowałeś, Elfricu.

- Dokładnie według projektu Merthina. Najwyraźniej łuki nie są dostatecznie mocne, by wytrzymać ciężar drogi i odbywającego się po niej ruchu. Żelazne klamry, które zamocowałem, nie wystarczyły, by zapobiec poszerzaniu się pęknięć. Dlatego proponuję wzmocnić łuki po obu stronach centralnego filaru obu mostów drugą warstwą kamienia, podwajając ich grubość. Pomyślałem, że ten temat może dziś być poruszony, więc przygotowałem wstępny kosztorys.

Elfric musiał planować ten atak od chwili, gdy usłyszał, że Merthin wrócił do miasta. Zawsze widział w nim wroga, nic się nie zmieniło. Jednak nie rozumiał, na czym polega problem z mostem, i to dało Merthinowi szansę.

- Zrobisz coś dla mnie? - cicho spytał Jeremiaha.

- Po tym, co dla mnie uczyniłeś? Wszystko!

- Skocz do klasztoru i poproś o pilną rozmowę z siostrą Caris. Powiedz jej, żeby znalazła oryginalny, zrobiony przeze mnie rysunek mostu. Powinien być w bibliotece opactwa. Przynieś go tu jak najszybciej.

Jeremiah wymknął się z sali.

- Muszę rzec członkom gildii - ciągnął Elfric - że już rozmawiałem z przeorem Godwynem, który mówi, iż opactwa nie stać na opłacenie tego remontu. Będziemy musieli sfinansować go sami, tak jak sfinansowaliśmy budowę mostu, a pieniądze odzyskać z myta.

Wszyscy jęknęli. Potem zaczęła się długa i zażarta dyskusja nad tym, ile pieniędzy powinien wyłożyć każdy członek gildii. Niewątpliwie właśnie tego chciał Elfric. Merthin wciąż zerkał na drzwi, niecierpliwie oczekując powrotu Jeremiaha.

- Może Merthin powinien zapłacić za naprawy, jeśli przyczyną jest błąd w jego projekcie -

podsunął Bill Watkin.

Merthin nie mógł dłużej przysłuchiwać się temu w milczeniu. Zapomniał o ostrożności.

- Zgadzam się z tym - rzekł. Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Jeśli to mój projekt jest powodem pęknięć, naprawię most na własny koszt - dodał zuchwale.

Mosty były drogie, jeśli mylił się co do istoty problemu, będzie go to kosztowało połowę jego majątku.

- Dobrze powiedziane - pochwalił Bill.

- Jednak najpierw mam coś do powiedzenia, jeśli członkowie gildii pozwolą. Spojrzał na Elfrica.

Ten zawahał się, wyraźnie próbując znaleźć jakiś pretekst do odmowy, lecz Bill rzekł: „Dajcie mu mówić”, a zebrani przyjęli to chójalnym pomrukiem aprobaty.

Elfric niechętnie skinął głową.

- Dziękuję - rzekł Merthin. - Kiedy most jest słaby, pęka w charakterystyczny sposób. Kamienie na szczycie łuku są wciskane w dół, tak że dolne krawędzie rozchodzą się i pęknięcie pojawia się przy koronie łuku, na podniebieniu sklepienia, pod spodem.

- To prawda - potwierdził Bill Watkin. - Widziałem takie pęknięcia wiele razy. Zwykle nie są groźne.

- To nie jest takie pęknięcie, jakie widzicie na moście - ciągnął Merthin. - Wbrew temu, co powiedział Elfric, te łuki są dostatecznie mocne: grubość każdego jest jedną dwudziestą jego średnicy u podstawy, co stanowi standardową proporcję w każdym kraju.

Budowniczowie obecni na sali pokiwali głowami. Wszyscy znali tę proporcję.

- Korona jest nietknięta, jednakże są poziome pęknięcia na łukach po obu stronach centralnego filaru.

Znów zabrał głos Bill:

- Czasem widuje się to na czwórdzielnych sklepieniach.

- Których ten most nie ma - przypomniał Merthin. - Sklepienia to proste konstrukcje.

- Cóż więc jest powodem?

- Elfric nie trzymał się mojego projektu.

- Trzymałem się! - wykrzyknął Elfric.

- Po obu stronach filarów miały być umieszczone duże sterty kamieni.

- Sterty kamieni? - drwiąco powtórzył Elfric. - I twierdzisz, że one miały utrzymać nasz most?

- Owszem, tak twierdzą - rzekł Merthin. Widział, że nawet obecni na sali budowniczowie podzielali sceptycyzm Elfrica. Jednak oni nic nie wiedzieli o mostach, które różnią się od innych

budowli, ponieważ stoją w wodzie. - Te sterty kamieni były istotną częścią projektu.

- Nie było ich na rysunkach.

- Zechciałbyś pokazać nam moje rysunki, Elfricu, żeby dowieść swego?

- Planów już dawno nie ma.

- Rysunek zrobiłem na pergaminie. Powinien być w klasztornej bibliotece. Elfric spojrzął na Godwyna. W tym momencie wyraźnie było widać, że łączą ich wspólne interesy, i Merthin miał nadzieję, że wszyscy członkowie gildii to zauważą.

- Pergamin jest drogi - rzekł Godwyn. - Rysunek już dawno został zdrapany, a pergamin ponownie wykorzystany.

Merthin pokiwał głową, jakby wierzył Godwynowi. Wciąż nie było widać Jeremiaha. Może będzie musiał zwyciężyć w tym sporze bez pomocy oryginalnych planów.

- Te kamienie zapobiegłyby problemowi, który teraz powoduje pęknięcie - powiedział.

- To oczywiste, że tak twierdzisz, no nie? - wtrącił Philemon. - Tylko dlaczego mielibyśmy ci wierzyć? Mamy jedynie twoje słowo przeciw słowu Elfrica.

Merthin zrozumiał, że będzie musiał nadstawić karku. Wszystko albo nic, pomyślał.

- Powiem wam, na czym polega problem, i udowodnię to za dnia, jeśli jutro rano spotkacie się ze mną nad rzeką.

Mina Elfrica zdradzała, że chce odmówić, lecz Bill Watkin go uprzedził:

- W porządku! Będziemy tam.

- Billu, możesz przyprowadzić dwóch rozsądnych chłopców, którzy dobrze pływają i nurkują?

- Oczywiście.

Elfric stracił kontrolę nad zebraniem i Godwyn interweniował, ujawniając się jako ten, który pociąga za sznurki.

- A cóż to za żarty chcesz sobie stroić? - spytał gniewnie. Jednak już było za późno. Inni byli zaciekawieni.

- Pozwólmy mu to zrobić - rzekł Bill. - Jeśli to żart, szybko się dowiemy. W tym momencie wszedł Jeremiah. Merthin z zadowoleniem stwierdził, że niesie drewnianą ramę z rozpiętym na niej arkuszem pergaminu. Zaskoczony Elfric wybałuszył oczy. Godwyn pobrał.

- Kto ci to dał? - syknął.

- Ciekawe pytanie - skomentował Merthin. - Lord przeor nie pyta, co pokazuje ten rysunek ani skąd się wziął... wydaje się to wiedzieć. On tylko zastanawia się, kto go dał.

- Nieważne - uciął Bill. - Pokaż nam ten rysunek, Jeremiahu. Jeremiah stanął przed wagą do węgla i obrócił ramę tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć rysunek. Na końcach przęsła widniały sterty

kamieni, o których mówił Merthin.

Merthin wstał.

- Rano wyjaśnię, jaką pełnią funkcję.

Lato zmieniało się w jesień i o świcie na brzegu rzeki było zimno. Jakoś rozeszła się wieść o tym, co się będzie działo, i oprócz członków gildii dwieście lub trzysta osób czekało na starcie między Merthinem a Elfricem. Przyszła nawet Caris. Merthin pojął, że nie jest to jedynie spór o kwestie inżynierskie. Był młodzikem podważającym autorytet starego byka i stado dobrze to rozumiało.

Bill Watkin przyprowadził dwóch dwunasto - lub trzynastoletnich chłopców rozebranych do gatek i drżących z zimna. Okazało się, że to młodszy synowie Marka Webbera, Dennis i Noah. Trzynastoletni Dennis był niski i krępy jak jego matka, miał rudobrazowe włosy barwy jesiennych liści. Noah, młodszy od niego o dwa lata, był wyższy i zapewne miał być równie postawny jak Mark. Merthin identyfikował się z niskim rudzielcem. Zastanawiał się, czy Dennis jest skrępowany tym - tak jak on sam w jego wieku - że jego młodszy brat jest wyższy i silniejszy.

Merthin obawiał się, że Elfric może zaprotestować przeciwko nurkowaniu chłopców Marka, twierdząc, że mogli zostać z góry poinstruowani przez ojca, co mają mówić. Jednak Elfric nic nie powiedział. Mark był zbyt uczciwy, by ktokolwiek mógł podejrzewać go o takie oszustwo, i może nawet Elfric zdawał sobie z tego sprawę. A raczej rozumiał to Godwyn.

Merthin powiedział chłopcom, co mają robić.

- Podpłyńcie do głównego filara, a potem zanurkujcie. Zobaczycie spory odcinek gładkiego filara. Potem będzie fundament, wielka sterta kamieni spojonych zaprawą. Kiedy dotrzecie do dna, obmacajcie fundament. Zapewne nie zdołacie niczego zobaczyć, bo woda będzie zbyt zamulona, jednak wstrzymajcie oddech najdłużej, jak zdołacie, i dokładnie zbadajcie podstawę. Potem wypłyniecie i powiecie nam, co znaleźliście.

Obaj wskoczyli do wody, a Merthin przemówił do zgromadzonych mieszkańców miasta.

- Dno rzeki nie jest kamieniste, lecz muliste. Prąd omywa filary mostu i zabiera spod nich muł, pozostawiając dół wypełniony jedynie wodą. Tak się stało ze starym drewnianym mostem. Dębowe filary wcale nie opierały się na dnie, tylko wisiały na górnej części konstrukcji. Dlatego most się zawalił. Aby to samo nie zdarzyło się z nowym mostem, przewidziałem duże sterty kamieni u podstawy filarów. Miały chronić most przed nurtem, rozdzielać go i osłabiać. Jednak tych kamieni tu nie umieszczono i filary zostały podmyte. Teraz już nie podtrzymują mostu, lecz zwisają z niego, i dlatego są pęknięcia w miejscach złączenia przęsła z łukiem.

Elfric prychnął sceptycznie, lecz inni budowniczowie byli zaintrygowani. Chłopcy dotarli na

środek rzeki, dotknęli centralnego filaru, nabrali powietrza i znikli pod wodą.

- Kiedy wrócą - powiedział Merthin - powiedzą nam, że przeszło nie opiera się na dnie rzeki, lecz wisi nad dołem pełnym wody, tak dużym, że zmieściłby się w nim dorosły mężczyzna.

Miał nadzieję, że się nie myli.

Chłopcy pozostawali pod wodą zadziwiająco długo. Merthin stwierdził, że mimowolnie wstrzymuje oddech, wczuwając się w ich położenie. W końcu z wody wynurzyła się mokra ruda głowa, a za nią druga, ciemniejsza. Chłopcy zamienili kilka zdań, kiwając głowami, jakby upewniali się, że obaj widzieli to samo, po czym popłynęli do brzegu.

Merthin nie był całkiem pewien swojej oceny, ale nie przychodziło mu do głowy żadne inne wyjaśnienie. Mimo to uważał, że powinien udawać pewność siebie. Jeśli teraz okaże się, że był w błędzie, wyjdzie na głupca.

Chłopcy dotarli do brzegu i dysząc, wyszli z wody. Madge wręczyła im koce, którymi okryli drżące ramiona. Merthin dał im chwilę na złapanie tchu, po czym spytał:

- No? Co znaleźliście?

- Nic - odparł starszy, Dennis.

- Jak to nic?

- Tam nic nie ma. Pod tym filarem. Elfric miał triumfalną minę.

- Chcesz powiedzieć, że jest tam tylko muł?

- Nie! - rzekł Dennis. - Nie muł, tylko woda.

- Tam jest dół, w którym bez trudu można by się schować! - wtrącił Noah. - Ten wielki filar po prostu wisi w wodzie i o nic się nie opiera.

Merthin starał się ukryć ulgę.

- To wcale nie świadczy o tym, że kupa kamieni rozwiązałaby ten problem! - wybuchnął Elfric.

Jednak nikt go nie słuchał. W oczach tłumu Merthin dowiódł swojej racji. Zebrali się wokół niego, komentując i zadając pytania. Po chwili Elfric odszedł.

Merthin mu współczuł - przez moment. Potem przypomniał sobie, że kiedy był jego terminatorem, Elfric uderzył go kijem w twarz, i współczucie rozwiało się w zimnym porannym powietrzu.

56

Następnego ranka do Merthina, wciąż mieszkającego w gospodzie Bella, przyszedł mnich. Kiedy zdjął z głowy kaptur, Merthin nie od razu go poznał. Po chwili zauważył kikut lewej ręki i pojął, że to brat Thomas, teraz czterdziestoletni, z siwą brodą i głębokimi bruzdami wokół oczu i ust.

Czyjego tajemnica wciąż jest bezpieczna, pomimo upływu lat? - zastanawiał się Merthin. Czy życie Thomasa byłoby zagrożone nawet teraz, gdyby prawda wyszła na jaw?

Jednak Thomas nie przyszedł rozmawiać o tej sprawie.

- Miałeś rację co do mostu - powiedział.

Merthin skinął głową. Czuł gorzką satysfakcję. Miał rację, lecz przeor Godwyn go zwolnił i w rezultacie jego most nigdy nie będzie doskonały.

- Chciałem już wtedy wyjaśnić znaczenie tych stert kamieni - rzekł - jednak wiedziałem, że Elfric i Godwyn mnie nie posłuchają. Dlatego powiedziałem o tym Edmundowi Woolerowi, lecz on umarł.

- Powinieneś był powiedzieć mnie.

- Żałuję, że tego nie zrobiłem.

- Chodź ze mną do kościoła - poprosił Thomas. - Skoro wyczytałeś tyle z kilku pęknięć, chcę ci coś pokazać.

Zaprowadził Merthina do południowego transeptu. Tu i w południowej nawie chóru Elfric przebudował arkady po tym, jak częściowo zawały się przed jedenastoma laty. Merthin natychmiast zrozumiał, co niepokoi Thomasa: pęknięcia pojawiły się znowu. ».

- Uprzedzałeś, że znowu do tego dojdzie - rzekł Thomas.

- Owszem, jeśli nie odkryje się ich przyczyny.

- Miałeś rację. Elfric i w tej sprawie się mylił.

Merthin poczuł przypływ podniecenia. Jeśli trzeba będzie przebudować wieżę...

- Ty to rozumiesz, a Godwyn? Thomas nie odpowiedział na to pytanie.

- Jak sądzisz, co jest tego przyczyną?

Merthin skupił się na najważniejszym problemie. Zastanawiał się nad nim wielokrotnie w ciągu minionych lat.

- To nie jest pierwotna wieża, prawda? - rzekł. - Według Księgi Timo-thy 'ego została przebudowana i podwyższona.

- Tak, około stu lat temu, kiedy handel wełną kwitł. Myślisz, że jest za wysoka?

- To zależy od fundamentów.

Teren, na którym stała katedra, łagodnie opadał na południe, ku rzece, co mogło być powodem pęknięć. Merthin przeszedł przez środek, pod wieżę, do północnego transeptu. Stał u podnóża potężnej kolumny w północno-wschodnim końcu i spojrzał na łuk biegnący nad jego głową, przez północną nawę chóru do ściany.

- Martwi mnie południowa nawa - rzekł lekko zirytowany Thomas. - Tu nic się nie

dzieje.

Merthin pokazał mu palcem.

- Tam jest pęknięcie pod spodem łuku, na podniebieniu, przy koronie - wyjaśnił. - Takie same są na moście, jeśli filary zbyt płytko tkwią w ziemi i zaczynają się rozchodzić.

- Chcesz powiedzieć, że ta wieża odchodzi od północnego transeptu? Merthin wrócił i obejrzał identyczny łuk po południowej stronie.

- Ten też jest pęknięty, lecz od góry, przy sklepieniu, widzisz? Mur nad nim także jest popękany.

- To nie są duże pęknięcia.

- Jednak świadczą o tym, co się dzieje. Od północnej strony łuk jest rozciągany, od południowej ściskany. To oznacza, że wieża odsuwa się na południe.

Thomas czujnie spojrzał w górę.

- Wydaje się stać prosto.

- Nie zobaczysz tego gołym okiem. Jeśli jednak wejdiesz na wieżę i spuścisz obciążoną linę z jednej z kolumn tuż pod złączeniem łuku, zauważysz, że zanim dotknie posadzki, będzie odchylona o kilka cali od południowej kolumny. A odchylająca się wieża odrywa się od ściany chóru, gdzie widać największe uszkodzenia.

- Co można zrobić?

Merthin miał ochotę odpowiedzieć: „Możecie zlecić budowę nowej wieży mnie”. Jednak na to było za wcześnie.

- Dokładnie sprawdzić przed przystąpieniem do jakiegokolwiek remontu - odparł, skrywając podniecenie. - Ustaliliśmy, że te pęknięcia pojawiły się, ponieważ wieża się odrywa. Ale dlaczego tak się dzieje?

- Jak się tego dowiemy?

- Kopiąc dół - odrzekł Merthin.

W końcu to Jeremiaś wykopał dół. Thomas nie chciał zatrudniać do tego Merthina. Powiedział, że i tak z trudem wydusił od Godwyna, który nigdy na nic ich nie miał, pieniądze na sfinansowanie ekspertyzy. Nie mógł zlecić tego Elfricowi, który powiedziałby, że nie ma czego badać. Tak więc wybrał kompromis i zatrudnił dawnego czeladnika Merthina.

Jeremiaś sporo nauczył się od swego mistrza i lubił pracować szybko. Pierwszego dnia zdjął płyty posadzki w południowym transepcie. Następnego dnia jego ludzie zaczęli kopać wokół olbrzymiego południowo-wschodniego filara sklepienia.

Gdy dół zrobił się głębszy, Jeremiaś zbudował drewniany wyciąg do wydobywania

wykopanej ziemi. Po tygodniu musiał umieścić w wykopie drewniane drabiny, żeby robotnicy mogli dostać się na dno.

Tymczasem gildia parafialna dała Merthinowi kontrakt na naprawę mostu. Oczywiście Elfric był przeciwny tej decyzji, lecz nie mógł twierdzić, że jest najlepszym kandydatem, więc prawie nie protestował.

Merthin szybko i energicznie wziął się do pracy. Zrobił koferdamy wokół obu uszkodzonych filarów, osuszył je i zaczął wypełniać wymyte pod nimi doły głazami i zaprawą. Następnie miał otoczyć filary stertami głazów, co zamierzał zrobić od samego początku. Wreszcie zamierzał usunąć paskudne żelazne klamry Elfrica i zamurować pęknięcia. Jeśli naprawione filary będą solidne, pęknięcia już się nie pojawią.

Jednak tym, czego naprawdę chciał, był kontrakt na przebudowę wieży.

To nie byłoby łatwe. Jego projekt musiałby zostać zaakceptowany przez opactwo i radę, którymi obecnie zarządzili jego dwaj najzjadlejsi wrogowie, Godwyn i Elfric. A Godwyn musiałby znaleźć pieniądze.

Merthin zaczął od tego, że zachęcił Marka do kandydowania na burmistrza na miejsce Elfrica. Wyboru dokonywano raz w roku, na Wszystkich Świętych, pierwszego listopada. W praktyce wybierano przeważnie dotychczasowego burmistrza, chyba że zrezygnował lub umarł. Jednak nie było cienia wątpliwości, że rywalizacja jest dozwolona. W istocie, sam Elfric zgłosił swoją kandydaturę, kiedy Edmund Wooler jeszcze sprawował ten urząd.

Mark nie potrzebował zachęty. Korciło go, żeby położyć kres rządóm Elfrica. Elfric był tak związany z Godwynem, że istnienie gildii parafialnej nie miało właściwie sensu. W rezultacie miastem rządził opat - o ciasnych horyzontach, konserwatywny, niechętny nowym pomysłóm, niedbający o interesy mieszczan.

Obaj kandydaci zaczęli zjednywać sobie zwolenników. Elfric miał swoich popleczników, głównie zatrudnianych przez siebie ludzi lub dostawców materiałów. Jednak stracił twarz w sporze o most i ci, którzy go popierali, byli przygnębieni. Natomiast zwolennicy Marka przeciwnie, triumfowali.

Merthin codziennie odwiedzał katedrę i oglądał fundamenty potężnej kolumny odsłaniane przez wykop Jeremiaha. Były zrobione z takich samych kamieni jak reszta budowli, ułożonych w spojonych zaprawą warstwach, lecz nie tak starannie obrobionych, ponieważ miały być niewidoczne. Każda niższa warstwa była odrobinę szersza od poprzedniej, co tworzyło rodzaj piramidy. W miarę jak pogłębiano dół, Merthin szukał słabych miejsc w każdej odsłoniętej warstwie, ale żadnego nie znalazł. Był jednak pewien, że w końcu znajdzie.

Nikommu nie powiedział, co mu chodzi po głowie. Jeśli się nie mylił i trzynastowieczna wieża była po prostu za ciężka dla fundamentów z dwunastego wieku, trzeba będzie zastosować drastyczne rozwiązanie: rozebrać starą wieżę i wybudować nową. A ta nowa mogłaby być najwyższą wieżą w Anglii...

Pewnego dnia w połowie października przy wykopie pojawiła się Caris. Był wczesny ranek i blask zimowego słońca wpadł przez wielkie wschodnie okno. Stała na skraju wykopu, a kaptur na jej głowie wyglądał jak aureola. Serce Merthina zaczęło szybciej bić. Może ma dla niego odpowiedź? Pospiesznie wyszedł po drabinie na górę.

Była piękna jak zawsze, choć w tym jasnym świetle mógł dostrzec niewielkie zmiany, jakich na jej twarzy dokonał czas - skóra nie była już tak gładka, a w kącikach ust zauważył drobne zmarszczki. Jednak jej zielone oczy wciąż jarzyły się żywą inteligencją, którą tak kochał.

Razem przeszli wzdłuż południowej nawy i stanęli pod filarem, który zawsze przypominał mu o tym, jak kiedyś ją tu pieścił.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział. - Ukrywałaś się.
- Jestem zakonnicą. Powinam żyć w odosobnieniu.
- Jednak myślisz o zerwaniu ślubów.
- Jeszcze nie podjęłam decyzji. Był załamany.
- Ile jeszcze czasu potrzebujesz?
- Nie wiem.

Odwrócił głowę, nie chciał okazywać, jak bardzo rani go jej wahanie. Nic jednak nie rzekł. Mógł jej powiedzieć, że jest niemądra, ale co by to dało?

- Zapewne prędzej czy później odwiedzisz swoich rodziców w Tench - powiedziała.

Skinął głową.

- Raczej prędzej, chcę zobaczyć Lollę.

On też chciał ich zobaczyć i zwlekał z tym tylko dlatego, że pochłonęła go praca przy moście i wieży.

- W takim razie chciałabym, żebyś porozmawiał z twoim bratem o Wulfricu z Wigleigh.

Merthin chciał rozmawiać o sobie i Caris, nie o Wulfricu i Gwendzie.

Zareagował chłodno.

- Wulfric nie dostaje pieniędzy za swą pracę, tylko wyżywienie, ponieważ Ralph nie pozwala mu uprawiać nawet kilku akrów.

Merthin wzruszył ramionami.

- Wulfric złamał Ralphowi nos.

Czuł, że ta rozmowa zmierza ku kłótni, i zadawał sobie pytanie, dlaczego jest zły. Caris nie rozmawiała z nim od tygodni, lecz przerwała milczenie z powodu Gwendy. Uświadomił sobie, iż zazdrości Gwendzie miejsca, jakie zajmuje w sercu Caris. To niegodne uczucie, powiedział sobie, ale nie mógł się go pozbyć.

Caris poczerwieniała ze złości.

- To było dwanaście lat temu! Czy nie czas, żeby Ralph przestał go karać? Merthin zapomniał już o ostrych sporach, jakie toczył z Caris, ale teraz rozpoznał znajomą sytuację. Spróbował zbagatelizować problem.

- Oczywiście, moim zdaniem powinien przestać. Jednak liczy się zdanie Ralph'a.

- Zatem spróbuj jego zdanie zmienić. Nie spodobał mu się ten rozkazujący ton.

- Jestem na twoje rozkazy - rzekł kpiąco.

- Skąd ta ironia?

- Ponieważ nie jestem na twoje rozkazy, rzecz jasna, choć ty zdajesz się sądzić inaczej. I czuję się trochę głupio, słuchając cię.

- Rany boskie! - westchnęła. - Jesteś urażony, że cię o to poprosiłam? Z jakiegoś powodu był pewien, że postanowiła go odrzucić i pozostać w klasztorze. Spróbował opanować emocje.

- Gdybyśmy byli parą, mogłabyś prosić mnie o wszystko. Skoro jednak wciąż dopuszczasz myśl o odrzuceniu mnie, wydaje się to trochę aroganckie z twojej strony.

Wiedział, że zabrzmiało to nieco pompatycznie, ale nie mógł się powstrzymać. Gdyby ujawnił swoje prawdziwe uczucia, zalałby się łzami.

Caris była jednak zbyt urażona, żeby zauważyć jego przygnębienie.

- Przecież nie chodzi mi o siebie! - zaprotestowała.

- Rozumiem, że robisz to z dobrego serca, ale mimo to czuję się wykorzystywany.

- W porządku, więc tego nie rób.

- Oczywiście, że to zrobię.

Nie mógł już dłużej tego znieść. Odwrócił się i odszedł. Trząśł się pod wpływem uczucia, którego nie potrafił nazwać. Idąc nawą wielkiego kościoła, próbował wziąć się w garść. Doszedł do wykopu. To było głupie, pomyślał. Odwrócił się i spojrział, lecz Caris już znikła.

Stał na skraju wykopu, patrząc na dół, czekając, aż ucichnie szalejąca w jego sercu burza uczuć.

Po chwili zauważył, że prace weszły w decydującą fazę. Trzydzieści stóp niżej robotnicy wkopali się poniżej fundamentów i zaczęli odsłaniać to, co znajduje się pod spodem. Teraz nic już nie

mógł zrobić w sprawie Caris. Lepiej skupić się na pracy. Nabrał powietrza, przełknął ślinę i zszedł po drabinie.

Nadeszła chwila prawdy. Przygnębienie wywołane rozmową z Caris uleciało, gdy obserwował wkopujących się głębiej robotników. Jedną łopatę twardej ziemi za drugą wyciągano i odrzucano na bok. Merthin przyglądał się warstwie ziemi odsłoniętej pod fundamentem. Wyglądała na mieszaninę piasku i kamyków. Gdy mężczyźni usunęli ziemię, piasek zaczął osypywać się do wykopywanej dziury. „,

Merthin kazał im przestać.

Uklęknął i wziął garść piaszczystej gleby. Ta warstwa była niepodobna do innych. Nie była naturalną warstwą gleby, tak więc została usypana przez budowniczych. Podniecenie wywołane tym odkryciem zagłuszyło żal po rozmowie z Caris.

- Jeremiahu! - zawołał. - Jak najszybciej przyprowadź brata Thomasa! Kazał robotnikom kopać dalej, ale węższy otwór: w tym punkcie wykop mógł stać się zagrożeniem dla budowli. Po chwili Jeremiah wrócił z Thomasem i we trzech patrzyli, jak robotnicy pogłębiają wykop. W końcu piaszczysta warstwa skończyła się, a następną okazała się zwyczajna gliniasta ziemia.

- Zastanawiam się, co to za piach - rzekł Thomas.

- Chyba wiem - powiedział Merthin. Starał się ukryć triumf. Już przed laty przewidywał, że naprawy Elfrica nic nie dadzą, jeśli nie odkryje się źródła problemów, i miał rację - jednak nie ma sensu mówić: „a nie mówiłem”.

Thomas i Jeremiah spoglądali na niego wyczekująco.

- Robiąc wykop pod fundamenty - wyjaśnił - wysypuje się jego dno warstwą gruzu i zaprawy. Potem kładzie się na tym warstwy kamieni. To bardzo dobry sposób, o ile fundament jest proporcjonalnie gruby w stosunku do stojącej na nim budowli.

- Obaj to wiemy - niecierpliwie wtrącił Thomas.

- Co zdarzyło się tutaj, to to, że znacznie wyższą wieżę wzniesiono na fundamencie, który nie był dla niej przeznaczony. Dodatkowy ciężar, działając przez sto lat, skruszył warstwę gruzu i zaprawy na piasek. Piach nie jest związany i pod ciśnieniem rozchodzi się do gleby wokół fundamentu, przez co oparta na nim konstrukcja się zapada. Jest to wyraźniej widoczne po południowej stronie, po prostu dlatego, że tam opada stok.

Był bardzo zadowolony z tego, że na to wpadł. Tamci dwaj zamyślili się.

- Chyba będziemy musieli wzmocnić fundamenty - rzekł w końcu Thomas. Jeremiah pokręcił głową.

- Przed jakimkolwiek wzmocnieniem murów musielibyśmy usunąć warstwę piasku,

pozbawiając fundamenty oparcia. Wieża by się zawaliła.

- Cóż więc możemy zrobić? - zapytał Thomas z niepokojem. Obaj spojrzeli na Merthina.

- Zbudować prowizoryczny dach nad kopułą, postawić rusztowania i rozebrać wieżę, kamień po kamieniu, po czym wzmocnić fundamenty.

- Ale potem musielibyśmy zbudować nową wieżę.

Tego właśnie chciał Merthin, ale nie powiedział tego głośno. Thomas mógłby podejrzewać, że wybujałe aspiracje wpłynęły na jego ocenę sytuacji.

- Obawiam się, że tak - odparł z udawanym smutkiem.

- Przeorowi Godwynowi to się nie spodoba.

- Wiem. Jednak nie sądzę, żeby miał jakiś wybór.

Następnego dnia Merthin opuścił Kingsbridge z Lollą siedzącą przed nim w siodle. Kiedy jechali przez las, w myślach obsesyjnie odtwarzał rozmowę z Caris. Wiedział, że był niemiły. Co za głupota, kiedy próbuje się odzyskać ukochaną. Co w niego wstąpiło? Prośba Caris była najzupełniej rozsądna. Dlaczego nie chciał oddać takiej drobnej przysługi kobiecie, którą pragnie poślubić?

Jednak ona nie zgodziła się za niego wyjść. Wciąż przyznawała sobie prawo do odmowy. To był powód jego gniewu. Wykorzystywała przywileje narzeczonej, nie przyjąwszy oświadczyn.

Teraz widział, że postąpił małodusznie, zgłaszając na tej podstawie obiekcje. Był głupi, zmieniając w sprzeczkę coś, co mogło być cudownie intymną chwilą.

Z drugiej strony przyczyna jego udręki była teraz aż nazbyt oczywista. Jak długo Caris każe mu czekać na odpowiedź? Jak długo on jest gotów czekać? Nie chciał o tym myśleć.

W każdym razie wyjdzie mu to na dobre, jeśli zdoła namówić Ralpa, aby przestał prześladować biednego Wulfrica.

Tench leżało na drugim końcu hrabstwa i po drodze Merthin spędził noc w wietrznym Wigleigh. Zastał Gwendę i Wulfrica wychudzonych po deszczowym lecie i drugich kiepskich żniwach z rzędu. Blizna Wulfrica wydawała się jeszcze bardziej widoczna na zapadniętym policzku. Ich dwaj mali synkowie byli bladzi, mieli katar i opryszczkę na wargach.

Merthin podarował im jagnięcy udziec, beczułkę wina i złotego florena, mówiąc, że to dary od Caris. Gwenda upiekła jagnięcinę na ogniu. Szalala z wściekłości, sycząc i prychnając jak kotka, gdy obracała mięso na rożnie i opowiadała o wyrządzonej im krzywdzie.

- Perkin ma niemal połowę ziemi w wiosce! - mówiła. - I może obrabiać ją tylko dlatego, że ma Wulfrica, który pracuje za trzech. On jednak chce jeszcze więcej i trzyma nas w ubóstwie.

- Przykro mi, że Ralph wciąż żywi urazę - rzekł Merthin.

- Ralph sam sprowokował tę bójkę! - przypomniała Gwenda. - Nawet lady Philippa tak

powiedziała.

- Stare właśnie - filozoficznie skwitował Wulfric.

- Spróbuję przemówić mu do rozsądku - obiecał Merthin. - To mało prawdopodobne, ale gdyby mnie posłuchał, to czego od niego chcecie?

- Ach... - westchnął Wulfric z rozmarzonym spojrzeniem, co było u niego czymś niezwykłym. - Modlę się co niedziela, żebym odzyskał ziemię uprawianą przez mojego ojca.

- Tak się nigdy nie stanie - szybko wtrąciła Gwenda. - Perkin za dobrze się okopał. A gdyby nawet umarł, ma syna i zamężną córkę, czekających na spadek, oraz wnuki, które rosną z każdym dniem. Jednak chcielibyśmy mieć kawałek własnej ziemi. Przez jedenaście lat Wulfric ciężko pracował, żywiąc cudze dzieci, czas, żeby miał z tego jakąś korzyść.

- Powiem mojemu bratu, że karał was już dostatecznie długo-rzekł Merthin.

Następnego dnia ruszył z Lollą z Wigleigh do Tench. Umocnił się w postanowieniu, że zrobi coś dla Wulfrica. Nie tylko, żeby sprawić przyjemność Caris i wynagrodzić jej swoje zachowanie. Było mu przykro i smutno, że dwoje tak uczciwych i ciężko pracujących ludzi jak Wulfric i Gwenda cierpi biedę i głód, a ich dzieci chorują z powodu mściwości Ralpha.

Jego rodzice mieszkali w domku we wsi, nie w samym dworze. Merthin był wstrząśnięty tym, jak bardzo zestarzała się jego matka, choć ożywiła się, kiedy zobaczyła Lollę. Ojciec wyglądał lepiej.

- Ralph jest dla nas bardzo dobry - rzekł obronnym tonem, który sugerował Merthinowi coś wręcz przeciwnego.

Dom był dość wygodny, ale woleliby mieszkać we dworze z synem. Merthin odgadł, że Ralph nie chce, by matka widziała wszystko, co robi.

Oprowadzili go po domu i Gerald zapytał Merthina, jak się mają sprawy w Kingsbridge.

- Miasto wciąż rozkwita, pomimo skutków królewskiej wojny z Francją.

- Och, ale Edward musi walczyć o swoje - rzekł ojciec. - Mimo wszystko jest prawowitym dziedzicem tronu Francji.

- Sądzę, że to mrzonki, ojczu. Nieważne, ile razy król najedzie Francję, tamtejsza szlachta nie zaakceptuje Anglika jako swego władcy. A król nie może rządzić bez poparcia hrabiów.

- Musimy jednak powstrzymać francuskie napady na nasze porty na południowym wybrzeżu.

- Ten problem skończył się po bitwie pod Sluys, gdzie zniszczono francuską flotę, czyli osiem lat temu. Poza tym palenie zbóż wieśniakom nie powstrzyma piratów, może jedynie zwiększyć ich liczbę.

- Francuzi popierają Szkotów, którzy wciąż najeżdżają nasze północne hrabstwa - zauważył Gerald.

- Nie sądzisz, że król łatwiej poradziłby sobie ze szkockimi napadami, gdyby był na północy Anglii, a nie na północy Francji?

Gerald był zaskoczony. Zapewne nigdy nie przyszło mu do głowy, by kwestionować sens tej wojny.

- No cóż, Ralph został pasowany na rycerza - rzekł. - I przywiózł twojej matce srebrną świecę z Calais.

No i właśnie w tym rzecz, pomyślał Merthin. Prawdziwym powodem tej wojny jest żądza łupów i sławy.

Wszyscy poszli do dworu. Ralph był na polowaniu z Alanem Fernhillem. W wielkiej sali stał ogromny drewniany tron, na którym zapewne zasiadał lord. Merthin zobaczył młodą dziewczynę w zaawansowanej ciąży. Wziął ją za służącą. Był skonsternowany, gdy przedstawiono mu ją jako żonę Ralpha, Tilly. Poszła do kuchni, by przynieść wino.

- Ile ona ma lat? - zapytał Merthin, kiedy wyszła.

- Czternaście.

Bywało, że dziewczęta zachodziły w ciążę w wieku czternastu lat, lecz mimo to Merthin uważał, że w porządnym rodzinach tak się nie dzieje. Takie wczesne ciążę zdarzały się zazwyczaj w rodzinach królewskich, pozostających pod ogromną presją polityczną, zmuszającą do płodzenia dziedziców, oraz wśród najuboższych i ciemnych wieśniaków, którzy nie mieli ani krzty rozumu.

- Jest trochę młoda, czyż nie? - zauważył cicho.

- Wszyscy prosiliśmy Ralpha, by zaczekał ze ślubem, ale nie usłuchał - odparła Maud.

Najwyraźniej ona też tego nie aprobowała.

Tilly wróciła ze służącą niosącą dzban wina i miskę jabłek. Mogłaby być śliczna, pomyślał Merthin, gdyby nie była taka zmęczona. Jego ojciec zwrócił się do niej z wymuszoną swobodą:

- Rozchmurz się, Tilly! Twój mąż wkrótce będzie w domu. Chyba nie chcesz powitać go taką smutną miną.

- Mam dość tej ciąży - powiedziała. - Chciałabym, żeby dziecko jak najszybciej przyszło na świat.

- To już niedługo - pocieszyła ją Maud. - Powiedziałabym, że trzy lub cztery tygodnie.

- To jak wieczność. Usłyszeli tętent koni.

- Chyba wraca Ralph - powiedziała Maud.

Czekając na brata, którego nie widział od dziewięciu lat, Merthin jak zwykle żywił mieszane uczucia. Jego stosunek do Ralpha zawsze był skażony wiedzą o wszystkich złych postępkach, jakich się dopuścił. Gwałt na Annet był jedynie początkiem. Jako bandyta Ralph mordował niewinnych

mężczyzn, kobiety i dzieci. Podróżując przez Normandię, Merthin słyszał o potwornościach popełnianych przez armię króla Edwarda i chociaż nie wiedział, co dokładnie uczynił Ralph, głupotą byłoby sądzić, że trzymał się z daleka od tej orgii gwałtów, palenia, grabieży i mordów. Jednak Ralph był jego bratem.

Merthin był pewien, że Ralph też będzie miał mieszane uczucia. Mógł nie wybaczyć Merthinowi tego, że zdradził miejsce jego bandyckiej kryjówki. I chociaż Merthin kazał bratu Thomasowi obiecać, że Ralpa nie zabije, wiedział, że schwytany Ralph zapewne zostanie powieszony. Ostatnie słowa, jakie Ralph powiedział do Merthina w więzieniu w piwnicy domu gildii parafialnej w Kings-bridge, brzmiały: „Zdradziłeś mnie”.

Ralph wszedł z Alanem. Obaj byli ubłoceni po polowaniu. Merthina zaskoczyło to, że brat utyka. Ralph poznał go dopiero po chwili i uśmiechnął się szeroko.

- Mój duży brat! - rzekł serdecznie.

To był stary żart: Merthin był starszy, ale niższy.

Uściskali się. Mimo wszystko Merthin poczuł przypływ ciepłych uczuć. Przynajmniej obaj żyjemy, pomyślał, pomimo wojny i zarazy. Kiedy się rozstawali, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś się spotkają.

Ralph opadł na tron.

- Przynieś piwo, jesteśmy spragnieni! - rzucił do Tilly. Merthin pomyślał, że nie będzie wzajemnych oskarżeń.

Przyjrzał się bratu. Ralph zmienił się od tamtego dnia w 1339 roku, kiedy pojechał na wojnę. Stracił trzy palce lewej ręki, zapewne w jakiejś bitwie. Miał wygląd hulaki: twarz czerwoną od nadużywania piwa i wina, a skórę suchą i łuszczącą się.

- Udało się polowanie? - zapytał Merthin.

- Przynieśliśmy jelenia tłustego jak krowa - z satysfakcją odparł Ralph. - Dostaniecie jego wątrobę na kolację.

Merthin zapytał go o służbę w królewskiej armii, a Ralph opowiedział trochę o wojnie. Ojciec słuchał tego z entuzjazmem.

- Angielski rycerz jest wart dziesięciu francuskich! - wykrzyknął. - Dowiodła tego bitwa pod Crecy.

Odpowiedź Ralpa była zaskakująco stonowana.

- Moim zdaniem angielski rycerz niewiele różni się od francuskiego. Tyle tylko, że Francuzi jeszcze nie wiedzą, jak poradzić sobie z naszym szykiem obronnym, z łucznikami na flankach i pieszymi rycerzami oraz zbrojnymi w środku. Wciąż przeprowadzają samobójcze szarże i może

jeszcze długo będą to robili. Jednak pewnego dnia zrozumieją, w czym rzecz, i wtedy zmienią taktykę. Na razie jesteśmy niemal niepokonani w obronie. Niestety, nasz szyk jest bezyteczny w ataku, tak więc w końcu zwycięstwo niewiele nam dało.

Merthin był zaskoczony tym, jak jego brat dojrzał. Wojna nauczyła go rozumu i subtelności, których przedtem nie posiadał.

On z kolei opowiedział o Florencji, o niewiarygodnej wielkości tego miasta, bogactwie kupców, kościołach i pałacach. Ralph szczególnie zainteresowała wzmianka o niewolnicach.

Zapał zmrok i służby przynieśli lampy oraz świece, a potem kolację. Ralph wypił dużo wina. Merthin zauważył, że prawie nie rozmawia z Tilly. Może nic w tym dziwnego. Ralph był trzydziestjednoletnim żołnierzem, który pół swego dorosłego życia spędził w wojsku, a Tilly czternastoletnią dziewczyną wychowaną w klasztorze. O czym mieliby ze sobą rozmawiać?

Późno wieczorem, kiedy Gerald i Maud wrócili do swojego domu, a Tilly poszła spać, Merthin poruszył sprawę, o której załatwienie prosiła go Caris. Teraz był nieco bardziej optymistycznie nastawiony. Ralph wydorósł. Wybaczył Merthinowi to, co stało się w 1339 roku, a jego chłodna analiza angielskiej i francuskiej taktyki była zadziwiająco wolna od uprzedzeń.

- Jadąc tutaj, spędziłem noc w Wigleigh - zagał.
- Widzę, że tamtejsza gręplarnia nadal ma co robić.
- Szkarłatny materiał przynosi Kingsbridge niezłe zyski. Ralph wzruszył ramionami.
- Mark Webber płaci czynsz na czas.

Rozmowa o interesach była poniżej godności szlachcica.

- Zatrzymałem się u Gwendy i Wulfrica - ciągnął Merthin. - Wiesz, że Gwenda od dziecka była przyjaciółką Caris.

- Pamiętam ten dzień, kiedy wszyscy spotkaliśmy w lesie sir Thomasa Langleya.

Merthin zerknął na Alana Fernhilla. Wszyscy dotrzyмали dziecięcej przysięgi i nikomu nie powiedzieli o tym zdarzeniu i Merthin nadal chciał dochować tajemnicy, gdyż wyczuwał, że to ważne dla Thomasa, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Jednak Alan nie zareagował: wypił za dużo wina i nie chwycił takich uwag.

Merthin dorzucił pospiesznie:

- Caris prosiła mnie, żebym porozmawiał z tobą o Wulfricu. Uważa, że dostatecznie już go ukarałeś za tamtą bójkę. A ja się z nią zgadzam.

- On załamał mi nos!

- Widziałem to, pamiętasz? Nie byłeś bez winy. - Merthin próbował przybrać żartobliwy ton. - Obmacywałeś jego narzeczoną. Jak miała na imię?

- Annet.

- Jeśli jej cycki nie były warte złamanego nosa, to sam jesteś sobie winien. Alan roześmiał się, lecz Ralph nie wyglądał na rozbawionego.

- Przez Wulfrica o mało mnie nie powiesili, kiedy napuścił na mnie lorda Williama po tym, jak Annet udawała, że ją zgwałciłem.

- Jednak cię nie powiesili. A ty mieczem rozciąłeś Wulfricowi policzek, kiedy uciekłeś z sądu. To była okropna rana, widać było przez nią zęby. Na zawsze została mu blizna.

- I dobrze.

- Karałeś Wulfrica przez jedenaście lat. Jego żona jest chuda, a dzieci chore. Czy to ci nie wystarczy?

- Nie.

- Jak mam to rozumieć?

- To mi nie wystarczy.

- Dlaczego?! - wykrzyknął Merthin. - Nie rozumiem cię.

- Będę nadal karał Wulfrica i przeszkadzał mu, upokarzał jego i jego kobiety. Merthin był zaskoczony szczerością brata.

- Wielkie nieba, a to po co?

- Komu innemu nie odpowiedziałbym na to pytanie. Nauczyłem się, że rzadko warto się tłumaczyć. Jednak jesteś moim starszym bratem i od dziecka zawsze potrzebowałem twojej aprobaty.

Merthin zrozumiał, że Ralph wcale się nie zmienił, tyle że zdawał się znać siebie i rozumieć lepiej niż wtedy, gdy był młodszy.

- Powód jest prosty - ciągnął Ralph. - Wulfric się mnie nie boi. Nie bał się tamtego dnia podczas święta runa i nadal się nie boi, nawet po tym wszystkim, co mu zrobiłem. Dlatego nadal musi cierpieć.

Merthin był przerażony.

- To dożywotnia kara.

- Tego dnia, gdy spojrzy na mnie z lękiem w oczach, dostanie wszystko, czego zapragnie.

- Czy to jest dla ciebie aż tak ważne? - z niedowierzaniem zapytał Merthin. - To, żeby ludzie się ciebie bali?

- To najważniejsza rzecz na świecie - odparł Ralph.

57

Powrót Merthina wywarł wpływ na caletniasto. Caris obserwowała te zmiany ze zdumieniem i podziwem. Zaczęły się od jego zwycięstwa nad Elfrikiem na zebraniu gildii. Ludzie zrozumieli, że

miasto mogło stracić most na skutek nieudolności Elfrica, i to wyrwało ich z apatii. Jednak wszyscy wiedzieli, że Elfric jest narzędziem Godwyna, tak więc prawdziwym obiektem ich niechęci był przeor.

Zmieniał się również stosunek ludzi do opactwa. Pojawiły się buntownicze nastroje. Caris była optymistką. Mark Webber miał duże szanse na zwycięstwo w wyborach pierwszego listopada, po których zostałby burmistrzem. Gdyby tak się stało, przeor Godwyn nie mógłby już robić, co mu się żywnie podoba, i może miasto znów zaczęłoby rozkwitać: targi w soboty, nowe młyny, niezależne sądy, którym kupcy mogliby ufać.

Jednak większość czasu spędzała na rozmyślaniu o swoim położeniu. Powrót Merthina był trzęsieniem ziemi, które naruszyło fundamenty jej życia. Jej pierwszą reakcją było przerażenie na myśl o porzuceniu wszystkiego, nad czym pracowała przez ostatnie dziewięć lat: pozycji w klasztornej hierarchii, macierzyńskiej Cecilii, afektowanej Mair i niedołącznej Starej Julie, a przede wszystkim szpitala, o wiele czystszej, przytulnego i lepiej prowadzonego.

Kiedy jednak dni stały się krótsze i chłodniejsze, a Merthin naprawił swój most i zaczął kłaść fundamenty pod nowe budynki, które zamierzał wznieść na Wyspie Trędowatych, jej postanowienie pozostania zakonnica znacznie osłabło.

Klasztorne ograniczenia, które przestała dostrzegać, znów zaczęły ją razić. Oddanie Mair, będące miłym romantycznym akcentem, teraz stało się irytujące. Zaczęła myśleć o tym, jakie życie wiodłaby jako żona Merthina.

Dużo myślała o Lolli i o dziecku, które mogłaby z nim mieć. Lolla była ciemnooka i ciemnowłosa, zapewne jak jej włoska matka. Córka Caris miałaby pewnie zielone oczy rodziny Woolerów. Na myśl o tym, że mogłaby wszystko rzucić, żeby zająć się córką innej kobiety, Caris początkowo wzdragała się, jednak przestała, gdy tylko poznała małą.

Oczywiście nie mogła o tym porozmawiać z nikim w klasztorze. Matka Cecilia powiedziała, że musi dochować ślubów, a Mair błagałaby ją, żeby została. Tak więc sama biła się po nocach z myślami.

Kłótnia z Merthinem o Wulfrica doprowadziła ją do rozpacz. Kiedy odszedł, wróciła do swojej apteki i płakała. Dlaczego wszystko jest takie skomplikowane? Przecież chciała dobrze.

Kiedy Merthin był w Tench, zwierzyła się Madge Webber.

Dwa dni po wyjeździe Merthina Madge przyszła do szpitala o świcie, kiedy Caris i Mair przeprowadzały obchód.

- Martwię się o mojego Marka - wyznała.

- Wczoraj u niego byłam - powiedziała Mair do Caris. - Był w Melcombe i wrócił z gorączką oraz bólem brzucha. Nie mówiłam ci, bo to nie wyglądało na nic poważnego.

- Teraz kaszle krwią - powiedziała Madge.

- Pójdę do niego - rzekła Caris.

Webberowie byli jej starymi przyjaciółmi i wołała osobiście zająć się Markiem. Wzięła sakwę z podstawowymi lekami i poszła z Madge do jej domu przy głównej ulicy.

Pokoje znajdowały się na piętrze, nad warsztatem. Trzej synowie Marka niespokojnie kręcili się po jadalni. Madge zaprowadziła Caris do sypialni, gdzie panował przykry zaduch. Caris była przyzwyczajona do odoru sali chorych, mieszaniny potu, wymiotów i odchodów. Mark leżał na słomianym materacu, pocąc się obficie. Jego wielki brzuch sterczał, jakby był w ciąży. Córka, Dora, stała obok łóżka.

Caris uklękła przy Marku.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Kiepsko - wychrypiął Mark. - Mogę dostać coś do picia?

Dora podała Caris kubek wina, a ona przytknęła go do ust Marka. Dziwnie było widzieć tego wielkoluda tak bezradnym. Mark zawsze wydawał się niezniszczalny. To było niepokojące jak widok powalonego przez piorun dębu, który dotąd stał niezłomnie.

Dotknęła jego czoła. Był rozpalony - nic dziwnego, że chciało mu się pić.

- Daj mu pić tyle, ile będzie chciał - powiedziała. - Cienkie piwo jest lepsze od wina.

Nie powiedziała Madge, że jest zdziwiona i zaniepokojona chorobą jej męża.

Gorączka i ból brzucha to nic szczególnego, lecz plucie krwią źle wróży.

Wyjęła z torby flakonik z wodą różaną, zmoczyła nią kawałek wełnianej tkaniny i obmyła mu twarz oraz szyję. To natychmiast przyniosło mu ulgę. Woda trochę go ochłodzi, a perfumy złagodzą paskudny zapach w pokoju.

- Dam ci trochę leku z mojej apteki - powiedziała do Madge. - Medycy przepisują to na gorączkę mózgową. Pacjent jest rozgrzany i mokry, a róże chłodne i suche, powiadają mnisi. Tak czy owak, trochę mu pomoże.

- Dziękuję.

Jednak Caris nie знаła żadnej skutecznej kuracji na krwawe plwociny. Mnisi medycy orzekliby, że to nadmiar krwi, i zalecili jej upuszczenie, ale stosowali to niemal na wszystko i Caris nie wierzyła w skuteczność tej metody.

Obmywając szyję Marka, zauważyła objaw, o którym Madge nie wspomniała. Mark miał na karku i piersi ciemnopurpurową wysypkę.

Nigdy przedtem nie spotkała się z czymś takim i była zdziwiona.

- Chodź ze mną do klasztoru, to dam ci wodę różaną - poleciła Madge. Słońce wschodziło,

gdy szły z domu do szpitala.

- Moja rodzina dużo ci zawdzięcza - powiedziała Madge. - Byliśmy najbiedniejszymi ludźmi w mieście, dopóki nie wpadłaś na ten pomysł ze szkarłatem.

- Udało się tylko dzięki waszej energii i pracowitości. Madge skinęła głową. Wiedziała, co osiągnęła.

- Mimo wszystko nie byłoby tego bez ciebie.

Pod wpływem impulsu Caris postanowiła zaprowadzić Madge przez klauzurę do swojej apteki, żeby mogły spokojnie porozmawiać. Zwykle nie wpuszczano tam osób postronnych, lecz robiono wyjątki, a Caris stała teraz dostatecznie wysoko w hierarchii, żeby decydować, kiedy można złamać reguły.

Były same w ciasnym pomieszczeniu. Caris napełniła glinianą butelkę wodą różaną i poprosiła Madge o sześć pensów.

- Zastanawiam się nad zerwaniem ślubów - powiedziała. Madge skinęła głową, bynajmniej niezdziwiona.

- Wszyscy się zastanawiają, co zamierzasz zrobić.

Caris była zaskoczona, że mieszkańcy miasta znają jej myśli.

- Skąd o tym wiedzą?

- Nie trzeba być jasnowidzem. Poszłaś do klasztoru tylko po to, żeby uniknąć wyroku śmierci za czary. Po tym wszystkim, co tu zrobiłaś, powinnaś otrzymać ulaskawienie. Ty i Merthin kochaliście się i zawsze wydawaliście się dla siebie stworzeni. Teraz on wrócił. Z pewnością przynajmniej zastanawiasz się, czy za niego wyjść.

- Po prostu nie wiem, jakie byłoby moje życie jako czyjejś żony. Madge wzruszyła ramionami.

- Pewnie trochę podobne do mojego. Mark i ja razem handlujemy tkaninami. Ja muszę także zajmować się domem - wszyscy mężowie tego oczekują-lecz to nie jest takie trudne, szczególnie jeśli ma się pieniądze na służbę. I zawsze będziesz musiała więcej niż on zajmować się dziećmi. Ja jednak sobie radzę i ty też byś sobie poradziła.

- To nie brzmi zbyt zachęcająco. Madge uśmiechnęła się.

- Zakładam, że już wiesz o dobrych stronach: byciu kochaną i adorowaną, świadomości tego, że jest ktoś, kto zawsze będzie po twojej stronie, Kochaniu się co noc z silnym i czułym mężczyzną... dla mnie to jest szczęście.

Tymi prostymi słowami Madge odmalowała niezwykle sugestywny obraz i Caris nagle ogarnęła tęsknota niemal nie do zniesienia. Poczwała, że nie może się doczekać, kiedy porzuci to zimne,

twarde, pozbawione czułości życia w klasztorze, gdzie największym grzechem jest dotknięcie innej ludzkiej istoty. Gdyby w tym momencie Merthin wszedł do izby, zdarłaby z niego ubranie i wzięła go na ziemi.

Zobaczyła, że Madge obserwuje ją z uśmiechem, czytając jej w myślach. Zarumieniła się.

- W porządku - powiedziała Madge. - Ja to rozumiem. - Położyła na stole sześć pensów i wzięła butelkę. - Lepiej pójdę do domu i zajmę się moim mężczyzną.

Caris wzięła się w garść.

- Zajmij się nim i wezwij mnie natychmiast, gdyby coś się zmieniło.

- Dziękuję, siostrze. Nie wiem, co byśmy bez ciebie poczęli.

W drodze powrotnej do Kingsbridge Merthin był zamyślony. Nawet radosna paplanina Lolli nie wyrwała go z tego ponurego nastroju. Ralph wiele się nauczył, ale wcale się nie zmienił. Wciąż był okrutnikiem. Zaniedbywał żonę, ledwie tolerował rodziców i był mściwy w stopniu graniczącym z manią. Cieszył się ze swego szlacheckiego tytułu, ale nie poczuwał się do żadnej odpowiedzialności za podległych mu wieśniaków. Uważał, że wszystko wokół, z ludźmi włącznie, istnieje dla zaspokajania jego zachcianek.

Jednak Merthin z optymizmem patrzył na przyszłość Kingsbridge. Wszystko wskazywało na to, że Mark zostanie burmistrzem w dniu Wszystkich Świętych, co będzie początkiem rozkwitu miasta.

Merthin wrócił w ostatni dzień października, w wigilię Wszystkich Świętych. W tym roku był to piątek, więc nie było takich tłumów, jakie ściągały, gdy noc złych duchów wypadała w sobotę, tak jak wtedy, gdy Merthin miał jedenaście lat i poznał dziesięcioletnią Caris. Mimo wszystko ludzie byli podenerwowani i wszyscy zamierzali pójść spać zaraz po zapadnięciu zmroku.

Na głównej ulicy spotkał najstarszego syna Marka Webbera, Johna.

- Ojciec jest w szpitalu - oznajmił chłopak. - Ma gorączkę.

- Wybrał sobie kiepską chwilę na chorowanie - rzekł Merthin.

- Tak, to niedobry dzień.

- Nie miałem na myśli daty. Musi być jutro na posiedzeniu gildii. Nieobecnego nie można wybrać na przewodniczącego.

- Nie sądzę, żeby poszedł jutro na jakieś zebranie.

To była niepokojąca wieść. Merthin zaprowadził konie do gospody i zostawił Lollę pod opieką Berty.

Wchodząc na teren opactwa, spotkał Godwyna i jego matkę. Domyślił się, że jedli razem

obiad i teraz Godwyn odprowadza ją do bramy. Byli pogrążeni w nerwowej rozmowie i Merthin odgadł, że niepokoi ich to, iż ich poplecznik, Elfric, może stracić stanowisko burmistrza. Na widok Merthina stanęli jak wryci. Petranilla powiedziała obłudnie:

- Przykro mi słyszeć, że Mark źle się czuje.
- To tylko gorączka - odparł z wymuszoną uprzejmością Merthin.
- Będziemy się modlili o jego szybkie wyzdrowienie.
- Dziękuję.

Merthin wszedł do szpitala, gdzie zastał roztrzęsioną Madge.

- On pluje krwią - powiedziała. - I nie mogę ugasić jego pragnienia. Przytknęła kubek z piwem do ust męża.

Mark miał purpurowe plamy na twarzy i ramionach. Pocił się i krwawił z nosa.

- Masz dziś kiepski dzień, Marku? - spytał Merthin. Mark zdawał się go nie widzieć, ale wychrypiał:

- Bardzo chce mi się pić. Madge ponownie dała mu piwa.
- Obojętnie, ile wypije, wciąż jest spragniony - westchnęła.

W jej głosie Merthin po raz pierwszy usłyszał nutę paniki. Przeraził się. Mark często jeździł do Melcombe, gdzie rozmawiał z marynarzami z zaatakowanego przez zarazę Bordeaux.

Teraz jutrzejsze spotkanie gildii było najmniejszym ze zmartwień Marka. I Merthina również.

»»

W pierwszej chwili chciał ostrzec wszystkich, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo, jednak postanowił milczeć. Nikt nie słucha przerażonego człowieka, a ponadto nie miał pewności. Istniała niewielka szansa, że choroba Marka nie jest tym, czego się obawiał. Kiedy zyska pewność, poprosi Caris na bok, żeby porozmawiać z nią spokojnie i logicznie. I musi to zrobić szybko.

Caris przemywała twarz Marka jakimś słodko pachnącym płynem. Miała kamienny wyraz twarzy, który Merthin tak dobrze znał: skrywała uczucia. Najwyraźniej wiedziała już, jak poważnie Mark zachorował.

Chory ścisnął w palcach coś, co wyglądało na skrawek pergaminu. Merthin odgadł, że jest na nim zapisana modlitwa, cytat z Biblii lub jakieś zaklęcie. To z pewnością pomysł Madge - Caris nie wierzyła w skuteczność takich metod.

Do szpitala wszedł przeor Godwyn, a za nim - jak zawsze - Philemon.

- Odsuńcie się od łóżka! - natychmiast polecił Philemon. - Jak ten człowiek może wydobrzeć, jeśli nie widzi ołtarza?

Wszyscy troje odsunęli się, a Godwyn pochylił się nad pacjentem. Dotknął czoła i szyi Marka,

a potem sprawdził mu puls.

- Pokażcie mi mocz - polecił.

Mnisi medycy przykładali ogromną wagę do badania moczu pacjenta. W szpitalu były specjalne szklane butelki, zwane urnałami, przeznaczone do tego celu. Caris podała jedną z nich Godwynowi. Nie trzeba było znawcy, by zobaczyć, że w moczu Marka jest krew.

Godwyn oddał butelkę Caris.

- Ten człowiek cierpi z powodu przegrzanej krwi - orzekł. - Trzeba mu ją upuścić, a potem karmić kwaśnymi jabłkami i flakami.

Merthin wiedział, po swoich doświadczeniach z zarazą we Florencji, że Godwyn plecie bzdury, ale tego nie skomentował. Nie miał już cienia wątpliwości, co dolega Markowi. Ta wysypka, krwotoki, pragnienie: to była choroba, na którą zapadł on sam i która zabiła Silwię i całą jej rodzinę. To była la moria grandę.

Zaraza dotarła do Kingsbridge.

Gdy zapadł zmrok w wigilię dnia Wszystkich Świętych, Mark Webber zaczął oddychać z jeszcze większym trudem. Caris patrzyła, jak słabnie. Była zła i bezradna, jak zawsze, gdy nie potrafiła pomóc pacjentowi. Mark majaczył, pocił się i dyszał, choć miał zamknięte oczy i był nieprzytomny. Na cichą sugestię Merthina Caris obmacała pachy Marka i znalazła tam duże, podobne do wrzodów obrzmienia. Nie spytała Merthina, co oznaczają: wypyta go o to później. Zakonnice modliły się i śpiewały psalmy, podczas gdy Madge i czworo jej dzieci stali w pobliżu, bezradni i przybici.

W końcu Mark dostał konwulsji i z jego ust popłynął strumień krwi. Potem opadł na posłanie, znieruchomiał i przestał oddychać.

Dora zaczęła płakać. Trzej synowie patrzyli na to z niedowierzaniem, usiłując powstrzymać niemęskie łzy. Madge szlochała żałośnie.

- Był najlepszym człowiekiem na świecie - powiedziała do Caris. - Dlaczego Bóg musiał go zabrać?

Caris też walczyła ze łzami. Jej strata była niczym w porównaniu z ich stratą. Nie wiedziała, dlaczego Bóg tak często zabiera najlepszych, a pozostawia przy życiu łajdaków, żeby mogli wyrządzać jeszcze więcej zła. W takich chwilach jak ta cała idea dobrej boskiej istoty, obserwującej wszystkich, wydawała się niewiarygodna. Księża twierdzili, że choroba to kara za grzechy. Mark i Madge kochali się, dbali o dzieci i ciężko pracowali, dlaczego więc zostali ukarani?

Na te teologiczne pytania nie było odpowiedzi, lecz Caris miała teraz ważniejsze rzeczy do zrobienia. Głęboko zaniepokoiła ją ta choroba Marka i domyślała się, że Merthin coś o tym wie.

Powstrzymała łzy.

Najpierw odesłała Madge i jej dzieci do domu i poleciła zakonnicom, żeby przygotowały ciało do pochówku. Potem powiedziała do Merthina:

- Chcę z tobą pomówić.

- A ja z tobą.

Zauważyła, że wygląda na przestraszonego. To było niezwykle. Zaczęła się bać jeszcze bardziej.

- Chodź do kościoła - powiedziała. - Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Zimowy wiatr poruszał trawę wokół katedry. Była pogodna noc i gwiazdy świeciły jasno. W kaplicy mnisi przygotowywali się do porannej mszy w dniu Święta Zmarłych. Caris i Merthin stanęli w północno-zachodnim kącie nawy, z daleka od mnichów, żeby ci ich nie słyszeli. Caris zadrżała i otuliła się płaszczem.

- Czy wiesz, co zabiło Marka? - spytała. Merthin głośno wciągnął powietrze.

- To zaraza - odparł. - La moria grandę.

Skinęła głową. Tego się obawiała. Mimo wszystko zaatakowała go.

- Skąd wiesz?

- Mark jeździł do Malcombe i rozmawiał z marynarzami z Bordeaux, gdzie na ulicach leżą stosy ciał.

Kiwnęła głową.

- Niedawno wrócił. - Jednak nie chciała jeszcze wierzyć Merthinowi. - Mimo wszystko, skąd możesz być pewien, że to zaraza?

- Takie same objawy: gorączka, purpurowoczarne plamy, krwotoki, owrzodzenia pod pachami i przede wszystkim pragnienie. Chryste, pamiętam to, byłem jednym z niewielu, którzy wydobrżeli. Prawie wszyscy umierają w ciągu pięciu dni, czasem szybciej.

Caris poczuła się tak, jakby nadszedł sądny dzień. Słyszała straszne opowieści z Italii i południowej Francji o śmierci zabierającej całe rodziny, niepogrzebanych ciałach gnijących w opuszczonych pałacach, o osieroconych dzieciach z płaczem krążących po ulicach, o zwierzętach zdychających z głodu w opuszczonych wioskach. Czy tak będzie w Kingsbridge?

- Co robili włoscy medycy?

- Modlili się, śpiewali psalmy, puszczali krew, przepisywali swoje ulubione dekokty i słono sobie liczyli. Wszystko, czego próbowali, było bezużyteczne.

Stali blisko siebie i rozmawiali cicho. Caris widziała twarz Merthina w słabym świetle palących się przy ołtarzu świec. Przyglądał jej się z dziwną uwagą. Widziała, że jest głęboko

poruszony, ale najwidoczniej nie był to tylko smutek z powodu śmierci Marka. Chodziło o nią.

- Jacy są włoscy lekarze w porównaniu z angielskimi? - zapytała.

- Po mużułmańskich włoscy są uważani za najlepszych na świecie. Oni nawet kroją trupy, żeby dowiedzieć się więcej o chorobach. Jednak nie udało im się uleczyć ani jednej ofiary tej zarazy.

Caris nie chciała pogodzić się z bezsilnością.

- Nie możemy być tak zupełnie bezradni.

- Nie można wyleczyć tej choroby, ale niektórzy uważają, że można jej zapobiec.

- Jak? - niecierpliwie zapytała Caris.

- Ona zdaje się przechodzić z jednej osoby na drugą. Skinęła głową.

- Jak wiele chorób.

- Zwykle, kiedy ktoś w rodzinie zachoruje, wszyscy pozostali również. Bliskość jest kluczowym czynnikiem.

- To ma sens. Niekiedy uważają, że choruje się od patrzenia na chorych.

- We Florencji zakonnice radziły, by nie wychodzić z domów i unikać zgromadzeń, takich jak jarmarki, posiedzenia gildii i rad.

- I nabożeństw?

- Nie, tych nie, chociaż wielu ludzi przestało chodzić do kościoła.

To zgadzało się z tym, co Caris myślała od lat. Poczuli, że budzi się w niej nadzieja: może jej sposób zdoła powstrzymać zarazę.

- A co z samymi zakonicami i medykami, czyli tymi, którzy musieli stykać się z chorymi i dotykać ich?

- Księża zaczęli wysłuchiwać głośnych spowiedzi, żeby nie zbliżać się zbyt blisko do wiernych. Zakonnice nosiły lniane maski na nosach i ustach, żeby nie oddychać tym samym powietrzem. Niekiedy przemywały ręce octem za każdym razem, gdy dotknęły pacjenta. Księża medycy mówili, że to wszystko na nic, ale większość z nich i tak opuściła miasto.

- Czy te sposoby pomogły?

- Trudno powiedzieć. Zastosowano je dopiero wtedy, kiedy zaraza już szalała. I nie były to skoordynowane działania, po prostu każdy próbował czegoś innego.

- Mimo wszystko musimy podjąć ten wysiłek. Skinął głową.

- Jest jednak jeden pewny sposób - powiedział po chwili.

- Jaki?

- Ucieczka.

Zrozumiała, że właśnie to chciał jej powiedzieć.

- Mówią tak: wyjedź szybko, jedź daleko i zostań długo. Ci, którzy tak zrobili, uniknęli choroby.

- Nie możemy wyjechać.

- Dlaczego?

- Nie bądź niemądry. W Kingsbridge mieszka sześć lub siedem tysięcy ludzi. Wszyscy nie mogą opuścić miasta. Dokąd mieliby się udać?

- Nie mówię o nich, tylko o tobie. Posłuchaj, może jeszcze nie zaraziłaś się od Marka. Madge i jej dzieci niemal na pewno tak, lecz ty spędziłaś przy nim mniej czasu. Jeśli jeszcze nie jesteś chora, możemy uciec. Moglibyśmy wyjechać jeszcze dziś, ty, ja i Lolla.

Caris była przerażona tym, że Merthin jest pewien, iż zaraza już się rozprzestrzeniła. Czy jest zgubiona?

- I... dokąd byśmy pojechali?

- Do Walii lub Irlandii. Musimy znaleźć jakąś odległą wioskę, w której obcego widują najwyżej raz w roku.

- Ty już byłeś chory. Mówiłeś mi, że nikt nie choruje na to ponownie.

- Nigdy. A niektórzy nie chorują na to wcale. Lolla chyba do nich należy. Jeśli nie zaraziła się od matki, to raczej nie złapie tego od nikogo innego.

- Zatem czemu chcesz jechać do Walii?

On tylko obrzucił ją skupionym spojrzeniem i wtedy pojęła, że się o nią boi.

Jest przerażony, że ona może umrzeć. Łzy stanęły jej w oczach. Przypomniała sobie słowa Madge: „Świadomość tego, że jest ktoś, kto zawsze będzie po twojej stronie”. Merthin starał się opiekować nią, obojętnie, co robiła. Pomyślała o biednej Madge zdruzgotanej utratą tego, który zawsze był po jej stronie. Jak ona, Caris, może odmówić Merthinowi? A jednak to zrobiła.

- Nie mogę opuścić Kingsbridge - powiedziała. - Akurat teraz nie mogę tego zrobić. Liczą na mnie, kiedy ktoś zachoruje. Gdy zaatakuje zaraza, to ode mnie będą oczekiwali pomocy. Gdybym uciekła... cóż, nie wiem, jak ci to wyjaśnić...

- Myślę, że rozumiem. Byłabyś jak żołnierz, który ucieka, gdy tylko wróg wypuści pierwszą strzałę. Czułabyś się jak tchórz.

- Tak. I jak oszustka, po tych wszystkich latach bycia zakonnicą mówiącą, że jej powołaniem jest służenie innym.

- Wiedziałem, że tak powiesz. Jednak musiałem spróbować. - Smutek w jego głosie niemal złamał jej serce, gdy dodał: - To chyba oznacza, że w najbliższym czasie nie zamierzasz zerwać ślubów.

- Nie. Ludzie będą przychodzili do szpitala po pomoc. Muszę być tu, w klasztorze, żeby ich leczyć. Muszę być zakonnica.

- Dobrze więc.

- Nie bądź taki przygnębiony.

- Dlaczego nie miałbym być przygnębiony? - zapytał ze smutkiem.

- Mówiłeś, że zaraza zabiła połowę ludności Florencji?

- Coś koło tego.

- Zatem co najmniej połowa nie zachorowała.

- Tak jak Lolla. Nikt nie wie dlaczego. Może niektórzy mają jakieś szczególne siły. A może choroba uderza na oślep, jak strzały wypuszczone w kierunku szeregów wroga, zabijające jednych, a oszczędzające innych.

- Tak czy inaczej mam duże szanse uniknąć choroby.

- Jedną na dwie.

- To jak rzut monetą.

- Orzeł czy reszka. Życie albo śmierć.

58

Na pogrzeb Marka Webbera przyszły setki ludzi. Był jednym z najznamienitszych obywateli miasta, lecz było w tym coś więcej. Z okolicznych wiosek przybyli ubodzy tkacze, choć niektórzy musieli iść kilka godzin. Widocznie był niezwykle lubiany, rozmyślał Merthin. Połączenie tego olbrzymiego ciała i łagodnego charakteru miało nieodparty urok.

Dzień był ponury, a deszcz padał na odsłonięte głowy bogatych i biednych stojących wokół grobu. Zimne krople mieszały się ze łzami na twarzach żałobników. Madge obejmowała młodszych synów, Dennisa i Noaha. Po bokach stało dwoje pozostałych, najstarszy syn John i córka Dora, oboje wyżsi od matki i wyglądający na rodziców tych trojga w środku.

Merthin zastanawiał się ponuro, czy Madge lub jedno z jej dzieci umrze jako następna ofiara zarazy.

Sześciu silnych mężczyzn stękało z wysiłku, opuszczając wyjątkowo dużą trumnę do grobu. Madge szlochała bezradnie, gdy mnisi śpiewali żałobną pieśń. Potem grabarze przystąpili do zasypywania dołu wilgotną ziemią, a tłum zaczął się rozchodzić.

Brat Thomas podszedł do Merthina, naciągając kaptur, żeby ochronić się przed deszczem.

- Opactwo nie ma pieniędzy na odbudowanie wieży - rzekł. - Godwyn zlecił Elfricowi rozebranie starej i nakrycie nawy dachem.

Merthin oderwał się myślami od apokaliptycznych wizji zarazy.

- Jak Godwyn zapłaci za to Elfricowi?

- Zakonnice wyłożą pieniądze.

- Sądziłem, że nienawidzą Godwyna.

- Skarbniczką jest siostra Elizabeth. Godwyn stara się przypodobać jej rodzinie dzierżwiącej ziemię od opactwa. To prawda, że większość zakonnic go nienawidzi, ale potrzebują kościoła.

Merthin nie porzucił nadziei odbudowania wieży jeszcze wyższej niż przedtem.

- Gdybym znalazł pieniądze, czy opactwo zleciłoby budowę nowej wieży? Thomas wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć.

Tego popołudnia Elfric ponownie został wybrany na burmistrza. Po posiedzeniu Merthin odszukał Billa Watkina, największego budowniczego w mieście po Elfricu.

- Kiedy fundamenty wieży zostaną wyremontowane, będzie można postawić jeszcze wyższą - powiedział mu.

- Dlaczego nie? - zgodził się Bill. - Tylko po co?

- Po to, żeby było ją widać ze skrzyżowania w Mudfordzie. Wielu podróżnych - pielgrzymów, kupców i tym podobnych - omija drogę do Kingsbridge i podąża do Shiring. W ten sposób miasto traci zyski.

- Godwyn powie, że go na nią nie stać.

- Zastanów się. Załóżmy, że nowa wieża zostałaby sfinansowana tak samo jak most? Kupcy z miasta mogliby pożyczyć pieniądze i odzyskać je z opłat za korzystanie z mostu.

Bill podrapał się po podobnej do mniszej tonsury łysinie. To był niesłychany pomysł.

- Przecież wieża nie ma nic wspólnego z mostem.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chyba nie.

- Myto jest tylko gwarancją tego, że pożyczka zostanie spłacona. Bill pomyślał o swoich interesach.

- Czy dostałbym jakieś zlecenie na roboty?

- To byłaby duża budowa, więc każdy budowniczy w mieście miałby co robić.

- Byłoby dobrze.

- W porządku. Posłuchaj, jeśli zaprojektuję dużą wieżę, czy poprosz mnie na następnym zebraniu gildii?

Bill miał wątpliwości.

- Członkowie gildii raczej nie poprą żadnych wymyślonych projektów.

- Nie sądzę, żeby wieża miała być wymyślna, tylko wysoka. Jeśli przykryjemy nawet kopułą, mogę budować nie pośrodku.

- Kopułą? To coś nowego.

- Widziałem kopuły w Italii.

- To obniżyłoby koszt.

- A wieża mogłaby być zwieńczona cieńszym drewnianym szczytem, który byłby tańszy i bardzo ładny.

- Wszystko już sobie obmyśliłeś, no nie?

- Niezupełnie. Jednak chodzi mi to po głowie, od kiedy wróciłem z Florencji.

- No cóż, podoba mi się ten pomysł: dobry dla interesów, dobry dla miasta.

- I dla zbawienia naszych dusz.

- Zrobię, co będę mógł, żeby go przyjęto.

- Dziękuję.

Merthin rozmyślał nad projektem wieży, wykonując bardziej prozaiczne roboty, takie jak naprawa mostu i budowa nowych domów na Wyspie Trędowatych. To pomagało mu oderwać myśli od strasznych, obsesyjnych wizji Caris chorej na zarazę. Dużo myślał o południowej wieży w Chartres. Była arcydziełem, choć nieco staroświeckim, gdyż wzniesiono ją przed blisko dwustu laty.

Przypominał sobie, że podobało mu się zwieńczenie kwadratowej wieży ośmiokątnym strzelistym dachem. Na szczycie wieży, na każdym z czterech naroży, ustawione były pod kątem wieżyczki. Na tym samym poziomie. Pośrodku każdego boku kwadratu znajdowały się wysokie okna podobne do wieżyczek. Tych osiem ozdóbek umieszczono na przedłużeniu ośmiu ścianek smukłego zwieńczenia, tak że przejście z kwadratu w ośmiobok było ledwie widoczne.

Jednak wieża w Chartres była zbyt przysadzista jak na czternastowieczne standardy. Wieża Merthina miałaby smukłej sze kolumny i duże otwory okienne, by zmniejszyć obciążenie dolnych filarów, a także siłę wiatru, pozwalając mu wiać na przestrzał.

W swojej pracowni na wyspie sporządził projekt. Cieszyło go planowanie detali, powiększanie wąskich ostrołukowych okien, unowocześnianie słupów i kapiteli kolumn.

Zastanawiał się nad wysokością. Nie wiedział, jaka powinna być wysoka, żeby była widoczna z Mudefordu. To mógł ustalić jedynie metodą prób i błędów. Kiedy skończy kamienną wieżę, powinien nakryć ją tymczasową wieżyczką, po czym w pogodny dzień udać się do Mudefordu i sprawdzić, czy będzie ją stamtąd widać. Katedrę zbudowano na wzniesieniu, a w Mudefordzie droga wspina się na wzgórze, zanim opadnie do przeprawy. Instykt podpowiadał mu, że jeśli zbuduje wieżę nieco wyższą od tej w Chartres - powiedzmy czterystu-stopową - taka wysokość powinna wystarczyć.

Wieża katedry w Salisbury miała wysokość czterystu czterech stóp.

Merthin zaplanował, że jego będzie miała czterysta pięć.

Kiedy pochylał się nad projektem, rysując wieżyczki na dachu, zjawił się Bill Watkin.

- Co o tym myślisz? - zapytał go Merthin. - Czy powinna mieć na szczycie krzyż wskazujący na niebo? Czy anioła, który by nas strzegł?

- Ani jedno, ani drugie - odparł Bill. - Nie zostanie zbudowana. Merthin wyprostował się, trzymając w lewej ręce linijkę, a w prawej ostry żelazny cyrkiel.

- Dlaczego tak mówisz?

- Odwiedził mnie brat Philemon. Pomyślałem, że jak najszybciej dam ci znać.

- Co miał do powiedzenia ten gad?

- Udawał przyjacielskiego. Chciał dać mi dobrą radę. Powiedział, że postąpiłbym nierozsądnie, popierając twój projekt wieży.

- A to dlaczego?

- Ponieważ to rozgniewałoby przeora Godwyna, który w żadnym razie nie zamierza zaaprobować twoich planów.

Merthin nie powinien być zaskoczony. Gdyby Mark Webber został burmistrzem, równowaga sił w mieście zmieniłaby się i Merthin mógłby otrzymać zlecenie na budowę nowej wieży. Jednak śmierć Marka zniweczyła jego szanse. Mimo to miał nadzieję i teraz był głęboko rozczarowany.

- Zakładam, że zatrudni Elfrica?

- Na to wygląda.

- Nigdy się nie nauczy?

- Duma liczy się bardziej niż zdrowy rozsądek.

- Czy parafia zapłaci za karłowatą wieżyczkę zaprojektowaną przez Elfrica?

- Zapewne. Może nie będą zachwyceni, ale znajdą pieniądze. Mimo wszystko są dumni ze swej katedry.

- Niefachowość Elfrica o mało nie kosztowała ich utraty mostu! - przypomniał urażony Merthin.

- Wiedzą o tym.

- Gdybym nie odkrył zagrożenia, wieża zawaliłaby się i być może zniszczyła całą katedrę.

- O tym też wiedzą. Jednak nie zamierzają walczyć z przeorem tylko dlatego, że źle cię potraktował.

- Oczywiście - rzekł Merthin, jakby to było najzupełniej rozsądne, skrywając rozgoryczenie. Zrobił dla Kingsbridge więcej niż Godwyn i był urażony, że mieszkańcy nie próbowali się za nim ująć.

Jednak wiedział też, że większość ludzi zwykle myśli tylko o swoich własnych korzyściach.

- Ludzie są niewdzięczni - powiedział Bill. - Przykro mi.

- Tak - rzekł Merthin. - W porządku.

Spojrzał na Billa i odwrócił wzrok, a potem rzucił swoje przybory kreślarskie i wyszedł.

Podczas porannej mszy Caris spojrzała na nawę i ze zdziwieniem ujrzała kobietę klęczącą w jej północnej części, przed naściennym malowidłem Chrystusa Zmartwychwstałego. Obok paliła się świeca i w jej drgającym świetle Caris rozpoznała kręłą sylwetkę i wydatną szczękę Madge Webber.

Madge pozostała tam przez całe nabożeństwo, nie zwracając uwagi na psalmy, najwyraźniej zatopiona w modlitwie. Może prosiła Boga, żeby wybaczył Markowi grzechy i pozwolił mu spoczywać w spokoju, choć o ile Caris wiedziała, Mark nie popełnił wielu grzechów. Bardziej prawdopodobne było to, że Madge prosi Marka, żeby zesłał jej szczęście ze świata duchów. Z pomocą dwojga starszych dzieci Madge zamierzała nadal prowadzić handel. Zwykle tak bywało, gdy umarł jakiś rzemieślnik, pozostawiając wdowę i kwitnący interes. Mimo wszystko niewątpliwie czuła, że błogosławieństwo martwego męża jest jej potrzebne.

Jednak to wyjaśnienie nie zadowalało Caris. Coś w postawie Madge, jej bezruch, świadczyło o gwałtownych uczuciach, jakby prosiła niebiosa o zesłanie jakiegoś strasznie potrzebnego daru.

Gdy skończyła się msza i mnisi oraz zakonnice zaczęli wychodzić, Caris odłączyła się od szeregu i poszła przez mrok ogromnej nawy, w kierunku blasku świecy.

Madge wstała, słysząc odgłos jej kroków. Kiedy rozpoznała twarz Caris, powiedziała nieco oskarżycielsko:

- Mark umarł na zarazę, prawda? A więc to tak.

- Tak sędzę - odparła Caris.

- Nie powiedziałaś mi.

- Nie jestem pewna i nie chciałam cię przestraszyć, nie mówiąc już o całym mieście. To były tylko domysły.

- Słyszałam, że zaraza dotarła do Bristolu. Zatem mieszczanie rozmawiają o zarazie.

- I do Londynu - dodała Caris. Dowiedziała się o tym od pewnego pielgrzyma.

- Co się z nami wszystkimi stanie? Smutek przeszył serce Caris.

- Nie wiem - skłamała.

- Słyszałam, że zaraza przenosi się z jednego człowieka na drugiego.

- Jak wiele chorób.

Gniew uszedł z Madge i jej twarz przybrała błagalny wyraz, który łamał serce Caris.

- Czy moje dzieci umrą? - spytała niemal szeptem.

- Żona Merthina zachorowała - powiedziała Caris - i umarła, tak jak cała jej rodzina, lecz Merthin wyzdrowiał, a Lolla wcale nie była chora.

- Zatem moim dzieciom nic nie będzie?

Caris wcale tego nie powiedziała.

- Być może. Albo jedne zachorują, a inne nie.

To nie zadowoliło Madge. Jak większość rodziców chciała mieć pewność.

- Co mogę zrobić, żeby je chronić? Caris spojrzała na obraz Chrystusa.

- Robisz wszystko, co można zrobić - powiedziała.

Zaczęła tracić nad sobą panowanie. Czując narastający w gardle szloch, odwróciła się, by ukryć swe uczucia, i szybko wyszła z katedry.

Przez kilka minut siedziała w klauzurze zakonnice, starając się uspokoić, po czym poszła do szpitala, jak zwykle o tej porze.

Mair tam nie było. Zapewne wezwano ją, żeby zajęła się jakimś chorym w mieście. Caris objęła dowodzenie, nadzorując podawanie śniadania gościom i pacjentom, pilnując, żeby wszystko starannie posprzątano, i opiekując się chorymi. Praca pomogła jej zapomnieć o niepokoju wywołanym rozmową z Madge. Przeczytała Starej Julie psalm. Kiedy wszystko już zostało zrobione, a Mair nadal się nie pojawiała, Caris poszła jej szukać.

Znalazła ją w dormitorium, leżącą na łóżku, z twarzą ukrytą w poduszce. Serce Caris zaczęło szybciej bić.

- Mair! - zawołała. - Nic ci nie jest?

Mair obróciła się na plecy. Była biała i spocona. Zakaszłała, ale nie odezwała się. Caris uklękła przy niej i położyła dłoń na jej czole.

- Masz gorączkę - stwierdziła, tłumiąc lęk, który budził się jej w brzuchu niczym nudności. - Kiedy to się zaczęło?

- Wczoraj kaszlałam - powiedziała Mair - jednak przespałam całą noc i rano jakoś wstałam. Potem, kiedy szłam na śniadanie, nagle poczułam, że zaraz zwymiotuję. Poszłam do latryny, a potem wróciłam tu i położyłam się. Pomyślałam, że prześpię się trochę... Która godzina?

- Zaraz dzwon zadzwoni na tercję. Jednak ty jesteś usprawiedliwiona.

To może być po prostu jakaś niegroźna przypadłość, powiedziała sobie Caris. Dotknęła szyi Mair, a potem ściągnęła w dół kołnierz jej habitu. Mair uśmiechnęła się słabo.

- Próbujesz zobaczyć moje piersi?

- Tak.

- Wy, zakonnice, wszystkie jesteście takie same.

O ile Caris widziała, Mair nie miała wysypki. Może to tylko przeziębienie?

- Boli cię coś?

- Jedno okropnie wrażliwe miejsce pod pachą.

To nie powiedziało Caris wiele. Bolesne owrzodzenia pod pachami i w pachwinach były objawem nie tylko zarazy, ale także wielu innych chorób.

- Chodźmy do szpitala - powiedziała.

Gdy Mair uniosła głowę, Caris zobaczyła ślady krwi na poduszce.

Ten widok nią wstrząsnął. Mark Webber pluł krwią, a Mair była pierwszą osobą, która opiekowała się nim, kiedy zachorował - była u niego w domu dzień przed Caris.

Caris opanowała lęk i pomogła Mair wstać. Łzy napływały jej do oczu, aleje powstrzymała. Mair objęła ją i oparła głowę na jej ramieniu, jakby sama nie była w stanie iść. Caris też ją objęła. Razem zeszły po schodach i przez klauzurę zakonnice do szpitala.

Caris położyła Mair na materacu w pobliżu ołtarza. Przyniosła kubek zimnej wody z fontanny na podwórzu. Mair wypila ją łapczywie. Caris obmyła jej twarz i szyję wodą różaną. Po chwili Mair zapadła w sen.

Dzwon zadzwonił na tercję. Caris zwykle była zwolniona z tej mszy, lecz dziś odczuwała potrzebę kilku chwil spokoju. Dołączyła do rzędu zakonnice wchodzących do kościoła. Stare szare kamienie wydawały się dziś zimne i twarde. Śpiewała machinalnie, gdy w jej sercu szalała burza uczuć.

Mair zachorowała na zarazę. Nie ma wysypki, ale gorączkuje, trawi ją pragnienie i pluje krwią. Zapewne umrze.

Caris przepełniło ogromne poczucie winy. Mair tak bardzo ją kochała. Caris nigdy nie umiała odwzajemnić tej miłości, a przynajmniej nie w taki sposób, jakiego pragnęła Mair. Teraz Mair umiera. Caris żałowała, że nie traktowała Mair inaczej. Powinna była uczynić ją szczęśliwą. Powinna móc ją uratować. Płakała, śpiewając psalm, mając nadzieję, że jeśli ktoś zauważy jej łzy, weźmie je za objaw religijnej ekstazy.

Po zakończeniu mszy przed wyjściem z południowego transeptu czekała na nią niecierpliwie młoda nowicjuszka.

- Ktoś pilnie chce cię widzieć w szpitalu - powiedziała.

Caris zastała tam Madge Webber, z twarzą pobladłą z niepokoju. Nie musiała pytać, czego chce. Wzięła torbę z medykamentami i obie pospiesznie opuściły klasztor. W przesywającym listopadowym wietrze przemierzyły łąkę i poszły do stojącego przy głównej ulicy domu Webberów. Dzieci Madge czekały w salonie na piętrze. Dwoje starszych z przestraszonymi minami siedziało przy

stole, a młodszy chłopcy leżeli na podłodze.

Caris pospiesznie ich zbadała. Cała czwórka miała gorączkę. Dziewczynie płynęła krew z nosa, chłopcy kasłali.

Wszyscy mieli purpurowoczarne plamy na ramionach i szyjach.

- Tb jest to samo, prawda? - powiedziała Madge. - To, na co umarł Mark. Są chorzy na zarazę.

Caris skinęła głową.

- Przykro mi.

- Mam nadzieję, że ja też umrę - jęknęła Madge. - Wtedy wszyscy spotkamy się w niebie.

59

Caris wprowadziła w szpitalu środki ostrożności, o których mówił jej Merthin. Nacięła pasów lnu, którymi zakonnice owiżywały sobie usta i nosy, kiedy zajmowały się chorymi na zarazę, i kazała wszystkim myć ręce w wodzie z octem za każdym razem, gdy dotknęły pacjenta. Wszystkie zakonnice miały dłonie jak praczki.

Madge przyprowadziła czworo swoich dzieci, a potem sama zachorowała. Stara Julie, której łóżko stało obok łóżka Marka Webbera, również. Caris niewiele mogła dla nich zrobić. Obmywała im twarze, żeby je ochłodzić, podawała do picia zimną wodę z fontanny w klauzurze, zmywała krwawe wymiociny i czekała, aż umrą.

Była zbyt zajęta, żeby myśleć o sobie. Widziała coś w rodzaju przerażonego podziwu w oczach mieszkańców miasta, patrzących, jak obmywa twarze chorych, ale nie czuła się jak męczennica. Uważała się za osobę, która nie lubi ponurych rozmyślań i woli działać. Jak wszystkich dręczyło ją pytanie: kto następny? Jednak stanowczo je od siebie odpychała.

Przeor Godwyn przyszedł zobaczyć pacjentów. Odmówił założenia maski, twierdząc, że to babskie bzdury. Postawił tę samą diagnozę co poprzednio - przegrzanie krwi - i zalecił dietę z kwaśnych jabłek i baranich flaków.

Nieważne, co jedli pacjenci, bo i tak w końcu wszystko zwracali, lecz Caris była pewna, że puszczenie krwi tylko pogorszy ich stan. I tak już tracili jej zbyt wiele: pluli krwią, wymiotowali krwią i krwią sikali. Jednak mnisi byli uczonymi medykami, więc musiała wykonywać ich polecenia. Nie miała czasu się złościć, ilekroć widziała mnicha lub zakonnice kłęczących przy łożu pacjenta, przytrzymujących jego rękę, nacinających ostrym nożykiem żyłę i czekających, aż pół litra lub więcej cennego płynu spłynie do miski na podłodze.

W końcu Caris siedziała przy Mair i trzymała ją za rękę, nie zważając, czy komuś się to

podoba, czy nie. Aby ulżyć jej cierpieniom, podała jej niewielką ilość odurzającego leku, który Mattie nauczyła ją sporządzać z makówek. Mair nadal kaszłała, ale już ją tak nie bolało. Po ataku kaszlu przez jakiś czas oddychała swobodniej i mogła mówić.

- Dziękuję ci za tamtą noc w Calais - wyszeptła. - Wiem, że tak naprawdę to cię nie bawiło, ale ja byłam w siódmym niebie.

Caris próbowała powstrzymać łzy.

- Przepraszam, że nie potrafiłam dać ci tego, czego chciałaś.

- Jednak kochałaś mnie na swój sposób. Wiem o tym.

Znów zaczęła kaszleć. Kiedy atak minął, Caris otarła krew z jej warg.

- Kocham cię - powiedziała Mair i zamknęła oczy.

Wtedy Caris pozwoliła płynąć łzom, nie bacząc, czy ktoś to widzi i co sobie myśli. Jak przez tafelę wody patrzyła na Mair, która stawała się coraz bledsza i oddychała coraz płycej, aż w końcu przestała.

Caris długo siedziała na posadzce obok postania, trzymając dłoń zmarłej. Mair wciąż była piękna, nawet teraz, choć blada i nieruchoma. Caris pomyślała, że jeszcze jedna osoba kocha ją tak jak Mair, a jest nią Merthin. Jakie to dziwne, że jego miłość również odrzuciła. Pomyślała, że coś z nią jest nie w porządku - jakieś zwichnięcie duszy nie pozwala jej być taką jak inne kobiety i rzucić się w objęcia miłości.

Nieco później tej nocy umarło czworo dzieci Marka Webbera, a także Stara Julie.

Caris była załamana. Czy naprawdę nic nie może zrobić? Zaraza rozchodziła się szybko i zabijała wszystkich. Caris czuła się, jakby siedziała w więzieniu i zastanawiała się, kto ze współwięźniów następny pójdzie na szubienicę. Czy Kingsbridge ma spotkać los Florencji i Bordeaux, gdzie na ulicach leżały stosy trupów? W następną niedzielę miał się odbyć jarmark na łące przed katedrą. Setki ludzi z okolicznych wiosek przybędą kupować, sprzedawać i spotykać się z mieszkańcami w kościołach i gospodach. Ilu wróci do domów śmiertelnie chorych? Kiedy czuła się tak boleśnie bezradna w walce ze straszliwą chorobą, rozumiała, dlaczego ludzie rozkładali ręce i mówili, że wszystko spoczywa w rękach Boga. Jednak ona nigdy tego nie potrafiła.

Ilekoć umierał ktoś należący do zakonu, odbywała się specjalna msza żałobna, w której uczestniczyli wszyscy mnisi i zakonnice, odmawiając dodatkowe modlitwy za jego lub jej duszę. Zarówno Mair, jak i Stara Julie były bardzo lubiane - Julie za dobre serce, a Mair za swoją urodę - i wiele zakonnic płakało. Jednocześnie chowano czworo dzieci Madge, tak więc przyszło kilkuset mieszkańców miasta. Sama Madge była zbyt chora, żeby mogła opuścić szpital.

Wszyscy zebrali się na cmentarzu pod ołowianoszarym niebem. Caris wydawało się, że

wyczuwa jakiś dziwny zapach niesiony przez zimny północny wiatr. Brat Joseph odmówił modły za zmarłych i sześć trumien opuszczono do grobów.

Jakiś głos w tłumie zadał pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim.

- Czy wszyscy umrzemy, bracie Josephie? ».

Joseph był najbardziej lubianym z mnichów uzdrowicieli. Teraz bliski sześćdziesiątki i bezzębny był raczej myślicielem, ale miał ciepły stosunek do pacjentów.

- Wszyscy umrzemy, przyjacielu - odparł - lecz nikt z nas nie wie kiedy. Właśnie dlatego musimy zawsze być gotowi na spotkanie z Bogiem.

Odezwała się Betty Baxter, jak zwykle dociekliwa:

- Co możemy zrobić z tą zarazą? Bo to jest zaraza, prawda?

- Najlepszą ochroną jest modlitwa - odparł Joseph. - A gdyby Bóg jednak postanowił was do siebie zabrać, przyjdźcie do kościoła i wyspowiadajcie się.

Betty nie dała się tak łatwo zbyć.

- Merthin mówi, że we Florencji ludzie zostawali w domach, żeby uniknąć kontaktu z chorymi. Czy to dobry pomysł?

- Nie sądzę. Czy Florentyńczycy uniknęli zarazy? Wszyscy spojrzeli na Merthina stojącego z Lollą na rękach.

- Nie, nie uniknęli - powiedział. - Może jednak umarłoby ich więcej, gdyby tego nie zrobili.

Joseph pokręcił głową.

- Jeśli zostanieie w domach, nie przyjdziecie do kościoła. Łaska uświęcająca to najlepsze lekarstwo.

Caris nie mogła dłużej milczeć.

- Zaraza przenosi się z chorych na zdrowych - powiedziała gniewnie. - Jeśli będziecie trzymali się z daleka od innych, będziecie mieli większe szanse na uniknięcie choroby.

- Zatem teraz to zakonnice są medykami, tak? - odezwał się przeor Godwyn.

Caris zignorowała go.

- Powinniśmy odwołać jarmark - powiedziała. - Ocalilibyśmy trochę istnień.

- Odwołać jarmark! - prychnął wzgardliwie. - A jak mielibyśmy to zrobić? Pchnąć posłańców do każdej wioski?

- Zamknąć bramy miasta - odrzekła. - Zablokować most. Nie wpuszczać obcych do miasta.

- Przecież w mieście już są chorzy.

- Zamknijcie wszystkie gospody. Odwołajcie zebrania wszystkich cechów. Zabrońcie spraszać gości na wesela.

- We Florencji odwołano nawet posiedzenia rady miejskiej - wtrącił Merthin.

Odezwał się Elfric:

- To jak prowadzili swoje interesy?

- Jeśli będziesz prowadził swoje interesy, umrzesz - syknęła Caris. - I zabijesz swoją żonę oraz dzieci. Wybieraj.

- Nie chcę zamykać mojego sklepu - powiedziała Betty Baxter. - Straciłabym dużo pieniędzy. Jednak zrobię to, żeby ratować życie. - Caris poczuła, że budzi się w niej nadzieja, ale Betty szybko ją rozviała. - Co mówią lekarze? Oni wiedzą najlepiej.

Caris głośno jęknęła.

- Zarazę zesłał na nas Bóg jako karę za nasze grzechy - rzekł przeor Godwyn. - Świat stał się zły. Szerzy się herezja, rozpusta i brak szacunku. Ludzie kwestionują autorytety, kobiety sprzedają swoje ciała, dzieci nie słuchają rodziców. Bóg się gniewa, a Jego gniew jest straszny. Nie próbujcie uciekać przed Jego sprawiedliwością! Ona was znajdzie, obojętnie gdzie się skryjecie.

- Co mamy robić?

- Jeśli chcecie żyć, powinniście iść do kościoła, wyznać wasze grzechy, modlić się i prowadzić lepsze życie.

Caris wiedziała, że nie ma sensu się spierać, lecz mimo to powiedziała:

- Głodujący powinien chodzić do kościoła, ale także powinien jeść.

- Siostró Caris - wtrąciła się Cecilia - nie mów już nic więcej.

- Przecież możemy uratować wiele...

- Wystarczy.

- To kwestia życia lub śmierci! Cecilia zniżyła głos.

- Jednak nikt cię nie słucha. Daj spokój.

Caris wiedziała, że Cecilia ma rację. Obojętnie jak długo by się spierała, ludzie uwierzą księżom, nie jej. Przygryzła wargę i nic nie powiedziała.

Patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami, gdy mnisi zaczęli wracać do kościoła. Zakonnice poszły za nimi, a tłum się rozszedł.

Gdy wracały z kościoła do klauzury, matka Cecilia kichnęła.

Każdego wieczoru Merthin kładł Lollę spać w swoim pokoju w gospodzie. Śpiewał jej, recytował wiersze lub opowiadał bajki. Wtedy rozmawiała z nim, zadając dziwne i nieoczekiwane pytania trzyletniej dziewczynki, czasem dziecinne, czasem głębokie, a czasami zabawne.

Tego wieczoru, kiedy śpiewał jej kołysankę, zalała się łzami.

Zapytał ją, czym się smuci.

- Dlaczego Dora umarła? - jęknęła.

Zatem o to chodziło. Córka Madge, Dora, bardzo polubiła Lollę. Spędzały razem dużo czasu, grając w rozmaite wyliczanki i zaplatając sobie warkocze.

- Zachorowała na zarazę - rzekł Merthin.

- Tak jak moja mamusia - powiedziała dziewczynka. Przeszła na włoski, którego nie zapomniała. - La moria grandę.

- Ja także, ale wyzdrowiałem.

- Tak jak Libia.

Libia była jej drewnianą lalką, którą przywiozła tu z Florencji.

- Libia też była chora?

- Tak. Kichała, miała gorączkę i plamy, ale zakonnica ją uleczyła.

- Bardzo się cieszę. To oznacza, że jest już bezpieczna. Nikt nie choruje na to po raz drugi.

- Więc nic ci nie grozi, prawda?

- Prawda. - Postanowił tą optymistyczną nutą zakończyć rozmowę. - Teraz już śpij.

- Dobranoc - powiedziała. Poszedł do drzwi.

- Czy Bessie też nic nie grozi? - spytała jeszcze.

- ^Sp*ij*.

- Kocham Bessie.

- To ładnie. Dobranoc.

Sala na dole była pusta. Ludzie unikali publicznych miejsc. Pomimo tego, co powiedział Godwyn, słowa Caris trafiły im do przekonania.

Poczuł smakowity zapach zupy. Kierując się nim, wszedł do kuchni. Bessie mieszała coś w garnku stojącym na ogniu.

- Fasolowa na szynce - oznajmiła.

Merthin usiadł przy stole z jej ojcem, Paulem, postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce. Wziął sobie chleba, a Paul nalał mu kufel piwa. Bessie podała zupę.

Pojął, że Bessie i Lolla polubiły się. Zatrudnił niańkę, która opiekowała się Lollą w dzień, lecz Bessie często pilnowała Lolli wieczorami i mała wołała ją.

Merthin miał na Wyspie Trędowatych dom, lecz był niewielki, szczególnie w porównaniu z palagetto, w którym mieszkali we Florencji. Z przyjemnością nadal pozwalał w nim mieszkać Jimmiemu. Wygodnie mu było w gospodzie - ciepło i czysto, mnóstwo smacznego jedzenia i dobrych

trunków. Płacił rachunki co sobotę, lecz pod innymi względami był traktowany jak członek rodziny. Nie spieszył się z przeprowadzką do własnego domu.

Z drugiej strony nie mógł tu mieszkać wiecznie. A kiedy się wyprowadzi, Lolla może być załamana rozstaniem z Bessie. Zbyt wiele bliskich straciła. Potrzebuje stabilizacji. Może powinien wyprowadzić się już teraz, zanim mała zbyt przywiąże się do Bessie?

Kiedy zjedli, Paul poszedł spać, a Bessie podała Merthinowi następny kufel piwa i usiedli przy ogniu.

- Ilu ludzi umarło we Florencji? - zapytała.

- Tysiące. Zapewne dziesiątki tysięcy. Nikt nie mógł ich zliczyć.

- Zastanawiam się, kto z Kingsbridge będzie następny.

- Ja też myślę o tym cały czas.

- Mogę to być ja.

- Tego się boję.

- Chciałabym przed śmiercią jeszcze raz pójść do łóżka z mężczyzną. Merthin uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

- Nie byłam z nikim od śmierci mojego Richarda, a to ponad rok.

- Tęsknisz za nim?

- A ty? Jak długo nie byłeś z kobietą?

Merthin nie kochał się z kobietą, od kiedy zachorowała Silvia. Na jej wspomnienie poczuł ukłucie żalu. Nie był jej dostatecznie wdzięczny za to, że go kochała.

- Mniej więcej tyle samo - rzekł.

- Z twoją żoną?

- Tak, pokój jej duszy.

- To długi czas bez miłości.

- Tak.

- Jednak ty nie jesteś z tych, którzy mogą z każdą. Musisz kogoś kochać.

- Zapewne masz rację.

- Ja jestem taka sama. To cudownie legnąć z mężczyzną, to najlepsza rzecz na świecie, ale tylko jeśli naprawdę się kochacie. Miałam jednego mężczyznę, mojego męża. Nigdy nie byłam z nikim innym.

Merthin zastanawiał się, czy to prawda. Nie był tego pewien. Bessie sprawiała wrażenie szczerzej, ale każda kobieta może tak mówić, niezależnie od tego, jak było naprawdę.

- A ty? - zapytała. - Ile miałeś kobiet?

- Trzy.

- Żonę, a przedtem Caris i... kogo jeszcze? Och, pamiętam... Griseldę.

- Nie powiedziałem, kim one były.

- I tak wszyscy wiedzą.

Merthin uśmiechnął się smutno. Oczywiście, wszyscy wiedzą. Może nie są pewni, ale domyślają się i jak zwykle domyślają się prawidłowo.

- Ile lat ma teraz mały Merthin Griseldy? Siedem? Osiem?

- Dziesięć.

- Mam grube kolana - oznajmiła Bessie. Podciągnęła suknię i pokazała mu. - Zawsze nienawidziłam swoich kolan, ale Richard je lubił.

Merthin spojrzał. Były pulchne, z dołeczkami po bokach. Zobaczył też jej białe uda.

- Całował moje kolana - westchnęła. - Był słodki. - Poprawiła suknię, jakby ją przyglądała, lecz niby przypadkiem uniosła ją i przez moment dojrzał zachęcającą kępkę ciemnych włosów na jej kroczu. - Czasem całował mnie wszędzie, szczególnie po kąpieli. Lubiałam to. Lubiałam wszystko. Mężczyzna może robić wszystko z kobietą, która go kocha. Zgadzasz się?

To zaszło za daleko. Merthin wstał.

- Myślę, że zapewne masz rację, lecz takie rozmowy prowadzą tylko do jednego, więc idę spać, zanim zgrzeszę.

Posłała mu smutny uśmiech.

- Śpij dobrze. Gdybyś poczuł się samotny, jestem tu, przy ogniu.

- Będę o tym pamiętał.

Położyły matkę Cecilię na łóżku, nie na materacu, i umieściły tuż przed ołtarzem, w najświętszym miejscu w szpitalu. Zakonnice śpiewały i modliły się przy jej łóżku przez cały dzień i całą noc, zmieniając się. Zawsze był przy niej ktoś, kto obmywał jej twarz chłodną wodą różaną i zawsze stał przy niej kubek z czystą wodą do picia. To jednak niczego nie zmieniało. Odchodziła równie szybko jak inni, krwawiąc z nosa i pochwy, oddychając z coraz większym trudem, cierpiąc męki pragnienia.

Czwartej nocy od chwili, gdy kichnęła⁴ posłała po Caris.

Caris spała głębokim snem. Ostatnie dni ją wyczerpały, szpital był przepełniony. Śniło jej się, że wszystkie dzieci w Kingsbridge zachorowały na zarazę i gdy biegała po szpitalu, próbując się nimi zająć, nagle uświadomiła sobie, że ona też jest chora. Jedno z dzieci szarpało ją za rękę, lecz ona nie zwracała na nie uwagi i rozpaczliwie zastanawiała się, jak poradzi sobie z wszystkimi tymi pacjentami, skoro jest taka chora - aż nagle pojęła, że ktoś coraz mocniej nią potrząsa, mówiąc:

„Zbudź się, siostrze, matka przeorysza cię potrzebuje!”.

Ocknęła się. Przy jej łóżku klęczała nowicjuszka z zapaloną świecą.

- Jak ona się ma? - zapytała Caris.

- Odchodzi, ale jeszcze może mówić i chce cię zobaczyć.

Caris wstała i wzięła sandały. Noc była bardzo zimna. Caris miała na sobie habit, a ponadto wzięła z łóżka koc, narzuciła go sobie na ramiona, po czym zbiegła po schodach na dół.

Szpital był pełen umierających ludzi. Materace ułożono na podłodze w sposób przypominający rybi szkielet, tak by pacjenci mogący siedzieć widzieli ołtarz. Przy łóżkach czuwały rodziny. W powietrzu rozchodził się odór krwi. Caris wzięła z kosza przy drzwiach czystą lnianą szmatkę i obwiązała nią sobie głowę, zasłaniając usta i nos.

Cztery zakonnice klęczały przy łożu Cecylii, śpiewając. Przeorysza leżała z zamkniętymi oczami i w pierwszej chwili Caris pomyślała, że przysłała za późno. Nagle Cecilia jakby wyczuła jej obecność, obróciła głowę i otworzyła oczy.

Caris usiadła na skraju łóżka, umoczyła szmatkę w wodzie różanej i starła smugę krwi z górnej wargi Cecylii.

Przeorysza z trudem oddychała.

- Czy ktoś przeżył tę straszną chorobę? - zapytała, łapiąc oddech.

- Tylko Madge Webber.

- Ta, która nie chciała żyć.

- Wszystkie jej dzieci umarły.

- Ja też wkrótce umrę.

- Nie mów tak.

- Zapominasz się. My, zakonnice, nie boimy się śmierci. Przez całe nasze życie czekamy na połączenie z Jezusem w niebiesiech. Gdy przychodzi śmierć, witamy ją radośnie.

Ta długa przemowa wyczerpała ją. Zakaszła konwulsyjnie. Caris otarła krew z jej brody.

- Tak, matko przeoryszo. Jednak ci, którzy pozostają, mogą płakać.

Łzy stały jej w oczach. Straciła Mair i Starą Julię, a teraz miała stracić Cecylię.

- Nie płacz. To dobre dla innych. Ty musisz być silna.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Myślę, że Bóg chce, abyś zajęła moje miejsce i została przeoryszą.

W takim razie dokonał bardzo dziwnego wyboru, pomyślała Caris. Zazwyczaj wybiera ludzi, którzy spoglądają na Niego z większą pokorą. Jednak już dawno nauczyła się, że nie ma sensu mówić

takich rzeczy.

- Jeśli siostry mnie wybiorą, zrobię, co w mojej mocy.
- Sądzę, że cię wybiorą.
- Jestem pewna, że siostra Elizabeth zechce, by rozważyły jej kandydaturę.
- Elizabeth jest sprytna, ale ty jesteś kochająca.

Caris skłoniła głowę. Zapewne Cecilia miała rację. Elizabeth byłaby zbyt ostra. Caris najlepiej nadawała się do kierowania klasztorem, mimo że sceptycznie zapatrywała się na sens spędzania życia na modłach i śpiewaniu psalmów. Wierzyła w szkołę i szpital. Boże broń, żeby Elizabeth miała kierować szpitalem.

- Jest jeszcze coś. - Cecilia zniżyła głos i Caris musiała się nad nią nachylić. - Coś, o czym przeor Anthony powiedział mi, kiedy umierał. Do końca dochował tajemnicy, a ja uczyniłam to samo.

Caris nie była pewna, czy chce dźwigać ciężar tajemnicy, jednak wola umierającej była ważniejsza od jej zastrzeżeń.

- Stary król nie umarł w wyniku upadku z konia.

Caris była wstrząśnięta. To wydarzyło się przed dwudziestoma laty, ale pamiętała plotki. Zabójstwo króla było najgorszą ze zbrodni, podwójną, bo łączącą morderstwo ze zdradą, a za obie groziła kara śmierci. Nawet wiedza o czymś takim była niebezpieczna. Nic dziwnego, że Anthony dochował tajemnicy.

- Królowa i jej kochanek Mortimer - ciągnęła Cecilia - chcieli usunąć Edwarda. Dziedzicem tronu był mały chłopiec. Mortimer został królem, tyle że nie zasiadł na tronie. Oczywiście nie trwało to tak długo, jak się spodziewali, gdyż młody Edward Trzeci zbyt szybko dorósł. Znowu zakaszłała, tym razem słabiej.

- Mortimer został stracony, kiedy byłam dzieckiem.
- Jednak nawet Edward nie chciał, by ktoś wiedział, co naprawdę stało się z jego ojcem.

Dlatego nadal pozostaje to tajemnicą.

Caris była oszołomiona. Królowa Izabela jeszcze żyła, otoczona przepychem w Norfolku, jako szanowana matka króla. Gdyby ludzie odkryli, że ma na rękach krew swego męża, nastąpiłoby polityczne trzęsienie ziemi. Caris miała poczucie winy już tylko z powodu tego, że o tym wie.

- Zatem został zamordowany? - zapytała.

Cecilia nie odpowiedziała. Caris przyjrzała się jej. Przeorysza leżała spokojnie, z kamienną twarzą i nieruchomymi oczami. Nie żyła.

60

Nazajutrz po śmierci Cecylie Godwyn zaprosił siostrę Elizabeth na obiad.

To był niebezpieczny moment. Śmierć Cecylia naruszyła równowagę sił. Godwyn potrzebował żeńskiego zakonu, gdyż męski nie był samowystarczalny. Nigdy nie zdołał poprawić stanu finansów. Jednak^Awiększość zakonnic była teraz rozgniewana z powodu tego, że zabrał im pieniądze, i wrogo do niego nastawiona. Gdyby zaczęła nimi rządzić przeorysza żadna zemsty - na przykład Caris - mogłoby to oznaczać koniec męskiego zakonu.

Ponadto bał się zarazy. A jeśli zachoruje? Jeśli umrze Philemon? Takie okropne myśli przerażały go, ale udało mu się zepchnąć w głąb świadomości. Nie chciał, by zaraza odwróciła jego uwagę od długofalowego planu związanego ze zwolnieniem się stanowiska przeoryszy.

Jej wybór był teraz największym niebezpieczeństwem. Już widział zamknięty klasztor i siebie opuszczającego w nielące Kingsbridge, zmuszonego przenieść się gdzie indziej, by zostać zwykłym mnichem, podwładnym przeora, który karałby go i upokarzał. Gdyby tak się stało, chybaby się zabił.

Z drugiej strony stanowiło to nie tylko zagrożenie, ale także okazję. Jeśli dobrze to rozegra, może będzie miał przyjaźnie nastawioną przeoryszę, która pozwoli mu rządzić całym opactwem. A najlepszą kandydatką była Elizabeth.

Byłaby przeoryszą apodyktyczną, przewrażliwioną na punkcie własnej godności, jednak mógłby z nią współpracować. Była pragmatyczna, czego dowiodła, ostrzegając go, że Caris zamierza sprawdzić stan skarbcza. Byłaby jego sprzymierzeńcem.

Weszła z wysoko podniesioną głową. Wiedziała, że nagle stała się ważna, i Godwyn pojął, iż ją to cieszy. Nerwowo zastanawiał się, czy zgodzi się na plan, który zamierza jej przedstawić. Trzeba będzie postępować ostrożnie.

Rozejrzała się po wspaniałej sali biesiadnej.

- Zbudowałeś piękny pałac - powiedziała, przypominając mu, że pomogła mu zdobyć na to fundusze.

Uświadomił sobie, że nigdy tu nie była, chociaż pałac został ukończony rok temu. Wolał, by kobiety nie kręciły się po części klasztoru, która należy do mnichów. Do dzisiejszego dnia były tu tylko Petranilla i Cecilia.

- Dziękuję - powiedział. - Wierzę, że zyskuje nam szacunek szlachetnie urodzonych i możnych. Już podejmowaliśmy tu arcybiskupa Monmouth.

Za ostatnie floreny zakonnic kupił gobeliny przedstawiające sceny z życia proroków. Przyjrzała się temu ukazującemu Daniela w jaskini lwów.

- Jest bardzo piękny - pochwaliła.

- Z Arras. Uniosła brwi.

- To twój kot, tam pod szafą? Godwyn syknął.

- Nie mogę się go pozbyć - skłamał i wygonił zwierzątko z komnaty. Mnisi nie powinni trzymać zwierząt domowych, lecz obecność kota uspokajała go. Usiedli na końcu długiego stołu. Nie podobało mu się to, że kobieta siedzi tu na obiedzie, jakby była równie dobra jak mężczyzna, ale ukrył swoją niechęć. Podano wyszukane danie - wieprzowinę pieczoną z imbirem i jabłkami. Philemon nalał wino z Gaskonii. Elizabeth skosztowała mięsa.

- Wyśmienite - rzekła.

Godwyn nie interesował się jedzeniem, chyba że było środkiem do osiągnięcia pożądanego celu, lecz Philemon pałaszował łapczywie. Godwyn przeszedł do rzeczy:

- Jak zamierzasz wygrać te wybory?

- Sądzę, że jestem lepszą kandydatką niż siostra Caris.

W sposobie, w jaki wymówiła to imię, Godwyn wyczuł tłumione emocje. Najwyraźniej wciąż jest zła o to, że Merthin porzucił ją dla Caris. Teraz miała współzawodniczyć z dawną rywalką. Tym razem gotowa jest zabić, żeby wygrać, pomyślał.

Bardzo dobrze.

- Dlaczego uważasz, że jesteś lepsza? - chciał wiedzieć Philemon.

- Jestem starsza od Caris - odparła Elizabeth. - Dłużej jestem zakonnice i pełnię ważną funkcję. Ponadto urodziłam się i wychowałam w głęboko religijnym domu.

Philemon zbył to, kręcąc głową.

- To wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia.

Uniosła brwi zaskoczona jego bezceremonialnością, a Godwyn miał nadzieję, że Philemon nie będzie zbyt brutalny. „Jest nam potrzebna - miał ochotę szepnąć. - Nie zraż jej”.

- Służysz tylko rok dłużej od Caris - bezlitośnie ciągnął Philemon. - A to, że masz ojca biskupa... pokój jego duszy... wcale ci nie pomoże. W końcu biskupi nie powinni mieć dzieci.

Zaczerwieniła się.

- A opaci nie powinni mieć kotów.

- Nie mówimy o przeorze - syknął niecierpliwie.

Zachowywał się arogancko i Godwyn aż się skręcał. On zawsze umiał skrywać wrogość za fasadą przyjaznego uroku, lecz Philemon nigdy się tej sztuki nie nauczył.

Jednak Elizabeth przyjęła to spokojnie.

- Zatem zaprosiliście mnie, żeby mi powiedzieć, iż nie mogę wygrać? - Zwróciła się do Godwyna. - To niepodobne do ciebie, żeby gotować coś z kosztownym imbirem tylko dla samej przyjemności jedzenia.

- Masz całkowitą rację - przyznał Godwyn. - Chcemy, żebyś została przeoryszą, i zrobimy

wszystko, co w naszej mocy, żeby ci w tym pomóc.

- I zaczniemy do realistycznej oceny twoich szans - dodał Philemon. - Caris jest lubiana przez wszystkich: zakonnice, mnichów, kupców i szlachetnie urodzonych. Praca, jaką wykonuje, daje jej przewagę. Większość mnichów i zakonnice oraz setki mieszczan musiało przyjść do szpitala z różnymi dolegliwościami i skorzystać z jej pomocy. Natomiast ciebie widują rzadko. Jesteś skarbniczką uważaną za zimną i wyrachowaną.

- Doceniam twoją szczerość - powiedziała Elizabeth. - Może powinnam zrezygnować.

Godwyn nie wiedział, czy to ironia.

- Nie możesz wygrać - orzekł Philemon. - Jednak ona może przegrać.

- Nie bądź taki enigmatyczny - prychnęła Elizabeth. - Po prostu powiedz mi w prostych słowach, do czego zmierzasz.

Teraz rozumiem, dlaczego nie jest lubiana, pomyślał Godwyn. Philemon udął, że nie usłyszał jej ostrego tonu.

- Twoim zadaniem na kilka najbliższych tygodni jest zniszczyć Caris - wyjaśnił. - Musisz zmienić ją w oczach zakonnice z lubianej, ciężko pracującej, współczującej siostry w potwora.

W oczach Elizabeth pojawił się błysk zapału.

- Czy to możliwe?

- Z naszą pomocą... tak.

- Mów dalej.

- Czy ona nadal nakazuje siostrze nosić płócienne maseczki w szpitalu?

- Tak.

- I myć ręce?

- Tak.

- O takich praktykach nie pisze Galen ani inne medyczne autorytety, a z pewnością nie ma o tym w Biblii. To wygląda na zwyczajny przesąd.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej włoscy medycy uważają, że zaraza rozchodzi się w powietrzu. Zarazasz się nią, patrząc na chorych ludzi lub dotykając ich albo wdychając ich oddech. Nie wiem, co to...

- A jak Włosi wpadli na ten pomysł?

- Chyba po prostu obserwując pacjentów.

- Słyszałem, że Merthin mówił, iż włoscy medycy są najlepsi, po arabskich. Elizabeth skinęła głową.

- Ja też to słyszałam.

- Zatem cały ten pomysł noszenia masek zapewne wyszedł od muzułmanów.
- Możliwe.
- Innymi słowy, to pogańska praktyka.
- Tak podejrzewam.

Philemon usiadł wygodnie, jakby dowiedział swego. Elizabeth nadal nie pojmowała.

- Zatem skompromitujemy Caris, mówiąc, że wprowadziła do klasztoru pogańskie praktyki?
- Niezupełnie - odparł z przebiegłym uśmiechem Philemon. - Powiemy, że uprawia

czary.

Teraz zrozumiała.

- Oczywiście! Prawie o tym zapomniałam.
- Zeznawałaś przeciwko niej na procesie!
- To było dawno temu.
- Sądziłbym, że nigdy nie zapomnisz o tym, że twój wróg był kiedyś oskarżony o taką zbrodnię - rzekł Philemon.

On sam z pewnością nigdy nie zapomina o takich sprawach, pomyślał Godwyn. Jego specjalnością było wyszukiwanie ludzkich słabości i bezwstydne ich wykorzystywanie. Godwyn czasem miał poczucie winy z powodu pokładów zła, jakie widział w swym podopiecznym. Jednak to zło było tak użyteczne, że Godwyn zawsze tłumił swe obawy. Któż inny wpadłby na pomysł zatrucia umysłów zakonnic i nastawienia ich przeciwko Caris?

Nowicjusz przyniósł jabłka i ser, a Philemon ponownie nalał wina.

- W porządku, to ma sens - przyznała Elizabeth. - Czy wymyśliłeś, jak konkretnie powinniśmy to poruszyć?

- Ważne, by najpierw przygotować grunt - wyjaśnił Philemon. - Nie powinnaś formalnie wysuwać takich oskarżeń, dopóki nie wierzy w to wielu ludzi.

Philemon naprawdę jest w tym bardzo dobry, z podziwem pomyślał przeor.

- I jak, waszym zdaniem, powinniśmy tego dokonać? - drążyła Elizabeth.

- Czyny są lepsze niż słowa. Odmów zakładania maski. Poproszona o to, wzrusz ramionami i spokojnie powiedz, że słyszałaś, iż to muzułmański zwyczaj, a ty wolisz chrześcijańskie metody ochrony. Zachęć swoje przyjaciółki, by nie nosiły masek na znak, że cię popierają. I nie myj zbyt często rąk. Widząc, że ludzie słuchają poleceń Caris, z dezaprobatą ściągaj brwi, ale nic nie mów.

Godwyn skinął głową. Przebiegłość Philemona czasami graniczyła z geniuszem.

- Czy nie powinniśmy wspomnieć o herezji?
- Mów o tym, ile chcesz, nie kierując tych uwag bezpośrednio pod adresem Caris. Powiedz, że

słyszałaś o heretykach straconych w innym mieście lub czcicielce diabła, która zdołała zdeprawować cały klasztor, może we Francji.

- Wolałabym nie mówić niczego, co nie jest prawdą - sztywno odparła Elizabeth.

Philemon czasami zapominał, że nie wszyscy są tak pozbawieni skrupułów jak on.

- Oczywiście - pospiesznie wtrącił Godwyn. - Philemon uważa tylko, że powinnaś powtarzać takie historie, jeśli i kiedy je usłyszysz, aby przypomnieć siostronom o zawsze istniejącym niebezpieczeństwie.

- Bardzo dobrze. - Dzwon wybił nonę i Elizabeth wstała. - Nie mogę opuścić mszy. Nie chcę, by ktoś zauważył moją nieobecność i odgadł, że byłam tutaj.

- Racja - odrzekł Godwyn. - W każdym razie uzgodniliśmy, co robimy. Skinęła głową.

- Nie nosić masek.

Godwyn widział, że ma wątpliwości.

- Chyba nie sądzisz, że one działają, co?

- Nie - odparła. - Nie, oczywiście, że nie. Jakżeby mogły?

- Właśnie.

- Dziękuję za obiad. Wyszła.

Dobrze poszło, pomyślał Godwyn, ale wciąż był zaniepokojony.

- Sama Elizabeth może nie przekonać ludzi, że Caris jest czarownicą - rzekł nerwowo do Philemona.

- Racja. Może trzeba będzie jej w tym pomóc.

- Może kazaniem?

- Właśnie.

- Powiem o zarazie z ambony. Philemon miał zamyśloną minę.

- Bezpośredni atak na Caris może być niebezpieczny. Mógłby przynieść niepożądane skutki.

Godwyn zgadzał się z tym. Gdyby doszło do otwartego starcia między nim a Caris, mieszczanie zapewne stanęliby po jej stronie.

- Nie wymienię jej imienia.

- Po prostu zasiej ziarno wątpliwości i niech ludzie sami wyciągną wnioski.

- Potępię herezję, czczenie diabła i pogańskie praktyki.

Weszła Petranilla. Była mocno zgarbiona i chodziła o dwóch laskach, lecz jej wielka głowa wciąż była badawczo wyciągnięta na kościstych ramionach.

- Jak poszło? - zapytała.

To ona zachęciła Godwyna do zaatakowania Caris i zaaprobowwała plan Philemona.

- Elizabeth zrobi dokładnie to, co chcemy - odparł z zadowoleniem Godwyn.

Lubił przekazywać jej dobre wieści.

- To dobrze. Teraz chcę porozmawiać z tobą o czymś innym. - Odwróciła się do Philemona. - Nie będziesz nam już potrzebny.

Przez moment Philemon miał urażoną minę, jak niespodziewanie skarcone dziecko. Choć sam był brutalnie szorstki, łatwo było go zranić. Jednak szybko doszedł do siebie i udał niewzruszonego, a nawet lekko rozbawionego jej wyniosłością.

- Żegnaj, pani - powiedział z przesadnym szacunkiem.

- Odpraw za mnie nonę, dobrze? - powiedział Godwyn.

- Oczywiście.

Kiedy wyszedł, Petranilla usiadła przy wielkim stole i powiedziała:

- Wiem, że to ja nalegałam, abyś wykorzystał zdolności tego młodego człowieka, ale muszę przyznać, że na jego widok przechodzą mnie ciarki.

- Teraz jest użyteczniejszy niż kiedykolwiek.

- Nigdy nie można ufać człowiekowi bez skrupułów. Jeśli zdradza innych, dlaczego nie miałby zdradzić ciebie?

- Będę o tym pamiętał - zapewnił Godwyn, chociaż czuł się tak związany z Philemonem, że nie mógł sobie wyobrazić, jak mógłby się bez niego obejść. Jednak nie chciał mówić tego matce. Zmieniając temat, zapytał: - Masz ochotę na kieliszek wina?

Pokręciła głową.

- I tak ledwo trzymam się na nogach. Usiądź i wysłuchaj mnie.

- Jak sobie życzysz, matko. Usiadł obok niej przy stole.

- Chcę, żebyś opuścił Kingsbridge, zanim zaraza rozszałe się na dobre.

- Nie mogę tego zrobić, jednak ty mogłabyś...

- Ja nie jestem ważna! I tak niedługo umrę. Na samą myśl o tym Godwyn wpadł w panikę.

- Nie mów tak!

- Nie bądź głupi. Mam sześćdziesiąt lat. Spójrz na mnie, nawet nie mogę stanąć prosto. Czas, żebym odeszła. Ty jednak masz dopiero czterdzieści dwa lata i tyle jest jeszcze przed tobą! Mogłabyś być biskupem, arcybiskupem, nawet kardynałem.

Jak zawsze jej bezgraniczna ambicja oszołomiła Godwyna. Czy naprawdę mógłby zostać kardynałem? Czy to tylko matczyne zaślepienie? Naprawdę nie wiedział.

- Nie chcę, żebyś umarł na zarazę, zanim wypełni się twoje przeznaczenie - zakończyła.
- Matko, ty nie umrzesz.
- Zapomnij o mnie! - prychnęła gniewnie.
- Nie mogę opuścić miasta. Muszę dopilnować, żeby zakonnice nie zrobiły Caris przeoryszą.
- Nakłoń je, żeby szybko przeprowadziły wybory. Jeśli ci się nie uda, wyjedź i zostaw sprawę

w rękach Boga.

Bał się zarazy, ale porażki również.

- Mogę wszystko stracić, jeśli wybiorą Caris!

- Godwynie, posłuchaj mnie - powiedziała nieco łagodniej Petranilla - mam tylko jedno dziecko i jesteś nim ty. Nie zniosłabym, gdybym miała cię stracić. Ta nagła zmiana tonu tak go zaskoczyła, że zamilkł.

- Proszę - ciągnęła - błagam cię, wyjedź z miasta i udaj się gdzieś, gdzie nie dosięgnie cię zaraza.

Nigdy nie słyszał, żeby o coś błagała. To było okropne. Wystraszył się.

- Pozwól mi się zastanowić - rzekł, żeby ją uciszyć.

- Ta zaraza jest jak wilk w lesie. Kiedy ją widzisz, nie zastanawiasz się, tylko uciekasz.

I I I
|||

Godwyn wygłosił kazanie w niedzielę przed Bożym Narodzeniem.

Był bezdeszczowy dzień z wysoką warstwą białych chmur przesłaniających zimną kopułę nieba. Środkowa wieża katedry była nakryta ptasim gniazdem rusztowań z lin i desek, rozbierana od góry przez Elfrica. Na odbywającym się na łące jarmarku drżący z zimna handlarze robili marne interesy z nielicznymi i roztargnionymi klientami. Zamarznięta trawa cmentarza usiana była brązowymi prostokątami ponad dwustu świeżych grobów.

Jednak kościół był pełny. Zanim Godwyn wszedł do środka, by odprawić nabożeństwo, szron, który zauważył na wewnętrznych ścianach podczas primy, został stopiony przez ciepło tysięcy ciał. Wierni kulili się w grubych płaszczach i kaftanach koloru ziemi, wyglądając jak bydło w zagrodzie. Wiedział, że przyszli tu z powodu zarazy. Kilkutysięczną kongregację mieszczan zasiliły setki wiernych z okolicznych wiosek, szukających bożej ochrony przed chorobą, która już nawiedziła co najmniej jedną rodzinę przy każdej ulicy miasta i w każdej wiosce. Godwyn ich rozumiał. Nawet on ostatnio modlił się częściej.

Zwykle tylko stojący z przodu pilnie uczestniczyli w nabożeństwie. Ci z tyłu rozmawiali z przyjacielami i sąsiadami, a młodzi bawili się za ich plecami. Jednak dziś w nawie panowała cisza. Wszyscy spoglądali na mnichów i zakonnice, z niezwykłą uwagą obserwując, jak odprawiają

ceremonię. Tłum skrupulatnie odpowiadał, rozpaczliwie próbując zgromadzić jak najwięcej bożej łaski. Godwyn studiował ich twarze, wyczytując z nich prawdę. Widział zgrozę. Tak jak on z przerażeniem zastanawiali się, kto następny zacznie kichać lub krwawić z nosa albo dostanie purpurowoczarnej wysypki.

Na samym przodzie zobaczył hrabiego Williama i jego żonę Philippę, ich dwóch dorosłych synów, Rolanda i Richarda, oraz znacznie młodszą córkę Odilę, która miała czternaście lat. William rządził hrabstwem w taki sam sposób jak jego ojciec, Roland, utrzymując prawo i porządek twardą, a czasem okrutną ręką. Wyglądał na zaniepokojonego: wybuch zarazy w jego włościach był czymś, nad czym nie mógł zapanować pomimo swej stanowczości. Philippa obejmowała córkę, jakby w ten sposób chciała ją chronić.

Obok nich stał sir Ralph, pan Tench. Nigdy nie potrafił ukryć swoich uczuć i teraz wyglądał na przerażonego. Jego młodziutka żona trzymała na rękach niemowlę. Godwyn niedawno ochrzcił dziecko, nadając mu imię Gerald, po dziadku, który stał w pobliżu razem z babką Maud.

Godwyn powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu aż do brata Ralpa, Merthina. Kiedy Merthin wrócił z Florencji, Godwyn miał nadzieję, że Caris zerwie śluby i opuści klasztor. Uważał, że mniej sprawiałaby mu kłopotów jako żona mieszczanina. Tak się jednak nie stało. Merthin trzymał za rękę swoją włoską córeczkę. Obok nich stała Bessie z gospody Bella. Jej ojciec, Paul Bell, już padł ofiarą zarazy.

W pobliżu nich stanęła rodzina, którą Merthin odrzucił: Elfric ze swoją córką Griseldą i chłopczykiem, którego nazwali Merthin - teraz dziesięcioletnim - oraz Harry Mason, którego poślubiła Griseldą, kiedy straciła nadzieję, że zdobędzie Merthina. Przy Elfricu stała jego druga żona Alice, kuzynka Godwyna. Elfric wciąż zerkał w górę. Zbudował prowizoryczny strop nad nawą w miejscu, gdzie rozbierał wieżę, i teraz podziwiał swoje dzieło albo bał się, że runie mu na głowę.

Podjejrzana była nieobecność biskupa Shiring, Henriego z Mons. Biskup zwykle wygłaszał kazanie w Boże Narodzenie. Teraz jednak nie przybył. Tak wielu duchownych umarło na skutek zarazy, że biskup był bardzo zajęty odwiedzaniem parafii i wyszukiwaniem zastępców. Mówiono już o złagodzeniu wymagań stawianych księżom i powoływaniu tych niemających jeszcze dwudziestu pięciu lat, a nawet z nieprawego łoża.

Godwyn wystąpił naprzód, by przemówić. Stało przed nim delikatne zadanie: musi wzniecić strach i nienawiść do najbardziej lubianej osoby w Kingsbridge. I musi zrobić to, nie wymieniając jej imienia, a nawet nie okazując ludziom swego wrogiego nastawienia do niej. Powinni wściekle ją zaatakować, lecz robiąc to, wierzyć, że to ich własny pomysł, nie jego.

Nie podczas każdej mszy wygłaszano kazanie. Tylko przy ważniejszych okazjach, kiedy

gromadziły się tłumy, Godwyn zwracał się do wiernych, a i wtedy nie zawsze było to kazanie. Często poprzestawał na ogłoszeniach parafialnych i przekazywaniu doniosłych wiadomości od arcybiskupa lub króla - o zwycięstwach, podatkach, narodzinach i zgonach w rodzinie królewskiej. Jednak dzisiejszy dzień był szczególny.

- Czym jest choroba? - zaczął.

W kościele już było dość cicho, lecz teraz zapadła cisza jak makiem zasiał. Zadał pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim.

- Dlaczego Bóg zsyła choroby i plagi, by nas dręczyły i zabijały?

Podchwycił spojrzenie matki, stojącej za Elfrikiem i Alice, i nagle przypomniała mu się jej przepowiednia, że wkrótce umrze. Na moment zamarł sparaliżowany strachem, oniemiały. Wierni wiercili się, czekając. Wiedząc, że zaraz straci ich uwagę, wpadł w panikę, która jeszcze pogłębiła paraliż. Po chwili ten przykry moment minął.

- Choroba to kara za grzechy - podjął.

Z biegiem lat wypracował sobie własny styl kazań. Nie przemawiał jak brat Murdo. Mówił bardziej przyjacielskim tonem, starając się przemawiać jak człowiek rozsądny, a nie demagog. Zastanawiał się, czy w ten sposób uda mu się wzniecić nienawiść. Jednak Philemon twierdził, że dzięki temu będzie bardziej przekonujący.

- Zaraza to szczególna choroba, tak więc wiemy, że Bóg zsyła na nas surową karę.

W tłumie rozległ się szmer, coś pomiędzy pomrukiem a jękiem. Właśnie to chcieli usłyszeć. Nabrał odwagi.

- Musimy zadać sobie pytanie, jakie popełniliśmy grzechy, aby na taką karę zasłużyć.

Mówiąc to, zauważył Madge Webber stojącą samotnie. Kiedy ostatnio była w kościele, miała męża i czworo dzieci. Już chciał powiedzieć, że wzbogaciła się, stosując barwniki sporządzone za pomocą czarów, ale zrezygnował z takiej taktyki. Madge był zbyt lubiana i szanowana.

- Mówię wam, że Bóg karze nas za herezję. Są ludzie na tym świecie, w tym mieście, a nawet tu, w tej wielkiej katedrze, którzy kwestionują boski autorytet świętego Kościoła i jego sług. Wątpią w to, że święty sakrament przemienia chleb w prawdziwe ciało Chrystusa, przeczą skuteczności mszy za zmarłych, twierdzą, iż modlitwy przed posągami świętych to bałwochwalstwo. - Były to herezje, o których zazwyczaj rozprawiali studenci teologii w Oksfordzie. Mało kogo w Kingsbridge obchodziły te spory i Godwyn ujrzał rozczerwanie i znudzenie na twarzach wiernych. Znów poczuł, że ich traci, i zaczął się bać, więc dorzucił rozpaczliwie: - Są w tym mieście ludzie praktykujący czary.

To zwróciło ich uwagę. Usłyszał chóralny jęk.

- Musimy się wystrzeżać fałszywej religii - ciągnął. - Pamiętajcie, że tylko Bóg może uzdrawiać. Modlitwa, spowiedź, komunie, pokuta to lekarstwa usankcjonowane przez chrześcijaństwo.
- Podniósł głos. - Wszystko inne jest bluźnierstwem!

Doszedł do wniosku, że to nie wystarczy. Powinien być konkretniejszy.

- Albowiem jeśli Bóg zsyła na nas karę, a my próbujemy jej uniknąć, czyż nie sprzeciwiamy się Jego woli? Możemy modlić się do Niego, aby nam przebaczył, a On może w swej mądrości uleczyć naszą chorobę. Jednak heretyckie środki jedynie pogorszą sprawę. - Słuchali go uważnie, a on się rozgrzewał. - Ostrzegam was! Magiczne zaklęcia, prośby do baśniowych istot, niechrześcijańskie pieśni, a szczególnie pogańskie praktyki, to wszystko czary zakazane przez święty Kościół.

Jego prawdziwym audytorium były trzydzieści dwie zakonnice stojące za nim na chórze. Dotychczas tylko kilka z nich sprzeciwiło się Caris i poparło Elizabeth, odmawiając noszenia masek podczas pielęgnowania ofiar zarazy. W tej sytuacji Caris z łatwością wygra przyszłotygodniowe wybory. Musi przekazać zakonnicom wyraźną wiadomość, że medyczne pomysły Caris to herezje.

- Każdy winny takich praktyk... - zrobił przerwę dla wzmocnienia efektu, odchylając się do tyłu i spoglądając na wiernych. - Każdy w tym mieście... - Odwrócił się i spojrzał za siebie, na stojących na chórze mnichów i zakonnice. - A nawet w klasztorze... - Odwrócił się z powrotem. - Powiadam, że każdy winny takich praktyk powinien być potępiony.

Znów odczekał chwilę dla wzmocnienia efektu.

- I niechaj Bóg ulituje się nad jego duszą.

Paul Bell został pochowany trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Wszyscy, którzy stali nad jego oszronionym grobem na grudniowym zimnie, zostali zaproszeni do gospody, by wypić za jego pamięć. Teraz gospoda należała do Bessie. Nie chciała oplakiwać ojca w samotności, więc szczerze nalewała najlepsze ale. Lennie Fiddler wygrywał smutne melodie na pięciostrunowym instrumencie, a żałobnicy robili się coraz płaczliwsi i smutniejsi, i coraz bardziej pijani.

Merthin siedział w kącie z Lollą. Z wczorajszego jarmarku przyniósł trochę słodkich rodzynek z Koryntu - kosztowny luksus. Dzielił się nimi z córką, jednocześnie ucząc ją liczyć. Odliczył dla siebie dziewięć rodzynek, ale licząc je dla niej, pomijał co drugą liczbę, mówiąc: „Jedna, trzy, pięć, siedem, dziewięć”.

- Nie! - zawołała. - To nie tak! Śmiała się, wiedząc, że ojciec żartuje.

- Przecież odliczyłem po dziewięć - zaprotestował.

- Ale ty masz więcej!

- Hm, a jak to się stało?

- Nie liczyłeś jak trzeba, głuptasie.

- Zatem ty je policz i zobaczymy, czy potrafisz lepiej.

Bessie usiadła przy nich. Miała na sobie swoją najlepszą suknię, trochę zbyt obcisłą.

- Mogę też dostać kilka rodzynek? - zapytała.

- Tak, tylko nie pozwól, żeby tatuś ci je liczył.

- Nie bój się. Znam jego sztuczki.

- No widzisz? - powiedział Merthin do Bessie. - Jedna, trzy, dziewięć, trzynaście... och, trzynaście to za dużo. Lepiej wezmę jedną z powrotem. - Zabrał trzy rodzyнки. Dwanaście, jedenaście, dziesięć. No, teraz masz dziesięć rodzynek.

Lolla uznała to za okropnie śmieszne.

- Przecież ona ma tylko jedną! - wykrzyknęła.

- Czyżbym znów źle je policzył?

- Tak! - Spojrzała na Bessie. - Znamy jego sztuczki.

- No, to ty je policz.

Drzwi otworzyły się i do sali wpadł podmuch zimnego powietrza. Weszła Caris opatulona w gruby płaszcz. Merthin uśmiechnął się. Ilekroć ją widział, cieszył się, że jeszcze żyje.

Bessie spojrzała na nią czujnie, ale powitała uprzejmie.

- Witaj, siostrze. To miło z twojej strony, że pamiętasz mojego ojca.

- Bardzo mi przykro, że go straciłaś - odrzekła Caris. - Był dobrym człowiekiem. Merthin uświadomił sobie, że te dwie kobiety postrzegają się nawzajem jako rywalki.

Nie wiedział, czym sobie zasłużył na takie oddanie.

- Dziękuję - powiedziała Bessie. - Wypijesz kufel ale?

- Jesteś bardzo uprzejma, ale muszę porozmawiać z Merthinem. Bessie spojrzała na

Lollę.

- Upieczemy kilka orzechów na ogniu?

- Tak, proszę!

Bessie zabrała dziewczynkę.

- Dobrze się rozumieją - zauważyła Caris. Merthin skinął głową.

- Bessie ma dobre serce i nie ma własnych dzieci. Caris miała smutną minę.

- Ja też nie mam dzieci... ale może nie mam też dobrego serca. Merthin dotknął jej dłoni.

- Wiem, że jest inaczej. Masz takie dobre serce, że opiekujesz się nie tylko kilkorgiem dzieci, ale tuzinami ludzi.

- Ładnie z twojej strony, że tak mówisz.

- To prawda, dlatego tak mówię. Jak się mają sprawy w szpitalu?

- Źle. Pełno tam umierających, a ja w niczym nie potrafię im pomóc, mogę ich jedynie grzebać. ».

Merthin poczuł przyływ współczucia. Zawsze była taka kompetentna i skuteczna, lecz napięcie i na nią wywarło swój wpływ, czym chciała się podzielić - z nikim innym, tylko z nim.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Bóg wie, że jestem.

- Pewnie martwisz się też wyborami.

- Przyszłam prosić cię o pomoc w tej sprawie.

Merthin zawahał się. Rozdzierały go sprzeczne uczucia. Chciał, by zrealizowała swoje ambicje i została przeoryszą. Tylko czy wtedy kiedykolwiek zostanie jego żoną? Miał bezwstydnie egoistyczną nadzieję, że przegra wybory i złamie śluby. A jednocześnie chciał jej pomóc w tym, o co prosiła, tylko dlatego, że ją kochał.

- W porządku - powiedział.

- Wczorajsze kazanie Godwyna zraniło mnie.

- Czy nigdy nie uwolnisz się od oskarżenia o czary? To absurd!

- Ludzie są głupi. Kazanie wywarło ogromny wpływ na zakonnice.

- Oczywiście zamierzony.

- Niewątpliwie. Niewiele z nich uwierzyło Elizabeth, kiedy mówiła, że moje maski są pogańskie. Tylko jej najbliższe przyjaciółki odmówiły ich noszenia: Cressie, Elaine, Jeannie, Rosie i Simone. Kiedy jednak wszystkie usłyszały te słowa z ambony, sytuacja się zmieniła. Teraz co bardziej strachliwe siostry odmówiły noszenia masek. Kilka unika dokonania wyboru, nie przychodząc do szpitala. Została nas tylko garstka: ja i cztery najbliższe mi zakonnice.

- Tego się obawiałem.

- Teraz, kiedy matka Cecilia, Mair i Stara Julie nie żyją, pozostały tylko trzydzieści dwie siostry mające prawo głosu. Potrzeba siedemnastu głosów, żeby wygrać. Elizabeth początkowo miała pięć popleczniczek. Kazanie przysporzyło jej jedenastu nowych. Razem z jej głosem to siedemnaście. Ja mam tylko pięć i nawet gdyby wszystkie wahające się zagłosowały na mnie, przegrałabym.

Merthin był zły. Po tym wszystkim, co zrobiła dla zakonu, takie traktowanie musiało ją zabołeć.

- Co możesz zrobić?

- Moją ostatnią nadzieją jest biskup. Jeśli on opowie się przeciw Elizabeth i oznajmi, że nie uzna jej wyboru, niektóre z jej zwolenniczek mogą wycofać swe poparcie i miałabym szansę.

- Jak możesz na niego wpłynąć?
- Ja nie, ale ty tak. A przynajmniej może to zrobić gildia parafialna.
- Zapewne...
- Dziś wieczorem odbędzie się jej posiedzenie. Będziesz na nim?
- Tak.

- Pomyśl o tym. Godwyn już trzyma miasto w miazdzącym uścisku. Jest blisko związany z Elizabeth... jej rodzina to dzierżawcy klasztornej ziemi i Godwyn zawsze starał się wyświadczać im przysługi. Jeśli ona zostanie przeoryszą, będzie równie uległa jak Elfric. Godwyn nie będzie miał opozycji w klasztorze ani poza jego murami. To będzie koniec Kingsbridge.

- To prawda, ale czy członkowie gildii zechcą interweniować u biskupa... Na twarzy Caris odmalowało się przygnębienie.

- Po prostu spróbuj. Jeśli ci odmówią, trudno.

Jej desperacja wzruszyła go i pożałował, że nie wykazał większego optymizmu.

- Oczywiście zrobię to.

- Dziękuję. - Wstała. - Na pewno masz w tej sprawie mieszane uczucia. Dziękuję, że okazałeś się prawdziwym przyjacielem.

Uśmiechnął się krzywo. Chciał być jej mężem, a nie przyjacielem. Jednak zadowolony był i tym.

Wyszła na mróz.

Merthin dołączył do Bessie i Lolli przy ogniu i spróbował pieczonych orzechów, ale myślami był gdzie indziej. Wpływy Godwyna były złowrogie, lecz mimo wszystko wciąż rosły. Dlaczego? Może dlatego, że był ambitnym człowiekiem niemającym sumienia, a to zabójcza mieszanka.

Gdy zapadł zmrok, położył Lollę do łóżka i zapłacił córce sąsiadów, żeby jej pilnowała. Bessie zostawiła gospodę pod opieką barmanki Sally. Okryci grubymi płaszczami przeszli główną ulicą do siedziby gildii na zimowe zebranie.

Na końcu długiej sali stała zwyczajowa beczka piwa dla członków. Najwyraźniej w to Boże Narodzenie weselimo się głównie przy trunkach, pomyślał Merthin. Śmierć Paula Bella tego opijano, a niektórzy z żałobników przyszli tu za Merthinem i napełniali swoje kufle tak ochoczo, jakby nie smakowali ale od tygodnia. Może to odrywa ich myśli od zarazy?

Bessie była jedną z czterech osób przyjętych do gildii. Pozostali trzej byli najstarszymi synami zmarłych bogatych kupców. Merthin pomyślał, że Godwyn, jako zwierzchnik mieszczan, na pewno cieszy się ze zwiększonych wpływów z tytułu podatku spadkowego.

Kiedy załatwiono najważniejsze sprawy, Merthin podniósł kwestię wyboru nowej przeoryszy.

- To nie nasza sprawa - natychmiast powiedział Elfric.

- Wprost przeciwnie, gdyż rezultat na wiele lat, a może nawet dziesięcioleci, wpłynie na handel w tym mieście - zauważył Merthin. - Przeorysza to jedna z najbogatszych i najbardziej wpływowych osób w Kingsbridge i powinniśmy zrobić wszystko, aby został nią ktoś, kto nie uczyni niczego, co miałoby zły wpływ na interesy.

- Przecież nic nie możemy zrobić. Nie mamy prawa głosu.

- Mamy wpływy. Możemy złożyć petycję u biskupa.

- Jeszcze nigdy tego nie robiono.

- To żaden argument.

- Kim są kandydatki? - wtrącił się Bill Watkin.

- Przepraszam, myślałem, że wiesz. Siostra Caris i siostra Elizabeth. Uważam, że powinniśmy poprzeć Caris.

- Oczywiście, że tak uważasz-warknął Elfric. - I wszyscy wiemy dlaczego! Rozległy się śmiechy. Każdy wiedział o długiej, cJoć przerywanej rozstaniami miłości Merthina i Caris. Merthin się uśmiechnął.

- No już, uśmiechajcie się, nie mam nic przeciwko temu. Tylko pamiętajcie, że Caris dorastała w domu związanym z handlem wełną i pomagała ojcu, tak więc rozumie problemy i wyzwania, jakim stawiają czoło kupcy, podczas gdy jej rywalka jest córką biskupa i zapewne będzie opowiadała się po stronie przeora.

Elfric był czerwony na twarzy - pewnie z powodu wypitego piwa, pomyślał Merthin, ale głównie z gniewu.

- Dlaczego mnie nienawidzisz, Merthinie? - zapytał. Merthin był zdziwiony.

- Myślałem, że jest wprost przeciwnie.

- Uwiodłeś moją córkę, a potem nie chciałeś się z nią ożenić. Próbowalesz zabronić mi budowy mostu. Myślałem, że się ciebie pozbyłem, ale wróciłeś i upokorzyłeś mnie w sprawie pęknięć mostu. Nie minęło kilka dni od twojego powrotu, a już próbowałeś usunąć mnie ze stanowiska przewodniczącego rady i zastąpić twoim przyjacielem Markiem. Napomknąłeś nawet, że pęknięcia w katedrze to moja wina, chociaż zbudowano ją, zanim się urodziłem. Powtarzam, dlaczego mnie nienawidzisz?

Merthin nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jak Elfric może nie wiedzieć, co mu zrobił? Jednak Merthin nie chciał kłócić się w obecności całej gildii - to byłaby dziecinada.

- Nie nienawidzę cię, Elfricu. Byłeś okrutnym mistrzem, kiedy u ciebie terminowałem, a teraz jesteś kiepskim budowniczym i lizusem Godwyna, ale mimo to nie czuję do ciebie nienawiści.

- Czy właśnie na tym polegają zebrania gildii, na głupich kłótniach? - zapytał jeden z nowych

członków, Joseph Blacksmith.

Merthin poczuł się urażony. To nie on zaczął te osobiste wycieczki. Gdyby jednak o tym przypomniał, uznano by to za głupi argument. Tak więc nic nie powiedział, tylko pomyślał sobie, że Elfric zawsze był przebiegły.

- Joe ma rację - rzekł Bill Watkin. - Nie przyszliśmy tu słuchać, jak Elfric i Merthin się spierają.

Merthina zirytowało to, że Bill zrównał go w ten sposób z Elfrikiem. Ogólnie rzecz biorąc, członkowie gildii lubili go i byli nieprzyjaźnie nastawieni do Elfrica od czasu sporu o pęknięcia mostu. W rzeczy samej usunęliby Elfrica ze stanowiska, gdyby Mark nie umarł. Jednak coś się zmieniło.

- Czy możemy wrócić do istoty sprawy, którą jest petycja do biskupa popierająca Caris? - poprosił Merthin.

- Jestem przeciwny - oznajmił Elfric. - Przeor Godwyn chce, by wybrano Elizabeth.

Odezwał się nowy głos:

- Jestem z Elfrikiem. Nie chcemy kłótni z ojcem przeorem.

Był to Marcel Chandler [* Chandler (ang.) - rzemieślnik wyrabiający i sprzedający świece.], który miał kontrakt na dostawę woskowych świec dla klasztoru. Godwyn był jego największym klientem. Tak więc Merthina nie zaskoczyła jego wypowiedź.

Jednak zaskoczył go następny mówca. Był nim Jeremiah Builder, który rzekł:

- Nie sądzę, że powinniśmy popierać kogoś, kto został oskarżony o herezję. Dwukrotnie splunął na podłogę, na lewo i na prawo, po czym się przeżegnał. Jeremiah zawsze był bardzo przesądny, lecz Merthin nigdy by się nie spodziewał, że z tego powodu go zdradzi.

Tak więc została tylko Bessie, która stanęła w obronie Caris.

- To oskarżenie zawsze było niedorzeczne - powiedziała.

- Jednak nigdy nie zostało wycofane - przypomniał Jeremiah. Merthin spojrzał na niego, lecz Jeremiah unikał jego wzroku.

- Co w ciebie wstąpiło, Jimmie? - zapytał Merthin.

- Nie chcę umrzeć na zarazę - odparł Jeremiah. - Słyszałeś kazanie. Każdy oddający się pogańskim praktykom powinien zostać potępiony. Mówimy o udzieleniu jej poparcia u biskupa, a to nie jest potępienie!

Zebrani odpowiedzieli zgodnym pomrukiem i Merthin zrozumiał, że szala dyskusji przechyliła się na jego niekorzyść. Pozostali nie byli tak przesądni jak Jeremiah, ale podzielali jego obawy. Zaraza ogłupiła ich wszystkich, pozbawiając zdrowego rozsądku. Kazanie Godwyna wywarło

większy wpływ, niż Merthin przypuszczał.

Już miał dać za wygraną, ale pomyślał o Caris, o tym, jaka była zmęczona i przybita, i podjął jeszcze jedną próbę:

- Ja już raz przeżyłem zarazę we Florencji i ostrzegam was, że księża i mnisi nikogo przed nią nie ocalą. Podacie Godwynowi miasto na talerzu, zupełnie za nic.

- Twoje słowa ocierają się o bluźnierstwo - stwierdził Jeremiah. Merthin popatrzył na zebranych. Pozostali zgadzali się z Jeremiahem. Byli zbyt przestraszeni, żeby trzeźwo myśleć. Nic już nie mógł zrobić.

Doszedł do wniosku, że jest za późno, żeby zawiadomić Caris. Zakonnice, tak samo jak mnisi, kładły się spać o zachodzie słońca i wstawały wczesnym rankiem. Jednak przed siedzibą gildii zobaczył czekającą na niego postać opatuloną w gruby wełniany płaszcz i ze zdziwieniem ujrzał w świetle pochodni zaniepokojoną twarz Caris.

- I co się stało? - spytała niespokojna.

- Nie udało mi się - odrzekł. - Przykro mi. Wyglądała na zranioną.

- Co powiedzieli?

- Nie będą się wtrącać. Uwierzyli w kazanie.

- Głupcy.

Razem poszli główną ulicą. Przy bramie klasztoru Merthin rzekł:

- Opuść zakon, Caris. Nie dla mnie, lecz dla siebie. Nie będziesz mogła nic zdziałać pod rządami Elizabeth. Ona cię nienawidzi i będzie przeszkadzała we wszystkim, co zechcesz zrobić. ».

- Jeszcze nie wygrała.

- Jednak wygra... sama tak powiedziałaś. Zerwij śluby i wyjdź za mnie.

- Małżeństwo to też ślub. Jeśli zerwę moje śluby wobec Boga, to czy zaufasz mi, że dotrzymam przysięgi małżeńskiej?

Uśmiechnął się.

- Zaryzykuję.

- Pozwól mi się zastanowić.

- Zastanawiasz się nad tym już od miesiąca - powiedział z urazą Merthin. - Jeśli nie opuścisz klasztoru teraz, nie zrobisz tego nigdy.

- Nie mogę teraz odejść. Ludzie potrzebują mnie bardziej niż kiedykolwiek. Zaczął wpadać w gniew.

- Nie będę prosił wiecznie.

- Wiem.

- W rzeczy samej nie poproszę cię więcej, już nie. Zaczęła płakać.

- Przepraszam, ale nie mogę opuścić szpitala w czasie zarazy.

- Szpitala.

- I mieszkańców miasta.

- A co z tobą?

W płomieniach jego pochodni na jej policzkach zalśniły łzy.

- Tak bardzo mnie potrzebują.

- Są niewdzięczni, wszyscy, zakonnice, mnisi, mieszczenie. Coś o tym wiem, na Boga.

- To nie czyni żadnej różnicy.

Skinął głową, akceptując jej decyzję, tłumiąc samolubny gniew.

- Jeśli tak uważasz, musisz spełnić swój obowiązek.

- Dziękuję, że to rozumiesz.

- Wolałbym, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

- Ja też.

- Lepiej weź tę pochodnię.

- Dziękuję.

Wzięła od niego płonąca pochodnię i odwróciła się. Obserwował ją, myśląc: czy tak się to kończy? I to już wszystko? Odchodziła swym charakterystycznym krokiem, zdecydowanym i pewnym, lecz ze spuszczoną głową. Przeszła przez bramę i znikła.

Przez szpary okiennic i drzwi przeświecały światła gospody. Wszedł do środka.

Kilku ostatnich gości żegnało się z pijacką wylewnością, a Sairy zbierała kufle i wycierała stoły. Merthin zajrzał do Lolli, która mocno spała, i zapłacił pilnującej jej dziewczynie. Zamierzał pójść spać, ale wiedział, że nie zaśnie. Był zbyt rozdrażniony. Dlaczego musi stracić cierpliwość akurat dzisiaj? Rozgniewał się. Kiedy jednak ochłonął, pojął, że jego gniew był wywołany obawą. W głębi serca bał się, że Caris zachoruje i umrze.

Usiadł na ławie w sali gospody i zzuł buty. Pozostał tam, patrząc w ogień, zastanawiając się, dlaczego nie może mieć tego jednego, czego pragnie najbardziej.

Przyszła Bessie i powiesiła płaszcz na wieszaku. Sairy skończyła pracę, a Bessie zamknęła gospodę. Usiadła naprzeciwko Merthina, zajmując wielki fotel, na którym zawsze siadywał jej ojciec.

- Przykro mi z powodu tego, co zdarzyło się na zebraniu - powiedziała. - Nie wiem, kto ma rację, ale wiem, że jesteś rozczarowany.

- Mimo wszystko dziękuję ci za poparcie.

- Zawsze będę cię popierała.

- Może czas, żebym przestał toczyć boje o Caris?
- Z tym się zgadzam. Widzę jednak, że to cię smuci.
- Smuci i złości. Wygląda na to, że zmarnowałem pół życia, czekając na nią.
- Miłość nigdy nie jest marnowaniem czasu. Spojrzał na nią zdziwiony. Po chwili powiedział:
- Jesteś mądrą osobą.
- W domu nie ma nikogo poza Lollą - powiedziała. - Wszyscy goście już wyjechali. - Wstała z fotela i uklękła przed nim. - Chciałabym cię pocieszyć - powiedziała. - W każdy możliwy sposób.

Spojrzał na jej owalną, przyjazną twarz i poczuł, jak jego męskość budzi się do życia. Minęło tyle czasu, od kiedy trzymał w ramionach ciepłe kobiece ciało. Mimo to pokręcił głową.

- Nie chcę cię wykorzystać.

Uśmiechnęła się.

- Nie proszę, żebyś mnie poślubił. Nawet nie proszę, żebyś mnie kochał. Dopiero co pochowałam ojca, a ty zawiodłeś się co do Caris. Oboje potrzebujemy kogoś, do kogo moglibyśmy się przytulić.

- I złagodzić ból, jak dzbanem wina. Wzięła jego rękę i ucałowała ją.
- To lepsze niż wino - szepnęła.

Przycisnęła jego dłoń do swojej piersi. Była duża i miękka, i westchnął, pieszcząc ją. Uniosła głowę, a on pochylił się i pocałował ją w usta. Jęknęła cicho z rozkoszy. Pocałunek był cudowny, jak zimny napój w upalny dzień, i Merthin nie chciał go przerywać.

W końcu oderwała się od niego zdyszana. Wstała i ściągnęła przez głowę wełnianą suknię. Jej nagie ciało było różowe w blasku ognia. Składało się z samych łuków: bioder, brzucha, piersi. Wciąż siedząc, chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie. Ucałował ciepłą skórę brzucha, a potem różowe koniuszki piersi. Spojrzał na jej zarumienioną twarz.

- Chcesz iść na górę? - mruknął.
- Nie - odparła bez tchu. - Nie mogę czekać tak długo.

62

Wybory przeorowskie miały się odbyć zaraz po Boeym Narodzeniu. Tego ranka Caris była tak przygnębiona, że z trudem wstała z łóżka. Kiedy zadzwonił dzwon na poranne nabożeństwo, miała ochotę schować głowę pod koc i powiedzieć, że źle się czuje. Jednak nie może udawać, kiedy tak wielu umiera, więc w końcu się przemogła.

Wlokła się po lodowato zimnych kamiennych płytach klauzury, ramię w ramię z Elizabeth, z którą szły na czele procesji. Protokół nakazywał, aby żadna z rywalizujących ze sobą zakonnice nie wyprzedzała w pochodzie drugiej. Jednak Caris przestało to obchodzić. Wynik był z góry

przesądzony. Stała, ziewając i drżąc podczas śpiewania psalmów i czytania pisma. Była zła. Tego dnia Elizabeth zostanie wybrana na przeoryszkę. Caris czuła żal do zakonnic, że jej nie poparły, nienawiść do Godwyna za jego wrogię nastawienie i pogardę dla mieszczan, którzy odmówili wstawienia się za nią u biskupa.

Miała wrażenie, że jej życie to jedna wielka porażka. Nie zbudowała nowego szpitala, o którym marzyła, i nigdy go nie wybuduje.

Miała też żal do Merthina, że złożył jej propozycję, której nie mogła przyjąć. Niczego nie rozumiał. Dla niego małżeństwo z nią byłoby dopełnieniem jego życia jako architekta. Dla niej małżeństwo zastąpiłoby pracę, którą wykonuje z takim poświęceniem. Dlatego zwlekała przez tyle lat. Nie dlatego, że go nie chciała. Pragnęła go tak bardzo, że z trudem mogła to znieść.

Wymamrotała ostatnie słowa odpowiedzi, a potem sztywno wyszła z kościoła na czele procesji. Gdy ponownie przechodziły przez klauzurę, ktoś za jej plecami kichnął. Była tak przybita, że nawet nie odwróciła się, by sprawdzić kto to.

Zakonnice weszły po schodach do dormitorium. Kiedy Caris przekraczała próg, słyszała głośne posapywanie i zrozumiała, że ktoś leży w łóżku. W blasku świecy zobaczyła opiekunkę nowicjuszek, siostrę Simone - ponurą kobietę w średnim wieku, zwykle bardzo sumienną, która na pewno nie udawałaby chorej. Caris obwiązała twarz kawałkiem płótna i uklękła przy posłaniu Simone. Ta była zlana potem i przestraszona.

- Jak się czujesz? - zapytała Caris.

- Okropnie - jęknęła Simone. - Miałam dziwne sny. Caris dotknęła jej czoła. Było rozpalone.

- Mogę dostać coś do picia?

- Za chwilę.

- To pewnie zwykłe przeziębienie.

- Niewątpliwie masz gorączkę.

- To na pewno nie zaraza, prawda? Nie jest tak źle.

- W każdym razie przeniesiemy cię do szpitala - wymijająco odparła Caris. - Możesz chodzić?

Simone z trudem się podniosła. Caris wzięła z łóżka koc i narzuciła go jej na ramiona.

Gdy szły do drzwi, Caris usłyszała kichnięcie. Tym razem zobaczyła, że to siostra Rosie, pulchna ochmistrzyni. Caris bacznie przyjrzała się Rosie, która wyglądała na przestraszoną.

Caris zawołała stojącą najbliżej zakonnicę.

- Siostro Cressie, zaprowadź Simone do szpitala, a ja obejrzę Rosie. Cressie wzięła Simone pod ręką i sprowadziła po schodach.

Caris w świetle świecy obejrzała twarz Rosie. Ona też była spocona. Odchyliła kołnierz

habitu. Na ramionach i piersiach ujrzała wysypkę - mnóstwo purpurowych plamek.

- Nie - szepnęła Rosie. - Proszę, nie.

- Może to nic takiego - skłamała Caris.

- Nie chcę umierać na zarazę! - powiedziała Rosie łamiącym się głosem.

- Uspokój się i chodź ze mną - cicho powiedziała Caris. Mocno chwyciła Rosie pod rękę.

Zakonnica zaczęła się opierać.

- Nie, nic mi nie będzie!

- Spróbuj odmówić modlitwę. Zdrowaś Mario, no już.

Rosie zaczęła się modlić i po chwili Caris zdołała ją wyprowadzić.

Szpital był pełen umierających i ich rodzin, w większości już nieśpiących mimo wczesnej pory. W powietrzu unosił się silny odór spoconych ciał, wymiocin i krwi. Sala była słabo oświetlona lojowymi lampkami i świecami palącymi się na ołtarzu. Kilka zakonnice zajmowało się pacjentami, przynosząc im wodę i obmywając. Niektóre nosiły maski, inne nie.

Był tam brat Joseph, najstarszy z mnichów medyków i najbardziej lubiany.

Udzielał ostatniego namaszczenia Rickowi Silversowi, przewodniczącemu cechu jubilerów. Pochylony wysłuchiwał jego szeptanej spowiedzi otoczony przez dzieci i wnuki.

Caris znalazła miejsce dla Rosie i namówiła ją, żeby się położyła. Jedna z zakonnice przyniosła jej kubek czystej wody z fontanny. Rosie leżała nieruchomo, lecz niespokojnie wodziła wokół wzrokiem. Widziała, jaki czeka ją los, i była przerażona.

- Brat Joseph wkrótce do ciebie przyjdzie - powiedziała Caris.

- Miałaś rację, siostrze Caris - odezwała się Rosie.

- Co masz na myśli?

- Simone i ja byłyśmy tymi przyjaciółkami siostry Elizabeth, które pierwsze odmówiły noszenia masek, i spójrz, co się z nami stało.

Caris nie pomyślała o tym. Czyżby jej racji miała dowieść śmierć tych, które się z nią nie zgadzały? Wolałaby się mylić.

Poszła spojrzeć na Simone. Ta leżała i trzymała za rękę Cressie. Simone była starsza i spokojniejsza od Rosie, lecz ona też miała lęk w oczach i mocno ścisnęła dłoń zakonnicy.

Caris zerknęła na Cressie i zobaczyła nad jej górną wargą ciemną smugę. Wyciągnęła rękę i otarła ją rękawem.

Cressie również należała do tych, które nie chciały zakładać masek.

Spojrzała na plamę na rękawie Caris.

- Co to jest? - zapytała.

- Krew - odparła Caris. ».

Wybory odbyły się w refektarzu godzinę przed obiadem. Caris i Elizabeth siedziały obok siebie przy stole na końcu izby, a pozostałe zakonnice na ustawionych w rzędach ławach.

Wszystko się zmieniło. Simone, Rosie i Cressie leżały w szpitalu powalone przez zarazę. Tu, w refektarzu, pozostałe dwie z tych, które pierwsze odmówiły noszenia masek, Elaine i Jeannie, wykazywały pierwsze objawy choroby: Elaine kichała, a Jeannie się pociła. Brat Joseph, który od początku bez maski opiekował się ofiarami zarazy, też w końcu zachorował. Wszystkie pozostałe zakonnice znów zaczęły nosić w szpitalu maski. Jeśli było to oznaką poparcia dla Caris, wygrała.

Wszystkie były spięte i podenerwowane. Siostra Beth, była skarbniczka, a teraz najstarsza z zakonnice, odmówiła modlitwę, otwierając posiedzenie. Zanim skończyła, kilka zakonnice odezwało się jednocześnie. Najgłośniej siostra Margaret wcześniej opiekująca się piwnicą.

- Caris miała rację, a Elizabeth się myliła! - zawołała. - Te, które odmówiły noszenia masek, teraz umierają!

Pozostałe poparły ją chóralnym pomrukiem.

- Wolałabym się mylić - powiedziała Caris. - Wolałabym, żeby Rosie, Simone i Cressie siedziały tutaj i głosowały przeciwko mnie.

Naprawdę tak myślała. Miała dość patrzenia na umierających ludzi. Ich widok sprawiał, że wszystko inne wydawało się trywialne. Elizabeth wstała.

- Proponuję odłożyć wybory - powiedziała. - Trzy zakonnice nie żyją, a kolejne trzy są w szpitalu. Powinniśmy poczekać, aż zaraza minie.

To zaskoczyło Caris. Sądziła, że Elizabeth nie jest w stanie zrobić nic, żeby uniknąć klęski, ale myliła się. Teraz nikt by na nią nie głosował, lecz jej zwolenniczki być może wstrzymałyby się od głosu.

To wyrwało Caris z apatii. Nagle przypomniała sobie, dlaczego chciała zostać przeoryszą: aby rozbudować szpital, nauczyć więcej dziewcząt czytać i pisać, wspomóc rozwój miasta. Byłoby katastrofą, gdyby zamiast niej wybrano Elizabeth.

Stara siostra Beth natychmiast poparła Elizabeth.

- Nie powinniśmy przeprowadzać elekcji w panice i dokonywać wyboru, którego mogłybyśmy żałować, kiedy wszystko się uspokoi.

To stwierdzenie sprawiło wrażenie uprzednio przewidzianego: Elizabeth najwidoczniej to zaplanowała. Jednak ten argument nie jest pozbawiony sensu, pomyślała z niepokojem Caris.

- Beth - z urazą mruknęła Margaret - mówisz tak tylko dlatego, że wiesz, iż Elizabeth przegra. Caris powstrzymała się od wypowiedzi w obawie, że ten sam argument zostanie użyty przeciwko niej.

Siostra Naomi, która nie opowiadała się za żadną ze stron, powiedziała:

- Problem w tym, że nie mamy przełożonej. Matka Cecilia, pokój jej duszy, po śmierci Natalie nie wyznaczyła zastępczyni.

- Czy to źle? - Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Tak! - odparła Margaret. - Nie możemy nawet zdecydować, kto ma iść pierwszy w procesji!

Caris postanowiła zaryzykować i poczynić rzeczową uwagę:

- Jest długa lista decyzji, które musimy podjąć, szczególnie dotyczących dziedziczenia zakonnych gruntów, których dzierżawcy umarli na zarazę. Trudno obyć się dłużej bez przeoryszy.

Siostra Elaine, jedna z najbliższych przyjaciółek Elizabeth, teraz opowiedziała się przeciwko odłożeniu wyborów.

- Nienawidzę wyborów - wyznała, kichnęła i dodała: - Nastawiają siostry przeciwko sobie i powodują rozłam. Chcę, żebyśmy miały to już za sobą i mogły zjednoczyć się w obliczu tej strasznej plagi.

Pozostałe siostry poparły jej słowa radosnym aplauzem. Elizabeth przeszła ją gniewnym wzrokiem. Elaine pochwyliła jej spojrzenie i dodała:

- Widzicie, nie mogę nawet wygłosić podobnej uwagi, żeby Elizabeth nie patrzyła na mnie tak, jakbym ją zdradziła!

Elizabeth spuściła oczy.

- No dalej, głosujmy - ponagliła Margaret. - Kto jest za Elizabeth, niech powie „tak”.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Beth cicho powiedziała: „tak”. Caris czekała, aż odezwie się ktoś jeszcze, ale Beth była jedyna. Serce zaczęło jej mocniej bić. Czyżby jej marzenia miały się spełnić?

- Kto jest za Caris? - zapytała Margaret.

Odpowiedź była natychmiastowa. Rozległ się chóralny okrzyk „tak!” i Caris miała wrażenie, że niemal wszystkie zakonnice zagłosowały za nią.

Dokonałam tego, pomyślała. Jestem przeoryszą. Teraz naprawdę możemy czegoś dokonać.

- W takim razie... - zaczęła Margaret.

- Czekaście! - przerwał jej nagle męski głos.

Kilka zakonnice jęknęło, a któraś krzyknęła. Wszystkie spojrzwały na drzwi. Stał w nich Philemon. Musiał podsłuchiwać pod drzwiami, pomyślała Caris.

- Zanim zrobicie coś...

Caris nie zamierzała mu na to pozwolić. Wstała i przerwała mu:

- Jak śmiesz wchodzić do żeńskiego klasztoru! Nie masz na to zezwolenia i nie jesteś tu mile widziany. Natychmiast odejść!

- Przysłał mnie lord opat...

- On nie ma prawa...

- Jest starszym duchownym w Kingsbridge i pod nieobecność przeoryszy lub jej zastępczyni sprawuje władzę nad zakonnicami.

- My już mamy przeoryszkę, bracie Philemonie - powiedziała Caris, ruszając w jego stronę. - Właśnie zostałam wybrana.

Wszystkie zakonnice nienawidziły Philemona i krzyknęły radośnie.

- Ojciec Godwyn nie wyraża zgody na te wybory - oznajmił.

- Za późno. Powiedz mu, że matka Caris jest teraz przełożoną zakonu i cię stąd wyrzuciła.

Philemon cofnął się.

- Nie jesteś przeoryszą, dopóki nie zostałam zatwierdzona przez biskupa.

- Wynocha! - syknęła Caris.

- Wynocha! Wynocha! Wynocha! - podjęły zakonnice.

Philemon zląkł się. Przywykł, że nikt mu się nie sprzeciwia. Caris zrobiła następny krok w jego kierunku, a on znów się cofnął. Wyglądał na zdumionego tym, co się stało, ale także przestraszonego. Zakonnice pokrzykiwały coraz głośniejsze. Nagle odwrócił się i czmychnął.

Zakonnice śmiały się i wiwatowały.

Jednak Caris wiedziała, że jego ostatnia uwaga była prawdą. Jej wybór musi zatwierdzić biskup Henri.

A Godwyn zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby temu zapobiec.

III
|||

Grupa ochotników z miasta wykarczowała akr lasu na drugim brzegu rzeki i Godwyn konsekrował właśnie teren jako nowy cmentarz. Wszystkie cmentarze w obrębie murów miejskich były pełne, a na pozostałych wolnych miejscach przy katedrze wciąż chowano zmarłych.

Godwyn maszerował wzdłuż granic parceli w przeszywającym zimnym wietrze, skrapiając ją wodą święconą, która zamarzała, ledwie dotknęła ziemi. Mnisi i zakonnice szli za nim, śpiewając psalm. Chociaż ceremonia jeszcze się nie skończyła, grabarze już wzięli się do pracy. Kopczyki ziemi stały równymi rzędami obok prostokątnych dołów wykopanych jak najbliżej siebie, aby zaoszczędzić miejsca. Mimo to ten akr nie wystarczy na długo i ludzie już karczowali następny kawałek lasu.

W takich chwilach jak ta Godwyn z trudem zachowywał spokój. Zaraza była jak nadciągająca fala, zatapiająca wszystko na swej drodze, niepowstrzymana. W ciągu tygodnia poprzedzającego Boże Narodzenie mnisi pochowali setkę ludzi i liczba ofiar wciąż rosła. Brat Joseph umarł poprzedniego dnia, a teraz zachorowali dwaj kolejni mnisi. Kiedy to się skończy? Czy wszyscy na tym świecie umrą? Czy on, Godwyn, także skona?

Był tak przerażony, że przystanął, patrząc na złote kropidło, którym skrapiał ziemię wodą święconą, jakby nie wiedział, co trzyma. Przez moment był tak spanikowany, że nie mógł się ruszyć, aż Philemon, idący na czele procesji, popchnął go lekko. Godwyn zachwiał się i podjął przerwany marsz. Musi odsunąć od siebie te zatrważające myśli.

Skupił się na kwestii wyboru przeoryszy. Reakcja na jego kazanie była tak obiecująca, iż uznał zwycięstwo Elizabeth za przesądzone. Jednak szala przechyliła się z szokującą szybkością i zaskoczył go niespodziewany wzrost sympatii dla Caris. Interwencja Philemona była rozpaczliwą próbą podjętą zbyt późno. Na myśl o tym Godwyn miał ochotę wrzeszczeć.

Jednak to jeszcze nie koniec. Caris wyśmiała Philemona, lecz naprawdę nie może czuć się bezpieczna na swoim stanowisku, dopóki nie zatwierdzi jej biskup Henri.

Niestety, Godwyn jeszcze nie zdążył się z nim zaprzyjaźnić. Biskup, który nie mówił po angielsku, odwiedził Kingsbridge tylko raz. A ponieważ był nowy, Philemon nie dowiedział się jeszcze, czy ma jakieś słabostki. Jednak był mężczyzną i księdzem, więc powinien poprzeć Godwyna przeciwko Caris.

Godwyn napisał do Henriego, że Caris rzuciła urok na zakonnice, wmawiając im, że może je ocalić przed zarazą. Szczegółowo opisał jej historię: oskarżenie o herezję, proces i wyrok sprzed ośmiu lat oraz jak uratowała ją Cecilia. Miał nadzieję, że Henri przybędzie do Kingsbridge uprzedzony do Caris.

Tylko kiedy to się stanie? To niezwykle, że biskup nie zjawił się na bożonarodzeniowej mszy w katedrze. List od sprawnego, lecz pozbawionego wyobraźni archidiakona Lloyda wyjaśniał, że Henri jest zajęty mianowaniem duchownych na stanowiska tych, którzy umarli na zarazę. Lloyd mógł być przeciwko Godwynowi: był człowiekiem hrabiego Williama zawdzięczającym swoje stanowisko zmarłemu bratu Williama, Richardowi, a ojciec Williama i Richarda, hrabia Roland, nienawdził Godwyna. Jednak to nie Lloyd będzie decydował, lecz Henri. Trudno powiedzieć, co się wydarzy. Godwyn czuł, że stracił panowanie nad sytuacją. Jego kariera była zagrożona przez Caris, a jego życie przez bezlitosną zarazę.

Gdy ceremonia konsekracji zbliżała się do końca, zaczął prószyć śnieg. Tuż za wykarczowanym terenem stały trzy konduktu pogrzebowe, czekając na otwarcie cmentarza.

Na dany przez Godwyna znak ruszyły. Pierwsze ciało spoczywało w trumnie, lecz pozostałe na noszach okryte całunami. Nawet w najlepszych czasach trumny były luksusem dla bogatych, lecz teraz deski stały się tak drogie, a trumniarze tak zapracowani, że tylko najbogatsi mogli sobie na nie pozwolić.

Na czele pierwszego konduktu szedł Merthin, z płatkami śniegu w rudych włosach i brodzie. Na rękach trzymał córeczkę. Godwyn domyślił się, że bogatą osobą w trumnie musi być Bessie Bell. Zmarła nie miała krewnych i zostawiła gospodę Merthinowi. Pieniądze lgną do tego człowieka jak mokre liście, pomyślał kwaśno Godwyn. Merthin już miał Wyspę Trędowatych i fortunę przywiezioną z Florencji, a teraz został posiadaczem najczęściej odwiedzanej gospody w Kingsbridge.

Godwyn znał testament Bessie, gdyż opactwu należał się podatek spadkowy liczony jako spory procent wartości lokalu. Merthin bez wahania zapłacił go w złotych florenach.

Jedyną zaletą zarazy było to, że opactwo nagle miało mnóstwo gotówki.

Godwyn odprawił jedną ceremonię pogrzebową dla wszystkich siedmiu zmarłych. Teraz było to normą: jeden pogrzeb rano, drugi po południu, niezależnie od liczby ofiar. W Kingsbridge nie było tylu księży, by móc grzebać zmarłych indywidualnie.

Na myśl o tym Godwyn znów się przeraził. Zaciął się, odmawiając modlitwę, bo ujrzał siebie w jednym z takich grobów, po obwili jednak zdołał wziąć się w garść i kontynuować.

Wreszcie ceremonia dobiegła końca i poprowadził procesję mnichów i zakonnic z powrotem do katedry. Weszli do środka i rozeszli się w nawie. Mnisi wrócili do swoich zwykłych zajęć. Do Godwyna podeszła nieśmiało jakaś nowicjuszka.

- Ojcie przeorze, zechciałbyś przyjść do szpitala? - zapytała. Godwyn nie lubił otrzymywać wezwań za pośrednictwem nowicjuszek.

- Po co? - warknął.

- Przykro mi, ojcie, nie wiem. Powiedziano mi tylko, że mam cię poprosić.

- Przyjdę, kiedy będę mógł - rzekł z irytacją.

Nie miał nic pilnego do roboty, ale specjalnie został dłużej w katedrze, rozmawiając z bratem Elim o mniszych habitach.

Kilka minut później przeszedł przez klauzurę i wszedł do szpitala.

Zakonnice tłoczyły się wokół łoża ustawionego przed ołtarzem. Musi to być jakiś ważny pacjent, pomyślał. Zastanawiał się kto to taki. Jedna z sióstr odwróciła się do niego. Jej twarz zasłonięta była lnianą maską, ale poznał usiane złotymi plamkami zielone oczy, jakie miała cała jej rodzina: Caris. Chociaż widział tylko niewielki fragment jej twarzy, wyczuł, że ma dziwny wyraz. Oczekiwał niechęci i pogardy, a zamiast tego ujrzał współczucie.

Z rosnącym niepokojem podszedł do łóżka. Na jego widok pozostałe zakonnice odsunęły się. W następnej chwili zobaczył, kto leży na łóżku.

To była jego matka.

Duża głowa Petranilli spoczywała na białej poduszce. Twarz miała spoconą, a z jej nosa sączyła się strużka krwi. Jedna z zakonnice ocierała ją, lecz krew pojawiała się znowu. Inna siostra podała pacjentce kubek wody. Pomarszczona skóra na szyi Petranilli była pokryta purpurową wysypką.

Na ten widok Godwyn krzyknął, jakby go ktoś uderzył. Wybałuszył oczy. Matka spojrzała na niego udręczonym wzrokiem. Nie było cienia wątpliwości: padła ofiarą zarazy.

- Nie! - krzyknął. - Nie! Nie!

Poczuł nieznośny ból w piersi, jakby go ktoś dźgnął. Usłyszał głos stojącego przy nim Philemona:

- Spróbuj zachować spokój, ojczy przeorze.

Nie mógł. Otworzył usta do krzyku, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nagle poczuł, że traci więź ze swoim ciałem i przestaje nad nim panować. Potem z posadzki uniosła się czarna mgła i spowiła go, stopniowo podnosząc się do jego nosa i ust, tak że nie mógł oddychać, a potem do oczu, tak że oślepl. W końcu stracił przytomność.

Godwyn leżał w łóżku przez pięć dni. Nic nie jadł, a pił tylko wtedy, kiedy Philemon przytykał mu kubek do ust. Nie mógł zebrać myśli. Nie mógł się ruszyć, gdyż wydawało się, że nie potrafi podjąć żadnej decyzji. Szlochał i zasypiał, po czym budził się i znów płakał. Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że jakiś mnich dotyka jego czoła, bierze próbkę moczu, diagnozuje gorączkę mózgową i puszcza mu krew.

Potem, ostatniego dnia grudnia, wystraszony Philemon przyniósł mu wiadomość, że jego matka umarła.

Godwyn wstał. Ogolił się, włożył czysty habit i poszedł do szpitala.

Zakonnice umyły i ubrały ciało. Petranilla była uczesana i odziana w suknię z kosztownej włoskiej wełny. Widząc ją taką, ze śmiertelnie bladą twarzą i zamkniętymi na wieki oczami, Godwyn znów poczuł przypływ paniki, lecz tym razem zdołał ją opanować.

- Zanieście jej ciało do katedry - nakazał.

Zwykle zaszczyt spoczywania na katafalku w katedrze był zarezerwowany dla mnichów, zakonnice, starszych rangą duchownych i szlachty, lecz Godwyn wiedział, że nikt nie odważy mu się sprzeciwić.

Kiedy przeniesiono Petranillę do kościoła i umieszczono przed ołtarzem, ukląkł przy niej i

pomodlił się. Modlitwa pomogła mu się uspokoić i powoli zrozumiał, co należy zrobić. Gdy w końcu wstał, kazał Philemonowi natychmiast zwołać zebranie w kapitularku.

Był roztrzęsiony, ale wiedział, że musi się pozbierać. Zawsze był obdarzony dużą siłą perswazji. Teraz musi dobrze ją wykorzystać.

Kiedy mnisi się zebrali, przeczytał im z Księgi Rodzaju:

- A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: „Abrahamie!”. A gdy on odpowiedział: „Oto jestem”, powiedział: „Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażą „. Nazajutrz rano Abraham osiodłał swego osła, zabrał z sobą dwóch swych ludzi i syna Izaaka, narębał drzewa do spalenia ofiary i ruszył w drogę do miejscowości, o której mu Bóg powiedział*[* Rdz. 22, 1-3, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, wyd. Pallotinum, Poznań 2003.].

Godwyn oderwał wzrok od księgi. Mnisi uważnie mu się przyglądali. Wszyscy znali historię Abrahama i Izaaka. Bardziej interesował ich on, Godwyn. Byli czujni, ostrożni, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Czego uczy nas historia Abrahama i Izaaka? - spytał retorycznie. - Bóg mówi Abrahamowi, żeby zabił swego syna... nie tylko najstarszego, ale jedynego, zrodzonego, gdy Abraham miał sto lat. Czy Abraham protestował? Czy błagał o zmiłowanie? Czy spierał się z Bogiem? Czy mówił, że zabójstwo Izaaka będzie morderstwem, dzieciobójstwem, straszliwym grzechem? - Godwyn na moment pozwolił pytaniu zawisnąć w powietrzu, po czym ponownie spojrzał w księgę i przeczytał: - Nazajutrz rano Abraham osiodłał swego osła... *[* Rdz. 22, 3, op. cit.].

Znów podniósł wzrok.

- Bóg może kusić i nas. Może kazać nam popełniać czyny, które wydają się złe. Może kazać nam zrobić coś, co wydaje się grzechem. Kiedy tak się stanie, musimy pamiętać o Abrahamie.

Godwyn przemawiał w sposób, który - jak wiedział - robi największe wrażenie na słuchaczach: rytmicznie, lecz spokojnie. Poznał, że zyskał ich niepodzielną uwagę po ciszy panującej w ośmiokątnej sali kapitularki. Nikt się nie wiercił, nie szeptał, nie szurał nogami.

- Nie możemy kwestionować - ciągnął. - Nie możemy się spierać. Kiedy Bóg nas prowadzi, musimy iść - obojętnie, jak głupie, grzeszne czy okrutne jego życzenia wydać by się mogły naszym słabym ludzkim umysłem. Jesteśmy słabi i grzeszni. Nasze umysły są zawodne. Nie nam podejmować decyzje czy dokonywać wyborów. Mamy prosty obowiązek, jest nim posłuszeństwo.

Potem powiedział im, co mają robić.

Biskup przybył po zmroku. Była prawie północ, gdy jego orszak przy świetle pochodni wjechał na teren opactwa. Większość zakonnic spała już od paru godzin, lecz kilka siostr było w

szpitalu i jedna z nich przyszła zbudzić Caris.

- Jest tu biskup - powiedziała.
- Dlaczego chce ze mną rozmawiać? - sennie spytała Caris.
- Nie wiem, matko przeoryszo.

Oczywiście, że nie. Caris wstała z łóżka i narzuciła na ramiona płaszcz.

Przystanęła w klauzurze. Napila się wody i przez chwilę wdychała zimne nocne powietrze, odpędzając resztki snu. Chciała zrobić dobre wrażenie na biskupie, żeby nie było problemu z zatwierdzeniem jej wyboru na stanowisko przeoryszy.

Archidiakon Lloyd był w szpitalu. Wyglądał na zmęczonego, a czubek nosa miał czerwony z zimna.

- Chodź powitać twojego biskupa - rzucił szorstko, jakby powinna czuwać i czekać. Wyszła za nim na zewnątrz. Przed drzwiami stał sługa z płonąca pochodnią. Przeszli przez łąkę, gdzie na koniu siedział biskup.

Był małym człowieczkiem w dużym kapeluszu i wyglądało na to, że ma wszystkiego dość.

- Witamy w opactwie Kingsbridge, milordzie biskupie.
- Kim jesteś? - spytał opryskliwie.

Caris widziała go już, ale nigdy z nim nie rozmawiała.

- Jestem siostra Caris, wybrana przeoryszą.
- Czarownica.

Podupała na duchu. Godwyn najwyraźniej już próbował zatruć umysł Henriego i nastawić go przeciwko niej. Poczula się urażona.

- Nie, milordzie biskupie, nie ma tu czarownic - odparła bardziej zgryźliwie, niż nakazywał rozsądek. - Tylko grupka zwykłych zakonnic robiących co w ich mocy dla miasta nawiedzonego przez zarazę.

Zignorował tę uwagę.

- Gdzie przeor Godwyn?
- W swoim pałacu.
- Nie, nie ma go tam!
- Byliśmy tam - wyjaśnił archidiakon Lloyd. - Pałac jest pusty.
- Naprawdę?
- Tak - z irytacją rzekł archidiakon. - Naprawdę.

W tym momencie Caris zauważyła kota Godwyna, tego z charakterystycznym białym

koniuszkiem ogona. Nowicjuszek nazywały go Arcybiskupem. Przeszedł przez zachodni koniec katedry, zaglądając między kolumny, jakby szukał swojego pana.

Caris była zaskoczona.

- To dziwne... Może Godwyn postanowił spać w dormitorium z pozostałymi mnichami?

- Dlaczego miałyby to robić? Mam nadzieję, że nie dzieje się tu nic niewłaściwego.

Caris pokręciła głową. Biskup podejrzewał grzech nieczystości, lecz akurat tego grzechu Godwyn nie popełniał.

- Bardzo źle zareagował na wieść, że jego matka zachorowała. Dostał ataku i stracił przytomność. Umarła dzisiaj.

- Jeśli źle się czuje, to moim zdaniem tym bardziej powinien spać we własnym łóżku.

Wszystko mogło się zdarzyć. Choroba Petranilli bardzo rozstroiła Godwyna.

- Czy lord biskup chciałby porozmawiać z którymś z jego zastępców? - zapytała Caris.

- Tak, jeśli któregoś uda się znaleźć! - prychnął Henri.

- Może gdybym zaprowadziła archidiakona Lloyda do dormitorium...

- Proszę to zrobić jak najszybciej!

Lloyd wziął od sługi pochodnię, a Caris szybko powiodła go przez katedrę do klauzury. Wszędzie było cicho, jak w każdym klasztorze o tak późnej godzinie. Dotarli do podnóża schodów wiodących do dormitorium i Caris zatrzymała się.

- Lepiej idź na górę sam - powiedziała. - Zakonnica nie powinna oglądać mnichów w łóżkach.

- Oczywiście. - Lloyd wszedł po schodach, przyświecając sobie pochodnią, pozostawiając Caris w ciemnościach. Czekwała zaciekawiona. Usłyszała, jak nawołuje. Potem, po chwili, krzyknął do niej dziwnym głosem:

- Siostro?

- Tak?

- Możesz wejść na górę.

Zdumiona wspięła się po schodach i weszła do dormitorium. Stała obok Lloyda i spojrzała na salę w niepewnym blasku płonącej pochodni. Słomiane materace mnichów leżały w równych rzędach pod ścianami, lecz na żadnym z nich nikt nie spał.

- Nikogo tu nie ma - powiedziała Caris.

- Ani żywej duszy - zgodził się Lloyd. - Co, »na litość boską, się tu stało?

- Nie wiem, ale mogę zgadywać.

- Zatem oświeć mnie, proszę.

- Czy to nie oczywiste? Oni uciekli.

CZEŚĆ VI

Styczeń 1349-styczeń 1351

63

Uciekając, Godwyn zabrał ze skarbcza mnichów wszystko co wartościowe oraz wszystkie dokumenty. W tym dokumenty zakonnice, których nigdy nie zdołały mu odebrać. Wziął również święte relikwie, między innymi kości świętego Adolfa w bezcennym relikwiarzu.

Caris odkryła to następnego ranka, pierwszego dnia stycznia, w święto obrzezania Chrystusa. Poszła z biskupem Henrim i siostrą Elizabeth do skarbcza w południowym transepcie. Biskup nadal zachowywał się wobec niej sztywno i formalnie, co było niepokojące, ale był człowiekiem opryskliwym, więc może traktował tak wszystkich.

Skóra zdarta z Gilberta z Herefordu wciąż była przybita do drzwi, powoli żółknąc, twardniejąc i wydzielając słaby, lecz wyczuwalny odór rozkładu.

Jednak drzwi nie były zamknięte.

Weszli. Caris nie była w tym pomieszczeniu, od kiedy przeor Godwyn ukradł zakonnicom sto pięćdziesiąt funtów, żeby wznieść dla siebie pałac. Po tym zdarzeniu zbudowały własny skarbiec.

Natychmiast stało się oczywiste, co tu zaszło. Kamienne płyty maskujące schowki w podłodze zostały podniesione i newsunięte na miejsce, wieko okutej skrzyni odchylone, a skrytki i skrzynia puste.

Caris poczuła, że jej pogarda do Godwyna została usprawiedliwiona. Wykształcony medyk, ksiądz i przełożony mnichów, uciekł w chwili, kiedy ludzie najbardziej go potrzebowali. Teraz z pewnością wszyscy dowiedzą się, jaka jest jego prawdziwa natura.

Archidiakon Lloyd był oburzony.

- Zabrał wszystko!

- I to człowiek, który chciał, byś anulował moją nominację. Biskup Henri mruknął coś pod nosem.

Elizabeth rozpaczliwie próbowała znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla zachowania Godwyna.

- Jestem pewna, że lord przeor zabrał zawartość skarbcza tylko na przechowanie.

To wywołało gniewną reakcję biskupa.

- Głupstwa - uciął krótko. - Jeśli twój sługa opróżnia ci sakiewkę i znika bez ostrzeżenia, nie bierze twoich pieniędzy na przechowanie, lecz je kradnie.

Elizabeth spróbowała innego podejścia:

- To z pewnością pomysł Philemona.

- Subprzeora? - Henri obrzucił ją wzgardliwym spojrzeniem. - To Godwyn jest przeorem, nie

Philemon. Godwyn za to odpowiada.

Elizabeth zamilkła.

Godwyn najwidoczniej doszedł do siebie po śmierci matki, pomyślała Caris, przynajmniej chwilowo. Namówienie wszystkich mnichów do ucieczki razem z nim to nie lada osiągnięcie. Zastanawiała się, dokąd się udali.

Biskup Henri zastanawiał się nad tym samym.

- Dokąd poszli ci nędzni tchórze?

Caris przypomniała sobie, jak Merthin próbował namówić ją do ucieczki. „Do Walii lub Irlandii - mówił. - Do jakiejś odległej wioski, w której obcego widują najwyżej raz w roku”.

- Ukryli się w jakimś odludnym miejscu, którego nikt nie odwiedza - powiedziała do biskupa.

- Dowiedz się gdzie.

Caris pojęła, że wszystkie przeszkody na drodze do jej nominacji zniknęły razem z Godwynem. Triumfowała, ale starała się nie wyglądać na zbyt zadowoloną.

- Popytam w mieście. Ktoś musiał widzieć, jak je opuszczali.

- Dobrze - rzekł biskup. - Jednak nie sądzę, żeby mieli szybko wrócić, tak więc na razie będziecie musiały starać się obyć bez pomocy mnichów. Niech zakonnice w miarę możliwości normalnie pełnią swoje obowiązki. Jeśli znajdziesz w parafii jakiegoś żywego księdza, niech odprawia nabożeństwa w katedrze. Wy nie możecie tego robić, ale możecie spowiadać - arcybiskup udzielił specjalnej dyspensy, ponieważ zmarło wielu duchownych.

Caris nie zamierzała dopuścić, żeby pominął kwestię jej nominacji.

- Zatem zatwierdzasz mnie na stanowisku przeoryszy? - spytała.

- Oczywiście.

- W takim razie, zanim przyjmę ten zaszczyt...

- Decyzja nie należy do ciebie, matko przeoryszo - rzekł z urazą. - Twoim obowiązkiem jest mnie słuchać.

Rozpaczliwie pragnęła tego stanowiska, ale udała, że jej nie zależy. Chciała jeszcze coś wytargować.

- Żyjemy w dziwnych czasach, nieprawdaż? - powiedziała. - Zakonnice otrzymały zezwolenie na wysłuchiwanie spowiedzi. Skrócono naukę kleryków, lecz z tego, co słyszę, i tak nie wyświęci się ich tylu, żeby zastąpili ofiary zarazy.

- Zamierzasz wykorzystać trudności, jakie ma Kościół, dla własnych celów?

- Nie, lecz jest coś, co musisz uczynić, aby umożliwić mi wykonywanie twoich poleceń.

Henri westchnął. Najwyraźniej nie lubił, kiedy mówiono do niego w taki sposób, jednak, jak

podejrzewała Caris, potrzebował jej bardziej niż ona jego.

- Bardzo dobrze, co to takiego?

- Chcę, byś zwołał sąd kanoniczny i ponownie otworzył mój proces o czary.

- Wielkie nieba, po co?

- Aby uznać mnie za niewinną, rzecz jasna. Dopóki tak się nie stanie, byłoby mi trudno sprawować władzę. Każdy, kto nie zgadzałby się z moimi decyzjami, zbyt łatwo mógłby je podważyć, przypominając, że formalnie wciąż jestem oskarżona.

Ten pomysł spodobał się skrupulatnemu urzędnikowi, jakim był archidiakon Lloyd.

- Byłoby dobrze raz na zawsze zakończyć tę sprawę, milordzie biskupie.

- Zatem dobrze.

- Dziękuję. - Caris poczuła głębokie zadowolenie i ulgę. Pochyliła głowę w obawie, że biskup wyczyta to z jej twarzy. - Zrobię, co w mojej mocy, aby przynieść zaszczyt klasztorowi Kingsbridge.

- Niezwłocznie ustal, co się stało z Godwynem. Chciałbym uzyskać jakąś odpowiedź, zanim opuszczę miasto.

- Przewodniczący gildii parafialnej to jego marionetka. Jeśli ktoś wie, dokąd udali się mnisi, to tylko on. Pójdę z nim porozmawiać.

- Zrób to zaraz, proszę.

Caris odeszła. Biskup Henri nie był miły, ale sprawiał wrażenie kompetentnego i uznała, iż będzie mogła z nim współpracować. Może będzie przełożonym, który podejmuje decyzje na podstawie faktów, a nie opowiada się po stronie tego, kogo uważa za sojusznika. To byłaby przyjemna odmiana.

Mijając gospodę Bella, miała ochotę wejść tam i przekazać dobre wieści Merthinowi. Pomyślała jednak, że będzie lepiej, jeśli najpierw odszuka Elfrica.

Na ulicy zobaczyła Duncana Dyera leżącego na ziemi przed Holly Bush. Jego żona, Winnie, siedziała na ławce przed gospodą. Caris pomyślała, że coś mu się stało, lecz Winnie wyjaśniła:

- Jest pijany.

Caris była zaskoczona.

- Przecież dopiero południe!

- Jego stryj, Peter Dyer, zachorował i umarł. Jego żona i dzieci też umarły, więc Duncan odziedziczył wszystkie pieniądze i wydaje je na wino. Nie wiem, co robić.

- Zaprowadźmy go do domu. Pomogę ci go podnieść.

Wzięły go za ręce i postawiły na nogi. Podtrzymując go, poprowadziły pijanego ulicą do domu. Położyły go na podłodze i nakryły kocem.

- Tak jest codziennie - westchnęła Winnie. - Mówi, że nie warto pracować, ponieważ wszyscy

umrzemy na zarazę. Co mam robić?

Caris zastanawiała się przez chwilę.

- Zakop pieniądze w ogrodzie, teraz, dopóki śpi. Kiedy się zbudzi, powiedz mu, że przegrał wszystko do jakiegoś wędrownego handlarza, który już wyjechał z miasta.

- To mogę zrobić - zgodziła się Winnie.

Caris przeszła przez ulicę i weszła do domu Elfrica. Jej siostra Alice siedziała w kuchni, cerując pończochy. Oddaliły się od siebie, od kiedy Alice wyszła za Elfrica, a resztki łączącej ich więzi zostały zerwane, gdy Elfric złożył zeznanie przeciwko Caris na jej procesie o herezję. Zmuszona wybierać między siostrą a mężem, Alice pozostała lojalna wobec małżonka. Caris rozumiała ją, lecz to oznaczało, że siostra stała się dla niej obcą osobą.

Na jej widok Alice podniosła się, upuszczając szycie.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się.

- Wszyscy mnisi zniknęli - oznajmiła Caris. - Musieli uciec w nocy.

- A więc to było to! - powiedziała Alice.

- Widziałaś ich?

- Nie, ale słyszałam odgłosy wielu przechodzących ulicą ludzi i koni. Nie zachowywali się głośno... w istocie, kiedy teraz o tym myślę, to chyba starali się być cicho, lecz nie da się uciszyć koni, a kroki ludzi słyhać na pustej ulicy. Zbudzili mnie, ale nie wstałam, żeby popatrzeć, bo było za zimno. Czy to z tego powodu weszłaś do mojego domu po raz pierwszy od dziesięciu lat?

- Nie wiesz, dokąd uciekli? - spytała Caris.

- Czy właśnie to zrobili. - Uciekli? Z powodu zarazy?

- Tak przypuszczam.

- Na pewno nie. Co za pożytek z medyków, którzy uciekają przed chorobą? - Alice była zakłopotana takim postępowaniem patrona swojego męża. - Nie rozumiem tego.

- Zastanawiam się, czy Elfric coś o tym wie.

- Jeśli tak, to nic mi nie powiedział.

- Gdzie go znajdę?

- W kościele Świętego Piotra. Rick Silvers zostawił kościołowi trochę pieniędzy i ksiądz postanowił położyć posadzkę w nawie.

- Pójdę go zapytać. - Caris pomyślała, że odrobina uprzejmości nie zawadzi. Alice nie miała dzieci, ale miała pasierbicę. - Jak się miewa Gri-selda? - spytała.

- Bardzo dobrze. Jest szczęśliwa - odparła Alice nieco wyzywająco, jakby sądziła, że siostra wolałaby usłyszeć, że jest inaczej.

- A twój wnuk?

Caris nie mogła się zmusić do nazwania go po imieniu - Merthin.

- Cudownie. 1 następny jest w drodze.

- Miło mi to słyszeć.

- Tak. Sprawy tak się mają, że chyba dobrze, iż nie wyszła za tego twojego Merthina.

Caris nie dała się sprowokować.

- Pójdę poszukać Elfrica.

Kościół Świętego Piotra stał na zachodnim krańcu miasta. Idąc krętymi uliczkami, Caris zobaczyła dwóch bijących się mężczyzn. Obrzucali się przekleństwami i okładali pięściami. Dwie kobiety, zapewne ich żony, wykrzykiwały obelgi, a tłumek sąsiadów przyglądał się temu z zaciekawieniem. Drzwi najbliższego domu były wyłamane, na ziemi leżała klatka z wikliny i sitowia, a w niej trzy żywe kury.

Caris podeszła do mężczyzn i stanęła między nimi.

- Natychmiast przestańcie - powiedziała. - Wzywam was w imię boże. Nie musiała tego powtarzać. Zapewne wyładowali gniew po kilku pierwszych ciosach i może nawet byli jej wdzięczni, że przerwała bójkę. Odsunęli się od siebie i opuścili ręce.

- O co poszło? - chciała wiedzieć Caris. Obaj zaczęli mówić jednocześnie, ich żony także.

- Nie wszyscy naraz! - wykrzyknęła Caris. Wskazała wyższego z nich, ciemnowłosego mężczyznę, którego regularne rysy zszpeciło podbite oko. - Ty jesteś Joe Blacksmith, prawda? Wyjaśnij.

- Przyłapałem Toby'ego Petersona na kradzieży kur Jacka Marrowa. Wyłamał drzwi.

Toby był mniejszy, ale zadziorny jak kogut. Miał rozbite wargi.

- Jack Marrow był mi winien pięć szylingów, więc mam prawo do tych kur!

- Jack i jego rodzina umarli na zarazę dwa tygodnie temu - wyjaśnił Joe. - Od tej pory karmiłem te kury. Gdyby nie ja, już by padły. Jeśli ktoś ma je wziąć, to tylko ja.

- No cóż - westchnęła Caris - obaj macie do nich prawo, czyż nie? Toby z powodu długu, a Joe, ponieważ żywił je na własny koszt.

Byli wyraźnie zaskoczeni, słysząc, że obaj mają rację.

- Josephie, wyjmij jedną kurę z klatki. «..

- Chwileczkę... - wtrącił się Toby.

- Zaufaj mi, Toby - przerwała mu Caris. - Wiesz, że potraktuję cię sprawiedliwie, prawda?

- Cóż, nie przeczę, że...

Joe otworzył klatkę i wyjął chudą brązową kurę, chwytając ją za łapy. Ptak gwałtownie obracał łeb na boki, jakby zdumiony tym, że ogląda świat do góry nogami.

- Teraz daj ją żonie Toby'ego.

- Co?

- Myślisz, że bym cię oszukała, Josephie?

Joe niechętnie oddał kurę żonie Toby'ego, ładnej, choć ponurej.

- Masz, Jane.

Jane szybko wzięła ptaka.

- A teraz podziękuj Joemu - poleciła Caris. Jane miała nadąsaną minę, ale posłuchała.

- Dziękuję ci, Josephie.

- A teraz ty, Toby, daj kurę Ellie Blacksmith. Toby usłuchał z głupim uśmiechem.

Żona Joego, Ellie, będąca w zaawansowanej ciąży, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dziękuję ci, Toby Petersonie.

Odyskiwali zdrowy rozsądek i zaczęli pojmować głupotę swojego postępowania.

- A co z trzecią kurą? - zapytała Jane.

- Zaraz do tego dojdę - odparła Caris. Spojrzała na tłum gapiów i wskazała rozsądnie wyglądającą dziewczynkę w wieku jedenastu lub dwunastu lat. - Jak się zwiesz?

- Jestem Jesca, matko przeoryszo, córka Johna Constable'a.

- Zanieś tę trzecią kurę do kościoła Świętego Piotra i daj ją ojcu Michae-lowi. Powiedz, że Toby i Joe przyjdą poprosić o wybaczenie z grzechu chciwości.

- Tak, siostrze.

Jesca wzięła trzecią kurę i poszła.

- Może pamiętasz, matko Caris - odezwała się żona Joego, Ellie - że pomogłaś młodszej siostrze mojego męża, Minnie, kiedy oparzyła sobie rękę w kuźni?

- Ach tak, oczywiście - odparła Caris. Pamiętała, że to było paskudne oparzenie. - Teraz ma już chyba dziesięć lat.

- Zgadza się.

- Jest zdrowa?

- Jak ryba, dzięki tobie i łasce Pana.

- Cieszę się.

- Zechciałabyś wejść do mojego domu na kubek ale, matko przeoryszo?

- Bardzo bym chciała, ale się spieszę. - Odwróciła się do mężczyzn. - Niech was Bóg błogosławi i nie bijcie się więcej.

- Dziękuję - powiedział Joe. Caris zaczęła się oddalać.

- Dziękuję ci, matko! - zawołał za nią Toby. Pomachała mu, nie odwracając się.

Zauważyła jeszcze kilka domów wyglądających na splądrowane, zapewne po śmierci mieszkańców. Ktoś powinien coś z tym zrobić, pomyślała. Jednak ponieważ przewodniczącym gildii był Elfric, a przeor uciekł, nikt się tym nie zainteresował.

Dotarła do kościoła Świętego Piotra i znalazła Elfrica w nawie, z grupą brukarzy i ich czeladników. Wszędzie wokół piętrzyły się kamienne płyty, a mężczyźni przygotowywali podłozę, sypiąc piach i wygładzając go kijami. Elfric sprawdzał, czy powierzchnia jest równa, używając skomplikowanego przyrządu z drewnianą ramą i sznurka z ołowianym obciążnikiem na końcu. Przyrząd wyglądał jak miniaturowa szubienica i przypomniał Caris o tym, że przed dziesięcioma laty Elfric dążył do tego, żeby powieszono ją za uprawianie czarów. Ze zdziwieniem odkryła, że nie żywi do niego nienawiści. Był na to zbyt zły i małostkowy. Patrząc na niego, nie czuła nic prócz pogardy.

Zaczekała, aż skończy, po czym rzuciła:

- Czy wiedziałeś, że Godwyn i wszyscy mnisi zamierzają uciec? Chciała go zaskoczyć i po jego minie poznała, że nic o tym nie wiedział.

- Dlaczego mieliby...? Kiedy...? Och, tej nocy?

- Nie widziałeś ich?

- Coś słyszałem.

- Ja ich widziałem - rzekł jeden z brukarzy, opierając się na łopacie. - Wychodziłem z Holly Bush. Było ciemno, ale oni mieli pochodnie. Przeor jechał konno, a pozostali szli, choć mieli spory bagaż: beczułki z winem, kręgi sera i nie wiem co tam jeszcze.

Caris już wiedziała, że Godwyn opróżnił klasztorną spizarnię. Nie próbował na szczęście zabrać trzymany osobno zapasów zakonnicy.

- Która była godzina?

- Niezbyt późna... dziewiąta lub dziesiąta wieczorem.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Powiedziałem tylko „dobry wieczór”.

- Domyślasz się, dokąd mogli się udać? Brukarz pokręcił głową.

- Przeszli przez most, ale nie widziałem, którą wybrali drogę przy Gallows Cross.

Caris zwróciła się do Elfrica:

- Przypomnij sobie, czy w ciągu kilku ostatnich dni Godwyn powiedział ci coś, co teraz mogłoby mieć z tym związek? Czy wymienił jakąś nazwę: Monmouth, York, Antwerpię, Bremę?

- Nie. O niczym nie miałem pojęcia.

Elfric wyglądał na urażonego, iż nie został a&trzeżony, co zdaniem Caris świadczyło o tym, że mówi prawdę.

Jeśli nawet Elfric był zaskoczony, to niepodobna, by ktokolwiek inny wiedział, co planował Godwyn. Przeor uciekał przed zarazą i najwyraźniej nie chciał, by ktoś podążył za nim, przynosząc chorobę. „Wyjedź wcześniej, jedź daleko i zostań długo”, powiedział Merthin. Godwyn mógł być gdziekolwiek.

- Gdybyś miał jakieś wieści od niego lub któregoś z mnichów, proszę, daj mi znać - powiedziała Caris.

Elfric milczał.

Caris podniosła głos, by usłyszeli ją wszyscy robotnicy.

- Godwyn ukradł wszystkie precjoza - oznajmiła. Usłyszała pomruk oburzenia. Ludzie traktowali skarby katedry jak swoją własność i w rzeczy samej bogatsi rzemieślnicy zapewne pomogli w zakupie niektórych z nich. - Biskup chce je odzyskać. Każdy, kto pomoże Godwynowi, choćby tylko nie wyjawiając, gdzie się ukrywa, będzie winien świętokradztwa.

Elfric był zaskoczony. Całą swoją egzystencję opierał na zaskarbianiu sobie wdzięczności Godwyna. Teraz protektor go opuścił.

- Może istnieje jakieś zupełnie niewinne wyjaśnienie... - zaczął.

- Jeśli tak, to dlaczego Godwyn nikomu nic nie powiedział? I nie zostawił listu?

Elfric nie wiedział, co odpowiedzieć.

Caris pojęła, że musi porozmawiać ze wszystkimi najważniejszymi kupcami. Im prędzej, tym lepiej.

- Chcę, żebyś zwołał zebranie - powiedziała do Elfrica. I zaraz ujęła to w bardziej przekonujący sposób. - Biskup chce, żeby gildia parafialna zebrała się dziś po obiedzie. Proszę, powiadom o tym członków.

- Dobrze - mruknął Elfric.

Caris wiedziała, że zjawią się wszyscy, pękając z ciekawości.

Opuściła kościół Świętego Piotra i ruszyła z powrotem do opactwa. Mijając gospodę Biały Koń, zobaczyła coś, co sprawiło, że stanęła jak wryta. Jakaś młoda dziewczyna rozmawiała ze starszym mężczyzną i w tej rozmowie było coś, co nie spodobało się Caris. Zawsze była bardzo wyczulona na niebezpieczeństwa grożące dziewczętom - może dlatego, że pamiętała, jak sama była młoda, a może dlatego, że nie miała córki. Cofnęła się do sieni i zaczęła obserwować tę parę.

Mężczyzna był biednie odziany, choć na głowie miał kosztowną futrzaną czapkę. Caris nie знаła go, ale domyśliła się, że to robotnik, a czapkę odziedziczył. Umarło tylu ludzi, że niemal każdy

dostał jakiś spadek i wciąż widywało się takie rzeczy. Dziewczyna miała jakieś czternaście lat, była ładna, o kobiecych kształtach. Caris z dezaprobatą stwierdziła, że próbuje kokietować mężczyznę, ale nie bardzo jej to wychodziło. Mężczyzna wyjął z sakiewki pieniądze i zdawał się z nią spierać. Nagle położył dłoń na piersi dziewczyny.

Caris widziała już dość. Ruszyła w kierunku tych dwojga. Na widok habitu zakonnicy mężczyzna pospiesznie się oddalił. Dziewczyna była jednocześnie zmieszana i zła.

- Co robisz? - spytała Caris. - Próbujesz sprzedać swoje ciało?

- Nie, matko.

- Mów prawdę! Dlaczego pozwoliłaś, żeby dotykał twojej piersi?

- Nie wiem, co mam robić! Nie mam co jeść, a ty go spłoszyłaś. Dziewczyna zalała się łzami.

Caris z łatwością mogła uwierzyć, że jest głodna. Była chuda i blada.

- Chodź ze mną - powiedziała Caris. - Dam ci coś do zjedzenia. Wzięła dziewczynę za rękę i poprowadziła w kierunku opactwa.

- Jak ci na imię? - zapytała.

- Ismay.

- Ile masz lat?

- Trzyznaście.

Dotarły do klasztoru i Caris zaprowadziła Ismay do kuchni, gdzie zakonnice przygotowywały wieczerzę pod nadzorem nowicjuszek imieniem Oonagh. Kucharka Josephine padła ofiarą zarazy.

- Daj temu dziecku chleba z masłem - powiedziała Caris do Oonagh. Usiadła i przyglądała się dziewczynce. Ismay najwyraźniej nic nie jadła od kilku dni. Pochłonęła szybko pół bochenka, po czym zaczęła jeść wolniej. Caris nalała jej kubek cydru.

- Dlaczego głodowałaś? - spytała.

- Cała moja rodzina umarła na zarazę.

- Kim był twój ojciec?

- Krawcem, i ja umiem ładnie szyć, ale nikt nie kupuje ubrań - ludzie biorą sobie, co chcą z domów zmarłych.

- Dlatego próbowałaś się sprzedać? Spuściła głowę.

- Wybacz, matko przeoryszo. Byłam taka głodna.

- Czy to była twoja pierwsza próba? Dziewczyna pokręciła głową, nie patrząc na zakonnice.

W oczach Caris stanęły łzy gniewu. Co za człowiek chciał odbyć stosunek seksualny z tym zagłodzonym trzynastoletnim dzieckiem? Co za Bóg przywodzi dzieci do takiej rozpacz?

- Chcesz zostać tutaj, z zakonnicami, i pracować w kuchni? - zapytała. - Będziesz miała mnóstwo jedzenia.

Ismay ochoczo podniosła głowę.

- Och tak, matko, chciałabym.

- Zatem zostajesz. Możesz zacząć od pomagania przy szykowaniu wieczerzy. Oonagh, masz nową pomocnicę.

- Dziękuję, matko Caris. Przyda mi się każda pomoc.

Caris opuściła kuchnię i zdumiona poszła do katedry na sekstę. Zaczynała pojmować, że zaraza to nie tylko choroba ciała. Ismay uniknęła fizycznego niebezpieczeństwa, lecz jej dusza była zagrożona.

Nabożeństwo odprawiał biskup Henri, więc Caris miała czas na rozmyślenia. Postanowiła, że na zebraniu gildii parafialnej nie będzie mówiła jedynie o ucieczce mnichów. Czas, by miasto zaczęło walczyć ze skutkami zarazy. Tylko jak?

Zastanawiała się nad tym podczas wieczerzy. Z wielu względów był to dobry moment na podjęcie ważnych decyzji. Mając tu biskupa, który może wesprzeć ją swoim autorytetem, może przeforsować pomysły, które w innych okolicznościach spotkałyby się ze sprzeciwem.

Był to również dobry moment, by uzyskać od biskupa to, czego chce. Ta myśl ją natchnęła...

Po wieczerzy poszła zobaczyć się z biskupem w domu przeora, gdzie się zatrzymał. Zastała go przy stole z archidiaconem Lloydem. Zjedli posiłek dostarczony z kuchni zakonnice i teraz pili wino, podczas gdy sługa sprzątał ze stołu.

- Mam nadzieję, że smakował ci obiad, lordzie biskupie - powiedziała uprzejmie.

- Był dobry, dziękuję, matko Caris. Szczupak bardzo mi smakował. Masz jakieś wieści o zbiegłym przeorze?

Był nieco mniej opryskliwy niż zwykle.

- Wygląda na to, że nikomu nie zdradził, dokąd się udaje.

- Jestem rozczarowany.

- Chodząc po mieście i rozpytując, byłam świadkiem kilku niepokojących wydarzeń, widziałam trzynastoletnią dziewczynkę kupującą swoim ciałem, dwóch praworządnych obywateli bijących się o mienie zmarłego, pijanego w samo południe.

- To skutki zarazy. Tak jest wszędzie.

- Uważam, że musimy temu przeciwdziałać.

Uniósł brwi. Najwidoczniej nie przyszło mu to do głowy.

- Jak?

- Przeor jest panem Kingsbridge. Może coś zrobić.

- Przecież zniknął.

- Jako biskup formalnie jesteś naszym opatem. Uważam, że powinieneś na stałe pozostać tu, w Kingsbridge, i zarządzać miastem.

W istocie była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła. Na szczęście były niewielkie szanse na to, że Henri się zgodzi: miał zbyt wiele do zrobienia gdzie indziej. Caris tylko próbowała przyprzeć go do muru.

Zawahał się i przez moment obawiała się, że źle go oceniła i przyjmie jej propozycję.

- To nie wchodzi w rachubę - odparł po chwili. - Każde miasto w diecezji ma takie same problemy. W Shiring jest jeszcze gorzej. Muszę próbować utrzymać całość materii chrześcijaństwa, kiedy moi kapłani umierają. Nie mam czasu zajmować się pijakami i prostytutkami.

- No cóż, ktoś musi pełnić funkcję przeora Kingsbridge. Miasto potrzebuje duchowego przywódcy.

Do rozmowy wtrącił się archidiakon Lloyd:

- Milordzie biskupie, jest również kwestia tego, kto będzie odbierał pieniądze należne klasztorowi, dbał o katedrę i inne budynki, zarządzał ziemią i służbą...

- No cóż, będziesz musiała się tym wszystkim zająć, matko Caris. Udała, że się nad tym zastanawia, jakby wcześniej o tym nie myślała.

- Mogłabym przejąć wszystkie mniej ważne zadania, zarządzać pieniędzmi i gruntami mnichów, ale nie mogę robić tego co ty, milordzie biskupie... odprawiać mszy świętej.

- Już o tym rozmawialiśmy - rzekł niecierpliwie. - Przyślę nowych księży, gdy tylko będę mógł. Możesz zająć się wszystkim innym.

- To wygląda tak, jakbyś prosił mnie, żebym pełniła obowiązki przeora Kingsbridge.

- Właśnie tego chcę.

Caris rozsądnie nie okazywała radości. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Mogła robić wszystko poza tym, na czym i tak wcale jej nie zależało. Czy są w tym jakieś ukryte haczyki, których nie zauważyła?

- Lepiej każ mi napisać list w tej sprawie - rzekł archidiakon Lloyd. - Na wypadek gdyby ktoś podważał jej decyzje.

- Jeśli chcesz, by mieszkańcy miasta spełnili twe życzenia - powiedziała Caris - powinieneś powiedzieć im wyraźnie, że taka jest twoja wola. Niedługo zacznie się zebranie gildii parafialnej. Jeśli chcesz, biskupie, mógłbyś wziąć w nim udział i podać to do publicznej wiadomości.

- W porządku, chodźmy.

Opuścili pałac Godwyna i ruszyli główną ulicą do siedziby gildii. Wszyscy jej członkowie

czekali, chcąc się dowiedzieć, co się stało z mnichami. Caris opowiedziała im to, co wiedziała. Kilka osób widziało lub słyszało, jak odchodzą po zmroku poprzedniego dnia, chociaż nikt nie wiedział ani nawet nie podejrzewał, że miasto opuszczają wszyscy mnisi.

Poprosiła, by uważnie słuchali wszelkich przynoszonych przez podróżnych wieści o dużej grupie mnichów wędrujących ze sporym bagażem.

- Jednak musimy pogodzić się z myślą, że mnisi zapewne szybko nie wrócą. I w związku z tym lord biskup chce coś powiedzieć.

Chciała, by usłyszeli to z jego ust, a nie od niej. Henri odkaslnął.

- Zatwierdziłem wybór Caris na stanowisko przeoryszy i powierzyłem jej zarządzanie opactwem. Traktujcie ją jako moją przedstawicielkę i swoją panią we wszystkich sprawach prócz tych zastrzeżonych dla wyświęconego kapłana.

Caris obserwowała miny zebranych. Elfric był wściekły. Merthin uśmiechnął się pod nosem, domyśliwszy się, że owinęła sobie biskupa wokół palca, ciesząc się ze względu na nią i na miasto, lecz lekko krzywiąc się na myśl o tym, że przez to nie rzuci się w jego ramiona. Wszyscy inni wyglądali na zadowolonych. Znali ją i jej ufali, i zyskała sobie jeszcze większe zaufanie, zostając, kiedy Godwyn uciekł.

Dobrze to wykorzysta.

- W pierwszym dniu pełnienia obowiązków chcę zająć się trzema sprawami - zaczęła.
- Po pierwsze, pijaństwem. Dziś widziałam Duncana Dyera leżącego bez przytomności na ulicy, długo przed obiadem. Uważam, że to wynik ogólnego rozluźnienia obyczajów w mieście, co jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy w obliczu tak strasznego nieszczęścia.

Usłyszała okrzyki aprobaty. Gildia parafialna była zdominowana przez najstarszych i najbardziej konserwatywnych kupców. Ci zaś, jeśli nawet upijali się rano, to w domach, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć.

- Chcę przydzielić Johnowi Constable'owi zastępcę i nakazać mu, by aresztował każdego, kto upija się w dzień. Niech wsadza ich do aresztu, dopóki nie wytrzeźwieją.

Nawet Elfric skinął głową.

- Druga sprawa dotyczy tego, co dzieje się z własnością ludzi, którzy umierają bez spadkobierców. Dziś rano widziałam Josepha Blacksmitha i To-by'ego Petersona bijących się na ulicy o trzy kury należące do Jacka Marrowa.

Zebrani parsknęli śmiechem na myśl o dorosłych ludziach bijących się o taki drobiazg.

Caris już wymyśliła, jak rozwiązać ten problem.

- Z zasady taka własność należy się panu posiadłości, co w przypadku Kingsbridge oznacza

opactwo. Jednak nie chcę, by zabudowania klasztorne zmieniły się w skład starych rzeczy, tak więc proponuję znieść to prawo wobec osób, których majątek jest wart mniej niż dwa funty. W takich przypadkach dwaj najbliżsi sąsiedzi powinni zamknąć dom, żeby nic nie zostało zeń zabrane, następnie majątek zostanie spisany przez księdza danej parafii, który wysłucha również roszczeń ewentualnych wierzycieli. Tam, gdzie nie ma kapłana, możecie przychodzić do mnie. Gdy wszystkie długi zostaną spłacone, majątek zmarłej osoby - odzienie, meble, żywność i napitki - zostanie podzielony między sąsiadów, a gotówka przekazana kościołowi danej parafii.

Ta propozycja również spotkała się z powszechną aprobatą. Większość członków gildii kiwała głowami i potakiwała.

- Iw końcu, znalazłam trzynastoletnią osieroconą dziewczynę próbującą sprzedawać swoje ciało przed gospodą Biały Koń. Zwie się Ismay i robiła to, ponieważ nie miała co jeść.

- Caris groźnie popatrzyła po zebranych. - Czy ktoś może mi wyjaśnić, jak coś takiego może się zdarzyć w chrześcijańskim mieście? Cała jej rodzina nie żyje, lecz czy nie miała żadnych przyjaciół lub sąsiadów? Kto pozwala dziecku głodować?

- Ismay Taylor to źle wychowane dziecko - rzekł cicho Edward Butcher. Caris nie zamierzała słuchać wymówek.

- Ma dopiero trzynaście lat!

- Chcę tylko powiedzieć, że ktoś mógł zaproponować jej pomoc, którą odrzuciła.

- Od kiedy pozwalamy dzieciom samodzielnie podejmować takie decyzje? Jeśli jakieś dziecko zostaje sierotą, obowiązkiem każdego z nas jest się nim zająć. Co mówi nasza religia, jeśli nie to?

Wszyscy wyglądali na zawstydzonych.

- W przyszłości, jeśli jakieś dziecko zostanie sierotą, chcę, by dwaj najbliżsi sąsiedzi przyprowadzili je do mnie. Te, których nie uda się umieścić w jakiejś przyjaznej rodzinie, zamieszkają w klasztorze. Dziewczęta mogą zamieszkać z zakonnicami, a dormitorium mnichów zamienimy w sypialnię dla chłopców. Rankiem mogą się uczyć, a po południu wykonywać użyteczne prace.

Ten pomysł również został zaakceptowany.

- Skończyłaś, matko Caris? - odezwał się Elfric.

- Sądzę, że tak, chyba że ktoś chce przedyskutować szczegóły tego, co zaproponowałam.

Nikt się nie odezwał i ludzie zaczęli wiercić się na ławach, jakby posiedzenie już się skończyło.

Elfric nie rezygnował.

- Niektórzy z obecnych tutaj pamiętają może, że wybrali mnie na przewodniczącego tej gildii.

W jego głosie słychać było urazę. Wszyscy krzywili się niecierpliwie.

- Widzieliśmy tu, jak przeora Kingsbridge oskarża się o kradzież i skazuje bezsądu

-

ciągnął.

To się nie spodobało. Dały się słyszeć niechętne pomruki. Nikt nie uważał, że Godwyn jest niewinny.

Elfric zignorował nastrój na sali.

- A my siedzimy tu jak niewolnicy i pozwalamy, by kobieta dyktowała nam miejskie prawa. Kto każe aresztować pijanych? Ona. Kto ma decydować, komu przypadnie spadek? Ona. Kto zajmie się sierotami w mieście? Ona. Co się z wami stało? Nie jesteście mężczyznami?

- Nie - powiedziała Betty Baxter. Mężczyźni parsknęli śmiechem.

Caris postanowiła się nie wtrącać. Nie musiała. Zerknęła na biskupa, zastanawiając się, czy nie wystąpi przeciwko Elfricowi, i zobaczyła, że Henri siedzi wygodnie i nie zamierza zabrać głosu. Najwyraźniej on również zrozumiał, że Elfric toczy z góry przegraną bitwę.

Elfric podniósł głos.

- Mówię, że powinniśmy odrzucić rządy kobiety, nawet zarządzającej opactwem, i nie dawać jej prawa przychodzenia na zebrania gildii i wprowadzania poprawek do praw miejskich!

Kilka osób przyjęło to buntowniczymi pomrukami. Paru wstało, by wyjść, okazując niesmak.

- Zapomnij o tym, Elfricu! - zawołał ktoś.

- A w dodatku ta kobieta była sądzona za czary i skazana na śmierć! Teraz już wszyscy wstali. Ktoś wyszedł.

- Wracajcie! - wrzasnął Elfric. - Jeszcze nie zamknąłem posiedzenia! Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Caris dołączyła do grupy przy drzwiach. Przepuściła biskupa i archidiakona. Wychodziła z sali jako ostatnia. W progu odwróciła się i spojrzała na Elfrica. Siedział sam na końcu sali.

Wyszła.

64

Minęło dwanaście lat, od kiedy Godwyn i Philemon odwiedzili klasztor Świętego Jana z Lasu. Godwyn pamiętał, jakie wrażenie zrobiły na nim zadbane pola, przystrzyżone żywopłoty, oczyszczone rowy oraz równe rzędy jabłoni w sadzie. Dziś było tak samo. Najwyraźniej Saul Whitehead też się nie zmienił.

Godwyn i jego karawana przeszli przez szachownicę zamarzniętych pól do zwartej bryły klasztornych zabudowań. Kiedy podeszli bliżej, Godwyn spostrzegł, że zaszły tu pewne zmiany. Przed dwunastoma laty kamienny kościółek z klauzurą i dormitorium otoczony był rozrzuconymi wokół

drewnianymi budynkami: kuchni, stajni, stodoły, piekarni. Teraz te drewniane budyneczki znikły zastąpione przybudówkami z kamienia.

- Klasztor jest teraz bardziej warowny niż kiedyś - zauważył Godwyn.

- Domyślam się, że z powodu wzrostu przestępczości wśród żołnierzy wracających z francuskich wojen - rzekł Philemon.

Godwyn zmarszczył brwi.

- Nie przypominam sobie, żeby pytano mnie o pozwolenie na budowę.

- Bo nie pytano.

- Hm.

Niestety, nie mógł zgłosić żadnych zastrzeżeń. Ktoś mógłby zapytać, czy byłoby możliwe, by Saul poczynił takie zmiany bez wiedzy Godwyna, gdyby ten nie zaniedbywał obowiązków przełożonego.

Ponadto odpowiadało mu to, że to miejsce można teraz z łatwością uczynić niedostępnym dla intruzów.

Dwudniowa podróż sprawiła, że trochę się uspokoił. Śmierć matki go przeraziła. W każdej godzinie swego pobytu w Kingsbridge był pewien, że wkrótce umrze. Opanował strach na tyle, żeby przemówić do zebranych w kapitularni mnichów i zorganizować ucieczkę. Pomimo jego elokwencji niektórzy bracia nie wyglądali na przekonanych. Na szczęście wszystkich obowiązywały śluby posłuszeństwa i nawyk wykonywania poleceń zwyciężył. Mimo wszystko Godwyn poczuł się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy przeszli z zapalonymi pochodniami przez podwójny most i ruszyli w noc.

Wciąż był na krawędzi załamania. Raz po raz zastanawiał się nad czymś i zamierzał zapytać Petranillę, co o tym sądzi, a potem przypominał sobie, że już nigdy nie zasięgnie jej rady, i panika ścisnęła go za gardło.

Uciekał przed zarazą, lecz powinien to zrobić trzy miesiące temu, kiedy umarł Mark Webber. Czy uczynił to za późno? Walczył z przerażeniem. Nie poczuje się bezpiecznie, dopóki nie odizoluje się od świata.

Z trudem wrócił myślami do terażniejszości. O tej porze roku na polach nie było nikogo, lecz na dziedzińcu przed klasztorem ujrzał garstkę pracujących mnichów: jeden podkuwał konia, drugi naprawiał pług, a paru innych obracało kołowrotem prasy do tłoczenia cydru.

Wszyscy przerwali swoje zajęcia i spojrzeli zdumieni na nadchodzących gości: dwudziestu mnichów, pół tuzina nowicjuszy, cztery wozy i dziesięć jucznych koni. Godwyn zostawił w Kingsbridge tylko klasztorną służbę.

Jeden z mnichów tłoczących cydr wyszedł im naprzeciw. Godwyn rozpoznał w nim Saula Whiteheada. Spotykali się podczas corocznych odwiedzin Saula w Kingsbridge, lecz teraz po raz pierwszy Godwyn zauważył siwe nitki w popielatoblond włosach Saula.

Przed dwudziestoma laty razem studiowali w Oksfordzie. Saul był najlepszy: szybko się uczył i zręcznie dyskutował. Był także najbardziej religijny z nich wszystkich. Mógłby zostać przeorem Kingsbridge, gdyby był mniej uduchowiony i myślał o swojej karierze, zamiast pozostawiać takie sprawy Bogu. Tak więc, kiedy umarł przeor Anthony i przeprowadzono wybory, Godwyn z łatwością wykluczył Saula.

Saul jednak nie był słaby. Potrafił uparcie obstawać przy tym, co uważał za słuszne, i właśnie tego obawiał się Godwyn. Czy dziś bez sprzeciwu zaakceptuje plan Godwyna, czy będzie przysparzał kłopotów? Godwyn jeszcze raz opanował strach, starając się zachować spokój.

Uważnie przyjrzał się twarzy Saula. Przeor Świętego Jana był zdumiony i niezadowolony z jego przybycia. Wprawdzie skrywał to pod maską uprzejmości, ale się nie uśmiechał.

Gdy ubiegał się o funkcję przeora, Godwyn wmówił wszystkim, że nie chce tego stanowiska, ale wyeliminował wszystkich możliwych kandydatów, z Saulem włącznie. Czy Saul domyślił się, jak został oszukany?

- Dzień dobry, ojczyźnie - rzekł Saul, gdy Godwyn pojechał bliżej. - To nieoczekiwane błogosławieństwo.

Zatem nie zamierza być otwarcie nieprzyjazny. Niewątpliwie uznał, że takie zachowanie stoi w sprzeczności ze ślubem posłuszeństwa. Godwyn poczuł ulgę.

- Niech cię Bóg błogosławi, mój synu - powiedział. - Zbyt długo nie odwiedzałem moich dzieci w klasztorze Świętego Jana.

Saul spojrział na mnichów i obładowane prowiantem konie.

- To wygląda na coś więcej niż zwyczajna wizyta.

Nie zaproponował Godwynowi pomocy przy zsiadaniu z konia, jakby oczekiwał wyjaśnień, zanim zaprosi go do środka, co było śmieszne, bo nie miał prawa odmawiać wstępu swojemu zwierzchnikowi.

Mimo to Godwyn czuł się zobowiązany do udzielenia wyjaśnień.

- Słyszałeś o zarazie?

- Tylko plotki - odparł Saul. - Niewielu mamy gości, którzy przynoszą nam wieści.

To dobrze. Brak gości był tym, co przyciągnęło tu Godwyna.

- Choroba zabiła setki ludzi w Kingsbridge. Obawiałem się, że może zaatakować opactwo, dlatego przyprowadziłem tu mnichów. To może być jedyny sposób, byśmy przetrwali.

- Oczywiście jesteście tu mile widziani, niezależnie od powodu waszej wizyty.
- To oczywiste - sztywno rzekł Godwyn. Był zły, że musi się tłumaczyć.
- Nie wiem, gdzie położę spać tylu ludzi... - zastanowił się Saul.
- Ja o tym zdecyduję - uciął Godwyn, przejmując inicjatywę. - Oprowadź mnie po klasztorze, podczas gdy twoja kuchnia przygotowuje nam kolację.

Bez pomocy zsiadł z konia i wszedł do budynku.

Saul musiał pójść za nim.

Klasztor był ascetyczny i schludny, co dowodziło, jak poważnie Saul traktuje ślub ubóstwa. Jednak teraz Godwyna bardziej interesowało to, jak szybko można zamknąć klasztor przed przybyszami z zewnątrz. Na szczęście zamiłowanie Saula do prawa i porządku sprawiło, iż zaprojektowane przez niego budynki miały niewiele wejść. Do środka można było dostać się tylko trzema drogami: przez kuchnię, przez stajnię lub przez kościół. Wszędzie osadzono solidne drzwi, które można było zabarykadować.

Dormitorium było małe, mieszczące dziewięciu lub dziesięciu mnichów, i nie było osobnej sypialni dla przeora. Dodatkowa dwudziestka mnichów mogła nocować jedynie w kościele.

Godwyn myślał o zajęciu dormitorium dla siebie, lecz w tym pomieszczeniu nie było gdzie ukryć klasztornych skarbów, a chciał mieć je przy sobie. Na szczęście w kościele zauważył boczną kapliczkę, którą można było zamknąć na klucz, więc zajął ją na swoją kwaterę. Pozostali mnisi z Kingsbridge rozłożyli słomę na polepie w nawie i tam zamierzali spać.

Jedzenie i wino dostarczono do klasztornej kuchni i piwnicy, lecz precjoza Philemon zaniósł do kapliczki zmienionej w sypialnię Godwyna. Zdążył już porozmawiać z mnichami od Świętego Jana.

- Saul kieruje klasztorem na swój własny sposób - zameldował. - Wymaga całkowitego posłuszeństwa Bogu i regule świętego Benedykta, ale powiadają, że nie stawia się na piedestale. Śpi w dormitorium, je to samo co wszyscy i nie korzysta z żadnych przywilejów. Nie muszę mówić, że go za to lubią. Jest jednak jeden mnich, który jest nieustannie karany. Brat Jonquil.

- Pamiętam go. - Jonquil wiecznie miał kłopoty podczas swojego nowicjatu w Kingsbridge - za spóźnienia, powolność, lenistwo i chciwość. Nie potrafił zapanować nad tymi wadami i zapewne wybrał klasztorne życie, aby ktoś inny narzucił mu zasady, których sam nie potrafił przestrzegać. - Wątpię, czy będziemy mieli z niego jakiś pożytek.

- On może się wyłamać z szeregu, jeśli będzie miał okazję - zauważył Philemon. - Jednak nie jest szanowany. Nikt za nim nie pójdzie.

- I nie mają żadnych zarzutów wobec Saula? Nie sypia do późna, nie unika nieprzyjemnych obowiązków ani nie wypija najlepszego wina?

- Najwyraźniej nie.

- Hm...

Saul był prawy jak zawsze. Godwyna to rozczarowało, ale niespecjalnie zdziwiło.

Podczas wieczornego nabożeństwa Godwyn zauważył, jak poważni i zdyscyplinowani są mnisi od Świętego Jana. Przez lata zawsze przysyłał tu tych, którzy przysparzali mu kłopotów: buntowniczych, psychicznie chorych, tych, co kwestionowali nauki Kościoła i tych zainteresowanych heretyckimi ideami. Saul nigdy nie narzekał, nigdy żadnego nie odesłał. Wyglądało na to, że potrafił przemienić takich ludzi we wzorowych braci.

Po mszy Godwyn posłał większość swoich mnichów do refektarza na kolację, zatrzymując tylko Philemona i dwóch silnych młodych chłopaków. Kiedy zostali w kościele sami, kazał Philemonowi pilnować drzwi prowadzących do klauzury, po czym polecił młodzikom przesunąć rzeźbiony drewniany ołtarz i wykopać dziurę w ziemi.

Gdy była już należycie głęboka, Godwyn przyniósł z kapliczki katedralne precjoza. Zanim jednak zdążyli je zakopać, pojawił się Saul.

Godwyn usłyszał głos Philemona:

- Lord przeor chce być sam. A potem głos Saula:

- Zatem niechaj mi to powie osobiście.

- Prosił mnie, żebym ja to powiedział.

Saul podniósł głos:

- Nikt nie zabroni mi wstępu do mojego kościoła. A już na pewno nie ty!

- Chcesz użyć przemocy przeciwko mnie, subprzeora Kingsbridge?

- Wrzucę cię do fontanny, jeśli natychmiast nie zejdziesz mi z drogi. Godwyn musiał interweniować. Wolałby utrzymać Saula w niewiedzy, ale nie mógł.

- Wpuść go, Philemonie! - polecił.

Philemon usunął się na bok i Saul wszedł do środka. Zobaczył sakwę i nie pytając o pozwolenie, otworzył ją i zajrzał do środka.

- Na mą duszę! - wykrzyknął, wyjąwszy posrebrzaną ampułkę do podawania wody i wina podczas mszy. - Co to jest?

Godwyn najchętniej powiedziałby mu, żeby nie przesłuchiwał swojego przełożonego. Może Saul by go usłuchał, wierzył w pokorę, przynajmniej z zasady. Jednak Godwyn nie chciał zasiać w duszy Saula ziarna podejrzania, więc powiedział prawdę.

- Przywiozłem ze sobą skarby katedry. Saul skrzywił się z niesmakiem.

- Rozumiem, że takie ozdóbki uważa się za właściwe w wielkiej katedrze, lecz w

skromnym leśnym kościółku są nie na miejscu.

- Nie będziesz musiał na nie patrzeć. Zamierzam je ukryć. Nie ma nic złego w tym, że będziesz o tym wiedział, chociaż zamierzałem oszczędzić ci ciężaru tej wiedzy.

Saul spojrział na niego podejrzliwie.

- Po co w ogóle je przywiozłeś?

- Na przechowanie.

Saul nie dawał się łatwo zbyć.

- Dziwię się, że biskup pozwolił je wywieźć.

Oczywiście Godwyn nie pytał biskupa o pozwolenie, ale nie zamierzał mówić tego Saulowi.

- Sprawy w Kingsbridge mają się tak źle, że nie jesteśmy pewni, czy te precjoza są bezpieczne nawet w opactwie.

- Chyba jednak bezpieczniejsze niż tutaj? Wiesz, że wokół roi się od banitów. Dzięki Bogu, nie napotkaliście ich po drodze.

- Bóg nas strzeże.

- Mam nadzieję, że tych precjozów także.

Nastawienie Saula graniczyło z nieposłuszeństwem, lecz Godwyn nie skarcił go w obawie, iż przesadna reakcja świadczyłaby o poczuciu winy. Jednak zanotował w pamięci, że pokora Saula ma swoje granice. Może jednak Saul wie, że Godwyn oszukał go przed dwunastoma laty?

- Proszę, poproś wszystkich mnichów, żeby po kolacji pozostali w refektarzu. Przemówię do nich, gdy tylko tu skończę.

Saul wyszedł. Godwyn zakopał ozdoby, klasztorne dokumenty, relikwie świętych i niemal wszystkie pieniądze. Mnisi zasypali dziurę ziemią, udeptali ją i postawili ołtarz na swoim miejscu. Zostało trochę ziemi, więc wynieśli ją na zewnątrz i rozsypali.

Potem poszli do refektarza. Teraz, po przybyciu dwudziestu mnichów z Kings-bridge, niewielkie pomieszczenie było zatłoczone. Jakiś mnich stał przy pulpicie, czytając fragment z Ewangelii Świętego Marka, lecz zamilkł na widok wchodzącego Godwyna.

Godwyn skinął na czytającego, by usiadł, i sam zajął jego miejsce.

- To święty exodus - zaczął. - Bóg zesłał tę straszną plagę, aby ukarać nas za nasze grzechy. Przybyliśmy tu oczyścić się z grzechów z dala od złego wpływu miasta.

Godwyn nie zamierzał otwierać w ten sposób dyskusji, ale Saul wtrącił:

- A konkretnie, z jakich grzechów, ojcze Godwynie? Godwyn musiał improwizować.

- Mężczyźni podważali autorytet świętego Kościoła bożego, kobiety były lubieżne, mnisi nie mogli całkowicie odseparować się od kobiet, zakonnice zwracały się ku herezji i czarom.

- A jak długo potrwa to oczyszczanie się z grzechów?

- Będziemy wiedzieli, że zwyciężyliśmy, gdy wygaśnie zaraza. Przemówił inny mnich od Świętego Jana i Godwyn rozpoznał w nim Jonquila, rosłego mężczyznę o nieskoordynowanych ruchach i dzikim spojrzeniu.

- Jak będziecie się oczyszczali?

Godwyn był zdziwiony tym, że mnisi tak swobodnie przesłuchują swojego zwierzchnika.

- Przez modlitwy, medytację i post.

- Post to dobry pomysł - uznał Jonquil. - Nie mamy tu zbyt dużo żywności.

Rozległy się śmiechy.

Godwyn zaniepokoił się, że może stracić kontrolę nad słuchaczami. Uciszył ich uderzeniem dłonią w pulpit.

- Od tej pory każdy przybywający tu z zewnątrz jest dla nas zagrożeniem - rzekł. - Chcę, by wszystkie wejścia do klasztoru były zamknięte w dzień i w nocy. Żaden mnich nie może wyjść na zewnątrz bez mojego osobistego pozwolenia, które będzie udzielane jedynie w nadzwyczajnych wypadkach. Wszyscy petenci mają być odprawiani. Pozostaniemy w zamknięciu, dopóki ta straszliwa plaga się nie skończy.

- A co jeśli... - zaczął Jonquil. Godwyn przerwał mu.

- Nie prosiłem o komentarze, bracie. - Powiódł wzrokiem po refektarzu i wszyscy ucichli. - Jesteśmy mnichami i posłuszeństwo to nasz obowiązek - rzekł. - A teraz pomódlmy się.

Kryzys nastąpił następnego dnia.

Godwyn wyczuwał, że Saul i inni mnisi jedynie tymczasowo zaakceptowali jego rozkazy. Wszyscy byli zaskoczeni i dlatego nie zgłaszali sprzeciwu, a nie mając poważnego powodu do buntu, instynktownie posłuchali zwierzchnika.

Wiedział jednak, że przyjdzie taki czas, kiedy będą musieli podjąć decyzję. Jednak nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko.

Śpiewali psalmy podczas porannego nabożeństwa. W kościółku było potwornie zimno. Godwyn czuł się zeszywniały i obolały po niewygodach noclegu. Tęsknił za swoim pałacem z kominkami i miękkimi łóżkami. Szare światło zimowego świtu pojawiło się oknach, gdy ktoś załomotał w grube zachodnie drzwi kościoła.

Godwyn zamarł. Wolałby mieć jeszcze kilka dni na umocnienie swojej pozycji.

Dał mnichom znak, by zignorowali pukanie i nie przerywali nabożeństwa. Po chwili łomotaniu zaczęły towarzyszyć wołania, Saul wstał, aby podejść do drzwi, lecz Godwyn pokazał mu, żeby usiadł i Saul po chwili wahania usłuchał. Godwyn postanowił nie zwracać uwagi na te odgłosy. Jeśli mnisi nie

zareagują, intruzi odejdą.

Jednak Godwyn zaczynał pojmować, jak trudno jest skłonić ludzi, żeby nic nie robili.

Mnisi byli zbyt rozkojarzeni, by skupić się na psalmie. Wszyscy szeptali i spoglądali w kierunku zachodniego końca kościoła. Zaczęli śpiewać nierówno i nieskładnie, aż w końcu zamilkli i słychać było tylko głos Godwyna.

Był wściekły. Gdyby poszli za jego przykładem, mogliby zignorować zamieszanie. Rozgniewany ich słabością w końcu opuścił swoje miejsce i ruszył nawą do zamkniętych drzwi.

- Co tam? - zawołał.
- Wpuść nas! - padła stłumiona odpowiedź.
- Nie możecie wejść - odkrzyknął Godwyn.
- Odejdźcie. Obok niego pojawił się Saul.
- Czy zamierzasz zabronić im wstępu do kościoła? - zapytał przerażony.
- Mówiłem ci: żadnych gości. Znow rozległo się łomotanie.
- Wpuśćcie nas!
- Kto tam? - zawołał Saul. Zapadła cisza, a potem głos powiedział:
- Jesteśmy ludźmi z lasu. Odezwał się Philemon:
- Banici.
- Grzesznicy jak my, a także dzieci boże.
- To nie powód, żeby pozwolić im się zamordować.
- Może powinniśmy się dowiedzieć, czy taki mają zamiar.

Saul podszedł do okna na prawo od drzwi. Kościół był niski i parapety okien znajdowały się tuż poniżej poziomu oczu. Żadne nie było oszklone: przed zimnem chroniły okiennice z przezroczystego lnu. Saul otworzył jedną i stanął na palcach, by spojrzeć.

- Po co tu przyszliście? Godwyn usłyszał odpowiedź.
- Jeden z nas jest chory.
- Ja z nimi porozmawiam - rzekł Godwyn.

Saul spojrział na niego zdumiony.

- Odejdź od okna - polecił Godwyn. Saul niechętnie usłuchał.

- Nie możemy was wypuścić! - zawołał Godwyn. - Odejdźcie. Saul patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Zamierzasz odprawić chorego człowieka? Jesteśmy mnichami i medykami!

- Jeśli ten człowiek jest chory na zarazę, to w niczym nie możemy mu pomóc. Wpuszczając go, zabijemy siebie.

- Bóg o tym zdecyduje.

- Bóg nie pozwala nam popełniać samobójstwa.

- Nie wiesz, co dolega temu człowiekowi. Może ma złamaną rękę. Godwyn otworzył okno na lewo od drzwi i spojrział. Zobaczył sześciu groźnie wyglądających mężczyzn stojących wokół noszy, które położyli pod drzwiami kościoła. Ich szaty były kosztowne, lecz brudne, jakby spali na dworze w niedzielnych ubraniach. Typowe dla banitów, którzy kradli ładne odzienie podróżnym i bardzo szybko je brudzili. Mężczyźni byli uzbrojeni po zęby, niektórzy w dobrej jakości miecze, sztylety i łuki, co sugerowało, że mogli być zdemobilizowanymi żołnierzami.

Na noszach leżał mężczyzna, który bardzo się pocił - choć był mroźny styczniowy ranek - i krwawił z nosa. Nagle, mimo woli, Godwyn ujrzał oczami wyobraźni scenę w szpitalu, gdy jego matka była umierająca i strużka krwi nad jej górną wargą wciąż się pojawiała, nieważne jak często wycierała ją czuwająca zakonnica. Na myśl o tym, że mógłby umrzeć w taki sposób, miał ochotę skoczyć z dachu katedry w Kingsbridge. Lepiej byłoby skonać w jednej krótkiej chwili okropnego bólu niż przez trzy, cztery lub pięć dni leżeć w malignie i być trawionym przez potworne pragnienie.

- Ten człowiek jest chory na zarazę! - wykrzyknął Godwyn i w swoim głosie usłyszał nutę hysterii.

Jeden z banitów wystąpił naprzód.

- Znam cię - powiedział. - Jesteś przeorem Kingsbridge.

Godwyn próbował wziąć się w garść. Ze strachem i gniewem spojrział na człowieka, który najwyraźniej był hersztem banitów. Nosił się z arogancką pewnością siebie szlachcica i kiedyś zapewne był urodziwy, choć trudy życia skaziły tę urodę.

- A kimże ty jesteś - rzekł Godwyn - żeby przychodzić i łomotać do drzwi kościoła, gdy mnisi śpiewają psalmy do Boga?

- Niektórzy mówią na mnie Tam Hiding - odparł banita. Mnisi jęknęli. Tam Hiding był legendą.

- Zabiją nas wszystkich! - krzyknął brat Jonquil. Saul skarcił go.

- Milcz. Wszyscy umrzemy, kiedy Bóg zechce, nie wcześniej.

- Tak, ojcze.

Saul wrócił do okna.

- W zeszłym roku ukradłeś nasze kury - powiedział.

- Przepraszam, ojcze - odparł Tam. - Głodowaliśmy.

- A teraz przychodzicie prosić mnie o pomoc?

- Ponieważ głosisz, że Bóg wybacza.

- Pozwól mi to załatwić! - rzekł Godwyn do Saula.

Na twarzy Saula malowały się na przemian wstyd i bunt, zdradzając jego wewnętrzne zmagania, lecz w końcu pochylił głowę.

- Bóg przebacza tym, którzy szczerze żałują za grzechy - rzekł Godwyn do banity.

- No cóż, ten człowiek to Will Forester i szczerze żałuje za swe liczne grzechy. Chciałby wejść do kościoła i pomodlić się o wyzdrowienie, a jeśli nie, umrzeć w tym świętym miejscu.

Jeden z banitów kichnął.

Saul odszedł od okna i stanął przed Godwynem, biorąc się pod boki.

- Nie możemy go odprawić z niczym! Godwyn starał się zachować spokój.

- Słyszałeś to kichnięcie? Nie rozumiesz, co to oznacza? - Odwrócił się do pozostałych mnichów, chcąc mieć pewność, że wszyscy usłyszą, co powie. - Oni wszyscy są chorzy na zarazę!

Rozległ się zbiorowy pomruk przestachu. Godwyn chciał, żeby się bali. Dzięki temu poprą go, jeśli Saul postanowi mu się sprzeciwić.

- Musimy im pomóc, nawet jeśli są chorzy na zarazę - powiedział Saul. - Nasze życie nie należy do nas, abyśmy mieli chronić je niczym złoto zakopane w ziemi. Oddaliśmy się Bogu, aby czynił z nami, ce-chce, a On zakończy nasze żywoty, kiedy będzie to odpowiadało jego świętym celom.

- Wpuszczenie tych banitów byłoby saihobójstwem. Zabiją nas wszystkich!

- Jesteśmy sługami Boga. Dla nas śmierć jest radosnym połączeniem z Chrystusem. Czego mamy się bać, ojczyźnie przeorze?

Godwyn zdał sobie sprawę, że w jego głosie słychać strach, podczas gdy Saul mówi rozsądnie. Udał więc spokojnego i rozważnego.

- To grzech szukać śmierci.

- Jeśli jednak przyjdzie ona do nas w trakcie wykonywania naszych świętych obowiązków, przyjmujemy ją z ochotą.

Godwyn pojął, że może dyskutować z Saulem przez cały dzień i do niczego nie dojść. W ten sposób nie osiągnie celu. Zamknął okiennicę.

- Zamknij swoje okno, bracie Saulu, i podejdź do mnie - polecił, spoglądając na Saula i czekając.

Po chwili wahania tamten zrobił, co mu kazano.

- Jakże składałeś śluby, bracie?

Saul milczał. Wiedział, do czego Godwyn zmierza. Przeor nie miał zamiaru traktować go jak równego sobie. W pierwszej chwili wyglądało na to, że Saul nie odpowie, lecz nauki zrobiły swoje.

- Ubóstwa, czystości, posłuszeństwa - odrzekł.

- A kogo musisz słuchać?

- Boga, reguły świętego Benedykta i mojego przeora.

- A twój przeor stoi teraz przed tobą. Poznajesz mnie?

- Tak.

- Powinieneś odpowiedzieć: tak, ojcze przeorze.

- Tak, ojcze przeorze.

- Teraz powiem ci, co masz zrobić, a ty będziesz mi posłuszny. - Godwyn rozejrzał się. - Wy wszyscy wracajcie na swoje miejsca.

Na moment zapadła głucha cisza. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Będzie tak albo inaczej, pomyślał Godwyn: posłuszeństwo lub bunt, porządek lub anarchia, zwycięstwo lub klęska. Wstrzymał oddech.

W końcu Saul posłuchał. Skłonił głowę i odwrócił się. Przeszedł krótkim przejściem i wrócił na swoje miejsce przed ołtarzem.

Wszyscy pozostali zrobili to samo.

Z zewnątrz doleciało jeszcze kilka okrzyków, ale brzmiały jak groźby na odchodne. Może banici pojęli, że nie zmuszą medyka, by zajął się ich chorym kompanem.

Godwyn wrócił do ołtarza i stanął twarzą do mnichów.

- Dokończymy przerwany psalm - powiedział i zaczął śpiewać:

Chwała Ojcu.

I Synowi.

I Duchowi Świętemu.

Śpiew wciąż brzmiał nierówno. Mnisi byli zbyt wystraszeni, by się skupić. Mimo wszystko wrócili na swoje miejsca i robili, co do nich należy. Godwyn zwyciężył.

Jako było na początku.

Teraz.

I zawsze.

Na wieki wieków Amen.

- Amen - powtórzył Godwyn. Jeden z mnichów kichnął.

65

Niedługo po ucieczce Godwyna zaraza zabrała Elfrica.

Caris współczuła Alice, wdowie po nim, lecz poza tym z trudem powstrzymywała radość wywołaną tym, że już go nie ma. Zastraszał słabych i podlizywał się silnym, a z powodu kłamstw, jakich naopowiadał o niej podczas procesu, o mało jej nie powieszono. Świat bez niego był lepszym miejscem. Nawet jego budowlany interes lepiej poprowadzi zięć, Harold Mason.

Po śmierci Elfrica gildia parafialna wybrała na przewodniczącego Merthina, a ten stwierdził, że to jak zostać kapitanem tonącego okrętu.

Gdy ludzie umierali bez końca i grzebali swoich krewnych, sąsiadów, przyjaciół, klientów i pracowników, nieustanny strach zaczął zmieniać wielu z nich, aż żaden akt przemocy lub okrucieństwa nie wydawał się szokujący. Ludzie sądzący, że niebawem umrą, wyzbywali się wszelkich oporów i ulegali impulsom, nie bacząc na konsekwencje.

Merthin i Caris starali się, by w Kingsbridge widziano w miarę normalne życie. Sierociniec okazał się najbardziej udaną częścią planu Caris. Po katastrofie, jaką była utrata rodziców zabranych przez zarazę, dzieci były wdzięczne za bezpieczne schronienie w klasztorze. Opieka nad nimi oraz uczenie ich czytania i śpiewania psalmów obudziły w niektórych siostrach uspiony instynkt macierzyński. Ponieważ mniej osób korzystało teraz z zapasów zrobionych na zimę, żywności nie brakowało. I wszędzie w opactwie Kingsbridge rozbrzmiewały dźwięczne dziecięce głosy.

W mieście sprawy nie układały się tak dobrze. Wciąż wybuchały gwałtowne kłótnie o dobytek zmarłych. Ludzie po prostu wchodzili do pustych domów i brali, co im się podoba. Dzieci, które odziedziczyły pieniądze lub składy pełne tkanin czy ziarna, czasem zostawały adoptowane przez pozbawionych skrupułów sąsiadów chcących położyć rękę na ich spadku. Możliwość uzyskania czegoś za darmo wyzwała w ludziach najgorsze cechy, myślała z rozpaczą Caris.

Caris i Merthin odnieśli tylko połowiczny sukces w walce z upadkiem obyczajów. Caris była rozczarowana wynikami Johna Constable'a w zwalczaniu pijaństwa. Wiele wdów oraz wdowców zdawało się desperacko szukać nowych partnerów i widok ludzi w średnim wieku, namiętnie obściskujących się w gospodzie lub nawet w bramie, nie był niczym niezwykłym. Caris właściwie nie miała nic przeciwko temu, ale odkryła, że połączenie pijaństwa z nieobyčajnością często prowadzi do bójek. Jednak Merthin i gildia parafialna nie mogli tego powstrzymać.

W chwili gdy mieszczanie potrzebowali duchowego wsparcia, ucieczka mnichów wywarła na nich demoralizujący wpływ. Przedstawiciele Boga uciekli, Wszechmogący opuścił miasto. Niektórzy mówili, że relikwie świętego Adolfa zawsze przynosiły miastu szczęście, a teraz, gdy ich zabrakło, szczęście się skończyło. Brak cennych krucyfiksów i świeczników podczas niedzielnych mszy co tydzień przypominał, że Kingsbridge jest skazane na zagładę. Czemu więc się nie upijać i nie spółkować na ulicach?

Z około siedmiu tysięcy mieszkańców Kingsbridge do połowy stycznia życie straciło co najmniej tysiąc. W innych miastach było podobnie. Pomimo wprowadzonych przez Caris masek śmierć zbierała obfite żniwo wśród zakonnic, niewątpliwie z powodu częstszych kontaktów z ofiarami zarazy. Z trzydziestu pięciu zakonnic zostało dwadzieścia. Jednak słyszały o takich klasztorach, w

których umarli niemal wszyscy mnisi lub zakonnice, pozostawiając tylko garstkę, a czasem jedną osobę, by opiekowała się ludźmi, tak więc uważały, że mają szczęście. Tymczasem Caris skróciła okres nowicjatu i przyspieszyła szkolenie, żeby mieć więcej pomocnic w szpitalu.

Merthin wynajął karczmarza z Holly Bush i powierzył mu zarządzanie gospodą. Ponadto zatrudnił rozsądną siedemnastolatkę imieniem Martina, żeby opiekowała się Lollą.

Zaraza zdawała się zamierać. Caris, która tydzień przed Bożym Narodzeniem pochowała sto osób, stwierdziła, że w styczniu liczba ta spadła do pięćdziesięciu, a w lutym do dwudziestu. Pozwoliła sobie mieć nadzieję, że może ten koszmar wreszcie się kończy.

Jednym z pechowców, którzy zachorowali w tym czasie, był ciemnowłosy mężczyzna, kiedyś zapewne przystojny. Był obcy w mieście.

- Wczoraj myślałem, że się przeziębilem - rzekł, gdy wszedł do szpitala. - Jednak teraz mam krwotok z nosa i nie mogę go zatamować.

Przyciskał do nosa zakrwawioną szmatę.

- Znajdę ci jakieś miejsce - powiedziała Caris przez lnianą maskę.

- To zaraza, prawda? - powiedział i z zaskoczeniem usłyszała w jego głosie spokojną rezygnację zamiast typowej paniki. - Możecie coś zrobić, żeby mnie uleczyć?

- Możemy zapewnić ci wygody i modlić się za ciebie.

- To nic nie da. Widzę, że nawet ty w to nie wierzysz. Była wstrząśnięta, jak łatwo czytał w jej sercu.

- Nie wiesz, co mówisz - zaprotestowała słabo. - Jestem zakonnica i muszę wierzyć.

- Możesz powiedzieć mi prawdę. Jak prędko umrę?

Przyjrzała mu się uważnie. Uśmiechał się do niej czarującym uśmiechem, który zapewne musiał podbić serca wielu kobiet.

- Dlaczego się nie boisz? - zapytała. - Wszyscy inni się boją.

- Nie wierzę w to, co mówią mi księża. - Popatrzył na nią przenikliwie. - I podejrzewam, że ty również.

Nie zamierzała prowadzić takiej rozmowy z nieznajomym, obojętnie jak czarującym.

- Niemal każdy, kto zachoruje na zarazę, umiera w ciągu trzech do pięciu dni - powiedziała bez ogródek. - Nieliczni wracają do zdrowia, nie wiadomo dlaczego.

Przyjął to spokojnie.

- Tak myślałem...

- Możesz położyć się tam.

Znów posłał jej uśmiech niegrzecznego chłopca.

- Czy to mi coś da?
- Jeśli szybko się nie położysz, upadniesz.
- W porządku.

Położył się na posłaniu, które mu wskazała. Podała mu koc.

- Jak się zwiesz?
- Tam.

Przyjrzała się jego twarzy. Pod urokiem wyczuła skłonności do okrucieństwa.

Może uwodził kobiety, pomyślała, lecz jeśli któraś mu się oparła, gwałcił ją. Skórę miał zniszczoną od życia pod gołym niebem i czerwony nos pijaka. Jego odzienie było kosztowne, lecz brudne.

- Wiem, kim jesteś. Nie obawiasz się, że zostaniesz ukarany za swoje grzechy?
- Gdybym w to wierzył, tobym ich nie popełnił. Czy ty się boisz, że usmażysz się w piekle?

Zwykle unikała odpowiedzi na to pytanie, lecz teraz uznała, że umierający banita zasługuje na szczerłość.

- Wierzę, że to, co robię, staje się częścią mnie. Jeśli jestem odważna i silna, jeśli opiekuję się dziećmi, chorymi i ubogimi, staję się lepszym człowiekiem. A jeśli jestem okrutna lub tchórzliwa, albo kłamię i upijam się, staję się kimś mniej wartościowym i tracę dla siebie szacunek. To jest ta boża nagroda, w jaką wierzę.

Spojrzał na nią w zadumie.

- Szkoda, że nie spotkałem cię dwadzieścia lat temu. Prychnęła kpiąco.
- Miałabym dwanaście lat. Sugestywnie unióśł brew.

Wystarczy, zdecydowała. Zaczynał z nią flirtować - a to jej się nie podobało. Odwróciła się, by odejść.

- Jesteś odważną kobietą, skoro wykonujesz taką pracę. Zapewne cię zabije.
- Wiem - odparła, ponownie odwróciwszy się do niego. - Jednak to moje przeznaczenie. Nie mogę uciec od ludzi, którzy mnie potrzebują.

- Twój przeor chyba tak nie myśli.
- On znikł.
- Ludzie nie znikają.
- Chciałam rzec, że nikt nie wie, gdzie się podział przeor Godwyn i jego mnisi.
- Ja wiem.

Pod koniec lutego było słonecznie i ciepło. Caris opuściła Kingsbridge na płowym kucu,

kierując się do klasztoru Świętego Jana z Lasu. Merthin jechał z nią na krępym czarnym koniu rasy anglonormandzkiej. Normalnie widok zakonnicy wyruszającej w podróż w towarzystwie mężczyzny wzbudziłby zdziwienie, ale to były dziwne czasy.

Niebezpieczeństwo ze strony banitów znacznie się zmniejszyło. Przed śmiercią Tam Hiding powiedział jej, że wielu ich padło ofiarami zarazy. Ponadto gwałtowne zmniejszenie się liczby mieszkańców sprawiło, iż żywności, wina i odzieży - czyli tego, co zwykle kradli banici - było bardzo dużo. Ci, którzy przeżyli zarazę, mogli wchodzić do opustoszałych miast i opuszczonych wiosek i brać sobie wszystko, czego potrzebowali.

Caris z początku była rozczarowana wieścią, że Godwyn znajduje się nie dalej niż dwa dni drogi od Kingsbridge. Wyobrażała sobie, iż udał się w miejsce tak odległe, że nigdy nie wróci. Była jednak rada z możliwości odzyskania klasztornych pieniędzy i kosztowności, a szczególnie dokumentów zakonnicy, tak istotnych w przypadkach wszelkich sporów dotyczących własności lub praw.

Kiedy i jeśli odnajdzie Godwyna, zażąda zwrotu klasztornej własności w imieniu biskupa. Miała list Henriego na poparcie tych żądań. Jeśli Godwyn mimo to odmówi zwrotu, dowiedzie w ten sposób ponad wszelką wątpliwość, że nie wziął na przechowanie zawartości skarbca, lecz ją ukradł. Wówczas biskup będzie mógł podjąć odpowiednie kroki prawne albo po prostu pojawić się u niego z oddziałem zbrojnych.

Chociaż rozczarowana tym, że Godwyn nie zniknął z jej życia na zawsze, Caris cieszyła się perspektywą spotkania z nim i udowodnienia mu jego tchórzostwa i nieuczciwości.

Oddalając się od miasta, wspominała swoją ostatnią długą podróż do Francji z Mair - pod każdym względem prawdziwą przygodę. Zasmuciła się na myśl o Mair. Ze wszystkich, którzy umarli na zarazę, najbardziej odczuwała nieobecność właśnie jej - tęskniła za śliczną twarzyczką, czułym sercem, miłością.

Jednak dobrze było mieć dla siebie Merthina przez całe dwa dni. Jadąc drogą przez las, rozmawiali bez przerwy o wszystkim, co im przychodziło na myśl, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi.

Merthin jak zawsze miał mnóstwo pomysłów. Pomimo zarazy budował sklepy i gospody na Wyspie Trędowatych i wyznał, że zamierza rozebrać gospodę pozostawioną mu w spadku przez Bessie Bell i postawić dwukrotnie większą. Caris domyślała się, że on i Bessie byli kochankami - bo czy inaczej podarowałyby mu gospodę? Jednak mogła winić tylko siebie. To jej naprawdę pragnął Merthin, a Bessie była dopiero druga w kolejności. Obie to wiedziały. Mimo wszystko Caris była zazdrosna i zła na myśl o Merthinie figlującym w łóżku z tą pulchną karczmarką.

W południe zatrzymali się na odpoczynek przy strumieniu. Jedli chleb, ser i jabłka, czyli to, co jedzą wszyscy podróżni oprócz najbogatszych. Dali trochę owsa wierzchowcom: pierwsza trawa nie

wystarczyłaby zwierzęciu, które przez cały dzień musi nieść na grzbiecie jeźdźca. Kiedy się posilili, przez kilka minut leżeli w słońcu, lecz ziemia była jeszcze za zimna i zbyt wilgotna, by spać, więc niebawem wstali i pojechali dalej.

Szybko powróciła czuła bliskość z czasów ich młodości. Merthin zawsze potrafił rozbawić Caris, a ona potrzebowała tego po tylu dniach oglądania umierających w szpitalu. Szybko zapomniała o gniewie z powodu Bessie.

Podążali traktem używanym przez mnichów z Kingsbridge od setek lat i na noc zatrzymali się tam, gdzie wszyscy: w połowie drogi, w zajezdzie Red Cow w miasteczku Lordsborough. Na kolację dostali rostbef i mocne piwo.

Nagle Caris boleśnie zapragnęła Merthina. Jakby ostatnie dziesięć lat rozwiało się w jej pamięci. Chciała wziąć go w ramiona i kochać go tak jak kiedyś. Jednak nie mogła. W zajezdzie były dwie sypialnie, jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet - co niewątpliwie było powodem tego, że mnisi zawsze go wybierali.

Caris i Merthin rozstali się na podeście schodów i Caris długo nie mogła zasnąć, słuchając pochrapywania żony jakiegoś rycerza oraz sprzedawczyni przypraw, pieszcząc się i marząc, by dłoń między jej udami była dłonią Merthina.

Obudziła się zmęczona i przybita i bez apetytu zjadła owsiankę. Jednak Merthin był tak szczęśliwy, iż jest przy niej, że humor szybko jej się poprawił. Zanim ruszyli z Lordsborough, rozmawiali i śmiali się równie wesoło jak poprzedniego dnia.

Drugiego dnia jechali przez gęsty las i przez cały ranek nie widzieli innych podróżnych. Ich rozmowa stała się bardziej intymna. Caris dowiedziała się więcej o pobycie Merthina we Florencji, o tym, jak spotkał Silvię i jaką była osobą. Miała ochotę zapytać go, jak się z nią kochał. Czy inaczej niż z nią? Jednak powstrzymała się, czując, że takie pytania naruszyłyby prywatność Silvii, choć ta już nie żyła. Poza tym dużo odgadywała z tonu głosu

Merthina. Wyczuwała, że było mu dobrze z Silwią, nawet jeśli ich związek nie był tak namiętny jak z Caris.

Nieprzyzwyczajona do spędzania tylu godzin w siodle była obolała, więc z ulgą zatrzymała się na obiad i zsiadła z kuca. Kiedy zjedli, usiedli na ziemi, opierając się plecami o szeroki pień drzewa, aby odpocząć przed dalszą drogą.

Caris myślała o Godwynie i zastanawiała się, co zastanie w klasztorze Świętego Jana z Lasu, gdy nagle uświadomiła sobie, że będzie się z Merthinem kochała. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, skąd to wie - gdyż nawet się nie dotknęli - ale nie miała cienia wątpliwości. Obróciła się, by na niego spojrzeć, i zobaczyła, że on też to czuje. Uśmiechnął się do niej smutno i ujrzała w jego oczach dziesięć lat nadziei

i żalu, cierpień i łez. w.

Wziął jej rękę i ucałował, a potem przycisnął wargi do jej nadgarstka i zamknął oczy.

- Czuję twój puls - powiedział cicho.
- Z pulsu niewiele można wyczytać - westchnęła. - Będziesz musiał zbadać mnie dokładniej.

Ucałował jej czoło, powieki i nos.

- Mam nadzieję, że nie będziesz zmieszana tym, iż zobaczę cię naga?
- Nie bój się, w taką pogodę nie zamierzam zdejmować odzienia. Oboje zachichotali.
- Może będziesz tak miła i uniesiesz kraj swojej szaty, żebym mógł dokończyć badania.

Ujęła kraj habitu. Nosila pończochy sięgające do kolan. Powoli odsłoniła kostki, łydki, kolana, a potem białą skórę ud. Była podniecona, lecz w głębi serca zastanawiała się, czy on zauważy zmiany, jakie pozostawiło na jej ciele dziesięć ostatnich lat. Była szczuplejsza, ale urosło jej siedzenie. Skóra nie była już tak jędrna i gładka jak kiedyś, a piersi nie tak sprężyste i sterczące. Co on sobie pomyśli? Stłumiła jednak niepokój i podjęła grę.

- Czy to wystarczy do celów medycznych?
- Niezupełnie.
- Jednak obawiam się, że nie noszę bielizny. Takie luksusy nie przystoją nam, zakonnicom.
- My, medycy, musimy być bardzo dokładni, obojętne jak nieprzyjemne może się to

okazać.

- O rany - westchnęła z uśmiechem. - Co za wstyd. No cóż, w porządku. Patrząc mu w oczy, powoli podciągnęła habit do pasa.

- Ojej - teraz on westchnął. - To bardzo poważny przypadek. W istocie... - Spojrzał na jej twarz, przełknął ślinę i rzekł: - Nie mogę już dłużej żartować na ten temat.

Objęła go i przytuliła do siebie, ściskając najmocniej jak mogła, przywierając do niego tak, jakby ratowała go przed utonięciem.

- Kochaj mnie, Merthinie - szepnęła. - Teraz, szybko.

Klasztor Świętego Jana z Lasu wyglądał spokojnie w popołudniowym słońcu - to pewny znak, że coś jest nie w porządku, pomyślała Caris. Mały klasztor zawsze sam się żywił i był otoczony polami, teraz mokrymi po deszczu, które wymagały orki i bronowania. Jednak nikt na nich nie pracował.

Kiedy podjechali bliżej, zobaczyli rząd świeżych grobów na przykościelnym cmentarzu.

- Wygląda na to, że zaraza dotarła aż tutaj - stwierdził Merthin. Caris pokiwała głową.
- Zatem tchórzliwy plan ucieczki Godwyna zawiódł. Mimo woli poczuła mściwą satysfakcję.
- Zastanawiam się, czy on sam też padł jej ofiarą.

Caris miała nadzieję, że tak, lecz wstydziła się powiedzieć to głośno.

Objechali cichy klasztor, aż dotarli na dziedziniec stajni. Drzwi były otwarte, a wypuszczone konie pasły się na łące nad stawem. Jednak nikt się nie zjawił, żeby pomóc gościom zsiąść z wierzchowców.

Przeszli przez puste stajnie. Wszędzie panowała upiorna cisza i Caris zastanawiała się, czy wszyscy mnisi umarli. Zajrzeli do kuchni, która zdaniem Caris nie była tak czysta, jak być powinna, oraz do piekarni, gdzie znaleźli zimny piec. Ich kroki odbijały się echem w nieprzytulnych, szarych arkadach klauzury. Nagle, podchodząc do drzwi kościoła, napotkali brata Thomasa.

- Znaleźliście nas! Dzięki Bogu.

Caris uściskała go. Wiedziała, że kobiece ciało nie jest pokusą dla Thomasa.

- Cieszę się, że żyjesz - powiedziała.

- Zachorowałem i wyzdrowiałem - wyjaśnił.

- Mało komu się to udaje.

- Wiem.

- Powiedz nam, co się stało.

- Godwyn i Philemon dobrze to zaplanowali - zaczął Thomas. - Nikt się tego nie spodziewał.

Godwyn zebrał braci w kapitularku i przytoczył przypowieść o Abrahamie i Izaaku jako dowód na to, że Bóg czasem każe nam popełniać czyny, które wydają się złe. Potem zapowiedział, że w nocy opuszczamy klasztor.

Większość mnichów była zadowolona z tego, że uciekną przed zarazą a nielicznym mającym wątpliwości przypomniano o ślubie posłuszeństwa. Caris skinęła głową.

- Mogę to sobie wyobrazić. Nie jest trudno słuchać rozkazów, gdy ich wykonywanie leży w naszym własnym interesie.

- Nie jestem z siebie dumny. Caris dotknęła kikuta jego lewej ręki.

- To nie była przygana, Thomasie.

- Mimo wszystko dziwię się - rzekł Merthin - że nikt się nie wygadał, dokąd zmierzacie.

- To dlatego, że Godwyn nie powiedział nam, dokąd się udajemy. Większość z nas nie wiedziała tego nawet, gdy tu dotarliśmy. Musieliśmy pytać tutejszych mnichów, co to za miejsce.

- Jednak zaraza was dogoniła.

- Widzieliście cmentarz? Leżą tam wszyscy mnisi od Świętego Jana oprócz przeora Saula, który został pochowany w kościele. Prawie wszyscy mnisi z Kingsbridge także nie żyją. Kilku uciekło, gdy wybuchła zaraza, i Bóg wie, co się z nimi stało.

Caris przypomniała sobie, że Thomas zawsze przyjaźnił się z pewnym mnichem, dobrodusznym bratem, kilka lat młodszym od niego. Zawahała się.

- A brat Matthias?

- Umarł - rzucił szorstko Thomas i łzy stanęły mu w oczach. Odwrócił głowę zawstydzony.

Caris położyła dłoń na jego ramieniu.

- Bardzo mi przykro.

- Tylu ludzi straciło swoich bliskich - westchnął.

Caris doszła do wniosku, że lepiej nie rozwijać tematu Matthiasa.

- Co z Godwynem i Philemonem?

- Philemon uciekł. Godwyn żyje i ma się dobrze, nie zachorował.

- Mam dla Godwyna wiadomość od biskupa.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Lepiej mnie do niego zaprowadź.

- Jest w kościele. Wstawił sobie łóżko do bocznej kaplicy. Jest przekonany, że to dlatego nie zachorował. Chodźcie ze mną.

Przeszli przez klauzurę i weszli do kościółka. Zapachem przypominał raczej dormitorium. Fresk na wschodnim końcu przedstawiający Dzień Sądu wydawał się ponurą ilustracją tej sytuacji. Nawa była usłana słomą i kocami, jakby nocował tu tłum ludzi, lecz jedyną obecną osobą był Godwyn. Leżał krzyżem przed ołtarzem na podłodze z ubitej gliny. Przez moment myślała, że nie żyje, a potem zrozumiała, że odprawia pokutę.

- Masz gości, ojcie przeorze - powiedział brat Thomas.

Godwyn się nie poruszył. Caris podejrzewała, że udaje, lecz widząc, jak nieruchomo leży, pomyślała, że naprawdę szuka odkupienia. Nagle powoli wstał i odwrócił się. Caris zobaczyła, że jest blady i chudy, a także znużony i zaniepokojony.

- To ty - wyszeptał.

- Znaleźliśmy twoją kryjówkę, Godwynie.

Nie zamierzała tytułować go ojcem. Był świętokradcą, a ona go przyłapała. Czowała głęboką satysfakcję.

- Zapewne zdradził mnie Tam Hiding - rzekł.

Caris zrozumiała, że jego umysł jest równie bystry jak zawsze.

- Próbowaleś uciec przed sprawiedliwością, ale ci się nie udało.

- Nie ma powodu bać się sprawiedliwości - rzekł wyzywająco. - Przybyłem tu w nadziei uratowania życia moim mnichom. Moim błędem było, iż uczyniłem to za późno.

- Niewinny człowiek nie umyka pod osłoną nocy.

- Musiałem utrzymać w tajemnicy cel mojej podróży. Nie dopiąłbym swego, gdybym pozwolił,

by ktoś za nami poszedł.

- Nie musiałeś kraść katedralnych precjozów.
- Nie ukradłem ich. Wziąłem je na przechowanie i zwrócę, kiedy będzie bezpiecznie.
- Czemu więc nikogo nie powiadomiłeś, że je zabierasz?
- Powiadomiłem. Napisałem do biskupa Henriego. Nie dostał mojego listu? Caris zaczęła się

niepokoić. Chyba Godwynowi nie uda się z tego wykręcić?

- Na pewno nie. Nie otrzymał żadnego listu i nie wierzę, że jakiś napisałeś.
- Zapewne posłaniec umarł, zanim zdążył go dostarczyć.
- A jak się zwał ten zaginiony posłaniec?
- Nie mam pojęcia. To Philemon go wynajął.

- A Philemona tu nie ma. Jakie to wygodne - powiedziała z sarkazmem. - No cóż, możesz mówić, co chcesz, ale biskup Henri oskarża cię o kradzież własności zakonu i przysłała mnie z żądaniem jej zwrotu. Mam list nakazujący ci natychmiastowe oddanie mi wszystkiego, co zabrałeś.

- To nie będzie konieczne. Sam mu to zwiózę.
- Nie tak nakazuje ci biskup.
- Ja osądzę, jak jest najlepiej.
- Twoja odmowa dowodzi, że ukradłeś skarb.
- Jestem pewien, że zdołam przekonać biskupa Henriego, żeby spojrzał na to inaczej.

Rzecz w tym, pomyślała z rozpaczą Caris, że Godwynowi może się to udać. Potrafił być bardzo przekonujący, a Henri, jak większość biskupów, z zasady starał się unikać konfrontacji. Już czuła, że zwycięstwo wymyka jej się z rąk.

Godwyn wyczuł, że zyskał nad nią przewagę, i pozwolił sobie na uśmiezek satysfakcji. To ją rozwścieczyło, ale nie miała nic więcej do powiedzenia. Mogła tylko wrócić i zdać sprawę biskupowi Henriemu z tego, co się stało.

Po prostu nie mogła w to uwierzyć. Czy Godwyn wróci do Kingsbridge i znów zostanie przeorem? Jak mógłby wejść z podniesioną głową do katedry? Po tym, co uczynił, żeby zniszczyć opactwo, miasto i kościół? Nawet jeśli biskup uwierzy w jego kłamstwa, to mieszczanie chyba się zbuntują? Kiepsko to wyglądało, jednak zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Czy nie ma sprawiedliwości na tym świecie?

Spojrzała na niego. Podejrzewała, że przygnębienie na jej twarzy maluje się równie wyraźnie jak triumf na jego obliczu.

I wtedy zobaczyła coś, co zmieniło wszystko.

Na górnej wardze Godwyna, tuż pod lewym nozdrzem, ujrzała strużkę krwi.

Następnego ranka Godwyn nie wstał z łóżka.

Caris założyła lnianą maskę i pielęgnowała go. Obmyła mu twarz wodą różaną i dawała rozcieńczone wino, ilekroć chciał pić. Za każdym razem, gdy go dotknęła, przemywała dłonie octem.

Poza Godwynem i Thomasem zostali jeszcze dwaj mnisi, nowicjusze z Kingsbridge. Oni również byli umierający, więc przeniosła ich z dormitorium do kościoła i opiekowała się również nimi, krążąc po mrocznej nawie niczym cień, od jednego umierającego do drugiego.

Zapytała Godwyna, gdzie ukrył skarb katedry, ale nie chciał tego powiedzieć.

Merthin i Thomas przeszukali klasztor. Najpierw zajrzeli pod ołtarz. Coś niedawno tam zakopano - świadczyła o tym poruszona ziemia. Kiedy jednak wykopali dół - przy czym Thomas zadziwiająco dobrze radził sobie jedną ręką - niczego w nim nie znaleźli. Cokolwiek tam było, zostało wyjęte.

Sprawdzili każde rozbrzmiewające echem pomieszczenie opustoszałego klasztoru, zajrzeli nawet do zimnego pieca w piekarni i sucyjnych zbiorników browaru, ale nie znaleźli precjozów, relikwii ani dokumentów.

Po pierwszej nocy Thomas bez słowa, nieproszony, wyprowadził się z dormitorium, zostawiając je Merthinowi i Caris. Nie uczynił żadnej uwagi, gestu, nawet nie mrugnął.

Wdzięczni za jego dyskrecję kochali się pod stertą koców. Później Caris długo nie mogła zasnąć. Gdzieś na dachu mieszkała sowa i Caris słyszała jej pohukiwania, a czasem pisk jakiegoś zwierzątka złapanego w jej szpony. Zastanawiała się, czy zajdzie w ciążę. Nie chciała rezygnować ze swego powołania - ale nie mogła oprzeć się pokusie i rzuciła się w ramiona Merthina. Tak więc po prostu nie chciała myśleć o przyszłości.

Trzeciego dnia, gdy Caris, Merthin i Thomas jedli obiad w refektarzu, Thomas rzekł:

- Jeśli Godwyn będzie chciał pić, nie daj mu nic, dopóki nie powie, gdzie ukrył skarb.

Caris zastanowiła się. Postąpiłaby słusznie, jednak byłoby to torturowanie chorego człowieka.

- Nie mogę tego zrobić - odparła. - Wiem, że na to zasługuje, ale jednak nie mogę tego zrobić. Jeśli chory chce pić, muszę spełnić jego prośbę. To ważniejsze od wszystkich klejnotów chrześcijaństwa.

- Nie powinnaś mu współczuć. On nigdy nie okazał ci współczucia.

- Zamieniłam kościół w szpital, ale nie pozwolę, by stał się izbą tortur. Thomas był gotów spierać się dalej, lecz Merthin powstrzymał go, kręcąc głową.

- Pomyśl, Thomasie, kiedy ostatni raz widziałeś te rzeczy?

- Tej nocy, kiedy tu przybyliśmy. Były w skórzanych sakwach i skrzyniach, na dwóch jucznych

koniach. Wyładowano je ze wszystkimi innymi bagażami i chyba zanieśiono do kościoła.

- I co się z nimi stało?

- Potem już ich nie widziałem. Jednak po wieczornym nabożeństwie, kiedy wszyscy poszli na kolację, zauważyłem, że Godwyn i Philemon zostali w kościele razem z dwoma innymi mnichami, Juleyem i Johnem.

- Niech zgadnę - powiedziała Caris. - Juley i John byli młodzi i silni.

- Tak.

- Zapewne wtedy zakopali skarb pod ołtarzem - powiedział Merthin. - Tylko kiedy go wykopali?

- Musieli to zrobić, kiedy nikogo nie było w kościele, a więc w porze posiłku.

- Czy opuścili jakiś posiłek?

- Zapewne kilka. Godwyn i Philemon zawsze zachowywali się tak, jakby reguły ich nie dotyczyły. Opuszczanie posiłków i mszy nie było czymś niezwykłym, co mógłbym zapamiętać.

- Może pamiętasz, kiedy Juley i John ponownie opuścili jakiś posiłek? - dociekała Caris. - Godwyn i Philemon znów potrzebowali ich pomocy.

- Niekoniecznie - rzekł Merthin. - Znacznie łatwiej jest kopać w ziemi, która już została wzruszona. Godwyn ma czterdzieści trzy lata, a Philemon zaledwie trzydzieści cztery. Mogli to zrobić bez niczyjej pomocy, jeśli naprawdę chcieli.

Tej nocy Godwyn zaczął bredzić. Chwilami zdawał się cytować Biblię, czasem wygłaszał kazanie, a czasem się tłumaczył. Caris przez jakiś czas słuchała, mając nadzieję, że czegoś się dowie.

- Wielki Babilon padł i wszystkie narody piły gniew jej spółkowania, a z tronu zeszedł ogień i grom, a wszyscy kupcy tej ziemi płakać będą. Ukorzcie się, och ukorzcie, wy którzy spółkowaliście z matką dziewczek! A stało się tak dla wyższych celów, wszystko dla bożej chwały, ponieważ cel uświęca środki. Daj mi się napić, na miłość boską!

Apokaliptyczny ton jego majaczeń wywołany był zapewne pobliskim freskiem, obrazowo ukazującym imęki piekielne. Caris przytknęła kułek do jego ust.

- Gdzie są katedralne ozdoby, Godwynie?

- Widziałem siedem złotych świeczników wysadzanych perłami i drogimi kamieniami i owiniętych w najprzedniejszy len, purpurę i szkarłat, leżących w arce zrobionej z drewna cedrowego, sandałowego i ze srebra. I widziałem kobietę jadącą na szkarłatnej bestii mającej siedem łbów i dziesięć rogów, i pełnej bluźnierstw.

Jego majaczenie odbijało się echem w pustej nawie.

Następnego dnia umarli obaj nowicjusze. Po południu Thomas i Merthin pochowali ich na

cmentarzu na północ od klasztoru. Był zimny i wilgotny dzień, ale obaj byli spoceni z wysiłku. Thomas odprawił ceremonię pogrzebową. Caris stała nad grobem z Merthinem. Kiedy wszystko się wali, rytuały pomagają utrzymać namiastkę normalności. Wokół znajdowały się groby wszystkich mnichów oprócz Godwyna i Saula. Ciało Saula leżało pod małym prezbiterium kościoła, co było zaszczytem zarezerwowanym dla najbardziej cenionych przeorów.

Potem Caris wróciła do kościoła i spojrzała na grobowiec Saula w prezbiterium. Ta część kościoła była wyłożona kamiennymi płytami. Najwyraźniej zostały zdjęte, żeby wykopać grób. Kiedy położono je z powrotem, jedną z płyt wypolerowano i wyryto na niej inskrypcję.

Trudno było się skoncentrować, kiedy Godwyn majaczył w kącie o siedmio-głowych bestiach.

Merthin zauważył jej skupione spojrzenie i powiódł za nim wzrokiem. Natychmiast odgadł, o czym myśli.

- Chyba Godwyn nie ukrył skarbu w trumnie Saula? - zapytał ze zgrozą.

- Trudno sobie wyobrazić mnicha bezczeszczącego grobowiec - powiedziała Caris. - Z drugiej strony nie musiałby wynosić ozdób z kościoła.

- Saul umarł tydzień przed waszym przybyciem - rzekł Thomas. - Philemon znikł dwa dni później.

- Zatem Philemon mógł pomóc Godwynowi rozkopać grób.

- Tak.

Wszyscy troje popatrzyli po sobie, próbując ignorować obłąkańcze majaczenia Godwyna.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić -^A rzekł Merthin. Merthin i Thomas przynieśli drewniane szpadle. Podnieśli pamiątkową płytę oraz kilka sąsiednich i zaczęli kopać.

Thomas zręcznie posługiwał się jedną ręką. Wbijał łopatę w ziemię, przechylał, a potem przesuwiał dłoń aż do ostrza i podnosił. Jego prawa ręka była bardzo muskularna.

Mimo wszystko zabrało im to dużo czasu. Ostatnio coraz częściej kopano płytkie groby, lecz dla przeora Saula wykopano głęboki na dwa metry. Zapadała noc i Caris przyniosła świece. Diabły z fresków wydawały się poruszać w ich migotliwym świetle.

Thomas i Merthin stali w dole aż po szyję, gdy Merthin rzekł:

- Zaczekaj. Coś tu jest.

Caris zobaczyła ubłocony biały materiał wyglądający jak nasączone olejem płótno czasem używane na całuny.

- Znaleźliście ciało - powiedziała.

- A gdzie jest trumna? - zapytał Thomas.

- Pochowano go w skrzyni?

Trumny były tylko dla bogatych, ubogim musiały wystarczyć całuny.

- Saul został pochowany w trumnie - powiedział Thomas. - Widziałem to. Tu, w środku lasu, jest mnóstwo drewna. Wszyscy mnisi byli chowani w trumnach, dopóki nie umarł brat Silas, który był cieślą.

- Czekajcie - powiedział Merthin. Wbił szpadel w ziemię u stóp całunu i odgarnął ziemię. Potem uderzył nią jeszcze raz i Caris usłyszała głucho stuknięcie drewna uderzającego o drewno. - Trumna jest tutaj, pod spodem - oznajmił.

- Jak wy dostało się z niej ciało? - zdziwił się Thomas. Caris przeszedł dreszcz.

Godwyn w kącie podniósł głos.

- I będzie dręczony ogniem piekielnym i siarka na oczach aniołów, a dym jego męki będzie unosił się przez wieki!

- Nie możesz go uciszyć? - zwrócił się Thomas do Caris.

- Nie wzięłam ze sobą leków.

- Nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego - orzekł Merthin. - Domyślam się, że Godwyn i Philemon wyjęli ciało i wypełnili trumnę skradzionymi skarbami.

Thomas wziął się w garść.

- Zatem lepiej zajrzyjmy do trumny.

Najpierw musieli wyjąć ciało w całunie. Merthin z Thomasem pochylili się, chwycili je za ramiona i nogi, po czym podnieśli. Gdy znalazło się na wysokości ich ramion, mogli jedynie wypchnąć je z grobu. Upadło z głuchym łoskotem. Obaj mieli przestraszone miny. Nawet Caris, która niespecjalnie wierzyła w to, co mówiono jej o świecie duchów, była wystraszona tym, co robili, i nerwowo spoglądała przez ramię w ciemne kąty kościoła.

Merthin odgarnął ziemię z wieka trumny, podczas gdy Thomas poszedł po łom. Potem razem unieśli wieko.

Caris przytrzymała nad grobem dwie świece, żeby było lepiej widać.

W trumnie znajdowało się następne ciało owinięte całunem.

- To bardzo dziwne! - rzekł Thomas wyraźnie drżącym głosem.

- Zastanówmy się - powiedział Merthin. Sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego, lecz Caris, która bardzo dobrze go знаła, wiedziała, że przychodzi mu to z trudem. - Kto jest w tej trumnie? Sprawdźmy.

Nachylił się, złapał oburącz całun i rozerwał szew przy głowie. Zmarły nie żył od tygodnia, więc roztaczał trupi odór, ale ciało jeszcze nie zaczęło się rozkładać w zimnej ziemi pod nieogrzanym kościółkiem. Nawet w słabym świetle świec nie było żadnych wątpliwości co do tożsamości zmarłego:

jego głowę otaczał wianuszek charakterystycznych, popielatoblond włosów.

- To Saul Whitehead - rzekł Thomas.
- I leży w swojej trumnie - dodał Merthin.
- Zatem czyje jest drugie ciało? - spytała Caris.

Merthin zasłonił całunem głowę Saula i umieścił wieko trumny na miejscu.

Caris uklękła przy drugich zwłokach. Miała do czynienia z wieloma zmarłymi, ale jeszcze żadnego z nich nie wyjmowała z grobu, więc trzęsły jej się ręce. Mimo to odwinęła całun i odsłoniła twarz. Ze zgrozą zobaczyła, że trup ma otwarte oczy i zdaje się na nią patrzeć. Zmusiła się, by zamknąć jego zimne powieki.

Zmarłym był jakiś rosły młody mnich, którego nie znała. Thomas stanął na palcach, aby wyrzeć z dołu.

- To brat Jonquil - stwierdził. - Umarł dzień po przeorze Saulu.
- I został pochowany...? - zapytała Caris.
- Na cmentarzu. A przynajmniej tak wszyscy myśleliśmy.
- W trumnie?
- Tak.
- Tylko że jest tutaj.
- Jego trumna była dość ciężka - powiedział Thomas. - Pomagałem ją nieść...

- Już wiem, co się stało - rzekł Merthin. - Jonquil leżał tu w kościele, w trumnie, przed pochówkiem. Kiedy pozostali mnisi byli na obiedzie, Godwyn i Philemon otworzyli trumnę i wyjęli ciało. Rozkopali grób Saula i wrzucili tam Jonquila. Potem zasypali grób. Następnie włożyli skarby katedry do trumny Jonquila i znów ją zamknęli.

- Tak więc musimy rozkopać grób Jonquila - orzekł Thomas.

Caris spojrzała na okna kościoła. Były ciemne. Gdy otwierali trumnę Saula, zdążyła zapaść noc.

- Może zaczekajmy z tym do rana - zaproponowała.

Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę, po czym Thomas rzekł:

- Zakończmy to dzisiaj.

Caris poszła do kuchni, wzięła dwie gałęzie ze stosu drewna, zapaliła je od ognia na palenisku i wróciła do kościoła.

Gdy wszyscy troje wychodzili na zewnątrz, usłyszeli krzyk Godwyna.

- A winne prasy bożego gniewu ustawiono pod murami miasta, a grona dawały krew i cała ziemia spłynęła nią na wysokość końskich strzemion.

Caris zadrżała. Był to obraz żywcem wyjęty z Objawienia świętego Jana i wzbudzający

niesmak. Starła się usunąć go z pamięci.

Szybko pomaszerowali na cmentarz przy czerwonym blasku pochodni. Caris z ulgą oddaliła się od ponurych fresków i obłąkańczych majaczeń Godwyna. Znaleźli grób Jonąuila i zaczęli kopać.

Mężczyźni wykopali już dwa groby dla nowiejuszy i rozkopali grób Saula. To był ich czwarty od obiadu. Merthin był zmęczony, a Thomas bardzo się pocił. Mimo to pracowali bez odpoczynku. Dół powoli się pogłębiał, a sterta ziemi przy nim rosła. W końcu łopata uderzyła o drewno.

Caris podała Merthinowi łom i uklękła na skraju dołu, trzymając obie pochodnie. Merthin podważył wieko trumny i wyrzucił je z grobu.

W trumnie nie było zwłok.

Zamiast nich skrzynię wypełniały ciasno upchane worki i kufarki. Merthin otworzył skórzaną sakwę i wyjął wysadzany drogimi kamieniami krucyfiks.

- Alleluja - westchnął znużony.

Thomas otworzył kuferek, w którym zobaczyli zwoje pergaminu upchane ciasno jak śledzie w skrzynce.

Caris poczuła, że kamień spadł jej z serca. Odzyskała dokumenty zakonu.

Thomas sięgnął do innej sakwy. Spojrzał na to, co z niej wyjął. Upuścił czaszkę z okrzykiem przerażenia.

- Święty Adolf - oznajmił rzeczowo Merthin. - Pielgrzymi wędrują setki mil, aby dotknąć skrzyni mieszczącej jego kości. - Podniósł czaszkę. - Mamy szczęście - powiedział i włożył ją z powrotem do sakwy.

- Mogę coś zaproponować? - odezwała się Caris. - Musimy zawieźć to wszystko do Kingsbridge na wozie. Czemu nie zostawić tego w trumnie? Skarby już są zapakowane, a trumna może zniechęcić złodziei.

- Dobry pomysł - pochwalił Merthin. - Musimy tylko wyjąć trumnę z grobu.

Thomas wrócił do klasztoru po sznury i wyciągnęli skrzynię. Zamknęli wieko i obwiązali trumnę sznurami, żeby przeciągnąć ją do kościoła.

Już mieli ruszać, gdy usłyszeli wrzask.

Caris też krzyknęła.

Wszyscy troje spojrzeli w kierunku kościoła. Biegła stamtąd ku nim jakaś postać z wybałuszonymi oczami, tocząc z ust krwawą pianę. Przez moment Caris była bliska paniki, nagle uwierzywszy we wszystkie idiotyczne i przesądne opowieści, jakie kiedykolwiek słyszała o duchach. Potem uświadomiła sobie, że to Godwyn. Jakimś cudem znalazł dość sił, aby wstać z łóżka. Wypadł z

kościół i zobaczył pochodnie, a teraz w swym szaleństwie biegł w ich stronę.

Patrzyli na niego jak urzeczeni.

Zatrzymał się i spojrzął na trumnę, potem na pusty grób, i w migotliwym świetle pochodni Caris ujrzała na jego wykrzywionej twarzy grymas zrozumienia. Nagle siły go opuściły, runął na kopczyk ziemi przy pustym grobie Jonąquila, potoczył się i wpadł do dołu.

Wszyscy troje podeszli i zajrzeli do grobu.

Godwyn leżał na plecach, patrząc na nich otwartymi, niewidzącymi oczami.

66

Gdy tylko Caris wróciła do Kingsbridge, postanowiła znów je opuścić.

Wspomnieniem, które pozostało jej z klasztoru Świętego Jana z Lasu, nie był obraz cmentarza ani zwłok wykopanych przez Merthina i Thomasa, lecz nieuprawianych przez nikogo schludnych pól. Jadąc do domu z Merthinem i Thomasem powożącym wozem, widziała wiele ziemi w takim samym stanie i przewidziała nadchodzący kryzys.

Mnisi i zakonnice większość swoich przychodów uzyskiwali z dzierżawy. Dzierżawcy zbierali plony i hodowali bydło na ziemi należącej do opactwa i zamiast płacić za ten przywilej jakiemuś rycerzowi czy hrabiemu, płacili przeorowi lub przeorowszy. Zwyczajowo oddawali część swoich zbiorów katedrze - tuzin worków mąki, trzy owce, cielę, wóz cebuli - ale obecnie większość ludzi płaciła gotówką. Jeśli nikt nie uprawia ziemi, nie będzie pieniędzy z dzierżawy. A co wtedy będą jadły zakonnice?

Katedralne precjoza, pieniądze i dokumenty odzyskane z klasztoru Świętego Jana z Lasu zostały umieszczone w bezpiecznym nowym, ukrytym skarbcu, który matka Cecilia zleciła Jeremiahowi zbudować w trudnym do znalezienia miejscu. Były wszystkie precjoza oprócz jednego - złotego świecznika ofiarowanego przez cech wytwórców świec, reprezentujący producentów woskowych świec z Kingsbridge.

Caris odprawiła triumfalne nabożeństwo niedzielne z okazji odzyskania kości świętego. Uczyniła Thomasa opiekunem chłopców z sierocińca - niektórzy z nich byli dość duzi i potrzebowali silnej męskiej ręki. Sama wprowadziła się do pałacu przeora, z zadowoleniem myśląc, jak oburzony byłby zmarły Godwyn tym, że zamieszkała tu kobieta. Potem, gdy tylko uporała się z tymi sprawami, udała się do Outhenby.

Dolina Outhen była żyznym terenem oddalonym o dzień podróży od Kingsbridge. Zapisał ją zakonnicom sto lat temu niegodziwy rycerz, na łożu śmierci próbując uzyskać odkupienie za swe grzeszne życie. Wzdłuż brzegów rzeki Outhen stało w nieregularnych odstępach pięć wiosek, a po jej obu stronach wielkie pola rozpościerały się na równinie aż po zbocza wzgórz.

Te pola podzielone były na pasy należące do pięciu różnych rodzin. Tak jak się obawiała, większość pól nie było uprawianych. Zaraza wszystko zmieniła, lecz nikt nie miał dość rozsądku - lub odwagi - by dostosować uprawę roli do nowych okoliczności. Caris sama będzie musiała się tym zająć. Mniej więcej wiedziała już, co należy zrobić, a szczegóły dopracuje na bieżąco.

Była z nią siostra Joan, młoda zakonnica tuż po nowicjacie. Była bystrą dziewczyną przypominającą Caris ją samą sprzed dziesięciu lat - nie wyglądem, gdyż była czarnowłosa i niebieskooka, lecz dociekliwym umysłem i twórczym sceptycyzmem.

Wjechały do największej z wiosek, Outhenby. Zarządca całej doliny, Will, mieszkał w dużym domu z bali obok kościoła. Nie było go w domu, lecz znalazły go na odległym polu siejącego owies. Był potężnym, powolnym mężczyzną. Sąsiedni pas ziemi leżał ugięty i stado owiec skubało na nim trawę oraz chwasty.

Will odwiedzał opactwo kilka razy w roku, zazwyczaj przywożąc czynsze z wiosek, więc znał Caris, ale zdumiał się, widząc ją na swoich ziemiach.

- Siostra Caris! - wykrzyknął, gdy ją rozpoznał. - Co cię tu sprowadza?

- Teraz jestem matką Caris, Willu, i przyjechałam upewnić się, że ziemie zakonnice są należycie uprawiane.

- Ach - pokręcił głową. - Jak widzisz, robimy, co możemy, ale straciliśmy tylu ludzi, że jest to bardzo, bardzo trudne.

Każdy zarządca zawsze mówi, że czasy są ciężkie, lecz w tym wypadku naprawdę tak było. Caris zsiadła z konia.

- Przejdź się ze mną i opowiedz mi o tym.

Kilkaset jardów dalej, na łagodnym zboczu wzgórza, zobaczyła wieśniaka orzącego zaprzęgiem ośmiu mułów. Zatrzymał się i patrzył na nią z zaciekawieniem, więc ruszyła w tamtą stronę.

Will powoli otrząsnął się ze zdumienia. Idąc obok niej, powiedział:

- Oczywiście od kobiety służącej Bogu, takiej jak ty, trudno oczekiwać znajomości uprawy roli, ale postaram się wyjaśnić najważniejsze rzeczy.

- Byłoby miło. - Przyzwyczaiła się do protekcyjnego tonu ludzi pokroju Willa. Odkryła, że najlepiej nie spierać się z nimi, lecz dawać im złudne poczucie pewności siebie. W ten sposób można więcej się dowiedzieć. - Ilu ludzi straciliście w wyniku zarazy?

- Och, wielu.

- Ilu?

- Cóż, niech policzę. William Jones i jego dwóch synów, Richard Carpenter i jego żona...

- Nie muszę znać ich imion - powiedziała, tłumiąc zniecierpliwienie. - Ilu, w przybliżeniu?
- Muszę się zastanowić.

Doszli do zaprzęgu. Orka pługiem zaprzężonym w osiem mułów wymaga zręczności i tacy oracze często bywali jednymi z najinteligentniejszych wieśniaków. Caris zwróciła się do młodzieńca:

- Ilu ludzi w Outhenby zmarło na zarazę?
- Powiedziałbym, że około dwustu.

Caris przyjrzała mu się. Był niski, lecz muskularny, z gęstą jasną brodą. Miał zawadiacką minę, jak wielu młodzieńców.

- Kim jesteś? - zapytała.
- Zwę się Harry, a moim ojcem był Richard, siostrze.
- Jestem matka Caris. Jak wyliczyłeś tych dwieście ofiar?

- O ile wiem, tu, w Outhenby zmarły czterdzieści dwie osoby. W Ham i Shortacre było tak samo źle, co daje około stu dwudziestu. Longwater ominęła zaraza, lecz w Oldchurch umarli wszyscy oprócz Rogera Bretona, czyli osiemdziesiąt osób, co daje dwieście.

Zwróciła się do Willa.

- Z ilu w całej dolinie?
- No cóż, niech pomyślę...

- Z tysiąca, mniej więcej, przed zarazą - powiedział Harry Płowman *[* Płowman (ang.) - oracz.]. - To dlatego zastałaś mnie obsiewającego własne pole, co powinni robić wyrobownicy. Ale nie mam wyrobników. Wszyscy umarli.

- Albo poszli pracować gdzie indziej za wyższe stawki. Caris nastawiła ucha.
- Ach tak? Kto oferuje wyższe stawki?

- Kilku bogatych wieśniaków w sąsiedniej dolinie - rzekł z urazą Will. - Szlachta płaci pensa dziennie, czyli tyle, ile wyrobownicy zawsze dostawali i powinni dostawać, ale niektórzy ludzie myślą, że mogą robić, co im się podoba.

- I zapewne mają obsiane pola - zauważyła Caris.

- Jednak są rzeczy dobre i złe, matko Caris - rzekł Will. Caris wskazała ugór, na którym pasły się owce.

- A co z tą ziemią? Dlaczego nie została zaorana?

- Należała do Williama Jonesa. On i jego synowie umarli, a żona zamieszkała u siostry w Shiring.

- Szukałeś nowego dzierżawcy?
- Nie zdołałem znaleźć, matko. Harry znów wtrącił się do rozmowy:

- Przynajmniej nie na starych zasadach.

Will obrzucił go gniewnym spojrzeniem, lecz Caris podchwyciła temat.

- Co przez to rozumiesz?

- Widzisz, ceny spadły, mimo że jest przednówek, gdy ziarno zwykle jest drogie. Caris skinęła głową. Każdy wie, że takie jest prawo rynku: jeśli nie ma kupców, ceny spadają.

- Jednak ludzie muszą jakoś żyć.

- Nie chcą siał żyta, pszenicy i owsa, ale muszą hodować to, co im się każe, przynajmniej w tej dolinie. Dlatego człowiek szukający dzierżawy uda się raczej gdzie indziej.

- A co dostanie gdzie indziej? Will odrzekł gniewnie:

- Może sobie robić, co chce. Harry odpowiedział na pytanie Caris:

- Chcą być wolnymi dzierżawcami płacącymi Aczynsz w gotówce, a nie wyrobnikami pracującymi jeden dzień w tygodniu na polu pana. I chcą próbować innych upraw.

- Jakich?

- Rzepy, lnu albo jabłek i gruszek... to, co mogą sprzedać na targu. Może co roku coś innego. Jednak w Outhenby nie wolno tego robić. - Harry zreflektował się i dodał: - Bez obrazy dla świętego zakonu, matko przeoryszo, ani dla Willa, który jak wszyscy wiedzą jest uczciwym człowiekiem.

Caris zaczynała rozumieć. Zarządcy zawsze byli konserwatywni. W dobrych czasach nie miało to znaczenia - stare metody wystarczały. Teraz jednak nadszedł kryzys.

Przywołała swój najbardziej autorytatywny ton.

- W porządku, posłuchaj uważnie, Willu, a powiem ci, co masz zrobić. - Will był zaskoczony, myślał, że Caris będzie pytała go o radę, a nie rozkazywała. - Po pierwsze, masz zaprzestać orki na zboczach. To głupota, jeśli dobra ziemia w dolinie leży odłogiem.

- Przecież...

- Milcz i słuchaj. Zaproponuj każdemu dzierżawcy zamianę: akr za akr dobrej ziemi w dolinie za ziemię na stokach.

- A co zrobimy z tą na zboczach?

- Zamień ją na pastwiska, dla bydła niżej, a dla owiec wyżej. Do tego nie trzeba wielu mężczyzn, wystarczy kilku chłopców do pilnowania stad.

- Och... - sapnął Will.

Było widać, że chce się spierać, ale nie przychodzi mu do głowy żadne argumenty.

Caris mówiła dalej:

- Poza tym wszelka ziemia w dolinie, która nie jest uprawiana, ma być zaoferowana jako wolna dzierżawa za pieniądze każdemu, kto zechce ją wziąć.

Wolna dzierżawa oznaczała, że dzierżawca nie jest wyrobnikiem i nie musi pracować na polu pana ani uzyskać jego zgody na ożenek czy postawienie domu. Musi tylko płacić czynsz.

- W ten sposób zmieniasz wszystkie stare zwyczaje. - Wskazała na zarastające chwastami pole. - Stare zwyczaje pozwalają, by moja ziemia leżała odłogiem. Możesz wymyślić jakiś inny sposób, by to powstrzymać?

- Cóż... - rzekł Will i milczał długą chwilę, po czym bez słowa pokręcił głową.

- I po trzecie, zaproponuj dwa pensy dziennie każdemu, kto zechce pracować na roli.

- Dwa pensy dziennie!

Caris wyczuła, że nie może liczyć na to, iż Will energicznie zacznie wprowadzać te zmiany. Będzie się ociągał i szukał wymówek. Zwróciła się do zawadiackiego oracza. Zrobi z niego orędownika swoich reform.

- Harry, chcę żebyś w ciągu kilku następnych tygodni poszedł na każdy jarmark w hrabstwie. Rozgłoś wieść, że każdy chętny może dobrze urządzić się w Outhenby. Jeśli są jacyś wyrobnicy szukający pracy, niech przyjdą tutaj.

Harry uśmiechnął się i skinął głową, choć Will wciąż wyglądał na oszołomionego.

- Chcę zobaczyć, jak cała ta dobra ziemia daje plony tego lata - powiedziała. - Czy to jasne?

- Tak - odparł Will. - Dziękuję, matko przeoryszo.

Caris wraz z siostrą Joan przejrzały wszystkie dokumenty, notując, kiedy zostały wystawione i czego dotyczą. Postanowiła sporządzić kopie wszystkich, jednego po drugim - pomysł, na który wpadł Godwyn, chociaż dla niego był to jedynie pretekst, by odebrać dokumenty zakonnikom. Jednak myśl była dobra. Im więcej kopii, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że jakiś cenny dokument zniknie.

Zaintrygował ją zapis z 1327 roku, zgodnie z którym mnisi otrzymywali duży majątek ziemski w pobliżu Lynn w Norfolk, zwany Lynn Grange. Warunkiem darowizny było przyjęcie przez zakon do nowicjatu rycerza zwanego sir Thomas Langley.

Caris wróciła pamięcią do swego dzieciństwa i dnia, gdy poszła do lasu z Merthinem, Ralphem oraz Gwendą, i wszyscy widzieli, jak Thomasowi zadano ranę, w wyniku której stracił rękę.

Pokazała zapis Joan, a ta wzruszyła ramionami.

- Zwykle robi się taki zapis, kiedy ktoś z bogatej rodziny zostaje mnichem.

- Jednak spójrz, kto był ofiarodawcą. Joan spojrzała jeszcze raz.

- Królowa Izabela!

Izabela była wdową po Edwardzie II i matką Edwarda III.

- Dlaczego miałyby interesować się Kingsbridge?

- Albo Thomasem? - dodała Caris.

Kilka dni później miała okazję się tego dowiedzieć. Zarządca Lynn Grange, Andrew, przybył do Kingsbridge, co czynił raz na dwa lata. Urodzony w Norfolku mężczyzna po pięćdziesiątce zarządzał majątkiem, od kiedy przekazano go w darze klasztorowi. Teraz był siwowłosy i pulchny, co zdaniem Caris dowodziło, że majątek nadal prosperuje pomimo zarazy. Ponieważ Norfolk znajdowało się o kilka dni podróży, majątek płacił swoje należności w gotówce, żeby nie pędzić bydła i nie przewozić plonów taki szmat drogi. Andrew przywiózł czynsz w złotych suwerenach, nowej monecie wartości jednej trzeciej funta, z wizerunkiem króla Edwarda stojącego na pokładzie statku. Kiedy Caris policzyła pieniądze i przekazała Joan, by schowała je w nowym skarbcu, zagadnęła Andrew:

- Czy wiesz, dlaczego królowa Izabela darowała nam ten majątek dwadzieścia dwa lata temu?

Ku jej zdziwieniu różowa twarz Andrew pobraźniała. Zająknął się kilkakrotnie, zanim zdołał odpowiedzieć.

- Nie mnie kwestionować decyzje Jej Wysokości.

- Istotnie - uspokoiła go Caris. - Jestem tylko ciekawa, jakie motywy nią kierowały.

- To święta kobieta, która słynie z wielu pobożnych czynów.

Takich jak zamordowanie męża, pomyślała Caris, ale powiedziała co innego:

- Jednak musiał być jakiś powód tego, że poparła Thomasa.

- Poprosił królową o łaskę, jak setki innych petentów, a ona wielkodusznie obdarzyła go nią, jak to czasem robią wielkie damy.

- Zazwyczaj, kiedy są w jakiś sposób z petentem związane.

- Nie, nie, jestem pewien, że tak nie było.

Jego niepokój upewnił Caris, że kłamie i na pewno nie wyjawii jej prawdy, tak więc nie rozwijała tego tematu i odesłała Andrew na kolację do szpitala.

Następnego dnia podszedł do niej w klauzurze brat Thomas, jedyny mnich, który pozostał w klasztorze. Wyglądał na zagniewanego.

- Dlaczego wypytywałaś Andrew? - zapytał.

- Ponieważ byłam ciekawa - odparła Caris zaskoczona.

- Co próbujesz osiągnąć?

- Niczego nie próbuję. - Uraził ją jego agresywny ton, ale nie chciała się z nim kłócić. Aby złagodzić napięcie, usiadła na niskim murku na skraju podcieni. Wiosenne słońce oświetlało prostokątny dziedziniec. - O co w tym wszystkim chodzi? - spytała tonem towarzyskiej pogawędki.

- Dlaczego prowadzisz śledztwo? - rzekł sztywno Thomas.

- Nie prowadzę. Uspokój się. Przeglądam wszystkie dokumenty, spisuję je i oddaję do

kopiowania. Natrafiłam na jeden, który mnie zdziwił.

- Zagłębiasz się w sprawy, które nie powinny cię interesować. Zjeżyła się.
- Jestem przeoryszą Kingsbridge i zarządcą opactwa, nic tutaj nie jest dla mnie tajemnicą.
- No cóż, jeśli zaczniesz grzebać w przeszłości, pożałujesz tego, obiecuję ci. To zabrzmiało jak groźba, ale postanowiła puścić ją mimo uszu. Spróbowała inaczej:
 - Thomasie, myślałam, że jesteście przyjaciółmi. Nie masz prawa zabraniać mi czegokolwiek i jestem rozczarowana, że w ogóle próbujesz. Nie ufasz mi?
 - Nie wiesz, o co pytasz.
 - Zatem mnie oświeć. Co królowa Izabela ma wspólnego z tobą, ze mną i z Kingsbridge?
 - Nic. Teraz to stara kobieta żyjąca w odosobnieniu.
 - Ma pięćdziesiąt trzy lata. Zdetronizowała jednego króla i zapewne mogłaby zdetronizować drugiego, gdyby chciała. I jest od dawna powiązana z moim opactwem w sposób, którego nie chcesz mi wyjaśnić.
 - Dla twojego dobra. Zignorowała to.
 - Dwadzieścia dwa lata temu ktoś próbował cię zabić. Czy ta sama osoba, nie zdolawszy tego dokonać, opłaciła twoje milczenie, załatwiając ci przyjęcie do zakonu?
 - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Andrew wróci do Lynn i powie Izabeli, że zadawałaś te pytania?
 - A dlaczego miałyby się tym przejmować? Dlaczego ludzie tak się ciebie obawiają, Thomasie?
 - Wszystko się wyjaśni po mojej śmierci. Wtedy już nic nie będzie miało znaczenia.

Odwrócił się i odszedł.

Dzwon uderzył na obiad i Caris poszła do pałacu przeora zatopiona w myślach. Kot Godwyny, Arcybiskup, siedział na progu. Spojrzał na nią złowrogo, a ona go pogoniła. Nie był wpuszczany do domu.

Przyzwyczała się jeść obiad z Merthinem. Tradycyjnie przeor regularnie jadał obiady z przewodniczącym gildii parafialnej, choć codzienne spotkania były czymś niezwykłym - jednak to były niezwykle czasy. W każdym razie taką Caris podałaby wymówkę, gdyby ktoś jej to zarzucił, lecz nikt tego nie robił. Tymczasem oboje niecierpliwie wyglądali następnej okazji, by udać się w podróż i znów być razem.

Merthin przyszedł zablocony prosto z budowy na Wyspie Trędownych. Przestał prosić ją, by zerwała śluby i opuściła klasztor. Wydawał się zadowolony, przynajmniej na razie, z tego, że codziennie ją widzi i może mieć nadzieję na bardziej intymny związek w przyszłości.

Klasztorna służka przyniosła im szynkę gotowaną z zimowymi warzywami. Kiedy odeszła,

Caris powiedziała Merthinowi o zapisie i reakcji Thomasa.

- On zna jakiś sekret, który mógłby zniszczyć starą królową, gdyby wyszedł na jaw.

- Sądzę, że może tak być - rzekł w zadumie Merthin.

- W dniu Wszystkich Świętych w tysiąc trzysta dwudziestym siódmym roku, kiedy ja uciekłam, on cię złapał, prawda?

- Tak. Zmusił mnie, żebym pomógł mu zakopać jakiś list. Musiałem przysiąc, że zachowam to w tajemnicy do jego śmierci, a potem wykopię i oddam księdzu.

- Powiedział mi, że na wszystkie moje pytania otrzymam odpowiedź, kiedy on umrze.

- Myślę, że tym listem trzyma w szachu swoich wrogów. Muszą wiedzieć, że jego treść wyjdzie na jaw po śmierci Thomasa. Dlatego boją się go zabić. W rzeczy samej dopilnowali, aby był cały i zdrowy, pomagając mu zostać mnichem w Kingsbridge.

- Czy to wciąż może mieć znaczenie?

- Dziesięć lat po tym, jak zakopaliśmy ten list, powiedziałem mu, że nikomu nie wyjawilem tej tajemnicy, a on rzekł: „Gdybyś wyjawiał, już byś nie żył”. To przstraszyło mnie bardziej niż przysięga.

- Matka Cecilia powiedziała mi, że Edward Drugi nie umarł śmiercią naturalną.

- Skąd mogła to wiedzieć?

- Powiedział jej o tym mój stryj Anthony. Tjak więc zakładam, że tym sekretem jest fakt, iż królowa Izabela zamordowała swojego męża.

- Połowa ludzi w kraju i tak jest tego pewna. Jednak gdyby był jakiś dowód... Czy Cecilia mówiła, jak został zabity?

Caris zastanowiła się.

- Nie. Teraz, kiedy o tym myślę, powiedziała tylko, że stary król nie umarł na skutek upadku z konia. Zapytałam ją, czy został zamordowany, ale nie odpowiedziała.

- Jednak po cóż wymyślać bajeczkę o jego śmierci, jeśli nie po to, by ukryć morderstwo?

- Tak więc list Thomasa musi w jakiś sposób dowodzić, że to było morderstwo i królowa była w nie zamieszana.

Dokończyli obiad w zamyślonym milczeniu. W klasztorным życiu godzina po obiedzie była przeznaczona na odpoczynek lub lekturę. Caris i Merthin zwykle przeciągali spotkanie. Jednak tego dnia Merthin niepokoił się kątem, pod jakim ustawiano krokwie nowej gospody, Bridge, którą budował na Wyspie Trędowatych. Pocałowali się namiętnie, ale oderwał się od Caris i pospieszył na budowę. Rozczarowana Caris otworzyła księgę zatytułowaną *Ars Medica*, łaciński przekład traktatu starożytnego greckiego lekarza Galena. Było to fundamentalne dzieło medycyny uniwersyteckiej i czytała je, aby się dowiedzieć, czego księża uczą się w Oksfordzie i w Paryżu, chociaż dotychczas znalazła w nim niewiele

przydatnych wiadomości.

Służka wróciła i posprzątała ze stołu.

- Poproś brata Thomasa, żeby do mnie przyszedł - poleciła Caris.

Chciała się upewnić, że nadal są przyjaciółmi pomimo niedawnej utarczki.

Zanim przyszedł Thomas, na dworze rozległy się odgłosy zamieszania. Usłyszała tętent kilku koni i pokrzykiwania świadczące o tym, że przybywa jakiś szlachcic. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież i wszedł sir Ralph Fitzgerald, lord Tench.

Wyglądał na rozgniewanego, ale Caris udała, że tego nie widzi.

- Witaj, Ralphie - powiedziała najprzyjaźniej jak mogła. - Co za nieoczekiwana przyjemność.

Witaj w Kingsbridge.

- Daj spokój uprzejmościom - odparł grubiańsko. Podeszedł do niej i stanął tuż obok, przybierając agresywną pozę. - Czy zdajesz sobie sprawę, że niszczysz rolnictwo w całym hrabstwie?

Druga osoba weszła za nim i stanęła przy drzwiach - potężny mężczyzna o małej głowie. Caris rozpoznała jego starego pomocnika, Alana Fernhilla. Obaj byli uzbrojeni w miecze i sztylety. Caris nagle uświadomiła sobie, że jest sama w pałacu. Spróbowała rozładować napięcie.

- Zjesz trochę szynki, Ralphie? Właśnie skończyłam obiad. Ralph nie dał się odwieść od tego, co chciał powiedzieć.

- Podkradasz mi kmieci!

- W zamieci?

Alan Fernhill parsknął śmiechem.

Ralph poczerwieniał i zrobił jeszcze groźniejszą minę, a Caris pożałowała, że spróbowała żartować.

- Jeśli będziesz ze mnie drwiła, pożałujesz - warknął. Caris napełniła kubek piwem.

- Nie drwię z ciebie - powiedziała. - Powiedz mi, o co dokładnie ci chodzi. Podała mu kubek.

Drżąca dłoń zdradzała jej lęk, ale on nawet nie spojrzał na kubek i pogroził Caris palcem.

- Wyrobnicy znikają z moich wiosek, a kiedy sprawdziłem, w czym rzecz, okazało się, że przenieśli się do wiosek należących do ciebie, gdzie dostają wyższe stawki.

Caris skinęła głową.

- Gdybyś sprzedawał konia i dwóch ludzi chciało go kupić, czy nie oddałbyś go temu, kto zaoferował wyższą cenę?

- To nie to samo.

- Myślę, że to samo. Napij się piwa.

Nagłym machnięciem ręki wytrącił jej kubek, który upadł na podłogę. Piwo wsiąkło w słomę.

- To moi wyrobnicy.

Bolała ją ręka, ale nie zwracała na to uwagi. Pochyliła się, podniosła kubek i postawiła go na szafce.

- Wcale nie. Jeśli są wyrobnikami, to oznacza, że nie dałeś im żadnej ziemi, zatem mają prawo iść gdzie indziej.

- Nadal jestem ich panem, do diabła! I jeszcze jedno. Niedawno zaproponowałem dzierżawę wolnemu człowiekowi, a on odmówił, twierdząc, że opactwo Kingsbridge oferuje lepsze warunki.

- To ta sama kwestia, Ralphie. Potrzebuję jak najwięcej ludzi, więc daję im to, co chcą.

- Jesteś kobietą i nie myślisz trzeźwo. Nie rozumiesz, że w końcu wszyscy zaczną się licytować o tych samych wieśniaków?

- Niekoniecznie. Wyższe stawki mogą skusić tych, którzy teraz wcale nie pracują, na przykład banitów albo wagabundów włóczących się po kraju i żyjących tym, co znajdą w wyludnionych przez zarazę wioskach. A niektórzy z tych, którzy teraz są wyrobnikami, zostaną dzierżawcami i będą pracowali jeszcze ciężiej, uprawiając swoją ziemię.

Ralph uderzył pięścią w stół, a Caris zamrugnęła przestraszona hałasem.

- Nie masz prawa zmieniać starych zwyczajów!

- Myślę, że mam. Złapał ją za habit.

- Nie pozwolę ci na to!

- Zabierz ręce, ty niezdarny ośle - syknęła. W tym momencie wszedł brat Thomas.

- Posłałaś po mnie... Co się tu dzieje, do diabła?

Przebiegł przez komnatę, a Ralph puścił habit Caris, jakby ten nagle stanął w ogniu. Thomas nie miał broni i był jednoręki, ale już kiedyś pokonał Ralpha i ten się go bał. „..

Ralph cofnął się i zaraz pojął, że zdradził, iż się boi. Zmieszał się.

- Skończyliśmy tu! - rzekł głośno i ruszył do drzwi.

- To, co robię w Outhenby i gdzie indziej, jest całkowicie legalne, Ralphie - powiedziała Caris.

- To naruszanie naturalnego porządku rzeczy!

- Żadne prawo tego nie zabrania. Alan otworzył drzwi swemu panu.

- Jeszcze zobaczysz - rzucił Ralph i wyszedł.

67

W marcu tego roku, 1349, Gwenda i Wulfric poszli z Nathanem Reeve na śródowy targ w

miasteczku Northwood.

Teraz pracowali dla sir Ralpa. Dotychczas uniknęli zarazy, lecz kilku wyrobników Ralpa umarło, więc potrzebował rąk do pracy i Nate, zarządca z Wigleigh, zaproponował, że ich przyjmie. Mógł zapłacić normalną stawkę, podczas gdy Perkin dawał im jedynie wyżywienie.

Gdy tylko oznajmili, że będą pracowali dla Ralpa, Perkin odkrył, że teraz może już im płacić normalną stawkę - za późno.

Tego dnia wieźli wóz drewnianych bali z lasu Ralpa, by sprzedać je w Northwood - miasteczku, w którym od niepamiętnych czasów był targ drzewny. Ich chłopcy, Sam i David, pojechali z nimi, ponieważ nie miał kto się nimi zająć. Gwenda nie ufała ojcu, a jej matka umarła przed dwoma laty. Rodzice Wulfrica od dawna nie żyli.

Na targu było jeszcze kilka osób z Wigleigh. Ojciec Gaspard kupował nasiona do swojego warzywnika, a ojciec Gwendy, Joby, sprzedawał świeżo upolowane króliki.

Zarządca Nate był niski i garbaty, i nie mógł podnosić bali. Rozmawiał z klientami, podczas gdy Wulfric i Gwenda dźwigali drewno. W południe dał im pensa, żeby kupili sobie obiad w Old Oak, jednej z gospod przy rynku. Wzięli bekon gotowany z porami i podzielili się nim z chłopcami. Ośmioletni David jadł jeszcze jak dziecko, lecz Sam szybko rósł i był wiecznie głodny.

Kiedy się posilali, podsłuchali rozmowę, która zwróciła uwagę Gwendy.

W kącie stała grupka młodych ludzi pijących piwo z dużych kufli. Wszyscy byli ubogo odziani, oprócz jednego - młodzieńca z gęstą jasną brodą, który miał na sobie odzienie bogatego wieśniaka lub wiejskiego rzemieślnika: skórzane pludry, dobre buty i nowy kapelusz. Zdanie, które wpadło Gwendzie w ucho, brzmiało: „W Outhenby płacimy wyrobnikom dwa pensy dziennie”.

Słuchała uważnie, próbując dowiedzieć się więcej, ale chwytając tylko oderwane słowa. Słyszała o tym, że niektórzy pracodawcy oferują więcej niż zwyczajowego pensa za dzień, ze względu na brak pracowników spowodowany zarazą. Nie wiedziała, czy wierzyć w te opowieści, ponieważ brzmiały zbyt pięknie, żeby były prawdziwe.

Na razie nic nie powiedziała Wulfricowi, który nie słyszał tych magicznych słów, ale serce zabiło jej mocniej. Ona i jej rodzina przez tyle lat cierpieli biedę. Czy to możliwe, że ich życie mogłoby być lepsze?

Musi dowiedzieć się więcej.

Kiedy zjedli, usiedli na ławce przed gospodą, patrząc na swoich chłopców i kilkoro innych dzieci biegających wokół masywnego pnia drzewa, od którego pochodziła nazwa gospody.

- Wulfricu - powiedziała cicho - a gdybyśmy mogli zarobić dwa pensy na dzień, każde z nas?

- Jak?

- Udając się do Outhenby. - Powiedziała mu o tym, co podsłuchała. - To mógłby być dla nas początek nowego życia - zakończyła.

- Więc mam już nigdy nie wrócić na moją ojcowiznę?

Miała ochotę walnąć go kijem. Czy on naprawdę myślał, że to możliwe? Czy są jakieś granice jego głupoty?

Starła się powiedzieć mu to jak najłagodniej.

- Minęło dwanaście lat, od kiedy zostałeś wydziedziczony. Przez ten czas Ralph stawał się coraz potężniejszy. I nic nie wskazuje na to, że ci wybaczył. Myślisz, że masz jakieś szanse na odzyskanie tej ziemi?

Nie odpowiedział.

- Gdzie mielibyśmy mieszkać?

- W Outhenby muszą być jakieś puste domy.

- Tylko czy Ralph nas puści?

- Nie może nas zatrzymać. Jesteśmy wyrobnikami, nie niewolnymi. Przecież wiesz.

- Tylko czy on o tym wie?

- Zatem nie dajmy mu okazji do zgłaszania sprzeciwu.

- W jaki sposób?

- Cóż... - Nie zastanawiała się nad tym, ale teraz zrozumiała, że trzeba to zrobić natychmiast. - Moglibyśmy odejść od razu, jeszcze dziś.

To była przerażająca myśl. Oboje przez całe życie mieszkali w Wigleigh. Wulfric nigdy nie wyprowadził się z rodzinnego domu. Teraz zastanawiali się nad przeprowadzką do wioski, której nigdy nie widzieli, nawet nie wracając, żeby się pożegnać.

Jednak Wulfric martwił się czymś innym. Wskazał garbatego zarządcę przechodzącego przez rynek do sklepu ze świecami.

- Co powiedziałby Nathan?

- Nie powiemy mu, co zamierzamy. Opowiemy mu jakąś bajeczkę, że chcemy zostać tu na noc z jakiegoś powodu i wrócimy do domu jutro. W ten sposób nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy. I nigdy nie wrócimy do Wigleigh.

- Nigdy nie wrócimy - powtórzył z przygnębieniem Wulfric. Gwenda opanowała zniecierpliwienie. Znała swojego męża. Gdy Wulfric już podjął decyzję, był nieugięty, ale potrzebował na to dużo czasu. W końcu przekona się do tego pomysłu. Nie był tępy, ty^Ako ostrożny i rozważny. Nienawidził decydować w pośpiechu, podczas gdy ona uważała, że to jedyny sposób.

Młodzieniec z gęstą blond brodą wyszedł z Old Oak. Gwenda rozejrzała się. W zasięgu wzroku nie było nikogo z Wigleigh. Wstała i zaczęła młodzieńca.

- Czy dobrze słyszałam, że mówiłeś coś o dwóch pensjach za dzień dla wyrobników?

- Zgadza się, pani - odparł. - W dolinie Outhenby, zaledwie pół dnia drogi na południowy zachód stąd. Przyjmujemy wszystkich, którzy się zgłoszą.

- Kim jesteś?

- Jestem oraczem z Outhenby. Nazywam się Harry.

Outhenby widocznie jest dużą i zamożną wioską, skoro ma swojego oracza, wywnioskowała Gwenda. Większość oraczy pracowała dla kilku wiosek.

- A kto jest panem tych włości?

- Przeorysza z Kingsbridge.

- Caris!

To była cudowna wieść. Caris można było ufać. Gwenda nabrała otuchy.

- Tak, teraz ona jest przeoryszą - rzekł Harry. - To bardzo zdecydowana kobieta.

- Wiem.

- Chce, by jej pola były uprawiane, żeby mogła wyżywić swoje siostry, i nie przyjmuje żadnych wymówek.

- Czy macie w Outhenby domy, w których mogą zamieszkać wyrobnicy? Z rodzinami?

- Niestety, mamy ich mnóstwo. Straciliśmy wielu ludzi na skutek zarazy.

- Mówiłeś, że to na południowy zachód stąd.

- Idźcie traktem na południe do Badfordu, a potem w górę rzeki Outhen. Gwenda przypomniała sobie o ostrożności.

- Nie idę tam - zastrzegła.

- Ach tak. Oczywiście. Nie uwierzył jej.

- Pytałam tylko ze względu na moją przyjaciółkę. Odwróciła się.

- No cóż, powiedz przyjaciółce, żeby przyszła jak najszybciej, bo musimy skończyć wiosenną orkę i siew.

- W porządku.

Była lekko oszołomiona, jakby napiła się mocnego wina. Dwa pensy dziennie, praca dla Caris i wiele mil od Ralpa, Perkina i tej flirciary Annet! To było jak sen. Wróciła i usiadła obok Wulfrica.

- Słyszałeś wszystko? - zapytała.

- Tak. - Wskazał postać stojącą przy drzwiach gospody. - On też. Gwenda spojrzała w tamtą stronę. To był jej ojciec.

- Zaprzęgaj konie - rzekł po południu Nate do Wulfrica. - Pora wracać do domu.
- Potrzebne nam nasze dniówki za ten tydzień - powiedział Wulfric.
- Wypłata będzie w sobotę, jak zwykle - zbył go Nate. - Zaprzęgaj tę chabetę.

Wulfric nie ruszył się z miejsca.

- Nalegam, żebyś zapłacił mi dziś - rzekł. - Wiem, że masz pieniądze, bo sprzedałeś całe drzewo.

Nate odwrócił się i spojrzał na niego.

- Czemu miałbyś dostać zapłatę wcześniej? - spytał zirytowany.
- Ponieważ nie wracam dziś z tobą do Wigleigh. Nate był zaskoczony.
- Dlaczego?
- Ponieważ udajemy się do Melcombe - wtrąciła się do rozmowy Gwenda.
- Co? - oburzył się Nate. - Tacy jak wy nie mają po co iść do Melcombe!
- Spotkaliśmy rybaka, który potrzebuje załogi za dwa pensy dziennie. Gwenda wymyśliła tę bajeczkę, żeby zmylić ewentualny pościg.

- Przekaż nasze wyrazy szacunku dla lorda Ralpa - powiedział Wulfric - i niech Bóg będzie przy nim w przyszłości.

- Bo my nie spodziewamy się nigdy więcej go oglądać.

Powiedziała to tylko po to, żeby usłyszeć słodki dźwięk tych słów: nigdy więcej nie oglądać Ralpa.

- On może sobie nie życzyć, żebyście odeszli! - powiedział rozeźlony Nathan.
- Nie jesteśmy niewolnymi, nie mamy ziemi. Ralph nie może nam tego zabronić.
- Jesteś synem niewolnego - przypomniał Nathan Wulfricowi.
- Jednak Ralph odmówił mi mojego dziedzictwa - odparł Wulfric - więc teraz nie może się domagać, bym był jego poddanym.

- Dla biednych ludzi dochodzenie swoich praw jest niebezpieczne.
- To prawda - przyznał Wulfric. - Mimo to zamierzam to zrobić. Nate był pokonany.
- To jeszcze nie koniec - zagroził.
- Chcesz, żebym wprzągnął konia do wozu?

Nate się skrzywił. Sam nie mógł tego zrobić. Z powodu pleców nie radził sobie ze skomplikowanymi pracami, a ten koń był wyższy od niego.

- Tak, oczywiście.
- Chętnie to zrobię. Będziesz tak uprzejmy i najpierw mi zapłacisz? Wściekły Nate wyjął sakiewkę i odliczył sześć srebrnych pensów. Gwenda wzięła pieniądze, a Wulfric zaprzęgnął konia.

Nate odjechał bez słowa.

- No cóż! - westchnęła Gwenda. - Stało się. - Spojrzała na Wulfrica. Uśmiechał się szeroko. - O co chodzi?

- Nie wiem - odparł. - Czuję się tak, jakbym przez całe lata nosił obrożę, a teraz nagle ktoś mi ją zdjął...

- Dobrze. - Chciała, żeby tak się czuł. - Teraz znajdziemy jakiś nocleg. Gospoda Old Oak znajdowała się tuż przy rynku i ceny były wysokie. Obeszli miasteczko, szukając czegoś tańszego. W końcu zatrzymali się w Gate House, gdzie Gwenda wytargowała nocleg dla nich czworga - z kolacją, materacami na podłodze i śniadaniem - za pensa. Chłopcy musieli się wyspać i zjeść śniadanie, jeśli mieli maszerować cały ranek.

Nie mogła zasnąć z podniecenia. Była też zaniepokojona. Ku czemu prowadzi swoją rodzinę? Miała tylko słowo jednego człowieka, obcego, że po dotarciu do Outhenby dostanie ziemię. Powinna była się upewnić, że mówił prawdę, przed podjęciem tak poważnej decyzji.

Jednak ona i Wulfric siedzieli w bagnie przez dziesięć lat i Harry Plowman z Outhenby był pierwszą osobą, która pokazała im, jak się z niego wydostać.

Śniadanie było marne: rzadka owsianka i rozcieńczony cydr. Gwenda kupiła na drogę duży bochenek świeżego chleba, a Wulfric nappełnił skórzany bukłak wodą ze studni. Przeszli przez bramę miejską godzinę po wschodzie słońca i ruszyli drogą na południe.

Gdy szli, myślała o swoim ojcu, Jobym. Gdy tylko dowie się, że nie wróciła do Wigleigh, przypomni sobie podsłuchaną rozmowę i domyśli się, że poszła do Outhenby. Nie da się zwieść bajeczką o Melcombe: sam był zbyt wprawnym oszustem, żeby się nabrać na taki prosty podstęp. Czy komuś przyjdzie do głowy, żeby go zapytać? Wszyscy wiedzieli, że Gwenda nie rozmawia ze swoim ojcem. A nawet jeśli go zapytają, czy powie o swoich podejrzeniach? Czy resztki ojcowskich uczuć sprawią, że spróbuje ją chronić?

Nic nie mogła z tym zrobić, więc przestała o nim myśleć.

Pogoda na wędrowkę była dobra. Ziemia rozmiękła od niedawnego deszczu i nad drogą nie unosił się kurz, dzień był suchy i słoneczny - ani zimny, ani upalny. Chłopcy szybko się zmęczyli, szczególnie młodszy, David, lecz Wulfric zajmował ich piosenkami i wierszykami, wypytyjąc o nazwy drzew i krzewów, grając w niezliczone gry i opowiadając historyjki.

Gwenda wprost nie mogła uwierzyć, że to zrobili. Wczoraj o tej porze wydawało się, że ich życie nigdy się nie zmieni: ciężka praca, ubóstwo i zawiedzione nadzieje to jedyne, co ich czekało. Teraz byli w drodze ku nowemu życiu.

Pomyślała o domu, w którym przez dziesięć lat mieszkała z Wulfrikiem. Niewiele tam

zostawiła: kilka garnków, stosik świeżo porąbanego drzewa, pół szynki i cztery koce. Nie miała innej odzieży prócz tej na sobie, Wulfric i chłopcy także, żadnej biżuterii, wstążek, rękawiczek czy grzebieni. Przed dziesięcioma laty Wulfric hodował kury i świnie, lecz stopniowo zostały zjedzone lub sprzedane przez te chude lata. Ich skąpy dobytek da się odkupić za tygodniową wypłatę po stawkach obiecanych w Outhenby.

Zgodnie ze wskazówkami Harry'ego podążyli drogą na południe do mulistego brodu przez Outhen, potem skręcili na zachód i poszli w górę rzeki. Gdy szli, rzeka zwężała się, w miarę jak równina wciskała się między dwa pasma wzgórz.

- Dobra, żyzna gleba - pochwalił Wulfric. - Jednak potrzebuje ciężkiego pług.

W południe dotarli do dużej wioski z kamiennym kościołem. Podeszli do drzwi okazałego drewnianego domu obok. Gwenda zapukała pełna obaw. Czy zaraz usłyszy, że Harry Płowman nie wie, co mówi, i nie ma tu żadnej pracy? Czyżby kazała swojej rodzinie iść przez pół dnia na darmo? Jakże upokarzające byłoby, gdyby musieli wracać do Wigleigh i prosić, by Nate Reeve przyjął ich z powrotem.

Drzwi otworzyła siwowłosa kobieta. Obrzuciła Gwendę podejrzliwym spojrzeniem, jakiego wieśniacy w każdej wiosce rezerwują dla obcych.

- Tak?

- Dzień dobry, pani - powiedziała Gwenda. - Czy to jest Outhenby?

- Tak.

- Jesteśmy wyrobnikami szukającymi pracy. Harry Płowman powiedział, żebyśmy tu przyszli.

- Tak powiedział?

Czy coś tu jest nie tak, zastanawiała się Gwenda, czy po prostu ta kobieta to zrzędliva stara krowa? O mało nie powiedziała tego na głos. Jakoś zdołała się powstrzymać.

- Czy Harry mieszka w tym domu? - zapytała.

- Na pewno nie - odparła kobieta. - Jest tylko oraczem. To dom zarządcy. Gwenda domyśliła się, że istnieje jakiś konflikt między zarządcą a oraczem.

- Może więc powinniśmy zobaczyć się z nim.

- Nie ma go.

- Zechciałabyś uprzejmie powiedzieć nam, gdzie możemy go znaleźć? - cierpliwie zapytała Gwenda.

Kobieta wskazała koniec doliny.

- Na północnym polu.

Gwenda spojrzała we wskazanym kierunku. Kiedy się odwróciła, kobieta już znikła w głębi

domu.

- Nie wyglądała na zachwyconą naszym widokiem - zauważył Wulfric.
- Stare kobiety nienawidzą zmian - skomentowała Gwenda. - Znajdźmy tego zarządcę.
- Chłopcy są zmęczeni.
- Wkrótce będą mogli odpocząć.

Poszli przez pola. Wszędzie trwała krzątania. Dzieci zbierały kamienie z zaoranych pól, kobiety siały, a mężczyźni wozili nawóz. Gwenda zauważyła w oddali zaprzęg ośmiu potężnych mułów cierpliwie ciągnących pług przez mokrą, ciężką glebę.

Napotkali grupkę mężczyzn i kobiet usiłujących wyciągnąć zaprzężoną w konia bronę, która utknęła w rowie. Gwenda i Wulfric dołączyli do nich. Barczysty Wulfric pehnął ze wszystkich sił i uwolnili bronę.

Wszyscy wieśniacy odwrócili się i spojrzeli na niego. Rosły mężczyzna z blizną po oparzeniu szpecącą policzek rzekł przyjaźnie:

- Przydatny z ciebie jegomość. Kim jesteś? „,
- Jestem Wulfric, a to moja żona Gwenda. Jesteśmy wyrobnikami szukającymi pracy.
- Właśnie takich jak ty nam potrzeba, Wulfricu - powiedział mężczyzna. - Jestem Carl Shaftesbury. - Wyciągnął rękę i uściśnął mu dłoń. - Witajcie w Outhenby.

Ralph zjawił się osiem dni później.

Wulfric i Gwenda wprowadzili się do małego, solidnego domku z kamiennym kominem i sypialnią na górze, gdzie mogli spać sami, bez chłopców. Zostali z rezerwą przyjęci przez starszych i bardziej konserwatywnych wieśniaków - szczególnie Willa i jego żonę Vi, która była tak nieuprzejma dla nich w dniu, kiedy tu przybyli. Jednak Harry Plowman i młodszy mieszkańcy byli podekscytowani zmianami i cieszyli się, że mają dodatkową pomoc na polach.

Płacono im dwa pensy dziennie, zgodnie z obietnicą, a Gwenda niecierpliwie czekała na koniec pierwszego tygodnia, gdy oboje dostali po dwanaście pensów - całego szylinga! - dwa razy więcej, niż kiedykolwiek im zapłacono. Co oni zrobią z tymi wszystkimi pieniędzmi?

Ani Wulfric, ani Gwenda nigdy nie pracowali poza Wigleigh i ze zdziwieniem odkryli, że nie wszystkie wioski są takie same. Tu najwyższą władzę sprawowała przeorysza Kingsbridge, co stanowiło ogromną różnicę. Rządy Ralpa były arbitralne, a zwracanie się do niego z czymkolwiek niosło ze sobą ryzyko. Natomiast w Outhenby ludzie zdawali się wiedzieć, czego przeorysza chciałaby w większości sytuacji, i rozstrzygali spory w oparciu o to, co by powiedziała, gdyby zaprosili ją jako rozjemcę.

Właśnie rozstrzygano jeden z takich łagodnych sporów, gdy przybył Ralph.

Wszyscy wracali z pól do domów o zachodzie słońca, dorośli zmęczeni pracą, dzieci biegnące

przodem. Pochód zamykał Harry Plowman, prowadząc wy-prężone muły. Carl Shaftesbury, mężczyzna z oparzoną policzkiem, który był nowo przybyłym, tak jak Gwenda i Wulfric, rano złapał trzy węgorze na kolację dla swojej rodziny, a był piątek. Powstało pytanie, czy wyrobnicy mają takie same prawo jak dzierżawcy łowić ryby w rzece Outhen w dni postu. Harry Plowman rzekł, że ten przywilej obejmuje wszystkich mieszkańców Outhenby. Żona zarządcy powiedziała, że dzierżawcy płacą czynsz właścicielowi ziemi, a wyrobnicy nie, więc dodatkowe obowiązki powinny łączyć się z dodatkowymi przywilejami.

Poproszono Willa o rozstrzygnięcie sporu, a on opowiedział się przeciwko swojej żonie.

- Sadzę, że matka przeorysza powiedziała, że jeśli Kościół chce, by ludzie jedli ryby, to należy im zapewnić tę możliwość - powiedział i wszyscy zaakceptowali jego decyzję.

Patrząc w kierunku wioski, Gwenda zobaczyła dwóch jeźdźców.

Nagle powiał zimny wiatr. Przybysze znajdowali się pół mili dalej, jadąc niemal równolegle do ścieżki, którą podążali wieśniacy. Dostrzegła, że obaj są uzbrojeni. Mieli wielkie konie, a ich płaszcze wydawały się zbyt obszerne - gdyż żyjący z miecza ludzie zwykle mieli je grubo podszyte. Trąciła łokciem Wulfrica.

- Widzę ich - rzekł ponuro.

Tacy ludzie nie mieli powodu, by odwiedzać wioskę. Gardzili tymi, którzy uprawiali rolę i hodowali bydło. Zazwyczaj przyjeżdżali tylko po to, żeby zabrać wieśniakom to, czego duma nie pozwalała im produkować: chleb, mięso i napitki. Ich poglądy na to, do czego mają prawo i ile powinni zapłacić, zawsze różniły się od zapatrywań wieśniaków, więc nieustannie były kłopoty.

W ciągu kilku następnych minut dostrzegli ich wszyscy wracający z pola i zamilkli. Gwenda zauważyła, że Harry skręcił i skierował zaprzęg mułów na drugi koniec wioski, chociaż na razie nie domyślała się dlaczego.

Była pewna, że ci dwaj przyjechali szukać zbiegłych wyrobników. Zaczęła się modlić, aby byli to dawni pracodawcy Carla Shaftesbury'ego lub innego nowo przybyłego. Kiedy jednak wieśniacy podeszli bliżej, rozpoznała Ralpa Fitz-geralda i Alana Fernhilla. Była przerażona.

Nadeszła chwila, której się obawiała. Wiedziała, że Ralph może się dowiedzieć, dokąd poszli: ojciec na pewno się domyślił, a nie mogła liczyć na to, że będzie trzymał język za zębami. A chociaż Ralph nie miał prawa zabierać ich z powrotem, był rycerzem i szlachcicem, a tacy ludzie zwykle robili, co im się podoba.

Było za późno na ucieczkę. Chłopi szli między dwoma szerokimi zaoranymi polami. Gdyby Gwenda i Wulfric odłączyli się od nich i rzucili do ucieczki, Ralph i Alan natychmiast

zobaczyliby to i rzucili się w pogoń, a wtedy Gwenda i jej rodzina straciliby i tę słabą ochronę, jaką zapewniało im to, że byli w grupie. Na otwartej przestrzeni nie mieli się gdzie ukryć.

- Sam! David! Chodźcie tu! - zawołała do swoich chłopców.

Nie usłyszeli jej lub nie chcieli usłyszeć i biegli dalej. Gwenda próbowała ich dogonić, ale pomyśleli, że to zabawa, i zaczęli uciekać. Byli już prawie w wiosce, a ona była zbyt zmęczona, by ich złapać.

- Wracajcie! - zawołała, bliska łez.

Wulfric rzucił się za nimi. Z łatwością ją prześcignął, dogonił Davida i chwycił go w ramiona. Jednak nie zdążył złapać Sama, który z śmiechem wbiegł między rzadko rozmieszczone domy.

Jeźdźcy zatrzymali się przed kościołem. Gdy Sam przebiegał obok, Ralph popędził konia, pochylił się w siodle i złapał chłopca za koszulę. Sam krzyknął przestraszony.

Gwenda wrzasnęła.

Ralph posadził chłopca na końskim karku.

Wulfric, niosący Davida, zatrzymał się przed Ralphem.

- Twój syn, jak sędzę - powiedział Ralph.

Gwendę ogarnął strach. Bała się o syna. Skrzywdzenie dziecka byłoby poniżej godności Ralpa, ale mógł się zdarzyć wypadek. Istniało jeszcze inne niebezpieczeństwo. Widząc Ralpa i Sama razem, Wulfric mógł poznać, że to ojciec i syn.

Oczywiście Sam był jeszcze mały, o ciele i twarzy dziecka, lecz miał gęste włosy oraz ciemne oczy Ralpa, a jego kościste ramiona były szerokie i proste.

Gwenda spojrzała na męża. Nie było po nim widać, by dostrzegł to, co jej wydawało się oczywiste. Popatrzyła na innych wieśniaków. Zdawali się nie dostrzegać nagiej prawdy - poza Vi, która mierzyła Gwendę twardym wzrokiem. Ta stara jędza mogła się domyślić. Jednak nikt poza nią. Na razie.

Will wystąpił naprzód i zwrócił się do przybyszów:

- Dzień dobry wam, panowie. Jestem Will, zarządca Outhenby. Czy mogę spytać...

- Zamknij się - przerwał mu Ralph. Wskazał na Wulfrica. - Co on tu robi? Gwenda wyczuła, że napięcie nieco zelzało, gdy inni wieśniacy pojęli, że nie oni są obiektem gniewu lorda.

- Milordzie - odparł Will - to pracownik wynajęty za pozwoleniem przeoryszy Kingsbridge...

- To zbieg i ma wrócić do domu - powiedział Ralph. Will zamilkł przestraszony.

- A na jakiej podstawie się tego domagasz? - zapytał Carl Shaftesbury. Ralph przyjrzał mu się, jakby chciał zapamiętać jego twarz.

- Trzymaj język za zębami albo naznaczę ci drugi policzek.

- Nie chcemy tu rozlewu krwi - nerwowo powiedział Will.

- Bardzo rozsądnie, zarządco - pochwalił Ralph. - Kim jest ten bezczelny wieśniak?

- Nieważne, kim ja jestem, rycerzu - szorstko rzucił Carl - wiem, kim ty jesteś. Jesteś Ralph Fitzgerald i widziałem, jak zostałeś uznany za winnego gwałtu i skazany na śmierć przez sąd w Shiring.

- Jednak nie jestem martwy, no nie? - warknął Ralph.

- A powinieneś być. I nie masz żadnych feudalnych praw do wyrobników. Jeśli spróbujesz użyć siły, dostaniesz nauczkę.

Kilka osób jęknęło. W taki sposób nikt nie śmiał zwracać się do uzbrojonego rycerza.

- Nic nie mów, Carl - powiedział Wulfric. - Nie chcę, żebyś zginął za mnie.

- Nie za ciebie. Jeśli pozwolimy, by ten łotr zabrał ciebie, za tydzień ktoś przyjdzie po mnie.

Musimy trzymać się razem. Nie jesteśmy bezradni.

Carl był roslym mężczyzną, wyższym od Wulfrica i niemal równie barczystym. Gwenda widziała, że mówi poważnie. Była przerażona. Jeśli zaczną walczyć, będzie jatka - a jej Sam wciąż siedział na koniu przed Ralphem.

- Pójdziemy z Ralphem - powiedziała pospiesznie. - Tak będzie lepiej.

- Nie, nie będzie - powiedział Carl. - Zamierzam go powstrzymać, czy tego chcecie, czy nie.

Dla mojego własnego dobra.

Tłum odpowiedział zgodnym pomrukiem. Gwenda rozejrzała się. Większość mężczyzn trzymała w rękach łopaty lub motyki i wyglądali na gotowych ich użyć, mimo że byli przestraszeni.

Wulfric odwrócił się plecami do Ralpa i powiedział cicho:

- Kobiety, zabierzcie dzieci do kościoła. Szybko!

Kilka kobiet wzięło na ręce mniejsze dzieci, ciągnąc za sobą starsze. Gwenda nie ruszyła się z miejsca i kilka młodszych kobiet również. Wieśniacy instynktownie zbili się w gromadę, stając ramię przy ramieniu.

Ralph i Alan byli zbici z tropu. Nie spodziewali się spotkania z pięćdziesięcioma wrogo nastawionymi wieśniakami. Jednak siedzieli na koniach, więc mogli w każdej chwili uciec.

- No cóż, może po prostu zabiorę do Wigleigh tego chłopca - powiedział Ralph.

Gwenda jęknęła.

- Jeśli jego rodzice zechcą go odzyskać, mogą wrócić tam, gdzie ich miejsce. Gwenda odchodziła od zmysłów. Ralph miał Sama i w każdej chwili mógł odjechać. Powstrzymała histeryczny krzyk. Postanowiła, że jeśli Ralph obróci konia, ona rzuci się na niego i spróbuje ściągnąć go z siodła. Zrobiła krok naprzód.

Wtedy, za plecami Ralpa i Alana, zobaczyła muły. Harry Plowman prowadził je przez wioskę z jej drugiego końca. Osiem wielkich zwierząt zbliżyło się do grupy przed kościołem i stanęło, tępo

patrząc przed siebie, nie wiedząc, dokąd iść. Harry stał za nimi. Ralph i Alan znaleźli się w pułapce, między wieśniakami, mułami i ścianą kościoła.

Gwenda odgadła, że Harry zaplanował to, by nie pozwolić Ralphowi odjechać z Wulfrikiem i z nią. Jednak ten plan sprawdził się i w tej sytuacji.

- Zostaw dziecko, sir Ralphie - powiedział Carl - i odjedź w pokoju. Problem w tym, pomyślała Gwenda, że teraz Ralphowi trudno się będzie wycofać bez utraty twarzy. Musiał zrobić coś, żeby nie wyjść na głupca, czego najbardziej obawiali się dumni rycerze. Wciąż mówili o honorze, lecz to nic nie oznaczało, gdyż potrafili postępować całkowicie niehonorowo, kiedy było im tak wygodnie. Co naprawdę cenili, to swoją godność. Woleli śmierć od upokorzenia.

Przez chwilę wszystko jakby zastygło: rycerz i dziecko na koniu, zbuntowani wieśniacy i tępo patrzące muły.

Potem Ralph postawił Sama na ziemi.

W oczach Gwendy stanęły łzy ulgi.

Sam podbiegł do niej, objął ją i zaczął płakać.

Wieśniacy odprężyli się, mężczyźni opuścili łopaty i motyki.

Ralph ściągnął wodze konia.

- Hop! Hop! - wrzasnął.

Koń stanął dęba. Ralph dźgnął go ostrogami i wjechał w tłum. Wieśniacy odskoczyli na boki. Alan ruszył za nim. Wieśniacy rozpaczliwie uskakiwali im z drogi, wywracając się w błoto. Deptali jedni drugich, ale jakimś cudem żaden nie został stratowany.

Ralph i Alan ze śmiechem wyjechali z wioski, jakby całe to zajście było niczym więcej, jak tylko głupim żartem.

Jednak Ralph został upokorzony.

A to oznaczało, że wróci - Gwenda była tego pewna.

68

Wioska Earlcastle wcale się nie zmieniła. Merthin pamiętał, jak przed dwunastoma laty poproszono go, by rozebrał starą fortecę i wybudował nowy pałac, odpowiedni dla hrabiego spokojnej krainy. Jednak odmówił, woląc budować most w Kingsbridge. Wyglądało na to, że od tamtej pory poniechano pomysłu, gdyż widział te same warowne mury z dwoma zwodzonymi mostami i staromodny kasztel z zabudowaną górną częścią, gdzie rodzina mieszkała jak przestraszone króliki w norze, nieświadome, że nie grozi im już niebezpieczeństwo ze strony lisa. To miejsce zapewne wyglądało tak samo w czasach lady Alieny i Jacka Buildera.

Merthin towarzyszył Caris wezwanej tu przez hrabinę, lady Philippę. Hrabia William

zachorował i Philippa podejrzewała, że to zaraza. Caris była zaniepokojona. Myślała, że epidemia już wygasła. Od sześciu tygodni w Kingsbridge nikt nie umarł.

Caris i Merthin niezwłocznie wyruszyli w drogę. Jednak dostarczenie wiadomości z Earlcastle do Kingsbridge zabrało posłańcowi dwa dni, tyle samo zajęła im podróż, więc było bardzo prawdopodobne, że hrabia jest teraz bliski śmierci.

- Będę mogła jedynie podać wyciąg z maku, żeby ulżyć mu w cierpieniu - powiedziała, gdy dojeżdżali.

- Nie tylko - rzekł Merthin. - Twoja obecność pomaga ludziom. Jesteś spokojna i doświadczona, i mówisz o sprawach, które rozumieją: obrzękach, strapieniu i bólu. Nie próbujesz robić na nich wrażenia żargonem i żartami, przez co czuliby się jeszcze bardziej stropieni, bezsilni i przestraszeni. Kiedy przy nich jesteś, wiedzą, że zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, a właśnie tego potrzebują.

- Obyś miał rację.

Merthin bynajmniej nie przesadzał. Nieraz widział, jak rozhisteryzowany mężczyzna czy kobieta po kilku uspokajających chwilach spędzonych z Caris zmieniają się w rozsądną osobę mogącą poradzić sobie ze wszystkim.

Ten wrodzony dar sprawił, że od czasu wybuchu zarazy Caris cieszyła się niemal nabożnym szacunkiem. W promieniu wielu mil wszyscy wiedzieli, że ona i jej siostry nadal opiekują się chorymi, nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwo, podczas gdy mnisi uciekli. Uważali ją za świętą.

W zamku panowała atmosfera przygnębienia. Ci, którzy mieli coś do zrobienia, nosili drewno na opał i wodę, karmili konie i ostrzyli broń, piekli chleb i ćwiartowali mięso. Wielu innych - pisarze, zbrojni, posłańcy - siedziało, nic nie robiąc, czekając na wieści z komnaty chorego.

Kruki zakrakały sarkastycznie na powitanie, gdy Merthin i Caris przechodzili po wewnętrznym moście do kasztelu. Ojciec Merthina, sir Gerald, zawsze twierdził, że jest w prostej linii potomkiem syna Jacka i Alieny, hrabiego Thomasa. Licząc schody wiodące do wielkiej sali, ostrożnie stawiając stopy na gładkich wgłębieniach pozostawionych przez tysiące ludzi, Merthin pomyślał, że jego przodkowie zapewne chodzili po tych samych starych kamieniach. Takie fakty uważał za intrygujące, lecz trywialne, natomiast jego brat Ralph obsesyjnie marzył o wskrzeszeniu dawnej świetności rodziny.

Caris wyprzedziła go i widząc, jak kołysze biodrami, wchodząc po schodach, uśmiechnął się pod nosem. Był sfrustrowany, nie mogąc spać z nią co noc, lecz te rzadkie chwile, kiedy byli razem, wydawały mu się jeszcze bardziej ekscytujące. Poprzedniego dnia spędzili ciepłe wiosenne popołudnie, kochając się na słonecznej leśnej polanie, podczas gdy ich wierzchowce pasły się w pobliżu, nie zważając na ich namiętność.

To był dziwny związek, ale Caris była niezwykłą kobietą: przeoryszą wątpiącą w większość nauk Kościoła; podziwianą uzdrowicielką, odrzucającą procedury medyczne praktykujących medyków i zakonnica namiętnie kochającą się ze swoim mężczyzną, ilekroć miała po temu okazję. Gdybym chciał normalnego związku, mówił sobie Merthin, powinienem wybrać sobie zwyczajną dziewczynę.

Sala była pełna ludzi. Jedni krzatali się, rozkładając świeżą słomę, rozpalając ogień, stawiając obiad na stole, a inni po prostu czekali. W przeciwległym końcu komnaty Merthin dostrzegł dobrze ubraną, około piętnastoletnią dziewczynę, siedzącą u podnóża schodów wiodących do prywatnych komnat hrabiego. Wstała i ruszyła ku nim statecznym krokiem i Merthin pojął, że musi to być córka lady Philippy. Tak jak jej matka była wysoka i cienka w talii.

- Jestem lady Odila - powiedziała z gracją odziedziczoną po matce.

Pomimo pozorów spokoju oczy miała czerwone i podkrążone od płaczu. - Ty musisz być matką Caris. Dziękuję, że przybyłaś, by zająć się moim ojcem.

- Jestem Merthin Bridger - przedstawił się Merthin, bo takie przybrał nazwisko - przewodniczący gildii parafialnej Kingsbridge. Jak się ma hrabia William?

- Jest bardzo chory i obaj moi bracia też leżą złożeni chorobą. - Merthin przypomniał sobie, że hrabia i hrabina mieli dwóch synów w wieku około dziewiętnastu i dwudziestu lat. - Moja matka prosi, żeby przeorysza niezwłocznie do nich poszła.

- Oczywiście - powiedziała Caris.

Odila weszła na schody. Caris wyjęła z torby kawałek czystego lnu i obwiązała nim sobie nos oraz usta, po czym poszła za dziewczyną.

Merthin usiadł na ławie i czekał. Chociaż pogodził się z tym, iż kocha się z Caris tak nieregularnie, nie powstrzymywało go to od niecierpliwego wypatrywania dodatkowych okazji, więc uważnie przyjrzał się budynkowi, odgadując położenie sypialni. Niestety, dom miał tradycyjny rozkład. W tym dużym pomieszczeniu, wielkiej sali, zapewne prawie wszyscy spali i jedli. Schody przypuszczalnie wiodły do pokoju na wieży, sypialni hrabiego i hrabiny. Współczesne zamki miały całe kondygnacje apartamentów dla rodziny i gości, lecz tu najwyraźniej nie było takich wygód. Dziś wieczorem Merthin i Caris może położą się obok siebie na podłodze tej sali, lecz będą mogli jedynie spać, jeśli nie chcą wywołać skandalu.

Po jakimś czasie lady Philippa opuściła pokój na wieży i zeszła po schodach. Merthin jak zawsze pomyślał, że weszła do sali niczym królowa, świadoma, że wszyscy na nią patrzą. Jej godna postawa tylko podkreślała kusząco wydatne biodra i dumnie sterzcący biust. Jednak dziś jej zwykle piękna twarz była opuchnięta, a oczy podkrążone. Modna fryzura była trochę potargana, a wymykający się spod czepka kosmyk włosów powiększał wrażenie rozkojarzenia.

Merthin wstał i spojrzał na nią wyczekująco.

- Mój mąż jest chory na zarazę, tak jak się obawiałam - oznajmiła. - I obaj moi synowie również.

Ludzie wokół zaczęli szeptać zaniepokojeni.

Oczywiście, mógł to być ostatni atak zarazy, ale równie dobrze jej nowy wybuch. Broń Boże, pomyślał Merthin.

- Jak się czuje hrabia? - zapytał. Philippa usiadła na ławie obok niego.

- Matka Caris złagodziła jego cierpienia. Jednak mówi, że koniec jest bliski. Ich kolana prawie się dotykały. Czuł jej zmysłowy magnetyzm, mimo iż była pogrążona w żalu, a on szaleńczo zakochany w Caris.

- A twoi synowie? - spytał.

Spojrzała na swój podołek, jakby oglądając wzór ze złotych i srebrnych nici wplecionych w błękitną suknię.

- Tak samo jak ich ojciec.

- To dla ciebie straszny cios, pani, straszny - powiedział cicho Merthin.

Spojrzała na niego czujnie.

- Nie jesteś taki jak twój brat, prawda?

Merthin wiedział, że Ralph kochał się w Philippie, na swój własny obsesyjny sposób, przez wiele lat. Czy ona zdawała sobie z tego sprawę? Merthin nie wiedział. Ralph dokonał dobrego wyboru, pomyślał. Jeśli pragniesz nieszczęśliwej miłości, możesz przynajmniej uczynić jej obiektem kogoś niezwykłego.

- Ralph i ja całkowicie się różnimy - odparł obojętnie.

- Pamiętam was jako młodzików. Ty byłeś zuchwały... powiedziałaś, żebym kupiła zielony jedwab pasujący do moich oczu. Potem twój brat wszczął bójkę.

- Czasem myślę, że młodszy bracia próbują być przeciwieństwem starszych tylko po to, żeby się odróżnić.

- To z pewnością prawda, jeśli chodzi o moich dwóch synów. Rollo jest uparty i pewny siebie, jak jego ojciec i dziadek, zaś Rick zawsze był łagodny i posłuszny. - Zaczęła płakać. - Och, Boże, stracę ich wszystkich.

Merthin ujął jej dłoń.

- Nie wiadomo, co się zdarzy - rzekł łagodnie. - Ja zachorowałem na zarazę we Florencji i przeżyłem. Moja córka wcale nie zachorowała.

Spojrzała na niego.

- A twoja żona?

Merthin popatrzył na ich splecione dłonie. Zobaczył, że dłoń Philippy jest bardziej pomarszczona niż jego, chociaż różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie cztery lata.

- Silvia umarła - rzekł cicho.

- Modłę się do Boga, żebym ja też zachorowała. Jeśli wszyscy moi mężczyźni umrą, ja też nie chcę żyć.

- Z pewnością nie...

- Taki już los szlachcianek, że wychodzą za mąż za mężczyzn, których nie kochają, ale widzisz, ja miałam szczęście. Wybrano mi męża, ale od początku go kochałam. - Głos zaczął jej się łamać. - Nie mogłabym mieć nikogo innego...

- Oczywiście, teraz tak czujesz.

Dziwnie rozmawiać z nią o tym, kiedy jej mąż jeszcze żyje, pomyślał Merthin. Ona jednak była tak pogrążona w żalu, że nie zważała na formy i mówiła o tym, co jej leży na sercu.

Z trudem się opanowała.

- A co z tobą? - powiedziała. - Ożeniłeś się ponownie?

- Nie. - Przecież nie może powiedzieć, że kocha przeoryszę Kingsbridge. - Jednak myślę, że mógłbym, gdyby odpowiednia kobieta... była chętna. Może z czasem też zmienisz zdanie.

- Nie rozumiesz. Jako wdowa po hrabim, nie mając dziedzica, musiałabym wyjść za kogoś, kogo wybierze król Edward. A króla nie będzie obchodziło, czego ja chcę. Dbą o to, kto zostanie następnym księciem Shiring.

- Rozumiem.

O tym Merthin nie pomyślał. Mógł sobie wyobrazić, że zaaranżowane małżeństwo mogłoby być szczególnie odrażające dla wdowy, która szczerze kochała swego pierwszego męża.

- Jakie to okropne, że mówię o drugim mężu, kiedy pierwszy jeszcze żyje - westchnęła. - Nie wiem, co mnie naszło.

Merthin ze współczuciem pogładził jej dłonie.

- To zrozumiałe.

Drzwi na górze otworzyły się i wyszła Caris, wycierając ręce ręcznikiem. Merthin nagle stropił się, że trzyma dłonie Philippy. Miał ochotę ją puścić, ale pojął, że wyglądałoby to podejrzanie, i opanował ten odruch. Uśmiechnął się do Caris.

- Jak twoi pacjenci? - zapytał.

Caris spojrzała na ich złączone dłonie, ale nic nie powiedziała. Zeszła po schodach, zdejmując lnianą maskę.

Philippa bez pośpiechu zabrała swoją dłoń.

- Bardzo mi przykro, milady - powiedziała Caris - ale muszę cię zawiadomić, że hrabia William nie żyje.

- Potrzebny mi nowy koń - rzekł Ralph Fitzgerald.

Jego ulubiony wierzchowiec, Gryf, starzał się. Dzielny gniadosz naciągnął sobie ścięgno w lewej tylnej nodze, która goiła się miesiącami, a teraz znów zaczął kuleć. Ralph się zasmucił. Gryf był koniem, którego hrabia Roland dał mu, kiedy był młodym giermkim, i od tej pory mu towarzyszył, nawet na wojnach we Francji. Mógł posłużyć mu jeszcze kilka lat do niespiesznych wycieczek po jego włościach, lecz lata polowań miał już za sobą.

- Możemy jutro pojechać na targ do Shiring i kupić innego - podsunął Alan Fernhill.

Byli w stajni, oglądając pęcinę Gryfa. Ralph lubił stajnie. Podobał mu się zapach ziemi, siła i piękno koni oraz towarzystwo ludzi o twardych dłoniach pochłoniętych pracą. Przypominała mu się młodość, kiedy świat wydawał się taki prosty.

Z początku nie zareagował na sugestię Alana, który nie wiedział, że Ralph nie ma pieniędzy na nowego konia.

Wzbogacił się co prawda dzięki zarazie, ponieważ ziemia, która zwykle przechodziła z ojca na syna raz na pokolenie, teraz zmieniała właściciela dwukrotnie lub częściej w ciągu kilku miesięcy, a on za każdym razem otrzymywał zapłatę - tradycyjnie najlepsze zwierzę, lecz często uzgodnioną kwotę w gotówce. Potem jednak ziemia zaczęła leżeć odłogiem na skutek braku rąk do pracy. Jednocześnie ceny produktów rolnych spadły. W rezultacie dochody Ralpha w pieniądzu i towarach drastycznie zmalały.

Złe się dzieje, pomyślał, kiedy rycerza nie stać na konia.

Potem przypomniał sobie, że Nate Reeve ma dziś przybyć do Tench Hall z kwartalnymi należnościami z Wigleigh. Każdej wiosny wioska miała dostarczyć swemu panu dwadzieścia cztery roczne jagnięta. Można je będzie popędzić na targ w Shiring i sprzedać za gotówkę, która powinna wystarczyć za wierzchowca, jeśli nie bojowego rumaka.

- Dobrze - rzekł Ralph do Alana - zobaczmy, czy jest tu zarządca z Wigleigh.

Poszli do sali. To była kobieca część dworu i Ralph natychmiast stracił dobry humor. Tilly siedziała przy ogniu, niańcząc ich trzymiesięcznego synka, Ger-ry'ego. Matka i dziecko byli w zaskakująco dobrym zdrowiu, pomimo młodego wieku Tilly. Jej szczupłe, dziewczęce ciało bardzo się zmieniło: teraz miała pełne piersi o dużych, twardych sutkach, które chciwie ssało dziecko. Brzuch jej obwisł jak starej babie. Ralph nie spał z nią od wielu miesięcy i zapewne już nigdy nie będzie.

W pobliżu siedział dziadek, którego imię nosił malec, sir Gerald, oraz lady Maud. Rodzice Ralpha byli teraz starzy i słabi, lecz każdego ranka przychodzili ze swojego domu w wiosce do dworu,

żeby zobaczyć wnuka. Maud mówiła, że dziecko jest podobne do Ralpha, ale on nie widział żadnego podobieństwa.

Z zadowoleniem stwierdził, że w sali jest także Nate.

Garbaty zarządca zerwał się z ławy.

- Dzień dobry, sir Ralphie - powiedział. Ma minę zbitego psa, pomyślał Ralph.

- Co ci się stało, Nate? - zapytał. - Przyprowadziłeś moje jagnięta?

- Nie, panie.

- Dlaczego nie, do diabła?

- Nie ma żadnych jagniąt, panie. W Wigleigh nie ma stad, tylko kilka starych owiec.

Ralph był zaszokowany.

- Czy ktoś je ukradł?

- Nie, ale niektóre już ci oddano w ramach podatku po śmierci właścicieli, a kiedy nie zdołaliśmy znaleźć dzierżawcy, który wzięłby ziemię Jacka Shepherd'a, wiele zwierząt padło przez zimę. Potem na wiosnę nie miał kto pilnować wczesnego kocenia się owiec i straciliśmy większość jagniąt i część owiec.

- To niemożliwe! - gniewnie krzyknął Ralph. - Jak szlachta ma żyć, jeśli ich poddani pozwalają wymierać stadom?

- Myśleliśmy, że zaraza wygasła, kiedy przestała zabijać w styczniu i w lutym, ale teraz zdaje się powracać.

Ralpha przebiegł dreszcz zgrozy. Jak wszyscy dziękował Bogu, że uniknął tej plagi. Chyba nie wróci?

- W tym tygodniu umarł Perkin - ciągnął Nate - i jego żona Peg, ich syn Rob oraz zięć Billy Howard. Została tylko Annet do obrabiania wszystkich tych akrów, czego nie jest w stanie robić.

- No cóż, zatem należy mi się podatek spadkowy od tej nieruchomości.

- Oczywiście, panie, kiedy znajdę dzierżawcę, który ją przejmie. Parlament pracował nad nową ustawą, która uniemożliwi wyrobnikom włączenie się po kraju i żądanie coraz wyższych stawek. Gdy tylko to prawo wejdzie w życie, Ralph zamierzał je wykorzystać, żeby znów mieć ludzi do pracy. Teraz zrozumiał, że nawet wtedy trudno będzie znaleźć dzierżawców.

- Spodziewam się, że słyszałeś o śmierci hrabiego - powiedział Nate.

- Nie! - Ralph znów był zaskoczony.

- Cóż to? Hrabia William nie żyje? - zdziwił się sir Gerald.

- Zabrała go zaraza - wyjaśnił Nate.

- Biedny wuj William! - westchnęła Tilly. Niemowlę wyczuło jej nastrój i zakwiliło. Ralph

podniósł głos, zagłuszając je.

- Kiedy to się stało?

- Zaledwie trzy dni temu - odparł Nate. Tilly dała dziecku pierś i ucichło.

- Zatem starszy syn Williama jest teraz hrabią - głośno myślał Ralph. - Chyba nie ma więcej jak dwadzieścia lat.

Nate pokręcił głową.

- Rollo także umarł.

- Więc młodszy syn...

- Też nie żyje.

- Obaj synowie umarli! Serce Ralpha zabiło mocniej. Zawsze marzył o tym, żeby zostać hrabią Shiring. Teraz zaraza dała mu sposobność. I znacznie zwiększyła jego szanse, gdyż zabiła wielu ewentualnych kandydatów do tego tytułu.

Podchwycił spojrzenie ojca. Sir Gerald też o tym pomyślał.

- Rollo i Rick nie żyją, to okropne - powiedziała Tilly i zaczęła płakać. Ralph zignorował ją, starając się ocenić swoje możliwości.

- Kto z ich krewnych przeżył?

- Zakładam, że hrabina również umarła? - rzekł Gerald do Nate'a.

- Nie, panie. Lady Philippa żyje. Jej córka Odila także.

- Ach tak... - mruknął Gerald. - Zatem kogokolwiek król wybierze, będzie musiał poślubić Philippę, żeby zostać hrabią.

Ralph stał jak rażony gromem. Od dawna marzył, żeby poślubić lady Philippę. Teraz ma okazję spełnić oba marzenia. Tylko że już jest żonaty.

- A więc to tak. - Gerald pokiwał głową.

Opadł na fotel i jego podniecenie znikło równie szybko, jak się pojawiło. Ralph spojrzał na Tilly karmiącą dziecko i płaczącą. Mając piętnaście lat i zaledwie pięć stóp wzrostu, stała niczym mur zamku pomiędzy nim a przyszłością, jakiej zawsze pragnął. Nienawidził jej.

i i i Pogrzeb hrabiego Williama odbył się w katedrze w Kingsbridge. Nie było żadnych mnichów poza bratem Thomasem, lecz biskup Henri osobiście odprawił mszę, a zakonnice śpiewały psalmy. Lady Philippa i lady Odila, obie z twarzami zasłoniętymi woalkami, szły za trumną. Pomimo dramatyzmu ich czarnych szat Ralph stwierdził, że wydarzeniu brak rozmachu, jaki zwykle towarzyszy pogrzebowi magnata, świadomości historycznej chwili i czasu płynącego niczym wielka rzeka. Ludzie umierali wszędzie, każdego dnia, i teraz nawet śmierć szlachciców spowszedniała.

Zastanawiał się, czy ktoś z obecnych jest zarażony i właśnie roznosi zarazę swoim oddechem

lub niewidzialnymi promieniami z oczu. Na samą myśl o tym trzęsły się pod nim nogi. Wiele razy zaglądał śmierci w oczy i nauczył się opanowywać strach w bitwie, lecz z tym wrogiem nie można było walczyć. Zaraza była jak płatny zabójca, który wbija nóż w plecy i umyka, zanim ktoś go zauważy. Ralph zadrżał i spróbował o tym nie myśleć.

Obok Ralpa stał wysoki sir Gregory Longfellow, prawnik w przeszłości zajmujący się pozwami dotyczącymi Kingsbridge. Teraz był członkiem rady królewskiej, elitarnej grupy ekspertów doradzających monarsze, nie co powinien robić, gdyż to było zadaniem parlamentu, lecz jak to robić.

Królewskie ogłoszenia często odczytywano podczas mszy, szczególnie tak ważnych jak ta. Dziś biskup Henri wykorzystał okazję, żeby objaśnić nowe prawo pracy. Ralph odgadł, że sir Gregory przyniósł tę wieść i został, żeby zobaczyć, jak zostanie przyjęta.

Ralph słuchał uważnie. Wprawdzie nie został powołany do parlamentu, ale rozmawiał o braku rąk do pracy z hrabią Williamem, który zasiadał w Izbie Lordów, oraz z sir Peterem Jeffriesem reprezentującym Shiring w Izbie Gmin, tak więc wiedział, co tam omawiano.

- Każdy człowiek musi pracować dla pana wioski, w której mieszka, i nie może przenieść się do innej ani pracować dla innego pana, jeśli jego pan go nie zwolni - ogłosił biskup.

Ralph się uradował. Wiedział, że tak będzie, ale ucieszył się, że w końcu ogłoszono to oficjalnie.

Przed wybuchem zarazy nigdy nie brakowało rąk do pracy. Wprost przeciwnie, w wielu wioskach było ich aż za dużo. Gdy ludzie bez ziemi nie mogli znaleźć płatnej pracy, czasem zdawali się na łaskę pana - co było dla niego kłopotem - czy im pomagał, czy nie. Dlatego jeśli chcieli przenieść się do innej wioski, pan przyjmował to z ulgą i z pewnością nie potrzebował regulacji prawnych, żeby ich zatrzymać. Teraz wyrobnicy mieli przewagę, a na taką sytuację dłużej nie można było pozwolić.

Obwieszczenie biskupa wywołało szmer aprobaty wśród zebranych. Mieszkańców Kingsbridge niewiele to obeszło, lecz ci uczestnicy mszy, którzy przybyli tu z pobliskich miejscowości, byli w większości pracodawcami, a nie pracownikami. Nowe prawo zostało wprowadzone dla nich i przez nich.

Biskup mówił dalej:

- Zbrodnią jest teraz żądać, dawać lub przyjmować stawki większe niż płacone za podobną pracę w tysiąc trzysta czterdziestym siódmym roku.

Ralph ochoczo pokiwał głową. Nawet ci, którzy pozostali w wiosce, żądali więcej pieniędzy. Miał nadzieję, że ten edykt położy temu kres.

Sir Gregory zauważył wyraz jego twarzy.

- Widzę, że kiwasz głową - rzekł. - Zgadzasz się z tym prawem?

- Właśnie tego chciałem - odparł Ralph. - Zacznę wprowadzać je za kilka dni. Jest kilku zbiegów z mojej ziemi, których szczególnie chcę sprowadzić z powrotem.

- Pojadę z tobą, jeśli można - powiedział prawnik. - Chciałbym zobaczyć, co z tego wyniknie.

69

Ksiądz z Outhenby umarł na zarazę i od tej pory w kościele nie odprawiono mszy, więc Gwenda zdziwiła się, gdy w niedzielny ranek zaczął bić dzwon.

Wulfric poszedł sprawdzić, co się dzieje, i wrócił z wieścią, że przybył wędrowny ksiądz, ojciec Derek, więc Gwenda szybko umyła synom buzie i wszyscy poszli do kościoła.

Był pogodny wiosenny ranek i blask słońca zalał stare szare kamienie kościółka. Przyszli wszyscy mieszkańcy wioski ciekawi nowego księdza.

Ojciec Derek okazał się wygadany duchownym z miasta, zbyt dobrze odzianym jak na wiejski kościółek. Gwenda zastanawiała się, czy jego wizyta ma jakiś szczególny cel. Czy jest jakiś powód tego, że kościelna hierarchia nagle przypomniała sobie o istnieniu tej parafii? Mówiła sobie, że to zły nawyk, zawsze wyobrażać sobie najgorsze, lecz mimo to cała, że coś jest nie tak.

Stała w nawie z Wulfrikiem i chłopcami, patrząc, jak ksiądz odprawia mszę, i czuła coraz większy niepokój. Ksiądz zwykle patrzył na wiernych, modląc się lub śpiewając, aby podkreślić, że to wszystko dla ich dobra i nie jest prywatną rozmową między nim a Bogiem, tymczasem spojrzenie ojca Dereka błędziło nad ich głowami.

Niebawem dowiedziała się dlaczego. Na koniec mszy obwieścił im nowe prawo uchwalone przez króla i parlament.

- Wyrobnicy bez ziemi muszą pracować dla pana w wiosce swego pochodzenia, jeśli tego zażąda - powiedział.

Gwenda wpadła w szal.

- Jak to?! - wrzasnęła. - Pan nie ma obowiązku pomóc wyrobnikom w ciężkich czasach. Wiem o tym, bo mój ojciec był wyrobnikiem bez ziemi i kiedy nie było pracy, chodziliśmy głodni. Dlaczego więc wyrobnik ma być wierny panu, który nic mu nie daje?

Zebrani odpowiedzieli głośnym pomrukiem aprobaty i ksiądz musiał podnieść głos.

- Tak zdecydował król, a król jest wybrany przez Boga, by władał nami wszystkimi, więc musimy robić, co każe.

- Czy król może zmieniać zwyczaj liczący setki lat? - nalegała Gwenda.

- To ciężkie czasy. Wiem, że wielu z was przybyło do Outhenby w ciągu kilku ostatnich tygodni...

- Na zaproszenie oracza - przerwał mu Carl Shaftesbury. Jego zniekształcona twarz

poczerwieniła z wściekłości.

- Na zaproszenie wszystkich mieszkańców wioski - przyznał ksiądz. - I ci byli wdzięczni za wasze przybycie. Jednak król w swej mądrości uznał, że tak być nie może.

- I biedni mają pozostać biednymi - dodał Carl.

- Tak chciał Bóg. Każdy ma swoje miejsce.

- Czy Bóg wie, jak mamy uprawiać nasze pola bez rąk do pracy? Jeśli wszyscy nowo przybyli odejdą, nie dokończymy wiosennego siewu.

- Może nie wszyscy będą musieli odejść - rzekł Derek. - Prawo mówi, że muszą wrócić do domu, tylko jeśli pan tego zażąda.

To wszystkich uspokoiło. Przybysze zastanawiali się, czy ich panowie zdołają ich wytropić, miejscowi zastanawiali się, ilu wyrobników zostanie. Jednak Gwenda wiedziała, co niesie jej przyszłość. Wcześniej czy później Ralph wróci po nią i jej rodzinę.

Postanowiła, że wtedy już jej tu nie będzie.

Ksiądz zakończył mszę i wierni ruszyli do wyjścia.

- Musimy stąd odejść - powiedziała cicho do Wulfrica. - Zanim przyjedzie po nas Ralph.

- Dokąd pójdziemy?

- Nie wiem, ale może to i lepiej. Jeśli my nie wiemy, dokąd wyruszamy, to nikt inny też nie będzie wiedział.

- Jak będziemy żyli?

- Znajdziemy inną wioskę, w której potrzebują rąk do pracy.

- Myślisz, że jest wiele takich? Zawsze myślał wolniej od niej.

- Musi być ich mnóstwo - tłumaczyła cierpliwie. - Król nie wydał edyktu tylko dla Outhenby.

- Oczywiście.

- Powinniśmy odejść jeszcze dziś - zdecydowała. - Jest niedziela, więc nie stracimy żadnej dniówki. - Zerknęła na okna kościoła, sprawdzając, jaka jest pora dnia. - Jeszcze nie ma południa, więc możemy zrobić przed zmrokiem kawał drogi. Kto wie, może jutro będziemy pracowali w nowym miejscu.

- Zgadzam się - rzekł Wulfric. - Nie wiadomo, jak szybko Ralph wykona swój ruch.

- Nikomu nic nie mów. Pójdziemy do domu, weźmiemy wszystko, co chcemy zabrać, i po prostu wymkniemy się.

- Dobrze.

Doszli do drzwi, wyszli w słoneczny blask i Gwenda zobaczyła, że już jest za późno.

Przed kościołem czekało sześciu jeźdźców: Ralph, jego służący Alan, jakiś wysoki mężczyzna w londyńskim ubraniu i trzech brudnych, poznaczonych bliznami i groźnie wyglądających opryszków, jakich za kilka pensów można wynająć w każdej podejrzonej gospodzie.

Ralp podchwycił spojrzenie Gwendy i uśmiechnął się triumfalnie.

Gwenda rozejrzała się rozpaczliwie. Kilka dni temu mężczyźni z tej wioski stanęli ramię w ramię przeciwko Ralphowi i Alanowi - lecz teraz było inaczej. Mieli przeciwko sobie sześciu ludzi, nie dwóch. Wychodzący z kościoła wieśniacy nie byli uzbrojeni, podczas gdy poprzednio wracali z pól z narzędziami w dłoniach. I co najważniejsze, za pierwszym razem byli przekonani, że mają prawo po swojej stronie, a teraz nie byli tego pewni.

Kilku mężczyzn napotkało jej spojrzenie i pospiesznie odwróciło wzrok. To potwierdziło jej podejrzenia. Dziś wieśniacy nie będą walczyli.

Gwenda była tak rozczarowana, że zrobiło się jej słabo. Bojąc się, że upadnie, oparła się o kamienny portyk kościoła. Jej serce zmieniło się w coś ciężkiego, zimnego i mokrego, było jak gruda z zimowego grobu. Czuła obezwładniającą bezsilność.

Przez kilka dni byli wolni. Jednak to był tylko sen. A teraz ten sen się skończył.

Ralph powoli jechał przez Wigleigh, ciągnąc Wulfrica na powrozie zarzuconym na ^{sz}yję.

Przybyli późnym popołudniem. Żeby przyspieszyć podróż, Ralph pozwolił chłopcom jechać na koniach wynajętych opryszków. Gwenda szła z tyłu. Ralph nie trudził się pętaniami jej. Mógł być pewien, że podąży za dziećmi.

Ponieważ była niedziela, większość mieszkańców Wigleigh wyległa przed domy, ciesząc się słońcem, tak jak przewidział Ralph - Wszyscy w przerażonym milczeniu spoglądali na ten okropny pochód. Ralph miał nadzieję, że widok upokorzenia Wulfrica zniechęci innych do cfdęjścia w poszukiwaniu wyższych stawek.

Dotarli do małego dworku, w którym mieszkał Ralph, zanim przeniósł się do Tench Hill. Uwolnił Wulfrica i odesłał go wraz z rodziną do ich starego domostwa. Zapłacił wynajętym opryszkom, a potem zaprowadził Alana i sir Gregory'ego do środka.

Dworek był uprzątnięty i przygotowany na jego przyjazd. Kazał Virze przynieść wino i przygotować kolację. Było już za późno, żeby jechać do Tench: nie dotarliby tam przed zmrokiem.

Gregory usiadł i wyciągnął długie nogi. Wyglądał na człowieka, który wszędzie potrafi dobrze się czuć. Jego proste ciemne włosy były poprzetykane nitkami siwizny, lecz długi nos z szerokimi nozdrzami wciąż nadawał mu wygląd zarozumialca.

- Uważasz, że jak poszło? - zapytał.

Ralph przez całą powrotną drogę rozmyślał o nowym edykcie i miał przygotowaną odpowiedź.

- Nic nie da - odparł. Gregory uniósł brwi.

- Ach tak?

- Zgadzą się z sir Ralphem - powiedział Alan.

- Z powodu?

- Przede wszystkim - zaczął Ralph - trudno ustalić, dokąd uciekli zbiegowie.

- Wulfrica odnaleźliśmy tylko dzięki szczęściu - wtrącił Alan. - Ktoś podsłuchał, jak on i Gwenda mówili, dokąd pójdą.

- Po drugie - ciągnął Ralph - odzyskiwanie ich jest zbyt kłopotliwe. Gregory skinął głową.

- Zajęło nam to cały dzień.

- Ponadto musiałem wynająć tych opryszków i dać im konie. Nie mogę tracić czasu i pieniędzy na uganianie się po kraju za zbiegłymi wyrobnikami.

- Rozumiem to.

- Po trzecie, co ich powstrzyma przed kolejną ucieczką za tydzień?

- Gdyby nie mówili głośno o tym, dokąd idą, może nigdy byśmy ich nie znaleźli - powiedział Alan.

- Jedyne rozwiązanie, żeby wprowadzić to prawo - rzekł Ralph - to wysłać kogoś, żeby sprawdzał we wioskach, kim są przybysze, i ich karał.

- Mówisz o czymś w rodzaju komisji pracy - uściślił Gregory.

- Właśnie. Ustanowić w każdym okręgu radę składającą się mniej więcej z tuzina ludzi, którzy jeździliby i tropili zbiegów.

- Chcesz, żeby ktoś inny robił to za ciebie?

To była drwina, lecz Ralph nie dał po sobie poznać, że czuje się dotknięty.

- Niekoniecznie. Mogę zostać członkiem takiej komisji, jeśli chcesz. Po prostu tak należy to zrobić. Nie kosi się łąki, ścinając po jednym źdźble trawy.

- Interesujące - mruknął Gregory.

Vira przyniosła dzban i trzy puchary, po czym napełniła je winem.

- Bystry z ciebie człek, sir Ralphie - powiedział Gregory. - Nie jesteś członkiem parlamentu, prawda?

- Nie.

- Szkoda. Myślę, że król uznałby twoje rady za użyteczne. Ralph starał się ukryć zadowolenie.

- Jesteś bardzo uprzejmy. - Nachylił się do niego. - Teraz, gdy hrabia William nie żyje, kwestia sukcesji...

Zobaczył otwierające się drzwi i zamilkł. Wszedł Nate Reeve.

- Dobra robota, sir Ralphie, jeśli wolno mi tak rzec! - powiedział. - Wulfric i Gwenda znów u nas... dwoje najlepiej pracujących, jakich mamy.

Ralph był zły, że Nate przerwał mu w takiej ważnej chwili.

- Ufam, że teraz wieśniacy będą w stanie płacić więcej swych należności - powiedział zirytowany.

- Tak, panie... jeśli oni tu zostaną.

Ralph zmarszczył brwi. Nate natychmiast dostrzegł słabość tego rozwiązania. Jak ma zatrzymać Wulfrica w Wigleigh? Nie może przykuć go do pług. Gregory zwrócił się do Nate'a:

- Powiedz mi, masz jakąś propozycję dla swego pana?

- Tak, panie, mam.

- Tak myślałem.

Nate uznał to za zachętę. Zwrócił się do Ralpa:

- Jest coś, co mógłbyś zrobić, a co gwarantowałoby, że Wulfric pozostanie w Wigleigh aż do śmierci.

Ralph wyczuwał haczyk, ale nie mógł się wycofać.

- Mów dalej.

- Oddaj mu ziemię, którą uprawiał jego ojciec.

Ralph wrzasnąłby na niego, ale nie chciał zrobić złego wrażenia na Gregorym. Powściągnął gniew.

- Nie sądzę - rzekł stanowczo.

- Nie mogę znaleźć dzierżawcy, który wzięłby tę ziemię - nalegał Nate. - Annet nie może jej obrobić, a nie ma żadnych żyjących męskich krewnych.

- Nie obchodzi mnie to. Nie może dostać tej ziemi.

- Dlaczego nie? - zainteresował się Gregory.

Ralph nie chciał się przyznać, że wciąż żywi urazę do Wulfrica za bójkę sprzed dwunastu lat. Gregory nabrał o nim dobrego mniemania i Ralph nie chciał tego zepsuć. Co doradca króla pomyślałby o rycerzu, który działa wbrew swoim interesom, kierując się urazą z młodości? Szukał jakiejś sensownej wymówki.

- Wyglądałoby to tak, jakbym nagradzał Wulfrica za ucieczkę - rzekł w końcu.

- Skądże - powiedział Gregory. - Z tego, co mówi Nate, wynika, że dałbyś mu coś, czego nikt inny nie chce. ».

- Mimo wszystko dałoby to zły sygnał innym wieśniakom.

- Myślę, że jesteś zbyt drobiazgowy - stwierdził Gregory. Nie był człowiekiem, który taktownie zachowywałby takie opinie dla siebie. - Chyba wszyscy wiedzą że rozpaczliwie potrzebujesz dzierżawców. Jak większość włościan. Wieśniacy zobaczą że po prostu dbasz o swoje interesy, i uznają że Wulfric miał szczęście z tego skorzystać.

- Wulfric i Gwenda pracowaliby dwukrotnie ciężiej, gdyby mieli własną ziemię - zaznaczył Nate.

Ralph został zapędzony w koziego róg. Rozpaczliwie chciał dobrze wypaść przed Gregorym. Zaczął z nim rozmowę o tytule hrabiego, której jeszcze nie dokończył. Nie mógł ryzykować, że go zrazi z powodu Wulfrica.

Musiał ustąpić.

- Może masz rację - zgodził się. Uświadomił sobie, że mówi przez zaciśnięte zęby, więc postarał się, aby jego ton był bardziej nonszalancki. - W końcu został sprowadzony z powrotem i upokorzony. Może to wystarczy.

- Jestem pewny, że tak.

- W porządku, Nate - powiedział Ralph. Na moment słowa uwięzły mu w gardle, z taką niechęcią dawał Wulfricowi to, czego ten tak bardzo pragnął. Jednak sprawa tytułu była ważniejsza. - Powiedz Wulfricowi, że może sobie wziąć ziemię swego ojca.

- Zrobię to jeszcze dziś - powiedział Nate i wyszedł.

- Co mówiłeś o hrabim? - spytał Gregory. Ralph ostrożnie dobierał słowa.

- Kiedy hrabia Roland zginął w bitwie pod Crecy, myślałem, że król może rozważy, czy uczynić mnie hrabią Shiring, szczególnie, że uratowałem życie młodemu księciu Walii.

- Jednak Roland zostawił dziedzica, który miał dwóch synów.

- Właśnie. A teraz wszyscy trzej nie żyją.

- Hm. - Gregory pociągnął łyk z pucharu. - Dobre wino.

- Gaskońskie.

- Zapewne dostarczone z Melcombe?

- Tak.

- Wspaniale. - Gregory upił kolejny łyk. Wyglądało na to, że zamierza coś powiedzieć, więc Ralph milczał. Gregory przez długą chwilę dobierał słowa. W końcu rzekł: - Tu, gdzieś w pobliżu Kingsbridge, znajduje się pewien list... który nie powinien istnieć.

Ralph był zdziwiony. Co to za historia? Gregory mówił dalej:

- Przez wiele lat ten dokument był w rękach kogoś, na kim można było polegać. Wiadomo było, że z rozmaitych skomplikowanych powodów dobrze go zabezpieczy. Jednak ostatnio zadano kilka pytań,

które moim zdaniem świadczą o tym, że tajemnicy może grozić ujawnienie.

To wszystko było zbyt enigmatyczne.

- Nie rozumiem-zniecierpliwił się Ralph.-Kto zadawał kłopotliwe pytania?

- Przeorysza Kingsbridge.

- Och.

- Być może po prostu usłyszała jakąś wzmiankę i jej pytania mogą być zupełnie nieszkodliwe.

Jednak przyjaciele króla obawiają się, że ten list mógł się dostać w jej ręce.

- Co jest w tym liście?

Gregory nadal ostrożnie dobierał słowa, jakby przechodził przez rwącą rzekę, skacząc z kamienia na kamień.

- Coś, co dotyczy ukochanej matki króla.

- Królowej Izabeli?

Ta stara czarownica wciąż żyła, otoczona przepychem w swoim zamku w Lynn i ludzie mówili, że po całych dniach czytuje romanse w swoim ojczystym języku francuskim.

- Krótko mówiąc - rzekł Gregory - muszę wiedzieć, czy przeorysza ma ten list, czy nie. Jednak nikt nie może wiedzieć, że się tym interesuję.

- Tak więc musisz udać się do klasztoru i przejrzeć dokumenty zakonnice - powiedział Ralph. - Albo te dokumenty muszą przyjść do ciebie.

- Raczej to drugie.

Ralph skinął głową. Zaczynał rozumieć, czego chce od niego Gregory.

- Przeprowadziłem bardzo dyskretne dochodzenie - ciągnął prawnik - i odkryłem, że nikt nie wie, gdzie dokładnie znajduje się skarbiec zakonnice.

- Siostry muszą to wiedzieć, a przynajmniej niektóre z nich.

- Jednak nie powiedzą. Aczkolwiek rozumiem, że potrafisz... przekonywać ludzi, żeby wyjawiali swe sekrety.

Zatem Gregory wiedział, co Ralph robił we Francji. Ralph pojął, że w tej rozmowie nie było niczego spontanicznego. Gregory musiał ją zaplanować. Zapewne była prawdziwym powodem jego przybycia do Kingsbridge.

- Może mógłbym pomóc przyjacielom króla rozwiązać ten problem... - zaczął Ralph.

- Dobrze.

- ...gdyby obiecano mi w nagrodę tytuł hrabiego Shiring. Gregory zmarszczył brwi.

- Nowy hrabia będzie musiał poślubić hrabinę.

Ralph postanowił ukryć swoje pragnienia. Instynkt podpowiadał mu, że Gregory miałby mniej

respektu dla człowieka kierującego się - choćby częściowo - pożądaniem.

- Lady Philippa jest pięć lat starsza ode mnie, ale nic przeciwko niej nie mam. Gregory spojrzął na niego podejrzliwie.

- To bardzo piękna kobieta - rzekł. - Ktokolwiek otrzyma ją od króla za małżonkę, powinien uważać się za szczęśliwca.

Ralph zrozumiał, że przesadził.

- Nie chciałym sprawiać wrażenia obojętnego - dodał pośpiesznie. - Istotnie jest piękna.

- Myślałem, że już jesteś żonaty. Czyżbym się mylił?

Ralph zauważył spojrzenie Alana i dostrzegł, że ten jest ogromnie ciekawy tego, co Ralph na to powie. Ralph westchnął.

- Moja żona jest bardzo chora. Nie pożyje długo.

I I I
|||

Gwenda rozpałała ogień w kuchni starego domu, w którym Wulfric mieszkał od urodzenia. Znalazła swoje garnki, napełniła jeden wodą ze studni i wrzuciła trochę wczesnej cebuli na polewkę. Wulfric przyniósł więcej drewna. Chłopcy, uszczęśliwieni, poszli bawić się ze swoimi starymi przyjaciółmi, nieświadomi ogromu tragedii, jaka dotknęła ich rodziny.

Gdy na dworze powoli zapadł zmierzch, Gwenda zajęła się pracami domowymi. Starła się nie myśleć. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, tylko pogarszało sprawę: przyszłość, przeszłość, jej mąż, ona sama... Wulfric siedział i patrzył w ogień. Milczeli.

Ich sąsiad, David Johns, zjawił się z wielkim dzbanem piwa. Jego żona umarła na zarazę, lecz przyszła z nim jego dorosła córka Joanna. Gwenda nie ucieszyła się na ich widok

- chciała cierpieć w samotności. Jednak mieli dobre intencje, więc nie mogła ich wyprosić. W ponurym milczeniu wytarła z kurzu drewniane kubki i David nalał wszystkim piwa.

- Przykro nam, że sprawy tak się potoczyły, ale radzi jesteśmy, że was widzimy - powiedział, gdy pili.

Wulfric jednym haustem opróżnił swój kubek i podstawił go po dolewkę. Nieco później przyszli Aaron Appletree i jego żona Ulla. Niosła koszyk małych bochenków.

- Wiedziałam, że nie będziecie mieli chleba, więc upiekłam kilka - powiedziała. Dała im je i w domu rozszedł się apetyczny zapach. David Johns im też nalał piwa i usiedli.

- Skąd wzięliście odwagę, żeby uciec? - z podziwem zapytała Ulla. - Ja umarłabym ze strachu!

Gwenda zaczęła opowiadać o ich przygodach. Z młyna przyszli Jack i Eli Fullero wie, przynosząc talerz gruszek pieczonych w miodzie. Wulfric pojadł i popił. Zrobiło się wesoło i Gwendzie

trochę poprawił się humor. Przyszli kolejni sąsiedzi, przynosząc podarki. Kiedy Gwenda opowiedziała, jak wieśniacy z Outhenby stawili czoło Ralphowi i Alanowi, wszyscy parsknęli wesołym śmiechem.

Potem doszła do wydarzeń dzisiejszego dnia i znów wpadła w rozpacz.

- Wszystko było przeciwko nam - mówiła z goryczą. - Nie tylko Ralph i jego opryszki, ale król i Kościół. Nie mieliśmy szans.

Sąsiedzi posępnie kiwali głowami.

- A potem, kiedy zarzucił sznur na szyję Wulfrica... - Wezbrała w niej rozpacz. Głos jej się łamał i nie mogła mówić dalej. Pociągnęła łyk piwa i spróbowała jeszcze raz. - Kiedy zarzucił sznur na szyję Wulfrica, i ten najsilniejszy i najdzielniejszy człowiek, jakiego znam, jakiego zna ktokolwiek z nas, został poprowadzony jak zwierzę przez wieś przez tego bezdusznego, nędznego brutala, jakim jest Ralph, chciałam, żeby niebo runęło i zabiło nas wszystkich.

To były mocne słowa, lecz goście się z nią zgodzili. Ze wszystkich krzywd, jakie szlachta mogła wyrządzić wieśniakom - morzenia głodem, napady, rabunki - najgorsze było upokorzenie. Tego nigdy nie zapominali.

Nagle Gwenda zapragnęła, żeby sąsiedzi sobie poszli. Słońce zaszło i zapadł zmrok. Pragnęła położyć się, zamknąć oczy i zostać sama ze swoimi myślami. Nie chciała rozmawiać nawet z Wulfrikiem. Już miała poprosić wszystkich, żeby sobie poszli, gdy wszedł Nate Reeve.

W izbie zrobiło się cicho.

- Czego chcesz? - zapytała Gwenda.

- Przynoszę wam dobrą wieść - rzekł rażno. Skrzywiła się.

- Dziś nie ma dla nas dobrych wieści.

- Nieprawda. Jeszcze jej nie słyszałaś.

- No dobrze, o co chodzi?

- Sir Ralph powiedział, że Wulfric może sobie wziąć ziemie swego ojca. Wulfric zerwał się na równe nogi.

- Jako dzierżawca? Nie tylko jako wyrobnik?

- Jako dzierżawca, na tych samych zasadach, jak twój ojciec - rzekł łaskawie Nate, jakby to on sam wyraził zgodę, a nie tylko przekazał wiadomość.

Wulfric promieniał.

- To cudownie!

- Przyjmujesz? - zapytał jowialnie Nate, jakby była to tylko formalność.

- Wulfricu! - szepnęła Gwenda. - Nie rób tego!

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Jak zwykle, jeszcze nie potrafił spojrzeć na rzecz z szerszej

perspektywy.

- Omów warunki! - nalegała przyciszonym głosem. - Nie bądź sługą, jak twój ojciec. Zażądaj wolnej dzierżawy, bez feudalnych zobowiązań. Już nigdy nie będziesz miał tak dobrej pozycji przetargowej. Negocjuj!

- Mam negocjować? - Wahał się przez moment, po czym dał się ponieść emocjom. - Na tę chwilę czekałem przez ostatnich dwanaście lat. Nie zamierzam negocjować. - Odwrócił się do Nafa. - Przyjmuję-powiedział i uniósł kubek.

Wszyscy wiwatowali.

70

Szpital znów był pełny. Zaraza, która wydawała się dogasać przez pierwsze trzy miesiące 1349 roku, wróciła w kwietniu ze zdwojoną siłą. Dzień po niedzieli wielkanocnej Caris ze znużeniem spojrzała na rząd materaców ułożonych w jodełkę tak blisko siebie, że zakonnice w maskach musiały stąpać między nimi bardzo ostrożnie. Jednak i tak łatwiej było im się poruszać, gdyż przy chorych czuwało niewielu członków rodzin. Przesiadanie przy śmiertelnie chorym było niebezpieczne - samemu można było zachorować - więc ludzie stali się nieczuli. Gdy wybuchła epidemia, mimo wszystko pozostawali ze swymi ukochanymi - matki z dziećmi, mężowie z żonami, dzieci w średnim wieku ze starymi rodzicami... miłość przewyciężała strach. Teraz to się zmieniło. Żrący kwas śmierci nadwątlił nawet najsilniejsze rodzinne więzy. Teraz typowy pacjent był przyprowadzany przez matkę lub ojca, męża lub żonę, którzy zaraz pospiesznie się oddalali, nie zważając na ścigające ich rozpaczliwe okrzyki. Tylko zakonnice, z maskami na twarzach i przemywanymi octem rękami, walczyły z chorobą.

Co dziwne, Caris nie brakowało pomocnic. Do klasztoru wstąpiło wiele nowicjuszek, które zajęły miejsca zmarłych sióstr. Caris zawdzięczała to częściowo swojej reputacji świętej, jednak męski klasztor odradzał się równie szybko i Thomas miał teraz całą grupę nowicjuszy do przeszkolenia. Wszyscy szukali ładu w świecie, który oszalał.

Tym razem zaraza zabrała kilku wybitnych mieszczan, którzy poprzednio uszli z życiem. Caris zmartwiła się śmiercią Johna Constable'a. Nigdy nie przepadała za jego prostodusznym pojmowaniem sprawiedliwości, w ramach którego najpierw walił mącieli pałką po łbach, a dopiero potem zadawał pytania, lecz bez niego utrzymanie porządku miało być o wiele trudniejsze.

Gruba Betty Baxter, piekąca słodkie bułeczki na każdy festyn w mieście i zadająca dociekliwe pytania na zebraniach gildii parafialnej, umarła, a jej interes wśród sporów podzieliły między siebie cztery kłótlive córki. Umarł także Dick Brewer, ostatni z pokolenia ojca Caris - zastępu ludzi, którzy umieli zarabiać pieniądze i robić z nich użytek.

Caris i Merthin zdołali spowolnić rozprzestrzenianie się zarazy, odwołując wszystkie większe

zgromadzenia. Nie było wielkiej procesji wielkanocnej i tej wiosny nie miało być święta runa. Cotygodniowy jarmark odbywał się poza murami miasta, na Polu Kochanków, i większość mieszkańców miasta się tam nie pojawiła. Caris chciała wprowadzić takie środki zapobiegawcze już podczas pierwszego ataku zarazy, lecz Godwyn i Elfric sprzeciwili się temu. Według Merthina niektóre włoskie miasta zamknęły swoje bramy nawet na okres trzydziestu lub czterdziestu dni, zwany kwarantanną. Teraz było już za późno, by nie wpuścić zarazy do miasta, lecz Caris uważała, że podjęte środki zapobiegawcze i tak ocala kilka istnień.

Jedynym problemem, jakiego nie miała, był brak pieniędzy. Coraz więcej osób niemających żadnych krewnych zapisywało swój majątek zakonnikom, a wiele nowicjuszek wносиło ziemie, stada, sady i złoto. Zakon nigdy nie był tak bogaty.

To była niewielka pociecha. Po raz pierwszy w życiu czuła się znużona - nie tylko zmęczona ciężką pracą, ale pozbawiona energii, niemal woli życia, osłabiona walką z przeciwnościami. Zaraza była teraz jeszcze straszniejsza, zabijała dwieście osób tygodniowo, a ona nie wiedziała, jak ma sobie z tym radzić. Bolały ją mięśnie, pękała głowa i czasem wszystko rozmazywało się jej w oczach. Czym to się skończy? - zastanawiała się z niepokojem. Czy wszyscy umrą?

Do szpitala wtoczyli się dwaj mężczyźni, obaj zakrwawieni. Caris pospieszyła do nich. Zanim podeszła, już poczuła od nich słodki zapach przetrawionego wina. Obaj byli pijani, chociaż ledwie minęło południe. Jęknęła zniechęcona - takie przypadki zdarzały się aż nazbyt często.

Znała z widzenia obu tych mężczyzn - byli to Barney i Lou, dwaj krzepcy młodzieńcy zatrudnieni w rzeźni Edwarda Slaughterhouse'a. Jedna ręka Barneya zwisała bezwładnie, zapewne złamana. Lou miał zmiądzony nos i uszkodzone oko. Obaj byli zbyt pijani, by odczuwać ból.

- Biliśmy się - wybełkotał Barney. - Nie chciałem tego. To mój najlepszy przyjaciel. Kocham go.

Caris i siostra Nellie położyły pijaków na sąsiednich materacach. Nellie zbadała Barneya i powiedziała, że jego ręka nie jest złamana, lecz wywichnięta, po czym posłała nowicjuszkę po Matthew Barbera, chirurga, który miał spróbować ją nastawić. Caris przemyślała twarz Lou. Nie mogła w żaden sposób uratować jego oka, które pękło jak rozgotowane jajko.

Takie historie doprowadzały ją do szału. Ci dwaj ludzie nie ucierpieli z powodu choroby czy nieszczęśliwego wypadku - wyrządzili sobie krzywdę po pijanemu. Po pierwszym ataku zarazy zdołała nakłonić mieszkańców miasta do zaprowadzenia prawa i porządku, lecz druga fala dokonała straszliwych spustoszeń w ludzkich duszach. Kiedy ponownie wezwwała do przywrócenia cywilizowanych obyczajów, reakcja była apatyczna. Nie wiedziała, co robić, i była taka zmęczona...

Gdy przyglądała się tym dwóm pokiereszowanym mężczyznom leżącym obok siebie na

podłódze, usłyszała na zewnątrz jakiś dziwny dźwięk. Przez chwilę przeniosła się myślami trzy lata wstecz, do bitwy pod Crecy i przerażającego huku nowych machin króla Edwarda wyrzucających kamienne kule w szeregi nieprzyjaciela. Po chwili znów rozległ się ten dźwięk i poznała, że to bęben - a właściwie kilka bębnów uderzanych bez ładu i składu. Potem usłyszała piszczałki i dzwonki, niegrające żadnej melodii, oraz ochryple wrzaski, zawodzenia i krzyki, które mogły być okrzykami triumfu lub męki albo jednym i drugim. Przypominało to nieco odgłosy bitwy, tylko bez świstu śmiercionośnych strzał i kwiczenia okaleczonych koni. Marszcząc brwi, wyszła na zewnątrz.

Na łąkę przy katedrze wyszła licząca około czterdziestu osób grupa, w szaleńczych płasach tańcząc starego jiga. Niektórzy grali na instrumentach, a raczej rżępolili na nich, gdyż w tym graniu nie było ani melodii, ani harmonii. Ich cienkie jasne stroje były podarte i brudne, a niektórzy byli półnagzi, bezwstydnie ukazując intymne części ciała. Ci, którzy nie mieli instrumentów, trzymali bicz. Tłum mieszkańców miasta podążał za przybyszami, patrząc z ciekawością i rozbawieniem.

Tańczących prowadził brat Murdo, grubszy niż kiedykolwiek, lecz energicznie płasający, aż pot spływał mu po tłustych policzkach i ściekał ze skołtunionej brody. Powiódł swoją gromadę do zachodnich drzwi katedry, gdzie obrócił się twarzą do nich.

- Wszyscy zgrzeszyliśmy! - ryknął.

Jego zwolennicy odpowiedzieli chórem 'nieartykułowanymi wrzaskami i jękami.

- Prochem jesteśmy! - ciągnął piskliwie. - Nurzamy się w rozpuście niczym świnię w gnoju. Ulegamy, dygocząc z żądz, pokusom ciała. Zasługujemy na plagę!

- Tak!

- Co musimy uczynić?

- Cierpieć! - zawołali. - Musimy cierpieć! Jeden z jego zwolenników doskoczył do niego, trzymając bat składający się z trzech rzemieni, a każdy zakończony był węzłem z ostrym kamieniem. Mężczyzna padł na ziemię u stóp Murda i zaczął tłuc się biczem po plecach. Rzemienie rozdarły cienki materiał szaty i przecięły skórę na plecach. Krzyknął z bólu, a reszta orszaku Murda jęknęła ze współczuciem.

Potem z tłumu wystąpiła kobieta. Opuściła suknię do pasa, odsłaniając nagie piersi, po czym podobnym bitem smagnęła się po plecach. Wyznawcy znów jęknęli.

Gdy pojedynczo lub dwójkami występowali naprzód, bicząc się, Caris zauważyła, że wielu z nich ma siniaki i na pół zagojone rany - robili to już przedtem, niektórzy wielokrotnie. Czy chodzili od miasta do miasta, powtarzając ten spektakl? Zważywszy na udział Murda, była pewna, że prędzej czy później ktoś zacznie zbierać pieniądze.

Jakaś kobieta z tłumu mieszczan nagle rzuciła się naprzód.

- Ja też muszę cierpieć! - zawołała.

Caris ze zdziwieniem zobaczyła, że to Mared, potulna młoda żona Marcela Chandlera. Caris nie mogła sobie wyobrazić, żeby popełniła wiele grzechów, ale może po prostu dostrzegła okazję, by uczynić swoje życie nieco bardziej dramatycznym. Zrzuciła odzienie i stanęła zupełnie naga przed bratem Murdo. Jej skóra - zupełnie gładka - w istocie wyglądała pięknie.

Murdo przyglądał się jej długą chwilę, po czym rzekł:

- Ucałuj moje stopy.

Uklękła przed nim, obscenicznie pokazując tyłek tłumowi, i przycisnęła wargi do jego brudnych stóp.

Wziął od innej pokutnicy bat i wręczył go jej. Smagnęła się i wrzasnęła z bólu, gdy na jej białej skórze natychmiast pojawiły się czerwone pręgi.

Kilka innych osób ochoczo wybiegło z tłumu. W większości byli to mężczyźni i Murdo odprawił ten sam rytuał z każdym z nich. Wkrótce zaczęła się istna orgia. Kiedy się nie biczowali, walili w bębny, potrząsali dzwoneczkami i tańczyli okropnego jiga.

Ich zachowanie miało znamiona szaleńczego zapamiętania, lecz Caris z zawodową wprawą zauważyła, że uderzenia batów, choć dramatyczne i niewątpliwie bolesne, nie powodują trwałych uszkodzeń.

Po chwili pojawił się przy niej Merthin.

- I co o tym sądzisz? - zapytał.

- Dlaczego ten widok rani moje uczucia?

- Nie wiem.

- Przecież ludzie chcą się batożyć, czemu miałabym mieć coś przeciwko temu? Może przez to poczują się lepiej.

- Jednak zgadzam się z tobą - powiedział Merthin. - Zwykle jest coś oszukańczego we wszystkim, w co jest zamieszany brat Murdo.

- Nie w tym rzecz.

Doszła do wniosku, że w tym nie ma pokory. Ci tańczący nie zastanawiali się nad swoim życiem, nie żalowali za popełnione grzechy. Ludzie, którzy czuli szczery żal, zwykle byli cisi, zamyśleni i skryci. Natomiast tutaj Caris wyczuwała coś zupełnie innego. Podniecenie.

- Oni się tym upajają - stwierdziła.

- Tylko zamiast napitków przesadzają z odrazą do siebie samych.

- I jest w tym rodzaj ekstazy.

- Nie seksualnej.

- Daj im czas.

Murdo wyprowadził procesję z terenu katedry. Caris zauważyła, że niektórzy biczownicy wyjęli miski i zaczęli zbierać datki. Domyśliła się, że teraz przejdą głównymi ulicami miasta. Zapewne zakończą pochód w którejś z większych gospód, gdzie ludzie będą im stawiali posiłek i napitki.

Merthin dotknął jej ramienia.

- Jesteś blada - powiedział. - Jak się czujesz?

- Po prostu jestem zmęczona - odparła krótko. Musi nadal zmagać się z zarazą, nieważne jak źle się czuje, i przypomnienie jej o znużeniu bynajmniej w tym nie pomagało. Jednak miło z jego strony, że zauważył, więc dodała łagodniej: - Chodź do domu przeora. Zbliża się pora obiadu.

Przeszli przez łąkę, gdy korowód biczowników zniknął w oddali. Razem weszli do pałacu. Gdy tylko znaleźli się sami, Caris zarzuciła Merthinowi ręce na szyję i pocałowała go. Nagle poczuła przypływ pożądania i wepchnęła język do jego ust, wiedząc, że to lubi. W odpowiedzi położył dłonie na jej piersiach i lekko uściskał. Nigdy tak się nie całowali w pałacu przeora i Caris mimo woli zadała sobie pytanie, czy udzielił jej się nastrój bachanalii wyznawców brata Murda.

- Masz gorącą skórę - szepnął jej do ucha Merthin.

Pragnęła, by Merthin zsunął jej habit i ucałował sutki. Poczuła, że traci nad sobą panowanie i zaraz może zacząć się z nim kochać na podłodze, tutaj, gdzie łatwo ktoś może ich przyłapać.

Nagle usłyszeli dziewczęcy głos.

- Nie chciałam szpiegować.

Caris była wstrząśnięta. Odskoczyła od Merthina. Odwróciła się, szukając mówiącej. Na drugim końcu pomieszczenia siedziała na ławie młoda kobieta z dzieckiem na ręku - żona Ralpa Fitzgeralda.

- Tilly! - wyszeptała Caris.

Tilly wstała. Wyglądała na wyczerpaną i przestraszoną.

- Tak mi przykro, że cię zaskoczyłam - powiedziała.

Caris poczuła ulgę. Tilly uczęszczała do prowadzonej przez zakonnice szkółki i przez kilka lat mieszkała w klasztorze, a ponadto lubiła Caris. Z pewnością nie narobi zamieszania z powodu pocałunku, którego była świadkiem. Tylko co ją tu sprowadza?

- Dobrze się czujesz? - spytała Caris.

- Jestem trochę zmęczona. Zachwiała się i Caris ją podtrzymała.

Dziecko zapłakało. Merthin wziął je na ręce i z wprawą ukołysał.

- No, no, mój mały bratanku... - mruzczał. Płacz przeszedł w ciche kwilenie niezadowolenia.

- Jak się tu dostałaś? - spytała Caris.

- Przyszłam.

- Z Tench Hall? Niosąc Gerry'ego? Niemowlak miał już sześć miesięcy i był dość ciężki.

- Zajęło mi to trzy dni.

- Mój Boże. Czy coś się stało?

- Uciekłam.

- Ralph cię nie gonił?

- Gonił, z Alanem. Schowałam się w lesie, kiedy przejeżdżali. Gerry był bardzo grzeczny i nie zapłakał.

Na myśl o tym Caris ścisnęło w gardle.

- Ale... - Przełknęła ślinę. - Ale dlaczego uciekłaś?

- Ponieważ mój mąż chce mnie zabić - wyznała Tilly i zalała się łzami. Caris posadziła ją na ławie, a Merthin przyniósł jej kubek wina. Pozwolili jej się wypłakać. Caris usiadła na ławie obok niej i ją objęła, podczas gdy Merthin nosił małego Gerry'ego. Kiedy w końcu Tilly się uspokoiła, Caris zapytała:

- Co takiego zrobił Ralph? Tilly pokręciła głową.

- Nic. Tylko patrzy na mnie w taki sposób... Wiem, że chce mnie zamordować.

- Chciałbym zauważyć, że mój brat nie jest do tego zdolny - mruknął Merthin.

- Tylko dlaczego miałby chcieć zrobić tak okropną rzecz? - zdziwiła się Caris.

- Nie wiem - odparła zgnębiona Tilly. - Ralph pojechał na pogrzeb wujka Williama. Był tam prawnik z Londynu, sir Gregory Longfellow.

- Znam go - powiedziała Caris. - To bystry człowiek, ale go nie lubię.

- Po tym wszystko się zaczęło. Czuję, że ten Gregory ma z tym coś wspólnego.

- Chyba nie przesłabyś taki kawał drogi z dzieckiem na rękach z powodu czegoś, co ci się przywidziało - rzekła w zadumie Caris.

- Wiem, że to dziwnie brzmi, ale on tylko siedzi i patrzy na mnie z nienawiścią. Jak mąż może tak patrzeć na swoją żonę?

- No cóż, przyszłaś we właściwe miejsce - powiedziała Caris. - Tu jesteś bezpieczna.

- Mogę zostać? - zapytała błagalnie Tilly. - Nie odeślesz mnie z powrotem, prawda?

- Na pewno nie.

Zauważyła spojrzenie Merthina. Wiedziała, o czym myśli. Postąpiła pochopnie, składając Tilly tę obietnicę. Zbiegowie z zasady mogli szukać schronienia w kościołach, lecz było bardzo wątpliwe, czy klasztor ma prawo udzielić schronienia żonie rycerza i nie oddawać mu jej przez nie wiedzieć jak długi czas. Co więcej, Ralph z pewnością ma prawo odebrać jej dziecko, swego syna i dziedzica. Mimo

wszystko Caris starała się, by jej głos nie zdradzał tych wątpliwości, gdy powiedziała:

- Możesz zostać tu, jak długo chcesz.

- Och, dziękuję.

Caris w duchu modliła się, żeby mogła dotrzymać tej obietnicy.

- Możesz zająć jeden z gościnnych pokoi na piętrze nad szpitalem. Tilly wyglądała na zaniepokojoną.

- A jeśli Ralph po mnie przyjdzie?

- Nie ośmieli się. Jeśli jednak poczujesz się przez to bezpieczniejsza, możesz zająć dawny pokój matki Cecylii na końcu dormitorium zakonnicek.

- Tak, proszę.

Klasztorna służka postawiła na stole obiad.

- Zaprowadzę cię do refektarza - powiedziała Caris do Tilly. - Możesz zjeść posiłek z zakonicami, a potem położyć się w dormitorium i odpocząć.

Wstała.

Nagle zakręciło jej się w głowie. Oparła się o stół, żeby nie upaść.

- Co się stało? - zapytał niespokojnie Merthin wciąż trzymający na rękach Gerry'ego.

- Zaraz mi przejdzie... To tylko zmęczenie. I osunęła się na podłogę.

Merthin przeraził się. Przez moment stał oszołomiony. Caris nigdy nie była chora ani bezradna - to ona opiekowała się chorymi. Nie potrafił myśleć o niej jako o ofierze.

Otrząsnął się w mgnieniu oka. Opanował lęk i ostrożnie podał dziecko Tilly.

Służąca przestała nakrywać do stołu i stała, spoglądając ze zgrozą na leżącą na podłodze nieprzytomną Caris.

- Biegnij do szpitala i powiedz, że matka Caris jest chora - powiedział spokojnie, lecz stanowczo Merthin. - Sprowadź tu siostrę Oonagh. Idź już, pospiesz się!

Służąca wybiegła.

Merthin ukląkł przy Caris.

- Słyszysz mnie, kochanie? - zapytał.

Ujął jej bezwładną dłoń i poklepał, potem dotknął policzka i uniósł powiekę. Była nieprzytomna.

- Jest chora na zarazę, prawda? - zapytała Tilly.

- O Boże... - Merthin wziął Caris w ramiona. Był szczupłym mężczyzną, ale zawsze potrafił przenosić spore ciężary, takie jak kamienie i belki. Podniósł ją z łatwością, a potem delikatnie położył na

stole. - Nie umieraj - szepnął. - Proszę, nie umieraj.

Ucałował jej czoło. Skórę miała gorącą. Czuł to, kiedy obejmowali się przed chwilą, lecz był zbyt podniecony, by się zaniepokoić. Może dlatego była tak namiętna: gorączka czasem może mieć podobny skutek.

Weszła siostra Oonagh. Merthin na jej widok poczuł taką ulgę, że łzy stanęły mu w oczach. Była młodą zakonnica, zaledwie rok czy dwa po nowicjacie, lecz Caris bardzo wysoko ceniła jej umiejętności i przygotowywała ją do przejęcia w przyszłości opieki nad szpitalem.

Oonagh założyła lnianą maskę na usta i nos, zawiązując węzeł na karku. Potem dotknęła czoła i policzka Caris.

- Kichała? - zapytała. Merthin otarł oczy.

- Nie - odparł.

Z pewnością zauważyłby to: kichanie było złowieszczym objawem.

Oonagh zsunęła do pasa habit Caris. Merthin pomyślał, że wydaje się bardzo krucha z odsłoniętymi małymi piersiami. Jednak z ulgą zauważył brak pur-purowoczarnej wysypki. Oonagh zajrzała w nozdrza Caris.

- Nie krwawi - orzekła. W zadumie sprawdziła puls.

Po chwili spojrzała na Merthina.

- To chyba nie zaraza, ale jej stan jest poważny. Ma gorączkę, przyspieszony puls i płytki oddech. Zanieś ją na górę, połóż do łóżka i przemywaj twarz wodą różaną. Każda opiekująca się nią osoba musi nosić maskę i myć ręce, jakby miała do czynienia z chorą na zarazę. To dotyczy i ciebie.

Wręczyła mu lnianą maskę.

Ze łzami spływającymi po policzkach zawiązał ją. Zaniósł Caris na górę, położył na pościeli w jej pokoju i poprawił odzienie. Zakonnice przyniosły wodę różaną i ocet. Merthin przekazał im polecenia Caris odnośnie do Tilly, a one zabrały młodą matkę i dziecko do refektarza. Merthin usiadł przy Caris, wycierając jej czoło i policzki szmatką namoczoną w wonnym płynie, modląc się, by odzyskała przytomność.

W końcu oprzytomniała. Otworzyła oczy, ze zdziwieniem zmarszczyła brwi i rozejrzała się niespokojnie.

- Co się stało? - zapytała.

- Zemdlałaś. Spróbowała usiąść.

- Nie ruszaj się. Jesteś chora. To pewnie nie zaraza, ale równie poważna choroba.

Musiała być bardzo słaba, gdyż nie protestowała i położyła głowę na poduszce.

- Odpocznę sobie godzinkę - wymamrotała. Leżała w łóżku dwa tygodnie.

Po trzech dniach białka jej oczu przybrały musztardowy kolor i siostra Oonagh orzekła, że ma żółtaczkę. Sporządziła napar z ziół osłodzony miodem, który Caris piła trzy razy dziennie. Gorączka spadła, lecz Caris nadal była słaba. Codziennie z niepokojem pytała o Tilly, a Oonagh odpowiadała na jej pytania, lecz nie chciała rozmawiać o innych aspektach klasztornego życia, żeby nie męczyć Caris. Ta była zbyt osłabiona, żeby się z nią spierać.

Merthin pozostał w pałacu przeora. W dzień siedział na dole, dostatecznie blisko, by usłyszeć, kiedy Caris go zawoła, a jego pracownicy przychodzili do niego po instrukcje co do różnych budynków, które stawiali lub rozbierali. W nocy leżał na posłaniu obok niej i spał czujnie, budząc się, ilekroć zaczynała inaczej oddychać lub przewracała się na łóżku. Lolla spała w sąsiednim pokoju.

Pod koniec tygodnia pojawił się Ralph.

- Moja żona zniknęła - oznajmił, wchodząc do wielkiej sali pałacu przeora. Merthin oderwał wzrok od rysunku, który sporządzał na dużej desce.

- Witaj, bracie - powiedział.

Ralph wygląda na skonsternowanego, pomyślał. Najwyraźniej ma mieszane uczucia w związku ze zniknięciem Tilly. Nie zależy mu na niej, ale z drugiej strony żaden mąż nie lubi, jak żona od niego ucieka.

Może ja też mam mieszane uczucia, pomyślał Merthin z poczuciem winy. W końcu pomogłem jego żonie go opuścić.

Ralph usiadł na ławie.

- Masz może wino? Zaszło mi w gardle.

Merthin podszedł do kredensu i nalał wina z dzbana. Może mógłby powiedzieć, że nie ma pojęcia, gdzie się podziała Tilly, lecz instynkt nie pozwalał mu okłamywać brata, szczególnie w tak ważnej sprawie. Ponadto obecność Tilly w klasztorze trudno było utrzymać w tajemnicy, ponieważ widziało ją zbyt wiele zakonnic, nowicjuszek i sług. Zawsze najlepiej mówić prawdę, pomyślał Merthin, chyba że nie można uniknąć kłamstwa. Podał kubek Ralphowi.

- Tilly jest tu, w klasztorze, razem z dzieckiem - powiedział.

- Tak myślałem. - Ralph podniósł kubek lewą ręką, pokazując kikuty trzech odciętych palców.

Pociągnął długi łyk. - Co się z nią dzieje?

- Uciekła od ciebie, Ralphie.

- Powinieneś mnie zawiadomić.

- Przykro mi z tego powodu. Jednak nie mogłem jej zdradzić. Ona się ciebie boi.

- Dlaczego stajesz po jej stronie? Jestem twórej bratem!

- Ponieważ cię znam. Jeśli ona się boi, to zapewne ma powód.

- To nie do zniesienia.

Ralph próbował udawać urażonego, ale nie bardzo mu się to udało. Merthin zastanawiał się, co naprawdę czuje brat.

- Nie możemy jej wyrzucić - powiedział. - Poprosiła o schronienie.

- Gerry jest moim synem i dziedzicem. Nie możecie mi go odebrać.

- Owszem, ale nie na długo. Jeśli podejmiesz kroki prawne, jestem pewien, że wygrasz. Chyba jednak nie spróbujesz go rozdzielić z matką, co?

- Jeśli ona wróci do domu, to nie.

Zapewne mówił prawdę. Merthin szukał jakiegoś sposobu przekonania Ralpa, gdy wszedł brat Thomas, prowadząc Alana Fernhilla. Jedną ręką trzymał go za ramię, jakby nie pozwalał mu uciec.

- Węszyl tutaj - oznajmił.

- Tylko się rozglądałem - zaprotestował Alan. - Myślałem, że klasztor jest opuszczony.

- Jak widzisz, nie jest - rzekł Merthin. - Mamy jednego mnicha, sześciu nowicjuszy i kilka tuzinów osieroconych chłopców.

- Poza tym nie znalazłem go w męskim klasztorze, tylko w klauzurze zakonnice.

Merthin ściągnął brwi. W oddali słyszał psalm. Alan dobrze wybrał sobie porę na wtargnięcie: wszystkie siostry i nowicjuszki modliły się w katedrze na sekście. O tej porze w większości budynków klasztoru nie było nikogo. Alan zapewne przez jakiś czas kręcił się tam niezauważony. To nie wyglądało na zwyczajną ciekawość.

- Na szczęście zauważył go kuchcik - dodał Thomas - i przyszedł po mnie do kościoła. Merthin zastanawiał się, czego szukał Alan. Tilly? Z pewnością nie ośmieliłby się porwać jej z klasztoru w biały dzień. Zwrócił się do Ralpa.

- Co wy dwaj knujecie? Ralph odbił to pytanie do Alana.

- Co ty wyprawiasz? - spytał gniewnie, lecz Merthin pomyślał, że to udawany gniew. Alan wzruszył ramionami.

- Tylko się rozglądałem, czekając na ciebie.

Niezbyt wiarygodne wyjaśnienie. Zbrojni czekają na swych panów w stajniach i gospodach, nie w klasztorach.

- No... - warknął Ralph - więcej tego nie rób.

Merthin zrozumiał, że Ralph zamierza trzymać się tej wersji. Ja byłem z nim szczery, ale on ze mną nie, pomyślał ze smutkiem. Wrócił do ważniejszej sprawy:

- Dlaczego nie zostawisz u nas Tilly na jakiś czas? - zapytał. - Będzie jej tu bardzo dobrze. I może po pewnym czasie zrozumie, że nie chcesz jej skrzywdzić, i do ciebie wróci.

- To dla mnie zbyt zawstydzające - odparł Ralph.
- Niekoniecznie. Szlachcianka czasem spędza kilka tygodni w klasztorze, jeśli czuje, że musi przez jakiś czas odpocząć od świata.
- Zazwyczaj robi to, gdy owdowieje lub gdy jej mąż wyrusza na wojnę.
- Jednak nie zawsze.
- Kiedy nie ma oczywistego powodu, ludzie zawsze powiedzą, że chciała uciec od męża.
- Czy to takie złe? Może chciałbyś trochę odpocząć od swojej żony.
- Może masz rację - ustąpił Ralph.

Jego odpowiedź zaskoczyła Merthina. Nie spodziewał się, że brat tak łatwo da się przekonać. Dopiero po chwili otrząsnął się ze zdumienia.

- Zrób tak - powiedział. - Daj jej trzy miesiące, a potem wróc tu i z nią porozmawiaj. Miał wrażenie, że Tilly nigdy nie zmieni zdania, lecz jego propozycja przynajmniej odwlecze kryzys.

- Trzy miesiące - powtórzył Ralph. - Dobrze. Wstał, by odejść.

Merthin uściskał jego dłoń.

- Co u matki i ojca? Nie widziałem ich od miesięcy.
- Starzeją się. Ojciec już nie wychodzi z domu.
- Przyjadę do nich z wizytą, gdy tylko Caris wydobrzeje. Dochodzi do siebie po żółtaczce.
- Przekaż jej moje najlepsze życzenia.

Merthin podszedł do drzwi i patrzył, jak Ralph i Allan odjeżdżają. Był głęboko zaniepokojony. Ralph coś knuł i nie chodziło tylko o odzyskanie Tilly. Wrócił do swojego rysunku i długo siedział, patrząc nań i nic nie widząc.

III

Pod koniec drugiego tygodnia stało się jasne, że Caris wyzdrowieje. Merthin był wyczerpany, lecz szczęśliwy. Czując się jak ułaskawiony skazaniec, wcześniej położył Lollę spać i po raz pierwszy wyszedł z pałacu.

Był ciepły wiosenny wieczór, a słońce i krystalicznie czyste powietrze uderzyły mu do głowy. Jego gospoda, Bell, była zamknięta i w trakcie przebudowy, lecz w Holly Bush interes szedł w najlepsze i klienci siedzieli na zewnątrz z kufkami w dłoniach. Tyle osób cieszyło się ładną pogodą, że Merthin przystanął i zapytał pijących, czy to jakieś święto, myśląc, że stracił poczucie czasu.

- Teraz każdy dzień to święto - odpowiedział jeden z nich. - Po co pracować, kiedy i tak wszystkich nas zabije zaraza? Chodź i wypij kufelek.

- Nie, dzięki. Merthin poszedł dalej.

Zauważył, że wiele osób nosi eleganckie ubrania, wymyślne nakrycia głowy i haftowane kaftany, na które normalnie nie byłoby ich stać. Zakładał, że odziedziczyli te stroje lub po prostu zdarli je z bogatych zmarłych. Wyglądało to nieco upiornie: aksamitne kapelusze na brudnych głowach, złotogłów z plamami po jedzeniu, obszarpane nogawki i wysadzone klejnotami buty.

Zobaczył dwóch mężczyzn ubranych w kobiece stroje - suknie do ziemi i czepki. Szli główną ulicą, trzymając się pod ręce, niczym żony kupców popisujące się swoim bogactwem

- lecz niewątpliwie byli mężczyznami o szerokich dłoniach, dużych stopach i zarosniętych policzkach. Merthin był zdezorientowany, jakby niczego już nie mógł być pewien.

Kiedy mrok gęstniał, przeszedł po moście na Wyspę Trędownych. Zbudował tam ulicę sklepów i gospod, między dwiema częściami mostu. Budowa była zakończona, lecz budynki stały nieoddane do użytku, z drzwiami i oknami zabitymi deskami, broniącymi wstępu włóczęgom. Nie mieszkał tam nikt prócz królików. Merthin przypuszczał, że ulica pozostanie pusta, dopóki nie wygaśnie zaraza i życie w Kingsbridge wróci do normy. Jeśli plaga się nie skończy, nigdy nie zostaną zasiedlone, lecz w takim wypadku wynajem nieruchomości będzie najmniejszym z jego zmartwień.

Wrócił do starej części miasta tuż przed zamknięciem bramy. W tawernie Biały Koń najwidoczniej trwała huczna zabawa. Dom jarzył się światłami, a tłum wylewał się aż na ulicę.

- Co tu się dzieje? - zapytał Merthin jakiegoś pijaka.

- Młody Davey zachorował na zarazę, a nie ma żadnego dziedzica, któremu mógłby zostawić swoją gospodę, więc nalewa wszystkim za darmo - powiedział mężczyzna, szczerząc zęby z uciechy. - Pij, ile możesz!

On i wielu innych najwidoczniej zastosowali tę zasadę, gdyż większość była zupełnie pijana. Merthin wcisnął się w tłum. Ktoś walił w bęben, a inni tańczyli. Zobaczył zwarty krąg ludzi i popatrzył ponad ramieniem jednego, co się dzieje. Pijana, około dwudziestoletnia kobieta, leżała przerzucona przez stół, a jakiś mężczyzna brał ją od tyłu. Kilku innych najwyraźniej czekało na swoją kolej. Merthin odwrócił się z niesmakiem. Obok gospody ujrzał na pół schowanego za pustymi beczkami Ozzie Ostlera, bogatego handlarza koni, klęczącego przed jakimś młodym mężczyzną i ssącego jego penis. To nie tylko było naruszeniem dobrych obyczajów, ale zbrodnią karaną śmiercią, lecz najwidoczniej nikogo to nie obchodziło. Ozzie, żonaty mężczyzna i członek gildii parafialnej, zauważył spojrzenie Merthina, ale nie przestał, tylko nadal robił swoje z jeszcze większym entuzjazmem, jakby podniecony tym, że ktoś go obserwuje. Zdumiony Merthin pokręcił głową. Przed gospodą stał stół z resztkami jedzenia: pieczonymi udźcami, wędzonymi rybami, puddingami i serem. Na stole siedział pies, szarpiąc zębami szynkę. Jakiś człowiek wymiotował do miski z polewką. Przy drzwiach gospody, na wielkim

drewnianym fotelu, siedział Davey Whitehorse z dużym kubkiem wina w ręku. Kichał i pocił się, i w charakterystyczny sposób krwawił z nosa, ale rozglądał się wokół i zachęcał gości do zabawy. Najwyraźniej zamierzał zapić się, zanim zabije go zaraza.

Merthinowi zrobiło się niedobrze. Odszedł i pospieszył do opactwa.

Ku swemu zdumieniu zastał Caris ubraną i na nogach.

- Już mi lepiej - powiedziała. - Jutro zamierzam wrócić do moich zajęć. - Widząc jego sceptyczną minę, dodała: - Siostra Oonagh powiedziała, że mogę.

- Jeśli przyjmujesz od kogoś polecenia, to na pewno nie jesteś jeszcze zdrowa - orzekł, a ona się roześmiała.

Na ten widok łzy stanęły mu w oczach. Nie śmiała się od dwóch tygodni i były chwile, kiedy zadawał sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś usłyszy jej śmiech.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

Opowiedział jej o spacerze po mieście i niepokojących scenach, jakie widział.

- Same w sobie jeszcze nie były takie złe - rzekł. - Jednak zastanawiam się, co będzie dalej. Czy gdy wyzbędą się wszelkich oporów, zaczną się nawzajem zabijać?

Podkuchenna przyniosła wazę zupy na kolację. Caris jadła powoli. Przez długi czas na widok jedzenia dostawała mdłości. Jednak zupa z porów chyba jej zasmakowała, gdyż zjadła pełną miskę.

Kiedy służąca sprzątała ze stołu, Caris powiedziała:

- Kiedy byłam chora, wiele myślałam o śmierci.

- Nie prosiłaś o księdza.

- Czy byłam dobra, czy zła, nie sądzę, aby Bóg dał się zwieść przemianą w ostatniej chwili.

- A więc co myślałaś?

- Zadawałam sobie pytanie, czy jest coś, czego naprawdę żałuję.

- I było?

- I to dużo. Jestem w złych stosunkach z moją siostrą. Nie mam dzieci. Straciłam szkarłatny płaszcz, który mój ojciec dał mojej matce w dniu, gdy umarła.

- Jak go straciłaś?

- Nie pozwolono mi go zabrać, kiedy wstąpiłam do klasztoru. Nie wiem, co się z nim stało.

- A czego żałujesz najbardziej?

- Dwóch rzeczy: tego, że nie zbudowałam mojego szpitala i że spędzałam za mało czasu z tobą w łóżku.

Uniósł brwi.

- Cóż, to drugie łatwo da się naprawić.

- Wiem.

- A co z zakonnkami?

- Nikt się już tym nie przejmuje. Sam widziałeś, jak jest w mieście. Tu, w klasztorze, jesteśmy zbyt zajęte opieką nad umierającymi, żeby przejmować się starymi zasadami. Joan i Oonagh co noc śpią razem w pokojach na piętrze nad szpitalem. To bez znaczenia.

Merthin zmarszczył brwi.

- Dziwne, że robią to i uczestniczą w mszach w środku nocy. Jak udaje im się to pogodzić?

- Posłuchaj, święty Łukasz mówi: Kto ma dwie suknie, niech podzieli się z tym, który nie ma

[Łuk, 3,11 op. cit.]. Jak sądzisz, jak biskup Shiring godzi to ze swoim kufrem pełnym szat? Wszyscy biorą z nauk Kościoła to, co im się podoba, ignorują to, co im nie odpowiada.

- A ty?

- Ja robię to samo, ale nie szukam usprawiedliwień. Dlatego będę z tobą żyła jak twoja żona, a jeśli ktoś mnie o to spyta, powiem, że to dziwne czasy. - Wstała, podeszła do drzwi i zamknęła je. - Spałeś tu przez dwa tygodnie. Nie wyprowadzaj się teraz.

- Nie musisz mnie zamykać na klucz - rzekł ze śmiechem. - Zostanę dobrowolnie.

Wziął ją w ramiona.

- Zaczęliśmy coś tuż przed tym, zanim zemdląłem. Tilly nam przeszkodziła.

- Miałaś gorączkę.

- Jeśli o to chodzi, wciąż ją mam.

- Może powinniśmy zacząć od tego, na czym skończyliśmy?

- Najpierw moglibyśmy pójść do łóżka.

- Dobrze.

Trzymając się za rękę, poszli po schodach na górę.

71

Ralph i jego ludzie ukryli się w lesie na północ od Kingsbridge i czekali. Nadszedł maj i wieczory były długie. Gdy zapadła noc, Ralph zachęcił pozostałych, by się zdrzemnęli, a sam siedział, pełniąc wartę.

Był z nim Alan Fernhill i czterech wynajętych zbrojnych, żołnierzy zdemobilizowanych z królewskiej armii, którzy nie zdołali znaleźć sobie miejsca w czasach pokoju. Alan wynajął ich pod Red Lion w Gloucesterze. Nie wiedzieli, kim jest, i nigdy nie widzieli go za dnia. Zrobią, co im każe, wezmą zapłatę i nie będą zadawali żadnych pytań.

Ralph nie spał, machinalnie licząc godziny, tak jak wtedy, gdy był z królem we Francji. Odkrył, że jeśli liczy zbyt dokładnie, zaczyna mieć wątpliwości, podczas gdy zgadując, zawsze potrafi dokładnie podać czas. Mnisi posługiwali się płonąca świecą z nacięciami oznaczającymi godziny albo klepsydrą z piaskiem lub wodą płynącą przez wąski lejek, lecz Ralph miał w głowie lepszą miarę.

Siedział nieruchomo, plecami do drzewa, spoglądając w ogień, który rozpalili. Słyszał szmery leśnych zwierzątek w poszyciu i pohukiwania polującej sowy. Nigdy nie był tak spokojny jak w godzinach poprzedzających atak. Wtedy było cicho, ciemno i miał czas pomyśleć. Świadomość niebezpieczeństwa, która denerwowała większość ludzi, jego uspokajała.

Tej nocy głównym zagrożeniem nie była śmierć w walce. Może trzeba będzie walczyć, lecz wrogiem będą grubi mieszczanie albo niezdarci mnisi. Prawdziwym niebezpieczeństwem było to, że ktoś może go rozpoznać. To, co zamierzał zrobić, było szokujące. Będzie się o tym mówić z gniewem w każdym kościele tego kraju, a może i Europy. Gregory Longfellow, dla którego Ralph to robił, najgłośniej potępi ten czyn. W rzeczy samej, jeśli kiedyś wyjdzie na jaw, że to Ralph był sprawcą, zostanie powieszony.

Jednak jeśli mu się uda, zostanie hrabią Shiring.

Kiedy uznał, że jest dwie godziny po północy, zbudził swoich ludzi.

Zostawili spętane konie, wyszli z lasu i ruszyli drogą ku miastu. Alan niósł ekwipunek, jak zawsze, gdy walczyli we Francji - krótką drabinę, zwój sznura i hak, którego używali do zdobywania murów w Normandii. Za pasem miał kamieniarskie dłuto i młotek. Może te narzędzia nie będą im potrzebne, ale lepiej być przygotowanym.

Alan niósł również kilka dużych worków, ciasno zwiniętych i związanych sznurkiem w węzełek.

Gdy miasto znalazło się w zasięgu wzroku, Ralph rozdał kaptury z otworami na oczy i usta, i wszyscy je włożyli. Ralph miał ponadto na lewej dłoni rękawicę mającą ukryć charakterystyczne kikuty trzech brakujących palców. Był nie do rozpoznania - oczywiście, dopóki nie zostanie schwytany.

Wszyscy wciągnęli na nogi filcowe worki, zawiązując je nad kolanami, żeby stłumić odgłos kroków.

Minęły setki lat, od kiedy Kingsbridge zostało zaatakowane przez nieprzyjaciela, więc było słabo strzeżone, szczególnie od wybuchu zarazy. Mimo wszystko południowa brama miasta była zamknięta. Od strony wielkiego mostu Merthina wstępu do miasta strzegła kamienna wartownia z potężnymi drewnianymi wrotami. Jednak rzeka broniła miasta tylko od wschodu i południa. Od północy i zachodu mosty nie były potrzebne i drogę do miasta zagrażał jedynie mur, który był w kiepskim stanie. Właśnie dlatego Ralph zbliżał się od północy.

Nędzne domostwa tłoczyły się pod murami jak psy na tyłach masarni. Alan obejrzał tę drogę kilka dni wcześniej, gdy przyjechali do Kingsbridge i pytali o Tilly. Teraz Ralph i jego najemnicy podążali za Alanem, jak najciszej przemijając między barakami. Nawet podmiejska biedota mogła wszcząć alarm, gdyby ją zbudzili. Zaszczekał pies i Ralph skulił się, lecz ktoś skłął zwierzę, które ucichło. Chwilę potem dotarli do miejsca, gdzie mur się zawalił, i bez trudu zdołali przejść po rumowisku.

Znaleźli się w wąskiej uliczce za jakimiś składami. Prowadziła do północnej bramy miasta. Ralph wiedział, że przy bramie czuwa wartownik w budce. Cała szóstka poruszała się bardzo cicho. Chociaż byli już w obrębie murów miejskich, wartownik okrzyknąłby ich, gdyby ich zobaczył, i wezwałby pomoc, gdyby nie usatysfakcjonowały go ich odpowiedzi. Jednak Ralph z ulgą zobaczył, że mężczyzna mocno śpi, siedząc na stołku i opierając się o bok budki, z ogarkiem świecy pełgającym na półce obok niego.

Mimo wszystko Ralph postanowił nie ryzykować, że ten człowiek się zbudzi. Podeszedł do niego na palcach, pochylił się i poderżnął mu gardło długim nożem. Mężczyzna obudził się i usiłował krzyknąć z bólu, lecz z jego ust popłynął tylko strumień krwi. Gdy osuwał się na ziemię, Ralph cchwycił go i przytrzymał, dopóki nieszczęśnik nie stracił przytomności, po czym oparł ciało o ścianę budki.

Otarł zakrwawione ostrze o tunikę nieboszczyka i wepchnął nóż do pochwy.

W wielkich podwójnych wrotach była mniejsza furtka. Ralph odsunął zasuwę, przygotowując drogę późniejszej ucieczki.

Sześciu mężczyzn cicho szło ulicą wiodącą do opactwa.

Noc była bezksiężycowa - Ralph specjalnie taką wybrał - lecz oświetlał ich słaby blask gwiazd. Niespokojnie spoglądał na górne okna mijanych domów. Gdyby jakiś cierpiący na bezsenność mieszczanin przypadkiem popatrzył na ulicę, zobaczyłby sześciu zamaskowanych ludzi i natychmiast podniósłby alarm. Na szczęście nie było tak ciepło, by zostawiać na noc otwarte okna, i wszystkie okiennice były zamknięte. Mimo to Ralph naciągnął kaptur płaszcza tak, by osłonić twarz i ukryć maskę - a potem dał pozostałym znak, by zrobili to samo.

To było miasto, w którym spędził chłopięce lata i znał tu każdą ulicę. Jego brat Merthin wciąż tutaj mieszkał, choć Ralph nie wiedział gdzie.

Przeszli główną ulicą, mijając Holly Bush zamkniętą na cztery spusty już od kilku godzin. Skręcili na dziedziniec katedry. Klasztorna furta była wysoka i okuta żelazem, ale stała otworem, niezamykana od lat. Jej zawiasy zardzewiały i zacinały się.

W opactwie było ciemno, tylko w oknach szpitala paliło się słabe światło. Ralph przypuszczał, że o tej porze mnisi i zakonnice śpią najmocniej. Mniej więcej za godzinę zbudzą się na mszę

rozpoczynając i kończąc się przed świtem.

Alan, który przeprowadził rekonesans w klasztorze, powiodł grupę wzdłuż północnej ściany kościoła. Cicho przeszli przez cmentarz i obok pałacu przeora, a potem skręcili i ruszyli wąską groblą oddzielającą katedrę od brzegu rzeki. Alan oparł drabinkę o mur i szepnął:

- To klauzura zakonnica. Za mną.

Wspiął się po drabinie na dach. Niemal bezszelestnie stąpał po dachówkach. Na szczęście nie musiał zarzucać liny zakończonej hakiem, który mógł narobić hałasu.

Pozostali poszli za nim, Ralph na końcu.

Zeskoczyli z dachu i ze stłumionym łoskotem wylądowali na miękkiej murawie wewnętrznego dziedzińca. Ralph czujnie spojrzał na stojące wokół kamienne kolumny rozmieszczone w regularnych odstępach. Te podcienia zdawały się patrzeć na niego jak wartownicy, lecz nic się pod nimi nie poruszało. Dobrze, że mnichom i zakonnicom nie wolno trzymać psów.

Alan poprowadził ich ciemnym przejściem i przez kuchenne drzwi.

- Kuchnia - szepnął. Pomieszczenie było słabo oświetlone węglami dogasającego paleniska. - Poruszajcie się ostrożnie, żeby nie przewrócić jakiegoś garnka.

Ralph czekał, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Niebawem dostrzegł zarys dużego stołu, kilka beczek i stos naczyń.

- Usiądźcie albo połóżcie się wygodnie - powiedział do kamratów. - Zostaniemy tu, aż wszyscy wstaną i pójdą do kościoła.

Wyjrawszy z kuchni godzinę później, Ralph policzył zakonnice i nowicjuszki wychodzące z dormitorium i kierujące się przez klauzurę do katedry. Niektóre niosły lampy rzucające dziwne cienie na sklepienie arkad.

- Dwadzieścia pięć - szepnął do Alana.

Tak jak się spodziewał, Tilly wśród nich nie było. Od goszczących w klasztorze szlachcianek nie oczekiwano uczestnictwa w mszy w środku nocy.

Kiedy wszystkie znikły w środku, ruszył. Pozostali zostali w kuchni.

Były tylko dwa miejsca, gdzie mogła spać Tilly - szpital i dormitorium zakonnice. Ralph odgadł, że czuje się bezpieczniej w dormitorium, i tam poszedł najpierw.

Cicho wszedł po kamiennych schodach. Filcowe worki tłumiły odgłos jego kroków. Zajrzał do dormitorium. Było oświetlone tylko jedną świecą. Miał nadzieję, że wszystkie zakonnice będą w kościele, gdyż nie chciał tłumu ludzi i zamieszania. Obawiał się, że jakieś siostry mogły pozostać w sypialni - te chore lub leniwe. Jednak pomieszczenie było puste - nie było tu nawet Tilly. Już miał wyjść, gdy zauważył drzwi na drugim końcu.

Przemknął przez dormitorium, biorąc po drodze świecę, i cicho przeszedł przez drzwi. W migotliwym świetle zobaczył głowę swojej młodej żony na poduszce i rozsypane na niej włosy. Wyglądała tak młodo i niewinnie, że Ralph poczuł ukłucie żalu i musiał sobie przypomnieć, jak bardzo jej nienawidzi za to, że stoi na drodze jego społecznego awansu.

Niemowlę, jego syn Geny, leżało obok w kołysce, z zamkniętymi oczami i otwartą buzią, pogrążone w spokojnym śnie.

Ralph podkraść się do łóżka i szybkim ruchem zacisnął prawą dłoń na ustach Tilly, budząc ją i jednocześnie nie pozwalając krzyknąć.

Szeroko otworzyła oczy i spojrzała na niego ze zgrozą.

Odstawił świecę. W kieszeni miał różne przydatne drobiazgi, takie jak szmaty i rzemienie. Wepchnął knebel w usta Tilly, żeby ją uciszyć. Pomimo maski i rękawicy czuł, że go rozpoznała, chociaż nie powiedział nawet słowa. Może umiała rozpoznać go po zapachu, jak pies. Nieważne. Ona nikomu o tym nie powie.

Związał jej ręce i nogi rzemieniami. Teraz się nie szarpała, ale później będzie. Sprawdził, czy knebel dobrze tkwi w jej ustach. Potem przygotował się na oczekiwanie.

Słyszał dochodzący z kościoła śpiew: chór silnych kobiecych głosów i kilka nieskładnych męskich usiłujących im dorównać. Tilly wciąż patrzyła na niego wielkimi, błagającymi oczami. Obrócił ją tak, żeby nie widzieć jej twarzy.

Domyśliła się, że zamierza ją zabić. Czytała w jego myślach. Musi być czarownicą. Może wszystkie kobiety to czarownice. W każdym razie wyczuła jego zamiary, gdy tylko podjął decyzję. Zaczęła przyglądać mu się, szczególnie wieczorami, wodząc za nim przestraszonymi oczami, obojętnie co robił. Wieczorami kiedy zasypiał, leżała przy nim sztywna i spięta, a rano, gdy się budził, ona zawsze była już na nogach. A kilka dni później znikła. Ralph i Alan daremnie jej szukali, dopóki nie usłyszeli plotki, że schroniła się w opactwie Kingsbridge.

Co przypadkiem doskonale pasowało do jego planów.

Niemowlę zakwiliło przez sen i Ralph uświadomił sobie, że Gerry może zacząć płakać. A co, jeśli zakonnice wrócą właśnie teraz? Zastanowił się. Któraś może tu przyjść, żeby sprawdzić, czy Tilly nie potrzebuje pomocy. Po prostu ją zabije, zdecydował. Nie byłby to pierwszy raz. Zabijał już zakonnice we Francji.

W końcu usłyszał, jak siostry wracają do dormitorium.

Alan obserwował je z kuchni, licząc. Kiedy wszystkie znajdą się w środku, Alan i czterech pozostałych dobędą mieczy i zrobią swoje.

Ralph postawił Tilly na nogi. Twarz miała zalaną łzami. Obrócił ją plecami do siebie, a potem

objął w talii i podniósł, sadzając sobie na biodrze. Była lekka jak dziecko.

Wyjął długi sztylet.

Na zewnątrz usłyszał męski głos: „Milczeć, albo umrzecie!”. Wiedział, że to głos Alana, chociaż stłumiony przez kaptur.

To był kluczowy moment. Na terenie klasztoru byli inni ludzie - zakonnice i pacjenci w szpitalu, mnisi w swoich kwaterach - i Ralph nie chciał, by pojawili się tu i skomplikowali sytuację.

Pomimo grózb Alana rozległo się kilka okrzyków zaskoczenia i przestraszenia, ale niezbyt głośnych, pomyślał Ralph. Na razie dobrze idzie.

Pchnięciem otworzył drzwi i wszedł do dormitorium, niosąc Tilly.

Widział wszystko w świetle przyniesionych przez zakonnice lamp. Na drugim końcu sali Alan trzymał jedną z nich w takiej samej pozycji jak Ralph Tilly, przykładając sztylet do jej gardła. Dwaj następni mężczyźni stali za Alanem. Pozostali dwaj najemnicy z pewnością stali na straży u podnóża schodów.

- Słuchajcie mnie - powiedział Ralph.

Tilly szarpnęła się konwulsyjnie. Rozpoznała jego głos. To jednak nie miało znaczenia, dopóki nie rozpoznał go nikt inny. Zapadła głucha cisza.

- Która z was jest skarbniczką? - zapytał. Żadna się nie odezwała.

Ralph przycisnął ostrze do szyi Tilly. Zaczęła się szarpać, ale była mała i przytrzymał ją z łatwością. Teraz, pomyślał, powinienem ją zabić, lecz wahał się. Zabił wielu ludzi, kobiet i mężczyzn, ale nagle wydało mu się czymś okropnym wbić nóż w to ciepłe ciało, które obejmował i całował, ciało kobiety, z którą sypiał i która urodziła mu dziecko.

Ponadto, powiedział sobie w duchu, na zakonnicach większe wrażenie zrobi śmierć jednej z nich.

Skinął na Alana.

Ten jednym szybkim ruchem poderżnął gardło zakonnicy, którą trzymał. Krew trysnęła na podłogę.

Ktoś wrzasnął.

Nie był to tylko okrzyk czy krzyk, lecz przeraźliwy wrzask przerażenia, który obudziłby zmarłego, i nie cichł, dopóki jeden z najemników nie zadał krzyczącej silnego uderzenia pałką w głowę, po którym upadła nieprzytomna na podłogę, z krwią spływającą po policzku.

- Która z was jest skarbniczką? - ponownie zapytał Ralph.

Merthin obudził się na chwilę, gdy dzwon uderzył na jutrznię i Caris wymknęła się z łóżka. Jak zwykle przewrócił się na drugi bok i zapadł w lekki sen, tak że kiedy przyszła z powrotem, wydawało

się, że nie było jej zaledwie kilka minut. Była zziębnięta, więc przytulił ją i objął. Często leżeli tak przez jakiś czas, rozmawiając, i zwykle kochali się, zanim znów zasnęli. To była ulubiona pora Merthina.

Caris przytuliła się do niego, przyciskając piersi do jego torsu. Pocałował ją w czoło. Kiedy się ogrzała, sięgnął między jej uda i delikatnie pogładził miękkie włosy.

Ona jednak miała ochotę na rozmowę.

- Czy słyszałeś wczorajszą plotkę? O banitach na północ od miasta.

- Wydaje się to trochę mało prawdopodobne.

- Nie wiem. Mury od tamtej strony są zniszczone.

- Tylko co mieliby ukraść? Wszystko, czego chcą, mogą sobie wziąć. Jeśli potrzebują mięsa, na polach są tysiące niepilnowanych bezpańskich owiec i krów.

- Właśnie dlatego to takie dziwne.

- Mamy teraz takie czasy, że kradzież jest jak przechylenie się przez płot, żeby pooddychać powietrzem sąsiada.

Westchnęła.

- Trzy miesiące temu myślałam, że ta straszna zaraza wygaśla.

- Ilu ludzi straciliśmy?

- Do Wielkanocy pochowaliśmy tysiąc. Merthin uważał, że to mniej więcej się zgadza.

- Słyszę, że w innych miastach jest podobnie.

Poczuł, jak jej włosy przesuwają się po jego ramieniu, gdy skinęła głową w ciemności.

- Sądzę, że wymarła już jedna czwarta ludności Anglii.

- I ponad połowa księży.

- To dlatego, że mają kontakt z tyloma ludźmi za każdym razem, gdy odprawiają mszę. Trudno im uniknąć zarażenia się.

- Tak więc połowę kościołów zamknięto.

- I dobrze, gdyby mnie ktoś pytał. Jestem pewna, że w tłumie zaraza rozchodzi się jeszcze szybciej.

- W każdym razie większość ludzi straciła szacunek do religii. Zdaniem Caris nie była to wielka strata.

- Może przestaną wierzyć w znachorskie metody i zaczną się zastanawiać, które metody leczenia są naprawdę skuteczne.

- Łatwo powiedzieć, ale przeciętny człowiek nie potrafi odróżnić dobrego leku od złego.

- Wymienię ci cztery zasady.

Uśmiechnął się w ciemności. Zawsze miała gotową listę.

- Dobrze.

- Pierwsza: jeśli są tuziny środków na jakieś schorzenie, możesz być pewny, że żaden z nich nie działa.

- Dlaczego?

- Ponieważ, gdyby któryś działał, ludzie zapomnieliby o pozostałych.

- Logiczne.

- Druga: to, że dany środek jest nieprzyjemny, wcale nie oznacza, że działa. Surowy mózdzek skowronka nie pomaga na chore gardło, podczas gdy filiżanka gorącej wody z miodem złagodzi ból.

- Dobrze wiedzieć.

- Trzecia: ludzkie i zwierzęce odchody do niczego się nie nadają. Zwykle tylko pogarszają stan chorego.

- Naprawdę mi ulżyło.

- Czwarta: jeśli lek wygląda tak jak choroba... na przykład nakrapiane pióra drozda na ospę lub barani mocz na żółtaczkę... zapewne jest nic niewart.

- Powinnaś napisać o tym książkę. Prychnęła pogardliwie.

- Uniwersytety wolą teksty starożytnych Greków.

- Nie mówię o książce dla studentów uniwersytetu, lecz dla takich ludzi jak ty; zakonnic, akuszerok, cyrulików i uzdrowicielek.

- Uzdrowicielki i akuszerki nie umieją czytać.

- Niektóre umieją, a inne mają ludzi, którzy mogą im przeczytać.

- Zapewne ludziom spodobałaby się książka mówiąca im, co robić z zarazą. Milczała przez chwilę.

W ciszy usłyszeli krzyk.

- Co to było? - zapytał Merthin.

- Brzmiało jak pisk zająca złapanego przez sowę - powiedziała.

- Nie, wcale nie - powiedział i wstał.

Jedna z zakonnic wystąpiła naprzód i zwróciła się do Ralpa. Była młoda - prawie wszystkie były młode - o czarnych włosach i niebieskich oczach.

- Proszę, nie rób krzywdy Tilly - poprosiła. - Jestem siostra Joan, skarbniczka. Damy wam wszystko, czego chcecie. Proszę, nie róbcie już nikomu krzywdy.

- Ja jestem Tam Hiding - powiedział Ralph. - Gdzie klucze do skarbcza?

- Mam je przy pasie.

- Zaprowadź mnie tam.

Joan zawała się. Może wyczuła, że Ralph nie wie, gdzie jest skarbiec. Podczas rekonesansu Alan zdołał zajrzeć we wszystkie kąty klasztoru, zanim został przyłapany. Wymyślił, jak dostać się do środka, wybrał kuchnię jako dobrą kryjówkę i znalazł dormitorium zakonnice, ale nie zdołał znaleźć skarbcza. Najwyraźniej Joan nie chciała wyjawić, gdzie się znajduje.

Ralph nie miał czasu do stracenia. Nie wiadomo, kto mógł usłyszeć ten krzyk. Przycisnął koniec sztyletu do gardła Tilly, aż popłynęła krew.

- Chcę zobaczyć skarbiec - warknął.

- Dobrze, tylko nie krzywdź Tilly! Pokażę ci drogę.

- Tak myślałem.

Zostawił w dormitorium dwóch najemników, żeby pilnowali zakonnice. Razem z Alanem zeszli za Joan po schodach, zabierając ze sobą Tilly.

Na dole, u stóp schodów, pozostali dwaj najemnicy trzymali w szachu trzy zakonnice, grożąc im sztyletami. Ralph domyślił się, że to te, które pełniły dyżur w szpitalu, przyszły sprawdzić, co się dzieje. Był zadowolony: następne zagrożenie usunięte. Tylko gdzie są mnisi?

Odesłał trzy zakonnice na górę, do dormitorium. Zostawił jednego najemnika na straży przed schodami, a drugiego zabrał ze sobą.

Joan zaprowadziła ich do refektarza, który znajdował się na parterze, bezpośrednio pod dormitorium. Jej migocząca lampa oświetliła stoły na kozłach, ławy, mównicę i fresk przedstawiający Jezusa na uczcie weselnej.

Na końcu pomieszczenia Joan odsunęła stół, odsłaniając klapę w podłodze. Była w niej dziurka od klucza, jak w zwyczajnych drzwiach. Skarbniczka przekręciła klucz w zamku i podniosła klapę. Ukazały się spiralne schody.

Zeszła po nich. Ralph zostawił na straży najemnika i zszedł za nią niezgrabnie przytrzymując Tilly, a Alan podążył za nim.

Ralph dotarł na dół i rozejrzył się zadowolony. Znajdował się w najświętszym miejscu, w tajnym skarbcu zakonnice. Niewielkie podziemne pomieszczenie przypominało loch, lecz było lepiej zbudowane: ściany miały z bloków gładko ociosanego kamienia, takich samych, z jakich wzniesiono katedrę, a posadzkę z dopasowanych kamiennych płyt. W środku było chłodno i sucho. Ralph położył związaną jak kurczaka Tilly na posadzce.

Większość miejsca zajmował ogromny kufer przypominający trumnę olbrzyma i przykutą do ściany. Poza tym było tu niewiele sprzętów: dwa stołki, biurko, półka ze zwojami pergaminu, zapewne z rachunkami klasztoru. Na wieszaku na ścianie wisiały dwa grube wełniane płaszcze i Ralph odgadł, że

skarbniczka i jej asystentka wkładają je tu w najchłodniejsze miesiące zimy.

Skrzynia była o wiele za duża, żeby mogła być zniesiona po schodach. Widocznie została złożona na miejscu. Ralph wskazał zniknięcie i Joan otworzyła kufer innym kluczem.

Ralph zajrzał do środka. Były tam tuziny zwojów, najwidoczniej wszystkie zapisy i nadania, będące tytułami do własności i nadanych praw, stos skórzanych i wełnianych worków niewątpliwie zawierających świątynne ozdoby i następną mniejszą skrzynkę, zapewne z pieniędzmi.

Teraz musi zdobyć się na subtelność. Przyszedł tu po te dokumenty, ale nie chciał się z tym zdradzać. Musi je ukraść, ale tak, żeby to nie wyszło na jaw.

Rozkazał Joan otworzyć mniejszą skrzynkę. Zawierała złote monety. Ralph zdziwił się, jak mało ich jest. Być może gdzieś w tym pomieszczeniu ukryto więcej, na przykład w ścianach. Jednak nie zastanawiał się nad tym, gdyż tylko udawał, że interesują go pieniądze. Wsypał monety do sakiewki przy pasie. Tymczasem Alan rozwinął worek i zaczął napełniać go świątynnymi precjozami.

Upewniwszy się, że Joan to widziała, Ralph kazał jej wracać na górę.

Tilly została tam, patrząc szeroko otwartymi i przerażonymi oczami, ale to nie miało znaczenia. Nigdy nie będzie miała okazji nikomu powiedzieć.

Ralph rozwinął drugi worek i zaczął pospiesznie wpychać do niego zwoje dokumentów.

Kiedy spakowali wszystkie, Ralph kazał Alanowi za pomocą dłuta i młotka rozbić drewnianą skrzynię. Zdjął z wieszaka wełniane płaszcze, zwinął je w kłęb i przytknął do nich świecę. Wełna natychmiast się zajęła. Rzucił na płonące płaszcze drewno z rozbitej skrzyni. Po chwili w pomieszczeniu zapłonęło ognisko i dym zaczął drapać go w gardle.

Spojrzał na Tilly leżącą na posadzce. Wyjął sztylet. Lecz znów się zawahał.

Z pałacu przeora małe drzwi prowadziły prosto do kapitułarza, z którego można było przejść do północnego transeptu katedry. Merthin i Caris wybrali tę drogę, ruszając na poszukiwanie źródła przeraźliwego krzyku. W kapitułarzu nie było nikogo, więc weszli do kościoła. Blask niesionej przez nich świecy był za słaby, żeby oświetlić ogromne wnętrza, ale stanęli na środku katedry i nasłuchiwali.

Usłyszeli szcęk zasuw.

- Kto tam? - zapytał Merthin i zawstydził się swego lekko drżącego ze strachu głosu.

- Brat Thomas! - usłyszeli.

Głos dochodził z południowego transeptu. Po chwili w kręgu światła pojawił się zakonnik.

- Wydawało mi się, że słyszałem czyjś krzyk - powiedział.

- Nam też. Jednak w kościele nie ma nikogo.

- Rozejrzyjmy się.

- Co z nowicjuszami i chłopcami?

- Kazałem im iść spać.

Przeszli przez południowy transept do klauzury mnichów. Tam też nikogo nie zobaczyli i niczego nie słyszeli. Następnie podążyli przez spiżarnię do szpitala. Pacjenci leżeli na swoich łóżkach, śpiąc, rzucając się lub jęcząc z bólu, lecz Merthin dopiero po chwili spostrzegł, że w pomieszczeniu nie ma żadnej zakonnicy.

- To dziwne - powiedziała Caris.

Ten krzyk mógł dobiegać stąd, ale nie było tu żadnych oznak paniki czy choćby zamieszania.

Poszli do kuchni, w której nie było nikogo - tak jak się spodziewali. Thomas pociągnął nosem, jakby usiłował wywęszyć trop.

- Co jest? - zapytał szeptem Merthin.

- Mnisi są czyści - mruknął w odpowiedzi Thomas. - A tu był ktoś brudny. Merthin nie czuł żadnego niezwykłego zapachu.

Thomas wziął tasak, którym kucharz rąbał mięso i kości.

Podeszli do kuchennych drzwi. Thomas ostrzegawczo podniósł kikut lewej ręki i przystanęli. Z klauzury zakonnice sączyło się słabe światło. Zdawało się padać z niszy na samym końcu. To odbity blask świecy, pomyślał Merthin. Być może palącej się w refektarzu lub z kamiennych schodów wiodących do dormitorium, albo tu i tam.

Thomas zdjął sandały i ruszył naprzód, bezszelestnie stąpając bosymi stopami po kamiennych płytach. Wtopił się w cień i Merthin ledwo widział, jak skrada się przez klauzurę.

Merthin poczuł słaby, lecz wyraźny zapach. Nie był to odór brudnych ciał, który Thomas wyczuł w kuchni, lecz jakiś inny i nowy. Po chwili zrozumiał, że to dym.

Thomas widocznie też go poczuł, gdyż zastygł pod murem.

Ktoś niewidoczny wydał pomruk zdziwienia, a potem z niszy w murze wyłoniła się jakaś postać, wyraźnie widoczna w mroku, gdyż słabe światło ukazywało sylwetkę człowieka w kapturze zakrywającym głowę i twarz. Postać odwróciła się do drzwi refektarza.

Thomas uderzył.

Tasak błysnął w ciemności i z obrzydliwym młaśnięciem wbił się w ciało. Mężczyzna wydał okrzyk przerażenia i bólu. Gdy padał, Thomas uderzył jeszcze raz i krzyk zmienił się w charkot, po czym ucichł. Z głuchym łoskotem ciało runęło na kamienną posadzkę.

Stojąca obok Merthina Caris jęknęła ze zgrozy.

Merthin podbiegł do Thomasa.

- Co tu się dzieje?!

Thomas odwrócił się do niego i machając tasakiem, dał mu znak, żeby się cofnął.

- Cicho! - syknął.

Nagle światło pojaśniało. W mgnieniu oka klauzurę rozjaśnił blask płomieni.

Ktoś z tupotem wybiegł z refektarza. Potężnie zbudowany mężczyzna trzymał w jednej ręce worek, a w drugiej płonąca pochodnię. Wyglądał jak duch, dopóki Merthin nie pojął, że intruz ma na głowie kaptur z otworami na oczy i usta.

Thomas zastąpił mu drogę i zamachnął się tasakiem. Za późno. Zanim zdążył go uderzyć, tamten wpadł na niego z impetem.

Thomas uderzył o kolumnę i dał się słyszeć głuchy stuk, gdy uderzył głową o kamień. Osunął się na ziemię nieprzytomny. Mężczyzna stracił równowagę i upadł.

Caris podbiegła i uklękła przy Thomasie.

Pojawiło się jeszcze kilku zakapturzonych mężczyzn z pochodniami. Merthin miał wrażenie, że jedni wyłonili się z refektarza, a inni zbiegli po schodach z dormitorium. Jednocześnie usłyszał krzyki i zawadzenia kobiet. Przez chwilę panowało zamieszanie.

Merthin podskoczył do Caris i próbował zasłonić ją własnym ciałem przed nadciągającym tłumem.

Intruzi zobaczyli leżącego kamrata i stanęli jak wryci, zaskoczeni niespodziewanym widokiem. W świetle pochodni widzieli, że niewątpliwie nie żyje, leżąc z głową niemal odciętą od ciała, w kałuży krwi na kamiennych płytach klauzury. Rozglądali się, zerkając przez otwory w kapturach, podobni do stadka ryb w strumieniu.

Jeden z nich dostrzegł zakrwawiony tasak Thomasa leżący obok niego i Caris. Pokazał go pozostałym. Z gniewnym pomrukiem dobył miecza.

Merthin przeraził się, że napastnik zabije Caris. Zasłonił ją, przyciągając jego uwagę. Mężczyzna ruszył na Merthina, unosząc miecz do ciosu. Merthin cofał się, odciągając go od Caris. Gdy grożące jej niebezpieczeństwo minęło, zaczął bać się o swoje życie. Cofając się, roztrzęsiony, pośliznął się w kałuży krwi zabitego. Stracił równowagę i runął na wznak.

Napastnik stanął nad nim, unosząc miecz do morderczego ciosu.

Wtedy interweniował jeden z pozostałych zbirów. Był najwyższy i poruszał się z zaskakującą szybkością. Lewą ręką złapał podniesioną rękę napastnika. Musiał cieszyć się autorytetem, gdyż wystarczyło, że pokręcił zakapturzoną głową, a napastnik posłusznie opuścił miecz.

Merthin zauważył, że jego zbawca ma na lewej ręce rękawicę z jednym palcem.

Wszystko to trwało nie dłużej niż policzenie do dziesięciu i skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Jeden z zakapturzonych ludzi odwrócił się i pobiegł w kierunku kuchni, a pozostali za nim. Merthin zrozumiał, że musieli wcześniej zaplanować tę drogę ucieczki, gdyż w kuchni znajdowały się

drzwi prowadzące na przykatedralną łąkę, przez które najszybciej można było wydostać się z klasztoru. Znikli, a bez blasku ich pochodni w klauzurze zrobiło się ciemno.

Merthin wciąż stał nieruchomo, nie wiedząc, co robić. Czy biec za intruzami, pójść na górę do dormitorium i zobaczyć, dlaczego zakonnice krzyczą, czy ustalić, gdzie się pali?

Klęknął przy Caris.

- Czy Thomas żyje? - zapytał.

- Myślę, że uderzył się w głowę i jest nieprzytomny, ale oddycha i nie krwawi. Za plecami Merthin usłyszał znajomy głos siostry Joan.

- Pomóżcie mi, proszę! - Odwrócił się. Stała w drzwiach refektarza, z twarzą groteskowo oświetloną lampą, którą trzymała, z głową spowitą dymem niczym modnym czepcem. - Na rany boskie, chodźcie tu szybko!

Wstał. Joan znikła w refektarzu, Merthin wbiegł tam za nią.

Lampa rzucała dziwne cienie, ale jakoś udało mu się nie potknąć o żaden mebel, gdy podążał za nią na koniec pomieszczenia. Dym buchał z otworu w podłodze. Merthin natychmiast spostrzegł, że włącz jest dziełem solidnego budowniczego: idealny kwadrat o równych brzegach i z dopasowaną klapą. Domyślił się, że to sekretny skarbiec zakonnice zbudowany w tajemnicy przez Jeremiaha. Jednak tej nocy złodzieje go znaleźli.

Wciągnął dym w płuca i zakaszał. Zadawał sobie pytanie, co się pali tam na dole i dlaczego, ale nie miał zamiaru tego sprawdzać - wydawało się to zbyt niebezpieczne.

Nagle Joan krzyknęła:

- Tam jest Tilly!

- Dobry Boże - jęknął z rozpaczą Merthin i wszedł na schody. Musiał wstrzymać oddech. Wbił wzrok w dym. Mimo przestachu wprawnym okiem budowniczego ocenił, że spiralne schody są dobrze zrobione, każdy stopień takiej samej wielkości i kształtu, i osadzony pod takim samym kątem jak następny, tak więc mógł pewnie po nich zbiec, chociaż nie widział, co ma pod nogami.

W mgnieniu oka dotarł do podziemnej komnaty. Dostrzegł płomienie na jej środku. Było bardzo gorąco i wiedział, że nie wytrzyma tu dłużej jak krótką chwilę. Dym był gęsty. Wciąż wstrzymywał oddech, lecz oczy zaczęły mu łzawić i niewiele widział. Otarł je rękawem, wbijając wzrok w dym. Gdzie jest Tilly? Nie widział podłogi.

Opadł na kolana. Teraz widział nieco lepiej: na dole dym nie był tak gęsty. Poruszał się na czworakach, zaglądając w kąty, macając ręką tam, gdzie nie mógł niczego dojrzeć.

- Tilly! - krzyknął. - Tilly, gdzie jesteś?

Dym dusił go i Merthin dostał ataku kaszlu, który zagłuszył ewentualną odpowiedź dziewczyny.

Nie mógł dłużej czekać. Zanosił się kaszlem i z każdym oddechem zdawał się wciągać w płuca więcej dymu. Łzy płynęły mu z oczu, prawie go oślepiając. W przyptywie rozpacz podszedł tak blisko ognia, że płomienie osmalily mu rękaw. Jeśli straci przytomność i upadnie, z pewnością tu zginie.

Nagle jego dłoń natrafiła na ciało.

Zacisnął ją. To była ludzka noga, mała, dziewczęca. Przyciągnął ją do siebie. Jej odzienie dymiło. Ledwie widział jej twarz i nie mógł orzec, czy jest przytomna, ale ręce i nogi miała związane rzemieniami, więc nie mogła poruszać się samodzielnie. Usiłując powstrzymać kaszel, wsunął pod nią rękę i ją podniósł.

Gdy tylko wstał, dym stał się oślepiająco gęsty. Nagle Merthin nie mógł sobie przypomnieć, gdzie znajdują się schody. Chwiejnie oddalił się od płomieni i wpadł na ścianę, o mało nie upuszczając Tilly. Po lewej czy po prawej? Ruszył w lewo i napotkał mur. Zmienił zamiar i cofnął się.

Miał wrażenie, że tonie. Tracąc siły, osunął się na kolana. To go uratowało. Ponownie odkrył, że tuż nad podłogą lepiej widzi, i ujrzał kamienny stopień, który pojawił się tuż przed nim, niczym niebiańska wizja.

Rozpaczliwie ściskając bezwładne ciało Tilly, na kolanach dotarł do schodów. Podniósł się resztkami sił. Postawił stopę na najniższym stopniu i dźwignął ciało w górę, a potem zdołał pokonać następny stopień. Zanosząc się kaszlem, z trudem gramolił się w górę, aż skończyły się schody. Zachwiał się, upadł na klęczki, upuścił Tilly i osunął się na posadzkę refektarza.

Ktoś pochylił się nad nim.

- Zamknijcie klapę - wymamrotał Merthin. - Zduście ogień! Po chwili usłyszał trzask opuszczanej klapy.

Ktoś złapał go pod rękę. Na moment otworzył oczy i ujrzał twarz Caris, a potem wszystko zasnuła mgła. Caris przeciągnęła go po posadzce. Dym zrobił się mniej gęsty i Merthin zaczął wciągać w płuca powietrze. Wiedział, że wynoszą go na zewnątrz, i poczuł smak czystego nocnego powietrza. Caris puściła go i usłyszał, jak biegiem wraca do środka.

Jęknął, zakaszłał, jęknął i znów zakaszłał. Powoli zaczął normalnie oddychać. Oczy przestały mu łzawić i zobaczył, że nadchodzi świt. W słabym świetle ujrzał otaczający go krąg zakonnic.

Usiadł. Caris z jeszcze jedną zakonnicą wyciągnęły Tilly z refektarza i położyły przy nim. Caris pochyliła się. Merthin usiłował coś powiedzieć, zakaszłał i spróbował ponownie.

- Co z nią?

- Została pchnięta sztyletem w serce - powiedziała Caris i zaczęła płakać. - Nie żyła już, kiedy ją znalazłem.

Merthin otworzył oczy i zobaczył, że jest jasny dzień. Spał długo - kąt padania promieni słonecznych wpadających przez okno sypialni powiedział mu, że dochodzi południe. Wypadki minionej nocy były jak zły sen i przez moment krzepił się myślą, że może wcale się nie zdarzyły. Jednak pierś bolała go przy każdym oddechu i piekła poparzona twarz. Przypomniawszy sobie okropną śmierć Tilly. I siostry Nellie. Obie młode i niewinne. Jak Bóg może pozwalać, by zdarzały się takie rzeczy?

Pojał, co go zbudziło, gdy jego spojrzenie padło na Caris stawiającą tacę na stoliku obok łóżka. Była odwrócona do niego plecami, lecz widząc jej pochylone ramiona i głowę, wiedział, że jest rozgniewana. I nic dziwnego. Była przygnębiona śmiercią Tilly i rozgniewana pogwałceniem świętości i bezpieczeństwa klasztoru.

Merthin wstał. Caris przysunęła do stołu dwa taborety i oboje usiedli. Czułe przyjrzał się jej twarzy. Dostrzegł podkrążone z napięcia oczy i zaczął się zastanawiać, czy w ogóle spała. Na lewym policzku miała smugę sadzy, więc polizał kciuk i delikatnie ją starł.

Przyniosła świeży chleb, masło i dzban cydru. Merthin stwierdził, że jest głodny i spragniony, więc zaczął się posilać. Caris, kipiąc ze złości, nie jadła.

- Jak ma się Thomas? - zapytał z pełnymi ustami.

- Leży w szpitalu. Boli go głowa, ale może sensownie rozmawiać i odpowiadać na pytania, więc zapewne jego mózg nie został trwale uszkodzony.

- Dobrze. Będzie dochodzenie w sprawie śmierci Tilly i Nellie?

- Posłałam wiadomość do szeryfa Shiring.

- Zapewne obwinia o to Tama Hidinga.

- Tam Hiding nie żyje.

Skinął głową. Wiedział, co zaraz będzie. Śniadanie trochę podniosło ją na duchu, ale teraz znów wpadła w przygnębienie. Przelknął i odsunął talerz.

- Kimkolwiek był ten, który przyszedł tu zeszłej nocy, chciał ukryć swoją tożsamość, więc kłamał - powiedziała Caris. - Nie wiedział, że Tam umarł w moim szpitalu trzy miesiące temu.

- Jak myślisz, kto to mógł być?

- Ktoś, kogo znamy... stąd maski.

- Możliwe.

- Banici nie noszą masek.

Miała rację. Żyjąc poza prawem, nie przejmowali się, kto ich rozpozna i jakie przypisze im zbrodnie. Ci napastnicy postępowali inaczej. Ich maski sugerowały, że byli szanowanymi obywatelami, którzy obawiali się, że zostaną rozpoznani.

- Zabili Nellie, żeby zmusić Joan do otwarcia skarbcu - ciągnęła z nieubłaganą logiką Caris. - Nie musieli jednak zabijać Tilly, bo przecież już byli w skarbcu. Chcieli jej śmierci z jakiegoś innego powodu. I nie zadowolili się pozostawieniem jej tam, żeby udusiła się dymem i spaliła, ale ją zasztyletowali. Z jakiegoś powodu chcieli mieć pewność, że umrze.

- Co ci to mówi?

Caris nie odpowiedziała na to pytanie.

- Tilly twierdziła, że Ralph chce ją zabić.

- Wiem.

- Jeden z zakapturzonych mężczyzn w pewnej chwili już miał cię usieć... - Głos uwiązał jej w gardle i musiała zamilknąć. Upiła łyk cydru z kubka Merthina, opanowała się i podjęła: - Jednak ich herszt go powstrzymał. Dlaczego? Przecież już zamordowali zakonnice i szlachciankę, dlaczego oszczędzili zwykłego budowniczego?

- Myślisz, że to był Ralph?

- A ty nie?

- Tak - Merthin westchnął ciężko. - Widziałaś jego rękawicę?

- Zauważyłam, że nosił rękawiczki. Merthin pokręcił głową.

- Tylko jedną. Na lewej ręce. I nie zwykłą rękawicę, tylko z jednym palcem.

- Chciał ukryć brak palców.

- Tego nie wiemy i niczego nie możemy dowieść, ale mam paskudne podejrzenia, że to on.

Caris wstała.

- Obejrzyjmy szkody.

Poszli do klauzury zakonnice. Nowicjusze i osieroceni chłopcy sprząтали skarbiec, wnosząc spiralnymi schodami wiadra zwęglonego drewna i popiołu, oddając siostrze Joan wszystko, co nie było całkowicie zniszczone, a resztę wynosząc na stertę nawozu.

Na stole w refektarzu Merthin ujrzał porozkładane katedralne precjoza: złote i srebrne świeczniki, krucyfiksy i naczynia mszalne, wszystkie pięknej roboty i wysadzane drogimi kamieniami.

- Nie wzięli ich? - zapytał zdziwiony.

- Wzięli, ale chyba rozmyślili się i porzucili je w rowie za miastem. Jakiś wieśniak idący z jajami na targ znalazł je dziś rano. Na szczęście był uczciwy.

Merthin podniósł złotą akwamanilę, dzbanek do mycia rąk w kształcie kogucika z pięknie rytymi piórami na szyi.

- Coś takiego trudno sprzedać. Tylko nielicznych na to stać, a większość z nich domyśliłaby się,

skąd to zostało skradzione.

- Złodzieje mogli stopić ozdoby i sprzedać złoto.
- Najwyraźniej uznali, że to zbyt wiele zachodu.
- Być może.

Nie była przekonana. Merthin też nie: nie przekonywało go jego własne wyjaśnienie. Było oczywiste, że napad został starannie przygotowany. Dlaczego więc złodzieje z góry nie zdecydowali, co zrobić z ozdobami? Po co je wzięli, a potem porzucili?

Caris z Merthinem zeszli po schodach do skarbcza. Merthin poczuł ucisk w żołądku na wspomnienie okropności minionej nocy. Kolejni nowicjusze myli ściany i podłogę.

Caris odesłała ich na przerwę. Gdy została sama z Merthinem, zdjęła z półki kawałek drewna i podważyła nim jedną z płyt posadzki. Merthin wcześniej nie zauważył, że ten kamień nie był dopasowany równie dobrze jak inne i miał wokół wąską szczelinę. Teraz zobaczył, że pod płytą znajduje się przestronna skrytka zawierająca drewnianą skrzynię. Caris wyjęła ją i otworzyła kluczem, który miała przy pasie. Szkatułka była pełna złotych monet.

- Przeoczyli ją? - zdziwił się Merthin.
- Są tu jeszcze trzy takie skrytki - powiedziała Caris. - Jeszcze jedna w podłodze i dwie w ścianach. Przeoczyli wszystkie.
- Chyba nie szukali zbyt długo. W większości skarbców są skrytki. Każdy to wie.
- Szczególnie rabusie.
- Może więc wcale nie chodziło im o pieniądze?
- Właśnie.

Caris zamknęła skrzynkę i schowała ją do skrytki.

- Jeśli nie chcieli kosztowności i nie byli na tyle zainteresowani pieniędzmi, żeby poszukać skrytek, to po co w ogóle tu przybyli?

- Zabić Tilly. Rabunek był przykrywką. Merthin zastanowił się nad tym.
- Nie potrzebowali tak wymyślnej przykrywki - rzekł po chwili. - Jeśli chcieli tylko zabić Tilly, mogli zrobić to w dormitorium i wynieść się stamtąd, zanim zakonnice wróciły z jutrzni. Gdyby zrobili to ostrożnie... na przykład udusili ją puchową poduszką... nawet nie bylibyśmy pewni, czy została zamordowana. Wyglądałoby to tak, jakby umarła we śnie.

- Zatem tego napadu nie da się wytłumaczyć. Zdobyli tyle co nic, kilka złotych monet.

Merthin rozejrzał się po podziemnej komnacie.

- Gdzie są dokumenty? - zapytał.
- Najwyraźniej spłonęły. Niewielka strata. Mam kopie wszystkich.

- Pergamin niełatwo się pali.
- Nigdy nie próbowałam go palić.
- Dymi, kurczy się i odkształca, ale nie zajmuje się ogniem.
- Może zwoje zostały wyjęte z popiołów.
- Sprawdźmy.

Weszli po schodach na górę, opuszczając skarbiec. Na zewnątrz, w klauzurze, Caris zapytała

Joan:

- Czy znalazłaś jakieś zwoje w popiołach? Joan pokręciła głową.
- Żadnych.
- Mogłaś je przeoczyć?
- Nie sądzę, chyba że spaliły się na popiół.
- Merthin mówi, że pergamin się nie pali. - Zwróciła się do niego: - Kto mógłby potrzebować

naszych dokumentów? Nikomu innemu na nic się nie zdadzą.

Merthin podążył za nitką swojej własnej logiki, chcąc sprawdzić, dokąd go doprowadzi.

- Załóżmy, że masz pewien dokument lub możesz go mieć albo oni myślą, że go masz, i chcą ci go odebrać.

- Cóż to mógłby być za dokument? Merthin ściągnął brwi.

- Dokumenty są przeznaczone do publicznej wiadomości. Jeśli coś się zapisuje, to po to, żeby ludzie mogli to odczytać w przyszłości. Sekretny dokument to dziwna rzecz...

Zamyślił się.

Odciągnął Caris od Joan i przez chwilę spacerował z nią po klauzurze, aż upewnił się, że nikt ich nie słyszy.

- My przecież wiemy o pewnym sekretnym dokumencie...
- O liście, który Thomas zakopał w lesie?
- Tak.
- Tylko dlaczego ktoś mógłby sądzić, że znajduje się w skarbcu zakonnic?
- No cóż, pomyślmy. Czy ostatnio wydarzyło się coś, co mogłoby wzbudzić takie podejrzenie?

Caris stropiła się.

- Na mą duszę! - wykrzyknęła.
- Zatem było coś takiego.
- Mówiłam ci o tym, że Lynn Grange dała nam przed wieloma laty królowa Izabela za przyjęcie

Thomasa do zakonu.

- Czy rozmawiałaś o tym z kimś?

- Tak, z zarządcą Lynn. I Thomas był na mnie z tego powodu zły. Powiedział, że będzie to miało przykre następstwa.

- Zatem ktoś się obawia, że sekretny list Thornasa mógł się dostać w twoje ręce.

Ralph?

- Nie sądzę, żeby Ralph wiedział o istnieniu tego listu. Ja jako jedyna z naszej gromadki dzieci widziałam, jak Thomas go zakopuje. Na pewno nigdy o tym nie wspominał. Ralph musiał działać na czyjeś polecenie.

Caris wyglądała na przestraszoną.

- Królowej Izabeli? - spytała.

- Albo samego króla.

- Czy to możliwe, by król kazał Ralphowi napaść na klasztor?

- Nie, nie osobiście. Użył jakiegoś pośrednika, kogoś lojalnego, ambitnego i całkowicie pozbawionego skrupułów. Widziałem takich ludzi we Florencji, kręcących się wokół pałacu doży. To szumowiny.

- Zastanawiam się, kto to był.

- Chyba się domyślam - rzekł Merthin.

Gregory Longfellow spotkał się z Ralphem i Alanem dwa dni później w Wigleigh, w małym dworcu z bali. Wigleigh było znacznie dyskretniejszym miejscem niż Tench. W Tench Hall kręciło się zbyt wiele osób obserwujących każdy ruch Ralpa: służba, poplecznicy, jego rodzice. Tutaj, w Wigleigh, wieśniacy byli zajęci swoimi sprawami i nikt nie zapytał Ralpa o zawartość worka niesionego przez Alana.

- Rozumiem, że wszystko poszło zgodnie z planem - zagaił Gregory. Wieść o napadzie na klasztor błyskawicznie rozeszła się po hrabstwie.

- Nie było to zbyt trudne - rzekł Ralph.

Był trochę rozczarowany powściągliwą reakcją Gregory'ego. Po tym, jak zadał sobie tyle trudu, żeby zdobyć te dokumenty, Gregory mógłby okazać trochę entuzjazmu.

- Oczywiście szeryf rozpoczął dochodzenie - kwaśno zauważył Gregory.

- Obwinia o to banitów.

- Nie zostaliście rozpoznani?

- Nosiliśmy kaptury.

Gregory dziwnie spojrzał na Ralpa.

- Nie wiedziałem, że twoja żona była w tym klasztorze.

- Sprzyjający zbieg okoliczności - mruknął Ralph. - Pozwolił mi zabić dwa ptaki jednym

kamieniem.

Prawnik spojrzał na niego jeszcze dziwniej. Co on sobie myśli? Czy zamierza udawać wstrząśniętego tym, że Ralph zabił swoją żonę? Jeśli tak, to Ralph był gotowy przypomnieć mu, że on, Gregory, jest współwinny wszystkiego, co stało się w klasztorze - on to zlecił. Nie ma prawa osądzać Ralpa. Czekał na odpowiedź Gregory'ego, lecz ten po długiej chwili milczenia, powiedział tylko:

- Popatrzmy na te dokumenty.

Odesłali gospodynię, Virę, wydając jej polecenie, którego wykonanie miało zająć sporo czasu, i Ralph kazał Alanowi stanąć pod drzwiami i nikogo nie wpuszczać. Potem Gregory wysypał dokumenty na stół, usiadł wygodnie i zaczął je przeglądać. Jedne były zwinięte i związane sznurkiem, inne złożone, a jeszcze inne pozszywane w broszury. Otworzył jeden, przeczytał kilka linijek w jasnym świetle wpadającym przez otwarte okna, po czym wrzucił dokument do worka i wyjął następny.

Ralph nie wiedział, czego szuka Gregory, ponieważ wspomniał tylko, że chodzi o dokument, który mógłby wprawić w zakłopotanie króla. Ralph nie miał pojęcia, jakież to Caris mogłaby posiadać dokument, który mógłby zakłopotać króla.

Nudził się, patrząc, jak Gregory czyta, ale nie zamierzał wyjść. Dostarczył to, czego chciał prawnik, i zamierzał siedzieć tu, aż usłyszy z jego ust potwierdzenie, że dotrzymał swojej części umowy.

Gregory cierpliwie przeglądał dokumenty. Jeden przykuł jego uwagę i przeczytał go do końca, ale potem wrzucił do worka z innymi Ralph i Alan spędzili większość minionego tygodnia w Bristolu. Niepodobna, żeby ktoś pytał ich, co robili, ale na wszelki wypadek podjęli środki ostrożności. Zabawiali się w gospodach każdego wieczoru, oprócz tej nocy, gdy pojechali do Kingsbridge. Ich towarzysze zapewne zapamiętają stawiane kolejki, lecz nie ten jeden wieczór, gdy Ralph i Alan byli nieobecni - a gdyby nawet, to z pewnością nie będą w stanie sobie przypomnieć, czy była to środa, czy czwartek po Wielkanocy.

W końcu stół był pusty, a worek pełny.

- Nie znalazłeś tego, czego szukałeś? - zapytał Ralph.

Gregory nie odpowiedział.

- Przyniosłeś wszystko?

- Wszystko.

- Dobrze.

- Zatem nie znalazłeś?

Gregory ostrożnie dobierał słowa. Jak zawsze.

- Tego konkretnego dokumentu tu nie ma. Jednakże natrafiłem na inny, który może wyjaśniać, dlaczego ta... kwestia... wyłoniła się w ostatnich miesiącach.

- A więc jesteś zadowolony? - nalegał Ralph.

- Tak.

- I król już nie musi się niepokoić? Gregory miał zniecierpliwioną minę.

- Nie powinieneś przejmować się niepokojem króla. Ja to robię.

- Zatem mogę się spodziewać obiecanej nagrody?

- Och tak - odparł Gregory. - Do zniw będziesz hrabią Shiring. Ralph poczuł głęboką satysfakcję. Hrabia Shiring - nareszcie. Zdobył to, czego zawsze chciał, a jego ojciec jeszcze żyje i usłyszy tę wieść.

- Dziękuję - powiedział.

- Na twoim miejscu - rzekł Gregory - poszedłbym i oczarował lady Philippe.

- Oczarował? - zadziwił się Ralph. Gregory wzruszył ramionami.

- Oczywiście ona nie ma w tej sprawie żadnego wyboru. Mimo wszystko należy zachować pozory. Powiedz jej, że król pozwolił ci prosić ją o rękę i że masz nadzieję, że z czasem pokocha cię tak bardzo, jak ty kochasz ją.

- Och... Dobrze.

- Daj jej jakiś prezent - doradził Gregory.

73

W dniu pogrzebu Tilly Caris i Merthin spotkali się o świcie na dachu katedry.

Dach był odrębnym światem. Obliczanie powierzchni dachówek stanowiło jedno z podstawowych zadań na lekcjach geometrii w szkole przyklasztornej. Robotnicy potrzebowali doń swobodnego dostępu, by dokonywać napraw i konserwacji, więc pajęczyna kładek i drabinek łączyła skosy i płaszczyzny, naroża i krawędzie, wieżyczki i filary, rynny i gargulce. Środkowa wieża jeszcze nie została odbudowana, lecz widok ze szczytu zachodniej fasady robił wrażenie.

W opactwie panował ruch. Pogrzeb miał być okazały. Tilly za życia była nikiem, lecz teraz stała się ofiarą potwornego morderstwa, szlachcianką zabita w klasztorze, i mieli ją oplakiwać ludzie, którzy nie zamienili z nią nawet trzech słów, kiedy żyła. Ze względu na ryzyko rozwleczenia zarazy Caris najchętniej zakazałaby ludziom udziału w pogrzebie, lecz nie mogła tego zrobić.

Biskup już tu był, w najlepszym pokoju pałacu przeora, i dlatego Caris i Merthin spędzili tę noc osobno: ona w dormitorium zakonnic, a on z Lollą w Holly Bush. Pogrążony w żalu wdowiec, Ralph, nocował w pokoju gościnnym nad szpitalem. Zakonnice zajmowały się jego synem, małym Gerrym. Lady Philippa i jej córka Odila, jedyne żyjące krewne zabitej dziewczyny, również zatrzymały się w szpitalu.

Ani Merthin, ani Caris nie rozmawiali z Ralphem, gdy przybył poprzedniego dnia. Nic nie

mogli zrobić, w żaden sposób wymierzyć mu sprawiedliwej kary za zabicie Tilly, ponieważ niczego nie mogli mu udowodnić, ale znali prawdę. Dotychczas nie powiedzieli nikomu o swoich podejrzeniach, ponieważ nie miałyby to sensu. Podczas dzisiejszego pogrzebu będą musieli udawać i traktować Ralpha tak, jakby nic się nie stało. To będzie trudne.

Podczas gdy ich ważni goście spali, zakonnice i służki klasztorne uwijały się, przygotowując stypę. Dym unosił się nad piekarnią, gdzie piekły się tuziny długich, czterofuntowych bochenków żytniego chleba. Dwaj słudzy toczyli beczkę z piwem do domu przeora. Kilka nowicjuszek ustawiało na łące ławy i stół na kozłach dla pospólstwa.

Gdy słońce wstało nad rzeką, rzucając skośne promienie na dachy Kingsbridge, Caris szukała wzrokiem zniszczeń dokonanych w mieście przez trwającą dziewięć miesięcy zarazę. Z wysoka widziała puste miejsca w rzędach domów, niczym zepsute zęby. Oczywiście domy z bali często popadały w ruinę - z powodu pożarów, ulewnych deszczów, wadliwej konstrukcji lub po prostu ze starości. Teraz jednak nikomu nie chciało się ich naprawiać. Jeśli dom się walił, mieszkańcy po prostu przenosili się do jednego z pustych budynków przy tej samej ulicy. Jedynym, który coś budował, był Merthin, na którego spoglądano jak na szalonego optymistę mającego za dużo pieniędzy.

Po drugiej stronie rzeki grabarze już pracowali na następnym, niedawno poświęconym cmentarzu. Zaraza wciąż szalała. Czym to się skończy? Czy domy wciąż będą się walić, jeden po drugim, aż nie pozostanie żaden i miasto zmieni się w pustynię połamanych dachówek i osmalonych belek, z opuszczoną katedrą pośrodku i stuakrowym cmentarzem na skraju?

- Nie pozwolę na to - oznajmiła. Merthin w pierwszej chwili nie zrozumiał.

- Na pogrzeb? - rzekł, marszcząc brwi.

Caris szerokim gestem ogarnęła miasto i świat poza nim.

- Na to wszystko. Na pijaków kaleczących się nawzajem. Rodziców porzucających chore dzieci na progu mojego szpitala, mężczyzn ustawiających się w kolejce, żeby chędożyć pijaną dziewczkę na stole w gospodzie. Bydło zdychające na pastwiskach. Półnagich biczowników batożących się i zbierających pieniądze od gapiów. A przede wszystkim na brutalne mordowanie młodych matek w moim klasztorze. Nie dbam o to, czy wszyscy umrzemy na zarazę. Dopóki żyję, nie pozwolę, żeby nasz świat się rozpadł.

- Co zamierzasz zrobić?

Z wdzięcznością uśmiechnęła się do Merthina. Większość ludzi powiedziałaaby jej, że nie zdoła niczego zmienić, lecz on zawsze w nią wierzył. Spojrzała na kamienne anioły wyrzeźbione na wieżyczce, o twarzach zatartych przez dwieście lat wiatrów i deszczu, i pomyślała o duchu kierującym budowniczymi katedry.

- Znów zaprowadzimy tu prawo i porządek. Zmusimy mieszkańców Kingsbridge do powrotu do

normalności, czy im się to podoba, czy nie. Odbudujemy to miasto i jego życie, pomimo plagi.

- Dobrze.

- To odpowiednia chwila.

- Ponieważ wszyscy są rozgniewani śmiercią Tilly?

- I ponieważ przeraża ich myśl, że uzbrojeni ludzie mogą w nocy wejść do miasta i zamordować, kogo zechcą. Myślą, że nikt nie jest bezpieczny.

- Co zrobisz?

- Zamierzam powiedzieć im, że to nigdy nie może się powtórzyć.

- To nigdy nie może się powtórzyć! - zawołała, a jej głos przeleciał przez cmentarz i odbił się echem od szarych ścian katedry.

Kobiecie nie wolno było przemawiać podczas mszy w kościele, lecz ceremonia pogrzebowa była szarą strefą, posępną uroczystością odprawianą pod gołym niebem, podczas której laicy, na przykład z rodziny zmarłego, czasem przemawiali lub głośno się modlili.

Mimo to Caris nadstawiała karku. Ceremonię odprawiał biskup Henri wspierany przez archidiakona Lloyda i kanonika Claude'a. Lloyd był urzędnikiem diecezji od kilkadziesiąt lat, a Claude przyjacielem Henriego z Francji. W takim szacownym gronie duchownych wygłaszanie przez zakonnice nieuzgodnionej wcześniej przemowy było zuchwalstwem. »

Oczywiście Caris nigdy nie przejmowała się takimi drobiazgami.

Zaczęła mówić, gdy małą trumnę spuszczano do grobu. Kilka osób płakało. Tłum liczył co najmniej pięćset ludzi, lecz ucichł na dźwięk jej głosu.

- Uzbrojeni ludzie wtargnęli w nocy do naszego miasta i zabili w klasztorze młodą dziewczynę - powiedziała. - Nie zamierzam tego tolerować.

Tłum odpowiedział zgodnym pomrukiem. Podniosła głos.

- Opactwo nie będzie tego tolerować, biskup nie będzie tego tolerował i mieszkańcy Kingsbridge też nie będą tolerowali czegoś takiego!

Okrzyki poparcia przybrały na sile.

- Nie! Amen! - krzyczał tłum.

- Ludzie mówią, że tę plagę zesłał Pan Bóg. Ja mówię, że gdy Bóg zsyła deszcz, chronimy się pod dachem. Kiedy zsyła zimę, rozpalamy ogniska. Kiedy Bóg zsyła chwasty, wrywamy je z korzeniami. Musimy się bronić!

Zerknęła na biskupa Henriego. Miał rozbawioną minę. Nie został uprzedzony o tej przemowie i gdyby Caris poprosiła go o zgodę, z pewnością by odmówił, ale teraz widział, że ludzie są po jej stronie i nie miał odwagi się wtrącać.

- Co możemy zrobić?

Rozejrzała się. Wszyscy spoglądali na nią wyczekująco. Nie mieli pojęcia, co robić, ale chcieli usłyszeć od niej radę. Byli gotowi z entuzjazmem przyjąć każde rozwiązanie, byle tylko dawało im nadzieję.

- Musimy odbudować mur otaczający miasto! - odpowiedziała. Zostało to przyjęte chóralnym okrzykiem aprobaty.

- Nowy mur, wyższy, mocniejszy i dłuższy od starego, który się zawalił. - Podchwyciła spojrzenie Ralpha. - Mur, który zatrzyma morderców!

- Tak! - ryknął tłum. Ralph odwrócił wzrok.

- I musimy wybrać nowego konstabla oraz jego zastępców i wartowników, aby pilnowali przestrzegania prawa i zaprowadzili porządek.

- Tak!

- Na zebraniu gildii parafialnej omówimy szczegóły, a jej postanowienia zostaną ogłoszone w kościele w przyszłą niedzielę. Dziękuję i niech Bóg błogosławi was wszystkich.

Na stypie w wielkiej sali pałacu przeora biskup Henri zajął miejsce u szczytu stołu. Po jego prawej siedziała lady Philippa, owdowiała hrabina Shiring. Obok niej usiadł główny żałobnik, mąż Tilly, sir Ralph Fitzgerald.

Ralph był zadowolony z tego, że siedzi obok Philippy. Mógł gapić się na jej piersi, kiedy była zajęta jedzeniem, a za każdym razem, gdy się pochyliła, mógł zajrzeć za dekolt jej lekkiej letniej sukni. Jeszcze o tym nie wiedziała, lecz niedługo przyjdzie chwila, kiedy każe jej zdjąć odzienie i stanąć przed nim nago, a wtedy zobaczy te wspaniałe piersi w całej ich okazałości.

Zauważył, że obiad przygotowany przez Caris jest odpowiedni, lecz bez ekstrawagancji. Nie było złożonych łabędzi i wieńców słodczy, lecz mnóstwo pieczonego mięsa, gotowanych ryb, świeżego chleba, fasoli i wczesnych owoców. Nalał Philippie zupy - kremu z kury z dodatkiem mleczka migdałowego.

- To straszna tragedia - powiedziała poważnie. - Głęboko ci współczuję. Ludzie tak mu współczuli, że chwilami Ralph uważał się za nieszczęsną ofiarę okropnego wypadku, zapominając, że to on sam wbił sztylet w młode serce swej żony.

- Dziękuję - odparł równie poważnie. - Tilly była taka młoda. Jednak my, żołnierze, jesteśmy przyzwyczajeni do nagłych śmierci. Jednego dnia ktoś ratuje ci życie i przysięga wieczną przyjaźń i lojalność, a nazajutrz pada z sercem przeszytym strzałą i wkrótce go zapominasz.

Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, które przypominało mu to, jak patrzył na niego sir Gregory - z mieszaniną zaciekawienia i odrazy. Zastanawiał się, czy to jego stosunek do śmierci Tilly wywołał

taką reakcję.

- Masz małe dziecko - zauważyła Philippa.

- Gerry'ego. Dzisiaj zajmują się nim zakonnice, ale jutro zabiorę go do Tench Hall. Znalazłem mu niańkę. - Dostrzegł sposobność do poczynienia aluzji. - Oczywiście potrzebuje kogoś, kto mógłby mu należycie matkować.

- Tak.

Przypomniał sobie o jej stracie.

- Sama wiesz, jak to jest stracić współmałżonka.

- Miałam szczęście żyć z moim kochanym Williamem przez dwadzieścia jeden lat.

- Musisz czuć się samotna.

Może nie był to odpowiedni moment na oświadczyzny, ale uznał, że rozmowa zmierza w tym kierunku.

- Istotnie. Straciłam moich trzech mężczyzn: Williama i obu naszych synów. Zamek wydaje się teraz taki pusty.

- Może jednak nie na długo.

Spojrzała na niego, jakby nie wierzyła własnym uszom, i uświadomił sobie, że powiedział coś niewłaściwego. Odwróciła się i zaczęła rozmawiać z siedzącym z drugiej strony biskupem Henrim.

Po prawej ręce Ralpha siedziała córka Philippy, Odila.

- Chcesz trochę tego pasztetu? - zapytał ją. - Jest zrobiony z pawi i zajęcy. - Skinęła głową i ukroił jej kawałek. - Ile masz lat?

- W tym roku skończę piętnaście.

Była wysoka i już miała figurę matki - pełne piersi i szerokie, kobiece biodra.

- Wyglądasz na starszą - rzekł, patrząc na jej piersi.

To miał być komplement - młodzi ludzie zawsze chcą być starsi - ale ona zarumieniła się i odwróciła wzrok.

Ralph spojrzał na swój półmisek i nabił na nóż kawałek wieprzowiny gotowanej z imbirem. Jadł w ponurym milczeniu. Nie był zbyt dobry w tym, co Gregory nazywał oczarowywaniem.

Caris miała po prawej biskupa Henriego, a po drugiej ręce Merthina jako przewodniczącego gildii. Obok Merthina siedział sir Gregory Longfellow, który przybył przed trzema miesiącami na pogrzeb hrabiego Williama i jeszcze nie opuścił tej okolicy. Caris z trudem skrywała niesmak wywołany koniecznością zasiadania przy jednym stole z mordercą Ralphem i człowiekiem, który niemal na pewno go do tego namówił. Musiała jednak coś załatwić podczas tej stypy. Miała plan odrodzenia miasta. Odbudowa murów miejskich stanowiła tylko pierwszą jego część. By zrealizować

drugą, musiała przeciągnąć na swoją stronę biskupa Henriego.

Nalała biskupowi przedniego czerwonego gaskońskiego wina, a on upił solidny łyk.

- Wygłosiłaś dobrą przemowę - rzekł, otarłszy usta.

- Dziękuję - odparła Caris, zauważając ukrytą w tej wzmiance ironiczną przyganę. - To miasto pogrąża się w chaosie i rozwiązłości i jeśli mamy to naprawić, musimy obudzić ducha w jego mieszkańcach. Jestem pewna, że się z tym zgadzasz.

- Trochę za późno pytać, czy się z tobą zgadzam. Jednak owszem. Henri był pragmatykiem, który nie lubił toczyć z góry przegranych walk. Na to liczyła.

Ukroiła sobie kawałek czapli z pieprzem i goździkami, ale nie zaczęła jeść - zbyt wiele miała do powiedzenia.

- Mój plan to więcej niż tylko mur i wybór konstabla.

- Tak przypuszczałem.

- Uważam, że jako biskup Kingsbridge powinienes mieć najwyższą katedrę w Anglii.

Uniósł brwi.

- Tego się nie spodziewałem.

- Dwieście lat temu to opactwo było jednym z najważniejszych w Anglii. Znow powinno mieć taką rangę. Nowa wieża kościoła byłaby symbolem jego odrodzenia i twojej pozycji wśród biskupów.

Uśmiechnął się krzywo, ale był zadowolony. Wiedział, że Caris stara mu się przypochlebić, i spodobało mu się to.

- Wieża przysłużyłaby się także miastu - ciągnęła Caris. - Widoczna z daleka przyciągałaby tu pielgrzymów i kupców.

- Za co ją wybudujecie?

- Opactwo jest bogate.

- Przeor Godwyn narzekał na problemy finansowe - rzekł biskup, nie kryjąc zaskoczenia.

- Był beznadziejnym zarządcą.

- Wydawał się dość kompetentny.

- Wydawał się taki wielu osobom, ale zawsze podejmował błędne decyzje. Na samym początku odmówił odbudowy gręplarni, która dawałaby mu dochód, natomiast wydał pieniądze na pałac, który nie przynosił żadnych zysków.

- A jak się to zmieniło?

- Zwolniłam większość starych zarządców i zastąpiłam ich młodszymi, skorymi do wprowadzania zmian. Prawie połowę ziemi uprawnej zmieniłam w pastwiska, łatwiejsze do utrzymania w czasach niedoboru rąk do pracy. Resztę oddałam w dzierżawę bez zwyczajowych obciążeń. Ponadto

skorzystaliśmy na podatku dochodowym i zapisach ludzi, którzy umarli bez spadkobierców podczas zarazy. Oba klasztory są teraz równie bogate.

- Zatem wszyscy dzierżawcy są wolni?

- Większość. Zamiast pracować jeden dzień na gospodarstwie pana, wozić jego siano, pilnować jego owiec i wykonywać tym podobne prace, po prostu płacą umówione sumy. Tak wolą i z pewnością tak jest łatwiej.

- Wielu ziemian, a szczególnie opatów, wzdraga się przed tego rodzaju dzierżawą. Powiadają, że to niszczy rolnictwo.

Caris wzruszyła ramionami.

- Co mamy do stracenia? Możliwość sprawowania nad nimi władzy, faworyzowania jednych wieśniaków i prześladowania drugich, utrzymywania ich w niewoli. Mnisi i zakonnice nie mają interesu w tyranizowaniu wieśniaków. Gospodarze wiedzą co siać i co mogą sprzedać na jarmarku. Lepiej pracują, jeśli robią to dla siebie.

Biskup miał podejrzliwą minę.

- Zatem uważasz, że opactwo może samo zapłacić za nową wieżę? Odgadła, że spodziewał się, iż poprosi go o pieniądze.

- Tak... z pewną pomocą kupców z miasta. I właśnie w tym możesz nam pomóc.

- Przypuszczałem, że musi być w tym jakiś haczyk.

- Nie proszę cię o pieniądze. To, czego od ciebie chcę, jest warte więcej.

- Jestem zaintrygowany.

- Chcę poprosić króla o prawa miejskie.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, że zaczęły trząść jej się ręce. Wróciła myślami do walki, jaką przed dziesięcioma laty stoczyła z Godwynem, a która zakończyła się oskarżeniem jej o czary. Naprawdę chodziło o prawa miejskie i o mało nie przypłaciła swych starań życiem. Teraz okoliczności całkowicie się zmieniły, lecz prawa miejskie były nie mniej ważne. Odłożyła nóż i splótła dłonie na podołku, żeby powstrzymać ich drżenie.

- Rozumiem - rzekł powoli Henri. Caris z trudem przełknęła ślinę.

- To podstawowy warunek odrodzenia się miasta. Przez długi czas rozwój Kingsbridge hamowało prawo zwierzchności przeora. Opaci są ostrożni i konserwatywni, i instynktownie sprzeciwiają się wszelkim nowościom. Natomiast kupcy żyją zamianami: zawsze szukają nowych sposobów zarabiania pieniędzy, przynajmniej ci dobrzy. Jeśli chcemy, by ludzie z Kingsbridge dołożyli się do nowej wieży, musimy dać im swobodę, której potrzebują by zarabiać.

- Prawa miejskie.

- Miasto miałyby własny sąd, zbiór przepisów T byłoby rządzone przez radę miejską a nie gildię parafialną, tak jak teraz, niemającą żadnej prawdziwej władzy.

- Tylko czy król zechce nadać Kingsbridge prawa miejskie?

- Królowie lubią miasta, które płacą duże podatki. Jednak w przeszłości przeor Kingsbridge zawsze sprzeciwiał się staraniom o prawa miejskie.

- Uważasz, że opaci są zbyt konserwatywni?

- I nieśmiali.

- Cóż - uśmiechnął się biskup - nieśmiałość to cecha, której nikt ci nigdy nie zarzuci.

- Sądzę, że prawa miejskie to podstawa, jeśli mamy wybudować nową wieżę - naciskała Caris.

- Tak, rozumiem.

- Zatem zgadzasz się?

- Na wieżę czy na prawa?

- Są nierozłączne. Henri był rozbawiony.

- Czyżbyś proponowała mi umowę, matko Caris?

- Jeśli chcesz.

- W porządku. Postaw mi tę wieżę, a ja pomogę wam otrzymać prawa miejskie.

- Nie, to musi być w odwrotnej kolejności. Najpierw musimy uzyskać prawa.

- Zatem muszę ci zaufać.

- Czy to takie trudne?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Dobrze. Zatem umowa stoi.

- Tak.

Caris nachyliła się i spojrzała za Merthina.

- Sir Gregory?

- Tak, matko Caris? Siłła się na uprzejmość.

- Próbowałaś tego królika na słodko? Polecam - rzekła, siłąc się na uprzejmość.

Gregory wziął od niej półmisek i nałożył mięso na swój talerz.

- Dziękuję.

- Zapewne pamiętasz, że Kingsbridge nie ma praw miejskich.

- Oczywiście.

Gregory wykorzystał ten fakt przed dziesięcioma laty, by doprowadzić do przegranej Caris przed królewskim sądem w sporze o gręplarnię.

- Biskup uważa, że czas poprosić króla o ich nadanie. Gregory skinął głową.

- Wierzę, że król mógłby łaskawie spojrzeć na taką prośbę, szczególnie gdyby została mu przedstawiona we właściwy sposób.

- Może byłbyś tak uprzejmy i nam doradził - powiedziała, mając nadzieję, że jej twarz nie zdradza odrazy.

- Może później przedyskutujemy to bardziej szczegółowo?

Gregory niewątpliwie zażąda łapówki, choć niewątpliwie nazwie ją honorarium prawniczym.

- Jak najbardziej - odparła i udało się jej nie wzdrygnąć z obrzydzenia. Słudzy zaczęli sprzątać ze stołu. Caris spojrzała na swój talerz. Nic nie zjadła.

- Nasze rodziny są spokrewnione - mówił Ralph do lady Philippy. - Oczywiście niezbyt blisko - dodał pospiesznie. - Jednak mój ojciec jest potomkiem hrabiego Shiring, który był synem lady Alieny i Jacka Buildera. - Spojrzał na swego brata Merthina, przewodniczącego gildii parafialnej, siedzącego po drugiej stronie stołu. - Sądzę, że ja odziedziczyłem krew hrabiów, a mój brat budowniczych.

Spojrzał na lady Philippę, aby sprawdzić, jak to przyjęła. Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Wychowałem się w domu twojego nieżyjącego teścia, hrabiego Rolanda - ciągnął.

- Pamiętam cię jako giermka.

- Służyłem pod rozkazami hrabiego w królewskiej armii we Francji. Podczas bitwy pod Crecy uratowałem życie księciu Walii.

- Wielkie nieba, to wspaniale - mruknęła uprzejmie.

Chciał, by spojrzała na niego jak na równego sobie, żeby wydawało się bardziej naturalne, kiedy jej powie, że ma być jego żoną. Jednak nie udawało mu się do niej dotrzeć. Wyglądała na lekko znudzoną i zdziwioną kierunkiem, w jakim zmierza rozmowa.

Podano deser: słodzone truskawki, miodowe wafle, daktyle i rodzynki oraz wino z korzeniami. Ralph wypił kubek wina i nalał sobie następny w nadziei, że trunkiem umożliwi mu swobodniejszą rozmowę z Philippą. Nie rozumiał, dlaczego tak trudno mu się z nią rozmawia. Ponieważ to pogrzeb jego żony? Ponieważ Philippą jest hrabiną? A może dlatego, że był w niej beznadziejnie zakochany przez wiele lat i nie mógł uwierzyć, że w końcu ma zostać jego żoną?

- Kiedy stąd wyjedziecie, wróćcie do Earlcastle? - zapytał.

- Tak. Odjeżdżamy jutro.

- Długo tam zostaniesz?

- A dokąd miałabym pójść? - Zmarszczyła brwi. - Dlaczego pytasz?

- Przyjadę cię odwiedzić, jeśli można. Jej odpowiedź była lodowata.

- W jakim celu?

- Chcę omówić z tobą pewną sprawę, której poruszanie nie byłoby właściwe tu i teraz.

- Co, na Boga, masz na myśli?
- Przyjadę zobaczyć się z tobą za kilka dni. Wyglądała na poruszoną.
- Cóż takiego mógłbyś mieć mi do powiedzenia? - spytała podniesionym głosem.
- Jak już powiedziałem, byłoby niewłaściwe mówić o tym dzisiaj.
- Ponieważ to pogrzeb twojej żony? Skinął głową.

Pobladła.

- O mój Boże - wykrztusiła. - Chyba nie sugerujesz...
- Powiedziałem ci, że nie chcę omawiać tego teraz.
- Jednak ja muszę wiedzieć! - krzyknęła. - Czy zamierzasz zaproponować mi małżeństwo?

Zawahał się, wzruszył ramionami, a potem skinął głową.

- Ale na jakiej podstawie? Przecież potrzebowalbyś królewskiego pozwolenia!

Spojrzał na nią i na moment uniósł brwi. Nagle wstała.

- Nie! - Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Popatrzyła na Gregory'ego. - Czy to prawda? - zapytała. - Czy król zamierza wydać mnie za niego?

Pogardliwie wskazała kciukiem Ralpha.

Poczuł się urażony. Nie spodziewał się, że wzbudzi w niej taką odrazę. Czy jest tak odpychający?

Gregory karcąco spojrzał na Ralpha.

- To nie był odpowiedni moment, żeby poruszać tę kwestię.

- Zatem to prawda! - wykrzyknęła Philippa. - Niech mnie Bóg ma w opiece! Ralph podchwycił spojrzenie Odili. Spoglądała na niego ze zgrozą. Czym zasłużył sobie na jej niechęć?

- Nie zniosę tego - prychnęła Philippa.

- Dlaczego? - zdziwił się Ralph. - Co w tym złego? Jakie masz prawo patrzeć z góry na mnie i moją rodzinę?

Spojrzał na zebranych: swojego brata, swego sojusznika Gregory'ego, biskupa, przeoryszę, drobnych szlachciców i czołowych obywateli miasta. Wszyscy zamilkli zaskoczeni i zaintrygowani wybuchem Philippy.

Philippa zignorowała jego pytanie.

- Nie zrobię tego! - powiedziała, zwracając się do Gregory'ego. - Nie zrobię, słyszysz?

Była błada z wściekłości, ale po policzkach jej płynęły łzy. Ralph pomyślał, że jest piękna, nawet teraz, gdy odrzuca go i upokarza tak boleśnie.

- Decyzja nie należy do ciebie, lady Philippo - chłodno rzekł Gregory. - I na pewno nie do mnie.

Król uczyni, co zechce.

- Możecie zmusić mnie do włożenia sukni ślubnej i zawlec do ołtarza - Philippa wskazała biskupa Henriego - jednak gdy biskup spyta mnie, czy biorę Ralpa Fitzgeralda za męża, nie powiem „tak”! Nie powiem! Nigdy, nigdy, nigdy!

Wypadła z sali, a Odila za nią.

Kiedy stypa się skończyła, mieszczenie wrócili do swoich domów, a ważni goście do swych pokoi, aby się przespać. Caris pilnowała sprzątaną. Współczuła Philippie, współczuła głęboko, wiedząc o tym - o czym nie wiedziała Philippa - że Ralph zabił swoją pierwszą żonę. Jednak martwiła się o los całego miasta, nie tylko jednej osoby. Myślała o swoim planie rozwoju Kingsbridge. Sprawy poszły lepiej, niż przewidywała. Mieszkańcy miasta owacyjnie przyjęli jej przemowę, a biskup zgodził się na wszystko, co zaproponowała. Może cywilizacja wróci do Kingsbridge pomimo zarazy.

Przed tylnymi drzwiami, gdzie leżała sterta kości i resztek chleba, zobaczyła kota Godwyna, Arcybiskupa, skubiącego resztki kaczki. Pogoniła go. Odbiegł kilka jardów, po czym zwolnił i odszedł powoli, z uniesionym arogancko ogonem z białym koniuszkiem.

Zatopiona w myślach weszła po schodach do pałacu, zastanawiając się, jak wprowadzić zmiany, na które zgodził się Henri. Nie zwalniając kroku, otworzyła drzwi sypialni, którą dzieliła z Merthinem, i weszła.

Na moment stanęła zdezorientowana. Na środku pokoju stali dwaj mężczyźni, więc pomyślała: chyba jestem w niewłaściwym domu, a potem: chyba pomyliłam pokoje, zanim przypomniała sobie, że jej pokój jako najlepsza sypialnia został oddany biskupowi.

Dwoma mężczyznami byli Henri i jego asystent, kanonik Claude. Caris dopiero po chwili uświadomiła sobie, że obaj są nadzy i obejmują się, całując.

Spoglądała na nich zaskoczona.

- Och! - jęknęła.

Nie słyszeli, jak otwierała drzwi. Dopóki się nie odezwała, nie wiedzieli, że są obserwowani. Kiedy usłyszeli jęk zaskoczenia, odwrócili się ku niej. Henri miał przerażoną minę.

- Przepraszam! - wykrztusiła Caris.

Mężczyźni odskoczyli od siebie, jakby w ten sposób mogli ukryć to, co robili, po czym przypomnieli sobie, że są nadzy. Henri był pulchny, miał wydatny brzuch, grube ręce i nogi oraz siwe włosy na piersi. Claude był młodszy i szczuplejszy, niemal zupełnie bez owłosienia, oprócz kasztanowatej kępki w kroczu. Caris jeszcze nigdy nie widziała dwóch penisów w stanie wzwodu jednocześnie.

- Błagam o wybaczenie! - mówiła zmieszana. - Pomyliłam się. Zapomniałam.

Zrozumiała, że bełkocze, a oni stoją oniemiały. Nieważne: żadne słowa nie były w stanie

naprawić tej sytuacji.

Oprzytomniawszy, wypadła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

||
||
||

Merthin wyszedł z uczty z Madge Webber. Lubił tę małą, przysadziłą kobietę o wydatnej dolnej szczęce i sterczącym tyłku. Podziwiał sposób, w jaki znosiła śmierć męża i dzieci. Nadal prowadziła warsztat, tkając i farbując tkaninę na czerwono według przepisu Caris. v.

- Caris dobrze mówiła - powiedziała Madge. - Jak zwykle ma rację. Tak dalej być nie może.

- Ty zachowujesz się normalnie, mimo wszystko - zauważył.

- Mój jedyny problem to znalezienie ludzi do pracy.

- Wszyscy go mamy. Ja nie mogę znaleźć budowniczych.

- Surowa wełna jest tania, lecz bogaci ludzie wciąż dobrze płacą za porządny szkarłat.

Mogłabym sprzedawać więcej materiału, gdybym go miała.

- Wiesz - powiedział w zadumie Merthin - we Florencji widziałem szybszy typ krosien, krosna pedałowe.

- Ach tak? - Spojrzała na niego z żywym zainteresowaniem. - Nigdy o takich nie słyszałam.

Zastanawiał się, jak jej to wyjaśnić.

- W każdym krośnie napinasz szereg nitek na ramie, tworząc tak zwany wątek, a następnie przeplatasz przez niego inną nić, to pod jedną, to nad drugą nitką, pod i nad, z jednej strony na drugą, tworząc osnowę.

- W ten sposób pracuje się na prostym krośnie. Nasze jest lepsze.

- Wiem. Żeby przyspieszyć ten proces, przeciągasz co drugą nitkę wątku przez ruchomą podstawkę, zwaną nicielnicą, tak że kiedy ją podnosisz, połowa nitek unosi się nieco wyżej. Wtedy, zamiast przeplatać, tylko przesuwasz nić osnowy prosto, jednym płynnym ruchem. Następnie opuszczasz nicielnicę poniżej wątku i przesuwasz nitkę z powrotem.

- Tak. Nawiasem mówiąc, nitka osnowy jest nawinięta na szpulkę.

- Za każdym razem, gdy przesuwasz szpulkę przez wątek od lewej do prawej, musisz ją odłożyć, a potem oburącz poruszyć nicielnicą, znów wziąć szpulkę i przesunąć ją od prawej do lewej.

- Właśnie.

- Natomiast w krosnach pedałowych poruszasz nicielnicą nogami. Tak więc wcale nie musisz odkładać szpulki.

- Naprawdę? Na mą duszę!

- To byłoby coś, nieprawdaż?

- Coś wspaniałego. Można by tkać dwa razy tyle. A nawet więcej!
- Tak też myślałem. Mam zbudować coś takiego, żebyś spróbowała?
- Tak, proszę!

- Nie pamiętam dokładnie, jak to było skonstruowane. Zdaje się, że pedał poruszał układem wielokrążków i dźwigni... - Zmarszczył brwi. - W każdym razie na pewno zrobię taką maszynę.

Późnym popołudniem, gdy Caris mijala bibliotekę, napotkała wychodzącego stamtąd kanonika Claude'a niosącego jakąś książkę. Zauważył jej spojrzenie i przystanął. Oboje natychmiast pomyśleli o scenie, której mimowolnym świadkiem Caris była godzinę wcześniej. W pierwszej chwili Claude się zmieszał, ale zaraz kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Zasłonił dłonią twarz, niewątpliwie uważając, że nie powinien się śmiać. Caris przypomniała sobie, jak przestraszeni byli obaj nadzy mężczyźni, i ona również poczuła, że wzbiera w niej nieprzystojna uciecha. Pod wpływem nagłego impulsu powiedziała to, co sobie pomyślała.

- Ależ śmiesznie wyglądaliście!

Claude mimo woli zachichotał i Caris też nie mogła dłużej powstrzymać śmiechu. I tak rozśmieszali się nawzajem, aż padli sobie w objęcia, zanosząc się od śmiechu, a po ich policzkach zaczęły płynąć łzy.

Tego wieczoru Caris zaprowadziła Merthina w południowo-zachodni róg terenu opactwa, gdzie nad rzeką znajdował się ogródek. Było dość ciepło, a wilgotna ziemia oddawała zapach młodych roślin. Caris zauważyła wiosenną cebulę i rzodkiewkę.

- Zatem twój brat ma zostać hrabią Shiring - zaczęła.
- Nie, jeśli lady Philippa będzie miała coś do powiedzenia.
- Hrabina musi robić to, co każe jej król, prawda?
- Teoretycznie wszystkie kobiety powinny słuchać mężczyzn - rzekł z uśmiechem Merthin. -

Jednak niektóre się wyłamują.

- Nie mam pojęcia, kogo masz na myśli. Nastrój Merthina gwałtownie się zmienił.
- Co za świat - powiedział. - Ktoś morduje swoją żonę, a król wynosi go do najwyższej szlacheckiej godności.

- Wiemy, że takie rzeczy się zdarzają. Jednak to szokujące, kiedy dzieje się w twojej własnej rodzinie. Biedna Tilly.

Merthin przetarł oczy, jakby odpędzając przykre obrazy.

- Po co mnie tu przyprowadziłaś?
- Żeby porozmawiać o ostatnim elemencie mojego planu: o nowym szpitalu.
- Ach. Zastanawiałem się...

- Mógłbyś zbudować go tutaj? Merthin się rozejrzył.

- Czemu nie? Wprawdzie to stok, ale całe opactwo jest zbudowane na zboczu, a nie mówimy o stawianiu drugiej katedry. Jedna kondygnacja czy dwie?

- Jedna. Chcę jednak, żeby budynek był podzielony na średniej wielkości pokoje, każdy na cztery lub sześć łóżek, żeby choroby nie przenosiły się tak szybko z jednego pacjenta na pozostałych. Musi mieć swoją własną aptekę - duże, jasne pomieszczenie - do sporządzania medykamentów z zielnika na zewnątrz. Oraz przestronną, dobrze wietrzoną latrynę z wodą doprowadzoną rurami, łatwą do utrzymania w czystości. W rzeczy samej, w całym budynku musi być dużo światła i przestrzeni. I co najważniejsze, powinien znajdować się co najmniej sto jardów od najbliższego budynku opactwa. Musimy odseparować chorych od studni. To kluczowa sprawa.

- Rano zrobię kilka rysunków.

Rozejrzała się i widząc, że nikt ich nie obserwuje, pocałowała go.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to będzie zwieńczenie całego mojego życia?

- Masz dopiero trzydzieści dwa lata. Czy nie «a wcześniej mówić o zwieńczeniu życia?»

- Jeszcze nie ma tego szpitala.

- Zbudowanie go nie potrwa długo. Zacznę od razu, równoległe z wykopami pod fundamenty nowej wieży. Potem, gdy szpital będzie gotowy, przeniosę moich kamieniarzy do pracy przy katedrze.

Ruszyli z powrotem. Widziała, że prawdziwy entuzjazm budzi w nim wieża.

- Jak będzie wysoka?

- Czterysta pięć stóp.

- A ile ma ta w Salisbury?

- Czterysta cztery.

- Zatem to naprawdę będzie najwyższa budowla w Anglii.

- Tak, dopóki ktoś nie zbuduje wyższej.

A więc i on zaspokoi swoje ambicje, pomyślała Caris. Wzięła go pod rękę. Była szczęśliwa. To dziwne, czyż nie? Tysiące mieszkańców Kingsbridge zabrała zaraza, a Tilly została zamordowana, lecz Caris z nadzieją patrzyła w przyszłość. Oczywiście to dlatego, że miała plan. Zawsze czuła się lepiej, kiedy miała jakiś plan. Nowe mury, konstabl, wieża, prawa miejskie, a przede wszystkim nowy szpital: jak znajdzie czas, żeby się tym wszystkim zająć?

Trzymając pod rękę Merthina, weszła do pałacu przeora. Zastała tam biskupa Henriego i sir Gregory'ego zatopionych w rozmowie z trzecim mężczyzną, stojącym plecami do Caris. Nawet widziany z tyłu wydał jej się nieprzyjemnie znajomy i przeszedł ją dreszcz. Potem mężczyzna odwrócił się i zobaczyła jego twarz: wykrzywioną w sardonicznym grymasie triumfu, uśmiechającą się szyderczo

i jadownicę. To był Philemon.

74

Biskup Henri i inni goście opuścili Kingsbridge nazajutrz rano. Caris, która spała w dormitorium zakonnicek, wróciła po śniadaniu do pałacu i poszła na górę do swojej komnaty.

Zastała w niej Philemona.

Po raz drugi w ciągu dwóch ostatnich dni zaskoczył ją widok mężczyzny w jej sypialni. Jednak Philemon był sam i ubrany. Stał przy oknie, czytając książkę. Widząc go z profilu, zauważyła, że schudł w wyniku trudów ostatnich sześciu miesięcy.

- Co ty tu robisz? - zapytała. Udał zdziwionego tym pytaniem.

- To dom przeora. Dlaczego nie miałbym tu być?

- Ponieważ to nie twoja komnata!

- Jestem subprzeorem Kingsbridge. Nigdy nie zostałem odwołany z tego stanowiska. Przeor nie żyje. Kto inny miałby tu mieszkać?

- Ja, oczywiście.

- Nawet nie jesteś mnichem.

- Biskup Henri powierzył mi zarządzanie opactwem i zeszłego wieczoru, pomimo twojego powrotu, nie zwolnił mnie z tego stanowiska. Jestem twoją przełożoną i masz mnie słuchać.

- Jednak jesteś zakonniceką i powinnaś mieszkać z zakonnicekami, nie mnichami.

- Mieszkam tu od miesiąca.

- Sama?

Nagle Caris zrozumiała, że stąpa po niepewnym gruncie. Philemon wie, że ona i Merthin żyją niemal jak mąż i żona. Byli dyskretni i kryli się ze swoim związkiem, lecz ludzie domyślali się, a Philemon miał niemal zwierzęcy instynkt do wynajdywania ludzkich słabości.

Zastanowiła się. Mogła nalegać, żeby Philemon natychmiast opuścił budynek. W razie potrzeby mogła go stąd wyrzucić. Thomas i nowicjusze posłuchałyby jej, nie Philemona. Tylko co potem? Philemon zrobi wszystko, żeby zwrócić uwagę na to, że Merthin mieszka w pałacu. Narobi zamieszania i mieszczanie będą musieli opowiedzieć się po którejś ze stron. Miała tak dobrą reputację, że większość poparłaby ją, cokolwiek by zrobiła, lecz niektórzy potępiliby jej postępowanie. Konflikt osłabiłby jej autorytet i zagroził wszystkiemu, co chce osiągnąć. Lepiej ustąpić.

- Możesz zająć sypialnię. Ale nie salę. Spotykam się w niej z mieszczanami i odwiedzającymi nas dygnitarzami. Kiedy nie będziesz brał udziału w mszy w kościele, będziesz w klauzurze, nie tu. Subprzeor nie ma pałacu.

Wyszła, nie dając mu szans na wszczęcie kłótni. Zachowała twarz, ale to on wygrał.

Zeszłego wieczoru przypomniała sobie, jaki sprytny jest Philemon. Wypytywany przez biskupa Henriego zdawał się mieć wiarygodne wyjaśnienie wszystkich swoich niecnych uczynków. Jak usprawiedliwił to, że opuścił klasztor i uciekł do pustelni Świętego Jana z Lasu? Klasztorowi groziła zagłada i jedynym ratunkiem była ucieczka, zgodnie z powiedzeniem: „Wyjedź szybko, jedź daleko i zostań długo”. Wszyscy zgadzali się, że nadal jest to jedyny pewny sposób, by uniknąć zarazy. Ich błędem było to, że za długo pozostali w Kingsbridge. Dlaczego więc nikt nie poinformował biskupa o tym planie? Philemonowi było przykro, ale on i inni mnisi słuchali rozkazów przeora Godwyna. To dlaczego uciekł z klasztoru Świętego Jana, kiedy dopadła ich plaga? Bóg wezwał go, by opiekował się mieszkańcami Monmouth, i Godwyn pozwolił mu jechać. Dlaczego brat Thomas nic nie wie o tym pozwoleniu, a nawet stanowczo zaprzecza, że zostało udzielone? Godwyn nie powiedział innym mnichom o tej decyzji z obawy, że wywoła zazdrość. Czemu więc Philemon opuścił Monmouth? Spotkał brata Murdo, który powiedział mu, że opactwo Kingsbridge go potrzebuje, więc uznał to za kolejny znak od Boga.

Caris doszła do wniosku, że Philemon uciekał przed zarazą, aż pojął, że należy do tych nielicznych szczęśliwców, którzy na nią nie zachorują. Potem dowiedział się od brata Murdo, że Caris sypia z Merthinem w pałacu przeora, i natychmiast zrozumiał, że może to wykorzystać do własnych celów. Bóg nie miał z tym nic wspólnego.

Jednak biskup Henri uwierzył w bajeczkę Philemona. Ten przezornie udawał pokorę graniczącą ze służalczością. Henri nie znał go i nie zdołał go przejrzeć.

Zostawiła Philemona w pałacu i poszła do katedry. Wspięła się po długich i wąskich spiralnych schodach północno-zachodniej wieży i znalazła Merthina pochłoniętego pracą, rysującego projekty na desce w świetle padającym przez wychodzące na północ okna.

Z zainteresowaniem popatrzyła na to, co zrobił. Odkryła, że niełatwo jest czytać plany. Patrzący musiał w wyobraźni przekształcić cienkie linie nakreślone w zaprawie w grube kamienne mury z oknami i drzwiami.

Merthin spojrział na nią wyczekująco, gdy oglądała jego dzieło. Najwyraźniej oczekiwał entuzjastycznej reakcji.

Z początku rysunek ją zdziwił. Budynek wcale nie wyglądał jak szpital.

- Przecież to... klauzura! - powiedziała.

- Właśnie - odparł. - Dlaczego szpital miałby być długim i wąskim pomieszczeniem jak kościelna nawa? Chcesz, żeby był jasny i przewiewny. Dlatego, zamiast upychać pomieszczenia razem, rozmieściłem je na planie czworoboku.

Wyobraziła to sobie: prostokąt trawnika, wokół niego budynek, drzwi wiodące do cztero - lub

sześcioosobowych pokoi, zakonnice przechodzące z pokoju do pokoju zadaszonymi arkadami.

- Natchniony pomysł! Nigdy bym nań nie wpadła, ale będzie doskonały.

- W wewnętrznym ogrodzie można będzie uprawiać zioła, bo rośliny będą miały słońce i osłonę przed wiatrem. Na środku ogrodu postawimy fontannę ze źródlaną wodą, która będzie spływać przez latrynę w południowym skrzydle i do rzeki.

Ucałowała go entuzjastycznie.

- Jesteś taki mądry!

Potem przypomniała sobie, co musi mu powiedzieć. Widocznie zauważył jej zgnębianą minę.

- O co chodzi?

- Musimy wyprowadzić się z pałacu. - Powtórzyła mu swoją rozmowę z Philemonem i wyjaśniła, dlaczego ustąpiła. - Przewiduję poważne konflikty z Philemonem i nie chcę walczyć z nim akurat o to.

- To ma sens - przyznał.

Powiedział to rozsądnym tonem, ale po jego minie widziała, że jest zły. Patrzył na swój rysunek, ale myślał o czymś innym.

- I jest jeszcze coś - powiedziała. - Mówimy wszystkim, że powinni starać się żyć normalnie... porządek na ulicach, powrót do rodzinnego życia, koniec z pijackimi orgiami. Powinniśmy dawać przykład.

Merthin skinął głową.

- Pożycie przeoryszy z kochankiem zapewne jest z tym tak sprzeczne, jak to tylko możliwe - zauważył.

Ponownie spokojny ton jego głosu klócił się z gniewnym wyrazem twarzy.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie też.

- Jednak nie chcemy ryzykować wszystkiego, czego oboje pragniemy: twojej wieży, mojego szpitala, przyszłości miasta.

- Nie chcemy. Jednak poświęcamy nasze wspólne życie.

- Niezupełnie. Będziemy musieli spać osobno, niestety, lecz będziemy mieli mnóstwo okazji, aby być razem.

- Gdzie? Wzruszyła ramionami.

- Na przykład tutaj. - Wpadła w łobuzerski nastrój. Przeszła przez komnatę, powoli unosząc kraj habitu, aż doszła do drzwi na końcu schodów. - Nie widzę, żeby ktoś nadchodził

- powiedziała, unosząc habit do pasa.

- Poza tym i tak byłoby go słycać - rzekł. - Drzwi na dole skrzypią. Pochyliła się, udając, że patrzy na schody.

- Czy ze swojego miejsca widzisz coś niezwykłego? Zaśmiał się. Zawsze potrafiła go rozbroić.

- Widzę, że coś do mnie mruga - rzekł ze śmiechem.

Wróciła do niego, wciąż trzymając habit podciągnięty do pasa, uśmiechając się triumfalnie.

- Widzisz, nie musimy rezygnować ze wszystkiego.

Usiadł na stołku i przyciągnął ją do siebie. Powoli usiadła mu na kolanach.

- Lepiej postaraj się o słomiany materac - powiedziała głosem ochryłym z pożądania.

Pieścił jej piersi.

- Jak wytłumaczę potrzebę umieszczenia łóżka w pracowni kamieniarzy?

- Po prostu powiedz, że kamieniarze muszą kłaść swoje narzędzia na czymś miękkim.

Tydzień później Caris i Thomas Langley poszli sprawdzić, jak postępuje odbudowa murów miejskich. Było to duże, lecz proste przedsięwzięcie i po podjęciu niezbędnych decyzji prace mogli wykonywać niezbyt doświadczeni młodzi kamieniarze oraz czeladnicy. Caris była zadowolona, że rozpoczęto je tak szybko. Miasto w tych niespokojnych czasach powinno mieć mury obronne, lecz kierował nią jeszcze jeden motyw. Miała nadzieję, że skłaniając mieszkańców, by strzegli się napaści z zewnątrz, z czasem obudzi w nich potrzebę porządku i godnego zachowania.

Uważała za ironię losu, że akurat jej przypadło to zadanie. Nigdy nie przestrzegała reguł. Zawsze gardziła ortodoksją i łamała konwenanse. Uważała, że ma prawo ustalać swoje własne zasady. A teraz walczyła z rozprzężeniem. To cud, że jeszcze nikt nie nazwał jej hipokrytką.

Prawdę mówiąc, niektórym ludziom odpowiadała atmosfera anarchii, innym nie. Merthin był jednym z tych, którzy lepiej czuli się bez ograniczeń. Przypomniała sobie

wyrzeźbione przez niego mądre i głupie dziewice. Były tak różne od wszystkich innych dotychczasowych rzeźb, więc Elfric wykorzystał to jako pretekst, aby je zniszczyć. Przepisy tylko pętały Merthina. Jednak tacy ludzie jak Barney i Lou, pracujący w rzeźni, musieli mieć prawa, które powstrzymałyby ich przed kaleczeniem się w pijackich bójkach.

Mimo wszystko jej pozycja była niepewna. Kiedy próbujesz wprowadzić prawo i porządek, trudno wyjaśnić, że te przepisy ciebie nie dotyczą.

Rozmyślała o tym, wracając z Thomasem do opactwa. Przed katedrą zastała wzburzoną siostrę Joan chodzącą tam i z powrotem.

- Jestem taka zła na Philemona - powiedziała. - Twierdzi, że ukradłaś jego pieniądze, i muszę mu je oddać!

- Uspokój się - powiedziała Caris. Zaprowadziła Joan na ganek kościoła i usiadły na kamiennej ławie. - Zrób głęboki wdech i powiedz mi, co się stało.

- Philemon przyszedł do mnie po tercji i powiedział, że potrzebuje dziesięć szylingów na świece do kaplicy Świętego Adolfa. Odpowiedziałam, że muszę zapytać cię o zgodę.

- Całkiem słusznie.

- Bardzo się rozgniewał i krzyczał, że to pieniądze mnichów i nie mam prawa mu ich odmawiać. Zażądał ode mnie kluczy i myślę, że próbowałby mi je zabrać, ale przypomniałam mu, że na nic mu się nie przydadzą, ponieważ i tak nie wie, gdzie jest skarbiec.

- To był dobry pomysł, żeby zachować jego położenie w tajemnicy - zauważyła Caris.

Thomas stał obok i słuchał.

- Widzę, że wybrał sobie moment, kiedy nie było mnie w klauzurze. Tchórz.

- Joan - powiedziała Caris - miałaś prawo mu odmówić i przykro mi, że próbował cię zastraszyć. Thomasie, znajdź go i przyprowadź do mnie do pałacu.

Zostawiła ich i przeszła przez cmentarz pogrążona w myślach. Najwyraźniej Philemon postanowił sprawiać kłopoty. Jednak nie był tępym osiłkiem, którego z łatwością mogłaby przywołać do porządku. Był przebiegłym przeciwnikiem, więc musiała się strzec.

Kiedy otworzyła drzwi, Philemon był tam, siedząc na końcu długiego stołu.

Stała w progu.

- Nie powinieneś tu być. Mówiłam ci...

- Szukałem cię - przerwał jej.

Zrozumiała, że będzie musiała zamykać drzwi na klucz, inaczej on zawsze znajdzie jakiś pretekst, żeby złamać zakaz. Opanowała gniew.

- Szukałeś mnie nie tam, gdzie powinieneś - odparła.

- Jednak teraz cię znalazłem, prawda?

Przyjrzała mu się. Ogolił się i ostrzygł, i miał na sobie nowy habit. Wyglądał w każdym calu na dostojnika opactwa, spokojnego i władczego.

- Rozmawiałam z siostrą Joan. Jest bardzo wzburzona.

- Ja również.

Zdała sobie sprawę, że on siedzi na fotelu, a ona stoi przed nim jak petentka. Zawsze w ten sposób manipulował ludźmi.

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy, musisz mnie o nie poprosić.

- Jestem subprzeorem!

- A ja pełnię obowiązki przeora, co czyni cię moim podwładnym. - Podniosła głos. - Tak więc

pierwsze, co powinieneś uczynić, to wstać, kiedy ze mną rozmawiasz!

Drgnął, zaskoczony tonem jej głosu, ale zaraz się opanował. Wyzywająco powoli podniósł się z fotela.

Caris usiadła na jego miejscu i pozwoliła mu stać. Nie tracił jednak kontenansu.

- Rozumiem, że pieniędzmi klasztoru płacisz za nową wieżę.

- Tak, na polecenie biskupa.

Po jego twarzy przemknął grymas gniewu. Miał nadzieję przypochlebić się biskupowi i uczynić go swoim sojusznikiem w walce z Caris. Już jako dziecko bezwstydnie podlizywał się ludziom mającym władzę. W ten sposób został przyjęty do klasztoru.

- Muszę mieć dostęp do klasztornych pieniędzy - powiedział. - Mam do tego prawo. Zasoby mnichów powinny być pod moją pieczęcią.

- Kiedy ostatnio miałeś pod swoją pieczęcią zasoby mnichów, ukradłeś je. Zbladł: ta strzała trafiła w dziesiątkę.

- To śmieszne - wybuchnął, usiłując ukryć zmieszanie. - Przeor Godwyn wziął je na przechowanie.

- No cóż, nikt nie weźmie ich „na przechowanie”, dopóki ja pełnię obowiązki przeora.

- Powinnaś przynajmniej wydać mi precjoza. To święte przedmioty i powinni je rozstawić księża, nie kobiety.

- Thomas doskonale sobie z nimi radzi, wyjmując je na msze i później odnosząc do skarbcza.

- To nie wystarczy, by...

Caris przypomniała sobie o czymś i przerwała mu.

- Ponadto jeszcze nie zwróciłeś wszystkiego, co wzięłeś.

- Pieniądze...

- Brakuje złotego świecznika, daru od gildii wytwórców świec. Co się z nim stało? Jego reakcja ją zdziwiła. Spodziewała się kolejnego bezczelnego zaprzeczenia. On jednak wyglądał na zmieszanego.

- Ten świecznik zawsze stał w pokoju przeora... - zaczął. Ściągnęła brwi.

- I...?

- Trzymałem go osobno. Była zdumiona.

- Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas miałeś ten świecznik?

- Godwyn prosił, żebym go pilnował.

- Dlatego zabrałeś świecznik w podróż do Monmouth i Bóg wie dokąd jeszcze?

- Tego życzył sobie Godwyn.

Było to zupełnie niewiarygodne wytłumaczenie^A Philemon o tym wiedział. W istocie ukradł ten świecznik.

- Masz go jeszcze? Niechętnie kiwnął głową.

W tym momencie wszedł Thomas.

- Tu jesteś! - rzekł do Philemona.

- Thomasie - powiedziała Caris - idź na górę i przeszukaj pokój Philemona.

- Czego mam szukać?

- Złotego świecznika.

- Nie ma potrzeby szukać. Znajdziesz go na kłęczniku.

Thomas wszedł na górę i wrócił ze świecznikiem. Podał go Caris. Świecznik był ciężki. Obejrzała go z zaciekawieniem. Na podstawie wyryto małymi literkami imiona dwunastu członków gildii wytwórców świec. Dlaczego Philemon chciał go mieć? Najwidoczniej nie po to, by go sprzedać czy przetopić, gdyż miał na to dosyć czasu, a jednak tego nie zrobił. Wydawało się, że po prostu pragnął mieć swój własny złoty świecznik. Czy oglądał go i głaskał, gdy był sam w swoim pokoju?

Spojrzała na niego i zauważyła lzy w jego oczach.

- Zamierzasz mi go zabrać? - zapytał. Głupie pytanie.

- Oczywiście. Jego miejsce jest w katedrze, nie w twojej sypialni. Wytwórcy świec podarowali go na chwałę Pana i dla upiększenia nabożeństw, nie dla przyjemności jakiegoś mnicha.

Nie spierał się. Wyglądał na przygnębionego, lecz nie zamierzał prosić. Nie rozumiał, że źle postąpił. Nie żałował swojego uczynku, lecz tego, że odebrano mu świecznik. Zrozumiała, że Philemon nie ma poczucia wstydu.

- Sądzę, że to kończy naszą dyskusję o twoim dostępie do klasztornej skarbcza - powiedziała. - Możesz odejść.

Philemon wyszedł.

Caris oddała świecznik Thomasowi.

- Zanieś go siostrze Joan i powiedz, żeby schowała - powiedziała. - Powiadomimy wytwórców świec, że został odnaleziony i zostanie użyty w następną niedzielę.

Caris została sama pogrążona w zadumie. Philemon jej nienawidzi. Nie traciła czasu na zastanawianie się dlaczego: przysparzał sobie wrogów szybciej, niż druciarz nawiązuje znajomości. Jednak był niebezpiecznym przeciwnikiem, zupełnie pozbawionym skrupułów. Widocznie postanowił przysparzać jej kłopotów przy każdej okazji. Ich stosunki nigdy się nie poprawią. Za każdym razem, gdy pokonywała go w małej utarczce, jego złość stawała się jeszcze bardziej zapiekła. Gdyby jednak pozwoliła mu wygrać, tylko zachęciłaby go do niesubordynacji.

To będzie krwawa walka i nie potrafiła przewidzieć, jak się zakończy.

Biczownicy wrócili w czerwcowy sobotni wieczór.

Caris była w skryptorium i pisała swoją książkę. Postanowiła zacząć od zarazy i tego, jak sobie z nią radzić, a następnie przejść do lżejszych chorób. Opisywała lniane maski, które wprowadziła w szpitalu w Kingsbridge. Trudno było wyjaśnić, że maski były skuteczne, lecz nie zabezpieczyły całkowicie. Jedynym pewnym środkiem bezpieczeństwa było opuszczenie miasta przed nadejściem zarazy i oczekiwanie, aż minie, lecz większość ludzi nie miała takiej możliwości. Częściowa ochrona była koncepcją trudną do zrozumienia dla ludzi, którzy wierzyli w cudowne kuracje. W istocie niektóre zakonnice noszące maski zachorowały, lecz nie były to tak częste przypadki. Postanowiła porównać maski do tarcz. Tarcza nie gwarantuje, że człowiek przeżyje atak, lecz z pewnością daje cenną osłonę i żaden rycerz nie rusza bez niej w bój. Zapisywała tę myśl na dziewiczo białej karcie pergaminu, gdy usłyszała biczowników i jęknęła zaniepokojona.

Bębny dudniły jak kroki pijaka, kobzy zawodziły niczym ryczący z bólu zwierz, a dzwonki brzmiały jak parodia pogrzebu. Wyszła na dwór, gdy procesja wkroczyła na teren opactwa. Tym razem biczowników było więcej, siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu, i wyglądali jeszcze straszniej: włosy mieli długie i pozlepiane, odzienie w strzępach, i wydawali jeszcze bardziej opętane wrzaski. Już obeszlili miasto i zebrali długi sznur widzów, z których jedni spoglądali z rozbawieniem, a inni dołączali do procesji, rozdzierając szaty i zadając sobie razy batami.

Nie spodziewała się, że znów ich zobaczy. Papież Klemens VI potępił biczowników, jednak on znajdował się daleko stąd, w Awinionie, i to inni musieli egzekwować jego zakaz.

Tak jak poprzednio pochód prowadził brat Murdo. Gdy dotarł do zachodniego końca katedry, Caris ku swemu zdumieniu zobaczyła, że wielkie drzwi są otwarte. Nie wyraziła na to zgody. Thomas nie zrobiłby tego bez pytania, a więc musiała to być sprawka Philemona. Przypomniała sobie, że Philemon podczas swych podróży spotkał się z Murdem. Odgadła, że Murdo zapowiedział Philemonowi swoją wizytę i zmówili się, iż wpuszczą biczowników do kościoła. Philemon niewątpliwie będzie twierdził, że jest jedynym wyświęconym kapłanem w opactwie, tak więc ma prawo decydować, jaki rodzaj mszy będzie odprawiany w katedrze.

Tylko co kieruje Philemonem? Dlaczego troszczy się o Murda i jego biczowników?

Murdo przeprowadził procesję przez wysokie drzwi do nawy. Mieszczanie wepchnęli się za nimi. Caris wahała się, czy dołączyć do tego zbiegowiska, ale czuła, że musi wiedzieć, co się dzieje, więc niechętnie podążyła za tłumem do środka.

Philemon stał przy ołtarzu. Brat Murdo dołączył do niego. Philemon uciszył zebranych, unosząc ręce, po czym rzekł:

- Przyszliśmy tu, by wyznać nasze grzechy, poczuć skruchę i należycie za nie odpokutować.

Philemon nie był dobrym mówcą i jego słowa wywarły umiarkowany efekt, lecz głos zabrał charyzmatyczny Murdo.

- Wyznajemy, że nasze myśli są lubieżne, a czyny nieczyste! - zawołał, a tłum przyjął to okrzykiem aprobaty.

Wszystko potoczyło się tak jak poprzednio. Doprowadzeni do szaleństwa przez przemowę Murda ludzie wychodzili naprzód, wołali, że są grzeszni, i biczowali się. Mieszczanie patrzyli na to zahipnotyzowani przemocą i nagością. Był to dobrze przygotowany spektakl, lecz razy były prawdziwe i Caris wzdrygnęła się na widok pręg i ran na plecach penitentów. Niektórzy robili to już wielokrotnie i nosili blizny. Inni mieli świeże rany, które znów otworzyły się przy batożeniu.

Wkrótce mieszczanie zaczęli się do nich przyłączać. Gdy podchodzili, Philemon podsuwał im tacę i Caris zrozumiała, że kieruje nim chęć zysku. Nikt nie mógł wyznać win i ucałować stóp Murda, dopóki nie rzucił na tacę monety. Murdo bacznie to obserwował i Caris odgadła, że ci dwaj podzielą się potem zyskiem.

Bębny i piszczałki grały coraz głośniejsze, gdy kolejni mieszczanie występowali naprzód. Taca Philemona szybko się zapełniła. Ci, którym „wybaczone”, płasali ekstatycznie przy dźwiękach opętańczej muzyki.

W końcu wszyscy penitenci tańczyli i nikt już nie odłączał się od tłumu. Muzyka osiągnęła apogeum i ucichła, a w tym momencie Caris zauważyła, że Murdo i Philemon znikli. Domyśliła się, iż wymknęli się przez południowy transept do klauzury mnichów, żeby policzyć i podzielić zysk.

Spektakl dobiegł końca. Tancerze leżeli wyczerpani. Widzowie zaczęli się rozchodzić, wychodząc przez otwarte drzwi na świeże powietrze letniego popołudnia. Wkrótce wyznawcy Murda zebrali siły i opuścili kościół, a Caris zrobiła to samo. Zobaczyła, że większość biczowników kieruje się do Holly Bush.

Z ulgą wróciła do chłodnego i cichego klasztoru. Gdy w zakamarkach zaczęły gromadzić się cienie, zakonnice poszły na wieczorne nabożeństwo, a potem zjadły kolację. Zanim Caris położyła się do łóżka, poszła sprawdzić, co się dzieje w szpitalu. Wciąż był pełny - zaraza szalała.

Niewiele było tu do krytykowania. Siostra Oonagh przestrzegała zasad Caris: maski na twarzach, żadnego puszczenia krwi, pedantyczna czystość. Caris już miała pójść spać, gdy wniesiono jednego z biczowników.

Był nim mężczyzna, który zemdlął w Holly Bush i rozbił sobie głowę o ławę. Jego plecy wciąż krwawiły i Caris odgadła, że to upływ krwi na równi z uderzeniem w głowę jest przyczyną utraty

przytomności.

Kiedy leżał nieprzytomny, Oonagh obmyła jego rany słoną wodą. Żeby go ocucić, podpałała poroże jelenia i dymiące podsunęła mu pod nos, po czym kazała mu wypić dwie kwarty wody z cynamonem i cukrem, żeby uzupełnić utracone płyny.

Okazało się, że był pierwszym z wielu. Przyprawiono jeszcze kilku mężczyzn i kilka kobiet cierpiących na skutek utraty krwi, nadmiaru mocnych trunków oraz obrażeń odniesionych w nieszczęśliwych wypadkach lub bójkach. Orgia biczowania dziesięciokrotnie zwiększyła liczbę sobotnich pacjentów. Był także mężczyzna, który biczował się tyle razy, że plecy zaczęły mu gnić. W końcu, po północy, przyniesiono kobietę, związaną, wychłostaną i zgwałconą.

Caris z narastającą furią opatrywała wraz z pozostałymi siostrami pacjentów. Wszystkie te obrażenia były wynikiem perwersyjnie pojmowanej religii, szerzonej przez takich ludzi jak Murdo. Twierdzili, że plaga jest karą boską za grzechy, lecz ludzie mogą jej uniknąć, karząc się w inny sposób. Tak jakby Bóg był jakimś mściwym potworem grającym w jakąś opętańczą grę. Caris wierzyła, że boskie poczucie sprawiedliwości musi być bardziej wyrafinowane od takiego, godnego dwunastoletniego herszta szajki młodocianych.

Pracowała aż do jutrzni w niedzielny poranek, po czym przespała kilka godzin. Wstała i poszła zobaczyć się z Merthinem.

Teraz mieszkał w najwspanialszym z domów, które wybudował na Wyspie Trędowatych. Stał na południowym brzegu, w rozległym ogrodzie, niedawno obsadzonym jabłonią i gruszami. Merthin zatrudnił parę w średnim wieku do opieki nad Lollą i domem. Nazywali się Arnaud i Emily, lecz wołali na siebie Arn i Em. Caris znalazła Em w kuchni i została skierowana do ogrodu.

Merthin pokazywał Lolli, jak się pisze jej imię, używając zaostzonego patyka, by kreślić litery na ziemi, i rozśmieszył ją, dorysowując twarz w „o”. Była czteroletnią, ładną dziewczynką o oliwkowej cerze i piwnych oczach.

Obserwując ich, Caris poczuła ukłucie żalu. Sypiała z Merthinem od prawie roku. Nie chciała mieć dziecka, gdyż oznaczałoby to koniec jej ambicji, a jednak trochę żałowała, że nie zaszła w ciążę. Była rozdarta sprzecznymi uczuciami i zapewne dlatego ryzykowała. Jednak nic się nie stało. Zastanawiała się, kiedy straciła zdolność zachodzenia w ciążę. Może wywar, który Mattie Wise dała jej przed dziesięcioma laty, w jakiś sposób uszkodził jej macicę? Jak zawsze żałowała, że nie wie więcej o czynnościach ciała i chorobach.

Merthin pocałował ją i razem spacerowali po ogrodzie, a Lolla biegła przed nimi, grając w jakąś wymyśloną i niezrozumiałą grę wymagającą rozmawiania z każdym drzewem. Ogród wyglądał jak pobożowisko: drzewka zostały właśnie posadzone, a ziemia skądś przywieziona, aby wzbogacić

kamienistą glebę wyspy.

- Przyszłam porozmawiać z tobą o biczownikach - zaczęła Caris i opowiedziała mu o nocy w szpitalu. - Chcę wygnać ich z Kingsbridge - zakończyła.

- Dobry pomysł - pochwalił Merthin. - Całe to przedstawienie ma tylko nabić kabzę Murdowi.

- I Philemonowi. To on zbierał datki. Porozmawiasz z gildią parafialną?

- Oczywiście.

Pełniąc obowiązki przeora, Caris była panią całego Kingsbridge i teoretycznie mogła sama wypędzić biczowników, nie pytając nikogo o zdanie. Jednak przedłożyła królowi petycję o nadanie praw miejskich i spodziewała się niedługo oddać zarządzanie miastem w ręce gildii, więc traktowała obecną sytuację jako przejściową. Ponadto zawsze mądrze jest zdobyć poparcie, zanim spróbuje się wyegzekwować prawo.

- Chciałabym, żeby konstabl wyprowadził z miasta Murda i jego wyznawców jeszcze przed południowym nabożeństwem.

- Philemon będzie wściekły. ».

- Nie powinien był otwierać przed nimi kościoła, nie pytając nikogo o zgodę. Caris wiedziała, że będą kłopoty, lecz nie mogła pozwolić, aby obawa przed reakcją Philemona przeszkodziła jej w zrobieniu tego, co dobre dla miasta.

- Mamy po naszej stronie papieża. Jeśli załatwimy to dyskretnie i szybko, rozwiążemy ten problem, zanim Philemon zje śniadanie.

- W porządku - powiedział Merthin. - Spróbuję zebrać członków gildii w Holly Bush.

- Spotkamy się tam za godzinę.

Gildia parafialna była niekompletna, jak każda inna organizacja w mieście, lecz garstka czołowych kupców przeżyła zarazę, a wśród nich Madge Webber, Jake Chepstow i Edward Slaughterhouse. Nowy konstabl, Mungo, syn Johna, też przybył, a jego zastępcy czekali na zewnątrz na rozkazy.

Dyskusja była krótka. Żaden z porządnych obywateli nie brał udziału w orgii i wszyscy potępiali tego rodzaju publiczne przedstawienia. Zdanie papieża przesądziło sprawę. Formalnie Caris jako przeor wprowadziła przepis zabraniający chłosty na ulicach i publicznego obnażania się, pod karą usunięcia z miasta przez konstabla na polecenie dowolnych trzech członków gildii. Następnie gildia podjęła uchwałę wprowadzającą to prawo w życie.

Potem Mungo poszedł na górę i obudził Murda.

Ten nie chciał odejść spokojnie. Schodząc po schodach, szalał, płakał, modlił się i przeklinał. Dwaj zastępcy Munga wzięli go między siebie i właśnie wynieśli z gospody. Na ulicy zaczął krzyczeć

jeszcze głośniej. Mungo szedł na przedzie, a członkowie gildii za nim. Kilku zwolenników Murda próbowało protestować i tych też wzięto pod eskortę. Tłumek mieszczan podążał za grupą zmierzającą główną ulicą do mostu Merthina. Nikt z obywateli nie protestował przeciwko temu, co robiono, a Philemon się nie pojawił. Niektórzy z tych, co biczowali się poprzedniego dnia, dziś milczeli i wyglądali na nieco zawstydzonych.

Tłum pozostał w tyle, gdy grupka przeszła przez most. Mając mniej słuchaczy, Murdo się uspokoił. Głośne oburzenie zastąpiła jadowita złość. Wypuszczony na końcu podwójnego mostu powłókł się przez przedmieścia, nie oglądając się za siebie. Garstka wyznawców niepewnie potruczała za nim.

Caris przeczuwała, że już go nie zobaczy.

Podziękowała Mungowi i jego ludziom, po czym wróciła do klasztoru.

W szpitalu Oonagh zwalniała poszkodowanych w nocnych wydarzeniach, żeby zrobić miejsce dla nowych ofiar zarazy. Caris popracowała w szpitalu do południa, po czym z ulgą wyszła i poprowadziła procesję do kościoła na niedzielną sumę. Odkryła, że niecierpliwie czeka na godzinę lub dwie psalmów, modłów i nudnego kazania: to będzie odpoczynek.

Philemon był posępny niczym gradowa chmura, gdy prowadził Thomasa i kilku nowicjuszy. Najwyraźniej już dowiedział się o wygnaniu Murda. Niewątpliwie postrzegał biczowników jako źródło dochodów niezależnych od Caris. Ta nadzieja legła w gruzach i był wściekły.

Przez moment Caris zastanawiała się, co zrobi w gniewie. Potem pomyślała: Niech robi, co chce. Jeśli nie to, byłoby coś innego. Cokolwiek uczyni, prędzej czy później Philemon będzie na nią zły. Nie ma sensu się tym martwić.

Zdrzemnęła się podczas modlitw i zbudziła się, gdy zaczął kazanie. Ambona zdawała się podkreślać jego brak wdzięku i jego kazania zwykle spotykały się z chłodnym przyjęciem. Dziś jednak na samym początku skupił uwagę słuchaczy, zapowiadając, że tematem kazania będzie cudzołóstwo.

Wybrał fragment Pierwszego Listu świętego Pawła do chrześcijan w Koryncie. Odczytał go po łacinie, a potem przetłumaczył donośnym głosem: Napisałem wam w liście, żebyście nie obcowali z rozpustnikami!

Rozwlekle wyjaśnił, co oznacza „obcować”.

- Nie jedzcie z nimi, nie pijcie z nimi, nie mieszkać z nimi, nie rozmawiać z nimi.

Caris niespokojnie zastanawiała się, do czego zmierza. Chyba nie ośmieli się zaatakować jej bezpośrednio z ambony? Popatrzyła na Thomasa, stojącego po drugiej stronie chóru z nowicjuszami, i podchwyciła jego zaniepokojone spojrzenie.

Ponownie zwróciła oczy na pociemniałą ze złości twarz Philemona i uświadomiła sobie, że jest

zdolny do wszystkiego.

- Do kogo się to odnosi? - spytał retorycznie. - Nie do postronnych, jak pisze święty. Bóg ich osądzi. Jednak powiada, iż wy jesteście sędziami w swoim kręgu. - Wskazał zgromadzonych. - Wy! - Znów zajrzał do księgi i przeczytał: Usuńcie złego spośród was samych!*[* 1. Kor., 5,13, op. cit.].

Wierni milczeli. Wyczuli, że nie jest to zwyczajne ogólnikowe wezwanie do lepszego zachowania. Philemon miał dla nich jakąś wiadomość.

- Musimy spojrzeć na siebie - ciągnął. - W naszym mieście, w naszym kościele, w naszym opactwie! Czy są tu jacyś cudzołożnicy? Jeśli tak, muszą zostać usunięci!

Teraz Caris nie miała już wątpliwości, że pije do niej. I wszyscy co bardziej rozgarnięci mieszczenie dojdą do tego samego wniosku. Lecz cóż ma zrobić? Nie może wstać i odpowiedzieć na te zarzuty. Nie może nawet wyjść z kościoła, gdyż w ten sposób dałaby do zrozumienia nawet najgłupszemu spośród zebranych, że to ona jest tematem tej tyrady.

Tak więc słuchała udręczona. Philemon po raz pierwszy mówił dobrze. Nie zaczynał się i nie jękał, mówił głośno i wyraźnie, i nie tak monotonicznie jak zwykle. Nienawiść była dla niego inspiracją.

Oczywiście, nikt nie usunie jej z opactwa. Nawet gdyby była nieudolną przeoryszą, biskup nie odprawiłby jej, po prostu z powodu braku duchownych. W całym kraju zamykano kościoły i klasztory, ponieważ nie było komu odprawiać mszy i śpiewać psalmów. Biskupi rozpaczliwie poszukiwali księży, mnichów i zakonnic, a nie pozbywali się ich. Poza tym mieszkańcy miasta zbuntowaliby się przeciwko każdemu biskupowi, który próbowałby pozbyć się Caris.

Mimo wszystko kazanie Philemona wyrządziło poważne szkody. Teraz czołowym mieszkańcom miasta trudno będzie przymykać oko na związek Caris z Merthinem. Takie rzeczy osłabiały jej ailtorytet. Prędzej wybaczyliby takie występki mężczyźnie niż kobiecie. Ponadto, z czego boleśnie zdawała sobie sprawę, ze względu na zajmowaną pozycję łatwo mogła zostać oskarżona o hipokryzję.

Siedziała, zgrzytając zębami i słuchając, jak Philemon peroruje, powtarzając to samo, coraz głośniejsze, do końca mszy. Gdy tylko zakonnice i mnisi wymaszerowali z kościoła, poszła do apteki i zasiadła do pisania listu do biskupa Henriego, prosząc go, by przeniósł Philemona do innego klasztoru.

Zamiast tego Henri go awansował.

Zrobił to dwa tygodnie po wypędzeniu Murda. Znajdowali się w północnym transepcie katedry. Letni dzień był upalny, lecz w kościele zawsze było chłodno. Biskup siedział na rzeźbionym drewnianym fotelu, a pozostali na ławach: Philemon, Caris, archidiakon Lloyd i kanonik Claude.

- Mianuję cię przeorem Kingsbridge - powiedział Henri do Philemona.

Philemon uśmiechnął się z satysfakcją i posłał Caris triumfujące spojrzenie.

Była oburzona. Dwa tygodnie wcześniej przekazała Henriemu długą listę poważnych powodów, dla których Philemon nie powinien pozostawać na odpowiedzialnym stanowisku - poczynając od kradzieży złotego świecznika. Jednak wyglądało na to, że jej list wywarł skutek wprost przeciwny do zamierzonego.

Otworzyła usta, by zaprotestować, lecz Henri przeszył ją gniewnym spojrzeniem i podniósł rękę, więc postanowiła milczeć i słuchać, co jeszcze ma do powiedzenia. Nadal zwracał się do Philemona.

- Robię to pomimo, a nie z powodu twojego zachowania od chwili, gdy wróciłeś do klasztoru. Okazałeś się złośliwym mącicielem i gdyby Kościół tak rozpaczliwie nie potrzebował ludzi, nigdy w życiu bym cię nie awansował.

Czemu więc to robisz? - pomyślała Caris.

- Jednak musimy mieć przeora i przeorysza w tej roli nam nie wystarcza, pomimo jej niekwestionowanych umiejętności.

Caris wolałaby, żeby mianował Thomasa. Wiedziała jednak, że ten by odmówił. Ucierpiał w trakcie zaciętej walki o stanowisko po przeorze Anthonym przed dwunastoma laty i poprzysiągł, że już nigdy nie weźmie udziału w wyborach. W rzeczy samej być może biskup rozmawiał z Thomasem bez wiedzy Caris i o tym wie.

- Jednakże ta nominacja jest ograniczona pewnymi zastrzeżeniami - mówił Henri do Philemona.
- Po pierwsze, nie zostaniesz zatwierdzony na tym stanowisku, dopóki Kingsbridge nie uzyska praw miejskich. Nie potrafiłbyś zarządzać miastem i nie zamierzam powierzać ci tego obowiązku. Tak więc matka Caris nadal będzie pełniła obowiązki przeora, a ty będziesz mieszkał w dormitorium mnichów. Pałac zostanie zamknięty. Jeśli w okresie oczekiwania będziesz się źle zachowywał, wycofam nominację.

Philemon był zły i urażony, ale trzymał język za zębami. Wiedział, że wygrał, i nie zamierzał spierać się o warunki.

- Po drugie, będziesz miał własny skarbiec, lecz skarbnikiem będzie brat Thomas i żadne pieniądze ani cenne przedmioty nie zostaną zabrane bez jego wiedzy i zgody. Co więcej, poleciłem wybudować nową wieżę i zatwierdziłem płatności według kosztorysu przygotowanego przez Merthina Bridgera. Opactwo wniesie te opłaty z funduszy mnichów i ani Philemon, ani ktokolwiek inny nie ma prawa tego zmieniać. Nie chcę połowy wieży.

Przynajmniej Merthin dostanie to, czego chciał, pomyślała z wdzięcznością Caris.

Henri zwrócił się do Caris:

- Mam jeszcze jedno polecenie, tym razem dla ciebie, matko Caris. Co teraz? - pomyślała.

- Padło oskarżenie o cudzołóstwo.

Caris spojrzała na biskupa, myśląc o tym, jak zaskoczyła jego i Claude'a nagich. Jak śmie poruszać ten temat?

- Nie będę mówił o przeszłości - ciągnął. - Jednak w przyszłości przeorysza Kingsbridge nie może pozostawać w związku z mężczyzną.

Chciała mu powiedzieć, że przecież sam ma kochankę, jednak nagle zauważyła jego minę. Twarz Henriego miała błagalny wyraz. Błagał ją, żeby nie rzucała oskarżenia, które - jak dobrze wiedział - ukazałoby jego hipokryzję. Zrozumiała, że on wie, iż postępuje niesprawiedliwie, ale nie ma innego wyjścia. Philemon go do tego zmusił.

Mimo wszystko miała ochotę rzucić jakąś ciętą uwagę, jednak się powstrzymała. Nic by to nie dało. Henri został przyparty do muru i robił, co mógł. Caris zacisnęła zęby.

- Czy mam twoje zapewnienie, matko przeoryszo - rzekł Henri - że od tej chwili nie będzie jakichkolwiek podstaw do takiego oskarżenia?

Caris wbiła wzrok w podłogę. Już to przerabiała. Znowu stanęła przed koniecznością wyboru między rezygnacją ze wszystkiego, co starała się osiągnąć - szpitala, praw miejskich, wieży - albo rozstania z Merthinem. I znów wybrała swoją pracę.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Tak, milordzie biskupie - powiedziała. - Masz moje słowo.

Zobaczyła się z Merthinem w szpitalu, gdzie nie byli sami. Drżała i była bliska łez, ale nie mogła rozmawiać z nim w cztery oczy. Wiedziała, że wtedy nie powstrzymałaby się i zarzuciła mu ręce na szyję, powiedziałaby, że go kocha, obiecała opuścić klasztor i wyjść za niego. Tak więc posłała mu wiadomość i powitała go w drzwiach szpitala, po czym rozślawiała rzeczowym tonem, z rękami mocno splecionymi na piersi, żeby nie ulec pokusie i nie dotknąć czule tego, którego tak bardzo kochała.

Kiedy skończyła mu mówić o ultimatum biskupa i swojej decyzji, spojrzał na nią tak, jakby chciał ją zabić.

- To ostatni raz - powiedział.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeśli to zrobisz, koniec. Nie zamierzam dłużej czekać w nadziei, że pewnego dnia zostaniesz moją żoną.

Poczuła się, jakby ją uderzył.

Mówił dalej, każdym zdaniem zadając kolejny cios:

- Jeśli mówisz poważnie, zamierzam o tobie zapomnieć. Mam trzydzieści trzy lata. Nie będę żył wiecznie... mój ojciec ma pięćdziesiąt osiem lat i jest umierający. Ożenię się z inną kobietą, będę miał więcej dzieci i będę szczęśliwy w moim ogrodzie.

Obraz, który odmalował, był dla niej udręką. Przygryzła wargę, próbując opanować rozpacz, lecz po twarzy jej płynęły gorące łzy. Był bezlitosny.

- Nie zamierzam zmarnować życia, Kochając cię - mówił, i poczuła się, jakby pchnął ją sztyletem. - Opuść klasztor teraz albo zostań w nim na zawsze.

Próbowała spojrzeć mu w oczy.

- Nigdy cię nie zapomnę. Zawsze będę cię kochała.

- Jednak nie dość mocno.

Milczała przez długą chwilę. Wiedziała, że to nie tak. Jej miłość nie była słaba ani niewystarczająca. Jednak nie było sensu się spierać.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała.

- Wydaje się to oczywiste.

Kiwnęła głową, chociaż tak naprawdę się z tym nie zgadzała.

- Przykro mi - powiedziała. - Jest mi tak przykro jak jeszcze nigdy w życiu.

- Mnie też - powiedział Merthin, odwrócił się i wyszedł z budynku.

75

Sir Gregory Longfellow w końcu wyjechał do Londynu, lecz wrócił zaskakująco szybko, niemal jakby odbił się jak piłka od murów tego wielkiego miasta. Pojawił się w Tench Hall w porze wieczery z udręczoną miną i długimi siwymi włosami zlepionymi potem, głośno wciągając nosem powietrze. Szedł w sposób nieco mniej niż zwykle sugerujący, że poradzi sobie z każdym człowiekiem czy zwierzęciem stojącym mu na drodze. Ralph i Alan stali pod oknem, oglądając nowy rodzaj sztyletu z długim ostrzem, zwany basilardem. Nic nie mówiąc, Gregory opadł na rzeźbiony fotel Ralpha. Cokolwiek się stało, wciąż był zbyt wyniosły, by czekać, aż poproszą go, by usiadł.

Ralph i Alan spojrzeli na niego wyczekująco. Matka Ralpha prychnęła karcąco - nie lubiła złych manier.

- Król nie lubi nieposłuszeństwa - powiedział w końcu Gregory. To przestraszyło Ralpha.

Niespokojnie spozjrzał na prawnika, zadając sobie pytanie, co też takiego zrobił, co król mógłby uznać za nieposłuszeństwo.

- Przykro mi, że Jego Wysokość jest niezadowolona - powiedział nerwowo. - Mam nadzieję, że nie ze mnie.

- Masz z tym coś wspólnego - rzekł irytująco enigmatycznie Gregory. - I ja również. Król uważa, że odmowa spełniania jego życzeń to niebezpieczny precedens.

- Całkowicie się z tym zgadzam.

- Właśnie dlatego ty i ja jutro rano pojedziemy do Earlcastle, zobaczymy się z lady Philippą i zmusimy ją, żeby za ciebie wyszła.

A więc to tak. Ralph poczuł głęboką ulgę. Logicznie rzecz biorąc, nie można go było winić za krnąbrność Philippy - lecz logika dla królów nie ma żadnego znaczenia. Czytając między wierszami, odgadł, że król obwinił o to Gregory'ego, a ten jest teraz zdecydowany uratować pierwotny plan i odzyskać łaskę władcy.

Na twarzy Gregory'ego malowała się wściekłość i groźba.

- Kiedy z nią skończę, obiecuję ci, że będzie cię błagała, żebyś ją poślubił. Ralph nie mógł sobie wyobrazić, jak zamierza to osiągnąć. Jak powiedziała sama Philippa, można zaciągnąć kobietę przed ołtarz, lecz nie można jej zmusić, żeby powiedziała „tak”.

- Ktoś mi mówił - rzekł - że prawo wdowy do odmowy małżeństwa jest gwarantowane przez Magna Carta.

Gregory obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Nie przypominaj mi o tym. Popelnilem błąd, wspominając o tym Jego Wysokości.

Ralph zastanawiał się, jakich gróźb lub obietnic zamierza w takim razie użyć Gregory, żeby nagiąć Philippę do swej woli. Jemu nie przychodził do głowy żaden inny sposób, jak porwać ją i zawieźć do jakiegoś kościoła na odludziu, gdzie sówicie opłacony ksiądz nie będzie słuchał jej krzyków: „Nie, nigdy!”.

Wyruszyli wczesnym rankiem, z niewielką świtą. Były żniwa i na North Field ludzie żęli wysokie łodygi żyta, a kobiety szły za nimi i wiązały je w snopy.

Ostatnio Ralph częściej martwił się żniwami niż małżeństwem z Philippą. Nie z powodu pogody, która była ładna, lecz zarazy. Miał za mało dzierżawców i niemal żadnych wyrobników. Wielu podkradli mu pozbawieni skrupułów właściciele ziemscy jak przeorysza Caris, która wabiła ludzi innych panów, oferując wyższe stawki i atrakcyjniejsze dzierżawy. W przyływie rozpaczony Ralph dał niektórym swoim wyrobnikom wolne dzierżawy, co oznaczało, że nie mieli obowiązku pracować na jego ziemi - w wyniku czego został bez siły roboczej w porze żniw. Część jego plonów mogła zgnieć na polach.

Jednak czuł, że jego problemy się skończą, jeśli poślubi Philippę. Wtedy będzie miał dziesięć razy więcej ziemi niż teraz oraz wpływy z tuzina innych źródeł, takich jak: sądy, lasy, jarmarki i młyny. A jego rodzina odzyska należne miejsce wśród szlachty. Sir Gerald, zanim umrze, zostanie ojcem hrabiego.

Zastanawiał się, co zamierza Gregory. Philippa postawiła się w niebezpiecznej sytuacji, sprzeciwiając się woli i powiązaniom londyńskiego prawnika. Ralph nie chciałby być w jej aksamitnej

skórze.

Przybyli do Earlcastle tuż przed południem. Krakanie kruków kłócących się na blankach zawsze przypominało Ralphowi czas, jaki spędził tu jako giermek hrabiego Rolanda. Czasem myślał, że były to najszczęśliwsze lata jego życia. Teraz jednak, bez hrabiego, panowała tu głucha cisza. Nie było giermków oddających się brutalnym zabawom w sali na dole, bojowych rumaków parskających i stukających kopytami przy oporządzaniu i oprowadzaniu po wybiegu ani zbrojnych grających w kości na stopniach kasztelu.

Philippą siedziała w wielkiej sali o staromodnym wystroju, razem z Odilą i kilkoma służkami. Matka i córka razem tkwały gobelin, siedząc obok siebie na ławie przed krosnami. Po ukończeniu miał zapewne przedstawiać leśny krajobraz. Philippą brązową nicią tkła pnie drzew, a Odila jasnozieloną liście.

- Bardzo ładny, ale przydałoby mu się więcej życia - rzekł Ralph wesoło i przyjaźnie. - Kilka ptaków i królików, a może parę psów goniących jelenia.

Philippą jak zawsze była odporna na jego wdzięk. Wstała i cofnęła się o krok, odsuwając się od niego. Dziewczyna zrobiła to samo. Ralph zauważył, że matka i córka są tego samego wzrostu.

- Dlaczego musiałeś się tu pojawić?

Jak chcesz, pomyślał z urazą Ralph i odwrócił się do niej bokiem.

- Sir Gregory ma ci coś do powiedzenia - rzekł, po czym podszedł do okna i wyjrzał przez nie, udając znudzonego.

Gregory przywitał się grzecznie z obiema kobietami i powiedział, że ma nadzieję, iż nie przeszkadza. Bzdura, bo ani krzty nie obchodziły go ich uczucia, lecz miłe słowa ułagodziły nieco Philippę, która zaprosiła go, by usiadł.

- Król jest na ciebie rozgniewany, hrabino - zagaił. Philippa skłoniła głowę.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że rozczarowałam Jego Wysokość.

- Król pragnie nagrodzić swego wiernego sługę, sir Ralpa, mianując go hrabią Shiring. Jednocześnie daje ci młodego i energicznego męża oraz dobrego ojczyma dla twojej córki. - Philippa wzdrygnęła się, lecz Gregory to zignorował. - Jest zdumiony twoją upartą odmową.

Philippa wyglądała na zatrwożoną i miała powody. Sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby miała brata lub wuja, który by się za nią ujął, lecz zaraza zabrała całą jej rodzinę. Jako kobieta bez męskich krewnych nie miała nikogo, kto obroniłby ją przed gniewem króla.

- Co zrobi? - spytała niespokojnie.

- Nie użył słowa „zdrada”... Na razie...

Ralph nie był pewien, czy Philippa może być prawnie oskarżona o zdradę, lecz mimo to zbladła,

słyszac tę groźbę.

- Poprosił mnie - ciągnął Gregory - żebym najpierw spróbował spokojnie z tobą porozmawiać.

- Oczywiście król postrzega to małżeństwo jako sprawę polityczną...

- To jest sprawa polityczna - przerwał jej Gregory. - Gdyby ta oto twoja piękna córka raczyła zakochać się w czarującym synu pomywaczki, powiedziałaś jej, tak jak ja mówię tobie, że szlachcianki nie mogą poślubić, kogokolwiek zechcą, po czym zamknęłaś ją w pokoju i kazała chłostać chłopaka pod jej oknem, dopóki nie wyrzekłby się jej na zawsze.

Philippa się zjeżyła. Nie zamierzała wysłuchiwać wykładów na temat powinności swego stanu z ust jakiegoś prawnika.

- Znam powinności arystokratycznej wdowy - powiedziała szorstko. - Jestem hrabiną, moja babka była hrabiną i moja siostra była hrabiną, dopóki nie umarła na zarazę. Jednak małżeństwo to nie tylko polityka. To także sprawa serca. My, kobiety, jesteśmy zdane na łaskę mężczyzn, którzy są naszymi panami i mają obowiązek mądrze decydować o naszym losie. Prosimy zatem, by nie ignorować całkowicie tego, co mamy w sercach. Takie prośby zazwyczaj są wysłuchiwane.

Ralph widział, że jest zła, ale wciąż opanowana i wzdarliwa. Słowo „mądrze” zabrzmiało sarkastycznie.

- W normalnych czasach może miałabyś rację, lecz to są czasy dziwne - odparł Gregory. - Zwykle kiedy król rozgląda się, szukając kogoś godnego tytułu hrabiego, widzi tuzin mądrych, silnych, energicznych ludzi, lojalnych i gotowych służyć mu w każdy możliwy sposób i każdemu z nich z przekonaniem może nadać ten tytuł. Teraz jednak tylu najlepszych zabrała zaraza, że król jest jak gospodyni, która idzie późnym południem do handlarza ryb... musi brać to, co zostało.

Ralph docenił siłę tego argumentu, ale poczuł się urażony. Udał jednak, że tego nie słyszał.

Philippa zmieniła taktykę. Skinęła na służącą.

- Proszę, przynieś nam dzban najlepszego gaskońskiego wina. Sir Gregory zje tutaj obiad, więc przygotuj młode jagnię gotowane z czosnkiem i rozmarynem.

- Tak, pani.

- Jesteś niezwykle uprzejma, hrabino - powiedział Gregory.

Philippa nie potrafiła kokietować. Udawanie, że jest po prostu gościnną bez żadnego ukrytego powodu, było poniżej jej godności. Od razu wróciła do tematu rozmowy.

- Sir Gregory, muszę ci rzec, iż moje serce, moja dusza i całe moje jestestwo buntuje się przeciwko poślubieniu sir Ralpa Fitzgeralda.

- Ależ dlaczego? To mężczyzna jak każdy inny.

- Nie, wcale nie.

Mówili o Ralphie, jakby go tu nie było, w sposób, który uznał za głęboko uwłaczający. Jednak Philippa była zdesperowana i gotowa powiedzieć wszystko, a on był ciekaw, co takiego w nim tak bardzo jej się nie podoba.

Zamilkła, zbierając myśli.

- Gdybym powiedziała: gwałcieciel, oprawca, morderca... te słowa po prostu wydają się zbyt abstrakcyjne.

Ralph był zaskoczony. Nie myślał o sobie w taki sposób. Oczywiście torturował ludzi w służbie króla, zgwałcił Annet i mordował mężczyzn, kobiety i dzieci jako banita... Przynajmniej, pocieszał się, Philippa nie domyśliła się, że to on był tym zakapturzonym osobnikiem, który zabił Tilly.

- Istoty ludzkie mają w sobie coś, co nie pozwala im robić takich rzeczy - ciągnęła Philippa. - To zdolność... nie, to konieczność odczuwania cudzego cierpienia. To niezależne od nas. Ty, sir Gregory, nie mógłbyś zgwałcić kobiety, ponieważ czułbyś jej żal i ból, cierpiałbyś z nią, i to skłoniłoby cię do odstąpienia od takiego zamiaru. Z tego samego powodu nie mógłbyś torturować czy mordować. Ten, któremu brak zdolności odczuwania cudzego bólu, nie jest człowiekiem, nawet jeśli chodzi na dwóch nogach i mówi po angielsku.

- Pochyliła się, zniżając głos, lecz mimo to Ralph wyraźnie ją usłyszał. - A ja nie pójdę do łóżka ze zwierzęciem.

- Nie jestem zwierzęciem! - wybuchnął Ralph.

Spodziewał się, że Gregory go poprze. Jednak wyglądało na to, że prawnik się poddał.

- Czy to twoje ostatnie słowo, lady Philippo?

Ralph był zdumiony. Czy Gregory zamierza to tak zostawić, jakby choć w połowie było to prawdą?

- Chcę, żebyś wrócił do króla i powiedział mu, że jestem lojalną i posłuszną poddaną, i gorąco pragnę zaskarbić sobie jego łaskę, ale nie mogę poślubić Ralpa, nawet gdyby nakazał mi to sam archanioł Gabriel.

- Rozumiem. - Gregory wstał. - Nie zostaniemy na obiedzie.

To wszystko? Ralph czekał na obiecaną przez Gregory'ego niespodziankę, jakąś tajną broń, obietnicę albo groźbę, której Philippa nie będzie w stanie się oprzeć. Czy ten sprytny prawnik naprawdę nie ma nic w rękawie swojej kosztownej brokatowej szaty?

Philippa wyglądała na równie zaskoczoną tak nagłym zakończeniem sporu.

Gregory ruszył do drzwi i Ralph nie miał innego wyjścia, jak pójść za nim. Philippa i Odila spoglądały na nich, nie wiedząc, co myśleć o ich spokojnym odejściu. Damy dworu zamilkły.

- Proszę, poproś króla, aby okazał się litościwy - powiedziała Philippa.

- Będzie, pani - rzekł Gregory. - Upoważnił mnie, abym ci powiedział, że wobec twojej upartej odmowy nie będzie cię zmuszał do poślubienia mężczyzny, którym gardzisz.

- Dziękuję! Uratowałeś mi życie.

Ralph otworzył usta, by zaprotestować. Obiecano mu! Dla tej nagrody popełnił świętokradztwo i morderstwo. Chyba teraz nie cofną danego słowa? Jednak Gregory przemówił pierwszy:

- W zamian król rozkazuje, żeby Ralph poślubił twoją córkę. - I po krótkiej przerwie wskazał wysoką piętnastoletnią dziewczynę stojącą obok matki. - Odile - dodał, jakby musiał wyjaśniać, o kim mówi.

Philippa jęknęła, a Odila krzyknęła. Gregory skłonił głowę.

- Życzę wam obu miłego dnia.

- Zaczekaj! - zawołała Philippa. Gregory udał, że nie słyszy, i wyszedł. Oszołomiony Ralph podążył za nim.

Gwenda obudziła się bardzo zmęczona. Były żniwa i każdą godzinę długich sierpniowych dni spędzała na polach. Wulfric niestrudzenie machał kosą od wschodu słońca do zmroku, kosząc zboże. Gwenda wiązała snopki. Przez cały dzień pochylała się i zbierała skoszone łodygi, pochylała się i zbierała, pochylała i zbierała, aż jej plecy zdawały się płonąć z bólu. Gdy było zbyt ciemno, żeby coś dojrzeć, wlokła się do domu i padała na łóżko, pozostawiając rodzinę, by żywiła się sama tym, co zdołali znaleźć w kredensie.

Wulfric zbudził się o świcie i wierząc się, wyrwał Gwendę z głębokiego snu. Zwlokła się z łóżka. Wszyscy potrzebowali solidnego śniadania, a ona mogła postawić na stole zimną baraninę, chleb, masło i mocne piwo. Dziesięcioletni Sam już wstał, lecz Davy'ego, który miał dopiero osiem lat, trzeba było budzić i podnosić z łóżka.

- Tej ziemi nigdy nie uprawiał tylko jeden mężczyzna ze swoją żoną - utyskiwała Gwenda, gdy jedli.

Wulfric był irytująco dobrej myśli.

- Ty i ja sami zżęliśmy wszystko tamtego roku, kiedy zawalił się most - przypomniał wesoło.

- Wtedy byłam dwanaście lat młodsza.

- Jednak teraz jesteś piękniejsza. Nie była w nastroju do uprzejmości.

- Nawet kiedy twój ojciec i brat żyli, w porze żniw najmowaliście kogoś.

- Nieważne. To nasza ziemia i myją obsialiśmy, więc zarobimy na zbiorach, zamiast dostawać pensa za każdy dzień harówki. Im więcej pracujemy, tym więcej będziemy mieli. Tego zawsze chciałaś,

nieprawdaż?

- Zawsze chciałam być niezależna i samowystarczalna, jeśli o to ci chodzi. - Podeszła do drzwi.

- Zachodni wiatr i kilka chmur na niebie.

Wulfric zaniepokoił się.

- Potrzeba nam jeszcze kilku dni bez deszczu.

- Myślę, że nie będzie padać. Chodźcie, chłopcy, pora iść w pole. Możecie jeść, idąc. -

Pakowała do worka chleb i mięso na obiad, gdy do chaty wszedł Nate Reeve. - Och nie! - jęknęła. - Nie dziś, jeszcze nie skończyliśmy żąć!

- Pan też ma zboże do zżęcia - rzekł zarządca.

Za nim wszedł jego dziesięcioletni syn Jonathan, zwany Jonno, który natychmiast zaczął robić miny do Sama.

- Pozwól nam jeszcze trzy dni popracować na naszej ziemi - prosiła Gwenda.

- Nie trudź się spieraniem o to ze mną - rzekł Nate. - Jesteście winni panu jeden dzień w tygodniu, a w czasie żniw dwa^ADziś i jutro będziecie kosili zboże w Brookfield.

- Drugi dzień jest zwykle darowany. Tak było od bardzo dawna.

- Było, kiedy nie brakowało rąk do pracy. Teraz pan jest zdesperowany. Tylu ludzi wynegocjowało wolne dzierżawy, że nie ma prawie nikogo do zbierania jego zboża.

- Zatem ci, którzy negocjowali z tobą i zażądali zwolnienia ze zwyczajowych powinności, są nagradzani, podczas gdy tacy ludzie jak my, którzy przystali na stare zasady, są karani dwukrotnie dłuższą pracą na ziemi pana.

Oskarżycielsko spojrzała na Wulfrica, pamiętając, jak zignorował ją, gdy radziła mu negocjować warunki z Nate'em.

- Coś w tym rodzaju - mruknął zarządca.

- Do diabła.

- Nie przeklinaj - upomniał ją Nate. - Dostaniecie darmowy obiad. Będzie pszenny chleb i cała baryłka piwa. Czy to nie coś, na co warto czekać?

- Sir Ralph karmi owsem konie, na których chce długo jeździć.

- Nie ociągajcie się! Wyszedł.

Jego syn, Jonno, pokazał Samowi język. Sam próbował go złapać, lecz Jonno wymknął mu się i pobiegł za ojcem.

Zmęczona Gwenda i jej rodzina poszli przez pola tam, gdzie pszenica Ralpa ołysała się na wietrze. Zabrali się do pracy. Wulfric kosił, a Gwenda wiązała snopki. Sam podążał za nimi, zbierając źdźbła, które przeoczyła, a gdy nazbierał dość na snopek, oddawał go jej do związania. Davy miał małe

i zręczne paluszki, więc splatał powróśla ze słomy do wiązania snopków. Inne rodziny dzierzawiące ziemię na starych zasadach pracowały razem z nimi, podczas gdy sprytniejsi dzierzawcy zbierali własne plony.

Kiedy słońce stało w zenicie, Nate podjechał wozem z beczką piwa. Dotrzymał słowa i dał każdej rodzinie wielki bochen smacznego pszennego chleba. Wszyscy najedli się do syta, po czym dorośli zalegli w cieniu, by odpocząć, a dzieci zaczęły się bawić.

Gwenda drzemała, gdy nagle usłyszała dziecięcy krzyk. Natychmiast poznała po głosie, że to nie krzyczy żaden z jej chłopców, lecz mimo to zerwała się na równe nogi. Zobaczyła swojego syna, Sama, bijącego się z Jonnem Reeve'em. Chociaż byli niemal w tym samym wieku i równego wzrostu, Sam bezlitośnie tłukł i kopał leżącego na ziemi Jonna. Gwenda ruszyła ku nim, lecz Wulfric był szybszy. Jedną ręką złapał Sama i odciągnął go.

Gwenda niespokojnie obejrzała Jonna. Chłopiec krwawił z nosa i ust i miał podbite jedno oko, które już zaczynało puchnąć. Trzymał się za brzuch, jęcząc i płacząc. Gwenda widziała wiele bójek między chłopcami, lecz ta była inna. Jonno został pobity.

Spojrzała na swojego dziesięcioletniego syna. Na twarzy nie miał żadnych śladów, jakby Jonno ani razu nie zdołał go uderzyć. I nie okazywał żalu z powodu tego, co zrobił. Raczej wydawał się triumfować. Ten wyraz twarzy wydał jej się dziwnie znajomy i Gwenda zaczęła szukać w pamięci podobnego. I zaraz przypomniała sobie, kto miał taką minę, kiedy kogoś poturbował.

Ralph Fitzgerald, prawdziwy ojciec Sama.

III
III

Dwa dni po tym, jak Ralph i Gregory odwiedzili Earlcastle, lady Philippa przybyła do Trench Hall.

Ralph rozważał ewentualne małżeństwo z Odilą. Była piękną młodą dziewczyną, lecz w Londynie młode i piękne dziewczęta można kupić za kilka pensów. Ralph miał już za sobą doświadczenia małżeńskie z Tilly, która była jeszcze dzieckiem. Gdy początkowy urok minął, nudziła go i irytowała.

Przez chwilę zastanawiał się, czy mógłby poślubić Odilę i mieć również Philippę. Pomysł ożenku z córką i zrobienia z jej matki kochanki zaintrygował go. Może nawet mógłby mieć je obie? Kiedyś uprawiał seks z dwiema prostytutkami z Calais, matką i córką, i kazirodczy charakter tego stosunku dał mu podniecające poczucie deprawacji.

Wiedział jednak, że do tego nie dojdzie. Philippa nigdy nie zgodziłaby się na taki związek. Mógł znaleźć sposób, żeby ją podejść, ale nie dałaby się łatwo zastraszyć.

- Nie chcę zenić się z Odilą - powiedział Gregory'emu, gdy wracali do domu z Earlcastle.

- Nie będziesz musiał - odparł Gregory, ale nie chciał powiedzieć nic więcej.

Philippa przybyła z damą do towarzystwa i strażnikiem, ale bez Odili. Wchodząc do Tench Hall, choć raz nie wyglądała dumnie. Ralph pomyślał, że nawet nie wygląda pięknie. Najwyraźniej nie spała przez dwie noce.

Właśnie usiedli do obiadu: Ralph, Alan, Gregory, kilku giermków i zarządca. Philippa była jedyną kobietą w tym gronie.

Podeszła do Gregory'ego.

Ten zapomniał o kurtuazji, z jaką odnosił się do niej poprzednio. Nie wstał, lecz niechętnie zmierzył ją wzrokiem, jakby była służącą, która przysłała na skargę.

- No? - mruknął w końcu.

- Wyjdę za Ralpa.

- Och! - rzekł z drwiącym zdziwieniem. - Naprawdę?

- Tak. Wolę wyjść za niego sama niż poświęcić córkę.

- Milady, zdajesz się sądzić, że król zaprowadził cię do suto zastawionego stołu i poprosił, żebyś wybrała, co najbardziej lubisz. Jesteś w błędzie. Król nie pyta, czego chcesz. On rozkazuje. Nie usłuchałaś jednego rozkazu, więc wydał inny. Nie dał ci wyboru.

Spuściła głowę.

- Bardzo przepraszam za moje zachowanie. Proszę, oszczędź moją córkę.

- Gdyby to zależało ode mnie, odmówiłbym twej prośbie, żeby ukarać cię za twoją nieprzejednaną postawę. Może jednak powinnaś poprosić sir Ralpa.

Spojrzała na Ralpa. W jej oczach ujrziała wściekłość i rozpacz. Poczł podniecenie. Była najbardziej wyniosłą kobietą, jaką znał, a on złamał jej dumę. Chciał legnąć z nią zaraz, natychmiast.

Jednak to jeszcze nie był koniec.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał.

- Przepraszam.

- Podejdz tu. - Ralph siedział u szczytu stołu, a ona podeszła i stanęła przy nim. Poglądził poręcz fotela zakończoną wyrzeźbionym lwim łbem. - Mów.

- Przykro mi, że odrzuciłam cię poprzednio. Cofam wszystko, co powiedziałam. Przyjmuję twoją propozycję. Wyjdę za ciebie.

- Jednak ja nie ponowiłem mojej propozycji. Król rozkazuje mi poślubić Odilę.

- Jeśli poprosisz króla, żeby wrócił do początkowego planu, z pewnością wysłucha twojej prośby.

- I właśnie o to mnie prosisz?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy i przelknęła ostateczne upokorzenie. - Proszę cię... błagam. Proszę, sir Ralphie, uczyni mnie swoją żoną.

Ralph wstał, odsuwając fotel.

- Zatem pocałuj mnie. Zamknęła oczy.

Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Poddała się, nie odwzajemniając pocałunku. Prawą dłonią ścisnął jej pierś. Była twarda i pełna, jak zawsze to sobie wyobrażał. Przesunął dłoń po jej ciele i między nogi. Drgnęła, lecz pozostała biernie w jego objęciach, a on przycisnął dłoń i popieścił dłonią pulchny trójkątny wzgórek.

Potem, pozostając w tej pozycji, oderwał usta od jej warg i powiódł wzrokiem po swoich kompanach.

76

W tym samym czasie, gdy Ralph został hrabią Shiring, pewien młodzieniec, niejaki David Caerleon został hrabią Monmouth. Miał dopiero siedemnaście lat i był dość daleko spokrewniony ze zmarłym, lecz zaraza zabrała wszystkich bliższych spadkobierców tytułu.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem tego roku biskup Henri odprawił w katedrze w Kingsbridge mszę w intencji dwóch nowych hrabiów. Potem David i Ralph byli gośćmi honorowymi na uczcie wydanej przez Merthina w siedzibie gildii. Kupcy także świętowali nadanie Kingsbridge praw miejskich.

Ralph uważał, że David miał niezwykle szczęście. Chłopak nigdy nie opuścił królestwa ani nie walczył w żadnej bitwie, a jednak w wieku siedemnastu lat był już hrabią. Ralph przeszedł z królem Edwardem całą Normandię, ryzykował życie w wielu bitwach, stracił trzy palce i służąc królowi, popełnił niezliczone grzechy, a musiał czekać tyle lat.

Jednak w końcu osiągnął swój cel i zasiadł przy stole obok biskupa Henriego, odziany w kosztowny brokatowy płaszcz przetykany złotem i srebrem. Ludzie, którzy go znali, pokazywali go obcym, bogaci kupcy ustępowali mu z drogi i kłaniali się z szacunkiem, gdy przechodził, a służącej ze zdenerwowania trzęsły się ręce, gdy nalewała mu wino. Jego ojciec, sir Gerald, przykuty teraz do łóżka, lecz uparcie trzymający się życia, powiedział:

- Jestem potomkiem hrabiego i ojcem hrabiego. Jestem zadowolony.

Wszystko to było głęboko satysfakcjonujące.

Ralph chciał porozmawiać z Davidem o problemie, jakim był brak rąk do pracy. Chwilowo nie był tak palący, gdyż zakończyły się już żniwa i jesienna orka. O tej porze roku dni były krótkie i chłodne, więc niewiele można było zrobić na polach. Niestety, gdy tylko przyjdzie wiosna i ziemia dostatecznie zmięknie, by rozpocząć siew, kłopoty znów się zaczną: wyrobnicy będą domagali się

wyższych stawek, a w razie odmowy nielegalnie uciekną do hojniejszych pracodawców.

Jedynym sposobem powstrzymania tego było zgodne działanie wszystkich szlachciców, odrzucanie żądań wyższych stawek i niezatrudnianie zbiegów. Właśnie to Ralph zamierzał powiedzieć Davidowi.

Jednak nowy hrabia Monmouth nie wykazywał chęci do rozmowy z Ralphem. Bardziej interesował się jego pasierbicą, Odilą, która była prawie w jego wieku. Ralph zrozumiał, że ci dwoje znali się wcześniej: Philippa i jej pierwszy mąż, William, często bywali w gościnie na zamku, kiedy David był giermkim na służbie starego hrabiego.

Tak czy inaczej, teraz byli przyjaciółmi. David z ożywieniem rozmawiał z Odilą, a ona uważnie go słuchała - przytakując mu, chłonąc jego opowieści i śmiejąc się z jego żartów.

Ralph zawsze zazdrościł mężczyznom, którzy potrafili zauroczyć kobiety. Jego brat miał tę umiejętność, tak więc potrafił zdobywać najpiękniejsze kobiety, chociaż był niski, pospolity i rudy.

Mimo wszystko Ralph współczuł Merthinowi. Od dnia, gdy hrabia Roland uczynił Ralpha giermkim i skazał Merthina na terminowanie u cieśli, Merthin był stracony. Chociaż starszy od Ralpha, nie on został hrabią. Merthin, teraz siedzący po drugiej stronie Davida, musiał zadowolić się skromną pozycją przewodniczącego gildii i swoim urokiem osobistym.

Ralph nie potrafił oczarować nawet swojej żony. Ta prawie się do niego nie odzywała. Więcej do powiedzenia miała jego psu.

Jak to możliwe, zadawał sobie pytanie Ralph, żeby człowiek chciał czegoś tak bardzo, jak on pragnął Philippy, a kiedy już to zdobył, był tak rozczarowany? Pożądał jej, już kiedy był dziewiętnastoletnim giermkim. Teraz, po trzech miesiącach małżeństwa, z całego serca pragnął się jej pozbyć.

Jednak trudno byłoby mu się skarżyć. Philippa robiła wszystko, co należało do obowiązków żony. Sprawnie kierowała zamkiem, czym zajmowała się, od kiedy jej pierwszy mąż został mianowany hrabią po bitwie pod Crecy. Dostawy były zamawiane, rachunki płacone, ubrania szyte, ogień rozpalany, a pożywienie i napitki w porę pojawiały się na stole. I poddawała się seksualnym ekscesom Ralpha. Mógł robić, co chciał: drzeć jej odzienie, brutalnie wpychać w nią palce, brać ją na stojąco lub od tyłu - nigdy nie narzekała.

Jednak nie odwzajemniała jego pieszczot. Jej wargi nigdy nie poruszyły się pod dotknięciem jego warg, nigdy nie wsunęła języka, do jego ust, nigdy nie była czuła. Trzymała pod ręką olejek migdałowy, którym nawilżała swe niereagujące ciało, ilekroć chciał uprawiać z nią seks. Leżała nieruchomo jak trup, gdy na niej dyszał. Kiedy z niej schodził, szła się umyć.

Jedyną dobrą rzeczą w tym małżeństwie było to, że Odila lubiła małego Gerry'ego. Dzieciak

budził w niej macierzyński instynkt. Uwielbiała do niego mówić, śpiewać mu piosenki i kołysać go do snu. Obdarzała go matczynymi uczuciami, jakich nigdy nie zaznałby od oplacanej niańki.

Mimo wszystko Ralph był rozżalony. Bujne ciało Philippy, na które tęsknie spoglądał przez tyle lat, teraz było dlań odpychające. Nie tknął jej od tygodni i zapewne już nigdy nie dotknie. Patrzył na jej ciężkie piersi i okrągłe biodra, tęskniąc za smukłym ciałem i dziewczęcą skórą Tilly. A Tilly pchnął długim, ostrym sztyletem, który wbił się jej pod żebra i przeszył bijące serce. Z tego grzechu nie śmiał się wypowiedzieć. Jak długo, zastanawiał się z przygnębieniem, będzie cierpiał za to w czyścisku?

Biskup i jego koledzy zatrzymali się w pałacu przeora, a świta Monmoutha zajęła gościnne pokoje opactwa, tak więc Ralph i Philippa oraz ich służba ulokowali się w gospodzie. Ralph wybrał Bell, przebudowaną gospodę, której właścicielem był jego brat. Był to jedyny dwupiętrowy budynek w Kingsbridge, z wielką salą na parterze, sypialniami dla mężczyzn i kobiet na górze oraz sześcioma drogimi apartamentami na drugim piętrze. Kiedy uczta się skończyła, Ralph i jego orszak przenieśli się do gospody, gdzie zasiedli przy ogniu, zażądali wina i zaczęli grać w kości. Philippa została w opactwie, rozmawiając z Cans i jako przyzwoitka dla Odili i hrabiego Davida.

Ralph i jego kompani przyciągnęli tłum podziwiających ich młodych mężczyzn i kobiet z rodzaju tych, jakie zawsze towarzyszą rozrzutnym szlachcom. Pod wpływem wypitego trunku i emocji hazardu Ralph stopniowo zapominał o swoich kłopotach.

Zauważył młodą jasnowłosą kobietę przypatrującą mu się pożądliwie, gdy beztrzesko przegrywał w kości kupki srebrnych pensów. Skinął na nią, żeby usiadła obok niego na ławie, a ona powiedziała mu, że ma na imię Ella. W chwilach napięcia ścisnęła jego udo, jakby bezwiednie, choć zapewne dobrze wiedziała, co robi - bo kobiety zwykle wiedzą.

Stopniowo tracił zainteresowanie grą i skupił uwagę na niej. Jego ludzie grali dalej, a on zaczął zaznajamiać się z Ellą. Była całkowitym przeciwieństwem Philippy: wesółą, pociągającą i zafascynowaną Ralphem. Często go dotykała - odgarniała włosy z twarzy, klepała go po ramieniu, unosiła dłoń do ust lub dawała mu żartobliwego kuksańca. Wydawała się bardzo ciekawa jego przygód we Francji.

Ku irytacji Ralpa Merthin przyszedł do gospody i usiadł obok niego. Merthin sam nie prowadził gospody - wynajął ją najmłodszej córce Betty Baxter - lecz zależało mu, żeby dzierżawiącej się powiodło i zapytał Ralpa, czy wszystko jest w porządku. Ralph przedstawił mu swoją towarzyszkę, a Merthin odparł: „Tak, znam Ellę”, obojętnym i niezwykle dla niego nieuprzejmym tonem.

Tego dnia bracia spotkali się dopiero po raz trzeci lub czwarty od śmierci Tilly. Poprzednio, na przykład na ślubie Ralpa z Philippą, właściwie nie mieli czasu porozmawiać. Mimo to Ralph wiedział, widząc, w jaki sposób brat na niego patrzy, że Merthin podejrzewa go o zabicie Tilly. Ten

niewypowiedziany głośno zarzut był między nimi, niemy, lecz niedający się zignorować, jak krowa w ciasnej jednoizbowej chacie ubogiego wieśniaka. Ralph czuł, że gdyby został wypowiedziany głośno, już nigdy nie zamieniliby ze sobą słowa.

Tak więc tego wieczoru znów porozmawiali o błahostkach, po czym Merthin wyszedł, mówiąc, że ma coś do zrobienia. Ralph przez moment zastanawiał się, jakąż to pracę ma do wykonania po zmroku w grudniowy wieczór. Naprawdę nie miał pojęcia, jak Merthin spędza czas. Nie polował, nie był na dworze, nie kręcił się w otoczeniu króla. Czy można przez cały dzień, latami, sporządzać plany i nadzorować budowniczych? Takie życie doprowadziłoby Ralpha do szaleństwa. I zdumiewało go to, ile pieniędzy Merthin zarabia na swoich przedsięwzięciach. Ralph nie miał pieniędzy nawet, kiedy był panem Tench. Merthinowi zdawało się nigdy ich nie brakować.

Ralph znów skupił uwagę na Elli.

- Mój brat jest trochę zrzędlivy - rzekł przepaszająco.

- To dlatego, że od pół roku nie miał kobiety. - Zachichotała. - Przedtem sypiał z przeoryszą, ale musiała go rzucić, kiedy wrócił Philemon.

Ralph udał zaszokowanego.

- Zakonnice nie sypiają z mężczyznami.

- Matka Caris to cudowna kobieta, ale swędzi ją... widać po tym, jak chodzi. Takie bezpośrednie stwierdzenie padające z kobiecych ust podnieciło Ralpha.

- To bardzo niedobre dla mężczyzny - rzekł, podejmując grę. - Tak długo obywać się bez kobiety.

- Ja też tak myślę.

- To prowadzi do... opuchlizny.

Przechyliła głowę na bok i uniosła brwi. Zerknął w dół, na swoje lędźwie. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- O rety - mruknęła. - To wygląda groźnie. Położyła dłoń na jego sztywnym członku.

W tym momencie pojawiła się Philippa.

Ralph zamarł. Czuł się winny i przestraszony, a jednocześnie wściekły na siebie za to, że przejmując się tym, czy Philippa widzi, co robił, czy nie.

- Idę na górę... - zaczęła. - Och...

Ella nie puściła jego członka. W istocie, ścisnęła go delikatnie, jednocześnie patrząc na Philippę i uśmiechając się triumfalnie.

Philippa poczerwieniała ze wstydu i odrazy.

Ralph otworzył usta, ale nie wiedział, co powiedzieć. Nie zamierzał przepaszzać swojej oziębłej

żony, uważając, że sama jest sobie winna. Jednocześnie było mu trochę głupio siedzieć tak z dziwką trzymającą go za kutasa, podczas gdy jego żona hrabina stoi i patrzy na nich zmieszana.

Ta scena trwała tylko moment. Ralph wydał zduszony jęk, Ella zachichotała, a Philippa powiedziała: „Och!”, ze zniechęceniem i niesmakiem. Potem odwróciła się i odeszła z wysoko podniesioną głową. Dotarła do szerokich schodów i zaczęła po nich wchodzić, zwinnie jak jeleńna zboczu. Znikła, nie obejrząwszy się za siebie.

Ralph był jednocześnie zły i zawstydzony, chociaż mówił sobie, że nie ma po temu powodu. Jednak stracił zainteresowanie Ellą i odsunął jej dłoń.

- Napijmy się jeszcze wina - zaproponowała, sięgając po stojący na stole dzban, lecz Ralpa zaczęła boleć głowa i odsunął kubek.

Ella powstrzymała go, chwytając za rękę, i powiedziała cichym, ciepłym głosem:

- Nie zostawiaj mnie z niczym teraz, kiedy cała jestem... no wiesz, podekscytowana.

Odepchnął jej dłoń i wstał.

- Cóż, lepiej daj mi coś w zamian - powiedziała, robiąc zaciętą minę. Zanurzył dłoń w sakiewce i wyjął garść srebrnych pensów. Nie patrząc na Ellę, rzucił je na stół, nie sprawdzając, czy to za mało, czy za dużo.

Pospiesznie zaczęła zbierać monety.

Ralph zostawił ją i poszedł na górę.

Philippa siedziała na łóżku oparta plecami o wezglowie. Zdjęła buty, lecz poza tym była ubrana. Oskarżycielsko spojrzała na wchodzącego Ralpa.

- Nie masz prawa być na mnie zła! - powiedział.

- Nie jestem - odparła. - Ty jesteś.

Zawsze potrafiła tak przekręcić jego słowa, że ona miała rację, a on się mylił.

- Nie chciałbyś, żebym cię opuściła? - zapytała, zanim zdążył wymyślić jakąś odpowiedź.

Spojrzał na nią zdumiony. Tego się nie spodziewał.

- Dokąd byś poszła?

- Do klasztoru. Nie zostałamby zakonnica, ale mieszkałabym w klasztorze. Zabrałabym niewiele służby: pokojówkę, sekretarza i mojego spowiednika. Już rozmawiałam z matką Caris, chętnie mnie przyjmie.

- Moja poprzednia żona też to zrobiła. Co ludzie sobie pomyślą?

- Wiele szlachcianek idzie do klasztoru, chwilowo lub na stałe, w pewnym momencie swego życia. Ludzie pomyślą, że odrzuciłeś mnie, ponieważ jestem za stara, by urodzić ci dzieci, co zapewne jest prawdą. Poza tym, co cię obchodzi, co pomyślą ludzie?

Przez głowę przemknęła mu myśl, że będzie żałował tego, iż Gerry straci Odilę. Jednak perspektywa uwolnienia się od dumnej i pełnej dezaprobaty Philippy była nieodparta.

- W porządku, co cię powstrzymuje? Tilly nie pytała o zgodę.

- Najpierw chcę dopilnować, żeby Odila wyszła za mąż.

- Za kogo?

Popatrzyła na niego jak na głupka.

- Och... pewnie za młodego Davida.

- Jest w niej zakochany i myślę, że będą dobrą parą.

- Jest nieletni, więc sędzę, że będzie musiał poprosić o zgodę króla.

- Dlatego o tym z tobą mówię. Pojedziesz z nim do króla i poprosz jego prośbę? Jeśli to dla mnie zrobisz, przysięgam, że już nigdy o nic cię nie poproszę. Zostawię cię w spokoju.

Nie byłoby to z jego strony wielkie poświęcenie. Związek z Monmouthem mógł mu jedynie przynieść korzyść.

- Opuścisz Earlcastle i przeniesiesz się do klasztoru?

- Tak, gdy tylko Odila wyjdzie za mąż.

Ralph uświadomił sobie, że to koniec snu, który zmienił się w przykrą, ponurą rzeczywistość. Powinien pogodzić się z porażką i zacząć od nowa.

- Dobrze - powiedział, czując żal pomieszany z ulgą. - Umowa stoi.

77

W 1350 roku Wielkanoc przypadła wcześniej i w piątkowy wieczór w kominku Merthina żywo płonął ogień. Na stole stała zimna wieczerza: wędzone ryby, biały ser, świeży chleb, gruszki i karafka reńskiego wina. Merthin miał na sobie czystą bieliznę i nowy żółty kaftan. Dom był wysprzątnany, a w dzbanie na komodzie stały żonkile.

Merthin był sam. Lollą opiekowali się służący - Arn i Em. Ich chata stała na końcu ogrodu, lecz pięcioletnia Lolla uwielbiała zostawać tam na noc.

Nazywała to pielgrzymką i zabierała torbę podróżną ze szczotką do włosów i ulubioną lalką.

Merthin otworzył okno i wyjrzał. Zza rzeki nadlatywał zimny wiatr i pędził przez łąkę na południowym brzegu. Wieczór przechodził w noc, słońce zdawało się spadać z nieba i tonąć w wodzie, znikając w czerni.

Wyobraził sobie zakapturzoną postać wylaniającą się z klasztoru. Widział, jak idzie wydeptaną ścieżką przez przyklasztorną łąkę, mija światła gospody i podąża dalej błotnistą główną ulicą, kryjąc twarz i z nikim nie rozmawiając. Wyobraził sobie, jak dociera do brzegu. Czy zerka na boki, na zimną i

ciemną rzekę, i wspomina chwilę rozpaczony tak wielkiej, że zrodziła myśl o samobójstwie? Jeśli tak, to wspomnienie szybko się rozwiało i postać weszła na brukowaną nawierzchnię jego mostu. Przeszła po nim i ponownie wyszła na brzeg na Wyspie Trędowatych. Tam zeszła z głównej ulicy i przeszła między krzewami, po rzadkiej trawie wyskubanej przez króliki i wokół ruin starego domu dla trędowatych, aż dotarła na południowo-zachodni brzeg. Tam zastukała do drzwi Merthina.

Zamknął drzwi i czekał. Nikt nie zastukał. Miał nadzieję, że tylko nieco wyprzedził wypadki.

Miał ochotę napić się wina, ale nie zrobił tego; stworzyli pewien rytuał i nie chciał go zmieniać.

Pukanie rozległo się chwilę później. Otworzył drzwi. Weszła do środka, zsunęła z głowy kaptur i zdjęła z ramion gruby szary płaszcz.

Była o cal czy dwa wyższa od niego i kilka lat starsza. Była dumna i potrafiła być nieuprzejma, choć teraz uśmiechała się promiennie i ciepło. Miała na sobie szatę ze szkarłatu tkanego w Kingsbridge. Wziął ją w ramiona, przyciskając jej kształtne ciało do swojego i ucałował szerokie usta.

- Moja droga Philipppo - wyszeptał.

Natychmiast zaczęli się kochać na podłodze, nie zdjawszy ubrań. Pożądał jej, a ona była więcej niż chętna. Rozłożył jej płaszcz na słomie, a ona uniosła kraj szaty i położyła się na nim. Przywarła do niego jak tonąca, oplatając go nogami i z całej siły przyciskając do swego miękkiego ciała, kryjąc twarz w jego szyi.

Mówiła mu, że kiedy opuściła Ralphi i zamieszkała w klasztorze, myślała, że już nikt jej nie dotknie do czasu, aż zakonnice złożą jej zimne ciało do grobu. Na samą myśl o tym Merthinowi zbierało się na płacz.

Natomiast on kochał Caris tak bardzo, że sądził, iż już nie obdarzy uczuciem żadnej kobiety. Dla niego, tak samo jak dla Philippy, ta miłość była nieoczekiwanym darem, niczym źródło zimnej wody tryskającej na spalonej słońcem pustyni, i oboje pili ją, jakby umierali z pragnienia.

Potem leżeli objęci przy ogniu, zmęczeni, a on wspominał ich pierwszy raz. Wkrótce po tym, jak zamieszkała w klasztorze, zainteresowała się budową nowej wieży. Jako kobieta energiczna nie wiedziała, czym zapełnić długie godziny, które miała spędzać na modlitwach i rozmyśleniach. Lubiała książki, lecz nie mogła czytać przez cały dzień. Przyszła do niego na poddasze, a on pokazał jej plany. Szybko nabrała zwyczaju odwiedzania go codziennie i rozmawiania z nim, gdy pracował. Zawsze podziwiał jej inteligencję i siłę, a w zaciszu poddasza poznał ciepłą i bogatą osobowość kryjącą się pod nienagannymi manierami. Odkrył, że ma duże poczucie humoru, i nauczył się ją rozbawiać. Reagowała głośnym, gardłowym śmiechem, który nie wiedzieć czemu budził w nim myśl o kochaniu się z nią. Pewnego dnia powiedziała mu komplement:

- Jesteś miłym człowiekiem. Nie ma takich zbyt wielu.

Jej szczerłość go ujęła i ucałował jej dłoń. Był to czuły gest, lecz mogła go odrzucić, gdyby chciała, w najzupełniej naturalny sposób: wystarczyłoby zabrać dłoń i odsunąć się, a wiedziałby, że posunął się trochę za daleko. Jednak ona go nie odrzuciła. Wprost przeciwnie, przytrzymała jego rękę i spojrzała na niego czule, a wtedy on objął ją i pocałował w usta.

Kochali się na materacu na poddaszu, a on dopiero potem przypomniał sobie, że to Caris nakłoniła go do umieszczenia tu materaca, żartując, że kamieniarze muszą położyć swoje narzędzia na czymś miękkim.

Caris nie wiedziała o nim i Philippie. Nikt nie wiedział, oprócz pokojówki Philippy oraz Arna i Em. Philippa zaraz po zmroku kładła się spać w swoim pokoju nad szpitalem, wtedy gdy zakonnice udawały się na spoczynek do swojego dormitorium. Potem wymykała się, korzystając z zewnętrznych schodów pozwalających ważnym gościom przychodzić i wychodzić, omijając kwatery pospólstwa. Wracła tą samą drogą przed świtem, gdy zakonnice śpiewały jutrznię, i pojawiała się na śniadaniu, jakby całą noc spędziła w swojej komnacie.

Ze zdziwieniem odkrył, że potrafi kochać inną kobietę niecały rok po tym, jak Caris zostawiła go po raz ostatni. Z pewnością nie zapomniał Caris. Wprost przeciwnie, myślał o niej codziennie. Czuł potrzebę opowiedzenia jej o jakimś zabawnym wydarzeniu lub wysłuchania jej opinii na temat trudnego problemu, albo odkrywał, że robi coś w sposób, jakiego ona by sobie życzyła, na przykład starannie przemywa podrapane kolano Lolli ciepłym winem. Ponadto widywał ją prawie codziennie. Nowy szpital był niemal skończony, lecz budowa wieży katedry ledwie się rozpoczęła, a Caris uważnie obserwowała obie budowy. Opactwo utraciło zwierzchnictwo nad kupcami, a mimo to Caris interesowała się tym, w jaki sposób Merthin i gildia realizują kartę praw miejskich - tworzą nowe sądy, planują handel wełną i zachęcają cechy rzemiosł do kodyfikowania standardów i miar. Jednak jego myśli o niej zawsze pozostawiały gorzki posmak, jak gorycz w gardle po kwaśnym piwie. Tak bardzo ją kochał, a ona w końcu go odrzuciła. To było jak wspomnienie szczęśliwego dnia, który zakończył się bijatyką.

- Myślisz, że odczuwam szczególny pociąg do kobiet, które nie są wolne? - zapytał kiedyś Philippę.

- Nie, dlaczego?

- Wydaje się dziwne, że po dwunastu latach kochania zakonnicy i dziewięciu miesiącach celibatu zakochałem się w żonie mojego brata.

- Nie nazywaj mnie tak - poprosiła. - To nie było małżeństwo. Zostałam zaślubiona wbrew mojej woli, dzieliłam z nim łóżko nie dłużej jak kilka dni, a on będzie szczęśliwy, jeśli nigdy więcej mnie nie zobaczy.

Przepraszająco poklepał ją po ramieniu.

- Mimo wszystko musimy się kryć, tak jak kryłem się z Caris.

Czego nie mówił, to tego, że mężczyzna ma prawo zabić swoją żonę przyłapaną na wiarołomstwie. Merthin nigdy nie słyszał o takim wypadku, a z pewnością nie wśród szlachetnie urodzonych, lecz Ralph był nieprawdopodobnie dumny. Merthin wiedział, że zabił swoją pierwszą żonę, Tilly. Powiedział o tym Philippie.

- Twój ojciec bardzo długo kochał się beznadziejnie w twojej matce, prawda? - zapytała.

- Och tak! - Merthin niemal zapomniał o tej starej historii.

- A ty zakochałeś się w zakonnicy.

- A mój brat przez długie lata marzył o tobie, szczęśliwej żonie szlachcica. Jak mówią księża, synowie powtarzają grzechy ojców. Jednak dość o tym. Masz ochotę na kolację?

- Za chwilę.

- Jest coś, co chcesz zrobić najpierw?

- Przecież wiesz.

Widział. Uklęknął między jej nogami i ucałował jej brzuch i uda. Zawsze chciała dojsc po raz drugi. Zaczął ją pieścić językiem. Jęknęła i chwyciła go za szyję.

- Tak - szepnęła. - Wiesz, że to lubię, szczególnie gdy jestem pełna twego nasienia.

Podniósł głowę.

- Wiem. „. I znów zaczął ją pieścić.

Wiosna przyniosła wytchnienie od zarazy. Ludzie nadal umierali, ale zachorowania były coraz rzadsze. W niedzielę wielkanocną biskup Henri oznajmił, że w tym roku święto runa odbędzie się jak zwykle.

Podczas tej samej mszy sześciu nowicjuszy złożyło śluby i zostało mnichami. Wszyscy odbyli niezwykle krótki nowicjat, lecz Henri chciał zwiększyć liczbę braci w Kingsbridge i powiedział, że to samo dzieje się w całym kraju. Wyświęcono także pięciu kapłanów - którzy również skorzystali z przyspieszonego programu kształcenia - i przysłano, aby zastąpili ofiary zarazy w okolicznych miejscowościach. Dwaj z mnichów przybyli do Kingsbridge prosto z uniwersytetu, uzyskawszy tytuły medyków w ciągu trzech lat zamiast zwyczajowych pięciu.

Tymi nowymi medykami byli Austin i Sime. Caris słabo ich pamiętała: była opiekunką gości, gdy przed trzema laty wyjechali do Kingsbridge College w Oksfordzie. W wielkanocny poniedziałek po południu oprowadziła ich po niemal ukończonym nowym szpitalu. Było święto, więc na budowie nikt nie pracował.

Obaj okazywali zarożumiałą pewność siebie, którą uniwersytet zdawał się wpajać swoim absolwentom razem z upodobaniem do gaskońskiego wina.

Jednak lata zajmowania się pacjentami sprawiły, że Caris także nabrała pewności siebie i opowiedziała im o organizacji szpitala oraz o sposobie, w jaki zamierza go prowadzić.

Austin był szczupłym, poważnym młodzieńcem o przerzedzonych włosach. Wzorowany na klauzurze rozkład pomieszczeń zrobił na nim wrażenie. Sime, nieco starszy i puciołowaty, nie okazywał chęci nauczenia się czegoś od Caris. Zauważyła, że odwraca głowę, ilekroć ona coś mówi.

- Uważam, że w szpitalu zawsze powinno być czysto - powiedziała.

- Na jakiej podstawie? - zapytał Sime protekcyjnym tonem, jakby pytał małą dziewczynkę, dlaczego jej lalka musi dostać klapsa.

- Czystość jest cnotą.

- Aha. Zatem nie ma nic wspólnego z równowagą płynów w ciele.

- Nie mam pojęcia. Nie przywiązujemy dużej wagi do płynów. To podejście całkowicie zawiodło w walce z zarazą.

- A zamiatanie podłóg pomogło?

- Czysty pokój przynajmniej podnosi pacjentów na duchu.

- Musisz przyznać, Sime - wtrącił Austin - że niektórzy mistrzowie z Oksfordu podzielają nowatorskie poglądy matki przeorowskiej.

- Mała grupka heterodoksów.

- Najważniejsze jest to, żeby odizolować pacjentów cierpiących na schorzenie przenoszące się od chorych na zdrowych.

- W jakim celu? - chciał wiedzieć Sime.

- Aby ograniczyć rozprzestrzenianie się tych chorób.

- A w jaki sposób się one przenoszą?

- Tego nikt nie wie.

Usta Sime'a wykrzywił uśmiezek triumfu.

- Zatem wolno spytać, skąd wiesz, w jaki sposób ograniczyć ich rozprzestrzenianie?

Myślał, że pokonał ją w sporze - głównie tego uczyli się w Oksfordzie - ale ona wiedziała więcej od niego.

- Z doświadczenia - odparła. - Owczarz nie musi rozumieć cudu, jakim jest jagnię rosnące w łonie owcy, ale wie, że cud nie nastąpi, jeśli nie wpuści tryka do zagrody.

- Hm.

Caris nie spodobał się sposób, w jaki to powiedział. Jest mądry, pomyślała, lecz jego mądrość jest oderwana od rzeczywistości. Uderzył ją kontrast między tego rodzaju inteligencją a rozsądkiem Merthina. Merthin posiadał bardzo rozległą wiedzę i potrafił ogarnąć różne skomplikowane zagadnienia,

lecz jego mądrość nigdy nie rozmięła się z rzeczywistością materialnego świata, ponieważ wiedział, że jeśli popełni błąd, jego budowla się zawali. Jej ojciec Edmund też był taki - mądry, ale praktyczny. Sime, jak Godwyn i Anthony, będzie trwał przy swojej wierze w płyny ustrojowe niezależnie od tego, czy jego pacjenci przeżyją, czy umrą.

Austin uśmiechał się szeroko.

- Dopadła cię, Sime - powiedział, wyraźnie rozbawiony tym, że jego nadęty kolega dał się zapędzić w kozi róg niewykształconej kobiecie. - Możemy nie wiedzieć, jak przenosi się dana choroba, ale nie zaszkodzi oddzielić chorych od zdrowych.

Rozmowę przerwała im siostra Joan, skarbniczka.

- Zarządca z Outhenby pyta o ciebie, matko Caris.

- Czy przygnał stado cieląt?

Outhenby miało obowiązek w każdą Wielkanoc dostarczać zakonnicom dwanaście jednorocznych cielaków.

- Tak.

- Proszę, wprowadźcie zwierzęta do zagrody i poproś zarządcę, żeby tu przyszedł.

Sime i Austin oddalili się, a Caris poszła obejrzeć wykafelkowaną posadzkę w latrynie. Tam znalazł ją zarządca. Był nim Harry Płowman. Zwolniła poprzedniego zarządcę, który był zbyt stary, by wprowadzać zmiany, a na jego miejsce mianowała najbystrzejszego z mieszkańców wioski.

Uściskał jej dłoń, co było nadmierną poufałością, lecz Caris lubiła go i nie miała nic przeciwko temu.

- To musiało być kłopotliwe - powiedziała - gonić stado taki kawał drogi, szczególnie kiedy trwa wiosenna orka.

- Owszem - rzekł.

Jak większość oraczy był barczysty i muskularny. Siła i zręczność były potrzebne do kierowania należącym do wspólnoty zaprzęgiem ośmiu mułów ciągnących ciężki pług przez mokrą i gliniastą glebę. Wydawało się, że przyniósł ze sobą powiew zdrowego powietrza.

- Nie wolelibyście płacić gotówką? - zapytała Caris. - Obecnie większość powinności reguluje się w ten sposób.

- Tak byłoby wygodniej. - Z chłopskim sprytem zmrużył oczy. - Ile by to było?

- Za roczne cielę zwykle można dostać na targu od dziesięciu do dwunastu szylingów, choć w tym sezonie ceny spadły.

- Tak, o połowę. Za trzy funty można kupić dwanaście cielaków.

- W dobrym roku za sześć. Uśmiechnął się ucieszony tymi targami.

- To wasz problem.

- Jednak to wy wolelibyście zapłacić gotówką.

- Jeśli dogadamy się co do ceny.

- Niech będzie osiem szylingów.

- Tylko że wtedy, jeżeli cena cielęcia to tylko pięć szylingów, skąd wieśniacy wezmą dodatkowe pieniądze?

- Powiem ci coś. W przyszłości Outhenby może płacić zakonowi pięć funtów albo przyprowadzać dwanaście cieląt. Wybór należy do was.

Harry rozważył to, szukając haczyków, ale żadnych nie znalazł.

- W porządku - rzekł. - Możemy przypieczętować umowę?

- W jaki sposób?

Ku jej zaskoczeniu pocałował ją.

Mocnymi rękami złapał ją za szczupłe ramiona, pochylił głowę i przycisnął wargi do jej warg. Gdyby zrobił to brat Sime, odskoczyłaby. Jednak Harry był inny i może trochę podniecała ją otaczająca go aura energicznej męskości. Tak czy inaczej, poddała się temu pocałunkowi, pozwalając, by przyciągnął ją do siebie i swej brodatej twarzy. Przywarł do niej tak, że poczuła jego erekcję. Uświadomiła sobie, iż jest gotów wziąć ją na tej świeżo wykafelkowanej posadzce latryny, i ta myśl ją otrzeźwiła. Wyrwała się i odepchnęła go.

- Przestań! Co ty wyprawiasz? Nie zmieszal się.

- Całuję cię, moja droga.

Zrozumiała, że ma problem. Niewątpliwie plotka o niej i Merthinie rozeszła się szeroko - zapewne byli dwojgiem najlepiej znanych ludzi w Shiring. Choć Harry z pewnością nie znał prawdy, plotki wystarczyły, żeby go ośmielić. Coś takiego mogło osłabić jej autorytet. Musiała zdusić to w zarodku.

- Nigdy więcej nie wolno ci tego robić - powiedziała naj suro więcej, jak mogła.

- Wyglądało na to, że ci się to podoba!

- Zatem twój grzech jest jeszcze cięższy, gdyż skusiłeś słabą kobietę, aby załamała śluby.

- Ale ja cię kocham.

Zrozumiała, że to prawda, i domyślała się dlaczego. Wpadła do jego wioski, wszystko pozmieniała i nagięła wieśniaków do swojej woli. Rozpoznała możliwości Harry'ego i wyniosła go nad innych. Musi uważać ją za boginię. Nic dziwnego, że się w niej zakochał. Lepiej jednak, żeby jak

najszybciej się odkochał.

- Jeśli jeszcze raz powiesz mi coś takiego, znajdę dla Outhenby innego zarządcę.

- Och - jęknął.

To otrzeźwiło go skuteczniej niż jakiekolwiek oskarżenia o grzech.

- A teraz wracaj do domu.

- Dobrze, matko Caris.

- I znajdź sobie inną kobietę, najlepiej taką, która nie złożyła ślubów czystości.

- Nigdy - odparł, ale mu nie uwierzyła.

Odszedł, lecz ona nie mogła się ruszyć. Była wytrącona z równowagi i podniecona. Gdyby miała pewność, że przez chwilę będzie sama, zaczęłyby się dotykać. Po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy poczuła pożądanie. Po ostatecznym rozstaniu z Merthinem wpadła w dziwny, bezpłciowy stan ducha, w którym w ogóle nie myślała o seksie. Kontakty z innymi zakonnkami zapewniały jej ciepło i uczucie. Lubiła Joan i Oonagh, chociaż one nie kochały jej w taki sposób jak Mair. Jej serce przepełniały nowe namiętności: do nowego szpitala, wieży i odrodzenia miasta.

Myśląc o wieży, opuściła szpital i przeszła przez łąkę do katedry. Merthin porobił ogromne wykopy, największe, jakie ludzie widzieli, wokół fundamentów starej wieży. Postawił wielkie dźwigi do wyciągania ziemi. W deszczowe jesienne miesiące zaprzężone w muły wozy całymi dniami ciągnęły główną ulicą i przez pierwszy odcinek mostu, żeby wysypywać ziemię na skalistej Wyspie Trędowatych. Stamtąd zabierały kamień z kamieniołomu Merthina, po czym znów człapały ulicą, by można było wysypać budulec na coraz większe sterty wokół kościoła.

Gdy tylko minęły zimowe mrozy, kamieniarze zaczęli układać fundamenty. Caris podeszła na północny koniec katedry i zajrzała do dziury w kącie tworzonym przez zewnętrzną ścianę nawy i zewnętrzną ścianę północnego transeptu. Wykop był oszałamiająco głęboki. Jego dno już wyłożono ociosanymi kamieniami, wielkimi i równo ułożonymi blokami, spojonymi cienkimi warstwami zaprawy. Ponieważ stare fundamenty były za słabe, wieżę stawiano na zupełnie nowych. Miała wznosić się przy istniejących ścianach kościoła, tak że nie trzeba było wykonywać dalszych prac rozbiórkowych poza tymi, które już zrobił Elfric, rozbierając górne piętra starej wieży. Dopiero po jej ukończeniu Merthin rozbierze tymczasowe sklepienie ustawione przez Elfrica. Był to typowy projekt Merthina: prosty, lecz radykalny, doskonale rozwiązanie trudnego problemu.

W wielkanocny poniedziałek nikt nie pracował przy budowie szpitala, ale zauważyła, że ktoś chodzi w wykopie i ogląda fundamenty. Po chwili rozpoznała Merthina. Podeszła do jednej ze zdumiewająco cienkich sznurowych drabinek z drewnianymi szczebelkami używanych przez kamieniarzy, po czym z duszą na ramieniu zeszła na dół.

Poczuła ulgę, kiedy się tam znalazła. Merthin z uśmiechem pomógł jej zejść z drabiny.

».

- Jesteś trochę blada - zauważył.

- To była długa droga. Jak wam idzie?

- Dobrze. Budowa zajmie wiele lat.

- Dlaczego? Szpital wydaje się bardziej skomplikowanym przedsięwzięciem, a już jest ukończony.

- Z dwóch powodów. Im wyżej będziemy, tym mniej murarzy będzie mogło pracować. Teraz mam dwunastu ludzi, którzy kładą fundamenty. Wieża na górze będzie węższa, więc zmieści się na niej mało robotników. Drugim powodem jest to, że zaprawa długo schnie. Musimy poczekać, aż stwardnieje przez zimę, zanim wzniesiemy następny kawałek.

Ledwie go słuchała. Patrząc na jego twarz, wspominała, jak kochała się z nim w pałacu przeora, między jutrznią a laudą, w pierwszych promieniach słońca wpadających przez otwarte okno i niczym błogosławieństwo dotykających ich nagich ciał.

Poklepała go po ramieniu.

- Cóż, szpital niedługo będzie ukończony.

- Powinien być gotowy przed Zielonymi Świątkami.

- Cieszę się. Chociaż mamy odrobinę wychnienia od zarazy i umiera mniej ludzi.

- Bogu dzięki! - zawołał. - Może wreszcie się skończy. Ponuro pokręciła głową.

- Już raz myśleliśmy, że się skończyła, pamiętasz? Mniej więcej przed rokiem. A potem wróciła ze zdwojoną siłą.

- Broń Boże.

Dotknęła jego policzka i poczuła twardy zarost.

- Przynajmniej ty jesteś bezpieczny. Wyglądał na trochę niezadowolonego.

- Gdy tylko skończymy szpital, zabierzemy się za giełdę wełnianą.

- Mam nadzieję, że masz rację co do tego, że handel musi szybko się odrodzić.

- Jeśli nie, to i tak już pomrzemy.

- Nie mów tak. Pocałowała go w policzek.

- Musimy działać przy założeniu, że będziemy żyli. - Powiedział to z irytacją, jakby go rozzłościła. - Jednak to prawda, że nie wiemy.

- Nie myślmy o najgorszym.

Objęła go i przytuliła się do niego, przyciskając swe miękkie piersi do jego chudego ciała, czując jego twarde kości.

Odepchnął ją gwałtownie. Zatoczyła się i o mało nie upadła.

- Nie rób tego! - krzyknął.

Była tak wstrząśnięta, jakby ją spoliczkował.

- O co ci chodzi?

- Przestań mnie dotykać!

- Ja tylko...

- Po prostu nie rób tego! Zakończyłaś nasz związek dziewięć miesięcy temu. Powiedziałem, że to koniec, i mówiłem poważnie.

Nie rozumiała, dlaczego się złości.

- Przecież tylko się przytuliłam.

- Więc tego nie rób. Nie jestem twoim kochankiem. Nie masz prawa.

- Nie mam prawa cię dotykać?

- Nie!

- Nie sądziłam, że potrzebuję na to pozwolenia.

- Oczywiście, że o tym wiedziałaś. Ty nie pozwalasz ludziom się dotykać.

- Ty to nie ludzie. Nie jesteśmy sobie obcy.

Jednak mówiąc te słowa, zrozumiała, że on ma rację, a ona się myli. Odepchnęła go i nie chciała zaakceptować konsekwencji. Spotkanie z Harrym z Outhenby rozpałiło jej żądzę i przysła do Merthina, chcąc dać jej ujście. Wmawiała sobie, że dotyka go jak bliska przyjaciółka, co było kłamstwem. Traktowała go tak, jakby nadal był dla niej osiągalny, niczym bogata dama, która odkłada lub bierze książkę, kiedy ma na to ochotę. Odmówiwszy mu prawa dotykania jej przez cały czas, nie mogła domagać się tego przywileju tylko dlatego, że pocałował ją młody i muskularny oracz.

Mimo wszystko raczej spodziewałaby się, że Merthin wyjaśni jej to delikatnie i czule. Tymczasem on zachował się wrogo i brutalnie. Czy odrzuciła jego przyjaźń tak samo jak miłość? Łzy stanęły jej w oczach. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do drabinki.

Wspinała się z trudem. Było to męczące, a ona nagle straciła całą energię. Zatrzymała się, by odpocząć i spojrzała w dół. Merthin stał, przytrzymując drabinkę całym ciężarem ciała.

Kiedy była prawie na samej górze, znowu popatrzyła w dół. Wciąż tam był. Przyszło jej do głowy, że jej nieszczęścia skończyłyby się, gdyby spadła. Byłby to długi upadek na twarde kamienie. Zginęłaby na miejscu.

Merthin jakby wyczuł, o czym myśli, bo niecierpliwie machnął ręką, pokazując jej, by pospieszyła się i zeszła z drabinki. Pomyślała, jaki byłby zdruzgotany, gdyby się zabiła, i przez chwilę cieszyła się, wyobrażając sobie jego smutek i poczucie winy. Była pewna, że Bóg nie ukarałby jej w

życiu pozagrobowym, jeśli takie istnieje.

Pokonała kilka ostatnich szczebli i stanęła na solidnym gruncie. Jaka była głupia. Ale tylko przez chwilę. Nie skończy ze sobą. Zbyt wiele ma do zrobienia.

Wróciła do klasztoru. Była pora wieczornego nabożeństwa, więc poprowadziła procesję do katedry. Jako młoda nowicjuszka nie lubiła marnować czasu, biorąc udział w mszach. W istocie matka Cecilia przydzieliła jej obowiązki, które pozwalały jej uchylać się od udziału w nabożeństwach. Teraz cieszyła się, że będzie miała czas odpocząć i pomyśleć.

Doszła do wniosku, że to popołudnie było przykre, ale dojdzie do siebie. Mimo wszystko gdy śpiewano psalmy, powstrzymywała łzy.

Na kolację był wędzony węgorz. Twardy i o mocnym zapachu, nie należał do ulubionych potraw Caris. Poza tym nie była głodna. Zjadła tylko trochę chleba.

Po posiłku udała się do apteki. Były tam dwie nowicjuszki kopiujące książkę Caris. Ukończyła ją wkrótce po Bożym Narodzeniu. Wiele osób prosiło o egzemplarze: aptekarze, przeorysze, fryzjerzy, a nawet kilku medyków. Kopiowanie tej książki stało się elementem nauki siostr, które chciały pracować w szpitalu. Kopie nie kosztowały dużo, bo książka była cienka, bez wymyślnych rysunków czy kosztownych atramentów, a wiele osób chciało ją mieć.

Przy trzech osobach w niewielkim pomieszczeniu było tłoczno. Caris niecierpliwie czekała na przestronną i jasną aptekę w nowym szpitalu.

Chciała być sama, więc odesłała nowicjuszki. Jednak jej życzenie nie spełniło się. Po chwili weszła lady Philippa.

Caris nigdy nie lubiła pełnej rezerwy hrabiny, ale współczuła jej, a ponadto chętnie udzieliłaby schronienia każdej kobiecie uciekającej od takiego męża jak Ralph. Philippa była niekłopotliwym gościem, niemającym wygórowanych wymagań i spędzającym większość czasu w swoim pokoju. Nie wykazywała chęci prowadzenia takiego życia, jakie wiodły zakonnice, wypełnionego modlitwą i postami, lecz to Caris doskonale rozumiała.

Poprosiła ją, żeby usiadła przy stole.

Pomimo dwornych manier Philippa była niezwykle bezpośrednią kobietą.

- Chcę, żebyś zostawiła Merthina w spokoju - powiedziała bez żadnych wstępów.

- Co takiego? - Caris była zdumiona i urażona.

- Oczywiście, możesz z nim rozmawiać, ale nie wolno ci go całować ani dotykać.

- Jak śmiesz...

Co Philippa wie - i co ją to obchodzi?

- On już nie jest twoim kochankiem. Przestań go niepokoić. Merthin musiał opowiedzieć jej o

ich kłótni tego popołudnia.

- Dlaczego on ci...? - zaczęła, ale nim dokończyła pytanie, już знаła odpowiedź.

Philippa potwierdziła jej podejrzenia, mówiąc:

- On już nie jest twój... jest mój.

- Och, na mą duszę! - Caris była zdumiona. - Ty i Merthin?

- Tak.

- Czy wy... czy naprawdę...

- Tak.

- Nie miałam pojęcia! - Czuła się zdradzona, choć wiedziała, że nie ma prawa się tak czuć.

Kiedy to się stało? - Ale kiedy... gdzie...?

- Nie musisz znać szczegółów.

- Oczywiście. - Pewnie w jego domu na Wyspie Trędowatych. Zapewne w nocy. - Jak długo... ?

- To bez znaczenia.

Caris mogła to sobie wyliczyć. Philippa była tu niecały miesiąc.

- Szybka jesteś.

To była niegodna uwaga i Philippa łaskawie ją zignorowała.

- On zrobiłby wszystko, żeby cię zatrzymać, jednak ty go odepchnęłaś. Teraz pozwól mu odejść. Po tobie trudno mu było pokochać kogoś innego, ale udało mu się. Nie waż się przeszkadzać.

Caris chciała napaść na nią wściekle, powiedzieć gniewnie, że nie ma prawa jej rozkazywać ani czegokolwiek się domagać, lecz niestety Philippa miała rację. Caris musiała zrezygnować z Merthina na zawsze.

Nie chciała pokazywać, jaka jest załamana.

- Zechcesz zostawić mnie teraz, proszę? - powiedziała, próbując zachowywać się równie godnie jak Philippa. - Chcę zostać sama.

Philippa nie dała się łatwo zbyć.

- Zrobisz, jak mówię? - nalegała.

Caris nie lubiła być przypierana do muru, ale nie miała siły walczyć.

- Tak, oczywiście.

- Dziękuję.

Kiedy Caris była pewna, że Philippa jej nie słyszy, rozplakała się.

78

Philemon jako przeor nie był lepszy od Godwyna. Zarządzanie dobrami klasztoru przerastało jego możliwości. Pełniąc obowiązki tymczasowego przeora, Caris sporządziła listę głównych źródeł

przychodów mnichów:

1. Czynsze
2. Udział w zyskach z handlu i przemysłu (dziesięcina)
3. Przychody z ziemi niewydzierżawionej
4. Zyski z młynów zbożowych i innych, przemysłowych
5. Opłata za korzystanie z dróg wodnych i część złowionych ryb
6. Opłaty za stragany na jarmarkach
7. Wpływy z sądów - opłaty i grzywny
8. Datki pielgrzymów i innych osób
9. Sprzedaż ksiąg, wody święconej, świec itp.

Dała tę listę Philemonowi, a on odrzucił ją jej, jakby go obraziła. Godwyn, lepszy od niego jedynie w tym, że potrafił udawać czarującego, podziękowałby jej i zignorował spis.

W klasztorze wprowadziła nowy sposób prowadzenia ksiąg, którego nauczyła się od Buonaventury Carolego, kiedy pracowała dla jego ojca. Według starej metody sporządzano na zwoju pergaminu krótką notatkę o każdej transakcji, tak że zawsze można było ją później sprawdzić. Włoską metodą zapisywano wpływy po lewej, a wydatki po prawej stronie, zaś sumowano je na dole kartki. Różnica między tymi dwiema sumami pokazywała, czy dane przedsiębiorstwo przynosi zyski, czy straty. Siostra Joan przyjęła ten pomysł z entuzjazmem, lecz gdy chciała wyjaśnić tę metodę Philemonowi, ten nie chciał jej słuchać. Propozycje pomocy traktował jak osobistą zniewagę.

Miał tylko jeden talent, taki sam jak Godwyn: wniejętność manipulowania ludźmi. Sprytnie przesiał nowych mnichów, posyłając nowocześnie myślącego medyka, brata Austina, i dwóch innych bystrych młodzieńców do odległego klasztoru Świętego Jana z Lasu, gdzie nie będą podważali jego autorytetu.

Jednak Philemon był teraz problemem biskupa. To Henri go mianował i Henri będzie musiał sobie z nim poradzić. Miasto było niezależne, a Caris miała swój nowy szpital.

Szpital został poświęcony przez biskupa w niedzielę w Zielone Świątki, zawsze przypadającą siedem tygodni po Wielkanocy. Kilka dni wcześniej Caris przeniosła swój sprzęt i zioła do nowej apteki. Było w niej mnóstwo miejsca dla dwóch osób pracujących przy stole i sporządzających medykamenty oraz dla trzeciej, siedzącej przy biurku.

Caris przygotowywała środek wymiotny, Oonagh ucierała suszone zioła, a nowicjuszka Greta kopiowała książkę Caris, gdy wszedł nowicjusz, niosąc drewniany kuferek. Młodzieńcem był Josiah, nastolatek zwany Joshie. Zmieszał się na widok trzech kobiet.

- Gdzie mam to postawić? - spytał. Caris spojrzała na niego.

- Co to jest?

- Kufer.

- To widzę - odparła cierpliwie. Fakt, że ktoś zdołał nauczyć się czytać i pisać, niestety nie czynił go jeszcze inteligentnym. - Co ten kufer zawiera?

- Książki.

- A dlaczego przynosisz mi skrzynię książek?

- Kazano mi. - I zrozumiawszy po chwili, że to niewystarczająco jasna odpowiedź, dodał: - Brat Sime.

Caris uniosła brwi.

- Brat Sime daje mi w prezencie książki? Otworzyła kuferek.

Joshie umknął, nie odpowiedziawszy na jej pytanie.

Wszystkie książki były podręcznikami medycyny napisanymi po łacinie. Caris przejrzała je. Były tu klasyczne dzieła: Kanon medycyny Awicenny, Dieta i higiena Hipokratesa, O składnikach leku Galena oraz De Urinis Theophilusa. Wszystkie napisane przed ponad trzystu laty.

Joshie zjawił się z następnym kuferkim.

- Co teraz? - zapytała Caris.

- Instrumenty medyczne. Brat Sime mówi, żebyś ich nie dotykała. Przyjdzie i porozkłada je na właściwych miejscach.

Caris zaniepokoiła się.

- Sime zamierza trzymać tu swoje książki i instrumenty? Zamierza tutaj pracować?

Oczywiście Joshie nie wiedział, jakie zamiary ma Sime.

Zanim Caris zdołała powiedzieć coś więcej, pojawił się Sime w towarzystwie Philemona. Rozejrzał się i bez słowa wyjaśnienia zaczął rozpakowywać swoje rzeczy. Zdjął część naczyń Caris z półki i umieścił tam swoje księgi. Wyjął ostre nożyki do otwierania żył oraz łożkowate szklane naczynia do badania próbek krwi.

- Zamierzasz spędzać tu w szpitalu dużo czasu, bracie Sime? - zapytała chłodno Caris.

Philemon odpowiedział za niego, najwyraźniej przewidziawszy to pytanie.

- A gdzieżby indziej? - powiedział urażonym tonem, jakby Caris rzuciła mu wyzwanie. - To przecież szpital, prawda? A Sime jest jedynym lekarzem w opactwie. Kto ma leczyć ludzi, jeśli nie on?

Nagle apteka przestała wydawać się przestronna.

Zanim Caris zdążyła coś powiedzieć, pojawił się jakiś nieznajomy człowiek.

- Brat Thomas kazał mi przyjść tutaj - powiedział. - Jestem Jonas Powderer z Londynu.

Przybysz był mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat, w haftowanym płaszczu i futrzanej

czapce. Widząc jego szeroki uśmiech i przyjacielski sposób bycia, Caris odgadła, że żyje z handlu. Uścisnął im ręce, a potem rozejrzał się po pomieszczeniu, z aprobatą kiwając głową na widok równych rzędów opisanych przez Caris słoików i buteleczek.

- Niezwykłe - powiedział. - Nigdzie poza Londynem nie widziałem tak dobrze zaopatrzonej apteki.

- Jesteś medykiem, panie? - zapytał ostrożnie Philemon, nie będąc pewien pozycji Jonasa.

- Aptekarzem. Mam sklep w Smithfield, obok szpitala Świętego Bartłomieja. Nie powinienem się chwalić, ale to największy taki skład w stolicy.

Philemon uspokoił się. Aptekarz to przecież tylko kupiec stojący znacznie niżej w hierarchii od przeora.

- A co sprowadza aż tutaj największego aptekarza w Londynie? - zapytał z odrobiną szyderstwa.

- Miałem nadzieję zdobyć egzemplarz Kingsbridge Panacea.

- Czego?

Jonas uśmiechnął się znacząco.

- Jesteś skromny, ojcie przeorze, ale widzę tu zakonnicę, która właśnie w tej chwili kopiuje tę księgę.

- Chodzi o tę księgę? - spytała Caris. - Nie jest zatytułowana Panacea.

- Jednak podaje sposoby leczenia wszystkich chorób. Uświadomiła sobie, że to ma sens.

- A jak się o niej dowiedziałeś?

- Wiele podróżuję, szukając rzadkich ziół i innych składników, podczas gdy moi synowie prowadzą skład. Spotkałem pewną zakonnicę z Southampton, która pokazała mi egzemplarz tej książki. Nazwała ją Panacea i powiedziała, że została napisana w Kingsbridge.

- Czy to była siostra Claudia?

- Tak. Błagałem ją, żeby pożyczyła mi ją na czas potrzebny do skopiowania, ale nie chciała się z nią rozstać.

- Pamiętam ją.

Claudia odbyła pielgrzymkę do Kingsbridge, pozostała w klasztorze i opiekowała się ofiarami zarazy, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Caris w podziękę dała jej tę książkę.

- Niezwykłe dzieło - rzekł z entuzjazmem Jonas. - I po angielsku!

- To dla uzdrowicieli niebędących medykami, a więc nieznających łaciny.

- Nie ma podobnej księgi w żadnym języku.

- Czy to takie niezwykle?

- Ten podział tematów! - entuzjasmował się Jonas. - Zamiast płynów ustrojowych lub typów chorób rozdziały traktują o rodzajach dolegliwości. Tak więc, jeśli pacjent skarży się na ból brzucha, krwawienia, gorączkę, biegunkę lub katar, można od razu znaleźć właściwą stronę!

- Jestem pewien, że to przydatne dla aptekarzy i ich klientów - rzekł niecierpliwie Philemon.

Jonas udał, że nie wyczuwa drwiny.

- Zakładam, ojcze przeorze, że to ty jesteś autorem tej bezcennej księgi.

- Na pewno nie!

- Kto więc...

- Ja ją napisałam - powiedziała Caris.

- Kobieta! - z podziwem rzekł Jonas. - Skąd zdobyłaś te wszystkie wiadomości? Niemal żadnej nie można znaleźć w innych księgach.

- Stare księgi nigdy nie okazały się przydatne, Jonasie. Najpierw nauczyła mnie sporządzać leki pewna uzdrowicielka z Kingsbridge, zwana Mattie, która niestety opuściła miasto z obawy, że zostanie uznana za czarownicę. Potem uczyłam się od matki Cecilii, która była przeoryszą przede mną. Jednak zbieranie recept i przepisów nie jest trudne. Każdy zna ich setki. Trudność polega na znalezieniu kilku skutecznych wśród mnóstwa bezwartościowych. Przez wiele lat prowadziłam dziennik, w którym zapisywałam skutki każdej wypróbowanej metody leczenia. W mojej książce uwzględniłam tylko te, które okazały się skuteczne, co widziałam na własne oczy i wielokrotnie.

- To dla mnie zaszczyt, że mogę rozmawiać z tobą osobiście.

- No cóż, możesz wziąć sobie kopię mojej książki. Pochlebia mi, że ktoś przebył taki szmat drogi, żeby ją zdobyć! - Otworzyła szafkę. - Ten egzemplarz był przeznaczony dla klasztoru Świętego Jana z Lasu, ale mogą zaczekać na ukończenie następnej kopii.

Jonas wziął książkę z niemal nabożną czcią.

- Jestem bardzo zobowiązany. - Wyjął woreczek z miękkiej skóry i wręczył go Caris. - I przyjmij, proszę, ten skromny dar mojej rodziny dla zakonnic z Kingsbridge jako dowód wdzięczności.

Caris otworzyła woreczek i wyjęła niewielki przedmiot zawinięty w wełnę. Gdy odchyliła materiał, ujrzała złoty krucyfik wysadzany drogimi kamieniami. W oczach Philemona zapalił się chciwy błysk. Caris była zaskoczona.

- To kosztowny dar! - wykrzyknęła. I zaraz uświadomiła sobie, że to za mało. - To niezwykle hojny dar ze strony twojej rodziny, Jonasie.

Zbył to niedbałym machnięciem ręki.

- Dzięki Bogu, dobrze nam się wiedzie.
- Tak cenny dar, jak za książkę z przepisami starych bab! - prychnął z zazdrością Philemon.

- Ach, ojcie przeorze - powiedział Jonas - ty jesteś ponad to, oczywiście. My nie aspirujemy do takich wyżyn wiedzy. Nie próbujemy zrozumieć znaczenia płynów w ludzkim ciele. Tak jak dziecko ssie palec, ponieważ to uśmierza ból, tak my podajemy lekarstwa tylko dlatego, że działają. Natomiast kwestię, dlaczego i jak się to dzieje, pozostawiamy umysłom większym od naszych. Istota ludzka jako stworzona przez Boga jest zbyt wielką tajemnicą, żeby tacy jak my mogli ją ogarnąć.

Caris pomyślała, że Jonas powiedział to z ledwie skrywaną ironią. Zauważyła, że Oonagh ledwie powstrzymuje śmiech. Sime również wyczuł ukrytą w tych słowach drwinę i w jego oczach pojawił się gniew. Jednak Philemon nie zwrócił na to uwagi i potraktował to jako komplement. Zrobił przebiegłą minę i Caris odgadła, że zastanawia się, jak mógłby przypisać sobie część zasługi napisania tej książki - i dostać kilka wysadzanych klejnotami krucyfiksów.

Święto runa rozpoczęło się w niedzielę w Zielone Świątki, jak zawsze. Tradycyjnie był to dla szpitala gorący dzień i ten rok nie był wyjątkiem. Starsi ludzie źle się czuli po długiej podróży, niemowlęta i dzieci miały biegunkę z powodu zmiany jedzenia i wody, kobiety i mężczyźni za dużo pili w gospodach i później ranili się w bójkach.

Po raz pierwszy Caris mogła podzielić pacjentów na dwie kategorie. Szybko malejącą liczbę ofiar zarazy oraz pacjentów z takimi dolegliwościami jak bóle brzucha i wysypki umieszczano w nowym szpitalu pobłogosławionym przez biskupa nieco wcześniej tego dnia. Ofiary wypadków i bójek leczono w starym, z dala od zarażonych. Minęły dni, kiedy ktoś przychodził do szpitala z wybitym kciukiem i umierał tam na zapalenie płuc.

Kryzys nadszedł w poniedziałek.

Wczesnym popołudniem, po obiedzie, Caris była na jarmarku, przechadzając się i rozglądając. Było bardzo spokojnie w porównaniu z dawnymi czasami, gdy setki gości i tysiące mieszczan tłoczyły się nie tylko na przyklasztornej łące, ale na wszystkich głównych ulicach. Mimo wszystko tegoroczne święto było lepsze, niż można było oczekiwać po tym, jak ubiegłoroczne odwołano. Caris doszła do wniosku, że ludzie zauważyli, iż liczba ofiar zarazy maleje. Ci, którym udało się przeżyć, najwidoczniej uznali się za odpornych - i niektórzy z nich byli, a inni nie, gdyż zaraza nadal zabijała.

Głównym tematem rozmów podczas święta był materiał Madge Webber. Nowe krosna zaprojektowane przez Merthina były nie tylko szybsze, ale ułatwiały tworzenie skomplikowanych wzorów. Madge sprzedała już połowę swoich zapasów.

Bijatyka wybuchła, gdy Caris z nią rozmawiała. Madge wprawiła ją w pomieszanie, mówiąc, jak mówiła to już wielokrotnie przedtem, że bez Caris nadal byłaby ubogą tkaczką. Caris już miała jak

zwykle temu zaprzeczyć, gdy usłyszały krzyki.

Caris natychmiast rozpoznała gardłowe odgłosy wydawane przez agresywnych młodych ludzi. Dochodziły z odległego zaledwie o trzydzieści jardów miejsca, gdzie stała wielka beczka piwa. Okrzyki przybrały na sile, a potem rozległ się piskliwy kobiecy krzyk. Caris pospieszyła tam w nadziei, że położy kres bójkę, zanim ta wymknie się spod kontroli. Spóźniła się.

Bijatyka już trwała. Czterej młodzi narwańcy z miasta walczyli z grupką wieśniaków w typowych kmiecych strojach i zapewne z tej samej wioski. Ładna dziewczyna, niewątpliwie ta, która krzyczała, próbowała rozdzielić dwóch z nich okładających się zażarcie. Jeden z miastowych wyciągnął nóż, a wieśniacy mieli ciężkie drewniane szpadle. Gdy Caris dotarła na miejsce, kolejni ludzie już przyłączali się do obu walczących stron. Odwróciła się do Madge, która szła za nią.

- Jak najszybciej pošlij kogoś po Munga Constable'a. Zapewne jest w podziemiu siedziby gildii.

Madge pobiegła.

Bójka przybierała coraz groźniejszy obrót. Kilku chłopaków z miasta wyjęło noże. Jakiś wieśniak leżał na ziemi, obficie krwawiąc z rozciętej ręki, a inny walczył mimo paskudnie poranionej twarzy. Caris zobaczyła, jak dwaj miastowi zaczęli kopać leżącego wieśniaka.

Wahała się chwilę, po czym ruszyła naprzód. Złapała najbliższego z walczących za koszulę.

- Willie Bakersonie, natychmiast przestań! - powiedziała swoim najbardziej władczym tonem.

Prawie jej się udało.

Zaskoczony Willie odstał od swojego przeciwnika i spojrzał na Caris przepraszająco. Otworzyła usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, gdy ktoś łopatą zadał jej silny cios w tył głowy, niewątpliwie przeznaczony dla Williego.

Zabolało jak diabli. Pociemniało jej w oczach, straciła równowagę i upadła na ziemię. Leżała oszołomiona, usiłując się pozbierać, a świat wirował wokół niej. Potem ktoś złapał ją pod rękę i odciągnął.

- Jesteś ranna, matko Caris?

Głos brzmiał znajomo, choć nie mogła go rozpoznać. W końcu rozjaśniło jej się w głowie i zdołała wstać z pomocą zbawcy, w którym rozpoznała muskularnego kupca zbożowego, Megga Robbinsa.

- Jestem tylko trochę oszołomiona - powiedziała. - Musimy powstrzymać tych chłopców, zanim się pozabijają.

- Już nadchodzi konstable. Zostawmy to im.

I rzeczywiście, właśnie pojawił się Mungo z sześcioma zastępcami, każdy uzbrojony w pałkę.

Wpadli w tłum, hojnie rozdając razy. Liczba poszkodowanych gwałtownie wzrosła, lecz przybycie konstabli zmieniło sytuację na polu bitwy. Awanturnicy byli zaskoczeni i część z nich rzuciła się do ucieczki. Bójka zakończyła się niezwykle szybko.

- Megg, biegnij do klasztoru i sprowadź siostrę Oonagh - poleciła Caris. - I powiedz jej, żeby zabrała bandaż.

Megg pobiegł.

Mogący chodzić ranni szybko zniknęli. Caris zaczęła badać tych, którzy pozostali. Wiejski chłopak pchnięty nożem w brzuch próbował przytrzymać wypadające wnętrzności: dla niego niewiele można było zrobić. Ten z rozciętą ręką przeżyje, jeśli Caris zdoła powstrzymać krwotok. Zdjęła pasek, owinęła go wokół jego ręki i zacisnęła, aż strumień krwi zmniejszył się do strużki.

- Trzymaj to tak - poleciła mu i podeszła do chłopaka z miasta, który miał chyba połamane palce.

Głowa bolała ją jak diabli, ale nie zwracała na to uwagi.

Pojawiła się Oonagh z kilkoma innymi siostrami. Chwilę później przybył Matthew Barber ze swoją torbą. Oboje bandażowali rannych. Wykonując polecenia Caris, kilku ochotników pozbierało najciężej rannych, żeby zanieść ich do klasztoru.

- Zabierzcie ich do starego szpitala, nie do nowego - poleciła. Podniosła się z klęczek i zakręciło jej się w głowie. Przytrzymała się Oonagh.

- Co ci jest? - zapytała Oonagh.

- Nic mi nie będzie. Lepiej chodźmy do szpitala.

Przeszły między straganami do starego szpitala. Gdy tam weszły, natychmiast zobaczyły, że nie ma w nim żadnego z rannych. Caris zaklęła.

- Ci głupcy zanieśli ich nie tam, gdzie powinni - stwierdziła.

Doszła do wniosku, że minie trochę czasu, zanim ludzie zrozumieją wagę selekcji.

Razem z Oonagh poszły do nowego budynku. Wchodziło się doń przez szerokie arkady. Gdy tam dotarły, spotkały wracających ochotników.

- Zanieśliście ich nie tam, gdzie trzeba! - powiedziała z urazą Caris.

- Ależ, matko Caris... - zaczął jeden.

- Nie spieraj się, nie ma czasu - rzuciła niecierpliwie. - Po prostu zanieście ich do starego szpitala.

Wchodząc do środka, zobaczyła, że chłopca z rozciętą ręką wnoszą do pokoju, w którym leży już pięciu chorych na zarazę. Pospieszyła tam.

- Stać! - krzyknęła wściekle. - Co wy wyprawiacie?

- Wykonują moje polecenie - usłyszała za plecami męski głos. Odwróciła się i zobaczyła brata Sime.

- Nie bądź głupi - powiedziała. - Ma ranę od noża. - Chcesz, żeby umarł na zarazę?

Jego puciołowata twarz zrobiła się różowa.

- Nie zamierzam prosić cię o aprobatę moich decyzji, matko Caris. Głupio gadał i zignorowała to.

- Wszyscy ci ranni chłopcy muszą być trzymani z daleka od ofiar zarazy, inaczej zachorują!

- Myślę, że jesteś nadmiernie wzburzona. Proponuję, żebyś poszła się położyć. »

- Położyć?! Dopiero co opatrzyłam tych ludzi, a teraz muszę się nimi należycie zająć. Jednak nie tu!

- Dziękuję ci za pomoc w nagłych wypadkach, matko. Teraz możesz mi zostawić dokładne zbadanie pacjentów.

- Zabijesz ich, ty idioto!

- Proszę, opuść szpital, dopóki nie ochłoniesz.

- Nie możesz mnie stąd wyrzucić, ty głupi chłopcze! Ja wybudowałam ten szpital za pieniądze zakonnice. Ja nim zarządzam.

- Czyżby? - zapytał chłodno.

Caris pojęła, że choć ona nie przewidziała nadejścia tej chwili, on niemal na pewno jej oczekiwał. Był czerwony na twarzy, ale panował nad sobą. Miał plan. Zamilkła, myśląc gorączkowo. Rozejrzawszy się, zobaczyła, że zakonnice i ochotnicy przyglądają się im, czekając, co się wydarzy.

- Musimy zająć się tymi chłopcami - powiedziała. - Kiedy my stoimy tu i się spieramy, oni wykrwawiają się na śmierć. Na razie pójdźmy na kompromis. - Podniosła głos. - Zostawcie każdego z nich tam, gdzie jest. - Było ciepło, więc pacjentów nie trzeba było wносить do środka. - Najpierw ich zbadamy, a później zdecydujemy, gdzie mają leżeć.

Ochotnicy i zakonnice znali i szanowali Caris, natomiast Sime był dla nich kimś nowym, więc ochoczo jej posłuchali.

Sime zrozumiał, że został pokonany, i jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

- Nie mogę leczyć pacjentów w takich warunkach - powiedział i odszedł. Caris była zaszokowana. Próbowała ocalić jego dumę, idąc na kompromis, i nie sądziła, że odejście i zostawi cierpiących.

Szybko o nim zapomniała i ponownie zajęła się rannymi.

Przez kilka następnych godzin przemywała rany, zaszywała cięcia oraz podawała uśmierzające ból zioła i uspokajające napoje. Matthew Barber pracował razem z nią, składając połamane kości i

nastawiając zwichnięcia. Matthew miał już pięćdziesiąt lat, lecz asystujący mu syn Lukę był równie zręczny.

Popołudnie przechodziło w chłodny wieczór, gdy skończyli. Usiedli na murku, by odpocząć. Siostra Joan przyniosła im kufle z zimnym cydrem. Caris wciąż bolała głowa. Nie zwracała na to uwagi, pracując, ale teraz ból stał się bardzo dokuczliwy. Postanowiła wcześniej położyć się spać.

Kiedy pili cydr, pojawił się młody Joshie.

- Lord biskup prosi, żebyś spotkała się z nim w pałacu przeora, kiedy znajdziesz chwilę czasu, matko przeoryszo.

Prychnęła zirytowana. Niewątpliwie Sime poszedł na skargę. Tylko tego jeszcze potrzebuje.

- Powiedz mu, że przyjdę niezwłocznie - odparła. A ciszej dodała: - Równie dobrze możemy załatwić to od razu.

Opróżniła kufel i poszła.

Ze znużeniem przemierzyła łąkę. Straganiarze pakowali się na noc, zakrywając swoje towary i zamykając skrzynie. Minęła cmentarz i weszła do pałacu.

Biskup Henri siedział na końcu stołu. Byli z nim kanonik Claude i archidiakon Lloyd. Philemon i Sime również. Kot Godwyna, Arcybiskup, z zadowoloną miną siedział na kolanach Henriego.

- Usiądź, proszę - powiedział biskup. Usiadła obok Claude'a.

- Wyglądasz na zmęczoną, matko Caris.

- Spędziłam popołudnie, zszywając głupich chłopaków, którzy wdali się w bijatykę. Ponadto sama zostałam uderzona w głowę.

- Słyszeliśmy o tej bójce.

- I o kłótni w nowym szpitalu - dodał Henri.

- Zakładam, że dlatego tu jestem.

- Tak.

- Głównym założeniem budowy nowego szpitala było oddzielenie pacjentów chorych zakaźnie...

- Wiem, czego dotyczył spór - przerwał jej Henri, po czym zwrócił się do wszystkich:

- Caris kazała, by ranieni w bójce zostali zabrani do starego szpitala. Sime zmienił jej polecenie. Potem kłócili się na oczach wszystkich.

- Przepraszam za to, lordzie biskupie - powiedział Sime. Henri zignorował go.

- Zanim przejdę dalej, chcę coś wyjaśnić. - Ponownie spojrzął na Sime'a i Caris. - Jestem waszym biskupem i oficjalnie zwierzchnikiem opactwa Kingsbridge. Mam prawo i moc rozkazywania wam wszystkim, a waszym obowiązkiem jest mnie słuchać. Zgadzasz się z tym, bracie Sime? Sime

skonił głowę.

- Zgadzam się.

Teraz Henri zwrócił się do Caris:

- A ty, matko przeoryszo?

Oczywiście nie mogła się spierać. Henri ma prawo wydawać im polecenia.

- Tak - odparła.

Była przekonana, że Henri nie jest taki głupi, by lokować awanturników razem z ofiarami zarazy.

- Pozwólcie, że podsumuję sytuację - ciągnął Henri. - Nowy szpital został wybudowany za pieniądze zakonnice, według wskazówek matki Caris. Chciała, aby był miejscem dla ofiar zarazy i innych chorób, które według niej mogą przenosić się z chorych na zdrowych. Uważa, że odseparowanie tych dwóch rodzajów pacjentów ma zasadniczą wagę. Uważa również, że w tych okolicznościach ma prawo nalegać, by zastosowano się do jej zaleceń. Czy tak, matko?

- Tak.

- Brata Sime nie było tutaj, kiedy Caris opracowywała ten plan, więc nie mógł go konsultować. Jednakże spędził trzy lata, studiując medycynę na uniwersytecie, i uzyskał stopień doktora. Twierdzi, iż Caris nie ma wykształcenia i poza tą jaką nabyła w drodze doświadczenia, niewielką wiedzę o naturze chorób. Jest wykwalifikowanym medykiem i, co więcej, jedynym takim w opactwie, a nawet w całym Kingsbridge.

- Właśnie - rzekł Sime.

- Jak możesz twierdzić, że nie posiadam wiedzy? - wybuchła Caris. - Po tych wszystkich latach zajmowania się pacjentami...

- Proszę o spokój - rzekł Henri, nie podnosząc głosu, i ten spokój sprawił, że Caris zamilkła. - Miałem właśnie wspomnieć o twoich zasługach. Twoja praca tu była nieoceniona. Twoje poświęcenie w walce z plagą, która wciąż nie wygasła, jest dobrze i powszechnie znane. Twoje doświadczenie i praktyczna wiedza są bezcenne.

- Dziękuję, biskupie.

- Z drugiej strony Sime jest kapłanem i absolwentem uniwersytetu... oraz mężczyzną. Wiedza, jaką wnosi, ma zasadnicze znaczenie dla właściwego funkcjonowania klasztornej szpitala. Nie chcemy go stracić.

- Niektórzy z uniwersyteckich mistrzów zgadzają się z moimi metodami. Zapytajcie brata Austina.

- Brat Austin został wysłany do klasztoru Świętego Jana z Lasu - wtrącił Philemon.

- I teraz wiemy dlaczego - powiedziała Caris.

- To ja mam podjąć decyzję - rzekł biskup - nie Austin czy mistrzowie z uniwersytetu. Caris zrozumiała, że nie jest przygotowana do tej próby sił. Była wyczerpana, bolała ją głowa i ledwie mogła zebrać myśli. Powinna walczyć o władzę, a nie miała nawet obmyślanej strategii. Gdyby była zupełnie przytomna, nie przybyłaby na wezwanie biskupa. Mogła położyć się do łóżka i przespać ból głowy, żeby obudzić się rano wypoczęta i spotkać się z Henrim dopiero, mając gotowy plan bitwy.

Może jeszcze nie jest na to za późno?

- Biskupie - powiedziała - nie czuję się na siłach toczyć dziś tę dyskusję. Może odłożmy ją do rana, kiedy poczuję się lepiej.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Henri. - Wysłuchałem skargi Sime'a i znam twój punkt widzenia. Ponadto wyjeżdżam o świcie.

Caris zrozumiała, że już podjął decyzję. Nic, co mogła mu powiedzieć, tego nie zmieni. Tylko co postanowił? Po czyjej opowie się stronie? Nie miała pojęcia. A była zbyt zmęczona, by zrobić coś więcej, niż tylko siedzieć i słuchać wyroku.

- Człowiek jest słaby - mówił Henri. - Widzi, jak to ujął święty apostoł Paweł, jak przez okopcone szkło. Mylimy się, błądzimy, błędnie rozumiemy. Potrzebujemy pomocy. To dlatego Bóg dał nam Kościół święty, papieża i kapłanów, aby nas prowadzili, gdyż nasze możliwości pojmowania są zawodne i niewystarczające. Jeśli będziemy kierowali się rozumem, poniesiemy klęskę. Musimy słuchać autorytetów.

Caris doszła do wniosku, że chyba poprze Sime'a. Jak może być tak głupi? Jednak był.

- Brat Sime studiował starożytne księgi medyczne pod nadzorem uniwersyteckich mistrzów. Ich nauki są uznawane przez Kościół. Musimy zaakceptować autorytet Kościoła, a więc i jego. Jego decyzje nie mogą być zmieniane przez niewykształconą osobę, obojętnie jak dzielną i godną podziwu. Muszą być decydujące.

Caris była tak zmęczona i chora, że niemal ucieszyła się, że to koniec rozmowy. Sime wygrał, ona przegrała, a teraz chciała tylko spać. Wstała.

- Przykro mi cię rozczarować, matko Caris... - zaczął Henri. I zamilkł, widząc, że ona już odchodzi.

Usłyszała głos Philemona.

- Zuchwałe zachowanie.

- Zostawcie ją - powiedział cicho Henri. Dotarła do drzwi i wyszła, nie odwracając się.

Gdy szła powoli przez cmentarz, uzmysłowiła sobie w pełni znaczenie tego, co się stało. Sime miał zarządzać szpitalem. Ona miała wykonywać jego polecenia. Nie będzie podziału na różne kategorie pacjentów. Nie będzie masek na twarzach ani przemywania rąk octem. Słabi będą osłabiani puszczaniem krwi, wygłodzeni jeszcze chudsi na skutek lewatyw, rany będą okładane kataplazmami z krowiego łajna zwiększającymi ryzyko ropienia ran. Nikt nie będzie dbał o czystość ani świeże powietrze.

Nie odezwała się do nikogo, przechodząc przez klauzurę, wchodząc po schodach i idąc przez dormitorium do swojego pokoju. Położyła się twarzą do poduszki, z potwornym bólem głowy.

Straciła Merthina, straciła szpital, straciła wszystko.

Wiedziała, że obrażenia głowy mogą być śmiertelne. Może teraz zaśnie i już się nie obudzi.

Może tak byłoby najlepiej.

79

Sad Merthina posadzono na wiosnę 1349 roku. Rok później większość drzewek przyjęła się i okryła rzadkimi liśćmi. Dwa lub trzy walczyły, a jedno bezsprzecznie uschło. Nie spodziewał się, że któreś już w tym roku zaowocuje, lecz w lipcu, ku swemu zdziwieniu, zobaczył, że jedno rozwinięte nad wiek drzewko ma prawie tuzin ciemnozielonych gruszcerek, małych i twardych jak kamienie, lecz zapowiadających smaczne owoce jesienią.

W pewne niedzielne popołudnie pokazał jej Lolli, która nie chciała wierzyć, że zmienią się w soczyste owoce, które uwielbiała. Sądziła - albo udawała, że tak myśli - że ojciec tylko się z nią droczy. Kiedy zapytał, skąd jej zdaniem biorą się dojrzałe owoce, spojrzała na niego karcąco i powiedziała: „Z targu, głuptasie!”.

Ona także pewnego dnia dojrzeje, pomyślał, chociaż trudno było sobie wyobrazić, że jej chude ciało nabierze kiedyś krągłych kobiecych kształtów. Zastanawiał się, czy urodzi mu wnuki. Była pięciolatką więc ten dzień mógł być odległy o jakieś dziesięć lat.

Rozmyślał o dojrzałości, gdy ujrzał idącą ku niemu przez ogród Philippę i uderzyło go to, jak okrągłe i pełne są jej piersi. Było niezwykle, że odwiedza go za dnia, więc zastanawiał się, co ją sprowadza. Na wypadek gdyby ktoś ich obserwował, powitał ją jedynie skromnym pocałunkiem w policzek, takim jakim mógł ją obdarzyć szwagier, nie budząc podejrzeń.

Wyglądała na zakłopotaną i uświadomił sobie, że od kilku dni była powściągliwsza i bardziej zamyślona niż zwykle.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał, gdy usiadła obok niego na trawie.

- Nigdy nie umiałam delikatnie przekazywać złych wieści - powiedziała. - Jestem w

ciąży.

- Dobry Boże. - Był zbyt zaskoczony, żeby ukryć zdziwienie. - Jestem zdumiony, ponieważ mówiłaś mi...

- Wiem. Byłam pewna, że jestem za stara. Przez kilka lat mój miesięczny cykl był nieregularny, a potem zupełnie ustał, przynajmniej tak sądziłam. Jednak wymiotowałam dziś rano i bolą mnie sutki.

- Gdy wchodziłaś do ogrodu, zauważyłem, jakie masz pełne piersi. Jednak czy jesteś pewna?

- Już sześć razy byłam w ciąży: urodziłam troje dzieci i trzy razy poroniłam, więc znam to uczucie. Nie mam wątpliwości.

Uśmiechnął się.

- Zatem będziemy mieli dziecko. Nie odpowiedziała uśmiechem.

- Nie rób takiej zadowolonej miny. Nie przemyślałaś konsekwencji. Jestem żoną hrabiego Shiring. Nie spałam z nim od października, nie żyję z nim od lutego, a jednak w lipcu jestem w drugim lub trzecim miesiącu ciąży. On i cały świat będzie wiedział, że to dziecko nie jest jego, a hrabina Shiring popełniła cudzołóstwo.

- Przecież cię nie...

- Nie zabije? Zabił Tilly, prawda?

- O mój Boże. Tak, zabił. Jednak...

- A gdyby zabił mnie, mógłby zabić i moje dziecko.

Merthin chciał powiedzieć, że to niemożliwe, że Ralph nie zrobiłby czegoś takiego, ale wiedział, że to nieprawda.

- Muszę podjąć jakąś decyzję - westchnęła Philippa.

- Nie sądzę, że powinnaś spróbować przerwać ciążę jakimiś wywarami. To zbyt niebezpieczne.

- Nie zrobiłabym tego.

- Zatem chcesz urodzić?

- Tak. Tylko co potem?

- Załóżmy, że zostałabyś w klasztorze i trzymała to, że masz dziecko, w tajemnicy? Jest tam wiele dzieci osieroconych przez zarazę.

- Tylko że matczynej miłości nie da się utrzymać w tajemnicy. Wszyscy widzieliby, że szczególnie troszczę się o to dziecko. A wtedy Ralph odkryłby prawdę.

- Masz rację.

- Mogłabym wyjechać i zniknąć. Londyn, Paryż, Awinion... Nie powiedziałabym nikomu, dokąd jadę, więc Ralph nie zdołałby mnie odnaleźć.

- A ja wyjechałbym z tobą.
- Tylko że wtedy nie ukończyłbyś swojej wieży.
- A ty tęskniłabyś za Odilą.

Córka Philippy była od sześciu miesięcy żoną hrabiego Davida. Merthin mógł sobie wyobrazić, jak trudno byłoby Philippie ją opuścić. A jemu rzeczywiście trudno byłoby zrezygnować ze wzniesienia wieży. Przez całe swe dorosłe życie pragnął stworzyć najwyższą budowlę w Anglii. Teraz, kiedy wreszcie zaczął to robić, byłby załamany, gdyby musiał przerwać.

Na myśl o wieży przypomniał sobie Caris. Intuicja podpowiadała mu, że będzie zdruzgotana tą wiadomością. Nie widział jej od wielu tygodni: chorowała i leżała w łóżku po uderzeniu w głowę podczas święta runa, a teraz, chociaż wydobrzała, rzadko opuszczała klasztor. Domyślał się, że doszło do walki o władzę, ponieważ szpitalem zarządzał teraz brat Sime. Cięża Philippy byłaby dla Caris następnym ciężkim ciosem.

- A Odila również jest w ciąży - dodała Philippa.
- Tak szybko! To dobra wieść. Jednak tym bardziej nie możesz udać się na wygnanie i nigdy więcej nie zobaczyć jej ani wnuka.
- Nie mogę uciec ani się ukryć. Jednak jeśli nic nie zrobię, Ralph mnie zabije.
- Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji.
- Przychodzi mi do głowy tylko jedno.

Spojrzał na nią. Zrozumiał, że wszystko już przemyślała. Nie powiedziała mu o tym problemie, dopóki nie znalazła rozwiązania. Jednak starała się wykazać, że wszystkie oczywiste rozwiązania są złe. A to oznaczało, że nie spodoba mu się plan, który obmyśliła.

- Powiedz co.
- Musimy sprawić, żeby Ralph pomyślał, że to jego dziecko.
- Przecież musiałybyś...
- Tak.
- Rozumiem.

Myśl o Philippie śpiącej z Ralphem była dla Merthina odrażająca. Nie z powodu zazdrości, choć i ta odgrywała pewną rolę. Najgorsze było to, jak okropnie ona by się czuła z tego powodu. Ralph budził w niej fizyczny i emocjonalny wstręt. Merthin rozumiał to uczucie, chociaż go nie podzielał. Przez całe życie miał do czynienia z brutalnością Ralpha, lecz ten brutal był jego bratem i nie wiedzieć czemu tak było, Merthin godził się ze wszystkim niezależnie od tego, co Ralph uczynił. Mimo wszystko mdliło go na myśl o tym, że Philippa musiałyby zmusić się do spania z człowiekiem, którego nienawidziła jak nikogo na świecie!

- Chciałbym, żeby był jakiś inny sposób - westchnął.

- Ja też.

Przeszył ją spojrzeniem.

- Już zdecydowałaś.

- Tak.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie też.

- Tylko czy to się uda? Czy możesz... go uwieść?

- Nie wiem - odparła. - Muszę jednak spróbować.

Katedra miała symetryczny kształt. Poddasze kamieniarza znajdowało się w jej zachodnim końcu, w niskiej północnej wieży wznoszącej się nad północnym gankiem. W identycznej południowej wieży było pomieszczenie podobnej wielkości i kształtu, z widokiem na klauzurę. Przechowywano w nim rzadko używane przedmioty niewielkiej wartości. Były tam wszystkie kostiumy i symbole potrzebne w czasie misteriów oraz wiele nie całkiem bezużytecznych rzeczy, takich jak: drewniane świeczniki, zardzewiałe łańcuchy, pęknięte garnki czy księga o welinowych kartach tak zbutwiałyach ze starości, że mozolnie wykaligrafowane na nich słowa stały się nieczytelne.

Merthin poszedł tam sprawdzić nachylenie muru spuszczonego z okna ciężarkiem na długim sznurku i wtedy dokonał dziwnego odkrycia.

Mur był spękany. Te pęknięcia niekoniecznie były oznaką słabości: należy to ocenić doświadczonym okiem. Wszystkie budynki poruszają się i te pęknięcia mogły jedynie wskazywać, w jaki sposób budowla przystosowuje się do zmian. Merthin uznał większość pęknięć ściany tego składziku za nieszkodliwe. Jednak zdziwił go kształt jednego z nich. Nie wyglądał normalnie. Po dokładniejszych oględzinach doszedł do wniosku, że ktoś wykorzystał naturalne pęknięcie, by obluzować jeden mały kamień. Merthin wyjął go ze ściany.

Natychmiast pojął, że znalazł skrytkę. W otworze maskowanym przez kamień był złodziejski łup. Merthin wyjął go, jeden przedmiot po drugim: kobiecą broszę z dużym zielonym kamieniem, srebrną sprzączkę, jedwabny szal oraz zwój pergaminu z zapisanym psalmem. Na samym końcu wyjął coś, co pozwoliło mu zidentyfikować złodzieja. Była to jedyna rzecz w tej skrytce niemająca żadnej wartości. Kawalek wypolerowanego drewna z wyrytymi na nim literami układającymi się w napis: „M:Phmm:AMAT”.

M było pierwszą literą imienia. „Amat” oznaczało po łacinie „kocha”. A Phmm to z pewnością Philemon.

Ktoś o imieniu zaczynającym się na M, chłopak lub dziewczyna, kiedyś kochał Philemona i dał

mu to, a on ukrył ten dar razem ze skradzionymi skarbami.

Philemon od dziecka był podejrzewany o lepkie palce. Wokół niego ginęły różne rzeczy. Wyglądało na to, że właśnie tu je ukrywał. Merthin wyobraził go sobie, przychodzącego tu ukradkiem, zapewne nocami, wyjmującego kamień i cieszącego się swoim łupem. Niewątpliwie był to jakiś rodzaj choroby.

Nigdy nie podejrzewano Philemona o posiadanie kochanki lub kochanka. Podobnie jak jego mentor Godwyn wydawał się należeć do tej nielicznej grupki ludzi o słabym pociągu seksualnym. Ktoś jednak kiedyś go pokochał, a on cieszył się tym wspomnieniem.

Merthin włożył wszystkie przedmioty do skrytki, układając je dokładnie tak, jak je znalazł - miał dobrą pamięć do takich rzeczy. Umieścił obłuzowany kamień na miejscu. Potem, zamyślony, opuścił składzik i zszedł po spiralnych schodach.

Ralph był zdziwiony, gdy Philippa wróciła do domu.

Był to jeden z nielicznych pogodnych dni deszczowego lata i chciał wyruszyć na polowanie z sokołami, lecz ku swemu rozdrażnieniu nie mógł. Wkrótce miały się zacząć żniwa i większość z dwudziestu czy trzydziestu rządców i ekonomów pilnie chciała się z nim widzieć. Wszyscy mieli ten sam problem: dojrzewające na polach zbiory i niedostateczną liczbę ludzi do ich zbierania.

W niczym nie mógł im pomóc. Korzystał z każdej okazji, by ścigać wyrobników, którzy łamali zakaz, opuszczając wioskę w poszukiwaniu wyższych stawek - lecz nieliczni, których udało się schwytać, po prostu płacili grzywnę ze swoich zarobków i znów uciekali.

Tak więc jego zarządcy musieli sobie jakoś radzić. Jednakże wszyscy chcieli opowiedzieć mu o swoich kłopotach, a on nie miał innego wyjścia, jak wysłuchiwać ich i aprobować ich pomysły.

W sali było pełno ludzi: zarządców, rycerzy i zbrojnych, paru księży oraz ponad tuzin waleśającej się służby. Gdy wszyscy zamilkli, Ralph nagle usłyszał kraczące kruki. Ich chrapliwe wołanie było jak ostrzeżenie. Podniósł głowę i zobaczył w progu Philippę.

Najpierw przemówiła do służby:

- Martho! Ten stół jest nadal brudny po obiedzie. Przynieś gorącą wodę i wyszoruj go, natychmiast. Dickie, dopiero co widziałam ulubionego rumaka hrabiego pokrytego błotem wyglądającym na wczorajsze, a ty siedzisz tu sobie, strugając patyk. Wracaj do stajni, gdzie jest twoje miejsce, i wyczyść tego konia. A ty, chłopcze, wyprowadź tego szczeniaka na podwórze, bo właśnie nasikał na podłogę. Wiesz, że jedyny pies, któremu wolno wchodzić do sali, to mastif pana.

Słudzy nagle zaczęli się uwijać i nawet ci, do których nic nie powiedziała, znaleźli sobie jakieś zajęcie.

Ralph nie miał nic przeciwko temu, że Philippa wydaje rozkazy sługom. Rozleniwili się bez

pani, która goniła ich do roboty.

Podeszła do niego i dygnęła, tak jak powinna po długiej nieobecności. Nie próbowała go pocałować.

- To... nieoczekiwana wizyta - rzekł beznamiętnie.
- W ogóle nie powinnam była wyruszać w tę podróż. Ralph jęknął w duchu.
- Co cię tu sprowadza? - zapytał.

Był pewien, że cokolwiek to jest, oznacza kłopoty.

- Moja posiadłość w Ingsby.

Philippa miała kilka własnych posiadłości, wiosek w Gloucestershire, które płaciły lenno jej, a nie hrabiemu. Ralph wiedział, że od kiedy zamieszkała w klasztorze, zarządcy tych wiosek odwiedzali ją w opactwie Kingsbridge i tam bezpośrednio zdawali jej sprawozdania ze swojej działalności. Ingsby było wyjątkiem. Ta posiadłość płaciła podatek jemu, a on przekazywał go jej - co zapomniał robić, od kiedy go opuściła.

- Do licha - rzekł. - Wypadło mi z pamięci.
- W porządku. Masz wiele spraw na głowie. To było zaskakująco pojednawcze stwierdzenie.

Poszła na górę, a on wrócił do swoich zajęć. Pół roku separacji trochę ją utemperowało, myślał, gdy następny zarządca wyliczał pola dojrzewającego zboża i narzekał na niedostatek żniwiarzy. Mimo wszystko miał nadzieję, że Philippa nie zamierza zostać długo. Leżenie z nią w nocy w jednym łóżku to jak spanie ze zdechłą krową.

Ponownie pojawiła się w porze wieczery. Usiadła obok Ralpha i podczas posiłku uprzejmie rozmawiała z kilkoma rycerzami bawiącymi u niego w gościnie. Była chłodna i pełna rezerwy, jak zawsze - nie okazywała żadnych uczuć ani nawet poczucia humoru - lecz nie dostrzegł też tej niepohamowanej, lodowatej nienawiści, jaką darzyła go po ślubie. Ta znikła lub została głęboko ukryta. Po posiłku Philippa znów udała się na spoczynek, zostawiając go popijającego z rycerzami.

Rozważał możliwość, że zamierza wrócić na stałe, ale w końcu uznał ten pomysł za nierealny. Nigdy by go nie pokochała ani nawet nie polubiła. Po prostu długa nieobecność stępiła ostrze jej niechęci. Ta jednak, choć głęboko ukryta, nigdy nie zniknie.

Zakładał, że Philippa będzie już spała, gdy on pójdzie na górę, lecz ku swemu zdziwieniu zastał ją przy biurku, w bladożółtej lnianej nocnej koszuli. Zapalona świeca rzucała miękki blask na jej dumne rysy i czarne włosy. Przed nią leżał długi list skreślony dziewczęcą ręką. Domyślił się, że to list od Odili, obecnie hrabiny Monmouth. Philippa właśnie odpisywała. Jak większość arystokratów pisma urzędowe dyktowała sekretarzowi, lecz prywatne listy pisała osobiście.

Zdjął wierzchnie odzienie. Było lato i zwykle sypiał w bieliźnie.

Philippa skończyła list, wstała i przewróciła stojący na biurku kałamarz. Odskoczyła, ale za późno. Kałamarz upadł, plamiąc jej jasną nocną koszulę. Zaklęła. Ralph był lekko rozbawiony. Była tak pedantycznie schludna, że zabawnie było widzieć ją pochłapaną atramentem.

Zawahała się, po czym zdjęła koszulę przez głowę.

Był zaskoczony. Zwykle nie spieszyła się ze zdejmowaniem odzienia. Uświadomił sobie, że rozkojarzył ją wypadek z kałamarzem. Gapił się na jej nagie ciało. W klasztorze trochę przytyła: jej piersi wydawały się większe i okrągłejsze, brzuch nieco wydatniejszy, a zawsze atrakcyjne biodra szersze. Ku swemu zdziwieniu poczuł podniecenie.

Pochyliła się, by zwiniętą w kłęb koszulą zetrzeć atrament z posadzki. Jej piersi kołysały się, gdy wycierała kafelki. Odwróciła się, pokazując mu w całej okazałości swój tyłek. Gdyby jej nie znał, pomyślałby, że chce go podniecić. Jednak Philippa nigdy nikogo nie próbowała rozpalić, a już na pewno nie jego. Po prostu była wytrącona z równowagi i zmieszana. Co podniecało go jeszcze bardziej, gdy patrzył na jej nagość, kiedy wycierała podłogę.

Od kilku tygodni nie miał kobiety, a ostatnią była bardzo kiepska dziewczka w Salisbury.

Zanim Philippa skończyła, już miał erekcję.

Zauważyła, że na nią patrzy.

- Nie patrz na mnie - powiedziała. - Idź spać. Wrzuciła brudną koszulę do kosza z brudnym odzieniem.

Podeszła do kufra i podniosła wieko. Kiedy wyjechała do Kingsbridge, zostawiła tu większość swoich rzeczy. Mieszkając w klasztorze, nie uchodzi nosić kosztownych strojów, nawet szlachcie. Znalazła inną koszulę. Ralph nie odrywał oczu od jej ciała. Gapił się na jej sterczące piersi, na okryty kępką czarnych włosów wzgórek i zaschło mu w ustach.

Zauważyła jego spojrzenie.

- Nie dotykaj mnie - warknęła.

Gdyby tego nie powiedziała, zapewne położyłby się i zasnął. Jednak jej niechętna reakcja zraniła jego dumę.

- Jestem hrabią Shiring, a ty jesteś moją żoną - rzekł. - Będę cię dotykał, kiedy zechcę.

- Nie ośmielisz się - powiedziała i odwróciła się, żeby włożyć koszulę. To go rozgniewało. Kiedy podniosła ręce, żeby wciągnąć koszulę przez głowę, mocno uderzył ją w gołe siedzenie i wiedział, że ją to zabolalo. Podskoczyła i krzyknęła.

- To tyle o tym, czego nie ośmielę się zrobić - powiedział.

Odwróciła się do niego, chcąc zaprotestować, a wtedy uderzył ją pięścią w usta.

Odleciała do tyłu i upadła. Przycisnęła dłonie do ust i krew zaczęła sączyć się przez palce. Leżała na

plecach, naga, z rozrzuconymi nogami i widział trójkąt włosów przy spojeniu jej ud oraz lekko rozchyloną szparkę - jakby zapraszająco.

Zwalił się na nią.

Wiła się wściekle, ale był od niej większy i silniejszy. Bez trudu pokonał jej opór. Po chwili już w niej był. Była sucha, lecz to tylko jeszcze bardziej go podnieciło.

Szybko było po wszystkim. Przetoczył się zdyszany na plecy. Po chwili spojrzał na nią. Na jej wargach czerwieniła się krew. Nie patrzyła na niego, miała zamknięte oczy, jednak wydało mu się, że jej twarz ma dziwny wyraz. Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas, zanim znalazł odpowiedź, która zdziwiła go jeszcze bardziej.

Wydawała się triumfować.

Merthin wiedział, że Philippa wróciła do Kingsbridge, ponieważ widział jej pokojówkę w gospodzie Bella. Spodziewał się, że kochanka przyjdzie do niego wieczorem, i był rozczarowany, gdy się nie pojawiła. Niewątpliwie jest jej źle, pomyślał. Żadna dama nie czułaby się dobrze z tym, co zrobiła Philippa, obojętnie z jak ważnych powodów, nawet jeśli jej ukochany mężczyzna wie o tym i rozumie.

Minęła kolejna noc bez niej, a potem przyszła niedziela i był pewien, że zobaczy ją w kościele. Nie przyszła jednak na mszę. To było niesłychane, żeby szlachcianka nie była na niedzielnej mszy. Co ją zatrzymało?

Po mszy odesłał Lollę do domu z Arnem i Em, po czym przeszedł przez łąkę do starego szpitala. Na piętrze były trzy pokoje dla ważnych gości. Wszedł po zewnętrznych schodach.

Na korytarzu napotkał Caris.

Nawet nie pytała, po co tu przyszedł.

- Hrabina nie chce, żebyś ją zobaczył, ale chyba powinieneś tam wejść - powiedziała.

Merthin zwrócił uwagę na to dziwne sformułowanie. Nie powiedziała: „Hrabina nie chce cię widzieć”, lecz „Hrabina nie chce, żebyś ją zobaczył”. Spojrzał na miskę, którą trzymała Caris. Zobaczył zakrwawioną szmatkę. Serce ścisnęło mu się ze strachu.

- Co się stało?

- Nic poważnego - odparła Caris. - Dziecku nic nie jest.

- Dzięki Bogu.

- Oczywiście ty jesteś ojcem?

- Proszę, nie pozwól, żeby ktoś to usłyszał. Wyglądała na smutną.

- Przez tyle lat byliśmy ze sobą, a poczęłam tylko raz. Odwrócił głowę.

- W której jest izbie?

- Przepraszam, że mówiłam o sobie. To ostatnie, co cię interesuje. Lady Philippa jest w środkowej izbie.

W jej głosie usłyszał ledwie skrywany żal i przystanął pomimo niepokoju o Philippę. Dotknął ramienia Caris.

- Proszę, nie sądz, że nie interesuje mnie twój los - powiedział. - Zawsze obchodzi mnie to, co się z tobą dzieje i czy jesteś szczęśliwa.

Skinęła głową i łzy stanęły jej w oczach.

- Wiem. Jestem samolubna. Idź zobaczyć się z Philippą.

Zostawił Caris i wszedł do środkowej izby. Philippa klęczała na klęczniku, plecami do niego. Przerwał jej modlitwę.

- Nic ci nie jest?

Wstała i odwróciła się do niego. Była pobita. Wargi miała nabrzmięte i rozcięte. Odgadł, że Caris obmywała jej tę ranę - stąd ta zakrwawiona szmatka.

- Co się stało? - zapytał. - Możesz mówić? Skinęła głową.

- Trochę dziwnym głosem, ale mogę - wymamrotała, ale całkiem zrozumiale.

- Jesteś mocno poturbowana?

- Moja twarz wygląda okropnie, lecz to nic poważnego. Poza tym nic mi nie jest.

Objął ją. Oparła głowę na jego ramieniu. Po chwili zaczęła płakać. Gładził ją po włosach i plecach wstrząsanych szlochem.

- No już, już... - powiedział i pocałował ją w czoło, ale nie próbował uciszyć.

Powoli przestała szlochać.

- Mogę pocałować twoje usta? - spytał. Kiwnęła głową.

- Delikatnie.

Musnął jej wargi. Smakowała migdałami, bo Caris posmarowała ranę olejkiem.

- Powiedz mi, co się stało - poprosił.

- Udało się. Oszukałam go. Będzie pewien, że to jego dziecko. Przesunął palcem po jej ustach.

- On to zrobił?

- Nie złość się. Próbowałam go sprowokować i udało mi się. Ciesz się, że mnie uderzył.

- Mam się cieszyć! Dlaczego?

- Ponieważ myśli, że mnie przymusił. Sądzi, że nie uległabym mu, gdyby nie użył przemocy. Nie ma pojęcia, że usiłowałam go uwieść. Nigdy nie odkryje prawdy. Co oznacza, że jestem bezpieczna. I dziecko też.

Położył dłoń na jej brzuchu.

- A dlaczego nie przysłałaś się ze mną zobaczyć?
- Z taką twarzą?
- Chcę być z tobą, nawet gdy cierpisz. - Przesunął dłoń na jej pierś. - Tęskniłem za

tobą.

Odsunęła jego dłoń.

- Nie mogę przechodzić od jednego do drugiego jak dziewczka.
- Och.

Nie myślał o tym w taki sposób.

- Rozumiesz?
- Chyba tak. - Rozumiał, że jako kobieta może się z tym źle czuć, choć mężczyzna byłby dumny, gdyby postąpił dokładnie tak samo. - Tylko jak długo...?

Westchnęła i odsunęła się.

- Nie w tym rzecz jak długo.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Uzgodniliśmy, że powiemy światu, iż to dziecko Ralpa, a ja postarałam się, żeby w to uwierzył. Teraz będzie chciał je wychowywać.

Merthin był skonsternowany.

- Nie myślałem o szczegółach, ale sądziłem, że nadal będziesz mieszkała w klasztorze.
- Ralph nie pozwoli, by jego dziecko chowano w klasztorze, szczególnie jeśli to będzie chłopiec.

- Cóż więc zrobisz? Wrócisz do Earlcastle?

- Tak. ».

Oczywiście to dziecko było jeszcze niczym, nie osobą, nawet nie niemowlęciem, za ledwie zawiązkiem w brzuchu Philippy, mimo to Merthin poczuł ukłucie żalu. Lolla była ogromną radością w jego życiu i niecierpliwie oczekiwał następnego dziecka.

Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas będzie miał Philippę.

- Kiedy tam wrócisz? - zapytał.
- Niezwłocznie. - Zobaczyła jego minę i jej oczy wypełniły łzy. - Nie potrafię ci powiedzieć, jak mi przykro, ale źle bym się czuła, kochając się z tobą i planując powrót do Ralpa. Byłoby tak samo, gdyby chodziło o kogokolwiek. Fakt, że jesteście braćmi, jeszcze pogarsza sprawę.

On też miał łzy w oczach.

- A więc to już koniec? Już teraz? Skinęła głową.
- I jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć, jeszcze jeden powód, dla którego nie możemy

być kochankami. Wypowiadałam się z grzechu cudzołóstwa.

Merthin wiedział, że Philippa ma osobistego spowiednika, jak przystało osobie wysoko urodzonej. Od kiedy przybyła do Kingsbridge, mieszkał z mnichami, mile widziany w ich nielicznym gronie. Teraz powiedziała mu o ich romansie. Merthin miał nadzieję, że duchowny dochowa tajemnicy spowiedzi.

- Otrzymałam rozgrzeszenie - powiedziała Philippa - lecz nie mogę nadal trwać w grzechu.

Merthin skinął głową. Miała rację. Oboje zgrzeszyli. Ona zdradziła męża, a on brata. Ona miała usprawiedliwienie - została zmuszona do tego małżeństwa. On nie miał żadnego. Piękna kobieta zakochała się w nim, a on w niej, mimo że nie miał prawa. Dojmujący ból i żal, jaki teraz odczuwał, był naturalną konsekwencją takiego postępowania.

Spojrzał na nią - na jej chłodne szare oczy, poranione wargi, bujne ciało - i uświadomił sobie, że ją utracił. Może nigdy naprawdę jej nie miał. W każdym razie to zawsze było niewłaściwe, a teraz się skończyło. Próbował coś powiedzieć, pożegnać się, lecz ścisnęło go w gardle i nie mógł wykrztusić słowa. Ledwie widział przez łzy. Odwrócił się, po omacku odnalazł drzwi i jakoś zdołał wyjść z izby.

Korytarzem nadchodziła zakonnica, niosąc dzban. Nie widział jej, lecz rozpoznał głos Caris.

- Merthinie? Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedział. Poszedł w przeciwnym kierunku, przeszedł przez drzwi i po schodach na dół. Szlochając, nie bacząc na to, czy ktoś go widzi, przeszedł przez przyklasztorną łąkę, po głównej ulicy i przez most na swoją wyspę.

80

Wrzesień 1350 roku był chłodny i deszczowy, a mimo to przyniósł radość. Gdy w całej okolicy zwożono mokre snopy zboża, w Kingsbridge tylko jedna osoba zmarła na zarazę: Marge Taylor *[Taylor (ang.) - krawiec.], sześćdziesięcioletnia krawcowa. Nikt nie zachorował w październiku, listopadzie i w grudniu. Najwidoczniej zaraza wygasła, z ulgą pomyślał Merthin. Przynajmniej na razie.

Trwająca od stu lat migracja przedsiębiorczych i niespokojnych ludzi ze wsi do miasta odwróciła swój bieg w czasie zarazy, lecz teraz znów się zaczęła. Ludzie przybywali do Kingsbridge, zajmowali puste domy, remontowali je i płacili czynsz opactwu. Niektórzy otwierali nowe interesy - piekarnie, warzelnie piwa, wytwórnie świec - w miejsce starych, które zamknięto po śmierci ich właścicieli oraz wszystkich ich krewnych. Merthin jako przewodniczący gildii ułatwił otwieranie sklepów czy straganów, likwidując długi proces uzyskiwania zezwoleń wprowadzony przez opactwo. Cotygodniowy jarmark cieszył się coraz większym powodzeniem.

Jeden po drugim Merthin wynajmował sklepy, domy i zajazdy, które wybudował na Wyspie

Trędownych, przedsiębiorczym przybyszom lub starym przedsiębiorcom potrzebującym lepszej lokalizacji. Droga biegnąca przez wyspę między dwoma mostami stała się przedłużeniem głównej ulicy, a więc bardzo pożądanym miejscem - co Merthin przewidział przed dwunastoma laty, kiedy uważano, że jest szalony, biorąc to skaliste pustkowie jako zapłatę za swoją pracę przy moście.

Przyszła zima i znów nad miastem wisiała brązowa chmura dymu z tysięcy kominów. Ludzie pracowali i kupowali, jedli i pili, grali w kości w gospodach i chodzili do kościoła w niedziele. W siedzibie gildii odbyło się pierwsze przyjęcie bożonarodzeniowe, od kiedy gildia parafialna zmieniła się w miejską.

Merthin zaprosił przeora i przeoryszkę. Już nie sprawowali zwierzchniej władzy nad kupcami, lecz wciąż należeli do najbardziej wpływowych osób w mieście. Philemon przyszedł, lecz Caris odrzuciła zaproszenie: niepokojąco oddaliła się od świata.

Merthin siedział obok Madge Webber. Ta była teraz najbogatsza i zatrudniała najwięcej pracowników w Kingsbridge, a być może w całym hrabstwie. Była wiceprzewodniczącą i zapewne zostałaby przewodniczącą, gdyby nie to, że jeszcze żadna kobieta nie zajmowała tego stanowiska.

Jednym z licznych przedsięwzięć Merthina był warsztat produkujący krosna pedałowe, które tak poprawiły jakość szkarłatu z Kingsbridge. Madge kupiła ponad połowę tych maszyn, a przedsiębiorczy kupcy przybywali aż z Londynu, żeby zamówić pozostałe. Krosna były skomplikowanymi urządzeniami, wymagającymi starannej obróbki i dokładnego składania, tak więc Merthin musiał zatrudniać najlepszych cieśli, ale choć liczył sobie za skończony produkt ponad dwa razy tyle, ile ten go kosztował, nie mógł opędzić się od zamówień.

Niektórzy napomykali, że powinien ożenić się z Madge, lecz ten pomysł nie kusił ani jego, ani jej. Ona nigdy nie zdołała znaleźć mężczyzny, który dorównałby Markowi, o budowie olbrzyma i usposobieniu świętego. Zawsze była krępa, a teraz bardzo utyłła. Po czterdziestce stała się jedną z tych kobiet podobnych do beczek, mających niemal taki sam obwód w ramionach co w tyłku. Jedzenie i picie to chyba jej główne przyjemności, myślał Merthin, patrząc, jak pochłania szynkę z korzeniami w sosie jabłkowo-goździkowym. To oraz robienie pieniędzy.

Pod koniec uczty podano wino z miodem i korzeniami, zwane hippocras. Madge pociągnęła tęgi łyk, beknęła i przysunęła się do Merthina.

- Musimy coś zrobić ze szpitalem - powiedziała.

- Och? - Nie zdawał sobie sprawy, że jest z tym jakiś problem. - Teraz, kiedy skończyła się zaraza, można by sądzić, że ludzie już tak nie potrzebują szpitala.

- Oczywiście, że potrzebują - odparła zdecydowanie. - Nadal miewają gorączkę, bóle brzucha i inne choroby. Kobiety chcą zająć w ciążę i nie mogą albo mają komplikacje podczas porodu. Dzieci

doznają oparzeń lub spadają z drzew. Mężczyźni są zrzucani przez konie, dżgani przez swoich wrogów albo rozzłoszczone małżonki rozbijają im głowy...

- Tak, zaczynam rozumieć - rzekł Merthin rozbawiony jej gadatliwością. - W czym problem?

- Nikt już nie korzysta ze szpitala. Nie lubią brata Sime, a co ważniejsze, nie wierzą w jego umiejętności. Podczas gdy my wszyscy walczyliśmy z zarazą, on czytał w Oksfordzie starożytne księgi i nadal przepisuje takie środki jak puszczanie krwi czy bańki, w które nikt już nie wierzy. Chcą Caris, ale ona nigdy się tam nie pojawia.

- Cóż więc robią chorzy, jeśli nie udają się do szpitala?

- Idą do Mattew Barbera lub Silasa Potheary'ego albo nowo przybyłej Marli Wisdom, która specjalizuje się w chorobach kobiecych.

- Czym więc się niepokoisz?

- Zaczynają się burzyć przeciwko opactwu. Mówią, że jeśli nie otrzymują żadnej pomocy od mnichów i zakonnic, to dlaczego miałby płacić za budowę wieży?

- Och... - Budowa wieży była ogromnym przedsięwzięciem. Samodzielnie nikt nie zdołałby jej sfinansować. Jedynym sposobem było połączenie funduszy klasztoru męskiego i żeńskiego oraz dotacje od miasta. Gdyby miasto odmówiło dalszego finansowania, projekt byłby zagrożony - Tak, rozumiem - mruknął zaniepokojony Merthin. - To rzeczywiście problem.

To był dobry rok dla większości ludzi, myślała Caris, siedząc na bożonarodzeniowej mszy. Ludzie zdumiewająco szybko przystosowywali się do spustoszeń wyrządzonych przez zarazę. Ta przyniosła nie tylko straszliwe cierpienia i niemal kres cywilizacji, ale także możliwość odrodzenia. Według obliczeń Caris wymarła prawie połowa ludności, lecz wskutek tego pozostali wieśniacy uprawiali tylko najżyźniejsze ziemie, więc plony wzrosły. Pomimo edyktu zakazującego migracji wyrobników i mimo prób wyegzekwowania go przez takich ludzi jak hrabia Ralph z zadowoleniem widziała, że ludzie nadal idą tam, gdzie płace są najwyższe, czyli zazwyczaj tam, gdzie ziemia jest najżyźniejsza. Było mnóstwo ziarna, a stada bydła i owiec już się odradzały. Klasztorowi powodziło się doskonale, a ponieważ po śmierci Godwyna Caris zreorganizowała również gospodarkę rolną mnichów, im również powodziło się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich stu lat. Bogactwo rodziło bogactwo i dobre czasy dla wsi przyniosły rozkwit interesów w mieście, tak więc rzemieślnicy i sklepikarze w Kingsbridge szybko stawali się bogaci tak jak kiedyś.

Gdy zakonnice wyszły z kościoła po mszy, zagadnął ją przeor Philemon.

- Muszę z tobą porozmawiać, matko przeoryszo. Zechcesz przyjść do mojego domu?

Kiedyś uprzejmie i bez wahania przystałaby na tę propozycję, lecz te czasy minęły.

- Nie - powiedziała. - Nie sądzę. Poczterwieniał.

- Nie możesz odmówić mi rozmowy!

- Nie odmawiam. Nie zamierzam tylko przyjść do twojego pałacu. Nie dam się przywoływać jak twoja podwładna. O czym chcesz mówić?

- O szpitalu. Są skargi.

- Porozmawiaj z bratem Sime. On nim zarządza, o czym dobrze wiesz.

- Nie da się z tobą rozsądnie porozmawiać? - rzekł zniechęcony. - Gdyby Sime potrafił rozwiązać ten problem, rozmawiałbym z nim, a nie z tobą.

W tym momencie byli już w klauzurze mnichów. Caris usiadła na niskim murku otaczającym wewnętrzny dziedziniec. Kamienie były zimne.

- Możemy porozmawiać tutaj. Co masz mi do powiedzenia? Philemon był zły, ale ustąpił. Stał przed nią, a ona siedziała, więc teraz to on wyglądał jak jej podwładny.

- Mieszczanie są niezadowoleni ze szpitala - powiedział.

- To mnie nie dziwi.

- Merthin poskarżył mi się jako przewodniczący gildii podczas bożonarodzeniowego przyjęcia.

Ludzie nie przychodzą do szpitala, lecz do takich szarlatanów jak Silas Potheary.

- Nie jest większym szarlatanem niż Sime.

Philemon uświadomił sobie, że w pobliżu stoi kilku nowicjuszy, słuchając sprzeczki.

- Uciekajcie stąd, wszyscy - rzucił. - Wracajcie do swoich zajęć. Rozpierzchli się.

- Mieszczanie uważają, że to ty powinnaś kierować szpitalem - powiedział Philemon do Caris.

- Ja też tak uważam. Jednak nie będę stosowała metod Sime'a. Jego kuracje w najlepszym razie są nieskuteczne. Najczęściej szkodzą pacjentom. Dlatego ludzie już nie przychodzą do szpitala, kiedy są chorzy.

- Nowy szpital ma tak niewielu pacjentów, że teraz wykorzystujemy go jako dom gościnny.

Czy to cię nie martwi?

Ten pocisk trafił w cel. Caris przełknęła ślinę i odwróciła głowę.

- To łamie mi serce - powiedziała cicho.

- Zatem wróć. Dojdźcie z Sime'em do jakiegoś porozumienia. Kiedy tu przybyłaś, pracowałaś pod zwierzchnictwem mnichów medyków. Wtedy starszym medykiem był brat Joseph. Miał takie samo wykształcenie jak Sime.

- Masz rację. Wtedy uważaliśmy, że mnisi czasem robią więcej szkody niż pożytku, ale mogliśmy z nimi pracować. Najczęściej wcale ich nie wzywałyśmy, tylko robiliśmy to, co uważaliśmy za najlepsze. A kiedy zajmowali się chorymi, nie zawsze dokładnie wypełnialiśmy ich polecenia.

- Chyba nie uważasz, że zawsze się mylili.

- Nie. Czasem leczyli ludzi. Pamiętam, jak Joseph otworzył czaszkę pewnemu człowiekowi i upuścił nagromadzony w niej płyn, który powodował nieznośny ból głowy. To było imponujące.

- Teraz też może tak być.

- Nie, to już niemożliwe. Sime położył temu kres, czyż nie? Porozkładał w aptecce swoje książki oraz narzędzia i przejął zarządzanie szpitalem. I jestem pewna, że zrobił to zachęcony przez ciebie. W istocie to zapewne był twój pomysł. - Po minie Philemona poznała, że ma rację. - We dwóch spiskowaliście, żeby mnie usunąć. Udało się wam, a teraz ponosicie tego konsekwencje.

- Moglibyśmy wrócić do dawnego układu. Mógłbym usunąć Sime'a. Pokręciła głową.

- Były także inne zmiany. Wiele nauczyłam się podczas zarazy. Jestem jeszcze bardziej pewna niż kiedyś, że stare metody mogą mieć fatalne skutki. Nie będę zabijała ludzi dla kompromisu z tobą.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak wielka jest stawka - powiedział z przebiegłą miną.

Zatem jest coś jeszcze. Zastanawiała się, dlaczego poruszył ten temat. To niepodobne do niego, żeby przejmował się szpitalem - nigdy nie obchodził go los chorych. Interesowało go tylko to, co mogło poprawić jego pozycję i polećtać dumę.

- W porządku - powiedziała. - Co masz w zanadrzu?

- Mieszczanie mówią o wstrzymaniu funduszy na nową wieżę. Dlaczego mamy łożyć na katedrę, mówią, jeśli nie dostajemy od niej tego, czego chcemy? A teraz, kiedy mają prawa miejskie, jako przeor nie mogę zmusić ich do płacenia.

- A jeśli nie zapłacą...?

- Twój ukochany Merthin będzie musiał porzucić swój ulubiony projekt - triumfalnie oznajmił Philemon.

Caris zrozumiała, że uważa to za swoją kartę atutową. I w rzeczy samej był taki czas, kiedy ta wiadomość wstrząsnęłaby nią. Jednak już nie.

- Merthin już nie jest moim ukochanym - powiedziała. - Temu też położyłeś kres.

Na jego twarzy pojawił się strach.

- Przecież budowa tej wieży leży na sercu biskupowi! Nie możesz ryzykować jej wstrzymania!

Caris wstała.

- Nie mogę? - powiedziała. - Dlaczego? Odwróciła się, by odejść do klasztoru. Philemon był zdruzgotany.

- Jak możesz być tak zuchwała?! - zawołał za nią.

Już miała to zignorować, ale zmieniła zdanie i postanowiła mu to wyjaśnić. Zawróciła.

- Widzisz, wszystko, co kiedyś było mi drogie, zostało mi odebrane - powiedziała spokojnie. - A kiedy tracisz wszystko... - Głos zaczął jej się łamać, ale jakoś zdołała nad nim zapanować. - Kiedy

stracisz wszystko, nie masz już nic do stracenia.

⋮

Pierwszy śnieg spadł w styczniu. Utworzył grubą koldrę na dachu katedry, wygładził delikatne rzeźbienia wieżyczek, skrył twarze aniołów i świętych wyrzeźbione na zachodnich drzwiach. Kamienie nowych fundamentów wieży zostały pokryte warstwą słomy, żeby osłonić świeżą zaprawę przed zimowymi mrozami, i teraz śnieg zasypał słomę.

W opactwie było tylko kilka kominków. Oczywiście kuchnia miała swoje i dlatego nowicjusze tak lubili tam pracować. Jednak w samej katedrze, w której mnisi i zakonnice spędzali codziennie siedem lub osiem godzin, nie było kominka. Kościoły paliły się przeważnie dlatego, że jakiś zdesperowany mnich wniósł do budynku palenisko z węglem drzewnym i drewniane sklepienie zajęło się od iskry. Gdy nie byli zajęci modłami lub pracą, mnisi i zakonnice powinni czytać, przechadzając się po dziedzińcu klauzury. Jedynym ustępstwem na rzecz wygody była maleńka rozgrzewalnia, w której w czasie największych mrozów rozpalano ogień. Na krótką chwilę można było wejść do niej z dziedzińca.

Caris jak zwykle zignorowała przepisy i tradycje, pozwalając zakonnicom nosić w zimie wełniane nogawice. Nie wierzyła, by Bóg chciał, żeby Jego służki nabawiały się odmrożeń.

Biskup Henri był tak zaniepokojony szpitalem - a raczej zagrożeniem dla swojej wieży - że przedarł się przez śniegi z Shiring do Kingsbridge. Przyjechał karetą, ciężkim drewnianym powozem z plandeką z nawoskowanego brezentu i wyściełanymi siedzeniami. Towarzyszili mu kanonik Claude i archidiakon Lloyd. Zatrzymali się w pałacu przeora tylko po to, żeby osuszyć odzienie i wypić kubek wina na rozgrzewkę, po czym zwołali kryzysową radę z udziałem Philemona, Sime'a, Caris, Oonagh, Merthina i Madge.

Caris wiedziała, że to będzie strata czasu, jednak poszła. To było łatwiejsze niż odmowa, po której musiałaby siedzieć w klauzurze i odpowiadać na niekończące się prośby, rozkazy i groźby.

Spoglądała na płatki śniegu padającego za oszklonymi oknami, gdy biskup ponuro podsumowywał spór, który wcale jej nie interesował.

- Ten kryzys został wywołany nielojalnym i nieposłusznym postępowaniem matki Caris - powiedział.

To skłoniło ją do ciętej riposty.

- Pracowałam w tym szpitalu przez dziesięć lat. To mojej pracy oraz pracy mojej poprzedniczki, matki Cecilii, zawdzięczał swoją popularność wśród mieszkańców. - Niegrzecznie wycelowała palec wfciskupa. - Ty to zmieniłeś. Nie próbuj wnić innym. Siedząc w tym fotelu, oznajmiłeś, że od tej pory szpitalem rządzi brat Sime. Teraz powinieneś przyjąć odpowiedzialność za konsekwencje twojej głupiej decyzji.

- Musisz mnie słuchać! - powiedział, ze zdenerwowania podnosząc głos do piskliwego krzyku. - Jesteś zakonnicą, złożyłaś śluby.

Te nieprzyjemne dźwięki zaniepokoiły kota, Arcybiskupa, który wstał i wyszedł z komnaty.

- Jestem tego świadoma. To stawia mnie w okropnej sytuacji.

Nie przygotowała wcześniej tych słów, lecz gdy wyszły z jej ust, uświadomiła sobie, że wcale nie były nieprzemyślane. W istocie stanowiły owoc wielomiesięcznych ponurych rozważań.

- Nie mogę dłużej służyć Bogu w taki sposób - ciągnęła spokojnie, choć z mocno bijącym sercem. - Właśnie dlatego postanowiłam zerwać śluby i opuścić klasztor.

Henri aż wstał z fotela.

- Nie zrobisz tego! - krzyknął. - Nie zwolnię cię z twych świętych ślubów.

- Jednak spodziewam się, że Bóg to uczyni - odparła z ledwie skrywaną pogardą.

To rozgniewało go jeszcze bardziej.

- Pogląd, że można indywidualnie rozmawiać z Bogiem, to grzeszna herezja. Zbyt wiele było takich wypowiedzi od wybuchu zarazy.

- Nie sądzisz, że może dlatego, iż kiedy podczas zarazy ludzie przychodzili po pomoc do kościoła, zbyt często odkrywali, że księża i mnisi... - zerknęła na Philemona - ...tchórzliwie uciekli?

Henri podniósł rękę, ucinając replikę Philemona.

- Możemy być słabi, lecz jedynie poprzez Kościół i jego kapłanów ludzie mogą zbliżyć się do Boga.

- To oczywiste, że ty tak uważasz. To jednak nie czyni tego prawdą.

- Jesteś diabłem wcielonym!

Kanonik Claude postanowił interweniować.

- Zważywszy na to wszystko, milordzie biskupie, publiczna kłótnia między tobą i Caris w niczym nam nie pomoże. - Posłał jej przyjazny uśmiech. Był do niej dobrze usposobiony od dnia, gdy przyłapała go całującego się z biskupem i nikomu o tym nie powiedziała. - Oprócz jej obecnej niechęci do współpracy należy uwzględnić także wiele lat oddanej, a czasem heroicznej służby. Ludzie ją kochają.

- Co będzie, jeśli zwolnimy ją ze ślubów? - zapytał Henri. - W jaki sposób rozwiąże to problem?

W tym momencie Merthin po raz pierwszy zabrał głos.

- Mam pewną propozycję - oznajmił. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Niech miasto wybuduje nowy szpital. Wniosę w darze dużą parcelę na Wyspie Trędowatych. Szpital zostałby obsadzony przez zupełnie nową grupę zakonnicy niezależnych od opactwa. Oczywiście

byłyby pod duchowym przewodnictwem biskupa Shiring, lecz nie podlegałyby przeorowi Kingsbridge ani żadnemu z klasztornych medyków. Niechby ten nowy szpital miał świeckiego zarządcę, którym byłby ktoś z wybitnych mieszkańców naszego grodu, wybrany przez gildię i wyznaczający przeoryszę.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli, rozważając tak niezwykle propozycję. Caris była oszołomiona. Nowy szpital... na wyspie... opłacony przez mieszkańców... obsadzony przez nowy zakon mniszek... niemający powiązań z opactwem...

Popatrzyła na zebranych. Philemonowi i Sime'owi najwyraźniej bardzo nie podobał się ten pomysł. Henri, Claude i Lloyd wyglądali na rozbawionych.

W końcu biskup powiedział:

- Zarządca byłby bardzo wpływową osobą: reprezentującą mieszczan, płacącą rachunki i mianującą przeoryszę. Ten, kto pełniłby tę funkcję, praktycznie kierowałby szpitalem.

- Tak - potwierdził Merthin.

- Jeśli zaakceptuję ten pomysł, czy mieszczanie zechcą wznowić dotowanie wieży?

- Tak, jeśli zostanie wybrany właściwy zarządca szpitala - przemówiła po raz pierwszy Madge Webber.

- A kto miałby nim być? - spytał Henri. Caris uświadomiła sobie, że wszyscy patrzą na nią.

III
|||

Kilka godzin później Caris i Merthin opatulili się grubymi płaszczami, wziali buty i poszli przez śniegi na wyspę, gdzie on pokazał jej miejsce, o którym myślał. Znajdowało się na zachodnim brzegu, niedaleko jego domu, z widokiem na rzekę.

Wciąż była oszołomiona tą nagłą zmianą w swoim życiu. Miała zostać zwolniona ze ślubów zakonnych. Znów po prawie dwunastu latach stanie się zwyczajną osobą. Odkryła, że może bez przygnębienia myśleć o opuszczeniu klasztoru. Wszystkie osoby, które kochała, nie żyły: matka Cecilia, Stara Julie, Mair, Tilly. Bardzo lubiła siostry Joan i Oonagh, ale to nie było to samo.

No i nadal będzie zarządzała szpitalem, mając prawo mianować i odwoływać przeoryszę tej nowej instytucji, będzie mogła prowadzić tę placówkę zgodnie z nowymi zasadami wypracowanymi podczas zarazy. Biskup zgodził się na wszystko.

- Myślę, że powinniśmy ponownie użyć planu klauzury - rzekł Merthin. - Wydawał się dość dobrze spełniać swoją funkcję przez ten krótki czas, kiedy tam pracowałaś.

Spoglądała na dziewiczy śnieg i podziwiała zdolność Merthina do wyobrażania sobie ścian i pomieszczeń tam, gdzie ona widziała tylko biel.

- Arkady przy wejściu były wykorzystywane niemal jak sala - przypomniała. - Tam czekali

pacjenci i tam zakonnice dokonywały wstępnych oględzin, zanim zdecydowały, co z nimi robić.

- Chciałabyś, żeby były większe?
- Myślę, że powinna to być duża sala recepcyjna.
- Dobrze. Była rozbawiona.
- Trudno w to uwierzyć. Wszystko przyjęło taki obrót, jakiego pragnęłam. Skinął

głową.

- Właśnie w ten sposób to robiłem.
- Naprawdę?
- Zadawałem sobie pytanie, czego byś chciała, po czym starałem się to osiągnąć. Spojrzała zdumiona. Powiedział to tak zwyczajnie, jakby po prostu wyjaśniał proces

rozumowania, które doprowadziło go do takich wniosków. Wydawał się nie pojmować, jak ważne było dla niej to, że myśli o jej pragnieniach i o tym, jak je zrealizować.

- Czy Philippa już urodziła? - zapytała.
- Tak, tydzień temu.
- Co ma?
- Chłopca.
- Gratulacje. Widziałeś go?
- Nie. Dla całego świata jestem tylko jego stryjem. Jednak Ralph przysłał mi list.
- Nadali chłopcu imię?
- Roland, po starym hrabim.

Caris zmieniła temat:

- Tu, tak daleko, w dole rzeki, woda nie jest zbyt czysta. Szpital potrzebuje naprawdę czystej wody.

- Pociągnę rurę, żeby pobierać ją w górze rzeki.

Śnieg sypał coraz rzadziej, aż zupełnie przestał padać i wyraźnie widzieli całą wyspę.

Uśmiechnęła się do niego.

- Na wszystko masz odpowiedź. Pokręcił głową.
- To łatwe pytania: o czystą wodę, przestronne pokoje, salę recepcyjną...
- A jakie są te trudne?

Odwrócił się twarzą do niej. W jego rudej brodzie lśniły płatki śniegu.

- To pytania takie jak: czy ona jeszcze mnie kocha? - powiedział. Przez długą chwilę spoglądali na siebie.

Caris była szczęśliwa.

CZĘŚĆ VII

Marzec 1361-listopad 1361

81

W wieku czterdziestu lat Wulfric nadal był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Gwenda widziała w życiu. Teraz w ciemnoblond włosach miał już nitki siwizny, lecz te jedynie sprawiały, że wyglądał nie tylko na krzepkiego, ale i mądrego. Za młodu był barczysty i bardzo wąski w talii, podczas gdy obecnie ta różnica nie była tak widoczna ani talia tak wąska - ale nadal potrafił pracować za dwóch. No i był o dwa lata młodszy od niej.

Uważała, że ona mniej się zmieniła. Miała ten rodzaj ciemnych włosów, które siwieją dopiero w bardzo podeszłym wieku. Nie była grubsza niż przed dwudziestoma laty, choć po urodzeniu dzieci jej piersi i brzuch nie były już tak jędrne jak dawniej.

Dopiero patrząc na swego syna Daveya, na jego gładką skórę i sprężysty chód, czuła brzemie lat. Obecnie dwudziestoletni, wyglądał jak męska wersja jej samej, gdy miała tyle lat co on teraz. Jej twarz także była wtedy bez zmarszczek i poruszała się jak na sprężynach. Lata pracy w polu zniszczyły jej dłonie i nadały policzkom czerwoną barwę od popękanych naczynek, a ponadto nauczyły ją chodzić powoli i oszczędzać siły.

Davey był niski jak ona, bystry i skryty: od małego nigdy nie wiedziała, co naprawdę myśli. Sam był jego przeciwieństwem: duży i silny, nie dość sprytny, by oszukiwać, lecz o złych skłonnościach, za które Gwenda winiła jego prawdziwego ojca, Ralpha Fitzgeralda.

Już od kilku lat obaj chłopcy pracowali w polu razem z Wulfrikiem - lecz dwa tygodnie temu Sam znikł.

Wiedzieli, dokąd uciekł. Przez całą zimę mówił o opuszczeniu Wigleigh i przeniesieniu się do jakiejś wioski, w której mógł dostać większą stawkę. Znikł, gdy rozpoczęła się wiosenna orka.

Gwenda wiedziała, że miał rację co do stawek. Wprawdzie opuszczenie wioski było przestępstwem, tak samo jak przyjmowanie zapłaty wyższej niż ta w roku 1347, lecz w całym kraju niespokojni młodzi ludzie łamali to prawo, a zdesperowani gospodarze ich wynajmowali. Posiadacze ziemscy tacy jak hrabia Ralph mogli jedynie zgrzytać zębami.

Sam nie powiedział, dokąd się wybiera, ani nie uprzedził o swym odejściu. Gdyby tak postąpił, Gwenda wiedziałaby, że dokładnie wszystko przemyślał i zdecydował, że tak będzie najlepiej. Natomiast Sam uczynił to pod wpływem impulsu - była tego pewna. Ktoś wymienił nazwę jakiejś wioski, a on następnego ranka obudził się i postanowił natychmiast się tam udać.

Mówiła sobie, że nie powinna się denerwować. Miał dwadzieścia dwa lata, był duży i silny.

Nikt nie będzie go wykorzystywał czy źle traktował. Jednak była jego matką i cierpiała.

Doszła do wniosku, że jeśli ona nie zdoła go odnaleźć, to nikomu innemu też się to nie uda - i dobrze. Mimo wszystko chciałyby wiedzieć, gdzie jest, czy pracuje dla porządnego pana i czy ludzie są dla niego dobrzy.

Tej zimy Wulfric zrobił nowy lekki pług do bardziej piaszczystych akrów swojej dzierżawy i pewnego wiosennego dnia razem z Gwendą pojechali do Northwood kupić żelazny lemiesz - jedyną część, której nie mogli zrobić sami. Jak zwykle grupka mieszkańców Wigleigh podróżowała razem na jarmark. Jack i Eli, pracujący w greplarni Madge Webber, ładowali zapasy. Nie mieli swojej ziemi, więc całą żywność kupowali. Annet i jej osiemnastoletnia córka Amabel miały klatkę z tuzinem kur, które zamierzały sprzedać na targu. Zarządca Nathan też ruszył ze swoim dorosłym synem Jonnem, od dziecka wrogiem Sama.

Annet wciąż flirtowała z każdym przystojnym mężczyzną, jakiego spotkała, a większość z nich uśmiechała się głupio i podejmowała flirt. W drodze do Northwood gawędziła z Daveyem. Chociaż była od niego ponad dwa razy starsza, uśmiechała się idiotycznie, przekrzywiła głowę i klepała go po ramieniu, jakby miała dwadzieścia dwa, a nie czterdzieści dwa lata. Nie jest już dziewczyną, ale chyba o tym nie wie, kwaśno pomyślała Gwenda. Córka Annet, która była równie ładna, jak kiedyś jej matka, szła nieco z boku i wydawała się za nią wstydzić.

Dotarli do Northwood późnym rankiem. Wulfric i Gwenda kupili lemiesz, po czym poszli na obiad do gospody Old Oak.

Od kiedy Gwenda pamiętała, przed gospodą rósł okazały dąb - grube i przysadziste drzewo o zdeformowanych gałęziach, wyglądające jak zgarbiony starzec w zimie i rzucające miły cień w lecie. Jej synowie, kiedy byli mali, bawili się wokół niego w berka. Najwidoczniej musiał uschnąć albo zaczął się pochylać, gdyż został ścięty i został po nim tylko pień, szeroki na sześć stóp, traktowany przez gości jako fotel, stół, a przez jednego wyczerpanego woźnicę jako łóżko.

Siedzącym i popijającym piwo z dużego kufla był Harry Plowman, zarządca z Outhenby.

Gwenda w mgnieniu oka przeniosła się myślami dwanaście lat wstecz. Natychmiast przypomniała sobie, tak żywo, że lzy stanęły jej w oczach, nadzieję przepelniającą jej serce, gdy tamtego poranka w Northwood wyruszyła z rodziną przez las do Outhenby i nowego życia. Ta nadzieja została zniszczona w niecałe dwa tygodnie później i Wulfrica zawleczono na arkanie z powrotem do Wigleigh - na myśl o czym wciąż ogarniała ją wściekłość.

Jednak od tamtej pory nie wszystko szło po myśli Ralpa. Okoliczności zmusiły go do oddania Wulfricowi ziemi dzierżawionej przez jego ojca, co dla Gwendy było ogromnie satysfakcjonujące, mimo iż Wulfric nie był na tyle sprytny, że wytargować wolną dzierżawę, tak jak jego sąsiedzi.

Gwenda była rada z tego, że teraz są dzierżawcami, a nie wyrobnikami i Wufric spełnił marzenie swego życia, ale wciąż pragnęła większej niezależności - dzierżawy wolnej od feudalnych powinności, umowy wpisanej w księgach, żeby żaden pan nie mógł się z niej wycofać. Tego chciała większość wieśniaków i od wybuchu zarazy coraz więcej otrzymywało to.

Harry powitał ich wylewnie i koniecznie chciał im postawić piwo. Wkrótce po niedługim pobycie Wulfrica i Gwendy w Outhenby matka Caris zrobiła Harry'ego zarządcą i nadal pełnił tę funkcję, chociaż Caris już dawno zerwała śluby i obecnie przeoryszą była matka Joan. Outhenby nadal kwitło, sądząc po podwójnym podbródku Harry'ego i jego wydatnym brzuchu piwosza.

Gdy szykowali się do powrotu z resztą mieszkańców Wigleigh, Harry ściszym głosem powiedział do Gwendy:

- Pracuje dla mnie pewien młodzieniec imieniem Sam. Serce Gwendy zaczęło szybciej bić.

- Mój Sam?

- Raczej nie, skądże.

Nie uwierzyła mu. Po co by o tym mówił?

Jednak Harry postukał się w czerwony pijackimos i Gwenda zrozumiała, że kręci.

- Ten Sam zapewnia mnie, że jego panem jest pewien rycerz z Hampshire, o którym nigdy nie słyszałem, a który pozwolił mu opuścić wioskę i pracować gdzie indziej, podczas gdy panem twojego Sama jest hrabia Ralph niepo-zwalający odejść żadnemu ze swoich poddanych. Tak więc nie mogę zatrudnić twojego Sama.

Gwenda zrozumiała. Taka byłaby wersja Harry'ego, gdyby ktoś oficjalnie go o to zapytał.

- Zatem jest w Outhenby.

- Oldchurch, jednej z mniejszych wiosek w dolinie.

- Dobrze się ma?

- Doskonale.

- Dzięki Bogu.

- Silny chłopak i dobrze pracuje, ale jest kłótlivy. Wiedziała o tym.

- Czy mieszka w ciepłym domu?

- Zamieszkał u dobrych starszych ludzi, których jedyny syn przeniósł się do Kingsbridge, gdzie jest czeladnikiem garbarza.

Gwenda miała jeszcze tuzin innych pytań, ale nagle zauważyła garbatą postać Nathana Reeve'a opartego o framugę drzwi gospody i patrzącego na nią. Zaklęła pod nosem. Tyle chciała się

dowiedzieć, lecz przerażała ją myśl, że mogłaby naprowadzić Nate'a na ślad Sama. Musiała się zadowolić tym, czego się dowiedziała. I cieszyła się, że w końcu wie, gdzie podziewa się syn.

Odwróciła się bokiem do Harry'ego, starając się udawać, że beztrוסko kończy bląhą pogawędkę.

- Nie pozwól mu wdawać się w bójki - wycedziła kącikiem ust.

- Zrobię, co będę mógł.

Niebale pomachała mu ręką i poszła szukać męża.

Wracając do domu z innymi, Wulfric bez trudu niósł ciężki lemiesz na ramieniu. Gwendę rozpięrała chęć przekazania mu nowin, ale musiała poczekać, aż grupka rozproszy się na drodze. Gdy od najbliższych osób dzieliło ją kilka jardów, ściszym głosem powtórzyła mu rozmowę z Harrym.

Wulfric z ulgą przyjął wiadomość.

- Przynajmniej wiemy, gdzie się podział - rzekł, oddychając swobodnie, pomimo niesionego ciężaru.

- Chcę pójść do Outhenby - powiedziała Gwenda. Wulfric skinął głową.

- Tak myślałem. - Rzadko się jej sprzeciwiał, ale teraz wyraził swoje zaniepokojenie. - Jednak to niebezpieczne. Będziesz musiała zadbać o to, żeby nikt się nie dowiedział, dokąd się wybrałaś.

- Właśnie. Nate nie może się dowiedzieć.

- Jak chcesz tego dokonać?

- Na pewno zauważy, że przez parę dni nie ma mnie w wiosce. Będziemy musieli wymyślić jakąś bajeczkę.

- Możemy powiedzieć, że jesteś chora.

- To zbyt ryzykowne. Na pewno przyjdzie do domu, żeby sprawdzić.

- Moglibyśmy powiedzieć, że jesteś u ojca.

- Nate w to nie uwierzy. Wie, że nigdy nie zostaję tam dłużej, niż muszę. - Ogryzała paznokcie, intensywnie myśląc. W opowieściach o duchach i innych bajdach, jakie ludzie zwykle opowiadają przy ogniu w długie zimowe wieczory, postacie wierzą bez zastrzeżeń w opowiadane im kłamstwa, lecz prawdziwi ludzie nie dają się tak łatwo oszukać. - Moglibyśmy powiedzieć, że udałam się do Kingsbridge - powiedziała w końcu.

- Po co?

- Może kupić na targu kilka niosek?

- Możesz kupić kury od Annet.

- Od tej sukki niczego bym nie kupiła i ludzie o tym wiedzą.

- To prawda.

- A Nate wie, że zawsze przyjaźniłam się z Caris, więc uwierzy, że zatrzymałam się u niej.

- W porządku.

Nie była to zbyt wiarygodna historia, lecz Gwenda nie potrafiła wymyślić lepszej. I rozpaczliwie chciała zobaczyć syna. Wyruszyła nazajutrz rano.

Wymknęła się z domu przed świtem, opatulona grubym płaszczem dla ochrony przed zimnym marcowym wiatrem. Cicho przeszła w ciemnościach przez wioskę, odnajdując po omacku drogę, którą знаła na pamięć. Nie chciała, by ktoś ją zauważył i zaczął wypytywać, zanim opuści wioskę. Jednak nikt jeszcze nie wstał. Pies Nathana Reeve'a cicho warknął, ale zaraz ją rozpoznał i usłyszała cichy stuk, gdy jego merdający ogon uderzył o ściankę budy.

Opuściła wioskę i poszła drogą przez pola. Kiedy wstał świt, była już milę od niej. Spojrzała na drogę za sobą. Trakt był pusty. Nikt jej nie śledził.

Na śniadanie zjadła kromkę czerstwego chleba, a późnym rankiem zatrzymała się gospodzie stojącej tam, gdzie droga z Wigleigh do Kingsbridge przecinała trakt z Northwood do Outhenby. W zajęździe nie spotkała nikogo znajomego. Nerwowo obserwowała drzwi, jedząc miskę gulaszu z solonej ryby i pijąc cydr. Za każdym razem, gdy ktoś wchodził, była gotowa zasłonić sobie twarz, lecz byli to sami obcy i nikt nie zwracał na nią uwagi. Szybko opuściła gospodę i ruszyła drogą do Outhenby.

Dotarła tam koło południa. Nie była w Outhenby od dwunastu lat, lecz wioska niewiele się zmieniła. Niezwykle szybko podniosła się ze zniszczeń spowodowanych zarazą. Poza grupką małych dzieci, bawiących się przed domami, większość wieśniaków była w polu, orząc i siejąc lub pilnując młodych jagniąt. Spoglądali na nią z pól, wiedząc, że jest obca, i zastanawiając się, co to za jedna. Niektórzy z nich z bliska by ją rozpoznali. Była w wiosce tylko dziesięć dni, lecz przeżyła tu dramatyczne chwile i wszyscy dobrze to pamiętali. Wieśniacy nieczęsto oglądają tak ekscytujące wydarzenia. ».

Podążyła wzdłuż rzeki Outhen wijącej się po równinie między dwoma pasmami wzgórz. Z głównej wioski przeszła przez kilka mniejszych osiedli, których nazwy znała z czasów, gdy tu była - Ham, Shortacre i Longwater - do najmniejszego i najbardziej oddalonego z nich - Oldchurch.

W miarę jak się tam zbliżała, jej podniecenie rosło i zapomniła nawet o swych obolałych nogach. Oldchurch liczyło ledwie trzydzieści chat, z których żadna nie była dostatecznie okazała, aby być rezydencją czy choćby domem zarządcy. Jednak, zgodnie ze swoją nazwą, posiadała stary kościółek. Gwenda domyśliła się, że ten jest co najmniej kilkusetletni. Miał przysadzistą wieżę i krótką nawę, obie zbudowane z kamienia, z kwadratowymi okienkami rozmieszczonymi na chybił trafił w

ścianach.

Poszła dalej, na pola. Zignorowała grupę owczarzy na odległym pastwisku: bystry Harry Płowman nie przydzieliłby krzepkiemu Samowi tak lekkiej pracy. Jej syn będzie bronował, czyścił rów lub pomagał kierować zaprzęgiem ośmiu mułów. Metodycznie lustrując pola, szukała grupki złożonej głównie z mężczyzn w ciepłych czapkach i zabłoconych buciorach, którzy nawołują się gromko z daleka, oraz młodzieńca o głowę od innych wyższego. Nie dostrzegając go od razu, znów poczuła niepokój. Czyżby już został złapany? A może przeniósł się do innej wioski?

Znalazła go w rzędzie ludzi rozrzucających obornik na świeżo zaoranym polu. Pomimo zimna zdjął płaszcz i machał dębowym szpadlem, a mięśnie pleców i ramion napinały mu się pod starą lnianą koszulą. Duma wezbrała w jej sercu na ten widok i na myśl o tym, że takiego mężczyznę zrodziło jej kruche ciało.

Kiedy podchodziła, wszyscy na nią spojrzeli ciekawi, kim jest i co tu robi. Podeszła prosto do Sama i uściskała go, chociaż śmierdział końskim nawozem.

- Witaj, matko - powiedział i mężczyźni się zaśmiali. Zdziwiła ją ta wesołość.

- No Samie, teraz już będzie dobrze - rzekł żylasty jednooki mężczyzna i wszyscy znów ryknęli śmiechem.

Gwenda pojęła, że uważali za zabawne to, że matka takiego wielkoluda jak Sam przychodzi do niego, jakby był zagubionym dzieckiem.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał Sam.

- Na jarmarku w Northwood spotkałam Harry'ego Płowmana.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie śledził.

- Wyruszyłam przed świtem. Twój ojciec ma powiedzieć ludziom, że udałam się do Kingsbridge. Nikt mnie nie śledził.

Porozmawiali przez kilka minut, po czym Sam powiedział, że musi wracać do pracy, inaczej inni będą mu mieli za złe, że muszą robić za niego.

- Wróć do wioski i znajdź Lizę - powiedział. - Mieszka naprzeciw kościoła. Powiedz jej, kim jesteś, to da ci coś do jedzenia. Ja przyjdę o zmroku.

Gwenda zerknęła na niebo. Było pochmurne popołudnie i mniej więcej za godzinę ludzie będą musieli przerwać pracę. Pocałowała Sama w policzek i zostawiła go.

Znalazła Lizę w domu odrobinę większym niż pozostałe - mającym dwie izby, a nie jedną. Kobieta przedstawiła jej swego męża, Roba, który był ślepy. Tak jak zapowiedział Sam, Liza była gościnną: postawiła na stole chleb oraz polewkę i nalała gościowi kubek piwa.

Gwenda zapytała o ich syna i jakby odkręciła kurek. Liza mówiła o nim bez końca,

opowiadała o jego losach, od kiedy był dzieckiem aż do chwili obecnej, aż niewidomy przerwał jej jednym krótkim słowem:

- Koń.

Zamilkły i Gwenda usłyszała miarowy stukot kopyt.

- Mały wierzchowiec - orzekł Rob. - Lekki wierzchowiec lub kuc. Za mały na szlachcica czy rycerza, choć może nieść damę.

Dreszcz strachu przeszedł Gwendę.

Wstała i zerknęła przez drzwi. Droga między domami jechał stępa silny czarny kuc. Natychmiast rozpoznała jeźdźca i podupadła na duchu: był nim Jonno Reeve, syn zarządcy z Wigleigh.

Jak ją znalazł?

Próbowała schować się za drzwiami, ale już ją zauważył.

- Gwenda! - krzyknął i ściągnął wodze.

- Ty diable - syknęła.

- Zastanawiam się, co tu robisz - rzekł drwiąco.

- Skąd się tu wziąłeś? Nikt za mną nie jechał.

- Ojciec posłał mnie do Kingsbridge, żebym sprawdził, co tam wyprawiasz, ale po drodze zatrzymałem się w gospodzie Cross Roads, a tam pamiętali, że poszłaś drogą do Outhenby.

Zastanawiała się, czy zdoła przechytryć tak sprytnego młodzieńca.

- A dlaczego nie miałabym odwiedzać tu moich starych przyjaciół?

- Nie ma żadnego powodu - rzekł. - Gdzie twój zbiegły syn?

- Nie tutaj, choć spodziewałam się, że może tu być.

Jonno przez moment miał niepewną minę, jakby myślał, że mogła mówić prawdę.

- Może się ukrywa. Rozejrzę się. Popędził konia.

Gwenda patrzyła, jak odjeżdża. Nie zwiódła go, ale może zasiała w jego umyśle ziarno wątpliwości. Jeśli pierwsza dotrze do Sama, może zdoła go ukryć.

Szybko przeszła przez domek, pospiesznie pożegnała się z Lizą i Robem, a potem wybiegła tylnymi drzwiami. Ruszyła przez pole, trzymając się blisko żywopłotu. Obejrząwszy się w kierunku wioski, zobaczyła oddalającego się jeźdźca. Dzień się kończył i uznała, że jej mała postać jest niewidoczna na tle ciemnego żywopłotu. Spotkała Sama wracającego z innymi z pola, ze szpadlami w dłoniach i w ubłoconych butach. Na pierwszy rzut oka Sama z daleka można było wziąć za Ralpa: ta sama sylwetka, pewny krok, taka sama kształtna głowa na długiej szyi. Jednak kiedy mówił, widziała w nim również Wulfrica: sposób obracania głowy, nieśmiały uśmiech i pełne dezaprobaty machnięcie

ręką doskonale naśladowując gest ojczyma.

Mężczyźni zobaczyli ją. Rozbawiła ich, zjawiając się przedtem, a teraz jednooki zawołał: „Witaj, matko!”, i wszyscy się roześmiali.

Odciągnęła Sama na bok.

- Jest tu Jonno Reeve - powiedziała.

- Do diabła!

- Przykro mi.

- Mówiłaś, że nikt cię nie śledził!

- Nie widziałam go, ale trafił na mój ślad.

- Niech to szlag. I co teraz? Nie wrócę do Wigleigh!

- Szuka cię, ale opuścił wioskę, kierując się na wschód. -Popatrzyła na ciemniejący

horyzont, lecz niewiele zobaczyła. - Jeśli szybko wrócimy do Oldchurch, ukryjemy cię. Może w kościele.

- Dobrze. Przyspieszyli kroku.

- Hej, ludzie - rzuciła przez ramię Gwenda - gdybyście spotkali zarządcę imieniem Jonno, to nie widzieliście Sama z Wigleigh.

- Nigdy o takim nie słyszeliśmy, matko - powiedział jeden z nich, a pozostali przytaknęli. Zbiegli wyrobnicy zawsze byli gotowi pomagać sobie wzajemnie w przechytrzeniu zarządcy.

Gwenda i Sam dotarli do osiedla, nie napotykając Jonna. Skierowali się do kościoła. Gwenda myślała, że zapewne będą mogli wejść do środka: wiejskie kościółki przeważnie były w środku puste i surowe, więc zostawiano je otwarte. Jeśli jednak ten okaże się wyjątkiem, nie wiedziała, co zrobić.

Przeszli między domami i już mieli kościółek w zasięgu wzroku. Gdy mijali frontowe drzwi domu Lizy, Gwenda zobaczyła czarnego kuca. Jęknęła. Widocznie Jonno wrócił pod osłoną mroku. Zakładał, że Gwenda znajdzie Sama i sprowadzi go do wioski, i miał rację. Był tak samo sprytny jak jego ojciec.

Wzięła Sama za rękę, aby przejść z nim przez ulicę i do kościoła, gdy z domu Lizy wyszedł Jonno.

- Samie - powiedział - wiedziałem, że tu będziesz. Gwenda i Sam zatrzymali się i odwrócili.

Sam oparł się na drewnianym szpadlu.

- I co zamierzasz z tym zrobić? Jonno uśmiechnął się triumfalnie.

- Zabrać cię z powrotem do Wigleigh.

- Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz.

Z zachodniego końca wioski nadeszła grupka wieśniaków. Stanęli i przysłuchiwali się

rozmowie.

Jonno sięgnął do juków i wyjął jakiś metalowy przedmiot z łańcuchem.

- Założę ci kajdany. I jeśli masz trochę rozumu, nie będziesz się opierał. Gwenda była zdumiona tupetem Jonna. Czy naprawdę sądził, że zdoła w pojedynkę aresztować Sama? Był postawnym młodzieńcem, ale nie tak dobrze zbudowanym jak Sam. Czy liczył na pomoc wieśniaków? Miał po swojej stronie prawo, lecz niewielu z nich uważało to za sprawiedliwe. Typowy młody człowiek nieznający granic swoich możliwości.

- Thukłem cię na kwaśne jabłko, kiedy byliśmy dziećmi, i dziś zrobię to samo - oznajmił Sam.

Gwenda nie chciała, żeby się bili. Ktokolwiek by wygrał, Sam w oczach prawa byłby winny. Był zbiegiem.

- Już za późno, żeby gdzieś jechać - powiedziała. - Może porozmawiamy o tym rano?

Jonno zbył to drwiącym śmiechem.

- Żeby Sam wymknął się stąd przed świtem, tak jak ty z Wigleigh? Na pewno nie. Tę noc prześpi w okowach.

Nadeszli mężczyźni, którzy pracowali z Samem, i przystanęli, patrząc, co się dzieje.

- Każdy praworządny człowiek ma obowiązek pomóc mi aresztować tego zbiega! - krzyknął Jonno. - A próbujący mi w tym przeszkodzić zostaną ukarani.

- Możesz na mnie liczyć - rzekł jednooki. - Potrzymam ci konia. Pozostali parsknęli śmiechem. Jonno nie budził ich sympatii. Z drugiej strony nikt z nich nie stanął w obronie Sama.

Nagle Jonno ruszył do ataku. Trzymając oburącz okowy, doskoczył do Sama i pochylił się, jednym zaskakującym ruchem zamierzając zatrzasać je na jego nodze.

Może udałoby mu się to ze starszym i powolniejszym mężczyzną, lecz Sam zareagował równie szybko. Cofnął się o krok i ubłoconym butem kopnął wyciągniętą rękę Jonna. Ten jęknął z bólu i gniewu. Wyprostował się i zamachnął, zamierzając uderzyć Sama żelazem w głowę. Gwenda usłyszała okrzyk przerażenia i zrozumiała, że wydarł się z jej ust. Sam znów uskoczył poza zasięg ciosu.

Jonno zrozumiał, że i tym razem chybi, i w ostatniej chwili puścił łańcuch.

Okowy przeleciały w powietrzu. Sam szarpnął się, usiłując uniknąć trafienia, ale nie zdołał się uchylić. Żelazo uderzyło go w ucho, a łańcuch w twarz. Gwenda krzyknęła, jakby sama otrzymała cios. Gapie jęknęli. Sam zachwiał się, a żelazo upadło na ziemię. Na moment wszyscy znieruchomieli. Krew płynęła z nosa i ucha Sama. Gwenda zrobiła krok w jego kierunku, wyciągając ręce.

Nagle Sam się otrząsnął.

Jednym zwinnym ruchem obrócił się do Jonna i uderzył go ciężkim szpadlem. Jonno jeszcze

nie odzyskał równowagi, którą stracił, rzucając okowy, toteż nie zdołał się uchylić. Kant szpadla uderzył go w skroń. Sam był silny, więc po wiejskiej ulicy rozszedł się echem trzask drewna uderzającego o kość.

Jonno jeszcze się chwia!ł, gdy Sam uderzył go ponownie. Tym razem oburącz, uderzeniem z nad głowy. Szpadel z potworną siłą opadł katem na czaszkę Jonna. Tym razem nie było dźwięcznego trzasku, lecz głuchy huk i Gwenda przestraszyła się, że to odgłos pękającej czaszki.

Gdy Jonno opadł na kolana, Sam uderzył go po raz trzeci, z całej siły zadając następny cios katem szpadla, tym razem w czoło ofiary. Nawet uderzenie mieczem nie wyrządziłoby większej szkody, z rozpaczą pomyślała Gwenda. Ruszyła naprzód, chcąc powstrzymać syna, lecz mężczyźni z wioski chwilę wcześniej wpadli na ten sam pomysł i odciągnęli Sama, trzymając po dwóch za każde ramię.

Jonno leżał na ziemi z głową w kałuży krwi. Gwenda była zaszokowana tym widokiem i mimo woli myślała o jego ojcu, Nacie, i o tym, jak będzie zasmucony obrażeniami syna. Matka Jonna umarła na zarazę, tak więc przynajmniej była tam, gdzie smutek nie mógł jej dosięgnąć.

Gwenda widziała, że Sam nie jest ciężko ranny. Krwawił, lecz wciąż szarpał się z przytrzymującymi go mężczyznami, usiłując się wyrwać i znów zaatakować. Gwenda pochyliła się nad Jonnem. Położyła dłoń na jego piersi i nie wyczuła bicia serca. Sprawdziła puls, tak jak nauczyła ją Caris, lecz puls nie było. Jonno nie oddychał.

Wtedy zrozumiała, co się stało, i zaczęła płakać.

Jonno nie żył, a Sam był mordercą.

82

W niedzielę wielkanocną tego roku, 1361, Caris i Merthin byli małżeństwem od dziesięciu lat.

Stojąc w katedrze i patrząc na procesję, Caris wspominała swój ślub. Ponieważ tak długo, choć z przerwami, byli kochankami, widzieli w tej ceremonii jedynie potwierdzenie ich miłości i naiwnie wyobrażali sobie ją jako skromne i ciche wydarzenie: spokojna msza w kościele Świętego Marka, a później skromne przyjęcie u Bella dla kilku gości. Tymczasem dzień wcześniej ojciec Joffroi powiadomił ich, że według jego obliczeń w tej uroczystości zamierza wziąć udział co najmniej dwa tysiące osób, więc musieli przenieść ją do katedry. Potem okazało się, że Madge Webber bez ich wiedzy urządziła ucztę w siedzibie gildii dla czołowych obywateli miasta oraz piknik dla wszystkich chętnych na Polu Kochanków. Tak więc w rezultacie był to ślub roku.

Caris uśmiechnęła się na samo wspomnienie. Miała na sobie nową szatę ze szkarłatu z Kingsbridge, której kolor biskup zapewne uważał za nieodpowiedni dla kobiety. Merthin wdział wzorzysty włoski kaftan, kasztanowy ze złotymi obszyciami, i promieniał ze szczęścia. Oboje

uświadomili sobie poniewczasie, że ich długotrwały związek, który uważali za swoją prywatną sprawę, od lat interesował mieszkańców Kingsbridge i wszyscy chcieli uczcić jego szczęśliwe ukoronowanie.

Caris zapomniała o tych przyjemnych wspomnieniach, gdy jej stary wróg Philemon zajął miejsce na ambonie. Przez dziesięć ostatnich lat bardzo utył. Mnisza tonsura i gładko ogolona twarz odsłaniały fałdę tłuszczu wokół szyi, a jego habit był wydęty niczym namiot.

Wygłosił kazanie, w którym wyraził swój sprzeciw wobec sekcji zwłok.

Zwłoki należą do Boga, mówił. Chrześcijanie mają chować je według ściśle określonego rytuału: zbawionych w poświęconej ziemi, potępionych gdzie indziej. Robienie czegokolwiek ze zwłokami jest przeciwne woli boskiej. Rozcinanie ich jest świętokradztwem, mówił z nietypową dla niego pasją. Nawet drżał mu głos, gdy prosił wiernych, by wyobrazili sobie okropną scenę rozcinania ciała, kawałkowania go i oglądania przez tak zwanych badaczy. Prawdziwi chrześcijanie wiedzą, że nie ma usprawiedliwienia dla takich upiornych mężczyzn i kobiet.

Sformułowanie „mężczyzn i kobiet” nieczęsto pada z ust Philemona, pomyślała Caris, tak więc musiało mieć istotne znaczenie. Zerknęła na męża stojącego obok niej w nawie, a on lekko uniośł brwi, okazując zatroskanie.

Zakaz badania ludzkich zwłok, jak daleko Caris sięgała pamięcią, był typowym dogmatem kościelnym, lecz nieprzestrzegany od czasu zarazy. Postępowi młodzi duchowni byli świadomi tego, jak bardzo Kościół zawiódł wtedy ludzi, i chcieli zmienić dotychczasowe metody nauczania i praktykowania medycyny. Jednakże konserwatywne starsze duchowieństwo kurczowo trzymało się dawnych metod i blokowało wszelkie zmiany. W rezultacie sekcja zwłok była zakazana w teorii i tolerowana w praktyce.

Caris od początku wykonywała sekcje zwłok w swoim nowym szpitalu. Nigdy nie rozmawiała o tym poza murami tego budynku - nie było sensu denerwować przesądnych. Jednak korzystała z każdej okazji, by wzbogacić swoją wiedzę.

W ostatnich latach zwykle asystował jej jeden czy dwóch młodszych mnichów medyków. Wielu wykształconych lekarzy nigdy nie widziało wnętrza ludzkiego ciała, chyba że przy opatrywaniu bardzo ciężkich ran. Tradycyjnie jedynymi ciałami, jakie wolno było otwierać, były ciała świń, uważanych za zwierzęta anatomicznie najbardziej zbliżone do ludzi.

Atak Philemona zdziwił i zaskoczył Caris. Wiedziała, że zawsze jej nienawidził, choć nigdy nie rozumiała dlaczego. Jednak od czasu sromotnej porażki na początku zimy 1351 roku starał się ją ignorować. Jakby rekompensując sobie utratę władzy nad miastem, wyposażał swój pałac w cenne przedmioty: gobeliny, dywany, srebrne sztuce, szyby z barwionego szkła, ilustrowane rękopisy.

Stawał się coraz bardziej wyniosły, domagając się hołdów od mnichów i nowicjuszy, nosząc piękne szaty podczas mszy i podróżując - kiedy musiał udać się do innych miejscowości - karetą urządzoną niczym buduar księżnej.

Podczas mszy na chórze było kilku ważnych duchownych bawiących w gościnie - biskup Shiring Henri, arcybiskup Pierś z Monmouth i archidiakon Reginald z Yorku - więc zapewne Philemon miał nadzieję zrobić na nich wrażenie tym wybuchem doktrynalnego konserwatyzmu. Tylko w jakim celu? Czyżby starał się o awans? Arcybiskup źle się czuł - wniesiono go do kościoła - ale przecież Philemon nie może aspirować do tego stanowiska. I tak graniczyło z cudem, że syn Joby'ego z Wigleigh został przeorem Kingsbridge. Ponadto awans z przeora na arcybiskupa byłby ewenementem, coś jak nominacja rycerza na księcia bez wcześniejszego mianowania go baronem i hrabią. Tylko wyjątkowy faworyt mógł liczyć na tak szybki awans.

Jednak ambicja Philemona nie znała granic. I wcale nie dlatego, że uważa siebie za idealnego kandydata, pomyślała Caris. To było nastawienie Godwyna, aroganckiego bufona. Godwyn zakładał, że Bóg uczynił go przeorem, ponieważ jest najmądrzejszym człowiekiem w mieście. Philemon wprost przeciwnie: w głębi serca uważał, że jest nikim. Przez tałe życie próbował udowodnić samemu sobie, że nie jest zupełnie bezwartościowy. I był tak przeczulony na tym punkcie, iż nie mógł znieść myśli, że mógłby nie zasługiwać na jakieś stanowisko, nieważne jak wysokie.

Zastanawiała się, czy porozmawiać po mszy z biskupem Henrim. Mogła przypomnieć mu umowę sprzed dziesięciu lat, na mocy której przeor Kingsbridge nie sprawuje władzy nad szpitalem Świętej Elżbiety na Wyspie Trędowatych podlegającym bezpośrednio biskupowi, tak więc każdy atak na szpital był atakiem na prawa i przywileje samego Henriego. Jednak po głębszym namyśle zrozumiała, że takim protestem potwierdziłaby tylko, że wykonuje tam sekcje zwłok, zmieniając podejrzenia, które z łatwością mógł zignorować, w znany mu fakt, do którego musiałby się ustosunkować. Tak więc postanowiła milczeć.

Obok niej stali dwaj bratankowie Merthina, synowie hrabiego Ralpa: trzynastoletni Geny i dziesięcioletni Roley. Obaj uczęszczali do szkoły przyklasztornej. Mieszkali w opactwie, lecz wiele czasu spędzali z Merthinem i Caris w ich domu na wyspie. Merthin położył lekko dłoń na ramieniu Roleya. Tylko trzy osoby na świecie wiedziały, że Roley nie jest jego bratankiem, lecz synem: sam Merthin, Caris oraz matka chłopca, Philippa. Merthin starał się nie faworyzować Roleya, lecz trudno mu było skrywać swe uczucia i był bardzo zadowolony, gdy Roley nauczył się czegoś nowego lub dobrze radził sobie w szkole.

Caris często rozmyślała o dziecku, które przed laty poczęła z Merthinem. Zawsze wyobrażała sobie, że była to dziewczynka. Teraz byłaby dwudziesto-trzyletnią kobietą, myślała Caris, zapewne

mężatką, mającą swoje dzieci. Ta myśl była jak stara rana, bolesna, lecz zbyt znajoma, by dokuczać.

Po zakończeniu mszy wyszli wszyscy razem. Chłopcy jak zwykle zostali zaproszeni na niedzielny obiad. Wyszedszy z katedry, Merthin odwrócił się, by spojrzeć na wieżę, która teraz wznosiła się wysoko nad centralną częścią kościoła.

Gdy oglądał swoje prawie ukończone dzieło, marszcząc brwi na widok jakichś tylko dla niego widocznych detali, Caris czule mu się przyglądała. Znała go, od kiedy ukończył jedenaście lat, i niemal od początku kochała. Teraz miał czterdzieści pięć. Rude włosy odsłoniły czoło i sterczały wokół głowy niczym kędzierzawa aureola. Miał nieco sztywną lewą rękę, od kiedy mały kamienny wspornik, upuszczony z rusztowania przez nieostrożnego kamieniarza, spadł mu na ramię. Nadal jednak emanował chłopięcą energią, która przyciągnęła do niego dziesięcioletnią Caris w dzień Wszystkich Świętych trzydzieści trzy lata temu.

Odwróciła się, aby także popatrzeć na jego dzieło. Wieża zdawała się opierać na wszystkich czterech ścianach budynku i była szeroka na dwie nawy, chociaż w rzeczywistości jej ciężar podtrzymywały potężne wsporniki wbudowane w wewnętrznych narożach transeptów, wsparte na nowych fundamentach niezależnych od starych. Wieża sprawiała wrażenie lekkiej i wysokiej, ze smukłymi kolumnami i licznymi otworami okiennymi, przez które podczas ładnej pogody widać było błękitne niebo. Nad prostokątnym szczytem wieży wznosiła się pajęczyna rusztowań potrzebna przy budowie zwieńczenia, którym miała być iglica.

Gdy Caris przeniosła wzrok na dół, zobaczyła nadchodzącą siostrę. Alice miała dopiero czterdzieści sześć lat, lecz Caris odnosiła wrażenie, że należy do innego pokolenia. Jej mąż, Elfric, umarł w czasie zarazy, lecz ona nie wyszła ponownie za mąż i zaniedbała się, jakby uważając to za powinność wdowy. Caris przed laty pokłóciła się z Alice o to, jak Elfric traktował Merthina. Upływ czasu stępił ostrze ich wzajemnej wrogości, lecz Alice jak zwykle ledwie skinęła głową, mówiąc Caris „dzień dobry”.

Towarzyszyła jej Griselda, pasierbica, choć zaledwie o rok młodsza od Alice. Syn Griseldy, znany jako Merthin Bastard, stał przy niej. Był postawnym mężczyzną o powierzchownym uroku osobistym, podobnym do ojca, dawno nieżyjącego Thurstana, i tak różny od Merthina Bridgera, jak tylko można sobie wyobrazić. Była z nią również jej szesnastoletnia córka, Petranilla.

Mąż Griseldy, Harold Mason, po śmierci Elfrica przejął interes. Według Merthina nie był nadzwyczajnym budowniczym, ale jakoś sobie radził, chociaż nie miał wyłączności na naprawy i rozbudowy opactwa, na których tak wzbogacił się Elfric. Teraz stanął przy Merthinie.

- Ludzie myślą, że zamierzasz zbudować iglicę bez krążyny - zagaił.

Caris zrozumiała go. Krążyna albo poszycie była drewnianym rusztowaniem przytrzymującym

kamienie do czasu wyschnięcia zaprawy.

- Wewnątrz tak wąskiej iglicy nie ma wiele miejsca na krążynę - wyjaśnił Merthin. - Ponadto na czym by się opierała?

Powiedział to grzecznie, lecz ze zwięzłości odpowiedzi Caris wywnioskowała, że nie lubi Harolda.

- Uwierzyłbym, gdyby kopuła miała być okrągła.

To Caris również pojęła. Kopułę można zbudować, umieszczając jeden krąg kamieni na drugim, tak by każdy następny był węższy od poprzedniego. Nie trzeba wewnętrznego rusztowania, ponieważ taki mur sam się podtrzymuje, a kamienie nie wpadną do środka, gdyż są mocno ściśnięte. Nie da się tego uzyskać w przypadku żadnego kanciastego kształtu.

- Widziałeś rysunki - powiedział Merthin. - Ma być ośmiokątna. Narożne wieżyczki na szczycie prostokątnej wieży stały zwrócone nieco na zewnątrz, łagodząc przejście w smukłą iglicę. Merthin skopiował takie rozwiązanie z katedry w Chartres, jednak miało ono sens tylko wtedy, jeśli iglica była ośmiokątna.

- Tylko jak zdołasz zbudować ośmiokątną iglicę bez krążyny? - spytał Harold.

- Poczekaj, to zobaczysz - odparł Merthin i tamten odszedł.

- Dlaczego nie wyjaśnisz ludziom, jak zamierzasz to zrobić? - spytała Caris, gdy szli główną ulicą.

- Dlatego, żeby nie mogli mnie zwolnić - odparł. - Kiedy budowałem most, gdy tylko wykonałem najtrudniejszą część pracy, zwolnili mnie i wynajęli kogoś tańszego.

- Pamiętam.

- Teraz nie mogą tego zrobić, ponieważ nikt inny nie zdoła zbudować iglicy.

- Wówczas byłeś młodzikiem, teraz jesteś przewodniczącym gildii. Nikt nie ośmielił się ciebie wylać.

- Może i nie, jednak miło wiedzieć, że nie mogą tego zrobić.

W dole głównej ulicy, gdzie stał stary most, znajdowała się podła gospoda zwana Białym Koń. Caris zobaczyła szesnastoletnią córkę Merthina, Lollę, podpierającą tam ścianę wraz grupką starszych od siebie przyjaciół. Lolla była atrakcyjną dziewczyną o oliwkowej cerze i lśniących czarnych włosach, pełnych ustach i smutnych piwnych oczach. Cała grupka przyglądała się grze w kości i wszyscy popijali piwo z dużych kufli. Caris z przykrością, choć bez zdziwienia zobaczyła swoją pasierbicę popijającą na ulicy w środku dnia.

Merthin był zły. Podeszedł do Lolli i wziął ją pod rękę.

- Lepiej chodź do domu na obiad - powiedział głosem zdradzającym napięcie.

Odchyliła głowę, potrząsając gęstymi włosami, co niewątpliwie było przeznaczone dla oczu kogoś innego niż ojciec.

- Nie chcę iść do domu, tu mi dobrze - powiedziała.

- Nie pytałem, czego sobie życzysz - odparł Merthin i odciągnął ją od pozostałych.

Od grupki odłączył się dobrze wyglądający, mniej więcej dwudziestoletni chłopak. Miał kręcone włosy, drwiący uśmiech i dłubał w zębach wykałaczką. Caris poznała Jake'a Rileya, chłopaka bez zawodu, który jednak zawsze zdawał się mieć za dużo pieniędzy. Pomaszerował w ich stronę.

- Co się dzieje? - zapytał z wykałaczką sterczącą mu z ust niczym zniewaga.

- Nie twój interes - warknął Merthin. Jake zastąpił mu drogę.

- Ta dziewczyna nie chce iść.

- Lepiej zejź mi z drogi, synu, jeśli nie chcesz spędzić reszty dnia w dybach. Caris zaniepokoiła się. Merthin miał prawo przywołać do porządku Lollę, której brakowało jeszcze pięciu lat do pełnoletności, lecz Jake był tego rodzaju chłopakiem, który mógł go uderzyć, nie bacząc na konsekwencje. Jednak Caris nie wtrącała się, wiedząc, że wtedy gniew Merthina zwróciłby się przeciwko niej.

- Pewnie jesteś jej ojcem - powiedział Jake.

- Doskonale wiesz, kim jestem, a ponadto masz zwracać się do mnie we właściwej formie i z szacunkiem albo poniesiesz konsekwencje.

Jake jeszcze przez chwilę zuchwale patrzył na Merthina, po czym usunął się na bok.

- No dobrze - rzucił niedbale.

Caris poczuła ulgę, że to spotkanie nie skończyło się bijatyką. Merthin nigdy nie wdawał się w bójkę, lecz Lolla potrafiła doprowadzić go do szału.

Poszli w kierunku mostu. Lolla wyrwała się ojcu i szła przodem z założonymi rękami i spuszczoną głową, mamrocząc coś ponuro pod nosem.

Nie po raz pierwszy widziano ją w złym towarzystwie. Merthin był przerażony i rozgniewany tym, że jego dziewczynka zdaje się szukać takich ludzi.

- Dlaczego ona to robi? - pytał Caris, gdy szli na wyspę.

- Bóg wie... - Caris zauważyła, że takie zachowanie częściej zdarza się młodym, którzy stracili rodzica. Po śmierci Silvii Lolli matkowała Bessie Bell, lady Philippa, gospodyni Merthina Em i oczywiście sama Caris. Może dziewczyna nie wie, kogo ma słuchać? Jednak Caris nie mówiła tego głośno, gdyż mogłoby to wyglądać na sugestię, że Merthin zawiódł jako ojciec. - Kiedy byłam w jej wieku, strasznie kłóciłam się z ciotką Petranillą.

- O co?
- O podobne rzeczy. Nie podobało jej się, że tyle czasu spędzałam z Mattie Wise.
- To zupełnie co innego. Nie chodziłaś do podłych knajp z łobuzami.
- Petranillą uważała, że Mattie to złe towarzystwo.
- To nie to samo.
- Pewnie nie.
- Dużo nauczyłaś się od Mattie.

Lolla też niewątpliwie dużo się nauczyła od przystojnego Jake'a Riley'a, lecz Caris zatrzymała tę jątrzącą myśl dla siebie - Merthin i bez tego był dostatecznie wściekły.

Wspę już całkowicie zabudowano i teraz stanowiła integralną część miasta. Miała nawet swój kościół parafialny. Tam, gdzie niegdyś chodziło się po kamienistym pustkowiu, teraz był chodnik, który biegł prosto między domami i zapuszczał się w zaułki. Króliki dawno znikły. Szpital zajmował większą część zachodniego końca wyspy. Chociaż Caris chodziła tam codziennie, wciąż czuła dumę, patrząc na czyste szare kamienie, długie rzędy regularnie rozmieszczonych okien i kominy stojące w szeregu niczym żołnierze.

Przeszli przez bramę na teren posiadłości Merthina. Jabłonie w sadzie pokryły się kwieciami niczym śniegiem.

Jak zawsze weszli kuchennymi drzwiami. Dom miał okazałe wejście od strony rzeki, którego nikt nigdy nie używał. Nawet wspaniały architekt może popełnić błąd, pomyślała z rozbawieniem Caris, lecz i tym razem postanowiła zachować tę myśl dla siebie.

Lolla pomaszrowała do swojego pokoju.

- Witajcie wszyscy! - zawołał kobiecy głos z pokoju.

Chłopcy z okrzykami radości pobiegli w głąb salonu. To była ich matka, Philippa. Merthin i Caris ciepło ją przywitani.

Caris i Philippa zostały szwagierkami, kiedy Caris wyszła za Merthina, lecz ich dawna rywalizacja sprawiała, że jeszcze przez kilka lat Caris czuła się niezręcznie w obecności hrabiny. W końcu zaprzyjaźniły się dzięki chłopcom. Gdy najpierw Gerry, a potem Roley zaczęli uczyć się w przyklasztornej szkole, Merthin zaopiekował się bratankami, a wtedy Philippa zaczęła częściej zachodzić do jego domu, ilekroć była w Kingsbridge.

Z początku Caris była zazdrosna o to, że Philippa pociągała kiedyś Merthina. Ten nigdy nie próbował udawać, że jego miłość do Phlippy była powierzchowna. Wyraźnie nadal coś do niej czuł. Jednak teraz Philippa była smutną postacią. Miała czterdzieści dziewięć lat, lecz wyglądała na starszą, z siwymi włosami, twarzą poznaczoną zmarszczkami rozczarowań. Żyła tylko dla swoich dzieci. Była

częstym gościem swej córki, Odili, hrabiny Monmouth, a kiedy nie bawiła u niej, odwiedzała opactwo Kingsbridge, żeby być blisko synów. Starła się spędzać jak najmniej czasu w Earlcastle, ze swoim mężem Ralphem.

- Muszę zabrać chłopców do Shiring - powiedziała, wyjawiając powód swej wizyty. - Ralph chce, żeby razem z nim zasiadali w sądzie. Twierdzi, że to niezbędna część ich edukacji.

- Ma rację - powiedziała Caris.

Gerry będzie hrabią, jeśli pożyje dostatecznie długo, a jeśli nie, to tytuł odziedziczy Roley. Tak więc obaj powinni zaznajomić się z pracą sądu.

- Zamierzałam być w katedrze na wielkanocnej mszy - mówiła Philippa - lecz w mojej karcie pękło koło i musiałam zatrzymać się na nocleg.

- No cóż, skoro tu jesteś, zjedzmy razem obiad - zaproponowała Caris. Weszły do jadalni. Caris otworzyła okna wychodzące na rzekę. Do środka wpadło chłodne, świeże powietrze. Zastanawiała się, co Merthin zrobi z Lollą. Ku uldze Caris na razie nic nie powiedział, pozwalając jej wściekać się na górze. Ponura nastolatka przy stole mogłaby popsuć humor wszystkim.

Zjedli baraninę gotowaną z porami. Merthin nalał im czerwonego wina i Philippa z przyjemnością się napiła. Lubiła wino. Może przynosiło jej pociechę.

Kiedy jedli, do jadalni weszła zaniepokojona Em.

- Przed kuchennymi drzwiami stoi ktoś, kto chce widzieć się z panią - oznajmiła.

- A kto to taki? - niecierpliwie spytał Merthin.

- Nie podał imienia, ale mówi, że pani go zna.

- Co to za człowiek?

- Młody. Sądząc po odzieniu, wieśniak, a nie mieszczanin. Em żywiła snobistyczną niechęć do wieśniaków.

- No cóż, chyba nie jest niebezpieczny. Niech wejdzie.

Chwilę później do komnaty wkroczyła wysoka postać z kapturem naciągniętym na głowę tak, że zasłaniał większość twarzy. Gdy przybysz go zsunął, Caris poznała starszego syna Gwendy, Sama.

Znała go od dziecka. Widziała, jak się urodził, patrzyła, jak jego wilgotna główka wyłania się z łona jego szczupłej matki. Patrzyła, jak rośnie, zmienia się, staje się mężczyzną. Teraz ujrzała w nim Wulfrica, w sposobie, w jaki chodził, stał i lekko unosił rękę, kiedy chciał coś powiedzieć. Zawsze podejrzewała, że Wulfric nie jest jego prawdziwym ojcem, lecz chociaż była bliską przyjaciółką Gwendy, nigdy nie wyraziła głośno tych wątpliwości. Niektórych pytań lepiej nie zadawać. Jednak te podejrzewania natychmiast powróciły, gdy usłyszała, że Sam jest poszukiwany za zamordowanie Jonna Reeve'a - gdyż Sam zaraz po urodzeniu był podobny do Ralpha.

Teraz podszedł do Caris, uniósł rękę gestem Wulfrica, zawahał się i przyklęknął.

- Ratuj mnie, proszę - szepnął. Caris była przerażona.

- Jak mam cię ratować?

- Ukryj mnie. Uciekam od paru dni. Opuściłem Oldchurch po ciemku, szedłem nocą i od tej pory prawie nie odpoczywałem. Teraz próbowałem kupić coś do jedzenia w gospodzie i ktoś mnie rozpoznał. Musiałem uciekać.

Był tak zrozpaczony, że Caris poczuła przyływ współczucia. Mimo to nie ustępowała.

- Nie możesz się tu ukryć, jesteś poszukiwany za morderstwo!

- To nie było morderstwo, tylko walka. Jonno zaczął. Uderzył mnie żelaznymi okowami... patrz.

Sam dotknął swojej twarzy, ucha i nosa, pokazując dwie zamknięte strupami rany.

Caris mimochodem fachowym okiem oceniła, że obrażenia pochodzą sprzed około pięciu dni i rana na nosie dobrze się goi, natomiast ucho wymaga szycia. Jednak myślała głównie o tym, że Sam nie powinien przebywać w jej domu.

- Postawią cię przed obliczem sprawiedliwości - powiedziała.

- Na pewno wezmą stronę Jonna, jak nic. Uciekłem z Wigleigh do Outhenby szukać wyższych stawek. Jonno usiłował sprowadzić mnie z powrotem. Powiedzą, że miał prawo zakuć zbiega.

- Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim go uderzyłeś.

- Sama zatrudniałaś zbiegów w Outhenby, kiedy byłaś przeoryszą - przypomniał oskarżycielsko.

Poczuła się dotknięta.

- Zbiegów, owszem, ale nie zabójców.

- Powieszają mnie.

Caris nie wiedziała, co robić. Jak może go wygonić?

- Są dwa powody, dla których nie możemy cię tu ukryć, Samie - rzekł Merthin. - Jeden to ten, że ukrywanie zbiega jest przestępstwem i nie zamierzam dla ciebie wchodzić w konflikt z prawem, mimo że bardzo lubię twoją matkę. Drugim powodem jest to, że wszyscy wiedzą, iż twoja matka jest dobrą przyjaciółką Caris, więc jeśli konstable z Kingsbridge będą cię szukali, to zaczną od tego miejsca.

- Naprawdę? - zdziwił się Sam.

Caris wiedziała, że nie jest zbyt bystry - w przeciwieństwie do swego brata Daveya.

- Nie mogłeś znaleźć sobie gorszej kryjówki - dodał Merthin. - Wypij kubek wina, weź bochenek chleba i uciekaj z miasta - rzekł nieco łagodniej. - Ja będę musiał znaleźć Munga Constable'a

i zgłosić, że tu byłeś, ale pójdę powoli.

Nalał wina do drewnianego kubka.

- Dziękuję - rzekł Sam.

- Twoją jedyną nadzieją jest uciec daleko, gdzie nikt cię nie zna, i zacząć nowe życie. Jesteś silnym chłopcem, zawsze znajdziesz pracę. Idź do Londynu i zaciągnij się na statek. I nie wdawaj się w bójki.

- Pamiętam twoją matkę - powiedziała nagle Philippa. - Gwendę? Sam skinął głową.

Philippa zwróciła się do Caris:

- Poznałam ją w Casterham, kiedy jeszcze żył William. Przyszła do mnie pomówić o tej dziewczynie, która została zgwałcona przez Ralpa.

- Annet.

- Tak. - Philippa znów zwróciła się do Sama: - Ty musisz być tym dzieckiem, które przez cały czas trzymała na rękach. Twoja matka to dobra kobieta. Ze względu na nią jest mi przykro, że masz kłopoty.

Na chwilę zapadła cisza. Sam opróżnił kubek. Caris myślała, a Philippa i Merthin na pewno też myślą o upływie czasu i o tym, jak może zmienić niewinne, ukochane dziecko w mężczyznę, który popełnił morderstwo.

W ciszy usłyszeli głosy kilku ludzi.

Dobiegały zza kuchennych drzwi.

Sam rozglądał się wokół jak niedźwiedź w potrzasku. Jedne drzwi prowadziły do kuchni, drugie - frontowe - na zewnątrz. Pomknął do frontowych, otworzył je szarpnięciem i wybiegł. Nie zatrzymując się, skierował się ku rzece.

Chwilę później Em otworzyła kuchenne drzwi i do jadalni wszedł Mungo Constable, a za nim czterech jego zastępcy, wszyscy uzbrojeni w drewniane pałki.

Merthin pokazał frontowe drzwi.

- Właśnie wybiegł.

- Za nim, chłopcy - rzucił Mungo i wszyscy przebiegli przez pokój i wypadli na zewnątrz.

Caris wstała i pospieszyła za nimi, pozostali również.

Dom był zbudowany na niskiej i skalistej skarpie, wysokiej zaledwie na trzy lub cztery stopy. Podnóże tego maleńkiego klifu omywał wartki nurt rzeki. Na lewo nad wodą zgrabnym łukiem wznosił się most Merthina, po prawej była błotnista plaża. Za rzeką drzewa okrywały się liśćmi na starym cmentarzu ofiar zarazy. Po obu jego stronach niczym chwasty wyrosły nędzne chatki biedoty.

Sam mógł skręcić w lewo lub prawo, lecz Caris z rozpaczą stwierdziła, że dokonał złego

wyboru. Pobiegł w prawo, skąd nie było ucieczki. Zobaczyła, jak biegnie wzdłuż brzegu, pozostawiając w błocie głębokie ślady. Konstable gonili go jak psy zająca. Żal jej było Sama, tak jak zawsze żałowała zająca. To było zwyczajne polowanie niemające nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Widząc, że nie ma dokąd uciec, Sam wszedł do wody.

Mungo pozostał na brukowanym chodniku przed domem, a teraz odwrócił się w przeciwną stronę i pobiegł w kierunku mostu.

Dwaj jego zastępcy rzucili pałki, zdjęli buty, ściągnęli płaszcze i w koszulach wskoczyli do rzeki. Pozostali dwaj stali na brzegu, bo zapewne nie umieli pływać, a może nie chcieli skakać do wody w zimny dzień. Dwaj pływacy ruszyli za Samem.

Sam był silny, lecz gruby zimowy płaszcz nasiąknął wodą i ciągnął go na dno. Caris z ponurą fascynacją patrzyła, jak dwaj zastępcy porządkowego go doganiają.

Nagle rozległ się okrzyk z innej strony. Mungo dobiegł do mostu i pędził po nim. Przystanął tylko na moment, żeby zawołać dwóch zastępców, którzy nie byli w wodzie. Zrozumieli, czego od nich chce, i pobiegli za nim. On pognał dalej.

Sam dotarł na drugi brzeg na moment przed tym, zanim dogonili go pływacy. Złapał grunt pod nogami i ociekający wodą chwiejnie ruszył przez pływacznię, potrząsając głową. Odwrócił się i tuż za sobą zobaczył jednego z goniących. Mężczyzna potknął się i mimo woli zgiął się wpół, a wtedy Sam kopnął go w twarz pełnym wody butem. Zastępca konstabla z krzykiem padł na wznak.

Drugi był ostrożniej szy. Zbliżył się do Sama i przystanął, nadal poza zasięgiem ciosu. Sam odwrócił się i pobiegł, wychodząc z wody na murawę cmentarza, lecz zastępca popędził za nim. Sam znów przystanął - zastępca także. Sam pojął, że tamten się z nim bawi. Z gniewnym krzykiem rzucił się na prześladowcę. Zastępca zaczął uciekać, ale za plecami miał rzekę. Wbiegł do wody, lecz ta spowolniła jego ruchy i Sam zdołał go dopaść.

Złapał go za ramiona, obrócił i bykiem uderzył twarz. Nawet na drugim brzegu rzeki Caris usłyszała trzask łamanego nosa. Sam odepchnął nieszczęśnika, a ten upadł, plamiąc krwią nurt rzeki.

Sam znów skierował się do brzegu - lecz tam już czekał na niego Mungo. Teraz Sam znajdował się niżej, na spadzistym brzegu, brodząc w wodzie. Mungo rzucił się na niego, przystanął, zwabił go bliżej, a potem uniósł ciężką drewnianą pałkę. Zamarkował cios, Sam uchylił się, a wtedy Mungo uderzył go w czubek głowy.

Cios wydawał się potężny i Caris jęknęła, jakby to ją uderzono. Sam ryknął z bólu i odruchowo złapał się za głowę. Mungo, doświadczony w starciach z silnymi młodymi ludźmi, ponownie go uderzył, tym razem w odsłonięte żebra. Sam runął w wodę. W tym momencie na polu bitwy pojawili się dwaj zastępcy, którzy przebiegli po moście. Rzucili się na Sama i przytrzymali go.

Dwaj poturbowani przez niego zemścili się, kopiąc go i grzmocąc pięściami. Kiedy przestał stawiać opór, wyciągnęli go z wody.

Mungo szybko związał mu ręce na plecach, po czym konstable poprowadzili go w kierunku miasta.

- Jakie to okropne - westchnęła Caris. - Biedna Gwenda.

83

Podczas posiedzeń sądu hrabstwa w Shiring panował wesoły nastrój. Wszystkie zajazdy wokół rynku pełne były mężczyzn i kobiet ubranych w swe najlepsze stroje, głośno domagających się napitków i jadła. Oczywiście miasto wykorzystało tę okazję, by urządzić jarmark, więc cały rynek był tak zapchany straganami, że przejście kilkuset jardów zabierało pół godziny. Oprócz legalnych straganiarzy roiło się tam od różnych drobnych handlarzy, takich jak piekarze z tacami bułek, ulicznych grajków, kalekich lub ślepych żebraków i pokazujących piersi prostytutek. Nie zabrakło także tańczącego niedźwiedzia i wędrownego kaznodziei.

Hrabia Ralph był jednym z niewielu ludzi, którzy raogli szybko przejść przez plac. Przed nim jechali trzej rycerze, a za nim służba, więc jego orszak przebił się przez tłum niczym lemiesz pługa, roztrącając ludzi na boki samą siłą rozpędu, nie zważając na ich bezpieczeństwo.

Wjechali na wzgórze, zmierzając do zamku szeryfa. Na dziedzińcu zatrzymali rumaki i zsiadli z nich. Słudzy natychmiast zaczęli wołać stajennych i tragarzy. Ralph lubił, by ludzie wiedzieli, że przybył.

Był spięty. Syn jego wroga miał być sądzony za morderstwo. Ralph był o włos od najśłodszej zemsty, jaką można sobie wyobrazić, a jednak wciąż się obawiał, że może mu się wymknąć z rąk. Był tak podekscytowany, że czuł lekki wstyd: nie chciałby, żeby jego rycerze wiedzieli, jak wiele to dla niego znaczy. Starał się ukrywać nawet przed Alanem Fernhillem, jak bardzo pragnie, żeby Sama powieszono. Obawiał się, że w ostatniej chwili coś może źle pójść. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak zawodna jest machina sprawiedliwości: w końcu on sam dwukrotnie uniknął stryczka.

Podczas procesu zasiądzie na sędziowskiej ławie, do czego ma prawo, i postara się, żeby wszystko poszło jak należy.

Rzucił wodze stajennemu i rozejrzał się. Zamek nie był warowny. Bardziej przypominał gospodę z dziedzińcem, choć był solidnie zbudowany i dobrze strzeżony. Szeryf Shiring był tu chroniony przed zemstą krewnych ludzi, których aresztował. Były tu lochy do przetrzymywania więźniów i gościnne pokoje, w których spokojnie mogli zatrzymać się przyjezdni sędziowie.

Szeryf Bernard zaprowadził Ralpha do jego pokoju. Szeryf był przedstawicielem króla w hrabstwie odpowiedzialnym za zbieranie podatków i wymierzanie sprawiedliwości. Była to

lukratywna posada, z pensją zazwyczaj uzupełnianą przez prezenty, łapówki i procenty pobierane od grzywien oraz komorniczych należności. Stosunki między hrabią a szeryfem mogły układać się rozmaicie: wprawdzie hrabia był wyższy rangą, lecz szeryf był niezależnym przedstawicielem władzy sądowniczej. Bernard, bogaty kupiec mniej więcej w wieku Ralpa, odnosił się do niego przyjaźnie, a zarazem z szacunkiem.

Philippa czekała na męża w przydzielonym im apartamencie. Długie siwe włosy miała upięte w kunsztowną fryzurę i nosiła kosztowny płaszcz w stonowanych, szarobrazowych barwach. Jej wyniosły sposób bycia kiedyś czynił ją dumną piękną, lecz teraz wyglądała jak zrzędlona staruszka. Mogłaby być matką Ralpa.

Powitał swoich synów, Gerry'ego i Roleya. Nie radził sobie z dziećmi i rzadko ich widywał: gdy byli mali, zajmowały się nimi kobiety, a teraz uczęszczali do szkoły przyklasztornej. Zwracał się do nich jak do swoich giermków, to wydając im rozkazy, to traktując przyjacielsko. Może łatwiej mu będzie z nimi rozmawiać, kiedy będą starsi. Wydawało mu się to nieistotne: cokolwiek zrobi, i tak będą uważali go za bohatera.

- Jutro zasiądziecie na sędziowskiej ławie - oznajmił. - Chcę, żebyście zobaczyli, jak jest wymierzana sprawiedliwość.

- Czy po południu możemy rozejrzeć się po rynku? - zapytał Gerry, starszy.

- Tak, tylko weźcie ze sobą Dickiego. - Dickie był jednym ze służących z Earlcastle. - Macie tu trochę pieniędzy na drobne wydatki.

Dał obu po garści srebrnych pensów.

Chłopcy wyszli. Ralph usiadł naprzeciwko Philippy. Teraz już nigdy jej nie dotykał i zawsze starał się trzymać z daleka, tak że to nie był przypadek. Był pewien, że ubiera się i zachowuje jak stara baba, by mieć pewność, że go nie pociąga. Ponadto codziennie chodziła do kościoła.

Był to dziwny związek dwojga ludzi, którzy kiedyś razem poczęli dziecko, lecz tak było od lat i już nigdy się nie zmieni. Przynajmniej mógł podszczypywać służące i pokładać się z dziewczkami z gospody.

Teraz jednak musieli porozmawiać o dzieciach. Philippa miała swoje poglądy i z biegiem lat Ralph zrozumiał, że łatwiej przedyskutować z nią różne rzeczy, niż podejmować samodzielne decyzje i potem pokonywać jej sprzeciw.

- Gerry jest dostatecznie duży, żeby być giermkim - powiedział.

- Zgadza się - powiedziała Philippa.

- Dobrze! - rzekł Ralph, zdziwiony, gdyż spodziewał się sporu.

- Już rozmawiałam o nim z Davidem Monmouthem - dodała. To wyjaśniało jej spolegliwość.

Wyprzedzała go o krok.

- Rozumiem - mruknął, chcąc zyskać na czasie.

- David zgadza się i proponuje, żebyśmy przysłali Gerry'ego, gdy tylko skończy czternaście lat.

Gerry miał dopiero trzynaście. W istocie Philippa odwlekała wyjazd Gerry'ego prawie 0 rok. Nie to jednak najbardziej niepokoiło Ralpha. David, hrabia Monmouth, ożenił się z córką Philippy, Odilą.

- Giermek ma stać się mężczyzną - powiedział Ralph - jednak u Davida będzie mu zbyt łatwo. Jego przyrodnia siostra go lubi i na pewno będzie go chroniła. Stanie się zbyt miękki. - I po chwili zastanowienia dodał: - Zapewne dlatego chcesz go tam umieścić.

Nie zaprzeczyła.

- Sądziłam, że chętnie wzmocnisz swoje przymierze z hrabią Monmouth - powiedziała.

Miała rację. David był najważniejszym sprzymierzeńcem Ralpha wśród szlachty. Umieszczając Gerry'ego na jego dworze, jeszcze bardziej wzmocni łączące ich więzi. Może David polubi chłopca? Za jakiś czas zapewne synowie Davida będą hrabiami Earlcastle. Takie rodzinne powiązania są bezcenne.

- Dopilnujesz, żeby chłopaka tam nie rozpieszczono? - zapytał Ralph.

- Oczywiście.

- No to w porządku.

- Dobrze. Cieszę się, że to uzgodniliśmy. Philippa wstała.

Jednak Ralph jeszcze nie skończył.

- No a co z Roleyem? On też mógłby pojechać, żeby byli razem. Ralph widział, że Philippie wcale nie podoba się ten pomysł, ale jest za mądra, żeby otwarcie mu się sprzeciwić.

- Roley jest jeszcze trochę za młody - powiedziała, jakby zastanawiając się nad tym. -

I jeszcze nie nauczył się dobrze czytać i pisać.

- To nie jest dla szlachcica takie ważne jak umiejętność walki. W końcu jest drugi w kolejności do tytułu. Gdyby coś się stało Gerry'emu...

- Niech Bóg broni.

- Amen.

- Mimo wszystko myślę, że powinniśmy poczekać, aż skończy czternaście lat.

- Nie wiem... Roley zawsze był trochę zniewieściał. Czasem przypomina mi mojego brata Merthina. - Ujrzał błysk łęku w oczach żony. Boi się wypuścić dzieciaka spod swoich skrzydeł, pomyślał. Miał ochotę nalegać, tylko po to, żeby ją podręczyć. Jednak dziesięcioletek jest za młody na

giermka. - Zobaczmy - rzekł wymijająco. - Wcześniej czy później trzeba będzie go zahartować.

- Wszystko w swoim czasie.

Sędzia, sir Lewis Abingdon, był londyńskim prawnikiem z królewskiego dworu wysłanym do rozpatrywania poważnych spraw w sądach okręgowych. O sporej tuszy, z rumianą twarzą i jasną brodą, był dziesięć lat młodszy od Ralpa.

Ralph mówił sobie, że nie powinno go to dziwić. Miał teraz czterdzieści cztery lata. Połowę jego pokolenia zabrała zaraza. Mimo to wciąż dziwił się, widząc szacownych i wpływowych ludzi młodszych od siebie.

Czekał, z Gerrym i Roleyem, w bocznej salce gospody Court House, podczas gdy zbierał się sąd i sprowadzano więźniów z zamku. Okazało się, że sir Lewis jako młody giermek był pod Crecy, chociaż Ralph go nie pamiętał. Traktował Ralpa z czujną kurtuazją.

Ralph próbował delikatnie wybadać sędziego i dowiedzieć się, jakie ma poglądy.

- Okazało się, że trudno jest wymusić przestrzeganie edyktu o robotnikach rolnych - rzekł. - Kiedy wieśniacy widzą jakiś sposób zarobienia pieniędzy, tracą wszelki szacunek dla prawa.

- Na każdego zbiega pracującego za nielegalne stawki przypada pracodawca, który je płaci - zauważył sędzia.

- Właśnie! Zakonnice z opactwa Kingsbridge nigdy nie przestrzegały tego edyktu.

- Trudno karać zakonnice.

- Nie rozumiem dlaczego. Sir Lewis zmienił temat.

- Czy jesteś szczególnie zainteresowany dzisiejszym posiedzeniem? Zapewne powiedziano mu, że to niezwykle, by Ralph korzystał ze swego prawa zasiadania obok sędziego.

- Ten morderca jest moim poddanym - przyznał Ralph. - Jednak głównym powodem mojej obecności jest chęć pokazania moim chłopcom, jak działa wymiar sprawiedliwości. Jeden z nich zapewne zostanie hrabią, kiedy ja oddam ducha. Jutro mogą oglądać egzekucję. Im prędzej oswoją się z widokiem śmierci, tym lepiej.

Lewis przytaknął skinieniem głowy.

- Synowie szlachetnie urodzonych nie mogą mieć miękkiego serca. Usłyszeli, jak urzędnik sądowy uderzył młotkiem o pulpit i gwar rozmów w sąsiedniej sali ucichł. Obawy Ralpa nie rozwiały się, gdyż z rozmowy z sir Lewisem niewiele się dowiedział. Może samo w sobie było to pocieszające - mogło oznaczać, że sędzia nie ulega łatwo wpływom.

Sir Lewis otworzył drzwi i odsunął się, przepuszczając hrabiego.

Na podium w bliższym końcu sali ustawiono dwa duże fotele. Obok nich stała ława. Wśród zebranych rozległ się szmer zainteresowania, gdy zasiedli na niej Gerry i Roley. Ludzi zawsze

fascynował widok dzieci, które kiedyś zostaną ich panami. Jednak bardziej, pomyślał Ralph, poruszyła wszystkich niewinność chłopców, tak kontrastująca z salą sądu zajmującego się przemocą, kradzieżami i nieuczciwością. Wyglądali jak owieczki w chlewie.

Ralph usiadł w jednym z dwóch foteli i myślał o dniu przed dwudziestoma dwoma laty, gdy stał w tej samej sali oskarżony o gwałt - śmieszny zarzut, skoro tak zwaną ofiarą była jedna z jego poddanych. To Philippa stała za tym złośliwym oskarżeniem. No cóż, później kazał jej za to odpokutować.

Podczas tamtego procesu Ralph zdołał uciec z tej sali, gdy sąd uznał go za winnego, a potem został ułaskawiony, dołączył do królewskiej armii i udał się do Francji. Sam nie ucieknie: nie ma broni i ma skute nogi. Zaś francuskie wojny skończyły się, więc nie będzie więcej ułaskawień.

Kiedy odczytywano akt oskarżenia, Ralph przyglądał się Samowi. Miał budowę Wulfrica, nie Gwendy: był wysoki i szeroki w barach. Gdyby był lepiej urodzony, mógłby być użyteczny jako zbrojny. Wcale nie był podobny do Wulfrica, choć rysy jego twarzy kogoś mu przypominały. Jak wielu oskarżonych miał wyzywającą minę, którą maskował strach. Ja też się tak czułem, pomyślał Ralph.

Jako pierwszy świadek wystąpił Nathan Reeve. Był ojcem zabitego, lecz - co ważniejsze - zeznał, że Sam był poddanym hrabiego Ralpa i nie dostał pozwolenia na przeniesienie się do Oldchurch. Powiedział, że posłał swego syna Jonna za Gwendą w nadziei wytropienia zbiega. Nie wzbudził sympatii, lecz jego smutek był szczery. Ralph ucieszył się: to było piekielnie obciążające zeznanie.

Gwenda stała obok syna, sięgając mu zaledwie do ramienia. Nie była piękną: czarne oczy miała zbyt blisko osadzone, haczykowaty nos, a cofnięte czoło i podbródek trochę upodabniały ją do zawziętego gryzonia. Mimo to miała w sobie jakąś zmysłowość, choć była już w średnim wieku. Minęło ponad dwadzieścia lat, od kiedy Ralph z nią spał, ale pamiętał to, jakby to było wczoraj. Zrobili to w pokoju w gospodzie Bella w Kingsbridge i kazał jej klęczeć na łóżku. Wyobraził to sobie teraz i podnieciło go wspomnienie jej zgrabnego ciała. Pamiętał, że miała gęste czarne włosy łonowe.

Nagle napotkała jego wzrok. Spojrzała mu w oczy i jakby wyczytała z nich, o czym myśli. Wtedy, w łóżku, z początku była obojętna i nieruchoma, biernie przyjmując jego pchnięcia, ponieważ ją do tego zmusił, lecz pod koniec stało się z nią coś dziwnego i niemal wbrew woli zaczęła poruszać się w zgodnym rytmie. Widocznie teraz przypominała sobie o tym, gdyż na jej pospolitej twarzy zobaczył zawstydenie i szybko odwróciła wzrok.

Obok niej stał inny młodzieniec, zapewne młodszy syn. Ten był bardziej podobny do niej, mały i żyłasty, wyglądający na bystrego. Ze skupieniem spoglądał na Ralpa, jakby był ciekaw tego,

co dzieje się w głowie hrabiego, i z jego twarzy zamierzał wyczytać odpowiedź na to pytanie.

Jednak Ralpa najbardziej interesował ojciec. Nienawidził Wulfrica od czasu ich bójki podczas święta runa w 1337 roku. Odruchowo dotknął swojego złamanego nosa. W późniejszych latach ranili go inni ludzie, lecz nikt tak dotkliwie nie zranił jego dumy. Jednak Ralph straszliwie zemścił się na Wulfricu. Na dziesięć lat pozbawiłem go ojcowizny, myślał. Spałem z jego żoną. Zostawiłem mu bliznę na policzku, kiedy próbował zapobiec mojej ucieczce z tej sali. Przywlokłem go z powrotem, kiedy próbował uciec. A teraz powieszę jego syna.

Wulfric był potężniejszy niż kiedyś, ale dobrze mu było z tuszą. Miał przetykaną siwizną brodę, która nie zakrywała długiej blizny po ranie od miecza Ralpa, jego twarz porwana była bruzdami i ogorzała. Podczas gdy Gewnda wyglądała na rozgniewaną, Wulfric był przygnębiony. Kiedy wieśniacy z Oldchurch zeznawali, że Sam zabił Jonna dębowym szpadlem, w oczach Gwendy pojawił się wyzywający błysk, natomiast na szerokim czole Wulfrica - zmarszczki niepokoju.

Przewodniczący ławy przysięgłych zapytał, czy Sam obawiał się o swoje życie.

Ralph był niezadowolony. To pytanie podsuwało zabójcy usprawiedliwienie.

Odpowiedział chudy wieśniak z jednym okiem.

- Nie bał się zarządcy, nie. Jednak myślę, że bał się swojej matki. Tłum zachichotał.

Przewodniczący zapytał, czy Jonno sprowokował atak - następne pytanie, które zaniepokoiło Ralpa, wskazując na sympatię dla Sama.

- Sprowokował? - powtórzył jednooki. - Tylko uderzając go okowami w twarz, jeśli można to nazwać prowokacją.

Teraz rozległy się głośne śmiechy.

Wulfric słuchał tego z wyraźnym zdumieniem. Jak ci ludzie mogą żartować, zdawał się mówić wyraz jego twarzy, gdy stawką jest życie mojego syna?

Ralph był coraz bardziej zaniepokojony. Ten przewodniczący wydawał się nierozsądny.

Do złożenia zeznania wezwano Sama i Ralph zauważył, że mówiąc, młodzieniec bardziej przypomina Wulfrica. Tak samo przechylał głowę i poruszał ręką. Sam powiedział, że proponował Jonnowi, żeby spotkali się rano, zaś Jonno w odpowiedzi próbował założyć mu kajdany na nogi.

Ralph powiedział do sędziego półgłosem, tłumiąc oburzenie:

- To wszystko nie czyni żadnej różnicy. Czy się bał, czy był sprowokowany, czy chciał spotkać się następnego ranka.

Sir Lewis nie odpowiedział.

- Jest faktem, że był zbiegiem i zabił człowieka, który po niego przyjechał - stwierdził Ralph.

- Istotnie tak zrobił - ostrożnie odparł sir Lewis, co nie usatysfakcjonowało Ralpha.

Gdy sędziowie przesłuchiwali Sama, Ralph przyglądał się widzom. Merthin był w tłumie, razem ze swoją żoną. Zanim została zakonnica, Caris lubiła się modnie ubierać i po zrzuceniu habitu powróciła do tego zwyczaju. Dziś miała na sobie suknię z dwóch rodzajów materiału - niebieskiego i zielonego, oraz obszyty futrem płaszcz ze szkarłatu z Kingsbridge i okrągły kapelusik. Ralph przypomniał sobie, że w dzieciństwie Caris była przyjaciółką Gwendy i wszyscy razem widzieli, jak Thomas Langley zabił w lesie dwóch zbrojnych. Ze względu na Gwendę Merthin i Caris zapewne mieli nadzieję, że Sam zostanie potraktowany litościwie. Na pewno nie, dopóki będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia, pomyślał Ralph.

Następczyni Caris na stanowisku przeorowskiej, matka Joan, też pojawiła się w sądzie, zapewne dlatego, że zakon był właścicielem doliny Outhenby, a więc nielegalnym pracodawcą Sama. Joan powinna być w dybach razem z oskarżonym, pomyślał Ralph, lecz gdy napotkał jej spojrzenie, zobaczył, że patrzy na niego oskarżycielsko, jakby uważała, że zawinił bardziej od niej.

Przeor Kingsbridge nie zjawił się. Sam był siostrzeńcem Philemona, lecz ten nie chciał przypominać ludziom o fakcie, że jest wujem mordercy. Ralph pamiętał, że Philemon żywił kiedyś opiekuńcze uczucia wobec swej młodszej siostry, lecz te chyba osłabły z biegiem lat.

Obecny był również dziad Sama, cieszący się złą sławą Joby, teraz siwowłosy starzec, zgarbiony i bezzębny. Po co tu przyszedł? Od lat był skłócony z Gwendą i niepodobna, żeby żywił jakieś ciepłe uczucia do wnuka. Zapewne przyszedł tu, by kraść pieniądze z sakiewek ludzi pochłoniętych procesem.

Sam skończył zeznawać i sir Lewis wygłosił krótką mowę. Jego podsumowanie ucieszyło Ralpha.

- Czy Sam z Wigleigh był zbiegiem? - zapytał. - Czy Jonno Reeve miał prawo go aresztować? I czy Sam zabił Jonna szpadlem? Jeśli odpowiedź na wszystkie te trzy pytania jest twierdząca, to Sam jest winny morderstwa.

Ralph był zaskoczony i zadowolony. Żadnych głupich rozważań, czy Sam został sprowokowany, czy nie. Sędzia jednak jest rozsądny.

- Jaki jest wasz werdykt? - zapytał się Lewis.

Ralph spojrzał na Wulfrica. Ten był wstrząśnięty. Oto, co spotyka tych, którzy mi się sprzeciwiają, pomyślał Ralph i pożałował, że nie może powiedzieć tego głośno.

Wulfric podchwycił jego spojrzenie i Ralph popatrzył mu w oczy, próbując odgadnąć jego myśli. Wulfric jeszcze nigdy nie okazał strachu, ale teraz się załamywał. Jego syn miał zostać powieszony, i to był dla niego cios. Widząc strach w oczach Wulfrica, Ralph poczuł głęboką

satysfakcję. W końcu cię zmiądzylem, pomyślał, po dwudziestu czterech latach. Nareszcie się boisz.

Przysięgli naradzali się. Przewodniczący zdawał się spierać z pozostałymi. Ralph obserwował ich niecierpliwie. Chyba nie mają wątpliwości po tym, co powiedział sędzia? Jednak z sędziami niczego nie można być pewnym. Chyba teraz już nie może się nie udać? - pomyślał Ralph. Najwyraźniej uzgodnili werdykt, chociaż nie potrafił odgadnąć, czyje zdanie przeważało. Przewodniczący wstał.

- Orzekamy Sama z Wigleigh winnym morderstwa - oznajmił.

Ralph nie odrywał oczu od swojego starego wroga. Wulfric wyglądał jak pchnięty nożem. Zbladł i zamknął oczy. Ralph próbował ukryć triumfalny uśmiech.

Sir Lewis zwrócił się do Ralpa, a ten oderwał wzrok od Wulfrica.

- Co sądzisz o orzeczeniu? - zapytał sędzia.

- Moim zdaniem jest tylko jedna możliwość. Sir Lewis skinął głową.

- Ława nie zaleciła łaskawego traktowania.

- Nie chcę, żeby zbiegowi uszło na sucho zamordowanie zarządcy.

- Zatem najwyższy wymiar kary?

- Oczywiście!

Sędzia odwrócił się do sali. Ralph znów zaczął gapić się na Wulfrica. Wszyscy inni patrzyli na sir Lewisa.

- Samie z Wigleigh - powiedział sędzia - zamordowałeś syna twojego zarządcy i skazujemy cię na śmierć. Zostaniesz powieszony na rynku w Shiring jutro o świcie i niech Bóg ulituje się nad twoją duszą.

Wulfric zachwiał się. Jego młodszy syn złapał go pod rękę i przytrzymał, inaczej może upadłby na podłogę. Niech upadnie, chciał powiedzieć Ralph, jest skończony.

Spojrzał na Gwendę. Trzymała Sama za rękę, ale patrzyła na Ralpa. Zaskoczył go wyraz jej twarzy. Spodziewał się smutku, łez, krzyków, hysterii, tymczasem ona spoglądała na niego spokojnie. W oczach miała nienawiść i jeszcze coś: wyzwanie. W przeciwieństwie do męża nie była załamana. Widocznie nie uważała, że jest już po wszystkim.

Wygląda tak, z niepokojem pomyślał Ralph, jakby szykowała jakąś niespodziankę.

84

Caris rozplakała się, gdy wyprowadzano Sama, lecz Merthin nie potrafił udawać zasmuconego. Dla Gwendy to była tragedia i było mu bardzo żal Wulfrica, jednak dla reszty świata nie będzie wielką stratą, jeśli Sam zostanie powieszony. Jonno Reeve egzekwował prawo. Mogło to być złe prawo, niesprawiedliwe i niedobre - lecz to nie usprawiedliwiało Sama. W końcu Nate Reeve też

był w żałobie. Fakt, że nikt go nie lubi, niczego nie zmienia.

Następnie postawiono przed sądem jakiegoś złodzieja, więc Merthin i Caris opuścili salę sądową i poszli do gospody. Merthin zamówił wino i nalał kubek Caris. Po chwili podeszła do nich Gwenda.

- Jest południe - powiedziała. - Mamy osiemnaście godzin, żeby uratować Sama.

Merthin spojrzał na nią zdziwiony.

- Co proponujesz? - zapytał.

- Musimy skłonić Ralpa, żeby wyjednał dla niego łaskę u króla. To wydawało się bardzo mało prawdopodobne.

- A jak zamierzasz go do tego namówić?

- Ja nie zdołam - powiedziała Gwenda. - Jednak ty możesz. Merthin poczuł, że wpadł w pułapkę. Nie wierzył, że Sam zasługuje na ulaskawienie. Z drugiej strony trudno odmówić błagającej matce.

- Już raz interweniowałem u brata w twojej sprawie, pamiętasz?

- Oczywiście - odparła Gwenda. - Chodziło o to, że pozbawił Wulfrica ojcowizny.

- Nie chciał mnie wysłuchać.

- Wiem. Jednak musisz spróbować.

- Nie jestem pewien, czy jestem najlepszą osobą do tej misji.

- A kogo innego zechce choćby wysłuchać?

Miała rację. Merthin miał niewielkie szanse na sukces, lecz każda inna osoba nie miała żadnych.

Caris widziała, że się waha, i poparła Gwendę.

- Proszę, Merthinie, pomyśl, jak byś się czuł, gdyby to była Lolla.

Już miał powiedzieć, że dziewczęta nie wdają się w bójki, ale uświadomił sobie, że w przypadku Lolli było to dość prawdopodobne. Westchnął.

- Myślę, że to próba z góry skazana na niepowodzenie. - Spojrzał na Caris. - Jednak spróbuję, ze względu na ciebie.

- Czemu nie od razu? - zapytała Gwenda.

- Ponieważ Ralph jest jeszcze w sądzie.

- Już prawie pora obiadu. Wkrótce skończą. Mógłbyś zaczekać w komnacie sędziego.

Mimo woli podziwiał jej stanowczość.

- Dobrze - zgodził się.

Opuścił salę i poszedł na tyły gospody. Pod drzwiami prywatnego pokoju sędziowskiego stał

strażnik.

- Jestem bratem hrabiego - powiedział do niego Merthin. - Przewodniczący gildii Kingsbridge, Merthin Bridger.

- Tak, znam cię - rzekł wartownik. - Jestem pewien, że możesz zaczekać w środku.

Merthin wszedł do pokoiku i usiadł. Czuł się niezręcznie, prosząc brata o przysługę.

Od wielu lat nie byli sobie bliscy. Ralph już dawno temu bardzo się zmienił. Merthin nie znał tego człowieka, który zgwałcił Annet i zamordował Tilly. Wydawało się niemożliwe, by ktoś taki mógł wyrosnąć z chłopca, którego Merthin nazywał swoim bratem. Od kiedy umarli ich rodzice, spotkali się tylko podczas kilku oficjalnych uroczystości, a i wtedy prawie ze sobą nie rozmawiali. Byłby naiwny, gdyby sądził, że łączące ich pokrewieństwo skłoni Ralpha do wysłuchania jego prośby. I nie przyszedłby tu dla Gwendy. Jednak musiał to zrobić dla Caris.

Nie czekał długo. Po kilku minutach do pokoju weszli sędzia i hrabia. Merthin zauważył, że utykanie brata - skutek rany odniesionej podczas wojny we Francji - z wiekiem się pogłębiło.

Sędzia Lewis rozpoznał Merthina i uściśnął mu dłoń. Ralph zrobił to samo.

- Wizyta mojego brata to rzadka przyjemność - powiedział z ironią. Był to uzasadniony przytyk i Merthin skwitował go skinieniem głowy.

- Z drugiej strony - rzekł - sądzę, że jeśli ktoś jest uprawniony prosić cię o łaskę, to ja.

- Dlaczego chcesz prosić o łaskę? Zabiłeś kogoś?

- Jeszcze nie.

Sir Lewis zachichotał.

- To o co chodzi? - spytał Ralph.

- Ty i ja znamy Gwendę od dziecka. Ralph skinął głową.

- Ustrzeliłem jej psa z łuku, który zrobiłeś.

Merthin zapomniał o tym wydarzeniu. Patrząc na to z perspektywy czasu, uświadomił sobie, że była to zapowiedź tego, kim stanie się Ralph.

- Może z tego powodu powinieneś się nad nią zlitować.

- Myślę, że syn Nate'a Reeve'a wart był więcej niż jakiś przeklęty pies, nie uważasz?

- Nie zamierzałem sugerować, że jest inaczej. Chciałem jedynie rzec, że mógłbyś teraz wielkodusznością zrównoważyć tamto okrucieństwo.

- Zrównoważyć? - Ralph podniósł głos i Merthin zrozumiał, że sprawa jest przegrana.

- Zrównoważyć? - Postukał się w złamany nos. - Jak mam zrównoważyć to? - Agresywnie wymierzył palec w Merthina. - Powiem ci, dlaczego nie ulaskawię Sama. Ponieważ dziś na sali sądowej widziałem twarz Wulfrica, kiedy jego syna uznano za winnego morderstwa, i wiesz, co na niej

ujrzałem? Strach. Ten bezczelny wieśniak w końcu się mnie boi. Został ujarzmiony.

- I to tak dużo dla ciebie znaczy?

- Powiesiłbym sześciu ludzi, żeby to zobaczyć.

Merthin już miał dać za wygraną, ale pomyślał o smutku Gwendy i spróbował jeszcze raz:

- Skoro go pokonałeś, to dopiąłeś swego, prawda? Zatem możesz odpuścić chłopcu. Poproś króla, żeby go ułaskawił.

- Nie. Chcę, żeby Wulfric cierpiał.

Merthin pożałował, że tu przyszedł. Naciskanie Ralpa ujawniło tylko najgorsze jego cechy. Mściwość i zajadłość brata nappełniła Merthina odrazą. Nigdy więcej nie zamierzał z nim rozmawiać. Było to znajome uczucie: już raz przez to przechodził. Nie wiedzieć czemu, zawsze był wstrząśnięty, przekonując się, jaki naprawdę jest Ralph.

Merthin odwrócił się.

- Cóż, musiałem spróbować - powiedział. - Do widzenia. Ralph zmienił ton.

- Przyjdź do zamku na obiad. Szeryf zawsze dobrze karmi. Przyprawdź Caris. Porozmawiamy. Jest ze mną Philippa. Lubisz ją, prawda?

Merthin nie miał zamiaru przychodzić.

- Zapytam Caris - obiecał.

Wiedział, że Caris wolałaby zjeść obiad z Lucyferem.

- Zatem może zobaczymy się później. Merthin wyszedł.

Gdy wrócił do gospody, Caris i Gwenda patrzyły wyczekująco na niego. Pokręcił głową.

- Robiłem, co mogłem - powiedział. - Przykro mi.

Gwenda spodziewała się tego. Była rozczarowana, ale nie zdziwiona. Uważała, że musi spróbować za pośrednictwem Merthina. Drugi sposób, jaki miała do dyspozycji, był o wiele bardziej drastyczny.

Zdawkowo podziękowała Merthinowi i opuściła zajazd, kierując się do zamku. Wulfric i Davey poszli do taniej gospody na przedmieściu, gdzie mogli zjeść sycący posiłek za ćwierć pensa. Wulfric i tak na nic by się tu nie przydał. Jego siła i uczciwość były bezużyteczne w negocjacjach z takimi jak Ralph.

Ponadto Wulfric nie mógł nawet podejrzewać, w jaki sposób ma zamiar przekonać Ralpa.

Idąc pod górę, usłyszała za plecami stukot kopyt. Przystanęła i odwróciła się. To był Ralph,

jadący na zamek ze swoją świtą i sędzią. Stała nieruchomo i bacznie mu się przyglądała, tak by to widział. Domyśli się, że Gwenda idzie, by się z nim zobaczyć.

Po kilku minutach weszła na dziedziniec zamku, lecz do domu szeryfa nie było tak łatwo się dostać. Weszła na ganek głównego budynku i powiedziała do majordomusa:

- Jestem Gwenda z Wigleigh. Proszę, powiedz hrabiemu Ralphowi, że muszę porozmawiać z nim na osobności.

- Tak, tak - odparł - rozejrzyj się: wszyscy ci ludzie chcą się zobaczyć z hrabią, sędzią lub szeryfem.

Na dziedzińcu stało dwadzieścia lub trzydzieści osób. Niektórzy ściskali zwoje pergaminu.

Gwenda zamierzała podjąć ogromne ryzyko, żeby uchronić syna przed powieszeniem, ale nie będzie miała okazji, jeśli nie zdoła porozmawiać z Ralphem przed świtem.

- Ile? - zapytała.

Spojrzał na nią z nieco większym szacunkiem.

- Nie mogę obiecać, że się z tobą zobaczy.

- Możesz podać mu moje imię.

- Dwa szylingi. Dwadzieścia cztery srebrne pensy.

To było dużo pieniędzy, lecz Gwenda miała w sakiewce wszystkie ich oszczędności. Jednak nie spieszyła się z wręczaniem łapówki.

- Jak się zwę? - zapytała.

- Nie wiem. ».

- Dopiero co ci mówiłam. Jak podasz hrabiemu Ralphowi moje imię, jeśli go nie pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

- Powtórz je.

- Gwenda z Wigleigh.

- W porządku, wspomnę mu o tobie.

Gwenda wsunęła dłoń do sakiewki, wyjęła garść srebrnych monet i odliczyła dwadzieścia cztery. Była to równowartość dniówek z dwóch tygodni. Pomyślała o ciężkiej pracy, jakiej wymagało zarobienie tych pieniędzy. Teraz ten leniwy, nadęty odźwierny dostanie je właściwie za darmo.

Majordomus wyciągnął rękę.

- Jak się zwę? - zapytała.

- Gwenda.

- A dalej?

- Z Wigleigh. - I dodał: - To stamtąd pochodzi ten skazany rano morderca, czyż nie? Dała

mu pieniądze.

- Hrabia zobaczy się ze mną - powiedziała z udawaną pewnością siebie. Majordomus schował pieniądze.

Gwenda wróciła na dziedziniec, nie wiedząc, czy nie wyrzuciła tych pieniędzy w błoto.

Po chwili zobaczyła znajomą postać o małej główce na szerokich ramionach. Alan Fernhill. Szczęście uśmiechnęło się do niej. Szedł od strony stajni do sali. Inni petenci nie poznali go. Gwenda zastąpiła mu drogę.

- Witaj, Alanie.

- Teraz jestem sir Alanem.

- Gratuluję. Powiesz Ralphowi, że chcę się z nim widzieć?

- Nie muszę cię pytać w jakiej sprawie.

- Powiedz, że chcę z nim porozmawiać na osobności. Alan uniósł brwi.

- Bez obrazy, ale poprzednio byłeś młodą dziewczyną. Teraz jesteś dwadzieścia lat starsza.

- Nie sądzisz, że to on powinien zdecydować?

- Oczywiście - odparł z beczelnym uśmiechem. - Wiem, że pamięta tamto popołudnie w Bell.

Oczywiście, Alan był przy tym. Patrzył, jak Gwenda zdejmuje odzienie, i gapił się na jej nagie ciało. Widział, jak szła do łóżka i klękała na materacu, twarzą do ściany. Śmiał się chrapliwie, gdy Ralph powiedział, że od tyłu wygląda lepiej.

Ukryła swoją odrazę i wstyd.

- Taką miałam nadzieję - powiedziała obojętnie.

Inni petenci pojęli, że Alan musi być kimś ważnym. Zaczęli się do niego cisnąć, prosząc i błagając. Odepchnął ich i wszedł do środka.

Gwenda przygotowała się na długie czekanie.

Po godzinie stało się jasne, że Ralph nie zamierza zobaczyć się z nią przed obiadem. Znalazła kawałek suchej ziemi i usiadła, oparłszy się plecami o ścianę, ani na chwilę nie odrywając oczu od drzwi.

Minęła druga godzina i trzecia. Szlachta często uctowała przez całe popołudnie. Gwenda zastanawiała się, jak mogą tyle jeść i pić. Dlaczego nie pękają obżarstwa?

Ona nic nie jadła cały dzień, lecz była zbyt spięta, by czuć głód.

Był pochmurny kwietniowy dzień i niebo wcześniej zaczęło ciemnieć. Gwenda drżała na

zimnej ziemi, ale nie ruszała się z miejsca. To była jej jedyna szansa.

Wyszli słudzy i pozapalali pochodnie wokół dziedzińca. Przez szpary w okiennicach niektórych komnat sączyło się światło. Zapadła noc i Gwenda zdawała sobie sprawę, że do świtu pozostało zaledwie dwanaście godzin. Myślała o Samie, siedzącym w jednym z lochów pod zamkiem, i zastanawiała się, czy jest mu zimno. Walczyła ze łzami.

To jeszcze nie koniec, mówiła sobie, lecz powoli traciła otuchę.

Nagle jakaś wysoka postać zasłoniła blask najbliższej pochodni. Gwenda podniosła głowę i zobaczyła Alana. Serce zabiło jej mocniej.

- Chodź ze mną - rzucił.

Zerwała się z ziemi i ruszyła do drzwi sali.

- Nie tędy.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Chciałaś rozmawiać na osobności, czyż nie? - rzekł Alan. - Nie zamierza spotkać się z tobą w komnacie, którą dzieli z hrabiną. Chodź tędy.

Weszła za nim przez boczne drzwi obok stajni. Przeprowadził ją przez kilka pokoi i po schodach. Otworzył drzwi do wąskiej sypialni. Weszła do środka. Alan nie wszedł za nią, lecz zamknął drzwi od zewnątrz.

Wielkie łóżko zajmowało prawie całe pomieszczenie. Ralph stał pod oknem w samej koszuli. Jego buty i wierzchnie odzienie leżały niedbale rzucone na podłodze. Twarz miał czerwona od wypitego wina, ale mówił głośno i wyraźnie.

- Zdejmij suknię.

- Nie - powiedziała Gwenda. Był zaskoczony.

- Nie zamierzam się rozbierać.

- To czemu powiedziałaś Alanowi, że chcesz rozmawiać ze mną na osobności?

- Żebyś pomyślał, że chcę się z tobą kochać.

- Skoro nie... to po co przyszłaś?

- Błagać cię, żebyś poprosił króla o ułaskawienie.

- Jednak nie zamierzasz mi się oddać?

- A dlaczego miałabym to zrobić? Zrobiłam to kiedyś, a ty złamałeś dane słowo. Zmieniłeś umowę. Oddałam ci moje ciało, lecz ty nie oddałeś mojemu mężowi jego ziemi. - Pozwoliła, by jej głos wyrażał całą wzdargę, jaką do niego czuje. - Teraz zrobiłbyś to samo. Nie masz honoru. Przypominasz mi mojego ojca.

Ralph poczerwieniał. Stwierdzenie, że nie można ufać jego słowu, było dla hrabiego

zniewagą, a jeszcze większą porównanie go z wyrobnikiem bez ziemi, który łapie wiewiórki po lasach.

- Wyobrażasz sobie, że w ten sposób mnie przekonasz? - spytał gniewnie.

- Nie. Jednak poprosisz króla o ułaskawienie.

- Niby czemu?

- Ponieważ Sam jest twoim synem.

Ralph przez chwilę gapił się na nią oniemiały.

- Ha - prychnął pogardliwie. - Akurat uwierzę.

- To twój syn - powtórzyła.

- Nie możesz tego dowieść.

- Nie, nie mogę. Jednak wiesz, że spałam z tobą w gospodzie w Kingsbridge dziewięć miesięcy przed tym, zanim Sam przyszedł na świat. To prawda, że sypiałam również z Wulfrikiem. Który z was jest więc ojcem Sama? Spójrz na chłopca! Owszem, mówi i porusza się jak Wulfric, bo nauczył się tego przez dwadzieścia dwa lata. Przyjrzyj się jednak jego rysom.

Zobaczyła cień wątpliwości na twarzy Ralpa i wiedziała, że dotarło do niego coś z tego, co powiedziała.

- A przede wszystkim pomyśl, jaki ma charakter - dodała, idąc za ciosem. - Słyszałeś zeznania świadków. Sam nie pokonał Jonna tak, jak zrobiłby to Wulfric. Nie obalił go, żeby zaraz pomóc mu podnieść się z ziemi, jak ma w zwyczaju Wulfric. Wulfric jest silny i łatwo wpada w gniew, ale ma dobre serce. Sam nie. Sam uderzył Jonna szpadlem, zadając mu cios, który każdego pozbawiłby przytomności, a potem, zanim Jonno upadł, Sam uderzył go ponownie, jeszcze mocniej, choć przeciwnik był już niegroźny. A później, zanim bezwładne ciało Jonna upadło na ziemię, Sam uderzył go po raz trzeci. Gdyby wieśniacy nie rzucili się na Sama i nie przytrzymali go, tłukłby nadal tym zakrwawionym szpadlem, aż rozbiłby głowę Jonna na miazgę. Chciał go zabić!

Uświadomiła sobie, że płacze, i otarła łzy rękawem.

Ralph patrzył na nią przerażony.

- Po kim on ma tę naturę zabójcy, Ralphie? - zapytała. - Wejrzyj w swoje własne czarne serce. Sam to twój syn. I, niech mi Bóg wybaczy, mój.

Kiedy Gwenda poszła, Ralph usiadł na łożu w ciasnej sypialni, gapiąc się na płomień świecy. Czy to możliwe? Oczywiście, Gwenda skłamałaby, gdyby miała w tym jakiś interes, więc to nie była kwestia zaufania jej. Jednak Sam równie dobrze mógł być synem jego, jak i Wulfrica. Obaj w tym czasie spali z Gwenda. Prawda może nigdy nie wyjść na jaw.

Jednak już samo przypuszczenie, że Sam jest jego synem, przejęło Ralpa zgrozą. Czyżby miał powiesić własnego syna? Straszliwa kara, jaką pragnął wymierzyć Wulfricowi, mogła się obrócić

przeciwko niemu samemu.

Zapadła noc. Sama mieli powiesić rano. Ralphowi nie zostało wiele czasu na decyzję.

Wziął świecę i opuścił pokoi. Zamierzał tu zaspokoić cielesną żądzę, a zamiast tego przeżył największy wstrząs w swoim życiu.

Wyszedł na dwór i przeszedł przez dziedziniec do aresztu. Na parterze znajdowały się pokoje zastępców szeryfa. Wszedł tam i powiedział do mężczyzny pełniącego służbę:

- Chcę porozmawiać z mordercą Samem z Wigleigh.

- Bardzo dobrze, panie - powiedział strażnik. - Chodź za mną. Oświetlając mu drogę, zaprowadził Ralpha do sąsiedniego pomieszczenia. Była tam osadzona w podłodze kraty i paskudny odór. Ralph spojrzął w dół, przez kratę. Cella miała dziewięć lub dziesięć stóp głębokości, kamienne ściany i polepę zamiast posadzki. Nie było w niej żadnych sprzętów. Sam siedział na ziemi oparty plecami o ścianę. Obok niego stał drewniany dzban, zapewne z wodą. Niewielki otwór w ziemi zapewne był latryną. Sam spojrzął w górę, a potem obojętnie odwrócił głowę.

- Otwórz - rozkazał Ralph.

Strażnik kluczem otworzył kratę. Unosiła się na zawiasach.

- Chcę tam zejść.

Strażnik był zdziwiony, ale nie spierał się z hrabią. Wziął opartą o ścianę drabinę i spuścił ją do celi.

- Uważaj, proszę, panie - rzekł nerwowo. - Pamiętaj, że ten łotr nie ma nic do stracenia.

Ralph zszedł na dół, niosąc świecę. Smród był obrzydliwy, lecz on na to nie zważał. Dotarł na dół i odwrócił się.

Sam spojrzął na niego niechętnie.

- Czego chcesz? - zapytał.

Ralph patrzył na niego. Przykucnął i przysunął świecę do twarzy skazańca, studiując rysy jego twarzy, próbując porównać je z tymi, które widywał w lustrze.

- Co jest? - mruknął Sam zirytowany dziwnym zachowaniem Ralpha. Ralph nie odpowiedział. Czy to jego dziecko? To możliwe, pomyślał. Całkiem możliwe. Sam jest przystojnym młodzieńcem, a Ralpha za młodu też uważano za urodziwego, zanim Wulfric złamał mu nos. Już wcześniej, w sądzie, rysy Sama wydawały się Ralphowi znajome. Teraz skupił się, szukając w pamięci, starając się przypomnieć sobie, kogo ten młodzian mu przypomina. Prostny nos, ciemne oczy, grzywa gęstych włosów, której zazdrościłyby mu dziewczęta...

Nagle pojął.

Sam był podobny do matki Ralpha, lady Maud.

- Dobry Boże... - wykrztusił.

- Co? - spytał Sam, a w jego głosie był strach. - Co jest? Ralph poczuł, że musi mu coś powiedzieć.

- Twoja matka... - zaczął i zamilkł. Gardło miał ściśnięte z emocji. Spróbował ponownie: - Twoja matka wstawiła się za tobą... bardzo przekonująco.

Sam spojrział na niego ze znużeniem i nic nie powiedział. Myślał, że Ralph przyszedł z niego drwić.

- Powiedz mi - ciągnął Ralph - kiedy uderzyłeś Jonna szpadlem... czy chciałeś go zabić? Możesz być szczery, nie masz już się czego obawiać.

- Oczywiście, że chciałem go zabić - odparł Sam. - Chciał mnie aresztować.

Ralph skinął głową.

- Ja czułbym to samo - powiedział. Zamilkł, popatrzył na Sama, a potem powtórzył: - Ja czułbym to samo.

Wstał, podszedł do drabiny, zawahał się, a potem odwrócił się znowu i postawił świecę na ziemi obok Sama, po czym wrócił na górę. Strażnik opuścił i zamknął kratę.

- Nie będzie wieszania - rzekł do niego Ralph. - Więzień zostanie ułaskawiony. Niezwłocznie porozmawiam z szeryfem.

Gdy opuścił pokój, strażnik kichnął.

85

Kiedy Merthin i Caris wrócili z Shiring do Kingsbridge, odkryli, że Lolla zniknęła.

Ich wieloletni służący, Arn i Em, czekali przy bramie ogrodu i wyglądało na to, że nie ruszali się stamtąd przez cały dzień. Em zaczęła coś mówić, ale zaraz wybuchła płaczem i to Arn musiał przekazać im złe wieści.

- Nigdzie nie możemy znaleźć Lolli - powiedział przygnębiony. - Nie wiemy, gdzie ona jest.

W pierwszej chwili Merthin źle go zrozumiał.

- Zjawi się na kolacji - powiedział. - Nie denerwuj się, Em.

- Nie wróciła do domu tej nocy ani poprzedniej - dodał Arn. Dopiero wtedy Merthin pojął, że Lolla uciekła z domu. Dreszcz strachu zmroził go jak zimowy chłód, ściskając serce. Ma dopiero szesnaście lat. Przez chwilę nie był w stanie trzeźwo myśleć, tylko wyobrażał ją sobie w pół drogi między dzieciństwem a dorosłością - jej skupione piwne oczy, zmysłowe usta, takie, jakie miała jej matka, i pozorną pewność siebie.

Kiedy odzyskał zdolność logicznego myślenia, zadał sobie pytanie, co się mogło stać. Od kiedy skończyła pięć lat, wielokrotnie zostawiał Lollę na kilka dni po opieką Arna i Em i nigdy nie

stało jej się nic złego. Co się zmieniło?

Uświadomił sobie, że prawie nie rozmawiał z nią od dwóch tygodni, od tamtej niedzieli wielkanocnej, kiedy wziął ją pod rękę i odciągnął od cieszących się złą sławą przyjaciół przed Białym Koniem. Dąsała się na górze, kiedy reszta rodziny jadła obiad, i nie pokazała się nawet wtedy, kiedy aresztowano Sama. Wciąż była nadąsana kilka dni później, kiedy Merthin i Caris ucałowali ją na pożegnanie i wyruszyli do Shiring.

Poczuł wyrzuty sumienia. Zbyt surowo ją traktował i dlatego uciekła. Czy duch Silvii obserwuje go i obwinia za nieudolne opiekowanie się ich córką?

Znów pomyślał o podejrzanych znajomych Lolli.

- Za tym stoi ten cały Jake Riley - rzekł. - Rozmawiałaś z nim?

- Nie, panie.

- Lepiej zaraz to zrobię. Czy wiesz, gdzie on mieszka?

- Przy sklepie rybnym za kościołem Świętego Pawła.

- Pójdę z tobą - powiedziała Caris.

Przeszli po moście z powrotem do miasta i skierowali się na zachód. Parafia Świętego Pawła obejmowała warsztaty i magazyny na nabrzeżu: rzeźnie, garbarnie, tartaki, manufaktury i farbiarnie, które wyrastały niczym grzyby po deszczu od czasu wynalezienia szkarlatu z Kingsbridge. Merthin poszedł ku przysadzistej wieży kościoła widocznej ponad dachami niskich domów. Znalazł sklep rybny, kierując się zapachem, i zapukał do drzwi dużego, podniszczonego domu obok.

Otworzyła mu Sal Sawyers, uboga wdowa po najemnym cieśli, który umarł w czasie zarazy.

- Jake pojawia się i znika, panie przewodniczący - rzekła. - Nie widziałam go od tygodnia. Może robić, co chce, dopóki płaci komorne.

- Kiedy ostatnio znikł, czy była z nim Lolla? - zapytała Caris. Sal ostrożnie zerknęła na Merthina.

- Nie lubię się wtrącać... - mruknęła.

- Proszę, po prostu powiedz mi, co wiesz - zachęcił ją Merthin. - Nie obrażę się.

- Ona prawie zawsze jest z nim. Robi wszystko, czego on chce. Nie powiem nic więcej. Jeśli znajdziecie jego, znajdziecie i ją.

- Czy wiesz, dokąd mogli się udać?

- Nigdy nie mówi.

- Czy znasz kogoś, kto mógłby to wiedzieć?

- On nie przyprowadza tu swoich przyjaciół, poza nią. Jednak sądzę, że zazwyczaj można ich

znaleźć pod Białym Koniem.

Merthin skinął głową.

- Spróbujemy tam. Dziękuję, Sal.

- Nic jej nie będzie - pocieszyła go. - Po prostu jest w trudnym wieku.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Merthin i Caris wrócili tą samą drogą, którą przyszli, aż dotarli do gospody Białego Koń stojącej na brzegu rzeki w pobliżu mostu. Merthin przypomniał sobie orgię, której był świadkiem tutaj w najgorszym okresie panowania zarazy, gdy umierający Davey Whitehorse stawiał wszystkim piwo. Potem przez kilka lat gospoda była zamknięta, lecz teraz znów tętniła życiem. Merthin często zastanawiał się, dlaczego cieszy się taką popularnością. Pokoje były ciasne i brudne i często wybuchały bójkami. Co roku kogoś tam zabijano.

Weszli do zadymionej sali. Było wczesne popołudnie, lecz na ławach już siedział z tuzin smutnych pijaczków. Mała grupka tłoczyła się wokół stołu, przy którym grano w tryktraka i kilka stosików srebrnych pensów świadczyło o tym, że obstawiano wynik. prostytutka o uróżowanej twarzy imieniem Joy z nadzieją spojrzała na nowo przybyłych, rozpoznała ich i znów popadła w apatię. W kącie jakiś mężczyzna pokazywał kobiecie wyglądający na kosztowny płaszcz, najwyraźniej chcąc go sprzedać, lecz na widok Merthina pospiesznie zwinął go i schował, więc Merthin domyślił się, że to kradziony, towar.

Karczmarz Evan jadł późny obiad złożony głównie ze smażonego bekonu. Na widok gości wstał i otarł dłonie o fartuch.

- Dzień dobry, panie przewodniczący - rzekł nerwowo - to zaszczyt gościć cię pod moim dachem. Mogę utoczyć ci kufel piwa?

- Szukam mojej córki, Lolli - rzekł bez wstępów Merthin.

- Nie widziałem jej od tygodnia - odparł Evan. Merthin pamiętał, że Sal mówiła dokładnie to samo.

- Może jest z tym całym Rileyem - powiedział do Caris.

- Tak, zauważyłem, że są zaprzyjaźnieni - taktownie powiedział Evan. - Jego też od tygodnia tu nie było.

- Czy wiesz, gdzie się podział?

- On jest raczej małomówny, ten Jake. Gdybyś zapytał go, jak daleko jest do Shiring, pokręciłby głową, zmarszczył brwi i odrzekł, że nie musi wiedzieć takich rzeczy.

Dziwka Joy słuchała tej rozmowy i teraz się wtrącała:

- Jednak ma gest. Trzeba mu to przyznać. Merthin obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- A skąd ma pieniądze?

- Konie. Krąży po wioskach, kupuje żrebaki od wieśniaków i sprzedaje je w miastach.

Zapewne kradnie konie nieostrożnym podróżnym, kwaśno pomyślał Merthin.

- Czy właśnie teraz tym się zajmuje - kupowaniem koni?

- Bardzo możliwe - rzekł Evan. - Wkrótce zaczyna się sezon jarmarków. Może gromadzi towar.

- I może Lolla pojechała z nim?

- Nie chciałbym pana obrazić, ale to bardzo możliwe.

- Nie ty mnie obraziłeś - mruknął Merthin. Pożegnał się szybko i opuścił gospodę. Caris za nim.

- Zatem wiemy już, co zrobiła - powiedział gniewnie. - Uciekła z Jakiem. Pewnie uważa to za wielką przygodę.

- Obawiam się, że masz rację - przyznała Caris. - Mam nadzieję, że nie zajdzie w ciążę.

- Chciałbym, żeby to była najgorsza z moich obaw.

Odruchowo skierowali się do domu. Przechodząc przez most, Merthin zatrzymał się w jego najwyższym punkcie i spojrzął na dachy domów przedmieścia i majaczący w dali las. Jego mała dziewczynka jest tam gdzieś z tym podejrzanym handlarzem koni. Grozi jej niebezpieczeństwo, a on nie może zrobić nic, żeby ją ochronić.

Gdy Merthin nazajutrz rano poszedł do katedry, by sprawdzić postęp prac nad nową wieżą, odkrył, że zostały wstrzymane.

- Polecenie przeora - odpowiedział brat Thomas na pytanie Merthina. Miał już prawie sześćdziesiąt lat i jego wiek dawał o sobie znać. Prosty jak strzała mnich przygarbił się i powłóczył nogami. - Zaważyła się część południowej bocznej nawy - dodał.

Merthin zerknął na Bartelmy'ego Frencha, żyłastego starego kamieniarza z Normandii, który siedział przed stróżówką, ostrząc dłuto. Bartelmy w niemym przeczeniu pokręcił głową.

- To zdarzyło się dwadzieścia cztery lata temu, bracie Thomasie - zauważył Merthin.

- Ach tak, masz rację - rzekł Thomas. - Moja pamięć nie jest już tak dobra jak dawniej, wiesz. Merthin poklepał go po ramieniu.

- Wszyscy się starzejemy.

- Przeor jest na wieży, jeśli chcesz się z nim widzieć - rzekł Bartelmy. Merthin z pewnością chciał. Wszedł do północnego transeptu, przemierzył małe podcienia i wspiął się po wąskich spiralnych schodach ukrytych w ścianie. Gdy przechodził ze starej części do nowej wieży, barwa

kamieni powoli zmieniła się z ciemnej szarości burzowych chmur na szaroperłową jak poranne niebo. Wspinaczka była długa, gdyż wieża miała już ponad trzysta stóp wysokości. On jednak był do tego przyzwyczajony. Od jedenastu lat niemal codziennie wchodził po tych schodach, które za każdym razem były nieco wyższe. Pomyślał, że Philemon, który obecnie był już bardzo gruby, musiał mieć poważny powód, żeby wtaszczyć swoje cielsko po tych wszystkich stopniach.

Trochę poniżej szczytu wieży Merthin przeszedł przez pomieszczenie, w którym znajdował się drewniany kołowrót wysoki na dwóch chłopa i używany do wciągania kamieni, zaprawy lub belek tam, gdzie były potrzebne. Kiedy iglica będzie gotowa, koło zostanie tam na stałe, wykorzystywane do napraw przez przyszłe pokolenia budowniczych, aż zagrają trąby Sądneho Dnia.

Wyszedł na sam szczyt wieży. Wiał tam silny, zimny wiatr, którego nie czuło się na dole. Wzdłuż ścian w środku wieży poprowadzono zabezpieczony poręczami pomost. Wokół ośmiokątnego otworu stało rusztowanie przygotowane dla kamieniarzy mających budować iglicę. W pobliżu leżał stos obrobionych kamieni i sterta zaprawy marnowała się, zastygając na drewnianej tacy.

Nie było tu żadnych robotników. Przeor Philemon stał naprzeciwko z Haroldem Masonem. Prowadzili ożywioną rozmowę, lecz natychmiast przerwali ją, zmieszani, na widok Merthina. Musiał przekrzykiwać świst wiatru, żeby go usłyszeli.

- Dlaczego wstrzymałeś budowę? Philemon miał gotową odpowiedź:

- Jest problem z twoim projektem. Merthin spojrzął na Harolda.

- Chcesz powiedzieć, że niektórzy go nie rozumieją.

- Doświadczeni ludzie twierdzą, że tego nie da się wybudować - wyzywająco powiedział Philemon.

- Doświadczeni ludzie? - pogardliwie powtórzył Merthin. - Kto w Kings-bridge jest taki doświadczony? Kto wybudował most? Kto pracował z wielkimi architektami Florencji? Kto widział Rzym, Awinion, Paryż, Rouen? Na pewno nie obecny tu Harold. Bez urazy, Haroldzie, ale ty nigdy nie byłeś nawet w Londynie.

- Nie jestem jedynym, który myśli, że nie da się wybudować ośmiokątnej wieżyczki bez krążyny.

Merthin już miał rzucić jakąś sarkastyczną uwagę, ale powstrzymał się. Zrozumiał, że Philemon trzyma coś w zanadru i celowo wywołał ten spór. Tak więc musi mieć poważniejsze argumenty niż tylko opinia Harolda Masona. Zapewne zdobył poparcie niektórych członków gildii. Tylko w jaki sposób? Inni budowniczowie, którzy byli gotowi twierdzić, że iglicy Merthina nie da się wybudować, musieli mieć z tego jakąś korzyść. A to oznaczało, że zaproponowano im jakąś budowę.

- Co to ma być? - powiedział do Philemona. - Co chcesz zbudować?

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć! - oburzył się Philemon.

- Większy pałac dla siebie? Nowy kapitularz? To nie może być szpital, bo mamy już trzy. No dalej, możesz mi powiedzieć. Chyba że się wstydzisz.

Philemon dał się sprowokować.

- Mnisi chcą postawić kaplicę Najświętszej Pannie.

- Aha...

To miało sens. Kult Maryi Dziewicy znajdował coraz więcej wyznawców. Kościelna hierarchia aprobowała to, gdyż fala pobożności związanej z Maryją przeciwdziałała sceptycyzmowi i herezjom coraz częstszym wśród wiernych od czasu wybuchu zarazy. Wielu katedrom i kościołom dobudowywano specjalne kapliczki na wschodnim końcu - najświętszym miejscu budynku - poświęcone Matce Boskiej. Merthinowi nie podobała się taka architektura: kaplica Matki Boskiej przeważnie wyglądała na nieprzemyślany dodatek, jakim oczywiście była.

Czym kieruje się Philemon? Zawsze chce się komuś przypodobać - taki jest jego modus operandi. Kaplica Matki Boskiej w Kingsbridge niewątpliwie spodobałaby się konserwatywnym hierarchom Kościoła.

To był już drugi ruch Philemona w tym kierunku. W niedzielę wielkanocną z ambony katedry potępił sekcje zwłok. Merthin pojął, że Philemon rozpoczął kampanię. Tylko w jakim celu?

Merthin postanowił nic nie robić, dopóki nie będzie wiedział, o co chodzi Philemonowi. Nie mówiąc nic więcej, opuścił tamtych dwóch i zaczął schodzić po schodach i drabinach na dół.

Dotarł do domu w porze obiadu, a Caris wróciła ze szpitala kilka minut później.

- Z bratem Thomasem jest coraz gorzej - powiedział do niej. - Czy można jakoś mu pomóc?

Pokręciła głową.

- Na starość nie ma lekarstwa.

- Powiedział mi, że południowa nawa zawaliła się, jakby zdarzyło się to wczoraj.

- Typowe. Pamięta odległą przeszłość, ale nie wie, co się dzieje dzisiaj. Biedny Thomas. Jego stan chyba będzie się szybko pogarszał. Jednak przynajmniej jest w znanym mu miejscu. Klasztory niewiele się zmieniają. Jego codzienne zajęcia są zapewne takie same jak zawsze. To pomaga.

Gdy usiedli do gulaszu z baraniny z porami i miętą, Merthin opowiedział jej o porannych wydarzeniach. Oboje od wielu lat toczyli boje z przeorami Kingsbridge: najpierw z Anthonym, potem z Godwynem, a teraz z Philemonem. Myśleli, że nadanie miastu praw miejskich położy kres tym nieustannym przepychankom. Sytuacja z pewnością uległa poprawie, ale wyglądało na to, że Philemon jeszcze się nie poddał.

- Nie martwię się iglicą - powiedział Merthin. - Biskup Henri zmieni polecenie Philemona i

nakaże podjęcie przerwanych prac, gdy tylko się dowie. Henri chce być biskupem najwyższej katedry w Anglii.

- Philemon musi o tym wiedzieć - powiedziała w zadumie Caris.

- Może po prostu udaje, że chce zbudować kaplicę Matki Boskiej, żeby sobie przypisać dobre intencje, a kogoś innego obwinie za porażkę?

- Może.. - z powątpiewaniem mruknęła Caris. Merthina dręczyło ważniejsze pytanie.

- Tylko o co naprawdę mu chodzi?

- Wszystko, co robi Philemon, wynika z tego, że musi czuć się kimś ważnym - z przekonaniem zauważyła Caris. - Domyślam się, że chodzi mu o awans.

- Na jakie stanowisko? Arcybiskup Monmouth jest umierający, ale chyba Philemon nie żywi nadziei, że zajmie jego miejsce?

- Musi wiedzieć coś, czego my nie wiemy. Zanim zdążyli powiedzieć coś więcej, weszła Lolla.

W pierwszej chwili Merthin poczuł ulgę tak ogromną, że łzy stanęły mu w oczach. Wróciła, cała i zdrowa. Zmierzył ją wzrokiem. Nie miała żadnych widocznych obrażeń, szła sprężystym krokiem, a na jej twarzy, jak zwykle, ujrzał tylko wyraz ponurego niezadowolenia.

Caris odezwała się pierwsza:

- Wróciłaś! Tak się cieszę!

- Czyżby? - warknęła Lolla. Często udawała, że jest przekonana, iż Caris jej nie lubi. Merthin nie dawał się zwieść, lecz Caris czasem miała wątpliwości, gdyż była trochę przeczulona na punkcie tego, że nie jest matką Lolli.

- Oboje się cieszymy - rzekł Merthin. - Wystraszyłaś nas.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lolla. Powiesiła płaszcz na wieszaku i usiadła przy stole. - Nic mi się nie stało.

- Tylko że my o tym nie wiedzieliśmy, więc bardzo się martwiliśmy.

- Nie powinniście. Potrafię o siebie zadbać. Merthin powstrzymał gniewną replikę.

- Nie jestem tego pewien - odparł najłagodniej, jak umiał. Caris próbowała obniżyć temperaturę rozmowy.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytała. - Nie było cię dwa tygodnie.

- W różnych miejscach.

- Mogłabyś wymienić kilka przykładowych? - spytał zirytowany Merthin.

- Mundeford, Casterham, Outhenby.

- I co tam robiłaś?

- Czy to szkoła? - zapytała nadąsana. - Czy muszę odpowiadać na te wszystkie pytania?

Caris powstrzymała Merthina, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Po prostu chcemy wiedzieć, czy nie groziło ci jakieś niebezpieczeństwo - powiedziała.

- A ja chciałbym też wiedzieć, z kim podróżowałaś - dodał Merthin.

- Z nikim specjalnym.

- Czy to oznacza Jake'a Riley'a? Dziewczyna wyglądała na zmieszaną.

- Tak. - Wzruszyła ramionami, jakby to był nieistotny drobiazg. Merthin już był gotów wybaczyć jej i wziąć ją w ramiona, lecz ona mu to uniemożliwiła.

- Sypialiście razem czy osobno? - zapytał najspokojniej, jak mógł.

- To moja sprawa! - wykrzyknęła.

- Nie, nie twoja! - On również podniósł głos. - Również moja i twojej macochy. Jeśli jesteś w ciąży, to kto zaopiekuje się dzieckiem? Jesteś pewna, że Jake jest gotowy ustatkować się i być mężem i ojcem? Rozmawiałaś z nim o tym?

- Nie odzywaj się do mnie! - krzyknęła Lolla, po czym zalała się łzami i tupiąc, pobiegła po schodach na górę.

- Czasem żałuję, że nie mieszkamy w jednej izbie - westchnął Merthin. - Wtedy nie mogłaby tego robić.

- Nie byłeś zbyt delikatny - z łagodną dezaprobatą powiedziała Caris.

- A co miałem zrobić? Zachowuje się, jakby nie zrobiła nic złego!

- Jednak wie, jak jest naprawdę. To dlatego płacze.

- Ach, do diabła.

Usłyszeli pukanie do drzwi i stanął w nich młody mnich.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie przewodniczący - rzekł. - Sir Gregory Longfellow jest w opactwie i byłby wdzięczny, gdyby mógł zamienić z tobą słowo, gdy tylko znajdziesz czas.

- Do licha - mruknął Merthin. - Powiedz mu, że przyjdę za kilka minut.

- Dziękuję - powiedział nowicjusz i wyszedł.

- Może to i dobrze. Będzie miała czas ochłonąć.

- I ty też - powiedziała Caris.

- Chyba nie stajesz po jej stronie? - spytał z lekką irytacją. Uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki.

- Zawsze jestem po twojej stronie - powiedziała. - Jednak pamiętam, jak to jest być szesnastoletnią dziewczyną. Ona niepokoi się swoim związkiem z Jakiem tak samo jak ty. Jednak nie przyzna się do tego nawet sama przed sobą, ponieważ to zraniłoby jej dumę. Dlatego ma ci za złe, że

powiedziałaś prawdę. Wzniosła kruchy mur obronny wokół swojego poczucia własnej wartości, a ty go zburzyłeś.

- Co powinienem zrobić?

- Pomóc jej zbudować lepszy mur.

- Nie wiem, co to oznacza.

- Dojdiesz do tego.

- Lepiej pójdę zobaczyć się z sir Gregorym. Merthin wstał. Caris objęła go i pocałowała w usta.

- Jesteś dobrym człowiekiem i robisz, co możesz, a ja kocham cię całym sercem - powiedziała.

To nieco złagodziło jego irytację i uspokajał się powoli, idąc przez most i główną ulicą do opactwa. Nie lubił Gregory'ego. Ten człowiek był przebiegły i pozbawiony zasad, gotowy zrobić wszystko dla swojego pana - króla, tak samo jak Philemon wysługiwał się Godwynowi, gdy ten był przeorem. Merthin z niepokojem zastanawiał się, o czym chce z nim mówić Gregory. Zapewne o podatkach - wiecznym zmartwieniu króla.

Merthin najpierw poszedł do pałacu przeora, gdzie Philemon, wyglądający na zadowolonego z siebie, powiedział mu, że sir Gregory'ego można znaleźć w klauzurze mnichów na południe od katedry. Merthin zastanawiał się, co też takiego zrobił Gregory, że otrzymał przywilej udzielania tam audiencji.

Prawnik się zestarzał. Miał siwe włosy i garbił się. Po obu stronach wyniośle zadartego nosa pojawiły się głębokie bruzdy, a jedno oko zasnuło bielmo. Jednak drugim widział dostatecznie dobrze i natychmiast rozpoznał Merthina, chociaż nie widzieli się dziesięć lat.

- Panie przewodniczący - powiedział - arcybiskup Monmouth nie żyje.

- Pokój jego duszy - odruchowo rzekł Merthin.

- Amen. Król prosił mnie, żebym przejeżdżając przez miasto Kingsbridge, przekazał ci jego pozdrowienia oraz tę ważną wieść.

- Jestem wdzięczny. Ta śmierć nie jest nieoczekiwana. Arcybiskup był ciężko chory.

Król z pewnością nie prosił Gregory'ego, żeby spotkał się ze mną tylko po to, aby przekazać mi tę wiadomość, pomyślał podejrzliwie Merthin.

- Jesteś interesującym człowiekiem, jeśli wolno mi tak powiedzieć - łaskawie rzekł Gregory. - Po raz pierwszy spotkałem twoją żonę przed dwudziestoma laty. Od tej pory widziałem, jak wy dwoje, powoli, lecz pewnie, przejmowaliście kontrolę nad tym miastem. I macie wszystko, na czym wam zależało: most, szpital, prawa miejskie i siebie nawzajem. Jesteście zdecydowani i cierpliwi.

Mówił protekcjonalnie, lecz Merthin ze zdziwieniem znalazł w tych pochlebstwach ziarno szczerego szacunku. Mimo to pozostał nieufny: tacy jak Gregory prawią komplementy tylko wtedy, jeśli mają w tym jakiś cel.

- Właśnie jestem w drodze do mnichów Abergavenny, którzy muszą wybrać nowego arcybiskupa. - Gregory usiadł w fotelu. - Gdy chrześcijaństwo pojawiło się w Anglii całe wieki temu, mnisi sami wybierali swoich przełożonych. - Wyjaśnianie to zwyczaj starych ludzi, pomyślał Merthin. Młody Gregory by się nie trudził. - Obecnie, oczywiście, biskupi i arcybiskupi są zbyt ważni i wpływowi, aby wybierała ich grupka pobożnych idealistów oderwanych od świata. Wyboru dokonuje król, a jego Świątobliwość Papież zatwierdza królewską decyzję.

Nawet ja wiem, że to nie jest takie proste, pomyślał Merthin. Zawsze dochodzi do walki o władzę. Jednak nic nie powiedział.

- Jednakże - ciągnął Gregory - zachowano rytuał wyborów i łatwiej go kontrolować, niż zlikwidować. Stąd moja podróż.

- Zatem zamierzasz powiedzieć mnichom, kogo mają wybrać?

- Mówiąc bez ogródek, tak.

- I czyje imię im podasz?

- Nie powiedziałem? Waszego biskupa, Henriego. Wspaniały człowiek: lojalny, godny zaufania, nigdy nie sprawia kłopotów.

- O rety...

- Nie jesteś zadowolony? - Gregory zapomniał o udawanej swobodzie i bacznie nastawił uszu.

Merthin pojął, że Gregory właśnie po to tutaj przybył: dowiedzieć się, co mieszkańcy Kingsbridge, reprezentowani przez Merthina, sądzą o jego planie, i czy są gotowi mu się przeciwstawić. Zebrał myśli. Mianowanie nowego biskupa zagraża wieży i szpitalowi.

- Henri jest kluczem do równowagi władzy w mieście - powiedział. - Dziesięć lat temu między kupcami, mnichami i szpitalem wypracowano coś w rodzaju zawieszenia broni. W wyniku tego wszystkim doskonale się powodzi. - Nawiązując do kwestii najbardziej interesującej Gregory'ego i króla, dodał: - Oczywiście właśnie to pozwala nam płacić tak wysokie podatki. Gregory potwierdził skinieniem głowy.

- Odejście Henriego zdecydowanie stawiałoby pod znakiem zapytania trwałość wzajemnych stosunków.

- To chyba zależałoby od tego, kto by go zastąpił.

- Istotnie - przyznał Merthin. Teraz dochodzimy do sedna sprawy, pomyślał, a głośno rzekł: - Masz już kogoś na myśli?

- Oczywiście kandydatem jest przeor Philemon.

- Nie! - wykrzyknął Merthin. - Philemon? Dlaczego?

- Zdaje się konserwatywny, co jest istotne dla hierarchów Kościoła w tych czasach sceptycyzmu i herezji.

- Oczywiście. Teraz rozumiem, dlaczego wygłosił kazanie przeciwko sekcji zwłok. I dlaczego chce wybudować kaplicę Marii Panny.

Powinienem był to przewidzieć, pomyślał Merthin.

- Ponadto dał do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko opodatkowaniu kleru, co jest nieustannym źródłem tarć między królem a niektórymi biskupami.

- Philemon planował to od dłuższego czasu. Merthin był zły na siebie, że dał się zaskoczyć.

- Sądzę, że od kiedy arcybiskup zachorował.

- To katastrofa.

- Dlaczego tak uważasz?

- Philemon jest kłótniwy i mściwy. Jeśli zostanie biskupem, będzie źródłem nieustannych napięć w Kingsbridge. Musimy temu zapobiec. - Spojrzał Gregory'emu w oczy.

- Dlaczego przyjechałeś mnie ostrzec? - I ledwie zadał to pytanie, już znalazł na nie odpowiedź. - Ty też nie chcesz Philemona. Nie musiałem ci mówić, jakim jest wichrzycielem, sam to wiesz. Jednak nie możesz po prostu zawetować jego wyboru, ponieważ już zdobył poparcie hierarchów Kościoła. - Gregory tylko uśmiechnął się enigmatycznie, co Merthin uznał za potwierdzenie. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Na twoim miejscu - odparł Gregory - zacząłbym od znalezienia innego kandydata jako konkurenta Philemona.

A więc o to chodziło. Merthin w zadumie pokiwał głową.

- Będę musiał o tym pomyśleć.

- Zrób to, proszę. - Gregory wstał i Merthin zrozumiał, że to koniec rozmowy. - I daj mi znać, co wymyśliłeś - dodał prawnik.

Merthin opuścił opactwo i ruszył na Wyspę Trędowatych pogrążony w zadumie. Kogo może zaproponować na stanowisko biskupa Kingsbridge? Mieszczanie zawsze byli w dobrych stosunkach z archidiakonem Lloydem, lecz on jest za stary, tak więc być może wybraliby go tylko po to, żeby za rok przechodzić przez to wszystko od nowa.

Doszedł już do domu, ale jeszcze niczego nie wymyślił. Zastał Caris w salonie i już miał zapytać ją o radę, ale ona wstała błada i przestraszona.

- Lolla znów znikła - powiedziała.

Księża mówili, że niedziela to dzień odpoczynku, lecz dla Gwendy nigdy takim nie był. Po porannej mszy i obiedzie pracowała z Wulfrikiem w ogrodzie za domem. Był to ładny ogród, półakrowy, z kurnikiem, gruszą i stodołą. Wulfric kopał bruzdy w warzywniaku na jego końcu, a Gwenda siała groch.

Chłopcy poszli do sąsiedniej wioski pograć w piłkę, co zwykle robili w niedzielę. Gra w piłkę była dla wieśniaków odpowiednikiem rycerskich turniejów: udawaną bitwą, w której czasem odnosili prawdziwe rany. Gwenda modliła się, żeby synowie wrócili do domu cali.

Dziś Sam wrócił wcześniej.

- Piłka pękła - oznajmił zrzędlawie.

- Gdzie Davey? - zapytała Gwenda.

- Nie było go tam.

- Myślałam, że jest z tobą.

- Nie, często chadza swoimi drogami.

- Nie wiedziałam. - Gwenda zmarszczyła brwi. - Dokąd poszedł? Sam wzruszył ramionami. -

Nie mówił mi.

Może widuje się z jakąś dziewczyną, pomyślała Gwenda. Davey był bardzo skryty. Jeśli to dziewczyna, to która? W Wigleigh nie było wiele kandydatek. Te, które przeżyły zarazę, szybko ponownie powychodziły za mąż, jakby chciały znów zaludnić ziemię, a urodzone później były za młode. Może spotyka się w lesie z jakąś dziewczyną z sąsiedniej wioski? Takie związki były równie częste jak bóle głowy.

Kiedy Davey kilka godzin później wrócił do domu, napadła na niego. Nie zaprzeczał, że się wymknął.

- Jeśli chcesz, pokażę wam, co robiłem - rzekł. - Nie mogę wiecznie trzymać tego w tajemnicy. Chodźcie ze mną.

Poszli wszyscy: Gwenda, Wulfric i Sam. Ze względu na święto nikt nie pracował w polu, więc na Hundredacre nie było nikogo, gdy całą czwórką przemaszerowali przez nie w porywistym wiosennym wietrze. Niektóre pola wyglądały na zaniedbane: wciąż byli wieśniacy, którzy mieli więcej ziemi, niż mogli obrobić. Do takich należała Annet, ponieważ miała do pomocy tylko osiemnastoletnią córkę, Amabel i musiała wynajmować robotników, o których wciąż było trudno. Jej łan owsa był bardzo zachwaszczony.

Davey poprowadził ich pół mili w głąb lasu i przystanął na skraju ubitego traktu.

- To tu - powiedział.

Przez chwilę Gwenda nie wiedziała, o czym mówi. Stała na skraju niepozornego kawałka ziemi z niskimi krzakami rosnącymi między drzewami. Potem dokładniej przyjrzała się tym krzakom. Jeszcze nigdy takich nie widziała. Miały kanciaste łodygi z wydłużonymi liśćmi rosnącymi w kępkach po cztery. Pokrywały ziemię tak szczelnie, że przypominały jej jakieś płożące się warzywo. Sterta powyrywanych z ziemi roślin wskazywała na to, że Davey pieliał to poletko.

- Co to jest? - zapytała.

- Nazywają to marzanną barwierską. Kupiłem nasiona od pewnego marynarza, kiedy byliśmy w Melcombe.

- W Melcombe? - powtórzyła Gwenda. - To było trzy lata temu.

- Tyle czasu rośnie - uśmiechnął się Davey. - Z początku bałem się, że nic z tego nie będzie. Marynarz mówił mi, że marzanna potrzebuje piaszczystej gleby i toleruje półcień. Skopałem polanę i posiałem nasiona, lecz pierwszego roku otrzymałem tylko cztery słabe siewki. Już myślałem, że zmarnowałem pieniądze. Potem, na drugi rok, korzenie rozrosły się i puściły nowe pędy, a w tym roku rosna wszędzie.

Gwenda była zdumiona, że jej syn przez tyle czasu potrafił trzymać to w tajemnicy.

- I do czego się nadaje ta marzanna? - zapytała. - Jest smaczna? Davey się roześmiał.

- Nie jest jadalna. Wykopuje się korzenie, suszy, a potem miele w młynku na czerwony proszek. Jest bardzo drogi. Madge Webber z Kingsbridge płaci siedem szylingów za galon.

Zaskakująco dużo, pomyślała Gwenda. Ziarna pszenicy, najdroższej ze zbóż, sprzedawano po mniej więcej siedem szylingów za kwintal, a kwintal to sześćdziesiąt cztery galony.

- To sześćdziesiąt cztery razy drożej niż pszenica! - wykrzyknęła. Davey się uśmiechnął.

- Dlatego to posiałem.

- Dlaczego co posiałeś? - zapytał nowy głos.

Wszyscy odwrócili się i zobaczyli Nathana Reeve'a stojącego przy krzewie głogu, równie krzywym i powykęcany jak on. Uśmiechał się triumfalnie: przyłapał ich na gorącym uczynku.

Davey szybko znalazł odpowiedź:

- To ziele, które zwą... starzec wodny - wyjaśnił. Gwenda wiedziała, że wymyślił to na poczekaniu, lecz Nate nie mógł być tego pewien. - Dobrze robi mojej matce na świszczący oddech.

Nate spojrzał na Gwendę.

- Nie wiedziałem, że ona ma świszczący oddech.

- W zimie - powiedziała Gwenda.

- Ziele? - sceptycznie mruknął Nate. - Jest go tu tyle, że wystarczyłoby dla całego Kingsbridge. A ty pieliałeś polanę, żeby było go jeszcze więcej.

- Lubię porządną robotę - powiedział Davey.

To było kiepskie wytłumaczenie i Nate je zignorował.

- To nielegalna uprawa - stwierdził. - Po pierwsze, chłopci muszą mieć pozwolenie na to, co uprawiają, nie mogą siać, co im się podoba. To wprowadziłoby chaos. Po drugie, nie mogą obsiewać lasów pana, nawet ziołami.

Na to nikt z nich nie mógł odpowiedzieć. Takie było prawo. Idiotyczne, gdyż wieśniacy często wiedzieli, że mogą dobrze zarobić na uprawach nietypowych roślin, które były poszukiwane i drogie: konopi na liny, lnu na kosztowną bieliznę lub różnych owoców dla bogatych dam. Jednak wielu panów i ich rządców odmawiało zezwolenia, kierując się instynktownym konserwatyzmem.

Nate krzywił się złośliwie.

- Jeden syn zbieg i morderca - powiedział - a drugi łamie polecenia pana. Co za rodzina.

Ma prawo być zły, pomyślała Gwenda. Sam zabił Jonna i uszło mu to na sucho. Nate niewątpliwie będzie nienawidził jej rodziny do śmierci. Nate pochylił się i wyrwał z ziemi jeden krzaczek.

- Pokażę go w sądzie - oznajmił z satysfakcją, po czym odwrócił się i kuśtykając, znikł między drzewami.

Gwenda i jej rodzina poszli za nim. Davey nie przejął się tym wydarzeniem.

- Nate wyznaczy grzywnę, a ja ją zapłacę - powiedział. - I tak mi się to opłaci. »

- A jeśli każe zniszczyć uprawę? - martwiła się Gwenda.

- Jak?

- Spalić lub stratować.

- Nate nie zrobiłby tego - wtrącił się Wulfric. - Wioska nie zniosłaby czegoś takiego. Tradycyjnie wymierza się za to grzywnę.

- Niepokoi mnie tylko, co powie o tym hrabia Ralph - rzekła Gwenda. Davey niedbale machnął ręką.

- Nie ma powodu, żeby hrabia miał się dowiedzieć o takim drobiazgu.

- Ralph szczególnie interesuje się naszą rodziną.

- Tak, rzeczywiście - powiedział w zadumie Davey. - Nadal nie rozumiem, dlaczego ułaskawił Sama.

Ten chłopak nie jest głupi.

- Może namówiła go lady Philippa? - podsunęła Gwenda.

- Ona cię pamięta, matko - wtrącił Sam. - Mówiła mi to, kiedy byłem w domu Merthina.

- Zapewne zrobiłam coś, co jej się spodobało - odparła Gwenda, improwizując. - A może po

prostu współczuła mi, jak matka matce.

Nie była to zbyt przekonująca odpowiedź, lecz innej nie znalazła.

Kiedy Sam został uwolniony od zarzutów, kilkakrotnie rozmawiali o tym, czym wytłumaczyć to nieoczekiwane ułaskawienie. Gwenda udawała równie zdziwioną jak wszyscy. Na szczęście Wulfric nigdy nie był podejrzliwy.

Doszli do domu. Wulfric spojrział na niebo, powiedział, że jeszcze przez dobrą godzinę będzie jasno, i poszedł do ogrodu dokończyć sianie grochu. Sam zgłosił się do pomocy, a Gwenda usiadła, by zszyć rozerwane nogawice męża. Davey siadł naprzeciwko niej.

- Mam ci jeszcze jeden sekret do wyjawienia - powiedział. Uśmiechnęła się. Nie miała nic przeciwko temu, żeby miał sekrety, jeśli jej o nich mówi.

- Mów.

- Zakochałem się.

- To cudownie! - Nachyliła się i pocałowała go w policzek. - Bardzo się cieszę z twojego szczęścia. Jaka ona jest?

- Piękna.

Zanim dowiedziała się o marzannie, Gwenda zastanawiała się, czy Davey spotyka się z jakąś dziewczyną z innej wioski. Intuicja jej nie zawiodła.

- Przeczuwałam to - powiedziała.

- Naprawdę? - zaniepokoił się.

- Nie martw się, to nic złego. Po prostu przyszło mi do głowy, że możesz się z kimś spotykać.

- Chodzimy na tę polankę, gdzie posiałem marzannę. Od tego się zaczęło.

- A jak długo to trwa?

- Ponad rok.

- Zatem to poważna sprawa.

- Chcę się z nią ożenić.

- Cieszę się. - Spojrzała na niego czule. - Masz dopiero dwadzieścia lat, ale to wystarczy, jeśli znalazłeś właściwą osobę.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Z jakiej pochodzi wioski?

- Z naszej, z Wigleigh.

- Ach tak? - Gwenda była zdziwiona. Nie przychodziła jej do głowy żadna miejscowa dziewczyna. - Kim ona jest?

- To Amabel, matko.

- Nie!

- Nie krzycz.

- Tylko nie córka Annet!

- Nie złość się.

- Mam się nie złościć!? - Gwenda próbowała się uspokoić. Była tak wstrząśnięta, jakby została spoliczkowana. Zrobiła kilka głębokich wdechów. - Posłuchaj mnie - powiedziała - jesteśmy zwaśnieni z tą rodziną od ponad dwudziestu lat. Ta krowa Annet złamała twojemu ojcu serce i nigdy nie zostawiła go w spokoju.

- Przykro mi, ale to już przeszłość.

- Nieprawda. Annet wciąż flirtuje z twoim ojcem przy każdej okazji!

- To wasz problem, nie nasz.

Gwenda wstała i robótka spadła jej z kolan.

- Jak możesz mi to robić? Ta suka zostałaby członkiem naszej rodziny! Moje wnuki byłyby jej wnukami. Wciąż kręciłaby się po naszym domu, robiąc głupca z twojego ojca swoją kokieterią i drwiąc ze mnie.

- Nie zamierzam ożenić się z Annet.

- Amabel będzie taka sama. Spójrz na nią, jest taka jak jej matka!

- Nie, naprawdę nie jest...

- Nie możesz! Absolutnie ci zabraniam!

- Nie możesz mi tego zabronić, matko.

- Och, mogę. Jesteś za młody.

- To nie potrwa wiecznie.

Od progu dobiegł głos Wulfrica.

- O co te krzyki?

- Davey mówi, że zamierza ożenić się z córką Annet, ale ja na to nie pozwolę. - Gwenda podniosła głos. - Nigdy! Nigdy! Nigdy!

Hrabia Ralph zaskoczył Nathana Reeve'a, mówiąc, że chce rzucić okiem na dziwne rośliny Daveya. Nate napomknął o nich mimochodem podczas wizyty w Earlcastle. Kawalek obsianej bez zezwolenia leśnej polany był drobnym wykroczeniem, zwyczajowo karanym grzywną. Nate był płytkim człowiekiem, interesującym się tylko łapówkami i prowizjami, i nie zdawał sobie sprawy z głębi obsesji Ralpha na tle rodziny Gwendy: jak bardzo nienawidzi Wulfrica, pożąda Gwendy, a teraz także zastanawia się, czy jest prawdziwym ojcem Sama. Tak więc Nate był zdziwiony, gdy Ralph oznajmił, że obejrzy to poletko, kiedy będzie w okolicy.

Ralph przyjechał z Alanem Fernhillem z Earlcastle do Wigleigh w pogodny dzień między Wielkanocą a Zielonymi Świątkami. Dotarli do dworku z bali, gdzie zastali starą gospodynię, Virę, zgarbioną i siwą, lecz wciąż nieźle się trzymającą. Kazali jej przygotować obiad, po czym odszukali Reeve'a i pojechali z nim do lasu.

Ralph rozpoznał roślinę. Nie był rolnikiem, lecz potrafił odróżnić jeden krzak od drugiego, a podczas swych wędrówek z królewską armią widział wiele roślin, które nie rosły w Anglii. Pochylił się w siodle i wyrwał garść łądyg.

- Nazywają to marzanną - powiedział. - Rośnie we Flandrii. Uprawiają ją dla czerwonego barwnika o tej samej nazwie.

- Powiedział mi, że to starzec wodny - rzekł Nate - stosowany do leczenia świszczącego oddechu.

- Myślę, że ma jakieś lecznicze właściwości, ale nie dlatego jest uprawiany. Jaka będzie grzywna?

- Jak zwykle w wysokości jednego szylinga.

- To za mało.

Nate wyglądał na zdenerwowanego.

- Łamanie tych zwyczajów zawsze wywołuje tyle kłopotu. Wolałbym nie...

- Nieważne - uciął Ralph i popędził konia przez polanę, traktując krzaki. - Dalej, Alanie! - ponaglił.

Alan poszedł w jego ślady i we dwóch zataczali ciasne kręgi, traktując rośliny. Po kilku minutach wszystkie były zmiażdżone.

Ralph widział, że Nate jest zaszokowany, mimo że była to nielegalna uprawa. Wieśniacy nigdy nie lubili niszczenia pól. Ralph nauczył się we Francji, że najlepszy sposób, by pozabawić ludność ducha walki, to palić zboża na polach.

- Wystarczy - rzekł, szybko się znudziwszy. Zirykowała go bezczelność Daveya, który posiał tu te rośliny, ale nie był to główny powód jego przyjazdu do Wigleigh. Naprawdę chciał znów zobaczyć Sama.

Gdy jechali przez wieś, spoglądał na pola, wypatrując wysokiego młodzieńca o gęstych czarnych włosach. Sam będzie się wyróżniał wzrostem wśród tych zgarbionych wieśniaków, pochylonych nad łopatami. Zobaczył go z daleka na Brookfield. Ściągnął wodze i przez smagane wiatrem pola spojrzął na swego dwudziestoletniego syna, którego w ogóle nie znał.

Sam i mężczyzna, którego uważał za swego ojca - Wulfric - orali lekkim, zaprzężonym w konia pługiem. Z pługiem coś było nie tak, gdyż wciąż przystawali i poprawiali uprzęż. Kiedy stali

obok siebie, łatwo można było dostrzec, jak bardzo są różni. Włosy Wulfrica były ciemnoblond, a Sama czarne; Wulfric był krępy jak muł, natomiast Sam barczysty, lecz szczupły jak koń; Wulfric poruszał się powoli i ostrożnie, Sam szybko i zwinnie.

Dziwnie było patrzeć na obcego człowieka i myśleć: to mój syn. Ralph sądził, że obce są mu takie babskie emocje. Gdyby był zdolny do współczucia czy żalu, nie żyłby tak, jak żył. Jednak odkrycie istnienia Sama groziło przyływem niemęskich uczuć.

Otrząsnął się z nich i pogalopował z powrotem do wioski, lecz tam znów dał się ponieść ciekawości i sentymentom. Posłał Nate'a, żeby znalazł Sama i przyprowadził go do dworu.

Nie był pewien, co zamierza zrobić z chłopcem: porozmawiać z nim, wydrwić, zaprosić na obiad... Mógł przewidzieć, że Gwenda nie pozostawi mu możliwości wyboru. Pojawiła się razem z Nate'em i Samem, a Wulfric i Davey podążali za nimi.

- Czego chcesz od mojego syna? - zapytała, patrząc na Ralpa, jakby był równy jej stanem, a nie hrabią.

Ralph odparł bez zastanowienia:

- Sam nie urodził się, by być chłopem pracującym w polu. Zauważył, że Alan Fernhill spojrział na niego zdziwiony. Gwenda także wyglądała na zaskoczoną.

- Tylko Bóg wie, do czego się rodzimy - powiedziała, chcąc zyskać na czasie.

- Jeśli zechcę słuchać o Bogu, zapytam księdza, nie ciebie - odciął się Ralph. - Twój syn ma w sobie coś z żołnierza. Nie muszę się modlić, żeby to widzieć. To dla mnie oczywiste, jak dla każdego weterana wojen.

- Cóż, on nie jest żołnierzem, lecz wieśniakiem i synem wieśniaka, a jego przeznaczeniem jest uprawiać zboże i hodować bydło, tak jak jego ojciec.

- Nieważne, co robi jego ojciec. - Ralph pamiętał, co Gwenda powiedziała mu na zamku szeryfa w Shiring, gdy przekonywała go, by ułaskawił Sama. - Sam ma instynkt zabójcy - rzekł. - To niebezpieczne u wieśniaka, lecz bezcenne u żołnierza.

Gwenda przestraszyła się, pojmując cel tej przemowy.

- Do czego zmierzasz?

Sam też zrozumiał, do czego prowadzi ten logiczny wywód.

- Niech Sam będzie użyteczny, a nie niebezpieczny. Niech nauczy się wojaczki.

- To śmieszne, jest za stary.

- Ma dwadzieścia dwa lata. To późny wiek, ale jest zręczny i silny. Poradzi sobie.

- Nie wiem jak.

Gwenda wynajdywała praktyczne zastrzeżenia, lecz przejrzał ją i wiedział, że po prostu z

całego serca nienawidzi tego pomysłu. To zachęciło go jeszcze bardziej.

- To proste - rzekł z triumfalnym uśmiechem. - Może być giermkim. Może pojechać ze mną i zamieszkać w Earlcastle.

Gwenda miała taką minę, jakby pchnął ją nożem. Na moment zamknęła oczy i jej oliwkowa cera pobladła, a wargi ułożyły się w słowo „nie”, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Był z tobą przez dwadzieścia dwa lata - powiedział Ralph. - To dostatecznie długo. - Teraz moja kolej, pomyślał, lecz zamiast tego rzekł: - Teraz jest już wystarczająco dorosły.

Ponieważ Gwenda na moment zamilkła, przemówił Wulfric:

- Nie pozwolimy na to. Jesteśmy jego rodzicami i nie wyrażamy na to zgody.

- Nie pytałem was o zgodę - pogardliwie prychnął Ralph. - Jestem waszym hrabią, a wy moimi poddanymi. Ja nie proszę, lecz rozkazuję.

- Ponadto - wtrącił Nate Reeve - Sam już ukończył dwadzieścia dwa lata, więc decyzja należy do niego.

Nagle wszyscy odwrócili się i popatrzyli na Sama.

Ralph nie wiedział, czego oczekiwać. Wielu młodzieńców ze wszystkich klas marzyło o tym, żeby zostać giermkami, lecz nie wiedział, czy Sam jest jednym z nich. Życie na zamku jest wygodne i ekscytujące w porównaniu ze zginaniem grzbietu na polach, ale z drugiej strony wielu zbrojnych umierało młodo lub - jeszcze gorzej - wracało do domów jako kaleki, by w nędzy dożywać reszty swych dni, żebrząc przed gospodami.

Jednak gdy tylko Ralph zobaczył minę Sama, natychmiast pojął prawdę. Sam uśmiechał się szeroko, a w oczach miał niecierpliwy błysk. Wprost nie mógł się tego doczekać.

Gwenda odzyskała mowę.

- Nie rób tego, Sam! - prosiła. - Nie daj się skusić. Nie pozwól, by matka zobaczyła cię oślepiętego przez strzały, okaleczonego mieczami francuskich rycerzy lub stratowanego kopytami ich koni!

- Nie idź, synu - poparł ją Wulfric. - Zostań w Wigleigh i żyj długo. Sam zaczął się wahać.

- W porządku, chłopcze - powiedział Ralph. - Wysłuchałeś matki i wieśniaka - ojca, który cię wychował. Jednak decyzja należy do ciebie. Co zrobisz? Nadal będziesz wiódł życie w Wigleigh, obrabiając pola ze swoim bratem, czy wyrwiesz się stąd?

Sam zastanawiał się tylko chwilę. Przepraszająco spojrział na Wulfrica i Gwendę, a potem zwrócił się do Ralpa.

- Zrobię to. Będę giermkim i dzięki ci za to, panie!

- Zuch chłopak - pochwalił Ralph.

Gwenda zaczęła płakać. Wulfric objął ją ramieniem.

- Kiedy ma się tam udać? - zapytał, patrząc na Ralpa.

- Dziś. Po obiedzie może jechać do Earlcastle ze mną i Alanem.

- Nie tak szybko! - zaprotestowała Gwenda. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Idź do domu i weź wszystko, co chcesz ze sobą zabrać - powiedział Ralph do Sama.

- Zjedz obiad z matką. Potem wróć i czekaj na mnie w stajni. Tymczasem Nate znajdzie ci konia, który zanieś cię do Earlcastle. - Odwrócił się, skończywszy z Samem i jego rodziną. - A teraz, gdzie mój obiad?

Wulfric i Gwenda wyszli z Samem, ale Davey został. Czyżby już odkrył, że jego uprawa została stratowana? Czy chodziło o coś innego?

- Czego chcesz? - spytał Ralph.

- Panie, mam prośbę.

To było zbyt cudowne, żeby mogło być prawdą. Ten bezczelny wieśniak, który bez pozwolenia posiał w lesie marzannę, teraz jest petentem. Co za przyjemny dzień.

- Nie możesz zostać giermkim, masz budowę matki - powiedział mu Ralph i Alan wybuchnął śmiechem.

- Chcę poślubić Amabel, córkę Annet - rzekł młodzieniec.

- To nie ucieszy twojej matki.

- Za niecały rok będę dorosły.

Oczywiście Ralph wiedział wszystko o Annet. Przez nią o mało go nie powiesili. Jego losy splatały się z jej losami niemal równie mocno jak los Gwendy. Przypomniawszy sobie, że cała jej rodzina umarła w czasie zarazy.

- Annet wciąż ma część ziemi, którą uprawiał jej ojciec.

- Tak, panie, i chce przekazać ją mnie, kiedy poślubię jej córkę. Zwykle taka prośba nie spotkałaby się z odmową, choć każdy pan zażądałby opłaty zwanej podatkiem od przeniesienia dzierżawy. Jednak pan nie musiał wyrażać zgody. Prawo do odmowy pod wpływem kaprysu i niszczenia życia poddanych było jednym z największych nieszczęść dla wieśniaków. Panom natomiast dawało niezwykle skuteczne narzędzie utrzymywania dyscypliny.

- Nie - powiedział Ralph. - Nie przekażę ci tej ziemi. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Ty i twoja żona możecie zreć marzannę.

najśmielszy plan, ale starannie się do tego przygotował i miał szansę na sukces. A wtedy znów mógłby wtrącać się do spraw szpitala i zniszczyć dzieło jej życia. Jednak nie to było najgorsze. Wróciłoby ortodoksyjne zaślepienie. Obsadzałby wiejskie parafie kapłanami o sercach równie nieczułych jak jego własne, zamykałby szkoły dla dziewcząt i wygłaszał kazania, w których potępiałby tańce.

Nie miała nic do powiedzenia w kwestii wyboru biskupa, lecz mogła wywierać nacisk.

Zaczęła od biskupa Henriego.

Razem z Merthinem pojechali do Shiring, żeby zobaczyć się z biskupem w jego pałacu. Po drodze Merthin przyglądał się każdej napotkanej czarnowłosej dziewczynie albo wpatrywał się w las po obu stronach drogi. Szukał Lolli, lecz dotarli do Shiring, nie natrafiwszy na jej ślad.

Pałac biskupi stał przy głównym placu, naprzeciw kościoła i giełdy towarowej. Nie był to dzień targowy, więc rynek był pusty oprócz stojącej tam stale szubienicy, ponurego ostrzeżenia dla złoczyńców, co ludzie w tym hrabstwie robią z tymi, którzy łamią prawo.

Pałac był bezpretensjonalnym budynkiem z salą i kaplicą na parterze oraz szeregiem gabinetów i prywatnych apartamentów na piętrze. Biskup Henri nadał temu miejscu styl, który Caris uznała za francuski. Każdy pokój był jak obraz. Pałacu nie urządono z przepychem, tak jak pałac Philemona w Kingsbridge, w którym nadmiar dywanów i drogich kamieni nasuwał skojarzenie ze zbójceją jaskinią. Jednak wszystko w domu Henriego miało przyjemnie estetyczny wygląd: srebrny świecznik ustawiony tak, by lśnić w słońcu wpadającym przez okno, błysk wypolerowanego dębowego stołu, wiosenne kwiaty na zimnym kominku, mały gobelin z Dawidem i Goliatem na ścianie.

Biskup Henri nie jest wrogiem, ale i nie sojusznikiem, nerwowo rozmyślała Caris, gdy czekali na niego w sali. Zapewne powie, że próbował się wznieść ponad spory Kingsbridge. Ona cynicznie pomyślała, że jakkolwiek Henri podejmie decyzję, z pewnością będzie miał na względzie własne korzyści. Nie lubił Philemona, ale nie pozwoli, by to wpłynęło na jego ocenę sytuacji.

Wszedł, a za nim - jak zawsze - kanonik Claude. Obaj jakby wcale się nie postarzeni. Henri był trochę starszy od Caris, a Claude jakieś dziesięć lat młodszy, lecz wyglądali jak chłopcy. Caris zauważyła, że duchowni często ładnie się starzeją, lepiej niż arystokraci. Podejrzewała, iż to dlatego, że większość księży - z kilkoma niechlubnymi wyjątkami - zachowuje wstrzemięźliwość. Religia nakazywała im jadać ryby i warzywa w piątki, dni poświęcone świętym oraz podczas wielkiego postu, a teoretycznie w ogóle nie mogli pić alkoholu. Natomiast szlachcice i ich żony folgowali sobie do woli, obzerając się mięsiwem i opijając winem. Być może dlatego mieli zmarszczki, suchą cerę i byli zgarbieni, podczas gdy wiodący surowe i spokojne życie duchowni aż do podeszłego wieku pozostawali sprawni i zdrowi.

Merthin pogratulował Henriemu nominacji na arcybiskupa Monmouth, po czym od razu przeszedł do rzeczy.

- Przeor Philemon wstrzymał prace nad wieżą.

- Miał jakiś powód? - zapytał Henri z wystudiowaną obojętnością.

- Miał pretekst i powód - odparł Merthin. - Pretekstem był wadliwy projekt.

- Na czym polega wada?

- Twierdzi, że ośmiokątnej wieżyczki nie można zbudować bez krążyny. W zasadzie to prawda, lecz ja znalazłem sposób, jak tego dokonać.

- Jaki?

- Dość prosty. Zrobię okrągłą kopułę, która nie potrzebuje wzmocnienia, po czym obuduję ją kamieniami i zaprawą, tworząc ośmiokąt. Z zewnątrz będzie to ośmiokątna iglica, w środku zbudowana jak muszla.

- Powiedziałeś o tym Philemonowi?

- Nie. Gdybym to zrobił, znalazłby inny pretekst.

- A jaki jest prawdziwy powód?

- Chce zamiast wieży postawić kaplicę Matki Boskiej.

- Aha.

- To część jego kampanii zaskarbienia sobie łaski kościelnych hierarchów. Wygłosił kazanie przeciwko sekcji zwłok, kiedy był tam archidiakon Reginald. Powiedział również doradcom króla, że nie będzie się opowiadał przeciwko opodatkowaniu kleru.

- O co mu chodzi?

- Chce zostać biskupem Shiring. Henri uniósł brwi.

- Philemon zawsze miał tupet, muszę mu to przyznać.

- Skąd o tym wiesz? - odezwał się Claude.

- Powiedział mi sir Gregory Longfellow. Claude spojrzął na Henriego.

- Jeśli ktoś może o tym wiedzieć, to tylko Gregory.

Caris widziała, że Henri i Claude nie przewidzieli, iż Philemon okaże się tak ambitny. Chcąc mieć pewność, że docenią znaczenie tych rewelacji, rzekła:

- Jeśli Philemon zrealizuje swoje plany, ty, jako arcybiskup Monmouth, będziesz bez końca rozstrzygał spory między biskupem Philemonem a mieszkańcami Kingsbridge. Wiesz, jakie tarcia powodował w przeszłości.

- Z pewnością wiemy - odparł Claude.

- Cieszę się, że jesteśmy zgodni - powiedział Merthin.

- Musimy zaproponować innego kandydata... - głośno myślał Claude. Caris miała nadzieję, że to usłyszy.

- Mamy już kogoś na myśli - powiedziała.

- Kogo? - spytał Claude.

- Ciebie.

Zapadła cisza. Caris widziała, że Claude'owi podoba się ten pomysł. Odgadła, że może odrobinę zazdrościć Henriemu awansu i zastanawiać się, czy jego przeznaczeniem jest wiecznie być sekretarzem. Z łatwością poradziłby sobie na stanowisku biskupa. Dobrze znał diecezję i już zajmował się większością spraw administracyjnych.

Jednakże teraz obaj z pewnością myśleli o swoim życiu osobistym. Caris nie miała żadnych wątpliwości, że są niczym mąż i żona - widziała, jak się całowali. Jednak minęło już wiele lat od pierwszego zauroczenia i intuicja podpowiedziała jej, że mogliby znieść częściową separację.

- Nadal bardzo często pracowalibyście razem - dodała.

- Arcybiskup będzie miał wiele powodów, żeby odwiedzać Kingsbridge i Shiring - przyznał Claude.

- A biskup Kingsbridge będzie musiał często przybywać do Monmouth - zaznaczył Henri. »

- Byłby to wielki zaszczyt, zostać biskupem - rzekł Claude. I z błyskiem w oku dodał:

- Szczególnie pod twoim zwierzchnictwem, arcybiskupie.

Henri odwrócił głowę, udając, że nie zrozumiał tego dwuznacznego stwierdzenia.

- Myślę, że to doskonały pomysł - orzekł.

- Gildia Kingsbridge poprze Claude'a - zapewnił Merthin. - Mogę to zagwarantować. Jednak to ty, arcybiskupie Henri, musisz podsunąć tę myśl królowi.

- Oczywiście.

- Mogę zaproponować coś jeszcze? - zapytała Caris.

- Proszę.

- Znajdź inne stanowisko dla Philemona. Zaproponuj go na... nie wiem, archidiakona Lincoln. Coś, co mu się spodoba, ale sprawi, że będzie wiele mil stąd.

- To dobry pomysł - zgodził się Henri. - Jeśli będzie kandydował na dwa stanowiska, to osłabi jego kandydaturę na to jedno. Będę się rozglądał.

Claude wstał.

- To wszystko jest bardzo ekscytujące - przyznał. - Zjecie z nami obiad? W tym momencie wszedł sługa i zwrócił się do Caris:

- Ktoś pyta o panią. To tylko chłopiec, ale wygląda na strapionego.

- Wpuść go - polecił Henri.

Wszedł chłopiec mniej więcej trzynastoletni. Był brudny, lecz jego odzienie nie było tanie i Caris odgadła, że pochodzi z dość dobrze sytuowanej rodziny, która wpadła w kłopoty.

- Zechcesz przyjść do naszego domu, matko Caris?

- Już nie jestem zakonnica, dziecko, ale w czym problem? Chłopiec mówił szybko:

- Moi rodzice są chorzy i mój brat też, i matka słyszała, jak ktoś mówił, że jesteś w pałacu biskupa, więc kazała mi cię sprowadzić, ona wie, że pomagasz biednym, ale może zapłacić, zechcesz przyjść, proszę?

Taka prośba nie była czymś niezwykłym i Caris wszędzie zabierała ze sobą skórzaną torbę z lekami.

- Oczywiście, że przyjdę, chłopcze - powiedziała. - Jak się zwiesz?

- Giles Spicers, matko. Mam na ciebie poczekać i zaprowadzić cię.

- Dobrze. - Caris zwróciła się do biskupa: - Jedźcie beze mnie, proszę. Dołączę do was, jak tylko będę mogła.

Wzięła torbę i poszła za chłopcem.

Shiring zawdzięczało swoje istnienie zamkowi szeryfa, tak jak Kingsbridge swoje opactwu. W pobliżu rynku stały okazałe domy najbogatszych kupców, handlarzy wełną zastępców szeryfa i miejscowych urzędników królewskich, takich jak koroner. Nieco dalej były domy średniozamożnych kupców i rzemieślników, jubilerów, krawców i aptekarzy. Jak wskazywało jego nazwisko*[* Spice (ang.) - przyprawa.], ojciec Gilesa handlował przyprawami i chłopiec zaprowadził Caris na jedną z uliczek tej części miasta. Większość tamtejszych budynków miała murowany parter służący za magazyn i sklep oraz lepsze piętro mieszkalne z bali. Dziś sklep Spicersa był zamknięty. Giles poprowadził Caris schodami na górę.

Gdy tylko weszła, poczuła znajomy odór choroby. Zawahała się. Było coś szczególnego w tej woni, coś, co poruszyło jakąś strunę w jej pamięci i z jakiegoś powodu bardzo ją przestraszyło.

Zamiast zastanawiać się, co to takiego, przeszła przez salon do sypialni i tam znalazła straszliwą odpowiedź.

Pod ścianami leżały materace, a na nich trzy osoby: kobieta w jej wieku, nieco starszy mężczyzna i chłopiec. Mężczyzna był w najgorszym stanie. Leżał, jęcząc i pocąc się w gorączce. Rozchylony kołnierz koszuli ukazywał purpurowoczarne plamy na piersi i szyi. Miał krew na wargach i nozdrzach.

Był chory na zarazę.

- Wróciła - szepnęła Caris. - Boże dopomóż.

Na moment sparaliżował ją strach. Stała nieruchomo, patrząc na nich i czując się bezsilna. Teoretycznie zawsze wiedziała, że zaraza może wrócić - częściowo dlatego napisała swoją książkę - lecz mimo to nie była przygotowana na szok, jakiego doznała, widząc znów wysypkę, gorączkę i krwawienie z nosa.

Kobieta uniosła się na pościeli, podpierając się łokciem. Jej choroba nie była jeszcze tak zaawansowana: miała wysypkę i gorączkę, ale nie krwawiła z nosa.

- Na miłość boską dajcie mi coś do picia - błagała.

Giles przyniósł dzban wina i w końcu Caris zdołała zebrać myśli i otrząsnąć się z szoku.

- Nie dawaj jej wina, bo po nim jeszcze bardziej będzie jej się chciało pić - poleciła. - Idąc tutaj, widziałam baryłkę piwa w sąsiednim pokoju. Utoocz go trochę.

Kobieta skupiła wzrok na Caris.

- Ty jesteś tą przeoryszą, prawda? - powiedziała, a Caris nie sprostowała pomyłki. - Ludzie mówią, że jesteś świętą. Możesz wyleczyć mnie i moją rodzinę?

- Spróbuję, ale nie jestem świętą tylko kobietą która zajmuje się ludźmi w zdrowiu i chorobie.

Caris wyjęła z torby kawałek lnu i owiązała sobie nim nos oraz usta. Od dziesięciu lat nie widziała chorego na zarazę, lecz miała zwyczaj stosować te środki ostrożności, ilekroć miała do czynienia z pacjentami, których choroby mogły być zaraźliwe. Zwilżyła różaną wodą czystą szmatkę i obmyła twarz kobiety. Jak zwykle to uspokoiło pacjentkę.

Giles wrócił z kuflem piwa i kobieta napiła się.

- Dawaj im tyle pić, ile zechcą - powiedziała do chłopca - ale tylko piwo lub rozcieńczone wino.

Podeszła do ojca rodziny, któremu nie pozostało wiele życia. Majaczył i nie był w stanie skupić wzroku. Obmyła mu twarz, zmywając krew z nosa i ust. W końcu zajęła się starszym bratem Gilesa. Ten zachorował niedawno i wciąż kichał, lecz był dostatecznie duży, by rozumieć, jak poważnie jest chory, więc był przerażony.

Kiedy skończyła, zawołała Gilesa.

- Staraj się, żeby było im wygodnie, i dawaj im pić. Nic więcej nie możesz zrobić. Czy masz jakichś krewnych? Wujów lub kuzynów?

- Wszyscy są w Walii.

Zanotowała w myślach, żeby uprzedzić biskupa Henriego, że może będzie musiał zająć się osieroconym chłopcem.

- Mama kazała ci zapłacić - powiedział chłopiec.

- Niewiele wam pomogłam - odrzekła Caris. - Możesz zapłacić mi sześć pensów. Przy łóżku matki leżała skórzana sakiewka. Wyjął z niej sześć srebrnych pensów. Jego matka znów uniosła się na łokciu. Teraz nieco spokojniej, powiedziała:
 - Co nam jest?
 - Przykro mi - odparła Caris - to zaraza. Kobieta z rezygnacją pokiwała głową.
 - Tego się obawiałam.
 - Nie rozpoznaliście objawów po poprzednim ataku zarazy?
 - Mieszkaliśmy w małym miasteczku w Walii, ominęła nas. Czy wszyscy umrzemy?
- Caris nie okłamywała ludzi zadających takie pytania.
- Niektórym ludziom udaje się przeżyć - przyznała. - Jednak niewielu.
 - Zatem niech Bóg ma nas w swej opiece - westchnęła kobieta.
 - Amen - powiedziała Caris.

Przez całą drogę do Kingsbridge Caris rozmyślała o zarazie. Ta rozprze-strzeni się, oczywiście, tak jak ostatnim razem. Zabije tysiące. Na tę myśl ogarniała ją wściekłość. To było jak bezsensowna rzeź na wojnie, tyle że wojny są wywoływane przez ludzi, a zaraza nie. Co robić? Nie może siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak powtarzają się wydarzenia sprzed trzynastu lat.

Na zarazę nie było lekarstwa, lecz odkryła sposoby, jak spowolnić jej morderczy pochód. Gdy jej koń człapał po wydeptanym leśnym trakcie, Caris przypominała sobie, co wie o zarazie i jak ją pokonać. Merthin milczał, rozpoznając jej nastrój i zapewne doskonale wiedząc, o czym myśli.

Gdy dotarli do domu, wyjaśniła mu, co zamierza zrobić.

- Będą sprzeciwy - ostrzegł. - Twój plan jest drastyczny. Ci, którzy ostatnim razem nie stracili rodzin czy przyjaciół, mogą sądzić, że są odporni, i powiedzą, że przesadzasz.
- Właśnie w tym możesz mi pomóc - powiedziała.
- W takim razie proponuję, żebyśmy podzielili potencjalnych przeciwników na dwie grupy i zajęli się nimi oddzielnie.
- W porządku.
- Mamy trzy grupy, które musimy przeciągnąć na naszą stronę: gildię, mnichów i zakonnice. Zacznijmy od gildii. Zwołam zebranie i nie zaproszę na nie Philemona.

Teraz członkowie gildii spotykali się w budynku giełdy towarowej, dużym kamiennym gmachu przy głównej ulicy. Kupcy mogli tam robić interesy nawet w niepogodę. Został zbudowany z zysków ze szkarłatu Kingsbridge.

Zanim jednak gildia się zebrała, Caris i Merthin spotkali się z każdym jej ważnym członkiem z osobna, starając się uzyskać ich poparcie. Merthin nauczył się tego dawno temu. Jego dewizą było:

„Nigdy nie zwołuj zebrania, dopóki jego wynik nie jest przesądzony”.

Caris osobiście poszła porozmawiać z Madge Webber.

Madge ponownie wyszła za mąż. Ku powszechnemu rozbawieniu oczarowała wieśniaka równie przystojnego jak jej pierwszy mąż i piętnaście lat od niej młodszego. Zwał się Anselm i zdawał się ją uwielbiać, choć była pulchna jak zawsze, a swe siwe włosy zakrywała dziwacznymi czepkami. Co dziwniejsze, znowu poczęła, choć już przekroczyła czterdziestkę, i urodziła zdrową dziewczynkę, Selmę, teraz ośmioletnią i uczęszczającą do szkoły przyklasztornej. Macierzyństwo wcale nie przeszkadzało Madge w robieniu interesów i z pomocą Anselma nadal produkowała większość wytwarzanego w Kingsbridge szkarłatu.

Wciąż mieszkała w tym dużym domu przy głównej ulicy, do którego ona i Mark wprowadzili się, gdy zaczęła zarabiać na tkaniu i farbowaniu. Caris zastała ją przyjmującą z Anslemem dostawę czerwonej tkaniny. Próbowali znaleźć na nią miejsce w zapchanym magazynie na parterze.

- Gromadzę towar na święto runa - wyjaśniła Madge.

Caris zaczekała, aż sprawdzi towar, a potem poszły na górę, zostawiwszy sklep pod opieką Anslema. Wehdoząc do salonu, Caris przypomniała sobie tamten dzień sprzed trzynastu lat, gdy wezwano ją tu do Marka - pierwszej w Kingsbridge ofiary zarazy. Ogarnęło ją przygnębienie.

Madge zauważyła jej minę.

- Co jest? - zapytała.

Przed kobietami nie da się ukryć czegoś tak jak przed mężczyznami.

- Przyszłam tu trzynaście lat temu, ponieważ Mark był chory - powiedziała Caris.

Madge skinęła głową.

- To był początek najgorszego okresu w moim życiu. Tamtego dnia miałam cudownego męża i czworo zdrowych dzieci. Trzy miesiące później byłam bezdzietną wdową niemającą po co żyć.

- Smutne dni - westchnęła Caris.

Madge podeszła do kredensu, w którym stały kubki i dzbanek, lecz zamiast zaproponować Caris napitek, wbiła wzrok w ścianę?”

- Mogę powiedzieć ci coś dziwnego? Od kiedy umarli, nie mogłam odmówić do końca Ojcie nasz. - Przełknęła ślinę i dodała spokojniej: - Wiesz, znam łacinę. Mój ojciec mnie nauczył. Fiat voluntas tua... bądź wola Twoja. Nie mogłam tego powiedzieć. Bóg zabrał mi rodzinę i to było wystarczającą udręką, nie mogłam się z tym pogodzić. - Na samo wspomnienie łzy stanęły jej w oczach. - Nie chciałam, by wola boska przeważała, chciałam odzyskać moje dzieci. „Bądź wola Twoja”. Wiedziałam, że pójde do piekła, ale mimo to nie mogłam tego wymówić.

- Zaraza wróciła - powiedziała Caris.

Madge zachwiała się i przytrzymała kredensu. Jej krępa postać nagle wydała się krucha, a gdy z jej twarzy znikła pewność siebie, wyglądała staro.

- Nie - jęknęła.

Caris przysunęła jej ławę i przytrzymała Madge za ramię, gdy ta siadała.

- Przykro mi, że cię przeraziłam - powiedziała.

- Nie - powtórzyła Madge. - Ona nie może wrócić. Nie mogę stracić Anselma i Selmy. Nie zniosę tego. Nie zniosę...

Była tak blada i zdenerwowana, że Caris obawiała się, iż zaraz dostanie ataku. Nalała wina do kubka i podała go Madge, która odruchowo wypila. Jej twarz zaczęła odzyskiwać naturalny kolor.

- Teraz lepiej ją rozumiemy - mówiła Caris. - Może uda nam się ją zwalczyć.

- Zwalczyć? W jaki sposób?

- Właśnie to przyszedłam ci powiedzieć. Czujesz się trochę lepiej? Madge w końcu spojrzała Caris w oczy.

- Zwalczyć... Oczywiście, musimy to zrobić. Powiedz mi jak.

- Musimy zamknąć miasto. Zamknąć bramy, obsadzić strażami studnie, nie pozwolić nikomu wejść.

- Przecież mieszkańcy muszą jeść.

- Ludzie będą dostarczali żywność na Wyspę Trędotatych. Merthin będzie pośredniczył i płacił im... on zachorował poprzednim razem i przeżył, a nikt nie choruje na nią po raz drugi. Handlarze będą zostawiali swoje towary na moście. Potem, kiedy odejdą, mieszkańcy przyjdą i zabiorą żywność.

- Czy ludzie będą mogli opuszczać miasto?

- Tak, lecz nie będą mogli wrócić.

- Co ze świętym runa?

- To może być najtrudniejsza część planu - przyznała Caris. - Musi zostać odwołane.

- Kupcy z Kingsbridge stracą tysiące funtów!

- To lepsze niż umrzeć.

- Jeśli zrobimy to, co mówisz, czy unikniemy zarazy? Czy moja rodzina przeżyje?

Caris zawahała się i oparła pokusie powiedzenia uspokajającego kłamstwa.

- Tego nie mogę obiecać. Może zaraza już tu dotarła. Być może ktoś już umiera w samotności w jakiejś chacie na brzegu i nikt nie może mu pomóc. Tak więc obawiam się, że może nie całkiem uda nam się tego uniknąć. Jednak wierzę, iż mój plan daje największe szanse na to, że na Boże Narodzenie nadal będziesz miała przy sobie Anselma i Selmę.

- Zatem zrobimy to - powiedziała Madge zdecydowanie.

- Twoje poparcie jest decydujące - wyjaśniła Caris. - Szczerze mówiąc, na skutek odwołania święta runa stracisz więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny. Z tego powodu ludzie będą skłonni ci uwierzyć. Nie muszę ci mówić, jakie to ważne.

- Nie martw się. Ja im to powiem.

- Bardzo dobry pomysł - pochwalił przeor Philemon.

Merthin był zdumiony. Nie pamiętał, by Philemon chętnie się zgodził na jakąkolwiek propozycję gildii.

- Zatem poprzecz go - powiedział, chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszał.

- Tak, w rzeczy samej - przytaknął przeor. Jadł rodzynek z miski, wypychając je garściami do ust tak szybko, jak nadązał przeżuwać. Nie poczęstował Merthi-na. - Oczywiście

- dodał - to nie dotyczy mnichów.

Merthin westchnął. Powinien był to przewidzieć.

- Wprost przeciwnie, to dotyczy wszystkich - rzekł.

- Nie, nie - powiedział Philemon, jakby tłumaczył coś dziecku. - Gildia nie ma prawa ograniczać swobody poruszania się mnichów.

Merthin zauważył kota leżącego u stóp Philemona. Był tusty tak jak on, o złośliwym pysku. Wyglądał jak kot Godwyny, Arcybiskup, tyle że tamten już pewnie dawno zdechł. Może to jego potomek.

- Gildia ma prawo zamknąć mury miasta - przypomniał Merthin.

- Lecz my mamy prawo przychodzić i wychodzić, kiedy chcemy. Nie podlegamy władzom miasta... to byłoby śmieszne.

- Jednak to gildia rządzi miastem i postanowiła, że nikt nie może do niego wejść, dopóki szaleje zaraza.

- Nie możesz tworzyć przepisów dla opactwa.

- Jednak mogę je tworzyć dla miasta, a opactwo przypadkiem znajduje się w mieście.

- Chcesz mi powiedzieć, że jeśli dziś opuszczę Kingsbridge, to jutro odmówisz mi prawa powrotu?

Merthin nie był tego pewien. Byłoby to co najmniej bardzo kłopotliwe, gdyby przeor Kingsbridge stał przed bramą, domagając się, by go wpuszczono. Miał nadzieję, że namówi Philemona na zaakceptowanie ograniczeń. Nie chciał wystawiać jednomyślności gildii na tak ciężką próbę. Mimo to powiedział z niezmaconą pewnością siebie:

- Absolutnie.

- Poskarżę się biskupowi.
- Powiedz mu, że nie może wjechać do Kingsbridge.

Caris zauważyła, że obsada żeńskiego klasztoru niewiele się zmienia przez te wszystkie lata. Oczywiście w klasztorach już tak jest: zakonnice pozostają w nich do końca życia. Przeoryszą nadal była matka Joan, a siostra Oonagh prowadziła szpital pod nadzorem brata Sime. Teraz mało ludzi przychodziło tu po pomoc - większość wolała szpital Caris na wyspie. Tymi pacjentami, których nadal miał Sime, głównie głęboko wierzącymi, zajmowano się w starym szpitalu obok kuchni, podczas gdy nowy był wykorzystywany jako dom gościnny.

Caris usiadła z Joan, Oonagh i Sime'em w pomieszczeniu dawnej apteki, teraz pełniącym funkcję prywatnej komnaty przeoryszy, i wyjaśniła swój plan.

- Ludzie spoza miasta, którzy zachorują na zarazę, będą przyjmowani do mojego szpitala na wyspie - powiedziała. - W czasie trwania zarazy zakonnice i ja będziemy tam we dnie i w nocy. Nikt nie opuści budynku oprócz tych nielicznych szczęśliwców, którzy wyzdrowieją.

- A co tutaj, w starej części miasta? - zapytała Joan.

- Jeśli zaraza pomimo naszych środków ostrożności wedrze się do miasta, będzie zbyt wiele ofiar, żeby umieścić je tutaj. Gildia zarządziła, że ofiary zarazy i ich rodziny mają pozostać w domach. To zarządzenie dotyczy wszystkich mieszkających w domu dotkniętym przez zarazę: rodziców, dzieci, dziadków, służby, czeladników. Każdy przyłapany na opuszczaniu domu zostanie powieszony.

- To surowe prawo - stwierdziła Joan. - Jeśli jednak ma zapobiec straszliwym skutkom, jakie przyniosła poprzednia zaraza, warto je wprowadzić.

- Wiedziałałam, że to zrozumiesz.

Sime milczał. Na wieść o pladze zapomniał o swej arogancji.

- Jak będą się żywili chorzy, jeśli będą uwięzieni w domach? - spytała Oonagh.

- Sąsiedzi mają stawiać żywność na progach. Nikomu nie wolno wchodzić do środka oprócz zakonnic i mnichów medyków. Ci będą odwiedzali chorych, lecz nie wolno im stykać się ze zdrowymi. Mają chodzić z opactwa do domów chorych i z powrotem, nie wchodząc do żadnych innych budynków ani nawet nie rozmawiając z nikim na ulicy. Muszą nosić maski i przemywać dłonie wodą z octem za każdym razem, gdy dotkną chorego.

Sime był przerażony.

- Czy to nas uchroni?

- Do pewnego stopnia - odparła Caris. - Nie całkowicie.

- Zatem opieka nad chorymi będzie dla nas śmiertelnie niebezpieczna! Odpowiedziała mu Oonagh:

- My nie obawiamy się śmierci. Czekamy na nią niecierpliwie. Dla nas jest długo oczekiwany połączeniem się z Chrystusem.

- Tak, oczywiście - wykrztusił Sime. Nazajutrz wszyscy mnisi opuścili Kingsbridge.

88

Gwenda wpadła w furję na widok tego, co Ralph zrobił z plantacją marzanny Daveya. Takie bezmyślne niszczenie plonów to grzech. W piekle powinno być specjalne miejsce dla szlachciców, którzy niszczyli to, co wieśniacy wyhodowali z takim trudem.

Jednak Davey się nie przejął.

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie - powiedział. - To korzenie są cenne, a tych nie tknął.

- Bo to byłby za duży wysiłek - kwaśno zauważyła Gwenda, ale poweselała. W rzeczy samej, krzewy niezwykle szybko się odrodziły. Ralph zapewne nie wiedział, że marzanna rozmnaża się przez kłącza. W maju i czerwcu, gdy do Wigleigh zaczęły docierać wieści o wybuchu zarazy, korzenie wypuściły nowe pędy, a na początku lipca Davey zdecydował, że czas zebrać plon. W jedną z niedziel Gwenda, Wulfric i Davey przez całe popołudnie wykopywali korzenie. Najpierw spulchniali ziemię wokół roślin, potem wyjmowali je z ziemi i obierali z liści, pozostawiając korzeń połączony z krótką łodygą. Była to ciężka praca, ale taką Gwenda parała się przez całe życie.

Połowę plantacji pozostawili nietkniętą w nadziei, że odrodzi się w przyszłym roku.

Przeciągnęli wózek załadowany po brzegi korzeniami marzanny przez las do Wigleigh, a potem wyładowali je w stodole i rozłożyli na stryszku, żeby wyschły.

Davey nie wiedział, kiedy będzie mógł sprzedać swój zbiór. Kingsbridge było miastem zamkniętym. Oczywiście ludzie nadal kupowali towary, ale wyłącznie przez pośredników. Davey robił coś nowego i musiałby wyjaśnić sytuację nabywcy. Trudno byłoby mu to zrobić przez pośrednika. Mimo to może powinien spróbować? Najpierw jednak musi wysuszyć korzenie, a potem zetrzeć je na proszek, co zajmie mu trochę czasu.

Davey więcej nie wspominał o Amabel, ale Gwenda była pewna, że wciąż się z nią widuje. Wyglądał na wesołego i pogodzonego z losem. Gdyby naprawdę z nią zerwał, byłby smutny.

Gwenda pozostawała tylko nadzieja, że przejdzie mu to, zanim osiągnie wiek, w którym będzie mógł się ożenić bez jej pozwolenia. Wciąż nienawistna jej była myśl, że Annet mogłaby wejść do jej rodziny. Nigdy nie przestała upokarzać Gwendy, flirtując z Wulfrikiem, który uśmiechał się na każdą jej głupią kokieterijną uwagę. Teraz, kiedy Annet była po czterdziestce, miała czerwone żyłki na policzkach i siwe pasma w jasnych lokach, jej zachowanie było nie tylko żenujące, ale wręcz groteskowe, a jednak Wulfric reagował na nie, jakby nadal była młodą dziewczyną.

A teraz, myślała Gwenda, mój syn wpadł w tę samą pułapkę. Miała ochotę splunąć. Amabel wyglądała tak samo jak Annet dwadzieścia pięć lat temu: śliczna buzia otoczona kędziorkami, długa szyja i smukłe białe ramiona oraz piersi małe jak jajka, które matka i córka sprzedawały na jarmarkach. W ten sam sposób potrząsała włosami, tak samo karcąco spoglądała na mężczyznę i uderzała go w pierś grzbietem dłoni gestem, który niby miał być odpychający, a naprawdę był pieszczotliwy.

Jednakże Davey był przynajmniej cały i zdrowy. Gwenda bardziej martwiła się o Sama mieszkającego teraz na zamku Ralpa i uczącego się walczyć. W kościele modliła się, żeby nie został ranny na polowaniu, podczas nauki fechtunku albo walki na jakimś turnieju. Widywała go codziennie przez dwadzieścia dwa lata, a potem nagle jej go zabrano. Ciężko być kobietą, pomyślała. Kochasz swoje dziecko całym sercem i duszą, a potem pewnego dnia ono odchodzi.

Przez kilka tygodni szukała pretekstu, by pojechać do Earlcastle i sprawdzić, jak się miewa Sam. Potem usłyszała, że wybuchła tam zaraza, i podjęła decyzję: pójdzie tam jeszcze przed zniwami. Wulfric nie pójdzie z nią - ma zbyt wiele pracy. Poza tym nie obawiała się podróżować sama. „Za biedna, by obrabować, za stara by zgwałcić”, żartowała. W rzeczywistości była za silna na jedno i drugie. I nosiła długi nóż.

Przeszła po zwodzonym moście Earlcastle w pewien upalny lipcowy dzień. Na blankach wartowni niczym strażnik stał kruk, a jego czarne pióra lśniły w słońcu. Zakrakał do niej ostrzegawczo. Zabrzmiało to jak ponaglenie.

Już raz uszła zarazie, lecz może tylko miała szczęście - przychodząc tu, ryzykowała życie.

W dolnej części zamku życie toczyło się jak zwykle, tylko nieco wolniej. Jakiś drwal wyładowywał wózek drewna na opał przed piekarnią, a stajenny właśnie rozsiadł zakurzonego konia przed stajniami, lecz poza tym ruch panował niewielki. Przed zachodnim wejściem do kościółka zauważyła grupkę mężczyzn i kobiet i przeszła po spalonej słońcem ziemi, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- W środku są ofiary zarazy - odpowiedziała na jej pytanie jakaś służąca. Gwenda przeszła przez drzwi, czując strach zimną dłonią ściskający jej serce. Dziesięć czy dwanaście materaców ułożono rzędem na podłodze tak, by leżący na nich patrzyli na ołtarz, jak w szpitalu. Prawie połowę pacjentów stanowiły dzieci. Naliczyła trzech dorosłych mężczyzn. Z obawą popatrzyła na ich twarze.

Żaden z nich nie był Samem.

Uklękła i zmówiła dziękczynną modlitwę.

Wyszła na zewnątrz i podeszła do kobiety, z którą rozmawiała wcześniej.

- Szukam Sama z Wigleigh - powiedziała. - Jest nowym giermkim. Kobieta wskazała na most wiodący do środkowej części.

- Spróbuj w kasztelu.

Gwenda poszła we wskazanym kierunku. Wartownik przy moście zignorował ją. Weszła po schodach do zamku.

W wielkiej sali było ciemno i chłodno. Ogromny pies spał na zimnych kamieniach przed kominkiem. Pod ścianami stały ławy, a na końcu sali dwa duże fotele. Gwenda zauważyła, że nie ma tu poduszek, tapicerowanych mebli ani gobelinów na ścianach. Domyśliła się, że lady Philippa spędza tu niewiele czasu i nie interesuje się wystrojem.

Sam siedział pod oknem w towarzystwie trzech młodszych mężczyzn. Części ich zbroi leżały na podłodze, ułożone rzędem, od napierśnika po nagolenniki. Każdy czyścił jakiś kawałek. Sam pocierał napierśnik pumeksem, próbując usunąć rdzę.

Przez chwilę stała, obserwując go. Miał na sobie nowe odzienie w czerwono-czarnych barwach hrabiego Shiring. Pasowały do jego czarnych włosów. Sprawiał wrażenie odprężonego i pracując, gawędził z towarzyszami. Wyglądał na zdrowego i dobrze odżywionego. Gwenda miała nadzieję, że tak będzie, a mimo to poczuła ukłucie perwersyjnego rozczarowania, że tak dobrze radzi sobie bez niej.

Podniósł głowę i zobaczył ją. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie, zadowolenie, a potem rozbawienie.

- Chłopcy - powiedział - jestem najstarszy z was i pewnie sądzicie, że potrafię o siebie zadbać, ale tak nie jest. Moja matka podąża za mną wszędzie, żeby się upewnić, czy wszystko ze mną w porządku.

Zobaczyli ją i się roześmiali. Sam odłożył napierśnik i podszedł do niej. Matka i syn usiedli w kącie przy schodach wiodących do pokoi na piętrze.

- Doskonale się tu bawię - opowiadał Sam. - Po całych dniach gramy w różne gry. Są polowania i sokolnictwo, zapasy i konkursy jeździeckie, gramy też w piłkę. Tyle się nauczyłem! Trochę to żenujące, że przez cały czas przebywam z tymi wyrostkami, ale jakoś to znoszę. Teraz muszę opanować sztukę posługiwania się tarczą i mieczem, siedząc na koniu.

Zauważyła, że inaczej mówi. Zatracił powolny sposób mówienia charakterystyczny dla wieśniaka i używał takich słów jak „sokolnictwo” czy „Jeździectwo”. Przyzwyczajał się do życia szlachcica.

- A praca? - spytała. - To nie może być tylko zabawa.

- Tak, mamy mnóstwo pracy. - Wskazał na chłopców czyszczących zbroję. - Jednak jest łatwa

w porównaniu z oraniem i bronowaniem.

Zapytał o brata, a ona opowiedziała mu, co słyhać u Daveya. Jego marzanna odrodziła się i wykopali korzenie, Davey wciąż był zakochany w Amabel, nikt jeszcze nie zachorował na zarazę. Gdy tak rozmawiali, poczuła, że jest obserwowana, i wiedziała, że sobie tego nie wyobraziła. Po chwili obejrzała się przez ramię.

Hrabia Ralph stał u szczytu schodów, w otwartych drzwiach, najwidoczniej wyszedłszy ze swojego pokoju. Zastanawiała się, od jak dawna na nią patrzy. Napotkała jego spojrzenie. Spoglądał na nią w skupieniu, ale z jego oczu niczego nie zdołała wyczytać. Jego spojrzenie wydało jej się nieprzyjemnie intymne i odwróciła wzrok.

Kiedy znów popatrzyła w górę, już go nie było.

Nazajutrz, gdy była w połowie drogi do domu, usłyszała za plecami tętent kopyt szybko jadącego konia. Jeździec zwolnił i zatrzymał się przy niej. Zaciśnęła dłoń na rękojeści tkwiącego za paskiem sztyletu. Jeźdźcem był Alan Fernhill.

- Hrabia chce cię widzieć - powiedział.

- To niech lepiej sam przyjedzie, zamiast przysyłać ciebie - odparła.

- Zawsze masz gotową odpowiedź, co? Myślisz, że to zyskuje ci sympatię twoich panów?

Miał rację. Zaskoczył ją, może dlatego, że przez te wszystkie lata, gdy był pomagierem Ralpha, nigdy nie słyszała, żeby powiedział coś mądrego. Gdyby była naprawdę rozsądna, podlizywałaby się takim jak Alan, a nie stroiła sobie z nich żarty.

- No dobrze - powiedziała ze znużeniem. - Hrabia mnie wzywa. Mam wracać na zamek?

- Nie. Ma domek w lesie, niedaleko stąd, w którym czasem zatrzymuje się na odpoczynek podczas polowania. Jest tam teraz.

Wskazał las obok drogi.

Gwendzie się to nie spodobało, ale jako poddana nie mogła nie stawić się na wezwanie pana. Poza tym, gdyby odmówiła, Alan na pewno ogłuszyłby ją, związał i tam zawiózł.

- Dobrze.

- Wskakuj na konia i siądź w siodle przede mną.

- Nie, dziękuję, wolę iść.

Otej porze roku poszycie było gęste. Gwenda podążała za jeźdźcem, wykorzystując wydeptaną przez konia ścieżkę w pokrzywach i paprociach. Droga za nimi szybko skryła się w gąszczu. Gwenda niespokojnie zastanawiała się, jaki kaprys skłonił Ralpha do zaaranżowania tego spotkania. Czuła, że

nie będzie to nic dobrego dla niej i jej rodziny.

Przebyli ćwierć mili i dotarli do niskiej chaty krytej słomą. Natknąwszy się na nią przypadkowo, Gwenda wzięłaby ją za chałupę leśnika. Alan owiazał wodze wokół drzewka i wprowadził ją do środka.

Wnętrze było równie surowe i nieprzyjazne jak zamek Earlcastle. Podłoga z ubitej gliny, ściany z wikliny obklepionej gliną zmieszaną z sieczką, żadnego sufitu, tylko strzecha. Zaledwie kilka sprzętów: stół, ławy i zwykła drewniana prycza z wypchanym słomą materacem. Uchylone drzwi na końcu ukazywały małą kuchnię, w której zapewne słudzy Ralpha przygotowywali jedło i napoje dla niego i towarzyszących mu myśliwych.

Ralph siedział przy stole z kubkiem wina. Gwenda stanęła przed nim i czekała. Alan oparł się o ścianę za jej plecami.

- Zatem Alan cię znalazł - odezwał się Ralph.

- Oprócz nas nikogo tu nie ma? - nerwowo zapytała Gwenda.

- Tylko ty, ja i Alan.

Niepokój Gwendy jeszcze się pogłębił.

- Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

- Porozmawiać o Samie, oczywiście.

- Zabrałeś mi go. O czym tu jeszcze mówić?

- To dobry chłopak, wiesz... ten nasz syn.

- Nie nazywaj go tak. - Spojrzała na Alana, lecz ten nie okazywał zdziwienia - widocznie został dopuszczony do sekretu. Zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Wulfric nie może się o niczym dowiedzieć. - Nie nazywaj go naszym synem - powiedziała. - Nigdy nie byłeś dla niego ojcem. To Wulfric go wychował.

- Jak miałem go wychować? Nawet nie wiedziałem, że jest mój! Jednak teraz nadrabiam stracony czas. Mówił ci, że dobrze sobie radzi?

- Czy on walczy?

- Oczywiście. Giermkowie muszą walczyć. To dla nich dobre ćwiczenie, zanim pójdą na wojnę. Powinnaś zapytać, czy zwycięża.

- Nie takiego życia dla niego chciałam.

- Do takiego życia jest stworzony.

- Sprowadziłeś mnie tu, żeby się chęłpić?

- Dlaczego nie usiądziesz?

Niechętnie usiadła na ławie naprzeciwko niego. Napełnił winem kubek i podsunął jej.

Zignorowała go.

- Teraz, kiedy wiem, że mamy syna, myślę, że powinniśmy lepiej się poznać - powiedział.

- Nie, dziękuję.

- Jesteś taka radosna.

- Nie mów mi o radości. Byłeś przekleństwem mojego życia. Z całego serca wolałabym nigdy cię nie widzieć. Nie chcę cię lepiej poznać. Chcę się od ciebie uwolnić. Nawet gdybyś wyjechał do Jerozolimy, nie byłoby to dla mnie dostatecznie daleko.

Jego twarz pociemniała z gniewu i Gwenda pożałowała swych pochopnych słów. Wspomniała karcącą uwagę Alana. Szkoda, że nie odmówiła spokojnie i zwięźle, bez zjadliwych uwag. Jednak Ralph jak nikt inny budził w niej wściekłość.

- Nie rozumiesz? - ciągnęła, starając się mówić rozsądnie. - Nienawidziłeś mojego męża przez ćwierć wieku. On złamał ci nos, a ty rozciąłeś mu policzek. Wydziedziczyłeś go, a potem musiałeś oddać mu jego ojcowiznę. Zgwałciłeś kobietę, którą kiedyś kochał. Kiedy uciekł, przywlokłeś go na sznurze. Po tym wszystkim nawet fakt, że mamy syna, nie czyni nas przyjaciółmi.

- Nie zgadzam się z tym - powiedział. - Myślę, że możemy być nie tylko przyjaciółmi, ale kochankami.

- Nie!

Tego się obawiała, podświadomie, od kiedy Alan pojawił się przy niej na drodze.

Ralph uśmiechnął się.

- Dlaczego nie zdejmiesz sukni?

Napięła mięśnie. »

Alan doskoczył do niej od tyłu i jednym zręcznym ruchem wyrwał jej sztylet zza pasa. Najwyraźniej szykował się do tego od dłuższej chwili i zrobił to tak szybko, że nie zdążyła zareagować.

- Nie, Alanie, to nie będzie potrzebne - powiedział Ralph. - Ona zrobi to dobrowolnie.

- Nigdy! - krzyknęła.

- Oddaj jej sztylet, Alanie.

Alan niechętnie obrócił sztylet w dłoni i trzymając go za klingę, podał Gwendzie. Chwyliła go i zerwała się na równe nogi.

- Możecie mnie zabić, lecz, na Boga, zabiorę jednego z was ze sobą! Cofała się, trzymając sztylet, gotowa do walki.

Alan ruszył do drzwi, zamierzając odciąć jej drogę.

- Zostaw ją - rzekł Ralph. - Ona nigdzie nie pójdzie.

Nie miała pojęcia, dlaczego jest taki pewny siebie, ale bardzo się mylił. Zamierzała wydostać się z tej chaty, a potem biec co sił w nogach, aż padnie ze zmęczenia.

Alan zatrzymał się.

Gwenda dotarła do drzwi, sięgnęła wolną ręką za siebie i odsunęła prosty drewniany rygiel.

- Wulfric nie wie, prawda? - zapytał Ralph. Gwenda zamarła.

- O czym nie wie?

- Nie wie, że ja jestem ojcem Sama.

- Nie, nie wie - wyszeptała Gwenda.

- Zastanawiam się, jak by się czuł, gdyby się dowiedział.

- To by go zabiło.

- Tak myślałem.

- Proszę, nie mów mu! - błagała.

- Nie powiem... dopóki będziesz robiła, co każę.

Co miała zrobić? Wiedziała, że Ralph czuje do niej pociąg. W przypiływie rozpaczyny wykorzystała to, żeby zobaczyć się z nim na zamku szeryfa. Ich spotkanie w gospodzie u Bella przed wieloma laty, które dla niej było odrażającym wspomnieniem, w jego pamięci pozostało wspaniałą chwilą, zapewne ubarwioną przez upływ czasu. A ona podsunęła mu pomysł, jak wskrzesić tę chwilę.

Jej wina.

Może uda jej się jakoś go zniechęcić?

- Nie jesteśmy tacy jak przed laty - powiedziała. - Ja już nie jestem niewinną dziewczyną.

Powinieneś wrócić do swoich służących.

- Nie chcę służących. Chcę ciebie.

- Nie, proszę... Walczyła ze łzami. Był nieubłagany.

- Zdejmij suknię.

Wepchnęła sztylet do pochwy i rozpięła pasek.

89

Merthin zbudził się i natychmiast pomyślał o Lolli.

Nie było jej już od trzech miesięcy. Wysłał listy do władz takich miast jak Gloucester, Monmouth, Shaftesbury, Exeter, Winchester i Salisbury. Listy od niego, przewodniczącego gildii jednego z największych miast w kraju, potraktowano poważnie i zewsząd otrzymał uprzejme odpowiedzi. Tylko burmistrz Londynu wykazał brak chęci do pomocy, pisząc, że połowa dziewcząt w tym mieście uciekła z rodzinnych domów i odsyłanie ich tam nie jest zadaniem burmistrza.

Merthin szukał jej w Shiring, Bristolu i Melcombe. Rozmawiał z właścicielami każdej gospody, podając wszystkim rysopis Lolli. Widzieli mnóstwo ciemnowłosych dziewczyn, często w towarzystwie przystojnych łobuzów zwanych Jake, Jack lub Jock, lecz żaden nie mógł powiedzieć, że na pewno widział córkę Merthina czy że słyszał imię Lolla.

Kilku przyjaciół Jake'a także zniknęło, a wraz z nimi parę ich dziewczyn, wszystkie zaginione o kilka lat starsze od Lolli.

Merthin wiedział, że córka może już nie żyć, ale nie tracił nadziei. Niepodobna, żeby zachorowała na zarazę. Nowy atak choroby pustoszył miasta i wsie, zabijając większość dzieci w wieku poniżej dziesięciu lat. Jednak ci, którzy przeżyli jej pierwszy atak, tak jak Lolla i Merthin, najwidoczniej byli ludźmi, którzy z jakiegoś powodu mieli siłę oprzeć się chorobie lub - w nielicznych przypadkach, do których on się zaliczał-wyzdrowieć i tym razem nie chorowali. Jednakże zaraza była tylko jednym z niebezpieczeństw grożących szesnastoletniej dziewczynie, która uciekła z domu, i bogata wyobraźnia Merthina dręczyła go po nocach, podsuwając wizje tego, co mogło się jej przydarzyć.

Jedynym miastem niepustoszoną przez zarazę było Kingsbridge. W starej jego części choroba dotknęła może jeden dom na sto. Merthin dowiedział się o tym, rozmawiając, a właściwie pokrzykując przez zamkniętą bramę z Madge Webber, która pełniła obowiązki przewodniczącego w mieście, podczas gdy on robił swoje za murami. Na przedmieściach Kingsbridge i w innych miastach ten stosunek wynosił jeden do pięciu. Tylko czy plan Caris zwalcza zarazę, czy jedynie odwleka jej nadejście? Czy zaraza będzie szalała nadal, aż w końcu pokona stworzone przez Caris bariery? Czy liczba ofiar będzie równie duża jak ostatnim razem? Nie dowiedzą się tego, dopóki zaraza sama nie wygaśnie - co mogło potrwać miesiące lub lata.

Westchnął i wstał z łóżka. Nie widział Caris, od kiedy zamknięto bramy miasta. Mieszkała w szpitalu, kilka kroków od domu, ale nie opuszczała budynku. Ludzie mogli tam wejść, ale nie mogli wyjść. Caris zdecydowała, że nie byłaby wiarygodna, gdyby nie pracowała razem z zakonnikami, tak więc utknęła tam.

Wyglądało na to, że Merthin połowę swego życia spędził bez niej. Mimo to wcale nie było mu łatwiej. Prawdę mówiąc, teraz, kiedy był w średnim wieku, tęsknił za nią bardziej niż jako młodzieniec.

Jego gospodyni, Em, wstała przed nim i zastał ją w kuchni oprawiającą króliki. Zjadł kromkę chleba i popił słabym piwem, po czym wyszedł na zewnątrz.

Główna droga biegnąca przez wyspę była już zapchana wozami wieśniaków przywożących żywność. Merthin ze swymi pomocnikami rozmawiał z każdym z nich. Z tymi, którzy przywieźli

produkty o ustalonych cenach, było najłatwiej: Merthin przepuszczał ich przez most, by złożyli swoje towary przy zamkniętej bramie wartowni i płacił, kiedy wracali pustymi wozami. Z przywożącymi produkty sezonowe, takie jak warzywa i owoce, negocjował ceny, zanim pozwolił im przejechać. W przypadkach specjalnych dostaw umowy zawierano kilka dni wcześniej, gdy składał zamówienie: na skóry dla rymarzy, kamienie dla murarzy, którzy wznowili budowę na polecenie biskupa Henriego, srebro dla jubilerów, żelazo, stal, konopie i drewno dla rzemieślników, którzy nadal musieli pracować, chociaż byli odcięci od większości swoich klientów. I w końcu były specjalne ładunki, w przypadku których Merthin musiał otrzymać instrukcje od kogoś z miasta. Dziś zjawiał się sprzedawca włoskiego brokatu i zamierzał sprzedać go krawcom w mieście, ponadto roczny muł przeznaczony do rzeźni oraz Davey z Wigleigh.

Merthin ze zdumieniem i zadowoleniem wysłuchał opowieści Daveya. Podziwiał przedsiębiorczość chłopca, który kupił nasiona marzanny i uprawiał ją, żeby uzyskać kosztowny barwnik. Nie zdziwił się, słysząc, że Ralph próbował zniweczyć jego wysiłki. Ralph niczym nie różnił się od większości szlachciców w swej pogardzie do wszystkiego związanego z rolnictwem czy handlem. Jednak Davey miał rozum i odwagę i nie zrezygnował. Zapłacił nawet młynarzowi, żeby zmełł wysuszone korzenie na proszek.

- Kiedy później młynarz umył kamienie młyńskie, jego pies wypił trochę wody, która z nich ściekła - powiedział Merthinowi Davey. - Potem sikał na czerwono przez tydzień, więc wiemy, że barwnik działa!

Teraz był tu z ręcznym wózkiem załadowanym starymi workami po mące, pełnymi tego, co uważał za cenny barwnik.

Merthin kazał mu wziąć jeden worek i zanieść pod bramę. Kiedy tam doszli, zawołał strażnika po drugiej stronie. Mężczyzna wspiął się na blanki i spojrzał na nich.

- Ten worek jest dla Madge Webber! - krzyknął Merthin. - Postaraj się, żeby go odebrała osobiście, dobrze, strażniku?

- Dobrze, przewodniczący - powiedział strażnik.

Jak zwykle krewni przywieźli na wyspę kilka ofiar zarazy z okolicznych wiosek. Większość ludzi już wiedziała, że na zarazę nie ma lekarstwa i po prostu pozwalali bliskim umrzeć, lecz niektórzy ignoranci lub optymiści sądzili, że Caris może uczynić cud. Chorych zostawiano pod drzwiami szpitala, jak dostawy pod bramą miasta. Zakonnice zabierały ich w nocy, gdy krewni odeszli. Od czasu do czasu jakiś szczęściarz wychodził ze szpitala zdrowy, lecz większość wynoszono tylnymi drzwiami i grzebano na nowym cmentarzu po drugiej stronie budynku.

W południe Merthin zaprosił Daveya na obiad. Przy pasztecie z królika z groszkiem Davey

wyznał, że jest zakochany w córce odwiecznej nieprzyjaciółki matki.

- Nie wiem, czemu mama nienawidzi Annet, lecz to stara historia i nie ma nic wspólnego ze mną i Amabel - powiedział z typową młodzieńczą urazą wywołaną nieracjonalnym postępowaniem rodziców. A gdy Merthin współczująco pokiwał głową, Davey zapytał: - Czy twoi rodzice też tak stawali ci na drodze?

Merthin zastanawiał się chwilę.

- Tak - powiedział. - Chciałem być giermkim i spędzić życie jako rycerz walczący dla króla. Byłem załamany, kiedy posłali mnie do terminu u cieśli. Jednak w moim przypadku wyszło to na dobre.

Daveya to nie rozbawiło.

Po południu wjazd na most został zamknięty od strony wyspy i otwarto bramę miasta. Tragarze wyszli i zabrali wszystko, co pod nią pozostawiono, po czym poroznosili towary do miejsc przeznaczenia w mieście.

Nie było żadnej wieści od Madge o barwniku.

Tego dnia Merthin miał jeszcze jednego gościa. Późnym popołudniem, gdy handel powoli zamierał, przybył kanonik Claude.

Jego przyjaciel i patron, biskup Henri, był teraz arcybiskupem Monmouth. Jednak jeszcze nie wybrano jego następcy na stanowisku biskupa w Kingsbridge.

Claude pragnął tego stanowiska i był w Londynie, by zobaczyć się z sir Gregorym Longfellowem. Teraz wracał do Monmouth, gdzie na razie miał nadal pełnić funkcję prawej ręki Henriego.

- Królowi podoba się podejście Philemona do opodatkowania kleru - rzekł przy zimnym pasztecie z królika i kielichu najlepszego gaskońskiego wina. - A hierarchom Kościoła spodobało się kazanie przeciwko sekcji zwłok i plan budowy kaplicy Matki Boskiej. Z drugiej strony Gregory nie lubi Philemona i mówi, że nie można mu ufać. W rezultacie król wstrzymał się z decyzją i zarządził, że mnisi z Kingsbridge nie mogą przeprowadzić wyborów, dopóki przebywają w klasztorze Świętego Jana z Lasu.

- Zakładam, że król nie widzi sensu wybierania biskupa, kiedy szaleje zaraza i miasto jest zamknięte - powiedział Merthin.

Claude potwierdził skinieniem głowy.

- Zdołałem coś osiągnąć, aczkolwiek niewiele - ciągnął. - Jest wakat na stanowisku angielskiego ambasadora papieża. Ten, który je zajmie, będzie musiał mieszkać w Awinionie. Zaproponowałem Philemona. Gregory wyglądał na zaintrygowanego tą propozycją. A przynajmniej

nie odrzucił jej od razu.

- Dobrze!

Myśl o tym, że mogliby uwolnić się od Philemona, podniosła Merthina na duchu. Chciałby coś zrobić, żeby zwiększyć szanse Claude'a, ale już napisał do Gregory'ego list popierający kanonika w imieniu gildii i był to kres jego wpływów.

- Mam jeszcze jedną wiadomość, lecz smutną, w łstocie - rzekł Claude. - W drodze do Londynu zajechałem do klasztoru Świętego Jana z Lasu. Formalnie Henri nadal jest jego zwierzchnikiem i posłał mnie tam, żebym upomniał Philemona za opuszczenie Kingsbridge bez pozwolenia. Strata czasu. W każdym razie Philemon zastosował środki ostrożności zalecane przez Caris i nie wpuścił mnie do środka, ale rozmawialiśmy przez furtę. Na razie mnisi uniknęli zarazy. Jednak wasz stary przyjaciel, brat Thomas, umarł ze starości. Przykro mi.

- Pokój jego duszy - rzekł ze smutkiem Merthin. - Pod koniec był już bardzo słaby. Jego umysł także.

- Przenosiny do Świętego Jana zapewne mu nie pomogły.

- Thomas dodawał mi otuchy, kiedy byłem młodym budowniczym.

- Dziwne, jak Bóg czasem zabiera nam najlepszych, a pozostawia złych. Claude odjechał nazajutrz, wczesnym rankiem.

Gdy Merthin znów zabrał się do swych codziennych zajęć, jeden z przewoźników wrócił spod bramy miasta z wieścią. Madge Webber była na murach i chciała rozmawiać z Merthinem i Daveyem.

- Myślisz, że kupi moją marzannę? - spytał Davey, gdy przechodzili przez most.

Merthin nie miał pojęcia.

- Mam nadzieję, że tak - powiedział.

Stanęli obok siebie przed zamkniętą bramą i spojrzeli w górę. Madge przechyliła się przez mur i zawołała do nich:

- Skąd jest ten towar?

- Ja wyhodowałem te rośliny - powiedział Davey.

- A ktoś ty?

- Davey z Wigleigh, syn Wulfrica.

- Och! Chłopak Gwendy?

- Tak, ten młodszy.

- Cóż, sprawdziłam twój barwnik.

- Działa, prawda? - ucieszył się Davey.

- Jest bardzo słaby. Czy zmieliłeś całe korzenie?

- Tak, a co powinienem zrobić?

- Powinieneś usunąć okrywy przez zmieleniem.

- Nie wiedziałem. - Davey był załamany. - Czy proszek jest do niczego?

- Jak powiedziałam, jest słaby. Nie mogę zapłacić zań jak za czysty barwnik. Davey był tak przygnębiony, że Merthinowi zrobiło się go żal.

- Ile tego masz? - zapytała Madge.

- Jeszcze dziewięć takich czterogalonowych worków jak ten, który masz - odparł przybity Davey.

- Dam ci połowę zwykłej ceny: trzy szylingi i sześć pensów za galon. To jest czternaście szylingów za worek, więc dokładnie siedem funtów za dziesięć worków.

Na twarzy Daveya malował się zachwyt. Merthin żałował, że Caris tego nie widzi.

- Siedem funtów! - powtórzył Davey. Madge myślała, że jest rozczarowany.

- Nie mogę dać ci więcej - powiedziała. - Barwnik jest słaby. Jednak dla Daveya siedem funtów było fortuną. Nawet po najwyższych stawkach była to równowartość kilku lat pracy wyrobnika. Spojrzał na Merthina.

- Jestem bogaty! - powiedział. Merthin roześmiał się.

- Nie wydaj wszystkiego od razu.

Nazajutrz była niedziela. Merthin poszedł na poranną mszę w zbudowanym na wyspie kościółku Świętej Elżbiety Węgierskiej, patronce uzdrowicieli. Potem wrócił do domu i z szopy ogrodnika wyjął solidny dębowy szpadel. Niosąc go na ramieniu, przeszedł przez most, przedmieścia i w swoją przeszłość.

Usilnie starał się przypomnieć sobie drogę przez las, którą trzydzieści cztery lata temu szedł z Caris, Ralphem i Gwendą. Wydawało się to niemożliwe. Nie było tu innych dróg poza ścieżkami jeleni. Z drzewek wyrosły wysokie drzewa, a potężne dęby padły pod toporami królewskich drwali. Mimo to, ku swemu zdumieniu, znajdował punkty orientacyjne: źródło bijące z ziemi, z którego, klęcząc, piła dziesięcioletnia Caris, wielka skała wyglądająca, jakby spadła tu prosto z nieba, parów o podmokłym dnie, gdzie błoto dostało się jej do butów.

Szedł i coraz wyraźniej przypominał sobie tamten dzień z czasów dzieciństwa. Pamiętał, że pies Hop poszedł za nimi, a Gwenda podążyła jego śladem. Znowu poczuł tamtą radość, gdy Caris zrozumiała jego żart. Zacerwienił się na wspomnienie tego, jak nieudolnie obchodził się przy niej ze zrobionym przez siebie łukiem - i z jaką łatwością jego młodszy brat posłużył się tą bronią.

A przede wszystkim wspominał Caris jako dziewczynkę. Nie byli jeszcze nastolatkami, lecz już oczarowała go jej bystrość, śmiałość i łatwość, z jaką objęła przywództwo nad ich grupką. To

jeszcze nie była miłość, lecz podobna do niej fascynacja.

Wspominając, przestał pilnować ścieżki i zgubił się. Miał wrażenie, że znalazł się w zupełnie nieznanym sobie miejscu, gdy nagle wyszedł na polankę, którą natychmiast rozpoznał. Krzaki były większe, pień dębu jeszcze grubszy, a polanka między nimi usiana barwnym letnim kwieciem, którego nie było tamtego grudniowego dnia 1327 roku. Jednak nie miał żadnych wątpliwości: jakby ujrzał twarz niewidzianą od lat, zmienioną, ale znajomą.

Niższy i chudszy Merthin wczołgał się pod krzak, aby schować się przed wielkim mężczyzną z trzaskiem przedzierającym się przez poszycie. Pamiętał, jak wyczerpany i zdyszany Thomas stanął plecami do tamtego dębu i wyjął miecz oraz sztylet.

Oczami wyobraźni znów ujrzał tamte obrazy. Dwaj mężczyźni w żółto-zielonych ubraniach dogonili Thomasa i zażądali oddania listu. Thomas odwrócił ich uwagę, mówiąc, że obserwuje ich ktoś ukryty w zaroślach. Merthin był pewien, że on i pozostałe dzieci zostaną zamordowani - a wtedy zaledwie dziesięcioletni Ralph zabił jednego ze zbrojnych, wykazując szybki i morderczy instynkt, który po latach tak dobrze służył mu podczas wojen we Francji. Thomas pokonał drugiego przeciwnika, choć odniósł przy tym ranę, którą później przyplacił utratą ręki - pomimo, a może na skutek kuracji zastosowanej w szpitalu w opactwie Kingsbridge. Później Merthin pomógł Thomasowi zakopać ten list.

„Właśnie tu - powiedział Thomas. - Pod tym dębem”.

Teraz Merthin wiedział, że ten list zawiera tajemnicę, sekret tak straszny, że obawiali się go bardzo wysoko postawieni ludzie. Ten sekret sprawiał, że Thomas był bezpieczny, jednak mimo to poszukiwał schronienia w klasztorze i spędził w nim całe życie.

„Jeśli usłyszysz, że umarłem - powiedział wtedy Thomas do Merthina - chcę, byś wykopał ten list i oddał go jakiemuś księdzu”.

Teraz Merthin mocno ujął szpadel i zaczął kopać.

Nie był pewien, czy tego właśnie chciał Thomas. Zakopany list był jego zabezpieczeniem przed przedwczesną śmiercią z rąk zabójców, a nie zgonem z przyczyn naturalnych w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Czy nadal chciał, żeby wykopano ten list? Merthin nie wiedział. Podejmie decyzję, kiedy przeczyta list. Bardzo był ciekaw, co w nim jest.

Niezbyt dokładnie pamiętał, gdzie go zakopał, i za pierwszym razem nie natrafił na worek. Wykopał dziurę głęboką na osiemnaście cali, zanim zrozumiał swój błąd: był pewien, że wykopana przez niego wtedy miała najwyżej stopę głębokości. Spróbował ponownie, nieco na lewo.

Tym razem trafił.

Na głębokości stopy szpadel natrafił na coś, co nie było ziemią. Przedmiot był miękki, ale

stawiał opór. Merthin odłożył szpadel i palcami pogłębił otwór. Namacał kawałek starej, zbutwiałej skóry. Delikatnie usunął ziemię i wyjął przedmiot. Była to sakwa, którą Thomas przed laty nosił przy pasie.

Merthin otarł ubrudzone ziemią dłonie o tunikę i otworzył sakwę.

W środku znalazł woreczek z impregnowanej olejem wełny, wciąż nietknięty. Rozwiązał troczki, sięgnął do środka i wyjął zwój pergaminu zapieczętowany woskiem.

Chwytał go delikatnie, a mimo to wosk pokruszył się, gdy tylko go dotknął. Ostrożnie rozwinął zwój. List był nietknięty, zdumiewająco dobrze przetrwał w ziemi trzydzieści cztery lata.

Merthin natychmiast zrozumiał, że nie jest to dokument, tylko prywatny list. Poznał to po charakterze pisma osoby wykształconej - litery były starannie wykaligrafowane, a nie szybko nakreślone ręką doświadczonego urzędnika.

Zaczął czytać. Najpierw powitanie:

Od Edwarda, drugiego o tym imieniu, króla Anglii, w zamku Berkeley, przez jego wiernego sługę, sir Thomasa Langleya do jego ukochanego pierworodnego, Edwarda, z królewskim pozdrowieniem i ojcowską miłością.

Merthin przestraszył się. To był list starego króla do nowego. Dłoń, w której trzymał dokument, zdrząła. Oderwał wzrok od listu i popatrzył na otaczające go zarośla, jakby ktoś mógł obserwować go z gęstwiny.

Mój ukochany synu, wkrótce usłyszysz, że umarłem. Wiedz, że to nieprawda.

Merthin zmarszczył brwi. Nie tego się spodziewał.

Twoja matka, królowa i wybranka mojego serca, zdradziła mnie i przekabaciła Rolanda, hrabiego Shiring oraz jego synów, którzy przysłali tu morderców, lecz zostałem ostrzeżony przez Thomasa i mordercy zostali zabici.

Zatem Thomas jednak nie był zabójcą, lecz zbawcą króla.

Twoja matka, nie zdoławszy mnie zabić, niechybnie spróbuje znowu, gdyż ona i jej wiarołomny kochanek nie mogą czuć się bezpieczni, dopóki ja żyję. Dlatego wdziałem odzienie jednego z zabitych morderców, człowieka mojego wzrostu i wyglądu, po czym opłaciłem kilka osób, by przysięgły, że to martwe ciało jest moim. Twoja matka pozna prawdę, gdy zobaczy te zwłoki, ale nie powie tego głośno, gdyż jeśli będę uważany za zmarłego, nie będę dla niej zagrożeniem i żaden buntownik czy rywal do tronu nie otrzyma mojego poparcia.

Merthin był zdumiony. Naród myślał, że Edward II nie żyje. Udało mu się oszukać całą Europę.

Tylko co się z nim stało potem?

Nie powiem ci, dokąd zamierzam się udać, lecz wiedz, że zamierzam opuścić moje angielskie królestwo i nigdy doń nie wrócić. Jednak modlę się, żeby jeszcze cię zobaczyć, mój synu, zanim umrę.

Dlaczego Thomas zakopał ten list, zamiast go doręczyć? Ponieważ obawiał się o swoje życie i widział w tym liście potężną broń do jego obrony. Po tym, jak królowa Izabela udąła, że wierzy w śmierć męża, musiała uporać się z tymi nielicznymi, którzy znali prawdę. Merthin teraz przypomniał sobie, że kiedy był jeszcze chłopcem, książe Kentu został oskarżony o zdradę i ścięty, ponieważ utrzymywał, że Edward II żyje.

Królowa Izabela posłała ludzi, żeby zabili Thomasa, a oni dopadli go tuż pod Kingsbridge. Jednak Thomas pozbył się ich z pomocą dziesięcioletniego Ralpa. Później Thomas najwidoczniej zagroził ujawnieniem oszustwa - i miał dowód w postaci listu starego króla. Tamtego wieczoru, leżąc w szpitalu opactwa Kingsbridge, Thomas negocjował z królową, a raczej zapewne z hrabią Rolandem i jego synami jako jej agentami. Obiecał dochować sekretu, pod warunkiem że zostanie przyjęty do zakonu. W klasztorze mógł czuć się bezpieczny - a na wypadek gdyby królowa chciała się zemścić, powiedział, że list jest w bezpiecznym miąjscu i zostanie ujawniony po jego śmierci. Tak więc królowa musiała dbać, by nic złego mu się nie stało.

Stary przeor Anthony coś o tym wiedział i na łożu śmierci powiedział matce Cecilii, która umierając, powtórzyła część tej historii Caris. Ludzie potrafią przez wiele lat dochowywać sekretów, myślał Merthin, lecz czują się w obowiązku wyznać prawdę, kiedy zbliża się śmierć. Caris widziała ponadto obciążający dokument zapisujący Lynn Grange opactwu pod warunkiem przyjęcia Thomasa do zakonu. Teraz Merthin zrozumiał, dlaczego przelotne zainteresowanie Caris tym dokumentem wywołało takie zamieszanie. Sir Gregory Longfellow namówił Ralpa, żeby włamał się do klasztoru i ukradł dokumenty zakonnice w nadziei odnalezienia obciążającego listu.

Czy upływ czasu osłabił niszczycielską siłę tej karty welinu? Izabela żyła długo, ale umarła przed trzema laty. Sam Edward II niemal na pewno nie żyje - a gdyby żył, miałby teraz siedemdziesiąt siedem lat. Czy Edward III obawiałby się ujawnienia faktu, że jego ojciec wciąż żył, gdy cały świat uważał go za martwego? Teraz był zbyt potężnym władcą, by ktoś mógł mu zagrozić, jednak byłoby to dla niego ogromnie zawstydzające i upokarzające.

Co więc Merthin powinien zrobić?

Przez długą chwilę nie ruszał się z miejsca, stojąc na porośniętej trawą i kwieciami leśnej polanie. W końcu zwinął pergamin, schował go z powrotem do woreczka, a ten włożył do starej skórzanej sakwy.

Umieścił sakwę w wykopanej dziurze i zasypał ją. Zasypał również pierwszą, wykopaną w złym miejscu dziurę. Wygładził ziemię, nazrywał liści z krzaków i rozsypał je pod dębem. Cofnął się i

obejrzał swoje dzieło. Był zadowolony: po wykopanych otworach nie było śladu.

Potem odwrócił się i poszedł do domu.

90

Pod koniec sierpnia hrabia Ralph objeżdżał swoje posiadłości w Shiring w towarzystwie swego wieloletniego pomagiera, sir Alana Fernhilla, i niedawno odnalezionego syna Sama. Cieszył się, mając przy sobie Sama będącego jego dzieckiem i dorosłym mężczyzną. Pozostali synowie, Geny i Roley, byli na to za młodzi. Sam nic nie wiedział o swoim pochodzeniu, a Ralph z przyjemnością skrywał przed nim ten sekret.

Byli przerażeni tym, co zobaczyli. Setki chłopów umarło lub było umierających i na polach wciąż rosło niezżęte zboże. Gdy jechali od jednej wioski do drugiej, gniew i irytacja Ralpha rosły. Jego sarkastyczne uwagi przygnębiły jego towarzyszy, a gwałtowne ruchy płoszyły wierzchowca.

W każdej wiosce, jak również w każdej dzierżawie kilka akrów stanowiło wyłączną własność hrabiego. Powinny być obrabiane przez jego sługi i poddanych, którzy mieli obowiązek pracować dla niego jeden dzień w tygodniu. Te ziemie były w najgorszym stanie. Wielu wyrobników umarło, tak samo ci zobowiązani do pańszczyzny, inni poddani po poprzednim ataku zarazy wynegocjowali lepsze warunki dzierżawy i nie musieli już pracować na pańskim, no i w końcu nie można było znaleźć żadnych pracowników do wynajęcia.

Kiedy Ralph zajechał do Wigleigh, poszedł na tyły dworku i zajrzał do wielkiej stodoły z bali, która o tej porze roku powinna być pełna ziarna gotowego do zmielenia - ta jednak była pusta, nie licząc kotki, która okociła się na stryszku.

- Z czego zrobimy chleb?! - wrzasnął na Nathana Reeve'a. - Bez jęczmienia na piwo, co będziemy pili? Na Boga, lepiej, żebyś miał jakiś plan.

Nate zgrzytnął zębami.

- Możemy jedynie inaczej podzielić pola - rzekł.

Ralph był zaskoczony jego gburowatą odpowiedzią. Nate zwykle zachowywał się uniesienie. Potem zauważył, że Nate gniewnie patrzy na Sama i zrozumiał przyczynę. Nate nienawidził Sama, który zabił jego syna, Jonna. Zamiast ukarać chłopaka, Ralph najpierw go ułaskawił, a potem uczynił giermkim. Nic dziwnego, że Nate miał mu to za złe.

- W wiosce musi być paru młodych ludzi, którzy mogliby obrabiać kilka dodatkowych akrów.

- Ach, są tacy, ale nie chcą wnosić początkowej opłaty - odparł Nate.

- Chcą dostać ziemię za darmo?

- Tak. Widzą, że masz za dużo ziemi, a za mało rąk do pracy, więc wiedzą, że mają mocną

pozycję przetargową.

W przeszłości Nate chętnie gnębił posłusznych wieśniaków, lecz teraz zdawał się cieszyć z kłopotów swego pana.

- Zachowują się, jakby Anglia należała do nich, a nie do szlachty - gniewnie rzucił

Ralph.

- To haniebne, panie - nieco uprzejmiej rzekł Nate, robiąc przebiegłą minę. - Na przykład syn Wulfrica, Davey, chce poślubić Amabel i przejąć ziemię jej matki. To miałoby sens, bo Annet nigdy nie była w stanie wszystkiego obrobić.

Odezwał się Sam:

- Moi rodzice nie wniosą początkowej opłaty, są przeciwni temu małżeństwu.

- Davey sam mógłby ją wnieść - rzekł Nate. Ralph był zdziwiony.

- Jak to?

- Sprzedał te rośliny, które zasiał w lesie.

- Marzannę? Widocznie nie dość dobrze je stratowaliśmy. Ile za nie dostał?

- Nikt nie wie. Jednak Gwenda kupiła młodą dojną krowę, a Wulfric ma nowy nóż... zaś Amabel na niedzielnej mszy miała żółtą chustę na głowie.

A Nate'owi zaproponowano łapówkę, domyślił się Ralph.

- Nienawidzę nagradzać nieposłuszeństwa Daveya - rzekł. - Jednak jestem zdesperowany. Niech sobie weźmie tę ziemię.

- Musiałbyś udzielić mu specjalnego pozwolenia na ślub wbrew woli rodziców.

Davey już prosił o to Ralpa, a ten mu odmówił, lecz to było, zanim zaraza zdziesiątkowała wieśniaków. Ralph nie lubił zmieniać swoich decyzji. Jednak to była niewielka cena.

- Dam mu to pozwolenie - obiecał.

- Bardzo dobrze.

- Jednak chodźmy się z nim zobaczyć. Chciałbym złożyć mu tę propozycję osobiście.

Nate był zaskoczony, lecz oczywiście nie mógł się sprzeciwić.

W rzeczywistości Ralph chciał znów zobaczyć Gwendę. Miała w sobie coś, od czego zasychało mu w gardle. Ostatnie spotkanie z nią w domku myśliwskim nie zaspokoilo go na długo. Często o niej myślał w ciągu następnych tygodni. Teraz niewiele już czerpał satysfakcji z tego rodzaju kobiet, z którymi zwykle sypiał: młodych prostytutek, kelnerek i pokojówek. Wszystkie udawały, że są zachwycone jego awansami, lecz on wiedział, że chodzi im tylko o pieniądze, jakie dostawały potem. Natomiast Gwenda nie robiła tajemnicy z faktu, że nim gardzi, i wzdrygała się, kiedy jej dotykał, co paradoksalnie cieszyło go, gdyż było szczere, a zatem rzeczywiste. Po spotkaniu w domku

myśliwskim dał jej sakiewkę srebrnych pensów, którą cisnęła w niego tak mocno, że zrobiła mu siniaka na piersi.

- Są dzisiaj w Brookfield, przewracają skoszony jęczmień - powiedział Nate. - Zaprowadzę was tam.

Ralph i jego towarzysze wyjechali z wioski i podążyli wzdłuż strumienia płynącego na skraju wielkiego pola. Wigleigh zawsze było wietrzne, lecz dziś letni wietrzyk był łagodny i ciepły, jak piersi Gwendy.

Niektóre pola były skoszone, lecz na innych Ralph z rozpaczą ujrzał przejrzały owies, zachwaszczony jęczmień, a w jednym wypadku żyto zżęte, lecz nie powiązane w snopki, tylko leżące porozrzucane na polu.

Jeszcze przed rokiem sądził, że jego finansowe kłopoty się skończyły. Wrócił do domu z ostatniej wojny we Francji z jeńcem, markizem de Neuchatel, za którego zażądał pięćdziesiąt tysięcy funtów okupu. Jednak rodzina markiza nie była w stanie zebrać takiej sumy. Podobnie było z królem Francji, Janem II, pojmanym przez księcia Walii podczas bitwy o Poitiers. Król Jan pozostawał w Londynie przez cztery lata, formalnie jako jeńiec, lecz mieszkając w zbytku w Savoyu, nowym pałacu wybudowanym przez księcia Lancastera. Okup za króla był zmniejszany, lecz wciąż nie został zapłacony w całości. Ralph posłał Alana Fernhilla do Neuchatel, aby renegocjował okup za jeńca, i Alan opuścił cenę do dwudziestu tysięcy, lecz i tego rodzina markiza nie zdołała zapłacić. Potem markiza zabiła zaraza i Ralph znów został bez grosza i musiał się martwić o zbiory.

Było południe. Wieśniacy jedli obiad na skraju pola. Gwenda, Wulfric i Davey siedzieli na ziemi pod drzewem, jedząc zimną wieprzowinę z surową cebulą. Wszyscy zerwali się na nogi na widok nadjeżdżających. Ralph podjechał do rodziny Gwendy i machnięciem ręki odprawił pozostałych wieśniaków.

Gwenda miała na sobie luźną zieloną suknię skrywającą jej kształty. Związane z tyłu włosy nadawały jej twarzy nieco szczurzy wygląd. Dłonie miała brudne, pod paznokciami ziemię, jednak patrząc na nią, Ralph widział ją nagą, gotową, czekającą ze zrezygnowanym obrzydzeniem na to, co zamierzał z nią zrobić - i poczuł podniecenie.

Oderwał od niej wzrok i spojrzał na jej męża. Wulfric odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem, ani wyzywającym, ani unizonym. W jego ciemnoblonde brodzie widać już było siwe pasma, lecz nadal nie zakrywała blizny od miecza, którą pozostawił Ralph.

- Wulfricu, twój syn chce poślubić Amabel i przejąć ziemię Annet. Odpowiedziała mu Gwenda. Nigdy nie nauczyła się mówić tylko wtedy, kiedy ją pytano.

- Już ukradłeś mi jednego syna, a teraz chcesz zabrać drugiego? - zapytała kwaśno.

Ralph zignorował ją.

- Kto zapłaci daninę?

- To trzydzieści szylingów - wtrącił Nate.

- Nie mam trzydziestu szylingów - rzekł Wulfric.

- Ja je mogę zapłacić - spokojnie powiedział Davey.

Musiał nieźle zarobić na zbiorze marzanny, pomyślał Ralph, skoro tak spokojnie mówi o tak dużej sumie.

- To dobrze - powiedział. - W takim razie...

- Tylko jakie proponujesz warunki? - przerwał mu Davey. Ralph poczerwieniał.

- O co ci chodzi? Nate znowu się wtrącił:

- Takie same, na jakich dzierzawi ziemię Annet, oczywiście.

- Zatem dziękuję hrabiemu - powiedział Davey - ale nie przyjmę jego łaskawej propozycji.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - warknął Ralph.

- Chciałbym przejąć tę ziemię, panie, ale tylko jako wolny dzierżawca, płacący czynsz gotówką, bez zwyczajowych obciążeń.

- Śmiesz targować się z hrabią Shiring, ty bezczelny szczeniaku? - groźnie powiedział sir Alan.

Davey był wystraszony, lecz stanowczy.

- Nie chciałem cię obrazić, panie, jednak chcę uprawiać to, co mogę sprzedać, a nie to, co każe mi Nate Reeve, nie bacząc na ceny rynkowe.

Davey odziedziczył ten upór po Gwendzie, pomyślał Ralph.

- Nate wyraża moje życzenia! - rzekł gniewnie. - Myślisz, że jesteś mądrzejszy od twojego hrabiego?

- Wybacz mi, panie, lecz ty nie uprawiasz roli i nie jeździsz na jarmark. Alan położył dłoń na rękojeści miecza. Ralph zauważył, że Wulfric zerknął na swoją kosę leżącą obok na ziemi i błyszczącą w słońcu. Stojący obok Ralpa koń Sama spłoszył się, wyczuwając napięcie jeźdźca. - Gdyby doszło do walki, pomyślał Ralph, po czyjej stronie stanąłby Sam - swego pana czy swojej rodziny?

Ralph nie chciał walki. Chciał zebrać zboże, a zabijanie wieśniaków tylko by mu to utrudniło. Powstrzymał Alana.

- Oto, jak zaraza wpływa na moralność - rzekł z obrzydzeniem. - Dam ci to, czego chcesz, Davey, ponieważ muszę.

Davey z trudem przełknął ślinę.

- Na piśmie, panie? - zapytał.

- W dodatku chcesz mieć to na piśmie?

Davey skinął głową zbyt przestraszony, żeby to powiedzieć.

- Wątpisz w słowo swojego hrabiego?

- Nie, panie.

- Czemu więc żądasz pisemnej umowy?

- Aby uniknąć kłopotów w przyszłości.

Wszyscy tak mówili, gdy domagali się umowy na piśmie. Wiedzieli, że jeśli zostanie spisana, ich pan nie będzie mógł tak łatwo zmienić jej warunków. Jeszcze jedno naruszenie uświęconych przez czas tradycji. Ralph nie chciał czynić kolejnego ustępstwa, ale ponownie nie miał innego wyjścia, jeśli chciał zebrać zboże.

Nagle wpadł na pomysł, jak może wykorzystać tę sytuację, żeby zdobyć coś, czego pragnął, i poweselał.

- Dobrze - powiedział. - Dam ci umowę na piśmie. Jednak nie chcę, by mężczyźni schodzili z pól w porze żniw. Twoja matka może przyjść w przyszłym tygodniu do Earlcastle i odebrać ten dokument.

Gwenda poszła do Earlcastle w skwarny letni dzień. Wiedziała, dlaczego Ralph ją tam zwabił, i na myśl o tym ogarniała ją przygnębienie. Gdy szła po zwodzonym moście do zamku, kruki zdawały się drwić z jej udręki.

Słońce prażyło bezlitośnie, a mury zatrzymywały każdy podmuch wiatru. Giermkowie zabawiali się przed stajniami. Sam był wśród nich, zbyt zajęty, by zauważyć Gwendę.

Przywiązali kota do słupa na wysokości pięciu stóp nad ziemią, tak że mógł poruszać głową i łapami. Giermek miał zabić zwierzę, mając ręce związane na plecach. Gwenda widywała już tę zabawę. Giermek mógł tego dokonać jedynie, uderzając bykiem nieszczęsne zwierzę, które oczywiście bronilo się, drapiąc i gryząc twarz napastnika. Atakujący, chłopiec około szesnastoletni, stał przed słupkiem obserwowany przez przerażonego kota. Nagle chłopak uderzył głową. Trafił czołem w pierś zwierzęcia, które szarpnęło go uzbrojonymi w pazury łapami. Giermek krzyknął z bólu i odskoczył, brocząc krwią z podrapanych policzków, a pozostali ryknęli śmiechem. Rozzłoszczony napastnik rzucił się naprzód i ponownie uderzył zwierzę bykiem. Teraz został podrapany jeszcze dotkliwiej i w dodatku uderzył głową w słupek, co widzowie uznali za jeszcze zabawniejsze. Za trzecim razem był ostrożniejszy. Podeszedł bliżej i zamarkował cios, prowokując kota do chybionej riposty, po czym zadał starannie wymierzony cios w głowę zwierzęcia. Krew popłynęła z pyska i nozdrzy kota, który zwiśł bezwładnie, ale wciąż oddychał. Giermek zabił go czwartym uderzeniem, a jego towarzysze bili mu brawo i wiwatowali.

Gwenda patrzyła na to z obrzydzeniem. Niezbyt lubiła koty - wołała psy - lecz z przykrością patrzyła na męczenie jakiegokolwiek żywego stworzenia. Podejrzewała, że ci chłopcy muszą robić takie rzeczy, żeby przygotować się do okaleczania i zabijania ludzkich istot na wojnie. Czy tak być musi?

Poszła dalej, nie odezwawszy się do swego syna. Spocona przeszła po drugim moście i wspięła się po schodach do kasztelu. W wielkiej sali panował miły chłód.

Była rada, że Sam jej nie widział. Miała nadzieję unikać spotkania z nim tak długo, jak się da. Nie był zbyt wrażliwy, ale mógł zauważyć jej niepokój.

Powiedziała majordomusowi, po co przyszła, a on obiecał powiadomić hrabiego.

- Czy lady Philippa jest na zamku? - z nadzieją zapytała Gwenda. Może obecność małżonki powstrzyma Ralpha.

Jednak majordomus odrzekł:

- Jest w Monmouth, u córki.

Gwenda ponuro skinęła głową i przygotowała się na czekanie. Nie mogła przestać myśleć o ostatnim spotkaniu z Ralphem w jego myśliwskim domku. Patrząc na pustą szarą ścianę wielkiej sali, widziała go, gapiącego się na jej nagość, z ustami rozchylonymi z pożądania. Seks z ukochanym mężczyzną dawał jej radość, lecz z człowiekiem, którego nienawidziła, był czymś obrzydliwym.

Za pierwszym razem, gdy Ralph ją do tego zmusił, przed ponad dwudziestoma laty, jej ciało zdradziło ją i poczuła zmysłową przyjemność, choć przez cały czas myślała o tym z odrazą. To samo przydarzyło jej się z banitą Alwynem w lesie. Jednak nie w domku myśliwskim Ralpha. Przypisywała tę zmianę swojemu podeszłemu wiekowi. Gdy była dziewczyną, pełną namiętności, ten akt wywoływał odruchową odpowiedź, coś, czemu nie umiała zapobiec, mimo iż zawstydzalo ją jeszcze bardziej. Teraz jej dojrzałe ciało nie było tak podatne, nie kierowało się odruchami. Przynajmniej za to mogła być wdzięczna losowi.

Schody na końcu sali prowadziły do komnaty hrabiego. Ludzie nieustannie wchodzili po nich i schodzili: rycerze, słudzy, dzierżawcy, rządcy. Po godzinie majordomus kazał jej tam iść.

Obawiała się, że Ralph natychmiast zażąda od niej seksu, lecz z ulgą zobaczyła, że jest bardzo zajęty. Towarzyszyli mu sir Alan i dwaj księża - urzędnicy, siedzący przy stole z przyborami do pisania. Jeden z nich wręczył jej mały zwój welinu.

Nie spojrzała na dokument. Nie umiała czytać.

- Masz - powiedział Ralph. - Teraz twój syn jest wolnym dzierżawcą. Czy nie tego zawsze pragnęłaś?

Ralph wiedział, że zawsze chciała być wolna. Nigdy jej się to nie udało, ale miał rację

- Davey to osiągnął. A to oznaczało, że jej życie nie było tak całkiem zmarnowane. Jej wnuki będą wolne i niezależne, mogą uprawiać to, co zechcą, płacąc czynsz i zatrzymując dla siebie wszystko, co wypracują ponadto. Nie zaznają udręk życia w nędzy i głodzie, jakie od dziecka pędziła Gwenda.

Czy to było warte tego wszystkiego, przez co przechodziła? Nie wiedziała.

Wzięła zwój i poszła do drzwi.

Alan poszedł za nią i powiedział ściszym głosem, kiedy wychodziła:

- Zostań na noc w sali.

Większość mieszkańców zamku sypiała w wielkiej sali.

- Jutro dwie godziny po południu masz być w domku myśliwskim. Próbowала odejść, nic nie mówiąc.

Alan zagroził jej drogę ramieniem.

- Rozumiesz? - powiedział.

- Tak - powiedziała cicho. - Będę tam po południu. Pozwolił jej odejść.

Nie rozmawiała z Samem do późnego wieczora. Giermkowie przez całe popołudnie oddawali się różnym brutalnym zabawom. Cieszyła się, że ma chwilę dla siebie. Siedziała w chłodnej sali, sama na sam ze swoimi myślami.

Próbowала sobie wmówić, że uleganie seksualnym zachciankom Ralpha to nic takiego. W końcu nie jest dziewicą. Od dwudziestu lat jest zamężna. Tysiące razy uprawiała seks. Po kilku minutach będzie po wszystkim i nie pozostaną jej po tym żadne blizny. Pójdzie i zapomni o tym.

Aż do następnego razu.

To było najgorsze. Mógł wykorzystywać ją w nieskończoność. Groźba wyjawienia prawdy o pochodzeniu Sama będzie przerażała ją, dopóki żyje Wulfric.

Może Ralph szybko się nią znudzi i wróci do swych młodych dziewczek o jędrnych ciałach?

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Sam, gdy o zmierzchu giermkowie przyszlizli na kolację.

- Nic - odpowiedziała pośpiesznie. - Davey kupił mi mleczną krowę. Sam był trochę zazdrosny. Dobrze się bawił, ale giermkowie nie otrzymywali zapłaty. Nie potrzebowali pieniędzy, gdyż dostawali darmowe jedzenie, picie, zakwaterowanie i odzienie, lecz mimo wszystko każdy młody człowiek lubi mieć kilka pensów w sakiewce.

Rozmawiali o zbliżającym się weselu Daveya.

- Ty i Annet będziecie babkami - zauważył Sam. - Będziesz musiała się z nią pogodzić.

- Nie bądź głupi - warknęła Gwenda. - Nie wiesz, co mówisz. Ralph i Alan pojawili się, gdy podano kolację. Wszyscy mieszkańcy i goście zbrali się w wielkiej sali. Z kuchni przyniesiono trzy wielkie szczupaki upieczone w ziołach. Gwenda siedziała na końcu stołu, daleko od Ralpha, a on nie

zwracał na nią uwagi.

Po kolacji ułożyła się do snu na słomie obok Sama. Dobrze było leżeć przy nim, tak jak wtedy, kiedy był mały. Pamiętała, jak w ciszy nocy słuchała jego dziecięcego posapywania, cichego i zadowolonego. Zасыpiając, myślała o tym, jak dzieci dorastają i nie spełniają oczekiwań rodziców. Jej ojciec chciał traktować ją jak towar na sprzedaż, lecz ona gniewnie nie pozwoliła wykorzystać się w taki sposób. Teraz każdy z jej synów szedł własną drogą i w obu przypadkach inną od tej, jaką dla nich zaplanowała. Sam miał zostać rycerzem, a Davey zamierzał poślubić córkę Annet. Gdybyśmy wiedzieli, co z nich wyrośnie, pomyślała, czy tak bardzo chcielibyśmy ich mieć?

Śniło jej się, że poszła do chatki myśliwskiej Ralpa i okazało się, że zamiast niego na łóżku leży kot. Wiedziała, że będzie musiała go zabić, ale miała ręce związane na plecach, więc tłukła go głową, aż zdechł.

Zbudziła się i zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby zabić Ralpa w tym domku.

Zabiła Alwyna, przed wieloma laty, wbijając mu w gardło jego własny nóż i wpychając ostrze w górę tak, że wyszło przez oczodół. Zabiła także Sima Chapmana, przytrzymując mu głowę pod wodą, podczas gdy on wił się i szarpał, i trzymała go tak, aż wciągnął do płuc rzeczną wodę i umarł. Gdyby Ralpa przybył do domku myśliwskiego sam, może zdołałaby go zabić, wybrawszy odpowiedni moment.

Tylko że on nie pojawi się sam. Hrabiowie nigdzie nie chodzą sami. Będzie z nim Alan, tak jak poprzednio. Rzadko podróżował z tylko jednym towarzyszem. Niepodobna, żeby nie miał żadnego.

Czy mogłaby zabić ich obu? Nikt inny nie wiedział, że ona tam będzie. Gdyby zabiła ich i po prostu wróciła do domu, nikt by jej nie podejrzewał. Nikt nie znał jej motywu - ponieważ był tajemnicą. Ktoś mógłby zauważyć ją w tym czasie w pobliżu chatki, lecz pytano by ją tylko, czy widziała w pobliżu jakichś podejrzanych mężczyzn. Nikt nie podejrzewałby, że wielki i silny Ralpa został zamordowany przez drobną kobietę w średnim wieku.

Tylko czy zdołałaby to zrobić? Myślała o tym, lecz w głębi serca wiedziała, że to się nie uda. Ci dwaj byli doświadczonymi żołnierzami. W ciągu dwudziestu lat walczyli na wielu wojnach - na ostatniej z nich minionej zimy. Mieli szybki refleks i byli śmiertelnie niebezpieczni. Wielu francuskich rycerzy chciało ich zabić i zginęło, próbując.

Wykorzystując przewagę zaskoczenia, może zabiłaby jednego z nich, ale nie obu.

Będzie musiała ulec Ralpowi.

W ponurym nastroju wyszła na zewnątrz, żeby umyć twarz i ręce. Kiedy wróciła do wielkiej sali, kucharki rozkładały żytni chleb i słabe piwo na śniadanie. Sam maczał suchy chleb w piwie, żeby

go zmiękczyć.

- Znow masz tę minę - zauważył. - O co chodzi?

- O nic - mruknęła. Wyjęła nóż i ukroiła pajdę chleba. - Mam przed sobą długi marsz.

- I to cię niepokoi? Naprawdę nie powinnaś przychodzić tu sama. Większość kobiet nie lubi wędrować samotnie.

- Jestem twardsza niż większość kobiet. - Była zadowolona, że syn niepokoi się o nią. To coś, czego jego prawdziwy ojciec, Ralph, nigdy by nie zrobił. Jednak Wulfric wywarł na chłopca pewien wpływ. Mimo to martwiło ją to, że wyczytał niepokój z jej twarzy i wyczuł jej nastrój. - Nie musisz się o mnie martwić.

- Mógłbym pójść z tobą - zaproponował. - Jestem pewien, że hrabia by mi pozwolił. Dziś nie potrzebuje giermków, bo jedzie gdzieś z Alanem Fernhillem.

Było to ostatnie, czego potrzebowała. Gdyby nie pojawiła się w chatce, Ralph ujawniłby jej tajemnicę. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, z jaką przyjemnością by to zrobił. Niewiele było trzeba, żeby go sprowokować.

- Nie - odparła stanowczo. - Zostań tu. Nigdy nie wiadomo, kiedy hrabia cię wezwie.

- Nie wezwie mnie. Mogę iść z tobą.

- Zabraniam ci. - Gwenda przełknęła kęs chleba, a resztę wepchnęła do sakwy. - Pocałowała go w policzek. - Jesteś dobrym chłopcem, że się o mnie martwisz, ale niepotrzebnie. Uważaj na siebie. Nie ryzykuj bez potrzeby. I jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, zostań żywy.

Gdy była już w drzwiach, obejrzała się. Obserwował ją w zadumie. Zmusiła się do beztronskiego uśmiechu i wyszła.

Idąc drogą, Gwenda martwiła się, że ktoś może odkryć jej powiązanie z Ralphem. Takie sprawy wychodzą na jaw. Spotkała się z nim raz, teraz miała zrobić to ponownie i obawiała się, że takich spotkań może być więcej. Ile minie czasu, zanim ktoś zobaczy ją, jak w pewnym miejscu opuszcza drogę i wchodzi w las? A jeśli ktoś przypadkiem w nieodpowiedniej chwili wejdzie do chatki? Ilu ludzi zauważy, że Ralph jedzie gdzieś z Alanem, ilekroć Gwenda wyrusza z Earlcastle do Wigleigh?

Tuż przed południem zatrzymała się w zajeździe, gdzie zjadła trochę sera i popiła piwem. Podróżni zazwyczaj opuszczali takie gospody grupami, dla bezpieczeństwa, ale ona zaczęła, by samotnie ruszyć w dalszą drogę. Gdy dotarła do miejsca, gdzie miała skręcić w las, rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie patrzy. Wydawało jej się, że coś poruszyło się wśród drzew ćwierć mili za nią i wbiła wzrok w dal, usiłując coś wypatrzeć, ale nie zauważyła nikogo. Po prostu zawodziły ją nerwy.

Przedzierając się przez letnie poszycie, znów zaczęła myśleć o zabiciu Ralpha. Gdyby jakimś szczęśliwym trafem nie było tam Alana, czy zdołałaby wykorzystać tę sposobność? Jednak Alan był jedyną osobą na świecie, która wiedziała, że ona spotyka się tam z Ralphem. Gdyby Ralph został zabity, Alan wiedziałby, kto to zrobił. Tak więc musiałyby zabić i jego. A to wydawało się niemożliwością.

Przed chatą stały dwa konie. Ralph i Alan byli w środku, siedząc przy stole, na którym znajdowały się resztki posiłku: pół chleba, kość z szynki, krąg sera i flaszka wina. Gwenda zamknęła za sobą drzwi.

- Jest, tak jak obiecałem - z satysfakcją powiedział Alan. Najwyraźniej kazano mu ją tu sprowadzić i ulżyło mu, gdy zobaczył, że posłuchała rozkazu. - Idealna na deser - rzekł. - Jak rodzynki, trochę pomarszczona, ale słodka.

- Dlaczego nie powiesz mu, żeby się stąd wyniósł? - powiedziała Gwenda do Ralpha.

Alan wstał.

- Zawsze te bezczelne uwagi - mruknął. - Nigdy się nie nauczysz? Jednak opuścił izbę, wychodząc do kuchni i trzaskając drzwiami. Ralph uśmiechnął się do niej.

- Chodź tu - powiedział. Posłusznie podeszła bliżej. - Powiem Alanowi, żeby był dla ciebie miłszy, jeśli chcesz.

- Proszę, nie rób tego! - wykrzyknęła przerażona. - Jeśli zaczniesz być dla mnie miły, ludzie będą się zastanawiali dlaczego.

- Jak chcesz. - Złapał ją za rękę i próbował przyciągnąć do siebie. - Usiądź mi na kolanach.

- Nie możemy się po prostu popieprzyć i skończyć z tym? Zaśmiał się.

- Właśnie to w tobie lubię. Jesteś szczerą.

Wstał, złapał ją za ramiona i spojrzał jej w oczy, a potem pochylił głowę i pocałował ją.

Zrobił to po raz pierwszy. Dwukrotnie uprawiał z nią seks, ale nie całował. Teraz Gwenda poczuła obrzydzenie. Gdy przycisnął usta do jej warg, poczuła się bardziej zbrukana, niż kiedy wepchnął w nią swój członek. Otworzył usta i poczuła jego cuchnący oddech. Odsunęła się z odrazą.

- Nie - jęknęła.

- Pamiętaj, co masz do stracenia.

- Proszę, nie rób tego. Rozgniewał się.

- Będę cię miał! - powiedział głośno. - Zdejmuj suknię.

- Proszę, puść mnie - błagała. Zaczął coś mówić, ale podniosła głos i zagłuszyła go. Ściany były cienkie i wiedziała, że Alan w kuchni słyszy jej błagania, ale nie przejmowała się tym. - Nie zmuszaj mnie, błagam cię!

- Nie obchodzi mnie, co mówisz! - krzyknął. - Kładź się na łóżku!

- Proszę, nie zmuszaj mnie! Frontowe drzwi otworzyły się na oścież. Gwenda i Ralph odwrócili się i spojrzeli. W progu stał Sam.

- O Boże, nie! - krzyknęła Gwenda.

Cała trójka zamarła na ułamek sekundy i w tym momencie Gwenda zrozumiała, co się stało. Sam niepokoił się o nią i - nie słuchając jej zakazu - podążał za nią z Earlcastle, trzymając się w ukryciu, ale blisko. Widział, jak zeszła z drogi w las - to jego dostrzegła w zaroślach, gdy się obejrzała, ale uznała, że jej się przywidziało. Znalazł chatkę, przybywszy tu kilka minut po niej. Musiał stać na zewnątrz i słyszeć, jak Ralph usiłuje zmusić ją, by uległa jego żądzy - choć, natychmiast przypominając sobie wszystko, co zostało powiedziane, Gwenda pojęła, że nie wspomnieli prawdziwego powodu, dla którego powinna była ulec. Jej tajemnica nie wyszła na jaw. Na razie.

Sam sięgnął po miecz.

Ralph zerwał się na równe nogi. Gdy Sam skoczył na niego, Ralph zdołał wydobyć miecz. Sam ciął, mierząc w głowę, lecz Ralph zdążył podnieść broń i odparować cios.

Syn Gwendy próbował zabić swego ojca.

Sam był w strasznym niebezpieczeństwie. Jeszcze niemal dziecko, miał przeciw sobie zahartowanego w bojach żołnierza.

- Alanie! - krzyknął Ralph.

Gwenda pojęła, że Sam będzie miał przeciwko sobie nie jednego, ale dwóch doświadczonych żołnierzy.

Przemknęła przez izbę. Gdy drzwi do kuchni zaczęły się otwierać, stanęła obok nich i przywarła plecami do ściany. Wyjęła zza pasa długi sztylet.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Alan.

Patrzył na dwóch walczących i nie zauważył Gwendy. Przystanął na moment, oceniając sytuację. Miecz Sama znów świsnął w powietrzu, mierząc w szyję Ralpha, lecz ten znów odparował cios.

Alan natychmiast pojął, że jego pan jest wściekle atakowany. Sięgnął po miecz i zrobił krok do przodu. Wtedy Gwenda pchnęła go sztyletem.

Z całej siły wbiła długie ostrze w jego plecy, kierując je w górę, przebijając mięśnie, nerkę, żołądek i płuco, mając nadzieję dosięgnąć serca. Klinga była długa na dziesięć cali, spiczasta i ostra. Przecięła ciało jak brzytwa, ale nie zabiła Alana od razu.

Ryknął z bólu i nagle umilkł. Chwiejnie odwrócił się i złapał ją, przyciągając do siebie. Wtedy

pchnęła go ponownie, tym razem w brzuch, takim samym skierowanym w górę ciosem, wymierzonym w najważniejsze organy. Krew popłynęła mu z ust. Zwiotczał i ręce opadły mu bezsilnie. Przez moment z niedowierzaniem spoglądał na tę niepozorną kobietę, która odebrała mu życie. Potem zamknął oczy i osunął się na ziemię.

Gwenda spojrzała na dwóch pozostałych.

Sam uderzył, a Ralph odbił cios, Ralph cofnął się, a Sam natarł, Sam znów zadał cios, a Ralph go odbił. Hrabia bronił się energicznie, ale nie atakował.

Bał się, że zabije syna.

Sam, nie wiedząc, że przeciwnik jest jego ojcem, nie miał takich skrupułów i nacierał zawzięcie, tnąc mieczem.

Gwenda wiedziała, że nie potrwa to długo. Jeden z nich zrani drugiego, a wtedy walka zakończy się czyjąś śmiercią. Trzymając zakrwawiony sztylet, rozpaczliwie wypatrywała okazji, by doskoczyć i dźgnąć Ralpha tak, jak zadźgała Alana.

- Zaczekaj - powiedział Ralph, podnosząc lewą rękę, lecz rozeźlony Sam mimo to pchnął mieczem. Ralph odparował pchnięcie i powtórzył: - Zaczekaj! - Był zdyszany, ale zdołał wydusić kilka słów. - Jest coś, o czym nie wiesz.

- Wiem dosyć! - krzyknął Sam i w jego niskim męskim głosie Gwenda usłyszała nutę chłapięcej hysterii.

Uderzył ponownie.

- Nie wiesz! - krzyknął Ralph.

Gwenda wiedziała, co Ralph chce powiedzieć Samowi. Zamierzał rzec: „Jestem twoim ojcem”. Nie mogła na to pozwolić.

- Posłuchaj mnie! - krzyknął znów Ralph i Sam w końcu usłuchał. Odstąpił, choć nadal nie opuszczał miecza.

Ralph dyszał, łapiąc oddech, żeby coś powiedzieć i wtedy Gwenda rzuciła się na niego.

Obrócił się ku niej, jednocześnie zataczając szeroki łuk mieczem. Ostrze uderzyło o ostrze i sztylet wypadł jej z ręki. Była zupełnie bezbronna i wiedziała, że jeśli Ralph uderzy teraz na odlew, ten cios ją zabije.

Lecz po raz pierwszy od chwili, gdy Sam sięgnął po miecz, Ralph odsłonił się, na moment pozostawiając cały tors bez obrony.

Sam doskoczył i wbił mu miecz w pierś.

Ostrze przebiło cienką letnią koszulę Ralpha i wbiło się w ciało na lewo od mostka. Widocznie

trafiło między żebra, gdyż weszło głęboko. Sam z krwiożerczym okrzykiem triumfu pchnął jeszcze mocniej. Ralph zatoczył się w tył. Uderzył plecami o ścianę, lecz Sam nadal nacierał, pchając z całych sił. Miecz przeszył Ralpha na wylot. Rozległ się dziwny głuchy stuk, gdy sterzący z pleców koniec utkwiał w drewnianej ścianie.

Ralph patrzył Samowi w twarz i Gwenda wiedziała, co myśli. Wie, że jest śmiertelnie ranny. I w ostatnich sekundach swego życia ma świadomość tego, że zabił go jego własny syn.

Sam puścił rękojeść miecza, lecz ten nie upadł. Ostrze utkwilo w ścianie, podtrzymując groteskowo nabitego na nie Ralpha. Sam cofnął się zdjęty zgrozą.

Ralph jeszcze nie umarł. Niemrawo poruszał rękami, próbując chwycić miecz i wyrwać go ze swej piersi, ale nie zdołał. W tym momencie Gwenda pomyślała, że trochę przypomina kota, którego giermkowie przywiązali do słupa.

Schyliła się i szybko podniosła swój sztylet z podłogi.

Niewiarygodne, lecz w tym momencie Ralph przemówił.

- Sam - powiedział - jestem...

Nagle strumień krwi trysnął mu z ust, tłumiąc słowa.

Dzięki Bogu, pomyślała Gwenda.

Krwotok ustał równie nagle, jak się zaczął, i Ralph znów przemówił:

- Jestem...

Tym razem powstrzymała go Gwenda. Doskoczyła i wbiła mu sztylet w usta. Wydał z siebie obrzydliwy bulgot. Ostrze utkwilo n»u w gardle.

Puściła sztylet i cofnęła się.

Z przerażeniem patrzyła na to, co zrobiła. Ten mężczyzna, który tak długo ją dręczył, stał przybity do ściany jak wielki owad, z mieczem tkwiącym w piersi i sztyletem wbitym w usta. Nie wydawał żadnych dźwięków, tylko błyszczące oczy świadczyły o tym, że jeszcze żyje, gdy spoglądał na Gwendę i Sama w męce, przerażeniu i rozpacz.

Stali w milczeniu i patrzyli na niego, czekając.

W końcu zamknął oczy.

91

Zaraza wygasła we wrześniu. Szpital Caris stopniowo opustoszał, gdy na miejsce umierających pacjentów nie przychodzili nowi. Puste sale były pozamiatane i wyszorowane, a na kominkach palono polana jałowca wypełniające budynek ostrym zapachem jesieni. Na początku października na szpitalnym cmentarzu pochowano ostatnią ofiarę. Nad katedrą Kingsbridge wisiało ciemnoczerwone słońce, gdy cztery silne młode zakonnice opuszczały do dołu okryte całunem ciała.

Należało do garbatego tkacza z Outhenby, lecz patrząc na nie, Caris widziała swojego starego wroga - zarazę - grzebanego w zimnej ziemi.

- Naprawdę nie żyjesz, czy znowu wrócisz? - mruknęła pod nosem.

Gdy po pogrzebie zakonnice wróciły do szpitala, nie miały tam nic do roboty.

Caris obmyła twarz, uczesała się i włożyła nową suknię, którą trzymała na ten dzień. Z jasnego szkarłatu Kingsbridge. Potem po raz pierwszy od pół roku wyszła ze szpitala.

I poszła prosto do ogrodu Merthina.

Grusze rzucały długie cienie w porannym słońcu. Ich liście zaczynały czerwienić i usychać, lecz niektóre późne owoce wciąż wisiały na gałęziach, okrągłe i brązowe. Ogrodnik Arn rąbał drewno na opał. Ujrzawszy Caris, najpierw zdziwił się i przeraził, potem zrozumiał, co oznacza jej obecność, i jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Rzucił siekierę i wbiegł do domu.

W kuchni Em gotowała owsiankę na wesoło płonącym ogniu. Popatrzyła na Caris jak na nieziemską zjawę. Była tak poruszona, że zaczęła całować ją po rękach.

Caris poszła na górę i do sypialni Merthina.

Stał przy oknie w koszuli, patrząc na przepływającą przed domem rzekę. Odwrócił się i serce zabiło jej mocniej na widok jego znajomej twarzy o nieregularnych rysach, błyszczących inteligencją oczu i zdradzającego poczucie humoru, uniesionego kącika ust. Czule spojrział na nią piwnymi oczami i jego usta rozciągnęły się w powitalnym uśmiechu. Nie okazywał zdziwienia: musiał zauważyć, że do szpitala przybywa coraz mniej pacjentów, i spodziewał się jej powrotu. Wyglądał jak człowiek, którego marzenia się spełniły.

Stanąła obok niego przy oknie. Objął jej ramiona, a ona jego talię. W jego rudej brodzie jest więcej siwych nitki niż sześć miesięcy temu, pomyślała, a linia włosów chyba przesunęła się odrobinę wyżej - a może tylko tak jej się wydawało.

Przez chwilę oboje spoglądali na rzekę. W szarym świetle poranka woda miała barwę żelaza. Jej tafla poruszała się nieustannie, lśniąca jasnymi jak lustro lub ciemnoczarnymi, nieregularnymi wzorami, wciąż inna i zawsze taka sama.

- Już po wszystkim - powiedziała Caris.

A potem zaczęli się całować.

Merthin ogłosił specjalne święto runa na cześć ponownego otwarcia bram miasta. Odbyło się w ostatnim tygodniu października. Sezon handlu wełną już się skończył, lecz i tak nie była ona już głównym towarem, jakim handlowano w Kingsbridge, i tysiące ludzi przybywało tu, by kupić szkarłatną tkaninę, z której służyło teraz miasto.

Na otwierającej święto sobotniej uczcie gildia uhonorowała Caris. Chociaż Kingsbridge nie

uniknęło zarazy całkowicie, ucierpiało znacznie mniej niż inne miasta i większość ludzi uważała, że zawdzięczają to wprowadzonym przez nią środkom ostrożności. Wszyscy uznali ją za bohaterkę. Członkowie gildii koniecznie chcieli jakoś ją uhonorować i Madge Webber wymyśliła nową ceremonię, w trakcie której Caris otrzymała złoty klucz symbolizujący klucz do bram miasta. Merthin był bardzo dumny.

Nazajutrz, w niedzielę, Merthin i Caris poszli do katedry. Mnisi wciąż przebywali w klasztorze Świętego Jana z Lasu, więc mszę odprawiał ojciec Michael z kościoła parafialnego Świętego Piotra. Pojawiła się lady Philippa, hrabina Shiring.

Merthin nie widział jej od pogrzebu Ralpa. Niewiele przelano łez po jego bracie, a jej mężu. Zwykle hrabiów chowano w katedrze w Kingsbridge, lecz ponieważ miasto było zamknięte, Ralph został pochowany w Shiring.

Jego śmierć pozostała zagadką. Ciało znaleziono w domku myśliwskim, z raną od miecza w piersi. Alan Fernhill leżał obok, również martwy. Ci dwaj zjedli razem obiad, gdyż na stole były jeszcze resztki posiłku. Najwidoczniej potem doszło do bójki, lecz nie było wiadomo, czy Ralph i Alan zadali sobie nawzajem śmiertelne rany, czy też zamieszany był w to ktoś inny. Niczego nie ukradziono: przy obu zabitych znaleziono pieniądze, ich kosztowny oręż leżał obok, a dwa cenne konie skubały trawę na polanie przed chatą. Z tego powodu koroner Shiring przychylił się do teorii, że ci dwaj pozabijali się nawzajem.

Pod innymi względami nie było w tym niczego dziwnego. Ralph był gwałtownikiem, więc nikogo nie dziwiło to, że umarł gwałtowną śmiercią. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, powiedział Jezus, choć ten wers nie był zbyt często cytowany przez księży za panowania króla Edwarda III. Jeśli było w tym coś niezwykłego, to to, że Ralph przeżył tyle wojennych kampanii, tyle krwawych bitew i tyle szarż francuskiej konnicy, żeby zginąć w bitwie kilka mil od domu.

Merthin sam był zdziwiony, gdy zapłakał na jego pogrzebie. Zastanawiał się, dlaczego się smuci. Jego brat był niegodziwym człowiekiem, który wyrządził wiele krzywd, i jego śmierć była błogosławieństwem. Przestał być Merthinowi bliski, od kiedy zamordował Tilly. Co tu opłakiwać? W końcu Merthin doszedł do wniosku, że żał mu tego, kim Ralph mógłby być - człowieka kontrolującego swoje mordercze instynkty i niekierującego się wybujałą ambicją i żądzą chwały, lecz poczuciem sprawiedliwości. Może kiedyś mały Ralph mógł stać się takim człowiekiem. Gdy bawili się razem, jako pięć - i sześciolatek chłopcy, puszczając drewniane statki w kałuży, Ralph nie był okrutny i mściwy. Dlatego Merthin płakał.

Dwaj chłopcy Philippy wzięli udział w pogrzebie i byli z nią dzisiaj. Starszy, Gerry, był synem Ralpa i biednej Tilly. Młodszy, Roley, był przez wszystkich uważany za syna Ralpa i Philippy, choć

w rzeczywistości był synem Merthina. Na szczęście Roley nie był niskim i ruchliwym rudzielcem jak Merthin. Miał być wysoki i dostojny jak jego matka.

Roley ścisnął małą drewnianą figurkę, którą z powagą pokazał Merthinowi. Była to rzeźba konia i Merthin uznał, że dość dobra jak na dziesięciolatka. Większość dzieci przedstawiłoby konia stojącego na czterech nogach, lecz Roley ukazał go w ruchu, z uniesionymi nogami i rozwianą na wietrze grzywą. Po ojcu odziedziczył umiejętność wyobrażania sobie skomplikowanych trójwymiarowych form. Merthin poczuł dziwny ucisk w gardle. Pochylił się i pocałował Roleya w czoło.

Posłał Philippie pełen wdzięczności uśmiech. Odgadł, że to ona zachęciła chłopca, żeby dał mu konika, wiedząc, ile to będzie dla niego znaczyło. Zerknął na Caris i zobaczył, że ona również zrozumiała znaczenie tego faktu, chociaż nic nie powiedziała.

W wielkim kościele panował radosny nastrój. Ojciec Michael nie był charyzmatycznym kaznodzieją i większość mszy odprawił, mamrocząc. Jednak zakonnice śpiewały pięknie jak zwykle, a przez witraże ze szkła o soczystych barwach wesoło przeświecało słońce.

Później chodzili po jarmarku w rześkim jesiennym chłodzie. Caris trzymała Merthina pod rękę, a Philippa szła z drugiej strony. Dwaj chłopcy biegli przed nimi, a strażnik i dama do towarzystwa Philippy podążali z tyłu. Merthin widział, że interesy idą doskonale. Rzemieślnicy i kupcy z Kingsbridge już zaczęli odbudowywać swoje fortuny. Po tej epidemii miasto podniesie się jeszcze szybciej niż po poprzedniej.

Starsi członkowie gildii chodzili po placu, sprawdzając miary i wagi. Były przepisowe wzorce wagi worka z wełną, szerokości bel materiału, wielkości buszla i tak dalej, żeby ludzie wiedzieli, co kupują. Merthin zachęcał członków gildii do jawnego sprawdzania, żeby kupujący widzieli, jak dobrze miasto pilnuje swoich przedsiębiorców. Oczywiście, gdyby naprawdę podejrzewali kogoś o oszustwa, sprawdziliby go dyskretnie, a potem - jeśli by był winny - pozbyli się go po cichu.

Synowie Philippy podekscytowani biegali od jednego stoiska do drugiego. Obserwując Roleya, Merthin rzekł cicho do Philippy:

- Teraz, kiedy nie ma Ralpa, czy jest jakiś powód, dla którego Roley nie miałby znać prawdy?

Zastanowiła się.

- Chciałabym mu powiedzieć, tylko czy byłoby to dla jego dobra, czy dla naszego? Przez dziesięć lat uważał, że jego ojcem jest Ralph. Dwa miesiące temu lkał nad jego grobem. Byłby to dla niego okropny wstrząs, gdybyśmy teraz powiedzieli mu, że jego ojcem jest ktoś inny.

Rozmawiali cicho, ale Caris to usłyszała.

- Zgadzam się z Philippa - powiedziała. - Musicie myśleć o dziecku, nie o sobie.

Merthin dostrzegł sens w ich słowach. Był to jedyny smutny cień w tym jasnym i radosnym dniu.

- Jest jeszcze jeden powód - powiedziała Philippa. - W zeszłym tygodniu był u mnie Gregory Longfellow. Król chce mianować Gerry'ego hrabią Shiring.

- W wieku trzynastu lat? - zdziwił się Merthin.

- Tytuł hrabiego jest dziedziczny po nadaniu, choć barona nie. Poza tym przez następne trzy lata ja zarządzałabym hrabstwem.

- Tak jak robiłaś to, kiedy Ralph walczył we Francji. Przynajmniej król nie każe ci znów wyjść za mąż.

Skrzywiła się.

- Jestem za stara.

- Tak więc Roley będzie drugi w kolejności do tytułu... jeśli dochowamy sekretu.

Gdyby coś przydarzyło się Gerry'emu, pomyślał Merthin, mój syn zostanie hrabią Shiring. Tylko się cieszyć.

- Roley byłby dobrym panem - powiedziała Philippa. - Jest inteligentny i uparty, ale nie okrutny jak Ralph.

Zły charakter Ralpa ujawnił się wcześniej: miał dziesięć lat, tyle, ile teraz Roley, gdy zastrzelił z łuku psa Gwendy.

- Jednak Roley może zechce robić w życiu coś innego. Ponownie spojrzął na wyrzeźbionego z drewna konika.

Philippa uśmiechnęła się. Nie czyniła tego często, lecz jej uśmiech był zniewalający. Wciąż jest piękna, pomyślał.

- Trzeba się z tym pogodzić i być z niego dumnym - powiedziała. Merthin przypomniał sobie, jak dumny był jego ojciec, kiedy Ralph został hrabią. Jednak wiedział, że on nigdy nie cieszyłby się z czegoś takiego. Byłby dumny z Roleya, kimkolwiek ten by został, jeśli tylko dobrze wykonywałby swoją pracę. Może chłopiec zostanie kamieniarzem i będzie rzeźbił świętych i anioły? Może będzie mądrym i litościwym szlachcicem? Albo będzie robił jeszcze coś innego, czego jego rodzice w ogóle się nie spodziewają.

Merthin zaprosił Philippę i chłopców na obiad i wszyscy opuścili teren opactwa. Przeszli po moście obok sznura wyładowanych wozów jadących na jarmark. Razem poszli na Wyspę Trędotatych i przez sad do domu.

W kuchni zastali Lollę.

Gdy tylko zobaczyła ojca, zalała się łzami. Objął ją, a ona łkała na jego ramieniu. Gdziekolwiek była, najwyraźniej odzwyczaiła się od mycia, bo śmierdziała jak chlew, lecz był zbyt uszczęśliwiony, żeby zwracać na to uwagę.

Minęła długa chwila, zanim wydobył z niej kilka sensownych słów. Kiedy w końcu mogła mówić, powiedziała: „Oni wszyscy umarli!”, a potem znów zalała się łzami.

Wreszcie uspokoiła się i mogła opowiadać.

- Oni wszyscy umarli - powtórzyła, tłumiąc szloch. - Jake i Boyo, Nety i Hal, Joanie i Chalkie i Ferret, jedni po drugich, i nic nie mogłam na to poradzić!

Merthin domyślił się, że zamieszkali w lesie, grupka młodzieży udającej nimfy i pasterzy. Stopniowo poznawał szczegóły. Chłopcy od czasu do czasu ustrzelili jelenia, a czasem znikali na cały dzień i wracali z baryłką wina i bochenkami chleba. Lolla twierdziła, że je kupowali, lecz Merthin podejrzewał, że rabowali podróżnym. Lolla, nie wiedząc czemu, wyobrażała sobie, że mogą tak żyć wiecznie - nie pomyślała, że w zimie wszystko może wyglądać inaczej. W końcu jednak nie pogoda, lecz zaraza położyła kres tej idylli.

- Tak się bałam - mówiła Lolla. - Chciałam do Caris.

Gerry i Roley słuchali tego z rozdziawionymi ustami. Lolla była dla nich bożyszczem. Chociaż wróciła do domu we łzach, po tej opowieści o swoich przygodach jeszcze bardziej urosła w ich oczach.

- Nigdy więcej nie chcę się tak czuć - szlochała Lolla. - Taka bezsilna, kiedy wszyscy moi przyjaciele leżeli wokół chorzy i umierający.

- Potrafię to zrozumieć - powiedziała Caris. - Tak się czułam, kiedy umarła moja matka.

- Nauczysz mnie leczyć ludzi? - poprosiła Lolla. - Chcę im naprawdę pomagać, tak jak ty, a nie tylko śpiewać im psalmy i pokazywać obrazki z aniołkami. Chcę wiedzieć wszystko o kościach i krwi, o ziołach i innych rzeczach, które leczą ludzi. Chcę umieć coś zrobić, kiedy ktoś jest chory.

- Oczywiście, że cię nauczę, jeśli tylko chcesz - zapewniła Caris. - Z przyjemnością. Merthin był zdumiony. Lolla była buntownicza i niesforna już od kilku lat, a częścią jej buntu przeciwko wszelkim autorytetom było usilne podkreślanie, że jej macocha Caris nie jest jej matką, więc nie należy jej się szacunek. Dlatego Merthin był zachwycony tą odmianą. Niemal warta była wszystkich tych mąk niepokoju, przez które przeszedł.

Chwilę później do kuchni weszła zakonnica.

- Mała Annie Jones dostała ataku, a my nie wiemy dlaczego - powiedziała do Caris. - Możesz

przyjść?

- Oczywiście - odparła Caris.

- Mogę iść z tobą? - spytała Lolla.

- Nie - odpowiedziała Caris. - Oto twoja pierwsza lekcja: musisz być czysta. Teraz idź się umyć. Pójdiesz ze mną jutro.

Już wychodziła, gdy przyszła Madge Webber.

- Słyszeliście? - zapytała z ponurą miną. - Philemon wrócił.

⋮
⋮
⋮

W tę niedzielę Davey i Amabel pobrali się w kościółku w Wigleigh.

Lady Philippa pozwoliła, by przyjęcie weselne odbyło się w dworku. Wulfric zarznął świniaka i upiekł go całego na ogniu na dziedzińcu. Davey kupił słodkie porzeczki, a Annet upiekła z nich słodkie bułeczki. Nie było piwa, gdyż większość jęczmienia zgniła na polu z powodu braku żniwiarzy - lecz Philippa odesłała Sama do domu z baryłką cydru.

Gwenda wciąż, codziennie, myślała o tamtym dniu w domku myśliwskim. Budziła się w środku nocy, patrzyła w ciemność i widziała Ralpha z jej sztyletem w ustach, rękojeść sterczącą między pozóbkłymi zębami i miecz Sama wbity w jego pierś.

Gdy ona i Sam odzyskali swoją broń, wyrwawszy ją z jego ciała, i trup upadł na ziemię, wyglądało to tak, jakby ci dwaj pozabijali się nawzajem. Gwenda ubrudziła krwią ich miecze i zostawiła je tam, gdzie leżały. Wyszedszy z chaty, Sam poluzował koniom pęta, żeby mogły w razie potrzeby przeżyć kilka dni, dopóki ktoś ich nie znajdzie. Potem odeszli.

Koroner z Shiring podejrzewał, że w zabójstwo mogli być zamieszani banici, ale w końcu doszedł do takich wniosków, jakich spodziewała się Gwenda. Na nią i na Sama nie padł nawet cień podejrzenia. Morderstwo uszło im na sucho.

Opowiedziała Samowi okrojoną wersję tego, co zaszło między nią a Ralphem. Udawała, że próbował ją wykorzystać po raz pierwszy, i powiedziała, że groził jej śmiercią w razie odmowy. Sam był zaszokowany tym, że zabił hrabiego, ale nie wątpił, że było to usprawiedliwione zabójstwo. Gwenda zrozumiała, że miał naturę żołnierza: nigdy nie będzie żałował tego, że zabił.

Ona też nie żałowała, chociaż często z odrazą wspominała tę scenę. Zabiła Alana Ferahilla i dobiła Ralpha, ale nie czuła z tego powodu żalu. Świat był lepszym miejscem bez tych dwóch. Ralph umarł w męce, wiedząc, że własny syn pchnął go w serce, i w pełni sobie na to zasłużył. Była pewna, że z czasem wspomnienia o tym, co zrobiła, przestaną nawiedzać ją po nocach.

Odepchnęła od siebie te myśli i popatrzyła na salę dworku i bawiących się wieśniaków.

Świniak był już zjedzony i mężczyźni dopijali resztki cydru. Aaron Appletree wyjął kobzę. Od śmierci ojca Annet, Perkina, wioska nie miała swojego dobosza. Gwenda zastanawiała się, czy teraz

zostanie nim Davey.

Wulfric chciał tańczyć, jak zawsze, gdy się napił. Gwenda zatańczyła z nim pierwszy taniec, ze śmiechem próbując dotrzymać mu kroku. Podniósł ją, zakręcił w powietrzu, przycisnął i znów postawił na podłodze, aby okręzać ją wielkimi susami. Nie miał ani krzty poczucia rytmu, ale jego entuzjazm był zaraźliwy. Potem powiedziała, że jest wyczerpana, i zatańczył ze swoją synową, Amabel.

A potem, oczywiście, z Annet.

Spojrzał na nią, gdy tylko muzyka przestała grać i puścił Amabel. Annet siedziała na ławie pod ścianą. Miała na sobie dziewczęco kusą zieloną sukienkę odsłaniającą jej delikatne kostki. Suknia nie była nowa, ale ozdobiła ją wyhaftowanymi na piersiach żółtymi i różowymi kwiatami. Jak zawsze kilka loków wymknęło się jej spod czepka, okalając twarz. Była o dwadzieścia lat za stara na taką suknię, lecz nie wiedziała o tym i Wulfric też.

Gwenda uśmiechnęła się, gdy zaczęli tańczyć. Chciała wyglądać na szczęśliwą i beztroską, lecz uświadomiła sobie, że ten uśmiech zapewne bardziej przypomina grymas, więc przestała się uśmiechać. Oderwała od nich wzrok i zaczęła obserwować Daveya i Amabel. Może Amabel nie będzie taka jak matka. Miała w sobie trochę kokieterii Annet, lecz Gwenda nigdy nie widziała jej flirtującej, a teraz wydawała się interesować wyłącznie swoim mężem.

Gwenda omiotła wzrokiem salę i odnalazła Sama. Był wśród innych młodych ludzi, opowiadając coś, żywo gestykułując, trzymając wodze wyimaginowanego konia i udając, że z niego spada. Słuchali go jak zauroczeni. Zapewne zazdrościli mu tego, że jest giermkim.

Sam nadal mieszkał w Earlcastle. Lady Philippa zatrzymała większość giermków i zbrojnych, gdyż mieli być potrzebni jej synowi Gerry'emu jako świta i towarzysze łowów oraz ćwiczeń w posługiwaniu się mieczem i kopią. Gwenda miała nadzieję, że podczas regencji Philippy Sam nauczy się ro-zumniejszego i litościwszego kodeksu postępowania niż ten wpajany przez Ralpha.

Nie było już na co patrzeć i Gwenda znów wbiła wzrok w męża i kobietę, którą kiedyś chciał poślubić. Tak jak się obawiała, Annet wykorzystywała to, że Wulfric jest rozbawiony i podchmielony. Kiedy się rozdzielali, słała mu uwodzicielskie uśmiechy, a kiedy znów się schodzili, przywierała do niego - zdaniem Gwendy - jak mokra koszula.

Tanec zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a Aaron Appletree bez końca powtarzał na swej kobzie tę skoczną melodię. Gwenda doskonale знаła swego męża i teraz dostrzegła w jego oku błysk, jaki zawsze widziała wtedy, kiedy chciał ją zapytać, czy z nim legnie. Annet doskonale wie, co robi, pomyślała rozwścieczona Gwenda. Wierciła się na ławie, nie mogąc się doczekać, aż skończy się taniec, i starając się nie okazywać gniewu.

Jednak pieniała się ze złości, gdy melodia urwała się głośnym akordem. Postanowiła posadzić Wulfrica obok siebie, żeby ochłonął. Będzie go trzymała przy sobie przez resztę popołudnia, to nie będzie kłopotów.

Jednak wtedy Annet go pocałowała.

Kiedy wciąż trzymał dłonie na jej biodrach, stanęła na palcach, odchyliła głowę i pocałowała go w usta - szybko, lecz mocno. Gwenda zagotowała się ze złości.

Zerwała się z ławy i pomaszerowała przez salę. Gdy mijała młodą parę, Davey zauważył jej minę i próbował ją zatrzymać, ale zignorowała go. Podeszła do Wulfrica i Annet, którzy wciąż patrzyli na siebie i uśmiechali się głupio. Szturchnęła palcem w ramię Annet.

- Zostaw mojego męża w spokoju! - powiedziała głośno.

- Gwendo, proszę... - zaczął Wulfric.

- Nic nie mów - ucięła Gwenda. - Po prostu trzymaj się z dala od tej dziwki.

W oczach Annet zapłonął gniew.

- Dziwkom płaci się za tańczenie.

- Jestem pewna, że wiesz wszystko o tym, co robią dziwki.

- Jak śmiesz!

Davey i Amabel interweniowali.

- Proszę, nie rób scen, mamó - poprosiła Amabel.

- To nie ja, to Gwenda! - powiedziała Annet.

- To nie ja próbuję uwieść cudzego męża - zauważyła Gwenda.

- Mamó, psujesz wesele - rzekł Davey. Gwenda była zbyt rozwścieczona, żeby słuchać.

- Ona zawsze to robi. Rzuciła go dwadzieścia trzy lata temu, ale nigdy nie wypuściła ze swoich pazurów!

Annet zaczęła płakać. To nie zdziwiło Gwendy. Łzy Annet były tylko kolejnym środkiem wiodącym do celu.

Wulfric wyciągnął rękę, chcąc poklepać Annet po ramieniu.

- Nie dotykaj jej! - warknęła Gwenda i cofnęła dłoń jak oparzony.

- Nic nie rozumiesz - łkała Annet.

- Rozumiem cię aż za dobrze.

- Nie, nie rozumiesz. - Annet otarła oczy i posłała Gwendzie zaskakująco szczere, odważne spojrzenie. - Nie rozumiesz, bo wygrałaś. Jest twój. Nie wiesz, jak bardzo on cię uwielbia, szanuje i podziwia. Nie widzisz, jak na ciebie patrzy, kiedy rozmawiasz z kimś innym. Gwenda była zaskoczona.

- Cóż... - wymamrotała, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

- Czy ogląda się za młodszymi kobietami? - ciągnęła Annet. - Czy ugania się za innymi? Ile nocy spędziliście osobno przez ostatnich dwadzieścia lat? Dwie? Trzy? Nie widzisz, że on nigdy nie pokochałby innej kobiety?

Gwenda spojrzała na Wulfrica i zrozumiała, że to prawda. W rzeczy samej, to było oczywiste. Wiedziała o tym i wszyscy inni też. Usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego tak rozzłościła się na Annet, ale jakoś nie mogła dostrzec w tym żadnego sensu.

Muzyka urwała się i Aaron odłożył kobzę. Wszyscy goście zebrali się teraz wokół tych dwóch kobiet, matek młodej pary.

- Byłam głupią i samolubną dziewczyną - mówiła Annet. - Podjęłam głupią decyzję i straciłam najlepszego mężczyznę, jakiego spotkałam w życiu. Ty go dostałaś. Czasem nie mogę się oprzeć pokusie, żeby udawać, że stało się inaczej i on jest mój. Dlatego uśmiecham się do niego i klepię go po ramieniu, a on jest dla mnie miły, bo wie, że złamał mi serce.

- Sama je sobie złamałaś - powiedziała Gwenda.

- Tak. A ty byłaś tą szczęściarą, która skorzystała na mojej głupocie. Gwenda zaniemówiła. Nigdy nie widziała w Annet smutnej osoby. Dla niej zawsze była groźną przeciwniczką, wiecznie próbującą odebrać jej Wulfrica. Tymczasem nie miała się czego obawiać.

- Wiem, że złości cię, kiedy Wulfric jest dla mnie miły. Chciałabym powiedzieć, że to się już nie powtórzy, ale znam moje wady. Czy musisz mnie za to nienawidzić? Nie pozwól, aby to popsulo radość z tego wesela i wnuków, których obie pragniemy. Zamiast uważać mnie za odwiecznego wroga, nie możesz myśleć o mnie jak o niedobrej siostrze, która czasem źle się zachowuje i budzi twój gniew, ale mimo to należy do rodziny?

Miała rację. Gwenda zawsze uważała Annet za pustogłową ślicznotkę, lecz tym razem okazała się mądrzejsza od niej i Gwenda czuła się upokorzona.

- Nie wiem - mruknęła. - Może mogłabym spróbować.

Annet zrobiła krok naprzód i pocałowała ją w policzek. Gwenda poczuła na twarzy jej łzy.

- Dziękuję - szepnęła Annet.

Gwenda zawahała się, po czym objęła jej kościste ramiona i przytuliła ją. Wokół nich goście klaskali i wiwatowali. Po chwili muzyka znów zaczęła grać.

¹ > 1
||

Na początku listopada Philemon odprawił mszę dziękczynną z okazji wygaśnięcia zarazy. Przybył na nią arcybiskup Henri z kanonikiem Claude'em, a także sir Gregorem Longfellowem.

Gregory zapewne przyjechał do Kingsbridge, aby ogłosić, kogo król wybrał na biskupa, pomyślał Merthin. Po prostu powiadomi mnichów, że król popiera taką to a taką osobę, a od mnichów zależy, czy wybiorą ją czy kogoś innego, lecz oni w końcu opowiedzą się za tym, kogo im wskazano.

Merthin nie potrafił niczego wyczytać z twarzy Philemona, więc odgadł, że Gregory jeszcze nie ujawnił, kogo wybrał król. Ta decyzja miała ogromne znaczenie dla Merthina i Caris. Jeśli stanowisko otrzyma Claude, będzie to koniec ich kłopotów. Kanonik był umiarkowany i rozsądny. Jeśli jednak biskupem zostanie Philemon, czekają ich kolejne lata sporów i procesów.

Henri odprawił mszę, lecz kazanie wygłosił Philemon. Podziękował Bogu za to, że wysłuchał modlitwy mnichów z Kingsbridge i oszczędził miastu najgorszych nieszczęść zarazy. Nie wspomniał o tym, że mnisi uciekli do klasztoru Świętego Jana z Lasu i zostawili mieszkańców miasta własnemu losowi, ani o tym, że Caris i Merthin pomogli Bogu odpowiedzieć na modły mnichów, zamykając bramy miasta na sześć miesięcy. Przedstawił to tak, jakby to on ocalił Kingsbridge.

- Krew mi się burzy - rzekł Merthin do Caris, nie kłopotząc się ściszeniem głosu. - On całkowicie przeinacza fakty!

- Spokojnie - powiedziała. - Bóg zna prawdę i ludzie też. Philemon nikogo nie zwiedzie.

Oczywiście, miała rację. Po bitwie żołnierze zwycięskiej strony zawsze dziękują Bogu, a mimo to znają różnicę między złym a dobrym dowódcą.

Po mszy Merthin jako przewodniczący gildii został zaproszony na obiad do pałacu przeora. Posadzono go obok kanonika Claude'a. Gdy tylko odmówiono pacierz i mógł to zrobić w ogólnym gwarze, Merthin pospiesznie zapytał Claude'a, czy arcybiskup już wie, kogo król wybrał na nowego biskupa.

Claude odpowiedział niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

- Ciebie?

Claude zaprzeczył równie oszczędnym ruchem głowy.

- Zatem Philemona? Znow lekkie skinienie.

Merthin podupał na duchu. Jak król mógł wybrać głupca i tchórza takiego jak Philemon zamiast kogoś tak kompetentnego i wrażliwego jak Claude? Jednak znał odpowiedź: Philemon dobrze rozegrał swoje karty.

- Czy Gregory już poinstruował mnichów?

- Nie. - Claude nachylił się do niego. - Zapewne nieoficjalnie powie to Philemonowi po kolacji, a jutro rano przemówi do mnichów w kapitularku.

- Zatem mamy czas do końca dnia.

- Na co?

- Przekonać go, żeby zmienił zdanie.
- Nie zdołasz.
- Zamierzam spróbować.
- Nigdy ci się nie uda.
- Pamiętaj, że jestem zdesperowany.

Merthin rozgrzebywał jedzenie po talerzu, niewiele jedząc i próbując zachować spokój, dopóki arcybiskup nie wstał od stołu. Wtedy powiedział do Gregory'ego:

- Jeśli zechcesz przejść się ze mną po katedrze, powiem ci coś, co z pewnością bardzo cię zainteresuje. - Prawnik skinieniem głowy wyraził zgodę.

Weszli razem do nawy, gdzie Merthin miał pewność, że nikt ich nie podsłucha. Zaczerpnął tchu. To, co zamierzał zrobić, było niebezpieczne. Zamierzał nagiąć króla do swojej woli. Jeśli nie zdoła, może zostać oskarżony o zdradę - i stracony.

- Krążyły plotki o istnieniu pewnego dokumentu, ukrytego gdzieś w Kingsbridge, który król bardzo chciałby zniszczyć.

Gregory miał nieprzeniknioną minę, ale zachęcił go.

- Mów dalej.

To było równie dobre jak potwierdzenie.

- Ten list znajdował się w posiadaniu pewnego niedawno zmarłego rycerza.

- Naprawdę!? - rzekł zdziwiony Gregory.

- Najwyraźniej doskonale wiesz, o kim mówię. Gregory odpowiedział jak typowy prawnik:

- Dla dobra tej dyskusji powiedzmy, że wiem.

- Chciałbym wyświadczyć królowi przysługę, oddając mu ten dokument... cokolwiek to jest.

Doskonale wiedział, co to jest, lecz potrafił przezornie udawać niewiedzę równie dobrze jak Gregory.

- Król byłby wdzięczny - rzekł Gregory.

- Jak wdzięczny?

- Co masz na myśli?

- Biskupa bardziej życzliwego mieszkańcom Kingsbridge niż Philemon. Gregory przeszył go wzrokiem.

- Czyżbyś próbował szantażować króla Anglii? Merthin wiedział, że to niebezpieczny moment.

- My, mieszkańcy Kingsbridge, jesteśmy kupcami i rzemieślnikami - powiedział, starając się,

by jego ton brzmiał rzeczowo. - Kupujemy, sprzedajemy, zawieramy umowy. Ja tylko próbuję zawrzeć z tobą umowę. Chcę ci coś sprzedać i podałem swoją cenę. Nie ma tu żadnego szantażu ani przymusu. Ja nie grożę. Jeśli nie chcesz kupić tego, co sprzedaję, na tym ta sprawa się zakończy.

Doszli do ołtarza. Gregory patrzył na stojące tam krucyfiksy. Merthin dobrze wiedział, o czym myśli prawnik. Czy powinien aresztować Merthina, zabrać do Londynu i torturować, dopóki nie wyjawi miejsca ukrycia dokumentu? Czy też prościej i wygodniej będzie, jeśli król po prostu mianuje biskupem Kingsbridge kogoś innego?

Zapadła długa cisza. W katedrze było zimno i Merthin otulił się płaszczem.

- Gdzie jest ten dokument? - zapytał w końcu Gregory.

- Niedaleko. Zaprowadzę cię tam.

- Bardzo dobrze.

- A nasza umowa?

- Jeśli ten dokument jest tym, o którym myślę, dotrzymam mojej części umowy.

- I uczynisz kanonika Claude'a biskupem?

- Tak.

- Dziękuję - powiedział Merthin. - Będziemy musieli pójść do lasu. Razem przeszli główną ulicą i po moście, a w zimnym powietrzu z ich ust unosiły się obłoczki pary. Zimowe słońce dawało niewiele ciepła, gdy wchodzili do lasu. Tym razem Merthin z łatwością odnalazł drogę, którą szedł zaledwie kilka tygodni temu. Poznał źródło, wielką skałę i podmokły parów. Szybko dotarli na polankę z wielkim dębem i podszedł prosto do miejsca, w którym znalazł zwój.

Stropił się, widząc, że ktoś go uprzedził.

Przecież starannie wyrównał ziemię i przysypał ją liśćmi, a jednak ktoś odnalazł skrytkę. W ziemi była głęboka na stopę dziura, a obok niej stosik świeżo wykopanej ziemi. Skrytka była pusta.

Z przygnębieniem spojrział na dziurę.

- Do diabła - mruknął.

- Mam nadzieję, że to nie jest jakiś żart - powiedział Gregory.

- Niech pomyślę... Gregory zamilkł.

- Tylko dwie osoby wiedziały o tym miejscu - rzekł Merthin, myśląc na głos. - Ja nikomu nie powiedziałem, więc musiał to zrobić Thomas. Przed śmiercią był zupełnie dzieciniały. Myślę, że się wygadał.

- Przed kim?

- Ostatnie miesiące życia Thomas spędził w klasztorze Świętego Jana z Lasu, do którego mnisi nikogo nie wpuszczali, a więc musiał to być któryś z mnichów.

- Ilu ich tam było?

- Około dwudziestu. Jednak niewielu z nich ma wiedzę pozwalającą zrozumieć znaczenie majaceń starca o zakopanym liście.

- Wszystko to bardzo ładnie, ale gdzie jest teraz ten list?

- Sądzę, że wiem - powiedział Merthin. - Daj mi jeszcze jedną szansę.

- Dobrze.

Poszli z powrotem do miasta. Gdy przechodzili przez most, słońce zachodziło nad Wyspą Trędowatych. Weszli do mrocznej katedry, poszli do południowo-zachodniej wieży i wspięli się po wąskich spiralnych schodach do składziku, w którym przechowywano kostiumy na misteria.

Merthin nie był tu od jedenastu lat, lecz zakurzone magazyny niewiele się zmieniają, szczególnie w katedrach. I ten też się nie zmienił. Merthin znalazł obluzowany kamień i wyjął go.

W schowku były wszystkie skarby Philemona, łącznie z liścikiem miłosnym wrytym w drewnie. A wśród nich znajdował się woreczek z impregnowanej olejem wełny. Merthin otworzył go i wyjął zwój welinu.

- Tak myślałem - powiedział. - Philemon wydobyl tajemnicę od Thomasa, gdy ten zaczął tracić zmysły.

Niewątpliwie Philemon trzymał list po to, żeby wyciągnąć go jako atutową kartę, na wypadek gdyby nie wybrano go na biskupa - teraz jednak Merthin mógł wykorzystać ten dokument do swoich celów.

Wręczył zwój Gregory'emu.

Prawnik wziął pismo. Gdy je czytał, na jego twarzy pojawił się wyraz nabożnego podziwu.

- Dobry Boże - wyszeptał. - Te pogłoski były prawdą.

Zwinął list. Miał minę człowieka, który znalazł coś, czego szukał przez wiele lat.

- Czy tego oczekiwałeś? - spytał Merthin.

- Och, tak.

- I król będzie wdzięczny?

- Głęboko.

- Zatem twoja część umowy...?

- Zostanie dotrzymana - zapewnił Gregory. - Będziecie mieli Claude'a jako biskupa.

- Dzięki Bogu - westchnął Merthin.

Osiem dni później, wczesnym rankiem, Caris była w szpitalu, ucząc Lollę bandażowania, kiedy wszedł Merthin.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział. - Chodź do katedry.

Był pogodny, zimowy dzień. Caris opatulila się grubym czerwonym płaszczem. Kiedy przechodzili po moście do miasta, Merthin przystanął i pokazał palcem.

- Iglica jest ukończona - powiedział.

Caris spojrzała w górę. Przez pajęczynę rusztowań jeszcze spowijających wieżyczkę dostrzegła kanciasty kształt. Iglica była niezwykle wysoka i zgrabna. Przesuwając wzrok po tym wydłużonym stożku, Caris miała wrażenie, że szpic znajduje się niebotycznie wysoko.

- I to jest najwyższa budowla w Anglii? - upewniła się. Uśmiechnął się.

- Tak.

Ruszyli główną ulicą i do katedry. Merthin poszedł przodem po schodach skrytych w murach środkowej wieży. Był przyzwyczajony do takiej wspinaczki, lecz Caris zasapała się, zanim dotarli na otwartą przestrzeń pod kopułą wieży, na kładkę biegnącą wokół podstawy iglicy. Tu, na górze, wiatr wiał silny i zimny.

Podziwiali widok, gdy Caris łapała oddech. Pod nimi, na północy i na zachodzie, rozpościerało się Kingsbridge: główna ulica, dzielnica handlowa, rzeka oraz wyspa i szpital. Z tysiąca kominów unosił się dym. Miniaturowi ludzie kręcili się po ulicach, spacerując, jadąc lub pchając wózki, niosąc torby z narzędziami, kosze produktów lub ciężkie worki; mężczyźni, kobiety i dzieci otyli i chudzi, w nędznym i znoszonym odzieniu lub w bogatych i grubych strojach, przeważnie brązowych i zielonych, lecz czasem błękitnoniebieskich i szkarłatnych. Widząc ich wszystkich, Caris czuła podziw: każdy z nich ma własne życie, bogate i skomplikowane, pełne dawnych dramatów i przyszłych wyzwań, szczęśliwych wspomnień i skrywanych smutków, tłumu przyjaciół, wrogów i ukochanych.

- Gotowa? - zapytał Merthin. Caris skinęła głową.

Poprowadził ją w górę po rusztowaniu. Było ono wątłą pajęczyną sznurów i belek i zawsze budziło w niej niepokój, chociaż nie chciała tego przyznać: jeśli Merthin może na nie wejść, to ona też. Cała ta konstrukcja lekko kołysała się na wietrze i szaty Caris trzepotały niczym żagiel wokół jej nóg. Iglica była równie wysoka jak sama wieża i wspinaczka po sznurowej drabinie była męcząca.

W połowie drogi zatrzymali się, by odpocząć.

- Iglica jest zupełnie prosta - powiedział Merthin wcale niezaspany. - Tylko listwy profilowe na krawędziach.

Caris uświadomiła sobie, że inne iglice, jakie widziała, miały ozdobne pasy z kolorowych kamieni lub płytek oraz podobne do okien zagłębienia. Prostota projektu Merthina sprawiała, że iglica wydawała się jeszcze wyższa.

Wskazał coś na dole.

- Hej, spójrz, co się dzieje!

- Wolałabym nie patrzeć...

- Myślę, że Philemon wyjeżdża do Awinionu.

To musiała zobaczyć. Stała na szerokiej platformie z desek, ale mimo to mocno przytrzymała się oburącz słupa, żeby mieć pewność, iż nie spadnie. Przełknęła ślinę i spojrzała w dół, wzdłuż pionowej ściany wieży.

Warto było zadać sobie ten trud. Przed pałacem przeora stała kareta zaprzęzona w dwa muły. Eskorta składająca się z dwóch jeźdźców, jednego mnicha i jednego zbrojnego, czekała cierpliwie. Philemon stał przy karecie, a mnisi z Kingsbridge podchodzili do niego po kolei i całowali jego dłoń.

Później brat Sime podał mu czarno-białego kota, w którym Caris rozpoznała potomka Godwynowego Arcybiskupa.

Philemon wgramolił się do powozu i woźnica smagnął muły batem. Pojazd powoli wytoczył się za bramę i ruszył główną ulicą. Caris i Merthin patrzyli, jak przejeżdża przez podwójny most i znika na przedmieściach.

- Dzięki Bogu, że wyjechał - odetchnęła Caris. Merthin spojrzał w górę.

- Już niedaleko do szczytu - rzekł. - Wkrótce znajdziesz się wyżej, niż była jakakolwiek kobieta w Anglii.

Znów zaczął się wspinać.

Wiatr przybierał na sile, lecz pomimo niepokoju Caris czuła uniesienie. To było marzenie Merthina, które zdołał zrealizować. Codziennie przez setki lat ludzie w promieniu wielu mil będą patrzyli na tę wieżę i podziwiali jej piękno.

Dotarli na szczyt rusztowania i stanęli na kładce otaczającej wierzchołek. Caris starała się nie myśleć, że nie ma tu poręczy, która powstrzymałaby ich upadek.

Na czubku iglicy znajdował się krzyż. Z ziemi wydawał się mały, lecz teraz Caris zobaczyła, że jest wyższy od niej.

- Na końcu iglicy zawsze jest krzyż - powiedział Merthin. - Tak nakazuje tradycja. Inne rozwiązania bywają różne. W Chartres na krzyżu jest wizerunek słońca. Ja wybrałem coś innego.

Caris zobaczyła, że u stóp krzyża Merthin umieścił naturalnej wielkości posąg anioła. Klęcząca postać nie spoglądała w niebo, lecz na zachód, na miasto. Przyjrząwszy się jej dokładnie, Caris zauważyła, że rzeźba ma niezwykle rysy twarzy. Owalna twarzyczka była niewątpliwie kobieca i wyglądała dziwnie znajomo. Te regularne rysy i krótkie włosy...

Nagle uświadomiła sobie, że to jej twarz.

Była zdumiona.

- Pozwolą ci na to? - zapytała.

- Połowa miasta już uważa, że jesteś aniołem.

- Nie jestem.

- Nie - odparł z tym znajomym uśmiechem, który tak kochała. - Jednak najbliższą mu istotą, jaką widzieli.

Nagły podmuch wiatru sprawił, że Caris złapała się Merthina. Przytrzymał ją mocno, pewnie stojąc na szeroko rozstawionych nogach. Wiatr ucichł równie szybko, jak się zerwał, lecz Merthin i Caris pozostali objęci, jeszcze długo stojąc na szczycie świata.

PODZIĘKOWANIA

Moimi głównymi konsultantami historycznymi byli Sam Cohn, Geoffrey Hindley i Marilyn Livingstone. Opis słabych fundamentów katedry w Kingsbridge jest luźno oparty na konstrukcji katedry Santa Maria w Vitoria-Gasteiz w Hiszpanii i jestem wdzięczny personelowi Fundación Catedral Santa Maria za pomoc i inspirację, szczególnie Carlosowi Rodriguezowi de Diego, Gonzalowi Arroricie i tłumaczowi Luisowi Rivero. Pomógł mi także personel York Minster, szczególnie John David. Martin Allen z Fitzwilliam Museum w Cambridge w Anglii uprzejmie pozwolił mi dotknąć monet z czasów panowania Edwarda III. W Le Mont St. Michel we Francji pomagali mi siostra Judith i Frere Francois. Jak zawsze Dan Starer z Research for Writers z Nowego Jorku pomógł mi w zebraniu materiałów. Do moich doradców literackich należeli: Amy Berkower, Leslie Gelbman, Phyllis Grann, Neil Nyren, Imogen Taylor i Al Zuckerman. Pomogły mi również komentarze i krytyczne uwagi moich przyjaciół i członków rodziny, szczególnie Barbary Follett, Emanuele Follett, Marie- Claire Follett, Eriki Jong, Tony'ego McWaltera, Chrisa Mannersa, Janna Turnera i Kim Turner.